

LARS SAABYE
CHRISTENSEN

PÓŁBRAT

HALVBROREN

przekład Iwona Zimnicka

(prolog)

– Bardzo dziękuję!

Stanąłem na palcach i najdalej jak mogłem wyciągnąłem rękę do Esther po resztę, dwadzieścia pięć øre z korony. Esther wychyliła się przez ciasne okienko, położyła pomarszczoną rękę na moich żółtych kędziornach i chwilę ją tak trzymała. Nie bardzo mi się to podobało, ale też i nie zdarzyło się po raz pierwszy, więc zacząłem się już przyzwyczajać. Fred dawno odwrócił się plecami, torebkę z kandyzem wsunął do kieszeni, a ja po sposobie, w jaki szedł, poznałem, że jest wkurzony. Fred był wkurzony, a nic bardziej nie mogło mnie zaniepokoić. Szurał butami po chodniku, jakby torował sobie drogę, głowę trzymał nisko między wysokimi, ostrymi barkami, jak gdyby parł pod silny wiatr wiejący w twarz, i musiał do tego używać całej swojej siły, ale było przecież ciche majowe popołudnie, w dodatku sobota, a niebo nad Marienlyst, czyste i niebieskie, toczyło się powoli ku lasom za miastem niczym olbrzymie koło. – Czy Fred znów zaczął mówić? – szepnęła Esther. Kiwnąłem głową. – A co powiedział? – Nic. Esther się zaśmiała. – Biegnij już za bratem. Żeby sam wszystkiego nie zjadł.

Wysunęła rękę z moich włosów i przez moment ją wachała, a ja popędziłem dogonić Freda, przecież właśnie to pamiętam, tak działa mięsień pamięci, nie położyła palce starej kobiety w moich kędziarach, lecz to, że biegnę i biegnę za Fredem, moim przyrodnim bratem, a dogonienie go jest prawie niemożliwe. Jestem małym młodszym bratem i zachodzę w głowę, dlaczego on jest taki wkurzony, czuję ostry czubek serca w piersi, a w ustach ciepły nieprzyjemny smak, bo wybiegając na ulicę, pewnie przygryzłem sobie język. Ściskam w garści resztę, rozgrzaną monetę, i biegnę za Fredem, za szczupłą ciemną postacią wśród otaczającego nas światła. Zegar na budynku radia NRK wskazuje osiem po trzeciej, a Fred już usiadł na ławce przy krzakach. Pędzę przez Kirkeveien co sił w nogach, prawie nie ma ruchu, ponieważ jest sobota, przejeżdża tylko karawan, nagle na środku skrzyżowania nawala mu silnik i szofer w jednolicie szarym ubraniu wysiada, wali i wali w maskę, przeklinając, a wewnątrz samochodu, w podłużnym bagażniku za siedzeniami, stoi biała trumna, ale na pewno jest pusta, nikogo raczej nie chowają w sobotę po południu, grabarze z pewnością mają teraz wolne, a jeśli nawet ktoś w niej leży, to na pewno w niczym mu to nie przeszkadza, bo zmarli mają chyba dużo czasu, tak sobie myślę, myślę tak, żeby myśleć o czymś innym, a temu szaremu szoferowi w czarnych rękawiczkach nareszcie udaje się ponownie uruchomić samochód i znika w kierunku Majorstuen. Wdycham głęboko ciężki zapach spalin i benzyny, przebiegam przez trawę, mijam małe przejście dla pieszych, sygnalizację świetlną i chodniki ułożone niczym w mieście dla karzełków, raz do roku prowadzono nas tu, żebyśmy się uczyli zasad ruchu drogowego od wysokich konstabli w mundurach z szerokimi, ciasno zapiętymi pasami.

Właśnie tam, w tym małym miasteczku, przestałem rosnąć. Fred siedzi na ławce i patrzy całkiem w inną stronę. Siadam obok niego, jesteśmy tu teraz tylko my dwaj, w to sobotnie majowe popołudnie.

Fred wsuwa do ust ostry kawałek cukru i długo go ssie, twarz mu bulgocze, widzę brunatną ślinę, która zaczyna lecieć mu z warg. Oczy ma ciemne, prawie czarne, drżą, jego oczy drżą. Widziałem to już wcześniej. Fred milczy. Gołębie kołyszącym krokiem bezszelestnie przechadzają się po nędznej trawie. Czekam. I nie wytrzymuję dłużej. – Co się stało? – pytam. Fred przełyka, chuda szyja mu drga. – Nie mówię z pełnymi ustami.

Fred wsuwa więcej cukru między zęby i powoli go miażdży. – Ale dlaczego jesteś taki wkurzony? – szepczę. Fred zjada cały kandyz, zgniata brązową torebkę i ciska ją na chodnik. Z góry nadlatuje mewa, płoszy gołębie, z krzykiem opada na asfalt i wzbija się na latarnię. Fred odgarnia grzywkę do tyłu, ale zaraz spada mu z powrotem na czoło, zostawia ją tak. Wreszcie się odzywa. – Co ty powiedziałeś tej babie? – Esther? – A komu?

Mówicie sobie po imieniu? Jestem głodny i czuję mdłości. Mam ochotę położyć się na trawie i zasnąć tam, wśród gołębi. – Chyba nie pamiętam, co powiedziałem. – Na pewno sobie przypomnisz. Jak się trochę zastanowisz. – Słowo honoru, Fred. Nie pamiętam. – To dlaczego ja pamiętam? Skoro ty nie pamiętasz? – Nie wiem, Fred. To dlatego jesteś wkurzony? Nagle kładzie mi rękę na głowie. Kulę się. Jego dłoń jest zaciśnięta. – Głupi jesteś? – pyta. – Nie. Nie wiem, Fred. Nie bądź taki, dobra? Proszę cię. Zostawia rękę w moich kędziorach. – Proszę? Ciepło, coraz cieplej, gorąco, mały! – Nie mów tak, dobra? Proszę cię. Fred przesuwając palcami w dół po mojej twarzy, czuję słodki zapach, jak gdyby smarował mnie klejem. – Powiedzieć ci dokładnie, co powiedziałeś? – Tak.

Powiedz. Fred pochyla się nade mną. Nie mogę mu spojrzeć w oczy. – Powiedziałeś: b a r d z o d z i ę k u j ę .

Właściwie poczułem ulgę. Sądziłem, że być może powiedziałem coś o wiele gorszego, coś, czego nigdy nie powinienem był wymówić, coś, co po prostu mi się wyrwało, słowa, o których istnieniu nie wiedziałem, na przykład pizda. Odkaszniałem. – Bardzo dziękuję?

Tak powiedziałem? – Tak. Powiedziałeś, do cholery, b a r d z o d z i ę k u j ę! Fred wykrzyczał to, chociaż siedzieliśmy na tej samej ławce, blisko siebie. – B a r d z o d z i ę k u j ę! – krzyknął. Nie całkiem zrozumiałem, o co mu chodzi. A teraz wystraszyłem się jeszcze bardziej. Czułem, że zaraz będę musiał iść do ubikacji. Wstrzymałem oddech.

Bardzo chciałem odezwać się właściwie, ale nie wiedziałem, co odpowiedzieć, bo nie rozumiałem, o co mu chodzi. B a r d z o d z i ę k u j ę. Nie mogłem też zacząć teraz płakać. Fred jeszcze bardziej by się wkurzył albo by się ze mnie śmiał, a to chyba najgorsze ze wszystkiego. Zgiąłem się wpół. – I co? – szepnąłem. Fred jęknął. – I co?

Chyba jednak jesteś głupi. – Nie jestem głupi, Fred. – A skąd to wiesz, co? Musiałem się zastanowić. – Mama tak mówi. Że nie jestem głupi. Fred przez chwilę siedział w milczeniu. Nie miałem śmiałości na niego spojrzeć. – No a co mama mówi o mnie? – To samo – odparłem prędko. Poczułem jego rękę na ramieniu. – Chyba nie okłamujesz brata? – powiedział Fred cicho. Chociaż jestem twoim bratem tylko w połowie?

Podniosłem głowę. Oślepiło mnie otaczające nas światło. Słońce jakby wypełniło się dźwiękiem, wysokim przenikliwym dźwiękiem dochodzącym ze wszystkich stron. – To dlatego jesteś na mnie taki zły, Fred? – Dlaczego? – Dlatego że jestem tylko twoim półbratem? Fred wskazał na moją rękę, w której wciąż trzymałem monetę, dwudziestopięcioörówkę, rozgrzaną i lepka, jak płaski cukierek, który ktoś długo ssał, a potem wypluł. – Czyja ona jest? – spytał Fred. – Chyba nasza. Fred kilkakrotnie kiwnął głową, a mnie z radości aż się zrobiło gorąco. – Ale mogę ci ją dać – powiedziałem prędko. Chciałem mu oddać monetę. Fred siedział i tylko na mnie patrzył. Znow się zaniepokoiłem. – No to dlaczego mówisz „bardzo dziękuję”? Skoro dostajesz z powrotem pieniądze, które są nasze? Nabrałem powietrza. – Tak tylko powiedziałem. – Następnym razem lepiej się zastanów, dobra? – Dobra – szepnąłem. – Bo nie chcę mieć brata, który robi z siebie durnia. Chociaż jesteś tylko moim przyrodnim bratem. – Dobra. Będę się zastanawiać. – „Bardzo dziękuję” to zasrane wyrażenie. Nigdy nie mów „bardzo dziękuję”. Rozumiesz? Fred wstał, splunął gęstą brązową śliną, poszybowała wysokim łukiem i głośno upadła na trawę na wprost przed nami. Zobaczyłem, że pełźnie do niej gromadka mrówek. – Pić mi się chce – oznajmił Fred. Od kandyzu zawsze cholernie chce mi się pić.

Znów poszliśmy do Esther, do kiosku w bramie dokładnie naprzeciwko kościoła na Majorstuen, białego kościoła, w którym pastor nie chciał ochrzcić Freda, a potem odmówił ochrzczenia mnie, ale tylko ze względu na imię. Stałem przed okienkiem, na palcach, Fred oparł się o rynnę, podniósł rękę i skinął głową, jakbyśmy uzgadniali coś wielkiego. Pokazała się Esther, uśmiechnęła się na mój widok i musiała jeszcze raz dotknąć moich kędziorów. Fred wysunął język z ust najdalej jak mógł, udając, że rzyga. – Co tym razem, proszę małego pana? – spytała Esther. Strząsnąłem jej palce z głowy. – Napój w torebce. Czerwony. Spojrzała na mnie trochę zdziwiona. – Tak, tak. Zaraz będzie czerwony napój w torebce. Oczywiście. Wyjęła odpowiednią torebkę. Fred stał obok, w cieniu, lecz również jego niemal oślepił blask bijący od pobielonej ściany kościoła po przeciwnej stronie. Wpatrywał się we mnie. Nie spuszczał ze mnie wzroku. Widział wszystko. Słyszał wszystko. Prędko włożyłem monetę w dłoń Esther, a ona zaraz wydała mi pięć øre. – Proszę – powiedziała. Popatrzyłem jej w oczy. Stałem na palcach, patrząc jej w oczy, kilkakrotnie przełknąłem ślinę, a nad nami wciąż powoli przetaczało się ku lasom niebo, niczym olbrzymie błękitne koło. Pokazałem na pięćørówkę. – Ona jest nasza – oznajmiłem głośno. Niech pani to sobie zapamięta! Esther mało nie wypadła z wąskiego okienka. – Rany boskie! Co w ciebie wstąpiło? – Nie ma za co dziękować – dodałem. A Fred wziął mnie za ramię i pociągnął w górę Kirkeveien. Dałem mu torebkę z napojem. Nie miałem ochoty na napój. Fred zębami zrobił dziurę w rogu i wycisnął napój z torebki, czerwona smuga snuła się za nami. – Nieźle – stwierdził. Poprawiasz się.

Bardzo się ucieszyłem. Chciałem mu też oddać pięćørówkę. – Możesz ją zatrzymać – oświadczył. Zaciśnąłem palce na miedzianku. Mógłbym nim grać w monety, gdyby ktoś chciał ze mną w to grać.

– Bardzo dziękuję – powiedziałem.

Fred westchnął głęboko, a ja się wystraszyłem, że znów się wkurzy. Byłem gotów odgryźć sobie język i go połknąć. On jednak objął mnie ramieniem i wycisnął ostatnią kroplę soku z torebki do rynsztoka. – Pamiętasz, o co cię wczoraj pytałem? – pyta.

Pospiesznie kiwam głową i ledwie śmiem oddychać. – Nie – szepczę. – Nie? Nie pamiętasz? Pamiętam. Ale nie chcę pamiętać. I nie potrafię tego zapomnieć. Wolałbym mimo wszystko, żeby Fred nie zaczął znów mówić. – Nie, Fred. – Mam cię zapytać jeszcze raz? – Tak – szepczę. A Fred się uśmiecha. To znaczy, że nie jest wkurzony, skoro się tak uśmiecha.

– Chcesz, żebym zabił ci ojca, Barnum? – pyta.

Mam na imię Barnum.

OSTATNI SCENARIUSZ

(festiwal)

Trzydzieści godzin w Berlinie i już wrak. To dzwonił telefon. Słyszałem go. Obudził mnie. Ale ja byłem gdzie indziej. Byłem obok. Byłem odłączony. Byłem nieziemiony. Nie miałem długiego sygnału, tylko serce, które waliło ciężko, nierytmicznie. Telefon dalej dzwonił. Otworzyłem oczy, wynurzając się z płaskiej ciemności bez obrazów. Mogłem teraz zobaczyć swoją dłoń. Nie był to szczególnie piękny obraz. Dłoń się zbliżyła. Dotknęła mojej twarzy, na próbę, jak gdyby obudziła się z kimś obcym w łóżku, przyczepiona do ramienia innego człowieka. Na widok krótkich palców zrobiło mi się nagle niedobrze. Leżałem dalej. Telefon nie przestawał dzwonić. Słyszałem jakieś ciche głosy, od czasu do czasu stękanie, czyżby ktoś już za mnie odebrał? No to dlaczego ciągle dzwonił? Dlaczego ktoś był w moim pokoju? Czyżbym mimo wszystko nie położył się sam? Odwróciłem się. Zorientowałem się, że głosy dochodzą z telewizora.

Dwaj mężczyźni z jedną kobietą. Nie wyglądała na zadowoloną, raczej na obojętną. Miała tatuaż na pośladku, motyla, w żałośnie niewłaściwym miejscu. Posiniaczone uda. Błdzi mężczyźni z nadwagą prawie nie mieli erekcji, lecz się nie poddawali, stękali głucho, biorąc kobietę ze wszystkich możliwych stron. Było to nieporadne i ponure. Obojętność na twarzy kobiety na moment zastąpił grymas bólu, kiedy jeden z mężczyzn trzepnął ją obwisłym fiutem w usta i uderzył. Dłoń zniknęła z mojej twarzy. Zaraz potem obraz zgasł.

Gdybym wystukał numer mojego pokoju, mógłbym jeszcze przez dwanaście godzin oglądać pay-tv. Nie chciałem już nic oglądać. Nie pamiętałem numeru pokoju. Leżałem w poprzek łóżka, do połowy wypełzłem z marynarki, prawdopodobnie podejmując próbę zaśnięcia w przyzwoity sposób, rozebrany i normalny, ale najwyraźniej dalej nie dotarłem, zanim zgasło światło w najdalszej pakamerze w lewym skrzydle głowy. Tak, jeden but stał na parapecie. Czyżbym wcześniej sam tam stał i podziwiał widok, czy też myślałem o czymś zupełnie innym? Możliwe. Niemożliwe. Nie miałem pojęcia. Bolało mnie kolano.

Znów odnalazłem rękę. To była moja ręka. Pchnąłem ją w stronę nocnego stolika, ale kiedy tam zawisła, jak chory ptak z rozłożonymi skrzydłami nad białym szczurem mrugającym czerwonym, złowieszczym okiem, telefon przestał dzwonić. Ręka pofrunęła do domu. Od tyłu nadciągnęła cisza, rozsunęła naprężony zamek błyskawiczny na moich plecach i jęzorem z żelaza oblizwała mój kręgosłup. Nie poruszałem się przez długi czas.

Musiałem odzyskać poziom. Zielona bańka powietrza powinna wkrótce znieruchomieć w przekrzywionym mięsie, w zagłębieniu duszy. Niczego nie pamiętałem. Wielka gumka do ścierania popracowała nade mną, jak tyle razy wcześniej. Niemało takich gumek zużyłem. Pamiętałem jedynie, jak się nazywam, no bo kto mógłby zapomnieć takie imię:

Barnum. Barnum! Za kogo właściwie uważają się ci rodzice, którzy skazują swoich synów i swoje córki na dożywotnie więzienie za kratami liter? Nie możesz po prostu zmienić imienia? – pytali ci, którzy nie wiedzieli, o czym mówią. Bo to nie pomaga. Imię prześladowa cię podwójnym wstydem, jeśli próbujesz się go pozbyć. Barnum! Pół życia przeżyłem z tym imieniem. Już prawie zaczynałem je lubić. To było najgorsze. Nagle zorientowałem się, że trzymam coś w drugiej ręce, kartę klucz, neutralny płatek plastiku z układającą się w określony wzór pewną liczbą dziurek, który można wsunąć do bankomatu drzwi, a potem opróżnić konto pokoju, jeśli nie wyczyścił go już poprzedni gość, który zostawił jedynie obgryzione paznokcie pod łóżkiem i zagłębienie w materacu po ciężkich snach. Mogłem znajdować się wszędzie. W pokoju w Oslo, w pokoju na Røst, w pokoju bez widoku. Walizka stała na podłodze, stara, milcząca walizka, jeszcze nieotwarta, zresztą i tak pusta, nie było w niej okłasków, tylko scenariusz, w pośpiechu nakreślone strony. Wszedłem i wyszedłem. To ja. Wszedłem, wyszedłem i przyczołgałem się z powrotem. Ale jeszcze umiałem czytać. Na krześle przy oknie wisiał biały hotelowy szlafrok. I na nim zobaczyłem nazwę hotelu. Kempinski. Kempinski! A potem usłyszałem miasto. Usłyszałem Berlin. Usłyszałem koparki ze wschodu i kościelne dzwony na zachodzie. Podniosłem się powoli. Ten dzień już trwał. Zaczął się beze mnie. Teraz coś sobie przypomniałem. Byłem umówiony. Czerwone oko telefonu nie przestawało mrugać.

To była jakaś wiadomość dla mnie. Pieprzyłem to. Peder mógł poczekać. Kto mógł dzwonić i zostawiać wiadomości o tej porze, jak nie Peder? Oczywiście, że to Peder. On może poczekać. Peder umie czekać. Ja go nauczyłem. Nikt, kto zachował choć odrobinę rozumu, nie wyznacza spotkań rano przed lunchem pierwszego dnia pobytu w Berlinie, tylko Peder, mój przyjaciel, mój partner, mój agent, on umawiał się przed śniadaniem, bo Peder stał się człowiekiem dobrze ułożonym. Było za dwie wpół do pierwszej. Cyfry, kanciaste pismo pod martwym ekranem telewizora, świeciły na zielono i zmieniły się we wpół do pierwszej dokładnie pomiędzy dwoma nieformalnymi uderzeniami serca.

Zrzuciłem ubranie, otworzyłem minibar i wypilem dwa jägermeistry. Utrzymały się.

Wypilem jeszcze jednego i poszedłem do łazienki wyrzygać się na wszelki wypadek. Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio jadłem. Zakładka na rolce papieru toaletowego była nietknięta. Nawet nie byłem w kiblu. Umyłem zęby, narzuciłem szlafrok, wsunąłem stopy w białe hotelowe kapcie i przed wyjściem zobaczyłem, że czerwone oko telefonu wciąż się na mnie gapi, ale Peder mógł zaczekać, taką miał pracę. Peder potrafił głądzić, dopóki pokój, w którym siedział, nie stanął w ogniu.

Zjechałem windą na basen, wypożyczyłem kąpielówki, wypilem piwo i jeszcze jednego jägermeistra; zdołałem przepłynąć trzy długości, zanim poczułem się wycieńczony.

Leżałem na skorupie wody. Z niewidocznych głośników płynęła muzyka klasyczna, oczywiście Bach, wersje syntetyczne, nietknięte ludzką ręką. Kilka pań unosiło się na wodzie. Robiły to po amerykańsku, leżały nieruchomo na plecach z ramionami jak skrzydła, były w okularach słonecznych, które musiały stale podsuwać na czoło, żeby lepiej widzieć, żeby napotkać czyjeś spojrzenie, bo może o basen zahaczy Robert Downey, Al Pacino w butach na koturnach, albo mój stary przyjaciel Sean Connery, postawiłbym mu wtedy dużego drinka i podziękował za poprzednie miłe spotkanie. Ale na horyzoncie nie pojawił się nikt z tego piętra niebios, a na mnie nie warto było zawiesić oka. Panie z powrotem nasunęły okulary na oczy i dalej unosiły się na wodzie, wolno poruszając sinymi ramionami, zanurzone w chlorze anioły o nadmuchanych brzuskach.

Nieoczekiwanie poczułem się od tego bardzo spokojny, wycieńczony, spokojny i prawie wesoły. Ja też unosiłem się na wodzie. Unosiłem się po norwesku, z rękami wzdłuż boków, poruszając palcami jak szuflami, żeby utrzymać równowagę, pływalność, sunąłem nogami do przodu. Osiągnąłem teraz poziom. Potem pojawił się lęk, zawsze nadciągał równie gwałtownie, chociaż wiedziałem, że przyjdzie, jak śnieg. Lęk zaczął podskubywać mój spokój. Lęk wypijał mój spokój. Czy coś się wydarzyło w nocy? Powinienem komuś kupić kwiaty, kogoś przeproszać, prosić o wybaczenie, pracować dla kogoś za darmo, lizać po tyłku? Nie miałem pojęcia. Wszystko mogło się zdarzyć. Znalazłem się w niewoli podejrzeń. Obróciłem się, robiąc fale, które zakołysały amerykańskimi damami, wspiąłem się po chropowatych stopniach jak garbaty hermafrodyta z niedorozwojem organów płciowych, usłyszałem cichy śmiech ponad wodą i w tej samej chwili z szatni wyłonił się Cliff Richard, naprawdę, nie kto inny, w hotelowym szlafroku i kapciach. Włosy leżały mu na głowie jak koturn, a twarz miał świeżą, naciągniętą. Przypominał mumię, która uciekła z piramidy lat sześćdziesiątych. Innymi słowy, trzymał się świetnie i panie zaczęły się trochę popisywać, oddychały jak przyjacielsko usposobione morświny, chociaż Cliff być może nie zajmował najwyższego miejsca na ich listach marzeń. Dla mnie jednak był więcej niż dobry. Sprawił mianowicie, że na chwilę zapomniałem o lęku, samą swoją obecnością podarował mi chwilę przerwy, tak jak wtedy, w tamtym życiu, które jest naszą historią, moją i Freda, i które nazywam po prostu w t e d y, kiedy siedziałem w naszym pokoju, wtedy, na Kirkeveien, z uchem przyklejonym do gramofonu i słuchałem *Living Lovin' Doll*, a Fred niemy leżał na łóżku z szeroko otwartymi oczami, nie mówił od dwudziestu dwóch miesięcy, tyle samo, ile trwa ciąża słoni, nie wypowiedział ani jednego słowa od śmierci Starej i wszyscy już zrezygnowali z nakłaniania go do mówienia, matka, Boletta, wychowawczyni, szkolny dentysta, Esther z kiosku, Bóg i zwykły człowiek, nikt nie zdołał wyciągnąć z niego ani

słowa, a przynajmniej nie ja. Ale kiedy podniosłem ramię gramofonu, chcąc puścić *Livin' Lovin' Doll* po raz dwudziesty, Fred wstał z łóżka, wyrwał rączkę, zszedł na podwórze, cisnął cały gramofon do śmietnika i zaczął mówić. Potrzebny był do tego jakiś Cliff. I za to chciałem mu podziękować. Ale sir Cliff Richard po prostu ominął mnie szerokim łukiem, wsiadł na rower treningowy pomiędzy lustrami w rogu i ruszył ku własnemu odbiciu, ani trochę się do niego nie zbliżając, jak mumia z łokciem tenisisty. A moja ręka przesunęła się po ladzie baru i podniosła pierwszą rzecz, na którą natrafiła, dżin z tonikiem, prawdziwy cukierek. Cztery zegary wskazywały czas w Nowym Jorku, Buenos Aires, Dżakarcie i Berlinie. Poprzestałem na Berlinie. Za piętnaście druga.

Peder się teraz pocił. Peder konwersował, przepraszał, przynosił piwo, kawę, sandwicze, dzwonił do hotelu, poszukiwał mnie, zostawiał wiadomości, biegł po centrum prasowym, kiwał głową wszystkim, których poznawał, kłaniał się wszystkim, których nie znał, i wręczał wizytówki wszystkim, którzy nie poznawali jego. Prawie słyszałem, jak mówi:

Barnum niedługo przyjdzie, na pewno po prostu poszedł okrężną drogą, wiecie jak to jest, prawda, dobre pomysły najczęściej rodzą się w roztargnionych głowach, ja jestem tylko praktycznym umysłem, który ma je uwidocznić, wypijmy za Barnuma! Owszem, Peder zdecydowanie się teraz pocił i dobrze mu tak. Wybuchnąłem śmiechem, śmiałem się głośno na brzegu basenu w hotelu Kempinski, w czasie gdy Cliff Richard ścigał się na rowerze z trzema lustrami i tłustymi spojrzzeniami amerykańskich pań, i wtedy, równie nagle jak pojawiły się lęk i śmiech, tak samo uderzył mnie cień. Co we mnie wstąpiło?

Cóż za opaczna ekstaza mnie ogarnęła, jakie czarne szczęście mnie pochłonęło? Czy to ostatni śmiech, zanim nadejdzie to, o czym jeszcze nic nie wiedziałem, lecz czego mimo wszystko bałem się najbardziej? Zrobiło mi się zimno. Przez moment zachwiałem się na zielonych marmurowych płytkach. Wessałem w siebie śmiech. Przywołałem go z powrotem. To nie była cisza przed burzą. To była ta cisza, od której koty drżą, na długo zanim spadnie deszcz.

Wziąłem prysznic i przez chwilę rozważałem, czy nie położyć się w solarium.

Musnięcie opalenizny i lekki masaż twarzy mogłyby mi dobrze zrobić przed spotkaniem.

Ale wkroczyłem w fazę nieporadności i obojętności. Zamiast tego poszedłem więc po piwo. Kelner, podając mi butelkę, ledwie się uśmiechnął. Zaskoczyło mnie nagle, że jest taki młody. Nosił hotelowy uniform z niezgrabną godnością, niemal z przekorą, jak dziecko, które podkrađło ojcu ciemny garnitur. Podejrzywałem, że pochodzi z byłej NRD, coś w tej przekorze kazało mi tak sądzić. Rozpoczął długą wspinaczkę od pływalni w hotelu Kempinski. – Mister Barnum? – spytał cicho. Najwyraźniej sądził, że to moje nazwisko. Nie on jeden. Wybaczyłem mu. – Słucham? To ja. – Jest dla pana wiadomość.

Podał mi szeroką kopertę z logo hotelu. Peder i tak mnie znalazł. Chociaż schowałem się za rusztowaniami do suszenia ryb na Røst, znalazł mnie. Kiedy nocowałem w izbie wytrzeźwień, na ogół budził mnie Peder. W Cochs Hospits ocknąłem się, bo Peder walił w drzwi. Pochyliłem się nad barem. – Jak ci na imię? – spytałem. – Kurt, sir. Ruchem głowy wskazałem na lustro w rogu. – Widzisz tego faceta, Kurt? Tego, co cały czas pedałuje? – Tak, sir. Widzę. – Ale widzisz, kto to jest? – Niestety, sir. Nie. A ja zrozumiałem, powoli, lecz bez wątpliwości, że też się zestarzałem. – Nic nie szkodzi, Kurt. Zanieś mu colę. Light. Dopisz ją do mojego rachunku.

Złożyłem kopertę we czworo i wsunąłem do kieszeni szlafroka. Skoro Peder chciał, żebym i ja się pociał, jego życzenie musiało się spełnić. Zabrałem piwo do sauny i zająłem miejsce na najwyższej półce. Siedzieli tam już ludzie, którzy wydali mi się znajomi, lecz nie całkiem potrafiłem ich umiejscowić, dlatego przywitałem się, nie zatrzymując wzroku na dłużej, jedynie lekkim skinieniem głowy, to była moja specjalność, mój osobisty gest dla świata. Ale tamci patrzyli wprost na mnie bez zażenowania. Miałem jedynie nadzieję, że nie ma tu moich rodaków, scenarzystów z Norsk Film, dziennikarzy od rozrywki, plotkarzy z kolorowych magazynów i innych dyrektorów. Natychmiast pożałowałem tej okrężnej drogi, wybranej na gorąco, w tym miejscu bowiem wszyscy powinni być nadzy, zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Człowiek owinięty w pasie zwykłym ręcznikiem stawał się intruzem, wprawiającym resztę w zakłopotanie. Byłem tym ubranym, przez którego ich nagość stała się nagle widoczna i niezośna, wszystkie te żylaki, spłaszczone tyłki, wałki na brzuchu, obwisłe piersi, blizny, fałdy skóry, znamiona, być może złośliwe. Musiałem zdjąć ręcznik. Nie pozostawało nic innego. Wyjść nie mogłem, ponieważ to ujawniłoby moje tchórzostwo i przystawiono by mi stempel z napisem „podejrzany”, „podglądacz”, a do końca festiwalu pozostawały jeszcze trzy dni. Z niechęcią odwinąłem ręcznik, pokazując im, że ja również pod wszystkimi moimi kostiumami potrafię być naturalny, że moja nagość ma się dobrze. Siedziałem tak, ze skrzyżowanymi nogami, obnażony, w niemieckiej koedukacyjnej saunie i dziwiłem się, że w tym praworządym, pozbawionym poczucia humoru kraju człowiek czuje się wręcz zobowiązany do wspólnego siedzenia mężczyzn z kobietami, jeśli chce się trochę spocic. W bliskiej naturze Norwegii, która ledwie oderwała się od lodowców, coś podobnego wywołałoby natychmiast kryzys rządowy i listy od oburzonych czytelników. Ale w tym nakazie tkwiła mimo wszystko swoista logika. W hotelu była tylko jedna sauna, miały z niej korzystać zarówno kobiety, jak i mężczyźni, nago

i jednocześnie. Gdyby to było dobrowolne, stałoby się nieprzyzwoite. Musiało to mieć jakiś związek z wojną. Wszystko tutaj miało jakiś związek z wojną, więc pomyślałem o obozach koncentracyjnych, o ostatnim prysznicu, podczas którego mężczyźni od kobiet rozdzielali, raz na zawsze, pedantyczni masowi mordercy; istniały nawet oddzielne obozy dla kobiet, Ravensbrück, i na moment uznałem, niemal podniecony, że można do czegoś wykorzystać ten skok, myślowy skok, od eksterminacji do tego przypadkowego spotkania w saunie hotelu Kempinski podczas festiwalu filmowego w nowym Berlinie. Lecz, jak ostatnio często się zdarzało, myśl uciekła, spadła, haczyk był za słaby, a kiedy umknęła, osunąłem się głębiej w wątpliwość.

Co właściwie miałem do pokazania? Jakie historie byłem w stanie wysnuć? Ile można ukraść, zanim zostanie się przyłapanym? Ile trzeba kłamać, zanim ci uwierzą? Czyż nie byłem zawsze niedowiarkiem, zwyczajnym niedowiarkiem? Owszem, wątpiłem w większość rzeczy, nie mówiąc już o samym sobie, w ogóle miałem wątpliwości, czy istnieje coś, co można nazwać „mną”, w ponurych chwilach uważałem siebie za ograniczoną ilość mięsa funkcjonującego pod nazwą Barnum. Wątpiłem we wszystko, z wyjątkiem Freda, bo Fred był niewątpliwy, wyniesiony ponad wszelką wątpliwość.

Przypomniało mi się, co zwykle powtarzał ojciec: ważne jest nie to, co widzisz, lecz to, co ci się wydaje, że widzisz. Opróżniłem butelkę i teraz rozpoznałem jedną z osób siedzących w saunie. Była to, jak się obawiałem, znana pani krytyk, stara znajoma, nie wymienię jej nazwiska, nazywaliśmy ją po prostu Sarną, bo przypominała nam zawsze jelenia na rykowisku. Swego czasu napisała, że jestem „volkswagenem wśród rolls-royce’ów”, ale nigdy nie czytałem tego artykułu, bo w tamtym czasie zachowywałem się niekulturalnie.

Peder planował nawet wniesienie do sądu sprawy o zniesławienie, na szczęście nic z tego nie wyszło, lecz jeśli chciała się pojedynkować na metafory, to trafiła na niewłaściwego człowieka. Patrzyła teraz w moją stronę i zaczęła się uśmiechać, ale chociaż tutaj wydawała się o wiele mniej pompatyczna niż na łamach, jak gdyby wycięto ją heblem z przejrzałego owocu, wolałem nie odwzajemniać tego uśmiechu. W dodatku mogło się zdarzyć, że wymsknęłoby mi się coś, czego nigdy nie powinienem powiedzieć. Ta kobieta była moim złym znakiem. Co złego zapowiadała tym razem? Nie śmiałem o tym myśleć.

Jednak się do niej uśmiechnąłem. – Niech was cholera! – powiedziałem. Pochyliłem się i mocno odkaslnąłem. To nie mogła być prawda. Język znów odmówił mi posłuszeństwa.

Był sznurkiem, o który się potknąłem. Twój język jest jak ślizgawka, mawiał Fred. Tylko ja to usłyszałem. Niech was cholera. Sarna zdumiona podniosła wzrok, a ja kaslałem z całej siły, mało nie zwymiotowałem, i jeszcze raz na ratunek pospieszył mi Cliff Richard. W tej samej bowiem chwili wszedł do sauny z colą w rękę, przypominał cover *Livin' Lovin' Doll*, na kilka sekund zatrzymał się przy klepsydrze, w której piasek opadał i narastał, jak gdyby czas był czymś, czego nie zostawia się za sobą, tylko odkłada na bok. Potem Cliff usiadł na samej górze, tam gdzie siedziałem również ja. Było ciasno. Wkrótce zrobiło się za gorąco. Strzałka zatrzymała się na dziewięćdziesiątce. Sarna miała dość. Wymknęła się, zasłonięta ręcznikiem, rzucając przez ramię ostatnie spojrzenie. Śmiała się? Śmiała się ze mnie? Miała jakąś historię, którą będzie mogła opowiadać wieczorem przy barze? Ktoś polał kamienie wodą, rozległ się syk. Wilgoć ukazała się pod postacią wrzącej mgły.

Odwrociłem się do Cliffa. Nie pocił się. Był suchy. Fryzura mu się nie popsowała. Miał ładną opaleniznę. Mogłem to teraz wreszcie powiedzieć. – Dziękuję – odezwał się nagle.

Za co? – To ja powinienem dziękować – stwierdziłem. Dziękuję. Cliff uniósł butelkę, uśmiechnął się. – Za co? – Dzięki twojej piosence mój brat przemówił – powiedziałem.

Cliff na moment się zakłopotał. – Nie sprawiła tego moja piosenka, tylko łaska Boża.

Było za gorąco. Ciągnąc za sobą ręcznik, wyszedłem na niepewnych nogach, osłabiony i spragniony, jeszcze raz wziąłem prysznic, w pewnej chwili mignął mi Kurt z baru.

Dyskretnie kiwnął głową i puścił do mnie oko. Był teraz moim człowiekiem. Pojechałem windą na górę do pokoju. Telefon wciąż świecił na czerwono. Podniosłem słuchawkę i opuściłem ją z powrotem, rzuciłem szlafrok na łóżko, przebrałem się w garnitur i do każdej kieszeni włożyłem po butelce z minibaru. Ten garnitur miał kilka kieszeni. Byłem uzbrojony w alkohol. Wypiłem ostatniego jägermeistra, utworzył piękną kolumnę od żołądka do gardła, zjadłem łyżeczkę pasty do zębów i wsunąłem wkładki w nowe włoskie buty. Byłem gotów na spotkanie.

Cóż mogłem wiedzieć o tym wszystkim, co działo się tam, gdzie mnie nie było, o ruchach pozostających poza moim zasięgiem? Nie wiedziałem. Wciąż pozostawałem w niewiedzy, w niewoli podejrzeń, i nie chciałem o tym wiedzieć, kiedy stałem w sunącej wolno windzie z lustrami na wszystkich ścianach; nawet na suficie było lustro. Pragnąłem jedynie trwać w tym momencie, być człowiekiem współczesności, przeżywającym każdą sekundę oddzielnie, zamkniętym w najmniejszym ze wszystkich przedziałów czasu, w którym miejsca starcza jedynie dla mnie. Mignęła mi w lustrach moja twarz i pomyślałem o dziecku, które przewraca się, wstaje i zaczyna płakać dopiero wtedy, gdy widzi dookoła wystraszonych, zmartwionych ludzi, niczym spóźniony ból, echo szoku.

Zdążyłem wypić jedną wódkę. Siwowłosy portier otworzył drzwi i chciał mnie odprowadzić z parasolem. Dałem mu pięć marek, żeby zostawił mnie w spokoju.

Zasmucony popatrzył na banknot, który nagle zniknął w gładkich szarych palcach, i nie mogłem stwierdzić, czy uraziłem go, dając za dużo, czy za mało. Przypominał służącego z epoki kolonialnej. To on pociągał za sznurki w hotelu Kempinski. To on zaginał końcówki papieru toaletowego. Wyszedłem na czerwony dywan, już wystrzępiony na brzegach. Przy krawężniku stały zaparkowane cztery czarne limuzyny. Żadna nie była dla mnie. W branży istnieje pewne stare powiedzenie: *No limo, no deal*. Pieprzę to. Wódka szczypała w gardle. Zapaliłem papierosa. Dwie ekipy telewizyjne, CNN i NDR, czekały, aż coś się wydarzy. Nad Berlinem zalegała cienka warstewka deszczu. Zapach popiołu.

Dziki hałas z placów budowy. Dźwigi obracały się wolno, ledwie widoczne pod niskimi chmurami. Wyglądało to tak, jakby Bóg bawił się klockami Meccano. Tuż przed hotelem zatrzymała się jeszcze jedna limuzyna, długa biała lokomotywa z amerykańskimi proporczykami, i wysiadła z niej kobieta o najprostszycy plecach, jakie w życiu widziałem. Na ratunek pospieszyło jej dziewiętnaście parasoli. Roześmiała się, a ten śmiech był skropiony whisky, nasmarowany dziegciem i wyszlifowany gruboziarnistym papierem ściernym. Wciąż się śmiejąc, ruszyła po czerwonym dywanie, machała szczupłą dłonią, przemykając się z elegancją kieszonkowca pomiędzy kroplami deszczu poza zasięgiem czarnych parasoli. Nikt nie potrafił przejść po czerwonym dywanie tak jak ona.

To była Lauren Bacall. Nie kto inny, tylko Lauren Bacall. Obecna we własnym ciele, obecna w każdym jego gramie. Wypełniała je aż po koniuszki palców, po płatki uszu, po brwi. Kiedy zadarła brodę, parasole wywijają się na drugą stronę. Właśnie dokonała inwazji Niemiec. Stałem, przyśrubowany do tego elektryzującego widoku: Lauren Bacall, krocząc powoli i wyniosłe, mija mnie, a ja stoję w powstałym za nią wirze, to jak odwrócony znak, lustrzane *déjà vu*: mam to przed oczami, kino Rosenborg, rząd 14, miejsca 18, 19 i 20, *Wielki sen*, Vivian siedzi w środku, to takie bliskie i wyraźne, czuję nawet, jak nowy golf gryzie mnie w szyję, słyszę Lauren Bacall szepczącą do Humphreya Bogarta głosem, od którego wewnątrz ust pokrywa nam gęsia skórka, a szpik ogarnia niepokój: *A lot depends on who's in the saddle*. Peder i ja jednocześnie obejmujemy Vivian, dotykam ręką palców Pedera, żaden z nas nic nie mówi, a Vivian się uśmiecha, uśmiecha do siebie, odchyła się w tył, ku naszym ramionom. Ale kiedy odwracam się do niej, widzę, że płacze.

A teraz stałem na deszczu w Berlinie, przy czerwonym dywanie przed hotelem Kempinski. Coś się wydarzyło. Ktoś wciąż wołał, a ja nie słyszałem żadnego dźwięku.

Lampy były pogaszone, kamery odkręcone, limuzyny odjechały. Ten sam portier delikatnie ujął mnie za ramię. – Wszystko w porządku, sir? – Co? Jego twarz się zbliżyła. Wszyscy muszą się nade mną pochyłać. – Sir, wszystko z panem w porządku? Skinąłem głową.

Rozejrzałem się. Dźwigi stały nieruchome, Bogu nie chciało się już dłużej bawić klockami Meccano, a może to tylko chmury gnały po niebie w przeciwnym kierunku i przez to tak wyglądało. – Na pewno, sir? Rynsztokiem płynął papieros. Komuś wypadł aparat fotograficzny. Leżał na ziemi i przewijał film. – Może pan załatwić taksówkę? – Z przyjemnością, sir. Dmuchnął w gwizdek, który trzymał w pogotowiu. Wyciągnąłem banknot, chciałem mu go dać, zasłużył sobie. Ale portier pokręcił głową, nie patrząc na mnie. – Proszę to zatrzymać, sir. Prędko schowałem pieniądze do kieszeni. – Dziękuję – powiedziałem.

Przyjechała taksówka, portier otworzył mi drzwiczki. W samochodzie pachniało przyprawami albo kadzidłem. Na przednim siedzeniu leżał zwinięty dywanik modlitewny. – Zoo Palast – powiedziałem. Kierowca odwrócił się na moment i uśmiechnął. W czarnych ustach błysnął złoty ząb. – Mam się zatrzymać przy ogrodzie zoologicznym? Ja też nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu. – Nie, przy Centrum Festiwalowym. Tam są zabawniejsze zwierzaki.

Jazda trwała pół godziny. Dojście piechotą zabrałoby pięć minut. Wypiłem jeden koniak i zasnąłem. We śnie ujrzałem obraz: Fred na podwórzu ciągnie trumnę po śniegu.

Kierowca musiał mnie budzić. Byliśmy na miejscu. Śmiał się. Teraz to usłyszałem. To był miłosierny śmiech. Złoty ząb mnie oślepił. Zapłaciłem o wiele więcej, niż musiałem, a on chyba uznał, że to nieporozumienie, że jestem turystą, który nie potrafi liczyć, albo wstawionym szefem kina w za drogim garniturze. Chciał mi zwrócić pieniądze, ten uczciwy muzułmanin z Berlina, ale ja już byłem na chodniku, między ruinami i katedrami, między małpami i gwiazdami. Jacyś ludzie natychmiast usiłowali mi sprzedać skórzaną kurtkę. Odepchnąłem ich. Przestało padać. Dźwigi kontynuowały zataczanie powolnych kół, niebo nad Berlinem zrobiło się nagle pogodne i prawie przezroczyste. Chłodne słońce padło mi prosto w oczy, a stadko gołębi uniosło się równocześnie i podziobało światło.

Wszedłem do Centrum Festiwalowego. Dwaj uzbrojeni strażnicy sprawdzili moją kartę akredytacyjną z małym zdjęciem, zrobionym poprzedniego wieczoru, *Barnum Nilsen, screenwriter*, nieco za długo wpatrywali się w moją twarz, ale przepuścili mnie przez strefę bezpieczeństwa, przez święte wrota oddzielające tych, co są stąd, od tych, co nie są stąd. Teraz byłem stąd. Ludzie biegali jak szaleńcy, z rękami pełnymi piwa, broszur, kaset, telefonów komórkowych, plakatów i wizytówek. Kobiety były wysokie i chude, miały upięte włosy, okulary na łańcuszku na szyi i obcisłe szare spódnice, wszystkie jakby z tego samego sklepu. Mężczyźni przeważnie byli grubi, niscy, w moim wieku, a w ich przekrwionych spojrzeniach odbijało się migotanie przedsionków serca, wszyscy byliśmy do siebie podobni, nie do odróżnienia i przed końcem dnia co najmniej jeden z nas miał umrzeć. Na wielkim ekranie wyświetlano zwiastuny japońskiego filmu gangsterskiego.

Estetyczny gwałt najwyraźniej stawał się modny. Zaakceptowano powolne zabijanie. Ktoś podał mi kieliszek sake. Wypiłem. Dostałem dolewkę. Dokonałem nalotu dywanowego na wątrobę. Australijska telewizja przeprowadzała wywiad z Billem Augustem. Znow miał tak samo białą koszulę. Nikt nie miał bielszych koszul niż Bille August. Właśnie o to powinni go spytać. Ile pan ma białych koszul? Jak często zmienia pan koszulę? W innym miejscu Spike Lee gestykułował przed kamerą. I przez to wszystko przedarł się Peder, węzeł krawata wisiał mu na środku brzucha, usta bez przerwy się poruszały, wyglądało to tak, jakby się hiperwentylował albo próbował ustanowić nowy rekord w biernym paleniu.

Nie było wykluczone, że to Peder umrze w ciągu tego wieczoru. Zatrzymał się tuż przede mną, z trudem łapiąc oddech. – Ach tak – powiedział. Pękłeś. – Nigdy nie byłem szczelny. – Jak bardzo jesteś pijany? – Pięć i pół. Peder pochylił się bliżej, nozdrza mu wibrowały. – Pięć i pół? To mi wygląda raczej na karną dopłatę, Barnum. – Ależ skąd.

Mam kontrolę. Roześmiałem się. Lubiłem, jak Peder wracał do naszych starych dowcipów. Ale Peder się nie śmiał. – Gdzieś ty, do cholery, był? – W saunie. – W saunie?

Wiesz, ile czasu tu siedzimy i czekamy na ciebie? Wiesz o tym? Peder szarpnął mnie za ramię. Był wyprowadzony z równowagi. – Cholera, nagadałem o tobie tyle pięknych rzeczy, że mało się, cholera, nie wyrzygam! Zaczął mnie ciągnąć w stronę działu skandynawskiego. – Uspokój się – powiedziałem. Już tu jestem. – Nie możesz sobie, do diabła, załatwić komórki?! Jak normalni ludzie?! – Nie chcę dostać raka mózgu, Peder. – To załatw sobie pager! Cholera, osobiście ci kupię pager! – Myślisz, że one działają w saunie? – Działają nawet na Księżycu! – Ty, Peder, i tak mnie wszędzie znajdziesz.

Zatrzymał się nagle i długo mi się przyglądał. – Wiesz co? Coraz bardziej, cholera, przypominasz tego swojego szalonego półbrata! A kiedy Peder to powiedział, moment, mój bunkier, eksplodował, i ze wszystkich stron napłynął do mnie czas. Złapałem Pedera za marynarkę i przycisnąłem do ściany. – Nigdy więcej tak nie mów! Nigdy! Peder patrzył na mnie ze zdumieniem, na spodniach miał sake. – Cholera, Barnum. Wcale tak nie myślałem. Chyba zaczęto się nam przyglądać. Była we mnie wściekłość, którą ledwie rozpoznawałem. Odczuwałem prawie przyjemność. Miałem się czego trzymać. – Pieprzę, co sobie myślisz! Ale nigdy nie porównuj mnie do Freda! Rozumiesz? Peder próbował się uśmiechnąć. – Rozumiem! Puść mnie już, Barnum. Musiałem odczekać chwilę. W końcu puściłem Pedera. Stał nieruchomo pod ścianą, zdziwiony i zakłopotany. Gniew spłynął ze mnie, pozostawiając po sobie jedynie wstyd, lęk i zażenowanie. – Nie chcę po prostu, żeby mi o nim przypominano – powiedziałem cicho. – Przepraszam – szepnął Peder. To było bezmyślne z mojej strony. – W porządku. Zapomnijmy o tym. Przepraszam. Wyjąłem chusteczkę i próbowałem zetrzeć japoński alkohol z jego spodni. Peder ani drgnął. – Pójdziemy na to spotkanie? – spytał. – A kto to jest? Peder westchnął. – Dwóch Duńczyków i Anglik. – Zabawne. Czy to dowcip? Dwóch Duńczyków i Anglik. – Mają biura w Londynie i Kopenhadze. Byli dość mocno zaangażowani w *Woźąc Miss Daisy*.

Mówiłem ci o tym wczoraj, Barnum. Wylałem mu sake również na buty. Uklęknałem, starając się je wyczyścić najlepiej, jak potrafiłem. Peder zaczął kopać. – Weź się w garść! – syknął. Wyprostowałem się. – Czego oni właściwie chcą? – Czego chcą? A jak myślisz? Oczywiście poznać ciebie. U w i e l b i a j ą *Wikinga*. – Dziękuję, Peder.

Będziemy sobie teraz kadzić? – Nie. Teraz idziemy, Barnum.

Poszliśmy. Robiło się coraz mniej tłoczno. Jak zwykle stoisko norweskie znajdowało się na samym końcu, w kącie, nie wyszliśmy jeszcze poza *Niebezpieczne życie rybaka*, czterominutowy film z 1908 roku, kamień węgielny norweskiej melancholii, która wypchnęła nas na skraj Europy i festiwalu. Aby dotrzeć do Norwegii, należało zorganizować całą ekspedycję. Peder patrzył na mnie bardzo ponuro. – Jak idziesz, to brzmisz, cholera, jakbyś był minibarem. – Niedługo będzie pusty, Peder. Odkręciłem whisky i wypilem. Peder złapał mnie za rękę. – Potrzeba nam tego, Barnum. Mówię poważnie. – *Miss Daisy?* Czy to właściwie nie był naprawdę gówniany film? – Gówniany? Wiesz, ile dostał nominacji? To wielkie chłopaki. Większe niż my. – To dlaczego chcieli im się czekać trzy godziny? – Mówiłem ci już, Barnum. Uwielbiają *Wikinga*.

Siedzieli w głębi baru przy stoliku w oddzielnym boksie. Byli po trzydziestce, mieli garnitury szyte na miarę, okulary słoneczne w kieszonkach na piersi, końskie ogony, kolczyki w uszach, wielkie brzuchy i wąskie spojrzenia. Byli mężczyznami nowoczesnymi.

Już zacząłem ich nie lubić. Peder odetchnął głęboko i podsunął węzeł krawata do góry. – Będziesz miły, uprzejmy i trzeźwy, Barnum? – I genialny. Poklepałem Pedera po plecach.

Zupełnie mokre. Podeszliśmy do tamtych. Peder rozłożył ręce. – A oto i nasz wytęskniony przyjaciel! Zabłądził w zoo. Nie zauważył różnicy. Wstali, włączyli uśmiechy. Peder zniżył się do grubiaństwa, a jeszcze nie było trzeciej. Jeden z Duńczyków, Torben, nachylił się nad popielniczką, w której umierały dwa papierosy. – Naprawdę nazywasz się Barnum, czy to pseudonim? – spytał. – Naprawdę się tak nazywam, ale używam tego jako pseudonimu. Było z tego trochę śmiechu i Peder próbował wnieść kieliszki, ale Duńczyk tak łatwo nie ustępował. – To twoje imię czy nazwisko? – Jedno i drugie. Zależy od tego, z kim rozmawiam. Torben się uśmiechnął. – Czy Barnum to nie był amerykański oszust?

There's a sucker born every minute. – Pomyłka – stwierdziłem. To powiedział pewien bankier. David Hannum. Ale to Barnum powiedział: *Let's get the show on the road.* Peder zdołał wreszcie wtrącić toast. Stuknęliśmy się kieliszkami i teraz z kolei drugi Duńczyk, Preben, nachylił się nad stołem. – My po prostu uwielbiamy *Wikinga!* Cudowny scenariusz. – Bardzo dziękuję – powiedziałem i wypilem sznapsa. Szkoda tylko, że nigdy nie powstał z niego film. Peder postanowił się włączyć: – Nie będziemy się wdawać w szczegóły. – Owszem, uważam, że powinniśmy. Peder kopnął mnie pod stołem. – Patrzymy teraz w przyszłość – powiedział. Nowe projekty. Nowe pomysły. Byłem już bliski wstania, ale mi się to nie udało. – Skoro uważacie, że scenariusz jest cudowny, to dlaczego nie nakręcicie filmu? Peder spuścił wzrok, a Torben przez moment wiercił się na krześle, jak gdyby siedział na olbrzymiej pinezce. – Gdyby udało nam się obsadzić w głównej roli Mela Gibsona, może by i poszło. Drugi Duńczyk, Preben, pochylił się do mnie. – W dodatku *action* jest *out*. *Action* jest *old fashioned*. – *But what about vikings in outer space?* – spytałem. Zadzwonił któryś z telefonów. Wszyscy złapali za swoje, jak trochę zmęczeni rewolwerowcy. Wygrał Tim, Anglik. Była mowa o wielkich liczbach, w przelocie padło parę równie wielkich nazwisk, Harvey Keitel, Jessica Lange. Nie pozostawało nic innego, jak tylko uśmiechać się do siebie nawzajem i wypić. Udało mi się wstać i pójść do toalety. Opróżniłem dzin, oparłem czoło o ścianę i usiłowałem wymyślić, co im zaserwować. Nie chciałem dawać tego, co miałem. Byłem splukanym autorem scenariuszy, na którego czekali trzy godziny. Nagle przed oczami stanęło mi odbicie w lustrze windy. Nie był to piękny widok. Uszkodzona powieka opadała ciężko.

Próbowałem znaleźć moment, w którym mógłbym się ukryć. Nie znalazłem. Kiedy wróciłem, zobaczyłem, że Peder zamienił moją wódkę na kawę. Zamówiłem podwójnego sznapsa. Tim siedział gotowy – z terminarzem grubszym od Biblii w hotelu Kempinski. – Jak rozumiesz, Barnum, zajmujesz wysokie miejsce na naszej liście scenarzystów, z którymi chętnie byśmy współpracowali. Peder uśmiechał się od ucha do ucha. – Macie jakieś konkretne projekty? – spytałem. – Chętnie posłuchamy, z czym przyszedłeś. – Wy pierwsi – powiedziałem. Żebym trochę lepiej wiedział, na czym stoję. Tim wolno przeniósł wzrok ze mnie na Duńczyków. Peder znów okropnie się pocił. – Barnum lubi przerzucać piłeczkę – powiedział prędko. Zabrzmiało to tak bezsensownie, że nie zdołałem powstrzymać się od śmiechu. Śmiałem się głośno. Barnum lubi przerzucać piłeczkę. Peder ponownie kopnął mnie w łydkę. Zachowywaliśmy się teraz jak stare małżeństwo. Nagle stanął przede mną sznaps. Włączył się Torben: – Okej, Barnum.

Chętnie pogramy w piłkę. Chcemy zrobić *Dziką kaczkę*. *Action*, jak mówiliśmy, jest niemodna. Publiczność interesują rzeczy wszystkim bliskie, prawda? Na przykład rodzina.

Stąd *Dzika kaczka*. Peder nie przestawał się we mnie wpatrywać. Było to bardzo denerwujące. – To coś dla ciebie, Barnum – stwierdził w końcu. No nie? W ciągu paru miesięcy przerobisz tę sztukę na film, prawda, Barnum? Ale nikt teraz nie słuchał Pedera. – Czy to ma być norweska produkcja? – spytałem. A może skandynawska? – Coś większego – odparł Torben z uśmiechem. Amerykańska. Keitel. Lange. Robbins. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby włączyć Maxa albo Gitę. Ale dialogi muszą iść po angielsku.

Inaczej nie będzie pieniędzy. – No i musimy to trochę unowocześnić – pędkiem dodał Preben. – Umieścimy akcję w naszych czasach. *Dzika kaczką* w latach dziewięćdziesiątych. – Co z tego przyjdzie? – spytałem. – Oczywiście, że umieścimy akcję we współczesności – powiedział Peder. Chyba nie interesuje nas film kostiumowy, prawda? Na moment zapadła cisza. Zobaczyłem jeszcze jednego sznapsa. Tim szepnął coś Prebenowi, który odwrócił się do mnie. – Myśleliśmy o czymś takim jak skrzyżowanie *Rain Mana* z *Jesienną sonatą* – powiedział. Musiałem mocniej się nachylić. – Przepraszam? Skrzyżowanie czego z czym? – Chcemy po prostu pokazać geniusz Ibsena – powiedział Torben. Jego uniwersalność. – Uniwersalność? Jakby skrzyżowanie *Miss Daisy* ze *Śmiercią komiwojażera*? Wzrokiem Torbena trochę szarpnęło. Dwaj pozostali roześmiali się krótko. Peder nie mógł już więcej wytrzymać. Próbował znaleźć właściwy ton. – Ktoś ma ochotę na coś do jedzenia? – spytał. Nikt nie odpowiedział. Peder zapalił papierosa. Rzucił osiem lat temu. Torben złożył ręce i popatrzył na mnie ponad kostkami dłoni. – A jaką ty masz piłęczkę, Barnum? – Film pornograficzny – odparłem. – Pornograficzny? – Siedziałem dziś rano w swoim pokoju i oglądałem pay-tv. Uderzyło mnie, że te pornosy są zrobione niezdarnie i bez talentu. Zero dramaturgii. Beznadziejne postacie. Przerazająca obsada. Niezwykle ubogie dialogi. Odpychająca scenografia.

Torben się zniecierpliwił. – Masz na myśli film erotyczny, prawda? – Ależ skąd. Mam na myśli porno. Twarde porno. Z niezłą storią, interesującymi postaciami i ostrą jak sztych dramaturgią. Arystotelesowska hierarchia aż do orgazmu. Porno dla nowoczesnej publiczności. Zarówno dla mężczyzn, jak i dla kobiet oraz dla wszystkich innych.

Skrzyżowanie *Nory z Głębokim gardłem*. To uniwersalne.

Pierwszy wstał Anglik. Duńczycy za nim. Podali Pederowi ręce. Wymieniono wizytówki. – Będziemy w kontakcie – powiedział Peder. Barnum może w ciągu paru miesięcy przygotować szkic. – Przypominaj mu, że to Ibsen – odparł Torben. A nie pay-tv.

Peder roześmiał się głośno. – Bez obawy! Mam Barnuma pod kontrolą.

Wielkie chłopaki wyszły. My siedzieliśmy. Peder milczał jak zakłęty. Peder jest jedyną osobą, o której tak mówię. Kiedy bowiem Peder postanawiał się nie odzywać, milczał jak zakłęty. Teraz milczał jak nigdy dotychczas. Nauczyłem się z tym żyć. Jeśli w ogóle coś potrafię, to przebywać z ludźmi milczącymi. Wystarczy tylko trzymać gębę na kłódkę, żeby się przekonać, kto się odezwie pierwszy. Przegrał Peder. – Poszło naprawdę nieźle – powiedział, patrząc na mnie. Spóźniłeś się trzy godziny, a kiedy wreszcie się zjawiłeś, byłeś bezczelny, skacowany i przyszedłeś z pustymi rękami. Z kompletnie pustymi rękami.

To niewiarygodne. Twoje zdrowie, Barnum. Wypiliśmy trochę i teraz z kolei ja musiałem coś powiedzieć. – Myślisz, że Meryl Streep zagra kaczkę? – spytałem. Peder nie patrzył na mnie. – Jesteś na krawędzi, Barnum. Boże. Arystotelesowskie porno! – Co masz na myśli, mówiąc „na krawędzi”? – Dobrze wiesz. – Nie, wcale dobrze nie wiem. Peder gwałtownie znów obrócił się w moją stronę. – Już to widziałem, Barnum. Widziałem twój upadek. I nie chce mi się już iść za tobą. Wstałem. Nagle ogarnął mnie niepokój.

Powróciła twarz z windy, cały sześcian twarzy, które nawlekano na mnie, jedną po drugiej. – Cholera, Peder. Nienawidzę sposobu, w jaki rozmawiają. Skrzyżowanie *Rain Mana* z *Jesienną sonatą*. Całego tego gówna, do którego się zmuszają. Po prostu tego nienawidzę. – Dobra, dobra. Ja też tego nienawidzę. Czy jest mi z tego powodu przyjemnie? Oni tak gadają. Wszyscy tak gadają. Skrzyżowanie *Absolwenta* z *Kevinem samym w domu*, a *Na nabrzeżach* z *Pretty Woman*. Pewnego dnia my też będziemy tak mówić. Peder odstawił sznapsa, oparł głowę na rękach i znów popadł w milczenie. – Spotkałem Lauren Bacall – oznajmiłem. Peder wolno podnosił głowę. – Co ty wygadujesz? Usiadłem z powrotem. Opowiadając o tym, musiałem siedzieć. – Widziałem Lauren Bacall – powiedziałem. Prawie na nią wpadłem. Peder przysunął krzesło i leciuteńko się uśmiechnął. – Naszą Lauren Bacall? – Przestań, Peder. Jest jakaś inna Lauren Bacall niż nasza? – Oczywiście, że nie. Przepraszam. Jestem trochę wytrącony z równowagi. Przed chwilą widziałem, jak wychodzą stąd trzy worki z pieniędzmi.

Wziąłem go za rękę, była gorąca i niespokojna. – Jak wyglądała? – szepnął. Nie spieszyłem się. – Jak sfinks – powiedziałem. Jak niebieski sfinks, który oderwał się od cokołu świateł reflektorów. – Świetnie, Barnum. – Padał deszcz, a ona nie zmokła, Peder. – Wyobrażam to sobie, Barnum. Wydaje mi się, że Peder również na kilka sekund odpłynął w marzenia. Twarz zmieniła mu się w twarz dziecka, a pomiędzy kołnierzykiem koszuli i uchem zobaczyłem u niego wyraźnie gęsią skórkę, jak gdyby wrosła w to miejsce na stałe tamtego wieczoru w kinie Rosenborg, w rzędzie 14, kiedy jednocześnie objęliśmy Vivian w chwili, gdy Lauren Bacall powiedziała zachrypniętym głosem: *Nothing you can't fix*.

A potem Peder jakby wrócił i nagle się postarzał. Głęboka bruzda, na którą wcześniej nie zwróciłem uwagi, ciągnęła się na ukos od lewego oka, wśród wachlarza wcześniejszych zmarszczek, wprowadzając jego twarz w stan nierównowagi, przez co głowa przechylała mu się na bok. Peder i ja zaczynaliśmy upodabniać się do siebie. – A tak w ogóle to dzwoniła Vivian – powiedział. Wydaje mi się, że martwi się o Thomasa. – Vivian zawsze się martwi. Peder pokręcił głową, ze smutkiem. – Uważam, że powinniśmy kupić dla Thomasa coś ładnego. Spróbowałem się uśmiechnąć. Nie wyszło. – Jasne. – Roześmiałem się. Pamiętasz chyba, co powiedziały te wielkie chłopaki? Teraz liczy się rodzina. Peder zagłębił się w swój kieliszek i przez chwilę milczał. – Wszyscy uważają cię za sukinsyna – szepnął w końcu. Słyszałem, jak to mówi, ale słowa do mnie nie dotarły. – Wszyscy? – spytałem. Teraz Peder patrzył na mnie. – Tak naprędce nie potrafię sobie przypomnieć nikogo, kto by tak nie uważał. – Thomas też?

Peder odwrócił się i popatrzył w inną stronę. – Thomas to spokojny chłopiec, Barnum. Nie wiem, ile rozumie. Zapaliłem papierosa. Bolało mnie w ustach. Nakryłem ręką palce Pedera. – Może zrzucimy się na coś dla niego? Coś naprawdę fajnego. Dobra? – Jasne – odparł Peder.

Później przenieśliśmy się do baru festiwalowego. To tutaj przesiadywali ludzie z branży. Peder uważał, że musimy być widoczni. Tak powiedział. Musimy być na widoku, blisko, na właściwym miejscu i we właściwym czasie. Dla zachowania równowagi zjedliśmy kilka tłustych kielbasek. Piliśmy płyn kontrastowy z lodem. Byliśmy widoczni.

Znów, zdaje się, była mowa o Sigrid Undset i o tym, czy reżyser w ogóle da radę zrobić film z *Krystyny córki Lavransa*. To była elita. Ja się nie mieszałem. Mieszałem jedynie drinki i myślałem o Thomasie. Byłem sukinsynem. Powinienem mu kupić wielki prezent, powinienem kupić cały mur, na którym mógłby pisać, i dźwig z Berlina. Powinienem przywieźć boski zestaw klocków Meccano, żeby Thomas, syn Vivian, mógł skrócić niebo na nowo. Głosy dochodziły teraz ze wszystkich stron. Zapiłem się. Gdy zamknąłem oczy, zniknęły wszystkie dźwięki, jak gdyby nerw wzrokowy był połączony z labiryntem ucha, ale upłynęło już dużo czasu, odkąd przestałem wierzyć, że wystarczy dobrze zamknąć oczy, a z łatwością zniknie świat. Najbardziej chciałem, żeby zniknęło jedno i drugie, zarówno dźwięki, jak i świat, w którym te dźwięki powstały. Kiedy bowiem otworzyłem oczy, zobaczyłem, że zbliża się recenzentka z sauny, ta, która była dla mnie złym znakiem. Już miała festiwalowe spojrzenie, wyglądała jak cyklop na rauszu. Oczywiście pogładziła Pедера po plecach. – Macie coś, o czym można napisać do domu, chłopaki? Oprócz tego, że Barnum funduje całą Cliffowi w saunie? Peder wysunął głowę w przód jak gdyby pod sufitem było niebezpiecznie mało miejsca. – Za wcześnie, żeby coś powiedzieć – stwierdził. Ale lont płonie. Napisz, że Miil i Barnum są na boisku. Sarna przytuliła do niego całą sukienkę. Byłem już bliski zamówienia sprzętu do oddychania. – Zajęliście sobie jakieś wygodne miejsca w *Krystynie*? Może Barnum przetłumaczy scenariusz ze szwedzkiego? Peder odsunął jej rękę na bok. – Jeśli *Krystynę córkę Lavransa* porównamy do szampana, to można powiedzieć, że my robimy ciężką wodę. Sarna zaśmiała się krótko i wygięła się do tyłu, żeby nie przepadła jej ani kropla z dna pękatej koniakówki. – Powiedzcie coś więcej, chłopcy. Dość już mamy starych metafor. – Wyobraź sobie skrzyżowanie *Sarny z Jeleniami na rykowisku* – powiedziałem. Odwróciła się wolno w moją stronę, udając, że dopiero teraz mnie zauważyła. Tak oczywiście nie było.

Widziała mnie przez cały czas. Skrzywiła się powoli. – Podrzucimy ci wiadomość, gdy nadejdzie czas – obiecał prędko Peder. Na wyłączność. Ale ona wciąż patrzyła na mnie. – No to umowa stoi. Pozdrów Cliffa, Barnum. Sarna pochyliła się nagle do mojego ucha. – Niech was cholera – szepnęła.

Potem zniknęła w gęstej mgle, idąc w stronę toalet. Peder zaczął mnie ciągnąć za marynarkę. – Czy ona mówiła o Cliffie w saunie? O Cliffie i Barnumie w saunie? – W Niemczech sauny są koedukacyjne, Peder. Myślisz, że to może mieć jakiś związek z wojną? – O czym ty mówisz? Byłeś w saunie z Cliffem? – Sarna już tam siedziała.

Pierwszy raz widziałem ją nagą. – O tym wolałbym nie słuchać, Barnum. – Przypominała miękką gruszkę. – Co ona ci szepnęła? – Tylko moje stare hasło. Niech was cholera. Peder podniósł oczy do nieba, ale zaraz wrócił na ziemię. – Nie drażnij jej, Barnum, żeby więcej nie wypisywała o tobie takich bzdur. To ostatnia rzecz, jakiej ci potrzeba.

Kiedy Peder od wielkiego dzwonu się upijał, wszystko w nim zwisało, włosy, zmarszczki, usta, palce, ramiona. Alkohol działał w jego ciele jak obciążnik. Cały Peder opadał ku butom. Mogłem mu powiedzieć, że jesteśmy teraz już prawie starzy, że jesteśmy dwoma dziwnymi kumplami, którzy w życiu dzielili się wszystkim, a teraz została im z tego zaledwie połowa. Mogłem też, z uśmiechem, delikatnie, powieść palcem wzdłuż najgłębszej zmarszczki na jego twarzy.

– Ostatnią rzeczą, jakiej mi potrzeba – powiedziałem – jest twoje gadanie o ostatniej rzeczy, jakiej mi potrzeba.

– Ostatnią rzeczą, jakiej nam potrzeba, jest drink – odparł Peder.

Podniósł rękę do góry, lecz i ona opadła, legła wśród popielniczek, mokrych serwetek i butelek. Ktoś śpiewał po norwesku przy stoliku, przy którym na szczęście nie zmieściłoby się więcej osób. Zbliżały się napisy końcowe. Przyniesiono ostatnie drinki, jakich nam było potrzeba. Peder podniósł szklankę obiema rękami. – Twoje zdrowie, Barnum. Właściwie nie mamy już w Berlinie nic do roboty. Oprócz kupienia prezentu dla Thomasa. A może i o tym już zapomniałeś? Spuściłem głowę i nagle przypomniałem sobie, co mam w walizce w pokoju hotelowym. – Przywiozłem scenariusz – powiedziałem.

Peder spokojnie odstawił drinka. – I dopiero teraz o tym mówisz? Że przywiozłeś, do cholery, scenariusz? – Nie cieszysz się, Peder? – Czy się cieszę? Do diabła, daj mi coś, Barnum! Chociaż małą wskazówkę. Tytuł! – *Człowiek nocy* – powiedziałem. – *Człowiek nocy* – powtórzył Peder i uśmiechnął się. – Musisz wszystko powtarzać dwa razy? – O czym to jest, Barnum? *Pitch* mi coś, Barnum! Nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu. Tak teraz mówiliśmy. *Pitch* mi. Podrzucił mi coś. Daj. – O rodzinie. A o czym innym? Peder obiema rękami złapał się za głowę i zaczął nią potrząsać. – Dlaczego nic nie powiedziałeś na tym spotkaniu? Dlaczego, do cholery, nie przyniosłeś scenariusza na spotkanie? – Dlatego, że mnie obudziłeś, Peder. Puścił swoją głowę, przechyliła się na ramię. – Obudziłem cię? – Tak, Peder. Dzwonisz, budzisz mnie, odkładasz słuchawkę i wszędzie zostawiasz wiadomości. Ledwie w saunie udaje mi się trochę pobyć w spokoju. Nienawidzę tego. A ty o tym wiesz. – Wiem, Barnum. – Nienawidzę, jak się mnie szarpie. Przez całe życie byłem przestawiany i szarpany. Wszyscy mną dyrygowali.

Najzwyczajniej w świecie mam tego dość, Peder. Peder miał w oczach zupełną pustkę. – Skończyłeś już, Barnum? – Nie marudź. Peder przysunął się bliżej i próbował się wyprostować. Prawie mnie wziął za rękę. – To nie ja dzwoniłem – szepnął. I nie zostawiałem ci żadnych wiadomości.

W chwili gdy to powiedział, wytrzeźwiałem i poczułem chłód, a wszystko wokół mnie się roztrzęsło, wstrętne i bliskie. Wiedziałem o tym. Wszystko, co odkładałem na później, działa się teraz. Wyszedłem. Peder usiłował mnie zatrzymać. Nie udało mu się.

Wyszedłem na berlińską noc. Padał śnieg, między światłami a ciemnością migotało.

Słyszałem wrzaski zwierząt w zoo. Szedłem wśród ruin, mijałem restauracje, których nigdy nie zamykano, do hotelu Kempinski, gdzie równiutkim szeregiem stały te same limuzyny, jak przerobione karawany w beznadziejnej kolejce, a stary siwowłosy portier otworzył ciężkie drzwi, pozdrowił mnie gestem ręki uniesionej do czapki i uśmiechnął się wyrozumiale, pojechałem windą do swojego pokoju, otworzyłem kluczem drzwi i zobaczyłem, że pokojówka posprzątała, zmieniła ręczniki, kaptcie i szlafrok, telefon wciąż błyskał czerwono, szarpnąłem słuchawkę, ale usłyszałem tylko obcy sygnał, i wtedy zobaczyłem kopertę, tę, którą złożyłem i schowałem do kieszeni tamtego szlafroka, leżała na biurku, przy półmisku z owocami i butelce festiwalowego czerwonego wina.

Wypuściłem słuchawkę z ręki i podeszedłem do biurka. Otworzyłem kopertę i wyciągnąłem kartkę. Usiadłem na łóżku. To był faks, na samej górze mogłem przeczytać, skąd go nadano:

Szpital Gaustad, Oddział Psychiatryczny, dziś rano, godzina 7.41. Tylko dwie pochyłe linie, nakreślone ręką matki drżące litery: *Kochany Barnumie. Nie uwierzysz. Fred wrócił. Przyjeżdżaj do domu najszybciej jak możesz. Matka.*

Przeczytałem te dwie linijki jeszcze raz i wstałem, prawie spokojny, moje ręce, które podniosły kartkę, były spokojne, tak, moje ręce były spokojne, zerknąłem przez ramię, szybko, tak jak zwykle to robię, jak gdyby mi się wydawało, że ktoś stoi za mną, w cieniu przy drzwiach, i nie spuszcza ze mnie oka.

KOBIETY

(suszarnia na strychu)

Jest wtorek, 8 maja, 1945 rok, a Vera, nasza matka, stoi w głębi suszarni na strychu przy Kirkeveien i zdejmuje pranie, które przez noc tu, na górze, wyschło i zmiękło.

Są to trzy pary wełnianych skarpet, które można już schować na dobre, dwa zielone kostiumy kąpielowe zapinane na guziki, z paskiem na szyję, jeszcze nieużywane, trzy biustonosze, biała chusteczka do nosa, a przede wszystkim trzy cienkie sukienki i jasne halki ze sztucznego jedwabiu, które tak długo leżały w szafie w sypialni, że niemal wyblakły od ciemności. Vera bała się wywiesić pranie na podwórzu, tyle się wydarzyło przez te dni, przez te lata, żeby jeszcze ktoś nie ukradł ich ubrań, teraz, w ostatniej chwili.

Vera się spieszy, niecierpliwi, nie jest dość szybka, bo chce wyjść świętować pokój, zwycięstwo, wszystko chce świętować, życie, wiosnę, razem z Bolettą i ze Starą, no i może Rakel też wróciła do domu, teraz, gdy nastał pokój, kiedy to się już skończyło.

Śmieje się cicho, wyciągając się do luźno zwisających sznurów, które są szorstkie pod palcami i które mogą ukłuć, jeśli się nie zachowa ostrożności. To Vera, nasza matka, stoi tak, sama w suszarni na strychu, i ze śmiechem wrzuca drewniane klamerki od bielizny do szerokiej kieszeni fartucha, a rzeczy po kolei starannie składa w stojącym przy niej plecionym koszyku. Jest rozgrzana, o niczym nie myśli, po brzegi wypełnia ją tylko ogromna, zdumiewająca radość, niepodobna do żadnego wcześniejszego uczucia. Vera jest teraz nową osobą. Przez pięć lat trwała wojna, a ona latem skończy dwadzieścia, i to teraz, właśnie teraz, zaczyna się jej życie, niech tylko zdejmie to pranie, zastanawia się, czy nie zostawić tych wełnianych skarpet, ale natychmiast zmienia decyzję, w taki dzień pranie nie może wisieć, nawet na samej górze, w suszarni. Vera musi przez moment odpocząć, wygina plecy w łuk, głowę odchyła do tyłu i wdycha zapach czystej bielizny, trzech sukienek. Znów się śmieje. Zdmuchuje włosy z czoła. W rogu, pod szybem na koks, siedzi szary gołąb i grucha. Z ulic dochodzą okrzyki, śpiewy i muzyka. Vera sięga do sznura, żeby zdjąć ostatnią sukienkę, swoją niebieską sukienkę, której też nie zdążyła jeszcze założyć, i właśnie w tej chwili, w momencie kiedy ściska klamerkę, żeby ją zdjąć?, a?drug? r?k? przytrzymuje sukienk?, ?eby nie omiot?a zakurzonej pod?ogi, s?yszy za?plecami kroki, zbli?aj? si? powoli, a?Vera przez moment my?li, ?e?to Rakel wr?ci?a, przybieg?a korytarzami, ?eby si? z?ni? zobaczy?, ale to?z pewno?ci? tylko Boletta, kt?ra straci?a cierpliwo?? i?przysz?a jej pom?c si? z?tym upora?, bo?nie maj? czasu do?stracenia, jest pok?j, wojna si? sko?czy?a, Vera zaraz co? powie do?matki, tak, tak, jeszcze tylko ta?sukienka, widzisz, jaka ?adna, albo mo?e tylko si? roze?mieje z?samej rado?ci, a?potem razem znios? kosz z?praniem z?tych wszystkich schod?w. Zaraz jednak u?wiadamia sobie, ?e?to nie mo?e by? ani matka, ani Rakel, bo?te kroki maj? inny rytm, inny ci??ar, deski w?pod?odze ledwie si? uginaj?, go??b w?k?cie nagle przestaje grucha?, to?s? kroki wojny, kt?re wci?? id? naprz?d,

W tym momencie Vera zdaje sobie obrzydzenie, kto ją przytrzymuje, sucha dłoń przyciska się do jej twarzy i Vera nie ma tego czasu krzyknąć. Czuje wstrząsny odwrócony niemyty skrzyż, ostry smród z ust obcego, język drapiący w kark. Próbuje ugryźć tego człowieka, żeby zatapiać się w grubej skórze, ale on nie puszcza. Vera nie może oddychać. On ją podnosi, ona kopie ile się, jeden but jej spada, a on zmusza ją, by ułożyć ją i się pochylić. Vera widzi, że sukienka krzywo zwisa ze sznura, tylko na jednej klamercie, i w momencie upadku pociąga ją za sobą. On odsuwa rękę od jej ust i Vera może oddech, ale teraz, kiedy może już krzyknąć, jednak nie krzyczy. Widzi jego ręce rozdzierające jej spódnicę i tylko to z niego widzi, ręce, w jednej dłoni brakuje palca, Vera wbija paznokcie w dłoń, ale mężczyzna nie wydaje z siebie żadnego dźwięku, dziewięć palców, to wszystko, czym jest. Przyciska jej twarz do podłogi, policzek ociera się o szorstkie deski, światło z tej pozycji wydaje się krzywe, gość stroszy pióra. Vera czuje jego ręce na biodrach, dziewięć palców szorujących skórę, on ją rozrywa, rozdziera, ona go nie słyszy, wciska sobie sukienkę do ust, gryzie, łyka cienki materiał, słońce w otworze w dachu przesuwają się nagle skokiem, on się w nią wciska i w tej samej chwili zaczyna bić kościelne dzwony, wszystkie dzwony w mieście dzwonią równocześnie, gość podrywa się gwałtownie z kątą pod szybem na koks i krzywy wokół nich jak oszalały, Vera czuje na sobie uderzenia skrzydeł, teraz na wszystko jest już za późno, nie ma jeszcze dwudziestu lat, to on w końcu krzyczy.

Potem jest cicho. On ją puszcza. Vera może wstać, ale się nie podnosi. On gdzieś jej rękę na karku. Czy mogę wymiocinami. On biegnie. Vera to czuje, ten bezszelestny huk na twarzy, na policzku. Podkradł się do niej, a teraz biegnie dźwiękami korytarzami strychu na Kirkeveien, 8 maja 1945 roku. Gość siedzi na parapecie otworu w dachu.

Vera, nasza matka, leży tak, policzkiem dotykając podłogi, z sukienką w ustach i ręką pełną krwi, a po niej wolno przesuwa się smuga słońca.

ć, a drugą ręką przytrzymuje sukienkę, żeby nie omiotła zakurzonej podłogi, słyszy za plecami kroki, zbliżają się powoli, a Vera przez moment myśli, że to Rakel wróciła, przybiegła korytarzami, żeby się z nią zobaczyć, ale to z pewnością tylko Boletta, która straciła cierpliwość i przyszła jej pomóc się z tym uporać, bo nie mają czasu do stracenia, jest pokój, wojna się skończyła, Vera zaraz coś powie do matki, tak, tak, jeszcze tylko ta sukienka, widzisz, jaka ładna, albo może tylko się roześmieje z samej radości, a potem razem zniosą kosz z praniem z tych wszystkich schodów. Zaraz jednak uświadamia sobie, że to nie może być ani matka, ani Rakel, bo te kroki mają inny rytm, inny ciężar, deski w podłodze ledwie się uginają, gołąb w kącie nagle przestaje gruchać, to są kroki wojny, które wciąż idą naprzód, i nim Vera zdąży się obrócić, ktoś ją łapie i przytrzymuje, sucha dłoń przyciska się do jej twarzy i Vera nie ma też czasu krzyknąć. Czuje wstrętny odór niemytej skóry, ostry smród z ust obcego, język drapiący w kark. Próbuje ugryźć tego człowieka, zęby zatapiają się w grubej skórze, ale on nie puszcza. Vera nie może oddychać. On ją podnosi, ona kopie ile sił, jeden but jej spada, a on zmusza ją, by uklękła i się pochyliła. Vera widzi, że sukienka krzywo zwisa ze sznura, tylko na jednej klamercie, i w momencie upadku pociąga ją za sobą. On odsuwa rękę od jej ust i Vera łapie oddech, ale teraz, kiedy może już krzyczeć, jednak nie krzyczy. Widzi jego ręce rozdzierające jej spódnicę i tylko to z niego widzi, ręce, w jednej dłoni brakuje palca, Vera wbija paznokcie w tę dłoń, ale mężczyzna nie wydaje z siebie żadnego dźwięku, dziewięć palców, to wszystko, czym jest. Przyciska jej twarz do podłogi, policzek ociera się o szorstkie deski, światło z tej pozycji wydaje się krzywe, gołąb stroszy pióra. Vera czuje jego ręce na biodrach, dziewięć palców szorujących skórę, on ją rozrywa, rozdiera, ona go nie słyszy, wciska sobie sukienkę do ust, gryzie, żuje cienki materiał, słońce w otworze w dachu przesuwa się nagłym skokiem, on się w nią wciska i w tej samej chwili zaczynają bić kościelne dzwony, wszystkie dzwony w mieście

dzwonią równocześnie, gołąb podrywa się gwałtownie z kąta pod szybem na koks i krąży wokół nich jak oszalały, Vera czuje na sobie uderzenia skrzydeł, teraz na wszystko jest już za późno, nie ma jeszcze dwudziestu lat, to on w końcu krzyczy.

Potem jest cicho. On ją puszcza. Vera może wstać, ale się nie podnosi. On kładzie jej rękę na karku. Czuć moczem i wymiocinami. On biegnie. Vera to czuje, ten bezszelestny huk na twarzy, na policzku. Podkraść się do niej, a teraz biegnie długimi korytarzami strychu na Kirkeveien, 8 maja 1945 roku. Gołąb siedzi na parapecie otworu w dachu.

Vera, nasza matka, leży tak, policzkiem dotykając podłogi, z sukienką w ustach i ręką pełną krwi, a po niej wolno przesuwa się smuga słońca.

(mieszkanie)

Boletta, matka Very, nie była kobietą ani trochę religijną, raczej wprost przeciwnie, cudów miała dosyć, ale teraz otworzyła drzwi na wąski balkon wychodzący na Gørbitzgate, stanęła w nich i całym sercem napawała się tą chwilą: kościelnymi dzwonami, które dzwoniły równocześnie w całym mieście, na Majorstuen, na Aker i Fagerborg, słyszała nawet te z Sagene i Uranienborg, miękkie, szalone dzwonięcie, unoszone jakby przez światło i wiatr, zlewające się w jeden potężny ton, który raz na zawsze miał zagłuszyć białe ostre echo alarmów przeciwlotniczych. – Mogłabyś zamknąć te drzwi! Przeciąg! Boletta odwróciła się w stronę pokoju, niemal oślepiąca. Mrok w środku jeszcze się pogłębił. Brązowe meble wyglądały jak gęste cienie, niedające się przesunąć, przyśrubowane dobitnym tykaniem zegara w przedpokoju. Na kilka sekund musiała zasłonić oczy. – Chcesz, żebyśmy się poprzeziębiały, i to akurat dzisiaj? Przecież nie chorowałyśmy przez całą wojnę! – Nie musisz krzyżeć, mamó.

Boletta zamknęła drzwi na balkon i dopiero teraz zobaczyła Starą przy półkach z książkami. Stara stała w halce do kostek, w czerwonych kapciach z pluszu i wyciągała książki, które rzucała do kominka, mówiąc coś do siebie, szybko i z uporem. Boletta ostrożnie podeszła bliżej. – Co ty wyprawiasz, mamó?

Ale Stara nie odpowiedziała, albo nie usłyszała i dlatego nie odpowiedziała. Stara była bowiem głucha na jedno ucho, a i to drugie nie działało tak, jak powinno. Doznała urazu podczas eksplozji w Filipstad w grudniu 1943 roku. Stara siedziała wtedy w jadalni i kręciła w jedną i drugą stronę gałką radia, którego oddania odmówiła, uzasadniając to stwierdzeniem, że jest obywatelką duńską i zamierza słuchać wyłącznie programów z Kopenhagi. Twierdziła, że wybuchy wydobyły się z głośnika ze zwielokrotnioną mocą, przy akompaniamencie hałaśliwego jazzbandu z Ameryki, i przez to pękło jej kowadełko w lewym uchu, w drugim natomiast przesunęło się strzemiączko. Boletta w głębi ducha żywiła przekonanie, że uszy matki są w doskonałym stanie, a Stara pragnie zastrzec sobie prawo do słyszenia tylko tego, co chce usłyszeć. Zorientowała się teraz, że książkami, które Stara wyciąga z półki i rzuca do zielonego kominka, są powieści Knuta Hamsuna. – Co ty wyprawiasz?! – zawołała Boletta jeszcze raz, łapiąc matkę za ramię. – Koniec z Hamsunem! – Z Hamsunem? Przecież ty kochasz Hamsuna! – Nie czytałam go od pięciu lat! Już dawno trzeba było się go pozbyć z domu! Stara odwróciła się do córki. Machała *Błogosławieństwem ziemi* przed nosem. – Zwłaszcza po tym, co wypisywał w gazetach! – A co wypisywał?

Stara włożyła do kominka również *Błogosławieństwo ziemi* i przyniosła wieczorne wydanie „Aftenposten” z poprzedniego dnia. Palcem wskazującym stuknęła w pierwszą stronę, mało nie robiąc dziury w papierze. – Powtórzę ci słowo w słowo, co ten gad napisał! *My, jego bliscy zwolennicy, chylimy teraz głowy w chwili jego śmierci.* Stara podniosła oczy. – Potrafisz sobie wyobrazić gorszy moment na napisanie nekrologu Hitlera? Poza tym on w ogóle nie powinien mieć żadnego nekrologu! Powinniśmy raczej tańczyć na jego grobie!

Wsunęła gazetę do kominka i z gwałtowną złością znów rzuciła się na półkę z książkami. Długie siwe włosy układały się wokół niej jak cienki wachlarz, przy każdym ciskanym tomie dzieł zebranych Hamsuna przeklinała soczyście, a ja chętnie bym zobaczył, jak Stara, nasza prababka, 8 maja 1945 roku usuwa ślady głuchego noblisty z salonu na Kirkeveien. Nagle jednak się zatrzymała, w chwili gdy miała wyrzucić ostatni tom trylogii o Augustcie, *A życie toczy się dalej*, i znieruchomiła z tym pierwszym wydaniem w rękę, a potem w milczeniu nachyliła się nad półką z książkami i wyciągnęła z niej coś innego, coś, co stało schowane za powieściami zdraycy, nietkniętą malagę z 1936 roku. Ostrożnie podniosła butelkę, na chwilę zapominając o Hamsunie i wszystkim, co zrobił. Boletta okrążyła ją, żeby zobaczyć, co to jest. – A ja wszędzie tak jej szukałam. – Stara westchnęła. W koszu z brudną bielizną. W szafce z bezpiecznikami. W rezerwuarze.

A tymczasem ona, niech Bóg ma nade mną litość, stała tutaj, zaraz za krzywym grzbietem Augusta! Leciutko ucałowała butelkę i odwróciła się z powrotem do półek z książkami. – Dziękuję za dotrzymanie mi towarzystwa, Knut. Teraz nasze drogi się rozchodzą!

Na wszelki wypadek zajrzała jeszcze za Hermana Banga i Johannesena V. Jensena, ale żadnej butelki już więcej nie było, nawet za dziełami zebranymi Ibsena. Stara już szła do kuchni. Boletta ją zatrzymała. – To ty ją schowałeś na półce z książkami? – spytała. Stara popatrzyła na nią wielkimi oczami. – Ja? Gdybym to ja ją tam schowała, to już dawno bym ją znalazła i wypijała, jeszcze zanim Hitler napadł na Polskę! To ty musiałas ją tam postawić. Boletta nachyliła się nad jej zdrowym uchem. – Pochowałeś jeszcze jakieś inne rzeczy, co?

Ale tego Stara nie usłyszała i zamiast odpowiedzieć, zaczęła krzywymi pomarszczonymi palcami wykręcać korek, Boletta musiała jej przytrzymywać butelkę, a Stara kręciła i ciągnęła, stały tak długo, szarpiąc i ciężko dysząc. Nagle jednak Stara puściła i ze zdumieniem popatrzyła na siebie, jak gdyby dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że jest nieubrana. – Nie pije się malagi z 1936 roku w bieliźnie! Gdzie się podziewa Vera?

Chcę natychmiast dostać swoją suknię!

Boletta odwróciła się gwałtownie w stronę owalnego zegara stojącego na sekretarzyku w przedpokoju, do magicznego zegara od Towarzystwa Ubezpieczeń na Życie Bien, do którego co miesiąc, zawsze w pierwszą sobotę, wkładaliśmy składkę ubezpieczeniową, a ja przez to długo sądziłem, że czas płynie dzięki pieniądзом. Boletta podeszła bliżej.

Nie mogło być aż tak późno. Coś się nie zgadzało. Vera już dawno powinna wrócić ze strychu z praniem. Zegar się spieszył, może najzwyczajniej w świecie nie wytrzymał przeżyć ostatnich dni i kiedy wypuszczono więźniów z Grini, a generał Rediess, szef gestapo, zamknął za sobą drzwi na piętrze wiejskiej rezydencji królewskiej w Skaugum, wsunął pistolet do ust najgłębiej jak się da i nacisnął spust, wskazówki przeskoczyły kilka godzin. Boletta jeszcze słyszała terkot zębatych kółeczek sekund i brzęczenie monet w szufladce pod tarczą.

Pędkiem popatrzyła na własny zegarek. Godzina się zgadzała. – Pójdę zobaczyć, co ona robi. – Dobrze. Ja w tym czasie naszykuję kieliszki, żeby miały odpowiednią temperaturę.

Boletta stanęła i uważnie przyjrzała się matce. – Tylko nie ruszaj tej butelki, dopóki nie przyjdziemy! Stara się uśmiechnęła. – Cieszę się, że znów zobaczę króla Haakona. Jak myślisz, kiedy przyjedzie? Boletta pochyliła się nad jej drugim uchem. – Nie waż się jej tknąć! Dopóki ja i Vera nie zejdziemy z góry! Stara pocałowała córkę w policzek i zadrzała. – Wydaje mi się, że naprawdę napalę w kominku. Ta wojna wychłodziła ściany.

Boletta westchnęła, narzuciła szal na ramiona, pospiesznym krokiem przeszła przez mieszkanie i po stromych schodach ruszyła na górę.

(gołąb)

Drzwi na strych są otwarte. Tak tu cicho. Boletta nie słyszy głosów, muzyki z miasta, z ulic, ani wiatru, od którego zawsze uginają się ściany, jak gdyby cała kamienica przesuwiała się trochę za każdym razem, gdy powieje. – Vera? – woła. Ale nikt nie odpowiada. Boletta idzie korytarzem, mija wszystkie boksy, ciaśniej otula się szalem.

Czuć przeciąg, ale wiatr jest bezszelestny. Z wysokich belek pod dachem sypie się kurz. – Vera? – woła znów.

Dlaczego ona nie odpowiada? Może wymknęła się na Majorstuen. Niemożliwe. Boletta się śmieje. Jakby Vera chciała uciec! Na pewno znów po prostu zatoneła w marzeniach.

A dzisiaj wolno się rozmarzyć. Dzisiaj wolno zapomnieć, jutro natomiast będą mogły pamiętać dokładnie to, co zechcą. Dzisiaj mogą robić wszystko. Nagle Bolettę przenika chłód. Dziecięcy wózek, wypełniony szczapami drewna, leży przed nią wywrócony.

Boletta się zatrzymuje. – Vera? Nawet gołębie nie gruchają. Cisza jest podwójna. Drzwi do naszej suszarni jeszcze drgają na zawiasach. I wtedy jednak coś słyszy: zgrzytliwy jednostajny dźwięk, przypominający bzyczenie, jakby rój owadów, który przez cały czas się zbliża, lecz którego nie można dostrzec. Właśnie tego odgłosu nigdy nie zapomni.

Boletta odsuwa wózek, ostatni kawałek biegnie i zdyszana zatrzymuje się w drzwiach. Tak znajduje swoją córkę. Vera kuca przy koszu z praniem. Na kolanach trzyma świeżo upraną sukienkę i gładzi ją ręką, raz za razem, nucąc cicho, jak gdyby jakiś fałszywy ton utknał jej w piersi. Boletta podchodzi do niej powoli. Vera nie podnosi oczu. Wpatruje się we własne dłonie, które wygładzają cienki materiał, przesuwając się coraz szybciej. – Co ci się stało, Vero?

Vera odwraca się tylko w inną stronę, ociera palce o niebieską sukienkę. Boletta klęka przed córką i twardo kładzie jej rękę na kolanach, żeby ją powstrzymać. Ogarnia ją niemal irytacja, chętnie by trochę potrząsnęła Verą, ale ten dzień nie jest odpowiedni na zdenerwowanie i połajanki. Próbuje się roześmiać. – Stara znalazła butelkę malagi za Hamsunem. I nie chce jej wypić, dopóki nie włoży sukni. Przyjdiesz? Vera wolnym ruchem odwraca się do matki i uśmiecha. Twarz, wargi są wykrzywione, lewy policzek spuchnięty. Na skroni, pod włosami, ma ranę. Ale i tak najgorsze są oczy. Są czyste, wielkie i nigdzie nie patrzą.

Boletta jest bliska krzyku. – Kochana, malutka. Co się stało? Vera nuci. Vera przekrzywia głowę i nuci. – Przewróciłaś się? Spadłaś ze schodów? Vero, kochanie, powiedz coś! Vera zamyka oczy i uśmiecha się. – Musisz pamiętać, żeby wypuścić gołębia – mówi.

I wtedy Boletta czuje, że nowa sukienka jest wilgotna i lepka. Przyciąga rękę do siebie.

Palce pociemniały od krwi. – Gołębia? Jakiego gołębia?

Ale Vera nie odpowiada. Vera, nasza matka, objęła w posiadanie milczenie i nie odezwała się więcej przez osiem miesięcy i trzysta dni. Musisz pamiętać, żeby wypuścić gołębia, to ostatnia rzecz, jaką powiedziała. Boletta podnosi głowę, a krew skapuje jej z ręki. Słońce dawno minęło już otwór w dachu. Cień ukośnie przecina pomieszczenie jak kolumna czarnego pyłu. A na sznurze od bielizny tuż nad ich głowami siedzi nieruchomo szary ptak.

Boletta otrzepuje rękę. – Na miłość boską! Skądś ty wzięła tyle tej krwi! Vera opiera się o matkę, która ostrożnie podnosi córkę i niesie ją przez korytarz, a potem w dół po schodach, lęk zrobił z Boletty, tej drobnej osóбки, silnego, oszalałego człowieka. Któraś z nich płacze, albo może obie, a Vera nie chce puścić zakrwawionej sukienki. Przy każdym kroku matki klamerki od bielizny wypadają z kieszeni fartucha Very i sypią się za nimi.

Boletta się tym nie przejmuje, pozbiera je, kiedy przyjdzie po kosz z praniem, który został w suszarni. A ja pamiętam ptaka, którego pewnej nocy znaleźliśmy w głębi boksu, Fred i ja znaleźliśmy twardego, zasuszonego gołębia, taką mumię z piórami, wtedy gdy Fred kupił trumnę i miał się wprawiać w umieraniu, ale do tego jeszcze daleko.

(pierścionek)

Stara stała przy białym bufecie w pokoju kredensowym i nalewała identyczne porcje do trzech szerokich kieliszków, bo Vera była już dostatecznie dorosła, żeby się napić malagi, wszyscy, którzy przeżyli wojnę światową, zasługiwali przynajmniej na jeden kieliszek malagi, a aromat tego czerwonego płynnego kwiatu z trzydziestego szóstego roku sprawił, że rozmarzyła się o portach w Kopenhadze, o pokładach statków, żaglach, linach i bruku, jak gdyby sam ten zapach miał moc wywołania każdej klątki filmowej z mroku jej pamięci. Stara odstukała w niemalowane drewno i zapłakała z radości. Smutne szczęście! W bieliźnie czy nie, i tak mogła wznieść potrójny toast, jeden za tego, który zginął wśród lodów, jeden za to, że nigdy o nim nie zapomni, a ostatni za koniec wojny i świecące na niego słońce. Owszem, to smutne szczęście! Ale smutek rzadko bywa szczęśliwy. Życie to nie tylko wielkie kapelusze i powolny walc. Życie to również czekanie na tych, którzy nigdy nie wracają. Wypiła za to smutne szczęście, uważnie jeszcze raz napełniła kieliszek i wtedy wreszcie usłyszała ruch w kuchni.

Zakorkowała butelkę i zobaczyła Bolettę niosącą Verę, która zasnęła w jej ramionach jak małeńkie dziecko o jasnej buzi. Na pierwszy rzut oka mogła się nim wydawać. – Zagotuj wody! – zawołała Boletta. Przynieś ocet i gazę! Stara podniosła kieliszek i zaraz go odstawiła. – Co się stało? – Ona krwawi! Nic nie mówi!

Boletta zaniósła córkę do sypialni i położyła ją w podwójnym łóżku. Stara zaraz nastawiła wodę w największym garnku i pospieszyła za nimi. Vera leżała z zamkniętymi oczami i rękami zaciśniętymi na zakrwawionej sukience. Twarz jeszcze bardziej jej się wykrzywiła. Jeden policzek pokrywał siny cień. Boletta siedziała na brzegu łóżka i nie wiedziała, co zrobić z rękami. – Tak ją znalazłam – szepnęła. I nie chce mówić! Ani słowa! – Nie odezwała się? – Powiedziała jedynie, że mam wypuścić gołębia. – Jakiego gołębia? – Gołębia na sznurze do bielizny. Tam siedział gołąb. O co jej chodziło? – Pewnie o to, żebyś go wypuściła. Tego gołębia.

Stara zmieściła się po drugiej stronie łóżka. Delikatnie pogładziła ręką czoło Very i poczuła, że jest gorące i suche. Potem przyłożyła dwa palce do szczupłej bladej szyi i z trudem policzyła uderzenia serca, były równe i powolne. A z głębi ust Very wydobywał się ten sam dźwięk, cicha mroczna piosenka, od której drżały wargi. Boletta nie mogła już dłużej tego znieść. Zasłoniła uszy rękami. – Nuci tak, odkąd ją znalazłam! – Ona nie nuci.

Ona grucha. Boże. Stara spróbowała odebrać Verze sukienkę, ale to się nie udało. Dłonie były białe, trzy paznokcie złamane. – Zadzwonimy po doktora? – szepnęła Boletta. – Doktor na pewno jest dzisiaj gdzie indziej. Jak myślisz, to miesięczna słabość? – Aż tyle krwi nie ma! Stara zerknęła na nią przelotnie. ? Nie b?d? tego taka pewna. Krwi mamy a??nadto.

Usłyszały, że woda w kuchni się gotuje, i kiedy Boletta poszła po garnek, Stara wyjęła ocet, kamforę, ciereczki, jodynę i bandaż. Ostro nie uniosły Verę, rozwiązały troczki fartucha na plecach i miękko położyły ją z powrotem, zdjęły jej buty i pończochy, rozpięły bluzkę, lecz kiedy jeszcze raz spróbowały odebrać jej sukienkę, okazało się to rękawiczkami niemożliwe jak wcześniej. Musiały użyć siły, odginały palec po palcu, ale nawet teraz się to nie udało. W końcu Stara przyniosła nożyczki i przecięła całą garderobę, od brzegu spodnicy, przez zakrwawioną sukienkę, aż do dekoltu i wzdłuż obydwu rękawów. Vera od czasu do czasu otwierała oczy, jak gdyby chciała stwierdzić, gdzie jest, albo zobaczyć, co z nią robi. Za każdym razem trwało to zaledwie krótką chwilę i zaraz, nie przestając gruchać, znów zapadała się w świszący niebieski cień. Stara i Boletta zsunęły z niej ubranie i zobaczyły, że bieliznę tę ma zakrwawioną. Rozebrały ją do naga, a Vera już się nie opierała. Boletta zapłakała jeszcze bardziej, widząc czerk w takim stanie, Vera w wielkim żółku przyśabym świetle yrandola wydawała się niemal przezroczysta, a jej ręce wciśniętego siły chwytają, palce zaciskają się w twarde piści, jak gdyby cała czas trzymała niebieską sukienkę, której nigdy nie zdjęła w ożywiła na nią przelotnie. – Nie bądź tego taka pewna. Krwi mamy aż nadto.

Usłyszały, że woda w kuchni się gotuje, i kiedy Boletta poszła po garnek, Stara wyjęła ocet, kamforę, ściereczki, jodynę i bandażę. Ostrożnie uniosły Verę, rozwiązały troczki fartucha na plecach i miękko położyły ją z powrotem, zdjęły jej buty i pończochy, rozpięły bluzkę, lecz kiedy jeszcze raz spróbowały odebrać jej sukienkę, okazało się to równie niemożliwe jak wcześniej. Musiały użyć siły, odginać palec po palcu, ale nawet teraz się to nie udało. W końcu Stara przyniosła nożyczki i przecięła całą garderobę, od brzegu spódnicy, poprzez zakrwawioną sukienkę, aż do dekoltu i wzdłuż obydwu rękawów. Vera od czasu do czasu otwierała oczy, jak gdyby chciała stwierdzić, gdzie jest, albo zobaczyć, co z nią robią. Za każdym razem trwało to zaledwie krótką chwilę i zaraz, nie przestając gruchać, znów zapadała się w swój niebieski cień. Stara i Boletta zsunęły z niej ubranie i zobaczyły, że bieliznę też ma zakrwawioną. Rozebrały ją do naga, a Vera już się nie opierała. Boletta zapłakała jeszcze bardziej, widząc córkę w takim stanie, Vera

w wielkim łóżku przy słabym świetle żyrandola wydawała się niemal przezroczysta, a jej ręce wciąż czegoś się chwyciły, palce zaciskały się w twarde pięści, jak gdyby cały czas trzymała niebieską sukienkę, której nigdy nie zdążyła włożyć.

Potem umyły Verę gąbką, pumeksem i szczotką, najdelikatniejszymi mydlami, wytarły ją największymi ręcznikami, zmieniły pościel, przyłożyły na policzek tłusty okład, na pierś ściereczkę zwilżoną octem, a na wszelki wypadek dały jej trzy warstwy podkładów.

Napoiły ją gorącą herbatą i ubrały w chińską nocną koszulę Starej. Vera już nie nuciła.

Vera spała bezszelestnie, nawet ręce wreszcie się rozluźniły i uspokoiły wśród jedwabiu.

Wtedy Stara przyniosła butelkę malagi i dwa kieliszki. Usiadła przy Boletcie. – Uczcimy pokój w domu – szepnęła. Tak też będzie dobrze. Wypiły w milczeniu przy łóżku Very. Wciąż słyszały odgłosy radości dobiegające od Majorstuen po Jessenløkken, od Tørtberg po Bislet, Sankthanshaugen i Blåsen. Od czasu do czasu ktoś strzelał i gdzieś w oknach pękały szyby. Ale Vera nie obudziła się ze snu.

Stara nalała jeszcze raz. Boletta natychmiast opróżniła kieliszek. – Nigdy nie powinnam była pozwolić, żeby szła tam sama – mruknęła. – O co ci chodzi? Powinnam była iść z nią.

Stara pochyliła się bliżej, siwe włosy opadły jej na twarz. Odgarnęła je powolnym ruchem. – Chyba nikogo innego tam nie było? Razem z nią? Boletta pokręciła głową. – Razem z nią? Co masz na myśli? – Doskonale wiesz, co mam na myśli. Boletta była bliska krzyku, ale się powstrzymała. – Była sama – powiedziała cicho. – Ale ktoś mógł tam być, zanim przysłaś? Boletta przelotnie zerknęła na matkę. – Jutro idziemy do fryzjera – oświadczyła nagle. – Wszystkie trzy. Stara prychnęła: – O, mów za siebie. Wy sobie możecie iść do fryzjera. Ja nie. Boletta westchnęła. – Masz za długie włosy. Ale możesz dalej wyglądać jak żebraczka, skoro właśnie tego chcesz. Stara trochę się zezłościła. – Nie będę się sztafirować dla pokoju. – W dodatku liniejesz jak kot! – Vera może mi ułożyć włosy. Kiedy król Haakon wróci do domu!

Stuknięcie w szybę znów je przestraszyło. Były płochliwe i kruche. Ktoś na zewnątrz rzucał kamieniami w ich szybę. Stara odstawiła kieliszek na nocny stolik, podeszła do okna i uchyliła je. To byli tylko chłopcy z podwórka. W dziurki guzików mieli zatknięte kwiaty, a w dłoniach norweskie flagi. Byli aroganccy, zuchwali i nietykalni. Wołali Verę.

Stara już ostrzegawczo uniosła rękę. – Vera nie czuje się najlepiej – powiedziała.

W dodatku walcie nie w tę szybę. Chyba że chcecie, żebym to ja z wami poszła.

Chłopcy na dole roześmiali się i pobiegli dalej, do innych okien, do innych dziewcząt.

W wielu miejscach między domami po drugiej stronie ulicy płonęły ogniska, ogniska z rolet używanych do zaciemnienia, ludzie przynosili je i rzucali w płomień, czarny dym wzbijał się ku chłodnemu niebu i zamierał niczym ustawione w szeregu kolumny, a zapach, mdły, niemal słodki odór, mieszał się z ciężkim aromatem kwitnących bzów.

W wieczornym słońcu asfalt zdawał się żarzyć, jak gdyby całe miasto wykuto z miękkiej miedzi. A wzdłuż Kirkeveien maszerował batalion młodych mężczyzn w sportowych strojach, mieli strzelby na ramionach i śpiewali. Stara pomyślała: wojna jest cicha. Pokój to hałas.

Zamknęła okno i z powrotem usiadła na łóżku. – To moja druga wojna światowa – westchnęła. I musi być ostatnia. Trzy razy odstukała w ramę łóżka. Boletta zmieniła okład na piersi Very i delikatnie uniosła nocną koszulę, ale podkłady wciąż jeszcze były białe i suche. – Nie rozumiem, jak ona mogła się tak uderzyć – szepnęła Stara. – Musiała się przewrócić – powiedziała prędko Boletta. – Tak. Pewnie masz rację. Przewróciła się.

Boletta nachyliła się bardziej, ledwie starczało jej głosu. – Myślisz, że mógł tam być ktoś jeszcze? – Stara długo wachała butelkę, odwracając wzrok. A kto niby? Mówiłaś przecież, że była sama.

Tak rozmawiały, cicho i nerwowo, powtarzając w kółko to samo, nasza prababka z naszą babką, każda ze swoim kieliszkiem malagi, a ja wyobrażam sobie, że nigdy nie zdołały całkiem wywietrzyć aromatu tego ciemnego słodkiego mocnego wina, i kiedy wiele lat później pozwalano mi się tam położyć, ponieważ przyśnił mi się zły sen albo po prostu udawałem, że jestem chory, zawsze oddychałem najgłębiej, jak mogłem, i zaraz szumiało mi w głowie, malaga była wspomnieniem krążącym mi we krwi, śniłem pijane sny, tak lubiłem te marzenia senne, które przeze mnie przepływały. Ale teraz leżała tam Vera, nasza matka, wśród octu i jedwabiu, a na zewnątrz trwał pokój. Niekiedy przylapuje się na rozmyślaniu o tym, co by się stało, gdyby przemówiła, gdyby opowiedziała, co się wydarzyło w suszarni na strychu, o gwałcie. Nasza historia potoczyłaby się wtedy inaczej.

Może nigdy by się nie zaczęła; zboczyłaby na inne tory, o których nigdy niczego się nie dowiemy. Milczenie Very to początek naszej historii, bo wszystkie historie muszą zaczynać się od milczenia.

Boletta zwilżyła jej wargi wodą. – Mała Vero – szepnęła. Ktoś cię skrzywdził? Ale Vera nie odpowiedziała, odwróciła się tylko w inną stronę, więc Boletta spojrzała na Starą. – Nie pojmuję, skąd bierze się cała ta krew – szepnęła. Ona nigdy tak nie krwawiła.

Takie drobne ciało! Stara siedziała zgięta, obejmując dłońmi pusty kieliszek. – Kiedy się dowiedziałam, że Wilhelm wyjeżdża na Grenlandię, krwawiłam przez dwie doby bez przerwy. Boletta westchnęła. – Wiem o tym, mamu. Stara uśmiechnęła się nagle, jak gdyby przypomniała sobie o czymś, co na moment poszło w niepamięć. – A potem on przyszedł do mnie w nocy tuż przed wyjazdem i zatrzymał krew. Był czarodziejem, Boletto.

Vera przez sen obróciła się powoli, zdjęły jej okład z policzka. Zobaczyły, że opuchlizna zesza. Vera wyglądała już prawie zwyczajnie. Stara delikatnie rozczesła jej włosy drewnianym grzebieniem. – Masz rację – powiedziała Boletta. Po prostu było już dla niej za dużo. Tyle się wydarzyło. Nie wytrzymała. – I mała Rakel, która przepadła – szepnęła Stara. Pomyśl tylko, jak Vera za nią tęskni. – Ona jeszcze może wrócić – powiedziała Boletta prędko. – Nie. Nie wierz w to. Nie mów tak. Niech w tym domu już się więcej na nikogo nie czeka.

A ja nie opowiedziałem jeszcze o Rakel, ponieważ jej historia zaczyna się wcześniej i już zdążyła się skończyć: najlepsza przyjaciółka matki, czarna Rakel, nie żyje, leży martwa w masowym grobie w Ravensbrück i nikt nigdy jej nie odnajdzie ani nie rozpozna, objęło ją incognito śmierci, zniszczyli ją rzeczowi kaci, pedantyczni mordercy, którzy co dzień rano przed wyjściem do biura unicestwień całują żonę i dzieci. Mała Rakel, piętnastolatka z narożnego mieszkania przy Jonas Reins gate, zagrożenie dla Trzeciej Rzeszy. Przyszli po nią i po jej rodziców w październiku 1942 roku, ale że byli miłośnikami i wielkoduszni, pozwolili jej pobiec w deszczu przez podwórze do matki, żeby się pożegnać. – Niedługo wrócę – powiedziała Rakel. Nie bój się, Vero. Niedługo wrócę.

Dwie dziewczyny, dwie przyjaciółki, w środku wojny, jedną z nich jest nasza matka, drugą – jej najlepsza przyjaciółka, która ma wyjechać. Jak dużo wiedzą? Ile wie ona? Po nosie Rakel spływa kropla deszczu, Vera wyciera ją i obie się śmieją, przez moment wygląda to jak zupełnie zwyczajne pożegnanie. Rakel ubrana jest w brązowy płaszcz odziedziczony po matce, za duży na nią, a na rękach ma szare włóczkowe rękawiczki, których nie zdążyła zdjąć. Ma mało czasu. Czekają na nią, rodzice i policja. Wyjeżdża daleko. Statek nazywa się „Donau”. Obejmują się i Vera w myślach powtarza słowa, ona niedługo wróci, przecież tak powiedziała, nie bój się. – Uważaj na siebie – szepcze Rakel.

I pozdrów Bolettę i Starą. – Wyszły szukać ziemniaków. – Vera uśmiecha się i znów obie się śmieją. Nagle jednak Rakel ją puszcza, zdejmuje rękawiczkę z prawej ręki, ze środkowego palca ściąga pierścionek i daje go Verze. – Pożyczam ci go na czas do mojego powrotu. – Naprawdę? Ale Rakel równie prędko zmienia decyzję. – Nie, daję ci go! – Ja go nie chcę – mówi Vera szybko. – Ale ja ci go daję! – Nie – uparcie powtarza Vera, prawie ze złością. Nie chcę go. Rakel bierze przyjaciółkę za rękę i wsuwa jej pierścionek na palec. – Możesz przynajmniej go dla mnie przypilnować! Potem Rakel całuje ją w policzek i biegnie, bo ma mało czasu, wybiera się w daleką podróż i nie może się spóźnić. A Vera stoi w kuchni i żałuje, że Rakel dała jej pierścionek. Słyszy prędkie kroki w dół po schodach, małe brązowe buciki na stopniach, Rakel już nigdy nie wróci.

Pamiętam coś, co mówiła matka, powtarzała to często: *Ciągle jeszcze słyszę te kroki, którymi wychodzi z mojego życia.* Przyjąłem te słowa za swoje. I czasami sobie myślę, że Rakel stoi na skraju tej historii albo w najdalszej głębi milczenia matki i przygląda się nam, ze smutkiem i wyrozumiałością.

Stara zakorkowała butelkę. – Uważasz więc, że wyglądam jak żebrak – powiedziała.

Boletta zawięła zniszczone ubrania w papier, obwiązała je sznurkiem i schowała na samym dnie szafy. – Mówię tylko, że wszystkie trzy możemy iść do fryzjera – westchnęła. – Powiedziałas, że wyglądam jak żebrak. Jak żebraczka! – Możemy iść same z Verą. Skoro ty nie chcesz. – Tak, tak, idźcie sobie do fryzjera i wystafirujcie się dla uczczenia pokoju.

Zbliżała się noc, a Stara jeszcze nie zdążyła się ubrać. Siedziała przy łóżku w wyblakłej halce i czerwonych kapciach, a ja chciałbym wiedzieć dokładnie, co sobie myślała. Czy myślała, że oto spadło na nie kolejne nieszczęście? Boletta stanęła za nią i obiema rękami podniosła do góry długie siwe włosy. – Nie wyglądasz jak żebraczka. Wyglądasz jak zła czarownica. Stara się roześmiała. – Jutro Vera na pewno znów będzie się dobrze czuła.

Może zechce pójść z czarownicą na spacer?

Próbowały się uspokajać wiarą, że to krew miesięczna buchnęła z Very w suszarni na strychu z tak niezwykłą siłą w ten niezwykły dzień, 8 maja 1945 roku, że aż ją przewróciła. – Tak czy owak zadzwonię po doktora – szepnęła Boletta. – Doktor ma z całą pewnością inne sprawy na głowie – powtórzyła Stara, równie cicho. Przeżegnała się pospiesznie, trzy razy. Boletta opuściła włosy matki na jej zgięte plecy i obeszła ją naokoło. – Coś ty zrobiła? – Co zrobiłam? O co ci chodzi? – Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Nie udawaj. – Jestem śpiąca – powiedziała Stara ze złością i chciała wyjść.

Boletta ją przytrzymała. – Przeżegnałeś się. Widziałam. Stara przyciągnęła rękę do siebie. – No tak. Przeżegnałam się! Stara czarownica się przeżegnała! Czy to ma jakieś znaczenie? – Sądziłam, że zerwałeś z Bogiem i nie chcesz z nim więcej rozmawiać. – Co?

– Stara znów się przeżegnała. – Bóg i ja od dawna już ze sobą nie rozmawiamy. Ale od czasu do czasu daję mu jakiś mały znak. Tak żeby nie czuł się samotny. A teraz chcę iść spać!

Poszła do jadalni i tam zasnęła na otomanie, a Boletta położyła się przy Verze, obejmując ją jednym ramieniem, w ciągu tych pięciu lat często tak razem leżały, a niekiedy, po przyjeździe z piwnicy, po alarmach lotniczych i eksplozjach, kładły się we trzy. Czasami, gdy tak czekały na nadejście nocy, snu i pokoju, Stara odczytywała na głos fragmenty listu Wilhelma, a Vera zawsze płakała, kiedy Stara zbliżała się do końca, do tego ostatniego zdania, które Wilhelm, ojciec Boletty, napisał, zanim przepadł w krainie lodów i śniegów.

Boletta długo leżała, nie śpiąc. Myślała o Starej, która się przeżegnała, która tego wieczoru uznała za stosowne konwersować z Bogiem na migi. Boletta zadrżała, roztrzęsła się tak, że musiała podnieść do góry obie ręce, żeby nie obudzić Very. Czy Boletta zaniepokoiła się nagłą pobożnością Starej, tak jak Vera, kiedy Rakeł dała jej pierścionek?

Ach, wszystkie te nasze czyny, które obracają się przeciwko nam, nasze działania opaczne do zamierzeń, pociecha, która zmienia się w ból, nagrody, które zmieniają się w kary, modlitwa, która staje się przekleństwem. Z ulic wciąż dobiegały śmiechy i okrzyki. Był pokój. Komisarz Rzeszy Terboven zaciągnął zwłoki Rediessa do bunkra w Skaugum i poprosił dowódcę warty o podpalenie lontu wielkiego pojemnika z materiałem wybuchowym. Powiadano, że Terboven przez moment żałował, ale nie swoich postępów, tylko ostatniej decyzji: lontu spalającego się na kamiennej posadzce. Próbował zgasić żar, ale się nie udało, był zbyt pijany i nikt nie zwrócił uwagi na gwałtowną eksplozję, od której nagle ptaki zerwały się w okolicznych lasach. Wojna się skończyła. Po raz pierwszy Boletta się bała.

Musiała jednak mimo wszystko zasnąć, ale tego nie pamiętała. Gdy się przebudziła gwałtownie, wycieńczona, Very przy niej nie było. Dzień zdążył wstać. Boletta usiadła na łóżku. Ale Very nie było. Zostało po niej puste miejsce w łóżku. Minęła już siódma.

Boletta miała iść do pracy. Była tylko środa, zwyczajna środa w maju. W jadalni ktoś rozmawiał. Pobiegła tam. Stara zasnęła przy włączonym radiu. *Tu mówi Norweskie Radio.*

Najprawdziwsze radio. Boletta je wyłączyła i w ciszy, która zapadła, usłyszała coś innego, to samo nucenie, to gruchanie, tylko teraz jeszcze głębsze, niemal jak gulgotanie.

Dźwięk dochodził z łazienki i przenikał do szpiku kości. Obudziła Starą i zaciągnęła ją na korytarz. Drzwi do łazienki zostały zamknięte na klucz. Vera była w środku.

Boletta zastukała. – Vera? Możesz otworzyć, Vero? Nucenie zamarło, jak westchnienie.

Znów zapadła całkowita cisza. Momentami jednak słycać było kapanie wody i odgłos tarcia, taki jak Boletta słyszała na strychu w suszarni, tylko twardszy, jakby but tarł o słomiankę. – Przyjdiesz, Vero? Co ty robisz? Stara nachyliła się i zajrzała przez dziurkę od klucza. Poczula lekki powiew, przeciąg na oku. – Nic nie widzę. Klucz siedzi w zamku.

Boletta nagle szarpnęła za klamkę i krzyknęła: – Vera! Otwieraj! Koniec tych żartów!

Słyszysz? Otwórz! Stara musiała się włączyć i ją powstrzymać. – Opanuj się, bo rozwalisz całą kamienicę! Boletta puściła klamkę, zasłoniła ręką usta i szepnęła przez palce: – Co my zrobimy? – Po pierwsze, nie krzycz. To najgorsze, co może być. Boletta zaśmiała się krótko. – Ach tak. Słyszysz więc teraz na tyle dobrze, że ci to przeszkadza? – Nie twoja sprawa. – Może pokój przetkał ci uszy, co? Ale na to Stara nie miała nic do powiedzenia.

Wyciągnęła natomiast szpilkę do włosów, wsunęła ją do dziurki od klucza i zaczęła nią kręcić i obracać, a usłyszała, że wielki klucz upadł na podłogę w azience. Boletta natychmiast spróbowała pchnąć drzwi, lecz były tak samo zamknięte jak przedtem. Stara znów zajrzała do dziurki. Widzisz coś teraz? szepnęła Boletta. Wydaje mi się, że ona siedzi w wannie. Widz jedno ramię. Teraz Boletta również musiała się pochylić i zajrzeć przez dziurkę. Poczowała zimny powiew na oku i zawsze, odkąd pamiętam, wamnie w powiew obwiniała, kiedy to jedno oko czerwieniało jej, puchło i zaczynało zawiązać, jakby było samotne i z tego powodu pękło.

Boletta też zobaczyła, ramię. Very, nagie ramię. Very nad krawędzią wanny, dłoń, chude palce i ciękie pierścionek Rakel. Sprowadźmy dozorcę! On wyważy drzwi!

Boletta już szła do kuchni, ale Stara zdecydowanie zatrzymała cęrkę. Pedel jest w tej chwili na pewno zajęty innymi rzeczami powiedziałaby. Ale kto musi otworzyć te drzwi! Chcesz może, żeby ten ciekawski idiota zobaczył je w takim stanie? Nag?

Boletta się rozpakowała. No to co ja mam robić? Masz do niego mówić. Mów do swojej cęrki! Boletta nabrała tchu i z powrotem podeszła do drzwi. Vera! Wyjdiesz niedługo?

Ale ona nie chciała odpowiedzieć. Czekała. Słyszała jedynie powolny odgłos przelewającej się wody. I nagle Boletta zwróciła uwagę na zegar w przedpokoju, na drgnienia sekund, jak gdyby przesunęła się nad nią cień wskazówek. Musz i do pracy, Vero! Musz się wyszykować, żeby się nie spóźnić! Stara zapała jękami. Do pracy?

W?taki dzie?? ? My?lisz, ?e?ludzie do?siebie nie dzwoni?, chocia?
nasta? pok??j? ? W?a?nie tak, uwa?am, ?e?nie maj? do?tego ani g?owy,
ani czasu! Boletta odepchn??a Star? na?bok. ? Vero, kochanie. Wiesz,
co?mog?yby?my jutro zrobi?? Jak b?d? mia?a wolne? Pomy?la?am,
?e?p?jdziemy do?fryzjerki na?Adamstuen. Teraz Stara odsun??a Bolett?.
? Do?fryzjerki na?Adamstuen! Co?za bzdura! ? Ciiicho! ? My?lisz,
?e?fryzjerka ma?czas, ?eby otworzy? zak?ad? Na?pewno nie. ? Przecie?
tak tylko powiedzia?am! ? Tak tylko powiedzia?a?!?a ni? kręci?c
i obraca?c, az us?lyszaly, ze wielki klucz upad? na pod?og? w ?azienice.
Boletta natychmiast spr?bowała pchn?c drzwi, lecz byly tak samo
zamkni?te jak przedtem. Stara zn?w zajrza?a do dziurki. – Widzisz co?
teraz? – szepn?ła Boletta. – Wydaje mi si?e, ze ona siedzi w wannie.
Widz?e jedno rami?e. Teraz Boletta r?wnie? musiała si?e pochyli?c i zajrze?c
przez dziurk?. Poczula zimny powiew na oku i zawsze, odkad pamietam,
w?asnie ?w powiew obwiniała, kiedy to jedno oko czerwienialo jej,
puch?o i zaczynalo ?zawic?, jakby bylo samotne i z tego powodu plakalo.

Boletta te? to zobaczy?a, rami?e Very, nagie rami?e Very nad
kraw?edzi?a wanny, d?o?n, chude palce i ci?e?ki pier?cionek Rakel. –
Sprowadzmy dozorc?e! On wywa?y drzwi!

Boletta ju? sz?a do kuchni, ale Stara zdecydowanie zatrzyma?a c?ork?.
– Pedel jest w tej chwili na pewno zaj?ty innymi rzeczami –
powiedzia?a. – Ale kto? musi otworzy?c te drzwi! – Chcesz mo?e, zeby
ten ciekawski idiota zobaczy? j?a w takim stanie? Nag??

Boletta si?e rozplakala. – No to co ja mam robi?c? – Masz do niej
m?owic?. M?ow do swojej c?orki! Boletta nabra?a tchu i z powrotem
podesz?a do drzwi. – Vera? Wyjdiesz nied?lugo?

Ale ona nie chcia?a odpowiedzie?c. Czeka?y. S?lyszaly jedynie
powolny odg?os przelewaj?cej si?e wody. I nagle Boletta zwr?oci?a uwag?e
na zegar w przedpok?oju, na drgnienia sekund, jak gdyby przesun?a? si?e
nad ni?a cie?n wskaz?ówek. – Musz?e i?c do pracy, Vero! Musz?e si?e
wyszyk?owac?, zeby si?e nie sp?oznic! Stara z?apala j?a za r?ek?. – Do pracy?

W taki dzień? – Myślisz, że ludzie do siebie nie dzwonią, chociaż nastał pokój? – Właśnie tak, uważam, że nie mają do tego ani głowy, ani czasu! Boletta odepchnęła Starą na bok. – Vero, kochanie. Wiesz, co mogłybyśmy jutro zrobić? Jak będę miała wolne? Pomyślałam, że pójdziemy do fryzjerki na Adamstuen. Teraz Stara odsunęła Boletę. – Do fryzjerki na Adamstuen! Co za bzdura! – Ciiicho! – Myślisz, że fryzjerka ma czas, żeby otworzyć zakład? Na pewno nie. – Przecież tak tylko powiedziałam! – Tak tylko powiedziałas!

Wczoraj przez cały dzień nie mówiłaś o niczym innym tylko o fryzjerze! – Wcale nie. – Powiedziałaś, że wyglądam jak żebraczka. Ja tego nie zapomnę! – Powiedziałam, że wyglądasz jak stara czarownica!

Wtedy Vera w łazience znów zaczęła nucić, tak cicho i wolno, że ledwie było słyhać.

Boletta wzdrygnęła się i musiała się oprzeć o matkę. – Tak się boję – szepnęła. – Żeby tylko nie zrobiła sobie żadnej krzywdy. – Krzywdy? Co ty wygadujesz? – Ja już nie wiem, co mówię. – No tak, niedługo żadna z nas już nie będzie wiedziała. Stara obróciła się do drzwi i zastukała mocno, trzy razy. – Teraz moja kolej, Vero. A jeśli zaraz nie wyjdiesz, źle się to dla mnie skończy. Ale Vera ani nie odpowiedziała, ani nie otworzyła. Vera tylko nuciła i nuciła. Stara jeszcze trzy razy zastukała w drzwi z taką samą siłą. – Nie chcesz chyba, żeby twoja stara babka musiała kucać nad zlewem, co? Nasłuchiwały obydwie, twarz przy twarzy, blisko swoich oddechów, a w środku nagle znów zapadła cisza. Vera przestała nucić i nie słychać było nawet wody. I właśnie wtedy Stara wzięła rozbieg. Nie bardzo było jak go wziąć, ale podbiegła do drzwi, wysuwając bark. Nic z tego nie przyszło, spróbowała więc jeszcze raz i jeszcze, zginała kark, unosiła barki, pochylała głowę, przypominała byka, tak, Stara zmieniła się w byka, jak gdyby narastała w niej nieubłagana siła, to działały mięśnie żalu, rzucała się na drzwi, aż wreszcie puściły z wielkim trzaskiem, o mały włos nie upadła na podłogę, ale Boletta ją przytrzymała i obie stanęły w progu, wpatrzone w to, co je przeraziło, przeraziło, lecz jednocześnie przyniosło ulgę i radość, wdzięczne, bo Vera żyje.

Siedzi w wannie, jedno ramię zwisa poza zaokrąglonym brzegiem, a w wodzie, w ciemnej wodzie, pływa szczotka, to szczotka z kuchni do szorowania podłogi, Vera nie zwraca na nie uwagi albo nie chce ich widzieć, wpatruje się w coś innego, tak samo jak na strychu, oczy ma nienaturalnie duże, przejrzyste i prawie czarne, a skóra na piersiach, ramionach, szyi i twarzy jest w plamy, w pasy, jak gdyby Vera próbowała ją z siebie zmyć, zedrzeć szczotką. Chude ciało drży.

Boletta uklękała przy wannie. – Kochana moja, Vero, co ty zrobiłaś? Woda lekko przelała się przez wierzch, szara, letnia. Vera nie odpowiedziała. – To już minęło, Vero. Już się skończyło. Nie ma się już czego bać. Stara przysiadła w kącie na koszu z brudną bielizną, roztarła bark i westchnęła. Boletta delikatnie pogładziła ręką ramię córki. – Rakel na pewno wkrótce wróci do domu. Chyba nie chcesz się akurat teraz rozchorować?

Dostaniesz zapalenia płuc, jak będziesz tu leżała. Stara westchnęła jeszcze głębiej. – Wyciągnij korek – powiedziała tylko. Dość już gadania. Vera przyciągnęła rękę do siebie.

Boletta próbowała ją przytrzymać, ale ręka była zbyt chuda i śliska, wyślizgnęła się spomiędzy palców. – Powiedz coś! – zawołała Boletta. Odezwij się do mnie!

Ale Vera pozostała w swoim milczeniu i jedyne, co mogła robić, to nucić. Wargi miała niemal sine, drżały, a ona gruchała. Stara wstała, podniosła ręce do góry i złożyła je w zaciśniętą pięść nad głową. – Wyciągnij wreszcie ten przekłety korek, na miłość boską!

Czy może ja mam to zrobić? Boletta włożyła rękę do wody. Wtedy Vera uderzyła. Vera uderzyła ją prosto w twarz szczotką do podłogi, a Boletta zaczęła krzyczeć tak, że musiała zasłonić sobie uszy. A ci z Kirkeveien i Jacob Aalls gate, którzy żyją dostatecznie długo, żeby jeszcze pamiętać tamte dni, mówią, że nigdy nie zapomną tego krzyku, o którym opowiadano sobie przez lata, od którego tynk się posypał, żyrandole się zatrzęsły i pospadały dachówki, a niektórzy pomyśleli, że wojna znów się zaczęła. Nie chodziło wcale o to, że uderzenie było aż takie bolesne, Boletta krzyczała przede wszystkim dlatego, że się przestraszyła, była pewna, że teraz już wszystkie oszalały, wojna odebrała im ostatnie resztki rozumu, Vera uderzyła rodzoną matkę, siedziała w wannie ze szczotką do podłogi i uderzyła nią rodzoną matkę w twarz. Stara musiała użyć siły, żeby uspokoić Bolettę, a gdy wreszcie jej się to udało, kiedy obie klęczały na zimnych kamiennych płytkach, ciężko dysząc, Vera zaczęła szorować sobie kark, tarła twardą sztywną szczotką, jak gdyby akurat w tym miejscu, właśnie na karku, miała jakąś plamę, której nie udało jej się pozbyć. – Nie wytrzymam tego dłużej. – Boletta się rozplakała.

W tej samej chwili rozległ się dzwonek do drzwi kuchennych. Vera na moment, ale tylko na moment przestała się szorować, może sądziła, że to Rakel, że Rakel nareszcie wróciła do domu i zadzwoniła do kuchennych drzwi, ponieważ chciała, żeby Vera wyszła, może tak właśnie pomyślała, przez mgnienie oka pomiędzy dwiema sekundami, ale zaraz znów zaczęła się trzeć, jeszcze mocniej, nachyliła głowę i kręgi szyjne uwypukliły się jak napięty łuk rozpalonych kul. – Kto to może być? – szepnęła Boletta. Stara nachyliła się nad krawędzią wanny i pozwoliła dłoni unosić się na wodzie, pięć pomarszczonych wykrzywionych palców w ciemnej wodzie, delikatnie wokół ciała Very. Roztrzęsa się jeszcze bardziej. – Dobrze, już dobrze, dziecko. Jesteś już dostatecznie czysta. Dzwonek odezwał się jeszcze raz. Stara wyciągnęła rękę z wody. – Co za diabeł! Że też nie mogą zostawić nas w spokoju! Prawda, Vero? I Vera odwróciła się do nich, mogło to wyglądać niemal tak, jakby chciała się poddać, ulec, ulec Boletcie, ulec Starej, lecz mimo wszystko dalej tkwiła wczepiona w milczenie. Stara znów zanurzyła rękę w wodzie i tym razem wyciągnęła korek. – Idę teraz zrzucić kogoś ze schodów – oświadczyła.

Woda wokół Very zaczęła powoli opadać. Boletta nakryła ramiona córki ręcznikiem, Vera się nie opierała. Stara przemaszerowała do kuchni i otworzyła drzwi. To był oczywiście Bang, dozorca kamienicy, zajmujący własne mieszkanie służbowe w najdalszym rogu koło śmietnika, Bang we własnej osobie, obrońca rabatki kwiatowych, strażnik suszącego się prania, wróg dzikich kotów i generał przepisów porządkowych.

Czterdziestodwulatek, kawaler, dawny mistrz trójskoku, niezdolny do walki. Stał w swoim odświętnym garniturze, obszerna czarna marynarka zwisała na kościstym ciele, spodnie były za krótkie, a na wytartych kolanach widniały ślady czyszczenia śliną. Z górnej dziurki w marynarce zwisała kokarda w norweskich barwach, taka wielka, że prawie go przeważała. Bang miał twarz błyszczącą od potu, jak gdyby wbiegł po schodach aż na sam strych, a potem zbiegł z powrotem na dół, okrążył podwórze i wrócił, a może również czoło natarł śliną. Ciekawość biła mu z obojga oczu, uśmiechał się wszystkimi zębami, unosząc miękki kapelusz i kłaniając się. – Ach tak, więc to pan pedel – powiedziała Stara.

Bang wykrzywił usta. – Czy coś się tutaj stało? Za nim, na następnym podeście, stały sąsiadki, uprzejme panie z kuchennych schodów. Wychylały się jedna przez drugą, żeby lepiej zobaczyć: Stara w samej halce, a jest już przecież kwadrans po ósmej, 9 maja, tymczasem ona stoi w samej halce, z włosami opadającymi siwą lawiną na zgarbione ramiona, ta obca kobieta z Danii, która mówi mniej więcej tak, jak wygląda, i której nigdy do końca nie potrafiły zrozumieć, chociaż to właśnie ona wkrótce będzie najdłużej mieszkać w kamienicy, w mieszkaniu na rogu Kirkeveien i Gørbitzgate, w którym aż po dzień dzisiejszy nigdy nie było żadnego mężczyzny. – Czy coś się stało? – przedrzeźnia Stara. A co się miało stać? Dozorca Bang oparł się o futrynę. – Przecież słyszałem krzyk.

Wszyscy tutaj słyszeli krzyk. Sąsiadki pokiwały głowami i podeszły o stopień bliżej, owszem, one też to słyszały, jakiś okropny krzyk. Stara się uśmiechnęła. – To tylko ja oparzyłam się o kuchenkę. Chciała już zamknąć drzwi na dobre, lecz Bang stał z jednym butem wysuniętym za daleko w przód. Wpatrywał się w jej mokrą rękę. – Jest pani pewna, że wszystko w porządku? – Jestem tego najzupełniej pewna i bardzo dziękuję za troskę.

Bang nie poddawał się łatwo. – A tak przy okazji, jak się miewa Vera? Jacyś chłopcy mówili, że jest chora? – Co pan mówi? Dozorca znów się uśmiechnął. – Mówili, że pani tak powiedziała. Że Vera jest chora. Stara popatrzyła na jego but, wykrzywiony, sznurówka nie sięgała do wszystkich dziurek. – Jak pan zaraz nie przesunie tej stopy, będzie pan następną krzyczącą osobą w kamienicy. Bang prędko zrobił krok w tył, ale przez cały czas nie spuszczał z niej oczu. – Chciałem tylko spytać, proszę pani. Tyle się dzieje w tych dniach. – Wiem. Ale z rewizjami już chyba koniec?

Stara jeszcze raz usiłowała zamknąć drzwi, ale dozorca Bang nachylił się do środka i więcej tego dnia już się nie uśmiechał. – Wydaje mi się, że zapomnieliście czegoś na schodach. Pogrzebał w kieszeniach marynarki i w końcu podał jej garść klamerki. – Trzeba uważać na takie rzeczy. Można się o nie potknąć. I życzę zdrowia, z tą ręką. I Verze też. Bang, kulejąc, przeszedł do sąsiadek, które natychmiast otoczyły go wianuszkami.

Stara zamknęła drzwi na klucz, schowała klamerki do szuflady i czym prędzej wróciła do łazienki. Vera siedziała w pustej wannie z ręcznikiem zarzuconym na ramiona, obejmowała się rękami, a głowę spuściła na chude kolana. Boletta delikatnie głaskała ją po plecach, Vera jej na to pozwoliła. Razem zanosły ją z powrotem do sypialni. Ułożyły ją tam wśród pledów i kołder, w jedwabiu i maściach, a Vera w ciepłym świetle zaraz zasnęła. – Widziałam podkłady w koszu z brudną bielizną – szepnęła Boletta. Ona już więcej nie krwawiła. – To dobrze. Nie będziemy musiały ściągać tu doktora. Wyszły do jadalni, żeby nie budzić Very. Kurz wisiał cicho nad meblami i wzdłuż ścian, na abażurach i obrazach.

Okna miały smugi sadzy i brudu. Trzeba się wkrótce zabrać do wiosennych porządków. – Kto to był? – spytała Boletta. – Ten pedel idiota. – Nie nazywaj go pedlem, mamu. On się nazywa Bang. Dozorca Bang. Stara wyglądała przez okno. – Co mówiłaś? – On się nazywa Bang! Stara zaśmiała się krótko i cicho. – Pedel miał w dziurce od guzika całą flagę. A co on robił podczas wojny? Sprzątał na strychu po Żydach. – Ciiicho! – zawołała Boletta. – Nie uciszaj mnie! Mówię to, co chcę. – Czego chciał? – Oddać klamerki. Te, które rozsypałaś na schodach. – Mówił coś? – Czy coś mówił? A co miałby mówić? – Może coś widział? – Ten człowiek jest zbyt ciekawy na to, żeby coś zobaczyć. Stara usiadła na otomanie i westchnęła. Jest dopiero dziesiąta rano, a ja już mam za sobą ciężki dzień.

Znów jestem śpiąca. – Nie mogłabyś się położyć przy Verze? – Dobrze. Będę jej pilnować. Ty idź do pracy. A jak po drodze zobaczysz gdzieś butelkę malagi, to przynieś ją do domu.

Stara obróciła się plecami i już spała. Boletta poszła szykować się do łazienki. Nie było już gorącej wody, ale spryskała się perfumami, które oszczędzała już dostatecznie długo.

Przynajmniej nie będzie brzydko pachnieć, kiedy spóźni się do Telegrafu pierwszego dnia po wojnie.

Zajrzała do Very. Vera spała i akurat teraz, w tym świetle, przypominała dziecko, którym kiedyś była, jeszcze nie tak dawno temu.

Stara usłyszała trzaśnięcie drzwi i szybkie kroki zbiegające po schodach. Złożyła wtedy ręce i odmówiła krótką modlitwę, niemal zawstydzona, bo czyż Bóg, jeśli istnieje gdzieś wśród nas albo w nas, w mocy myśli i słów, już i tak nie jest dostatecznie zajęty porządkowaniem spraw? *Strzeż Very* – wyszeptwała. *I strzeż Boletty. Za to mną nie musisz się już dłużej przejmować.* Potem znów trochę przysnęła, nie zamykając oczu, tak jak często leżała nocami, odkąd Wilhelm nie wrócił z zimna, z krainy wśród lodów i śniegów.

Ludzie, którzy wciąż czekają, co najwyżej tak potrafią spać.

(telegraf)

Osiemnaście kobiet siedzi jedna przy drugiej w centrali na piętrze Telegrafu, a dziewiętnasta z nich w chwili, gdy jest już godzina za siedemnaście dziesiąta, jeszcze nie przyszła. Krzesło numer osiem od prawej nie jest zajęte, a Boletta pospieszenie przemierza niskie, łukowato sklepione pomieszczenie i ledwie odwiesza płaszcz przy biurku kierowniczkii, nim zajmie miejsce, ponieważ widzi pannę Stang.

Kierowniczka we własnej osobie, ta, która jest tu najdłużej, i przez to ma najbardziej zeszywniały kark i najczęściej cierpi na ból głowy, notuje starannie w dzienniku, patrząc przy tym surowo na Boletę, która włącza i zakłada słuchawki z mikrofonem. Inne kobiety na moment odwracają się do niej i uśmiechają z rezygnacją. Dzisiaj i tak panuje chaos.

Dzisiaj sieć jest przeciążona. Dzisiaj trzeba się tylko starać wybrnąć z tego najlepiej, jak się da, bo teraz to tych dziewiętnaście kobiet i kierowniczką rządzą Norwegią. Wysyłają sygnały wzdłuż szlaków przez góry, po kablach pod miastami, docierają do domów i mieszkań, do właściwych aparatów, które nagle dzwonią, a ktoś może podnieść słuchawkę i usłyszeć głos, za którym być może tęsknił, głos kogoś, kogo być może kocha, kogoś, kto ma coś ważnego i pięknego do powiedzenia. One łączą wszystkie te głosy w rozmowy, wiążą kraj nitkami słów, powodzą fal dźwiękowych, otwierają linie elektrycznego zachwytu, dyrygują mową i decydują o tym, kto się przedrze. Jakiś rybak z Nyksund chce rozmawiać z córką, która jest pomocą domową na Gabelsgate. Kobieta z Tønsberg żąda, by połączono ją z pokojem 204 w Bristolu. Dziewczyna z Hamar szuka narzeczonego i z płaczem prosi o numer do gestapo na Victoria Terrasse i do aresztu na Møllergata 19 oraz do wszystkich szpitali w mieście. Ktoś chce nawet zadzwonić do obozu w Grini, a pewien nauczyciel z Drammen poszukuje kolegi z Vadsø, ale Finnmark jest odcięte, Finnmark wciąż pozostaje bez kontaktu, to nie ma końca, jest kolejka na liniach ze Sztokholmu, Kopenhagi, Londynu, kable się żarzą, przekaźniki płoną, a czasami linie się krzyżują i na ten sam numer łączy się kilka rozmów. Ale to nic nie szkodzi, dzisiaj i tak panuje chaos, prawdziwy chaos, zaczął się pokój i tych dziewiętnaście kobiet z Bolettą jako numer osiem od prawej to norweski gabinet cieni, widziałem je raz i pamiętam ten obraz z niezwykłą wyrazistością i głębią, ponieważ było to tego dnia, kiedy jednocześnie umarli Stara i król Haakon. Miałem siedem lat, matka zabrała mnie ze szkoły i wzięła ze sobą do Telegrafu, żeby powiedzieć Boletcie, że Stara zginęła w wypadku samochodowym, a Fred leży w Szpitalu Ullevål, nie został ranny, ale jest w szoku i nie może mówić. Weszliśmy najpierw do olbrzymiego holu dla interesantów, zobaczyłem obraz, zajmujący prawie całą ścianę w głębi pomieszczenia, a potem poszliśmy prosto na piętro, do Centrali, matka stanęła w drzwiach,

trzymała mnie za rękę, nie mogliśmy dostrzec Boletty wśród kobiet, które tam siedziały, wszystkie ubrane na czarno i szczupłe, a mnie się wydawało, że one już wiedzą, że Stara nie żyje, dlatego są takie ciemne i chude, ale one przecież nie mogły tego wiedzieć, tylko matka i ja wiedzieliśmy, że Starą potrafił samochód przy Parku Zamkowym, kiedy szła razem z Fredem zobaczyć zwisające z zamkowego balkonu żałobne kiry, w dniu śmierci króla Haakona, 21 września 1957 roku.

Ale potem pomyślałem jednak, że one tutaj wiedzą wszystko, bo przecież słyszą wszystko, co się mówi, a teraz przekazują dalej, że Stara nie żyje, cały czas mówiły w małe ustniki, miały ciężkie nauszniki, w których trzeszczało, a gdy tak rozglądaliśmy się za Boletą, podeszła do nas jeszcze starsza kobieta, również ubrana na czarno, z całkiem przekrzywioną szyją, jak gdyby głowę miała przykręconą ukośnie na stałe, i spytała, bez szczególnej życzliwości, o co chodzi, a matka odparła, że szukamy Jebesen, pełne imię i nazwisko zabrzmiało tak dziwnie, szukamy Boletty Jebesen, może ma przerwę? Ta pani uśmiechnęła się wtedy tak samo krzywo, jak wisiała jej głowa, i poinformowała, że Boletta Jebesen już nie pracuje tutaj, w samej Centrali, przeniesiono ją do sutereny, już wiele lat temu, czyżby matka o tym nie wiedziała? Matka poczerwieniała i zrobiła dziwną minę, znów zeszliśmy do holu dla interesantów i matka poprosiła, żebym tam zaczekał, gdy ona pójdzie po Boletę. Stałem w wysokim holu i przyglądałem się freskowi Alfa Rolfsena. Na obrazie byli sami mężczyźni, mężczyźni wycinający szerokie drogi w lasach, mężczyźni ciągnący kable przez góry i pod miastami, mężczyźni ustawiający słupy telegraficzne, ciężki i pełen precyzji balet pracy, kojarzący mi się ze świętymi rytuałami, takimi jak wznoszenie krzyża. Później kobiety błogosławiły ich pracę poprzez jej dopełnienie, łączenie sygnałów elektrycznych w przekaźnikach i wyprawianie głosów w podróż. Być może dodaję coś do własnych wspomnień, łączę zapiski z pamięcią, wskrzeszam obrazy w wielkiej rozmowie z samym sobą, ale mimo wszystko to powiem: miałem siedem lat i wydawało mi się, że znalazłem się w kościele. Tego dnia, kiedy Stara i król Haakon umarli, a Fred zaniemówił, budynek Telegrafu na Tollbugaten zmienił się w katedrę, a chude kobiety w czerni stały się duszami w żałobie, wzywającymi Boga przez swoje aparaty i druty. Pamiętam, że matki długo nie było. Wreszcie wróciła, sama, wciąż jeszcze nie znalazła Boletty. – Pewnie poszła coś zjeść – szepnęła. Zeszliśmy do stołówki.

Matka trzymała mnie za rękę tak mocno, że niemal sprawiała mi ból. Boletta była w stołówce, ale nie jadła. Stała za ladą i nalewała kawę. A kiedy jechaliśmy taksówką do Szpitala Ullevål, Boletta stwierdziła, że zbiegi okoliczności nie znają żadnych granic.

Stara przybyła do Norwegii jednocześnie z królem Haakonem, w 1905 roku, a teraz tego samego dnia rozstali się z życiem. – Bóg jest najwidoczniej w nastroju do żartów – stwierdziła Boletta i zapaliła papierosa. Matka nagle się rozzłościła i zaczęła ją uciszać, ale do tego wszystkiego jeszcze daleko, i ja także powinienem rozumieć, że raczej nie należy przerywać opowieści, ileż to razy się zdarzało, że kierownicy literaccy skreślali *flashback*, w ogóle go nie czytając, ponieważ *flashback* oznacza kłopoty, *flashforward* jest jeszcze gorszy, to śmiecie montażowni, i gdy delikatnie poszukiwałem swoich poetycznych rzutów oka w przeszłość i wspomnień wyprzedzających akcję, słyszałem, że to, czego nie potrafisz opowiedzieć w czystym czasie teraźniejszym, w twardej walucie, to ogólnie rzecz biorąc, bzdury i ambicje artystyczne, które mogą sobie zabrać do domu i zrobić z nich film krótkometrażowy.

Robię więc cięcie i wracam do Boletty, która pierwszego dnia po wojnie siedzi jako numer osiem od prawej i rozprawdza sygnały elektryczne po kraju, myśląc o Verze. Ale nie ma czasu na myślenie o czymś innym niż rozmowy, które trzeba łączyć, bo cały naród mówi, każdy obywatel, jeden przez drugiego, Boletta jest więc w czasie terażniejszym, Boletta jest we współczesności, już czuje nadciągający ból głowy, pełzający wzdłuż karku i rozpościerający się ku czołu, jak wiatr magnetyczny, nazywają go morsem, ten ból, który pojawia się prędzej czy później, od którego wiele z nich cierpi na bezsenność i ma zszarpane nerwy, a kiedy wreszcie dochodzi pierwsza, Boletta razem z połową zmiany może zejść do pokoju socjalnego na przerwę, tam rozmowy trwają dalej, akustyczne rozmowy, ale Boletta milczy, myśli o Verze, o krwi Very, pozostałe kobiety nie zwracają na to uwagi, bo przywykły do milczenia Boletty, nigdy nie stała się jedną z nich, z tych kobiet, z kobiet telegrafu, podobnych do siebie bez względu na wiek, pochodzących z dużych mieszkań na Thomas Heftyes gate, Bygdøy allé czy Parkveien, być może najmłodszych z rodzeństwa, które nagle stały się zbędne. Spędziły co najmniej jedno lato we Francji i jeśli ośmieliły się zejść na plażę w Nicei albo Biarritz, używały parasoli słonecznych, a skóra najstarszych jest jeszcze bledsza od całego tego octu, którym się smarowały. Są do siebie podobne. Są niezamężne, bezdzietne, ledwie tknięte męskimi rękami? dwoma obcymi językami, lecz wargi mają zacięte. Boletta również jest niezamężna, ale ma córki, a to nie tylko niezwykłe, lecz wprost niesłychane, do samego dna tego skandalu nigdy nie dojdą? i dawno już zrezygnowały z próby dowiedzenia się czegoś więcej, niż wiedzą, a nie wiedzą prawie nic. Wiedzą jedynie, że Boletta Jebsen mieszka razem ze swoją matką, Dunką, która podobno za młodych lat była gwiazdą niemych filmów, i z córką, Verą, urodzoną w 1925 roku, i chociaż te chude kobiety z Telegrafu co niedziela chodzą do kościoła, czytają Biblię i są bogobojne a po każdym najdrobniejszy szczegół, to nie

bardzo wierzę w dzieworództwo i inne cuda. Teraz z zapałem jedna przez drugą rozprawiają o dzielnym ojcu, wypuszczanych z Grini, o braciach, których uważyła już za zmarłych, lecz którzy nagle wyłonili się z kryjówki w gębi lasów w Nordmarka, bo dzisiaj wszystkie mają w rodzinie bohatera i do opowiedzenia co najmniej jedną historię, nagle jednak milknęły, jak gdyby ktoś je wywołał, a Boletta zauważyła, że wszystkie patrzyły na drzwi, odwraca się i widzi, że w drzwiach stoi panna Stang. Kierowniczką nie pochwała paplania na przerwach, najchętniej wprowadziaby zakaz rozmowy i obowiązek dochowania milczenia. Przekrzywiona głośno kiwa głową. Pan naczelnik Egede chce pani mówić. Teraz. Panna Stang wraca do swojego stolika, zanim Boletta ma czas spytać, o co chodzi, żadna z pozostałych kobiet z początku tego nic nie mówi, może myśli, nie bez dozy triumfu i radości z cudzego nieszczęścia, że oto naczelnik ma wreszcie dosyć, oto głośno piętroszki na dźwięk, oto Boletta Jepsen spłonie się po raz ostatni, a dosyć jest młodych kobiet o nienagannej przeszłości, które chętnie rozpoczną pracę w Telegrafii. Być może tak wolała myśleć, w gębi duszy, ale powiedzenie tego na głos nie przyszłoby jej do głowy, bo w konfrontacji z Egedem, może czyżby za drzwiami piętroszki, stanowi jeden oddział, pomagają Boletcie poprawić włosy, położyć jej puder i kieszonkowe lustro, a jej wzrusza cała ta troska, otrzymuje słowa pociechy na drodze do gabinetu Egedego, a kiedy ktoś puka do jego drzwi, ona również myśli tak samo, lecz bez triumfu: dzisiaj spłonie się po raz ostatni i wróci do domu na łodzi. Słyszy, jak Egede mówi: proszę wejść, i ledwie sobie uwiadamia, że otwiera drzwi i zamyka je za sobą. Naczelnik siedzi w skrzynnym fotelu za ogromnym biurkiem, Boletta wolno podchodzi i przygląda się na dyganiu, dyga jak uczennica przed dyrektorem szkoły, wciąga się na to, a w ciekawość dobrze jej robi. Żne, bezdzietne, ledwie tknięte męską ręką i mówią dwoma obcymi językami, lecz wargi mają zaciśnięte. Boletta również

jest niezamężna, ale ma córkę, a to nie tylko niezwykcyjne, lecz wprost niesłychane, do samego dna tego skandalu nigdy nie zdołały dotrzeć i dawno już zrezygnowały z prób dowiedzenia się czegoś więcej, niż wiedzą, a nie wiedzą prawie nic. Wiedzą jedynie, że Boletta Jebesen mieszka razem ze swoją matką, Dunką, która podobno za młodych lat była gwiazdą niemych filmów, i z córką, Verą, urodzoną w 1925 roku, i chociaż te chude kobiety z Telegrafu co niedziela chodzą do kościoła, czytają Biblię i są bogobojne aż po każdy najdrobniejszy szczegół, to nie bardzo wierzą w dzieworódtwo i inne cuda. Teraz z zapalem jedna przez drugą rozprawiają o dzielnych ojcach, wypuszczanych z Grini, o braciach, których uważały już za zmarłych, lecz którzy nagle wyłonili się z kryjówek w głębi lasów Nordmarka, bo dzisiaj wszystkie mają w rodzinie bohatera i do opowiedzenia co najmniej jedną historię, nagle jednak milkną, jak gdyby ktoś je wyłączył, a Boletta zauważa, że wszystkie patrzą na drzwi, odwraca się i widzi, że w drzwiach stoi panna Stang. Kierowniczką nie pochwała paplania na przerwach, najchętniej wprowadziłaby zakaz rozmów i obowiązek dochowania milczenia. Przekrzywioną głową kiwa na Boletkę. – Pan naczelnik Egede chce z panią mówić. Teraz. Panna Stang wraca do swojego stolika, zanim Boletta ma czas spytać, o co chodzi, żadna z pozostałych kobiet z początku też nic nie mówi, może myślą, nie bez dozy triumfu i radości z cudzego nieszczęścia, że oto naczelnik ma wreszcie dosyć, oto górne piętro zstąpi na dół, oto Boletta Jebesen spóźniła się po raz ostatni, a dosyć jest młodych kobiet o nienagannej przeszłości, które chętnie rozpoczną pracę w Telegrafii. Być może tak właśnie myślą, w głębi duszy, ale powiedzenie tego na głos nie przyszłoby im do głowy, bo w konfrontacji z Egedem, mężczyzną za drzwiami piętro wyżej, stanowią jeden oddział, pomagają Boletcie poprawić włosy, pożyczają jej puder i kieszonkowe lusterko, a ją wzrusza cała ta troska, otrzymuje słowa pociechy na długą drogę do gabinetu Egedego, a kiedy w końcu puka do jego drzwi, ona również myśli tak samo, lecz bez triumfu: dzisiaj

spóźniłam się po raz ostatni i wkrótce będziemy na łodzi. Słyszysz, jak Egede mówi: „proszę wejść”, i ledwie sobie uświadamia, że otwiera drzwi i zamyka je za sobą. Naczelnik siedzi w skórzanym fotelu za ogromnym biurkiem, Boletta wolno podchodzi i przyłapuje się na dyganiu, dyga jak uczennica przed dyrektorem szkoły, wścieka się na to, a wściekłość dobrze jej robi.

Naczelnik Egede uśmiecha się i wskazuje jej krzesło. Boletta dalej stoi i patrzy prosto na niego. Kiedyś może był pięknym mężczyzną. Teraz wyrósł poza własną twarz, nawet wojna światowa nie zrobiła wrażenia na jego podbródkach, przetaczają się po gorsie koszuli niczym fale jasnego tłuszczu, są za cięgie do utrzymania i jego gowa w regularnych odstępach czasu pochyla się w przód. Naczelnik zapala fajkę i wyraża niechęć, nie spieszy. Boletta czeka. Ręce trzyma za plecami i jest teraz gotowa spojrzeć w oczy kadmę. Tak, tak? mowi wreszcie Egede. Dobrze, że to już minęło. Na takie stwierdzenie Boletta się nie odzywa. Dziwi ją jednak, że on tak krzyk jak mysz koło sperki. Nie podoba jej się to. Jej dobra wciekliwość się rozrzedza. Tak, dzięki Bogu? mowi jednak cicho. Dzięki Bogu. Egede odkłada fajkę na popielniczkę i ociera kciuki ust.

To się stanie teraz, myśli Boletta i za plecami zaciska dłońe w pięści. On teraz powie, że dosyć już tego. Aż pani rodzinę wszystko w porządku? pyta naczelnik. Boletta nie wie, co odpowie. Kiwa tylko głową. Egede podnosi na nią wzrok. Pani matka jest aktorką, prawda? Boletta jest coraz bardziej zmieszana. Tak? odpowiada. Była. Bardzo dawno temu. No tak, to musiało być chyba za czasów niemych filmów. Prawdopodobnie powiedział, że skinię za nimi. Naczelnik Egede wstaje, wydobyć się z górnego fotela zajmuje nieco czasu. A pani ma czerk?, prawda? Tak. Mam czerk?. Boletta czuje, że wciekliwość powoli powraca. Jeśli będzie próbowała ją obrazić i upokorzyć, zanim wyrzuci ją z pracy, to niech no tylko próbuj. Ona nie ma się czego wstydzić.

Gotowa jest sypan?? mu?zawarto?ci? tej fajki w?twarz. ? Ile to?ju? ona ma?lat? ? Latem b?dzie mia?a dwadzie?cia. Egede kr?ci g?ow? i?wzdycha. ? To?przykre tak marnowa? m?odo?? na?wojn?. Czy ona ju? sko?czy?a szko??? Boletta jest coraz bardziej zdezorientowana. Nie pojmuje, do?czego on?zmierza, i?to jest chyba najgorsze. Postanawia, ?e?b?dzie odpowiada? uprzejmie, lecz ?e?nie powie wi?cej ni? to?konieczne. ? Sko?czy?a szko?? ?redni?. ? No?prosz?. Egede podchodzi do?okna. Tam staje odwr?cony do?niej plecami i?spogl?da na?miasto. ? Czym pani c?rka zamierza si? teraz zaj??? ? Zdaje si?, ?e?ma ochot? zaj?? si? fotografi?. Egede obraca si? do?Boletty i?nieoczekiwanie si? ?mieje. ? Fotografi?? Czy?by ta?m?oda dama chcia?a zosta? fotografem? Boletta prze?yka ?lin?, musi j??prze?kn??, ?eby w?og?le m?c odpowiedzie?, i?przeklina t??g?r? t?uszczu w?ubraniu, kt?ra pozwala sobie ?mia? si? jej prosto w?twarz, lecz gdy tylko zaczyna m?wi?, s?yszy, ?e?jej g?os zn?w brzmi nie?mia?o i?uprzejmie, jak gdyby przez ca?y czas mia?a za?du?o w?ustach i?powinna si? wstydzi?. ? Chyba przede wszystkim my?li o?znalezieniu pracy w?zak?adzie fotograficznym. Egede macha r?k?, zniecierpliwiony, jak gdyby nagle mia? do?? s?uchania tego, chocia? to?przecie? on?wypytywa? i?dr??y?. Siada ci??ko, a?Boletta milczy, milczy twardo i?gotowa jest ju? nic wi?cej nie powiedzie?. ? Jest pani tu?ju? od?wielu lat ? m?wi naczelnik, nagle zn?w ?yczliwy, niemal przypochlebny. Boletta wypuszcza oddech, nie ma?poj?cia, jak to?wszystko si? sko?czy. Egede zn?w zapala fajk?, tyto? pachnie niezbyt ?wie?o. Boletta ma?ochot? si? odwr?ci?, ale nie rusza si? z?miejsca.

Teraz wreszcie si? to?stanie, my?li. Podci?gn?? j??ju? do?g?ry, najwy?ej jak si? da, i?mo?e teraz z?hukiem upu?ci? j??w g??bin?. ? To?si? ju? nie powt?rzy ? m?wi pr?dko. Egede patrzy na?ni?. Wygi?ta fajka zwisa z?grubych warg. ? Nie powt?rzy si?? Co?ma si? nie powt?rzy?? ? Ju? si? wi?cej nie sp??ni?. Ale dzi? rano wszystkie zegarki ?le chodzi?y.

Egede jeszcze przez chwilę się jej przygląda, a potem znów zaczyna się rozmawiać. Odkłada fajkę na dobre, a jego miękki przechodzi w kaszel. Kiedy odzyskuje głos, pyta: „Nie sędzi pani, że mogłaby się pani przenieść? o kilka piętér w górę?” Boletta nie wierzy w asnym uszom i na moment musi się wychylić w przód. Czuje, że robi agodną, idiotyczną minę. „Na czwarte piętro? szepcze. Niech pani nie będzie taka wystraszona. Boletta robi krok do tyłu i usiuję się gnę usta. „Ma pan na myśli obsługę telegrafu? Właśnie to mam na myśli. Potrzeba nam tam więcej operatorów. Potrzebujemy do wiadczonych kobiet. A pani przecie ma do wiadczzenie. Egede nagle odwraca wzrok, jak gdyby przyapa się na powiedzeniu czego niestosownego. Boletta cieszy się, że go takim widzi. To jej daje coś w rodzaju przewagi. Może się opanować. Powinna się cieszyć, być wdzieczna. Może przejść na górę, tam gdzie nie ma biału gowy. Umiecha się. „Mam do wiadczzenie tylko w pracy w centrali. Egede ledwie wzrusza ciężkimi ramionami. „Organizujemy kursy.

„Atwo się nauczyć. Komu takiemu jak pani. Stuka fajkę, opróżniając ją z popiołu. Boletta widzi, że ustnik jest pogryziony prawie na kawałki. Ten człowiek również ma swoje udręki, jakie sumienie. Nagle robi jej się gośćal. Egede ma wyraźną czarną obwódkę pod paznokciem środkowego palca, którym ubija tytoń w fajce. Biały pył otacza rzadkie suche włosy jak gloria, gdy z rzadka wykona jakiś gwałtowny ruch. Właśnie tak dzieje się teraz.

Egede podrywa się szybko, jak gdyby zauważyła zmianę w spojrzeniu Boletty i pragnęła odzyskać przewagę. „Co więc pani powie na mój propozycję? Boletta wie, co powie, ale się wstrzymuje, pragnie napawać się tym jak najdłużej, a kiedy Egede dostrzega jej wahanie, siada ciężko, jakby zapomniana, że właśnie wstała, i opiera się okcie na stole. „Tak, tak. Niech się pani zastanowi. Oczywiście nie ma po piechu. Ale do jesieni wszystkie stanowiska muszą być obsadzone.

Egede spuszcza wzrok i zaczyna przekładać jakie papiery, Boletta kiwa więc głową, tym razem nie dyga, ledwie się kłania i wycofuje się tyłem w stronę drzwi. Lecz w chwili gdy kładzie rękę na złoconej klamce gabinetu naczelnika w budynku nazywanym powszechnie Pałacem Telegraficznym, który ja w myśli ochrzciłem Telegraficzną Katedrą, Egede podnosi rękę i znów spogląda na Bolettę. Ona puszcza klamkę i staje w milczeniu, czując, jak narasta w niej niepokój, jak gdyby to było za dobre, aby mogło być prawdziwe, bo przecież nauczyciel, że wiele jest rzeczy zbyt dobrych, by mogły być prawdziwe, i te triumfy trwają krócej niż rozczarowanie. W zakładach fotograficznych chyba nie ma zbyt wielu wolnych miejsc? pyta Egede. Nie? odpowiada szeptem Boletta. Egede znów wstaje i podchodzi do niej. Jeżeli pani przyjmie mój?askaw? propozycję, to w centrali zamiejscowej będzie wolne miejsce, prawda? Tak? odpowiada Boletta. Tak przecież? będzie. Wobec tego dobrze byłoby złożyć, gdyby pani córka mogła je zobaczyć. Może jeśli pani w tym czasie przyuczy?. Boletta patrzy wprost na niego z uśmiechem. To?bardzo? yczliwe z pana strony. Ale raczej nic z tego nie będzie. W oczach Egedego pojawia się jakaś mroczność i zmieszanie. Nic nie będzie? Co?pani przez to rozumie? Jak już mówiłam, moja córka ma inne plany. Ale i tak dziękuję. Życie do utrzymania i jego głowa w regularnych odstępach czasu pochyła się w przód. Naczelnik zapala fajkę i wyraźnie się nie spieszy. Boletta czeka. Ręce trzyma za plecami i jest teraz gotowa spojrzeć w oczy każdemu. – Tak, tak – mówi wreszcie Egede. Dobrze, że to już minęło. Na takie stwierdzenie Boletta się nie odzywa. Dziwi ją jednak, że on tak krąży jak mysz koło sperki. Nie podoba jej się to. Jej dobra wściekłość się rozrzedza. – Tak, dzięki Bogu – mówi jednak cicho. Dzięki Bogu. Egede odkłada fajkę na popielniczkę i ociera kąciki ust.

To się stanie teraz, myśli Boletta i za plecami zaciska dłoń w pięści. On teraz powie, że dosyć już tego. – A z pani rodziną wszystko w porządku? – pyta naczelnik. Boletta nie wie, co odpowiedzieć. Kiwa tylko głową. Egede podnosi na nią wzrok. – Pani matka jest aktorką, prawda? Boletta jest coraz bardziej zmieszana. – Tak – odpowiada. Była. Bardzo dawno temu. – No tak, to musiało być chyba za czasów niemych filmów. Prawdę powiedziawszy, tęsknię za nimi. Naczelnik Egede wstaje, wydobycie się z głębokiego fotela zajmuje nieco czasu. – A pani ma córkę, prawda? – Tak. Mam córkę. – Boletta czuje, że wściekłość powoli powraca. Jeśli będzie próbował ją obrazić i upokorzyć, zanim wyrzuci ją z pracy, to niech no tylko próbuje. Ona nie ma się czego wstydzić.

Gotowa jest sypnąć mu zawartością tej fajki w twarz. – Ile to już ona ma lat? – Latem będzie miała dwadzieścia. Egede kręci głową i wzdycha. – To przykre tak marnować młodość na wojnę. Czy ona już skończyła szkołę? Boletta jest coraz bardziej zdezorientowana. Nie pojmuje, do czego on zmierza, i to jest chyba najgorsze. Postanawia, że będzie odpowiadać uprzejmie, lecz że nie powie więcej niż to konieczne. – Skończyła szkołę średnią. – No proszę. Egede podchodzi do okna. Tam staje odwrócony do niej plecami i spogląda na miasto. – Czym pani córka zamierza się teraz zająć? – Zdaje się, że ma ochotę zająć się fotografią. Egede obraca się do Boletty i nieoczekiwanie się śmieje. – Fotografią? Czyżby ta młoda dama chciała zostać fotografem? Boletta przełyka ślinę, musi ją przełknąć, żeby w ogóle móc odpowiedzieć, i przeklina tę górę tłuszczu w ubraniu, która pozwala sobie śmiać się jej prosto w twarz, lecz gdy tylko zaczyna mówić, słyszy, że jej głos znów brzmi nieśmiało i uprzejmie, jak gdyby przez cały czas miała za dużo w ustach i powinna się wstydzić. – Chyba przede wszystkim myśli o znalezieniu pracy w zakładzie fotograficznym. Egede macha ręką, zniecierpliwiony, jak gdyby nagle miał dość słuchania tego, chociaż to przecież on wypytywał i drążył. Siada ciężko, a Boletta milczy, milczy twardo i gotowa jest już nic więcej nie powiedzieć. – Jest pani tu już od wielu lat – mówi naczelnik, nagle znów życzliwy, niemal przypochlebny. Boletta wypuszcza oddech, nie ma pojęcia, jak to wszystko się skończy. Egede znów zapala fajkę, tytuń pachnie niezbyt świeżo. Boletta ma ochotę się odwrócić, ale nie rusza się z miejsca.

Teraz wreszcie się to stanie, myśli. Podciągnął ją już do góry, najwyżej jak się da, i może teraz z hukiem upuścić ją w głębinę. ? To?si? ju? nie powt?rzy ? m?wi pr?dko. Egede patrzy na?ni?. Wygi?ta fajka zwisa z?grubych warg. ? Nie powt?rzy si?? Co?ma si? nie powt?rzy?? ? Ju? si? wi?cej nie sp??ni?. Ale dzi? rano wszystkie zegarki ?le chodzi?y.

Egede jeszcze przez chwilę się jej przygląda, a potem znów zaczyna się rozmawiać. Odkłada fajkę na dobre, a jego miękki przechodzi w kaszel. Kiedy odzyskuje głos, pyta: „Nie sędzi pani, że mogłaby się pani przenieść? o kilka piętér w górę?” Boletta nie wierzy w asnym uszom i na moment musi się wychylić w przód. Czuje, że robi agodną, idiotyczną minę. „Na czwarte piętro? szepcze. „Niech pani nie będzie taka wystraszona. Boletta robi krok do tyłu i usi uje cięgną usta. „Ma pan na myśli obsługę telegrafu? „Ważnie to mam na myśli. Potrzeba nam tam więcej operatorów. Potrzebujemy do wiadczonych kobiet. A pani przecie ma do wiadczzenie. Egede nagle odwraca wzrok, jak gdyby przyapa się na powiedzeniu czego niestosownego. Boletta cieszy się, że go takim widzi. To jej daje coś w rodzaju przewagi. Może się opanować. Powinna się cieszyć, być wdzieczna. Może przejść na górę, tam gdzie nie ma biału gowy. Umiecha się. „Mam do wiadczzenie tylko w pracy w centrali. Egede ledwie wzrusza ciękami ramionami. „Organizujemy kursy.

„Atwo się nauczyć. Komu takiemu jak pani. Stuka fajkę, opróżniając je z popiołu. Boletta widzi, że ustnik jest pogryziony prawie na kawałki. Ten człowiek również ma swoje udręki, jakie sumienie. Nagle robi jej się gożał. Egede ma wyraźną czarną obwódkę pod paznokciem środkowego palca, którym ubija tytoń w fajce. Biały pył otacza rzadkie suche włosy jak gloria, gdy z rzadka wykona jakiś gwałtowny ruch. „Ważnie tak dzieje się teraz.

Egede podrywa się szybko, jak gdyby zauważył zmianę w spojrzeniu Boletty i pragnę odzyskać przewagę. „Co wić pani powie na mój propozycję? Boletta wie, co powie, ale się wstrzymuje, pragnie napawać się tym jak najdłużej, a kiedy Egede dostrzega jej wahanie, siada cięko, jakby zapomnia, że ważnie wstać, i opiera okcie na stole. „Tak, tak. Niech się pani zastanowi. Oczywiście nie ma po piechu. Ale do jesieni wszystkie stanowiska muszą być obsadzone.

Egede spuszcza wzrok i zaczyna przekładać jakie papiery, Boletta kiwa więc głową, tym razem nie dyga, ledwie się kłania i wycofuje się tyłem w stronę drzwi. Lecz w chwili gdy kładzie rękę na złoconej klamce gabinetu naczelnika w budynku nazywanym powszechnie Pałacem Telegraficznym, który ja w myśli ochrzciłem Telegraficzną Katedrą, Egede podnosi rękę i znów spogląda na Bolettę. Ona puszcza klamkę i staje w milczeniu, czując, jak narasta w niej niepokój, jak gdyby to było za dobre, aby mogło być prawdziwe, bo przecież nauczyciel, że wiele jest rzeczy zbyt dobrych, by mogły być prawdziwe, i że triumfy trwają krócej niż rozczarowanie. Wszak w archiwach fotograficznych chyba nie ma zbyt wielu wolnych miejsc? pyta Egede. Nie? odpowiada szeptem Boletta. Egede znów wstaje i podchodzi do niej. Jeżeli pani przyjmie mój skądś propozycję, to w centrali zamiejscowej będzie wolne miejsce, prawda? Tak? odpowiada Boletta. Tak przecież będzie. Wobec tego dobrze byłoby złożyć, gdyby pani córka mogła je zobaczyć. Może ją pani w tym czasie przyuczy? Boletta patrzy wprost na niego z uśmiechem. To bardzo życliwe z pana strony. Ale raczej nic z tego nie będzie. W oczach Egedego pojawia się jakaś mroczność i zmieszanie. Nic nie będzie? Co pani przez to rozumie? Jak już mówiłam, moja córka ma inne plany. Ale i tak dziękuję. – To się już nie powtórzy – mówi prędko. Egede patrzy na nią. Wygięta fajka zwisa z grubych warg. – Nie powtórzy się? Co ma się nie powtórzyć? – Już się więcej nie spóźnię. Ale dziś rano wszystkie zegarki źle chodziły.

Egede jeszcze przez chwilę się jej przygląda, a potem znów zaczyna się śmiać. Odkłada fajkę na dobre, a jego śmiech przechodzi w kaszel. Kiedy odzyskuje głos, pyta: – Nie sądzi pani, że mogłaby się pani przenieść o kilka pięter w górę? Boletta nie wierzy własnym uszom i na moment musi się wychylić w przód. Czuje, że robi łagodną, idiotyczną minę. – Na czwarte piętro? – szepcze. – Niech pani nie będzie taka wystraszona. Boletta robi krok do tyłu i usiłuje ściągnąć usta. – Ma pan na myśli obsługę telegrafu? – Właśnie to mam na myśli. Potrzeba nam tam więcej operatorów. Potrzebujemy doświadczonych kobiet. A pani przecież ma doświadczenie. Egede nagle odwraca wzrok, jak gdyby przyłapał się na powiedzeniu czegoś niestosownego. Boletta cieszy się, że go takim widzi. To jej daje coś w rodzaju przewagi. Może się opanować. Powinna się cieszyć, być wdzięczna. Może przejść na górę, tam gdzie nie ma bólu głowy. Uśmiecha się. – Mam doświadczenie tylko w pracy w centrali. Egede ledwie wzrusza ciężkimi ramionami. – Organizujemy kursy.

Łatwo się nauczyć. Komuś takiemu jak pani. Stuka fajką, opróżniając ją z popiołu. Boletta widzi, że ustnik jest pogryziony prawie na kawałki. Ten człowiek również ma swoje udreki, jakieś sumienie. Nagle robi jej się go żal. Egede ma wyraźną czarną obwódkę pod paznokciem środkowego palca, którym ubija tytoń w fajce. Biały pył otacza rzadkie suche włosy jak gloria, gdy z rzadka wykona jakiś gwałtowny ruch. Właśnie tak dzieje się teraz.

Egede podrywa się szybko, jak gdyby zauważył zmianę w spojrzeniu Boletty i pragnął odzyskać przewagę. – Co więc pani powie na moją propozycję? Boletta wie, co powiedzieć, ale się wstrzymuje, pragnie napawać się tym jak najdłużej, a kiedy Egede dostrzega jej wahanie, siada ciężko, jakby zapomniał, że właśnie wstał, i opiera łokcie na stole. – Tak, tak. Niech się pani zastanowi. Oczywiście nie ma pośpiechu. Ale do jesieni wszystkie stanowiska muszą być obsadzone.

Egede spuszcza wzrok i zaczyna przekładać jakieś papiery, Boletta kiwa więc głową, tym razem nie dyga, ledwie się kłania i wycofuje się tyłem w stronę drzwi. Lecz w chwili gdy kładzie rękę na złoconej klamce gabinetu naczelnika w budynku nazywanym powszechnie Pałacem Telegraficznym, który ja w myśli ochrzciłem Telegraficzną Katedrą, Egede podnosi rękę i znów spogląda na Bolettę. Ona puszcza klamkę i staje w milczeniu, czując, jak narasta w niej niepokój, jak gdyby to było za dobre, aby mogło być prawdziwe, bo życie nauczyło ją, że wiele jest rzeczy zbyt dobrych, by mogły być prawdziwe, i że triumfy trwają krócej niż rozczarowanie. – W zakładach fotograficznych chyba nie ma zbyt wielu wolnych miejsc? – pyta Egede. – Nie – odpowiada szeptem Boletta. Egede znów wstaje i podchodzi do niej. – Jeśli pani przyjmie moją łaskawą propozycję, to w centrali zamiejscowej będzie wolne miejsce, prawda? – Tak – odpowiada Boletta. Tak przecież będzie. – Wobec tego dobrze by się złożyło, gdyby pani córka mogła je zająć. Może ją pani w tym czasie przyuczyć. Boletta patrzy wprost na niego z uśmiechem. – To bardzo życzliwe z pana strony. Ale raczej nic z tego nie będzie. W oczach Egedego pojawia się jakaś mroczność i zmieszanie. – Nic nie będzie? Co pani przez to rozumie? – Jak już mówiłam, moja córka ma inne plany. Ale i tak dziękuję.

Boletta znów chwyta za klamkę i w tej samej chwili czuje jego dłoń na ramieniu.

Odwraca się powoli i widzi wiszące na niej palce, jak gdyby jakiś duży owad wpadł na nią przez pomyłkę. Teraz już to wie. To do tej chwili on zmierzał, aż dotąd. – Dam panu znać jutro – mówi. – Och, nie ma pośpiechu. Niech pani poświęci na to tyle czasu, ile pani potrzeba. Egede opuszcza rękę wzdłuż jej ramienia, czarny paznokieć drapie o materiał sukienki z cichym chrzęstem. – Czy mogę już iść? Naczelnik Egede wyjmuje zegarek, otwiera go i długo przygląda się wskazówkom. Potem go zamyka i wsuwa z powrotem do kieszonki kamizelki. Patrzy na Bolettę, oczu nie ma już ciemnych, tylko szare i obojętne. – Szkoda – mówi. Pani córka na pewno by tutaj pasowała. Bo chyba nie ma zamiaru tak od razu wychodzić za męża? Boletta się śmieje. Śmieje się i zasłania ręką usta. Nie może pojąć, co on takiego wygaduje. – Nie ma? No, może się zdarzyć i tak. Teraz Egede także się śmieje, podbródki mu falują, ale nagle milknie, a głowa jakby zaraz miała opaść na pierś, jak gdyby był bardzo już tym wszystkim zmęczony. – A jak się pani wydaje, kto by zechciał za żonę dziecko z nieprawego łoża? – szepcze. – Co pan powiedział? – Może już pani odejść. Boletta zaciska pięść. – Moja córka jest jak najbardziej prawa!

Potem Boletta słyszy, że drzwi się za nią zamykają. Idzie po wykładanej kafelkami podłodze i słyszy własne kroki, jakby spóźnione, jak gdyby żaden ze zmysłów nie nadążał.

Trzej mężczyźni wychodzą z pokoju kierownictwa, nie zwracają na nią uwagi. Boletta musi mocno trzymać się poręczy, kiedy zaczyna schodzić po schodach. Przemyka się do toalety między piętami, myje ręce, pachną tytoniem, popiołem, a kiedy patrzy w lustro, niemal zdumiewa się, że widzi w nim własną twarz. Czuje mdłości, pije więc trochę zimnej wody, czeka, aż oddech jej się uspokoi, poprawia sukienkę i pokonuje ostatni odcinek do centrali, siada na swoim miejscu, włącza się, w tym czasie wszystkie kobiety patrzą na nią, rozstrojone z ciekawości, co, na miłość boską, robiła tak długo u Egedego?

Mało brakuje, a sama kierowniczką podeszłaby spytać, ale Boletta siedzi wyprostowana, nigdzie nie patrzy i nie napotyka niczych spojrzeń, i nigdy nikomu nie opowie o swojej rozmowie z naczelnikiem Egede. Zamiast tego robi coś, czego jej nie wolno, lecz nie ma już nic więcej do stracenia, tak właśnie myśli, że nie ma już nic do stracenia, podłącza się do swojego własnego numeru, wkłada się do kolejki, włamuje do przemysłnej sieci, a w pogrążonych w ciszy pokojach w mieszkaniu przy Kirkeveien czarny telefon zaczyna dzwonić.

(guzik)

Vera usłyszała to dzwonienie, daleko po drugiej stronie snu i wojny, usłyszała telefon, którego nikt nie odbierał. Podniosła się wolno, zdziwiona, i wyszła do holu, znalazła się tam nagle, nie pamiętała odległości, sekund dzielących ją od łóżka do tego miejsca, jak gdyby została wycięta bezpośrednio z jednego pokoju i wstawiona do innego. Telefon dalej dzwonił, a w jadalni zobaczyła Starą, leżącą na otomanie i obróconą tyłem, jej rozpuszczone włosy na ramionach wyglądały jak wielki siwy kołtun. Czy Vera miała nadzieję, że to dzwoni Rakeł, jej przyjaciółka Żydówka? Gdyby Rakeł wróciła do domu, toby nie dzwoniła, tylko raczej przebiegła przez podwórze i dalej kuchennymi schodami i rzuciłaby się jej na szyję, a Vera opowiedziałaby Rakeł wszystko. Ale może Rakeł była chora, może złamała nogę albo zdarzyło się coś innego, przez co musiała zadzwonić zamiast przyjść. Vera prędko więc podniosła słuchawkę czarnego aparatu, który kolejność cyfr miał odwróconą w taki sposób, że kiedy wsuwało się palec w dziewiątkę, nakręcało i puszczało, żeby sprężyna obróciła tarczę z powrotem na miejsce, przerywając prąd, ale tylko jeden raz, a nie dziewięć, dzięki czemu do centrali wysyłany był tylko jeden impuls, dziewiątka równała się jedynce, ósemka – dwójce, siódemka – trójce, to był odwrócony telefon Oslo, lecz w chwili gdy Vera stanęła ze słuchawką w ręce, jak gdyby szwy czasu puściły, usłyszała tylko jednostajny sygnał, szum z sieci, jak wiatr w elektrycznym lesie, a ona znajdowała się na zewnątrz, poza rozmową i równie prędko odłożyła słuchawkę. Cisza przechodziła z pokoju do pokoju i zostawiała ślady w świetle.

Stara wciąż leżała na otomanie. Dlaczego leżała tam teraz? Dlaczego Vera miała na sobie chińską koszulę Starej? Zegar od towarzystwa ubezpieczeniowego Bien wybił pół godziny.

Vera odwróciła się gwałtownie i wszystko do niej napłynęło, otwierając pamięć niczym ranę. Wybiegła do łazienki, nachyliła się nad umywalką i napiła wody z kranu. Nie śmiała spojrzeć w lustro. Ostrożnie sprawdziła pod koszulą, podkłady były suche, ona była sucha.

Już ją nie bolało. Wydało jej się to dziwne. Powinno boleć. Wolałaby ból, który pomógłby jej zapomnieć. Czuła tylko pragnienie. Na wannie został szeroki rant brudu, jak gdyby woda zaschła i zmieniła się w kurz wzdłuż brzegów. Otworzyła szafkę nad umywalką i poczuła zapach ciężkich perfum Boletty. Była bliska wymiotów. Może Rakel dzwoniła z zagranicy, z jakiegoś dalekiego miejsca i połączenie przerwano, z całą pewnością zadzwoni jeszcze raz, kiedy dotrze do kolejnego telefonu, bliżej, w Danii albo Szwecji, gdzie połączenia są lepsze. Na tę myśl przez moment poczuła się szczęśliwa. Wzięła grzebień leżący na półce Starej. Zamknęła szafkę i mimo wszystko podniosła wzrok: twarz w lustrze. Cień wzdłuż policzka, rana na czole. Przy odrobinie pudru nikt tego nie zauważy. A co się da zauważyć? Coś w oczach? Coś w ustach, gdy je otworzy? Język? Czy on był też tam, w ustach? Vera nie pamiętała. Pamiętała tylko brakujący palec i ptaka na sznurze do bielizny. Poszła do Starej, usiadła na otomanie, delikatnie uniosła siwe włosy i zaczęła je czesać. Zegar w holu zabił dwa razy. Włosy Starej pachniały słodko, ziemią, liśćmi. – Myślałaś, że śpię? – szepnęła. Ale Vera nie odpowiedziała. Dalej tylko czesała.

Wargi zamykały usta. – Ja nigdy nie śpię całkiem, wiesz. Mój sen to tylko inny sposób czekania. Stara westchnęła i leciutko uniosła głowę. – Podoba mi się, że mnie czeszesz, Vero. To mi przypomina morze. Piaszczyste plaże. Przypomina mi, że mam dobre wspomnienia. Potem ja ułożę ci włosy. Wcale nie musimy iść do żadnej fryzjerki, prawda?

Stara nasłuchiwała, ale słyszała tylko palce Very. – Możesz do mnie mówić, moja kochana.

Ja i tak nie słyszę. Słuch mi się popsuł, przecież wiesz. Kiedy tak okropnie huknęło w czterdziestym trzecim. Nie bardzo pamiętam, które to było ucho, ale na drugie jestem tak samo głucha, więc i tak wszystko jedno. Mów więc do mnie, jeśli tylko masz coś do powiedzenia, kochana Vero. Ja nic nie słyszę.

Ale Vera zachowała milczenie. Stara czekała. Zegar w holu znów zaczął bić. Godziny zawróciły. – Nie to nie. Jeśli nie chcesz ze mną rozmawiać, mogę mówić do ciebie. Bo chyba dostatecznie dobrze słyszysz, chociaż milczysz? W każdym razie usłyszałaś, że telefon dzwoni. Stara poczuła mocniejsze pociągnięcie, grzebień utknął w splątanych włosach, Vera szarpnęła nim mocno i szybko. – Tylko mnie nie oskalpuj, moja kochana.

Jak zresztą sądzisz, kto to był? Kto dzwonił? Boletta? Jej nie wolno dzwonić z Telegrafu.

Ale to i tak na pewno ona. I coś jej przerwało. Nie znoszę telefonów. Przez telefon zawsze powie się coś nie tak, kiedy nie można patrzeć tej drugiej osobie w oczy. Bo to oczy się liczą, nie słowa. Jak mogłabym tego nie wiedzieć, Vero? Ja też byłam kiedyś niema, ale to było na filmie. Na ekranie byłam niema i moje oczy mówiły za mnie. Malowałyśmy powieki na zielono, żeby błyszcząły. Mogłam zostać wielką gwiazdą, Vero. Większą niż Greta i Sarah. Mogło tak być! Ale pewnego dnia moje oczy przestały błyszczeć, chociaż użyłam tyle barwnika, że prawie oślepałam.

Stara umilkła. Czowała, że dłonie Very za jej plecami znieruchomiały. – Tak, tak, fryzjerekzko. Czy już ładnie wyglądam, czy też po prostu zmęczyła cię ta gadanina staruszki? Bo mnie zmęczyła. Wszystko, co mówię, już kiedyś słyszałam. Zbyt wiele razy.

Nic nowego już mi nie przychodzi do głowy. Przyniesiesz mi butelkę malagi? Stoi teraz za Johannesem V. Jensenem.

Vera puściła jej włosy i podeszła do biblioteczki w salonie. Stara usiadła. Była bardziej zgarbiona niż zwykle, wkrótce zegnęła się w kółko. Położyła się w czerwonych kapciach i obie jej stopy dalej spały, tak, stopy były jej jedyną częścią, która potrafiła zasnąć.

Usiłowała je rozmasować, ale nie dosięgła, chociaż tak się garbiła. Siedziała więc tylko i czekała, aż palce się obudzą. Grzebień leżał przy poduszce, pełen długich siwych włosów, wyglądał niemal jak martwe zwierzę. Prędko go oczyściła i wrzuciła włosy za otomanę. Poczowała chłód i owinęła się pledem. Słyszała, że Vera wyciąga *Upadek króla i Lodowiec*, wreszcie dziewczyna wróciła z butelką i kieliszkiem, który ostrożnie napełniła i jej podała. Stara uniosła kieliszek pod światło, żeby zobaczyć słońce załamujące się w brunatnym winie i opadające na dno jak mahoniowy kurz. Gdy już się temu przyjrzała, wypła powoli i plecy jej zmiękły jak źdźbło trawy, a małe pomarszczone stopy obudziły się i mało brakowało, żeby odeszły. – Posiedź dziś trochę przy mnie – powiedziała Stara. Mamy dziś dużo czasu. Może zrobimy sobie fotografię wszystkie razem? Jak Boletta wróci do domu? Vera usiadła na otomanie i Stara zaczęła ją czesać.

Włosy, cienkie i miękkie, tak delikatnie przesypywały się między palcami. – Cieszysz się, że znów będziesz chodzić do kina, Vero? Może zabierzesz mnie do Kino-Palæet? Albo do Colosseum? Nie byłam w kinie, odkąd pojawił się dźwięk. Wyobrażasz to sobie? Ostatni film, jaki widziałam, to *Victoria*. Z Luise Ullrich w roli głównej. Była nie najgorsza, ale niestety Niemka. Smutno się zrobiło, kiedy zaczęły mówić. Oczy zniknęły. Oczy i taniec przepadły, wszystko przejęły usta. Wiesz, do czego używali Kino-Palæet przez te wszystkie lata? Do przechowywania kartofli! Ale pewnie wolisz iść do kina z kim innym niż z takim starym szezlongiem jak ja. W dodatku stopy mi zasną.

Stara odetchnęła głębiej i położyła rękę na ramieniu Very. – A tak w ogóle to twoi kawalerowie pytali o ciebie wczoraj. Możesz wybierać z nich powoli, jednego po drugim, Vero. I nie spiesz się. Na miłość boską, tylko się nie spiesz. Mężczyźni to w dużej mierze fałszerze pieniędzy, nie warci nawet papieru, na którym umieszczają swój konterfekt.

Oprócz Wilhelma, rzecz jasna. Ale czasami zabawniej jest powiedzieć „nie” niż „tak”.

Uwierz mi.

Przez Verę przetoczyła się lawina i Stara na moment musiała ją mocno przytrzymać.

Przyłożyła policzek do kościstego barku Very, a dłonią głaskała ją po plecach i wygładzała fałdy jedwabiu. – Tę koszulę dostałam od Wilhelma wkrótce po tym, jak go poznałam.

Wyobrażasz to sobie? Dawać mi koszulę, zanim się pobraliśmy! Czy to dziwne, że co noc zamykałam drzwi na cztery spusty, żeby mieć pewność, że nikt nie zakradnie się do środka? Wcale nie dziwne. Przeczytamy wieczorem jego list, Vero? Możemy zacząć od tego miejsca, kiedy utknęli w lodzie.

Vera pochyliła głowę, a włosy rozdzieliły się, odsłaniając szczupły kark, wygięty w biały łuk. Stara wypila jeszcze kieliszek malagi, zastanawiając się, skąd Vera bierze całe to milczenie. A najbardziej wystraszyło ją to, że je poznała, jak gdyby milczenie było dziedziczne, a teraz dotarło do Very z jeszcze większą mocą. To milczenie w niej krzyczało. – Myślisz, że to Rakel chciała z tobą rozmawiać? – szepnęła Stara. Vera zamknęła oczy. – Nie wierz w to, Vero. Czekanie na próżno to tylko odkładanie życia na później. Ja to wiem. Czekam już tak długo, że jest za późno, by zawrócić. Wciąż czekam, Vero. Wzięłam już wiele zaliczek na śmierć. Głupcy i ludzie sentymentalni mnie podziwiają. Ale ja wiem lepiej. Nadzieja to stara schorowana dama.

Stara znów odwróciła się do Very i wtedy to zobaczyła. Ślad na karku, zadrapanie na skórze, otoczone drobnymi wybroczynami. Ale w momencie gdy to ujrzała i już miała podnieść rękę, rozległ się dzwonek do kuchennych drzwi. Vera się wyprostowała. Włosy opadły. Stara uderzyła ręką w otomanę. – Jeśli to znów ten pedel, to zacisnę mu krawat na szyi raz na zawsze. Nie zdziw się, jak usłyszysz krzyk, Vero!

Stara wyszła na bosaka do kuchni i otworzyła drzwi. Stał za nimi jak wcześniej dozorca Bang, a ogromna kokarda wciąż zwisała mu z kłapy marynarki, on sam jednak był jakoś krzywo umocowany pod kapeluszem, a od jego oddechu farba na ścianach łuszczyła się wielkimi płatami. Pochylił się do przodu, starając się, by ten gest przypominał ukłon. Stara zmrużyła oczy i machnęła na niego ręką, jakby odganiała muchę. – Po co pan przychodzi tym razem? Zginął jeden kamyk ze ścieżki? Głowa pana rozbolała od pokoju?

Dozorca Bang wyciągnął się teraz do góry, ale wzrok miał utkwiony w dole, gdzieś przy bosych stopach Starej. – Chciałem tylko pani powiedzieć, że zapomnieliście kosza z bielizną na strychu. – I co z tego? – Chciałem też powiedzieć, że mogę go paniom przynieść i że nie mam nic przeciwko temu, żeby dostarczyć go aż tutaj. – Za to ja mam coś przeciwko temu, młody człowieku. Dziękuję, to tyle na dzisiaj.

Stara zamknęła mu drzwi przed nosem i zaczekała, dopóki nie usłyszała, że dozorca kulejąc, schodzi ze schodów i głośno mówi do siebie. A kiedy dozorca Bang mówił głośno do siebie, najczęściej dotyczyło to trójskoku i rekordów, które by pobił, gdyby nie kontuzje, zazdrość i zrzędzenia losu; zawsze przy tym bardzo się podniecał. Stara zaraz małymi kroczkami pobiegła do Very i siadła przy niej, przeciągnęła grzebieniem przez suche włosy i uniosła je, znów odsłaniając kark, taki chudy, że mało się przy tym nie rozpląkała. Spróbowała się rozeźmiać. – Mężczyźni bez względu na wszystko stale chodzą w tym samym garniturze. Czy to ślub czy pogrzeb, wojna czy pokój, ciągle mają na sobie ten sam znoszony garnitur. Wszyscy oprócz Wilhelma. On nigdy nie chodził w garniturze.

Opowiadałam ci o ostatniej nocy, kiedy był u mnie? Na pewno, ale i tak ci opowiem.

Wpuściłam go, chociaż wcześniej zamknęłam drzwi na trzy klucze i cztery spusty.

Następnego ranka miał przecież wypłynąć na „s/s Antarctic”. Byłam wtedy w twoim wieku, Vero, i zdarzało mi się krwawić tak mocno, że wydawało mi się, że w końcu od tego umrę, że nie zostanie mi w sercu ani kropla krwi. Tymczasem on do mnie przyszedł, Vero, pokonał wszystkie zamki, a może zapomniałam przekręcić ten ostatni klucz, czy ja wiem? Cicho położył się przy mnie i zatrzymał krew. To był mój pierwszy i ostatni raz z Wilhelmem. Pierwszy i ostatni.

Stara umilkła i puściła włosy Very. Ślad na karku nie był zadrapaniem. Przypominał ukąszenie, sine zagłębienie w skórze, zostawione przez zęby. Poczwała, że nagle ją zmroziło. – Co tam się stało na strychu, moje dziecko? – szepnęła. Ktoś cię skrzywdził?

Vera osunęła się w jej objęcia i płakała bezgłośnie, to była jej jedyna odpowiedź, fala przelewająca się przez ciało, dopóki nie zabrakło łez. Stara poczuła, jak narasta w niej wściekłość, ta wściekłość będąca odwrotną stroną żałoby, której miała już więcej niż dość, a przecież żałobą żyła, to ona dawała jej siłę. To żałoba napędzała jej serce. Teraz miała na dodatek wściekłość. Poglaskała Verę po policzku i pomyślała, że jeśli ktoś, jeśli ktoś naprawdę ją sponiewierał, to ona będzie go ścigać aż do śmierci. – Dobrze, już dobrze – śpiewała. Dobrze już, dobrze. To minie. Większość rzeczy mija. Nawet wojna światowa. Chyba przejdę się na strych i zabiorę naszą bieliznę.

Vera mocno złapała ją za ramię. – To nic strasznego, kochana – powiedziała Stara. Ja się już nie boję ciemności. I pedel przestanie się wreszcie dobijać do drzwi. Ręka Very opadła na kolana. – Może chcesz iść ze mną? Czy nie masz siły? Vera nie ruszyła się z miejsca, nigdzie nie patrzyła, oczy miała niespokojne, drżały. – Nie to nie. Pójdę sama.

Potem możesz pożyczyć sukienkę od Boletty. I nie zapominaj, że mamy zrobić fotografię.

Stara włożyła czerwone kapcie, długi płaszcz na nocną koszulę i kapelusz z szerokim rondem, bo na strychu zawsze był przeciąg, nawet w maju, w południe. A kiedy Vera zobaczyła ją w tym przebraniu, wybuchnęła nagle śmiechem, a musiała przysiąść, aż usta. Stara też się śmiała, tak, pomyślała, śmieję się, moje dziecko, śmieję się ze mnie i wypętnij te pokoje śmiechem. Nocna koszula wystawała spod płaszcza, a kapelusz siedział krzywo, ale nie było czasu na szpilki i szycie.

? Uważasz, że powinnam wziąć ze sobą laskę? Tak, na pewno tak. Moja lasko! Gdzie jesteś?

Zabrała też ze sobą klucz do??azienki, na?wszelki wypadek, i?z mozo?em zacz??a si? wspina? po?niewygodnych schodach. Widzia?a, ?e?na wszystkich pi?trach drzwi s??uchylone, kto? z?pewno?ci? jej si? przygl?da?, lecz tym Stara wcale si? nie przejmowa?a, nie by?a z?tych, co?przemykaj? si? chy?kiem. Raczej mocno wali?a lask? w?balustrad?, ?eby wszyscy wiedzieli, ?e?idzie, a?drzwi, gdy je?mija?a, zamyka?y si? bezszelestnie.

Gdy tylko znalaz?a si? na?strychu, us?ysza?a wiatr, jak gdyby ca?y dom gwizda?. Ruszy?a korytarzem wzd?u? boks?w. Dzieci?cy w?zek wci?? le?a? wywr?cony, polana si? z?niego wysypa?y, zapinka do?nart w?barwach norweskiej flagi, pusta br?zowa butelka, kt?ra lekko si? turla?a. Stara zatrzyma?a si? przy suszarni. Kosz z?bielizn? sta? na??rodku, pod lu?no zwisaj?cymi sznurkami, na?jednym wci?? wisia?a pojedyncza skarpeta z?szarej we?ny.

W?k?cie na?sufitowej belce siedzia? go??b. Stara otworzy?a pokryw? w?dachu d?ugim kijem, kt?ry w?a?nie do?tego s?u?y?, i?trzy raz mocno tupn??a, ale go??b ani drgn??.

Machn??a na?niego dr?giem, to?te? nic nie pomog?o, go??b dalej siedzia?, mo?e zdech?.

Stara zadrzała, zdjęła skarpetę ze sznurka, podniosła kosz, ale prędko go odstawiła. Na cienkiej warstewce kurzu pokrywającej szerokie deski podłogi dostrzegła bowiem liczne ślady stóp, większych niż drobne ślady Very. Zobaczyła też coś jeszcze. Wśród ubrań w koszu leżał guzik, białyszczący guzik, który nie należał do nich. Podniosła go. Z guzika zwisała czarna nitka. Kto go tu zgubił? Kto tu przyszedł i komu oderwano od kurtki guzik. Stara włożyła go do kieszeni pałaszca, przewiesiła łaskę przez ramię, zniosła kosz do mieszkania, a stamtąd natychmiast zadzwoniła do doktora Schultza z Bislet, bywa u nich wcześniej, wiele razy, kiedy Vera zapadała na swoje dziecięce choroby i pakała przez całą dobę bez przerwy, wtedy przychodził doktor Schultz z Bislet i na ogół powtarzał: „wieże powietrze”. Wieże powietrze było bowiem jego najlepszym lekarstwem, posuwał się wręcz do tego, że lasy Nordmarka nazywał wielką apteką, do której można wejść, tak latem, jak zimą, i dostać tyle wieżego powietrza, ile się tylko zapagnie, w dodatku gratis. Właśnie dlatego Stara dzwoniła teraz do niego z gębką niechęci, ale nie wyobrażała sobie, że mogłaby zaprosić jakiego innego lekarza, a kiedy Schultz w końcu odebrał telefon, w jego głosie syczał był alkohol i zniecierpliwienie.

Mogła obiecać jedynie, że postara się wpaść wieczorem, jeżeli nie każe mu się udać w jakieś inne okolice w mieście, walki bowiem wcale się jeszcze nie skończyły, każdy chyba boleśnie zdaje sobie z tego sprawę, zdesperowani Niemcy i inni zdrajcy ojczyzny mogą uderzyć w każdej chwili, już doszło do starcia, w których były ofiary śmiertelne, to ostatnie podrygi wojny, to przegrani wij się po raz ostatni, zanim nastąpiła nagle śmiechem, aż musiała prędko zasłonić ręką usta. Stara też się śmiała, tak, pomyślała, śmieć się, moje dziecko, śmieć się ze mnie i wypełnij te pokoje śmiechem. Nocna koszula wystawała spod płaszcza, a kapelusz siedział krzywo, ale nie było czasu na szpilki i szycie.

– Uważasz, że powinnam wziąć ze sobą laskę? Tak, na pewno tak. Moja lasko! Gdzie jesteś?

Zabrała też ze sobą klucz do łazienki, na wszelki wypadek, i z mozołem zaczęła się wspinać po niewygodnych schodach. Widziała, że na wszystkich piętrach drzwi są uchylone, ktoś z pewnością jej się przyglądał, lecz tym Stara wcale się nie przejmowała, nie była z tych, co przemykają się chyłkiem. Raczej mocno waliła laską w balustradę, żeby wszyscy wiedzieli, że idzie, a drzwi, gdy je mijała, zamykały się bezszelestnie.

Gdy tylko znalazła się na strychu, usłyszała wiatr, jak gdyby cały dom gwizdał. Ruszyła korytarzem wzdłuż boksów. Dziecięcy wózek wciąż leżał wywrócony, polana się z niego wysypały, zapinka do nart w barwach norweskiej flagi, pusta brązowa butelka, która lekko się turlała. Stara zatrzymała się przy suszarni. Kosz z bielizną stał na środku, pod luźno zwisającymi sznurkami, na jednym wciąż wisiała pojedyncza szalik z szarej wełny.

W kącie na sufitowej belce siedział gołąb. Stara otworzyła pokrywę w dachu długim kijem, który właśnie do tego służył, i trzy razy mocno tupnęła, ale gołąb ani drgnął.

Machnęła na niego drągiem, to też nic nie pomogło, gołąb dalej siedział, może zdechł.

Stara zadrżała, zdjęła skarpetę ze sznurka, podniosła kosz, ale prędko go odstawiła. Na cienkiej warstewce kurzu pokrywającej szerokie deski podłogi dostrzegła bowiem liczne ślady stóp, większych niż drobne ślady Very. Zobaczyła też coś jeszcze. Wśród ubrań w koszu leżał guzik, błyszczący guzik, który nie należał do nich. Podniosła go. Z guzika zwisała czarna nitka. Ktoś go tu zgubił. Ktoś tu przyszedł i komuś oderwano od kurtki guzik. Stara włożyła go do kieszeni płaszcza, przewiesiła laskę przez ramię, zniosła kosz do mieszkania, a stamtąd natychmiast zadzwoniła do doktora Schultza z Bislet, bywał już u nich wcześniej, wiele razy, kiedy Vera zapadała na swoje dziecięce choroby i płakała przez całą dobę bez przerwy, wtedy przychodził doktor Schultz z Bislet i na ogół powtarzał: „świeże powietrze”. Świeże powietrze było bowiem jego najlepszym lekarstwem, posuwał się wręcz do tego, że lasy Nordmarka nazywał wielką apteką, do której można wejść, tak latem, jak zimą, i dostać tyle świeżego powietrza, ile się tylko zapagnie, w dodatku gratis. Właśnie dlatego Stara dzwoniła teraz do niego z głęboką niechęcią, ale nie wyobrażała sobie, że mogłaby zaprosić jakiegoś innego lekarza, a kiedy Schultz w końcu odebrał telefon, w jego głosie słychać było alkohol i zniecierpliwienie.

Mógł obiecać jedynie, że postara się wpaść wieczorem, jeśli nie każą mu się udać w jakieś inne okolice w mieście, walki bowiem wcale się jeszcze nie skończyły, każdy chyba boleśnie zdaje sobie z tego sprawę, zdesperowani Niemcy i inni zdrajcy ojczyzny mogą uderzyć w każdej chwili, już doszło do starć, w których były ofiary śmiertelne, to ostatnie podrygi wojny, to przegrani wiją się po raz ostatni, zanim nastąpi *rigor mortis* kłęski. A doktor Schultz z Bislet nie może przecież zawieść w ostatniej chwili, musi być gotów interweniować wśród rannych patriotów, musi pozostać na posterunku. Stara westchnęła i odłożyła słuchawkę, znaleziony guzik schowała do swojej szkatułki na biżuterię w sypialni i poszła do Very. Vera siedziała na otomanie, nie ruszyła się z miejsca.

Stara pomyślała, że przypomina jej teraz ptaka na belce dachowej, i trzy razy stuknęła w futrynę, na wszelki wypadek. – Teraz przygotowujemy suknie – powiedziała. A później będziemy układać pasjansa i pić malagę.

Vera wolno przeszła za nią do kuchni, tam uprasowały sukienki i Vera włożyła tę zieloną, Boletty. Sukienka była na nią za duża, ale Stara zwięzła ją w talii, spinając z każdej strony szpilką, a potem stanęły przed wysokim lustrem w korytarzu. Vera patrzyła w dół. Vera patrzyła w inną stronę. Nie chciała napotkać własnego spojrzenia. Stara objęła ją ramieniem. – Widzisz – powiedziała. Dogoniłaś mnie. Ja zaczęłam już rosnać w dół. Niedługo dosięgnę twarzą ziemi. I stały tak, w odświętnych sukienkach przed lustrem, kiedy do domu wróciła Boletta, blada i wzburzona. Zatrzymała się przy drzwiach i patrzyła na nie zdumiona, przez moment prawie z ulgą. – Ślicznie wyglądasz, Vero – szepnęła. A Vera uniosła brzeg spódnicy i prędko przeszła do jadalni. Boletta spojrzała za nią. – Powiedziała coś? – Musimy umyć okna – oznajmiła Stara. Już niedługo przestaną przepuszczać słońce. Boletta złapała matkę za ramię. – Odezwała się? Powiedziała coś?

Stara zerknęła w lustro. – Mój czas już minął – poskarżyła się. Sama wyglądam jak przebieraniec. Boletta nie mogła już więcej znieść. – Ale przynajmniej możesz przestać mówić jak przebieraniec! Stara westchnęła. – Znow cię boli głowa. Powinnaś się położyć zamiast krzyżeć. Boletta przymknęła oczy i wzięła głęboki oddech. – Możesz odpowiedzieć na moje pytanie? – Przyniosłaś coś dobrego? Mam ochotę na czekoladę mleczną z masłem! Boletta musiała oprzeć się o ścianę. – Co ona powiedziała? Mam to z ciebie wyciągać? Stara znow westchnęła, tym razem jeszcze głębiej. – Nie powiedziała ani słowa, Boletto. Ale uczesała mi włosy, jeśli tego nie widzisz. Poza tym uważam, że powinniśmy wywiesić flagę na balkonie. Chyba jako jedyne nie wywiesiliśmy dzisiaj flagi.

Boletta chciała iść do Very. Ale Stara ją powstrzymała. – Zostaw Verę na chwilę w spokoju. Boletta przystanąła i prędkim ruchem potarła ręką czoło. – Jesteś pewna, że nie powinnyśmy zadzwonić po doktora? – Pst! – szepnęła Stara. Już dzwoniłam do tego idioty.

Doktor Schultz przyszedł, kiedy piły kawę. A gdy doktor Schultz z Bislet nadciągał, zwracano na to uwagę. Czarną torbę niósł w wyciągniętej ręce, miał miękki kapelusz z szerokim rondem, od 1 września do 17 maja, bez względu na pogodę, nosił czarne błyszczące kalosze, twarz miał chudą i czerwoną, nos sterczał jak wykrzyknik między czołem a ustami, a pod rzucającym się w oczy nosem wisiała słynna kapka, która jakby przyrosła do niego na dobre, kiedy wyszedł na nartach z Mylla zimą w trzydziestym dziewiątym, i był to ostatni raz, kiedy doktor Schultz zażywał świeżego powietrza. Teraz przesiadywał raczej w domu na Bislet i próbował rozpuścić kapkę. Tego wieczoru, żeby dotrzeć na miejsce, musiał mieć do dyspozycji cały chodnik i jeszcze kawałek ulicy.

Zataczał się i szedł bokiem jak czarny krab, a najmłodszy chłopcy z Jessenløkken towarzyszyli mu wzdłuż Ullevålsveien, dopingowali go okrzykami i brzęczeli dzwonekami rowerowymi za każdym razem, gdy dawał krok do rysztoła, a od czasu do czasu któryś musiał odważyć się i podejść całkiem blisko, żeby naprowadzić go na właściwy kurs, bo parę razy zaczynał kierować się w stronę Nordmarka, jak gdyby tam, na wzgórzu, leżał ogromny magnes i przyciągał go do siebie. Innymi słowy, nie było żadną tajemnicą, że doktor Schultz zatrzymał się na rogu przed numerem 127 i zadzwonił do nas. Często zastanawiałem się nad tym, czy wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby doktor Schultz nie wypił piątego tego dnia koniaku z wodą sodową, nie mówiąc już o szóstym, gdyby ręce mu się nie trzęsły, głowę miał chłodną, a spojrzenie bystre, bo wówczas zdołałby może dostrzec coś, co odmieniłoby naszą historię, a nawet ją przerwało. Powiem to od razu:

Fred wiódł niebezpieczne życie jeszcze przed urodzeniem. Takie myśli wciąż potrafią mnie wystraszyć i odebrać mi sen, bo tkwimy zawieszeni na cieniutkiej nitce uprzedzonej z cienia przypadków. Stoi mi przed oczami, ten żaloszny doktor z Bislet, i nie wiem, czy mam go kochać, czy nim pogardzać, kiedy opiera się o drzwi, a gdy Boletta otwiera, doktor prawie wpada do przedpokoju, z rogu do rogu zaś, od klatki do klatki szeptem niesie się wieść, że oto zapijaczony doktor Schultz przyszedł z wizytą do samotnych kobiet z Gørbitzgate, do tych szalonych kobiet, których nikt nie rozumie, w wielkiej centrali podwórza rozlega się szum, a przy śmietniku dozorca Bang przełącza plotki na długie opowieści, na które również ja będę mógł się natknąć, gdy nadejdzie mój czas.

Boletcie udaje się posadzić doktora Schultza w fotelu, gdzie zbiera siły, podczas gdy one pomagają mu zdjąć kapelusz, kalosze i płaszcz. – Co dolega pacjentce? – pyta doktor.

Stara prycha. – Tego właśnie chciałybyśmy się dowiedzieć. Po to pan tu jest, jeśli jeszcze pan tego nie rozumiał. Boletta podaje mu filiżankę kawy. – Miała gwałtowny krwotok – mówi prędko. Znalazłam ją na strychu. Może się przewróciła. Doktorowi Schultzowi ręce tak się trzęsą, że musi pić ze spodeczka, a głos drży mu tak samo. – Tak, tak. Na pewno potrzeba jej tylko trochę świeżego powietrza. Po tych wszystkich latach w zamknięciu.

Stara prawie się na niego rzuca, więc Boletta musi stanąć między nimi. – Vera leży w sypialni – mówi. Wydaje mi się, że mogła doznać szoku. Doktor Schultz powolnym ruchem staje na nogi i pociera palce. – Tak, tak. Ale co sama o tym mówi? Boletta spuszcza wzrok. – Nic nie mówi. Nie odezwała się od wczoraj, kiedy ją znalazłam. – Nie odezwała się? No, no. Będę musiał ją obejrzeć. I proszę mnie zostawić samego z pacjentką.

Doktor Schultz bierze swoją czarną torbę, wchodzi do Very i zamyka za sobą drzwi.

Pozostaje tam przez dziewiętnaście minut. Stara i Boletta czekają pod drzwiami, ze środka nie słychać żadnego dźwięku. Ale gdy doktor Schultz wychodzi, sprawia wrażenie trzeźwiejszego niż kiedykolwiek. Siada na tym samym fotelu i okazuje się, że on również zamilkł.

Stara nie może tego dłużej znieść. – Czy mógłby pan nam wreszcie coś powiedzieć? Co jej dolega? Doktor patrzy jednak na Boletę. – Rzeczywiście miała pani rację. Ona jest w czymś w rodzaju szoku. Czy też, jeśli wolno mi tak to nazwać, psychozy. Boletta również musi usiąść. – Psychozy? – Może to pani nazwać s t a n e m. Jeśli pani uważa, że tak będzie lepiej brzmiało. Stara podchodzi bliżej, wymachując ręką. – Niech pan natychmiast powie, co jej dolega, zamiast mydlić nam oczy słowami! I niech pan się nie waży jeszcze raz wspominać o świeżym powietrzu! Doktor Schultz ociera chusteczką wysokie czoło. Kapka pod nosem się kołysze. – Straciła znaczną ilość krwi i jest bardzo słaba. Najprawdopodobniej upadła i doznała wstrząsu mózgu. Musi jak najwięcej odpoczywać. Dałem jej coś na uspokojenie. – Ale ona nigdy tak nie krwawiła – mówi cicho Boletta. – Bo też i żyjemy w niezwykłych czasach.

Doktor Schultz wstaje, odprowadzają go do wyjścia. W czasie, gdy Boletta wyjmuje z szuflady kredensu dwa banknoty, Stara odciąga go na bok. – Co pan sądzi o tym śladzie na karku Very? Doktor Schultz musi się zastanowić. – O śladzie na karku? To na pewno tylko znak po ukąszeniu owada. Musiała go rozdrapać. Doktor przerzuca płaszcz przez ramię, niecierpliwi się. Ale Stara go nie puszcza. – Zbadał pan jej kobiecość? – pyta cicho. Doktor Schultz zamyka torbę z głośnym trzaskiem. – O co chodzi? – Pan doskonale wie, co mam na myśli! Czy ona jest nietknięta? W tej samej chwili przychodzi Boletta z pieniędzmi. Doktor prędko wtyka je do kieszeni i równie prędko przeciąga palcem pod nosem, lecz kapka dalej wisi. – Nie znajduję u Very nic poza silnym krwawieniem, które, rzecz naturalna, osłabiło ją i zdenerwowało. Proszę jej dawać po jednej tabletki żelaza rano i wieczorem. Boletta łapie go za ramię. – Ale dlaczego ona nie mówi? – pyta.

Doktor Schultz długo szuka słów. – Ośrodek mowy został czasowo wyłączony. Może to być wynikiem krwaka. To znaczy wstrząsu mózgu. Kiedy ucisk ustąpi, znów będzie swobodnie mówić. Stara się niecierpliwi. – A kiedy ten ucisk ustąpi? – Może już jutro, a może później. Czas pomoże.

Boletta otwiera drzwi i doktor Schultz wychodzi na podest. Przekręca kapelusz na głowie o pół obrotu. – Tak, tak, proszę jeszcze zadzwonić. Jeśli dziewczyna nie ożywi się przez lato. Mocno chwytą za poręcz i zwleka się po schodach, laską odgania dzieciaki, które jeszcze tam stoją, i wolno sunie ukosem do mieszkania na Bislet, do którego nikt nie dzwonił z prośbą o udzielenie pomocy w ostatnich nadgodzinach wojny. Stara zatrzaskuje drzwi, zamyka je na klucz i odwraca się do Boletty. – A nie mówiłam? To ciągle idiota.

Przedtem było świeże powietrze. Teraz czas ma pomóc!

Zaglądają do Very. Śpi; pozwalają jej w tym śnie pozostać. Potem wyjmują małą flagę, której używają co roku 17 Maja oraz w dniu urodzin króla Haakona, i umieszczają ją w pustej skrzynce na kwiaty na balkonie. Jeszcze nie jest ciemno. Niebo napiętym łukiem wygina się wysoko nad miastem. Jeszcze się żarzy ognisko z czarnych zasłon, a na środku Kirkeveien leży cylinder, który łagodny wiatr od fiordu popycha po asfalcie. I nagle w salonie staje Vera. Odwracają się ku niej gwałtownie, niemal krzyżąc z przerażenia albo z radości, wierząc, że może coś powie, że nareszcie doszła do siebie, ale ona w tym samym momencie podnosi swój aparat fotograficzny i robi im zdjęcie, tam, na wąskim balkonie, pod małą norweską flagą, Boletcie w brązowym kostiumie, z szerokimi biodrami, z otwartymi ustami i ręką w drodze ku twarzy, jak gdyby chciała się ukryć, i Starej, w długiej żółtej sukni, z siwymi włosami spływającymi z głowy, z prawą ręką nagle zaciśniętą, z wystawionym kciukiem i małym palcem, znakiem diabła, stoi zgięta i zgarbiona, lecz mimo to patrzy na mnie, usiłującego pokolorować tę fotografię niezdarnymi słowami, bo to ja wywołałem to zdjęcie, to ja znalazłem kiedyś ten zapomniany film, sprzątając w rzeczach matki, i wyobrażam sobie, że na tym zdjęciu widzę też osobę, która je zrobiła, naszą matkę, jakby nieostry majowy wieczór z tyłu za dwiema kobietami na balkonie był lustrem, w którym w chwili uruchomienia powolnej migawki pamięci ukazuje się pod postacią ciemnego smutku, bólu, jakiego nigdy wcześniej nie widziałem, cień Very.

(wiosna)

W dniu, w którym król Haakon miał wrócić do Norwegii, Stara wstała wcześniej, obok norweskiej flagi w balkonowej skrzynce umieściła duńską i pospieszyła do miasta jeszcze przed siódmą, żeby zająć dobre miejsce w pierwszym rzędzie wzdłuż ulicy Karla Johana; niech się strzeże ten, kto ośmieli się zasłonić jej widok, gdy będzie tędy przejeżdżał jej monarcha. Boletta miała nocną zmianę w Telegrafii i jeszcze nie wróciła do domu. Dlatego Vera była sama w mieszkaniu, kiedy się obudziła w podwójnym łóżku. Narzuciła jakieś ubranie, ale nie przejrzała się w lustrze. Nie przeczesła włosów. To bez znaczenia. Pożyczyła sobie kapcie Starej, zeszła kuchennymi schodami na podwórze. Było cicho. Okna otwarte. Zatrzymała się przed wejściem na klatkę Rakel. Biały kot skradał się między kwiatami a żwirem przy śmietniku. Vera przemknęła na drugie piętro. Nasłuchiwała pod drzwiami. I nagle jak uderzenie w serce poczuła radość, bo usłyszała ze środka głosy. Zadzwoiła, ale nikt nie przyszedł. W końcu zrozumiała, że drzwi są otwarte. Pchnęła je i weszła do sypialni. Kuchnia była pusta. Szafki opróżnione. Nie została ani jedna szklanka, ani jedna filiżanka. Posprzątano. Wszystko uprzątnięto. Ledwie wyczuwała zapachy tych dziwnych dachów, które przyrzędzają matka Rakel, zwłaszcza w niedziele, wanilia i przyprawy, zapachy te przypadły, zapachy, wśród których mieszkała Rakel, prawie zniknęły. Teraz Vera nikogo nie słyszała. Może się pomyliła? Ruszyła w górę mieszkania. Otworzyła drzwi do pokoju Rakel. Zasłony zdjąto.

ła je i weszła do środka. Kuchnia była pusta. Szafki opróżnione. Nie została ani jedna szklanka, ani jedna filiżanka. Posprzątano. Wszystko uprzątnięto. Ledwie wyczuwała zapachy tych dziwnych dań, które przyrządzała matka Rakel, zwłaszcza w niedziele, wanilia i przyprawy, zapachy też przepadły, zapachy, wśród których mieszkała Rakel, prawie zniknęły. Teraz Vera nikogo nie słyszała. Może się pomyliła? Ruszyła w głąb mieszkania. Otworzyła drzwi do pokoju Rakel. Zasłony zdjęto.

Łóżka i biurka nie było. Na podłodze leżał wieszak na ubranie. W salonie na parapecie stała pusta doniczka. To wszystko. Ściany były nagie. Widziała jasne cienie na tapecie w miejscach, gdzie wisiały obrazy. W końcu jednak coś usłyszała. Ktoś wszedł do mieszkania. Znów się ucieszyła, ucieszyła, a jednocześnie przestraszyła, ale przede wszystkim ucieszyła. Przebiegła przez salon i gwałtownie zatrzymała się w przedpokoju.

Dwaj mężczyźni w roboczych ubraniach wnosili po schodach czarne pianino, spływali potem i przeklinali na przemian, ten, który szedł z tyłu, dostrzegł Verę. – Z drogi, dziewczyno! Vera wcisnęła się więc w futrynę, a tragarze przeciągnęli pianino do salonu i postawili je przy kominku. Przerzucili pasy przez ramię i zapalili papierosy. Od czasu do czasu z uśmiechem zerkali na Verę. Mniejszy zsunął z czoła czapkę z daszkiem i podrapał się po rudej głowie. – To ty masz być pomocą domową u tych eleganckich państwa? – spytał. Drugi przykucnął i wyplątał się z pasa wiszącego mu na szyi jak pętla. – Bo skoro tak, to musisz się uczesać, dziewczyno. Wyglądasz jakbyś miała na głowie ptasie gniazdo! Znów zaczęli się śmiać. – Mogę ci pożyczyć swój grzebień – dodał rudy.

Vera puściła się biegiem po schodach. Mężczyźni patrzyli za nią zdumieni. Na zewnątrz zaparkowała ciężarówka, wyładowana meblami. Stał przy niej dozorca Bang w ciemnym garniturze i rozmawiał z jakąś panią, która miała zielone piórko przy kapeluszu i jasne rękawiczki. Vera nigdy wcześniej jej nie widziała. Musiała mieć dobrze ponad trzydzieści lat i była w ciąży, płaszcz obciskał jej brzuch, a ona z rękami na plecach niemal go wypinała, jakby chciała całej ulicy pokazać, jak bardzo jest w ciąży. Vera stanęła i zaczęła się na nią gapić. Nieznajoma pani w końcu się zaniepokoiła, wskazała na Verę, a dozorca Bang natychmiast się odwrócił i zobaczył ją na schodach. Pokręcił głową, uśmiechnął się jednocześnie i ruszył w jej stronę. Z klatki wyszli tragarze. Vera zaczęła biec, pobiegła za róg, a biegnąc, myślała, że Rakel po prostu wyprowadziła się w inne miejsce, do innego mieszkania, mniejszego, może po tym wszystkim, co się wydarzyło, nie stać ich na tyle pokoi i oddzielną służbówkę. Powtarzała to w duchu raz po raz, tej myśli się trzymała.

Musiała przejść przez piwnicę, żeby z powrotem dotrzeć na tylne podwórze do kuchennych schodów, wszystko będzie jak przedtem, myślała, wszystko będzie jak przedtem, te słowa tkwiły w Verze, słyszała je, wyraźne i ciężkie, ale nie mogła ich wypowiedzieć, nie potrafiła mówić głośno nawet do siebie, jak gdyby to milczenie ją sobie teraz wybrało.

Dotarła na górę do mieszkania. Nikt jeszcze nie wrócił do domu. Weszła do łazienki, rozebrała się, znalazła w szafce nożyczki i wsunęła je do ust. Trzymając je obiema rękami, zacisnęła na języku, zamknęła oczy, ból był obcą mową, której nie musiała wypowiadać, był tylko krzykiem, który utkwiał głęboko w niej. Poczuła, jak czubek nożyczek wbija się w miękką tkanekę języka, krew zalała usta. Vera wyjęła czysty podkład, rozsmarowała na nim krew i włożyła do kosza na brudną bieliznę, wytarła krew z podłogi i umywalki, nowy podkład włożyła między nogi, a potem poszła się położyć do sypialni. Uśmiechała się.

Usta przestały już być w twarzy obce. Oswoiła je. Język wypełniał je całe. Mam teraz dość krwi, pomyślała. Mam dość krwi na wszystkie miesiące. Usłyszała, że Boletta wraca do domu. Zatrzasnęła drzwi za sobą i ciężkim krokiem przeszła przez mieszkanie na balkon. Wkrótce potem była u Very. Vera udała, że śpi. Mimo to widziała matkę, jak gdyby powieki były przezroczyste. Boletta trzymała w ręku duńską flagę, była blada i wyglądała na udręczoną. Cicho obesła łóżko, żeby wziąć ze swego nocnego stolika *Przewodnik telegrafisty*. Vera usłyszała, że go czyta. Boletta siedziała w salonie i czytała na głos o opłatach i zasadach nadawania telegramów, czytała na głos, jak gdyby musiała usłyszeć własne słowa, by w pełni je zrozumieć. Brzmiało to jak jęki i złorzeczenia. Przypominało modlitwę i skargę. *Obliczanie słów. Za jedno słowo w zwykłym języku uważa się słowo do 15 liter włącznie, w telegramach kodowanych i cyfrowych – grupy do 5 liter lub cyfr.*

Nie dopuszcza się złożzeń wyrazów sprzecznych z regułami języka. Nazwy miejscowości, placów, ulic oraz statków można zapisywać jako 1 słowo i liczyć jako 1 słowo, pod warunkiem że liczba liter nie przekroczy 15. Vera słyszała każde słowo, a Boletta czytała je w kółko. W tym języku, w tych nazwach, było coś groźnego, przypominało wojnę.

Telegram kodowany, telegram pilny, radiotelegram. Przyjemnie brzmiało jedynie *telegram z życzeniami.* *Może zostać wysłany do stacji norweskich, szwedzkich, duńskich i islandzkich oraz do Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej za opłatą w wysokości 50 øre, wypisany na blankiecie okolicznościowym.* Vera marzyła, że posłaniec, w mundurze, może w niebieskim mundurze, tak, mundur musi być niebieski, z błyszczącymi guzikami, staje w drzwiach z takim telegramem do nich, a w telegramie muszą być dobre wiadomości, bo inaczej posłaniec by nie przyszedł, a ten telegram, ten blankiet okolicznościowy za 50 øre, obróci całe zło w dobro. Mogłyby to być pozdrowienia od Rakel, piszącej krótkimi zdaniami, bo inaczej wypadłoby za drogo, że wkrótce wraca do domu. Albo ktoś mógł odnaleźć Wilhelma, daleko wśród lodów i zimna, i Stara nareszcie miałaby grób, na który mogłaby chodzić. A może napisano by w nim po prostu: wszystko, co się stało, tylko ci się przyśniło. Ale to wcale nie posłaniec przyszedł, tylko Stara, i ona także trzasnęła drzwiami. – Gdzie moja flaga? – krzyknęła. Gdzie jest moja duńska flaga?

Vera słyszała, jak Boletta wolno zamyka książkę i wstaje. – Zdjęłam flagę, mammo.

Wystawiasz nas na pośmiewisko przed całym miastem. Stara tupnęła w podłogę. – Co to za gadanie! Król Haakon jest Duńczykiem! Teraz z kolei zaczęła krzyczeć Boletta. Vera naciągnęła kołdrę na twarz, mało nie wybuchając śmiechem. – Król Haakon jest Norwegiem! Nie wolno ci mówić inaczej! – Może i jest królem Norwegii, ale to mój duński książę! Nie mogę wsadzić duńskiej flagi do mojej własnej skrzynki na balkonie? – Nie mam zamiaru z tobą rozmawiać, jak jesteś w takim nastroju. Stara prychnęła. – To od tej wstrętnej książki przewróciło ci się w głowie. Masz w niej telegraf! Teraz również Boletta tupnęła w podłogę, a może tupały obie, krzycząc na siebie. – Zostawiłaś Verę samą w domu! Nie masz za grosz rozumu, stara czarownico!

Po tych słowach w salonie na długo zapadła cisza. W końcu Boletta wyszła do łazienki, szurając nogami po podłodze, jak gdyby nie miała siły ich unieść. Zaraz jednak wróciła biegiem. – Vera ma miesiączkę! – zawołała. Stara nastawiła uszu. – Co mówisz? – Słyszałaś, co powiedziałam! Vera po prostu krwawi! – Boletta pokazała zakrwawiony podkład. Stara złożyła ręce i musiała usiąść.

– Dzięki Bogu – szepnęła. Król jest na miejscu, a Vera ma menstruację. Teraz może się zacząć zwyczajne życie.

(zegar)

A ja czuję teraz czyjś oddech na karku, ktoś mi dyszy w kark, bo to nie jest jeszcze moja historia, mnie jeszcze nie ma w niej, na jej trasie, w ciepłe, a kiedy wreszcie tam trafię, do tej historii, na jej tor, najprawdopodobniej utknę w niej jako ten klocek hamulcowy, którym już jestem, przyciągnięty magnesem szczegółów: sznurówki pękniętej w drodze do szkoły tańca, pastora, któremu pokazuję język tuż pod kościołem na Majorstuen, butelki, którą muszę zwrócić u Esther w kiosku, i tym podobnych rzeczy, wszystkiego tego, co ktoś może uznać za bez znaczenia, za zboczenie z wyznaczonej trasy, za pójście okrężną drogą, lecz co równie dobrze może być owym tajemniczym martwym polem, niezbędnym we wszystkich opowiadaniach, a mianowicie ciszą istniejącą obok.

Właśnie tam będę siedział i słuchał was wszystkich, a wy nie będziecie mogli mnie zobaczyć. I właśnie w tej ciszy słyszę, jak Stara raz po raz powtarza: *Teraz może się zacząć zwyczajne życie*. One bowiem sądzą, że wszystko jest tak, jak być powinno. Sądzą, że Vera również wróciła na właściwe miejsce. Krwawiła normalnie i wszystko będzie jak przedtem. Czerwone kapcie stoją porządnie przy otomanie. Na Zamku podniesiono flagę.

Księżyc wisi na haczyku nad Aker i doba znów ma dokładnie dwadzieścia cztery godziny.

Bo wojna na pięć lat wyłączyła czas z gry. Wojna wzięła czas do niewoli i podzieliła go na kawałeczki, oddzieliła sekundę od sekundy, minutę od minuty. Wojna to czas terażniejszy. Wojna to tyle, aby przeżyć. Wojna to chwile i okruchy. Teraz mogą poskładać czas, nakręcić go, sprawić, żeby płynął. Stara kupuje więcej malagi w monopolowym na Majorstuen. Boletta dalej czyta *Przewodnik telegrafisty*, aż ból głowy wbija się w nią jak łom. A w Telegrafii unika naczelnika Egede, boi się wejść po schodach na jego piętro, bo nie powiedziała jeszcze, czy chce objąć to nowe stanowisko. Vera rano długo leży w łóżku. W końcu wstaje, bez radości. Wolno porusza się po mieszkaniu. Ubiera się w obszerne swetry i szerokie marynarki, chociaż robi się coraz cieplej. Niektórzy twierdzą, że zapowiada się najbardziej upalne lato w tym stuleciu, i ma ono pewien sens, naród zasłużył na takie lato. Vera prawie nic nie je, woli raczej czuć własną lekkość, woli raczej zapadać się w siebie i upodabniać do własnego cienia. Z kuchni widzi, że w mieszkaniu Rakel pojawiły się nowe zasłony, ciemnoczerwone, ale na razie nie zauważyła nikogo w środku. Na podwórzu sznury do suszenia bielizny zapełniają odzież i prześcieradła, dozorca Bang chodzi po żwirze i wyrывa chwasty. Kot, nie wiadomo czyj, leży w plamie słońca, jak kłębek futra, dopóki Bang go nie zauważy i nie przegoni grabiami. Ale nawet wtedy kot przeciąga się leniwie, zadziera ogon, pryska odrobinę na doniczkę i spokojnie wychodzi przez bramę na Jonas Reins gate. Chłopcy na podwórzu czyszczą rowery i latają dętki, a od czasu do czasu zerkają w jej okno, ale tam wtedy już nikogo nie ma. Vera wszystko to widzi. Wszystkim, co widzi, wypełnia swoje milczenie, to milczenie, które Boletcie zaczyna działać na nerwy, i czasami mało brakuje, a wytrząsnęłaby z córki trochę mowy, ale wtedy Stara szepcze: *Kto nic nie mówi, nie kłamie*. Pewnej nocy Vera jeszcze raz nagryza ranę na języku i czuje, jak usta wypełniają się krwią, która się z nich wylewa, zanurza podkłady w tej krwi, w tym samym bezradnym kłamstwie, w swojej nadziei,

równie beznadziejnej jak czekanie na Rakel. Czas był wzięty do niewoli. Teraz został uwolniony. Vera stoi przy oknie i widzi, że chłopcy są w kurtkach przeciwdeszczowych i że wyrosli w ciągu lata, ledwie można ich poznać, wyjeżdżają na rowerach przez bramę, nie oglądając się za siebie.

Pewnego ranka, tuż przed wyjściem Boletty do Telegrafu, gdzie miała spotkać się z naczelnikiem Egedem, żeby dać mu ostateczną odpowiedź, rozległ się dzwonek do drzwi.

Vera usłyszała go z łóżka i natychmiast się obudziła. Ktoś dzwonił do drzwi ich mieszkania, wcześniej rano, we wrześniu 1945 roku. Przez chwilę była pewna, najzupełniej pewna, to musi być Rakel, to Rakel nareszcie wróciła. Vera wstała, niemal przerażona szczęściem, i wyjrzała na korytarz. To nie była Rakel. W drzwiach stał łysy mężczyzna, Vera ledwie zdołała go sobie przypomnieć, był wspomnieniem, mglistym i niewyraźnym, z innego czasu. Ubrany był w długi prochowiec, z wąskich ramion wciąż kapały krople deszczu, niósł małą prostokątną walizeczkę z dwoma błyszczącymi zamkami z każdej strony, a w drugiej ręce trzymał szary kapelusz. A kiedy Vera dostrzegła walizeczkę, miała już pewność, wiedziała, kto to jest, i nie wiadomo, z jakiego powodu przeszedł ją dreszcz, zawsze się tak działo, gdy zjawiał się ten człowiek.

Uniósł walizeczkę do góry, jak gdyby wiedział, że właśnie ona zostanie rozpoznana przede wszystkim. – Mam nadzieję, że pani też mnie poznaje – powiedział. Bo ja poznałem panią, tak jakbym był tu zaledwie wczoraj! – Rozpostarł uśmiech na całej twarzy i ukłonił się. Boletta wpuściła go do środka. – Oczywiście, że pana poznaję. No, oprócz fryzury. Mężczyzna prędkim ruchem pogładził łysą czaszkę, a uśmiech zniknął z ust, które zmieniły się w napiętą, krzywą bruzdę. – Siedziałem w Grini – powiedział tylko.

Upuścił walizeczkę na podłogę. Boletta zaczerwieniła się i powiesiła jego płaszcz.

Mężczyzna rozejrzał się dookoła, oczyma prędko powiódł od ściany do ściany, od drzwi do drzwi, jak gdyby wszystko notował spojrzeniem. Vera się cofnęła. – A tutaj wszystko wciąż stoi na tym samym miejscu? – spytał mężczyzna i ruszył w głąb przedpokoju. Boletta poszła za nim. – Tak, wszystko stoi na tym samym miejscu. – Miło słyszeć. W dzisiejszych czasach zbyt wiele osób ucieka się do zmian. Robią przemeblowanie. I co dobrego z tego przyjdzie? Jeszcze raz powiódł wzrokiem dookoła, powoli, i zatrzymał się na owalnym zegarze na sekretarzyku. Zegar wskazywał dwanaście minut po dziesiątej. – Nie bardzo wiem, czy tam jest dość pieniędzy – szepnęła Boletta. – Trochę wypadłyśmy z liczenia. – A kto nie wypadł? Pewnie minie cała jesień, zanim wrócimy na właściwy kurs. – Odwrócił się do Boletty. – Kawę piję ze śmietanką. Jeśli pani pamięta? Boletta złożyła ręce. – Tak, oczywiście, pamiętam. Kawa ze śmietanką. Skusi się pan też na cukier? – Jeśli jest w domu, to owszem. Ale tylko trzy łyżeczki, dobrze?

W drzwiach do jadalni pojawiła się nagle Stara, w nocnej koszuli i czerwonych kapciach. Przysłoniła ręką oczy, jakby w mieszkaniu świeciło ostre słońce. – Znowu mówisz do siebie, Boletto? A może próbujesz nakłonić Verę, żeby ci odpowiedziała? Boletta prędko podeszła do niej. – Pan Arnesen jest tutaj, mamó.

Poznajesz chyba pana Arnesena?

Bo to właśnie Arnesen, z Towarzystwa Ubezpieczeń na Życie Bien, przyszedł tego ranka. To u niego ubezpieczyliśmy swoje życie. Zrobili tak niemal wszyscy w kamienicy.

Arnesen miał zwyczaj pojawiać się co pół roku, raz na jesieni, a raz na wiosnę, dokładnie tego samego dnia, chyba że data wypadła w niedzielę, wtedy przychodził w poniedziałek.

Dawno go nie było, od września czterdziestego pierwszego roku. Ja także pamiętam ten owalny zegar, który zawsze dobrze chodził. Co miesiąc, w każdą ostatnią sobotę, Boletta albo matka wkładały pieniądze do szufladki pod tarczą zegarową jak do skarbonki i robiły to prawie z nabożeństwem. Fred i ja staliśmy z rękami założonymi na plecach i przyglądaliśmy się, monety wsuwano w wąską szparkę i rozlegał się dźwięczny ostry brzęk, gdy wpadały na swoje miejsce, w zależności od tego, ile pieniędzy leżało tam wcześniej, albo bezszelestne banknoty, składane w wielkim skupieniu, żeby się zmieściły.

Najbardziej lubiłem pięć koron, niebieskie, w tym kolorze, jaki potrafi przybrać niebo w pogodny letni poranek, kiedy nie ma się czego bać, a przede wszystkim lubiłem twarz Nansena. Do stu jeszcze nie umiałem liczyć, a te banknoty były za duże i prawie nie mieściły się w szufladce. Wreszcie Arnesen mógł przyjść i zabrać to, co nazywali składką.

Myślałem, że coś za to dostaniemy, że te pieniądze zmieniają się w nagrodę, w prezent. Ale Arnesen nigdy nic ze sobą nie przynosił, zabierał tylko składkę i wychodził. W końcu zdarzyło się tak, że brał za dużo, chował składki do własnej przepastnej kieszeni, a i tak wszystko stracił. Długo także uważałem, że to dzięki pieniądзом, które wkładamy do szufladki, zegar chodzi. I gdybyśmy włożyli za dużo, zaczęłyby się spieszyć, a gdybyśmy się zapomnieli, zaczęłyby się późnić albo całkiem stanął. Gdyby tylko tak było! Spróbowałem to zrobić w pewną Wigilię. Wrzuciłem dwie dodatkowe pięcioórowki, które uderzając o dno zegara, huknęły jak lawina. W niczym to nie pomogło. Pamiętam, że raz Fred za pomocą szpilki do włosów opróżnił całą szufladkę. Ale czas się nie zatrzymał.

Stara musiała podejść o krok bliżej. – Arnesen? Czy to Arnesen we własnej osobie?

No, to znaczy, że rzeczywiście zaczęło się normalne życie. – Arnesen uklonił się głęboko. – Ubezpieczamy zarówno zwyczajne dni, jak i święta. W naszym kalendarzu jest nawet życie na tamtym świecie. Stara dmuchnęła kącikiem ust. – To, według mnie, powinieneś pozostawić Bogu, mój dobry człowieku. W tej pańskiej małej walizeczce nie zmieściłaby się wieczność. Arnesen gwałtownie złapał powietrze i wyjął chusteczkę z monogramem towarzystwa ubezpieczeniowego, jak gdyby się poddawał i prosił o pokój.

Ale Stara podeszła jeszcze bliżej, mrużąc oczy. – Niech pan mi powie, nie zostało panu ani trochę dawnych włosów? – On siedział w Grini – powiedziała prędko Boletta. Cicho bądź, mamo!

Wtedy Arnesen wyjął rurkowany kluczyk, będący wyłącznie w jego posiadaniu, i odwrócił się plecami niczym sztukmistrz, który nie chce ujawnić swoich tajemnic.

Zerknął przez ramię i nagle pochwycił spojrzenie Very, w cieniu drzwi. Uśmiechnął się.

Potem wszyscy usłyszeli lekki trzask, Arnesen wyciągnął szufladkę pod tarczą zegara, zaszeleściły pieniądze, a nikt nie potrafił liczyć pieniędzy szybciej niż Arnesen z Bien.

Niepotrzebne były mu do tego nawet palce, liczył oczyma, oko było jego najszybszym mięśniem, a w końcu włożył całą kwotę do skórzanej sakiewki zamykanej na suwak, przypominającej nieco piórnik, i wszystko to umieścił w walizeczce, którą zamknął z obu stron, zasłaniając się tajemniczo, odbyło się to jak przedstawienie.

Boletta wyszła do kuchni nastawić kawę. Arnesen się wyprostował. – Zapewne upłynie trochę czasu, zanim rachunek się zgodzi. Wojna postawiła większość rzeczy na głowie. Stara zmarszczyła się w uśmiechu. – Tak, im tańsze jest ludzkie życie, tym bardziej drożeje składka. Czy nie jest tak? Arnesen się nie uśmiechał. – Czegoś tak cennego nie da się raczej przeliczyć na korony i øre, pani Jebsen. Stara się nadęła. – Gadanie! – powiedziała. Niech pan liczy te swoje pieniądze. To panu najlepiej wychodzi.

Arnesen zamierzał coś dodać, ale się powstrzymał. Zamiast tego zabrał ze sobą do salonu walizeczkę, której nigdy nie spuszczał z oka. Arnesena ugaszczano wszędzie, gdzie się pojawił, jak gdyby ludzie mieli z jakiegoś powodu wyrzuty sumienia albo chcieli na nim zrobić dobre wrażenie. Może sądzili, że w jego rękach spoczywa ich życie. Arnesen przeszedł wolno obok biblioteczeki, przesunął palcem po skórzanych grzbietach, rozglądając się dookoła, otomana w jadalni zaścielona jak łóżko, kieliszek z malagą, pasjans. Palec zatrzymał się na szerokiej luce między książkami, z której uniósł się kurz.

Teraz Arnesen znów się uśmiechnął. – Powinni go rozstrzelać – powiedział. Usadowił się w miękkim fotelu, plecami zwrócony do balkonu. Stara wychyliła się ponad stołem. – Kogo powinni rozstrzelać? – Hamsuna. Zdrajcę. – Ma pan na myśli twórcę? – Twórcę i zdrajcę. Stara z powrotem oparła się na sofie. – Najchętniej czytam Johanesa V. Jensena – powiedziała.

Przyszła Boletta i przyniosła tacę z kawą i mleczną czekoladą. Arnesen zaraz ułamał sobie kawałek, wsunął do ust i zaczął ssać, a do filiżanki wsywał cztery łyżeczki cukru.

Stara chciała wyjść z pokoju, ale Boletta ją zatrzymała. – Jak było w Grini? Arnesen zamknął oczy i przelknął. – Na pewno gorzej było mojej żonie. Musiała czekać w niepewności i lęku. Arnesen znów mógł patrzeć i oczyścić głos kolejnym kawałkiem czekolady. – Ale przetrwała to. Kobiety potrafią być silniejsze, niż się wydaje.

Przynajmniej tyle pokazała nam wojna.

Zerknął przelotnie na filiżankę. Boletta dołała mu kawy, a Stara westchnęła jeszcze głębiej. – Czekanie to przywilej, z którego bardziej niż chętnie rezygnujemy. Ale Arnesen już nie słuchał. Znów wyprawił się na długi spacer spojrzeniem po pokoju i nagle stwierdził: – To jest mniejsze, prawda? Boletta odstawiła dzbanek z kawą. – Mniejsze od czego? – Od mieszkań po drugiej stronie podwórza. Stara schwyciła ostatni kawałek czekolady, zanim Arnesen po niego sięgnął. – Niewykluczone, że tamte są większe – powiedziała. Ale tu, na górze, jest więcej słońca. – Tego, doprawdy, wcale nie jestem pewien. Nasz balkon mianowicie wychodzi na południe. Tym razem wychyliły się obie, i Stara, i Boletta. – Nasz? Arnesen uśmiechnął się całym ustami i ręką wykonał w powietrzu gest jak dyrygent. – Przejąłem narożne mieszkanie od strony Jonas Reins gate.

To, w którym mieszkała ta nieszczęsna żydowska rodzina.

Stara wstała. Włosy rozsypały jej się na ramiona. – Chce pan powiedzieć, że zostaliśmy sąsiadami? Arnesen dwoma palcami podniósł filiżankę i rozejrzał się za cukrem. – Właściwie zamierzaliśmy wprowadzić się przed latem. Ale moja żona chce, żeby wszystko było wcześniej gotowe. Wiecie panie, jak to jest, prawda? Znalazł cukiernicę, wyspał do kawy jeszcze dwie łyżeczki cukru, wysunął wargi i zaczął powoli pić. Stara nie ruszała się z miejsca. Drżała. – Nie – powiedziała głośno. Nie wiemy, jak to jest. A jak to jest? Arnesen bezszelestnie odstawił filiżankę i poufale ściszył głos nad obrusem. – Pianino, łyżeczki deserowe, deska do prasowania. I łyżeczko dla dziecka. Przedmioty, które tworzą dom. Moja żona bowiem spodziewa się naszego pierwszego dziecka. Po wszystkich tych latach. – Mam przynieść jeszcze cukru? – spytała Stara. Arnesen podniósł na nią wzrok. – Nie, dziękuję. Już chyba nie będę pił.

Boletta musiała przytrzymać się stołu. – To pewne, że oni nie wrócą? – spytała szeptem. – Kto? – Rodzina Steinerów. Rakel. Ich córka. Arnesen drgnął, jakby kopnął go prąd płynący z łyżeczki. Upuścił ją na spodek. Potem odchylił się, sprawiając wrażenie niemal urażonego. – Oczywiście. Oni tam zostali. Przecież wszyscy to wiedzą. Nie ma nawet komu wypłacić ubezpieczenia. Niestety.

Stara popatrzyła ponad Arnesenem, który siedział głęboko w fotelu i uśmiechał się ze smutkiem, i wtedy dostrzegła Verę. Vera stanęła nagle w drzwiach przy sypialni.

Zapatrzyła się na nich i dokładnie w chwili, gdy Stara ją zauważyła, Vera ukryła twarz w dłoniach, a między palcami pociekła jej krew. Vera osunęła się na podłogę, teraz odwrócili się także Boletta i Arnesen, zobaczyli Verę i krew płynącą jej z ust. Arnesen przewrócił filizankę i cukiernicę, Boletta jednym skokiem znalazła się przy córce, a Stara po raz drugi, odkąd nastał pokój, musiała dzwonić po doktora Schultza z Bislet. Arnesen tylko stał przy fotelu i nie mógł oderwać wzroku od Very, od nocnej koszuli, od prawie przezroczystej skóry, od krwi tryskającej z ust, miał teraz tajemnicę do ukrywania podczas swojej rundy, lecz gdyby ktoś go poprosił, mógłby zdradzić słówko albo dwa o tym, że Vera leżała na podłodze i wiła się w konwulsjach, bredząc pomiędzy jednym a drugim haustem krwi. A ci, którzy słuchaliby tego, co miał do powiedzenia, może dozorca Bang, natychmiast przysunęliby się bliżej i pytali: Ale co mówiła? Wymieniła jakieś nazwisko?

Wówczas Arnesen mógłby podrożyć swoje kłamstwa i całkiem zamilknąć aż do chwili, gdy ani on, ani słuchacze nie mogliby dłużej wytrzymać. Sam kiedyś to słyszałem, wiele lat później, pewnego dnia, gdy wróciłem wcześniej ze szkoły do domu i skróciłem sobie drogę przez pralnię w piwnicy. Dozorca Bang stał przy suszarkach i opowiadał historie kobietom z kamienicy, przywłaszczył sobie bowiem te historie, zamienił kłamstwa na nową walutę.

Krew aż pienila jej się wokół ust, szeptał, jak czerwona piana, wywijala dookoła zaciśniętymi pięściami i była jak dzikie zwierzę! Kobiety się dopytywały: Ale co mówiła?

Wymieniła jakieś nazwisko? Ale na to również dozorca nie potrafił odpowiedzieć.

Stara odłożyła słuchawkę. – Doktor Schultz zaraz przyjdzie – powiedziała. Boletta płakała, a Vera leżała nieruchomo w jej ramionach. – Nabawiła się wrzodów żołądka przez niejedzenie! Cały czas powtarzałam, że musi jeść! Stara odwróciła się do Arnesena. – No, to na ten raz skończyliśmy. Proszę przekazać pozdrowienia żonie. Lecz Arnesen wolał zostać. Nie chciał, żeby go to ominęło. Sprzątnął cukier, który rozsypał, ustawił jak należy filiżankę i wytarł swoją wielką chustką obrus. Wszystkie czynności wykonywał powoli, bez pośpiechu. Chciał nawet pomóc Verze przejść do sypialni. – W wojsku miałem kurs pierwszej pomocy – oświadczył. Wtedy Stara zdecydowanie wskazała na przedpokój i drzwi wejściowe. – Widzę, że pański płaszcz ciągle tam wisi.

Może pan go zabrać, wychodząc.

Najpierw jednak Arnesen musiał od nowa przeliczyć pieniądze. Musiał zajrzeć do walizeczki i sprawdzić kwotę, monetę po monecie, banknot po banknocie. A kiedy Stara wyszła z sypialni, Vera już leżała w łóżku, podczas gdy Boletta dalej płakała i już dawno spóźniła się do pracy, Arnesen wciąż stał w przedpokoju z płaszczem przerzuconym przez ramię, obracając kapelusz w palcach jak kierownicę. – Czy ta biedna dziewczyna doszła do siebie? – szepnęła. – Śpi. Do widzenia. Arnesen popatrzył ponad Starą. – Czy ona często miewa takie ataki? – Vera od kilku tygodni choruje na zapalenie płuc. Powiedziałam: do widzenia. Arnesen uśmiechnął się ledwie zauważalnie. – Zapalenie płuc? Czasami towarzystwo chce zobaczyć zaświadczenie lekarskie przed ustaleniem wysokości składki.

Stara otworzyła drzwi na oścież. – Już zadzwoniłyśmy po doktora. Po raz trzeci żegnam i mówię do widzenia.

Arnesen uklonił się, podniósł walizczkę i niechętnie wyszedł na klatkę schodową, gdzie przystanął i zaczął zapinać płaszcz. Stara już miała zamknąć drzwi, lecz nagle zmieniła zdanie i ujęła go za ramię. – Skąd właściwie ma pan taką pewność, że Steinerowie nigdy nie wrócą? – Dlatego że umarli! Mówiłem przecież. Nie czytacie gazet?

A to chyba bez sensu, żeby mieszkanie stało puste? Stara puściła Arnesena, a on zaczął szukać czegoś po kieszeniach. Wycinka z gazety, fotografii. – Proszę – powiedział. – Z „Veckojournalen”. Pani Steiner i jej córka, prawda?

Stara wzięła od niego zdjęcie i podniosła do oczu. To były one. Ogarnął ją wielki smutek i równie wielki gniew. To były Rakel i jej matka. Matka umierająca, może już martwa, skóra i kości, w łachmanach, czaszka obciągnięta skórą, oczy, za duże, wpatrują się w aparat, w Boga albo w kata, i Rakel, ściskająca matkę za rękę, prawie naga, barki ma szpiczaste jak skrzydła z samych kości, przytrzymuje się matki i płacze, krzyczy, usta w tej twarzy są jak rana, w tej twarzy młodej dziewczyny, która już jest stara, bez wieku, poza czasem, ona również jest bliska śmierci, okaleczone dziecko, takie właśnie jest to zdjęcie: umierająca czepia się umarłej. A pod zdjęciem podpis: *Budzący grozę obóz Ravensbrück. Z czasem obóz przepełnił się i dla więźniów zabrakło pasiaków.* Nic więcej nie napisano. Stara musi oprzeć się o ścianę. – I pan nosi to w kieszeni – powiedziała cicho. Powinien się pan wstydzić. – Po prostu zobaczyłem, że to one – mruknął. I wyciąłem. Mogę to dostać z powrotem? – Nie – odparła Stara. Ja zachowam to zdjęcie. Pan będzie mieszkał w ich mieszkaniu. Arnesen włożył kapelusz na głowę i odwrócił się. Stara go przepuściła. – Mam nadzieję, że kiedyś wszyscy będziemy znów mogli spać spokojnie – powiedziała.

Usłyszeli doktora Schultza na dole, ciężkie kroki na schodach, ręka na poręczy. Arnesen przelotnie spojrzął na Starą. – Dziękuję, ale ja sypiam wyśmienicie. Z wyjątkiem tych chwil, kiedy moja żona nie może zasnąć. Szybko zszedł po schodach, a kiedy mijał doktora Schultza, chudszy niż kiedykolwiek i tego dnia trzeźwy, wręczył mu swoją wizytówkę. Doktor Schultz zawahał się przez moment, przeczytał ją i pokręcił głową.

Arnesen zatrzymał się na podeście niżej, stał tam z kapeluszem w rękę i znów się uśmiechał. – Proszę zadzwonić, kiedy będzie panu pasowało, doktorze! – Ale mnie w ogóle nie pasuje. Nie mam nic takiego, co chciałbym ubezpieczyć. Doktor Schultz wsunął wizytówkę do kieszeni i pokonał ostatnie stopnie dzielące go od oczekującej z niecierpliwością Starej. Wciągnęła go do przedpokoju i zatrzasnęła za nimi drzwi. – Ona leży w sypialni. Proszę do niej iść! Butów nie musi pan zdejmować!

Doktor Schultz znów zażądał, by na czas badania zostawiono go z Verą samego. Stara i Boletta czekały w salonie. Nic nie mówiły. Nasłuchiwały. Panowała taka cisza, jak gdyby milczenie Very wsiąkło również w meble, w ściany, w abażury lamp, w dywany i obrazy, przydając wszystkiemu ciemniejszej barwy i głębszego zapachu. Spod drzwi balkonowych ciągnęło, czuć było chłodne drżenie na stopach. Wiatr przekrzywił drzewa na Kirkeveien i obrywał z nich liście. Pierwsze lato pokoju już dawno opadło na ziemię.

Dania pokonała reprezentację Norwegii 2:1 w Kopenhadze. Na Hiroszimę i Nagasaki spadły bomby i cień człowieka na stałe wbił się w ziemię. Doktor Schultz nie wychodził od Very.

Stara podniosła się zniecierpliwiona. – Zimno mi! Bez względu na to, co mówisz.

Zimno mi! Boletta siedziała ze złożonymi dłońmi. – Nic nie mówiłam – powiedziała. – I tak mi zimno! Czy ten doktor tam zasnął? Idę zobaczyć! Boletta ją zatrzymała. – Zostaw go w spokoju. – Wobec tego rozpalę w kominku. Dziś wieczór mam ochotę na gorącą malagę, i Vera też dostanie! Z korą chinowca! Boletta ją puściła. – Dobrze, mam. Rozpal w kominku.

Stara zapaliła zapałkę, rzuciła ją do kominka i otworzyła szyber. Wkrótce poczuły bijące od ognia ciepło, Stara przyłożyła dłonie do zielonej, chropowatej płyty, westchnęła. – Nie będę się dłużej ubezpieczać u Arnesena – oświadczyła. To zdecydowane. – Nie wygłupiaj się – powiedziała Boletta. Wtedy zabierze zegar. – Trudno.

Nic na to nie poradzę, że go po prostu nie lubię! Teraz westchnęła Boletta. – Stałaś się zrzędą. Właśnie tak. Zrzędą! Stara tupnęła nogą. – Wcale nie! Mówię tylko, że nie znoszę Arnesena! – Doktora Schultza też nie znosisz. Wobec wszystkich zachowujesz się bezwstydnie! – Co ten idiota robi tam w środku? – szepnęła Stara przez ramię. Był przecież trzeźwy, kiedy przyszedł. Boletta rozżłościła się i nie zamierzała ustąpić. – Nie znosisz też dozorczy Banga! Stara przy kominku głośno się roześmiała. – Co to za sport uprawiał w młodości? Trójskok! Śmieszna figura! No, znów cię głowa rozbolała, powinnaś zamknąć usta. – Nikogo już nie lubisz! – zawołała Boletta. – To nieprawda. – Wymień więc kogoś, kogo lubisz. Jeśli jeszcze pamiętasz nazwisko! – Bardzo chętnie.

Lubię Johanna V. Jensena!

Stara sama sobie przerwała lekkim okrzykiem, przyciągnęła rozgrzane palce do piersi, jak gdyby sparzyła je o kominek. Boletta poderwała się gwałtownie. – Co się stało, mam? Stara wskazała pokryte sadzą okienko w kominku, za którym widać było wysokie żółte płomienie. – Teraz spaliliśmy Hamsuna – szepnęła. Tam płonie Hamsun.

W tej samej chwili z sypialni wyłonił się doktor Schultz, wyszedł cicho. Zamknął drzwi za sobą, podszedł do dwóch kobiet w salonie i ostrożnie postawił torbę na podłodze. Stał tak przez chwilę, wpatrzony w swoje kalosze. Jeden był niewyczyszczony, albo może doktor po drodze w coś wdepnął, w jakąś kałużę.

Wreszcie doktor Schultz podniósł wzrok. Mówił cicho i dobitnie. – Vera straciła dużo krwi. Stara zrobiła krok w jego stronę, oddychała ciężko. – My też to wiemy. Ale tym razem krwawiła z ust! Doktor Schultz kiwnął głową. – Tak. Wygląda na to, że paskudnie przygryzła sobie język. Boletta osunęła się na swoje miejsce na kanapie i uśmiechnęła się. – Przygryzła sobie język? Nie ma wrzodów żołądka? – Nie, nie. Wrzody żołądka to nie są na pewno. Przepraszam, ale czy tu nie jest bardzo ciepło? Czoło doktora Schultza błyszczało, wsunął palec pod wygnieciony kołnierzyk koszuli, żeby wpuścić pod niego powietrze. Stara podeszła jeszcze bliżej. – Tak – odparła. Tu jest gorąco. Palimy dzieła zebrane Hamsuna. – Co pani powiedziała? – Niechże pan wreszcie powie, co z Verą!

Doktor Schultz zamiast do niej zwrócił się do Boletty. – Verze nic nie dolega. Oprócz.

To znaczy. Urwał gwałtownie i znów spuścił wzrok, na swoje śmieszne kalosze. Stara stanęła na palcach. – Oprócz czego, młody człowieku? Mówże, na miłość boską!

Doktor Schultz, młody człowiek dobiegający siedemdziesiątki, stanął tak prosto jak umiał. – Jak mam to wyrazić? Zaczął wolno, z wahaniem. Stara prawie się na niego rzuciła. – Dobrze, ja ci powiem! Masz całkiem zwyczajnie powiedzieć to wprost, jasno i wyraźnie, a nie jąkać się jak zawstydzony kadet! Doktor Schultz przeciągnął ręką pod nosem, pod którym wisiała kapka i nie dawała się usunąć. – Panie nic nie wiedzą?

I teraz Stara zrobiła coś, o czym jeszcze długo opowiadano sobie na Kirkeveien, może ktoś wciąż o tym mówi, skoro pamiętają wielki krzyk Boletty, od którego spadły tynki, dachówki i żyrandole od Fagerborg po Adamstuen. Wcale by mnie to nie zdziwiło.

Najbardziej jednak dziwi mnie, że ktoś w ogóle się o tym dowiedział, bo nie potrafię sobie wyobrazić, że doktor Schultz sam o tym komuś opowiedział, wprost przeciwnie, raczej by na ten temat milczał albo skłamał. A z całą pewnością nie zrobiło tego żadne z nas. W dodatku doktor Schultz wkrótce potem umarł. Kiedy w listopadzie spadł pierwszy śnieg, doktor postanowił znów pokonać klasyczną trasę z Mylla i nigdy z niej nie wrócił.

Jacyś spacerowicze znaleźli go wiosną następnego roku, z dala od tras narciarskich między Sandungen a Kikut. Wciąż zaciskał ręce na kijkach, ale kapka pod nosem nareszcie się oderwała, leżała w jego gnijących ustach jak matowa perła, a w kieszeniach nie miał nawet portmonetki czy skrobaczki do nart, a jedynie wizytówkę człowieka sprzedającego polisy na życie, właśnie dlatego policja z początku sądziła, że to Gotfred Arnesen, agent towarzystwa ubezpieczeniowego Bien, leży znieruchomiał w ostatnim poruszeniu kijków.

Zrobiło się z tego spore zamieszanie, kiedy do żony zgłosiło się dwóch funkcjonariuszy i oznajmiło jej, że męża niestety znaleziono martwego w Nordmarka. To ona o mało przez to nie umarła, nawet gdy nieporozumienie zostało wyjaśnione, ponieważ Gotfred Arnesen wrócił do domu z pracy o zwykłej porze, stęskniony za trzymiesięcznym synkiem, i od tamtego czasu nigdy całkiem nie doszła do siebie, fałszywa wiadomość pozostawiła bliznę w jej umyśle, bała się otwierać drzwi, kiedy ktoś do nich dzwonił, zawsze ubierała się na czarno, a w końcu zabroniła mężowi, Gotfredowi Arnesenowi, opuszczać mieszkanie.

Ale nie o tym mam teraz opowiadać, uprzedzam wypadki, porwany własnymi *flashforwards*. Oto bowiem, co się teraz wydarzyło: Stara całkiem po prostu przyłożyła doktorowi Schultzowi, otwartą dłonią uderzyła go mocno w twarz. – Powiedz wreszcie, co ci leży na sercu! Doktor Schultz pochylił się i potarł palcem brudny kalosz. Potem się wyprostował, kapka pod nosem była jak wahadełko, policzki mu płonęły. – Może i ja uratowałem życie – wyszeptał. Dzisiaj Hipokrates jest ze mnie dumny. – Co ty wygadujesz? – zawołała Stara.

Doktor Schultz przełknął ślinę i musiał odchrząknąć.

– Vera jest w ciąży – powiedział.

Boletta już szła do sypialni, ale Stara ją zatrzymała i najłagodniejszym głosem zwróciła się znów do doktora Schultz. – Najmilszy panie doktorze. Niech pan nam powie coś nowego. My przecież wiemy, że Vera jest w ciąży. Chcemy wiedzieć, czy wszystko w porządku z nią i z dzieckiem. Doktor wypuścił powietrze. – Wszystko wydaje się w jak najlepszym porządku. Boletta ledwie mogła dobrać głosu. – Czy ona coś powiedziała?

Doktor Schultz pokręcił głową. – Jeszcze nie. Ale dajcie jej czas. Czy mogę zresztą spytać o jedną rzecz? Stara potaknęła, musiała podtrzymać Boletę. – Kto jest szczęśliwym ojcem? – Zginął w maju – odparła prędko Stara. Mieli się wtedy pobrać.

Doktor Schultz odwrócił głowę i powiódł palcem po policzku. – Przepraszam za swoją niedyskrecję. Jestem lekarzem. Nie księdzem. Hipokrates jest ze mnie niezadowolony.

Może mnie pani uderzyć jeszcze raz.

Wtedy Stara delikatnie nakryła jego rękę dłonią i lekko ją uściśniła. Doktor wziął swoją czarną torbę i wyszedł. Nigdy więcej go nie widziały. Słyszały tylko, jak najmłodszy chłopcy dzwonili dzwoneczkami od rowerów i śmiali się, gdy szedł ulicą.

Boletta wpatrywała się w Starą, która wciąż trzymała ją za ramię, i nie wiedziała, czy ma krzyknąć, czy płakać. – Wiedziałaś o tym? – szepnęła. – Wiedziałaś, że ona spodziewa się dziecka? Stara oderwała się od niej. – Miałyśmy pozwolić, żeby doktor Schultz dowiedział się, że nie wiedziałyśmy? Kłamstwo jest szybsze niż prawda.

Weszły wreszcie do Very. Leżała w łóżku i patrzyła w sufit, na kanciaste kryształki żyrandola, z zamkniętymi oczami. Boletta padła na kolana przy córce. – Powiedz nam – poprosiła. Co się wydarzyło na strychu w suszarni?

Ale Vera nic nie powiedziała. Wytrzymała swoje milczenie. Stara przyniosła butelkę z malagą i musiała użyć obu rąk przy nalewaniu ostatniego kieliszka. – Tego dziecka musimy bacznie strzec.

Jeszcze tego samego popołudnia Stara idzie na posterunek policji na Majorstuen. Musi czekać trzy kwadranse, zanim wpuszczą ją do młodego konstabla za maszyną do pisania. – Chcę zgłosić gwałt – oświadcza. Policjant podnosi głowę i nie potrafi ukryć uśmiechu pod rzadkim jasnym wąsikiem. – Gwałt? Zgwałcono panią? Stara nachyla się nad młodzieniaszkiem. – Moją wnuczkę zgwałcono, młody człowieku! Siedzi pan tu w mundurze i drwi sobie ze mnie?

Konstabl czerwieni się i wkłada kartkę w maszynę. – W żadnym wypadku, proszę pani.

Kiedy doszło do zdarzenia? Mam na myśli ten gwałt. – Ósmego maja – odpowiada Stara.

Policjant zdejmuje obie ręce z klawiatury i znów patrzy na Starą. – Ósmego maja? To prawie cztery miesiące temu. – O tym nie musi mi pan mówić – stwierdza Stara. Może pan teraz zacząć śledztwo?

Konstabl zapisuje więc powoli nazwisko, adres, datę i rodzaj przestępstwa na kartce, później wkłada ją na sam spód pliku zgłoszeń. Stara kupuje butelkę malagi w monopolowym i pyta w aptece o korę chinowca, bo te składniki wymieszane ze sobą tworzą eliksir, który pomaga na żal, na kaca i na oczekiwanie. Nigdy wcześniej Kirkeveien nie wydawała się tak stroma pod jej stopami. Na podwórzu przystaje na chwilę. Patrzy na młodych chłopców, którzy grają w monety koło schodów. Ich twarze są miękkie i niedokończone, chłopcy kucają gromadką wokół puli, śmiech, prędkie dłonie i pobrzękiwanie pięciorówek. W końcu uświadamiają sobie obecność Starej, jak gdyby jej spojrzenie było zbyt ciężkie dla ich wąskich barków, podnoszą się, milczący i poważni, i odwracają się do niej. Nie, myśli Stara, nie, oni są niewinni, nie dorosli jeszcze do takiego zła, wciąż są tylko dziećmi szukającymi swoich twarzy. Stara uśmiecha się i rzuca im monetę, a powaga chłopców rozplywa się w okrzykach radości i śmiechu, gdy wyciągają ramiona w górę i po przyjacielsku się przepychają. – Pozdrowienia dla Very! – wołają.

Na schody wychodzi dozorca Bang ze skrzynką z narzędziami pod pachą. Podnosi monetę, która wylądowała na stopniu tuż przed nim. Chłopcy cichną i smutnieją. – Co tu się dzieje? Zabawa na podwórzu jest surowo wzbroniona! Nie, myśli Stara, to również nie on, dozorca Bang jest wszechmogący w swej wielkiej postaci, a jego kaleka noga natychmiast ujawniłaby zbrodnię. – Niech pan im odda ten pieniążek! – mówi.

Tej nocy Stara nie może zasnąć. Idzie zbudzić Boletę, która również nie śpi, tylko czuwa nad córką. Vera jako jedyna śpi. – W tamtych dniach kręciło się tu wielu różnych ludzi – szepcze Stara. Boletta wstaje. – O co ci chodzi? – Na strychu. Różni ludzie ukrywali się tam w maju. Boletta chowa twarz w dłoniach. – Miejmy nadzieję, że to był żołnierz – mówi Stara jeszcze ciszej. Norweski żołnierz, który nie potrafił zapanować nad wojną w sobie. – O Boże – jęczy Boletta. Że też puściłyśmy ją tam samą! O Boże. Stara siada na łóżku. – Bóg na razie niewiele nam pomógł.

(park)

Pewnego popołudnia, w styczniu, w nowym roku, 1946, Stara siedzi na Blåsen, na wzgórzu w najwyższej położonej części Stensparken, i patrzy na ciche miasto.

Siedzenie tutaj przynosi jej spokój. To jej miejsce. Widzi stąd fiord, szary i ciężki pod zimną mgłą sunącą przez Ekeberg. Na balkonach stoją choinki z resztkami ozdób zwisającymi z brązowych suchych gałązek. Stara jest smutna i zalekniona. Vera wciąż jeszcze nie przemówiła, a nosi dziecko, którego nie da się już ukryć. To szaleństwo, doprowadzające je wszystkie do milczącego obłądu. Boletta nie śpi po nocach, chudnie i nie może sobie wybaczyć, że puściła Verę samą do suszarni. A Vera codziennie staje przed lustrem z pochyloną głową i nie może znieść własnych oczu. Wkrótce będzie musiała mieć dwa lustra. Kto się w nią wdarł, w dzień radości? Stara nie wie. Wie tylko to: ten, kto się tego dopuścił, ten, kto jest ojcem dziecka, zrobił, co chciał, rozszarpał i zniszczył, pogrążył Verę w mroku i nie zasługuje na nic innego niż jeszcze większy ból i jeszcze głębsza ciemność. Ale w duchu Stara powtarza jeszcze raz: tego dziecka musimy bacznie strzec. Stara bowiem wie wszystko o żałobie. Żałoba jest siłą Starej. Właśnie nią żyje, ona jest jej wiatrem, jej siłą napędową. Chce tego nauczyć Verę, nauczyć ją nosić żałobę jako triumf, a ból jak bukiet, który zakwita każdej nocy. Nagle słyszy kroki na śniegu i wcale nie musi się odwracać, bo już i tak wie, kto to. Myśli: nie jestem smutna i się nie boję. Jestem mądra i stara, bo któż inny miałby być mądry, stary i dzielny, jeśli nie ja? Stara uśmiecha się, kiedy Vera siada przy niej, długo się wstrzymuje z powiedzeniem czegoś, obie tak samo milczą i obie akceptują swoje milczenie.

– Nie przyszedł tu porozmawiać – mówi w końcu Stara. Ale i tak możesz do mnie przyjść. Vera kładzie jej głowę na ramieniu. Stara przez moment drży. Przypomina sobie, jak kiedyś filmowali przez całe trzy dni, nakręcono osiemnaście scen, tytuł brzmiał *Pokojówka i nieznajomy gość*. Wybudowali nawet studio, na polu pod Kopenhagą, a jej oczy płonęły, po tylu godzinach w ostrym świetle, ale była szczęśliwa, bo to musiał być sukces, sensacja, wiedzieli o tym, byli razem szczęśliwi, wszyscy, od kłapsiarza do dyrektora, od pianisty do bohatera. Nagle usłyszeli okrzyk operatora, nieoczekiwanie wybuchnął płaczem. Zapomniał włożyć taśmę do kamery. To było niemożliwe. To się nie mogło stać. Ale się stało. Wszystko na próżno. Każde spojrzenie, każdy ruch odszedł w zapomnienie, zniknął, jakby nigdy nie istniał, jak gdyby wszystko, co nie zostało zapisane na taśmie filmowej, było nieprawdziwe, nierzeczywiste, było niczym. Reżyser podniósł się, stał chwilę w miejscu, potem znów usiadł i ukrył twarz w dłoniach. Nikt nie śmiał się odezwać. A Stara, która wtedy była Młoda, młoda, piękna i pożądana, jako jedyna odważyła się podnieść głos. – Po prostu to powtórzymy – powiedziała. Ale tak się nie dało. Tego nie dało się powtórzyć. Musieli wymyślić coś innego, nowy tytuł, inną historię. I bez względu na to, co robili, zawsze porównywali to z tym, co nie zostało sfilmowane, i nigdy nie byli zadowoleni. Nigdy nie zrobili nic lepszego od tego, co nie istniało. To był koniec, myśli Stara i znów drży. Najlepszy film był nie tylko niemy, lecz także niewidzialny. Ma ochotę opowiedzieć o tym Verze, mówi jednak co innego, bo być może o tym opowiadała już wcześniej, i właściwie to smutna historia. – Wiem, o czym myślisz, chociaż nic nie mówisz, Vero. Tak to jest, kiedy ma się kłopoty ze słuchem. Słyszę jedynie myśli i marzenia, i bicie serc.

Stara wzdycha, podnosi rękę nad głowę Very i zgarnia śnieg z jej włosów. – Ktoś cię skrzywdził, kochana Vero. Skrzywdził najbardziej, jak można nas skrzywdzić. Ale wybacz mi i wybac Boletcie to, że nie zrozumialiśmy twojego milczenia.

Siedzą tak, Vera i Stara, obejmują się, na samej górze Stensparken, mając widok na miasto, na to samo miasto, w którym i ja będę błdził, chociaż leży wciśnięte pomiędzy wzgórze, z niebem mniejszym niż przykrywka pudełka od butów. – Opowiadałam ci o Człowieku Nocy? Tak go nazywali. Przywoził tu martwe konie i tutaj je zakopywał.

Siedzimy na pagórku martwych koni, Vero. Ale za dnia nikt nie wiedział, co on robi.

Niektórzy mówili, że śpi u tych martwych koni. Aż w końcu całkiem zniknął.

Teraz to Stara musi się oprzeć o ramię Very. – Zbyt wielu takich ludzi nocy w naszej rodzinie – szepcze.

Idą do domu, zanim zrobi się zbyt zimno, by dłużej tam siedzieć, a Vera dostaje szal Starej. A kiedy przechodzą przez Pilestredet, poniżej Bayern, gdzie wciąż jeszcze stoją krzywe poniemieckie baraki, w których teraz mieści się przedszkole, spotykają Arnesena z małżonką, w tak samo zaawansowanej ciąży jak Vera, pani Arnesen ubrana jest w obszerne futro, obrzuca Verę spojrzeniem, spokojnie się przy tym uśmiechając, a Arnesen uchyla kapelusza. – Widzę, że błogosławiony stan nie daje się już dłużej ukrywać – mówi. Stara patrzy mu prosto w oczy. – Mój dobry człowieku! My nie mamy nic do ukrycia! Żegnam!

Bierze Verę za ramię i ciągnie ją za sobą. Arnesen z powrotem wkłada kapelusz. – Wkrótce przyjdę opróżnić zegar! – woła za nimi. I pamiętajcie, że składkę trzeba będzie podwyższyć. Jeżeli zatrzymacie dziecko.

Ale Stara idzie z podniesioną głową i mocno trzyma Verę. – Nie odwracaj się – szepcze. Nie zrobimy Arnesenowi i jego równie obrzydliwej żonie tej przyjemności.

Widzi, że Vera pobladła wokół ust, wargi jej drżą, na schodach robi się ciężka, nogi się pod nią uginają, z trudem chwytą powietrze, a w przedpokoju z krzykiem osuwa się na podłogę. Boletta natychmiast jest przy niej. – O Boże – szepcze. Przemarża i się rozchorowała? Stara klęka przy Verze. – Nie – mówi cicho. Vera rodzi.

A ja skąd mam wiedzieć, jak opisać ból, samą wściekłość i miłość porodu, ja, bezpłodny, stojący poza nawiasem? Zadowolę się tym: zaczęły się gwałtowne skurcze mocnych mięśni ściany macicy. Dolna część szyjki macicy raptownie się rozszerza, jak tunel dla płodu, który leżał w ciepłej jamce, wśród błon i wody, przez trzydzieści osiem tygodni, innymi słowy, niecierpliwy i bezwzględny płód przeciska się przez miednicę, a bóle się wzmagają, szarpia brzegami otrzewnej i przepony, czas nadszedł, dziecko się wygrzebuje, Boletta łapie taksówkę, razem ze Starą znoszą Verę na dół i sadzają na tylnym siedzeniu, szofer, młody człowiek w uniformie i w wyczyszczonej czapce, patrzy na nie przerażony, a Stara woła:

– Do Szpitala Ullevål, mój panie! Na położniczy! I to już!

Taksówkarz jedzie więc w górę Kirkeveien, przekraczając dozwoloną prędkość, podczas gdy Vera siedzi i stęka, a pot strumieniami spływa jej z twarzy. Nagle wszelki dźwięk w niej cichnie i Vera osuwa się na siedzenie. Boletta ostrożnie unosi jej sukienkę i widzi, jak wyłania się główka, pomarszczona, pokryta śluzem główka, która już nabiera powietrza do krzyku, za nią pojawia się reszta ciała, to chłopiec, wraz z łóżyskiem i szlamem składającym się z krwi, błon i śluzu, taksówkarz gwałtownie hamuje, dziecko leży i drze się na siedzeniu między udami Very, żywe, wściekle, tak oto narodził się mój przyrodni brat, w taksówce, na skrzyżowaniu Kirkeveien i Ullevålsveien.

A tak brzmią pierwsze wypowiedziane przez Verę słowa, dziwne słowa, wymówione z zamkniętymi oczami: – Ile on ma palców? Boletta patrzy na Starą, która pochyła się nad wrzeszczącym dzieckiem i liczy mu palce u obu dłoni. – Ma dziesięć ślicznych paluszków – szepcze spokojnie.

Vera otwiera oczy i się uśmiecha. Taksówkarz opiera się o kierownicę i wcale nie myśli o skórzanych siedzeniach powalanych krwią, wnętrznościami i śluzem, bo nie ma na to czasu, gdy w jego samochodzie przyszedł na świat człowiek, on liczy miesiące i tygodnie, rachuje w głowie na wszelkie sposoby i wychodzi mu maj, maj 1945 roku.

– Nie możecie go nazwać inaczej niż Fred¹ – oświadcza w końcu.

Fred zwykle właśnie tak mówił: Ochrzcił mnie taksówkarz na skrzyżowaniu ulic.

Ochrzcił mnie, cholera, pieprzony taksówkarz na pieprzonym skrzyżowaniu. Wydaje mi się, że lubił to powtarzać, bo zawsze potem się uśmiechał, leciutko, śmiał się krótko i prędko przeciągał ręką po twarzy, jak gdyby się rumienił, chociaż oprócz mnie nie było nikogo, gdy o tym opowiadał.

1 Fred (norw.) – pokój (przypisy pochodzą od tłumaczki).

(imię)

Vera się obudziła. Stara i Boletta siedzą przy niej. Za nimi stoi parawan. Vera widzi cienie, poruszające się wolno po drugiej stronie. Słyszy rozmowę prowadzoną ściszymi głosami i nagły płacz dziecka. – Gdzie on jest? – pyta Vera. Stara wielokrotnie wyciera jej wilgotne czoło. – Pilnują go – mówi. Vera siada. – Stało się coś złego? Coś jest nie tak, prawda? Powiedźcie! Stara spokojnie popycha ją z powrotem na poduszkę. – Nic się nie stało, kochanie. On jest zdrowy i silny, krzyczy najgłośniej ze wszystkich. Nie pamiętasz, jak taksówkarz go nazwał? Vera patrzy na nią i uśmiecha się przelotnie. – Fred – szepcze. – I Fred sprawił, że odzyskałaś mowę – mówi Stara i odwraca się do Boletty, która do tej pory milczała, ale teraz pochyła się i bierze córkę za rękę. – Jest coś, o czym oni muszą wiedzieć, Vero. – Chcę go zobaczyć, mamó. – Tak, już niedługo będziesz mogła go potrzymać. Ale najpierw cię o coś zapytają. Kto jest ojcem.

Vera zamyka oczy. Przez twarz przelatuje jej skurcz. – Nie wiem – mówi. – Nie widziałas go? Stara kładzie palec na ustach. Muszą mówić ciszej. Tu jest zbyt wiele uszu. Cienie zatrzymały się przy parawanie. Vera płacze. – Zaszedł mnie od tyłu – szepcze. Widziałam tylko jego ręce. Boletta nachyla się bliżej. – W tamtych dniach na strychu ukrywało się wielu różnych ludzi. Mówił coś do ciebie? Vera kręci głową. – Nie odzywał się. Nie miał jednego palca. Teraz zaczyna się śmiać. – Ale nie miał jednego palca – powtarza. Nie miał jednego palca! Cienie wahają się, przez moment drżą, zanim odsuną się od parawanu.

Boletta musi zakryć jej ręką usta, a Stara zgina kark. – Wybacz nam, Vero. Wybacz nam.

A Fred leży razem z innymi noworodkami, w równiutkim rzędzie, z dziećmi pokoju, z pięknym złotym pokoleniem, te dzieci nigdy nie zaznają wojny, będą dorastać w dobrobycie, którego w końcu będą miały dość i który rzuci im się na rozum, na jakiś czas odwrócą się plecami do tego zbytku i zwrócą ku naturze i udawanemu ubóstwu, by później odebrać sobie to, co utracili, i z jeszcze większą zachłannością czerpać z bufetu prywatnego życia. Fred śpi niespokojnie, jak gdyby już teraz, w wieku dwóch dni, dręczyły go koszmary, a kiedy nie śpi, płacze bardziej niż inne dzieci, małe piąstki zaciska w czerwone kule, lecz na razie jeszcze nikt nie przyłożył go do piersi matki, dostaje podgrzane mleko z butelki. Kiedy krzyczy tak długo, że inne dzieci próbują płakać równie głośno, przenoszą go do innego pokoju, gdzie może leżeć sam, i Fred nagle cichnie, milknie, nie zamyka oczu, patrzy, jak gdyby właśnie w tej chwili zaczął badać tę samotność?, od?kt?rej nie ucieknie i?kt?r? w?ko?cu wybierze.

Kiedy parawan przesuwają się następnym razem, do????ka Very podchodzi trzech mężczyzn. Dwaj z nich to lekarze, ale trzeci ubrany jest w ciemny garnitur i ma pod pachą teczkę. Stają wokół Very. Chce zobaczyć swoje dziecko i szepcze Vera. Proszę. Jeden z lekarzy przyciąga do????ka krzesło i siada. Twoja matka twierdzi, że została zgwałcona. Vera odwraca się, ale i tak ją widzi. Nie wiesz, kto jest ojcem dziecka i dodaje drugi lekarz. To może być Norweg. Albo Niemiec. Ale ty tego nie wiesz. Dziecko nie ma ojca. Mówi wolno i życzliwie. Może czyna w ciemnym garniturze wyjmując kartkę. Sprawa została umorzona. Z powodu braku dowodów. Zdarzenie zostało zgłoszone dopiero cztery miesiące po rzekomej napaści. Dwaj lekarze przez moment milczą. Ten, który siedzi, bierze Verę za rękę. Jak się teraz czujesz? pyta. Chce Freda i odpowiada Vera. Nie może go pan przynieść? Lekarz się uśmiecha. Nadała już chłopcu imię? Vera kiwa głową. Chce porozmawiać z doktorem Schultzem? mówi. Doktor Schultz jest nieosiągalny. Zaginął podczas wycieczki na nartach. Lekarz puszcza jej rękę i podnosi wzrok. Przeszła głęboką psychozę i nie mówiła przez dziewięć miesięcy.

Piel?gniarka odsuwa parawan na?bok i?Vera przez moment widzi pani? Arnesen, kt?ra siedzi wyprostowana na????ku przy oknie, pod plecami ma?wielk? poduszk?, jej dziecko le?y przy piersi, a?pan Arnesen nagle si? zatrzyma?, w?jednej r?ce ma?bukiet, w?drugiej kapelusz, patrz? na?ni?, wszystko odbywa si? bez d?wi?ku i?bez ruchu, a??w ko?cu parawan wraca na?swoje miejsce i?cienie roztapiaj? si? w??wietle, zacieraj?. ? Dlaczego nie mog? wzi?? Freda na?r?ce? ? szlocha Vera. Ciemny m??czyzna te? usiad?. ? Musisz wiedzie?, ?e?wszystko, co?robimy, robimy wy??cznie dla twojego dobra. A?to znaczy dla dobra dziecka. Bo?dzie jest najwa?niejsze, prawda? Vera kiwa g?ow?. M??czyzna k?adzie na?nocnym stoliku obok szklanki z?wod? jak?? kartk?. ? Jest wiele dobrych dom?w, i?w naszym mie?cie, i?w ca?ym kraju. Tak chyba b?dzie najlepiej. ? O?czym pan m?wi? ? szepcze Vera. ? ?e?wy?lemy ch?opca w?inne rejony kraju. Tak b?dzie najlepiej.

W?tym momencie parawan przesuwa si? jeszcze raz, lecz tym razem z?tak? si??, ?e?przewraca si? na?pod?og?. To?Stara tam stoi. Jest z?a, m?wi ?ciszonym g?osem. ? W?naszym domu s??trzy kobiety, w?sumie mamy sto trzydzie?ci jeden lat i?b?dziemy potrafi?y zaj?? si? synkiem Very! Zrozumiano? Obchodzi ???ko naoko?o, bierze formularz z?nocnego stolika i?rwie go?na kawa?eczki, a??nie da?si? odczyta? ?adnej litery. ? Czy dziecko mo?e wreszcie pozna? swoj? matk??

Przynosz? go?tego samego dnia wieczorem. Le?y spokojnie przy piersi Very. Czekaj. Czy mog? tak powiedzie?? Czy mog? powiedzie?, ?e?Fred czeka, ?e?tam gdzie le?y, jest ciep?o i?przyjemnie, w?kr?gu serca, i??e czeka? Tak, tak w?a?nie powiem. Fred czeka. On?mnie nie lubi, my?li nagle Vera. I?s?yszy t??cisz?, kt?ra przesuwaj? si? od????ka do????ka, gdy dwa dni p??niej go?wynosi, czuje spojrzenia towarzyszy?ce jej w?drodze przez korytarz, niema plotka si? rozprzestrzenia, drzwi otwieraj? si? wolno i?z powrotem przymykaj?. Pada ?nieg i?jest cicho. Vera tygodniami le?y w????ku, dop?ki nie przestanie krwawi?. Fred czeka. Stara i?Boletta s??zdumione tym, ?e?on ju? nie p?acze. W?nocy nie mog? spa? przez jego milczenie. Co?dzie? przed po?udniem s?ysz? gr? na?pianinie, dobiegaj?c? z?drugiej strony podw?rza, muzyka przypomina Mozarta. A?pewnego ranka, gdy ?nieg topnieje, sp?ywa strumykami wzd?u? ulic i?skapuje z?rynien, Vera wychodzi i?wozi Freda w?w?zku.

On?si? jej przygl?da, z?tym mrocznym spokojem, do?kt?rego ju? zacz??a si? przyzwyczaja?.

Gdy s?o?ce pada mu?na buzi?, Fred odwraca si? i?zamyka oczy, otwiera je?dopiero wtedy, gdy zn?w jest w?cieniu. Vera widzi, ?e?pani Arnesen wy?ania si? z za rogu ze?swoim w?zkiem. Nagle czuj? si? niepewnie. Mimo wszystko si? zatrzymuj?. S??dumne i?niewiele m?wi?. Patrz? przed siebie. Patrz? w?d???. Vera chce okaza? ?yczliwo??. ? ?adnie pani gra na?pianinie ? m?wi. Pani Arnesen u?miecha si? i?okrywa swojego synka ko?derk?. ? On?zawsze przed ko?cem zasypia. ?miej? si?. S??matkami, nie czuj? strachu, s??razem, zanim zostan? wyrwane z?tej kruchej przyja?ni, z?tego kr?tkiego spotkania. ? Przeszkadzam? ? pyta nagle pani Arnesen. Vera si? odwraca. Dozorca Bang stoi przy bramie i?gapi si? na?nie. W?r?ku trzyma zdech?ego kota. Odrzuca go?i wchodzi na?podw?rze. ? S?ucham? ? m?wi Vera. Pani Arnesen si? waha. ? Mo?e przeszkadzam, kiedy gram? Vera podnosi g?ow?. ? Nie. Wydaje mi?si?, ?e?Fred te? to?lubi. Ju? nie p?acze. Pani Arnesen u?miecha si? jeszcze raz. ? Wybra?a ju? pani dla niego imi? ? m?wi. ? Na?to wygl?da. A?pani synek jak si? b?dzie nazywa?? ? Tak samo jak ojciec mego m??a. Chrzcimy go?w przysz?? sobot?.

Dzie? p??niej Vera siedzi w?kancelarii pastora w?ko?ciele na?Majorstuen. Pastor nazywa si? Sunde i?ma oko?o pi??dziesi?ciu lat. Jego czo?o przypomina tarcz?. Pastor nasuwa okulary jak nale?y i?prze?l?da jaki? dokument, wcale si? przy tym nie spieszy.

Krzyż za jego plecami wisi krzywo. Wielka Biblia w czarnych okładkach zdaje się chłonąć całe światło i zbiera je w jednym ciemnym górczym punkcie na środku stołu. Wreszcie pastor patrzy na Verę. Czy nie przyjemnie się tego słucha? pyta. Vera nasłuchuje. Nic nie słyszy. Czego? szepcze. Nie słyszysz ich? Vera znów nasłuchuje, lecz nie jest w stanie pojąć, o co mu chodzi, więc postanawia nic nie mówić. Pastor pochyla się w jej stronę. Kościelne dzwony mówią. Czy to nie pięknie, że po pięciu latach bezbożności można słuchać prawdziwych kościelnych dzwonek? Owszem szepcze Vera, ale ich nie słyszy, jest całkiem cicho. Pastor czeka chwilę. Tylko na nią patrzy. Musisz słuchać swego wnętrza? stwierdza w końcu. Wnętrze, Veró. Czy może tam również jest cicho?

Vera spuszcza wzrok, a pastor znów przewraca dokument. Przyjemna jest wiadomość, że kiedyś będzie mia okazję pokazać mu język i nazwę go kościelnym diabłem. Vera słyszy teraz bicie swego serca, ciękie uderzenia, od których drgają palce. Kto jest ojcem? pyta pastor niespodziewanie. W papierach jest napisane, co się stało? mówi Vera. Nie musisz mi mówić, co tu jest napisane. Sam mógł przeczytać. Pastor wstaje i okrzyk stęka.

Zatrzymuje się za jej plecami. Pozwól, że ci o coś spytam, Veró. Czy zrobiłaś coś, czego teraz żałujesz? Vera kręci głowę. Nie obcowalam w żaden sposób z wrogiem? Vera wstrzymuje oddech. Potem ona wstaje. Owszem, zrobiłam coś, czego żałuję. Pastor czeka. Czeka na dalszy ciąg, na jej wyznanie, czeka z uśmiechem. Żałuję, że tu przyszedłam? mówi Vera i rusza ku drzwiom. Pastor idzie za nią, błądy i wściekłość. Słyszysz, że dziecku już nadano imię. Ale czy ty wiesz, co wam a ciwie znaczy Fred? Vera na moment przystaje. To imię mojego synka? odpowiada. Pastor rozciąga usta w uśmiechu. Fredrik. Rik? to tyle co potęny, w adca? mówi szeptem. Nie sędzisz, że to imię jest trochę nieodpowiednie?

Vera stoi na Kirkeveien. Nie pamięta, jak się tam znalazła. Esther macha ze swego kiosku. Vera zapomina jej odmachą. Idzie w stronę domu. Na podwórzu się zatrzymuje.

Co? tu?cuchnie. To?ten zdech?y kot. Ci?gle jeszcze tam le?y, w??mietniku. Vera czym pr?dzej go?mija. Widzi pani? Arnesen, kt?ra wywiesza pranie, obrusy na?chrzciny, sukienk?, bia?? koszul?. Dzieci?cy w?zek stoi w?cieniu wysokiej brzozy. Jest zielono i?cicho. W?tej chwili z?bramy wy?aniaj? si? dwaj m??czy?ni. Jeden jest w?mundurze, drugi ma?d?ugi ciemny p?aszcz, chocia? jest ciep?o. Najpierw kieruj? si? do?Very, a?ona w?pierwszej chwili s?dzi, ?e?s? z?posterunku policji na?Majorstuen i??e znale?li sprawc?, tego, kt?ry j??napad?, i?Ver? przera?a w?r?wnym stopniu jak dziwi, ?e?nie wie, czy w?tej chwili, kt?r? uwa?a za?chwil? prawdy, odczuwa ulg?, czy te? jeszcze bardziej si? boi, bo?teraz tamten z?y cie?, kt?ry zaszed? j??od ty?u, cie? z?dziewi?cioma palcami, otrzyma imi?, a?ona nagle nie wie, czy chce, ?eby tak si? sta?o, czy chce us?ysze? imi? tego cienia i?zobaczy? jego twarz. Ale oni nie chc? rozmawia? z?Ver?, szukaj? pani Arnesen, w?mieszkaniu nikogo nie zastali i?pomy?leli, ?e?mo?e jest gdzie? na?dole. M??czy?ni s??powa?ni, niemal odpychaj?cy, i?Vera natychmiast my?li, ?e?przychodz? ze?z?ymi nowinami, z?wie?ci?, kt?ra odmieni los, odwraca si? wi?c ku?pani Arnesen, kt?ra stoi przy sznurkach do?suszenia bielizny i?jeszcze nie wie o?tym, co?si? wkr?tce wydarzy. Vera wskazuje na?ni?. ? To?ona ? m?wi. Dwaj m??czy?ni kiwaj? g?owami i?id? ku?pani Arnesen. Vera widzi, ?e?podaj? sobie r?ce, twarz pani Arnesen w?pierwszej chwili wyra?a zdumienie, ba, niemal nadziej?, a?potem kobieta wybucha ?miechem, wysokim gwa?townym ?miechem, bardziej przypominaj?cym krzyk, ale zaraz twarz jej ca?kowicie nieruchomieje, robi si? przezroczysta i?krucha jak wyschni?ty li??, a?tajemnicze zjawisko, niepoj?te i?niemo?liwe, to, ?e?jej m??, agent ubezpieczeniowy Gotfred Arnesen, znalaz? niezwyk?? ?mier? z?dala od?wszystkich ?cie?ek w?lasach Nordmarka, mi?dzy Mylla i?Kikut, maj?c jedynie wizyt?wk? w?wewn?trznej kieszeni anoraka, kt?ry przez wiele miesi?cy zachowa? ksza?t ludzkiego cia?a, nawet gdy wiosna i?ciep?e noce stopi?y ?nieg, i?przetrwa? w?o wiele

lepszym stanie ani?eli to?marne cia?o, kt?re okrywa?, tak, ta?zagadka pogr??a pani? Arnesen w?mroku tak g?stym, ?e?od tej pory rzadko jej si? zdarza zobaczy? ?wiat?o, a?i wtedy widzi jedynie niewyra?ne cienie, niczym urywki wspomnie? z?innego czasu, i?nawet w?wczas, gdy pan Arnesen, jej m??, ojciec jej dziecka, wraca ?ywy z?pracy do?domu, jak gdyby nigdy nic, i?w ten spos?b, sam? swoj? obecno?ci? wyja?nia to?wo?aj?ce o?pomst? do?nieba nieporozumienie, bli?sze raczej komedii ni? tragedii, nawet w?wczas pani Arnesen nie dochodzi do?siebie. Ciemno?? nie daje si? z?niej usun??. Godziny sp?dzone w?roli tymczasowej wdowy wry?y ciemno?? na?sta?e w?jej dusz?. Nie da?si? jej ju? naprawi? ani o?wieci?. To?szkielet doktora Schultza le?a? w?niebieskim anoraku i?szerokich spodniach do?kolan, to?doktor wytyczy? sobie tak? drog? ku??mierci z?cudz? wizyt?wk? w?kieszeni.

P??nym wieczorem ca?e podw?rze s?yszy, ?e?pani Arnesen siada do?pianina, lecz uderzenie pozbawione jest spr??ysto?ci i?inwencji, pani Arnesen gra raz po?raz t??sam? melodi?, w?nieko?cz?ce si? monotonne ko?o, a?Fred zaczyna p?aka? g?o?niej ni? kiedykolwiek. P??niej zreszt? okaza?o si?, ?e?doktor Schultz zapisa? swoim pacjentom w?spadku r??ne drobiazgi. My?dostali?my ć, od której nie ucieknie i którą w końcu wybierze.

Kiedy parawan przesuwa się następnym razem, do łóżka Very podchodzą trzej mężczyźni. Dwaj z nich to lekarze, ale trzeci ubrany jest w ciemny garnitur i ma pod pachą teczkę. Stają wokół Very. – Chcę zobaczyć moje dziecko – szepcze Vera. Proszę. Jeden z lekarzy przyciąga do łóżka krzesło i siada. – Twoja matka twierdzi, że zostałaś zgwałcona. Vera odwraca się, ale i tak ją widzą. – Nie wiesz, kto jest ojcem dziecka – dodaje drugi lekarz. To może być Norweg. Albo Niemiec. Ale ty tego nie wiesz. Dziecko nie ma ojca. Mówią wolno i życzliwie. Mężczyzna w ciemnym garniturze wyjmuje jakąś kartkę. – Sprawa została umorzona. Z powodu braku dowodów. Zdarzenie zostało zgłoszone dopiero cztery miesiące po rzekomej napaści. Dwaj lekarze przez moment milczą. Ten, który siedzi, bierze Verę za rękę. – Jak się teraz czujesz? – pyta. – Chcę Freda – odpowiada Vera. Nie może go pan przynieść? Lekarz się uśmiecha. – Nadałaś już chłopcu imię? Vera kiwa głową. – Chcę porozmawiać z doktorem Schultzem – mówi. – Doktor Schultz jest nieosiągalny. Zaginął podczas wycieczki na nartach. Lekarz puszcza jej rękę i podnosi wzrok. – Przeszła głęboką psychozę i nie mówiła przez dziewięć miesięcy.

Pielęgniarka odsuwa parawan na bok i Vera przez moment widzi panią Arnesen, która siedzi wyprostowana na łóżku przy oknie, pod plecami ma wielką poduszkę, jej dziecko leży przy piersi, a pan Arnesen nagle się zatrzymał, w jednej ręce ma bukiet, w drugiej kapelusz, patrzą na nią, wszystko odbywa się bez dźwięku i bez ruchu, aż w końcu parawan wraca na swoje miejsce i cienie roztapiają się w świetle, zacierają. – Dlaczego nie mogę wziąć Freda na ręce? – szlocha Vera. Ciemny mężczyzna też usiadł. – Musisz wiedzieć, że wszystko, co robimy, robimy wyłącznie dla twojego dobra. A to znaczy dla dobra dziecka. Bo dziecko jest najważniejsze, prawda? Vera kiwa głową. Mężczyzna kładzie na nocnym stoliku obok szklanki z wodą jakąś kartkę. – Jest wiele dobrych domów, i w naszym mieście, i w całym kraju. Tak chyba będzie najlepiej. – O czym pan mówi? – szepcze Vera. – Że wyślemy chłopca w inne rejony kraju. Tak będzie najlepiej.

W tym momencie parawan przesuwają się jeszcze raz, lecz tym razem z taką siłą, że przewraca się na podłogę. To Stara tam stoi. Jest zła, mówi ściszym głosem. – W naszym domu są trzy kobiety, w sumie mamy sto trzydzieści jeden lat i będziemy potrafiły zająć się synkiem Very! Zrozumiano? Obchodzi łóżko naokoło, bierze formularz z nocnego stolika i rwie go na kawałeczki, aż nie da się odczytać żadnej litery. – Czy dziecko może wreszcie poznać swoją matkę?

Przynoszą go tego samego dnia wieczorem. Leży spokojnie przy piersi Very. Czeką. Czy mogę tak powiedzieć? Czy mogę powiedzieć, że Fred czeka, że tam gdzie leży, jest ciepło i przyjemnie, w kręgu serca, i że czeka? Tak, tak właśnie powiem. Fred czeka. On mnie nie lubi, myśli nagle Vera. I słyszy tę ciszę, która przesuwą się od łóżka do łóżka, gdy dwa dni później go wynosi, czuje spojrzenia towarzyszące jej w drodze przez korytarz, niema plotka się rozprzestrzenia, drzwi otwierają się wolno i z powrotem przemykają. Pada śnieg i jest cicho. Vera tygodniami leży w łóżku, dopóki nie przestanie krwawić. Fred czeka. Stara i Boletta są zdumione tym, że on już nie płacze. W nocy nie mogą spać przez jego milczenie. Co dzień przed południem słyszą grę na pianinie, dobiegającą z drugiej strony podwórza, muzyka przypomina Mozarta. A pewnego ranka, gdy śnieg topnieje, spływa strumykami wzdłuż ulic i skapuje z rynien, Vera wychodzi i wozi Freda w wózku.

On się jej przygląda, z tym mrocznym spokojem, do którego już zaczęła się przyzwyczajać.

Gdy słońce pada mu na buzię, Fred odwraca się i zamyka oczy, otwiera je dopiero wtedy, gdy znów jest w cieniu. Vera widzi, że pani Arnesen wyłania się zza rogu ze swoim wózkiem. Nagle czują się niepewnie. Mimo wszystko się zatrzymują. Są dumne i niewiele mówią. Patrzą przed siebie. Patrzą w dół. Vera chce okazać życzliwość. – Ładnie pani gra na pianinie – mówi. Pani Arnesen uśmiecha się i okrywa swojego synka kołderką. – On zawsze przed końcem zasypia. Śmieją się. Są matkami, nie czują strachu, są razem, zanim zostaną wyrwane z tej kruchej przyjaźni, z tego krótkiego spotkania. – Przeszkadzam? – pyta nagle pani Arnesen. Vera się odwraca. Dozorca Bang stoi przy bramie i gapi się na nie. W ręku trzyma zdechłego kota. Odrzuca go i wchodzi na podwórze. – Słucham? – mówi Vera. Pani Arnesen się waha. – Może przeszkadzam, kiedy gram? Vera podnosi głowę. – Nie. Wydaje mi się, że Fred też to lubi. Już nie płacze. Pani Arnesen uśmiecha się jeszcze raz. – Wybrała już pani dla niego imię – mówi. – Na to wygląda. A pani synek jak się będzie nazywał? – Tak samo jak ojciec mego męża. Chrzczymy go w przyszłą sobotę.

Dzień później Vera siedzi w kancelarii pastora w kościele na Majorstuen. Pastor nazywa się Sunde i ma około pięćdziesięciu lat. Jego czoło przypomina tarczę. Pastor nasuwa okulary jak należy i przegląda jakiś dokument, wcale się przy tym nie spieszy.

Krzyż za jego plecami wisi krzywo. Wielka Biblia w czarnych okładkach zdaje się chłonąć całe światło i zbierać je w jednym ciemnym gorejącym punkcie na środku stołu. Wreszcie pastor patrzy na Verę. – Czy nie przyjemnie się tego słucha? – pyta. Vera nasłuchuje. Nic nie słyszy. – Czego? – szepcze. – Nie słyszysz ich? Vera znów nasłuchuje, lecz nie jest w stanie pojąć, o co mu chodzi, więc postanawia nic nie mówić. Pastor pochyla się w jej stronę. – Kościelne dzwony – mówi. Czyż to nie piękne, że po pięciu latach bezbożności można słuchać prawdziwych kościelnych dzwonów? – Owszem – szepcze Vera, ale ich nie słyszy, jest całkiem cicho. Pastor czeka chwilę. Tylko na nią patrzy. – Musisz słuchać swego wnętrza – stwierdza w końcu. Wnętrza, Vero. Czy może tam również jest cicho?

Vera spuszcza wzrok, a pastor znów przewraca dokument. Przyjemna jest świadomość, że kiedyś będę miał okazję pokazać mu język i nazwać go kościelnym diabłem. Vera słyszy teraz bicie swego serca, ciężkie uderzenia, od których drgają palce. – Kto jest ojcem? – pyta pastor niespodziewanie. – W papierach jest napisane, co się stało – mówi Vera. – Nie musisz mi mówić, co tu jest napisane. Sam mogę przeczytać. Pastor wstaje i okrąża stół.

Zatrzymuje się za jej plecami. – Pozwól, że cię o coś spytam, Vero. Czy zrobiłaś coś, czego teraz żałujesz? Vera kręci głową. – Nie obcowiałaś w żaden sposób z wrogiem? Vera wstrzymuje oddech. Potem i ona wstaje. – Owszem, zrobiłam coś, czego żałuję. Pastor czeka. Czeka na dalszy ciąg, na jej wyznanie, czeka z uśmiechem. – Żałuję, że tu przyszłam – mówi Vera i rusza ku drzwiom. Pastor idzie za nią, błądy i wściekły. – Słyszę, że dziecku już nadano imię. Ale czy ty wiesz, co właściwie znaczy Fred? Vera na moment przystaje. – To imię mojego synka – odpowiada. Pastor rozciąga usta w uśmiechu. – Fredrik. „Rik” to tyle co „potężny”, „władca” – mówi szeptem. – Nie sądzisz, że to imię jest trochę nieodpowiednie?

Vera stoi na Kirkeveien. Nie pamięta, jak się tam znalazła. Esther macha ze swego kiosku. Vera zapomina jej odmachnąć. Idzie w stronę domu. Na podwórzu się zatrzymuje.

Coś tu cuchnie. To ten zdechły kot. Ciągłe jeszcze tam leży, w śmietniku. Vera czym prędzej go mija. Widzi panią Arnesen, która wywiesza pranie, obrusy na chrzyciny, sukienkę, białą koszulę. Dziecięcy wózek stoi w cieniu wysokiej brzozy. Jest zielono i cicho. W tej chwili z bramy wyłaniają się dwaj mężczyźni. Jeden jest w mundurze, drugi ma długi ciemny płaszcz, chociaż jest ciepło. Najpierw kierują się do Very, a ona w pierwszej chwili sądzi, że są z posterunku policji na Majorstuen i że znaleźli sprawcę, tego, który ją napadł, i Verę przeraża w równym stopniu jak dziwi, że nie wie, czy w tej chwili, którą uważa za chwilę prawdy, odczuwa ulgę, czy też jeszcze bardziej się boi, bo teraz tamten zły cień, który zaszedł ją od tyłu, cień z dziewięcioma palcami, otrzyma imię, a ona nagle nie wie, czy chce, żeby tak się stało, czy chce usłyszeć imię tego cienia i zobaczyć jego twarz. Ale oni nie chcą rozmawiać z Verą, szukają pani Arnesen, w mieszkaniu nikogo nie zastali i pomyśleli, że może jest gdzieś na dole. Mężczyźni są poważni, niemal odpychający, i Vera natychmiast myśli, że przychodzą ze złymi nowinami, z wieścią, która odmieni los, odwraca się więc ku pani Arnesen, która stoi przy sznurkach do suszenia bielizny i jeszcze nie wie o tym, co się wkrótce wydarzy. Vera wskazuje na nią. – To ona – mówi. Dwaj mężczyźni kiwają głowami i idą ku pani Arnesen. Vera widzi, że podają sobie ręce, twarz pani Arnesen w pierwszej chwili wyraża zdumienie, ba, niemal nadzieję, a potem kobieta wybucha śmiechem, wysokim gwałtownym śmiechem, bardziej przypominającym krzyk, ale zaraz twarz jej całkowicie nieruchomieje, robi się przezroczyta i krucha jak wyschnięty liść, a tajemnicze zjawisko, niepojęte i niemożliwe, to, że jej mąż, agent ubezpieczeniowy Gotfred Arnesen, znalazł niezwykłą śmierć z dala od wszystkich ścieżek w lasach Nordmarka, między Mylla i Kikut, mając jedynie wizytówkę w wewnętrznej kieszeni anoraka, który przez wiele miesięcy zachował kształt ludzkiego ciała, nawet gdy wiosna i ciepłe noce stopiły śnieg, i przetrwał w o wiele lepszym stanie aniżeli to marne ciało, które okrywał, tak, ta zagadka pogrąża panią

Arnesen w mroku tak gęstym, że od tej pory rzadko jej się zdarza zobaczyć światło, a i wtedy widzi jedynie niewyraźne cienie, niczym urywki wspomnień z innego czasu, i nawet wówczas, gdy pan Arnesen, jej mąż, ojciec jej dziecka, wraca żywy z pracy do domu, jak gdyby nigdy nic, i w ten sposób, samą swoją obecnością wyjaśnia to wołające o pomstę do nieba nieporozumienie, bliższe raczej komedii niż tragedii, nawet wówczas pani Arnesen nie dochodzi do siebie. Ciemność nie daje się z niej usunąć. Godziny spędzone w roli tymczasowej wdowy wryły ciemność na stałe w jej duszę. Nie da się jej już naprawić ani oświecić. To szkielet doktora Schultza leżał w niebieskim anoraku i szerokich spodniach do kolan, to doktor wytyczył sobie taką drogę ku śmierci z cudzą wizytówką w kieszeni.

Późnym wieczorem całe podwórze słyszy, że pani Arnesen siada do pianina, lecz uderzenie pozbawione jest sprężystości i inwencji, pani Arnesen gra raz po raz tę samą melodię, w niekończące się monotonne koło, a Fred zaczyna płakać głośniejsz niż kiedykolwiek. Później zresztą okazało się, że doktor Schultz zapisał swoim pacjentom w spadku różne drobiazgi. My dostaliśmy *Leksykon medyczny dla norweskich gospodarstw domowych opracowany przez M.S. Grevego, dyrektora Szpitala Centralnego*, w którym na przykład pod hasłem „cynizm” napisano: *Obojętność na wszystko, co dotyczy zdrowia (higieny osobistej), jest niebezpieczna. Wywołane przez nią złe skutki często zataczają szerokie kręgi.*

WALIZKA Z OKLASKAMI

(wiatr)

Słońce jest zielone i toczy się w dół po stromym zboczu w stronę kobiet, które czekają na brzegu i ładują je na pokład łodzi. Słońc jest więcej. Spada cała lawina pękających zielonych słońc, a Arnold stoi na wzgórzu z kosą, ma prawie dwanaście lat i kosa jest dla niego za duża, niemal dwa razy większa niż on, Arnold widzi, że trawa tylko się ugina pod wąskim ostrzem, nie udaje mu się jej ściąć bez względu na to, jak bardzo się stara, a stara się bardzo. Tylko przyczesuje trawę, która podnosi się zaraz po przejściu kosy, tylko czesze włosy na stromej głowie tej wysepki, wystającej z morza po to, by rozejrzeć się jak najdalej po tym świecie wiatru. Arnold uderza ostrzem w ziemię, iskry się sypią, kiedy trafi w kamień, jest bliski płaczu, ale nie płacze, za to śmieje się i patrzy w górę na rozległe niebo, słyszy prędkie szelest innych kos i zielonego słońca, które przetacza się obok niego, słyszy skrzeczenie zdziwionych mew, krążących nad rybakami, którzy dzisiaj nie wyciągają sieci, tylko są zmęczonymi kosiarzami i koszą trawę wyrosłą gęsto i bujnie na żyznej ziemi z guana, tu, wśród jałowych skał, pochłanianych przez mróz i przez morze, rozsypujących się w proch resztek dzieła stworzenia. Arnold podpira się kosą i wcale nie musi stawać na palcach, żeby coś zobaczyć, tu widzi wszystko, chociaż jest taki mały, widzi świat, a świat jest większy, niż Arnold potrafi sobie wyobrazić, świat rozciąga się dalej niż okiem sięgnąć, bo horyzont wisi przed nim tak daleko, że nikt nie da rady tam dopłynąć, za plecami ma góry spowite w niebieską mgłę, a za tymi górami są miasta, w których mieszka więcej niż tysiąc ludzi, są iglice na wieżach kościoła, wyższe niż maszt łodzi pocztowej, i elektryczne światło. Arnold siada, bo na siedząco widzi równie dobrze. Nie płacze, śmieje się, słyszy też śmiech kobiet w dole, na brzegu, Aurora, jego matka, macha do niego, zanim będzie musiała przyjąć jeszcze jedno zielone słońce, obwiązane jak cenny dar, natomiast ojciec stoi kawałek dalej, jego kosa sunie przez trawę jak ogień, ścina ją nisko i prędko. Ojciec zerka na syna, który już usiadł. Odkłada kosę i idzie w jego stronę. Pozostali również robią

przerwę. Kobiety opłukują ręce w wodzie, Arnoldowi wydaje się, że morze od razu robi się zielone. Tylko Aurora wciąż stoi i Arnold macha do niej ręką. Potem ojciec zasłania mu widok. Zabiera Arnoldowi kosę. – Weź raczej grabie – mówi. Arnold bierze więc grabie od innych chłopców, są od niego młodszy i większy, niektórzy mają zaledwie dziewięć lat, a on nie sięga im nawet do ramion, grabie w rękach są tak ciężkie, że musi je trzymać w połowie trzonka, ale wtedy ciągnie za sobą również ziemię, żeby wbijać się w miękką skórę skalistej głowy. Arnold rzuca grabie, klęka i zamiast grabi używa rąk. Zagarnia trawę palcami, miękką i wilgotną.

żkie, że musi je trzymać w połowie trzonka, ale wtedy ciągnie za sobą również ziemię, żeby wbijać się w miękką skórę skalistej głowy. Arnold rzuca grabie, klęka i zamiast grabi używa rąk. Zagarnia trawę palcami, miękką i wilgotną.

Pozostali chłopcy zatrzymują się na chwilę, patrzą na siebie i chichoczą. – Kim będziesz, jak dorosiesz, Arnoldzie? – pytają, śmiechem rozdzielając słowa. Arnold zastanawia się i mówi: – Będę sprzedawał wiatr! Ojcowie, którzy stoją do nich tyłem w stromym szeregu, też się odwracają, a ojciec Arnolda znów do niego podchodzi, twarz ma teraz mroczniejszą. – Możesz nam wiązać – mówi, głos ma ściśnięty, ledwie widoczny na wargach. Arnold pełnie więc z powrotem do chłopców i zaczyna obwiązywać trawę resztkami starej wełny, ale trawa mu ucieka, nie udaje mu się wetknąć jej na miejsce, to jak pakowanie światła, czuje płacz pulsujący w gardle, dlatego zamiast płakać, zaczyna się śmiać, śmieje się głośno, gdy dookoła sypie się trawa. I Arnold siada tam, gdzie jest najbardziej stromo, gdzie równowagę utrzymać potrafią jedynie ptaki i psy. Zwija się w kłębek, zamyka oczy i spada. Nikt nic nie widzi, dopóki nie jest za późno: Arnold, jedyny syn Everta i Aurory Nilsenów, toczy się w dół zбочa jak zwariowane koło, obraca się coraz szybciej i szybciej, kobiety na brzegu wypuszczają trawę z rąk i krzyczą, najgłośniej z nich krzyczy Aurora, Evert odrzuca kosę i biegnie za Arnoldem, ale nie daje rady go dogonić, jest zbyt stromo, a koło z Arnolda toczy się za szybko. Evert zatrzymuje się na stromiźnie, z rękami wyciągniętymi w górę, jak gdyby chciał się przytrzymać opadającego światła. Na zielonej wysepce na krańcu Norwegii, na skraju zachodu słońca, panuje zupełna cisza, kiedy Arnold wpada na szeroki kamień na brzegu, wyskakuje w powietrze, ląduje w równie zielonej zatoce, głową w dół, i znika nam z oczu.

Później Arnold zawsze powtarzał, że właśnie wtedy, kiedy ocknął się na dnie i stanął na miękkim ciężkim piasku, dźwigając na wątych barkach całe Morze Norweskie, właśnie wtedy postanowił uciec. Musiał stąd odejść, i to jak najszybciej. – Nie umiałem kosić trawy – powtarzał zwykle. Kiedy miałem zbierać ptasie jaja, zostawiałem je, bo żał mi było ptaków. Na morzu zapadałem na chorobę morską. A kiedy oprawiałem ryby, od razu obcinałem sobie palce! Zawsze wtedy ściągał z prawej ręki specjalnie zrobioną rękawiczkę i pokazywał gruzłowaty kikut, którym ledwie mógł poruszać, mnie zaś przechodził dreszcz i musiałem przyjrzeć mu się bliżej, musiałem go dotknąć, poczuć szorstką skórę, a Arnold ocierał łzę i śmiał się pod nosem. – Urodziłem się w niewłaściwym miejscu – mówił. Nawet mój kolor oczu nie pasował!

I zerkał na nas piwnym spojrzeniem, które tak często go ratowało, wolno naciągając przy tym rękawiczkę, wypełnioną pięcioma kawałkami drewna, tak aby brak palców nie był od razu widoczny dla wszystkich.

Ale w ten wczesny lipcowy wieczór, kiedy Arnold zmienił się w żywe koło, dziko toczące się w dół zbocza, a teraz stoi na dnie i pod wodą układa swoje mroczne plany, czuje, jak dłonie ojca chwytają go za ramiona i wciągają do łodzi, obitego, ociekającego wodą potwora z dna morza, nieduże straszdyło z głębin, Aurora z płaczem tuli go do siebie, a inne kobiety wyrzucają trawę z powrotem na brzeg, żeby łódź była lżejsza. Ojciec wiośluje do domu, pokonując ten odcinek szybciej niż ktokolwiek dotychczas, woda strumieniem spływa z piór wiosł, ojciec czuje ulgę i wściekłość, jest przygnębiony, ale mimo wszystko szczęśliwy, dziękuje i przeklina, krótko mówiąc, Evert Nilsen jest głęboko poruszony, nie wie bowiem, co ma począć z Arnoldem, jak przywołać do porządku tego syna i wyprowadzić go na ludzi, bo Arnold jest jedynym synem, jakim został pobłogosławiony jego związek z Aurorą. Everta Nilsena nie opuszcza jedna myśl: Mam tylko pół syna.

Arnold zostaje wytarty, opatrzony i owinięty w wełniany koc i owcze skóry. Dają mu kubek wódki, chłopcu dech zapiera w piersiach, uśmiecha się, a oni biorą to za dobry znak. Rozpalają nawet w piecu, żeby lipcowa noc nie splątała im figła i nie przyniosła przez szparę w drzwiach ponurego morskiego chłodu. Pozwalają Arnoldowi leżeć z Tussem u boku, z psem do polowania na ptaki, do którego, jak wszyscy twierdzą, Arnold jest podobny, pies powarkuje cicho, ze zdziwieniem, i liże Arnolda po twarzy. Evert i Aurora czuwają nad nim i cicho szepczą do siebie słowa, których nikt nie słyszy, z takiego czy innego powodu Evert nagle pragnie ją wziąć, ona go odpycha, lecz jego nie da się ju powstrzymać, więc Aurora w końcu mu pozwala, Evert jest dziki i milczący, potrzeba mu zaledwie sekund, przyciska ją tak mocno do ciany, że Aurora na moment traci oddech i myśli tylko: Dobry Boże, nie pozwól, żeby Arnold się teraz obudził, niech na razie pozostanie we śnie, gdzie nic nie widzi ani nie słyszy. Ale potem to nie ona pęca, tylko on, Evert Nilsen, ten cięki, ma omówny męczyzna, który tak nagle sta się obcy, osuwa się na krzesło i chowa twarz w dłoniach, przez jego zgięte plecy przetacza się fala, i to Aurora musi go pocieszać, doprowadza ubranie do porządku, wolno odwraca się do niego i delikatnie kładzie mu rękę na ramieniu. Czuje, że Evert drży. Patrzy gdzieś w bok, ponieważ boi się spojrzeć jej w oczy. Już za pół godziny szepcze Aurora. Raczej musi nam wystarczyć Arnold.

Następnego ranka Arnold jest sztywny jak kij, nie może zgiąć nawet palca, a kiedy leży na woskiej ławie, susej za kółko, wydaje się jeszcze mniejszy, jak gdyby skurczył się w morzu albo zgubił cenne centymetry podczas upadku. Pies wyszedł, słysz, że szczeka jak opętany kołom cmentarza. A kiedy pochylają się nad synem, on patrzy przez nich na wskroś oczyma z brzoźowego szkła. Posyła go do doktora. Przyjeżdża po dwóch dniach.

Doktor Paulsen z?Bod? schodzi na?l?d, na?t? wysp? przeznaczon? nie dla ludzi, tylko dla ptak?w i?g?upich ps?w, na?skalisty kawa?ek ziemi dla rozbitk?w, kt?rzy powinni jak najszybciej j??opu?ci? z?ogromn? rado?ci? i?g??bok? wdzi?czno?ci?, gdy tylko nadarzy si? okazja, lecz kt?rzy wczepiaj? si? w?ni? i, przytrzymuj?c si? palcami, zawisaj? na?tej najcie?szej ga??zce geografii. Pada deszcz i?milcz?cy chudy m??czyzna zaraz otwiera nad doktorem pogi?ty parasol, ale doktor Paulsen ju? i?tak ma?mokre ramiona i?wie, ?e?gdy tylko s?abowici mieszkac?cy wyspy go?dojr?, natychmiast pojawi si? wi?cej chor?b i?cierpie?, pacjenci ustawi? si? w?kolejce, a?on b?dzie zmuszony okaza? twardo??, bo?nie potrafi uleczy? tego, co?nieuleczalne, niemo?liwym niech zajmie si? B?g, doktor idzie po?tym zapomnianym przez Boga kawa?ku ziemi w?r?d morskiej otch?ani pod po??wk? parasola i?marzy o?godzinach przyj?? w?gabinecie w?stolicy, o?restauracjach z?zarezerwowanymi stolikami i?ciep?ych salach operacyjnych. ? Naprawd? mam nadziej?, ?e?to co? powa?nego, skoro musia?em przywlec si? a??tutaj ? m?wi ze?z?o?ci?. Evert Nilsen idzie obok, w?deszczu, z?ca?ej si?y ?ciskaj?c w?r?ku stary parasol. ? Nie mo?emy przywr?ci? naszego syna do??ycia ? mruczy. Nie wiemy ju?, czy on?umar?, czy jeszcze ?yje. ? A?czy tutaj to?w?a?ciwie taka zn?w wielka r??nica? ? m?wi doktor Paulsen i?ci??kim krokiem wchodzi do?ciasnej chaty, otrz?sa wod? z?p?aszczu, ??da ciszy, zanim ktokolwiek odezwa? si? cho?by s?owem, i?odwraca si? do?Arnolda, kt?ry ca?y czas le?y nieruchomo, owini?ty kocami, ledwie spod nich widoczny. Doktor podchodzi o?krok bli?ej i?mru?y oczy. ? Wypakujcie go?z tego, na?mi?o?? bosk?! Nie przyjecha?em tu?po to, ?eby trzepa? brudne koce! Aurora zawstydzona pochyła g?ow? i?rozwi?ja Arnolda, a??le?y nagi na?oczach wszystkich. Evert wygl?da przez drzwi, na?deszcz, kt?ry zawraca, morze, kt?re wok?? latarni morskiej uk?ada si? w?bia?y ko?nierz, na?psa, kt?ry biega po?brzegu. Matka p?acze na?widok swego syna, tego ma?ego, prawie sinego ch?opca na????ku,

tak nieruchomego, jak nie potrafi znieuchomieć? chyba żadna żywa istota. Doktor Paulsen na moment wpada w zakłopotanie i staje się ludzki. Tak, tak mówi. Zobaczmy, zobaczmy. Potem otwiera skrzynę torb, wyjmując z niej swoje remedia, siada na krześle, które czeka przygotowane, i zaczyna dokładnie badać ciało Arnolda. Za oknami przesuwają się twarze, prędko zagnają do ródka i zaraz znikają. Niedolus, siedzący, który zawsze ma do przekazania coś wieści i zawsze przynosi jej radości, stoi najdłużej, a Evert w końcu go przepędza. Doktor Paulsen mierzy temperaturę krwi. Lekko naciska na prawe oko Arnolda. Ciasno obowiazuje mu nitki lewy palec wskazujący. Przykłada kieszonkowe lustro do jego bladych warg. Wreszcie się prostuje i patrzy na Everta. Znajdź się spirytualia w tej ubogiej chacie? pyta. Evert natychmiast mu nalewa, lecz doktor nie od razu opróżnia kieliszek. Stawia go najpierw na klatce piersiowej Arnolda, pochyla się i bacznie obserwuje wódek. Potem opróżnia kieliszek i prosi o jeszcze. Evert nalewa mu niechętnie, tym razem tylko do połowy. Również teraz doktor odstawia kieliszek na pierś Arnolda, wkłada okulary, żeby jeszcze lepiej widzieć to, czego szuka.

Wreszcie podnosi kieliszek i wypija. ? ?mier? pozorna! ? oznajmia. Ch?opiec najzwyczajniej cierpi na??mier? pozorn?! Aurora osuwa si? na?kolana przy ???ku i?j?czy: ? Czy to?gro?ne? ? No?c??, czy gro?ne? ? odpowiada doktor Paulsen. Nikomu nie poleca?bym pozornej ?mierci ot, tak sobie. Ale ch?opcuz bli?ej do??ycia ni? do??mierci i?dlatego z?pewno?ci? nie jest martwy. ? Dzi?ki ci, Bo?e ? szepcze Aurora. Dzi?ki! Doktor wzdycha. ? Nie widzieli?cie, ?e?w?dka si? porusza?a? Jak morze w?zamkni?ciu. Jak fala na?jego piersi! Ch?tnie poka?? to?jeszcze raz. Je?li w?butelce co? jeszcze zosta?o. Evert jest zachmurzony i?milcz?cy. Butelka ma?starczy? na?Wigili? i?Nowy Rok. Doktor dostrzega jego niech?? i?marszczy czo?o. ? Mo?e powinienem raczej wbi? w?ch?opca szpilki? od?kapelusza, ?eby sprawdzi?, czy skurcze mi??nia sercowego ni? porusz?? Evert wi?c po?raz trzeci nape?nia kieliszek, wszyscy si? nachylaj?, ?eby zobaczy?, czy w?dka b?dzie nieruchoma, i?widz? fa? wznosz?c? si? przez przezroczysty p?yn, z?dna Arnolda, przelotne drgnienie, a?kiedy si? ju? napatrzy?, doktor Paulsen wypija t??kropi? w?morzu. ? Jego ma?e serduszko bije ? stwierdza i?wstaje. Nie rusza si? jednak z?miejsca i?patrzy na?Arnolda. ? Ile on?ma lat? ? Dziesi?? ? odpowiada pr?dko Evert, a?kiedy Aurora chce powiedzie? co?innego, powtarza g?o?no: ? Dziesi?? lat sko?czy? teraz, latem! Doktor Paulsen u?miecha si? leciutko i?przesuwa wzrokiem po?kr?tkim ciele Arnolda. ? No?to wasz ch?opak jest raczej niskiego wzrostu. W?zamian jednak zosta? szczerze obdarzony przez natur? pod innymi wzgl?dami. Doktor odwraca si? do?Everta, kt?ry kiwa g?ow?, a?Aurora delikatnie okrywa syna kocem, staraj?c si? przy tym niczego nie widzie?.

A?Arnold wszystko to?s?yszy. Le?y pogr??ony w?swej pozornej ?mierci i?s?yszy wszystkie te?nies?ychane i?tajemnicze s?owa. S?yszy, jak ojciec k?amie, m?wi?c o?jego wieku, jak odejmuje mu?lat, i?s?yszy obcy g?os doktora, kt?ry odpowiada tak tajemniczo: szczerze obdarzony. Jest pozornie umar?y i?szczerze obdarzony. A?teraz ten sam doktor smaruje mu?ma?ci? czo?o i?m?wi: ? Ch?opiec w?wyniku przebywania pod wod? znajduje si? obecnie na?najni?szy m? progu ?wiadomo?ci. Potrzebne mu?s? spok?j, czysto?? i?regularne wypr??nienia. Na?pewno w?ko?cu obudzi si? sam z?siebie. G?os Aurory ledwie s?ycha?. ? Tu?jest zawsze czysto! I?zapraszam na?kaw?! Z?tymi s?owami wychodzi, zatraskuj?c za?sob? drzwi, a?ojciec zostaje sam z?doktorem, bo?Arnolda, pozornie martwego, nie liczy?. ? Czy doktor s?dzi, ?e?Auror? i?mnie los pob?ogosa?awi jeszcze dzie?mi? ? pyta Evert; r?ce ma?niespokojne. ? Ona przynajmniej ma?do?? temperamentu ? odpowiada doktor i?dodaje: ? Ile ma?lat? Evert musi si? zastanowi?. ? Jeste?my ma??e?stwem od?szesnastu. Teraz kolej doktora na?zastanowienie; namy?la si? d?ugo. ? Nie miejcie zbyt wielkich nadziei ? orzeka w?ko?cu. A?kiedy doktora Paulsena, kt?ry pozostawi? chinin? i?s?l glaubersk?, tego samego dnia wieczorem przewo?? na?sta?y l?d, Arnold wci?? czuje ucisk jego kciuka na?oku, ci??ki kieliszek na?piersi, zalewaj?cy go?zapach w?dki i?ciasny supe? na?palcu, nigdy te? nie zapomni widoku w?asnej twarzy w?zamglonym lusterku doktora. ? Pozornie martwy ? szepcze Arnold. Jestem pozornie martwy i?szczerze obdarzony!

P??niej za? Arnold Nilsen mawia?, ?e?w?a?ciwie nigdy nie by?o mu?lepiej. ? Le?a?em jak ksi???! Nie, jak kr?l. Zosta?em wywy?szony na?kr?la. Tak, bli?ej Boga nie mo?na si? znale??, nie opuszczaj?c tego ?wiata na?dobrze. To?by?y najlepsze tygodnie mego dzieci?stwa. Wierzcie mi. Polecam pozorn? ?mier? wszystkim, kt?rzy pragn? spokoju. To?wspania?a rzecz. To?jak mieszkanie w?hotelu!

Dlatego Arnold po prostu dalej leży na swoim miejscu i jest pozornie martwy, kiedy nauczyciel Holst, korpulentny stały, który zawsze jest optymistą we wręcz niemiłym wielkim zagrożeniu dla siebie samego w czerwcu, pojawia się, być może przez dwa tygodnie wbił w niego wiedzę i wychowanie do gwałtownych niespokojnych dzieci z Rost. Potem wycieczony wyjechał na stały ląd, wiadom tego, że jego sowa i przypowieści idą w zapomnienie, gdy tylko on sam znika im z oczu i pozostawia dzieciaki, jak mówi niektórzy, szkole życia, w której programie nauczania są morze i klify, gdzie gnieźdzą się ptaki i rośnie trawa. Po dwóch tygodniach wraca, jeszcze bledszy i bardziej cierpiący na chorobę morską, taki bowiem jest rytm, między księżką a pracą, między wskaźnikiem a cumem, również w głowie nauczyciela Holsta dni stają się coraz krótsze, z ponurą miną patrzy na awa Arnolda, wciąż pustą. Arnold leży bowiem w domu, szczęśliwy i cierpiący, Aurora go pielęgnuje, coraz bardziej zatroskana, ledwie udaje jej się wkładać mu do ust tuczone ziemniaki i letni zupę rybny. Evert stoi w cieniu przy drzwiach, patrzy na nieszczęsnego syna i widzi, że w Aurorze nie zaszła żadna zmiana, wciąż jest tak samo szczupła w pasie jak przedtem, i w głębi, we wzburzonej głębi ducha zadaje sobie pytanie: Jak długo można być pozornie martwym? Posiadanie pozornie martwego syna nadwerża cię cierpliwość Everta.

Arnold, zarwno zmarły, jak i żywy, to smutne brzemie, krzyż, lecz jako pozornie martwy będzie wkrótce nie do zniesienia. W dodatku zaczął się gadanie. Evert natyka się na plotki o rodzonym synu bez względu na to, w której stronie pójdzie. To nauczyciel Holst co dwa tygodnie wozi te plotki odzisi.

Aurora delikatnie ociera Arnoldowi usta, całuje go w czoło i szepta: "Zawsze bądź siłą tobą opiekowa". Nie patrzy na Everta, kiedy go mijają, niosąc miednicę, ciereczki, bieliznę i resztki jedzenia. Tego wieczoru w pamiętniku Evert podejmuje decyzję. Posyła po samego pastora.

I?r?wnie? tej nocy Arnold zaczyna si? nudzi?. Zosta? wyniesiony nie tylko na?pozornie martwego kr?la, lecz tak?e wywy?szony do?najwi?kszej ze?wszystkich samotno?ci: mo?e s?ucha?, ale nie mo?e m?wi?. Co? w?czu?ych s?owach matki przerazi?o go, obudzi?o jego l?k, niepok?j, kt?ry jest nie do?zniesienia. S?yszy, jak matka p?acze w?alkierzu, jak pies piszczy pod drzwiami, a?ojciec wali w?st??. Rankiem za? Arnold s?yszy ci??kie ruchy wiose? w?cie?ninie, rytmiczne okrzyki wio?larzy i?psalm grzmi?cy poprzez wicher i?zag?uszaj?cy ba?wany: ?, ona go odpycha, lecz jego nie da si? ju? powstrzyma? wi?c Aurora w ko?cu mu pozwala, Evert jest dziki i milcz?cy, potrzeba mu zaledwie sekund, przyciska j? tak mocno do ?ciany, ?e Aurora na moment traci oddech i my?li tylko: Dobry Bo?e, nie pozw?l, ?eby Arnold si? teraz obudzi?, niech na razie pozostanie we ?nie, gdzie nic nie widzi ani nie s?yszy. Ale potem to nie ona p?acze, tylko on, Evert Nilsen, ten ci?żki, ma?om?wny m?żczyzna, kt?ry tak nagle sta? si? obcy, osuwa si? na krzes?o i chowa twarz w d?oniach, przez jego zgi?te plecy przetacza si? fala, i to Aurora musi go pociesza?, doprowadza ubranie do porz?dku, wolno odwraca si? do niego i delikatnie k?adzie mu r?k? na ramieniu. Czuje, ?e Evert drzy. Patrzy gdzie? w bok, poniewa? boi si? spojrze? jej w oczy. – Ju? za p??no – szepcze Aurora. Raczej musi nam wystarczy? Arnold.

Nast?pnego ranka Arnold jest sztywny jak kij, nie mo?e zgi? nawet palca, a kiedy le?y na w?skiej ?awie, s?u??cej za ??zko, wydaje si? jeszcze mniejszy, jak gdyby skurczy? si? w morzu albo zgubi? cenne centymetry podczas upadku. Pies wyszed?, s?ysza?, ?e szczeka jak op?tany ko?o cmentarza. A kiedy pochylaj? si? nad synem, on patrzy przez nich na wskro? oczyma z br?zowego szk?a. Posy?aj? po doktora. Przyje?dza po dw?ch dniach.

Doktor Paulsen z Bodø schodzi na ląd, na tę wyspę przeznaczoną nie dla ludzi, tylko dla ptaków i głupich psów, na skalisty kawałek ziemi dla rozbitków, którzy powinni jak najszybciej ją opuścić z ogromną radością i głęboką wdzięcznością, gdy tylko nadarzy się okazja, lecz którzy wczepiają się w nią i, przytrzymując się palcami, zawisają na tej najcieńszej gałązce geografii. Pada deszcz i milczący chudy mężczyzna zaraz otwiera nad doktorem pogięty parasol, ale doktor Paulsen już i tak ma mokre ramiona i wie, że gdy tylko słabowici mieszkańcy wyspy go dojrzą, natychmiast pojawi się więcej chorób i cierpienie, pacjenci ustawią się w kolejce, a on będzie zmuszony okazać twardość, bo nie potrafi uleczyć tego, co nieuleczalne, niemożliwym niech zajmie się Bóg, doktor idzie po tym zapomnianym przez Boga kawałku ziemi wśród morskiej otchłani pod połówką parasola i marzy o godzinach przyjęć w gabinecie w stolicy, o restauracjach z zarezerwowanymi stolikami i ciepłych salach operacyjnych. – Naprawdę mam nadzieję, że to coś poważnego, skoro musiałem przywlec się aż tutaj – mówi ze złością. Evert Nilsen idzie obok, w deszczu, z całej siły ściskając w rękę stary parasol. – Nie możemy przywrócić naszego syna do życia – mruczy. Nie wiemy już, czy on umarł, czy jeszcze żyje. – A czy tutaj to właściwie taka znów wielka różnica? – mówi doktor Paulsen i ciężkim krokiem wchodzi do ciasnej chaty, otrząsa wodę z płaszcza, żąda ciszy, zanim ktokolwiek odezwał się choćby słowem, i odwraca się do Arnolda, który cały czas leży nieruchomo, owinięty kocami, ledwie spod nich widoczny. Doktor podchodzi o krok bliżej i mruży oczy. – Wypakujcie go z tego, na miłość boską! Nie przyjechałem tu po to, żeby trzepać brudne koce! Aurora zawstydzona pochyła głowę i rozwija Arnolda, aż leży nagi na oczach wszystkich. Evert wygląda przez drzwi, na deszcz, który zawraca, morze, które wokół latarni morskiej układa się w biały kołnierz, na psa, który biega po brzegu. Matka płacze na widok swego syna, tego małego, prawie sinego chłopca na łóżku, tak nieruchomego, jak nie potrafi znieruchomieć chyba żadna żywa istota.

Doktor Paulsen na moment wpada w zakłopotanie i staje się ludzki. – Tak, tak – mówi. Zobaczymy, zobaczymy. Potem otwiera skórzaną torbę, wyjmuje z niej swoje remedia, siada na krześle, które już czeka przygotowane, i zaczyna dokładnie badać ciało Arnolda. Za oknami przesuwają się twarze, prędko zaglądają do środka i zaraz znikają. Niedolus, sąsiad, który zawsze ma do przekazania złe wieści i zawsze przynosi je z radością, stoi najdłużej, aż Evert w końcu go przepędza. Doktor Paulsen mierzy temperaturę krwi. Lekko naciska na prawe oko Arnolda. Ciasno obowiązuje mu nitką lewy palec wskazujący. Przykłada kieszonkowe lustro do jego bladych warg. Wreszcie się prostuje i patrzy na Everta. – Znajdą się spirytualia w tej ubogiej chacie? – pyta. Evert natychmiast mu nalewa, lecz doktor nie od razu opróżnia kieliszek. Stawia go najpierw na klatce piersiowej Arnolda, pochyla się i bacznie obserwuje wódkę. Potem opróżnia kieliszek i prosi o jeszcze. Evert nalewa mu niechętnie, tym razem tylko do połowy. Również teraz doktor odstawia kieliszek na pierś Arnolda, wkłada okulary, żeby jeszcze lepiej widzieć to, czego szuka.

Wreszcie podnosi kieliszek i wypija. – Śmierć pozorna! – oznajmia. Chłopiec najzwyczajniej cierpi na śmierć pozorną! Aurora osuwa się na kolana przy łóżku i jęczy: – Czy to groźne? – No cóż, czy groźne... – odpowiada doktor Paulsen. Nikomu nie polecałbym pozornej śmierci ot, tak sobie. Ale chłopcu bliżej do życia niż do śmierci i dlatego z pewnością nie jest martwy. – Dzięki ci, Boże – szepcze Aurora. Dzięki! Doktor wzdycha. – Nie widzieliście, że wódka się poruszała? Jak morze w zamknięciu. Jak fala na jego piersi! Chętnie pokażę to jeszcze raz. Jeśli w butelce coś jeszcze zostało. Evert jest zachmurzony i milczący. Butelka ma starczyć na Wigilię i Nowy Rok. Doktor dostrzega jego niechęć i marszczy czoło. – Może powinienem raczej wbić w chłopca szpilkę od kapelusza, żeby sprawdzić, czy skurcze mięśnia sercowego nią poruszają? Evert więc po raz trzeci napełnia kieliszek, wszyscy się nachylają, żeby zobaczyć, czy wódka będzie nieruchoma, i widzą falę wznoszącą się przez przezroczysty płyn, z dna Arnolda, przelotne drgnienie, a kiedy się już napatrzą, doktor Paulsen wypija tę kroplę w morzu. – Jego małe serduszko bije – stwierdza i wstaje. Nie rusza się jednak z miejsca i patrzy na Arnolda. – Ile on ma lat? – Dziesięć – odpowiada prędko Evert, a kiedy Aurora chce powiedzieć co innego, powtarza głośno: – Dziesięć lat skończył teraz, latem! Doktor Paulsen uśmiecha się leciutko i przesuwa wzrokiem po krótkim ciele Arnolda. – No to wasz chłopak jest raczej niskiego wzrostu. W zamian jednak został szczerze obdarzony przez naturę pod innymi względami. Doktor odwraca się do Everta, który kiwa głową, a Aurora delikatnie okrywa syna kocem, starając się przy tym niczego nie widzieć.

A Arnold wszystko to słyszy. Leży pogrążony w swej pozornej śmierci i słyszy wszystkie te niesłychane i tajemnicze słowa. Słyszy, jak ojciec kłamie, mówiąc o jego wieku, jak odejmuje mu lat, i słyszy obcy głos doktora, który odpowiada tak tajemniczo: szczerze obdarzony. Jest pozornie umarły i szczerze obdarzony. A teraz ten sam doktor smaruje mu maścią czoło i mówi: – Chłopiec w wyniku przebywania pod wodą znajduje się obecnie na najniższym progu świadomości. Potrzebne mu są spokój, czystość i regularne wypróżnienia. Na pewno w końcu obudzi się sam z siebie. Głos Aurory ledwie słyhać. – Tu jest zawsze czysto! I zapraszam na kawę! Z tymi słowami wychodzi, zatraskując za sobą drzwi, a ojciec zostaje sam z doktorem, bo Arnolda, pozornie martwego, nie liczą. – Czy doktor sądzi, że Aurorę i mnie los pobłogosławi jeszcze dziećmi? – pyta Evert; ręce ma niespokojne. – Ona przynajmniej ma dość temperamentu – odpowiada doktor i dodaje: – Ile ma lat? Evert musi się zastanowić. – Jesteśmy małżeństwem od szesnastu. Teraz kolej doktora na zastanowienie; namyśla się długo. – Nie miejcie zbyt wielkich nadziei – orzeka w końcu. A kiedy doktora Paulsena, który pozostawił chininę i sól glauberską, tego samego dnia wieczorem przewożą na stały ląd, Arnold wciąż czuje ucisk jego kciuka na oku, ciężki kieliszek na piersi, zalewający go zapach wódki i ciasny supeł na palcu, nigdy też nie zapomni widoku własnej twarzy w zamglonym lusterku doktora. – Pozornie martwy – szepcze Arnold. Jestem pozornie martwy i szczerze obdarzony!

Później zaś Arnold Nilsen mawiał, że właściwie nigdy nie było mu lepiej. – Leżałem jak książę! Nie, jak król. Zostałem wywyższony na króla. Tak, bliżej Boga nie można się znaleźć, nie opuszczając tego świata na dobre. To były najlepsze tygodnie mego dzieciństwa. Wiercie mi. Polecam pozorną śmierć wszystkim, którzy pragną spokoju. To wspaniała rzecz. To jak mieszkanie w hotelu!

Dlatego Arnold po prostu dalej leży na swoim miejscu i jest pozornie martwy, kiedy nauczyciel Holst, korpulentny stażysta, który zawsze jest optymistą we wrześniu i wielkim zagrożeniem dla siebie samego w czerwcu, pojawia się, by przez dwa tygodnie wbijać wiedzę i wychowanie do głów niespokojnych dzieci z Røst. Potem wycieńczony wyjeżdża na stały ląd, świadom tego, że jego słowa i przypowieści idą w zapomnienie, gdy tylko on sam znika im z oczu i pozostawia dzieciaki, jak mówią niektórzy, szkole życia, w której programie nauczania są morze i klify, gdzie gnieźdzą się ptaki i rośnie trawa. Po dwóch tygodniach wraca, jeszcze bledszy i bardziej cierpiący na chorobę morską, taki bowiem jest rytm, między książką a pracą, między wskaźnikiem a cumą, również w głowie nauczyciela Holsta dni stają się coraz krótsze, z ponurą miną patrzy na ławkę Arnolda, wciąż pustą. Arnold leży bowiem w domu, szczęśliwy i cierpiący, Aurora go pielęgnuje, coraz bardziej zatroskana, ledwie udaje jej się wkładać mu do ust tłuczone ziemniaki i letnią zupę rybną. Evert stoi w cieniu przy drzwiach, patrzy na nieszczęsnego syna i widzi, że w Aurorze nie zaszła żadna zmiana, wciąż jest tak samo szczupła w pasie jak przedtem, i w głębi, we wzburzonej głębi ducha zadaje sobie pytanie: Jak długo można być pozornie martwym? Posiadanie pozornie martwego syna nadweręża cierpliwość Everta.

Arnold, zarówno zmarły, jak i żywy, to smutne brzemię, krzyż, lecz jako pozornie martwy będzie wkrótce nie do zniesienia. W dodatku zaczęło się gadanie. Evert natyka się na plotki o rodzonym synu bez względu na to, w którą stronę pójdzie. To nauczyciel Holst co dwa tygodnie wozi te plotki łodzią.

Aurora delikatnie ociera Arnoldowi usta, całuje go w czoło i szepcze: – Zawsze będę się tobą opiekować. Nie patrzy na Everta, kiedy go mija, niosąc miednicę, ściereczki, bieliznę i resztki jedzenia. Tego wieczoru w październiku Evert podejmuje decyzję. Posyła po samego pastora.

I również tej nocy Arnold zaczyna się nudzić. Został wyniesiony nie tylko na pozornie martwego króla, lecz także wywyższony do największej ze wszystkich samotności: może słuchać, ale nie może mówić. Coś w czułych słowach matki przeraziło go, obudziło jego lęk, niepokój, który jest nie do zniesienia. Słyszy, jak matka płacze w alkierzu, jak pies piszczy pod drzwiami, a ojciec wali w stół. Rankiem zaś Arnold słyszy ciężkie ruchy wiosła w cieśninie, rytmiczne okrzyki wiosłarzy i psalm grzmiący poprzez wichry i zagłuszający bałwany: *Bóg Bogiem będzie, choć zginą wszystkie ziemie.*

Arnold nie może się powstrzymać. Wstaje. Wstaje z pozornie martwych i wygląda przez ciemną szybę. Widzi łódź na pięć par wiosła, podpływającą w stronę kei, mężczyźni wiosłują w kręgu białych fal, a na dziobie stoi władcza postać z rękami wyciągniętymi przed siebie, to pastor we własnej osobie, przypomina olbrzymiego kormorana, wielki żagiel, i to właśnie on śpiewa: *Bóg Bogiem będzie, choć wymrze ludzkie plemię.*

Arnoldowi ciarki przebiegają po plecach i woła: – Zły nadciąga! Zły nadciąga!

Ojciec daje wtedy krok z cienia przy drzwiach, obraca Arnolda i uderza go w twarz, to uderzenie równie gorąco pali rękę Everta, co policzek Arnolda, ponieważ Evert uderzył w rozszoszczonej radości, w zachwyconym przerażeniu, jak gdyby w tym momencie jego ręką powodowała jakaś inna moc, patrzy łagodnie, niemal ze wstydem, na syna, który rozpalony stoi na łóżku. – To nie Zły! To pastor, do diabła! Potem ojciec porywa ze sobą przerażoną Aurorę i biegnie na keję przyjąć pastora i odesłać go z powrotem tam, skąd przybył, najszybciej jak się da, bo Arnold już się ocknął, odzyskał mowę i nie potrzebuje już księdza. – Chłopak wstał! – krzyczy Evert do wszystkich. Wracajcie do domu, póki jeszcze czas! Ale pastor już stoi pewnie na kei i kładzie ręce na drżących ramionach Everta. – Spokojnie, spokojnie, dobry człowieku. Skoro twój syn się ocknął, to chciałbym osobiście porozmawiać z tym, który doświadczył cudu.

A nikt przecież nie może odmówić, kiedy pastor sam się wprasza. Wkrótce cała wyspa już zmierza do chaty Everta i Aurory. Mężczyźni odłożyli narzędzia, kobiety zostawiają pranie w baliach, dzieci chętnie się spóźniają do nauczyciela Holsta na pierwszą lekcję, zresztą sam nauczyciel, jako ostatni, przyłącza się, zdyszany, do tego długiego, pełnego nadziei orszaku, który mianował zwyczajny październikowy poranek dniem świętym.

Arnold widzi ich z okna. Arnold widzi wszystkie zbliżające się twarze, czerwony podbródek pastora w obramowaniu czarnej brody, nerwowe dłonie rodziców, przelotny uśmiech Niedolusa, rzadkie włosy nauczyciela Holsta pod przemoczoną kapeluszem, wszystkie postacie się garbią, jak gdyby ktoś popychał je w plecy, i Arnold od razu wie, że go dogonili, że został doścignięty, zgubił się, lecz w tej chwili został odnaleziony, teraz zaczyna się drugie życie Arnolda Nilsena.

Kładzie się, zamyka oczy i słyszy szept pastora w progu, jakby przerażającą pociechę i życzliwą groźbę: – Chcę mówić z chłopcem sam. A kiedy Arnold znów otwiera oczy, pastor pochyla się nad nim w całym swoim majestacie i mówi: – Powiedz mi. Powiedz mi, jakie to uczucie być pozornie martwym? Arnold nie wie, co ma odpowiedzieć, postanawia więc trzymać gębę na kłódkę. Szeroka głowa nad nim czeka, Arnold szuka znaku na tej twarzy, śladu, który wskazałby mu drogę, pokazał, co należy powiedzieć albo przemilczeć. Nagle ciężka kropla spada z błyszczącego nosa pastora i trafia Arnolda prosto w czoło. Pastor ściera ją skrajem płaszcza. – Na początku było przyjemnie – mówi Arnold. Ale na koniec zrobiło się trochę smutno. Pastor z namysłem kiwa głową. – Tak, dobrze to rozumiem. Jezus wytrzymał zaledwie przez trzy dni. Arnold siada na łóżku, pastor kładzie mu rękę na głowie i Arnold zgina kark. – Spójrz mi w oczy – mówi pastor.

Arnold, jak tylko może, podnosi wzrok i patrzy w oczy pastora. – Czcij ojca swego i matkę swoją – mówi pastor. – Dobrze – szepcze Arnold. – Czcij morze, które jest domostwem ryb, i niebo, które jest domem ptaków. – Dobrze – szepcze Arnold. – Czcij też prawdę! – Ją też? – mówi Arnold. Pastor jeszcze się przybliży, rozmawiają, niemal dotykając się ustami. – Tak, ją przede wszystkim! – woła, a Arnold odchyła się do tyłu, lecz to nie pomaga, gdyż pastor posuwa się za nim. – A co jest prawdą? – pyta. Arnold się zastanawia. Nie ma pojęcia. Nie potrafi odpowiedzieć. – Nie wiem, czy mam się śmiać, czy płakać – mówi tylko. Pastor odrywa od niego spojrzenie i uśmiecha się. Nabiera powietrza, przeciera oczy ręką i się uśmiecha, a uśmiech pastora jest jak łuk pomiędzy śmiechem a płaczem. – No tak. Właśnie tego my, nieszczęśni, wspaniali ludzie nie wiemy.

Nie wiemy, czy mamy się śmiać, czy płakać. Pastor podnosi się i staje na środku izby odwrócony do Arnolda plecami. Sutanna otacza go jak czarna kolumna. Z zewnątrz dobiegają niespokojne głosy. Ktoś stukta do drzwi. Poza tym jest cicho. Pastor znów odwraca się do Arnolda i chce jeszcze coś powiedzieć, lecz Arnold go uprzedza, bo coś mu leży na sercu: – Chciałem stąd odejść – mówi. Taka jest prawda. Pastor słucha i jeszcze raz się uśmiecha. – Wyprawileś się daleko, Arnoldzie. Ale wybrałeś chyba niewłaściwą drogę, mój chłopcze. – Dziękuję – szepcze Arnold. Dłoń pastora jeszcze raz spoczywa na jego głowie. – A teraz najwyższy czas wrócić do ludzi – mówi pastor. Tam gdzie nasze miejsce.

Następnego dnia rano Arnold staje w drzwiach szkolnej izby i wszyscy się do niego odwracają, a ktoś z ławki na samym końcu woła: – Zły nadciąga! Śmiech bucha z twarzy i Arnold też się śmieje, śmieje się i zdaje sobie sprawę, że wszyscy wiedzą prawie wszystko, prawie, bo nie znają jego najgłębszego pragnienia, zna je tylko pastor, ale oni wiedzą prawie wszystko, a to i tak więcej niż dość, wszystko bowiem, co mówi, co powiedział i co powie, płynie od człowieka do człowieka, słowa, które najbardziej chciałby zachować dla siebie, są jak ławica zaplątana w starą sieć. Arnold, śmiejąc się, myśli: Tu jest za mało miejsca. Tu jest za ciasno. I śmieje się najgłośniej ze wszystkich.

Nauczyciel Holst uderza swoją trzcina w katedrę i w zapadłej gwałtownie ciszy kłania się Arnoldowi: – Witaj wśród nas, Arnoldzie Nilsen. Usiądź, abyśmy nie myśleli, że zamierzasz nas znów opuścić. Arnold idzie między rzędami i odnajduje swoje miejsce.

Ławka jest tak samo duża jak przed latem. Może nawet jeszcze większa. Stopami nie sięga do podłogi. Stopy wiszą w powietrzu, ważą tyle, co obciążniki. Nauczyciel Holst podchodzi do niego. Ręce trzyma założone za plecami. Uśmiecha się. Uśmiecha się być może dlatego, że jeszcze tego samego wieczoru ma jechać na Lofoty i tam odpoczywać przez czternaście wspaniałych dni. Zatrzymuje się tuż przed Arnoldem. – Zamierzasz więc sprzedawać wiatr – mówi nauczyciel Holst. I znów podnosi się śmiech. Śmiech także był tylko pozornie martwy i teraz wraca do życia. Nauczyciel Holst pozwala, by rozbrzmiewał aż do chwili, gdy uznaje, że już dość. Tupie wtedy mocno w podłogę i śmiech cichnie. – Ale wyjaśnij mi, Arnoldzie Nilsen, zamierzasz sprzedawać wiatr na kilogramy czy na litry? Arnold nie zdąża z odpowiedzią, gdyż nauczyciel Holst świetnie się bawi i nie daje się go powstrzymać. – Już wiem – mówi. Będziesz go sprzedawał w beczkach. Po prostu napełnisz wiatrem beczki i wyślesz je na południe, a gdy na Oslofjorden będzie bezwietrznie, jak bywa tam prawie zawsze, i żagłówki nie będą mogły ruszyć z miejsca, ludzie po prostu otworzą jedną beczkę od Arnolda Nilsena i wypuszczą wiatr w żagle!

Klasa się śmieje. Uczniowie leżą na ławkach i zanoszą się śmiechem. Nauczyciel Holst spogląda z góry na Arnolda i wsuwa mu trzcinę pod brodę, zmuszając go, by podniósł głowę, Arnold czuje końcówkę wciskającą się w szyję, w jabłko Adama, a dookoła dalej rozbrzmiewa śmiech. – Ale jak zdołasz nasadzić na beczkę wieko tak, żeby wiatr ci z niej nie uciekł, kochany Arnoldzie? Teraz kolej na śmiech Arnolda, śmieje się bardziej niż wszyscy inni razem wzięci. – Najpierw zatkam ją pańską tłustą dupą – mówi. Zapada kompletna cisza. Nauczycielowi Holstowi trzcina wypada z ręki. Z wielkim trudem pochyla się, żeby ją podnieść, robi to bardzo powoli, jego oddech brzmi jak krutki wist. Co? ty? powiedzia, Arnoldzie Nilsen? ?e?po prostu najpierw wsadz do beczki pa?sk? wiel? i?t?ust? jak halibut dup?! Arnold si? ?mieje, ale w?tej samej chwili trzcina spada na?grzbiet jego nosa. Arnold ze?zdumieniem patrzy na?nauczyciela Holsta, kt?ry ju? odchodzi w?stron? katedry i?siada tam, przerzuca kartki grubego dziennika i?zanurza obsadk? pi?ra w?atramencie. Dopiero wtedy Arnold czuje b?l, kt?ry pojawia si? jak echo wystrza?u, z?op??nieniem, ale trwale, krew odrywa si? w?jakim? miejscu za?czo?em i?sp?ywa do?ust, ?cieka na?pod?og? wielkimi g?stymi kroplami, Arnold ze?lizguje si? z?krzes?a, wstaje, zamroczony, i?opuszcza szkoln? izb?, cisza, kt?r? zostawia za?sob?, jest wi?ksza ni? kiedykolwiek, a?nauczyciel Holst pozwala mu?odej??, bo?ma do?? zaj?cia z?opisaniem ca?ego zaj?cia w?rubrykach dziennika, tak aby przysz?o?? niczego ?le nie zrozumia?a, pisze wyra?niej ni? czarny atrament, kt?rym spisuje swój? histori?, w?d?ugich kolumnach obok beznadziejnych stopni, prosz?, w?jakich barbarzy?skich warunkach musia? pracowa? tu, u?wr?t morza.

Arnold zatrzymuje się na progu szkoły. Dostrzega ojca przy kei. Idzie tam, ojciec odwraca się do niego. ? Znów się przewrócił? ? pyta. Arnold ostro?nie krzyczy, porynie więcej krwi, musi więc odchylić głowę w tył i popatrzeć na szare, ciemne niebo. ? Nie ? szepcze. Nie przewrócił się. Ojciec podchodzi jeszcze o krok bliżej, zniecierpliwiony. ? No to co się stało, chłopcze ? Nauczyciel Holst trafił mnie trzcina?.

Ojciec się nachyla. ? Chcesz powiedzieć, że cię uderzył? Arnold kiwa głową tak samo ostro?nie, jak gdyby wszystko w jego twarzy się obłuzowało i w każdej chwili mogło opaść. Ojciec wyciąga z kieszeni gałgan, szybko zanurza go w wodzie i podaje synowi.

Arnold wyciera krew i zaczyna pakać, chociaż wcześniej postanowił, że się nie rozbeczy, ale tak go piecze, piecze tak głośnie, co w nim rozbiło się na kawałki. ? Wydaje mi się, że nos ci się skrzywił ? mówi ojciec, bierze od Arnolda zakrwawiony gałgan, pluje na niego i ciera plamę krwi z twarzy syna, Arnolda dziwi, że te wielkie dźwięki potrafi być takie delikatne. ? Nie pączesz ? pyta ojciec. ? Nie ? odpowiada Arnold i przeżyka lin?.

Już nie pącz? . ? To dobrze. Od krzywego nosa nie umrzesz. Naprawdę uderzył cię trzcina? ? Tak. Cała trzcina. Ojciec chwilę się zastanawia. W końcu zaczyna oddalać się od kei. ? Dokąd idziesz ? woła za nim Arnold. Nie idę. Ojciec się nie odwraca. ? Idź zamieni parę słów z nauczycielem Holstem ? mówi.

Arnold biegnie za ojcem z ręką na obolałym, zdrętwiałym nosie. Ojciec zatrzymuje się dopiero w drzwiach klasy i patrzy na nauczyciela Holsta, zamykając dziennik. Jestem ojcem Arnolda Nilsena? oznajmia głośnie wyrażenie. Nauczyciel Holst prędko podnosi spojrzenie i traci pewno siebie, czy mu kręży, ale zaraz znów spuszcza wzrok na dziennik i się uśmiecha. Evert Nilsen, tak. Poznaj przecie ojca w moich drogich uczniach. Nauczyciel Holst wstaje. Pański syn dostał konieczną naukę. Ja ze swojej strony uznaję sprawę za niebyłą i nie będę wyciągał dalszych konsekwencji ani tu, na miejscu, ani w gabinetach moich przełożonych. Evert Nilsen stoi milcząco i pochmurny, jak gdyby się zapomniał, jakby zapomniał, dlaczego tu jest. Jego szeroka postać rzuca długi szary cień na klasę. Arnold czeka za nim, w ukryciu. Mocno cięgnie ojca za kurtkę, bo wie, że Evert nie znosi tyłu skóry naraz, może go i niepokoję. A teraz musimy kontynuować naukę? mówi nauczyciel Holst, wstaje i patrzy przed siebie, jakby Everta Nilsena w ogóle nie było. Arnoldzie, bardzo proszę, możesz usiąść na swoim miejscu, robi to bardzo powoli, jego oddech brzmi jak krótki świst. – Coś ty powiedział, Arnoldzie Nilsen? – Że po prostu najpierw wsadzę do beczki pańską wielką i tłustą jak halibut dupę! Arnold się śmieje, ale w tej samej chwili trzcina spada na grzbiet jego nosa. Arnold ze zdumieniem patrzy na nauczyciela Holsta, który już odchodzi w stronę katedry i siada tam, przerzuca kartki grubego dziennika i zanurza obsadkę pióra w atramencie. Dopiero wtedy Arnold czuje ból, który pojawia się jak echo wystrzału, z opóźnieniem, ale trwale, krew odrywa się w jakimś miejscu za czołem i spływa do ust, ścieka na podłogę wielkimi gęstymi kroplami, Arnold ześlizguje się z krzesła, wstaje, zamroczony, i opuszcza szkolną izbę, cisza, którą zostawia za sobą, jest większa niż kiedykolwiek, a nauczyciel Holst pozwala mu odejść, bo ma dość zajęcia z opisaniem całego zajścia w rubrykach dziennika, tak aby przeszłość niczego złego nie zrozumiała, pisze

wyraźniej niż czarny atrament, którym spisuje swoją historię, w długich kolumnach obok beznadziejnych stopni, proszę, w jakich barbarzyńskich warunkach musiał pracować tu, u wrót morza.

Arnold zatrzymuje się na progu szkoły. Dostrzega ojca przy kei. Idzie tam, ojciec odwraca się do niego. – Znów się przewróciłeś? – pyta. Arnold ostrożnie kręci głową, płynie więcej krwi, musi więc odchylić głowę w tył i popatrzeć na szare, ciężkie niebo. – Nie – szepcze. Nie przewróciłem się. Ojciec podchodzi jeszcze o krok bliżej, zniecierpliwiony. – No to co się stało, chłopcze? – Nauczyciel Holst trafił mnie trzcina.

Ojciec się nachyla. – Chcesz powiedzieć, że cię uderzył? Arnold kiwa głową tak samo ostrożnie, jak gdyby wszystko w jego twarzy się obluźowało i w każdej chwili mogło odpaść. Ojciec wyciąga z kieszeni gałgan, szybko zanurza go w wodzie i podaje synowi.

Arnold wyciera krew i zaczyna płakać, chociaż wcześniej postanowił, że się nie rozbeczy, ale tak go piecze, piecze tak głęboko, coś w nim rozbiło się na kawałki. – Wydaje mi się, że nos ci się skrzywił – mówi ojciec, bierze od Arnolda zakrwawiony gałgan, pluje na niego i ściera plamy krwi z twarzy syna, Arnolda dziwi, że te wielkie dłonie potrafią być takie delikatne. – Nie płaczesz? – pyta ojciec. – Nie – odpowiada Arnold i przełyka ślinę.

Już nie płaczę. – To dobrze. Od krzywego nosa nie umrzesz. Naprawdę uderzył cię trzcina? – Tak. Całą trzcina. Ojciec chwilę się zastanawia. W końcu zaczyna oddalać się od kei. – Dokąd idziesz? – woła za nim Arnold. Nie idź. Ojciec się nie odwraca. – Idę zamienić parę słów z nauczycielem Holstem – mówi.

Arnold biegnie za ojcem z ręką na obolałym, zdrętwiałym nosie. Ojciec zatrzymuje się dopiero w drzwiach klasy i patrzy na nauczyciela Holsta, zamykającego dziennik. – Jestem ojcem Arnolda Nilsena – oznajmia głośno i wyraźnie. Nauczyciel Holst prędko podnosi spojrzenie i traci pewność siebie, oczy mu krążą, ale zaraz znów spuszcza wzrok na dziennik i się uśmiecha. – Evert Nilsen, tak. Poznaję przecież ojców moich drogich uczniów. Nauczyciel Holst wstaje. – Pański syn dostał konieczną nauzkę. Ja ze swojej strony uznaję sprawę za niebyłą i nie będę wyciągał dalszych konsekwencji ani tu, na miejscu, ani w gabinetach moich przełożonych. Evert Nilsen stoi milczący i pochmurny, jak gdyby się zapomniał, jakby zapomniał, dlaczego tu jest. Jego szeroka postać rzuca długi szary cień na klasę. Arnold czeka za nim, w ukryciu. Mocno ciągnie ojca za kurtkę, bo wie, że Evert nie znosi tylu słów naraz, męczą go i niepokoją. – A teraz musimy kontynuować naukę – mówi nauczyciel Holst, wstaje i patrzy przed siebie, jakby Everta Nilsena w ogóle nie było. – Arnoldzie, bardzo proszę, możesz usiąść na swoim miejscu?

Ale ojciec przytrzymuje syna. Potem sam zbliża się do katedry, idąc między znieruchomiałymi uczniami, którzy już przeczuwają, że oto zaraz wydarzy się coś, czego nigdy nie zapomną. Evert Nilsen nic nie mówi. Już powiedziano dostatecznie dużo.

Nauczyciel Holst patrzy na niego ze zdziwieniem. A Evert Nilsen bierze trzcinę i uderza nią nauczyciela w czoło, uderzenie być może nie jest silne, ale Holst się osuwa, zawodząc, bardziej ze zdumienia niż z bólu, i łapie się za twarz, Arnold tymczasem myśli, że najpierw ojciec uderzył jego, potem nauczyciel Holst też uderzył jego, a teraz ojciec uderzył nauczyciela Holsta, jak gdyby jedno pociągało za sobą drugie, jest też w tym pewna sprawiedliwość, którą Arnold nie całkiem pojmuje. Evert Nilsen łamie trzcinę i rzuca dwiema połówkami w nauczyciela Holsta, wciąż klęczącego przed klasą, a potem wychodzi ze szkolnej izby i zabiera Arnolda ze sobą na wielki wiatr, gdzie jest miejsce dla wszystkich. – Nigdy już tam nie wrócisz – mówi.

Dzień później Arnold wypływa z nim na morze. Aurora z początku się sprzeciwia, lecz ojciec obstaje przy swoim. Chłopaka trzeba hartować. Chłopak musi przeżyć. Innego wyjścia nie ma. To proste, oczywiste i piękne. Właśnie o to we wszystkim chodzi. A teraz Arnold siedzi na ławeczce w łodzi, siny nos ma owinięty grubym bandażem i musi oddychać przez usta. Siedzi tam i się gapi, ojciec wiosłuje mocnymi, nieubłaganymi ruchami, które oddalają ich od lądu. Jest spokojnie, spokojnie jak na październik, morze jest ciemne i pełne cieni jak czarne powyginane lustro. Gdy tylko jednak wypływają poza falochron i widzą latarnię, wznoszącą się niczym gruba szyja w kryzie piany, nadciągają ku nim fale i unoszą łódź w równym, nieznośnym rytmie. Ojciec uśmiecha się i patrzy na syna, wiosłuje i nie odrywa od niego oczu, fale przetaczają się pod nimi, nic już nie jest nieruchome, nie ma ani jednego punktu, którego można by się przytrzymać, nie jest nim nawet ojciec, który uśmiecha się, wiosłuje, zabiera ich na pełne morze, mają płynąć jeszcze dalej, wkrótce wyspę ledwie widać jako płaskowyż we mgle. Arnold zamyka usta i z trudem łapie powietrze. Jest zamknięty w samym sobie. Fale wywołują w nim ciepłe mdłości. Zrywa opatrunek, zagryza w sobie krzyk, wyrzuca brudny kawałek płótna do wody i wciąga powietrze urywanymi, błogosławionymi haustami. Ojciec patrzy na niego, uśmiecha się, wiosłuje, jeszcze nie dopłynęli na miejsce. Arnold ostrożnie dotyka nosa, który jest obolały, miękki i krzywo osadzony na twarzy. – Przypominasz teraz boksera – mówi nagle ojciec. Arnold patrzy na niego zdziwiony. – Boksera? Naprawdę? – Tego, którego zdjęcie było w gazecie. Nie pamiętasz? – Nie. Kto to był, tato? – Ten, który się boksował w samej Ameryce. Otto von Porat. Arnold na moment zapomina o mdłościach i w zamian czuje niezwykle szczęście. Ojciec się do niego odezwał. Ojciec powiedział, że przypomina boksera. Arnold wymierza cios w powietrze i się śmieje. Boli go aż w czole.

Jest szczęśliwy i czuje ból. Ale w tej samej chwili, gdy ten dobry ból mija, mdłości znów się wzmagają, widzi, że ojciec wiosłuje do tyłu, jak gdyby próbował przycumować łódź do fal. Potem kładzie jedno wiosło na udach i wskazuje na coś za plecami Arnolda. – Patrz teraz uważnie – mówi. Kiedy maszty flagi przetnie kamienny kopiec, a latarnia zrówna się z falochronem, to znaczy, że jesteś we właściwym miejscu. Arnold odwraca się i patrzy, podczas gdy ojciec nie przestaje mówić, już dawno Evert Nilsen tyle nie powiedział, może on również jest szczęśliwy w tych chwilach spędzanych z synem. – To nasze znaki, Arnoldzie. Maszty flagi, kopiec kamieni, latarnia morska i falochron. Są jak gwiazdozbiór.

Kiedy dookoła są tylko wiry i chaos, te znaki stoją w jednym miejscu. Nie zapomnij tego, Arnoldzie. Arnold mruży więc oczy i patrzy, patrzy na te znaki tworzące ów niezwykły wzór, na ten obraz, który przestanie istnieć, jeśli przesuną się o jeden ruch wiosł w tę czy tamtą stronę. A im dłużej wpatruje się w znaki, tym bardziej robi mu się niedobrze, uświadamia sobie bowiem, że ze wszystkiego na świecie on jeden nie potrafi znieruchomieć. – Coś ty takiego powiedział nauczycielowi Holstowi? – pyta nagle ojciec.

Arnold musi się zastanowić. – Powiedziałem tylko, że ma dupę większą niż halibut. Ojciec śmieje się głośno. – Większą niż halibut! Naprawdę powiedziałeś tak tej nadętej wydrze? – Tak! – woła Arnold. Dwa razy! Powiedziałem to dwa razy! Arnold patrzy na ojca. Są daleko od obowiązujących zasad. Są tylko oni. Są wolni, byłiby wolni, gdyby nie fale i mdłości. Ojciec znów milknie, Arnold siedzi tak nieruchomo, jak tylko potrafi, nie chce bowiem popsuć tej chwili. Ojciec jednak pyta: – No a co ci powiedział pastor?

Arnold znów musi się namyślić. – Powiedział, że mam czcić matkę i ojca. – Naprawdę pastor tak powiedział? – Tak. Że mam czcić ciebie i Aurorę. I w momencie gdy Arnold to mówi, zaczyna wymiotować. Zwraca wszystko, co ma, prosto na kolana ojca, ojciec przeklina i podnosi rękę, jakby chciał go uderzyć, Arnold zaś musi wymiotować jeszcze raz, płacze i rzyga, a przez błonę łez widzi, że znaki znikają. Wszystko się od siebie oddala. Wypadł z rytmu. Osuwa się na dno łodzi i zamyka oczy. – Teraz już nie za bardzo przypominam boksera – szepcze.

Ojciec wiosłuje do brzegu. Do końca dnia milczy. Aurora wystawia jedzenie na stół.

Arnold nie ma siły jeść. Kładzie się wcześniej. Jeszcze go huśta. Przyniósł fale do domu.

Łódź to łódź. Wiezie Arnolda. Wiezie Arnolda do znaków ze snu.

Następnego dnia ojciec budzi go wcześniej rano. – Odszukaj znaki – mówi ojciec. Znów wypływają w morze. Kiedy znajdą się poza falochronem, ojciec zamienia się z Arnoldem na miejsca i oddaje mu wiosła. Arnold wiosłuje. Fale go spychają. Arnold wiosłuje i patrzy. Ojciec nie odrywa od niego oczu. Wiosła zagarniają powierzchnię wody jak olbrzymie gładkie łyżki. Arnold odwraca się i patrzy w stronę lądu. Ale znaki nie stoją tam, gdzie powinny. Przesuwają się. Kamienny kopiec znalazł się przed masztem flagi, latarnia morska zapadła się w morze, fale burzą falochron, kamień po kamieniu.

Gwiazdozbiór rozsypał się na wszystkie strony. Arnold myśli: Mój znak jest wszędzie!

Wszędzie jest mój znak! Kierunek wskaże mi mój krzywy nos! Ojciec łapie go za ramię. – Dalej! – mówi. Arnold więc wiosłuje jeszcze dalej. Podejmuje decyzję. Tym razem mu się uda. Jest wiosłarzem. Arnold wiosłarzu! Wiosłuje naprzeciw falom. Wiosłuje przez fale.

Wiosłuje w wichurę. Wiosła to nie łyżki, tylko drzewa! A pióro wiosła jest koroną drzewa, która odpycha się od nieba. Ale znaków nie może znaleźć. Znaki nie istnieją.

Mimo wszystko nic nie stoi nieruchomo. Wiatr podgryza skały, wkrótce zostanie z nich tylko kurz na powierzchni morza, jak ślad zostawiony przez muchę na parapecie okna.

Ojciec coś woła, ale go nie słyhać. Pokazuje coś, ale nie ma nic do zobaczenia. Arnold wiosłuje wśród deszczu i piany. Wiosłuje z otwartymi ustami, łyka morze i je wypluwa, to morze, na którego dnie stał i układał najskrytsze plany. Ojciec ściąga go z ławki, odbiera mu wiosła i kieruje łódź z powrotem w stronę lądu. Arnold leży między jego wielkimi butami. Sika w majtki. Płacze. Ojciec odsuwa go kopniakiem. – Czyś ty kompletnie oszalał, chłopcze? – woła. Chciałeś zniszczyć moją łódź? Arnold nie ma siły nic powiedzieć. Ojciec wiosłuje długimi pociągnięciami. Ojciec klnie i wiosłuje. Arnold podnosi się i ku swemu zdumieniu widzi, że morze jest gładkie jak lustro. Na samym krańcu falochronu stoi Aurora. Jest czarnym cierpliwym cieniem. Arnold schodzi na ląd już na dobre. Idzie za matką do chaty, słyszy śmiech chłopców koło szkoły. – Nie przejmuj się – szepcze matka. – Wcale się nie przejmuję – odpowiada Arnold i zaciska zęby. – Znów się pochorowałeś? – pyta matka. Arnold nie odpowiada. Jest szczurem lądowym otoczonym morzem. Cierpiącym na chorobę morską mieszkańcem wyspy. – Mój ojciec – mówi Aurora – też chorował na morzu. Co dzień chorował na morzu i rzygał. Śmieje się, to dziwny śmiech, i bierze Arnolda za rękę. On milczy, bo nie wie, czy to pociecha, czy groźba. Nie, to nie groźba, ale też i marna pociecha.

A pewnego dnia Arnold siedzi na kei i oprawia ryby. Ojciec jest na morzu. Arnold unosi nóż. Nóż ciąży mu w rękę. Czas płynie powoli i opornie. Starzy mężczyźni mają na niego oko. Podśmiewają się z niewyrośniętego chłopca. Opowiadają historie, które zawsze sobie opowiadali. Wkrótce będą opowiadać historie o Arnoldzie. Bo kiedy na moment odwracają wzrok, może dlatego, że akurat podchodzi do nich ten leń Niedolus, żeby dostarczyć im złych wieści, Arnoldowi nóż ześlizguje się prosto w palec, aż do kości, palec wisi na włosku, na skrawku mięsa, ale Arnold nie krzyczy, jest całkiem cicho, tylko zdumiony patrzy na rękę, na palec wskazujący, z którego krew tryska gęstymi porcjami, słyszy, jak nóż upada na ziemię, jak tamci mężczyźni wstają, a Niedolus wrzeszczy tak, że słyhać go na całej wyspie: – Kółko uciął sobie palec! Kółko uciął sobie palec!

I właśnie to Arnold pamięta, kiedy budzi się z dziewięcioma palcami: to, że nazwali go Kółkiem. Arnold jest Kółkiem i nie chce już się nazywać inaczej. Wszystko, co pędzi przez świat, ma koła: samochody, pociągi, autobusy, ba, nawet statki mają koła, i czyż morze nie jest jednym wielkim kołem toczącym się od brzegu do brzegu, czy Ziemia nie jest także lśniącym niebieskim kołem, które kręci się w ciemnościach wszechświata? Nikt bowiem nie mógł zapomnieć tego, jak Arnold toczył się jak człowiek-kółko w dół najbardziej stromego zbocza, a Arnold też nie zapomniał obietnicy, którą sam sobie złożył, kiedy stał na dnie morza, dźwigając na barkach fale, że odejdzie stąd, z tej wyspy, bez względu na to, ile to będzie kosztować. Nie wie, dokąd pójdzie, wie tylko to: musi odejść.

Jest kołem i nie może zostać. Jego dom jest w drodze. Tak został stworzony. I pewnej nocy wymyka się z chaty. Zostawia list do matki. Ojciec wypłynął na połów w głąb fiordu.

Noce zaczynają stawać się jaśniejsze. Od paru tygodni pisał ten list, starał się dobrać odpowiednie słowa i ustawić je we właściwym porządku. List jest krótki, bo Arnold Nilsen z natury nie lubi się rozpisywać. Matka go przeczyta, kiedy następnego dnia rano wstanie wcześniej i przez chwilę zdziwi ją wielka cisza panująca w małej chacie. Potem zobaczy kartkę na kuchennym stole. *Droga matko. Wyruszyłem w swoją drogę. Wróćę, gdy nadejdzie czas, albo nigdy. Łódź znajdziecie po drugiej stronie. Pozdrów mego ojca.*

Serdeczne pozdrowienia Arnold.

Arnold wymyka się na jaśniejącą noc. Prędko schodzi na keję. Tuss biegnie za nim, zdziwiony i uradowany. Arnold głaszcze psa i przegania go z powrotem do domu. Zabrał ze sobą chleb, monety, które oszczędzał przez dwa lata, i łyk ojcowskiej wódki. Rozgląda się dokoła. Widzi wszystko, co wkrótce opuści. Odwiązuje cumę, noc jest cicha, a jego serce grzmi. Arnold płacze, z radości i ze smutku. Czuje się przytłoczony samym sobą.

Przerósł samego siebie. Wkrótce nie starczy dla niego miejsca. A gdy wiosłuje i żegluje, z dziewięcioma palcami, ku stałemu lądowi, śpiewa, żeby nie słyszeć własnego płaczu, *Bóg Bogiem będzie, choć wymrze ludzkie plemię, Bóg Bogiem będzie, choć zginą wszystkie ziemie.* O tej przeprawie wciąż krążą opowieści, o pokonaniu najostrzejszych, najgroźniejszych prądów, to prawdziwie męski czyn, to cud, Arnoldowi musiał tej nocy trzymać wiosła Wszechmogący, być może właśnie to łagodzi wściekłość i żal ojca, jego półsyn potraktował morze jak mężczyzna i stał się w ten sposób legendą.

Wieczorem trzeciego dnia Arnold staje przed kościołem w Svolveer, wszystko tu jest większe, niż sobie wyobrażał. Ludzie mieszkają jedni nad drugimi w domach z kamienia.

Słupy latarni stoją gęsto jak las, a w oknach sklepów jest elektryczne światło. Arnolda dziwi jednak, że jest tak cicho, że miasto może być takie ciche. Może w miastach o tej porze już śpią, myśli Arnold, żeby mogli być wypoczęci na noc, bo w miastach wszystko jest odwrotnie, słońce zachodzi, kiedy ludzie się budzą. Nagle jednak słyszy, że ktoś się zbliża, musi to być wielka gromada, bo ziemia drży mu pod stopami. Arnold odwraca się i widzi całą procesję, która mija go, idąc przeciwnym chodnikiem, uczestniczą w niej dorośli i dzieci, rybacy i właściciele ziemi, kobiety i mężczyźni, psy i koty, najprzeróżniejsi ludzie, a jakby jeszcze i tego było mało, z kościoła wychodzi we własnej osobie pastor, ciężkie drzwi zatrzasują się za nim, a on podciąga sutannę, żeby się o nią nie potknąć, biegnie jak kobieta i przyłącza się do tego dziwaczного zgromadzenia, które skręca z głównej ulicy w stronę kei. Arnold chowa się za słupem latarni, pastor go nie zauważa. Potem Arnold również idzie za nimi. Zmierzają za keję. Tam, na wysypanym żwirem placu, między przetwórniami a silosem, stoją kramy i karuzele, lampy świecą najprzeróżniejszymi kolorami, mechaniczne konie biegają w koło, na środku rozbity jest wielki namiot, umocowany na niebie do haczyka, którym jest księżyc, a nad złocistymi wrotami Arnold odczytuje napis: *CYRK MUNDUS*. Widzi, że wszyscy muszą płacić umundurowanemu panu z cienkimi wąsami zakręconymi pod nosem, a potem wlewają się do środka, krzyczą, biją się, przepychają jeden przez drugiego, żeby zająć jak najlepsze miejsce. Arnold zostaje na zewnątrz, w błocie, na skraju dawnego boiska. Wkrótce słyszy orkiestrę, parskanie koni, ryk słoni, wystrzały, śmiech i trzaskanie batem. Podkrada się bliżej. Nikt już nie pilnuje wejścia. Człowiek w mundurze odszedł. Arnold na moment zatrzymuje się przed bramą i po raz ostatni rozgląda się dokoła. Obok na słupie wisi plakat. Jest tu słynny człowiek wąż, Der Rote Teufel. Są połykacze noży i poskramiacze lwów, potworki i królowe piękności, a przede wszystkim jest tu najwyższy człowiek świata, sławny Islandczyk Paturson. Arnold

nabiera powietrza i wślizguje się do środka.

Przemyka się między kramami i namiotami. Konie na lśniącej karuzeli jadą same. Czy nie o tym właśnie śnił, czy nie za tym tęsknił? Czyż nie tutaj właśnie pragnął się znaleźć?

Dotarł do celu. Zatrzymuje się przed namiotem, na którym jest tablica z napisem: *Mundus vult decipi*. Czyta powoli: *Mundus vult decipi*. Dziwne dźwięki. Mowa karmazynów i halibutów na głębokości tysiąca metrów. Rozsuwa zasłonę, lecz jeszcze nim zdąży coś zobaczyć, jakaś ręka wyciąga go stamtąd i obraca dokoła. Wąsaty mężczyzna w mundurze patrzy na niego z góry. – I dokąd to się wybierasz? Mężczyzna mówi po norwesku. Pochyla się niżej. – Szukam rodziców – odpowiada prędko Arnold. – Ach tak. Zgubiłeś się?

Arnold się uśmiecha. Już się nie boi. Tak łatwo jest kłamać. Słowa zostają mu włożone do ust i stają się prawdą. – Tak – szepcze Arnold. Zgubiłem się rodzicom. Ale te słowa, będące zarówno prawdą, jak i kłamstwem, w zależności od tego, jak się na nie spojrzy, mają inne następstwa niż te, na które Arnold miał nadzieję. Mężczyzna w mundurze unosi bowiem całego Arnolda w powietrze. – Nazywam się Mundus – mówi ten człowiek.

A u Mundusa nikt nie zgubi swoich najbliższych! Z tymi słowami wnosi Arnolda wprost do wielkiego namiotu. Der Rote Teufel właśnie przesuwą głowę między nogami, zawieszony na trapezie pod kopułą, wszyscy patrzą w tamtą stronę. Składa się wpół i wygląda spomiędzy ud, teraz przytrzymuje się tylko jedną ręką, a widzom dech zapiera w piersiach i ledwie mają odwagę patrzeć. Dobosz wygrywa na bębnach niekończące się solo. Nagle z góry dobiega głośny trzask i na trapezie zapanowuje niepokój. To haftowany złotem trykot, w którym występuje Der Rote Teufel, pękł w najniebezpieczniejszym miejscu.

Przez chwilę większość ludzi sądzi, że to również było w programie numeru, prędko jednak dociera do nich, że oto dzieje się skandal nad skandale i że Czerwony Diabeł nie otrzymał swego imienia przypadkowo, gdyż zapach, który jest nie do pomylenia z niczym innym, wypełnia namiot, a nieszczęsny człowiek wąż zostaje ściągnięty na dół, z białymi okrągłymi pośladkami, przypominającymi okaleczony księżyc, tuż nad czerwieniejącą ściśniętą twarzą. Wybucho ogłuszający koncert gwizdów, mężczyźni w ostatnich ławkach wstają i ciskają w Teufla papierowymi kulami i grudkami ziemi, i właśnie wtedy Arnold Nilsen ma okazję zadebiutować, Mundus bowiem rozumie, że przedstawienie wkrótce może wyrwać się spod kontroli, dlatego niesie Arnolda na arenę i podnosi go wysoko do góry, wokół areny zapada cisza, rozjuszeni, hałasujący rybacy jeden po drugim siadają i Mundus zabiera głos: – Panie i panowie! – woła. Ten mały panek, którego trzymam na rękach, zgubił gdzieś swoich rodziców! Czy jego rodzona matka i ojciec mogą nam się w tej chwili pokazać, aby rodzina mogła znów się połączyć na oczach wszystkich, zanim wyjdzie do was najwyższy człowiek świata?

Znów zapada zupełna cisza. Arnold widzi twarze, które otaczają go niemal ze wszystkich stron. Gapią się, z otwartymi ustami. Najbliżej siedzący widzowie wychylają się do przodu i prawie go dotykają. Pastor już chce wstać, lecz jednak nie rusza się z miejsca, zasmucony i pełen wątpliwości. Może ktoś przez chwilę sądzi, że to również fragment przedstawienia, bo publiczność znów zaczyna się śmiać, śmiech się rozprzestrzenia i wkrótce namiot wypełnia się tym śmiechem, ludzie klaszczą i tupią nogami. Jedynie pastor zachowuje spokój, wciąż wpatruje się w Arnolda i nie wie, czy ma się śmiać, czy płakać. Mundus kłania się nisko, robi rundę po arenie przy wtórze niecichnących oklasków, a w końcu znosi Arnolda ze sceny, sadza go i czym prędzej znów wychodzi. Jest prawie całkiem ciemno. Świeci się tylko mdła lampka nad lustrem. Arnold ani drgnie. Słyszy z areny fanfary i bicie w bęben. Potem słyszy coś jeszcze. Ciężkie kroki, ziemia pod nim drży, a krzesło, na którym siedzi, się trzęsie. To wcale nie słoń się zbliża.

To człowiek i Arnold musi się mocno przytrzymać, rozumie bowiem, że oto widzi ni mniej, ni więcej, tylko najwyższego człowieka świata. A najwyższy człowiek świata musi chodzić z pochyloną głową, żeby się zmieścić. Twarz ma długą i smutną. Nos rzuca dookoła cienie. Ubrany jest w czarny garnitur, a jego krawat jest dłuższy od księżycowej ścieżki na morzu. Nadchodzi w towarzystwie jakiejś pani w krótkiej sterczącej spódnicy i błyszczącej czapeczce na głowie. Ona jest z pewnością całkiem normalna, lecz sięga mu tylko do sprzączki przy pasku, i to ledwie. Najwyższy człowiek świata zatrzymuje się przy ciężkiej złotej kurtynie. Tam pochyla głowę jeszcze niżej i wtedy towarzysząca mu pani puszcza jego wielką dłoń. Muzyka cichnie. Wszystko cichnie, pozostają jedynie prędkie terkot bębna i najgłębszy głos Mundusa: – Panie i panowie! Powitajcie serdecznie mężczyznę, którego na kongresie medycznym uznano za najwyższego człowieka na świecie, Islandczyka Patursona z Akureyri! Ma dwa metry i siedemdziesiąt trzy centymetry wzrostu, ale wtedy, gdy się go zmierzy bez butów! Paturson prostuje się i wychodzi na arenę.

Niektórzy krzyczą, niektórzy się śmieją, niektórzy wzdychają z podziwem, większość jednak milczy, bo człowieka podobnego wzrostu nigdy nie widzieli. Tymczasem pani w śmiesznym kapelusiku dostrzega Arnolda. – Kto ty jesteś? – pyta. – Arnold – mówi Arnold. Teraz pani się uśmiecha, przekrzywia głowę i podchodzi bliżej. – A co ty tutaj robisz, Arnoldzie? – Czekam na Mundusa – odpowiada. Pani wygląda przez szparkę w kurtynie i nagłym gestem przywołuje Arnolda do siebie. On zeskakuje z krzesła i staje obok niej. Czuje, że pani wtyka mu coś do ręki. To czekoladka. Arnold wkłada ją do ust, zanim ktoś zdąży mu ją odebrać, długo ssie, w środku czekoladki jest coś jeszcze bardziej miękkiego, co roztopia mu się na języku i od czego prawie mu się robi słabo. Dostaje jeszcze kawałek. – Jestem Czekoladową Dziewczyną – szepcze pani i szybko całuje go w policzek. Patrz teraz, Arnoldzie. I Arnold patrzy, i widzi, że Paturson stoi na arenie odwrócony do niego plecami. Mundus mierzy go srebrną miarką, musi wejść na drabinę, żeby sięgnąć do ostatnich centymetrów. Potem pokazuje miarkę siedzącym najbliżej, tak by na własne oczy mogli zobaczyć dokładny wzrost Patursona: 2,73! Wszyscy klaszczą, a Mundus znów staje obok olbrzyma, ujmuje go za prawą dłoń, wielką jak łopata, i ze wskazującego palca ściąga obrączkę. – On jest żonaty? – pyta Arnold. Czekoladowa Dziewczyna tylko kręci głową ze śmiechem. – Pst – mówi. Mundusowi udaje się zdjąć obrączkę i pokazuje ją publiczności. Potem wyjmuje srebrną dwukoronówkę i przesuwą ją przez obrączkę, wszyscy teraz widzą, że obrączka jest taka duża, że moneta się w niej mieści. To wręcz niewiarygodne, widzowie wybuchają entuzjazmem, ale Mundus najlepsze zachował na ostatek. Zaprasza dwie dziewczyny z pierwszego rzędu, rumieniąc się, wychodzą za nim na arenę. Wolno im dotknąć Patursona, żeby nikt sobie nie pomyślał, że on nie jest z prawdziwej krwi i kości. Potem siadają mu na rękach, jakby przysiadły na gałęziach wielkiego drzewa, ale teraz to już nie dziewczyny się czerwienią, tylko Paturson, policzki mu płoną, zawstydzony spuszcza głowę, dziewczyny

natomiast huśtają się ze śmiechem i machają tak, że widać je aż na krańcu miasta. Paru chłopów z ostatniego rzędu chce się siłować na rękę z nieśmiałym olbrzymem, lecz Mundus w tym miejscu mówi stop.

Ktoś mógłby zostać ciężko poturbowany. Zamiast tego każe wprowadzić stolik na kółkach, nakryty haftowanym obrusem. Przyciąga go do siebie jak czarodziej i odkrywa kolację Patursona, na którą składają się ni mniej, ni więcej, tylko tuzin jajek na miękko, czternaście bułek, pieczeń wieprzowa, trzy kilo ziemniaków, osiemnaście suszonych śliwek i dwa litry mleka. Wszystko to Islandczyk pochłania na oczach zadziwionej widowni. W czasie, gdy Paturson je, Mundus podchodzi bliżej publiczności i składa ręce przed sobą. – Panie i panowie – mówi. Nasz islandzki przyjaciel pochodzi z ubogiej rybackiej chaty w Akureyri i, jak rozumiecie, jego wzrost przysparza mu wielu problemów. Pragnąłby powrócić do domu i zająć się rybołówstwem razem z rodziną. Nie pasują jednak na niego ubrania, a przybory do łowienia ryb normalnej wielkości wymykają mu się z rąk. Nawet sznurówki musi sprowadzać z zagranicy. Dlatego przygotowaliśmy trochę kart, z którymi Paturson obejdzie teraz widownię i które będzie można od niego kupić. Im więcej kart państwo kupią, tym większe przybory do łowienia i tym dłuższe sznurówki będzie mógł sobie sprawić. Potraktujcie go serdecznie!

Najwyższy człowiek świata ociera usta prześcieradłem, a potem cicho krąży między rzędami krzesel ze swoimi kolorowymi kartami, niewielu jednak znajduje się chętnych do zakupu, bo przecież już zapłacili pięćdziesiąt øre za wejście, tylko pastor wkłada w rękę Patursona dwie monety. Przedstawienie skończone. Orkiestra gra głośniej. Paturson wycofuje się ze sceny i znów zajmuje się nim Czekoladowa Dziewczyna. Mundus wbiega za kurtynę. Jest rozgniewany i wściekły. – Gdzie ten przeklęty Teufel! – krzyczy. Dam mu Teufła! Wybiega, ale zaraz wraca i ponuro patrzy na Arnolda. – Jeszcze tu jesteś? Arnold kiwa głową. Nie może temu zaprzeczyć. Boi się, że Mundus go wyrzuci, lecz ten wzdycha ciężko ze smutkiem, zapala cygaro i zmęczony siada. – Co to za nędzny cyrk – mówi.

Akrobaci pierdzą, aż pękają im trykoty, i nikt nie chce kupować kart, które wydrukowałem. – Pastor kupił – szepcze Arnold. – Tak, tak. Pastor kupił, a mnie zostało trzysta czterdzieści osiem kart! Czy tu mieszkają same skąpiradła bez serca? Mundus wydmuchuje dym spod wąsa i odgania go ręką. Arnold się zastanawia. – Może nie powinno mu się wcześniej dawać całego tego jedzenia – mówi ostrożnie. Mundus znów na niego patrzy. – Co masz na myśli? – Nie jest im go żal, kiedy tyle zje – mamrocze Arnold.

Mundus wstaje. Wyrzuca cygaro przez drzwi i uśmiecha się. – Jak masz na imię, chłopcze? – pyta. – Arnold. W tej samej chwili wchodzi Czekoladowa Dziewczyna.

W rękę trzyma żarzące się cygaro i zdumiona patrzy na Mundusa, który wskazuje na Arnolda. – Arnold ma rację! – woła Mundus. Dlaczego, na litość boską, nikt nie powiedział, że Paturson nie powinien jeść na oczach wychudzonej publiczności, zanim zaczniesz sprzedawać karty? Odwraca się do Czekoladowej Dziewczyny. – Położyłaś go?

Czekoladowa Dziewczyna kiwa głową i cmoka cygaro. Mundus wyrywa je i jeszcze raz wyrzuca. – Poszukaj miejsca, gdzie Arnold też mógłby się przespać.

Czekoladowa Dziewczyna bierze więc Arnolda za rękę i wyprowadza z namiotu, idą błotnistą ścieżką między kramami. – Wydaje mi się, że znalazłeś włos słonia – szepcze do niego. Arnold nie całkiem rozumie. – Czy słon ma włosy? – Tak – odpowiada Czekoladowa Dziewczyna. Ale tylko na ogonie. Szybko całuje go w usta, a Arnoldowi znów robi się słabo. – Będziesz spał u Patursona. Ale ja mieszkam w wozie obok. Gdyby coś się działo.

Zatrzymuje się przed jednym z wozów, ostrożnie otwiera drzwi i wpuszcza Arnolda do środka. To tutaj śpi Paturson. Śpi głęboko. Połączono dwa łóżka, żeby się zmieścił. Arnold ma się położyć na podłodze obok. Czekoladowa Dziewczyna daje mu koc. – Mieszkam w sąsiednim wozie – szepcze. Gdyby coś się działo. Wychodzi w pośpiechu. Arnold stoi przez chwilę w nędznym świetle i przygląda się najwyższemu człowiekowi świata. Twarz na białej poduszce jest wielka i samotna. Paturson używa trzech kołder, lecz one i tak nie wystarczają. Skarpety się podarły i palce stóp sterczą na wszystkie strony. Są większe niż uda Arnolda i przypominają bukiet z płatkami krzywych żółtych paznokci. Nagle Arnold widzi, że kurtka Patursona wisi na gwoździu za łóżkiem. Zdejmuje ją i mierzy. Guziki sięgają mu aż do butów, a rękawy są takie długie, że prawie gubi w nich swoje dłonie.

Może się wybrać na długą wycieczkę po wnętrzu tej kurtki. Paturson obraca się na łóżku.

Arnold wstrzymuje oddech. Trochę trwa, zanim najwyższy człowiek świata się obróci. Na moment jakby cały świat się przechyliła. Arnold wygrzebuje się z kurtki, odwiesza ją na miejsce i czuje, że w jednej kieszeni coś jest. To srebrna miarka. Arnold odwraca się do łóżka. Paturson wciąż śpi bez jednego dźwięku. Arnold zaczyna więc od najdłuższego palca u nogi i rozwija błyszczącą taśmę aż do czubka włosów Patursona. Patrzy na cyfrę.

Najwyraźniej źle zmierzył, powtarza więc wszystko, ale tym razem odwrotnie, od głowy do stóp. Żeby mieć pewność. Ale otrzymuje dokładnie ten sam wynik. Paturson nie ma wcale 2,73 wzrostu, tylko 2,04. Arnold odkłada miarkę z powrotem do kieszeni. Jest zdziwiony, lecz właściwie nie czuje zawodu. Zaczyna coś rozumieć, coś, z czego jeszcze nie zdał sobie sprawy, lecz powoli się domyśla, czuje jakiś cień w głowie, kłamstwo.

Arnold przekrada się do wozu, w którym śpi Czekoladowa Dziewczyna. Budzi ją. – Coś się dzieje – mówi Arnold. Dziewczyna siada i uśmiecha się. – Co takiego, Arnoldzie? – pyta. – Paturson nie ma dwóch metrów i siedemdziesięciu trzech centymetrów wzrostu.

Czekoladowa Dziewczyna już się nie uśmiecha. – Co powiedziałeś, Arnoldzie? – Ma tylko dwa metry i cztery centymetry. Zmierzyłem go! Czekoladowa Dziewczyna łapie Arnolda i kładzie mu palec na ustach. – Paturson ma dwa metry i cztery centymetry, kiedy leży – mówi. A kiedy stoi wyprostowany, ma dwa metry i siedemdziesiąt trzy centymetry!

Mundus decyduje, ile wzrostu ma Paturson. Rozumiesz? Ale myśli wchodzi teraz do głowy Arnolda powoli i nie docierają na miejsce. – Ile masz lat? – pyta tymczasem Czekoladowa Dziewczyna. A Arnold dopiero teraz widzi, że jest prawie naga. – Szesnaście – mówi prędko. Ona się śmieje. – Szesnaście? A ile masz lat, kiedy leżysz?

Przyciąga Arnolda do siebie i obejmuje go, Arnold rośnie w jej ramionach, a ona wyjaśnia mu prawie wszystko.

Wie już teraz, co oznacza włos słonia.

Następnego dnia rano Arnold stoi w wozie samego Mundusa, największym w całym cyrku, z własnymi schodkami, zasłonkami i kominem, Mundus siedzi w łóżku z baldachimem i je śniadanie. Ma na sobie bordowy szlafrok, a wąsy wiszą pod nosem w skórzanym futerale. Białą serwetką wyciera żółtko jajka z kącika ust. – Skąd jesteś? – pyta Mundus. – Znikąd – odpowiada Arnold. Mundus patrzy na niego. – Znikąd? Wszyscy są skądś, Arnoldzie. – Ja nie. – Może wobec tego jesteś aniołkiem, który do nas przyfrunął? Arnold nie odpowiada. Może i tak. Może być aniołkiem. Mundus wzdycha, odstawia na bok tacę ze śniadaniem i wyjmuje cygaro. – Nie chcemy, żeby węszyła za nami policja, prawda? – Pastor wie, gdzie jestem – mówi Arnold. Wszystko mu powiedziałem.

Nagle słyszy ciężkie kroki na zewnątrz. Odwraca się do okna i widzi, że to Paturson przechodzi obok, razem z Czekoladową Dziewczyną, która okrywa go wielkim kawałem brezentu, gdy zbliżają się do bramy. Mundus podnosi się z łóżka i staje obok Arnolda. – Nie chcemy, żeby ktoś w mieście oglądał go bezpłatnie – mówi i długą zapałką przypala cygaro. Arnold patrzy, jak najwyższy człowiek świata idzie na spacer okryty brezentem, i na ten widok coś się w nim budzi. – Słyszałeś o Barnumie? – pyta nagle Mundus. Arnold kręci głową, ledwie go widzi zza dymu. – Barnum był królem Ameryki, Arnoldzie. Był większy niż Aleksander Wielki i Napoleon razem wzięci! Arnold podchodzi bliżej. – Większy nawet niż Paturson? Mundus śmieje się i kaszle. – Tak, większy nawet niż Paturson! Bo Barnum zrobił ze świata własny cyrk! Cały świat był jego areną, a niebo – płachtą namiotu, którą nad nimi rozpinał! Mundus wzrusza się swoją przemową. – Barnum pragnął uszczęśliwić ludzi – szepcze. Chciał, żeby się śmiali, drżeli, rozdziawiali gęby i tańczyli! A czy pojedynczy człowiek może mieć szlachetniejszy cel? Czekoladowa Dziewczyna prowadzi Patursona z powrotem. Macha ręką Arnoldowi. Mundus kładzie mu rękę na ramieniu. – Wiesz, co znaczy *Mundus vult decipi*? – pyta. Arnold się uśmiecha.

Wie już teraz prawie wszystko. – Świat pragnie być oszukiwany. Mundus jest zdumiony. – A możesz mi powiedzieć, co znaczy *Ergo decipiatur*? – Niechaj więc będzie oszukiwany – odpowiada Arnold. Mundus musi odłożyć cygaro. – A możesz mi na koniec powiedzieć, co jest większe od Patursona z Islandii? Arnold się zastanawia. – Bóg? – proponuje. Mundus kręci głową. – O nie. Bóg jest o cztery centymetry niższy od Patursona. – Barnum – próbuje Arnold. Mundus pochyła się tuż nad nim. – Fantazja, Arnoldzie! Największa ze wszystkiego jest fantazja! Bo najważniejsze jest wcale nie to, co widzisz. Tylko to, co wydaje ci się, że widzisz. Zawsze o tym pamiętaj. Mundus siada na łóżku, lecz nie odrywa oczu od Arnolda. – Obróć się – mówi. Arnold się odwraca i staje do niego plecami. – Dookoła! – woła Mundus. Arnold obraca się dookoła i widzi, że Mundus włożył okulary. – Tak, tak, mój kochany. Powiedz mi teraz, co potrafisz! – Potrafię być kółkiem – mówi Arnold, toczy się po podłodze i wstaje. Mundus nie jest zadowolony. – Kółek mamy dosyć, Arnoldzie. Mam tylko dziewięć palców – mówi Arnold i wyciąga w górę obie ręce. Mundus wzrusza ramionami i tym też raczej nie jest zainteresowany. – Mam gorsze potworki do pokazania. – Potrafię być pozornie umarły – mówi Arnold. – Pozorna śmierć to już za stary numer. Publiczność ma tego dość. – Jestem szczerze obdarzony – szepcze Arnold w końcu. Mundus szeroko otwiera oczy. – Szczerze obdarzony? A kto tak powiedział? Arnold spuszcza wzrok. – Doktor.

I Czekoladowa Dziewczyna – dodaje prędko. Mundus macha ręką. – Zostaw mnie w spokoju – mówi. Musi się zastanowić.

Arnold posłusznie wychodzi. Rozgląda się dokoła. Jest jeszcze rano. Widzi, że wszyscy mają swoje miejsca. Widzi, że wszyscy robią swoje, i że robią to razem. Poskramiacze zwierząt, stolarze, muzycy, klauni, kucharze i akrobaci pracują, ćwiczą, śpiewają, szykują się do wieczornego występu. I Arnold wie, że on również musi znaleźć swoje miejsce wśród tych ludzi, wśród znoju i śpiewu.

Nagle jednak widzi co innego. To Czekoladowa Dziewczyna. Stoi odwrócona plecami i wyciąga się ku sznurowi do bielizny, rozpiętemu pomiędzy dwoma wozami. Wieszka na nim haftowany złotem trykot, migoczący i błyszczący w słońcu, ten, w którym występuje Der Rote Teufel. Arnold chce do niej podejść, ale zjawia się Der Rote Teufel we własnej osobie. Obejmuje Czekoladową Dziewczynę i całuje ją w kark. Ona trochę się opiera, lecz jej opór jest niewiele wart, bo zaczyna się śmiać. A Der Rote Teufel dalej ją całuje i ciągnie ku głębokim cieniom przy namiocie. Arnold słyszy, jak śmiech rozplywa się w śmiechu. Arnold się kuli. Arnold robi się jeszcze mniejszy. Słonie są łyse. Dla niego nie ma już więcej szczęścia. I myśli, że ścieżki śmiechu są niezgłębione, śmiech zawsze jest inny i nigdy do siebie niepodobny. I postanawia, że zrobi listę śmiechu. Zacznie od matki, od jej ostrożnego śmiechu, kiedy stała na wietrze i śmiała się, jak gdyby słony wiatr ją laskotał. Ale kto będzie miał numer dwa, tego nie wie, bo nagle uświadamia sobie, że nigdy nie słyszała, by ojciec się śmiał. I postanawia, że zrobi listę śmiechu. Zacznie od matki, od jej ostrożnego śmiechu, kiedy stała na wietrze i śmiała się, jak gdyby słony wiatr ją laskotał. Ale kto będzie miał numer dwa, tego nie wie, bo nagle uświadamia sobie, że nigdy nie słyszała, by ojciec się śmiał.

I Arnold podkrada się do sznura od bielizny. Trykot Der Rote Teufela jest naprawiony, ma wielką skórzaną łatę na tyłku. Arnold wstrzymuje oddech. Prędko podnosi rękę, wyskubuje jedną nitkę i wyciąga ją ze szwu.

Wieczorem tego samego dnia Mundus stoi na środku areny, obok szerokiej zasłony z czarnego jedwabiu, a w namiocie jest zupełnie cicho, wszyscy bowiem wiedzą, że zaraz otworzy swoje słynne panopticum. Mówi cicho, ale wszyscy go słyszą. – Proszę, aby dzieci i inne delikatne istoty, ciężarne, cierpiący na chorobę morską, hipochondrycy i ci, co boją się ciemności, zaraz opuścili namiot i poszli nabrać sił razem z pełną wdzięku łaskawą Czekoladową Dziewczyną przy Kole Fortuny! Wśród publiczności daje się wyczuć zaniepokojenie, matki obejmują dzieci, ojcowie obejmują matki i nawet najdzielniejszych rybaków z ostatniego rzędu porusza niewątpliwa powaga chwili.

Wszyscy jednak pozostają na swoich miejscach, tylko trochę bliżej siebie nawzajem, wzdłuż rzędów unosi się westchnienie, kiedy światło przygasa aż do niebieskiego półmroku, a orkiestra wydusza z instrumentów ciszę. Arnold stoi za areną i wszystko to widzi. A potem dodaje i odejmuje, wyolbrzymia i pomija, jest jasnowidzem i jedno z drugim mu się miesza, wszystko zlewa się w jedno, Mundus, Der Rote Teufel, cyrk Arnardo, karły, najwyższy człowiek świata, Czekoladowa Dziewczyna, słonie, niebo i trociny, bo to pierwszy występ Arnolda Nilsena na arenie i tu się zaczynają jego kłamstwa. Ale to, co się teraz dzieje, jest prawdą: Mundus położył rękę na jedwabnej zasłonie i mrocznym, mocnym głosem mówi: – Panie i panowie. Pokażę wam teraz pomyłki Boga. A jeśli jest tu jeszcze ktoś, kto nie wytrzyma ujrzania na własne oczy odpadków dzieła stworzenia, służę solami trzeźwiącymi i innymi dobrymi radami. Mundus pokazuje brązową buteleczkę, odkręca korek i publiczności w pierwszym rzędzie daje do powąchania ostro pachnącą zawartość. Potem znów wkłada buteleczkę do kieszeni i odczekuje jeszcze kilka sekund, w milczeniu, jak gdyby przez moment miał zamiar oszczędzić widzom obłądnego widoku, który zamierza im przedstawić Wiatr uderza w płótno namiotu, ciężka jedwabna zasłona na arenie drży. Jakaś kobieta krzyczy, ale najbliżsi się nią zajmują. Mundus kłania się i wreszcie odciąga zasłonę na bok. Do publiczności szczerzy liczące sobie pięć tysięcy lat zęby egipska mumia. Szkielet krwiożerczego wikinga wstaje z grobu i wywija w powietrzu zardzewiałym mieczem.

Pierwszy rząd z zapartym tchem ciśnie się do tyłu, opierając się na następnej ławce.

Mundus nawołuje do spokoju. Bo to dopiero początek. Podnosi do góry obie ręce. – Historia ze smutkiem przemawia do nas poprzez tych martwych świadków – zaczyna scenicznym szeptem. Nie zapomnijcie o nich podczas wieczornej modlitwy. Milknie i pozwala, aby zwłoki same przemawiały jeszcze przez chwilę. Potem podchodzi bliżej publiczności, wyczuwa bowiem pewne zniecierpliwienie, może ktoś już wcześniej widział te upiory. – Zaraz ujrzycie – mówi jeszcze ciszej. Zaraz ujrzycie nieudane dzieła boskiego stworzenia, odrzuconą przez aniołów zagadkę albo makabryczny żart Diabła. Panie i panowie, powitajcie serdecznie Adriana Jefficheffa z Kaukazu, naszego przerażającego, milczącego krewniaka, potwora między małpą a człowiekiem, *the missing link!* Nie drażnijcie go! Otwarta zostaje kolejna gablota i publiczność uderza w krzyk. Adrian Jefficheff z Kaukazu, wypchany i przywiązany, pustym spojrzeniem patrzy na publiczność, która nie przestaje krzyczeć, bo jego twarz pokrywają grube gęste włosy, ciemne futro, ledwie odsłaniające oczy i usta. Dłonie są tak samo owłosione, paznokcie długie i czarne, a kiedy Mundus rozpina mu koszulę, wszyscy mogą zobaczyć, że Jefficheff jest pokryty gęstym włosom od szyi po pasek spodni. – Czy to jakiś krewniak starego pastora? – krzyczy ktoś z ostatniego rzędu. On też ma mnóstwo włosów na piersi! Namiot wypełnia się śmiechem, rozładowującym napięcie, który jest jak grzmot, to przetchlinka w strachu.

Mundus przeklina po cichu i prędko upycha Adriana Jefficheffa z powrotem do gabloty, a potem z ciemności wyprowadza jakiś fotel, ktoś na nim siedzi, ukryty pod czerwonym pledem, ledwie widać tylko gołe udo. Podpici rybacy niemieją, a matki rękami zasłaniają synom szeroko otwarte oczy. Państwo pozwolą, że przedstawię – mówi Mundus. Państwo pozwolą, że przedstawię pannę Oślą Głowę, urodzoną w Nowym Orleanie, której na chrzcie dano na imię ni mniej, ni więcej, tylko Grace, a którą w 1911 roku w Connecticut uznano za najbrzydszą kobietę świata! Kiedy ją zobaczycie, będziecie dziękować dobremu Bogu codziennie rano, codziennie wieczorem i najprawdopodobniej również codziennie w południe za to, że nie musicie chodzić z taką twarzą! Mundus zrywa pled, a podpici rybacy, nie dość że są oniemiałi, to jeszcze trzeźwieją, bo paskudniejszej kobiety nie widzieli w żadnym miejscu na ziemi, jest brzydsza niż wewnątrz paszczęki zębacza! Kobiety obecne w namiocie wydają z siebie krzyk strachu i rzucają się na szyję mężom, którzy chcą, lecz nie mogą oderwać wzroku od panny Oślej Głowy, ochrzczonej Grace, z Nowego Orleanu. Jej twarz przypomina surowe mięso. Policzki wyglądają jak wielkie wory i naciskają od góry na olbrzymi porowaty nochal, który zakrywa całe usta. Wygląda to tak, jakby ta kobieta usiłowała zjeść własny nos. Oczy są zapadnięte, osadzone blisko siebie między zwałami ciemnoczerwonej skóry. Atmosfera jest bliska punktu wrzenia.

Arnold to czuje, kiedy zagląda na arenę, ma wrażenie, jakby ktoś coraz bardziej napinał strunę, a wszyscy byli do tej jednej struny przywiązani, ale Mundus nie ustępuje, idzie dalej, napina jeszcze mocniej, pstryka w strunę i łączy wszystkich widzów w rozkosznym bólu. Wyjmuje skalpel i podnosi go do góry, w tym momencie światło się rozjaśnia, a on mówi najgłębszym możliwym głosem: – Będziemy oceniać psa po sierści, czy też pozwolimy, aby objawiło się najgłębsze wnętrze duszy i anatomii tej kobiety? Nie czeka na odpowiedź. Sam jej udziela. Skalpelem wykonuje nacięcie od brzucha aż po piersi, rozchyla skórę na boki, wsuwa rękę do środka i wyciąga płód, który ma dwie głowy, cztery ręce, cztery nogi i dwa karki zrosnięte w jeden pomarszczony węzeł mięsa, teraz mdleje pięć pań i jeden pan, Arnold także musi się odwrócić, czuje się tak samo jak na morzu, huśta go wewnątrz, jest pośrodku fali, jest fałą, od której robi mu się niedobrze, i wydaje mu się, że słyszy zbliżające się ciężkie kroki Patursona, może dlatego wszystko tak się kołysze. Arnold usiłuje się przytrzymać, ale traci chwyt, osuwa się na brudną podłogę i rzyga ile sił, wyrzuca całą czekoladę, którą zjadł w nocy, ale nagle ktoś go podnosi, to garderobiana, mówi coś, ale on tego nie pojmuje, garderobiana ma usta pełne szpilek i przypomina jeżowca, twardymi dłońmi obmywa mu twarz i usta, rozbiera go i wkłada mu nowe ubranie, robi też coś z jego wargami, w tym czasie wynoszą panopticum i Arnold wreszcie słyszy jej słowa. – Teraz kolej na ciebie, Arnoldzie. – Na mnie? – szepcze Arnold. Garderobiana stawia przed nim lustro z długą rysą i Arnold widzi, że przebrała go za dziewczynkę, ma na sobie sukienkę, podkolanówki i ciasne białe buciki, wargi pokrywa coś ciemnoczerwonego, lepkiego, a na głowie tkwi sztywna peruka, która gryzie go w czoło. Arnold nie poznaje samego siebie. Obezwładnia go dziwna myśl. Dalej nie odejdę, myśli. Dalej nie zdołam odejść. A tuż za krzywym lustrem stoi Der Rote Teufel i się śmieje, odrzuca do tyłu rudą grzywkę i składa usta w ciup. Nic więcej Arnold nie ma czasu

zobaczyć, bo teraz wszystkim zaczyna się spieszyć, popychają go w stronę kurtyny i dalej na arenę, gdzie Mundus zaraz przyciąga go do siebie, a przez namiot przechodzi ciche westchnienie. – Nie mów ani słowa – szepcze Mundus. Jesteś teraz niemą córką Patursona z Islandii! Potem Mundus się prostuje, składa ręce i patrzy na swoją publiczność. – Drogie panie i drodzy panowie. Stał się cud. Kaleka córka Patursona przepłynęła morze, żeby jeszcze raz zobaczyć się z ojcem! Ma tylko dziewięć palców, a w jej gardle brak głosu, lecz tym większe jest serce bijące w jej piersi! Dopiero teraz Arnold widzi, że Paturson stoi tuż obok, największy człowiek świata ucieka wzrokiem, sprawia wrażenie głodnego i zdezorientowanego. Mundus bierze Patursona za rękę i też coś do niego szepcze, a kiedy Paturson pochyla się w całej swej wysokości i obejmuje Arnolda, westchnienie przechodzi w płacz. Paturson mówi coś, co tylko Arnold słyszy i czego nie rozumie, to tylko ciężkie dźwięki w jego głowie, lecz i tak tego nie zapomni, nigdy nie zapomni tych słów, które mówi do niego Paturson i z których nie rozumie żadnego. Rozsypuję dookoła kurz opowieści i pozwalam, aby zakwitał w ustach wszystkich jako bukiet najpiękniejszych kłamstw. Zamiast tego Arnold się kłania, kłania się jako wdzięczna kaleka córka, pokazuje brakujący palec, a płacz przeradza się w szloch, Mundus też ociera łezkę ze swego uśmiechu. – Sprzedawaj karty i milcz! – szepcze. Arnold dostaje cały plik i idzie od krzesła do krzesła, od kolan do kolan, wszyscy kupują, bo Arnold wygląda tak nędznie i cierpiąco, że nigdy jeszcze nikomu nie było nikogo tak bardzo żal. Sprzedaje co do jednej wszystkie karty z ręcznie kolorowanym portretem Patursona i z krzywym podpisem złożonym na kongresie medycznym w Kopenhadze pod miarą wzrostu Patursona, określoną w centymetrach, calach, stopach i łokciach. Arnold robi się ciężki od monet, zanoszi je Mundusowi, który ociera jeszcze jedną łzę, Paturson na nowo obejmuje Arnolda, wciąż tak samo zdezorientowany i głodny, podczas gdy publiczność klaszcze ojcu i córce, samej sobie, swojej szczodrości i łasce bożej. Orkiestra gra

fanfarę tylko dla Arnolda, który szasta nogą, nie, dyga, bo przecież tak kłaniają się córki, dyga więc i jest to pierwsza maska Arnolda Nilsena, w roli córki najwyższego człowieka na świecie, jeszcze raz dyga, triumfalnie i ze zdumieniem.

Wreszcie przychodzi kolej na Der Rote Teufel. Wspina się na trapez i rzuca w oszalamiający lot, bo chce się zemścić, chce wpisać wczorajszą kompromitację w księgę zapomnienia, przechodząc samego siebie. Pragnie odwetu, jego zemstą jest zuchwałość. Der Rote Teufel, który właściwie nazywa się Halvorsen i pochodzi z Halden, tego wieczoru postanowił być ptakiem. Halvorsen jest orłem, który unosi się na świetle.

Ale kiedy składa się wpół i wygląda spomiędzy nóg, wysoko w górze, nie słyszy wcale bijących serc, ani też ogłuszającej ciszy, przeciwnie, słyszy śmiech. Publiczność się śmieje. Halvorsen nie może tego pojąć. Śmieją się, a jemu przez moment się wydaje, że musiał się przesłyszeć. Nawet Mundus się dziwi. Coś tu się nie zgadza. Bo to wcale nie jest numer do śmiechu. To karkołomna akrobatyka, mająca wywołać strach, podziw, a na koniec westchnienie ulgi, które w momencie utraty zmysłów czyni z nas wszystkich nieśmiertelnymi. Halvorsen jest ptakiem, który igra ze śmiercią, drwi z niej i bawi się z nią. Tego wieczoru ma pokonać samą śmierć i stworzyć życie wieczne. Ale publiczność się śmieje. A Arnold w jednej chwili pojmuje, z czego ludzie się śmieją. Czeka, żeby trykot Halvorsena znowu pękł. Tego wyczekują. Bo plotki o rozdartych na tyłku spodniach czerwonego diabła nikogo nie ominęły. Dlatego się śmieją. Śmieją się z czegoś, co się jeszcze nie zdarzyło, ale mają nadzieję, że się zdarzy. I Arnold modli się w duchu, wybac mi, kochany Boże, wybac, szepcze, czuje w palcach nitkę z haftowanego złotem trykotu.

Halvorsen krzyżuje stopy nad głową i wisi tam jak podwójny człowiek, na krawędzi niemożliwego, a publiczność tylko się śmieje. Właśnie ten śmiech dezorientuje Halvorsena i przyprawia go na moment o nieuwagę. To dosyć. To więcej niż dosyć. Bo w towarzystwie śmierci nie ma dodatkowego czasu. Der Rote Teufel traci równowagę i spada, w tym samym momencie znika śmiech, ale jest już za późno. Halvorsen leci w dół pionowo, jak ranny ptak i ląduje na plecach. Teraz już włos z ogona słonia nie pomoże.

Nawet cały słoń nie wróci Halvorsena. Na plakacie go zamazano. Jego numer od tej pory zostaje odwołany. Halvorsen nie żyje. A Arnold chowa się za Patursonem, najwyższym człowiekiem świata. – To nie była moja wina – mówi. Paturson nie rozumie, o co mu chodzi. – To nie była moja wina – powtarza Arnold. On spadł, zanim trykot mu pękł.

Zaczynają się związać jeszcze tej samej nocy. Nie mogą tu dłużej zostać. Nieszczęścia zawsze chodzą parami. Taki jest los. Nieszczęście jest jak zaraza, a oni są zarażeni. Muszą wyjechać. Muszą wyruszyć w drogę i zostawić nieszczęście za sobą. Wszystko z namiotu zostaje usunięte. Elektrycy demontują oświetlenie. Stolarze składają siedzenia i odkręcają kurtynę. Czekoladowa Dziewczyna płacze i ściąga aksamit z areny. Na koniec zdejmują się szapito, sam namiot, a słońce, które ledwie zaszło, już wstaje ponad niebieskim fiordem.

Mundus przez całą noc łykał mikrodin, żeby nie zasnąć, oczy ma czerwone i przezroczyste, jak kule z barwionego szkła. Śmierć to niedobra reklama dla cyrku. Rozmawiał z policją i z doktorem, wysłał telegram do rodziny Halvorsena w Halden. Podchodzi teraz do Arnolda, który już dawno pozbył się dziewczynskiego ubrania. – Pomóż ludziom przy namiocie – mówi, zniecierpliwiony i niespokojny. Arnold staje obok mistrza szapitowego.

Robotnicy ustawili się w kręgu i opuszczają ten wielki kawał płótna żaglowego, który opada jak balon, każdy z nich ma swoje specjalne zadanie i swoje miejsce. Regularnie coś do siebie wołają, brzmi to niemal jak pieśń. – Co mam robić? – pyta Arnold. Mistrz patrzy na niego z góry. – Możesz przynieść but Halvorsena – odpowiada i pokazuje. Arnold widzi, że jeden but, przypominający raczej cienki pantofelek, leży na środku. Już ma pobiec, ale mistrz go zatrzymuje. – Weź to. Arnold dostaje nóż, trzyma go mocno, biegnąc po akrobatyczny but Halvorsena, nie bardzo rozumie, po co mu nóż, ale widzi, że wszyscy inni też mają noże, dlatego nie pyta, tyle się nauczył, nie pytać, kiedy nie trzeba. Zamiast tego myśli: To wszystko, co zostało po Der Rote Teufel, marny but. Ale kiedy się nachyla, żeby go podnieść, dzieje się coś innego. Słyszy, że mężczyźni wrzeszczą i nagle jakby uderzenie wichru przewraca go i przyciska do ziemi. Bo jedno nieszczęście już się zdarzyło, a nieszczęścia zawsze chodzą parami. Dwie liny się zerwały i Arnoldowi zleciał na głowę cały cyrk. A ci, którzy stoją dookoła na zewnątrz, widzą, że płótno się porusza, w środku jest mała niespokojna kula, może któryś z nich myśli, że jakiś kot się tu zaplątał, ale to Arnold Nilsen. Czołga się w dziwnym, przezroczystym mroku, nie może się z niego wyrwać, pod ciężkim, wilgotnym namiotem, jak gdyby to wiatr zakrzepł i otoczył go błoną.

W głosach na zewnątrz słychać podniecenie, mistrz szapitowy wydaje polecenia, Mundus woła go po imieniu, ale nie mogą mu teraz pomóc. Arnold już wie, po co mu nóż, ujmuje go w obie ręce i z całej siły wbija w ziemię, żwir aż pryska mu w oczy, rozumie, że leży odwrotnie, okręca się i unosi nóż ku przytłaczającym go cieniom, wkrótce nie będzie miał czym oddychać, i ostrzem rozcina płótno. Uwalnia się cięciem, wyzwala się uderzeniem noża, wstaje i wystawia głowę przez szczelinę, wznosi się ku światłu, ku słońcu, mężczyźni go witają i wnoszą na ten świat, do którego należy.

Odpływają jeszcze tego samego dnia rejsowym statkiem żeglugi przybrzeżnej przez Vestfjorden do Bodø. Arnold stoi na pokładzie koło łodzi ratunkowych i patrzy, jak góry zapadają się w niebieskim wietrze. Na samym końcu, tam gdzie niebo i morze łączą się w jedno, mającą wyspy, z których pochodzi i które właśnie opuszcza, są jak kamienna kropka wśród fal. Arnold się uśmiecha. Nie ma choroby morskiej. Czuje się silny. Podnosi rękę z czterema palcami i macha. Potem idzie do innych do jadalni. Nikt nic nie mówi.

Wszyscy mają dosyć własnych spraw. Zwłoki Halvorsena złożono w chłodni pod kajutami, ale raczej nie zdążą dopłynąć do Halden, bo w powietrzu robi się coraz cieplej, bloki lodu topnieją i wkrótce Halvorsen zacznie gnić.

Arnold siada przy stoliku Mundusa, który trzyma na kolanach czarną walizkę obwiązaną sznurkiem. – Co w niej jest? – pyta Arnold. Mundus odwraca się i patrzy na niego przekrwionymi oczyma. – Chciałbyś to wiedzieć, co, Arnoldzie? I Arnold żałuje, że zapytał. Ale Mundus kładzie rękę na wieku walizki i nachyla się do Arnolda. – Do niej – szepcze – do tej walizki spakowałem wszystkie oklaski. Możesz mi jej popilnować.

Cyrk schodzi na ląd w Bodø. Chowają Der Rote Teufel na cmentarzu najbliższym morza, na wąskim pasku ziemi pomiędzy portem a kamiennym ogrodzeniem. Grób jest taki ciasny, że Der Rote Teufel musi się złożyć wpół do tego ostatniego, najdłuższego skoku. Arnold już nigdy nie spotyka Czekoladowej Dziewczyny. I kolejny raz znika nam z oczu. Stał na dnie morza. Był pozornie martwy. Leżał pod cyrkowym namiotem. Teraz wreszcie dotarł do swego mrocznego stałego lądu. Niesie walizkę z oklaskami i znika za zakrętem.

(śmiech)

Znalazłem zresztą kartkę z pismem ojca, gdy musieliśmy uporządkować jego rzeczy po tym, co nazywaliśmy wypadkiem. Dostał dyskiem prosto w głowę i umarł. Może nie całkiem zrozumiałem wówczas, co oznaczają te jego notatki na kartce, którą musiał wyrwać z Biblii pewnej nocy, kiedy nie mógł zasnąć w jakimś tanim hotelu gdzieś w świecie. Kartka leżała w kieszeni jasnego lnianego garnituru, który już dawno zrobił się dla niego za ciasny. Zachowałem ją. Mam ją do tej pory. Charakter pisma jest dziecinny, ojciec użył tylko wielkich liter, i wyobrażam sobie, że pisał bardzo powoli, w takim samym rytmie, w jakim myśli nabierały kształtu w jego głowie i spływały niebieskim atramentem, a może pismo było takie, bo brakowało mu wtedy jednego palca i nie mógł dobrze chwycić pióra. To coś w rodzaju listy, listy śmiechu: *Śmiech Aurory: zażenowany.*

Śmiech ojca: milczący. Śmiech nauczyciela Holsta: zły. Śmiech pastora: smutny. Śmiech doktora Paulsena: pijany. Śmiech Mundusa: czarny. Śmiech publiczności: złośliwy. To ostatnie słowo, „złośliwy”, przekreślił, jak gdyby od razu pożałował, i zamiast tego napisał: „bezradny”. A na samym dole dodał, prawdopodobnie dużo później, może znalazł tę kartkę, o której już dawno zapomniał, przypadkiem w kieszeni, w pewien letni dzień: siedzi na ławce w parku, w jakimś obcym mieście, i nagle wpada na nową myśl, na pytanie, na które nie zna odpowiedzi, ale koniecznie musi je zapisać, a pismo sprawia wrażenie jeszcze smutniejszego, dlatego sędzę, że napisał to już po utracie reszty palców, musi manewrować piórem, posługując się zaledwie połową kciuka, niezgrabne litery trzęsą się na cienkim, porowatym papierze: *Czy istnieje śmiech miłosierny?*

Matka miała zwyczaj mówić nam: Wzięłam go, bo umiał mnie rozśmieszyć.

Kiedy następnym razem Arnold Nilsen pojawia się w naszej historii, przybywając ze swego mrocznego stałego lądu, nadjeżdża wzdłuż Kirkeveien wypolerowanym żółtym buickiem roadmasterem cabrioletem. Jest wiosna 1949 roku, wkrótce będzie maj, słońce świeci na słynnym niebie nad Marienlyst, nigdzie nie można znaleźć cienia, a wszyscy, którzy tego dnia przed południem wyszli z domów, zatrzymują się, z wyjątkiem Very, i gapią na ten wolno sunący samochód ze składanym dachem i czerwonymi skórzanymi siedzeniami, bo nikt w tych stronach nie widział nigdy podobnego pojazdu, pani Arnesen stoi na środku skrzyżowania, jej rozpieszczony synek ciągnie ją za rękę i chce pobiec za samochodem, pastor na ten widok waha się przez chwilę na schodach kościoła, dozorca Bang zamiata chodnik na święto wyzwolenia i w oszołomieniu gubi szczotkę, nawet Esther wychyla się z okienka, mrużąc oczy w ostrym świetle, i widzi za kierownicą małego człowieczka, który by znaleźć się dostatecznie wysoko, musi siedzieć na grubej poduszce, czarne włosy otaczają mu głowę jak błyszczący hełm, nos na szerokiej twarzy tkwi krzywo, człowieczek ubrany jest w prążkowany garnitur i ma białe rękawiczki, letnie rękawiczki, przypomina cudzoziemca, który zabłądził. Ale Vera, nasza matka, nie pozwala sobie przeszkadzać. Dźwiga ciężary w obu rękach, była na zakupach u Maślanego Petersena i żeby wyprowadzić ją z równowagi, trzeba czegoś więcej niż amerykański samochód bez dachu. Idzie mocnym krokiem i patrzy w dół, na kurz i na swoje własne buty, nabrała takiego nieprzyjemnego zwyczaju, nie patrzy nikomu w oczy, bo spojrzenia stają się złe i pogardliwe, kiedy się zbliża, albo się odwracają, pozwalając jej przejść, w nagłej ciszy, która zapada wśród uśmiechów. Ona wie, co ludzie sobie myślą. Wszyscy myślą tak jak pastor, że puściła się z wrogiem, skoro nie może powiedzieć, kto jest ojcem jej bękarta. Są tacy, którzy twierdzą, że w czasie wojny widywali ją przy kolejce podziemnej, a nawet w lasach na Bygdøy, w towarzystwie Niemców, dopuszczającą się czynów, o których się

głośno nie mówi. Stara, słysząc coś podobnego, prostuje się i z chłodem w sercu mówi do takiej osoby: – Całkowicie się pani myli. Ale rozumiem, że pani sama była w obu tych miejscach! I to nieprawda, że czas leczy wszystkie rany. Czas zamraza rany i zmienia je w otwarte blizny. Wkrótce już tylko Esther z kiosku mówi jej dzień dobry. – To dopiero elegancik – stwierdza, kręcąc głową. Wydaje mi się, do diabła, że siedzi na poduszce, żeby go było bardziej widać! Vera odstawia siatki. – Kto taki? – Kto! Nie widziałaś samochodu? Esther pokazuje i Vera zauważa wreszcie otwartego buicka, który zaparkował na rogu przy Suhms gate, i ciemną gładką głowę, która ledwie wystaje nad oparcie, wygląda to niemal komicznie. Esther przyciąga Verę bliżej. – On na pewno jeździ nielegalnie. Chyba że to wędrowny handlarz. – A teraz pewnie zabrakło mu benzyny – stwierdza Vera, tak samo cicho. – Dobrze mu tak! – oświadcza Esther. Skoro wydaje mu się, że może przyjechać na Fagerborg i zawrócić nam w głowach pomadą i automobilem! Ale jeśli sprzedaje nylony, to może zostać! Śmieją się, Esther zwija tutkę z kandyzem i daje ją Verze. – Jak się miewa Fred? – pyta. Vera wzdycha. – Przynajmniej przestał płakać.

Arnold Nilsen widzi w lusterku młodą damę, która wsuwa do kieszeni małą brązową torebkę, podnosi siatki i wolno idzie chodnikiem ku skrzyżowaniu, przy którym zaparkował. Myśli o tym, że ona patrzy w dół. Patrzy na swoje stare buty i grube pończochy. Jej pochylony kark jest biały i chudy. Arnold czuje dreszcz, prędko ociera pot z czoła, zakręca loczek i w momencie, gdy ona go mija, wychyla się przez siedzenie pasażera. – Czy mogę panię pomóc w dźwiganiu tych ciężarów, które są dla niej za wielkie? – pyta Arnold Nilsen. Ale Vera nie odpowiada. Idzie dalej, mija skrzyżowanie i dozorcę Banga, który śledzi ją wzrokiem, nic nie mówiąc. Arnoldowi Nilsenowi wcale nie zabrakło benzyny. Podjeżdża wzdłuż chodnika i dogania Verę. – Mogłaby pani przynajmniej spojrzeć w moją stronę – mówi. Ale Vera jest uparta, nie ustępuje, patrzy w ziemię, idzie naprzód, wkrótce będzie w domu. Wtedy Arnold Nilsen całym sobą naciska na klakson, brzmi to jak fanfary i syrena przeciwmgielna, Vera podskakuje i upuszcza jedną siatkę, a Arnold Nilsen wypada z samochodu, zanim Vera zdąży się schylić, i ją podnosi. Trzyma siatkę w rękach i kłania się nisko. – Zauważyłem panią już przy Majorstuen. I nie mogłem oderwać od pani oczu. Czy mogę zaproponować podwiezienie? Vera jest zmieszana i zła, przede wszystkim zmieszana, nigdy nie słyszała takiego gadania, wie, że wszyscy na Kirkeveien ich widzą, a ci, którzy ich teraz nie widzą, i tak dowiedzą się wszystkiego od dozorczy Banga, który podpira się na szczotce uśmiechnięty, bo wkrótce będzie mógł do swoich plotek dodać nowe rozdziały. – Mieszkam tutaj – odpowiada Vera prędko. – Wobec tego zjawiłem się w ostatniej chwili – śmieje się Arnold Nilsen, bierze od niej również drugą siatkę i idzie razem z Verą za róg.

Vera zatrzymuje się przy drzwiach. – Bardzo dziękuję – mówi i chce odzyskać siatki, ale Arnold Nilsen się nie poddaje. Znów kłania się nisko i idzie za nią na piętro, a kiedy tam dochodzą, Vera staje pod drzwiami. – Bardzo dziękuję – powtarza, zdziwiona własnym zachowaniem, a mały człowieczek z czarnymi błyszczącymi włosami stawia pełne siatki na wycieracze, zdejmuje rękawiczkę z lewej ręki, ale wyciąga prawą, w rękawicze. – Rana odniesiona podczas wojny uniemożliwia mi pokazanie pani całej dłoni – szepcze.

Nazywam się Arnold Nilsen. Vera ujmuje podaną sobie dłoń, rękawiczka jest gładka i cienka, ale ona czuje, że w rękawicze tkwi coś twardego, co nie daje się zgąć, sztywne, kanciaste palce, przechodzi ją dreszcz. – Przepraszam, że się narzucam – ciągnie Arnold – ale wyglądała pani zbyt pięknie, żeby panią wyminąć. Vera czerwieni się i puszcza jego martwą dłoń. Słyszy, że ktoś wchodzi po schodach. To Boletta i Fred. Zatrzymują się na podeście pół piętra niżej, a Fred w momencie, gdy zauważa Arnolda Nilsena, zaczyna krzyżeć, krzyczy gorzej niż kiedykolwiek, w tym chudym chłopcu jest tyle paskudnych dźwięków, że nikt nie pojmuje, skąd się biorą, lecz ci, którzy to pamiętają, nigdy nie zapomną tamtego wielkiego krzyku, być może dziecko, które Vera nosiła wtedy w łonie, również go słyszało i postanowiło naśladować. Fred krzyczy, aż Boletta musi w końcu zatkać mu usta ręką. Wtedy Fred gryzie, teraz kolej Boletty na przekleństwa i zaraz potem równie nagle znów zapada cisza. Boletta chowa rękę za plecami, Fred stoi z tym swoim mrokiem w oczach i zaciśniętymi wargami, a po brodzie spływa mu kropla krwi. Drzwi za plecami Very otwierają się na oścież, Stara wysuwa potarganą głowę. – Co tu, na miłość boską, się dzieje? Vera odwraca się do Arnolda Nilsena. – To moja babcia – mówi.

Arnold Nilsen kłania się na wszystkie strony i przez chwilę musi się zastanowić, musi się pozbierać, zyskać czas, w tym czasie wciąga rękawiczkę i patrzy Verze w oczy. – To dla mnie prawdziwa radość móc poznać pani rodzinę. O ile się nie mylę, są tu aż trzy matki, dwie babki, jedna prababka, dwie córki i jeden syn, wszyscy ze sobą spokrewnieni! Vera napotyka jego wzrok i również musi się przez chwilę zastanowić. W końcu wybucha śmiechem, a Boletta i Stara patrzą na siebie, tak samo zdziwione, bo nie pamiętają, kiedy Vera ostatnio się śmiała, Arnold Nilsen całuje ją w rękę i schodzi na dół. Zatrzymuje się przy Fredzie, który stoi ponury i mroczny. Boletta przyciąga go do siebie. Fred się opiera. – Widziałeś samochód na dole? – pyta Arnold Nilsen. Fred milczy. – Ma spuszczone dach, który można zamknąć, kiedy pada deszcz. Fred nadal milczy. – Rusza tak szybko jak samolot i przyjechał aż z Ameryki. Fred przeciąga ręką przez brodę i wyciera krew. – Możesz się ze mną przejechać, jeśli mama ci pozwoli – mówi Arnold Nilsen i schodzi po schodach na dół. Słyszą trzaśnięcie drzwi i zaraz potem odgłos zapuszczanego silnika. Wtedy Boletta podbiega do Very. – Kto to był? – szepcze. Stara pyta o to samo. – Kim, na miłość boską i wielkie nieba, była ta istota? – Po prostu pomógł mi przynieść siatki – mówi Vera. Nazywa się Arnold Nilsen. Odwraca się do Freda, który nie ruszył się z podestu. – Pozwolisz mi, mamó? – pyta Fred.

Arnold Nilsen wraca dwa dni później. Przynosi kwiaty, które zostawia pod drzwiami.

Nie dzwoni. Zostawia tylko bukiet, aby przemówił swoim własnym językiem. Bukiet znajduje Stara, kiedy wraca ze sklepu monopolowego, niosąc malagę w ilości dostatecznej, by uczcić czwartą rocznicę wolności. Podnosi bukiet, dolicza się dwudziestu jeden zawilców i zabiera je do środka. – Dla kogo one mogą być? – pyta. Vera znów się rumieni, jeszcze to potrafi, i chce wziąć od niej kwiaty, ale Stara jej nie dopuszcza. – Tu nie ma żadnego bileciku. Równie dobrze mogą być dla mnie. A może dostała je Boletta. – Nie żartuj – mówi Vera i robi się zła. Oddaj mi je! Ale Stara nie może nie skorzystać z tej rzadkiej okazji do odrobiny nieoczekiwanej zabawy. – Boletta! – woła. Masz jakiegoś tajemniczego wielbiciela, który kładzie zawilce na słomiance? Boletta kręci głową, a Vera obiega Starą, żeby odebrać jej bukiet, i w końcu go wyrywa w przypiływie nagłej wściekłości, która po raz kolejny zsyła na nie nagłą ciszę. Vera wkłada kwiaty do niebieskiego wazonu i stawia go na parapecie. Staje przy oknie i wygląda na ulicę. Boletta znów ma atak choroby telegraficznej i idzie się położyć. Stara próbuje malagi, żeby sprawdzić, czy nadaje się do picia. Owszem, nadaje się, zabiera więc kieliszek do Vera. – Czy teraz twoja kolej na czekanie? – pyta szeptem. – Ja na nikogo nie czekam – odpowiada Vera zdecydowanie. – Tak jest chyba najlepiej. Stara całuje ją w policzek. Kwiaty wyglądają na trochę sfatygowane. Ale na pewno sam je zerwał.

Pytałem kiedyś Esther, gdy z matką przejeżdżaliśmy jej mały kiosk w bramie naprzeciwko kościoła, a ona dostała miejsce w dwuosobowym pokoju w przytułku Prins Augusts Minde na Storgata, o to, co właściwie się wydarzyło tego dnia, kiedy Arnold Nilsen nadjechał Kirkeveien od strony Majorstuen. – Wydarzyło? – zdziwiła się Esther. A coś się wydarzyło? – Tak, chyba można powiedzieć, że tak. Spotkał matkę. A Esther popatrzyła na mnie w nagłym przypiływie przytomności. – Miłość jest przypadkowa, czyż nie? – powiedziała. Uśmiechnąłem się. – Naprawdę? Wzruszyła ramionami i zobaczyłem, że znów pograża się w mroku. – Twój ojciec nie był dobrym człowiekiem – szepnęła.

Chociaż przywiózł te przeklęte nylonowe pończochy.

Bo kiedy Arnold Nilsen pojawia się na Kirkeveien następnym razem, w samo święto wyzwolenia, ma w kieszeni garnituru płaską paczkę, której nie zostawia na wycieraczkę, lecz zdecydowanie dzwoni do drzwi z nadzieją, że tamten prosty bukiet utorował mu drogę. Drzwi otwiera Stara. – No proszę – mówi i wpuszcza go do środka. Arnold Nilsen się kłania. – Być może żądam zbyt wiele, zakłócając spokój takiej chwili. Spytałem jednak wprost: czy wnuczka pani jest w domu? – Wszyscy są w domu – odpowiada Stara. Arnold Nilsen odwraca się, drzwi między pokojami są otwarte, a w kł?bi, w?jadalni, widzi Bolett?, Ver? i?Freda przy nakrytym stole, p?omienie stoj?cych na?nim ?wiec ledwie wida? w?s?o?cu wpadaj?cym przez wysokie okna, od?kt?rego szyby zdaj? si? dr?e?. Wszyscy patrz? na?Arnolda Nilsena, a?on czuje uk?ucie w?piersi na?ten widok, Very, jej syna, jej matki, zawilc?w, kt?re sam zerwa?, musi zas?oni? r?k? oczy, p?acze, a?mo?e o?lepiaj? go?s?o?ce i?l?ni?cy biel? obrus. Stara wprowadza go?do jadalni i?Arnold Nilsen zajmuje miejsce przy ich stole.ębi, w jadalni, widzi Bolettę, Verę i Freda przy nakrytym stole, płomienie stojących na nim świec ledwie widać w słońcu wpadającym przez wysokie okna, od którego szyby zdają się drżeć. Wszyscy patrzą na Arnolda Nilsena, a on czuje ukłucie w piersi na ten widok, Very, jej syna, jej matki, zawilców, które sam zerwał, musi zasłonić ręką oczy, płacze, a może oślepiają go słońce i lśniący bielą obrus. Stara wprowadza go do jadalni i Arnold Nilsen zajmuje miejsce przy ich stole.

Przez chwilę panuje cisza. Fred wywraca szklankę i znów jest bliski krzyku. Boletta nakrywa płamę swoją serwetką, a Vera musi przynieść ścierekę z kuchni. Wtedy Stara pyta: – Co właściwie pana do nas sprowadza? Arnold Nilsen jest przez moment zaskoczony, oniemiały i zawstydzony. – Jestem tu, ponieważ panie mnie wpuściły – stwierdza wreszcie. Stara marszczy czoło, zdumiona taką odpowiedzią. Boletta patrzy na niego. – Dlaczego nie zdejmie pan rękawiczek? Arnold Nilsen wzdycha. – Ponieważ nie chcę, aby panie straciły apetyt. Prawą rękę rozerwała mi jak gwiazdę niemiecka mina w Finnmark. – Pokaż – mówi Fred. Ale w tej samej chwili wraca Vera, wyciera podłogę, na którą nakapało soku, i Stara traci cierpliwość. – Nie będziemy akurat w tej chwili urządzać wielkich porządków! Mamy gościa! Vera wreszcie siada, oddycha tak głęboko, że prawie zdmuchuje świecę. – Dziękuję za kwiaty – mówi. – Rosły bez żadnego pożytku, więc je zerwałem – odpowiada Arnold Nilsen. Stara odwraca się do Boletty. – On mówi jak w powieści, którą kiedyś wrzuciłyśmy do kominka – szepcze, ale na tyle głośno, żeby wszyscy ją usłyszeli. Vera spuszcza głowę i prawie przewraca swoją szklankę, ale Arnold Nilsen śmieje się cicho. – Te słowa ani trochę nie mijają się z prawdą – stwierdza. Mówię bowiem płynnie w trzech językach. Po norwesku, amerykańsku i røstowskiu! Patrz na niego. – Po røstowskiu? – pyta Vera. Arnold Nilsen się nie spieszy. – Jeśli przetłumaczy pani wiatr na ludzką mowę, doda do tego muzykę, a następnie kolor, to zbliży się pani najbardziej do mojej ojczystej mowy. Arnold Nilsen popada w zamyślenie i melancholię. – Urodziłem się na najdalej wysuniętym w morze skrawku lądu, który nazywa się Røst – zaczyna cicho, bez śpiewu wiatru w słowach. Potem przypomina sobie, że przyniósł ze sobą różne rzeczy. Wyciąga paczkę z kieszeni i kładzie ją na obrusie przed Verą. – To podarunek dla kobiet w tej rodzinie – mówi i długo rozgląda się wokół stołu.

Vera ostrożnie rozwija papier i nawet Stara pochyła się bliżej, milkną z pokorą, gdy widzą, co to jest. – Co to jest? – pyta Fred. To trzy pary nylonowych pończoch, z Danii.

Vera podnosi je do góry, są mięciutkie, przyjemne w dotyku. – Bardzo dziękujemy. Nic więcej nie jest w stanie powiedzieć. Patrzy na Arnolda Nilsena, który pławi się w tej wielkiej, dziecinnej wdzięczności. Boletta też chce dotknąć, a Stara w tym czasie nalewa kieliszek malagi, który popycha przez stół. – Ale z czego pan żyje? – pyta. Nie żyje pan chyba z samych zawilców i nylonów? – Żyję z życia – odpowiada Arnold Nilsen. Ale i z tej jego odpowiedzi Stara nie jest zadowolona. – Żyje pan z życia? – powtarza. Dużo można na tym zarobić? Arnold Nilsen patrzy na stojący przed nim pełny kieliszek. – Dziękuję, ale dzisiaj też prowadzę. Nie tyka kieliszka, lecz odwraca się do Freda, który nie krzyczy, ale odpowiada na jego spojrzenie mrocznym uporem. – A tak w ogóle to pytałeś mamę? Fred kiwa głową. Arnold Nilsen kładzie mu kaleką dłoń na ramieniu. – I pozwoliła?

Jadą w górę w stronę Frognerseteren, Arnold Nilsen siedzi na swojej poduszce i bacznie śledzi przyrządy na tablicy rozdzielczej, bo wolno się oddalać najwyżej 25 kilometrów od domu, a dzisiaj jego dom jest na Kirkeveien w Oslo i Arnold chce być praworządnym obywatelem. Ale 25 kilometrów tego dnia to i tak dostatecznie długa podróż, to przygoda, to rejs dookoła świata, Vera i Fred siedzą z tyłu, dach jest spuszczone, a oni są w wietrze, w świetle, w pędzie. Arnold Nilsen zatrzymuje się przy słynnym widoku, w uroczystym pośpiechu okrąża samochód, otwiera drzwiczki przed Verą, siadają na ławce, natomiast Fred zostaje na tylnym siedzeniu. Przez dłuższą chwilę nic nie mówią. Patrzą raczej na miasto, rozciągnięte pod nimi w słonecznej mgłę. Flagi we wszystkich domach są podniesione. Minęły cztery lata od zakończenia wojny. – Idą lepsze czasy – stwierdza Arnold Nilsen i przysuwa się bliżej Very. Ona w pierwszej chwili się odsuwa, ale Arnold znów się przybliża, pozwala mu na to, w końcu siedzą tuż przy sobie, a on żałuje, że nie usiadł z drugiej strony, bo wtedy mógłby zdjąć rękawiczkę ze zdrowej ręki i może wsunąć jej palce we włosy. – Dziękuję – mówi Arnold Nilsen. Bo wkrótce nie starczyłoby już ławki, po której moglibyśmy się przesuwac. Vera się

śmieje, ulega, a ja lubię myśleć, że ten śmiech był czymś w rodzaju zakochania, albo ulgi, śmiech związał ją z tym małym człowieczkiem, pochodzącym z małego punkciku na morzu, śmiech zagłuszył wszystko inne, wykreślił z niej mrok, potrafiła się śmiać i być może tego właśnie śmiechu Arnold Nilsen szukał przez wszystkie te lata, miłosiernego śmiechu.

Nagle staje przed nimi Fred. – Pokaż mi swoją rękę – mówi. Arnold Nilsen odsuwa się trochę od Very i patrzy na chudego przekornego chłopca. Potem delikatnie i bardzo powoli ściąga rękawiczkę. Wypchał jej palce drewnianymi, tak, że wciąż sterczą, jak gdyby odjął całą dłoń i położył ją sobie na kolanach, a na końcu ramienia ma tylko gruzłowaty szarawy kikut, ściągnięty grubymi szwami, i pół kciuka bez paznokcia, niezdatny do niczego wyrostek. Vera musi zasłonić oczy. Fred się nachyla i chce dotknąć okaleczonej ręki, lecz zanim to robi, Vera wstaje, gwałtownie i niecierpliwie, i zdecydowanie ciągnie go z powrotem do samochodu. Arnold Nilsen nakłada w pośpiechu rękawiczkę i idzie za nimi. – Ogromnie przepraszam za swoją niedelikatność – szepcze i pochyla głowę. – Nie chcę, żeby w nocy miał koszmary – mówi Vera prędko. To moja wina. – Ależ skąd – protestuje Arnold Nilsen. To bez wątpienia ja pokazałem żałosne szczątki mego uścisku dłoni. Jak zdołam to naprawić? Vera nic na to nie odpowiada. Patrzy tylko na niego i uśmiecha się. Ten uśmiech dodaje Arnoldowi odwagi, by ją o coś spytać, w czasie gdy Fred sadowi się na przednim siedzeniu. – Nie widziałem w domu żadnego mężczyzny – mówi Arnold Nilsen. – Dobrze pan widział – odpowiada Vera. – Czy chłopiec nie ma ojca? Teraz Vera odwraca się od niego. Fred trzyma za kierownicę i wydaje z siebie dźwięki, przypominające raczej zwierzęce odgłosy niż silnik. – Jeszcze raz proszę o wybaczenie – mówi Arnold Nilsen.

Jadą z powrotem ku miastu. Chmurzy się. Cienie pędzą po niebie. Verze jest zimno. Fred siedzi z przodu i wpatruje się w szybkościomierz. I nagle spotykają inny samochód, to czarny chevrolet fleetline deluxe, mijają się powoli i hamują. Arnold Nilsen wysiada, drugi kierowca, wysoki młody człowiek o jasnych włosach, w apaszcze na szyi, również się ukazuje, pozdrawiają się, dwaj mężczyźni obchodzą samochody, chwalą się nawzajem, gładzą palcami błyszczące listwy, otwierają maski i nic nie muszą mówić, tylko kiwają głowami, porozumiewawczo, połączeni braterstwem amerykańskich koni mechanicznych, a Arnold Nilsen nieoczekiwanie odczuwa wielką głęboką więź, nie pamięta, by kiedykolwiek czuł coś podobnego, odkąd wszedł do namiotu Mundusa. Widzi, że w chevroletcie również siedzi piękna kobieta, uśmiecha się do niego zmęczona i szczęśliwa przez otwartą boczną szybę, jest w ciąży i ledwie mieści się na siedzeniu.

Potem odjeżdżają, każdy w swoją stronę, i nigdy więcej już się nie spotkają, ale nadal będą mieszkać w tym samym mieście, będą wieść swoje życie, krzywe, zniszczone życie, bo obydwu dotknie wielkie nieszczęście. Młoda nieznajoma para napotka swoje już za następnym zakrętem, natomiast Arnold Nilsen będzie musiał czekać kilka lat, aż dopadnie go, jak się to mówi, to coś, co niektórzy nazywają przeznaczeniem, lecz równie dobrze można to nazwać matematyką, lub jak później mówiłem Pederowi, kiedy wprowadziłem swój obraz tego, co uważam za idealną dramaturgię: To nie było nic innego jak symetria trójskoku.

Deszcz zaczyna padać, zaraz gdy tylko Arnold Nilsen siada za kierownicą. Bardzo mu to odpowiada. Teraz ma wytłumaczenie, żeby pokazać jeszcze jeden cud. Wykonuje płynny ruch sztywną rękawiczką, żeby ściągnąć na siebie uwagę, a drugą ręką wciska jakiś guzik w desce rozdzielczej. Dach powoli zamyka się nad nimi. Fred wstrzymuje oddech. Vera klaszcze. Arnold Nilsen jest zadowolony z przedstawienia i ze swojej publiczności. – Teraz możemy wracać do domu suchą nogą – oznajmia i zmienia bieg. Vera odwraca się prędko i widzi czerwone światła hamulca tamtego drugiego samochodu, odbijają się w mokrym asfalcie i znikają za nimi w deszczu. – Proszę jechać ostrożnie – szepcze.

Droga jest śliska.

I Arnold Nilsen ostrożnie zawozi ich do domu. Stara i Boletta stoją w oknie, kiedy parkuje na rogu. Widzą, że Fred wysiada i pchnięciem zamyka za sobą przednie drzwiczki, podczas gdy tamtych dwoje dalej siedzi w samochodzie. – On teraz pyta, czy spotkają się jutro – mówi Stara. Boletta odwraca się do niej. – Sądzisz, że to coś poważnego? Stara wzdycha. – Ona już nie może wybierać z górnej półki. On też nie. – Ciiiiicho! – mówi Boletta. A Arnold Nilsen przypala papierosa elektryczną zapalniczką. – Mam nadzieję, że nie wystraszyłem pani tą połową ręki – odzywa się półgłosem. Vera kręci głową. Arnold Nilsen wstrzymuje się z powiedzeniem czegoś więcej, dopóki nie wypali papierosa. Tytuł jest suchy i drapie w gardle. – Jutro też chętnie się przejadę – oświadcza. – Ja także – odpowiada prędko Vera. – Niestety, nie mogę pani zaprosić do siebie. Zatrzymałem się na razie w marnym pensjonacie. Vera wychyla się między siedzeniami. – W pensjonacie?

Arnold Nilsen wygląda przez okno. Fred przyciska nos do szyby. Z nieba leje się deszcz. – W Cochs Hospits. Dopóki nie znajdę czegoś własnego. Ale w dzisiejszych czasach wolne mieszkania nie rosną na drzewach. Arnold Nilsen wzdycha. Odkąd wróciłem z Ameryki, przeszukałem całe miasto i odpowiadałem na każde ogłoszenie. Nawet w hotelach nie ma dla mnie miejsca! A w Nowym Jorku mieszkałem w Astorii! Słyszała pani o Astorii? – Nie – mówi Vera. – Tam zanosili walizkę pod drzwi, a apartamenty, jeden w jeden, miały cztery pokoje! Zdrową ręką uderza w kierownicę. – W Cochs mieszkamy we trzech w tym samym pokoju! Jeden pije co noc i nam dwóm pozostałym nie daje spać. Milknie i zawstydzony patrzy na swoją rękę. Vera siedzi cicho. namyśla się. – Porozmawiam z matką – odzywa się wreszcie. Arnold Nilsen podnosi głowę i odwraca się do niej. – Co takiego? – Ze Starą też porozmawiam – dodaje Vera. Arnold Nilsen się uśmiecha. Twarz pęka mu w szerokim uśmiechu, całkiem się zapomina i kładzie na ramieniu Very niewłaściwą rękę. – Dobrze, że jestem taki niewysoki – mówi. Mogę spać na poduszce na parapecie!

Arnold Nilsen wprowadza się na Kirkeveien w czerwcu. Wywołuje to sensację, buick na rogu i mężczyzna w mieszkaniu kobiet. Najpierw sypia na wąskim materacu w przedpokoju. Wstaje o siódmej, wypija swoją kawę, schodzi do samochodu i wraca do domu o wpół do szóstej. Nie bardzo wiedzą, czym się zajmuje, a on nic im o tym nie mówi. – Wychodzi teraz, żeby żyć z życia – przedrzeźnia go Stara i kręci głową, ale w głębi duszy mimo wszystko nie może go nie lubić. On nigdy nie przeszkadza. Jest czysty i porządny. Śpi, nie wydając żadnych odgłosów. Co tydzień wkłada do pudełka pieniądze na utrzymanie. Wynosi śmieci na podwórze. A w niedziele zabiera ich na przejażdżki, do Nesodden, nad fiord, albo w drugą stronę, ku lasom i jeziorom, Fred siedzi z przodu, a dla kobiet jest dość miejsca na tylnym siedzeniu. Zabierają ze sobą kawę i drożdżówki, wszędzie, gdzie przyjadą, ludzie się zatrzymują i oglądają za pięknym buickiem, a Arnold Nilsen do wszystkich macha. Wieczorami rozśmiesza Verę. Boletta potajemnie przeprowadziła na jego temat badania w Telegrafie. O niczym nie skłamał. Pochodzi z Røst na Lofotach, jego ojciec był rybakiem i nigdy nie mieli telefonu. W lipcu Arnold Nilsen awansuje do jadalni i sypia na otomanie. Stara i Boletta kłócą się w pokoju panińskim, a Fred śpi z matką. Pewnej nocy Arnold Nilsen budzi się i widzi, że chłopiec się w niego wpatruje. Może stoi tu już od dawna. Chudy cień w mroku jest prosty i zdecydowany. Nic nie mówi. To jest chyba najgorsze. Arnold Nilsen siada na łóżku. – Czego chcesz? – pyta. Fred nie odpowiada. Arnolda Nilsena ogarnia niepokój. – Nie musisz się bać – szepcze. Ale zaraz pojmuję, że chłopiec wcale się nie boi. Gdyby się bał, nie stałby tak, po ciemku, przy otomanie. Jest raczej zły, groźny. Arnold Nilsen szuka słów, on, który swoim gadaniem potrafi omotać większość ludzi, szuka we wszystkich swoich językach właściwego zdania, nadającego się dla niespełna pięcioletniego chłopca. Mówi jeszcze ciszej: – Nie odbiorę ci mamy, Fred. Wyciąga rękę bez dłoni. Fred ani drgnie. Stoi tylko i wpatruje się, milcząco, sztywny, a potem bezszelestnie wraca

do sypialni matki.

Tej nocy Arnold Nilsen już więcej nie śpi. A kiedy dzwoni budzik, nie wstaje, dalej leży. Wkrótce słyszy kogoś pod drzwiami, jakiś niepokój, kobiety rozmawiają cicho i prędko, jak gdyby nie mogły się zdecydować, aż w końcu zagląda do niego Vera. – Jesteś chory? – pyta. Arnold Nilsen musi odwrócić się do ściany, aby nie zobaczyła, że jest bliski płaczu, bo ktoś się o niego troszczy, ktoś zastanawia się, jak on się czuje, i ta troska prawie wyprowadza go z równowagi. – Robię sobie dzisiaj wolne – szepcze.

Vera cichutko zamyka drzwi i przekazuje tę wiadomość dalej. Arnold Nilsen jest zdrowy. Po prostu chce zrobić sobie wolne. Nie bardzo wie, od czego robi sobie to wolne. Ale leży na otomanie i ma wolne. Boletta wychodzi do Telegrafu. Fred zmyka na podwórze. Stara z Verą pior obrusy. Skoro on żyje z życia, to i od życia musi sobie zrobić wolne? mówi Stara. Vera ją ucisza. Nie uciszaj mnie! Używam tylko jego własnych słów. Powiedziała ci coś? Stara tak mocno cięgnie za obrus, że Vera traci równowagę i musi się oprzeć o babczę. Czy coś powiedziała? Tak, co robi. Co robi? Co ma zamiar robić! Przecież chyba nie tylko poezję szepcze ci do uszka! Vera przysiadła na brzegu wanny. Ja go nie pytam. I on nie pyta mnie. Stara wzdycha i kładzie jej obrus na kolana. Miejmy nadzieję, że on nie jest tylko kolejnym czowiekiem nocy.

niadanie czeka gotowe, kiedy Arnold Nilsen wchodzi do kuchni. W mieszkaniu jest cicho. Został sam. Pierwszy raz jest sam w tym mieszkaniu. Znowu czuje niepokój. Zabiera filiżankę z kawą do okna i wygląda na podwórze. Vera i Stara wieszają pranie, wielkie białe obrusy, które naciągają, zarzucają na sznurki i mocują klamerkami, wyjmowanymi z woreczków u pasa. Arnold Nilsen to widzi. Jest zwyczajny poranek, lato 1950 roku, słońce wkrótce wypełni całe podwórze, jacyś chłopcy reperują rower przy bramie, kulawy dozorca stoi odwrócony plecami i nalewa wodę do wiadra, a za tym wszystkim sycha, ktoś gra jak? prostą melodią na pianinie, powtarzają raz po raz. Vera i Stara mijają się, kiedy zabłany powiew wiatru wydyma obrus, który trzymają rozpostarty między sobą, i ma go nie podrywa ich z ziemi. Arnold Nilsen wszystko to widzi. Tego ranka jest wiadkiem. Jest wiadkiem tego czowieczystwa, wiadra, które trzeba napełnić, rowerem, który trzeba zreperować, obrusów, które mają wyschnąć na słońcu. Tamten pierwszy niepokój minął. Zamiast tego się dziwi, to niepokój innego rodzaju, dziwi się temu wszystkiemu, co zaczyna należeć do niego. Jest może czyż na skraju młodości, wkrótce go przekroczy, dobiega trzydziestki, a wiat wokół niego robi się coraz mniejszy. To jego wiat i on jest tego wiadkiem. Musi zapomnieć o wszystkim, co było, i zacząć pamiętać od nowa. Nagle widzi, że Fred siedzi w jedynym kącie, w którym jeszcze jest cień. Siedzi tam i się gapi. Rozrywa ten poranek na strzępy. Vera go woła. Fred ani drgnie. Vera woła jeszcze raz. Ale Fred dalej siedzi w swoim mrocznym kącie, a kiedy ktoś powoli wpełnia się wiatrem, Fred zasłania oczy dalej. Arnold Nilsen jest zdrowy. Po prostu chce zrobić sobie wolne. Nie bardzo wie, od czego robi sobie to wolne. Ale leży na otomanie i ma wolne. Boletta wychodzi do Telegrafu. Fred zmyka na podwórze. Stara z Verą piorą obrusy. – Skoro on żyje z życia, to i od życia musi sobie robić wolne – mówi Stara. Vera ją ucisza. – Nie uciszaj mnie! Używam tylko jego własnych słów. Powiedział ci coś?

Stara tak mocno ciągnie za obrus, że Vera traci równowagę i musi się oprzeć o babkę. – Czy coś powiedział? – Tak, co robi. Co robił. Co ma zamiar robić! Przecież chyba nie tylko poezje szepcze ci do uszka! Vera przysiadła na brzegu wanny. – Ja go nie pytam. I on nie pyta mnie. Stara wzdycha i kładzie jej obrus na kolana. – Miejmy nadzieję, że on nie jest tylko kolejnym człowiekiem nocy.

Śniadanie czeka gotowe, kiedy Arnold Nilsen wchodzi do kuchni. W mieszkaniu jest cicho. Został sam. Pierwszy raz jest sam w tym mieszkaniu. Znów czuje niepokój. Zabiera filiżankę z kawą do okna i wygląda na podwórze. Vera i Stara wieszają pranie, wielkie białe obrusy, które naciągają, zarzucają na sznurki i mocują klamerkami, wyjmowanymi z woreczków u pasa. Arnold Nilsen to widzi. Jest zwyczajny poranek, lato 1950 roku, słońce wkrótce wypełni całe podwórze, jacyś chłopcy reperują rower przy bramie, kulawy dozorca stoi odwrócony plecami i nalewa wodę do wiadra, a za tym wszystkim słysząc, że ktoś gra jakąś prostą melodię na pianinie, powtarzając ją raz po raz. Vera i Stara śmieją się, kiedy zabłąkany powiew wiatru wydyma obrus, który trzymają rozpostarty między sobą, i mało nie podrywa ich z ziemi. Arnold Nilsen wszystko to widzi. Tego ranka jest świadkiem. Jest świadkiem tego człowieczeństwa, wiadra, które trzeba napełnić, roweru, który trzeba zreperować, obrusów, które mają wyschnąć na słońcu. Tamten pierwszy niepokój minął. Zamiast tego się dziwi, to niepokój innego rodzaju, dziwi się temu wszystkiemu, co zaczyna należeć do niego. Jest mężczyzną na skraju młodości, wkrótce go przekroczy, dobiega trzydziestki, a świat wokół niego robi się coraz mniejszy. To jego świat i on jest tego świadkiem. Musi zapomnieć o wszystkim, co było, i zacząć pamiętać od nowa. Nagle widzi, że Fred siedzi w jedynym kącie, w którym jeszcze jest cień. Siedzi tam i się gapi. Rozrywa ten poranek na strzępy. Vera go woła. Fred ani drgnie. Vera woła jeszcze raz. Ale Fred dalej siedzi w swoim mrocznym kącie, a kiedy kąt powoli wypełnia się światłem, Fred zasłania oczy.

Rozlega się dzwonek do drzwi. Arnold Nilsen odstawia filiżankę, zwleka. On tu nie mieszka. Jego nazwiska wciąż nie ma na drzwiach. Znów dzwonek. Arnold Nilsen spogląda w dół na podwórze, Stara kuca przy Fredzie, obejmuje go. Arnold Nilsen przechodzi do przedpokoju i otwiera. To Arnesen. Udaje zdziwionego. – Czy żadnej z pań nie ma w domu? – pyta. – Są na dole, wieszają bieliznę. Mogę je przyprowadzić. Ale Arnesen macha ręką i w tej samej chwili go wymija. – Znam drogę. Odstawia swoją walizeczkę na podłogę przy zegarze, wyjmuje kluczyk i odwraca się do Arnolda Nilsena. – Podobno to pan jest właścicielem tego nowego samochodu. Arnold Nilsen kiwa głową.

Arnesen się uśmiecha. – Ile koni mechanicznych ma taki silnik? – Sto pięćdziesiąt. – Sto pięćdziesiąt? Mój ty świecie. To znaczy, że może jechać szybciej niż dozwolone. Arnold Nilsen się śmieje. – Szybki samochód może też jechać wolno. – Co prawda, to prawda.

Jeżeli człowiek nie ulegnie pokusie. A to się może przytrafić każdemu. To znaczy, kiedy nikt nie widzi. Arnold Nilsen nic na to nie mówi. Teraz Arnesen się śmieje. – No, ja tu stoję i gadam w czasie pracy, nie przedstawiwszy się. Agent ubezpieczeniowy Arnesen.

Wyciąga rękę, łapie za sztywną rękawiczkę i natychmiast ją puszcza, przechodzi go dreszcz. – Wypadek? – pyta. – Wojna – odpowiada Arnold Nilsen. Arnesen uśmiecha się, odwraca plecami, wyciąga szufladkę pod zegarem i zabiera pieniądze do skórzanej portmonetki, którą wkłada do walizeczki. Arnold Nilsen widzi, że jego palce są szybkie i zwinne, widział to już wcześniej, ale wie, że nikt nie jest dostatecznie szybki, że zawsze znajdzie się ktoś, kto cię odkryje, prędzej czy później, popełnisz błąd i upuścisz wszystko na podłogę, ledwie zadrżysz i oderwie ci rękę. – To pana żona gra na pianinie? – pyta.

Arnesen wsuwa szufladkę na miejsce i patrzy na niego. Już się nie uśmiecha. – Panu to przeszkadza? – Ależ skąd. – Ale może uważa pan, że powinna zacząć ćwiczyć jakąś nową melodię? – Nie zastanawiałem się nad tym. – Jak pan pomieszka tu dostatecznie długo, to na pewno pan się nad tym zastanowi. Arnold Nilsen wyjmuje z kieszeni marynarki banknot i wsuwa go do walizeczki. – Teraz i ja będę ubezpieczony – mówi. Arnesen zatrząskuje pokrywę. – Tak, to się może panu przydać.

Arnesen wycofuje się z ukłonem, ale teraz nie wyciąga już ręki, już poczuł dotyk fałszywych palców. Arnold Nilsen stoi przy owalnym zegarze, który wskazuje sześć po dziewiątej. Słyszy z kuchni, że kobiety wróciły. Wychodzi im na spotkanie. – Arnesen zabrał składkę. Stara rozgląda się dokoła. – No tak, poczułam, że zrobiło się tu chłodniej – szepcze.

Fred biegnie do przedpokoju, wdrapuje się na krzesło i potrząsa zegarem. W środku nic nie brzęczy, tylko Fred się śmieje, prawie krzyczy, ale cały czas potrząsa zegarem, aż Stara musi mu w końcu go wyrwać i właściwie nastawić wskazówki. Arnold Nilsen wyjmuje nowy banknot i daje go Fredowi. – Proszę, możesz go włożyć do szufladki. Fred patrzy na niebieski wymięty papierek. – Ja chcę pieniądze – mówi. Arnold Nilsen się śmieje i wyciąga z kolei monetę, którą mocno nagryza, zanim da ją Fredowi. – Na pewno usłyszysz, jak upadnie na dno! Fred długo wyciera koronę o nogawkę spodni, a potem wkłada ją do kieszeni. – Masz ją włożyć do zegara – mówi Vera. Żeby nic nam się nie stało. Fred kręci głową i chce odejść. Vera go powstrzymuje. – Możesz przynajmniej podziękować, Fred! – Nic nie szkodzi – zapewnia Arnold Nilsen. Ale Vera się uparła, Fred ma podziękować. – Powiedz „bardzo dziękuję”! – woła. Jak nie, to będziesz musiał oddać pieniądze! Fred zaciska usta, rękę w kieszeni zwija w pięść i próbuje się wyrwać. – Podziękuj! – woła Vera i nie chce go puścić. Wtedy wtrąca się Stara. – Puść chłopca – mówi i wkłada do zegara pieniądze za wszystkich.

Wieczorem tego samego dnia Boletta i Vera zdejmują suche pranie. Słońce świeci nisko z drugiej strony, zabrało światło z podwórza. Niosą kosz do magła w piwnicy, wsuwają pierwszy obrus między walce i wspólnymi siłami je obracają. Kiedy następny obrus jest wymaglowany i gładki, Boletta pyta: – Czy coś się stało z Fredem? Vera odpoczywa, oparta na korbie. – Nie potrafię z nim rozmawiać. On mnie przestał słuchać. Boletta składa obrus i kładzie go w koszu. – Jest tylko trochę zdezorientowany – mówi. A wtedy łatwo wpaść w gniew. Vera jest bliska płaczu. Zasłania usta ręką. – Może najlepiej będzie, jak Arnold się wyprowadzi – szepcze. Boletta się uśmiecha. – Och, wcale nie o tym myślałam.

Obejmuje córkę ramieniem. Fred nie jest przyzwyczajony do twojego śmiechu.

Ktoś idzie korytarzem, a one od razu wiedzą, kto to jest, przy każdym kroku jeden but zostaje w tyle, spóźnia się, wypada z rytmu, szura po kamiennej podłodze. Staje w drzwiach. To dozorca Bang. Zatrzymuje wzrok na stosie obrusów. – Obrusów nigdy dość – mówi i z początku na tym poprzestaje. Boletta odwraca się do niego plecami i przyska wodą na ostatni obrus, który ma przejść przez maglownicę. Dozorca Bang przesuwając spojrzenie na Verę. – Może pomogę kręcić? Vera potrząsa głową. – Nie, dziękuję. Bang się uśmiecha i podchodzi bliżej. – Trzeba teraz, zdaje się, nakrywać na więcej osób. Vera z całej siły ciągnie za korbę i obrus znika między walcami. – Można się chyba poczuć bezpieczniej, kiedy w domu wreszcie jest mężczyzna – ciągnie dozorca Bang, z namysłem. Boletta jeszcze raz odwraca się gwałtownie i staje niemal twarzą w twarz. – Niech pan zabiera swoją nogę i znika stąd! – mówi. A dozorca Bang, kulejąc, cofa się, oniemiały i obrażony, pospiesznie odchodzi do piwnicy. Boletta i Vera patrzą na siebie, wstrzymują oddech najdłużej jak mogą i w końcu wybuchają śmiechem. – Jakbym słyszała Starą! – śmieje się Vera. Boletta musi się jej przytrzymać i ledwie może dobrać z siebie głos. – Uff! Prawie się krztusi. Czyżbym zaczęła upodabniać się do matki?

Kiedy wracają na górę z obrusami, okazuje się, że Stara już się położyła. Twierdzi, że opadła z sił i osłabła, chce iść do doktora Sanda, następcy i przeciwnictwa Schultza, stanowczego abstynenta, który używa maseczki na usta i kartoteki. Boli ją czoło. Młodości czuje nawet w rękach. – Zaraziłaś mnie tym swoim bólem głowy i sinymi łokciami! – mówi do Boletty i chce, żeby zostawiono ją w spokoju. Pozwalają jej więc chorować, a następnego ranka Stara wstaje przed wszystkimi, zamawia taksówkę i nie daje się powstrzymać ani Boletcie, ani Verze, które słyszą, jak telefonuje, i spieszą jej na ratunek, nie życzy sobie, żeby ktokolwiek jej towarzyszył, i absolutnie nie chce jechać samochodem Arnolda Nilsena. Nie, ten ostatni etap pokona sama, tak jak słońce z godnością usuwają się na bok i kładą się, żeby umrzeć bez niepokojenia reszty stada. – Ty tylko udajesz – prycha Boletta. Nic ci nie jest! Ale Stara patrzy na nią ponuro, schodzi do taksówki i siada z tyłu.

Prosi kierowcę, żeby objechał róg przy Jacob Aalls gate i tam się zatrzymał. – To tylko sto metrów – mówi kierowca. – Zapłacę – odpowiada Stara. Taksówkarz robi, co mu każe.

Chętnie widziałbym, żeby okazał się kierowcą tej samej taksówki, w której urodził się Fred, ale tak nie było, takie rzeczy nigdy się nie zdarzają, a gdyby tak było, opowieść być może potoczyłaby się w zupełnie innym kierunku albo słuchacz uznałby ją za kłamstwo, wymysł, a przez to również zaczęłby wątpić w resztę naszej historii, najprawdopodobniej by ją odłożył na dobre i poszukał innych, bardziej wiarygodnych opowieści. Mimo wszystko pragnąłem, aby to był ten sam taksówkarz, bo chętnie wysłuchałbym rozmowy między nim a Starą, może zaprosiłaby go później do domu, na filiżankę kawy albo herbaty, mogliby sobie opowiedzieć, co się wydarzyło od tamtej pory, kiedy stali na skrzyżowaniu Kirkeveien i Ullevålsveien, a zakrwawione dziecko przychodziło na świat na tylnym siedzeniu, później mógłby poznać Freda, chłopca, którego ochrzcił, no bo czy nie zachowali tego pierwszego imienia, jakie zostało wypowiedziane w tamtej świętej taksówce? Owszem, oto Fred. Ale to inny kierowca, starszy mężczyzna, który stale przeciąga palcem wzdłuż nieporządných, a także niezbyt czystych wąsów. – Czekamy na kogoś? – pyta. – Na razie niech to pana nie obchodzi – odpowiada Stara. Obserwuje buicka, zaparkowanego na sąsiednim rogu. Arnold Nilsen na razie się nie pokazał. Stara przez moment się niepokoi. Może dzisiaj też zrobi sobie wolne? Taksometr klika. Wreszcie Arnold Nilsen się pojawia, siada za kierownicą i skręca w Kirkeveien. – Teraz bardzo proszę jechać za tym samochodem – mówi Stara i osuwa się jak najgłębiej na siedzeniu, żeby pod żadnym pozorem nie zostać zauważona.

Arnold Nilsen jedzie przez Majorstuen i w dół Bogstadveien. Lekko kropi, więc ma podniesiony dach. Jacyś ludzie czekają pod sklepem monopolowym z rękami w kieszeniach i zgiętymi karkami. Gołębie na Valkyrien unoszą się jak ławica, a potem lecą każdy na swój gzyms. Piekarz wynosi chleb do furgonetki, świeże bochenki parują.

Miasto nie śpi, bezsenne w łagodnym deszczu. A Arnold Nilsen, o niczym nie wiedząc, jedzie przez kolejny poranek. Parkuje na jakimś tylnym podwórzu na Grønnegata i piechotą pokonuje ostatni kawałek do Cochs Hospits. Stara zatrzymuje taksówkę przy Parkveien, stamtąd widzi, że Arnold Nilsen naciska dzwonek i wkrótce zostaje wpuszczony do środka. Stara czeka. Ma dość czasu. Taksometr wybija niesłyszczaną sumę. Starej wystarczy pieniędzy. Taksówkarz przeciąga palcem pod nosem tam i z powrotem. Ale cierpliwości Starej nie wystarcza. Płaci i prędko przechodzi przez ulicę, kierując się do obskurnej bramy. To wyjście awaryjne, tylne drzwi Arnolda Nilsena, myśli, jego kamuflaż. Albo też jest inna, z którą ten mały ekstrakt mężczyzny się zabawia, ale tak czy owak dostanie za swoje. Stara dzwoni do Cochs Hospits. Drzwi w końcu ledwie się uchylają i wygląda zza nich tłusta kobieta o ciężkich powiekach. – Idę do Arnolda Nilsena – mówi Stara. Na twarzy kobiety pojawia się wyraz zakłopotania. – Nie znam go. Już ma zamknąć drzwi, lecz Stara nie ma zamiaru opuszczać Cochs Hospits z niezłatwioną sprawą. Wysuwa naprzód but, łapie kobietę za ucho i wykręca je. – Nie wolno oszukiwać starych kobiet – syczy. Proszę mi pokazać pokój Nilsena! Kobieta wpuszcza ją do środka. Idą na górę po stromych schodach do czegoś, co przypomina recepcję, jest tu lada z popielniczkami i starą gazetą, i tablica, na której wiszą dwa klucze. Czuć tytoniem i zapleśniałymi materacami. Trzej mężczyźni siedzą w pokoiku bez okna, grają w karty i piją piwo. Patrzą na Starą, przez moment niepewni, po czym znów w milczeniu pochylają się nad butelkami. – Znajdzie go pani w 502 – mówi tłusta dama i rozciera ucho. – Dlaczego nie powiedziała mi pani tego od razu? – pyta Stara łagodnie. – Ponieważ nasi goście życzą sobie nieograniczonej dyskrecji – odpowiada kobieta i unosi powieki. Trzej mężczyźni w tylnym pokoiku śmieją się pod nosem. – Rzeczywiście, wyobrażam sobie – prychna Stara. Ale dla Arnolda Nilsena od tej pory nie będzie już nieograniczona! Idzie dalej na górę na piąte piętro i trafia w długi wąski korytarz z wysokimi

oknami po jednej stronie i drzwiami po drugiej. Pod jednymi z nich stoi para butów. Stara wolno sunie do końca i tam znajduje numer 502. Najpierw nasłuchuje i słyszy jakieś dziwne szumy dobiegające z pokoju, wzmagają się, nabierają mocy. Zagląda przez dziurkę od klucza i widzi przesuające się prędko cienie. Wtedy Stara prostuje się i mocno puka. – Proszę, żeby mi nie przeszkadzano! – woła Arnold Nilsen. Ile razy mam to powtarzać! – Jeszcze raz! – woła Stara. W pokoju 502 zapada cisza, zupełna cisza. W końcu Arnold Nilsen otwiera drzwi, blady, ubranie i włosy ma w nieładzie – No tak, proszę wejść. Stara wymija go i zatrzymuje się. Łóżko jest zaścielone. Na podłodze leżą najrozmaitsze narzędzia. Na stole pod oknem, którego zasłony są zaciągnięte, leżą rozwinięte rysunki. Ze stojącej lampy zdjęto abażur i łyśa żarówka oświetla wszystkie kąty. Nikogo innego tam nie ma.

Ale na środku pokoju stoi wysoki statyw ze śmigłem, przypominającym skrzywioną gwiazdę, prowadzi do niego drabina. Arnold Nilsen zamyka drzwi. – Patrzysz na mój wiatrak – szepcze. Stara odwraca się do niego. – Wiatrak? Ukrywasz wiatrak w Cochs Hospits? Arnold Nilsen zakłada abażur i staje przy oknie. – Potrzeba czasu, żeby go skończyć – mówi. Kiedy się ma jedną rękę. Stara obchodzi wiatrak dookoła i nie wie, czy jest rozczarowana, czy też czuje ulgę. Dlatego nie wie, co robić, i w końcu siada na łóżku. – Sam go budujesz? – pyta. Arnold Nilsen natychmiast pokazuje jej rysunki, ale ona nic nie pojmuje z tej całej geometrii i je odsuwa. – Wy tutaj, na południu, nie wyznajecie się na wietrze – mówi Arnold Nilsen. Bo wy nie wiecie, co to jest wiatr! Wydaje wam się, że wiatr wieje, kiedy trochę szumi w parku Frogner. O nie! Wspina się kilka stopni na drabinę, puszcza w ruch koło i słychać teraz ten sam odgłos, szumy, Stara musi odchylić się do tyłu, żeby nie uderzyło jej w głowę. Arnold Nilsen się śmieje. – Wiatr jest jak kopalnia, jak kopalnia pod niebem! Można z niej czerpać najczystsze płynne złoto, jakie istnieje. Nagle poważnieje i schodzi na dół. – Ty nie jesteś chora – szepcze. Śledziłaś mnie. – Oczywiście! – odpowiada Stara. Chciałam zobaczyć, co z ciebie właściwie za człowiek! – Myślałaś, że mam inną Verę, prawda? Stara nie odpowiada. Arnold Nilsen siada przy niej. – A znalazłaś mnie tutaj z wiatrakiem! Za jakiego człowieka mnie teraz uważasz? Stara wstaje i podchodzi do okna. – Słyszałaś o słoniach w górskich okolicach Dekanu? – pyta. Arnold Nilsen kręci głową. – To wyżyna w Indiach. Pociąg jeździ tam od granicy do granicy i musi pokonać wielką równinę, na której żyją stada słoni. Raz lokomotywa przejechała słoniątko. Słuchasz mnie, Arnoldzie Nilsen? Arnold kiwa głową, a na czoło występuje mu pot. – Tak. Słyszę wszystko, co mówisz, a nawet jeszcze więcej. – To dobrze! Bo kiedy pociąg miał wracać, matka słoniątka stała w tym samym miejscu i czekała. A gdy pociąg nadjechał, rzuciła się na lokomotywę. Zaatakowała lokomotywę i dwadzieścia pięć wagonów. Chciała pomóc

swoje zmarłe dziecko.

Chciała przewrócić cały pociąg. Stara znów siada przy nim. – Jak myślisz, kto wygrał, Arnoldzie Nilsen? – pyta. On nie odpowiada jej od razu. A kiedy wreszcie się odzywa, mówi o czymś innym. – Może dlatego włos z ogona słonia oznacza szczęście – szepcze.

Stara długo siedzi w milczeniu. – Nie wiem, co z ciebie za człowiek, Arnoldzie Nilsen.

Wiem tylko, że masz bardzo uważać na Verę i na Freda. Oboje tak łatwo zniszczyć.

Zrozumiano?

W sierpniu Arnold Nilsen przeprowadza się do pokoju Very, ze wszystkimi swoimi garniturami, które wiesza w głębi szafy, za sukienkami. Cicho kładzie się przy Verze w małżeńskim łóżu. Patrzy w sufit. Uśmiecha się. Może myśli, że zielone słońce nareszcie weszło dostatecznie wysoko i teraz świeci na niego. Bierze głęboki oddech, poruszony i zdumiony, czuje w ustach słodki ciężki smak. – Wydaje mi się, że tu u was czuć smak małagi – szepcze. I Arnold Nilsen obraca się do Very, która mu na to pozwala.

Pobrali się we wrześniu, w kościele na Majorstuen. Vera wołała, żeby ślub odbył się gdzie indziej, bo tu wciąż sprawował swoją posługę ten sam pastor. Na to Arnold Nilsen odparł spokojnie: – Nawet jeśli ten chytrus nie chciał ochrzcić Freda, to nie może nam odmówić pójścia do ołtarza! Jeśli tak będzie, zaskarżę go przed Królem i przed rządem, posunę się nawet jeszcze dalej! W tamtą sobotę padał deszcz. Na ślubie obecni byli Stara, Boletta, Fred, Esther, dozorca Bang, Arnesen i trzech zmęczeni panowie z Cochs Hospits.

Pastor odprawił ceremonię szybko, z ponurą miną i z obrzydzeniem patrzył na białą suknię Very. A Vera patrzyła mu w oczy z przekorą, uśmiechnięta, ale kiedy Arnold Nilsen wsunął jej na palec pierścioneł, który obiecała przypilnować Rakel, pochyliła głowę, ku wielkiej satysfakcji pastora, i popłakała się, świadoma, że nie istnieje nic takiego jak czysta radość i że być może właśnie dlatego się śmiejemy.

Urodziłem się w marcu. Przyszedłem na ten świat nogami do przodu i przyprawiłem moją matkę o wielki ból.

BARNUM

(chrzest)

– Barnum? Pastor odłożył pióro i popatrzył na matkę, siedzącą po drugiej stronie biurka ze mną na kolanach. – Barnum? – powtórzył. Matka nie odpowiedziała. Spojrzała tylko na ojca, który wolno obracał w palcach kapelusz. – Tak – odparł ojciec. Dobrze pan usłyszał.

Tak postanowiliśmy. Chłopiec będzie miał na imię Barnum. Może akurat w tej chwili troszkę zapłakałem. I matka musiała mnie pocieszać. Śpiewała w gabinecie pastora. Pastor znów ujął pióro, zniecierpliwiony, i zapisał coś na kartce. – Czy naprawdę jest takie imię? – spytał. Ojciec zareagował na tę niewiedzę łagodnym westchnieniem. – Barnum to imię tak samo dobre jak każde inne – powiedział. Pastor uśmiechnął się. – Pan, panie Arnoldzie Nilsen, pochodzi z północnej Norwegii? Ojciec kiwnął głową. – Z Røst, panie Sunde. Z miejsca, w którym Norwegia stawia kropkę. Przestałem płakać, matka już nie śpiewała. Pastor wstał. – Wy tam być może wykazujecie większą swobodę w doborze imion. Ale tu, na południu, są pewne granice. Ojciec się roześmiał. – Barnum to nie jest północnonorweski wymysł, drogi pastorze. To amerykańskie imię. Pastor wyciągnął jakąś księgę z półek, które miał za plecami. Przerzucał stronicę, szukając czegoś. Matka kopnęła ojca w łydkę i ruchem głowy wskazała na drzwi. Ojciec w milczeniu odmówił. Pastor usiadł i położył książkę na stole. Ojciec wychylił się do przodu. – Będzie pan dyskutował z Biblią? Pastor nie odpowiedział. Odczytał na głos: – *Zakazuje się nadawania imienia, mogącego stanowić obciążenie dla osoby, która będzie je nosić.* Zacząłem płakać. Matka kołysała mnie i nuciła. Pastor zamknął księgę i podniósł głowę, szczęki miał napięte. – Ustawa o nadawaniu imion z 9 lutego 1923 roku. Kapelusz w dłoniach ojca już się nie obracał. – Ale przecież to imię chyba nikogo nie obraża? – spytał. Na to pastor nie miał odpowiedzi. Zamiast tego powiedział: – Proszę, żebyście znaleźli jakieś inne imię dla tego nieszczęsnego chłopca. Matka już wstała i podeszła do drzwi. – On nie jest wcale nieszczęsnym chłopcem! – oświadczyła. Idziemy! Ojciec siedział jeszcze przez chwilę. – Pastor, zdaje się, już po raz drugi wykazuje niechęć wobec moich dzieci – powiedział ściszym głosem. Pastor się uśmiechnął. – Wobec pańskich dzieci? Jest pan ojcem obu?

Ojciec nasadził kapelusz na głowę. Oddech z trudem wydobywał mu się z piersi, przeklinał swój krzywy nos. – Jest wielu pastorów – szepnął. – Ale tylko jeden Bóg i jedno prawo – odparł pastor. Kiedy wychodzili, ojciec mocno trzasnął drzwiami, lecz matka na korytarzu straciła odwagę. – Nie możemy po prostu nazwać go inaczej?

Rozpłakała się. Ojciec nie chciał o tym słyszeć. – On się będzie nazywał Barnum, do diaska! Znów zacząłem płakać. Ojciec kopniakiem otworzył drzwi do gabinetu pastora i wsunął do środka głowę w kapelusz. – Mieliśmy w domu sąsiada, który nazywał się Niedolus! – zawołał. Bardziej by to pasowało do pana!

Tej nocy ojciec nie mógł zasnąć. Siedział i rozmyślał. Chodził po pokoju tam i z powrotem, nie dając też spać innym. Wiele razy uderzał pięścią w stół i mówił do siebie. Potem na długo zapadła cisza. A kiedy śniadanie było gotowe, stanął w kuchni, wycieńczony, ale zdecydowany, i nie chciał usiąść. – Zostawiłem wiadomość rodzicom, kiedy ich opuszczałem – powiedział. Że wrócę, gdy przyjdzie czas. Albo nigdy. A teraz czas nadszedł. Matka zatrzymała łyżkę z kaszką, którą usiłowała wepchnąć mi do ust.

Podniosła głowę. Boletta odstawiła filiżankę z herbatą, a Stara musiała przytrzymać Freda, żeby siedział spokojnie. – Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała matka. Ojciec głęboko wciągnął powietrze. – Chłopiec zostanie ochrzczony na Røst! – oświadczył.

Ojciec zniknął na dwa dni. Musiał najpierw coś załatwić. Trzeciego dnia rano zjawił się w domu w czarnym garniturze, szarym na miarę, jasnym płaszczu, błyszczących butach i z ostrzyżonymi włosami, lecz z takim samym lśniącym lukiem na czole. Pocałował matkę i machnął plikiem biletów. – Pakuj walizkę i szykuj się! Wyjechaliśmy tego samego dnia wieczorem, nocnym pociągami do Trondheim. Boletta, Stara i Fred odprowadzali nas na Dworzec Wschodni. Matka w hali dworcowej płakała. Fred dostał od ojca czekoladę mleczną i pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było rzucenie jej na tory. Ach, nie mogli mnie po prostu nazwać Arne, Arnold junior czy Wilhelm drugi? Ale nie, miałem mieć na imię Barnum i musieliśmy jechać na Røst, żeby zostało to zapisane w kościelnych księgach.

Konduktor wniósł walizkę do wagonu sypialnego. Potem lokomotywa szarpnęła i matka wychyliła się przez okno, żeby pomachać, a mnie na rękach trzymał ojciec. Wciąż czuję ten zapach, który rozbieram teraz na kawałeczki, jak chemik z laboratorium pamięci: płyn do włosów, który miesza się ze słodkimi perfumami szorstkiego policzka, ostra woń tytoniu bijąca z rękawiczek i łagodny pot ciasnego kołnierzyka, wszystko to wchodzi w skład wyższej jednostki, gorzkiej receptury peronu: pożegnania. Spałem i nie mogłem o tym wiedzieć. Wciąż znajdowałem się poza wspomnieniami. Spałem z matką na dolnym łóżku, a ojciec siedział na brzegu i nalewał wódkę do szklanki do mycia zębów. Podał ją matce, której sił starczyło tylko na to, żeby ją powąchać. Ojciec wypił więc wszystko sam i odetchnął. – Teraz chłopiec dostanie wreszcie właściwe imię – powiedział. A ja pobieram swoje luźne wątki. Nalał do szklanki więcej i znów ją opróżnił. – Na zdrowie, moja droga. Niech to będzie również nasza spóźniona podróż poślubna. Matka ujęła go za kaleką dłoń i szepnęła, ponieważ ja spałem i nie wolno mnie było budzić: – Czy oni wiedzą, że przyjedziemy? Ojciec poczuł nagły ból w palcach, których nie miał. – Oni? – Twoi rodzice, Arnoldzie. – Nie wiem nawet, czy żyją – odszepnął. A potem osunął się na podłogę i klęcząc, przytulił się do piersi matki. – Boję się, Vero. Tak się boję.

W Trondheim pada deszcz. Matka wynosi mnie z pociągu. Konduktor przyprowadza wózek i kładą mnie w nim. Ojciec zostawił strach za sobą. Daje konduktorowi banknot i poklepuje go po ramieniu. – Mogę przewieźć walizkę razem z resztą bagażu – mówi konduktor i prędko wsuwa pieniądze pod czapkę. – Bardzo proszę. Ojciec popycha go do odejścia, a potem człowiekowi, który czeka, aż otworzą kawiarnię, daje pustą piersiówkę w zamian za parasol. – Co to za bagaż? – pyta matka. – Och, to tylko drobny upominek.

Ojciec śmieje się i otwiera nad nami czarny parasol, i tak wiozą mnie szerokimi ulicami na nabrzeże. Tam czeka już statek liniowy. Matka blednie. Teraz to ona się boi. – Nie popłyniemy chyba tą balią? – szepcze. Ale ojciec nie ma teraz czasu na odpowiedź, bo już na grubych linach wciągają na pokład drewnianą skrzynię, mierzącą co najmniej cztery metry na cztery, kołysze się, szarpana porywami wiatru, i mało nie wypadnie z wiązań. – Ostrożnie, do diaska! – wrzeszczy ojciec. W końcu skrzynia zostaje bezpiecznie opuszczona na pokład, cały statek kołysze się jeszcze bardziej, pasażerowie stojący wzdłuż relingu klaszczą w ręce, a ojciec kłania się nisko, jak gdyby to on podniósł ów drogocenny ładunek, posługując się jedną całą i jedną połówką ręki.

Do kajuty prowadzi nas sam kapitan. Jest ciasna, niska, za bulajem przelewają się fale.

Ojciec odciąga go na bok. – Jak długo będziemy stać w Svolveær? – pyta. – Godzinę – odpowiada kapitan. – Doskonale – stwierdza ojciec, a kapitan zaprasza rodzinę państwa Nilsenów na obiad do swego stolika, na godzinę szóstą wieczorem. Ale matka całym ciałem zapada na chorobę morską, jeszcze zanim wypłyniemy z Trondheimsfjorden i okrążymy Fosenlandet, z dziobem nareszcie skierowanym na północ. Ojciec stoi na pokładzie, osłonięty tą wielką drewnianą skrzynią, na której wymalowano czerwoną farbą jego nazwisko. Stoi pod czarnym parasolem. Strach, który zostawił za sobą, znów go dopada. Już w następnym porcie może zejść na brzeg i zniknąć. Znikał już wcześniej. Nie, jest za późno. Przeżył już swoją porę mroku. Wie o tym. Teraz jest widzialny. Teraz jest czerwiec. Biorą kurs na słońce. Wypływają z deszczu i płyną ku słońcu. Ojciec wybucha nagle śmiechem i wyrzuca za burtę parasol, który leci ukosem jak rozdarty kormoran i znika w falach, no bo czy ktoś kiedyś wracał na Røst z męskim parasolem w rękę? Jeśli tak, to jakiś błazen albo duch, który nie wie, że jedyny parasol, który wytrzymał na wietrze na Røst, miał poprzeczki z kości halibuta, obciążnięte skórą z czterech zębaczy. Ojciec przykłada ucho do skrzyni, nasłuchuje i wydaje mu się, że słyszy ze środka lekki szum.

Potem schodzi do kajuty. Matka leży na wąskiej koi. Spływa potem. – Mamy jeść obiad przy stoliku kapitańskim o szóstej – mówi ojciec. Matka wymiotuje. A kiedy matka wymiotuje, ja idę w jej ślady, jakbym się jeszcze z nią nie rozłączył. Wymiotujemy razem i ojciec ma pełne ręce roboty. Sprowadza pokojówkę, która zmienia prześcieradło, myje podłogę i stawia przy łóżku dwa wiadra. Matka jest wycieńczona i pusta. Ledwie ma siłę mnie trzymać. – Chodź ze mną na górę – mówi ojciec. To przez te ściany jest ci niedobrze. – Cicho – mamrocze matka. Ojciec wyciera jej twarz swoją chusteczką. – Musisz widzieć fale, żeby móc je znieść – mówi. Matka jęczy. – Dlaczego nie pojechaliliśmy samochodem? Ojciec zaczyna się niepokoić i teraz ociera pot z własnego czoła. – Ponieważ nie ma dość benzyny, a poza tym samochód stoi w warsztacie.

W dodatku jeszcze nie wyasfaltowali cieśniny, przez którą przepływa malstrom, Moskenesstrømmen. Matka leciuteńko się uśmiecha. – To były trzy odpowiedzi, Arnoldzie.

Zawsze wtedy wiem, że zmyślasz. Ojciec się śmieje. – A ja wiem, że już niedługo wyzdrowiejesz! Wstaje i patrzy z góry na matkę i na mnie. Może teraz widzi, że będę do niego podobny, z wyjątkiem oczu, bo moje są niebieskie. I jest to chwila radości i niepokoju, triumfu i smutku. – Poproszę, żeby kapitan przysłał jedzenie na dół – mówi ściszym głosem. – Nie, ty idź na górę – odpowiada matka. Proszę. I ojciec robi tak, jak Vera sobie życzy. Arnold Nilsen siada przy stole kapitańskim. Je plastry halibuta w maślanym sosie i wypija butelkę piwa. Rozmawia głośno po amerykańsku z jakimiś turystami i wznosi toasty. – Co sprowadza pana na północ? – pyta kapitan. – Zamierzam ochrzcić syna – wyjaśnia ojciec. Kapitan zapala papierosa i patrzy na jego rękawiczki. – I wiecie pan ze sobą w tej skrzyni kościół? Ojciec się uśmiecha. – Można to tak nazwać.

Nic więcej nie zdradza. Nie zamierza nagradzać ciekawości dalszymi odpowiedziami.

Jedna prawda na dzisiaj wystarczy. Lubi być tajemniczością, dobrze ubraną zagadką, mówiącą obcymi językami. Trzyma głębę na kłódce. Dostają kawę. Stół się kołysze.

Talerzyki zsuwają się na brzegi. Przewraca się butelka. Lampy migoczą. Kapitan nie jest zadowolony z rozmowy. – Pańska żona nie miała ochoty zjeść z nami? – pyta. – Ona, niestety, nie radzi sobie z falami – odpowiada ojciec. To jeszcze jedna prawda, stwierdza w duchu. A często okazuje się, że dwie prawdy to o jedną za wiele, kiedy następują po sobie w tak krótkich odstępach czasu. Powinien raczej skłamać, okazać nieuprzejmość albo milczeć. Bo kapitan nagle wykazuje troskliwość. – Na pokładzie jest lekarz, który chyba może zajrzeć do młodej matki. – Ależ to wcale nie jest konieczne – protestuje ojciec. Ale kapitan już klaszcze w dłonie. – Doktorze Paulsen! – woła i stary chudy mężczyzna w koszuli z przetartym kołnierzykiem, okularach z pękniętym jednym szkłem i tylko dwoma guzikami przy kamizelce obraca się wolnym ruchem przy stoliku w samym kącie, odsuwając jednocześnie krzesło, jakby wstawał z jakiegoś innego punktu w czasie i patrzył zza lat i godzin spowitych mrokiem. Usta mu drżą. – Kto? – mamrocze. Kapitan kiwa do niego ręką. – Proszę tu przyjść, doktorze! Ojciec pochyła się nad filizanką. Nie wie dlaczego i przeklina sam siebie, ale lęk znów go dopada, nie dał rady mu umknąć, lęk jest od niego szybszy. Właśnie tego się bał. Właśnie tego oczekiwał: rozpoznania. Ale to nie tak ma być, nie w taki sposób, nie tak mizernie i nędznie. Pragnie triumfu i bezgranicznego podziwu. Doktor Paulsen podchodzi do nich, poruszając się niepewnie po przechylonej podłodze. Zatrzymuje się. Kapitan przyciąga go bliżej. – Drogi doktorze Paulsen, mamy na pokładzie cierpiącą na chorobę morską kobietę z maleńkim dzieckiem.

Jaką pan zna najlepszą radę na taki przypadek? Stary doktor nagle zaczyna się śmiać. To zachowanie wysoce nieestosowne. To ten pijany śmiech, ten, który nigdy nie wie, z czego się śmieje, i w końcu zaczyna się śmiać sam z siebie. Arnold Nilsen ośmiela się podnieść wzrok. – Uważa pan za zabawne, że moja żona jest niedysponowana? Doktor kaszle i wyciera mokre usta rękawem marynarki. – Na chorobę morską jeszcze nikt nie umarł, moi panowie. Choroba morska to tylko skrawek nieprzyjemności ludzkiego życia. Zanim człowiek przyzwyczai się do ruchów statku. Arnold Nilsen zdobywa się na zuchwałość: – Może pomogłaby szpilka od kapelusza wbita w serce – mówi. Doktor Paulsen dziwi się, zdejmuje okulary, wpatruje się w Arnolda, z powrotem je wkłada. – Zalecałbym raczej czerstwy, twardy chleb i pół kieliszka wina. Kłania się i wraca do swojego stolika.

Arnold Nilsen, mój ojciec, śmieje się, zdał, jeszcze nie został rozpoznany. – Czy odwiedził nas lekarz pokładowy we własnej osobie? – pyta. Kapitan kręci głową. – Nie, doktor Paulsen sam jest chory – odpowiada szeptem. Był na badaniach w Trondheim.

Niestety, jest umierający. A doktor Paulsen, który zatrzymał się między stolikami, odwraca się i jeszcze raz patrzy na Arnolda Nilsena, jak gdyby on również mógł coś dostrzec przez pęknięte okulary, jakiś cień, jakiś supeł czasu, który się rozluźnia. – Pańska żona z pewnością to przetrzyma – mówi. Ale dziecko na wszelki wypadek chciałbym zbadać.

Ojciec ciężko odstawia filizankę. – Chłopiec czuje się dobrze! Nie potrzeba mu lekarza!

Kapitan obchodzi stół dookoła. – Lepiej, żeby pan posłuchał doktora. Spodziewamy się wyższych fal. Razem schodzą więc do kajuty. Matka na widok obcego człowieka natychmiast siada na łóżku, zdumiona i wściekła. Ojciec przyniósł kromki czerstwego chleba i odrobinę czerwonego wina. Szybko do niej podchodzi. – Sam lekarz pokładowy zgodził się sprawdzić, czy Barnumowi nic się nie stało od tych fal – mówi. Matka przeciąga ręką przez sztywne, splątane włosy i zakrywa ramiona. – Nic mu nie jest – szepcze. Ale doktor Paulsen już pochyła się nad wózkami, w których leżą. Odsuwa na bok kocyk. Naciska mi palcem na brzuch, puszcza i długo tak stoi, wpatrując się we mnie w milczeniu. Matka zaczyna się niepokoić. Ojciec chce coś powiedzieć. I nagle doktor Paulsen zaczyna płakać. Stoi pochylony nad wózkami dziecięcymi i szloch. Ojciec ujmuję starego człowieka za ramię i wypycha go z kajuty, a kiedy do niej wraca, matka siedzi na brzegu łóżka i trzyma mnie na rękach, pobladła. – Dlaczego on płakał? – Doktor był pijany – odpowiada ojciec. Bardzo przepraszał. – Znałeś go? Ojciec podaje jej czerstwy chleb umoczony w winie. – Nie – mówi. A matka żuje i żuje, aż w końcu znów musi zwymiotować. Potem ojciec ją obejmuje. – W dzieciństwie co dzień cierpiałem na chorobę morską. To mi zahartowało żołądek i nauczyło mnie pokory. Ociera łzę z kącika oka. Poza tym doktor stwierdził, że rzadko miał okazję oglądać takie ładne dziecko. Matka milczy. Fale uderzają w kadłub. Statek jeszcze jedną noc płynie dalej na północ, potem noc odchodzi, i jest już tylko światło. Prawie nie śpimy. – Krąg polarny to granica, którą mamy w głowie – mówi cicho ojciec. Czujesz, że go przekraczamy? Ale matka nie czuje niczego oprócz ogromnego zmęczenia, głębokiej pustki, w mózgu nie ma krwi, a ja znajduję się poza skalą stopni szerokości geograficznej, jestem swoją własną krótką liniijką, wciąż bezimienny, zmierzający ku własnym chrczinom. Kiedy statek odbija od nabrzeża w Bodø, ojciec znów wychodzi na pokład. Doktor Paulsen stoi na kei, zgarbiony i drżący. Unosi rękę. Potem

odwraca się po raz ostatni i znika w świetle nad miastem. Jest wcześnie rano, słońce. Gładki Vestfjorden oddycha, jest szeroką powolną falą, która sama siebie popycha.

Ojciec widzi góry wznoszące się po drugiej stronie, w niebieskiej mgle, jak gdyby oderwały się od ziemi i unosiły pomiędzy morzem a niebem. Widział to już wcześniej, kiedy jechał w przeciwną stronę. Musi się mocno trzymać. Sam jakby się odrywał, upadał.

Za późno już, by zawrócić. Ulga, którą czuł przez chwilę, zmienia się w obojętność, przypominając swego rodzaju oszołomienie. Kapitan woła do niego z mostka: – Jak się czuje żona i dziecko? – Hartują się! – odkrzykuje ojciec. Kapitan ze śmiechem wchodzi do sterowni. Ściana Lofotów jest coraz bliżej. Mewy wiszą nad statkiem jak rozkrzyczana chmura. A w Svolvær ojciec w pośpiechu schodzi na ląd. Mija godzina, a on nie wraca.

Dzwon pokładowy bije po raz trzeci. Kapitan zaczyna się niepokoić. Na kei aż gęsto od ludzi, wszyscy dziwią się temu opóźnieniu. Jest już kwadrans po czasie. Dwaj bystrzy chłopcy otrzymują polecenie odszukania Arnolda Nilsena, niedużego człowieczka o czarnych gładkich włosach, z lokiem na czole, w jasnym płaszczu i rękawiczkach. Nie znajdują go ani w barach, ani w hotelu, ani w przetwórni ryb. Upłynęło już o pół godziny za dużo. Kapitan wydaje polecenie wciągnięcia trapu i zrzucenia cum. Przeklina. Czy przez resztę podróży ma go dręczyć cierpiąca na chorobę morską kobieta z niemowlęciem, czy też ich również powinien wysadzić na ląd? Znowu przeklina, a tymczasem przy szopach coś się dzieje. Ludzie rozstępują się na boki, robiąc przejście. Głosy cichną. Okrzyki zamierają. Kapelusze i czapki wędrują do góry. To Arnold Nilsen wreszcie nadchodzi.

I nie wraca sam. Prowadzi ze sobą starego pastora. Duchowny nie przypomina już czarnego żagla na wietrze. Jest tylko małym proporczykiem w słońcu i nie może dotrzymać kroku Arnoldowi Nilsenowi, który musi się zatrzymywać i ciągnąć go za sobą. Trap zostaje natychmiast opuszczony i kapitan osobiście pomaga staremu pastorowi wejść na pokład, umieszcza go na najbliższym krześle. Odwraca się do Arnolda Nilsena. – Czy pańska żona poczuła się aż tak źle? – pyta z uśmiechem. Arnold Nilsen też się uśmiecha, wypowiada się tajemniczo: – Skoro wiozę ze sobą kościół, to chyba przyda mi się też pastor – mówi. Potem schodzi do kajuty i przyprowadza matkę, która wynosi mnie na światło. – Poznaj mojego starego przyjaciela – mówi ojciec. To najlepszy pastor w tych stronach i w ogóle w całym kraju! Matka zawstydzona patrzy na kruchego człowieka, który wstaje z krzesła, wolnym ruchem wyciąga rękę i dotyka mojej głowy. Przysięgam, poczułem, jakby mnie kopnął prąd, który dosięga również matki, matka dyga, trzyma mnie mocno i dyga przed tym starowiną, który już prawie nie ma głosu, tylko przejrzyste, bystro patrzące oczy i krzyż na szyi. – Za dużo śpiewałem – tłumaczy. Staralem się przekrzywić sztorm. – Udało się to panu? – pyta matka. Nie – odpowiada stary pastor. I pojawia się tęcza, pomiędzy płaczem a śmiechem, jej łuk w uśmiechu starego człowieka, który mówi: – To będzie dla mnie wielka radość móc ochrzcić waszego syna.

Później stoją na pokładzie, a statek płynie wzdłuż stromej ściany. Matka trzyma się teraz prosto, jest silna, a ja śpię, wycieńczony wiatrem i elektrycznością. Nawet kiedy dziób wcina się w Moskenesstrømmen, matka się nie chwieje. Zahartowała się. Za to ojciec mięknie. Widzi latarnię. Widzi Nykene. Uczy matkę różnych ptasich nazw, żeby w tej chwili zapomnieć o swoim strachu. Widzi białe skaliste wysepki, które są znakami kormoranów. Zbliża się. Nie było go osiemnaście lat. Nie wie, co go tam czeka. Ale tam na niego czekają. Kiedy statek podpływa do nabrzeża na tej płaskiej wyspie na krańcu morza, heblowanej przez sztormy i sól, na wąskiej kei nie ma już gdzie postawić stopy.

Plotki przyplłynęły szybciej niż statek. Fale przytoczyły swoje wiadomości. Wiatr przysłał swoje telegramy. Arnold Nilsen przyciąga matkę do siebie. – Co to za zapach? – pyta matka. A ojciec cieszy się z tego pytania, ono daje mu czas na to, by stanąć prosto, by rozpoznać samego siebie. – Sztokfisz, moja droga. Perfumy sieci. Matka dostrzega ryby wiszące na stojakach, wszędzie, niczym w jakimś wielkim dziwnym ogrodzie, w którym nieznanne owoce usychają na kalekich drzewach. Od tamtej pory matka powtarzała, że nigdy nie zdołała pozbyć się tego zapachu, wbił się na stałe, we włosy, w skórę, pod paznokcie, w ubranie, wyjechał razem z nimi i w każdej chwili mógł wywołać u niej wymioty, natomiast kiedy indziej wywoływał marzenia, dzikie i niesłychane. Ale teraz oczekujący ludzie zaczynają się niecierpliwic. Czy Arnold Nilsen nie zejdzie na ląd?

Przyjechał tu tylko po to, żeby pokazać swoją twarz, a potem zawrócić i z nich zadrwić?

I nagle ktoś krzyczy: – Kółko wrócił do domu! Kółko wrócił do domu! Teraz już krzyczą wszyscy. Wzywają Kółko. Widzą, że niewiele osiągnął wzwyż, ale większość tego nadrobił wszcz. Arnold Nilsen zamyka oczy, przełyka, przełyka kłujące światło, ostry wiatr, ujmuję matkę za rękę i schodzą po trapie. Budzę się. Czuję ten sam zapach. Od tamtej pory nie mogłem jeść ryb. Płacę. Matka mnie pociesza. Ojciec się wita, podaje komuś rękę, twarze się przesuwiają, tak samo gapią się na panią z miasta, młodą miastową panią w cienkich bucikach, i na małe płaczące dziecko. Ojciec zatrzymuje się, rozgląda. – Aurora i Evert – szepcze. Gdzie są Evert i Aurora? Ale nikt nie ma czasu odpowiedzieć, bo teraz na keję spuszczają wielką skrzynię, Arnold Nilsen przywiózł ze sobą nie tylko żonę i dziecko, ma też skrzynię wielkości rybackiej chaty. – Nie otworzysz jej? – dopytują się najciekawszi, a tacy przeważają. Arnold Nilsen się śmieje. – Jeszcze nie Wigilia – odpowiada. Ciągnie matkę za sobą, chce przejść do chaty, odkładał ten moment przez osiemnaście lat, chce wrócić do domu, chce zobaczyć rodziców, Aurorę i Everta, musi już mieć to za sobą. Nagle staje przed nim stary uśmiechnięty człowiek i zagradza mu drogę, a Arnold wie, kto to jest, to sąsiad, ten, którego zawsze nazywali Niedolusem, ponieważ to on zawsze przynosił złe wiadomości, o zatonięciu statku, o zerwanej sieci, o chorobie, owcach, które wpadły w przepaść, opóźnionej pocztce i orkanach. On się wcale nie zestarzał, myśli Arnold, zawsze był taki stary. – To ty nie wiesz? – pyta Niedolus i ściąga czapkę. Arnold Nilsen wie, co Niedolus mu powie, ale kręci głową, na razie jeszcze nie wie. – Aurora i Evert umarli.

Tak więc ojciec, ta połowa syna, żeby naprawdę wrócić do domu, musi najpierw iść na cmentarz. Kroczy między matką a starym pastorem, popycha wózek, w którym leżą ja, przed sobą, wzdłuż wąskiej żwirowej ścieżki przecinającej wyspę, obok wieży dla podróżujących po morzu i zbawionych. Za nami idą wszyscy, którzy nie chcą stracić Arnolda Nilsena z oczu, a wśród tych ostatnich pierwszy jest Niedolus. Kościelny wybiega z cmentarnej kapliczki i pokazuje właściwy grób, który trudno uznać za prawdziwe miejsce pochówku, to tylko krzywy, pomalowany na biało drewniany krzyż, wetknięty w suchą ziemię między chwastami przy kamiennym murku. Na desce wyryto:

Evert i Aurora Nilsenowie. Ojciec pada na kolana, ściąga rękawiczki i składa dłonie.

Stary pastor również klęka i nawet on, który podczas sprawowania swej posługi widział prawie wszystko, wzdryga się na widok okaleczonej ręki Arnolda. – Śmierć i chrzest – szepcze pastor. Przyjechałeś w radości i smutku. Ojciec nie słyszy. Wpatruje się w te dwa imiona, wypisane tym samym pismem. Wstaje. – Czy oni zmarli jednocześnie? – pyta.

Niedolus staje przy nim. – Aurora odeszła późną zimą w czterdziestym szóstym – mówi.

Evert poszedł za nią około Zielonych Świątek. Kiedy ziemia dostatecznie zmiękła, żeby ich pochować. Arnold Nilsen kiwa głową. – Tak, idziemy za tymi, których kochamy – mówi i zaczyna płakać. Niedolus patrzy w dół, na wszystkie brakujące w dłoni ojca palce. – Nikt nie mógł cię odnaleźć i powiadomić – mówi. Ojciec odwraca się ku kościelnemu i poznaje go, to jeden z chłopców, z którymi razem kosił trawę, może ten, który śmiał się najgłośniej, gdy kosa zrobiła się za długa, a zbocze zbyt strome. – Chcę, aby moi rodzice mieli okazały pomnik – mówi ojciec głośno, tak aby wszyscy mogli go usłyszeć, i naciąga rękawiczkę z fałszywymi palcami. – Chcę, by stanął tu sarkofag wielkości co najmniej największych tutejszych kamieni, ma zostać wypełniony morskim piaskiem, a ich imiona wyryte w marmurze! Kościelny kiwa głową. Wszyscy kiwają. Bo tak właśnie powinno być. Kółko wreszcie uczci matkę swoją i ojca swego. Wiatr w porywach okrąża krzyże. Wyrwane kwiaty zawisają w powietrzu nad grobami jak niespokojne bukiety. – Takie mauzoleum będzie dużo kosztowało – stwierdza kościelny. – Niech kosztuje jeszcze więcej! – woła ojciec. Rachunek proszę przesłać Arnoldowi Nilsenowi do Oslo! Ludzie zaczynają wychodzić z cmentarza, powoli, niespiesznym krokiem, bo chętnie chcieliby usłyszeć, gdzie Arnold Nilsen zamierza się zatrzymać, może zamieszka w hotelu Rybackim razem ze starym pastorem i tam otrzyma odpuszczenie grzechów, albo może ma w tajemniczej skrzyni na kei przyczepę kempingową z oknem z firankami? I wtedy Niedolus nareszcie i po raz pierwszy w życiu oznajmia dobrą nowinę: – Możecie mieszkać u mnie! – mówi najgłośniej, jak potrafi. A inni nie chcą być gorsi. Arnold Nilsen z rodziną może zatrzymać się u wszystkich. Arnold Nilsen wzruszony ujmuje matkę za rękę, jest przygnębiony i uradowany zarazem. – Nie, drodzy przyjaciele.

Zamieszkały u siebie! Wokół Arnolda Nilsena zapada cisza, ludzie spuszczaają wzrok, kręcą głowami i rozchodzą się do swoich zajęć.

Jest sobota. Wkrótce będzie wieczór, a wieczór nie przynosi ciemności, ale jest pełen wiatru. Jutro mam zostać ochrzczony, w nowym kościele, przez starego pastora. Mam mieć na imię Barnum. Ojciec wskazuje drogę z powrotem, szedł tędy tyle razy wcześniej, mógłby przejść tędy we śnie, chociaż pojawiły się słupy telegraficzne, wśród których mógłby zabiłdźić, ale wystarczy tylko iść za zapachem suchej, chudej ryby, samej skóry i kości, którą zdejmie się ze stojaków i wyśle na południe, zanim zapłoną świętojańskie ogniska, lecz zapachy i tak zostaną, tak samo jak ból odciętych palców, którego Arnold Nilsen nie może się pozbyć. Przy przetwórnicy skręcają na ścieżkę wzdłuż cieśniny. Arnold Nilsen czuje ciężar w piersi. Niewiele osób ostatnio tędy chodziło. Zostawiają wózek przy krzywej furtce i dalej matka niesie mnie na rękach. Łamie obcas w prawym buciku i nic nie mówi. Nigdzie nie ma schronienia przed wiatrem. Ojciec ciągnie za sobą walizkę. – Powinno się robić walizki na kółkach – mówi. Matka tego nie słyszy. Słyszy jedynie wiatr i szybkie ptaki, które nurkują ku nim i skręcają w ostatniej chwili, tak blisko, że czuje na twarzy końce skrzydeł. Wpada w dołek i traci drugi obcas. Jest bliska płaczu, ma ochotę zawrócić, ale nie robi ani jednego, ani drugiego. No bo gdzieżby poszła na takiej wyspie? Musi towarzyszyć Arnoldowi Nilsenowi w drodze do domu. A on teraz przystaje. Kawalek dalej, na niskim pagórku, stoi dom. Nie, to raczej resztki domu, a może nawet tyle nie, to wspomnienie domu. Podchodzą bliżej. Trawa wyrosła tu dziko, wysoko.

Szyby w oknach są potłuczone. Drzwi walą w podmuchach wiatru. Na progu leży szczęka.

Arnold Nilsen odstawia walizkę i przez chwilę się waha. Pies, myśli. Tuss. Wchodzą do środka. Matka musi schylić głowę. Rozgląda się. Na kuchni stoi dzbanek do kawy. Ze ściany spadł zegar. Arnold wiesz go na haczyku, wbitym przez ojca w wyrzucone przez morze drewno, które znajdowali na brzegu. Obluzowane wskazówki zwisają pionowo za matowym szkłem, za którym przy szóstce leży zdechła mucha. Arnold przestawia krzesło.

Zbiera kilka szklanych odłamków, z którymi nie wie, co zrobić. W kątach leżą odchody owiec. – Chyba nie będziemy tutaj spać? – pyta szeptem matka. – Będzie dobrze – odpowiada ojciec. Będzie dobrze. Potem wychodzi, znajduje za domem kosę, ostrzy ją i zaczyna kosić trawę. Matka stoi w drzwiach, ze mną na rękach, i patrzy na tego człowieka, na Arnolda Nilsena, który kosi trawę, kosi tak, jakby to była sprawa życia i śmierci, w ciemnym garniturze i skórzanych rękawiczkach, kosi jak opętany, a kosa w jego rękach wciąż jest ciężka i trudno nad nią panować, ale on się nie poddaje, a matka mu na to pozwala, chociaż niszczy ubranie, w którym ma iść do kościoła, być może matka myśli, że go nie zna, że nic o nim nie wie, ale tego wieczoru to nie on jest obcy, tylko ona.

Arnold Nilsen tnie więc trawę zardzewiałym ostrzem, ciężko dyszy, płacze i śmieje się, a kiedy ów nędzny kawałek ziemi jest już płaski, skoszony, przynosi suche resztki sieci z szopy i zawija w nią suchą trawę, zielone słońce żółknie.

Ojciec wraca do domu dopiero w nocy. Przynosi ze studni wiadro wody, lecz ona także jest słona. Deszcz jest słony. Wiatr jest słony. Śpię na twardej ławie. Mam dobre serce.

Oni się kładą do łóżka rodziców. Ledwie starcza dla nich miejsca. Matka nie śpi.

Wskazuje na drzwi, które ją zdziwiły. Na wysokie drzwi w zewnętrznej ścianie obok wiatrolapu. – Do czego ich używacie? – pyta. Ojciec się uśmiecha. – To drzwi dla nieboszczyka, Vero. Mogli tędy wnosić trumny, nie bezczeszcząc przy tym zmarłych przez stawianie ich pionowo. Milczą przez chwilę. Może przysłuchują się mnie. – Żałuję, że nie poznałam Aurory i Everta – szepcze matka. Ojciec ujmuje ją za rękę. – Na pewno zachodziliby w głowę, jak zdołałem cię zdobyć. Matka też się uśmiecha. – Powiedziałabym wtedy po prostu, że udało ci się mnie rozśmieszyć. Ojcu na moment dech zapiera w piersiach, ściska jej rękę swoimi fałszywymi palcami mocno, aż do bólu, matka krzyczy, a on nie zwraca na to uwagi. Wzdycha. – Muszę ci coś powiedzieć, Vero. Prawie to wykrzykuje i puszcza jej rękę. Ale nic więcej nie mówi. – O co chodzi, Arnoldzie?

Matka czeka. On milczy. Matka sądzi, że on się tylko daje prosić, odwraca się do niego rozeźmiana i widzi, że on leży przy niej zdrętwiały, pot z włosów spływa mu po twarzy czarnymi smugami, wokół ust ma pianę, ubitą białą pianę, a oczy to brunatne szkło, stłuczone na dnie. Matka znowu krzyczy. – Co się stało, Arnoldzie!? A on w tej chwili jakby się obudził, odzyskuje normalny oddech, mrok opada z niego, teraz już widzi, widzi ją, wstrząśnięty. – Nic – mówi szeptem. To nic. Nie wie, na jak długo odpłynął, może tylko na sekundę. Wstaje, musi wyjść, sam. Musi zaczerpnąć powietrza. Siada na progu, podnosi zszarzałą gładką psią szczękę, potem ją wyrzuca. Po chwili matka również wstaje.

Zatrzymuje się za nim. On czeka. Może mówił przez sen, nieświadom własnych słów, i powiedział za dużo. Czeka i wie, że w tej chwili może go spotkać zagłada. – Co mi chciałeś powiedzieć? – pyta w końcu matka. Arnold wzdycha. To wszystko, westchnienie ulgi. – Musisz być wypoczęta na jutro – mówi cicho. Matka chowa twarz w dłoniach.

Wokół nich błyszczą ze wszystkich stron, to morze. – W takie noce nie da się spać – mówi matka. – Wystarczy tylko zamknąć oczy, Vero. Matka nie opuszcza rąk. – To nie pomaga.

Światło jest za mocne. Mimo wszystko wchodzi jednak do środka, może usłyszała, że i ja się obudziłem. Arnold Nilsen dalej siedzi na progu. Patrzy na wiatr. To nigdy nie jest ten sam wiatr. Wiatr jest szeroką rzeką płynącą przez jego świat. Ich łódź leży w dole na brzegu przy szopie, spróchniała, wywrócona na bok, jak martwe, rozkładające się zwierzę.

Arnold wciąż drży, jego ciałem wstrząsa echo. To wkrótce minie. W domu musi być jakaś butelka, łyk wódki, który został po świętach. Arnold Nilsen podnosi się, staje przed drzwiami dla nieboszczyków. Nie tędy droga, myśli. Nie, teraz nie tędy droga. Idzie naokoło i przekrada się do kuchni. Wyciąga szufladę, znajduje sztucce, talerzyki, filiżanki i narzędzia, przemieszane jedne z drugimi, to zapewne Evert nie zdołał utrzymać porządku po śmierci Aurory. Wszystko pokryte jest kurzem i solą, która zdziera kolory, tak samo pożerana jest wyspa i pewnego dnia morze całkiem się przez nią przeleje. W końcu Arnold Nilsen znajduje coś, czego wcale nie szuka. Pod obrusami w najniższej szufladzie, wraz z wiadomością, którą kiedyś napisał do matki na kartce, wyrwanej z zeszytu do rachunków, leży karta. Wyjmuje ją. To ręcznie kolorowane zdjęcie Patursona, najwyższego człowieka świata. A z tyłu Paturson napisał pozdrowienia dla Arnolda, swego dobrego przyjaciela, w maju 1945 roku. Píše, że Czekoladowa Dziewczyna nie żyje. Przez Arnolda przetacza się kolejna lawina. Karta została wysłana z Akureyri na Islandii i obeszła wiele adresów zarówno w Norwegii, jak i zagranicą, nim w końcu trafiła tutaj, do jego rodziców na Røst. Arnold Nilsen chowa ją do starej czarnej walizki, pod oderwaną podszewkę, ta karta to jedyna rzecz, jaką zabiera ze sobą, kiedy stąd wyjeżdżamy.

Jest już rano. Wcale się tego nie czuje. Doba nie ma przerwy. Czas nie ma brzegów.

Matka jednak zasnęła, on pozwala jej spać, ze mną obok. Sam wychodzi. Widzi, że z okolicznych wysp nadpływają łodzie. Przypominają całą armadę. Tak, nawet rodziny i urzędnicy ze Skomvær wyprawili się tu w tę niedzielę. Arnold Nilsen się uśmiecha.

Znów jest na górze. Ręce mu się nie trzęsą. Nikt nie chce siedzieć w domu, kiedy Kółko i jego elegancka miastowa żona zamierzają ochrzcić swojego synka w nowym kościele.

Łodzie walczą z wiatrem. Fale pienia się biało wokół latarni morskiej i biją w falochron.

Arnold Nilsen się śmieje. Wiatr jest odpowiedni i jest go więcej niż dość. Potem Arnold myje twarz w słonej deszczówce, goli się i budzi pocałunkiem matkę i mnie. – W naszym kościele są twarde ławki – mówi. Będziesz musiała wziąć poduszkę.

Nie ma ani jednego wolnego siedzącego miejsca. Ludzie ustawili się też pod ścianami, niecierpliwi, w lśniących niedzielnych ubraniach. Tej niedzieli nie starcza też psalterzy i gdy mają śpiewać *Bóg Bogiem będzie, choć zginą wszystkie ziemie*, śpiewają szybciej, niż kiedykolwiek im się to udało, organista przez chwilę usiłuje dotrzymać im kroku, lecz przy drugiej zwrotce się poddaje, starają się skończyć jak najszybciej, żeby móc przystąpić do rzeczy, a mianowicie dowiedzieć się, jakie imię będzie nosił synek Kółka, a nie może to być zwyczajne imię, skoro wrócił tutaj po tylu latach spędzonych za granicą, w cyrku i w ciszy, żeby dziecko ochrzcił pastor, który nie sprawuje już posługi. Ale przede wszystkim pragną mieć już za sobą kazanie, błogosławieństwo i zbieranie pieniędzy na tacę, tak by mogli jak najprędzej dowiedzieć się, co się znajduje w skrzyni Arnolda Nilsena, wciąż stojącej na kei jak wielka zagadka. Wreszcie matka zanosí mnie pod ołtarz, ojciec spieszy za nią. Jestem dziś jedynym dzieckiem, które ma zostać ochrzczone.

Niektórzy wstają z tylnych ławek, żeby lepiej widzieć. Jakiś psalterz spada na podłogę.

Kościelny nalewa wody do chrzcielnicy. Wkrótce zapada zupełna cisza. A stary pastor w sutannie z kryzą znów wygląda niemal jak czarny żagiel, lecz jest żaglem pozbawionym wiatru, owiniętym wokół masztu. Jego głos bowiem brzmi równie cicho, kiedy macza palce w wodzie, też słonej, polewa mi nią głowę i wymawia moje imię tak małymi literkami, że nawet matka ich nie słyszy. Parafian ogarnia niepokój. Rozlegają się szepty.

Buty szurają po podłodze. A w końcu, kiedy stary pastor wyciera mi głowę sztywnym ręcznikiem – o wszystkim tym mi opowiadano – ktoś woła, to Niedolus: – Jak, u diabła, będzie miał na imię ten chłopiec? Arnold Nilsen odwraca się do nich. To te same twarze.

Mężczyźni o włosach szczesanych do tyłu z białych czół, zadarte brody i ostrożne uśmiechy kobiet, wielkie oczy dzieci, niedzielne twarze, te same twarze, które widział z każdej areny, na jakiej stanął, i wie, że jeśli nie może kochać tych twarzy, to nie może też kochać nikogo innego, a już najmniej samego siebie. Arnold Nilsen wyciąga rękę w powietrze. – Chłopiec ma na imię Barnum! – woła. A teraz zapraszam wszystkich na uroczystości! Ja, Barnum, jestem już zapisany w księgach. Mnie też liczą. Kościelne dzwony dzwonią i tak zaczyna się moje życie jako Barnuma, a zabawa przenosi się na parter hotelu Rybackiego.

Arnold Nilsen zamówił sarkofag na grób rodziców, teraz nie chce okazać się mniej szczodry wobec żywych i stawia mieszkańcom wysp rozmaite trunki i kanapki, a oni nie dają się prosić dwa razy. W raporcie medycznym z Røst za rok 1950, spisany przez lekarza okręgowego Emila Moego, można przeczytać, że poziom trzeźwości tego roku na wyspie jest całkiem niezły, co najzwyczajniej w świecie wynika z faktu, że nikt nie ma pieniędzy na wódkę, wyjątek stanowi jedna niedziela w czerwcu, kiedy to chrzciny przeobrażają się w długotrwałe pijaństwo, na szczęście bez większych wypadków, jeśli nie liczyć skręconej ręki, powierzchownych otarć i dwóch pękniętych sztucznych szczęk, mimo wszystko ilość wypitego alkoholu znalazła odbicie w wyjątkowo licznych w następnym tygodniu wizytach u pielęgniarki, rozdzielającej ostatnie racje amerykańskiego soku pomarańczowego. Kobiety tłoczą się wokół Very, najmłodsze dziewczynki chcą mnie brać na ręce, matka pozwala im na to, a ojciec stoi razem z mężczyznami, którzy rozpinają sztywne, drapiące w upale kołnierzyki koszul, i śledzą wzrokiem wnoszone do środka butelki; Niedolus ustawił się pośrodku, żeby słyszeć wszystko, co zostanie powiedziane w obu miejscach, żeby nic mu nie przepadło. Kieliszki zostają napełnione i mężczyźni piją. – Nieźle ci się powiodło, Arnoldzie Nilsen – stwierdza latarnik. Arnold Nilsen spuszcza wzrok, chce uchodzić za skromnego. – W każdym razie nie mogę narzekać – odpowiada cicho i nalewa od nowa, bo kieliszki w tych wielkich rękach wydają się absurdalnie małe. – Ale co ty robiłeś? – pyta kościelny.

Arnold Nilsen się uśmiecha. – Robiłem tyle różnych rzeczy, że nie starczy czasu na wymienienie chociażby połowy – mówi. Mężczyźni wysoko cenią sobie wódkę, lecz nie są zadowoleni z odpowiedzi. – Czasu mamy dużo – stwierdza brakarz. Arnold Nilsen poznaje ich teraz jeszcze lepiej, z wysepek, na których kosili trawę, z klasy, pamięta ich imiona i śmiech. – Niedługo zobaczycie coś z tego, co robiłem – mówi łagodnie.

Mężczyźni zadowalają się tym, bo może wreszcie dowiedzą się, co jest w tej skrzyni na kei. Znowu wypijają zdrowie. Arnold Nilsen odwraca się do Niedolusa i z niechęcią stwierdza, że tamten stale przybliżył się do kobiet. – Nie dajesz już rady pić gorzałki? – woła Arnold Nilsen. Niedolus podchodzi, jakby się skradał, i Arnold Nilsen wręcza ciekawskiemu staruchowi wolny kieliszek. – Należę tylko do połowy, skoro tak ci się ręka trzęsie – mówi. Niedolus się uśmiecha. – To tobie brak pewnej ręki, Arnoldzie. Skoro straciłeś jeszcze więcej palców niż ostatnio. Niedolus opróżnia kieliszek i znowu mu go podsuwa. Arnold Nilsen odstawia butelkę. – Nie przypominaj mi o moich wypadkach w takim dniu jak dzisiejszy – mówi cicho. Niedolus czeka z pustym kieliszkiem. – O ile dobrze pamiętam, to pierwszego palca nie straciłeś wcale w wypadku. – Resztę dłoni straciłem podczas wojny – szepcze Arnold i nalewa Niedolusowi do pełna, żeby zmusić go do milczenia. Ale Niedolus od wódki robi się jeszcze bardziej rozmowny. – Tak, wojna dla większości z nas była prawdziwym nieszczęściem – wzdycha. A dlaczego nie przywoziłeś tu drugiego syna? Arnold Nilsen przymyka oczy. Tutaj wszyscy wiedzą prawie wszystko. Słucha wiatru. Czuje niepokój. Czyżby wiatr cichł? Nie, słyszy, jak strzela flagami. Wiatru jest dość i on im to pokaże. Po przyjacielsku obejmuje Niedolusa ramieniem. – To pierwszy syn mojej żony – mówi Arnold. Zajmuje się nim, na pewno świetnie, moja kochana teściowa. – Twoja żona była już wcześniej mężatką? – dopytuje się Niedolus. Arnold Nilsen kręci głową. – Ale powiem ci, Niedolusie, że moja teściowa to nie byle kto. Kieruje Telegrafem w Oslo i troszczy się o to, żebyście mogli prowadzić zamiejscowe rozmowy telefoniczne i gadać ile wlezie. Śmieje się z własnej wypowiedzi, a mężczyźni pozrzucali marynarki i zaczynają się kręcić coraz bliżej kobiet. Vera wstaje i kładzie mnie do wózka. Zmęczyły mnie dziewczyny, bo nie mogą się powstrzymać przed wtykaniem mi palców w loki, które już zdążyły urosnąć i okalają mi głowę jak cienka aureola od ucha do ucha. – Nie wiedziałem,

że eleganckie panie w mieście pracują – mówi Niedolus. Arnoldowi Nilsenowi robi się go prawie szkoda. – Sam widzisz, jak mało wiesz, Niedolusie. Ale Niedolus się nie poddaje. Wódka tchnęła więcej życia w jego ciekawość, w głowie ma cały leksykon plotek. – Wobec tego może twój teść zajmuje jeszcze wyższe stanowisko? – pyta. Vera odwraca się do nich i Arnoldowi Nilsenowi nie udaje się odpowiedzieć. Vera uprzedza go swoją szczerością. – Ja nie mam ojca – mówi głośno, tak że wszyscy ją słyszą. Na kilka sekund robi się cicho. Kieliszki znów są puste. Arnold Nilsen napełnia je i przerywa ciszę. – Jestem jedynym mężczyzną w rodzinie – śmieje się. Niedolus garbi się nad kieliszkiem. – Tak, przyszedłeś do zastawionego stołu, Arnoldzie – mówi. A ojcu musiało w tej chwili pociemnieć w oczach.

Posyła cios zaciśniętą pięścią, która ześlizguje się po skroni Niedolusa, słychać trzask, ale to nie nieszczęsna głowa Niedolusa pęka, tylko łamią się sztuczne palce w rękawiczce Arnolda Nilsena i zanim Niedolus upadnie na podłogę, Arnold Nilsen przytrzymuje go mocno, jak gdyby ten cios nigdy nie nastąpił, jak gdyby ramię go cofnęło, a kobiety nie mają czasu nawet na to, by krzyknąć. – A babka Very ze strony matki to słynna aktorka z Danii – mówi Arnold Nilsen i mocniej naciąga rękawiczkę. Ale o niej może nie wiecie?

Nikt nie odpowiada, wszyscy milczą zdumieni. Arnold Nilsen przeciągle wzdycha. – No tak, niczego innego nie należało się chyba spodziewać. Była międzynarodową gwiazdą w czasach niemego filmu, nieporównywalną z nikim na ekranie, a jej twarz przemawiała we wszystkich językach! Nalewa Niedolusowi do kieliszka aż po brzegi, obejmuje go za ramiona i rozgląda się dokoła. – Była żoną słynnego duńskiego odkrywcy i ratownika Wilhelma Jepsena. O nim chyba słyszeliście? Mężczyźni patrzą po sobie i na wszelki wypadek kiwiają głowami. Po chwili kościelny chrząka. – A co on takiego odkrył? Arnold Nilsen puszcza Niedolusa. – Nie powiem, że osobiście odkrył Grenlandię, ale posłano go w tamtejsze lody, żeby znalazł Andréego. Sam jednak zaginął i nigdy nie wrócił z cisy lodowców. Arnold Nilsen obejmuje matkę i długo ją całuje. Potem wychodzi i odpoczywa przy maszynie flagi, reperuje swoje palce. Wkrótce stary pastor również potrzebuje świeżego powietrza i siada obok. – Nielatwo jest wracać – mówi cicho. – To prawda – odpowiada Arnold. Albo wraca się za wcześnie. Albo też wraca się za późno. Stary pastor kiwa głową. – Ale to lepsze niż w ogóle nie wracać – szepcze. Przez chwilę siedzą w milczeniu. W środku trwa zabawa. Słyszać muzykę i szybkie kroki. Dwie kobiety wzięły sobie po ciastku. Mali chłopcy biegną za nimi i żebrzą o kawałek do podziału. Flagi nagle zwisają w dół, ale wkrótce wiatr znów je podrywa. – Był pan dobrym człowiekiem, zarówno dla mnie, jak i dla innych – mówi Arnold Nilsen. – Nie byłem ani lepszy, ani gorszy niż inni – mruczy stary pastor. – Zdecydowanie uważam, że zaliczał się pan do tych lepszych. Kupił pan kartę od Patursona i nie zatrzymywał mnie, kiedy chciałem stąd wyjechać. I ochrzcił pan mojego syna. Stary pastor spuszcza wzrok. – Dobro nie zawsze obraca się na dobre – mamrocze. Arnold Nilsen nie chce się nad tym zastanawiać. Zamiast tego mówi: – A teraz chcę prosić o kolejną przysługę. Stary pastor kiwa głową i czeka.

Arnold Nilsen zamyka oczy. – Proszę o rozgrzeszenie – szepcze. – Za co? Arnold Nilsen odwraca się i nie odpowiada. Stary pastor wdycha. – Myślisz o tym, że opuściłeś rodziców? – pyta. Arnold Nilsen kręci głową. – Po prostu proszę o rozgrzeszenie. Za wszystkie swoje złe uczynki. Stary pastor przybliży się do Arnolda. – Muszę wiedzieć, jakie uczynki Bóg ma ci wybaczyć. On starannie prowadzi rachunki. Arnolda ogarnia złość, prawie wściekłość, z powodu tej staranności. Woła: – Wobec tego zapytam raczej, czy Bóg może wybaczyć wszystko? Stary pastor ujmuje dłoń Arnolda i czuje luźne palce w rękawiczce, przenika go dreszcz. – Tak – szepcze. Bóg może wybaczyć wszystko.

Arnold Nilsen przyciąga rękę do siebie. – Dziękuję. Tylko to chciałem wiedzieć. W tej samej chwili na schodach pojawia się Vera z wózkiem i patrzy na nich. Za nią stoi Niedolus i zerka spode łba. Arnold macha ręką i rusza w ich stronę. Wtedy stary pastor go zatrzymuje. – Ale Bóg woli, żeby najpierw poprosić o wybaczenie ludzi – dodaje szeptem.

Arnold pokonuje ostatni odcinek dzielący go od czekającej na niego matki. Zatrzymuje się przed nią, pijany wiatrem, przezroczystą wódką, moim imieniem i wszystkim, co powiedział stary pastor. – Co się stało? – pyta matka i wyciąga do niego rękę. Ojciec się waha, czuje jej palce gładzące go po koszuli, waha się, nabiera powietrza i odwraca się do Niedolusa. – Wybacz, że cię uderzyłem – mówi. Moja ręka nie wiedziała, co czyni.

Niedolus odwraca głowę i rozciera czoło. – Dobrze, że masz palce z trocin, inaczej miałybyś na sumieniu ludzkie życie – stwierdza cicho. Arnold Nilsen zbywa go śmiechem. – Sprowadź najsilniejszych mężczyzn, jakich uda ci się znaleźć – żąda. Chcę, żeby przewieziono skrzynię na Veddøya! Niedolus zapomina, że prawie został zabity, wbiega do środka i znajduje odpowiednią załogę; wkrótce wszyscy stoją na kei i patrzą, jak tę samą skrzynię ładują na pokład łodzi pocztowej, a potem płyną z nią przez cieśninę ku stromej zielonej górze, wystawiającej grzbiet z fal. Mieszkańcy wyspy pilnie wszystko śledzą, na tych wodach nie było większego ruchu od zimowych połowów w 1915 roku. Ale Arnold Nilsen niepokoi się, stojąc na dziobie. Wiatr umyka. Wiatr się zmniejsza. Arnold Nilsen może przypalić papierosa, a płomień nie gaśnie. Wreszcie schodzą na ląd, pięciu mężczyzn dźwiga skrzynię na płaski szczyt wyspy i stawia ją dopiero, gdy słońce zawisa w pajęczynie chmur i światła nad horyzontem. Trawa jest miękka i ciężka. Ptaki podrywają się z pól skalnych z białym krzykiem. Kobiety stoją na brzegu, razem ze starym pastorem i zatroskane obserwują swoich niepewnych mężczyzn. Ale matka niesie mnie aż na szczyt, matka wspina się, trzymając mnie na rękach, i nawet Niedolus patrzy na nią, na miastową panią, przyzwyczajoną do chodników i poręczy, innymi oczyma.

A Arnolda Nilsena wypełnia dziwna zakochana дума, jest bliski płaczu, z radości, ale nie płacze, tylko głośno się śmieje. Wiatr znów stanął po jego stronie. Wiatr tylko trochę z niego zadrwił, bawi się z tym, który stał tu kiedyś dawno temu i przysięgał, że będzie sprzedawał wiatr, wiejący mu teraz w twarz. Wreszcie są na miejscu. Męczy?ni przepijaj? do?siebie. Czas nadszed?. Arnold Nilsen podchodzi do?skrzyni, rozkoszuje si? tymi sekundami, kiedy widzi, jak kobiety na?brzegu do?niego machaj?, te?same kobiety, opr?cz Aurory, jak gdyby wszystkie mroczne lata roz??ki zapad?y si? w??agodn? chwil? pogodzenia, a?potem wy?amuje jedn? ?cian? i?wyci?ga ze??rodka budowli?, jakiej nikt nigdy nie widzia?. Przypomina rusztowanie ze?skrzyd?ami, stracha na?wr?ble zwie?czonego ko?em. M??czy?ni podchodzi? bli?ej. Milcz?. Gapi? si?. Arnold Nilsen odwraca si? do?nich. Nikt na?razie nic nie m?wi. Matka siedzi z?ty?u, na?trawie, i?nie przejmuje si? ju?, ?e?zniszczy sobie sukienk?. Ona r?wnie? milczy, ko?ysze mnie w?ramionach, nie ?pi?, kr?ci mi?si? w?g?owie, wszystko tutaj jest za?du?e dla moich oczu, cz?sto zastanawia?em si?, czy ten widok ojca stoj?cego na?kraw?dzi zielonego p?askowy?u obok swej ?a?osnej tajemnicy po?o?y? si? na?b?onie pami?ci cieniem, kt?ry mog?em p??niej wywo?a?, bo?zawsze widz? go?w ten spos?b, ojca, na?szczybie Veddy?ya, jak stoi i?czeka na?okrzyki rado?ci, kt?re nie nast?puj?. Za?to g?os zabiera Niedolus. ? Co? ty?za rupiecia tu?przytaska?? ? pyta. Ojciec wpatruje si? w?nich, w?jednego po?drugim. ? To?wiatrak ? m?wi. Ale kiedy zn?w patrzy w?dal, na?horyzonty i?s?o?ce, kt?re wbi?o w?dno kolumn?, to?nie jest z?udzenie, to?nie fatamorgana, ani te? nie w?dka zamroczy?a mu?rozum. Morze jest g?adkie. Nawet ptaki opadaj? zdumione. Po?raz pierwszy, odk?d ludzie si?gaj? pami?ci?, na?R?st nie ma?wiatru. Arnold Nilsen czeka. To?si? musi zmieni?. Ale si? nie zmienia.

Ko?o na?krzywym wiatraku Arnolda Nilsena tkwi nieruchomo. W?ko?cu m??czy?ni zaczynaj? schodzi? na?brzeg. Tylko matka zostaje, matka i?ja. Siada przy ojcu, na?kraw?dzi Vedd?ya, przed bezszelstnym wiatrakiem. Widz? ?odzie odpychane od?brzegu i?m??czyzn, kt?rzy wios?uj?, wioz?c swoje kobiety do?domu w?r?d pustej jasnej nocy. Oni siedz?, nic wi?cej nie m?wi?c. Czekaj? na?wiatr. A?ten nie nadchodzi. Matka opiera g?ow? na?ramieniu Arnolda: wmawiam sobie, ?e?jest w?tej chwili szcz??liwa, jest w?innym ?wiecie, a?ja ?ni? w?jej obj?ciach. ?czy?ni przepijaj? do siebie. Czas nadszed?. Arnold Nilsen podchodzi do skrzyni, rozkoszuje si? tymi sekundami, kiedy widzi, jak kobiety na brzegu do niego machaj?, te same kobiety, opr?cz Aurory, jak gdyby wszystkie mroczne lata roz?aki zapad?y si? w ?agodn? chwil? pogodzenia, a potem wy?amuje jedn? ?cian? i wyci?ga ze ?rodka budow?, jakiej nikt nigdy nie widzia?. Przypomina rusztowanie ze skrzyd?ami, stracha na wr?ble zwie?czonego ko?em. M?zczy?ni podchodz? bliżej. Milcz?. Gapi? si?. Arnold Nilsen odwraca si? do nich. Nikt na razie nic nie m?wi. Matka siedzi z ty?u, na trawie, i nie przejmuje si? ju?, że zniszczy sobie sukienk?. Ona r?wnie? milczy, ko?ysze mnie w ramionach, nie ?pi?, kr?ci mi si? w g?owie, wszystko tutaj jest za du?e dla moich oczu, cz?sto zastanawia?em si?, czy ten widok ojca stoj?cego na kraw?dzi zielonego p?askowy?u obok swej ?al?snej tajemnicy po?o?y? si? na b?onie pamie?ci cieniem, kt?ry mog?em p??niej wywo?a?, bo zawsze widz? go w ten spos?b, ojca, na szczycie Vedd?oya, jak stoi i czeka na okrzyki rado?ci, kt?re nie nast?puj?. Za to g?os zabiera Niedolus. – Co? ty za rupiecia tu przytaska? – pyta. Ojciec wpatruje si? w nich, w jednego po drugim. – To wiatrak – m?wi. Ale kiedy zn?w patrzy w dal, na horyzonty i s?o?ce, kt?re wbi?o w dno kolumn?, to nie jest z?udzenie, to nie fatamorgana, ani te? nie w?dka zamroczy?a mu rozum. Morze jest g?adkie. Nawet ptaki opadaj? zdumione. Po raz pierwszy, odk?d ludzie si?gaj? pamie?ci?, na R?st nie ma wiatru. Arnold Nilsen czeka. To si? musi zmieni?. Ale si? nie

zmienia.

Koło na krzywym wiatraku Arnolda Nilsena tkwi nieruchomo. W końcu mężczyźni zaczynają schodzić na brzeg. Tylko matka zostaje, matka i ja. Siada przy ojcu, na krawędzi Veddøya, przed bezszelestnym wiatrakiem. Widzą łodzie odpychane od brzegu i mężczyzn, którzy wiosłują, wioząc swoje kobiety do domu wśród pustej jasnej nocy. Oni siedzą, nic więcej nie mówiąc. Czekają na wiatr. A ten nie nadchodzi. Matka opiera głowę na ramieniu Arnolda: wmawiam sobie, że jest w tej chwili szczęśliwa, jest w innym świecie, a ja śnię w jej objęciach.

(imię milczenia)

Opowiem o pewnym dziwnym dniu. Obudził mnie płacz Starej. Przez chwilę leżałem, nasłuchując. Płakała cicho, powoli, a najbardziej wystraszyło mnie, że nigdy wcześniej nie słyszałem, jak płacze. Wstałem. Spakowałem tornister.

Zacząłem już chodzić do szkoły. Teraz matka też płakała. Słyszałem je w salonie. Płakały razem i usiłowały się nawzajem pocieszać. Tornister był prawie nowy i pełen planów lekcji, które dostałem od księgarzy z Bogstadveien. Właściwie potrzebny mi był tylko jeden, ale przyjemnie było mieć ich wiele. Mogłem sobie ułożyć własny plan lekcji i na pierwszej lekcji napisać „sen”, żebym mógł spać dłużej. Może Fred zrobił coś złego i dlatego płakały? Wszedłem do łazienki. Fred stał przed lustrem i się cesał. Zerknął na mój tornister. – Wybierasz się do szkoły, Barnum? Kiwnąłem głową. – A ty nie? Wsunął błyszczący grzebień do tylnej kieszeni. – Nie musisz iść do szkoły, jak król umarł – powiedział Fred. – Król umarł? Fred westchnął. – Umarł dziś w nocy, za dwadzieścia pięć piąta. Uśmiechnąłem się. Mało brakowało, a wybuchnąłbym śmiechem, bo taką odczułem ulgę: to tylko król umarł i taki był powód ich płaczu. Chciałem do nich pobiec, ale Fred mnie zatrzymał. – Wydaje mi się, że to niemądre śmiać się dzisiaj, Barnum.

Rozmyślałem o tym, pokonując długą drogę z łazienki do salonu, że to złe z mojej strony śmiać się, kiedy król nie żyje, i że muszę wobec tego być złym człowiekiem, szedłem tak wolno, jak tylko mogłem, by moja twarz mogła pozbyć się uśmiechu, tyle że ten uśmiech jakby utkwiał mi na ustach, wargi się zatrasnęły, musiałem spróbować myśleć o czymś innym, o tym, że to ojciec umarł, że rozbił się samochodem na zakręcie albo wjechał pod pociąg i został zgnieciony przez osiemnaście kół, i że teraz to ja muszę powiedzieć o wszystkim matce, która jeszcze o niczym nie wie, powiedzieć jej, że ojciec nie żyje, lecz że zanim całkiem umarł, zdążył wyszeptać jej imię i pół mojego. Kiedy się zatrzymałem w drzwiach, byłem bliski płaczu. Stara siedziała na sofie obok matki i szlochała w chusteczkę. Boletta stała przy balkonie, miała czarną sukienkę i była blada. Piła kawę, trzymając kubek obiema rękami. „Aftenposten” leżała na stole, z jednym tylko nagłówkiem: *Król nie żyje*. Nie zdołałem nic powiedzieć. Po policzkach płynęły mi łzy.

Matka wstała, mimo wszystko się uśmiechnęła i objęła mnie. – Już dobrze, dobrze, synku, już dobrze. Wtulilem głowę w jej brzuch i płakałem. – Nie musisz dzisiaj iść do szkoły.

Bo kiedy król umiera, wszyscy mają wolne. – Ja nie – usłyszałem, jak mówi Boletta. Teraz z kolei odezwała się Stara. – Chodź tutaj – szepnęła. Matka puściła mnie, podszedłem do sofy. Stara wytarła mi twarz swoją chusteczką, która miała słodki smak, jakby była zanurzona w cukrze, może tak powinny smakować prawdziwe łyzy, jak sok, a nie być kwaśne i twarde jak moje. Na kolanach Starej leżało zdjęcie króla Haakona, które pokazywała tak często, że znałem je na pamięć, zrobiono je wtedy, gdy wrócił do domu po wojnie i jechał swoim otwartym samochodem z rejestracją A-1 przez miasto, jest dokładnie siedemnaście po pierwszej, mija perfumerię Lotos na Torggaten pod falującym dachem z flag, Starą można zauważyć w tłumie z lewej strony, uradowaną, wymachującą do swego króla, nakapało na zdjęcie, ciemne plamy powoli zacierają tę radość. ? A?teraz ty?jeste? moim ma?ym kr?lem ? powiedzia?a Stara i?poca?owa?a mnie w?czo?o.

Mimo wszystko poszedłem do?szko?y. Razem z?Bolett? dotar?em do?Majorstuen. Ledwie nadesz?a jesie?. Dozorca Bang sta? w?ciemnym garniturze i?zmiata? li?cie z?chodnika. Nad ma?ym miasteczkiem pada? deszcz. Flagi by?y opuszczone do?po?owy masztu. Esther obwi?za?a okienko w?swoim kiosku czarn? wst??k? i?p?aka?a w?r?d tygodnik?w.

Samochody je?dzi?y wolno, a?tramwaje czeka?y na?wszystkich. Boletta trzyma?a mnie za?r?k? a??do chwili, gdy nasze drogi musia?y si? rozej??. ? Dzisiaj na? pewno ma?o ludzi b?dzie do?siebie dzwoni? ? powiedzia?em. Boletta otar?a ?z?, prawdziw? ?z?, nie tak? jak moje, kt?re sam wywo?a?em. ? ?wiat nie zawsze jest taki, jak by?my chcieli ? szepn??a.

W szkole dorobili te paki. Nauczycielki i nauczyciele paki. Próbowali się powstrzymać, ale nie mogli i w końcu się poddawali. To dopiero był widok. Pomyślałem, że teraz, kiedy już widzieliśmy, jak pakuje, nic nie będzie takie jak przedtem. Grupka dziewcząt stała przy fontannie, obejmowały się. Zazdrościłem tym, którzy umieli pakać.

Oni byli dobrzy. A ja nie. Ja byłbym zły. Nigdy nie słyszałem, żeby na dziedzińcu szkolnym panowała taka cisza. Nikt się nie śmiał. Nikt nie rzucał we mnie kasztanami. Nikt nie wołał mnie po imieniu. To był przyjemny poranek. Tak powinno być codziennie. Chciałem, żeby wcale nie tak wyglądał świat, powolny, cichy, bez ostrych kątów. O wiele bardziej wolałem sucha paczu niż śmiechu. Nawet dzwonek na lekcję nie dzwonił.

Zaprowadzono nas tylko na salę gimnastyczną, gdzie stało mnóstwo krzeseł, a drabinki były przystrojone gałkami i kwiatami. Gdyby tak mogło tu wyglądać za każdym razem, kiedy mamy gimnastykę na sali, pomyślałem. Gdyby tak król mógł umierać co noc.

Najpierw VII a/dz zapiewała ś. – A teraz ty jesteś moim małym królem – powiedziała Stara i pocałowała mnie w czoło.

Mimo wszystko poszedłem do szkoły. Razem z Bolettą dotarłem do Majorstuen. Ledwie nadeszła jesień. Dozorca Bang stał w ciemnym garniturze i zmiatał liście z chodnika. Nad małym miasteczkiem padał deszcz. Flagi były opuszczone do połowy masztu. Esther obwiązała okienko w swoim kiosku czarną wstążką i płakała wśród tygodników.

Samochody jeździły wolno, a tramwaje czekały na wszystkich. Boletta trzymała mnie za rękę aż do chwili, gdy nasze drogi musiały się rozejść. – Dzisiaj na pewno mało ludzi będzie do siebie dzwonić – powiedziałem. Boletta otarła łzę, prawdziwą łzę, nie taką jak moje, które sam wywołałem. – Świat nie zawsze jest taki, jak byśmy chcieli – szepnęła.

W szkole dorośli też płakali. Nauczycielki i nauczyciele płakali. Próbowali się powstrzymać, ale nie mogli i w końcu się poddawali. To dopiero był widok. Pomyślałem, że teraz, kiedy już widzieliśmy, jak płaczą, nic nie będzie takie jak przedtem. Grupka dziewcząt stała przy fontannie, obejmowały się. Zazdrościłem tym, którzy umieli płakać.

Oni byli dobrzy. A ja nie. Ja byłem zły. Nigdy nie słyszałem, żeby na dziedzińcu szkolnym panowała taka cisza. Nikt się nie śmiał. Nikt nie rzucił we mnie kasztanami. Nikt nie wołał mnie po imieniu. To był przyjemny poranek. Tak powinno być codziennie. Chciałem, żeby właśnie tak wyglądał świat, powolny, cichy, bez ostrych kantów. O wiele bardziej wolałem słuchać płaczu niż śmiechu. Nawet dzwonek na lekcję nie dzwonił.

Zaprowadzono nas tylko na salę gimnastyczną, gdzie stało mnóstwo krzeseł, a drabinki były przystrojone gałązkami i kwiatami. Gdyby tak mogło tu wyglądać za każdym razem, kiedy mamy gimnastykę na sali, pomyślałem. Gdyby tak król mógł umierać co noc.

Najpierw VII a/dz zaśpiewała *Wśród wzgórz i skał*, a kiedy wreszcie usiedliśmy, odłączyłem się od swojej klasy i trafiłem na miejsce obok jakiejś nieznajomej dziewczynki. Miała na policzku błyszczący pieprzyk. Nie mogłem oderwać od niego oczu.

Dziewczynka przesiadła się na wolne miejsce z samego przodu i szepnęła coś do innej dziewczynki, która się odwróciła i zaczęła gapić. Wydawało mi się, że muszę iść do ubikacji. Potem dyrektor wygłosił długą mowę, z której niewiele pamiętam, z wyjątkiem pierwszego zdania: *Podczas okupacji wypisywaliśmy imię Haakona VII na śniegu*, ponieważ zauważyłem, że Aslak, Preben i Chomik z klasy Freda siedzą tuż za mną. Teraz nie mogli mi nic zrobić. Umarł król. Ale kiedy dyrektor poprosił wszystkich, żeby wstali i uczcili śmierć króla minutą ciszy, Preben szepnął: – Nie ma twojego przyrodniego brata?

Nie odpowiedziałem. Chomik wychylił się do przodu. – Bał się dzisiaj przyjść? Wciąż nie odpowiadałem. Nie minęła jeszcze minuta. Aslak nachylił mi się prosto do ucha. – Król nie jest królem dla wszystkich – powiedział. Kiedy minuta upłynęła, dyrektor wezwał Aslaka do mównicy. Myślałem, że na niego nakrzyczy. Tymczasem Aslak miał przeczytać wiersz. W ubiegłym roku był najlepszym uczniem, wygrał konkurs prac ręcznych i zajął drugie miejsce na mistrzostwach lekkoatletycznych, tuż za Prebenem. Na najlepszych uczniów się nie krzyczy. Najlepsi uczniowie donośnym głosem czytają Nordahla Griega.

Głębokie bruzdy zmęczenia ciężko osiadły na twarzy. Wyrył je cudzy ból. Tak wygląda oblicze pokoju. Aslak uklonił się głęboko i po odśpiewaniu hymnu rozeszliśmy się do klas. Tam Kostucha kazała nam wyjąć zeszyty i narysować króla. Sama siadła za katedrą, a jej twarz znalazła się jakby w ramie czarnej tablicy. Ale ja nie mogłem pogodzić się z tym, co Aslak szepnął mi do ucha, chociaż to błyszczącego pieprzyka na policzku dziewczynki, która się przesiadła, miałem nigdy nie zapomnieć. Podniosłem rękę do góry.

Wszyscy na mnie popatrzyli. Kostucha kiwnęła głową. – Czy król był królem dla wszystkich? – spytałem. Kostucha, odpowiadając, uśmiechnęła się smutno. – Tak, Barnum.

Król Haakon był królem małych i dużych, wysokich i niskich. Nie to chciałem wiedzieć.

Chciałem wiedzieć, czy był również królem dla całych i dla tych tylko w połowie. Ale teraz nagle wszyscy podnieśli ręce do góry, a zwłaszcza Myszowaty z ostatniej ławki, on trzymał w górze obie ręce, na zdjęciu klasowym wykazywał najwięcej zapału. Kostucha wskazała na niego. – Chyba mecz naszej reprezentacji ze Szwecją odbędzie się, nawet jeśli król nie żyje? – spytał. Kostucha wstała, przeszła między ławkami, zatrzymała się przed Myszowatym i trzykrotnie przekręciła mu ucho. – Kiedy król umiera, nie myślimy o piłce nożnej – powiedziała. Nasze myśli powinny być czyste i szlachetne. A ucho Myszowatego wróciło na swoje miejsce, obracając się jak śmigło. Mało brakowało, a wyleciałby z krzesła w powietrze. Po tym nikt już nie miał żadnych pytań. Kostucha wielkimi literami napisała na tablicy dewizę zmarłego króla: *Wszystko dla Norwegii*.

Pochyliłem się nad zeszytem i narysowałem wysokiego mężczyznę w koronie i czerwonym płaszczu. Pod spodem napisałem: *Król Barnum*. Nagle drzwi się otworzyły. To był dyrektor. Stanęliśmy przy naszych ławkach. Dyrektor szepnął coś do Kostuchy i oboje odwrócili się w moją stronę. Uważałem, że miło się nazywać Kostucha. Zastanawiałem się, czy mężczyznę też tak można nazwać. Podeszła do mojej ławki i musiałem iść z nimi.

Dyrektor szedł pierwszy. A na końcu korytarza, wśród wieszaków, czekała matka. Cienka jak czarna kalka. Stała zupełnie nieruchomo. Puściłem się biegiem. Byłem dzisiaj jedyną biegającą osobą. Wreszcie mogłem zatrzymać się przed nią, a matka przykucnęła, wzięła mnie za ręce i popatrzyła mi w oczy. Widziałem, że płakała. Skóra na policzkach układała się w smugi. Pachniała perfumami, ostro i mocno, jak gdyby chciała ozdobić łyzy. – Stało się nieszczęście – szepnęła. Zamknąłem oczy. Matka przytuliła się policzkiem do mojego policzka. – Stara nie żyje, Barnum. Kostucha założyła mi tornister na plecy. Wyszedłem za matką na dziedziniec. Pusty. Byliśmy na nim jedyni. Fontannę do picia zakręcono. W tym samym momencie rozległ się huk armat z twierdzy Akershus, dwadzieścia jeden wystrzałów. I jednocześnie rozdzwoniły się wszystkie kościelne dzwony, jakie tylko istniały w tym kraju. Stara umarła.

Poszliśmy do Telegrafu powiedzieć Boletcie, co się stało. Matka przez całą drogę milczała. Potrzebowała czasu. A ja nie śmiałem o nic więcej pytać. Może lepiej było nie wiedzieć. Wiedziałem, że Stara nie żyje. To wystarczyło. To była moja wina. Gdybym nie wysnuł wszystkich tych szalonych pomysłów, że ojciec umarł, Stara by żyła. Teraz też nie mogłem płakać. Miałem wrażenie, że łyzy we mnie zamarzły i nie mogą się wydostać.

Kiedy wreszcie stanęliśmy w wielkim holu na Tollbugaten, trzymałem matkę za rękę.

Wszyscy rozmawiali po cichu. – Pst – szepnęła matka. Ale ja nic nie powiedziałem.

Musieliśmy wejść na górę po szerokich schodach. W innym pomieszczeniu siedziały szeregiem panie z aparacikami w uszach i wtykały końcówki kabli w tablice pełne przewodów. Nie zauważyliśmy wśród nich Boletty. Niektóre panie zerkały na nas i równie prędko się odwracały. Rozboliła mnie głowa. Łzy były płatkami śniegu, unoszącymi się wewnątrz czaszki. Matka rozmawiała z panią siedzącą przy biurku i przeglądającą jakąś grubą księgę. Wróciła zdziwiona. – Boletta widocznie je – szepnęła. Musieliśmy zejść po tych samych schodach. W końcu znaleźliśmy Bolettę w stołówce w piwnicy. Stała za ladą i nalewała kawę. Miała na sobie biały fartuch. Kiedy nas zauważyła, odwróciła głowę i w pierwszej chwili sprawiała wrażenie zawstydzonej, jak gdyby została przyłapana na gorącym uczynku, na wyciąganiu pieniędzy z szuflady pod zegarem, ale zaraz zaczęła się jakby złościć i pomyślałem, że ona na pewno już to wie, wie, że Stara nie żyje, bo przecież tutaj słyszy się wszystko, i może jest zła na Starą za to, że umarła. – Co ty tu robisz? – spytała matka, cicho. Ruchy Boletty stały się gwałtowne i twarde. – Co ja tu robię? A co wy tu robicie? Teraz matka powinna powiedzieć, z czym przyszliśmy, ale nie ustępowała. – Dlaczego nie jesteś na górze, w centrali? – Ponieważ jestem tu, na dole – odparła Boletta ze złością i rozlała kawę. Matka była zdezorientowana i wyprowadzona z równowagi. – Ale przecież jesteś zatrudniona jako telefonistka, nie jako kelnerka?

Boletta ujęła ją za ramię. – Nie mogłam dłużej obsługiwać centrali! Zaczęłam źle słyszeć na prawe ucho! Zadowolona jesteś? Ale matka wcale nie była zadowolona. Rozzłościła się i zaczęła mówić jakby przez sen. – I zesłali cię tu na dół? Boletta westchnęła. – Tak, jestem teraz na dole. Na samym dole budynku. Matka pokręciła głową. – Od jak dawna to trwa? – Od dwunastu lat. – Od dwunastu lat! – zawołała matka. Boletta spuściła wzrok. – Tak. Stoję tu od końca wojny. Nie pojmowałem, że mogą tak rozmawiać, w taki dzień jak ten, jak mogą rozmawiać o wszystkim innym niż to, co się stało. – I nie powiedziałaś nam ani słowa – szepnęła matka. Boletta zaczęła wystawiać filiżanki. – Zachowałam swój upadek dla siebie. Ująłem matkę za rękę. – Nie powiesz o tym? – spytałem. Boletta się odwróciła. – O czym? – Stara umarła – powiedziałem. Boletta położyła mi rękę na głowie. – To król umarł, Barnum. Matka nabrała powietrza. – Stara też nie żyje, Boletto.

Boletta nie zaczęła płakać. Upuściła tylko filiżanki na ziemię. Potłukły się, jedna po drugiej. Potem zerwała fartuch i rzuciła go za ladę. Pojechaliśmy taksówką do Szpitala Ullevål. Szliśmy wieloma korytarzami, w których brzydko pachniało, aż w końcu znaleźliśmy Freda. Siedział na łóżku w pokoju bez okien. Patrzył na nas, ale oczy miał puste jak dwie łyżeczki. Matka podbiegła do niego. Fred się odwrócił. Boletta przytrzymała mnie. Staliśmy w drzwiach i patrzyliśmy, jak matka próbuje przytulić Freda, ale on nie chciał, odpychał ją. Wkrótce zjawił się jakiś lekarz i szepnął coś do matki, dokładnie tak jak dyrektor do Kostuchy. Musiałem czekać razem z Fredem, w czasie gdy matka i Boletta poszły gdzieś razem z lekarzem. Pamiętam, że Boletta powiedziała coś o tym, że teraz Stara też została zesłana do piwnicy, a matka stanowczo ją uciszała.

Usiadłem obok Freda na łóżku. Długo tak siedzieliśmy. Łóżko było twarde, za wysokie i z pewnością niewygodne. Fred miał na kurtce plamę krwi, na samym dole jednego rękawa. Czyżby też był ranny? – Krew ci leci? – spytałem. Nie odpowiedział. Na zewnątrz podjeżdżała karetka. Korytarzem przebiegła pielęgniarka. Na szarej ścianie wisiał obraz: ktoś wyciągał sieć z morza. – Dlaczego Stara nie żyje? – spytałem szeptem. Ale Fred również teraz się nie odezwał. Fred rozpoczął swoje długie milczenie. Jego oczy były jak spodnia strona łyżeczek, patrzył tylko prosto przed siebie, na drzwi albo nigdzie. Chciałem wziąć go za rękę. Zacisnął dłoń w pięść i wsunął ją do kieszeni. Nie miałem ochoty dłużej tam siedzieć. Zeskoczyłem na podłogę. Fred mnie nie zatrzymywał. Wyszedłem na korytarz, żeby odszukać matkę i Boletę. Był podobny do korytarzy w szkole, ale brakowało wieszaków na ubrania. Najpierw zbiegłem ze schodów. Usłyszałem dźwięki dochodzące z jakiegoś pokoju. Zajrzałem do środka i za bukietem kwiatów zobaczyłem płaczącego mężczyznę. Przekradłem się dalej, dotarłem do innych schodów i też po nich zszedłem. Zrobiło się zimniej. Żałowałem, że Fred mnie nie zatrzymał. To musiała być piwnica, bo schody tutaj się kończyły. Niżej nie dało się zejść. Ruszyłem korytarzem.

W suficie świeciły długie rurki. Stary człowiek w białym fartuchu pchał łóżko w przeciwną stronę. Przez moment się zawahał, ale mnie przepuścił. Łóżko było nakryte białym prześcieradłem, jakby ktoś pod nim leżał. Wystawała spod niego stopa. Doszedłem do rogu. Na ścianie napisano kilka liter, lecz napisu nie zrozumiałem. Może był w obcym języku. Znałem jeden obcy język, ale tylko dźwięki. Ojciec mnie nauczył: *Mundus vult decipi*. Zabłądziłem. Może nigdy nie odnajdę drogi powrotnej na piętra nad ziemią. Byłem bliski płaczu, prawdziwego. Łód w czole topniał i spływał do oczu. I wtedy poczułem inny zapach, słodki powiew, to były perfumy matki. Pobiegłem w tym kierunku, za perfumami matki, za jej zapachem, stawał się coraz mocniejszy, jakby prowadziła mnie przez ten ostatni kawałek, aż w końcu zatrzymałem się przed szerokimi drzwiami, które nie były zamknięte. Zajrzałem do środka. Stały tam matka i Boletta, każda po swojej stronie stołu z błyszczącymi kantami, na kółkach, a lekarz nachylał się do szafki tuż pod lampą, rzucając ostry czarny cień na oba moje buty. Matka podniosła głowę i dostrzegła mnie.

Wszedłem do nich. Stara była całkiem naga. Ośmieliłem się popatrzeć tylko na twarz.

Miała głęboką szczelinę w czole. Podniosłem rękę i położyłem jej palec na ustach, wargi były zimne i miękkie, zapadły się.

To się stało na Wergelandsveien, przy rogu parku. Stara chciała iść pod Zamek, zobaczyć gwardzistów, z balkonu opuszczających do połowy masztu owinięty kirem królewski proporzec. Chciała pożegnać się ze swoim duńskim księciem, ze swoim towarzyszem. Kierowca ciężarówki, wiozącej palety do magazynu portowego, zeznał, że Stara nagle wtargnęła na skrzyżowanie i nie miał żadnych szans, żeby w porę zahamować.

Świadkowie wypadku, ekspedientka z kiosku i kilkoro klientów, którzy przyszli przeczytać najświeższe wiadomości, potwierdzali to i dodawali, że szofer cudem zdołał ominąć chłopca, który też wybiegł wprost na ulicę. Stara wpadła na maskę i wyleciała kilka metrów w powietrze. Ale nikt nie mógł powiedzieć, co dokładnie wydarzyło się w chwili, gdy Stara puściła rękę Freda i wypadła na ulicę, czy się potknęła, czy dostała udaru, czy też po prostu szła zatopiona w ponurych myślach w ten czarny poranek. Później często myślałem o tym, co się wydarzyło na sekundy przed wypadkiem, zanim Stara straciła równowagę na rogu Parku Zamkowego i wpadła pod ciężarówkę. Szofer nie stanął przed sądem, gdyż policja uznała, że piesza zachowała się „bardzo nieuważnie”. Kiedy przyjechała karetka, Stara już nie żyła, a Fred w milczeniu siedział na krawężniku z grzebieniem w ręku i nikt nie zdołał wydusić z niego słowa przez następne dwadzieścia dwa miesiące.

Aż do pogrzebu Starej codziennie między dwunastą a pierwszą były kościelne dzwony, w radiu nadawali tylko poważną muzykę, flagi były opuszczone do połowy masztu i nawet reprezentacja narodowa grała z żałobnymi opaskami na rękach; otrzymawszy błogosławieństwo od biskupa, zdołała zremisować ze Szwecją dwa do dwóch. Matka i Boletta nie miały czasu, żeby więcej płakać. Tyle rzeczy należało załatwić: nekrolog, wieńce, psalmy, kanapki, ciasta i papiery. Zrozumiały, że śmierć jest męcząca, przynajmniej dla tych, którzy zostają. Próbowaly też odszukać ojca, który był w podróży, ale nigdzie nie mogły go znaleźć, a on się nie odzywał. Nie zauważyły nawet, że Fred jeszcze nic nie powiedział. Ja to zauważyłem. Bo co wieczór, kiedy szliśmy spać, leżał niemy, z tymi samymi zmrożonymi oczami, otwartymi przez całą noc.

Ojciec zjawił się w samym środku pogrzebu. Kiedy pastor z Majorstuen wypowiedział już swoje niezrozumiałe kwestie, a my, którzy przy tym byliśmy, ci sami, którzy zawsze przychodziliśmy na swoje pogrzeby, czyli nieliczni, zaśpiewaliśmy najlepiej, jak potrafiliśmy, drzwi za nami otwarły się z hałasem, wszyscy się obrócili i tam stał on, z kapeluszem w jednej ręce i białymi kwiatami w drugiej. Królowa nie żyje! – zawołał ojciec. Niech żyje królowa! Ruszył środkowym przejściem, położył bukiet na trumnie, skłonił się głęboko, usiadł obok matki, która zaczerwieniła się aż po szyję, pocałował ją i wskazał na pastora. – Proszę kontynuować – powiedział. Odwróciłem się do Freda.

Wpatrywał się w swoje buty. Boletta schowała się za chusteczką. Pastor zszedł na dół do ojca i ujął go za rękawiczkę. – Ty, zdaje się, jesteś takim człowiekiem, który zawsze się spóźnia, Nilsen – szepnął. Ojciec popatrzył na niego z nienawiścią i jednocześnie się uśmiechnął. – A ten, kto przychodzi za późno, nie powinien też tego ukrywać! Pastor puścił rękę ojca i pospieszył do trumny, na którą sypnął ziemię. Rozzłościłem się. Żałowałem, że Fred go nie powstrzymał. Fred nic nie zrobił. Nawet nie drgnął. Jego ręce leżały jak biały węzeł na trzymanej na kolanach Biblii. Zamierzałem wstać, miałem ochotę kopnąć pastora w łydkę i wyrwać mu łyżkę, ale ojciec objął mnie za ramiona, a potem pojechaliśmy buickiem na Majorstuen. Matka wyszła z siebie. – Gdzieś ty był? – krzyknęła. Ojciec poprawił poduszkę, którą zawsze miał na siedzeniu, zerknął ponad kierownicą i niskie słońce poraziło go w oczy. – Gdzie byłem? Może byłem w pracy? – Przez dwa tygodnie!

Zdążyłem zobaczyć szary dym unoszący się z wysokiego komina krematorium i pomyślałem, że tak oto Stara idzie do nieba. Ojciec się śmiał. – To potrwało trochę dłużej, niż liczyłem – powiedział. Zwiększając ograniczenia prędkości, kiedy na dworze królewskim panuje żałoba. – Mogłeś przynajmniej zadzwonić! – Przyjechałem tak szybko, jak mogłem – szepnął ojciec. Gdy tylko zobaczyłem nekrolog, przyjechałem! Teraz matka też się śmiała, ale w ten przykry sposób. – I wpadasz na pogrzeb po prostu jak jakiś klaun!

Ojciec oddychał ciężko, ręce w obcisłych rękawiczkach ślizgały się po kierownicy. – O, sądzę, że Stara przywykła do czekania. A może trzymasz dzisiaj stronę pastora? – Cicho! – zawołała Boletta, zasłaniając rękami uszy. Głowa mnie boli! Matka odwróciła się do nas, bo Boletta siedziała na tylnym siedzeniu między mną a Fredem. – Głowa boli, ciebie!

Przecież ty od wojny nalewasz kawę! Wtedy Boletta zaczęła płakać, a matka też już nie mogła więcej wytrzymać, było już tego dla niej za wiele, szlochala, ojciec skręcił pod krawężnik i tam się zatrzymał. – Już dobrze, dobrze. Dzisiaj wszystkim wolno płakać, żeby zrobić dużo miejsca na śmiech. Ale czy możecie mi powiedzieć, dokąd jedziemy?

Jechaliśmy do słynnej restauracji Larsena, na piętrze. Pamiętam, że Fred i ja siedzieliśmy każdy na swoim krześle pod ścianą w jakimś brązowym pokoju, w kącie stało czarne pianino, na nim dwie świece, a dorośli pili z małych kieliszczków i jedli równie małe kanapeczki; był tam Arnesen z żoną, dozorca Bang też nie przepuścił okazji, a Esther z kiosku przyniosła czekoladki dla wszystkich. Nikogo więcej nie było i wiele krzeseł stało pustych. Był to mój pierwszy pogrzeb i po raz pierwszy zadawałem sobie pytanie, czy Stara za życia była samotna. – Dlaczego oni mówią tak cicho? – szepnąłem. Fred nie odpowiedział. Ojciec wstał i wokół niego zapadła cisza. – Cieszę się, że zdążyłem na pogrzeb Starej – zaczął. Wybrała sobie na śmierć wspaniały moment. Cały kraj chodzi ubrany na czarno, książęce domy w Europie są w żałobie, a na Akershus strzelają z armat.

I słusznie. Stara była kochana. Ośmielę się stwierdzić, że niekiedy również się jej bano.

Nasza miłość była jednak większa. Już nam jej brak! Ojciec wypił z małego kieliszka i dalej stał przy krześle. Fred przesunął stopy po podłodze. Ojciec uśmiechnął się, nalał sobie jeszcze i wciąż nie siadał, przeciągał tę pauzę, coraz bardziej, aż do chwili, kiedy nikt już nie wiedział, co się wydarzy, cisza stała się nieznośna, a Boletta bliska była zerwania obrusa ze stołu. Wtedy ojciec znów zabrał głos. – Chciałem jednak powiedzieć, że uważam za haniebnny fakt, iż Stara pozwoliła się przejechać zwyczajnej ciężarówce!

Mogła przynajmniej wpaść pod jakiegoś chevroleta albo mercedesa! Zdrowie! Cisza trwała jeszcze przez sekundę, a potem wybuchliśmy śmiechem, z wyjątkiem Freda wszyscy się śmiali, bo taki już był ojciec, że potrafił rozśmieszać ludzi, smutek jakby na niego nie działał, spływał z niego jak woda po lustrze, i może właśnie dlatego nikt nie potrafił choć trochę nie lubić Arnolda Nilsena, który miał wypchane palce w rękawicze.

Matka objęła go obydwoma rękami, śmiał się, zaczęli się całować, a mnie zrobiło się tak spokojnie, przyjemnie na sercu i od tej pory nikt już nie mówił szeptem. – Ojciec wszystko załatwi – powiedziałem głośno do Freda. Ale Fred tylko wpatrywał się w swoje buty i poświęcił długi czas na ponowne zawiązanie sznurówek. Matka puściła ojca, podszedł do nas z przekrojoną na dwie części kromką chleba z jajkiem. Byłem głodny. Fred nie chciał jeść. Ojciec popatrzył na niego. – Jak to się mogło stać? – spytał. Fred siedział milczący, w zgiętym karku mu drgało. – Co? – spytałem, z ustami pełnymi jajek. Ojciec westchnął. – Że Stara wpadła pod samochód, Barnum. Ojciec sam zjadł drugą kanapkę. – Żle jej pilnowałeś, Fred? Fred podniósł głowę, gwałtownie, sądziłem, że coś powie, bo otworzył usta, między wargami wisiała nitka śliny, ale w tym samym momencie pani Arnesen w drugim końcu sali zaczęła grać na pianinie, tę jedyną melodię, którą umiała i którą grywała codziennie przez wszystkie te lata, odkąd w wyniku nieporozumienia i humorzastej przypadkowości została wdową na dwie godziny i kwadrans. Gotfred Arnesen, agent ubezpieczeniowy, który wrócił wtedy do domu i zastał swoją żonę w roli wdowy, z przykrością i wstydem spuścił głowę i natychmiast chciał jej przerwać, ale ojciec odwrócił się i go powstrzymał. – Tak, nadeszła godzina rozliczeń – powiedział.

Arnesen się zaniepokoił. – Co pan ma na myśli? Ojciec się uśmiechnął. – Pieniądze, które oszczędzamy pod zegarem, Arnesen. Nasze ubezpieczenie na życie. Agent odsunął rękę ojca. – To chyba nie jest właściwy moment na takie rozważania – szepnął. Ojciec uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Niewłaściwy moment? Rzeczywiście, możemy poczekać, aż pani skończy grać. Potrwało to trochę, a pianino na piętrze u Larsena nie było szczególnie muzykalne. Siedzieliśmy ze spuszczoneymi głowami. Kiedy pani Arnesen wreszcie zagrała ostatni akord, uderzyła w klawisze tak mocno, że świece w lichtarzach po obu stronach pianina zgąsły i znów zapadła cisza, bo nikt nie wiedział, co ma powiedzieć albo zrobić, nawet pani Arnesen dalej siedziała przy pianinie jak przyklejona, wśród dymu unoszącego się z czarnych knotów, aż do chwili gdy ojciec podniósł ręce. – Brawo! – zawołał. Brawo! Zazdroszczę pani wszystkich dziesięciu pięknie nastrojonych palców! Teraz mogliśmy klaskać, wszyscy, z wyjątkiem Freda, w tym czasie Arnesen podziękował i wyprowadził żonę. Potem zasnęłam i ojciec zaniósł mnie do domu. Chyba śniło mi się, że Stara stoi na balkonie Zamku i macha ręką, padał deszcz, a ona była prawie całkiem bez ubrania i wydawało się, że kolory z niej spływają. Kiedy się obudziłam, kościelne dzwony już nie biły, ojciec przyprowadził buicką sprzed lokalu u Larsena, a Fred spał z otwartymi oczami. Przekradłem się do jego łóżka, przekroczyłem białą linię i obudziłem go. – Co ci się śniło? – spytałem szeptem. Ale Fred nie odpowiedział; miało upłynąć jeszcze dużo czasu, zanim zaczął odpowiadać, a kiedy w końcu odpowiedział, nie pamiętałem już, o co go pytałem. Poszedłem więc do matki i Boletty. Usiłowałem wyczuć, czy świat się jakoś zmienił po śmierci Starej, i miałem nadzieję, że tak jest, bo nie mogłem znieść tego, że można umrzeć, a wszystko jest takie jak przedtem, jak gdyby nikt nie zwracał na człowieka uwagi. Zatrzymałem się przy sypialni.

Matka i Boletta sprzątały, porządkowały rzeczy Starej. Poczulem ulgę. Świat jednak się zmienił i już nigdy nie miał być taki sam, przynajmniej w naszym mieszkaniu na Kirkeveien. – Teraz będzie więcej miejsca – powiedziałem. Matka odwróciła się gwałtownie, z zaciśniętymi ustami, ale Boletta wypuściła z rąk to, co w nich trzymała, długą cienką suknię z kwiatem na środku, objęła mnie i uśmiechnęła się wśród zmarszczek. – Masz całkowitą rację, Barnum. Właśnie dlatego my, ludzie, umieramy. Żeby zrobić miejsce. – Naprawdę? Boletta usiadła na łóżku. – Tak, naprawdę tak jest – powiedziała. Bo inaczej w końcu nikt więcej już by się nie zmieścił i gdzie byśmy się podzieli? Przez chwilę milczała, twarz miała smutną. Rozczarowałem się, śmierć powinna być czymś więcej niż tylko sprzątaniami i zabawą w za mało krzesel, czy naprawdę wyrzucano nas ze świata, kiedy zaczynało się na nim robić za ciasno, czy śmierć to tylko rozszluszczony dozorca, który wygania nas ze szkolnego boiska? Boletta znów wstała. – A teraz ja się przesunęłam do przodu w kolejce – dodała. Następnym razem przyjdzie kolej na mnie. Matka tupnęła nogą. – Zabraniam ci tak mówić! Boletta się roześmiała. – Mówię dokładnie to, co chcę, dopóki tak myślę! Podniosła z podłogi suknię, wąską długą suknię z kwiatem, przyłożyła ją do siebie i zrobiła kilka tanecznych kroków, nucąc melodię, której nie znałem, a wtedy matka odwróciła się, uśmiechnęła i zaśpiewała razem z nią, tę powolną melodię, która wydawała się taka obca i smutna, lecz mimo wszystko znajoma, wkrótce ja również mogłem ją zagwizdać i poczułem unoszący się wszędzie słodki zapach malagi, odetchnąłem głęboko i gwizdałem, oszołomiony, zdezorientowany i wesoły, dzień po pogrzebie Starej. Nagle matka przestała śpiewać. Boletta również ucichła. Tylko ja gwizdałem. – Fred? – szepnęła matka. Odwróciłem się. Miałem wrażenie, że usta mi zwiędły. To był Fred. Miał na sobie to samo ubranie, w którym chodził poprzedniego dnia, czarny, za szeroki garnitur i białą koszulę. Sądziłem, że wreszcie coś powie. Ale on tylko się odwrócił i wyszedł.

Matka pobiegła za nim. Mnie Boletta przytrzymała. Wkrótce usłyszeliśmy trzaśnięcie drzwi. Matka wróciła i zabrała się z powrotem do porządków, nieuważnymi dłońmi sięgała do szuflad, skrzynek, pudełek, wszędzie, gdzie Stara trzymała swoje rzeczy. – Powiedział coś? – spytała Boletta. Matka tylko pokręciła głową, nie patrząc na nią. Boletta westchnęła i otworzyła kolejną szafę.

Rozległ się odgłos uderzających o siebie wieszaków, nie mogłem go znieść, musiałem zatkać rękami uszy, nie wiem, dlaczego, ale nie mogłem znieść wieszaków hałasujących, gdy Boletta przeglądała cienkie suknie, od tamtej pory nie mogę go słuchać, wiem ubrania na krzesle, rzucam je na podłogę, ciskam na łóżko, kiedy wchodzę do pokoju hotelowego, bo gdy tylko słyszę stukot wieszaków w ciasnej szafie, wciąż czuję pod palcami zimne, miękkie wargi Starej, jak gdybym dotykał wielkiej ciszy. Podbiegłem do okna. Fred zniknął między blokami po drugiej stronie, nie obejrawszy się ani razu.

W nocy padało. Chodniki lśniły. Liście leżały rozsypane w rynsztokach. Słabe drżące światło zawisło w powietrzu jak woal. Gdzie było moje miejsce w tej długiej kolejce?

Zapewne stałem za Fredem, a przed nim stali matka, ojciec i Boletta, nigdy nie staliśmy nieruchomo, nieustannie się przybliżaliśmy, a niektórzy mieli zostać wyciągnięci z kolejki, zanim nadejdzie ich czas, od tyłu zaś naciskali i pchali głupcy, którym wydawało się, że chodzi o to, by jak najszybciej znaleźć się z przodu, dalej nie miałem siły myśleć. – Mogę pomóc? – spytałem. Matka oparła się o kolumnkę łóżka, skinęła głową. Pozwolono mi sprzątnąć nocny stolik. Nie podobała mi się sztuczna szczeka leżąca w szklance wody, jak gdyby była wszystkim, co zostało po Starej, jej zęby, wnętrze ust, uśmiech. Nocnik stojący na podłodze był na szczęście pusty. Ale kiedy podniosłem Biblię, którą również trzymała tam, na nocnym stoliku, na wszelki wypadek, wypadło z niej coś, jakieś zdjęcie, z pewnością wycięte z tygodnika albo z gazety, bo papier był cienki i pomarszczony.

Wolno przeczytałem to, co napisano pod spodem. *Budzący grozę obóz Ravensbrück.*

Z czasem obóz przepelnił się i dla więźniów zabrakło pasiaków. Dziewczyna, wychudzona, prawie przezroczysta, cień, siedzi obok kobiety, która musi już nie żyć. – Co to jest, Barnum? Matka podeszła do mnie. A kiedy podałem jej to zdjęcie, osunęła się na łóżko, ręce jej się trzęsły. Boletta też chciała zobaczyć, a potem prędko schowała twarz w dłoniach. – Dlaczego ona nigdy mi tego nie pokazała? – szepnęła matka. Boletta siadła przy niej. – Jest wiele sposobów okazania troski – powiedziała, tak samo cicho. Matka płakała ze spuszczoną głową. – Wiedziałam o tym przez cały czas. A mimo wszystko dopiero teraz się dowiaduję. Boletta ją objęła. Matka upuściła zdjęcie, podniosłem je. Matka upuściła zdjęcie, podniosłem je.

Widziałem umarłą w ramionach umierającej, zapadnięte, skrzywdzone twarze i oczy, za duże oczy, które na mnie patrzyły, ciemnowłosą dziewczynę, która nie spuszczała wzroku, może na kilka sekund przed śmiercią, może ten, kto zrobił to zdjęcie, był także jej katem, może trzymał miecz albo pistolet w jednej ręce, a aparat fotograficzny w drugiej.

Wiedziałem, że upłynie wiele nocy, zanim będę mógł spać. Do głowy przyszła mi przerażająca myśl, że już nigdy całkiem nie zasnę, ponieważ te twarze będą spoglądać na mnie ze wszystkich stron w ciemności, a jeśli zamknę oczy, one, te twarze, i tak tam będą, gdyż je zobaczyłem. – Kto to jest? – spytałem. Prawie nie słyszałem własnego głosu.

Boletta wzięła mnie za rękę. – To najlepsza przyjaciółka twojej matki – powiedziała cicho. Zabrzmiało to dziwnie. – Matka miała przyjaciółkę? – Oczywiście, Barnum.

Nazywała się Rakeł. Była bardzo piękna i mieszkała w sąsiedniej klatce. Znowu spojrzałem na wycinek. Nie chciałem, ale nie mogłem się powstrzymać. Jakby mnie przyciągało to zimne zdjęcie, umarła w ramionach umierającej, zwyczajna dziewczyna z sąsiedniej klatki, najlepsza przyjaciółka, wpatrująca się w swego kata. – Dlaczego tak z nią zrobili? – szepnąłem. Boletta długo się zastanawiała. Matka dalej układała rzeczy Starej, kaptcie, flakoniki, biżuterię, okulary; ruchy miała powolne, jakby wszystko robiła przez sen, sprzątała marzenie senne, którego nigdy nie zdoła uporządkować. – Ponieważ ludzie są również źli – powiedziała Boletta. Nie zrozumiałem, ale więcej nie pytałem. *Słyszę te kroki, którymi wychodzi z mojego życia.* To piosenka matki. Odwróciła się teraz gwałtownie, niemal z uśmiechem, pokazując coś, co znalazła w szkatułce na biżuterię.

W myślach matki jest rytm. To guzik, błyszczący guzik, z którego wciąż zwisała czarna nitka. – Skąd on się wziął? – szepnęła matka. Podała guzik Boletcie, lecz ona też nie wiedziała. Siedziały w całkowitym milczeniu, wpatrując się w ten guzik, większy niż kapsel od oranżady. – Mogę go sobie zabrać? – spytałem. Matka podniosła wzrok. Była blada, policzki zapadły się w twarzy, przez moment wydało mi się, że jest podobna do dziewczyny na zdjęciu, do przyjaciółki, Rakeł. Odwróciłem się. Nie chciałem dłużej na to patrzeć. – Oczywiście, że możesz, kochanie – powiedziała Boletta. Za to, że tak dzielnie sprzątałeś. Dała mi guzik. Był ciężki i zimny w dotyku. – Dziękuję – szepnąłem. Poszedłem do naszego pokoju. Schowałem guzik do piórnika. Próbowałem odrabiać jakieś lekcje.

Rysunek króla nie był jeszcze skończony. Ale nie zdołałem wziąć się w garść. Udało mi się jedynie skreślić to, co napisałem pod chudą skrzywioną postacią: *Król Barnum.*

A więc to były rzeczy po Starej, to, co po sobie zostawiła: zdjęcie zmarłej najlepszej przyjaciółki matki i błyszczący guzik na czarnej nitce. Zacząłem płakać. Nie mogłem inaczej. Płakałem aż do powrotu ojca do domu, kiedy mieliśmy jeść obiad. Miejsce Freda stało puste. Matka milczała i ledwie tknęła jedzenie. Na obiad były klopsiki rybne w białym sosie. Ojciec rozgniatał ziemniaki widelcem i długo milczał, tak samo jak matka.

Boletta piła piwo, a poza tym był to smutny posiłek. W końcu ojciec powiedział: – Rozmawiałem z Arnesenem. Nikt tego nie skomentował. Ojca ogarnęła niecierpliwość, zabrudził obrus. – Nie chcecie wiedzieć, o czym rozmawiałem z Arnesenem? Boletta pochyliła się nad stołem. – O czym rozmawiałeś z Arnesenem? – spytała. Ojciec otarł usta serwetką. – O ubezpieczeniu na życie – odparł. Wyplacą nam, cyframi i słownie, nie więcej niż dwa tysiące koron. Boletta odsunęła klopsiki rybne. – Już zacząłeś obliczać, jaki zysk przyniesie Stara, Arnoldzie Nilsen? Ojciec wstał, o mało nie wywracając przy tym krzesła. – Ty też się zrobiłaś taka delikatna, Boletto? Uważam po prostu, że Stara była więcej warta niż jakieś marne dwa tysiące. – Siadaj – odezwała się nagle matka. Ojciec usiadł. Znow zrobiło się cicho. Słyszałem, jak klopsiki rybne wzdychają, ślizgając się po gładkich talerzach. – Płaciliśmy za małe składki – szepnął ojciec. – Zawsze płaciliśmy tyle, ile nam mówiono – odparła matka. Ojciec pokręcił głową i odwrócił się do mnie. – Może kogoś skusiły pieniądze pod zegarem – powiedział. Spuściłem wzrok. Ja też pobrudziłem obrus. – Mnie nie – wyszeptalem. – Ale może widziałeś, jak Fredowi przykleiły się do palców pieniądze z szuflady, co? Boletta walnęła w stół. Uderzyła tak mocno, że szklanki się przewróciły. Matka krzyknęła, a ojciec zbiełał na twarzy jak serwetka. A ja odczułem ulgę, bo pomyślałem, że może teraz uniknę odpowiedzi. – Nie wolno ci zawsze o wszystko obwiniać Freda – oświadczyła Boletta. Ojciec wiercił się na krześle. – Ja nikogo nie winię. Próbuję tylko stwierdzić, co się stało. Boletta się uśmiechnęła. – Może to Arnesen nas oszukał? – spytała. Ojciec zamyślił się na co najmniej kilka minut. Położył dłoń na drobnych palcach Boletty. – Tak czy owak przydałyby się nam te pieniądze. Zwłaszcza teraz, jak przestałaś pracować w Telegrafii. – Dostanę emeryturę – odpowiedziała Boletta. I chętnie pożyczę ci pieniędzy, skoro jesteś w potrzebie. Ojciec wstał powoli i bez jednego słowa odszedł od stołu. Matka jęknęła. – To chyba było niepotrzebne – szepnęła. Boletta oparła głowę na rękach. – Arnold

Nilsen to handlarz w każdym calu. Nie mogę znieść tego całego gadania o pieniądzach! Teraz matka też wstała od stołu. Ja siedziałem dalej. Klopsiki wystygły. Biały sos zakrzepł na widelcu. – Nie słuchaj wszystkiego, co my, dorośli, mówimy – powiedziała Boletta. – Dobrze. Boletta się zaśmiała. – Ale masz słuchać mnie, kiedy mówię, że masz nie słuchać wszystkiego, co mówimy. Boletta wypijała dwie szklanki piwa. Może dlatego tak gadała. – Dobrze – powtórzyłem. Boletta przysunęła krzesło bliżej. – Czy Fred coś do ciebie powiedział? – Nie. A o czym? – Chciałabym wiedzieć, o czym rozmawiali tuż przed śmiercią Starej, Barnum. – On nic nie mówił – wyszeptalem. Pomogłem sprzątnąć ze stołu.

Później wycierałem naczynia, które Boletta zmywała, a potem czekałem na Freda.

Przyszedł, kiedy już zasnąłem. Nagle siedział na swoim łóżku. Po ciemku ledwie go dostrzegałem. Najlepiej widziałem jego oczy. Bałem się zapalić światło. – O czym rozmawiałeś ze Starą? – spytałem. Oczy zniknęły. Nie odpowiedział. Wyjąłem z tornistra piórniki i delikatnie włożyłem mu ciężki guzik do ręki. Oczy znów się ukazały. – To guzik Starej – szepnąłem. Fred zapalił światło. Spojrzał na guzik i zamknął dłoń. – Mogę ci go dać – zaproponowałem. Myślałem, że coś powie, ale on tylko upuścił guzik na podłogę.

Musiałem wczłgać się pod łóżko, żeby go znaleźć, a Fred zgasił światło. Kontynuował swoje długie milczenie. Z początku właściwie nikt oprócz mnie nie zwracał na to uwagi, bo Fred z natury nie był szczególnie rozmowny czy gadatliwy, raczej wprost przeciwnie, mówił mało i wolno. Słowa mu nie sprzyjały. Mieściły się w nim na ukos, a litery często pojawiały się w niewłaściwej kolejności. Fred pisał najkrótsze wypracowania na świecie, jeśli w ogóle je oddawał. Tak czy owak dostawał z norweskiego tróje, a raz nawet dwóję. Na przerwach stał pod murem, odwrócony tyłem. Do Freda nikt nigdy nie podchodził, ale nawet ja zauważyłem, że dziewczyny ukradkiem na niego zerkają i kiedy go mijają, trzymając się pod rękę, uśmiechają się wyzywająco. Tak bardzo chciałem być dumny z Freda. Pewnego dnia ktoś na ścianie szopy napisał „bękart”. Dozorca poświęcił prawie dwie godziny na zmycie tego napisu, było trochę hałasu, ale nikogo nie złapano.

W następny poniedziałek Aslak przyszedł do szkoły w okularach przeciwsłonecznych, a padał deszcz. Jedno oko miał granatowe, spuchnięte jak wielka kula. Twierdził, że potknął się w drzwiach i wetknął sobie w oko klamkę. Mało kto mu uwierzył, z wyjątkiem nauczycieli. Fred wciąż milczący stał pod murem. Podszedłem do niego. Fred się nie odwrócił. Aslak, Chomik i Preben siedzieli na poręczy za przystankiem tramwajowym i nas obserwowali. – Pójdziemy razem do domu? – spytałem. Wróciliśmy razem do domu.

Ja szedłem jednym chodnikiem. Fred szedł drugim. Esther z kiosku wychyliła się i wcisnęła mi do kieszeni kawałek kandyzu, owinięty w szeleszczący sztywny papier śniadaniowy. – Podziel się z bratem – powiedziała, przeciągając mi ręką przez kędziory.

Ale Fred już dawno poszedł dalej, Fred nigdy nie czekał, zniknął za rogiem albo za kościołem, nie wiem, potrafił tak znikać, zanim zdążyłem westchnąć, i zostawałem sam.

Było dokładnie tak, jakby pozostawiał po sobie tylko wąski cień na chodniku, który dozorca Bang musiał zamieść swoją wielką miotłą i wynieść do pojemników na śmieci.

Fred zwykle wracał do domu dopiero wtedy, gdy ja już się położyłem. Czasami Boletta wracała jeszcze później. Potrzebowała bardzo wielu kroków, żeby znaleźć łazienkę i łóżko, a następnego dnia bolała ją głowa, więc kładła się ze ściereczką na twarzy, a matka była zła i czujna. – Znów byłaś na Biegunie Północnym – szeptała, a usta miała napięte jak linijka. Tak właśnie mówiła, znów byłaś na Biegunie Północnym, a ja za każdym razem tak samo się bałem, wyobrażałem sobie Boletę, jak przedziera się wśród lodu, wichru i zimna, może nie uda się jej przejść, nie mogłem też pojąć, co ona robi na biegunie północnym, czyżby tam czegoś szukała? – Dlaczego Boletta jeździ na biegun północny? – spytałem Freda tego samego wieczoru. Ale Fred nie odpowiedział. Śnieg zaczął padać w połowie listopada, w piątek. Leżałem i wsłuchiwałem się w narastającą ciszę. Nagle została przerwana. Pani Arnesen grała na pianinie, lecz jakąś nową melodię, a w dodatku kilka różnych kawałków, to było jak cały koncert, a potem wszyscy na podwórzu pootwierali okna i bili brawo pani Arnesen, która stała między zasłonami na drugim piętrze i kłaniała się, nawet dozorca Bang wyprostował plecy, oparł się na łopacie do śniegu i klaskał. A następnej niedzieli zobaczyliśmy, jak Gotfred Arnesen idzie w dół Kirkeveien ze swoją żoną, wybierali się na nabożeństwo, ona była ubrana w wielkie błyszczące futro, za którym wszyscy się oglądali, zwłaszcza kobiety na Fagerborg kręciły głowami z podziwem, podejrzliwie i zazdrośnie, później wiele się po cichu mówiło o tym futrze i wielu mężczyzn musiało obliczać, ile takie futro może kosztować, jeśli kupiłoby się je na raty do spłacania przez dwa lata. – Co byś chciała na gwiazdkę? – spytał ojciec. – Futro – odpowiedziała matka. Ojciec wstał i podszedł do drzwi, usiłując zacisnąć w pięść okaleczoną rękę. – Wydaje mi się że nasz drogi Arnesen odczuwa silną potrzebę rozgrzeszenia, skoro wybiera się do kościoła przy osiemnastu stopniach mrozu!

Matka nie chciała tego słuchać. – To dlatego jego żona była w futrze – powiedziała.

Dlatego, że jest zimno! – Ale w kościele jest dostatecznie ciepło! – krzyknął ojciec. Matka westchnęła. – Jesteś po prostu zazdrosny. Ojciec roześmiał się bardzo głośno. – Myślisz może, że ubrałbym się w takie dzikie zwierzę z guzikami! Teraz z kolei roześmiała się matka. – Jesteś zazdrosny, że Arnesena stać na obrzucanie żony prezentami! Ojciec uderzył kaleką ręką w drzwi. – Ale jego ubezpieczenia na życie wyglądają gorzej! Potem zniknął na dwa dni. Matka zwróciła się do Freda. Siedział przy kominku z rękami na kolanach. – A co ty byś chciał? – spytała. Ale Fred nie odpowiedział. Matka spytała jeszcze raz.

A Fred powtórzył swoje milczenie. – Jeśli niczego nie chcesz, to nic nie dostaniesz – powiedziała matka. – Zostaw chłopca – szepnęła Boletta i poszła na Biegun Północny.

Matka ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się. Zabolało ją w brzuchu. Zapieкло w gardle.

Położyłem jej rękę na plecach. Były gorące jak kominek. – Nie możemy poczytać listu? – spytałem ostrożnie. Matka kiwnęła głową. – Poczytaj, Barnum. Przyniosłem list z sekretarzyka i usiadłem na kanapie pod lampą. Zacząłem czytać, wolno i dokładnie, bo słowa były ciężkie, chociaż znałem je prawie na pamięć. A gdy czytałem, Fred patrzył na mnie, było coś w jego spojrzeniu, w sposobie, w jaki patrzył, w mroku, który coraz bardziej gęstniał mu w oczach, w uśmiechu, wydawało się, że się zmieniał w trakcie tych zdań i mało brakowało, a zgubiłbym wątek w liście pradziadka z Grenlandii.

Zdecydowano, że przywieziemy do kraju jednego wołu pizmowego, i tego samego dnia, gdy rzuciliśmy kotwicę, odkryliśmy stado wołów, skubiących wierzbę polarną, niemal jedyną tutaj przedstawicielkę flory, Kapitan więc, ja i jeszcze 5 ludzi zeszlśmy na ląd, przekonać się, czy uda nam się pochwycić cielę. W stadzie rzeczywiście znajdowało się cielę, lecz niemożliwością było się do niego zbliżyć, gdyż woły, a było ich 15 albo 16, gdy tylko nas spostrzegły, zaraz zgromadziły się wokół cielęcia, które znalazło się w środku, po czym jęły parskać i grzebać nogami jak wściekłe byki. Musieliśmy więc zawrócić na pokład ku wielkiemu rozbawieniu wszystkich pozostałych, później zaś pochwycono dwa cielęta płci męskiej, z których jedno już zdechło, lecz kosztowało to życie 22 woły, gdyż po to, by pojąć cielęta, trzeba było zastrzelić dwa stada. Fred nagle zaczął się śmiać i był to jedyny dźwięk, jaki wydał z siebie od śmierci Starej. Ale dopiero kiedy po Świętach zadzwoniła wychowawczyni, matka zdała sobie sprawę, że Fred nie tylko jest niegrzeczny i zamknięty w sobie, lecz że przestał mówić. – Proszę, żeby pani przyszła na zebranie rodziców w przyszłą środę – powiedziała wychowawczyni. Matka musiała usiąść. – Czy on zrobił coś złego? – spytała szeptem. Na drugim końcu linii zapadła cisza. – Czy pani tego nie zauważyła? – powiedziała w końcu wychowawczyni. – Czego nie zauważyłam? – Pani syn od trzech miesięcy i dwóch tygodni nie odezwał się ani słowem. Matka odłożyła słuchawkę i natychmiast poszła do Freda. – Co to za wyglupy! – zawołała. Fred leżał na łóżku. Nie ruszył się. Ja odrabiałem lekcje. W każdym razie próbowałem. Dostałem na gwiazdkę linijkę, która z jednej strony mierzyła centymetry, a z drugiej cale. Kiedy ją odwróciłem drugą stroną, miała inną długość. Za pomocą tej linijki rysowałem kreski, które miały przypominać ulice i skrzyżowania, wkrótce bowiem do naszej klasy wybierał się w odwiedziny policjant, żeby nas uczyć zasad bezpieczeństwa na drodze. – Odezwij się do mnie, Fred! – krzyknęła matka. Wykrzyczała to. Ale Fred i tak się do niej nie odezwał. Zrobiło

się zupełnie cicho. Matka siadła na łóżku. Fred patrzył w sufit. – Możesz do mnie mówić, Fred – wyszeptwała. To też nie pomogło. Matka zaczęła płakać, szarpała go, ze złością, od której nawet Fred się podniósł.

Ale zrobił coś dziwnego. Objął matkę i pocałował ją w czoło. Potem wyszedł. Matka siedziała zdumiona, dotykając palcami miejsca, w które Fred ją pocałował, pośrodku czoła. Wyglądało to niemal tak, jakby chciała zetrzeć plamę. Wolno odwróciła się do mnie. – Czy on coś do ciebie mówił, Barnum? Pokręciłem głową. – Nie kłamiesz, Barnum? – Nie, mamu. Nie kłamię. Objęła mnie ciężko. – Ty nie umiesz kłamać, Barnum – szepnęła. – Powiedziałas „Barnum” trzy razy z rzędu. Matka roześmiała się, ale tylko trochę. Następnego dnia przyszła kolej na ojca. Siedział w salonie i czekał na Freda. – Podejź tutaj – nakazał. Fred poszedł prosto do naszego pokoju. A ja zastanawiałem się, czy nie usłyszał, może właśnie to mu dolegało, to, że uszy przestały mu działać. Po chwili ojciec stanął w drzwiach. – Słyszę, że zgubiłeś gdzieś głos – powiedział. Fredowi nie chciało się nawet odwrócić. Dalej gapił się w sufit. Ojciec podszedł bliżej. – Lepiej będzie, jak go znajdziesz, zanim całkiem zniknie. Wyobraziłem sobie, że głos Freda leży gdzieś, może w rynsztoku, może wleciał do kanału i stamtąd go woła. Ale ojciec nie ustępował. – Jeśli udajesz pozornie martwego, źle to odgrywasz. Kiedy to powiedział, zapadła cisza na co najmniej trzy minuty, aż w końcu ojciec pękł. – Odezwij się do mnie! – ryknął i tak mocno tupnął nogą, że linijki w moim zeszytcie pokrzywiły się i popękały. – Zostaw chłopca – powiedziała Boletta. Ale nikt nie zostawił Freda. Wszyscy chcieli nakłonić go do mówienia. Nie udało im się. Milczenie Freda tylko się rozrastało. Zarażało nas, tak jak milczenie matki, kiedy chodziła w ciąży z Fredem, doprowadzało do szaleństwa Boletę i Starą. Teraz on je odziedziczył. Teraz milczenie było jego. W końcu przebił matkę. A gdy zbliżała się Wielkanoc, a Fred jeszcze nie powiedział ani słowa i z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk, ani w szkole, ani w domu, ani we śnie, został wysłany do specjalisty od milczenia w Szpitalu Centralnym. Tam przymocowali mu do głowy przewody i zmierzili ciśnienie w mózgu. Specjalista od milczenia uznał, że Fred najprawdopodobniej doznał urazu głowy, wtedy gdy Stara wpadła pod

samochód, może upadł, a może samochód potrafił również jego, co mogło spowodować krwawkę, który naciskał na sam ośrodek mowy i w ten sposób mu ją odebrał. Ale we wszystkich raportach z wypadku wyraźnie ustalono, że w momencie zdarzenia Fred nie znajdował się w pobliżu samochodu, i właśnie to było takie dziwne, że Stara nagle znalazła się na środku ulicy, natomiast Fred wciąż stał na chodniku i wrzeszczał. Specjalista ponownie zmierzył jego mózg, używając jeszcze więcej przewodów i elektrod. Fred leżał na kozetce i wyglądał jak Marsjanin. Boletta tylko prychała na całą tę uczoność. Fred tak się przestraszył, kiedy Stara umarła, że stracił głos – twierdziła. Po prostu. Z czasem znów na pewno zacznie mówić. Ale milczenie Freda otrzymało przynajmniej jakąś nazwę. Specjalista nazwał ją afazją. Tego samego dnia, w którym Fred był w Szpitalu Centralnym, gdzie przez jego głowę przepuszczali prąd elektryczny, do naszej klasy przyszedł z wizytą policjant w mundurze, żeby nas uczyć zasad ruchu drogowego. Napisaliśmy na tablicy kolorowymi literami *Bądź bezpieczny na drodze*, żeby go ucieszyć. Policjant przyniósł ze sobą znaki i opowiadał nam, co znaczą, bo bez tego bylibyśmy straceni. Dowiedzieliśmy się również, jak kieruje ruchem na skrzyżowaniu i że rower powinien mieć dwa hamulce, dzwonek i światło. To jest obowiązkowe, ale przydać się mogą również przerzutka, skrzynka z narzędziami i bagażnik. Na następnej lekcji wszyscy idziemy na Marienlyst, tam gdzie jest to małe miasteczko z ulicami, chodnikami, przejściami dla pieszych i sygnalizacją świetlną, dokładnie tak jak

w prawdziwym mieście, tylko że tam wszystko jest o wiele mniejsze, jak gdyby miasteczko za długo stało na deszczu i się skurczyło. Tam zjadamy nasze drugie śniadania, a Esther z kiosku macha do nas, przez chwilę reszta klasy zazdrości mi tego, że znam panią z kiosku pełnego kandyzu, lodów i tygodników. Ale nie trwa to długo, bo wkrótce sytuacja staje się poważna. Mamy teraz pokazać, czego się nauczyliśmy na poprzedniej lekcji. Musimy ustawić się w rządku i policjant przechodzi od jednego do drugiego, w końcu zatrzymuje się przede mną, uśmiecha się i kładzie mi rękę na ramieniu. Muszę z nim iść na maleńkie skrzyżowanie. Może słyszał o wypadku Starej i dlatego wybrał właśnie mnie. Wiem, że kiedy chce się przejść przez ulicę, trzeba spojrzeć w prawo i w lewo dwa razy. Właśnie o tym Stara zapomniała. Czerwone światło oznacza niebezpieczeństwo, żółte ostrzega, że zaraz się zmieni, a zielone oznacza wolną drogę. Nikomu z nas nie spieszy się tak bardzo, żeby nie zaczekać na zielone światło.

Policjant może mnie dzisiaj zapytać o wszystko. Tymczasem on mówi: – Mógłbyś tu prawie zamieszkać. Śmieje się i klepie mnie po plecach. Zapada kompletna cisza. Patrzę na niego. Nie chcę tu mieszkać. – Dlaczego? – pytam. Policjant się pochyla. – Dlaczego? – Tak, dlaczego? Prostuję się. Kostucha na przejściu dla pieszych zaczyna się niecierpliwić.

Reszta klasy zbliża się o krok. – Dlatego że tutaj wszystko jest takie małe, że akurat pasuje do ciebie – mówi policjant. Właśnie tak mówi, że to wszystko pasuje do mnie, i się śmieje. Wszyscy się śmieją. Stoje pośrodku tego śmiechu, a policjant poklepuje moje kędzioły. – Ale czy możesz odpowiedzieć, o czym należy pamiętać, kiedy chce się przejść przez ulicę? Nie odpowiadam. Widzę, jak wszyscy inni z klasy patrzą na mnie. I wiem, że od tej pory nic już nie będzie takie jak przedtem. Od tej chwili jestem mały. Jestem jedynym mieszkańcem małego miasteczka. Moja niedostateczność, mój brak wzrostu nagle stały się widoczne. Policjant mnie wskazał. Czuję ciężar wszystkiego, czego nie mam. – Odpowiedz panu policjantowi, Barnum! – woła Kostucha. Ja zamiast tego odchodzę na trawę, oddalam się od policjanta, Kostuchy i klasy. Oddalam się od miasteczka i nikt mnie nie zatrzymuje. Być może jest najgorsze. Wolno mi odejść. Nie oglądam się.

W mieszkaniu nie ma nikogo, gdy tam wracam. Mierzę swój wzrost przy futrynie i miejsce, w którym się kończę, zaznaczam zrobioną ołówkiem kreską. Wdrapuję się na stół i przeglądam w lustrze. Niedużo lustro trzeba. Kieszonkowe lustro wystarczyłoby w zupełności. I być może po raz pierwszy widzę siebie. Nie chcę zobaczyć więcej.

Wracam do pokoju, zaciągam zasłony, gaszę światło, kulę się pod kołdrą i zamykam oczy.

Czy nie jest tak, że wszystko się ze sobą łączy? To, co stanowi samo życie, wydarzenia, które nie mają ze sobą nic wspólnego, lecz mimo wszystko są ze sobą związane, w jakiejś dziwnej kolejności, napędzane przypadkowością, śmiercią i szczęśliwymi zbiegami okoliczności, jak gdyby ciężarówka, która przejechała Starą, spowodowała rozciągający się w czasie karambol, który rozpoczął się od milczenia Freda, zdjęcia najlepszej przyjaciółki matki w obozie koncentracyjnym, błyszczącego guzika i brzemiennych w skutki słów policjanta, a który później kontynuowany był przez buicka, którego ojciec stracił, kurację tuczącą na wsi, gramofon i Cliffa Richarda, wydarzenia, o których jeszcze nic nie wiem, lecz które wkrótce nastąpią, a ja nic nie mogę z tym zrobić, bo nie wiem nic.

A wszystko właściwie zaczęło się od śmierci króla Haakona VII. To jest mój film. I nie ma żywych obrazów. Istnieją tylko punkty połączone ze sobą, jak kalendarz, w którym można, szybko przerzucając kartki, zobaczyć, jak deszcz zmienia się w śnieg. W tym momencie zmieniam szpulę: Fred wraca do domu ze Szpitala Centralnego z afazją, lecz chociaż jego milczenie otrzymało nazwisko i adres, on wcale z tego powodu nie zaczyna mówić.

Odwraca się tylko w drzwiach i znów wychodzi, nikt nie wie dokąd, ale ja sędzę, że idzie na Cmentarz Zachodni, na grób Starej. Później wieczorem przy moim łóżku staje matka. – Gdzie jest guzik? – pyta. Ale ja nie odpowiadam. Nie chcę być gorszy od Freda. Ja też chcę mieć swoją afazję. Matka nachyla się. – Barnum? Zaciskam zęby. Aż mnie boli w ustach. – Śpisz? – pyta szeptem. Pozwalam jej w to wierzyć. Wychodzi z pokoju na palcach. Milczę przez resztę nocy. Następnego dnia rano też nic nie mówię. W szkole również jestem cicho. Na pierwszej lekcji Kostucha chce, żebym zmienił ławkę. Wskazuje na tę stojącą najbliżej katedry. – Najmniejsi muszą siedzieć z przodu, Barnum, tak żebym mogła ich widzieć. Pakuję tornister i wyruszam w długą drogę między rzędami. Już jestem tym, kim mam być. Najmniejszym. Słyszę moje nowe imiona, szeptane cicho, lecz akurat dostatecznie głośno, karakan, pigmej, karzeł, to nie ostatni raz i imion tych będzie więcej, jak gdyby nie wystarczyło mi moje własne. Siadam w nowej ławce. Pani Kostucha się uśmiecha, jest tak blisko, że czuję jej zapach. Nie jest przyjemny. Będę tu siedział przez resztę życia, podczas gdy wszyscy inni za mną będą rosnać coraz wyżej i wyżej i będą rzucać na mnie swoje cienie. – Teraz siedzisz dobrze, Barnum. Nic nie mówię. Niemy wracam do domu. Zęby mnie swędzą. Zjadam obiad bez jednego słowa. Jestem bliski płaczu. A kiedy wreszcie kładę się spać, bardziej milczący niż kiedykolwiek, i światło jest już zgaszone, otwieram usta, wzdycham głęboko i zaczerpuję oddechu, jak gdybym od wczoraj był pod wodą. Ale przyszło mi do głowy pewne podejrzenie. Nikt nie zauważył, że przestałem mówić. Moje milczenie przechodzi niezauważone. Moja afazja nic nie znaczy, ani wte, ani wewte. Równie dobrze mógłbym umrzeć. Wytrzymuję dwa dni. Siedzę w salonie. Matka stoi przy otwartych drzwiach na balkon i pali papierosa. – W piórniku – mówię. Matka obraca się wolno w moją stronę i wydmuchuje kółko z dymu, które łapię na palec, zanim rozplynie się w powietrzu. – Co powiedziałaś, Barnum? – Guzik leży w moim piórniku – mówię

szeptem i wsadzam palec do ust. Matka wychodzi na balkon i macha ręką. Idę do niej. W dole na ulicy ojciec poleruje buicką. Niedługo będzie mógł się przejrzeć w deklach od kół. Niebo odbija się w masce. Jest wiosna, maj, właściwie piękny czas, pora na zielnik, mapy i inne plany. Matka gasi papierosa w skrzynce na kwiaty i obejmuje mnie. – Nie miałbyś ochoty wybrać się latem na wycieczkę samochodową? – pyta. – A dokąd? – No właśnie, dokąd? Ty możesz o tym zdecydować, Barnum. Nie chciałabym decydować sama. – Mogę zdecydować o tym razem z Fredem – mówię. Matka się uśmiecha. – Dobrze. Ty i Fred postanowicie. Zastanawiam się. – Grenlandia. Matka mnie puszcza i zapala jeszcze jednego papierosa. – Na Grenlandię nie ma drogi, Barnum.

Wymyśl coś innego. – To może Dania? Teraz matka musi się zastanowić. A ojciec oparty o lśniący samochód woła: – Jedziesz ze mną, Barnum? W tej samej chwili przez ulicę przechodzi Fred, a ja patrzę na matkę, która mówi: – Pospiesz się. I widzę, że ma wesołą twarz, po raz pierwszy od dawna, od śmierci Starej. Zbiegam na dół, a Fred już zajął miejsce na tylnym siedzeniu. Siadam z przodu, obok ojca, który pociera rękawiczkami kierownicę i zerka w lusterko. – Dokąd masz ochotę pojechać, Fred? Fred nie odpowiada.

Siedzi w kącie ze skrzyżowanymi rękami. Ojciec czeka, ale to nie pomaga. Odwraca się więc do mnie i nagle zaczyna się śmiać. Potem wysiada i wyjmuje coś z bagażnika, a kiedy wraca, niesie wielką poduszkę, jeszcze większą niż ta, na której sam siedzi. – Bierz, Barnum. Ty też chyba masz ochotę coś zobaczyć? Wsuwa poduszkę pode mnie, ale ja od tego wcale nie robię się większy, tylko mniejszy, nie podnoszę się, tylko zapadam w czerwone skórzane siedzenie, a ojciec klepie mnie po głowie. – Dobrze teraz widzisz, Barnum? Kiwam głową. Jediną rzeczą, jaką widzę, jest brzeg deski rozdzielczej i niebo, jest błękitne, przekreślone białymi wełnistymi smugami. Ojciec zjeżdża na Majorstuen i tam skręca w prawo, zwija dach, przytrzymuje kapelusz i jedzie dalej w stronę wzgórza Holmenkollen i lasów. Ludzie na chodnikach odwracają się za nami, a ojca za każdym razem to cieszy. Wiatr na twarzy jest ciepły i mocny. Muszę zamknąć oczy. Teraz widzę prawie wszystko. Słońce zalewa nas z każdej strony. Jakiś owad wpada na przednią szybę i już się stamtąd nie rusza. Ojciec go ściera. Ale resztki skrzydełka zostają. Za nami jedzie jakiś samochód. To taksówka. Ojciec zmienia bieg i za następnym zakrętem samochodu już nie ma. – No i proszę – mówi zadowolony. Droga staje się bardziej stroma. Jesteśmy sami.

Wkrótce widzimy już skocznię i niebieskie jezioro na samym jej dole. Ojciec na moment hamuje i się odwraca. – Już tędy jechałeś, Fred. Pamiętasz? Fred nie odpowiada. Ojciec wzdycha, ale to dobre westchnienie. – To była miła przejażdżka, chociaż deszcz zaczął padać. Zamyślił się. – Chyba wtedy matka się we mnie zakochała, Barnum. – Chociaż deszcz zaczął padać? – pytam. Ojciec się śmieje. – Wystarczyło tylko rozwinąć dach i już jechaliśmy w zamknięciu. Prawda, Fred? Ale Fred wciąż milczy. Cały dźwięk ma zakręcony. Na drodze znów pojawia się jadąca wolno taksówka. – Wydaje mi się, że ktoś nas śledzi – szepczę. – Teraz nieźle fantazjujesz, Barnum – mówi ojciec. Prędko zerka w lusterko i jedzie dalej, zatrzymuje się dopiero, gdy dojeżdżamy do ostatniego zakrętu, tam dotacza się aż do samej krawędzi i jest zupełnie tak, jakbyśmy zaparkowali na chmurze, pod nami są fiord, miasto i lasy. Ojciec wysiada, ściiera swoją chusteczką uporczywą plamę z przedniej szyby i wsiada z powrotem. – Zajrzyj do schowka na rękawiczki – mówi. Otwieram schowek. W środku leży butelka coli. Wyjmuję ją ostrożnie.

Ojciec ma też otwieracz. Zdejmuje kapsel, najpierw sam pociąga spory łyk i podaje butelkę Fredowi. Ale Fred nie chce. Siedzi w kącie ze skrzyżowanymi rękami, włosy ma zdmuchnięte do tyłu, układają się w wysoki, falujący lok. Ojciec podaje więc butelkę mnie, wypijam łyk, potem długo siedzimy w ciszy, a niebieskie gładkie niebo przesuwa się obok nas, popychane łagodnym wiatrem, od którego również korony drzew migocą jak zielone pochodnie. Ojciec zapala papierosa i opiera się o zagłówek. – Bez wątpienia jest nam przyjemnie, chłopcy, prawda? Tylko ja odpowiadam. – Tak – mówię. Ojciec kładzie mi rękawiczkę na ramieniu. – Dobrze, że my, mężczyźni, możemy pobyć trochę sami, Barnum. Bo kobiet nigdy całkiem nie zrozumiemy. – A ile? – pytam. – Co: ile, Barnum? – Ile możemy zrozumieć, tato. Ojciec powoli pije colę i potem oddaje mi butelkę. – Dwa procent – odpowiada. A może nawet tyle nie. Fred wydostaje się z samochodu górą, ponad drzwiczkami, podchodzi do drzewa, sika. Ojciec dalej pali. – Do ciebie też nic nie powiedział? – pyta cicho. – Nie, tato. Wdycham niebieski mocny dym i trochę mi się kręci w głowie. To przyjemne. Ojciec również przez chwilę milczy. Wpycha papierosa do popielniczki między nami. Gdy patrzy na Freda, który wciąż sika za drzewem, kradnę niedopałek. – Jak ci idzie w szkole? – pyta ojciec. – Jestem najmniejszy w klasie. – To chyba w niczym nie przeszkadza. – Wołałbym być trochę większy – mówię. Ojciec się śmieje. – Ja też byłem najmniejszy, Barnum, a zobacz, na kogo wyrosłem! Nie bardzo wiem, co na to powiedzieć, nie wiem, czy to pociecha, czy groźba. – Aha – szepczę.

Siedzimy każdy na swojej poduszce. Ojcu brzuch ledwie się mieści za kierownicą. Jego udo jest miękkie i szoruje mi o kolano. – Znałem kiedyś największego człowieka świata – mówi ojciec. A on wcale nie był z tego powodu szczęśliwy, Barnum. Raczej odwrotnie. – Ile miał wzrostu? Ojciec się uśmiecha. – O to uczeni wciąż się spierają. Ale był taki wysoki, że nie sięgał do własnych butów, Barnum. Śmieję się. To by dopiero było coś, nie móc dosięgnąć do własnych butów. Ojcu na twarzy pojawia się cień. Zamyka oczy i zakłada okulary słoneczne. Potem mówi coś, co będzie często powtarzał w ciągu tych niewielu lat, które dzielą go od śmierci. – Najważniejsze jest nie to, co widzisz, Barnum – mówi – lecz to, co ci się wydaje, że widzisz. Fred wreszcie się wysikał i siada w kącie na tylnym siedzeniu. Mam wrażenie, że ciągnie za nim chłód, że od jego milczenia przenika zęby lodowaty ból. – Siedzimy tu i rozmawiamy o życiu – mówi ojciec. Co masz do powiedzenia na ten temat, Fred? Ale odpowiedzi brak. Nie ma też sensu na nią czekać.

Fred jest wyłączony. Ojciec znów wzdycha, tym razem głęboko. – Afazja – mówi. Czy to boli, czy w ogóle tego nie czujesz? Zaraz też wybucha śmiechem. Fred się nie śmieje.

Wciąż nie ma w nim żadnego dźwięku i ojciec wreszcie się poddaje. – Raz płynąłem sam przez malstrom, przez Moskenesstrømmen – mówi za to. Tam jest najsilniejszy wir, jaki istnieje w jakimkolwiek morzu. To jak wiosłowanie w oku samego diabła. Teraz ja też milczę. Słucham. Ojciec wolno przesuwając rękawiczkami po kierownicy. – Ale jednak dopłynąłem, chłopcy. Tylko to się liczy. Dotrzeć na miejsce. – Dokąd? – pytam ostrożnie.

Ojciec puszcza kierownicę. – Na przykład tutaj – mówi. Przy was jest moja przystań.

Właśnie w tej chwili pojawiają się dwaj mężczyźni. Wychodzą z lasu. Zatrzymują się na chwilę, rozglądają się albo patrzą na siebie i kierują się w naszą stronę. Są w ciemnych ubraniach i idą noga w nogę. Zauważam, że ojciec chce przekręcić kluczyk, ale jest za późno, puszcza, wyciąga poduszkę spode mnie i kładzie ją na swoim siedzeniu, prostuje się i odwraca do tych dwóch, o poduszkę wyższy niż zwykle. – Piękna pogoda – mówi głośno. – Arnold Nilsen? – pyta jeden z mężczyzn. Ojciec sprawia wrażenie zdumionego dźwiękiem własnego nazwiska. – Arnold Nilsen? Owszem, to brzmi znajomo. Drugi z mężczyzn otwiera drzwiczki. – Chcemy z tobą zamienić kilka słów – mówi. Ojciec siedzi. Wygląda tak, jakby przytrzymał się kierownicy. Na jego twarzy pojawia się pustka. Potem idzie z nimi, znikają wśród drzew. Nie wiem, co się dzieje. Wiem tylko, że to nie może być nic dobrego, bo widziałem twarz ojca. Boję się w inny sposób. Teraz Fred musi coś powiedzieć. – Powiedz coś – proszę szeptem. On nic nie mówi. Czy tak samo się boi? Odwracam się. Nie widzę żadnej różnicy, tylko to, że leciutko się uśmiecha. Wargi mu się marszczą. Zaczynam się bać jeszcze bardziej. Za wszelką cenę nie wolno mi narobić w spodnie ani się rozplakać. Jeśli spuszczę hamulec ręczny, który jest między siedzeniami, samochód stoczy się w dół i być może zatrzyma dopiero wtedy, gdy przednie koła znajdą się w Oslofjorden. Chwytam dźwignię, jest ciepła w dotyku, czuję, że drży mi w palcach. Mogę teraz złamać wszelkie reguły ruchu drogowego. Na obu rękach mam gęsią skórkę. Nagle Fred klepie mnie w tył głowy. Tak się cieszę. Puszczam dźwignię i mam ochotę mu dziękować. Nie ma na to czasu. Ojciec wraca razem z tymi dwoma. Zatrzymuje się przy otwartych drzwiach i patrzy na nas. Spodnie ma brudne. Na głowie nie ma kapelusza. Włosy opadły na niewłaściwą stronę. Próbuje się śmiać, ale kończy się na próbie. – Wydaje mi się, że musicie wysiąść z samochodu, chłopcy – mówi ojciec. Staję obok niego. Fred nie rusza się z tylnego siedzenia. – Wysiądź z samochodu – powtarza ojciec. Czy to teraz Fred znów zacznie mówić?

Czy to właśnie w tej chwili powie coś, od czego ci obcy uciekną, a my zaczniemy się śmiać i wszystko będzie tak, jak było? Taką mam nadzieję. To jest ta chwila wyzwolenia, na którą zawsze czekam. Ona nigdy nie następuje. Fred dalej milczy. Tylko się guzdrze. Ojciec nachyla się nad drzwiczkami. – Proszę cię – szepcze. Fred wzrusza ramionami, jak gdyby cała ta sytuacja zaczynała go nudzić, i wreszcie wysiada. Dwaj mężczyźni odpychają ojca i wsiadają do samochodu. Jeden, ten, który nie usiadł za kierownicą, wyrzuca poduszki ponad drzwiczkami i głośno się śmieje. Potem odjeżdżają. Odjeżdżają buickiem ojca i znikają za zakrętem. My zostajemy. To niepojęte. Ten zapach benzyny i słońce tak piecze. Ojciec idzie do lasu i przynosi swój kapelusz, wymięty. – Poduszki – mówi cicho. Zbieram poduszki.

Ruszamy w stronę miasta. Żaden z nas się nie odzywa. Ojciec idzie pierwszy, ciężko dyszy, kark ma mokry. Jest czarnym prostokątem w tym ciepłym świetle. Ja idę w środku.

Niosę poduszki. I właśnie wtedy, kiedy tak idę, z ciężką poduszką w każdej ręce, postanawiam przestać jeść. Skoro Fred przestał mówić, to ja mogę przynajmniej przestać jeść. Nie ma innego wyjścia. Że też wcześniej tego nie wymyśliłem. To przecież takie proste. Jeśli nie będę jadł, to będę wyższy. Zamiast rosnać wszerek, tak jak musiało być z ojcem przez te wszystkie lata, wciskanym w ziemię przez swój ciężar, ja będę rósł wzwyż, będę się wyciągał, chudy i nieważki, głód będzie mnie unosił w górę. Ojciec chce wejść do gospody, która nazywa się Bakkekroen. Tam kupuje sobie piwo, lecz nim je wypije, idzie do ubikacji. Fred i ja siedzimy przy stole pod oknem, między nami na obrusie stoi bukiet zwędzonych kwiatów. Siedzę na poduszkach. Wkrótce nie będą mi już potrzebne. Ojciec po powrocie ma uczesane włosy, wyprostowany kapelusz, wypolerowane buty i wyczyszczone spodnie. Znów jest podobny do siebie, ale nie całkiem. Pod oczami ma cienie, których nie zdołał się pozbyć. – Macie ochotę na kanapkę? – pyta. – Nie, dziękuję – odpowiadam. Już zacząłem nie jeść. Wydaje mi się, wręcz czuję, że już rosnę. Ojciec wypija ciemne piwo jednym haustem i delikatnie odstawia szklanekę, jak gdyby najdrobniejszy dźwięk mógł popsuć wszystko, czy też tę krztynę, która jeszcze została i nie jest już dawno popsuta. Ojciec patrzy na mnie. – O tym nie powiemy mamie – szepcze. Kilka razy kręcę głową. Ojciec przytakuje i gwałtownie zwraca się do Freda. – A jeśli ty zaczniesz teraz mówić, to wybierzesz bardzo zły moment!

Kontynuuj tę swoją afazję! Potem idziemy do domu. Matka na nas czeka. – Tak długo was nie było – mówi. Ojciec bierze ode mnie poduszki, idzie prosto do salonu i kładzie się na otomanie. Matka patrzy za nim zdziwiona. Fred zmienia buty i znów wychodzi. Zostają ja. – Przyjemna wycieczka? – pyta matka. – Tak, mamó. Muszę bardzo się skupić, żeby nie powiedzieć nic złego, czego nie powinienem. Nie mogę się wygadać. – Dokąd pojechaliście? – W to samo miejsce, gdzie się zakochałaś w ojcu, mamó. Matka drży, przestraszona, ona też musi się zastanowić. Potem podchodzi bliżej. – Guzika nie było w twoim piórniku, Barnum – mówi. – Naprawdę? – Tak, Barnum. Matka odwraca się w stronę ojca, on leży na otomanie z poduszkami pod głową i gazetą na twarzy, stronicie szeleszczą. – Po co ci ten guzik? – pytam. – Umyj ręce – mówi matka. Biegnie do kuchni, bo czuć spalenizną. Ja idę do naszego pokoju i wyjmuję piórnik. Matka miała rację.

Guzika nie ma. Albo zgubiłem go w szkole, albo ktoś go wziął, nie wiem kto. Będzie musiało upłynąć dużo czasu, wiele lat, zanim ten sam guzik znów się pojawi, jak kółeczko toczące się przez nasze życie. – Jedzenie wystygnie! – woła matka. Ojciec grzebie się w salonie. Ja się grzebię w swoim pokoju. Staję przy futrynie i kładę rękę płasko na głowie, ale nie ma żadnej różnicy w pomiarze, nawet gdybym dodał jeszcze włosy. Ale też dopiero zacząłem głodować, a przecież nie urosnie się od pojedynczego podziękowania za jedną kanapkę w Bakkekroen. Trzeba odmówić sobie więcej jedzenia. Matka się niecierpliwi i woła jeszcze głośniej. Siadamy przy stole w kuchni. Dzisiaj znów są klopsiki rybne. Miejsca Freda i Boletty są puste. Matka nalewa wody do szklanek. – Gdzie zaparkowałeś samochód? – pyta. Ojciec żuje powoli, a właściwie tylko miażdży klopsiki między zębami. – Boletta pewnie znów jest na Biegunie Północnym? – pyta. Matka nie odpowiada. Ojciec wkłada do ust więcej klopsików. – Nie uważasz, że bywa tam trochę za często jak na osobę w jej wieku? Matka marszczy czoło. – Pytałam, gdzie zaparkowałeś samochód – powtarza. Uświadamiam sobie, że żadne z nich nie odpowiada na to, o co są pytani, tylko pytają o coś zupełnie innego. Jeszcze nigdy nie widziałem ojca w takim stanie. Nie potrafi nawet obrócić tego w żart. Czy uciekają mu z twarzy. – Jest w warsztacie – mamrocze. Matka pochyla się nad stołem. – Co powiedziałeś? – Jest w warsztacie, do diabła! Teraz ojciec nie mamrocze. Krzyczy. Matka trochę się kuli. – W warsztacie? Zepsuł się wam? Ojciec prędko patrzy na mnie, wygląda, jakby się zaciął. – Hamulec ręczny zgrzytał – mówię. Matka wzrusza ramionami i podaje mi garnek.

Przekazuję go dalej. – Nie jesz, Barnum? – Jedliśmy kanapki w Bakkekroen – odpowiada ojciec. Koło warsztatu. Przez chwilę jest cicho. Jak gdyby ogarnął nas spokój. Ale on nie trwa długo. – Hamulec ręczny zgrzytał? – dopytuje się matka. Ojciec nie może tego dłużej znieść. – Odkąd to znasz się na samochodach? – rzuca ze złością. – Wcale nie powiedziałam, że się znam. – No to się zamknij! Matka odkłada nóż i widelec i tylko patrzy na ojca. Jego kark zmienia się w łuk, na którego końcu wisi głowa. – Nie powinienem był tak powiedzieć – szepcze. – Rzeczywiście, nie powinieneś – mówi matka i wychodzi do sypialni, drzwi zamyka za sobą na klucz. Otworzy je dopiero następnego dnia rano. Ojciec poświęca całą noc na wymyślenie, co ma powiedzieć. – Sprzedałem samochód – mówi. Matka patrzy na ojca. Ojciec patrzy na mnie. Boletta podnosi się z otomany. Fred wychodzi z łazienki. – Sprzedałeś samochód? – nie dowierza matka.

Ojciec kiwa głową. Matka nie może tego pojąć. – Myślałam, że latem wybierzemy się na wycieczkę samochodową – mówi. Ojciec spuszcza wzrok. – Może w przyszłym roku, moja droga. Matka znów trzaska drzwiami i równie prędko je otwiera. – W przyszłym roku?

Obiecałam Barnumowi, że pojedziemy latem! Ojciec odwraca się do mnie. – Nic nie szkodzi – szepczę. Ojciec uśmiecha się ciężkimi wargami. – Sama słyszysz – mówi. – Ale dlaczego sprzedałeś samochód? – pyta Boletta. Ojciec nabiera powietrza. – Ponieważ potrzebowaliśmy pieniędzy – odpowiada. Matka tupie nogą i wpada we wściekłość. – Kłamiesz! – krzyczy. Łżesz mi prosto w oczy! Ojciec nie wie, gdzie ma patrzeć ani co ma powiedzieć. Udaje więc obrażonego, a matka wścieka się jeszcze bardziej. Staję między nimi. – Najważniejsze jest nie to, co widzisz – mówię. Tylko to, co ci się wydaje, że widzisz. Ojciec z wdzięcznością kładzie mi na ramieniu gładką sztywną rękę, natomiast matka tylko kręci głową, będzie zła jeszcze co najmniej przez miesiąc, gniewnym krokiem wychodzi do kuchni i szykuje drugie śniadanie, które wrzucę do najbliższego śmietnika, gdy tylko nikt nie będzie mógł mnie zobaczyć. W ogóle nikt nie zauważył, że przestałem jeść, tak samo jak moje milczenie nie zostawiło śladów. Ale wytrzymałem dłużej.

Głodziłem się po cichu. Teraz miałem swoją własną afazję, afazję żołądka i jelit. Do dzieła zabrałem się starannie. Jeśli dostałem kandyz od Esther, chowałem torebkę pod kamieniem za budynkiem radia. W stołówce udawałem, że zjadam marchewkę i chrupki chleb z pasztetem, ale potem szedłem do ubikacji i wymiotowałem. W domu podawałem półmiski i rondle dalej, i nikt na to nie reagował. Byłem niewidzialny. Za sprawą głodu stałem się przezroczysty i pusty w środku. Co wieczór mierzyłem się przy futrynie, ale na razie nie zauważyłem żadnej zmiany. Znak pozostał taki sam. Moja kędzierzawa niedostateczność ani drgnęła. Musiałem być cierpliwy. Rośnięcie to powolny proces. Na szczęście wszyscy mieli inne rzeczy na głowie. Matka wciąż była zła z powodu tej sprawy z samochodem, a ojciec starał się jak mógł wrócić jej dobry humor, kupował kwiaty, był w domu co wieczór, umył okna i mówił jej, że wygląda ładniej niż kiedykolwiek, ale to nie pomagało, wściekłości matki nie dawało się przerwać, musiała przejść swoją drogę do samego końca. Boletta piła piwo na Biegunie Północnym, a Fred był zajęty wyłącznie swoim milczeniem. Pewnego wieczoru wydało mi się jednak, że spojrzał na mnie nowymi oczami, i pomyślałem, że może teraz coś powie, że się zmieniłem, że już nie jestem taki sam, ale tak się nie stało. Schudłem kilka kilo. Chciałem zamienić je na centymetry. Kazały na siebie czekać. Na początku zrobiłem się ospały. Ledwie miałem siłę wstawać rano.

Wszystko koncentrowało się na niejedzeniu. Moją jedyną myślą był głód. Musiałem też często chodzić do ubikacji. To wkrótce minęło. Przecież nie miało co wychodzić. To było jak równanie. Zgadzało się. Oprócz tego, że na razie jeszcze wcale nie urosłem. Ale się nie poddawałem. Jeszcze nigdy nie przestałem jeść na tak długo. Zmieniłem się w wąski cień w wiosennym słońcu. Nikt nie chciał dostrzec mego głodu aż do chwili, kiedy zemdląłem w objęciach Kostuchy na lekcji religii, w ostatni piątek przed letnimi wakacjami, i zanieśiono mnie do szkolnego lekarza. Tam ocknąłem się na materacu. Głód stał się dziwną piosenką w głowie. Byłem nagi. Lekarz szkolny przyglądał się mojemu wychudzonemu krótkiemu ciału wielkimi zatroskanymi oczyma. – Kiedy ostatnio jadłeś? – spytał. – Dawno temu – szepnąłem. Lekarz pokręcił głową. – Ale dlaczego? Nie mogłem na to odpowiedzieć. Nie mogłem powiedzieć prawdy. Nie uwierzyłyby mi. – Nie wiem – odparłem cicho. Lekarz położył mi palec na nadgarstku i liczył na głos. – Nie dostajesz jedzenia w domu? – spytał, kiedy skończył liczyć. I teraz odpowiedziałem niewłaściwie.

Wiedziałem to już w chwili, gdy wymawiałem słowa. Z moich ust wydostało się kłamstwo, a to kłamstwo miało mieć konsekwencje. – Nie za dużo – odparłem. Lekarz zerknął na pielęgniarkę, która stała przy drzwiach ze skrzyżowanymi ramionami.

Natychmiast zadzwoniła do matki. Zważyli mnie i mogłem się ubrać. Matka przysłała po godzinie. Najpierw musiała porozmawiać z lekarzem i dyrektorem szkoły. Ja czekałem na materacu. Pilnowała mnie pielęgniarka. Czyżby sądziła, że ucieknę? Nie, o to mogła być całkiem spokojna. Nie miałem siły. Ledwie zdołałem unieść rękę i podrapać się pod nosem. – A więc nie dostajesz w domu jeść – powiedziała. Chciałem wyjaśnić, że to nieprawda, że u nas w domu jest dość jedzenia, że w naszym domu panuje obfitość, są klopsiki rybne, kotlety schabowe, jasny gulasz z kartoflami, zupa kalafiorowa i kiszzone ogórki, ale wtedy matka wyszła z gabinetu, ze spuszczoną głową, czerwona, zgarbiona ze wstydu. Nie dość że miała syna z afazją, to miała jeszcze jednego syna, niewyrośniętego i niedożywionego. Nagle wyprostowała się, zdmuchnęła włosy z czoła, oczy zrobiły się przejrzyste i mocne. – Co było wczoraj na obiad, Barnum? – Resztki – szepnąłem. Wzięła mnie za rękę i wyciągnęła z gabinetu lekarza. Ale w parku zabrakło jej sił, usiadła na ławce i zaczęła płakać. – Jak mogłeś powiedzieć coś takiego? Że nie dostajesz jeść? – Nie chciałem – odszepnąłem. Matka załamywała ręce. – Co ja złego zrobiłam? – szlochała.

Podszedłem bliżej. – Nic złego nie zrobiłaś, mamó. Matka podniosła głowę i jakby dopiero w tej chwili zauważyła, jak bardzo schudłem. Objęła mnie, poczuła wystające obręcze żeber tuż pod koszulą i rozplakała się jeszcze bardziej. – Co my z tobą zrobimy, Barnum? Wkrótce miała się dowiedzieć. Do rodziców przyszedł list od lekarza szkolnego.

Miałem być wysłany na wieś i zostać tam przez dwanaście dni na tuczenie. Teraz z kolei ojciec wpadł we wściekłość. Walił w stół i mówił, że się nie zgadza, ale nie mieli wyboru. Nie powiem nic więcej, tym razem powiem tylko: kuracja Weira Mitchella, i jeszcze dodam, że matka odprowadziła mnie do pociągu, miałem plecak z ubraniem, szczoteczka do zębów i linijką, na stacji Dal odebrał mnie sam gospodarz i pojechałem razem z nim ciężarówką do gospodarstwa, leżącego nad jeziorem, które nazywa się Hurdalsjøen. Widziałem je wieczorem ze swojego pokoju. W blasku księżyca rzucały się ryby. Żona wieśniaka miała wielkie dłonie. Byli tam też dwaj inni chłopcy. Byłem od nich chudszy. Kiedy wróciłem do domu, wyglądałem jak pączek w maśle. Ale zanim szkoła się zaczęła, znów stałem się sobą, ani wyższy, ani niższy, ani grubszy, ani chudszy, byłem Barnumem raz na zawsze, jak gdyby nic się nie zdarzyło, jak gdyby kuracja Weira Mitchella w Hurdal okazała się tylko snem. Lekarz szkolny wezwał mnie, zbadał od pośladków po usta i stwierdził, że doszedłem do siebie, kuracja poskutkowała, tłuszcz był szczerze rozłożony na ciele, a kosmki jelitowe wchłaniały tak pięknie, że aż serce się radowało. – Fajnie było na wsi? – spytał lekarz. Nie dałem rady odpowiedzieć. Tylko kiwnąłem głową. Matka i ojciec mogli odetchnąć z ulgą, Esther mogła dotykać moich loków, a reszta klasy mogła się ze mnie śmiać, bo również dziewczynki wyrosły w ciągu lata jak szalone, wyprzedziły mnie, zostałem sam na nizinach, w przejmującym chłodziu, stałem nieruchomo, musiałem zadzierać głowę, patrząc na innych jakby z podziwem, i na nikogo nie mogłem spojrzeć z góry. Bardzo chciałem opowiedzieć Fredowi o wszystkim, co się wydarzyło na wsi. Mógłbym mu opowiedzieć, że wcale nie było fajnie. Ale i temu nie dałem rady. Fred był jeszcze bardziej milczący. Jego milczenie pustoszyło ulice i miasta. Może istniała również kuracja dla niemych? Spodobała mi się ta myśl.

Wyobraziłem to sobie, gospodarstwo na wsi albo w parku, gdzie niemi siedzą w cieniu pod drzewami i muszą ze sobą rozmawiać, pierwszego dnia jedno słowo, następnego cztery, a dwunastego, ostatniego dnia mogą już wypowiedzieć całe zdanie. Nazwałem to kuracją Barnuma. Ale Fred nie przyjmował żadnej kuracji. We wrześnie zaczęło padać.

Ojca nie było przez całą sobotę i niedzielę. W poniedziałek wrócił do domu. Nie zdążył zdjąć płaszcza i mokrych butów. Wszedł wprost do salonu i postawił na stole wielkie kartonowe pudło. Chciał raz na zawsze ucieszyć matkę. – Spójrzcie! – zawołał.

Zebraliśmy się wokół tego pudła. Ojcu nagle przestało się spieszyć. Wytarł starannie chusteczką obie rękawiczki, przeczesał włosy, włożył papierosa do ust i zaczął rozglądać się za zapalnikami. – Ciekawi chyba jesteście, prawda? Ale nie otrzymał odpowiedzi, jakiej oczekiwał. Nie dreptaliśmy z niecierpliwości, oszalali przez to opóźnianie. Nie rzuciliśmy się na pudło i nie rozdarliśmy go na kawałki. Okazaliśmy się marną i niewdzięczną publicznością. Może byliśmy zmęczeni wszystkim, co się wydarzyło od śmierci króla Haakona i Starej, które nastąpiły w odstępie kilku godzin, może było już tego dla nas za dużo, nie mogliśmy znieść już więcej, przedstawienie za bardzo się przeciągało, a nasze zmysły były przytępione, spiłowane aż do dna. Ojciec przez moment nie wiedział, co robić, wyjął papierosa z ust i schował go z powrotem do papierosnicy, jakby chciał cofnąć czas i zacząć numer od początku. To też nie pomogło i ojciec był z nas bardzo niezadowolony, obraził się i musiał improwizować. Najzwyczajniej w świecie wyniósł pudło z powrotem. Może chciał zrobić nowe entrée, wejść w jakiś inny sposób, bez płaszcza i przemoczonych butów, była w tym niemal pewna pociecha, że być może da się lepiej powtórzyć to, co się zrobiło. – Dokąd idziesz? – spytała matka. Ojciec zatrzymał się, odwrócił powoli, udając zdziwionego. – O, nie wiedziałem, że tu jesteście. Matka się uśmiechnęła. – Jesteśmy tu, Arnoldzie. Byliśmy tam, Boletta, ja i matka, nawet Fred tam był. Ojciec przenosił wzrok z jednego na drugie, udając, że widzi nas po raz pierwszy. – Pomyślałem tylko, że wyrzucę śmieci – powiedział gniewnie. Matka musiała łagodzić: – Nie wygłupiaj się już, pokaż, co przyniosłeś. Ojciec zwlekał jeszcze przez chwilę, ale w końcu wrócił razem z pudłem. Zyskał teraz przewagę i wiedział o tym. Nareszcie miał nas w garści. – Tak, tak – westchnął. Jeżeli moje drobne upominki mogą was choć trochę zainteresować. Z tymi słowami rozerwał sznurek, rozłożył na boki pokrywę, nabrał powietrza, a nam oczy zrobiły się jeszcze większe, kiedy ojciec wyjął z pudła gramofon,

prawdziwy gramofon, Radionette, o dwóch prędkościach, czterdzieści pięć i trzydzieści trzy, i z automatyczną rączką. Podeszliśmy bliżej. Dotknęliśmy cudu. Ojciec wyjął papierosa, zapalił go i mimo wszystko wydawał się zadowolony z przedstawienia. – Niestety, nie mamy żadnych płyt, które moglibyśmy puścić – powiedziała Boletta. Tak jakby ojciec o tym nie pomyślał. Właśnie na ten moment czekał. Uśmiechnął się krzywo i wypuścił dym papierosowy tym kącikiem ust, który był wyżej. – Dlatego przynoszę pod ten dach nową gwiazdę, która lśni bajkowym blaskiem na firmamencie muzyki. Nagle między rękawiczkami ojca pojawił się złoty singiel, a ja nie zdołałem się zorientować, skąd go wyjął. Teraz my wzdychaliśmy, my, z wyjątkiem Freda. Ojciec szepnął: – A ta gwiazda nazywa się Cliff Richard. Delikatnie położył płytę na gramofonie, nacisnął jakiś guzik, rączka sama przesunęła się na miejsce i igła wpadła w rowki. Zaszumiało i zatrzęszczało, a potem rozległy się mroczne przeciągłe dźwięki i jakiś głos zaczął śpiewać tak głęboko i wolno, że brzmiało to niemal jak pogrzeb króla Haakona puszczony od tyłu. Ojciec się zdenerwował, wsadził papierosa w usta Boletcie i przekręcił jakąś gałkę trzy razy dookoła. Szybkość się zwiększyła, a igła przeskoczyła przez parę rowków, ale w końcu mogliśmy już to usłyszeć, wyraźnie, czysto i blisko, tak jakby stał w naszym salonie: Cliff Richard śpiewał *Livin' Lovin' Doll*. I nie przestawał śpiewać. Gdy tylko płyta się skończyła, igła przesuwiała się z powrotem na początek. Słyszeliśmy ją, kiedy położyliśmy się spać, rodzice tańczyli w salonie, a Cliff Richard śpiewał. Potem hałasowali w sypialni. To samo powtórzyło się następnego wieczoru. Cliff Richard śpiewał *Livin' Lovin' Doll*, matka i ojciec tańczyli w salonie, a przez resztę nocy zachowywali się głośno w łóżku. Fred był poza domem, dopóki się nie uspokoili. Boletta uciekła na Biegun Północny. Tylko ja leżałem w domu z poduszką na twarzy i słuchałem tych przeciągających się koncertów, co wieczór, Cliff Richard, *Livin' Lovin' Doll* i następujący po piosence dziwny hałas.

Matka i ojciec znów się odnaleźli i oboje znaleźli Cliffa Richarda. I tak mijala jesień. Powinienem się cieszyć. Ale nie mogłem. Stara umarła, Fred milczał, a ja wcale nie urosłem. Futryna znieruchomiała. I dlatego tak długo czułem to zagłębienie w sercu, smak smutku gwałtownie przeradzającego się we wstyd i panikę, kiedy przypadkiem słyszałem Cliffa Richarda w radiu, w windzie albo przy barze, jego suchy, a mimo wszystko gładki głos, bez załamania, piękny i niewidzialny, aż do chwili, kiedy na własne oczy ujrzałem go przy basenie w hotelu Kempinski w Berlinie, wtedy jakby to przekleństwo zostało przerwane, dołek w sercu zarósł na widok Cliffa, smutek zmienił się w śmiech, tak jak Fred w końcu przerwał swoje długotrwałe milczenie.

Bo pewnego wieczoru odgłosy z salonu i te późniejsze przestały dochodzić. Długo leżałem, nie śpiąc, ale nic nie słyszałem. Gramofon milczał. Nasłuchiwałem na próżno.

A następnego dnia rano do pokoju weszła matka. Niosła gramofon. – Bardzo proszę – powiedziała. Chciałem spytać, co się stało, ale tego nie zrobiłem. Ona tylko postawiła gramofon na stole i zaraz wyszła. Ojciec zniknął na wiele dni. Boletę bolała głowa. Fred wracał do domu tak samo milczący. Zaczął padać śnieg. Żyliśmy w niemym filmie. Nie było nawet śródtytułów między scenami. Śnieg dalej padał. Usta były pełne śniegu.

W pewnym momencie nie mogłem tego dłużej znieść. Właściwie był to całkiem zwyczajny wieczór. Nadeszła wiosna. Słyszałem dzwonki rowerowe ścigające się i znikające w dół Kirkeveien. Pokój pełen był ciszy i słońca. Stałem przy futrynie i zmierzylem się.

Nigdzie dalej nie dotarłem. Musiałem mieć dźwięk. Musiałem coś usłyszeć. Nacisnąłem guzik w gramofonie. Rączka się podniosła. Potem opadła na rowki. Zdmuchnąłem kurz z igły. W mojej głowie nigdy nie było ciszej niż teraz. I w tej samej sekundzie albo zaraz potem, za ułamek sekundy, Cliff Richard zaczął śpiewać, jeszcze raz i po raz ostatni w naszym domu, *Livin' Lovin' Doll*. Wtedy Fred się podniósł, wyłamał rączkę, cisnął płytą o ścianę i spojrzał na mnie. Cisza była podwójna. – Chcesz, żebym ci zabił ojca? – spytał.

Fred przemówił. To były pierwsze słowa, jakie wypowiedział. Ależ się ucieszyłem.

Śmiałem się. – Co powiedziałaś? – spytałem. Fred podszedł bliżej. – Chcesz, żebym ci zabił ojca, Barnum? Już się nie śmiałem. Fred wziął cały gramofon, zszedł na dół i wyrzucił go do śmietnika. Wydaje mi się, że dozorca Bang go zabrał, bo zawsze grzebał w pojemnikach, zanim je opróżniono. Ale chyba nigdy nie zdołał go naprawić. Wbiegłem do salonu. Matka siedziała w otwartych drzwiach balkonu i spała. – Fred się odezwał – szepnąłem. Budziła się powoli, podniosła głowę i wytarła sen z oczu. – Co mówiłeś, Barnum? – Fred się odezwał! Matka się zerwała. – Naprawdę? – Tak, mamó. Fred się odezwał! – Ale co powiedział? – spytała. Milczałem. Matka ujęła mnie za ramię i potrząsnęła mną. – Co on powiedział, Barnum! Spuściłem głowę. – Że nie lubi Cliffa Richarda.

(nekrolog)

Pewnego ranka matka zaczęła krzyczeć. Siedzieliśmy w kuchni i jedliśmy śniadanie.

Fred już od dawna mówił, ale raczej się nie odzywał. Teraz głównie milczał ojciec.

Tęsknił za gramofonem. A przede wszystkim tęsknił za buickiem. My, pozostali, też nie byliśmy szczególnie rozgadani. Tęskniliśmy za Starą. Czasami myślałem: Może dobrze by się stało, gdybyśmy wszyscy stracili głos jednocześnie, zarazili się afazją, bo i tak nie bardzo mamy o czym rozmawiać. Ale raz matka zaczęła krzyczeć. Wyszła po gazetę.

I zaraz przybiegła do nas z potarganymi włosami, w przekręconej nocnej koszuli, a w ręku jak flagę trzymała „Aftenposten”. – Napisali o nas! – zawołała. Napisali o nas w gazecie!

Nigdy nie widziałem jej tak podnieconej i nigdy więcej już jej takiej nie zobaczyłem.

Odsunęła kanapki i rzuciła gazetę na stół. Teraz mogliśmy zobaczyć wszystko na własne oczy. Napisali o Starej. To był jej nekrolog, spóźniony o dwa lata. Matka usiadła między nami i już płakała. Boletta, która odzyskiwała zdolność wyraźnego widzenia dopiero po ukazaniu się wieczornego wydania, pochyliła się nad stołem, pobladła i wstrząśnięta. – Czytaj – szepnęła. Matka podniosła więc gazetę i zaczęła czytać na głos w języku swojej babki. A oto jak zapamiętałem te zniekształcone, miękkie w ustach matki słowa:

Niewidzialna gwiazda Piękna Ellen Jebsen wyszła ze swej człowieczej roli i opuściła rozchwiane kulisy naszych czasów. My, którym dane było ją poznać, skrywamy teraz w sercach głęboki smutek, dający się ukoić jedynie wówczas, gdy pójdziemy za nią w ciemność. Urodziła się w Køge w 1880 roku. Ojcem jej był szanowany siodlarz i tapeciarz, lecz ona wdała się w matkę, od której wcześniej nauczyła się kochać sztukę opowieści, kiedy o zmierzchu słuchała snuty przez nią historii, a zapach jabłek pieczonych na kafłowym piecu wypełniał pokój aromatem, otwierającym wrota wyobraźni.

Lecz dopiero gdy spotkała swojego Wilhelma, młodego zdolnego marynarza, w jej życiu pojawił się pierwszy ostry zakręt, który miał tak wiele odmienić. Poznali się, kiedy rodzina Jebsenów wybrała się na wycieczkę do Kopenhagi, na lodowisku przy Pawilonie Morskim. Wilhelm nie mógł oczu oderwać od pięknej dziewczyny. Nie należy ukrywać, nawet w tych okolicznościach, w posłowniu śmierci, że jej rodzice nie byli przychylni temu związkowi i za wszelką cenę starali się do niego nie dopuścić. Nie wspominam o tym, by zasiać wątpliwości wśród potomnych, przeciwnie, piszę to wyłącznie, by pokazać siłę miłości tych młodych ludzi. Lecz jak rzekł wielki poeta: prawdziwa miłość prowadzi do największych nieszczęść. Nigdy nie zdążyli się pobrać. W czerwcu 1900 roku Wilhelm zaciągnął się na statek „s/s Antarctic”, wypływający z Kopenhagi na Grenlandię. Celem ekspedycji było sprowadzenie wołu pizmowego do ogrodu zoologicznego. Wilhelm nie wrócił do domu. Zaginął wśród lodów. Nie powrócił na statek z wyprawy łowieckiej na drugą stronę fiordu, na którą wyruszył wraz z młodym kanonierem w poszukiwaniu wołów pizmowych. Ślady urywały się przy szczelinie w lodowcu, ciała nigdy nie znaleziono.

Pokój niech będzie jego duszy. Ale w Køge została ta, która wciąż czekała. Czekala na próżno. W tym samym roku urodziła się ich córka, nadano jej imię Boletta. Nie będę rozwodził się nad tym owego czasu niesłychanym wydarzeniem, powiem tylko krótko, że dziewczyna zerwała z rodziną i zamieszkała w Kopenhadze, z czasem można ją było zastać w kasie pierwszego kina w Danii, na Vimmelskaflet, w owych pionierskich czasach żywych obrazów, kiedy filmy nosiły tytuły *Zuzanna w kąpielni* czy *Przygody emigranta albo zaginiona sakiewka*. Zarówno wielu panów, jak i dorastających chłopców wołało podziwiać Ellen Jebsen niż tajemnicze kobiety z ekranu. Jednym z tych, który również nie mógł oderwać od niej oczu, był legendarny Ole Olsen, kuglarz i dyrektor kina. Odkrył Ellen Jebsen w kasie biletowej kina na Vimmelskaflet i zauważył, że jej twarz jest wprost stworzona do niemego filmu. Gdy jej ukochany bowiem, ojciec jej córki, zniknął wśród błękitnego lodu, uroda dziewczyny nabrała niezwykłej głębi. Tragedia wyryła ślady na twarzy Ellen Jebsen, a w jej spojrzenie wpisała się miłość. Ellen przemawiała do Wilhelma bez słów. Ole Olsen natychmiast zaproponował jej miejsce w swej, jak to nazywał, aktorskiej stajni i jeszcze tego samego lata Ellen Jebsen i mała Boletta znalazły się wśród ogródków działkowych w Visby, gdzie mieściło się atelier, złożone z jednej rozpadającej się szopy, która później miała się zmienić w Nordisk Film. Nastal cudowny czas! Zaatakowaliśmy zarówno komedie, jak i przerażające dramaty, jakże mało wiedząc o przyszłości, którą sami tworzyliśmy, w czasach gdy Visby było większe niż Hollywood.

Tu byli prawdziwi Chińczycy, były dzikie lwy, drzewa z malowanymi liśćmi palm, morderstwo i romantyzm. A nad całą tą artystyczną anarchią stała Ellen Jebsen niczym kolumna smutnego piękna. Mogła zostać Astą Nielsen, ba, mogła być drugą Gretą Garbo.

Dlatego tym bardziej bolesne i haniebne jest, iż następne pokolenia nie mogą jej oglądać.

Taśmy filmowe z dawnych czasów w Visby przepadły, a później Ellen została odcięta od filmu. Tych pięć minut, które miała w elektrycznym teatrze, zatarło się. Była pionierką, którą usunęły w cień jej spadkobierczynie.

Wkrótce też nas opuściła. Dwa wydarzenia i głęboka tęsknota zawiodły ją w 1905 roku do Norwegii. Duński książę Carl, późniejszy król Haakon, miał objąć norweski tron, a Ellen Jebsen otrzymała propozycję zagrania w pierwszym norweskim filmie dramatycznym, *Niebezpieczne życie rybaka*. Dzięki temu mogła się znaleźć bliżej swego ukochanego, na którego nie przestawała czekać. Takie już bowiem miała serce. Wierne aż do końca i wciąż opierające się okrutnemu rozumowi. Lecz kiedy życie wykonuje gwałtowny skręt, nigdy nie można mieć pewności, co zobaczymy za rogiem. Z przyczyn ekonomicznych albo też opacznie pojętych przyczyn artystycznych rola Ellen Jebsen w *Niebezpiecznym życiu rybaka* została pominięta. Historia opowiadała tylko o trzech osobach, rodzicach i ich synu, który w trakcie rozwoju akcji tonął w basenie Frognerkilen, mającym wyobrazać rozszalałe niebezpieczne morze. Powiedzmy od razu, że rezygnacja z roli Ellen Jebsen była nie tylko rozczarowaniem dla niej samej, lecz również prawdziwą tragedią dla filmu norweskiego w ogóle, który po trudnych początkach ledwie zdołał stanąć na nogi. Gdyby Ellen Jebsen zagrała jakże istotną rolę ukochanej zmarłego syna, film miałby inny wydźwięk i z pewnością wstrząsnąłby publicznością. A czyż nie to właśnie jest głównym celem filmu: poruszyć widzów, doprowadzić ich do śmiechu i do płaczu, kazać odczuwać nadzieję i ulgę? Po tych wydarzeniach Ellen Jebsen zrezygnowała z dalszej kariery i rozpoczęła pracę w Telegrafii, gdzie później miała pracować również jej córka, Boletta. Ellen Jebsen mieszkała w Oslo aż do śmierci. Zmarła tego samego dnia co król Haakon, jej książę. W jej życiu istniała prawidłowość większa niż w sztuce i przecząca przypadkowości.

Piszę to dwa lata po jej śmierci, o której dowiedziałem się dopiero teraz, gdyż jestem przekonany, że nigdy nie jest za późno na wspomnianie i uczczenie człowieka idealnego.

Ellen Jebsen nas opuściła. Chciałbym teraz, tymi prostymi słowami, pisany z żalem i wdzięcznością, przytrzymać ją i wznieść? na firmament, tam, gdzie jej miejsce.

Ć na firmament, tam, gdzie jej miejsce.

Z szacunkiem Fleming Brant Bellagio, Włochy Kiedy matka skończyła czytać i odłożyła gazetę, my też płakaliśmy. Słowa z gazety rosły w nas, chociaż takie słowa pojawiają się, kiedy wszystko jest już skończone, podobnie jak list z Grenlandii dotarł do adresatki w długi czas po śmierci autora, po jego zaginięciu wśród lodów. W końcu matka westchnęła. – Szkoda, że Stara nie może tego przeczytać.

Ojciec gwałtownie się poderwał. – Kim, u diabła, jest Fleming Brant? Matka popatrzyła na Bolettę, która tylko pokręciła głową, jeszcze bledsza, i opuściła wzrok, przenosząc go w jakieś inne miejsce, gdzie nie mogliśmy zobaczyć jej oczu. – Nie mam pojęcia – szepnęła. Fred otworzył usta. – Gdzie leży Begalio? – spytał cicho. – We Włoszech – odparłem prędko. Fred pochylił się nad stołem i podrapał mnie w skroń. – Myślisz, że nie umiem czytać, mały? Matka przerwała nam, zanim zacząłem płakać. – Nie kłóćmy się teraz, chłopcy. Przyniosła z kuchennej szuflady nożyczki i delikatnie zaczęła wycinać ten nekrolog, pamiętam jasno i wyraźnie, jak gdybym od tamtego poranka nigdy nie wstał od tego stołu, tylko wciąż przy nim siedział, dźwięk wydawany przez tnące papier nieco odporne, nieostre nożyczki, matkę, która musi ciąć dwukrotnie, mocno, żeby się udało, i resztę nekrologów wrzuconych do kubła na śmieci, szeleszczących jak płomienie czarnych kolumn z nazwiskami, jak tekst na taśmie z filmem, którego nikt nie oglądał. Tego dnia nie idziemy do szkoły. Matka pisze nam usprawiedliwienia. Obaj mamy, zdaje się, kłopoty żołądkowe. Śmieję się głośno, a matka mnie ucisza. Idziemy za to na cmentarz.

Wszyscy, których spotykamy na Kirkeveien, witają się teraz z nami inaczej, kiwają nam głowami i oglądają się za nami jeszcze długo po tym, jak się miniemy. Czytali „Aftenposten” i wiedzą, od jakiej wielkiej gwiazdy pochodzimy. Napisano o tym czarno na białym obok aktualnych nekrologów i nie da się temu zaprzeczyć. Esther otwiera okienko w swoim kiosku i macha nam rękawiczkami bez palców. – Gratuluję! – woła. Matka jej odmachuje. – Dziękujemy! Ale kiedy się zatrzymujemy przy grobie Starej, okazuje się, że Fred zniknął. Prysnął między drzewa na tyłach parku Frogner. Zobaczyłem tylko jego plecy. Matka go woła. Fred nas nie słyszy. Nagrobek ze słynnym nazwiskiem, *Ellen Jebsen 1880–1957*, wystaje z ziemi przekrzywiony. Ojciec próbuje go wyprostować, opiera się ramieniem o czarny kamień i pcha, a ja stoję za ojcem i popycham jego, ale nic nam z tego nie wychodzi. To mróz go przekrzywił. Woda w ziemi zamarzła. Zmarli marzną w swoich łózkach z lodu. Ojciec nie chce się jednak poddać. Ogarnęła go wrogość do tego nagrobka.

Musi go przywołać do porządku. Matka chce go powstrzymać, ale umysł ojca także zamarzł, jego upór zmienił się w lód. Całym ciałem napiera na oporny kamień, krzywy i bluźnierczy, klnie, matka zatyka uszy, Boletta trzyma mnie za rękę, ale kamień jest silniejszy, to kamień popycha ojca do tyłu, spycha go w dół i zyskuje przewagę, bo nagle ojciec sinieje na twarzy i pada na grób Starej, wierzgając nogami. Matka osuwa się na kolana i woła go po imieniu. Ojciec wyrywa trochę trawy. Potem nieruchomieje, z policzkiem wciśniętym w zmrożoną ziemię, jak gdyby zasnął u stóp krzywego nagrobka.

Boletta biegnie do kaplicy po pomoc. Zimno mi w nogi. Słyszę organy. Matka szarpie ojcem. On w końcu powoli siada, patrzy na mnie, zdumiony, otrzępuje ziemię z płaszcza, odwraca się do matki. – Nie gniewaj się – szepcze. Matka obejmuje go z płaczem. – Nie gniewam się. Dlaczego miałabym się gniewać? Teraz się śmieje. Ojciec znów zamyka oczy i odpoczywa w jej objęciach. Tak siedzą na grobie Starej, aż do chwili gdy Boletta wraca biegiem. – Dzwonnik telefonuje po karetkę! – woła. Ojciec odsuwa matkę i patrzy na Bolettę, która zatrzymała się w chmurze mroźnej pary. – Po karetkę? – pyta. Chora jesteś, Boletto? Matka gładzi go po policzku. – Chyba zasłabłeś, Arnoldzie. Musisz jechać do szpitala. Ojciec próbuje wstać, ale nogi nie chcą go nosić. Przewraca się i przeklina siarczyściej niż kiedykolwiek. – Nie pójdę do żadnego szpitala! Słyszycie?

Znów usiłuje wstać, ale wygląda to tak, jakby jakaś olbrzymia ręka przyciskała go do ziemi. – Pomóżcie mi, do kroćset! – woła ojciec. Pomóżcie mi! Wreszcie udaje nam się go podnieść. Ledwie stoi. Cały się trzęsie. Słychać zbliżającą się syrenę. Ojciec wbija kapelusz na głowę. – Żegnajcie – mówi. Matka szarpie go za płaszczyk, ale ojca nie można powstrzymać. Idzie bardzo powoli, jak gdyby każdy jego krok wymagał namysłu. Karetka wjeżdża tyłem przez bramę i dwaj mężczyźni w białych fartuchach pędzą do nas. Matka wskazuje na ojca, który chwiejnym krokiem idzie wśród grobów. Biegną za nim. Ale ojciec nie planuje iść do szpitala. Nie pozwala lekarzowi się zbliżyć i przez chwilę wygląda to tak, jakby zamierzali go aresztować. W końcu poddają się i zostawiają ojca, matka zawstydzona bardzo przeprosza. Boletta uznała, że Stara nie życzyła sobie, żeby ją przesuwano. Nagrobek miał stać tak, jak stał, jako nieregularność zakłócająca spokój i porządek Cmentarza Zachodniego, krzywe przypomnienie jej wielkości. Ale następnej wiosny, kiedy pod wpływem słońca ziemia pod naszymi stopami się rozpułnęła, nagrobek znów stał prosty, jak linijka z czarnego kamienia, jakby Stara podniosła się przez sen, po raz ostatni, i odwróciła poduszkę.

Ale ja tego wieczoru nie mogłem zasnąć. Matka nie kładła się, czekała na ojca, niespokojnie chodziła tam i z powrotem, zatrzymywała się przy oknie, siadała na kanapie i nie mogła na niej usiedzieć. Boletta schowała nekrolog do tej samej szuflady co list z Grenlandii. Przez chwilę wydawało mi się, że fałszywe usprawiedliwienie, które napisała mi matka, stanie się prawdziwe. Zaczęło mnie kręcić w brzuchu, coś się w nim przewracało, o mało się nie przewróciło. Nagle dostałem czymś w czoło. Była to twarda kula ze sreberka. Fred ją rzucił. Kiedy Fred rzucał, na ogół trafiał. Czuć było od niego tytoniem, zapach dochodził aż do mojego łóżka. – On umierał? – spytał Fred. – Tak to wyglądało – szepnąłem. – Jak? – Był siny na twarzy – powiedziałem cicho. – Jak siny? – O co ci chodzi? Fred rzucił we mnie jeszcze jedną srebrzystą kulą. – Był ciemnoniebieski czy jasnoniebieski, Barnum? Musiałem się zastanowić. – Ciemnoniebieski, Fred. Fred roześmiał się w ciemności. – Mówił coś? – Tak. Fred przestał się śmiać, zniecierpliwiony. – Muszę wszystko z ciebie wyduszać, Barnum? – Nie gniewaj się – powiedziałem. Fred jęknął. – Wcale się nie gniewam. Tylko powiedz, co mówił. – Ale on właśnie tak powiedział, Fred. Nie gniewaj się. Fred długo leżał w milczeniu. – I co matka na to? – spytał w końcu. – Że się nie gniewa – odparłem. – Jasna cholera – szepnął Fred.

I w tej samej chwili ojciec wrócił do domu. Nie skradał się ostrożnie pod ścianą. Wrócił w pełnym wymiarze i wcale nie udawał mniejszego niż w rzeczywistości. Taki już był: w jednej chwili powalony, a w następnej już stał, ciosy spływały po nim jak woda po kaczce, zapomniał już, że leżał udręczony na grobie Starej, siny na twarzy, teraz był triumf i głośne przemowy. Wbiegłem do salonu. Ojciec klęczał i rozkładał na podłodze wielką mapę. Stałem między matką a Bolettą. To była Europa, niemal tak duża jak nasz dywan.

Ojciec uderzył w mapę pięścią. – Tutaj! – zawołał. Tutaj jest Bellagio! Pochyliliśmy się.

Bellagio leżało u samej góry Włoch, nad wąskim niebieskim jeziorem o nazwie Como. – To daleko – stwierdziłem. Ojciec popatrzył na mnie. – Daleko? Nie dalej niż do Røst, chłopcze. Pokręcił głową i drugą ręką dotknął Røst. – Europa jest tak mała, że mogę tą mapą wytrzeć sobie nos! – Przestań! – powiedziała matka ze śmiechem. Ojciec wcale nie przestał. Był w swoim żywiole. Pławił się w blasku słońca. – Ale jak dodasz Amerykę, to możemy mówić o odległościach. – Gdzie jest Grenlandia? Odwróciliśmy się do Freda.

Stał oparty o ścianę, z kwaśną miną. Ojciec się uśmiechnął. – To dobre pytanie, Fred. Bo Grenlandia leży poza tą mapą. Ale jeśli zajrzysz pod kanapę, może ją tam znajdziesz. Fred ani drgnął. ? My?la?em, ?e?umar?e? ? powiedzia?. Zrobi?o si? bardzo cicho. Fred wr?ci? do????ka, zanim ktokolwiek zd??y? zareagowa?. Ojciec roze?mia? si?, ale za?p??no, jak gdyby ?miech nie pasowa? do?jego twarzy. Ja?wczolga?em si? pod kanap? poszuka? Grenlandii, ale znalaz?em jedynie star? zakurzon? pastylk? i?korek od?wina, kt?ry pachnia? s?odko i?ci??ko. Ojciec musia? mnie wyci?ga?. ? Popatrz! ? powiedzia?. Tym samochodem mo?esz przejecha? Europ?! Poda? mi?pude?ko zapa?ek. D?ugo mu?si? przygl?da?em. ? To?nie jest samoch?d ? szepn??em. ? Ale? tak, Barnum. To?samoch?d. ? To?pude?ko od?zapa?ek. Ojciec wypu?ci? powietrze. ? Nie ? odpar? odrobin? ostrzejszym g?osem. Je?li si? uwa?nie przyjrzyysz, zobaczysz, ?e?to samoch?d. W?dodatku to?buick roadmaster cabriolet.ł. – Myślałem, że umarłeś – powiedział. Zrobiło się bardzo cicho. Fred wrócił do łóżka, zanim ktokolwiek zdążył zareagować. Ojciec roześmiał się, ale za późno, jak gdyby śmiech nie pasował do jego twarzy. Ja wczłgałem się pod kanapę poszukać Grenlandii, ale znalazłem jedynie starą zakurzoną pastylkę i korek od wina, który pachniał słodko i ciężko. Ojciec musiał mnie wyciągać. – Popatrz! – powiedział. Tym samochodem możesz przejechać Europę! Podał mi pudełko zapalek. Długo mu się przyglądałem. – To nie jest samochód – szepnąłem. – Ależ tak, Barnum. To samochód. – To pudełko od zapalek. Ojciec wypuścił powietrze. – Nie – odparł odrobinę ostrzejszym głosem. Jeśli się uważnie przyjrzyysz, zobaczysz, że to samochód. W dodatku to buick roadmaster cabriolet.

Przyjrzałem się uważnie. – Teraz widzę – wymamrotałem. Ojciec położył mi rękę na ramieniu. – Ale jeśli wolisz żeglować, nic nie stoi na przeszkodzie, żeby to był statek.

Wyjął zapalną i wbił ją w pokrywkę. – Widzisz? Teraz możesz popłynąć wzdłuż wybrzeża, na przykład do Røst. – Wolę jechać samochodem, tato. – W porządku, Barnum. Bylebyś tylko nie zapomniał o lewostronnym ruchu w Szwecji. Przypalił masztem papierosa i pudełko od zapalek znów zmieniło się w samochód, w buicka, z miejscem dla nas wszystkich. Położyłem się na mapie i wyruszyłem w podróż z Oslo na południe. Ale zanim dotarłem do Svinesund, zapadłem na chorobę lokomocyjną i wleciałem do Skagerraku.

Nie pamiętam, jak matka niesie mnie do łóżka. Jestem zbyt zajęty powstrzymywaniem wymiotów. Zakręty były za ostre. Prędkość za duża. Księżyc za oknem jest żółtą kierownicą. Zaparkowałem. Noc to garaż. Fred śpi niespokojnie. Za każdym razem, gdy zamykasz oczy, robisz skok. Każde mrugnięcie jest cięciem w filmie o twoim życiu. We śnie łączę paski taśmy, składam czas, nie w łagodnym przenikaniu, lecz w ostrym cięciu.

Jestem bożkiem, wyrzucającym wszystko, czego nie ma w scenariuszu. A kiedy ojciec nas budzi, pokój zalewa światło, jest lato i są urodziny matki.

(boska komedia)

Zakradamy się do matki. Ojciec idzie pierwszy, zapalił świecę, ale płomień ledwie widać w słońcu, które wypełnia nasze pokoje. Boletta upiekła bułeczki, w każdym razie tak twierdzi, ale myślę, że kupiła je wczoraj na Majorstuen, a teraz tylko podgrzała w piekarniku i dodatkowo przyozdobiła rodzynkami. Fred i ja mamy prezenty, które wręczymy matce. Zatrzymujemy się w drzwiach i śpiewamy sto lat. Ojciec zagłusza wszystkich. Rozwiązuje mu się pasek szlafroka. Śpiewamy jeszcze jedną zwrotkę. Matka w milczeniu leży na łóżku, plecami do nas i się nie odwraca. My też milkniemy. Ojciec się niecierpliwi. – Vera? – szepcze. Wszystkiego najlepszego! To też nie pomaga. Jakby matka spała albo nie chciała nas słuchać. Boletta się martwi. – Wydaje mi się, że powinniśmy zostawić ją na trochę samą – mówi. Fred jest błydy, obiema rękami trzyma płaski prezent.

Ojciec protestuje. – Samą? Przecież są jej urodziny! Swoim głosem zdmuchuje świeczkę i w tej samej chwili matka wreszcie się odwraca. Ma zapadniętą szarą twarz, prawie jej nie poznaję. Włosy zwisają w strąkach, jakby nigdy w życiu nie była u fryzjera. Patrzy na nas wielkimi, suchymi oczami. Może nas nie poznaje? Może bierze nas za obcych, którzy się tu włamali? Jeszcze nigdy tak się nie bałem. Jestem bliski płaczu, ale nie mam odwagi się rozplakać, wrywa mi się tylko szloch i Fred kopie mnie w łydkę. Ojciec podchodzi bliżej łóżka. Boletta łapie go za ramię, ale on strząsa jej rękę. Nie rozumie, co się dzieje.

Jest zdezorientowany i urażony. – Chora jesteś, Vero? Matka podnosi się z poduszki. – Ile mam dzisiaj lat? – pyta. Ojciec nieruchomieje. Próbuje się śmiać. – Ach tak, zapomniałaś już – mówi. – Ile mam dzisiaj lat? – powtarza matka. Już mam powiedzieć to na głos, ale Fred jeszcze mocniej kopie mnie w łydkę. Ojciec mówi: – Masz dzisiaj trzydzieści pięć lat, ani o godzinę mniej czy więcej, kochana. Matka znów się kładzie i jest w łóżku tylko cieniem. – I co ja mam z życia? – pyta. I sama sobie odpowiada: – Nic! Uderza w materac.

Nic! Nie chcę, żeby tak mówiła. Jak sobie damy radę, kiedy matka jest nieszczęśliwa i zrezygnowana? Czy to na nas jest zła? Co zrobiliśmy? Zaciskam zęby aż do bólu szczęk.

Boletta odstawia tacę z bułeczkami i kawą. – Już dobrze, dobrze – szepcze. Ojciec stoi jak sparaliżowany przy łóżku i próbuje się uśmiechać. – Nic? To chyba leciutka przesada.

Matka patrzy na niego, a w oczach ma wściekłość, jakiej nigdy u niej nie widziałem. – No to powiedz mi, Arnoldzie Nilsen! Co mam z życia? Ojciec się namyśla. – Przede wszystkim dwóch wspaniałych synów – mówi. Matka zaczyna płakać. Wtedy Fred podchodzi do niej i kładzie swój prezent na kołdrze. – Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, mamó – mówi głośno. Matka waha się i powolnymi ruchami rozpakowuje prezent.

To deska do krojenia chleba. Fred zrobił ją na pracach ręcznych. Na samej górze wypalił napis: *DLA MAMY OD FREDA*, widać krzywe brązowe litery i jeszcze czuć spalenizną, a żadna z liter nie stoi na niewłaściwym miejscu. Matka tego nie zauważa. – Dziękuję – mówi tylko cicho. Fred ma na twarzy wypisane rozczarowanie, jak pieczęć, przelyka ślinę i stara się to ukryć, ale mu się nie udaje. Ojciec poklepuje go po ramieniu. Fred wyrywa mu się, prychając. Teraz kolej na mnie. Daję matce swój prezent. Rozpakowuje go, tak samo wolno, jakby każdy ruch wymagał wielkiego wysiłku. To obrączka na serwetkę. – Dziękuję – mruczy matka, nie patrząc na mnie. Wkłada deskę i obrączkę do szuflady w nocnym stoliku i znów kładzie się pod kołdrę. Ojciec jest niespokojny. – Teraz brak ci tylko chleba i serwetki – mówi. W łóżku jest cicho. – To znaczy, skoro dostałaś deskę i obrączkę – dodaje i śmieje się głośno. Jest tu jedyną osobą, która się śmieje. Matka patrzy na niego oczami najważniejszymi na całym Fagerborg. – Jeśli nie możesz mi dać nic oprócz tego swojego fałszywego śmiechu, to możesz sobie iść! Ojciec dalej stoi. Jest urażony. Jest głęboko zraniony. Ale stoi. Zacisnął mocniej pasek od szlafroka. Boletta przyniosła malagę i napełnia kieliszek, ale matka nawet nie chce spróbować. Boletta sama więc wypija, a ja wciążam gorący słodki zapach, który przez sekundę znieczulenia sprawia, że zapominam, zapominam, że matka ma urodziny, że jest nieszczęśliwa i że nie podobają jej się zrobione przez nas prezenty. – Wcale nie mój śmiech ci daję – mówi ojciec drżącym głosem. – No a co? – pyta matka, nie patrząc na niego. Boletta nalewa więcej malagi do kieliszka. Ale matka wciąż nic nie chce. Odwracam się do Freda.

Zaciska pięści. Ojciec podchodzi bliżej łóżka. – Nie daję ci swojego śmiechu – powtarza.

Daję ci twój własny śmiech. Potrafię cię rozśmieszyć. – Już nie – szepcze matka. Ojciec, słysząc te słowa, długo kręci głową. – Ja, który przeniosłem walizkę z oklaskami przez Europę, miałbym nie umieć rozśmieszyć Very Nilsen z Kirkeveien? Matka wzdycha i odgania go ruchem szczupłej dłoni, której palce zwisają. Już wiem. Ona ma nas dość.

Chce się nas pozbyć. Boli mnie cały brzuch. Piecze gdzieś pod sercem. I właśnie teraz ojciec robi to, w czym jest najlepszy. Może czekał akurat na ten moment i postawił wszystko na jedną kartę. Kieruje się do drzwi, zgarbiony i milczący. Ale nagle staje i się odwraca. Podnosi głowę i pstryka, jak gdyby w tej sekundzie przypomniał sobie, o czym nie powiedział. Odwraca sytuację. Stawia tę bolesną chwilę na głowie i przeciąga publiczność na swoją stronę. Sprawia, że z tym, co nieznośne, da się żyć. Z przygnębienia wyciska śmiech. Ach, żałuję, że ojciec nie powiedział tego od razu! – Skoro już nie potrafię cię rozśmieszyć, to może zamiast tego pojechałabyś ze mną na wycieczkę do Włoch? – mówi. W sypialni zapada zupełna cisza. Wpatrujemy się w ojca. On kołysze się w przód i w tył w zniszczonych kapciach, a potem znajduje w kieszeni szlafroka pół cygara, które wkłada do ust. Nawet matkę w łóżku ogarnia niepokój i nie może się powstrzymać, odwraca się. – O czym ty mówisz? – pyta Boletta. – Mówię o słynnej Italii – odpowiada ojciec. Boletta głośno parska i wypija więcej malagi. Ale matka powoli wstaje. – O Italii? – szepcze. To triumf ojca. Wywołał kolory na policzkach matki.

Tchnął powiew w jej włosy. Jeszcze raz ją zdobył. Zerka na mnie przez ramię, jak gdybyśmy wspólnie pokonali trudy, zdobyli matkę za pomocą deski do krojenia chleba, obrączki na serwetkę i marzenia o Włoszech, tego ranka w sierpniu 1960 roku, kiedy kończy trzydzieści pięć lat. Ojciec chowa cygaro z powrotem do kieszeni i siada na łóżku.

Czuje teraz wielki spokój. Ma nas w garści. Jesteśmy przywiązani do tej samej struny, a on ją napina, naciąga i napręża do ostatnich granic, aż do chwili, gdy matka podnosi rękę, żeby wytrząsnąć z niego resztę. On ją uprzedza w ostatniej sekundzie. – Kiedyś pojechałaś ze mną na północ, na najdalszą wyspę, żeby ochrzcić Barnuma – mówi ojciec. A teraz chcę cię zabrać na południe. Matka znów popada w milczenie. W oczach ma znaki zapytania.

Teraz z kolei ojciec wzdycha, ale nie ciężko, tylko pogodnie, z wyrozumiałością. – Czy to na przykład nie byłby dobry pomysł odwiedzić Fleminga Branta, tego nekrofila, przyjaciela Starej z Bellagio? – mówi. Boletta tupie nogą. – On napisał jej nekrolog, Arnoldzie Nilsen! I na tym należy poprzestać! Ojciec się śmieje. – Wszystko jedno! Co ty na to, mamusiu? Pojedziesz ze mną? – Nie stać nas – szepcze matka. Ojciec tylko wzrusza ramionami, świetnie się bawi. – Na to chyba znajdzie się rada – mówi. I takim ruchem, jakby wykonywał czarodziejską sztuczkę, wyciąga ze szlafroka paczkę, a kiedy rozkłada szary papier na boki, widzimy, że w środku są pieniądze, pliki pieniędzy, podchodzimy bliżej, wstrzymując oddech. Biorę Freda za rękę, a on mnie nie odtrąca. – Włoskie liry – szepcze ojciec. Boletta prychnie jeszcze głośniej: – One nie są warte więcej niż jedno øre za sztukę! Ojciec jej nie słucha. Patrzy raczej na matkę, która podnosi jeden cienki banknot i natychmiast go upuszcza, zatroskana, podejrzliwa i wkrótce taka sama jak zawsze. – Skąd się wzięły? – pyta. Ojciec pojmuje, że traci pole, musi posuwać się naprzód, musi natychmiast odparować to zatroskanie, te podejrzenia. Odpowiedź ma gotową. – To reszta z końcowego rozliczenia za buicka, moja kochana. Całuje matkę w policzek. Ona mu na to pozwala. Boletta prawie staje między nimi. – A jak według ciebie pojedziemy do tych Włoch? Może pójdziemy piechotą? Ojciec podnosi głowę i patrzy na nią, cała jego twarz wyraża cierpliwość. Bo teraz nastąpi ukoronowanie dzieła. Teraz przejdzie sam siebie.

Ma dzisiaj dobre układy z Bogiem. – Pomyślałem, że raczej pojedziemy samochodem – mówi. I wskazuje na okno. Podbiegamy tam i rozsuwamy zasłony. A w dole na rogu stoi jedyny na całej ulicy samochód. Nie jest to wprawdzie buick roadmaster cabriolet, tylko czarna skrzynia na kołach. Volvo duett. A dla siebie ojciec kupił nowe rękawiczki samochodowe, z czarnej skóry. Obejmuje matkę. – Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, moja kochana.

Tego samego dnia wieczorem matka pyta ściszym głosem: – Skąd wzięłeś ten samochód? Leżę w łóżku i wszystko słyszę. Słyszę, jak ojciec chrząka i robi rundę po pokoju. – Skrócę długą historię. – Dobrze! – to mówi głośno Boletta. – Pst – ucisza ją matka. – Pewien przyjaciel był mi winien przysługę – szepcze ojciec. – Jaki przyjaciel? – pyta matka. Teraz rozbrzmiewa śmiech ojca: – Mam wielu przyjaciół.

W nocy nie mogę zasnąć. Radość odebrała mi sen. Jedziemy na wakacje. Wyjeżdżamy za granicę. Dostałem od ojca włoską monetę, na której mam się wprawiać. Powtarzam w duchu: lir. Lir. Jest taka lekka i warta mniej niż jedno øre. Ta moneta, która nic nie waży, przypomina mi o mrocznym smutku matki tego ranka, jest pęknięciem w mojej nocnej radości. Co mogę kupić za taki pieniążek? I wobec tego na co mi on? Upuszczam monetę na podłogę i nie słyszę, jak upada. – Dlaczego mama była taka smutna? – pytam ostrożnie.

Ale Freda nie ma i nikt mi nie odpowiada.

Wyjechaliśmy dwa dni później. Ojciec był kierowcą, matka pilotem, a Fred i ja siedzieliśmy na tylnym siedzeniu rozdzieleni Boletta, która miała zły humor i żądała tyle miejsca, że musieliśmy wciskać policzki w szyby. Była zaledwie czwarta rano, gdy ruszyliśmy w dół Jacob Aalls gate i wyjechaliśmy z cichego opustoszałego miasta, w którym nawet gazeciarze jeszcze się nie obudzili, sunęliśmy czarnym pudłem pełnym walizek, toreb, termosów, kanistrów z benzyną, śpiworów i kremów do opalania, minęliśmy fiord przypominający wypastowane linoleum, bo matce udało się przynajmniej znaleźć drogę do Moss. Ale tuż przed Moss dostała choroby lokomocyjnej, ojciec musiał zaparkować przy drodze, a matka uklęknęła w rowie i długo wymiotowała. Może dlatego, że volvo duett miało gorsze amortyzatory niż sanki. Ojciec był jednak zdania, że w głowie jej się zakręciło od patrzenia na mapę przy prędkości sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. – Nic dobrego z tego nie przyjdzie! – oświadczyła Boletta, cały czas pełna niechęci. – Dobrego? – zdziwił się ojciec. Czekaliśmy przy samochodzie. To był piękny poranek, z wyjątkiem matki. Ona wciąż kuciała. Boletta wskazała na nią. – Może nie zauważyłeś, że od takiego podróżowania można się rozchorować! Ojciec zapalił papierosa. – Tak, człowiek, który żyje nieruchomo, nie przywykł do podróży – powiedział.

Boletta podeszła bliżej. – Zamknij się! – krzyknęła. Ojciec się tylko roześmiał. – Dobrze pamiętam, że chorowała też na chorobę morską, chociaż płynęliśmy wzdłuż lądu. Ale Boletta się nie poddawała. – To wielki grzech zakłócać spokój zmarłym – szepnęła. Ojciec zadrżał. – Zmarłym? Fleming Brant nie żyje? Boletta była wyjątkowo rozszalona. – Nic mi o tym nie wiadomo, Arnoldzie Nilsen. Ale Stara nie żyje i nie powinniśmy jej niepokoić! Matka podniosła się z rowu, oddychała głęboko. – Jedźmy dalej – powiedziała.

Ojciec klasnął w dłonie, przez moment się zawahał, a w końcu wskazał na mnie. – Od tej chwili ty jesteś moim pilotem, Barnum, i będziesz czytał mapę.

Zamieniłem się z matką na miejsca. Czytałem mapę. Siedziałem obok ojca. Musiał mieć trzy poduszki na siedzeniu, żeby unieść się ponad kierownicę. Ja pożyczyłem dla siebie śpiwór Freda. Miałem wspaniały widok. Mapę Europy położyłem na kolanach i wodziłem po czerwonych liniach palcem. Znów ruszyliśmy. Wcześniej przez jakiś czas sądziłem, że spokojnie dotoczymy się aż do samych Włoch, bo przecież nieustannie posuwaliśmy się w dół mapy, wystarczyło tylko przejechać Majorstuen na zielonym świetle i zrobione.

Teraz wiedziałem, że jest inaczej. Droga wiedzie i w dół, i w górę, inaczej się nie da.

Osoba czytająca mapę musi o tym wiedzieć. – Jak daleko do Helsingborg? – spytał ojciec. – Z Oslo do Helsingborg jest pięćset sześćdziesiąt pięć kilometrów – odpowiedziałem. Ale sześćdziesiąt już przejechaliśmy. – Wobec tego zdążymy na prom przed obiadem – stwierdził ojciec zadowolony. – A prom do Helsingør płynie dwadzieścia pięć minut – poinformowałem. – Świetnie, Barnum! Ojciec poklepał mnie po udzie. – A jak daleko jest na Księżyc, ty głupku? – spytał Fred. Nawet Boletta się roześmiała. Opuściliśmy okna i zjedliśmy czerstwe bułeczki. Byliśmy sami na drodze.

Środkiem jakiegoś pola przejechał pociąg. Jacyś ludzie machali do nas z ostatniego wagonu. My pomachaliśmy do nich. Słońce wznosiło się na obwisłym niebie i zalewało wszystko swoim światłem, powietrze było przejrzyste i łagodne. Gdyby Bóg nas teraz zobaczył, mógłby pomyśleć, że samochód, w którym siedzimy, jest tylko pudełkiem zapalek, mknącym po globie rozłożonym płasko we wszechświecie.

Zatankowaliśmy benzynę na granicy w Svinesund i kupiliśmy w kiosku wodę mineralną Villa Farris i batony Kvikklunsg. Matka i Boletta ustawiły się w kolejce do toalety, a ojciec musiał pokazać strażnikom plik papierów. Potem przepuszczono nas przez granicę. Byliśmy w obcym kraju. Nie poczułem żadnej różnicy oprócz tej, że musieliśmy jechać lewą stroną. W miejscu, w którym Norwegia stawiała się Szwecją, nie było nawet garbu na drodze i niebo też było takie samo. – Jaka jest odległość do Helsingborga, mój chłopcze? – spytał ojciec po szwedzku. Może właśnie na tym polegał wyjazd za granicę?

Może człowiek od razu zaczynał mówić po szwedzku? Ale czy po przejechaniu granicy z Włochami będziemy nagle mówić po włosku? Liczyłem na mapie ile sił. – Czterysta dwadzieścia pięć kilometrów, tato. O ile dobrze słyszałem, wciąż mówiłem po norwesku. – Ale ile jest do miasta Göteborg? – chciał teraz wiedzieć ojciec. Liczyłem i dodawałem, maleńkie liczby wypisane na mapie wzdłuż dróg. Wkrótce przestałem je widzieć. Moje oczy zapadły na chorobę lokomocyjną, nie powinienem był też jeść tyle czekolady. – Sto dziesięć kilometrów – szepnąłem. – Wobec tego możemy chyba coś przegryźć w Göteborgu, prawda? Mój żołądek zmienił się w wirówkę, cały czas przełykałem ślinę. Granice, drogi, miasta i jeziora zlewały się w jedną krainę, której nazwy nie znałem. Może nie tolerowałem ruchu lewostronnego. Ojciec zerknął na mnie. – Co się stało, Barnum? – spytał. – Przepraszam – powiedziałem. Teraz i ja mówiłem po szwedzku. A zaraz potem się zrzygałem. Na mapę, deskę rozdzielczą, kierownicę i przednią szybę. Zgięło mnie wpół. Ojciec gwałtownie zahamował, matka krzyczała, Fred się śmiał, Boletta dalej spała, a jakiś autobus minął nas, głośno trąbiąc. Zwaliłem się na pobocze i zwymiotowałem resztę. Ciekło mi z ust, nosa i z oczu. Wszystkie otwory były w użyciu. Od tej pory zapadam na chorobę lokomocyjną, gdy tylko pomyślę o jakiejś cyfrze albo spojrzę na mapę. Nie zdałem geografii i nigdy nie udało mi się zrobić prawa jazdy. Mój czas pilotowania i czytania mapy minął tam, w rowie, trzy kilometry za szwedzką granicą. Matka powiesiła mapę, żeby wyschła. Boletta znalazła dla mnie czyste ubranie. Ojciec umył samochód, a Fred wspiął się na drzewo i nie chciał z niego zejść.

Ale kiedy obudziłem się następnym razem, siedział z przodu koło ojca, a ja leżałem jak tłumoczek, wciśnięty między matkę a Bolettę. Pachniało morzem. Podniosłem się. Widać było Danię. Przez godzinę staliśmy w kolejce. Potem wjechaliśmy na prom. Wbiegliśmy na górny pokład, bo kiedy widzi się horyzont, nie można zapaść na chorobę morską. Na środku Øresund ojciec zaczął mówić po duńsku. – Stawiasz piwo, Boletto? – spytał. Ale Boletta nawet nie odpowiedziała. Odwróciła się plecami i weszła do salonu. Im dalej na południe zjeżdżaliśmy, tym bardziej robiła się zła. Nie chciała jechać do Køge, odwiedzić domu, w którym urodziła się Stara, nie chciała iść do ogrodu zoologicznego, żeby obejrzeć woły piźmowe, pochodzące w prostej linii od zwierzęcia, które w końcu przewieziono do królewskiego miasta na pokładzie „s/s Antarctic” w grudniu 1900 roku. – To wielki grzech zakłócać spokój zmarłym – powtarzała.

Był już późny wieczór, kiedy stoczyliśmy się na ląd w Helsingør. Nad Danią zapadła ciemność. Fred przy czytaniu mapy musiał się posługiwać latarką kieszonkową. Zjedliśmy smażoną flądę w jakiejś gospodzie przy drodze. Ojciec mógł nareszcie napić się piwa.

Matka spytała, czy mają tam wolny pokój, ale nie mieli. Powiedzieli za to, że jeśli mamy namiot, to możemy się rozbić w ogrodzie za domem. Nie mieliśmy namiotu i woleliśmy spać w samochodzie. Po przywiązaniu bagażu do bagażnika na dachu i rozłożeniu siedzeń starczyło miejsca prawie dla wszystkich. Fred wolał spać na zewnątrz. Boletta mówiła przez sen. Nie rozumiałem, co mówi. Może przemawiała swoim nocnym językiem, z rozumiałem tylko dla niej? Matka łagodnie ją uciszała. Ojciec ciężko oddychał przez nos, który był jak instrument dęty. Uchyliłem drzwi i wymknąłem się do Freda. On też nie spał.

Usiadłem obok niego. Niebo było tu większe niż w Norwegii, na pewno dlatego, że Dania jest taka płaska. Jakiś duński owad przeleciał z szumem, sprawiając, że cisza jeszcze się pogłębiła. – Dlaczego Boletta jest tak dziwna? – spytałem szeptem. – Boletta wcale nie jest dziwna – odparł Fred. – A jaka jest? – Jest stara, Barnum. Bardzo lubiłem, kiedy Fred tak mówił, do mnie. Oparłem mu głowę na ramieniu. – Cieszysz się? – spytałem. – Z czego? – No, z Włoch. Fred przez chwilę milczał. – Wolałbym pojechać na Grenlandię – powiedział. Nagle usłyszeliśmy jakiś dziwny dźwięk, szum w ciemności, jakąś fałę, która w nas uderzyła, nie mocząc nas przy tym. Fred wstał i zaczął się oddalać od samochodu.

Poszedłem za nim. Zbliżyliśmy się do fali. Weszliśmy w nią i stanęliśmy. Wśród nocy jakieś wielkie koło toczyło się, a mimo wszystko stało w miejscu, albo mógł to być ptak, który nie zdołał wzbić się w powietrze. To był wiatrak. I gdy tak czekaliśmy w głębi duńskiego cienia, obudziło się we mnie wspomnienie, ciężkie i niewidzialne, znajdujące się poza moją świadomością, nieogarnięte rozumem, dlatego nieprzyczepione do mojej krótkiej pamięci, będące bardziej jak blizna, jak odcisk zostawiony we śnie, które mogłem odczytać dopiero wówczas, gdy powróciłem do Røst, wiele lat później, jak uchodźca, i gdy na szczycie Veddøya odnalazłem żałosne szczątki wynalazku ojca.

Następnego dnia dojechalśmy do Flensburga, gdzie dwaj mężczyźni w opiętych mundurach ruchem ręki kazali nam przejechać granicę. Teraz to Boletta miała czytać mapę, a dawno już złożyła całą Europę i wsadziła ją do schowka na rękawiczki. Wydaje mi się, że chciała, aby ojciec zabłądził. Miałem nadzieję, że ojciec zaraz zacznie do nas mówić po niemiecku, ale był raczej małomówny i przygnębiony. Chciał jechać dalej i skręcił na autostradę. Prowadziła do Hamburga. Tam mieliśmy nocować. Nic nie widziałem, jedynie strzałkę prędkościomierza, która dochodziła do setki. Volvo duett się trzęsło. Musieliśmy się mocno trzymać. A mimo to cały czas nas mijano. Niskie sportowe samochody przemykały obok nas, a my jakbyśmy stali w miejscu. Byliśmy najwolniejsi. Ojciec przycisnął do stu dziesięciu. Nic nie pomogło. Nowe rękawiczki ślizgały się po kierownicy. On się pocił. Tamci jechali jeszcze szybciej. Poczujęm się nieszczęśliwy. Jak to możliwe, że byliśmy ostatni, skoro nigdy dotąd nie jechaliśmy tak szybko? Ojciec opowiadał o ludziach ślepych na prędkość, którym wydaje się, że stoją w miejscu i wysiadają z samochodu jadącego co najmniej sześćdziesiątką, i od tej pory zawsze myślałem, że Fred cierpi nie na ślepotę słowną, lecz na ślepotę prędkości, za wcześnie wysiadł z języka. Potem wszyscy jednak musieli przyhamować, bo kawałek dalej migotały niebieskie światełka. Coś się stało, jakiś wypadek, może to pewien cierpiący na ślepotę słowną kierowca źle odczytał znak. Zdążyłem zobaczyć wrak i jakieś kawałki ludzi, rękę, krew na asfalcie, ubrania, klęczącą panią, nosze, martwego psa i zmiądzony wózek dziecięcy, potem matka zakryła mi oczy i mocno mnie obejmowała, dopóki nie dojechalśmy do Hamburga i nie zabłądziliśmy na rondzie, dopiero tam ojciec się odezwał i mówił po norwesku. Nagle bowiem na ulicę tuż przed nami wybiegł jakiś człowiek i pokazywał coś, wymachując rękami, sądziliśmy, że złapaliśmy gumę i że właśnie o tym mężczyzna próbuje nam powiedzieć. Ojciec skręcił na chodnik i opuścił okno. Nieznajomy pochylił się i uśmiechnięty popatrzył na nas. Miał

w kąciku ust bliznę, która wyglądała jak przedłużenie uśmiechu. – Norwegia? – spytał łamiącym się głosem i łamanym językiem.

Ojciec kiwnął głową. – Norwegia? – powtórzył nieznajomy. – Tak – odparł ojciec.

Jesteśmy z Norwegii. Czego pan chce? Teraz Niemiec wsunął do samochodu całą rękę i chciał się witać ze wszystkimi po kolei. – Byłem w Norwegii podczas wojny – powiedział. Piękna ojczyzna! Ojciec patrzył na niego z niedowierzaniem. Boletta odepchnęła rękę, jakby była nieczysta i mogła nas czymś zarazić. Matka obejmowała Freda i mnie. Uśmiechnięty Niemiec z blizną na twarzy był wzruszony. Otarł łzę. – Mam nadzieję, że kiedyś jeszcze wrócę do Norwegii – szepnął. Wtedy ojciec nie wytrzymał.

Ściągnął rękawiczkę i pokazał mu swoją okaleczoną pięść, tak, bo zrobił to tak, jakby zaciskał w pięść wszystkie swoje brakujące palce i ta pięść zadrzęła tuż pod nosem Niemca. Nagle jednak ojciec zmienił decyzję. Może przypomniał sobie, że zabłądziliśmy na rondzie w Hamburgu, że jest późny wieczór, a my jeszcze nie znaleźliśmy noclegu i żadne z nas nie chciało spędzić kolejnej nocy w bagażniku volva duett. Okaleczona pięść nabrała życzliwości i nieznajomy mężczyzna z płaczem ujął kikut w obie ręce. – Obaj jesteśmy okaleczonymi żołnierzami – szepnął. Ojciec poczuł się nieswojo. – Czy może nam pan polecić jakiś hotel w pobliżu? – spytał, prędko cofając rękę. – Dla was dobre jest tylko to, co najlepsze – stwierdził Niemiec i wskazał kierunek inny niż ten, w którym jechaliśmy. – Na prawym brzegu dolnego jeziora leży Vier Jahreszeiten. Ojciec z hałasem zamknął okno i stoczył się z krawężnika, odwróciłem się i zobaczyłem, że niemiecki żołnierz, uprzejmy przegrany, stoi na rondzie i unosi kapelusz na pożegnanie. – Tak, pięknie wygrałeś tę wojnę, Arnoldzie Nilsen – powiedziała Boletta. Nie mogłeś raczej go przejechać? Ojciec nie odpowiedział. Błady i ponury, pochylił się nad kierownicą i naciągnął rękawiczkę z wypchanymi palcami. Ktoś za nami zatrąbił. Samochody były ze wszystkich stron. Płynęliśmy wraz z ruchem ulicznym Hamburga niczym rzeka na kołach i w końcu nad niewielkim jeziorem otoczonym pasem rzadkich drzew zobaczyliśmy hotel, Vier Jahreszeiten. Ojciec zatrzymał się przed szerokimi schodami. Na czerwonym dywanie stał w gotowości piccolo. – Wygląda na to, że tu jest drogo – szepnęła matka. Ojciec tylko się uśmiechnął, przygładził włosy, wyczyścił buty chusteczką, zapalił papierosa i wszedł na górę po schodach, podając pieniądze niewyrośniętemu piccolo, a na samej górze inny służący otworzył przed nim złote drzwi. Czekaliśmy. To trwało. – Czy nie możemy po prostu zawrócić i pojechać do domu? – szepnęła Boletta. Matka rozzłościła się i wychyliła się w przód między siedzeniami. – Nie psuj mi wakacji! Boletta odwróciła się i po raz ostatni

powiedziała: – Nie należy zakłócać spokoju zmarłym. W tej samej chwili piccolo przycisnęła twarz do przedniej szyby, żeby nas obejrzeć. Ze swoimi błyszczącymi wargami i białymi policzkami przypominała klauna. Boletta uniosła pięść i piccolo, ukłoniwszy się, wycofał się z powrotem na czerwony dywan. – Może w pokoju jest prysznic? – westchnęła matka. Siedzieliśmy w milczeniu i czekaliśmy. W foyer widzieliśmy gości, przechadzających się wolno z kieliszkami i papierosami w rękach, obwieszonych błyszczącą biżuterią. Wreszcie ojciec wrócił. Odepchnął piccola na bok, wpadł za kierownicę i ruszył z kopyta. Był na coś wściekły. Ręce trzęsły mu się tak, że ledwie mógł prowadzić. – Nie było wolnych pokoiów – mruknął. Matka próbowała się uśmiechnąć. – Nie mieli nic wolnego? Ojciec odetchnął. – I powinnaś się z tego cieszyć! – zawołał. To nędzne schronisko miało tylko pięć gwiazdek! Boletta popatrzyła na niego. – Pięć gwiazdek? Czy to nie dużo? Teraz ojciec się śmiał. Mieszkałem w hotelach, które miały dziesięć gwiazdek, a to dwa razy tyle co pięć! Boletta śmiała się pod nosem. – Może nie byliśmy dostatecznie eleganccy jak na Vier Jahreszeiten – powiedziała. Ojciec milczał i musiał zatrzymać się na jakimś rogu. Znow był w podłym nastroju. Matka otarła mu pot z czoła i mogła potem wykręcić chusteczkę. – Co teraz zrobimy? – spytała delikatnie.

Ojciec wyciągnął z kieszeni plan Hamburga. Na samym środku wymiętoszonej kartki był narysowany krzyżyk. – Łaskawie polecieli hotel na Grosse Freiheit – powiedział. – Grosse Freiheit? – powtórzyła matka. – To znana ulica, moja droga. Mamy szukać słonia.

I pojechaliśmy dalej, nie na południe, tylko w głąb Hamburga. W głąb dźwięków i światła, które wkrótce nas otoczyły, aż dotarliśmy do najbardziej wewnętrznych komór nieszczęsnego serca miasta. Serca, które waliło jak oszalałe, nierównym rytmem, w potężnych skurczach, od których trząsał się samochód, aż wreszcie utknęliśmy w skrzepie w ciasnej uliczce, na której okna były czerwone. Wyjrzałem na zewnątrz. Zobaczyłem kobiety z nagimi udami, marynarzy popijających piwo, cienie przypominające psy w ciemnych bramach, mężczyzn w butach na wysokich obcasach i portierów zapraszających do środka. Matka znów zasłoniła mi oczy dłońmi, mocno, ledwie mogłem oddychać. – Słoi? – szepnęła. Ojciec pokazał palcem. – Tam! – zawołał. Matka mnie puściła i w jakimś zaułku zobaczyliśmy tablicę ze słoniem. Trąba wisiała w okręgu świecącym różnymi kolorami. Ojciec przejechał ostatni odcinek i zaparkował przed wejściem. Miejsce to nazywało się Indra Club. Nie było tu czerwonego dywanu ani żadnych piccoli, ani gwiazdek. – Przywiozłeś nas do cyrku? – spytała Boletta. Ojciec nie odpowiedział. Siedział przez chwilę i myślał. W końcu podjął decyzję. Chciał, żebyśmy wszyscy poszli z nim i żebyśmy od razu zabrali bagaże. Fred i ja obaj przeciągnęliśmy każdy po walizce do drzwi Indra Club. Znaleźliśmy się w szatni. Łysy mężczyzna za kontuarem patrzył na nas zdumiony, wreszcie ojciec odezwał się po niemiecku. Mówił długo i płynnie, nie wiem co, ale łysy uważnie mu się przysłuchiwał, pokazywał na sufit i wreszcie wymienił chyba jakieś liczby. Ojciec odwrócił się do nas zadowolony. – Właśnie wynegocjowałem pokój na piętrze – oznajmił. Przeprowadzono nas przez zamglony lokal, w którym kilku gości siedziało przy okrągłych stolikach i popijało piwo z szerokich szklanek z uszkiem. Oglądali się za nami i z uśmiechem kręcili głowami, a piana spływała im z ust. Na scenie pod samą ścianą stała perkusja i trzy wzmacniacze, na podłodze leżała czarna elektryczna gitara. Weszliśmy po stromych krzywych schodach i dotarliśmy wreszcie do miejsca, które tej nocy

miało być naszą sypialnią. Matka rozejrzała się po pokoju, nie było tu nawet umywalki, podwójne łóżko zapadło się pośrodku, a pościeli z pewnością nie zmieniano od dłuższego czasu. Na parapecie świeciła lampa z czerwonym abażurem pełnym much. Na poduszce leżało pół rolki papieru toaletowego. Nawet ojcu dech zaparło w piersiach. – Musimy brać, co dają – powiedział. Boletta usiadła na jedynym krześle. – Ale już nie to, co najlepsze – szepnęła.

Fred rozwijał śpiwory. Matka wymknęła się na korytarz w poszukiwaniu prysznic, wróciła prędko jeszcze bledsza. – Co się stało? – spytał ojciec. Matka już zaczęła pakować nasze rzeczy. – Czy naprawdę mamy nocować w burdelu? – zawołała. – W burdelu? Matka wpadła we wściekłość. – Tak! W burdelu! W tych pokojach są kobiety!

Ojciec próbował ją objąć, ale się nie dało. Teraz nawet im nie pomaga. Nie zostaną tu ani sekundy dłużej! I tak w pośpiechu i cichaczem opuściliśmy pokój i cały Indra Club, nie płacąc rachunku. Matka trzymała mnie za kark, bezustannie powtarzając szeptem: Patrz przed siebie, Barnum, patrz przed siebie! Zeszliśmy po schodach i znaleźliśmy tylne drzwi na parterze. I w chwili, gdy się przez nie wmykaliśmy, zobaczyłem pięciu chłopców w obcisłych spodniach i fioletowych marynarkach, którzy wskoczyli na scenę, założyli gitary i podnieśli pałeczki. Na moment się zatrzymałem, ale się nie dało. Teraz nawet śmiech nie pomagał. – Nie zostaną tu ani sekundy dłużej! – syknęła. I tak w pośpiechu i cichaczem opuściliśmy pokój i cały Indra Club, nie płacąc rachunku. Matka trzymała mnie za kark, bezustannie powtarzając szeptem: – Patrz przed siebie, Barnum, patrz przed siebie! Zeszliśmy po schodach i znaleźliśmy tylne drzwi na parterze. I w chwili, gdy się przez nie wmykaliśmy, zobaczyłem pięciu chłopców w obcisłych spodniach i fioletowych marynarkach, którzy wskoczyli na scenę, założyli gitary i podnieśli pałeczki. Na moment się zatrzymałem.

Chciałem usłyszeć ten dźwięk. Najwyższy z chłopców pochylił się nad mikrofonem, policzył po angielsku *One, two, one two three four* i miał zacząć śpiewać. Zobaczyłem, że jego usta układają się do krzyku. Widziałem chwytę na gitarach, pałeczki ciężko opadające na bębny, czarne buty w szpic, które zaraz miały zacząć wybijać rytm. I właśnie w tej chwili, zanim się zaczęło, zanim tych pięciu chłopców ruszyło, w chwili dziwnej ciężkiej ciszy, jaka zapada na sekundy pomiędzy błyskawicą a grzmotem, matka pociągnęła mnie dalej i drzwi za nami się zatrzasnęły. Pobiegliśmy od frontu, wrzuciliśmy walizki i spiwory do bagażnika, wsiedliśmy do samochodu i ojciec ruszył pełnym gazem między neonowymi światłami i gwiazdami. Ostatnią rzeczą, jaką zdążyłem zobaczyć w Hamburgu, był bijący w oczy plakat na murze: *The Beatles. England. Liverpool.*

Do Bellagio dotarliśmy następnego wieczoru i zatrzymaliśmy się na ostrym zakręcie tuż przed miastem. Tam wysiedliśmy z samochodu. Tylko Boletta została, siedziała ze skrzyżowanymi ramionami. Słońce zapadało za zielone góry i wszystkie skośne dachy lśniły jak ciemne krzywe lustra. Jezioro również zdawało się zapadać, z błękitu w czerń.

Powietrze wypełniał spokojny gorący wiatr. Na wzgórzu ponad cmentarzem rząd ostrych wąskich drzew, przypominających ciemne noże, wbijał się w niebo. Ojciec, który od Austrii śpiewał arie operowe, żeby nie zasnąć za kierownicą, i ledwie trzymał się na nogach, przygarnął nas do siebie. Tak staliśmy, w wypełnionej szumem lombardzkiej ciemności. Byliśmy na miejscu. – Co teraz? – spytała matka.

Najpierw odszukaliśmy posterunek policji. Mieścił się w domu przy rynku. Tam zaparkowaliśmy. Natychmiast pojawili się trzej funkcjonariusze, z ciekawością zerkając na numery rejestracyjne. Ojciec opuścił okno i pozdrowił ich. Mówił po włosku. Nie do pojęcia było, że tyle języków mieści się w jednych ustach. Długo rozmawiali. Matka obserwowała ich z dumą i stale przykładła palec do ust, jakby się bała, że przeszkodzimy ojcu. Ale my oniemieliśmy z podziwu. Nawet Boletta musiała unieść powieki.

Przypuszczam, że ta chwila, kiedy ojciec mógł rozmawiać z policjantami na rynku w Bellagio, była najwspanialszą chwilą w jego życiu, szczytem jego tajemniczej kariery.

Wokół samochodu zgromadził się już spory tłum. Może we Włoszech nigdy wcześniej nie widzieli volva duett. Ojciec podniósł szybę z powrotem, zakończył rozmowę. – Oni dobrze wiedzieli, kim jest Fleming Brant – powiedział i przez chwilę się drożył. Boletta zamknęła oczy, ale matka musiała zrobić mu przyjemność. – No, powiedz wreszcie – rzekła błagalnie. – Nazywają go Czerwonoskórym. – Czerwonoskórym? Dlaczego? – Mnie o to nie pytaj – odparł ojciec. Ale jest zatrudniony w Villa Serbelloni.

Gromadka chudych złotokórych chłopców pobiegła przed nami, wskazując nam drogę.

Villa Serbelloni okazała się hotelem. Położona była na cyplu, wcinającym się w głębokie jezioro Como, i swoimi łukami, kolumnami i tarasami przypominała pałac. Z całą pewnością wstęp tu mieli wyłącznie goście błękitnej krwi. Chłopcy nie odważyli się odprowadzać nas dalej i zniknęli w cieniach wśród palm. Ojciec lekko przyhamował i w końcu zatrzymał się przy korcie tenisowym, opustoszałym, zalanym światłem reflektorów, w którym czerwona nawierzchnia zdawała się żarzyć. Wysiedliśmy z samochodu. Oczy mieliśmy okrągłe ze zdumienia. Nigdy czegoś podobnego nie widzieliśmy. Na spotkanie pospieszył nam mężczyzna we fraku. Ojciec spytał o Fleminga Branta. W chwili gdy wymówił to nazwisko, Fleming Brant, zajęto się nami, jakbyśmy byli królami i królowymi, księżętami i księżniczkami. Cała armia piccoli zabrała nasz bagaż.

Szofer w szarym uniformie wstawił volvo do garażu po drugiej stronie hotelu, a nas prawie zaniesiono na rękach po szerokich schodach na górę. – Powiedziałem, że jesteśmy z nim spokrewnieni – szepnęła ojciec. W recepcji sufit był tak wysoko, że zakręciło mi się w głowie i musiałem oprzeć się o Freda. Boletta miała ochotę wyjść, ale matka ją przytrzymała. Ojciec położył na ladzie plik banknotów. Recepcjonista uśmiechnął się i zdjął wielki klucz z tablicy. Pojawił się też szef restauracji. Ukłonił się i wprowadził nas do jadalni. Goście podnosili głowy znad talerzy. Kelnerzy pchali wózki pełne ciast i dziwnych owoców. W samym kącie siedział samotny mężczyzna. Wiodła do niego daleka droga. Boletta chciała zawrócić, ale matka jej nie puszczała. Ten człowiek był bardzo stary. Nosił białe rękawiczki i ciemne okulary. Czytał jakąś książkę, popijając kawę z maleńkiej zielonej filiżanki. Skórę na twarzy miał gruzłowatą i zaognioną, jakby za długo siedział na słońcu, a włosy siwe i rzadkie. To był Fleming Brant. Nie zwrócił na nas uwagi, dopóki nie stanęliśmy przy jego stoliku. Odłożył książkę na obrus, *Divina Commedia* Dantego, i wstał, zdumiony, wytrącony w tej chwili z równowagi, ponieważ nas rozpoznał, albo raczej rozpoznał w nas Starą. Nie potrafiłem ogarnąć wszystkiego, co zawierało to spotkanie, wiedziałem jedynie, że ta chwila jest większa od siebie samej, tu skupił się czas. Ale zauważyłem tyle: smutny spokój Fleminga Branta, jego mroczną radość, kiedy wolnym ruchem zdjął okulary i opuścił bolące oczy. Matka wyciągnęła do niego rękę. – Przyjechaliśmy, żeby panu podziękować – powiedziała. – Podziękować? Ale Fleming Brant nie patrzył na matkę. Patrzył na Bolettę. – Za te piękne słowa, które pan napisał o mojej babce, Ellen Jebsen. Fleming Brant stał w milczeniu przed Bolettą, a jej także odebrało mowę. W końcu powoli zwrócił się do matki. – Siadajcie – szepnęła.

Mówił wolno. Kelnerzy natychmiast dostawili więcej krzeseł. Przyprowadzono wózek z owocami i ciastami, przyniesiono na stół butelki wina i kieliszki. Usiedliśmy.

Pomyślałem, że Fleming Brant z pewnością jest właścicielem hotelu, a może również jeziora i całego miasta. Podniósł książkę, którą wcześniej czytał. – Moim marzeniem było, aby Ellen Jebsen zagrała kiedyś Beatrycze w *Boskiej komedii* Dantego – powiedział. – Czy to zabawna historia? – spytałem. Fleming Brant zastanowił się przez chwilę. – Tak, owszem. Jak masz na imię? – Barnum – odpowiedziałem. Fleming Brant z powrotem włożył okulary słoneczne. – Jestem bardzo wzruszony – powiedział cicho. Ojciec wyciągnął rękę. – A ja jestem Arnold Nilsen! Przywitani się, czarna rękawiczka z białą.

Fleming Brant pierwszy opuścił rękę. – Mam wysypkę – powiedział. – Egzemę.

Nabawiłem się jej od filmów. – No tak, mówili o panu Czerwonoskóry. – Ojciec się roześmiał. Na kilka sekund zapadła cisza. Fleming Brant spuścił wzrok. – Nie tolerowałem światła i chemikaliów. Powoli rozpadałem się w pył. Matka popatrzyła na niego. Pan również był aktorem? – spytała. Fleming Brant pokręcił głową i uśmiechnął się, ale to był smutny uśmiech. – Byłem montażystą.

Później poszliśmy na górę do pokoju. Był większy niż mieszkanie na Kirkeveien.

Znajdowały się w nim małżeńskie łóżce z baldachimem, wanna, prysznic i balkon. Matka zabawiła w łazience tak długo, że w końcu musieliśmy do niej zajrzeć. Leżała w chmurze piany i się śmiała. Ojciec przysiadł na brzegu. Matka objęła go mokrym nagim ramieniem.

Dotarliśmy na miejsce. Znaleźliśmy Fleminga Branta. Wkrótce mieliśmy zawrócić. Nagle Fred, który nie odzywał się przez cały wieczór, spytał: – Gdzie Boletta? Matka umilkła.

Ojciec zawiązał rękawy koszuli, zdjął rękawiczkę ze zdrowej ręki i wsadził ją w pianę. – Tu jej nie ma. Ale matka się nie śmiała. Podniosła się gwałtownie, odwróciłem głowę.

Fred stanął przy oknie. Podeszedłem do niego. I tam w dole, na tarasie, siedziała Boletta, razem z Flemingiem Brantem, sami, pozostałe stoliki były puste, a latarnie wzdłuż balustrady rzucały obok nich niebieskie cienie. Jeden z kelnerów przyniósł pled i Fleming Brant otulił nimi ramiona Boletty. Pomyślałem mimochodem, że Boletta jednak mimo wszystko zakłóciła spokój zmarłym. – On musi być bardzo bogatym człowiekiem, nie wyobrażam sobie, żeby było inaczej – stwierdził ojciec.

Widzę Fleminga Branta następnego dnia rano. Wyszedłem na balkon, zanim wszyscy się obudzili. Fleming Brant stoi na plaży. Twarz mu wędnie. Skóra schodzi płatami. Fleming Brant opiera się o grabie. Tak, stoi oparty o grabie. Pojawiają się pierwsi goście, kobiety i mężczyźni, trzymający się za ręce. Wolno wchodzi do wody i zaczynają płynąć.

A Fleming Brant zagrabia ich ślady na piasku, z mozołem, od schodów aż do linii, do której sięgają niewielkie fale. Kiedy zaś goście wychodzą z wody i spiesznie idą na taras, na śniadanie, Fleming Brant musi zagrabić ich ślady jeszcze raz, tak by piasek był ładnie wyrównany dla następnych gości, którzy tu przyjdą.

Tak wygląda moje wspomnienie, wiatraki nocą, zespół, którego nie usłyszałem, i montażysta grabiący ślady na piasku tak starannie i uważnie, że nic nie widać, a gdy niedługo i ja zejdem na tę plażę, na chłodny lekki piasek, który osypuje mi się pod stopami, montażysta wygładzi również moje ślady.

(linijka barnuma)

Nie powiem, ile mam wzrostu. Zapisano to w raportach lekarza szkolnego.

Odmierzono wzdłuż futryny w naszym pokoju. Wpisano do mojego paszportu. Ale oczy mam niebieskie, nie piwne. Odziedziczyłem po ojcu tylko rozmiary. Nie urosłem wyższy. Aż do dnia, gdy policjant w małym miasteczku rzucił na mnie przekleństwo, nie wyróżniałem się niczym szczególnym, z wyjątkiem tych kędziorów, których starsze panie w kioskach i w tramwaju miały taką ochotę dotknąć, lecz od tej chwili jakby zwolniłem, stanąłem w miejscu, a inni wokół mnie wznosili się, rośli i rośli jak zaklęty las, podczas gdy ja zostałem w dole wśród mchu i świerkowych szpilek, uwięziony na dobre w swoich nędznych centymetrach. A wzięwszy pod uwagę, że wzrost następuje najsilniej w pierwszych latach życia i w miarę upływu czasu słabnie, bo człowiek, dobiegając trzydziestki, rośnie mniej niż ułamek centymetra, później zaś zaczyna się kurczyć, moje widoki na przyszłość były marne. Świadomość, że serce rośnie aż do ostatniej chwili, stanowi niewielką pociechę. Nie pocieszało mnie również, że przekroczyłem dolną granicę wzrostu wymaganego przy zaciąganiu się do rzymskiej armii około 200 roku przed naszą erą. Granica ta wynosiła metr i pięćdziesiąt jeden centymetrów. Nawet dziewczęta mnie przegoniły, przy ich długich łydkach i prostych szyjach nie wart byłbym bodaj jednego spojrzenia. Kiedy od wielkiego dzwonu na mnie spoglądały, musiały patrzeć w dół, po prostu w dół, wydaje mi się, że podobało im się patrzeć na mnie z góry, ponieważ zadzierałem wtedy głowę, żeby na nie spojrzeć, jakby z podziwem. Bo do czego innego mogły wykorzystać swoją nagłą wysokość, jeśli nie do patrzenia z góry? Nazywano mnie maluchem, liliputem, karłem, pigmejem, kurduplem, Tomciem Paluchem, półgłówkiem, pedziem i matolem, jak gdyby moje imię samo nie było dostatecznym ciężarem. Nie istniały granice. Przypominam sobie pewne wydarzenie.

Wracałem ze szkoły do domu. Był październik. Padał deszcz, oczywiście, że padał. Na szczęście nie musiałem nosić kaloszy, bo kończyły mi się mniej więcej w kroku.

Zdecydowanie odmawiałem chodzenia pod parasolem i w zydwestce. Miałem tylko krótki żółty płaszcz przeciwdeszczowy, czyli krótko mówiąc, zmokłem. Wcale mi to nie przeszkadzało. Czułem, że moje kędziory, te kędziory, których tak nienawidziłem, lecz których mimo wszystko nie potrafiłem się pozbyć, prostują się i układają płasko na głowie, tak jak zawsze powinny leżeć. Lubiłem deszcz. Zawsze lubiłem deszcz. Słońce to męka.

Słońce cię pogania. W deszczu można odpocząć między kroplami. Szedłem przez park Uranienborg. Zwykle zatrzymywałem się koło kościoła i wychylałem się przez balustradę, żeby spojrzeć na przejeżdżający dołem tramwaj. Czasami zamachał do mnie ktoś stojący na zewnątrz, z samego tyłu. Wtedy i ja machałem. Patrzenie w dół było bardzo przyjemne, takie patrzenie na kogoś z góry i jednocześnie machanie do niego. Tego dnia na zewnątrz nie było ani jednego pasażera. I tak pomachałem, myśląc o tym wszystkim, co się robi, a czego nikt nie widzi. A skąd właściwie można mieć pewność, że gdy się zamknie oczy, to wszystko natychmiast nie znika i nie pojawia się znów dopiero wtedy, gdy się je otworzy? Czy właśnie w taki sposób Bóg stworzył świat, dwukrotnie mrugając? A gdyby Bóg się zmęczył i zamknął oczy raz na zawsze albo gdyby zaczął się nudzić i zasnął? Tak stałem, wychylony nad balustradą, w deszczu, zatopiony w myślach. Skoro Bóg już i tak wszystko postanowił, to jaki jest w ogóle sens? Przecież bez względu na to, co się robi, i tak to w niczym nie pomoże, wszystko pójdzie tak, jak pójść musi. Fred zresztą zaczął chodzić do jakiejś szkoły aż w centrum. Może Bóg i w tym maczał palce. Nauczyciele stwierdzili, że Fred jest głupi i dlatego musi przejść do specjalnej klasy w męskiej szkole na Stenersgata, do klasy F, tak, do klasy F, odpowiedniej dla chłopców, którzy w podstawówce z takiego czy innego powodu odstawali od innych, a niektórzy twierdzili, że chłopaki z tamtej szkoły mają tak zakute łby, że nie umieją trafić do szkoły dla dziewcząt na Osterhausgata, nawet jeśli da im się kompas, mapę i odprowadzi do połowy drogi. O Fredzie dało się powiedzieć wiele, ale głupi nie był, i przynajmniej to Bóg powinien wiedzieć. Ale coś mu nie wychodziło z literami. Rzecz jasna, potrafił wyraźnie mówić, ale na papierze robił się tylko bałagan. Potrafił na przykład podpisać się „Fer” i na początku wszystkich to ogromnie bawiło. Raz na prezencie dla mnie napisał „Branum”. Bardzo mi się to spodobało. „Dla Branuma”. Nie miałem nic przeciwko temu, żeby się

tak nazywać. Fred mógł mnie nazywać Branum, kiedy tylko mu się podobało.

W dodatku był to najwspanialszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałem, prawdziwa maszyna do pisania. Wkrótce jednak śmiech ucichł i nikt więcej już się nie śmiał, oprócz mnie, a kiedy Fred dalej podpisywał się „Ferd” i czytał „Peera Gnyta” Ibsena, dostał od wychowawcy taki policzek, że słycać go było aż w wiacie po drugiej stronie, a wszyscy, którzy tam stali, przyłożyli ręce do policzków, jakby chcieli stłumić ból, wcale ich nie dotyczący. Szkoła zdecydowała, że Fred jest dostatecznie głupi, więc teraz tkwił w bagnie na Stenersgata wraz z największymi debilami w mieście, noszącymi piętno opóźnionych w rozwoju, beznadziejnych i nieznośnych. Splunąłem na bruk, ale na długo zanim ślina spadła na dół, usłyszałem, że między kroplami ktoś nadchodzi. To była banda spod okna, z siódmej, Aslak, Preben i Chomik. Uśmiechali się złowrogo, mieli uśmiechy pełne zębów, a ja nie mogłem powstrzymać się od myślenia, że gdybym nie zamknął oczu, to nic by się nie stało.

Włączył się dźwięk: wizg tramwaju na ostrym zakręcie za szkołą, drzewa szeleszczące na deszczu, opony na mokrym asfalcie jak przeciągłe westchnienia w całym mieście i odgłos śliny lądującej na Holtegata. – Dokąd idziesz, co? – Do domu – odszepnąłem. – Do domu? Pewien jesteś? Skinąłem głową. – Całkiem pewien? Skinąłem jeszcze raz. – Może cię odprowadzimy, co?

Dzwony kościelne zaczęły nagle dzwonić, z jakiegoś powodu rozdzwoniły się kościelne dzwony. Może ktoś w deszczu zapomniał o własnym pogrzebie. Z dachów domów poderwały się ptaki. Marzłem jak tulipan. Aslak, Preben i Chomik podeszli bliżej i pochyłili się nade mną, zaczęli obwąchiwać mi twarz jak wściekłe psy, musiałem zamknąć oczy i czekałem tylko, aż zaczną gryźć, gryźć jak psy, albo że świat natychmiast się rozpadnie i zniknie. Tak byłoby najlepiej. – A nie mówiłem? Gęba cuchnie mu cipą.

Powoli otwierałem oczy. Już nic nie dzwoniło. Oni cofali się, zatykając nosy. – Starą cipą.

Ale śmierdzi. Cholera. Aslak znów pospiesznie się nade mną nachylił, mało nie zderzyliśmy się głowami, i odskoczył. – Pewni jesteście, że nie śmierdzi fiutem? Ja uważam, że cuchnie męską cipą i fiutem. – Pewnie jednym i drugim. Gęba mu śmierdzi fiutem i cipą.

Stali i patrzyli na mnie. Balustrada boleśnie wbijała mi się w plecy. Po chwili popatrzyli na siebie i coś między sobą poszeptali. To było gorsze. Oznaczało, że nie ustąpią tak od razu. Aslak się zaśmiał. – Co masz dzisiaj w tornistrze, cipo? Dwa wyciory i gacie na gębę? Odpowiadanie nie bardzo miało sens. Ściągnęli mi z pleców tornister i wysypali wszystko za balustradę, piórnik, ćwiczenia do geografii, gumkę, połowę drugiego śniadania z kiełbasą, podręcznik do higieny i linijkę, wszystko poszybowało w deszczu i wylądowało na bruku Holtegata między błyszczącymi szynami tramwajowymi.

Później z powrotem założyli mi tornister na plecy i po kolei pokleпали mnie po głowie. – Miałeś chyba iść do domu, karyplu! Zacząłem iść. Karypla dotychczas nie słyszałem. Oni szli za mną. Nic nie mówili. To było prawie najgorsze. Po prostu za mną szli, a ja nie mogłem zrobić nic innego, jak tylko dalej iść, przez Bogstadveien, obok kina Rosenborg, gdzie akurat zdejmowano z afisza stary film, *Dni wina i róż*, a nowy jeszcze się nie pojawił, to była chwila pomiędzy dwoma pokazami, właśnie tak, bileter niósł do swego okienka plik zniszczonych zdjęć Jacka Lemmona i Lee Remick, to był międzyczas, szedłem w ciemność, Aslak, Preben i Chomik deptali mi po piętach, kropla deszczu spłynęła mi za koszulę i przykleiła się w dole pleców jak znaczek pocztowy. Może tego nie pamiętam?

Może nie pamiętam, ile jest kroków z kościoła Uranienborg do Stensparken w październikowe popołudnie, kiedy pada deszcz, ktoś za tobą idzie, a twój brat zaczął chodzić do innej szkoły nie po tej stronie miasta? To sześćset trzydzieści cztery kroki.

Zatęskniłem za Fredem. To by się nie zdarzyło, gdyby on się tak nie plątał w literach i nie pisał własnego imienia z błędem. A on mimo wszystko się pojawił. Fred wyszedł z szaletu u stóp wzgórza. W jednej ręce trzymał papierosa, drugą podciągał suwak rozporka, stał tam mokry i chudy, w modnej welwetowej kurtce, pociemniałej od deszczu. Usłyszałem, że kroki za mną się zatrzymują. Fred wsunął papierosa do ust i długo go ssał, żar zbliżył mu się do warg, wtedy wypluł niedopałek, który dalej żarzył się w deszczu. Fred nie powiedział ani słowa. Tylko na mnie patrzył. Nikt nic nie mówił. Stałem pośrodku. Potem Fred uniósł wzrok, ledwo, ledwo, i spojrzał ponad moim ramieniem, poza mną, trwało to może sekundę, nie więcej, ale czas w ciągu tej sekundy jakby nabrzmał, niczym wytrwała kropla na zardzewiałym kranie, wszystko się teraz mogło zdarzyć, stałem między Fredem a bandą spod okna z siódmej, aż w końcu usłyszałem, że odwrócili się i odeszli, bo nikt nie mógł długo wytrzymać spojrzenia Freda, w jego oczach był jakiś czarny spokój, którego nikt tak naprawdę nie mógł znieść, Aslak, Preben i Chomik przemknęli pod ścianą domu po przeciwnej stronie ulicy jak prawdziwe psy, Aslak odwrócił się, kiedy odeszli kawalek, zacisnął pięść i coś powiedział, ale na tym się skończyło. – Psy! – krzyknąłem za nimi. Dziwne, że kiedy nadszedł czas, gdy zacząłem czytać nekrologi, bo właśnie z nich mogłem się dowiedzieć, co się stało ze starymi znajomymi, i pewnego ranka ujrzałem wśród nich pełne nazwisko Prebena, ogarnął mnie wielki smutek. Miał zaledwie czterdzieści jeden lat, a ja poczułem to ssanie, ciężki żal, chociaż wcześniej Preben oznaczał dla mnie tylko udrękę. Nekrolog napisał Aslak. Wychwalał poczucie sprawiedliwości Prebena, jego lojalność, a przede wszystkim rozbrajające poczucie humoru. Preben odniósł sukces w branży turystycznej, organizował tak zwane wyjazdy ekstremalne, a umarł bez sensu, skacząc do wody ze skalistej wysepki przy brzegu Oslofjorden. Wyrazy współczucia dla jego żony Pernilli i córki. Aslak pracował jako radca prawny w tej samej firmie,

która zresztą zbankrutowała po śmierci Prebena, natomiast Chomik wybrał się na ekstremalną wyprawę w głąb własnej głowy i tam zablądził. Po ostatniej działce nigdy nie wrócił. Czasami widywałem go w mieście.

Wyłudzał pieniądze na jedzenie. Na ogół przechodziłem wtedy na drugą stronę. – Psy! – zawołałem jeszcze raz. Zapamiętajcie sobie!

Fred przydeptał żar w mokrej trawie i podszedł bliżej. – Wszystko w porządku, Barnum? – Taa. Wiedziałeś, że za mną idą, Fred? – Chciałem się tylko wysikać. Miałeś szczęście, mały. Przełknąłem ślinę. Gardło mi się zasznurowało. – Wysypali mi wszystko z tornistra – szepnąłem. – Mogło być gorzej – stwierdził Fred; najwyraźniej zaczynał się nudzić. Złapałem go za rękę. – Powiedzieli, że gęba mi cuchnie cipą. – Cipą? Też nie ma o co ryczeć. Jasne? Kiwnąłem głową. – Chyba nie ryczysz, Barnum? Pokręciłem głową. – Bo jeśli tak, to nie chce mi się z tobą stać. – Nie ryczę, Fred. – To dobrze, Barnum.

Przyciągnął rękę do siebie. – Co byś zrobił, jakby mnie stłukli? – spytałem. – Nie powiem ci, Barnum. Bo nie będziesz mógł zasnąć. Roześmiałem się głośno, a Fred odwrócił się i zapalił kolejnego papierosa. Myślałem, że się na mnie wkurzył, ponieważ się śmiałem, chciałem więc to naprawić, powiedzieć coś, co może by mu się spodobało. – Wtedy przynajmniej im by gęby cuchnęły cipą – stwierdziłem. Po tym, co byś z nimi zrobił. Fred wzruszył ramionami. Mimo wszystko nie był chyba jednak wkurzony, odwracał się plecami tylko do wiatru, żeby zapalić. – Gdzie ci opróżnili tornister? – Koło kościoła – odparłem. Fred znów na mnie spojrzał. – Przestań szczyrzyć zęby, bo jak nie, to ci w tym pomogę. Wyglądasz głupio jak cholera. Prędko przeciągnąłem wierzchem dłoni po wargach. Fred dmuchnął mi dymem w twarz i westchnął. Teraz bliski już był wybuchu, poznawałem to po jego oczach, czarny spokój zaczął się poruszać, jak oliwa na powierzchni wody, musiałem teraz powiedzieć coś, co z pewnością by go ucieszyło. – Poczytamy wieczorem list? – spytałem ostrożnie. Fred popatrzył w bok. – Mogę czytać na głos – powiedziałem jeszcze ciszej. Wtedy on położył mi rękę na ramieniu, co było tak zaskakujące, że prawie załkałem z radości, ale wydaje mi się, że on tego nie usłyszał, bo wrócił ze mną na Holtegata i tam pozbieraliśmy żalosne szczątki zawartości mojego tornistra. Ćwiczenia do geografii się rozpadły, luźne kartki pływały na deszczu, Turcja, Egipt, Japonia, Ameryka i kraje polarne, części świata rozpięzchły się na wszystkie strony, znalazłem kartki z klasówki z Grenlandii, z której dostałem piątkę. Litery prawie się zmyły, ale pamiętam, co napisałem. *Góry lodowe mogą mieć sto metrów wysokości.*

Ale to, co jest pod wodą, może być dziewięć razy większe.

O połówkę drugiego śniadania zaczęły walczyć sroki. Po piórniku tramwaj przejechał co najmniej trzy razy. Linijka była złamana, a książkę do higieny mogłem zacząć pisać od nowa. – Chyba któregoś dnia też opróżnię swój tornister – powiedział Fred i ruszył w stronę domu, biegłem za nim. Fred zawsze kawałek mnie wyprzedzał, a ja musiałem za nim biec, na moich płaskich stopach, żeby w ogóle dotrzymać mu kroku. Fred szedł, a ja biegłem obok. – Jaka jest ta nowa szkoła? – spytałem. – Cholernie fajna. Wszyscy głupi w jednym miejscu. – Ale ty się do nich nie zaliczasz, Fred. – Do kogo? – Do głupich, Fred. Nie zaliczasz się do nich.

Zatrzymał się przed kinem Rosenborg, przy pustych gablotach, w których wkrótce miały zawisnąć nowe zdjęcia gwiazd. Spojrzał na mnie. Ale nic nie powiedział. Znow się przestraszyłem. – Jak myślisz, jaki film teraz dadzą? – Taki, na który cię nie wpuszczą – odparł Fred. Bileter stał w holu i wyglądał przez drzwi. Może chciał sprawdzić, czy ciągle pada, bo nagle rozłożył parasol, a plik zdjęć, które trzymał pod pachą, rozsypał się na podłogę. – A do kogo się zaliczam? – spytał Fred. – Co powiedziałaś? Fred pochylił się tuż nade mną. – Do kogo się zaliczam? Nie wiedziałem, co mówić. On znow miał to w oczach, ten najgłębszy mrok. – Mogę ci pomóc z literami – szepnąłem. Fred pchnął mnie na gabloty, aż zadzwoniło szkło. – Do nikogo się nie zaliczam! – krzyknął nagle. Rozumiesz? Rozumiesz? Przeciągnął mi palcem wzdłuż czoła i w dół po policzku. – Rzeczywiście, cholera, gęba ci śmierdzi cipą. Potem odszedł chodnikiem, na ukos, jakby chciał zmylić deszcz, i w tej samej chwili na dwór wyszedł bileter. – Na miłość boską – powiedział. Zamierzacie mi zniszczyć kino? – Nie, nie – szepnąłem. Chciałem odejść, ale bileter mnie zatrzymał. – Wszystko w porządku? – spytał. – Tak, dziękuję. – Masz ochotę na kanapkę? – Nie, dziękuję. Lecz on okazał się taki miły, że wepchnął mnie do holu, gdzie linoleum było tak gładkie i śliskie, że prawie spadłem ze schodów, ujął mnie za ramię i ruszył naprzód, ciągnąc mnie za sobą, aż dotarliśmy do ciasnego pokoiku za salą kinową, była tam wielka maszyna, przystawiona do otworu w ścianie, a na podłodze stały ustawione w stosy okrągłe pudła z angielskimi tytułami. *Days of Wine and Roses*. Było tu gorąco i pachniało niezbyt przyjemnie. Okazało się, że ten człowiek jest nie tylko bileterem, lecz także operatorem, to on pokazywał film, bez niego ekran wisiałby w ciemności jak ciężka szeroka roleta w oknie głęboką nocą. – Tutaj mieszkam – powiedział. Otworzył paczkę z drugim śniadaniem. – Co wolisz? Żółty ser czy salami?

Nie byłem głodny. Starsze panie lubiły dotykać moich kędziorów, natomiast starsi panowie chętnie mnie karmili. Na dłuższą metę było to dość męczące. – Salami – odparłem.

Dostałem kanapkę. Musiałem ją zjeść. Jedli?my. ? Zbi? ci?? ? spyta operator. Pokr?ci?em g?ow?. Jedli?my dalej. Wyobrazi?em sobie nagle kino jako statek, p?yn?cy do?Ameryki, przemierzaj?cy ocean, maszynista sta? na?dole w?maszynowni, to?dzi?ki niemu ?ruba si? obraca?a, a?gwiazdy ?wieci?y, i?podczas gdy o?tym my?la?em, przysz?a mi?do g?owy jeszcze inna my?l, nie mog?em poj??, ?e?jest moja, mia?em wra?enie, jakby kto? inny wymy?li? j??pierwszy, a?ja tylko j??przej??em, pomy?la?em, ?e?nieme filmy to??agl?wki na?tym samym oceanie, a?wiatr to?maszynownia bez ludzi. ? Cz?sto ci?dokuczaj?? ? spyta?. Nie bardzo wiedzia?em, o?co chodzi. ? S?ucham? Spyta? jeszcze raz: ? Cz?sto ci?dokuczaj?, dlatego ?e?jeste? taki ma?y? Nic nie odpowiedzia?em. On?chcia? dobrze. Wiedzia?em o?tym. To?w?a?nie pragn? powiedzie?. Wi?kszo?? ludzi chce dobrze i?to oni najcz??ciej bywaj? najgorsi. Mog?em odpowiedzie?: Tak. Zw?aszca pan mi?dokucza. Nie powiedzia?em nic.

Tylko spu?ci?em wzrok. Operator po?o?y? mi?r?k? na?kolanie. ? W?dawnych czasach operatorzy kinowi nie mogli mie? wi?cej ni? pi?? st?p wzrostu ? powiedzia?. Bo?inaczej nie mie?cili si? do?maszyny. To?by by?o co? dla ciebie! ? Tak ? szepn??em. Tak.

Wprowadzi? mnie na?dw?r. Pobiegi?em za?Fredem, ale on?dawno znikn???. Na?Norabakken usi?owa?em odmierzy? pi?? st?p, bo?je?li mia?y to?by? moje stopy, to?rzeczywi?cie nie by?o si? czym chwali?, a?potem zastanawia?em si?, czy stopa ma?by? w?butach, czy bez, i?doszed?em do?wniosku, ?e?ci, kt?rzy maj? rozmiar 42, osi?gaj? ca?kiem inny wynik.

Zatrzymałem się przy Kirkeveien. Drzewa były czarne i ciche. Esther w okienku mocowała klamerkami tygodniki na sznurku, jakby wywieszała je do suszenia. Skinęła na mnie i wycięła coś, coś przypominało kawałek kandyzu, który może bym dostał, gdybym najpierw pozwolił jej położyć pomarszczoną skórę na kędziorach. Ale moje kędziory rozpuściły się w deszczu, jak czuwało wiata z księżycem do geografii, stałem więc dalej w tym samym miejscu i udawałem, że jej nie widzę. Esther przekrzywiła głowę i zrobiła smutną minę, nabrała takiego zwyczaju, kiedy przestałem mówić? bardzo dziękuję, i cała kawałek kandyzu wsunęła sobie do ust, a mnie na odgłos miażdżenia z bami ciemnobrązowego skryzalizowanego cukru przeszedł dreszcz. Zatkaliśmy uszy rękami. Gdzie był Fred? Po drugiej stronie wolno przejechał wódz karawan, za nim, również powoli, tylko garbus z szarym krzyłem na dachu, a mnie ogarnęło niezwykłe, niemniej jednak bardzo wyraźne uczucie, że już to kiedyś widziałem, że co się powtarza, nie identycznie z tym, co zapamiętałem, lecz jako swoista wariacja, karawan, szofer, biała trumna z tytu i koronkowe firanki w oknach samochodu, uczucie to pochwyciło mnie tak mocno, że musiałem oprzeć się o czarne drzewo, przy którym przystanęłem, bo w tej samej chwili pomyślałem, że wcale nie widziałem tego wcześniej, lecz że ma mi to przypominać o czymś, co wkrótce znów zobaczę. W garbusie siedział jakiś mężczyzna i miał się? Ze zmiechem pochylał się nad kierownicę. A może się pomyliłem. Może pakał. Może miech przypominał pacz, kiedy się go nie słyszy. Przejechali. Przycisnęliśmy rękę do twarzy i powychałem. Mierdzić? Jedliśmy. – Zbił cię – spytał operator. Pokręciłem głową. Jedliśmy dalej. Wyobraziłem sobie nagle kino jako statek, płynący do Ameryki, przemierzający ocean, maszynista stał na dole w maszynowni, to dzięki niemu śruba się obracała, a gwiazdy świeciły, i podczas gdy o tym myślałem, przyszła mi do głowy jeszcze inna myśl, nie mogłem pojąć, że jest moja, miałem wrażenie, jakby ktoś inny

wymyślił ją pierwszy, a ja tylko ją przejąłem, pomyślałem, że nieme filmy to?agł?wki na?tym samym oceanie, a?wiatr to?maszynownia bez ludzi. ? Cz?sto ci?dokuczaj?? ? spyta?. Nie bardzo wiedzia?em, o?co chodzi. ? S?ucham? Spyta? jeszcze raz: ? Cz?sto ci?dokuczaj?, dlatego ?e?jeste? taki ma?y? Nic nie odpowiedzia?em. On?chcia? dobrze. Wiedzia?em o?tym. To?w?a?nie pragn? powiedzie?. Wi?kszo?? ludzi chce dobrze i?to oni najcz??ciej bywaj? najgorsi. Mog?em odpowiedzie?: Tak. Zw?aszcza pan mi?dokucza. Nie powiedzia?em nic.

Tylko spu?ci?em wzrok. Operator po?o?y? mi?r?k? na?kolanie. ? W?dawnych czasach operatorzy kinowi nie mogli mie? wi?cej ni? pi?? st?p wzrostu ? powiedzia?. Bo?inaczej nie mie?cili si? do?maszyny. To?by by?o co? dla ciebie! ? Tak ? szepn??em. Tak.

Wyprowadzi? mnie na?dw?r. Pobieg?em za?Fredem, ale on?dawno znikn??. Na?Norabakken usi?owa?em odmierzy? pi?? st?p, bo?je?li mia?y to?by? moje stopy, to?rzeczywi?cie nie by?o si? czym chwali?, a?potem zastanawia?em si?, czy stopa ma?by? w?butach, czy bez, i?doszed?em do?wniosku, ?e?ci, kt?rzy maj? rozmiar 42, osi?gaj? ca?kiem inny wynik.

Zatrzymałem się przy Kirkeveien. Drzewa były czarne i ciche. Esther w okienku mocowała klamerkami tygodniki na sznurku, jakby wywieszała je do suszenia. Skinęła na mnie i wyciagna co, co przypominało kawałek kandyzu, który może bym dostał, gdybym najpierw pozwolił jej położyć pomarszczony dół na kędziorach. Ale moje kędziory rozpuściły się w deszczu, jak czuści wiat z księżki do geografii, stałem więc dalej w tym samym miejscu i udawałem, że jej nie widzę. Esther przekrzywiła głowę i zrobiła smutną minę, nabrała takiego zwyczaju, kiedy przestałem mówić? bardzo dziękuję, i cała kawałek kandyzu wsunęła sobie do ust, a mnie na odgłos miażdżenia z bami ciemnobrązowego skryształowanego cukru przeszedł dreszcz. Zatkąłem uszy rękami. Gdzie był Fred? Po drugiej stronie wolno przejechał wódz karawan, za nim, również powoli, tylko garbus z szarym krzyłem na dachu, a mnie ogarnęło niezwykłe, niemniej jednak bardzo wyraźne uczucie, że już to kiedyś widziałem, że co się powtarza, nie identycznie z tym, co zapamiętałem, lecz jako swoista wariacja, karawan, szofer, biała trumna z tytu i koronkowe firanki w oknach samochodu, uczucie to pochwyliło mnie tak mocno, że musiałem oprzeć się o czarne drzewo, przy którym przystanęłem, bo w tej samej chwili pomyślałem, że wcale nie widziałem tego wcześniej, lecz że ma mi to przypominać o czymś, co wkrótce znów zobaczę. W garbusie siedział jakiś młodyczyna i miał się. Ze zmiechem pochylał się nad kierownicę. A może się pomyliłem. Może pakał. Może miech przypominał pacz, kiedy się go nie słyszy. Przejechali. Przycisnąłem rękę do twarzy i powachałem. Mierdzić?łem, pomyślałem, że nieme filmy to żaglówki na tym samym oceanie, a wiatr to maszynownia bez ludzi. – Często ci dokuczają? – spytał. Nie bardzo wiedziałem, o co chodzi. – Słucham? Spytał jeszcze raz: – Często ci dokuczają, dlatego że jesteś taki mały? Nic nie odpowiedziałem. On chciał dobrze. Wiedziałem o tym. To właśnie pragnę powiedzieć. Większość ludzi chce dobrze i to oni najczęściej

bywają najgorsi. Mogłem odpowiedzieć: Tak. Zwłaszcza pan mi dokucza. Nie powiedziałem nic.

Tylko spuściłem wzrok. Operator położył mi rękę na kolanie. – W dawnych czasach operatorzy kinowi nie mogli mieć więcej niż pięć stóp wzrostu – powiedział. Bo inaczej nie mieścili się do maszyny. To by było coś dla ciebie! – Tak – szepnąłem. Tak.

Wyprowadził mnie na dwór. Pobiegłem za Fredem, ale on dawno zniknął. Na Norabakken usiłowałem odmierzyć pięć stóp, bo jeśli miały to być moje stopy, to rzeczywiście nie było się czym chwalić, a potem zastanawiałem się, czy stopa ma być w butach, czy bez, i doszedłem do wniosku, że ci, którzy mają rozmiar 42, osiągają całkiem inny wynik.

Zatrzymałem się przy Kirkeveien. Drzewa były czarne i ciche. Esther w okienku mocowała klamerkami tygodniki na sznurku, jakby wywieszała je do suszenia. Skinęła na mnie i wyciągnęła coś, co przypominało kawałek kandyzu, który może bym dostał, gdybym najpierw pozwolił jej położyć pomarszczoną dłoń na kędziorach. Ale moje kędziory rozplynęły się w deszczu, jak części świata z książki do geografii, stałem więc dalej w tym samym miejscu i udawałem, że jej nie widzę. Esther przekrzywiła głowę i zrobiła smutną minę, nabrała takiego zwyczaju, kiedy przestałem mówić „bardzo dziękuję”, i cały kawałek kandyzu wsunęła sobie do ust, a mnie na odgłos miażdżenia zębami ciemnobrązowego skryształizowanego cukru przeszył dreszcz. Zatkalem uszy rękami. Gdzie był Fred? Po drugiej stronie wolno przejechał w dół karawan, za nim, równie powoli, tylko garbus z szarym krzyżem na dachu, a mnie ogarnęło niezwykle, niemniej jednak bardzo wyraźne uczucie, że już to kiedyś widziałem, że coś się powtarza, nie identycznie z tym, co zapamiętałem, lecz jako swoista wariacja, karawan, szofer, biała trumna z tyłu i koronkowe firanki w oknach samochodu, uczucie to pochwyciło mnie tak mocno, że musiałem oprzeć się o czarne drzewo, przy którym przystanąłem, bo w tej samej chwili pomyślałem, że wcale nie widziałem tego wcześniej, lecz że ma mi to przypominać o czymś, co wkrótce znów zobaczę. W garbusie siedział jakiś mężczyzna i śmiał się. Ze śmiechem pochylał się nad kierownicą. A może się pomyliłem. Może płakał. Może śmiech przypomina płacz, kiedy się go nie słyszy. Przejechali. Przycisnąłem rękę do twarzy i powąchałem. Śmierdzi cipą?

Matka zrobiła jasny *lapskaus*², ale nie czułem szczególnego głodu, matka też nie.

2 *Lapskaus* – danie jednogarnkowe, mięso w sosie z ziemniakami i warzywami.

Boletty nie było, odkąd zniknęła poprzedniego wieczoru, w czarnych rękawiczkach i woalce. Wszyscy wtedy wiedzieli, dokąd się wybiera. Wybierała się na Biegun Północny, żeby schłodzić serce piwem. Musiała, kiedy ją to nachodziło. Matka zwykle tak mówiła: Znów ją to naszło. Fred też nie wrócił do domu, a ojciec wyjechał w podróż. Nie bardzo wiedzieliśmy, co to znaczy. Rzadko coś opowiadał. Wiedzieliśmy jedynie, że sprzedaje różne rzeczy i czasami wraca z pieniędzmi. Zwykle nie starczały na długo.

Grzebałem w jedzeniu. Matka grzebała w jedzeniu. Siedzieliśmy w kuchni nad talerzami, w milczeniu, i grzebaliśmy. Na dworze było już ciemno. Dzikie wino za oknem szeleściło.

W przedpokoju tykał zegar. Matka miała talent do milczenia. Mogłaby zdobyć mistrzostwo świata w milczeniu kobiet, gdyby istniała taka dyscyplina, Fred natomiast wygrałby w zawodach mężczyzn. Wydaje mi się, że właśnie ta cisza, często trwająca kilka tygodni z rzędu, wprawiała ojca w jeszcze większy niepokój. Kiedyś rozśmieszył matkę, ale na tym koniec. Nagle matka nabrała całą garść lapskausy i cisnęła nim o ścianę. Zabrzmiało to mniej więcej tak jak wtedy, gdy ciężarówka przejedzie jeża. Potem zapatrzyła się przed siebie, nie na mnie, ani nie na kawałki mięsa zsuwające się na podłogę i układające we wzór przypominający mi zdjęcie rosyjskiego oficera, posiekanego kulami gdzieś na rogu ulicy w Budapeszcie, tylko teraz było w kolorze. Właściwie zamierzałem spytać matkę o coś, nad czym już od dawna się zastanawiałem, lecz jednak tego nie zrobiłem. Matka miała dość, pozwoliłem więc jej siedzieć i patrzeć przed siebie wzrokiem czarniejszym od męskich parasoli. Poszedłem do łazienki i umyłem twarz. Umyłem twarz płynnym szarym mydłem, proszkiem do szorowania i opłukałem ją jodyną, a kiedy przejrzałem się w lustrze, zobaczyłem odbicie krwistej pomarańczy, którą ktoś próbował obrać w rękawiczkach z jednym palcem. Przemknąłem się do pokoju i wsunąłem pod kołdrę.

Cipa na gębie. Tykający zegar. Mokry asfalt na Kirkeveien. Matka, która krąży po mieszkaniu, zatrzymuje się przy telefonie, idzie dalej do salonu, wraca do telefonu, podnosi słuchawkę i z powrotem ją rzuca. Nasłuchiwałem. Byłem małym podsłuchiwcem z gębą śmierdzącą cipą. Nikt nie dzwonił. Na kogo ona najbardziej czekała, na Freda, na ojca czy na Bolette? A może na kogoś zupełnie innego? Wciąż miała nadzieję, że Rakel wróci? Nie wiem. Nasłuchiwałem. Kroki matki, coraz cięższe.

Milczenie matki, którego w końcu sama nie wytrzyma. Gwałtownie otworzyła drzwi i zajrzała do środka. – Już się położyłeś? Podniosłem się. Mogłem teraz pytać, lecz gdy do tego doszło, spytałem o coś całkiem innego. – Mamo, w jakim samochodzie urodził się Fred? Westchnęła i oparła się o futrynę. – W taksówce, Barnum. – No tak, ale w jakiej?

Matka ledwie się uśmiechnęła. – Nie pamiętam. Byłam zajęta czym innym. Znow zamilkła.

Jakby zaszyła sobie usta, jakby potajemnie całowała się z maszyną Singer. Ramieniem sięgała do mojego ostatniego znaku. Tkwił tam od dawna. Znaczek Freda był o wiele kresek wyżej. – Dlaczego nie jestem wyższy? – spytałem. Matka spruła szwy na wargach. – Przecież jeszcze nie przestałeś rosnąć, Barnum? – Spuściłem głowę. – Chyba przestałem.

Matka cicho zamknęła drzwi, a ja otworzyłem tornister i wyjąłem z niego zniszczoną linijkę. Usiłowałem ją skleić. Lecz chociaż kawałki pasowały do siebie, mimo wszystko czegoś brakowało w miejscu, w którym powierzchownie przełamania stykały się ze sobą, pyłu milimetrów i ułamków pyłu. Linijka zrobiła się krótsza, nie wypełniała swoich dwudziestu centymetrów, pomyślałem o metrze leżącym w Paryżu, w kopule z ołowiu, o metrze nad metrami, o matce wszystkich metrów, ani odrobinę mniejszej, ani większej, odpowiadającej całą swą długością dokładności wielkiego stolarza. Wyciągnąłem się w łóżku, jak tylko mogłem, i postanowiłem, że od tej pory będę używał swojej własnej miary, linijki Barnuma. Podobał mi się słodki zapach kleju.

Ktoś wrócił do domu. To nie była Boletta. Wyobraziłem ją sobie, jak siedzi przy brunatnych stolikach na Biegunie Północnym i pije piwo z dużych szklanek wraz z ogorzałymi mężczyznami, opowiadają jej historie, dzięki którym zapomina, a piwo przystawia stempel w jej głowie, pieczętując wspomnienie, które wryło się w nią na zawsze na widok córki, Very, naszej matki, w suszarni na strychu, tamtego dnia w maju, w czterdziestym piątym. Widziałem to. Widziałem to przez pożółkłe okna Bieguna Północnego, widziałem, jak jeden z mężczyzn powoli ściąga Boletcie czarne rękawiczki.

To Fred wrócił. Śmiał się. Matka na niego krzyczała. Fred tylko się śmiał. Potem rozplakała się i coś upadło na podłogę, tłukąc się na kawałki. Nie chciałem słuchać.

Spałem. Spałem w swojej linijce. Wkrótce Fred też się położył. Jego oddech, przyspieszony. Płacz matki w kącie, w ostatnim pokoju. Skorupy na śmietniczce. Jak daleko w sen można zabrnąć, zanim jest za późno, by zawrócić? – Boletta tańczy – szepnął Fred. Boletta teraz tańczy na Biegunie Północnym. Obudziłem się. – Musimy po nią iść?

Fred nie odpowiedział. I nagle nie pamiętałem, jak brzmiało moje pytanie. Kto może podnieść woalkę babki? Czy pytałem właśnie o to? Kto jest ojcem Freda? Usłyszałem, że matka wkłada płaszcz, potem jej kroki na schodach, prędkie. Poszła po Bolette. Była noc.

Zerknąłem na Freda. Nie zdjął butów, jak gdyby chciał być w każdej chwili gotów, żeby zwać. – Teraz już wiem – szepnąłem. – Co? – Jesteś jednym z nas. – Zamknij się!

Zamknąłem się. W pokoju pachniało klejem Karlsona, z moich palców. Zakręciło mi się w głowie. Miałem ochotę stanąć na parapacie. Buty Freda błyszcząły w ciemności. Gdyby zaczęło się palić, mógł wybiec tak jak stał. – Poczytamy list? – spytałem. Fred nic nie powiedział. Chyba odwrócił się plecami. Nie musiałem zapalać lampy. Znałem list na pamięć. Znałem go na wrywkę. Nabrałem powietrza. – *Serdeczne pozdrowienia ślę Wam wszystkim, pozostałym w domu, z krainy Słońca o Północy, wraz z krótkim opisem osiągnięć naszej ekspedycji do tej chwili, sądzę bowiem, że mogłoby Was zainteresować, czym zajmujemy się tu, wśród lodów i śniegów.*

Wśród lodów i śniegów. Nic nie mogłem na to poradzić. Za każdym razem ciarki przechodziły mi po plecach, ścisnęło mnie w gardle i czułem łagodny napór dobrego płaczu, ciepłego smutku. – Słyszysz, Fred? – szepnąłem. Z jego łóżka nie dobiegł żaden odgłos. Zamknąłem oczy i wyobraziłem to sobie, wyobraziłem sobie statek wśród lodów i śniegów. – *Najsamprzód więc statek. Zbudowany jest z drewna, bardzo mocny i solidny, pokryty przeciwlodową powłoką.* – Zamknij się – powiedział Fred. – *Pierwotnie służył do połowu wielorybów i nosił nazwę Cap Nord.* – Zamknij się, knypku! – Czytam tak wolno dlatego, że to po duńsku – szepnąłem. Coś walnęło w ścianę tuż nad moją głową.

But. Cień Freda poruszył się wzdłuż ściany. W moją stronę poleciał jeszcze jeden but. – Wiesz, dlaczego mówili, że ci gęba śmierdzi cipą? – Nie, Fred. – A powiedzić ci? – Nie, Fred. – Dlatego że sięgasz dziewczynom tylko do cipy. Całkiem już zdurniałeś?

Cień Freda znieruchomiał. Ustawiłem jego buty na podłodze. Nie zasnąłem już tej nocy.

Śniłem o Tomie Thumbie, amerykańskim karzełku, który dorósł tylko do osiemdziesięciu dziewięciu centymetrów i ważył dwadzieścia cztery kilo i którego w zeszłym stuleciu pokazywano w całej Ameryce, później przyjechał do Europy, spotkał się z królową Wiktoria i zgubił się w jej spódnicach. Kiedy jadł obiad, nigdy nie stawiano na stole dzbanków z wodą, bo bano się, że się w nich utopi. O Tomie Thumbie mówiono, że Bóg zawetował jego przyszłość, kiedy Tom Thumb miał zaledwie dwa lata, i dlatego więcej nie urósł. Tak sobie śniłem. Może Bóg się wkurzył albo z czasem znudził. Kiedyś w średniowieczu żydowscy rabini starali się udowodnić, że przeciętna wysokość człowieka w chwili stworzenia wynosiła około pięćdziesięciu metrów i od tamtej chwili już tylko się zmniejszała. W 1718 roku Francuz Henrion podjął ten wątek i sporządził tabelę matematyczną, pokazującą, jak ludzie w miarę upływu czasu się kurczyli. Według jego obliczeń Adam miał co najmniej czterdzieści metrów wzrostu, a Ewa trzydzieści osiem. Ale upadek już się rozpoczął. Noe mierzył tylko trzydzieści trzy i pół metra, Abraham zaledwie dziewięć, Mojżesz miał cztery metry dwadzieścia dwa centymetry, Herkules – trzy, Aleksander Wielki – metr dziewięćdziesiąt dwa, ale wtedy Bóg się zdenerwował i musiał zesłać na ziemię Jezusa, by to powstrzymał, a sam Jezus mierzył zaledwie metr sześćdziesiąt dwa, świadczą o tym znaki na krzyżu.

Śnię o tym, że Bóg o mnie zapomniał.

Obudziłem się, chociaż nie spałem. Buty Freda zniknęły. Wstałem i ustawiłem się przy futrynie. Chciałem sprawdzić, czy urosłem w ciągu nocy, ale się zatrzymałem, zatrzymałem na dobre i od tej pory koncentrowałem się raczej na utrzymaniu tego wzrostu, na tym, żeby się nie zapadać jak Boletta, kiedy wracała do domu z Bieguna Północnego, z plecami zgiętymi jak księżyc nad kościołem Majorstuen w październiku. Zacząłem starannie pielęgnować swoje kędziory, one mnie podnosiły, tak, podnosiły mnie za włosy, byłem pierwszą osobą na Fagerborg, która miała fryzurę afro, w dodatku blond, uznałem to za oczywiste, przypominałem białego pudła, ale powiem tyle, że nie trwało to długo. Zimą nosiłem olbrzymią czapę z niedźwiedziej skóry, jak wielcy Rosjanie na wygnaniu, znalazłem ją wśród rzeczy Starej. Próbowałem nawet głodem zyskać więcej wzrostu i nie stroniłem od korków do butów i podwójnych wkładek. Kiedy w modę weszło ubóstwo, potrafiłem przez cały rok na okrągło chodzić w grubych traperkach, nie mówiąc już o butach na koturnach, to był chyba najwspanialszy dla mnie czas, ale nie chcę teraz uprzedzać wydarzeń, przyjdą w swoim czasie, wspominam o tym tylko po to, by wycinki z mojego życia połączyć w jeden niemożliwy i konieczny obraz: cipę i buty na koturnie.

Właściwie to dosyć dziwne, że czułem się trochę wyższy przez te samotne lata, w tej epoce słońowacizny, chociaż wtedy buty na koturnach nosiła większość ludzi. Wciąż byłem od nich niższy o taką samą liczbę centymetrów. Ale przekroczyłem jakby dolną granicę widełek. Miałem głowę nad wodą i głównie chodziłem sam, ponieważ ci, których znałem i kochałem, wyjechali z kraju, chodziłem okrężną drogą, bocznymi uliczkami, chwiejąc się w błyszczących butach. Tym większy był mój upadek, kiedy buty na koturnie rzucono na stertę śmiechu, wstawiono w mroczną głębię szaf, schowano na czas balów przebierańców i zbiórek odzieży. Byłem ostatnią osobą noszącą buty na koturnie w Oslo, a kiedy się zastanowię, to mogę stwierdzić, że właśnie wówczas osiągnąłem szczyt, w owym znudzonym momencie pomiędzy dwiema modami, kiedy panuje dezorientacja, wtedy sięgnąłem po władzę i stanąłem wyprostowany na wysokich obcasach, podczas gdy inni zniżali się do swoich starych sandałów. Ale to nie mogło trwać. Abdykowałem. Król butów na koturnie został zdetronizowany i śniłem, że Bóg pewnego dnia obudzi się, znajdzie sześćdziesiąt centymetrów, które zapomniał podarować ludziom, i oznajmi: trzydzieści z nich należy do linijki Barnuma. Ojciec pewnego razu, gdy był w tym humorze, klepnął mnie w plecy i oświadczył, że wzrost wcale nie jest aż tak ważny, kiedy jest się szczerze obdarzonym przez naturę jak my, tak stwierdził sam doktor ze stałego łądu podczas starannych badań, przeprowadzonych na przedstawicielu rodziny Nilsenów.

Spytaj tylko matkę, powiedział ojciec. Nie spytałem. Ale przez jakiś czas zastanawiałem się, czy nie mógłbym sobie wszczepić dodatkowego kawałka szkieletu. Czytałem w tygodniku „Allers”, że można to zrobić w Ameryce. Wydłużyli tam Amerykanina norweskiego pochodzenia z Fargo o sześć centymetrów, przyśrubowując mu dodatkowy staw pomiędzy kolanami a biodrami. Ale ten człowiek nigdy później nie mógł dużo chodzić i musiał głównie siedzieć, a jaki to ma sens? Zmarł zresztą na zawał, nachylił się, żeby zawiązać sznurowadła, i padł na miejscu, napisali o tym w następnym numerze. Ależ Fred się ze mnie śmiał, kiedy i on był w tym humorze! Raz wziął mnie na barana i przeniósł wzdłuż całej Kirkeveien przez Majorstuen do kina Colosseum. A ja mu na to pozwoliłem. Nagle jednak postawił mnie na ziemi i zaproponował: Zamieniamy się, Barnum? Od razu się wystraszyłem, bo nie wiedziałem, na co chce się zamienić, a zanim spytałem, Fred odszedł. Ci, którzy chcieli uchodzić za bardzo zabawnych, mówili, że ledwie sięgam do własnej głowy. Pękali przy tym ze śmiechu. Albo mówili, że gęba śmierdzi mi cipą. Ja się rzadko śmiałem. Raz zresztą spotkałem Jamesa Bonda, ale nawet on nie mógł mi pomóc. Zobaczyłem mianowicie Seana Connery’ego, bo tak się naprawdę nazywał, w trafice na Frognerveien, dokąd poszedłem kupić „Cocktail”, który, jak wszyscy wiedzieli, leżał pod ladą razem z „Weekendsex” i „Pinup”, a takich zakupów nie mogłem robić w pobliżu Fagerborg, musiałem odejść jak najdalej. Czekałem na chodniku mniej więcej godzinę, zanim odważyłem się wejść. Sądziłem, że będę sam, tymczasem w środku był James Bond, i on też wyglądał dość nędznie. Miał rzadkie, prawie marchewkowe włosy, których nie czesał z pewnością co najmniej od trzech miesięcy. Właśnie kupił cygaro, które próbował zapalić. Chciałem od razu wyjść, bo sądziłem, że mam przywidzenia, i całą głowę wypełnił mi lęk. Ale to był on, Sean Connery we własnej osobie, w sklepie na Frognerveien, w Oslo, Norwegii, Europie, Świecie, Wszechświecie.

Pani za ladą, która na pewno go nie poznała, nachyliła się nad czekoladkami i spytała, czego sobie życzę. Nie mogłem oderwać oczu od Jamesa Bonda. Wreszcie udało mu się zapalić cygaro. Uśmiechnął się do mnie. Miał też popsute zęby. Sprzedawczyni spytała mnie jeszcze raz. Nie mogłem wydusić ani słowa. Pamiętam tylko swoje rozczarowanie, że James Bond może być taki niepozorny. Chciał dotknąć moich kędziorów. Uciekłem wtedy i biegłem całą drogę do domu. Wieczorem, kiedy się położyliśmy, opowiedziałem o tym Fredowi. – Widziałem dzisiaj Jamesa Bonda – szepnąłem. Fred się odwrócił. – Byłeś w kinie? Nie, widziałem go na Frognerveien. Głos Freda przybrał gniewny ton. – Widziałeś Jamesa Bonda na Frognerveien? Kiwnąłem głową. – Miał rzadkie włosy i popsute zęby – powiedziałem. Fred przez dłuższą chwilę się nie odzywał. – Nie widziałeś Jamesa Bonda na Frognerveien – stwierdził w końcu. – Właśnie że tak!

W trafice! A co tam robiłeś? Spuściłem wzrok. – Chciałem kupić „Cocktail”. Fred roześmiał się i znów się położył. – Dobranoc, Barnum. Nie hałasuj za bardzo, jak będziesz to robił. – To prawda – powiedziałem. – Co jest prawdą? – Że James Bond tam był. To znaczy Sean Connery! Fred podniósł się i teraz był naprawdę wkurzony. – Zamknij się, ty karle! – Widziałem go! – zawołałem. Widziałem Jamesa Bonda! Fred zbliżył się o krok i uderzył mnie prosto w twarz. Upadłem na poduszkę i znieruchomiałem. Myślałem, w czasie gdy z nosa ciekła mi gęsta krew, że nikt mi nie wierzy, kiedy mówię prawdę, ale wszyscy mi wierzą, kiedy kłamię. A kiedy już zacznę, to wyliczam Humphreya Bogarta, Toulouse-Lautreca, Jamesa Cagneya, Edvarda Griega, który był taki mały, że kiedy grał na fortepianie, musiał siedzieć na utworach zebranych Beethovena, i Mickeya Rooneya, przede wszystkim Mickeya Rooneya, tego brudnego kurdupla, który mimo wszystko był pięć razy żonaty z najpiękniejszymi kobietami świata, jesteśmy spokrewnieni, wołam, jesteśmy niscy i najbliżej nam do rynsztoka! Wtedy Peder kładzie mi rękę na ramieniu i mnie uspokaja, podczas gdy kobiety cicho patrzą na siebie, a mężczyźni wychodzą na balkon. Następnym razem nie wymieniaj Griega, szepcze Peder. Zdarza się, kiedy przypadkiem oprę się o futrynę, kiedy na kogoś czekam, nudzę się albo denerwuję, że nieświadomie kładę rękę płasko na głowie i prędko się odwracam, żeby sprawdzić, czy urosłem, ale na tej futrynie nie ma żadnych znaków, żadnych nacięć, według których można mierzyć, zamykam więc drzwi i wracam. Ile trwa sen? Kto potrafi przez sen powiedzieć alfabet od końca? Tnę swoje życie, nasze życie, na kawałki. Włamałem się do montażowni z nożyczkami ze srebra, a potem swoimi małymi rączkami sklejam kawałki w innej kolejności. Wybaczcie mi, jeśli muszę skłamać, bo kłamstwo to tylko coś, co się dodaje, aby płaszczyzny przełamania w linijce opowieści pasowały do siebie. I widzę, że to, co opowiadam, zawsze jest krótsze od tego, co przeżywaliśmy. W taki sposób wracam do poranka, kiedy wciąż obolały na twarzy stanąłem

w drzwiach, żeby sprawdzić, czy noc wydała owoce. Buty Freda zniknęły. Wszędzie było cicho. Pierwsze słowa z listu pradziadka bezdźwięcznie leżały mi w ustach. *Serdeczne pozdrowienia ślę Wam.* I to wcale nie jest flashback. To tylko ty stoisz w pokoju, który słabo rozpoznajesz. Słyszysz, ledwie, czyjś płacz za plecami, a kiedy się odwracasz, widzisz dziecko, to dziecko to ty.

Zajrzałem do salonu. Boletta spała na otomanie, zasłony były zaciągnięte. Z każdym oddechem z ust wydobywał jej się wąski odgłos. Czarne rękawiczki spadły na podłogę.

Nie chciałem jej budzić. Podkrałem się do niej, najdelikatniej jak umiałem, uniosłem woalkę i pocałowałem ją w czoło. Kiedy chciałem wrócić do swego pokoju, zobaczyłem matkę. – To było bardzo piękne z twojej strony, Barnum – powiedziała. Miała na sobie niebieski fartuch, ciasno związany w pasie, i zobaczyłem, jaka jest chuda. W rękę trzymała szarą ścierkę, cuchnącą i pełną resztek jasnego lapskausu z ziemniakami i innych wnętrzności. Nagle zrobiło mi się niedobrze. Przypominam sobie pewną niedzielę, kiedy ojciec narzekał na pieczeń, że jest za bardzo spieczona, albo odwrotnie, a wtedy matka wrzuciła na patelnię taką właśnie ścierkę i podała mu ją z sosem. Ale najgorsze było to, że ojciec zjadł tę ścierkę, nie bardzo wiem, jak mu się to udało, ale pokroił ją na kawałeczki i zjadł, nikt nigdy więcej nie widział tej ścierki. Matka jest jak Røst, zwykł powtarzać ojciec. Żaden meteorolog na świecie nie potrafi przewidzieć, jaka nazajutrz będzie u niej pogoda. – Ona śpi – powiedziałem cicho. Matka uśmiechnęła się zmęczonym uśmiechem. – Raczej się nie obudzi, dopóki jej nie przejdzie. Tak to już było. To, co nachodziło Bolettę, musiało także jej przejść. Chciałem się dowiedzieć, co takiego ją nachodziło. – Chyba już czas najwyższy zacząć chodzić do szkoły tańca – powiedziała matka nagle. – Och nie. – Och nie? Oczywiście, że pójdziesz. Nigdy tego nie pożałujesz!

Rzuciła zgniłą ścierkę na podłogę, złapała mnie za pizamę i poprowadziła dookoła salonu, wzdłuż kanapy, wykonała gwałtowny zwrot przy kominku, mało nie wywracając przy tym lampy, i roześmiała się, pachniało zmywaniem i perfumami, czułem jej ostre kości pod fartuchem, próbowałem się wyrwać, ale ona nagle przyjrzała się uważniej mojej twarzy i musiała teraz zająć się czymś innym. – Co sobie zrobiłeś? – Co zrobiłem? Nic. – Przecież cały jesteś czerwony i spuchnięty. – Muszę iść do szkoły – szepnąłem. – Z taką twarzą? Dotknęła palcem mojego policzka. – Nie masz świnki? Nie, świnkę już miałeś.

Dzięki Bogu. Pokaż, czy nie masz wysypki, Barnum. Wykręciłem się. – Nie jestem chory.

Tylko się umyłem. Matka znów się roześmiała. – Rzeczywiście, to widać. Użyłeś chlorku? – Nie, szarego mydła, proszku do szorowania i jodyny. Gęba cuchnęła mi cipą.

Matka puściła pizamę, wargi jej drżały, jakby wstrząsnął nią nieoczekiwany cios. – Coś ty powiedział, Barnum?

W tej chwili do domu wrócił ojciec. Dostrzegłem go za plecami matki, wszedł do przedpokoju, pchnął drzwi łokciem i w tym momencie, w tej sekundzie, kiedy sądził, że nikt go nie widzi, w piątkowy ranek w październiku, podczas gdy stawiał błyszczącą walizkę na podłodze, wieszał kapelusz na haczyku między kinkietami, wkładał parasol w stojak, wypelzał z płaszcza od deszczu, ściągał z westchnieniem buty, zrywał podwiązkę, drapał się w białą łydkę i opierał o ścianę, wszystko w jednym ruchu, sekwencji, żadnego cięcia, zobaczyłem jego zgięty kark, okrągłe plecy i marynarkę napiętą niemal do granic ostateczności, chusteczkę w kieszonce marynarki, z jego monogramem, A.N., kropelki potu na czole, rękę wolno wyciągającą białą chusteczkę, która nie jest już całkiem czysta, i ocierającą nią szerokie wygięte czoło, ale pot tkwi jak przyklejony, niczym pleśń, ojciec trze i trze, zrozpaczony, wściekły, uderza ręką w czoło, jak gdyby to miało pomóc, a teraz matka także się odwraca, ale ona nie widziała nic z tego, co widziałem ja, tego powrotu ojca, kaszlę, a ojciec gwałtownie się prostuje, z chusteczką w ręku, i uśmiecha się, w tej samej sekundzie się uśmiecha, otwiera ramiona i tak do nas podchodzi, jak gdyby tamten moment wcześniej, kiedy stał oparty o ścianę i walił pięścią w czoło, był tylko złudzeniem, omamem wzrokowym. – Sądziłam, że przyjedziesz dopiero jutro – mówi matka. – Ja też. Dlatego przyjechałem teraz! Ojciec schował chusteczkę tak, że nie zauważyłem, gdzie zniknęła, roześmiał się i ucałował matkę w oba policzki. Jeszcze bardziej utył. Z każdym wyjazdem stawał się coraz grubszy. Skóra zwisała nad kołnierzykiem koszuli jak sztywna piana w pełnej po brzegi filizance. Przestał nosić pasek i używał tylko szelek. Nawet kolana miał tłuste. Wkrótce mógł się zrobić szerszy niż dłuższy. Puścił wreszcie matkę, odwrócił się do mnie i zmrużył oczy. – Co się stało z twoją twarzą, Barnum? Czyżby Fred usiłował ją literować? Ojciec roześmiał się jeszcze raz, bardzo głośno. Matka drgnęła. – On jest tylko przeziębiony – powiedziała prędko.

Dlatego nie poszedł do szkoły.

Ale ojciec już zauważył Bolettę. Leżała zgięta na otomanie i jeszcze nie przeszło jej to, co ją naszło. – Proszę, proszę – zachichotał ojciec. *Lit de parade*. Matka ujęła go za ramię. – Cicho. Nie mów tak. – Co to znaczy? – spytałem. Ojciec znów musiał obetrzeć czoło chusteczką. – *Lit de parade?* To po francusku i znaczy po prostu kac. Postawimy jej kieliszek wódki na piersi, żeby się przekonać, czy jeszcze żyje? Matka mocno pociągnęła go za marynarkę, wymiętą na plecach, a najniższy guzik prawie się urywał. – Dlaczego wracasz wcześniej? – spytała matka jeszcze raz. Ojciec nabrał powietrza. Podniósł kaleką dłoń. Próbował się uśmiechnąć. – Chcesz, żebym sobie poszedł? – odparował. Matka westchnęła. – Po prostu byłam ciekawa, Arnoldzie. Ojciec nagle stracił panowanie nad sobą. Nie mógł dłużej tego znieść. – Powiedzieć ci, dlaczego wracam do domu o dzień wcześniej? – prawie krzyknął. Matka kiwnęła głową i chciała go uciszyć. Ale było już za późno. – Dlatego że samochód już nie jeździ! Nie wytrzymał wyjazdu do Włoch! Ojciec usiadł. – Popsuł się? – spytała ostrożnie matka. – Stoi na szrocie koło Kløfta! Dostałem za niego dwie korony i pięćdziesiąt øre! Ojciec znów się podniósł. – Można w każdym razie stwierdzić, że ta przekłeta podróż zamknęła się stratą – szepnął. Bo do Fleminga Branta nie warto było jechać! Matce zwały się oczy. – To dlatego chciałeś go odwiedzić? Żeby się przekonać, czy on ma pieniądze? Ojciec miał świadomość, że powiedział za dużo, ale teraz nie mógł się już zatrzymać. – Tak, do cholery! Mógł przecież okazać się królem Bellagio! A tymczasem był prostym dozorcą i grabił piasek! Zrobiło się zupełnie cicho.

Ojciec trzymał teraz chusteczkę jak białą wyblakłą flagę. Musiał powiedzieć coś więcej.

Wytarł kark, głęboko wśród tłuszczu i potu krył się uśmiech, niektórzy mówili nawet, że odziedziczyłem uśmiech po ojcu i powinienem się z tego cieszyć. I chociaż coraz trudniej było odnaleźć uśmiech ojca, wciąż widziałem, że to uśmiech, który działał, wywoływał w nas w nastrój oczekiwania, sprawiał, że matka stawała się łagodna i wyrozumiała, a on piękny i nieodparty, jak gdyby ten uśmiech uwalniał go od ciężaru ciała i wznosił ponad banalne przeszkody powszedniego dnia. Stawał się wtedy chłopcem, który chce sprzedawać wiatr. – Zgadnijcie, o czym myślałem, kiedy wracałem pociągiem do domu i siedziałem sam w smutnym przedziale – powiedział. Nie mogliśmy tego odgadnąć, gdyż myśli ojca chodziły tak bardzo okrężnymi drogami, że rzadko docierały na miejsce, zwykle wpadały w złe towarzystwo. Ojciec skrzyżował ręce. Ledwie się stykały. Czekał. Czekał na bicie w bęben i fanfary. Czekał na samego siebie. – Powiedz, tato! Powiedz, o czym myślałeś! – Spokojnie, Barnum. Tylko spokojnie. Wszystko w swoim czasie! Zatrzymał się w tym miejscu jeszcze przez chwilę. Matka wzięła mnie za rękę. Wreszcie ojciec wyszedł do przedpokoju i przyniósł walizeczkę. Położył ją ostrożnie na stole w salonie, a my stanęliśmy po obu jego stronach, żeby to zobaczyć.

Ojciec potarł rękawiczką o rękawiczkę. – Oprócz tego, że myślałem o was, bo o was oczywiście myślę przez cały czas, myślałem o olimpiadzie! Ogarnął mnie olimpijski nastrój, myślałem o olimpiadzie w Tokio i doszedłem do wniosku: najwyższy czas odzyskać formę! I natychmiast zdecydowałem się rozpocząć nowe życie. Dlatego zatrzymałem się przy stadionie Bislet i przeprowadziłem pewną transakcję wymienną z tamtejszym kierownikiem. On dostał płytę z autografem Jensa Book-Jenssena. A ja, moje panie i panowie, dostałem ni mniej, ni więcej, tylko to!

Ojciec otworzył walizkę, lecz pochylał się nad nią w taki sposób, że nie mogliśmy zobaczyć, co jest w środku. W końcu jednak wyjął okrągłą tarczę, lekko wybrzuszoną na środku i przypominającą zasuszony krwi placek, który równie dobrze mógł przywieźć z jakiegoś pola w Østfold. Pokazał nam ją. Nie odezwaliśmy się ani słowem. Matka odwróciła głowę. Ojciec zaczął uciekać wzrokiem. – No, powiedzcie coś! – zawołał. – Co to jest? – spytała cicho matka. Wtedy ojciec roześmiał się głośno po raz trzeci, odkąd wrócił do domu tego ranka. – Moja droga, pozostająca w nieświadomości i ukochana żono! Co byś poczęła beze mnie, bez człowieka, który wniósł pod ten dach oświecenie i miłość? Powiedz swojej matce, co trzymam w rękach, Barnum! – Dysk – szepnąłem. – Świetnie, Barnum! To jest właśnie dysk! Matka wypuściła powietrze. – Dysk? To wszystko, co przywiozłeś do domu? Ojcu na wielkim czole ukazała się krzywa zmarszczka, przecinała je, była jak rów odwadniający dla kropli potu. Ale uśmiech wciąż tkwił jak przyklejony, u ojca wszystko trwało długo, ciało było wolniejsze niż myśl, dlatego czasami się zdarzało, że wciąż się uśmiechał, chociaż był wkurzony, albo odwrotnie, że wymierzał policzki, chociaż był już w dobrym humorze. Długo patrzył na matkę. – Wszystko? – Zaśmiał się. Dysk to medal cywilizowanych ludzi! To pierwsza rzecz, jaką człowiek rzucił, nie chcąc nikogo trafić i zabić! Potem zdjął marynarkę, ułożył dysk na płasko w kalekiej dłoni, ugiął kolana i zaczął się obracać na dywanie. – Tamara Press! – stęknął. Tamara Press! Matka ukryła twarz w dłoniach i zza nich piszczała, a ja musiałem usiąść, bo nie dałbym rady ustać. Śmiałem się i śmiałem, a ojciec przypominał obłąkanego słonia na jednej nodze, próbującego złapać własną trąbę, i wtedy przebudziła się Boletta. Podniosła się na otomanie, dmuchnięciem odsunęła woalkę i pokazała na ojca. – Co ten człowiek wyprawia? – Ojciec rzuca dyskiem! – zawołałem. – W moim domu niczym nie będzie się rzucać! Słyszysz? Ojciec jakby przyhamował, kręcił się coraz wolniej, aż w końcu stanął zwrócony w bok, chwiejąc

się, a pot spływał mu z płatków uszu, jakby miał nieszczęlną głowę. – Masz rację, kochana Boletto. Dysk to sport, który uprawia się na dworze. Zaczekamy raczej do wiosny. Schował dysk do szuflady sekretarzyka. Potem objął nas, nawet Boletę postawił na nogi, i przyciągnął wszystkich do siebie. – Jak dobrze jest wracać do domu, do was – powiedział. Boże, jak dobrze tu wracać!

Tak staliśmy, blisko siebie, rodzina, w pewien październikowy piątek. Właśnie wtedy ojciec szepnął do mnie tak, że tylko ja to słyszałem: – Rozpuszczaj plotki i siej wątpliwości, Barnum. – Dlaczego? – spytałem. – Dlatego że i tak nikt ci nie uwierzy – odparł. Śmiał się. – A w dodatku prawda jest nudna, Barnum. W tym samym momencie zobaczyłem, w cieniu między drzwiami i sekretarzykiem, spojrzenie Freda, oczy Freda. Od jak dawna tam stał? Nie wiem. Może przez cały czas. Teraz Fred się uśmiechał. Uśmiechał się, a ja miałem ochotę wyciągnąć do niego rękę. Ale on tylko pokręcił głową, zamknął oczy i zagłębił się w ciemność. A ja pomyślałem: Teraz nie istniejemy. Teraz my także zniknęliśmy.

(pieprzyk)

Bawiłem się myślą. To była ta zabawka, którą bawiłem się najczęściej. Nie miałem nikogo innego, z kim mógłbym się bawić. Bawiłem się myślą o katastrofach, wypadkach, chorobach, śmierci i innych nieodwracalnych szkodach. Było mi wtedy przyjemnie. Jakby pociechę dla mnie stanowiła świadomość, że może być gorzej, o wiele gorzej. Gdyby nasze mieszkanie się spaliło, na przykład w Wigilię, drzewko mogłoby się zająć ogniem i przewrócić na prezenty, a ja byłbym jedyną osobą, która przeżyje, znaleziono by mnie wśród zwęglonych szczątków matki, Freda i Boletty, musiałbym co najmniej trzy miesiące leżeć pod respiratorem, a osiemnastu lekarzy walczyłoby o moje życie i o to, co jeszcze ze mnie zostało, wtedy inaczej by zaśpiewali. Tak by było. Wtedy większość moich dręczycieli ogarnęłyby wyrzuty sumienia i przypęzliby do mnie, błagając o wybaczenie, a ja, w swej obolałej wielkoduszności, wybaczyłbym im, gazety byłyby pełne artykułów o moim losie, pisano by o mnie książki, kręcono filmy, malowano obrazy i wystawiano opery, w sumie była to jedyna rzecz, o jakiej marzyłem: żeby wszystko wyglądało inaczej, inaczej niż było. Wyobrażałem sobie, że chodzę z poparzoną twarzą, owiniętą bandażami, samotny i wywyższony. Takie miałem sny. Myśl bowiem, którą się bawiłem, zmieniała się w sny, ale śniłem tylko na jawie, nigdy nocą, tego się bałem, za to mogłem godzinami chodzić sam i śnić, aż do chwili gdy musiałem przysiąc na jakimś kamieniu, na przykład na samej górze w Stensparken, i popłakać, gdyż te sny były tak bardzo przytłaczające, że doprowadzały mnie do cudownego oblędu. Płakałem, szlochałem, ogarnięty gwałtowną dramaturgią moich snów na jawie. Wpadłem we własne sidła. Byłem w głębi tych snów. Śniłem, że jestem chory, bliski śmierci, i że ta choroba jest nieuleczalna, bolesna i bardzo długa. Wtedy właśnie przychodzili do mnie wszyscy ci, którzy chcieli prosić o wybaczenie, którzy chcieli się ze mną zaprzyjaźnić, ale przyszli za późno, ponieważ byłem umierający, ale w ostatnim gościu unosiłem rękę, jakbym błogosławił wszystkich, którzy teraz stali po mojej stronie.

Dalej nie dochodziłem w tych snach, w myślach. Zirykowało mnie to. Nie potrafiłem bowiem wyobrazić sobie samego siebie jako umarłego, to znaczy umiałem, ale nie sprawiało mi to żadnej radości, ani trochę. Sen o mnie umarłym, w skromnej trumnie w Zachodnim Krematorium albo w kościele na Majorstuen, był zawsze zbyt krótki, nie umiałem sobie z nim poradzić, kończył się jakby sam z siebie, wsiąkał w piasek, zanim zdążył zaistnieć. Sen o własnej śmierci nigdy mi się nie udawał. Jak gdybym nie do końca w nią wierzył. Lepiej więc było śnić o przeżywanych z krzykiem cierpieniach i nieszczęściach, które sprawiały, że wszyscy się gromadzili wokół mnie w podziw i współczuciu. Śniłem, że to ja siedziałem na krawężniku, a nie Fred, kiedy Stara zginęła przejechana przez samochód, ale w moim wypadku nie obyło się bez obrażeń, bo usiłowałem ratować Starą, na próżno, ryzykując życie, a fakt, że ona umarła, tylko pogarszał mój los, ponieważ starałem się, tak jak tylko może się starać człowiek, lecz ona i tak umarła, a ja osuwam się do rynsztoka, jedną nogę mam zmiażdżoną, z głębokiej rany na czole tryska krew i widać w niej wąski płatek przedniej części mózgu. Śnię, że to mnie jest wszystkim żal i mnie przypadają zaszczyty, tak, zaszczyty, bo ryzykowałem własne życie, by ocalić cudze, dlatego byłem człowiekiem szlachetnym, prawdziwym. Zastanawiałem się: Czy myśl może być zła? Nawet jeśli pozostanie w głowie? Czy sen może być równie zły? Nawet jeśli pozostanie we wnętrzu myśli, w przestrzeni ciszy, nietknięty, nigdy nie wydany na świat? Tak rozmyślałem.

A pewnego dnia miałem proroczy sen. Przyszło mi wydobyć myśli z mroku. Przeciągnąć sen w rzeczywistość, która była za mała, nawet dla mnie.

Chodziła do równoległej klasy. Od dawna miałem na nią oko. Stawała w wiacie, zawsze odwrócona plecami i zawsze sama. Uznałem, że jest samotna, tak samo samotna jak ja. Zataczałem wokół niej koła, lecz ona się nie zbliżała. Co sobie wyobrażałem? Że Barnum będzie miał dziewczynę? Tak. To niesłychane, lecz to właśnie sobie wyobrażałem, że będę miał dziewczynę i że to będzie właśnie ta, która stała sama pod wiatą, odwrócona plecami. Miała jasne, krótko ostrzyżone włosy i pieprzyk na lewym policzku, tuż pod okiem. Szczególnie podobał mi się właśnie ten pieprzyk, bo dzięki niemu stawała się niedoskonała i osiągalna, przydawał mi nadziei i odwagi, tak, to właśnie on ostatecznie przyciągał mnie do niej, ten pieprzyk był jej znakiem, podobnie jak moim znakiem był wzrost, niedostateczne centymetry tak doskonale widoczne dla wszystkich.

Zacząłem za nią chodzić, kiedy wracała ze szkoły do domu. Trzymałem się z daleka.

Ona mnie nie widziała. Biegłem od rogu do rogu. Zawsze szła sama. Jej tornister sprawiał wrażenie zbyt ciężkiego. Od czasu do czasu musiała przystanąć, żeby odpocząć. Bardzo chciałem jej pomóc, mógłbym ponieść jej tornister, byłaby to najłatwiejsza sprawa pod słońcem. Ale nigdy tego nie zrobiłem. Stałem tylko i obserwowałem ją z cienia w bramie, o której nie wiedziała, gdzie zapach gotowanych obiadów przenikał przez szpary pod drzwiami i dziurki od kluczy, spływał w dół po schodach i wypełniał mnie ciężkimi szarymi mdłościami, rzygałem pod skrzynkami na listy, w których przelewały się spóźnione pocztówki z kolorowymi widoczkami statków i plaż. To było we wrześniu.

Zanim się podniosłem, ona zniknęła. Miała na imię Mila. Wiedziałem już, gdzie mieszka.

Biegłem tam, na Nobels gate, i patrzyłem, jak w oknie na drugim piętrze ktoś zaciąga zasłony.

Długo stałem i patrzyłem. Ale nic się nie wydarzyło. Ona nie wyszła. Wolno ruszyłem więc w stronę domu, śniąc, że samolot, którym leciałem, rozbił się mniej więcej pośrodku Afryki, a ja jako jedyny przeżyłem. Zajęło się mną plemię, o którym nikt dotychczas nie słyszał, i mieszkalem wśród jego członków przez trzy lata. W tym śnie była pewna nieścisłość. Co właściwie robiłem w jakimś samolocie nad Afryką? Musiałem to wiedzieć, bo inaczej sen się nie liczył. W końcu wymyśliłem. Wygrałem w szkole konkurs na wypracowanie i wybierałem się na Madagaskar, gdzie uczniowie z całego świata zebrali się, żeby pisać nowe wypracowania. W drodze jednak mój samolot spada, mnie w cudowny sposób udaje się przeżyć i opiekuje się mną to dzikie plemię, które nigdy dotąd nie widziało białego człowieka, dopóki ja nie zamieszkałem z nim na trzy lata.

W rodzinnej Norwegii, kiedy nie ma już żadnej nadziei, odprawione zostaje nabożeństwo dla uczczenia mojej pamięci w kościele na Majorstuen, tak pełnym ludzi, że kolejka sięga aż do monopolowego. Wszyscy tu są, moja klasa, nauczyciele, cała szkoła, Esther z kiosku, nie wykluczam, że do kościoła na Majorstuen zawitał nawet jakiś przedstawiciel dworu królewskiego, bo przecież kiedy mój samolot spadł, miałem w konkursie na wypracowanie reprezentować Norwegię. Pastor, owładnięty żalem i wyrzutami sumienia, stwierdza, że od tej pory wszyscy, którzy noszą imię Barnum, będą je nosić z dumą, a w następnych latach Barnum staje się najpopularniejszym imieniem. Fred wygłasza mowę pożegnalną, którą sam napisał, wszystkie litery stoją w niej na swoim miejscu, bo Fred tak za mną tęskni, że przestał już cierpieć na ślepotę słowną i widzi, widzi wyraźnie, wspomina mnie jako wiernego i samotnego przyrodniego brata, półbrata, lecz w jego oczach jestem cały, tak, na tym świecie nie znajdzie się równie całego brata jak ja, a obok matki, ojca i Boletty siedzi Mila i gorzko płacze, bo nie ma nawet trumny, przy której można by położyć kwiaty i uklęknąć, ale dobrze im tak, owszem, dobrze im tak wszystkim, bo ja leżę w trzcinowej chacie w głębi Afryki i widzę, jak czarownik, mniej więcej stuletni, pochyla się nade mną z nosem przebitym strzałą. Kręci tylko głową i mówi coś w języku, który tylko on jeden rozumie. A ja leżę tak tygodniami i miesiącami, piję wodę deszczową i jem gotowane małpie nerki, pewnego dnia jednak dają mi do spróbowania przyrządzoną przez czarownika zupę z roślin rosnących pod ziemią, a przez to rzadkich i bardzo trudnych do zdobycia. Ta zupa, gęsta, sina i cuchnąca ciepłymi kocimi szczynami robi ze mną cuda. Rany mi się goją, pamięć wraca i nie dość na tym: rosnę, czuję to na leżąco, bo moje stopy coraz bardziej się oddalają, wkrótce przestają je widzieć, a kiedy w końcu wstaję, jestem wyższy od wszystkich, ale wciąż jeszcze nie mam pewności, może to tylko dlatego, że i tubylcy są mniejsi, może to jedynie złudzenie. Znajduje mnie jednak misjonarz, przybywa z walizką pełną

Biblii, które za darmo rozdaje członkom dzikiego plemienia, i z zieloną filcową tablicą, do której przykleja figurki Jezusa i historie z jego życia. Pytam go, ile ma wzrostu. Bóg chciał, żebym miał metr siedemdziesiąt cztery, odpowiada misjonarz. Wtedy wiem, że to wszystko jest prawdą, bo jestem od niego wyższy, ten nieszczęśnik sięga mi zaledwie do ramienia. Muszę mieć co najmniej metr osiemdziesiąt. Kiedy już spakował swoją tablicę i wszystkie figurki, przeprowiam się z nim przez dżunglę, a w dniu, w którym ląduję na Fornebu, trzy miesiące później, w hali przylotów witają mnie tysiące ludzi, tak, czekają także na ruchomych chodnikach, mają flagi i wielkie plakaty, na których napisano: Witaj Barnum! Na samym przodzie zaś stoi Miła z pieprzykiem, ale ja ją mijam, tłum na mój widok tak głęboko wzdycha, metr osiemdziesiąt wzrostu, wręcz nie do poznania, lecz w sercu pozostałem tym samym Barnumem, starym dobrym Barnumem, bo mam serce ze złota. Fotografowie walczą o moje zdjęcia, mijam Miłę, która próbuje mnie zatrzymać, lecz wyrywam się jej i biegnę do Freda, on rzuca mi się na szyję, bo od czasu wygłoszenia tamtej mowy pożegnalnej był niepokieszony i zapadł na jeszcze gorszą ślepotę słowną, a teraz szłocha na moim ramieniu.

Musiałem odpocząć przy fontannie na Gyldenløves gate, byłem wycieńczony. Wodę już zakręcono i na dnie basenu unosiły się tylko liście i kasztany. Ja jednak byłem swoją własną fontanną. Teraz przysłała kolej na mój szloch. Szłochałem na własnym ramieniu.

Sen rozpuścił się we łzach, ciężko skapujących na lepki asfalt między dżdżownice, pełzające, jakby to była sprawa życia i śmierci. Nie mogłem posunąć się dalej, sen zatrzymał się w momencie, gdy Fred rzucił mi się na szyję, nie obchodził mnie dalszy ciąg.

Był nudny i pełen dłużyzn, nie chciało mi się go śnić. Najprzyjemniejszą jego część stanowiło właściwie nabożeństwo odprawiane w czasie, gdy leżałem chory w głębi Afryki, a reszta świata przyszła do kościoła na Majorstuen na pogrzeb bez trumny. Znów trochę sobie popłakałem. Nagle ktoś pochylił się nade mną i prawie przyłgnął do mojej twarzy. – Siedzisz tu tak i płaczesz? – usłyszałem głos. Potem ktoś otarł mi łzy chusteczką pachnącą klopsikami rybnymi i syropem od kaszlu. – Od czego takiemu miłemu małemu chłopczykowi może być aż tak smutno? Otworzyłem oczy i popatrzyłem wprost w prastare usta. Szminka pokolorowała przednie zęby, które przypominały teraz różowe muszelki, a język był pomarszczony jak ślimak. Odchyliłem się do tyłu. Kobieta schowała chusteczkę do torebki i przysunęła się bliżej. – Może upadłeś i się uderzyłeś? Pokręciłem głową.

Zbliżyła się tak bardzo, że byłem przekonany, iż zaraz mnie polizę tym swoim ślimakiem, a dalej odchyłać się już nie mogłem, bo wpadłbym do fontanny. – Mój brat nie żyje – powiedziałem. Znieruchomiała i oczy jakby jej spuchły. – Twój brat nie żyje? – Tak – załkałem i przeciągnąłem wierzchem dłoni po policzku. Staruszka położyła mi rękę na głowie, głos jej zmiękł, a stary język się roztopił. – Od dawna nie żyje? – Od wczoraj. – Twój brat umarł wczoraj? – Tak, wczoraj. Pojutrze będzie pogrzeb. I poczułem, że pochwyciło mnie wzruszenie, jeszcze mocniejsze niż tamten sen o Afryce, gdy powiedziałem, że Fred nie żyje, gdy wymówiłem to na głos, a nie tylko w myślach, a staruszka, która to usłyszała, uwierzyła mi. Jakby to naprawdę się stało. Sam w to uwierzyłem i pilnie słuchałem własnych słów wydobywających się z moich własnych ust. – Utopił się – powiedziałem. W strumieniu Gaustad. Próbowałem go ratować, ale...

Teraz zacząłem już płakać naprawdę. Nie dałem rady mówić. Staruszka też płakała i znów wytarła mi twarz. – Jesteś dzielnym chłopczykiem – szepnęła. A potem dała mi całych pięć koron, przesunęła ręką przez moje kędziory, spakowała chusteczkę i odeszła przez żółte liście. Wtedy zdarzyło się coś dziwnego. Kiedy miałem powiedzieć „dziękuję, bardzo dziękuję”, z moich ust wydobyły się zupełnie inne litery. – Ty ślimacza cipo! – zawołałem.

Staruszka na moment przystanąła, odwróciła się, a jej twarz pod czarnymi bezlistnymi drzewami rozleciała się na kawałki. Pobiegłem co sił w nogach do Straży Pożarnej i nie miałem nic przeciwko temu, żeby zaczęło się teraz palić. Całe miasto mogło spłonąć, a pierwszy mógł się zająć Zamek, z królem w płomieniach na balkonie. Ale wozy strażackie stały w hali, nie wydając żadnego dźwięku, hełmy wisiały na hakach. Syreny wyły gdzie indziej. Paliło się tylko w mojej głowie, miałem ognisko w gardle, a tego ognia nie zdołałby ugasić żaden strażak na świecie. Biegłem. Biegłem, ścigając się z samym sobą, i zatrzymałem się dopiero na Bogstadveien. Stałem przed perfumerią na rogu, tam gdzie szyny tramwajowe zakręcają, i zobaczyłem swoją twarz w lustrze za szybą. Z uszu mi się nie dymiło, kędziory też nie spłonęły, byłem mniej więcej taki sam jak wcześniej, miałem może nieco czerwienie policzki i odrobinę za duże oczy, jak gdyby zobaczyły więcej, niż powinny. Ale w ręku trzymałem pięć koron. Wszedłem do sklepu. Wszędzie były panie, odwróciły się niczym na sygnał i na sztywne twarze przedarły się uśmiechy, jak gdyby mój widok przebudził je z ciężkiego głębokiego snu wśród zapachów, tak, zapachy były jak wilgotne liście gromadzące się pod drzewami, i nie bardzo wiem dlaczego, lecz nagle wyobraziłem sobie jeża śpiącego w kopcu martwych liści. Zaraz ktoś położy mi rękę na głowie, pomyślałem, i nie zdążyłem dokończyć tej myśli, gdy ekspedientka w jasnoniebieskiej sukience ze śmiechem wsunęła mi palce we włosy i zaczęła nimi kręcić wśród loków. – Ślimacza cipa – powiedziałem i ugryzłem się w język. Ona jednak pochyliła się i uśmiechnęła jeszcze szerzej, a wszystkie panie z perfumerii zaśmiały się chórem. – Widział kto równie uprzejmego chłopca! Najwyraźniej nikogo takiego wcześniej nie widziały, bo teraz wszystkie po kolei chciały dotknąć mojej głowy, a gdy wreszcie się to skończyło, ekspedientka spytała, czego sobie życzę, może chciałbym na przykład wodę kolońską 4711 dla matki albo metalowy grzebień? – Chciałbym pierścionek – szepnąłem.

Ekspedientka się pochyliła. – Co powiedziałeś, chłopczyku? – Powiedziałem: pierścionek. Z literą. Uśmiechnęła się teraz chytrze i popchnęła mnie do wnętrza sklepu, tam wysunęła szufladę pełną pierścionków. – Na jaką literę miałbyś ochotę? Wolałbym kupić cały alfabet dla wszelkiej pewności, ale na to nie było mnie stać, gdybym zaczął od A, nie dotarłbym dalej niż do E, a nie znałem nikogo na te litery, kto by zasługiwał na pierścionek ode mnie, oprócz Esther z kiosku. – M – powiedziałem prędko. Wyjęła pierścionek z M. – Jak ma na imię twoja dziewczyna? Marit? Pokręciłem głową. – Pewnie Merete. – Nie – odparłem. Prawie teraz przede mną klęczała. – Na pewno ma na imię Marta! Powiedziałem wtedy coś, z czego byłem bardzo zadowolony. – Milczenie. M jak milczenie. Ekspedientka jeszcze raz wsunęła mi rękę we włosy i wstała. – Bystry z ciebie chłopaczek. Ślimacza cipa, powtarzałem w myślach, mało mi czaszka nie pękła, lecz z moich myśli nie wydobył się żaden dźwięk. M jak milczenie.

Tego miałem nie zapomnieć. Pierścionek został zawinięty w bibułę i srebrny papier.

Położyłem piątkę na ladzie, dostałem trzy korony i sześćdziesiąt øre reszty. Gdyby wszystko poszło jak należy, mógłbym zaprosić gdzieś Milę za te pieniądze, moglibyśmy iść do Studenckiej i zamówić shake malinowy albo kupić u Esther kandyz i lukrecję, zabrać to do Stensparken i zjeść tam w ciszy i spokoju, albo nie, moglibyśmy wybrać się aż nad strumień Gaustad, usiąść na kocu nad brzegiem, bo tam nikt by nas nie znalazł. Tym razem nie powiedziałem „bardzo dziękuję”, tylko tak pomyślałem, bardzo dziękuję, i ostrożnie zaniósłem prezent do domu. Matka i Boletta już zjadły obiad, matka spytała, gdzie byłem. – Nigdzie – odparłem. Poza tym nie jestem głodny. Poszedłem do pokoju i paczuszkę z pierścionkiem schowałem na samo dno piórnika, pod gumkę do ścierania, temperówkę i linijkę. Nagle stanął za mną Fred. – Co robisz? – spytał. Zgarbiłem się nad piórnikiem. – Nic – szepnąłem. – Nic? – roześmiał się Fred. Wolałem, żeby się nie śmiał. – To prawda – powiedziałem. Fred położył mi ręce na ramionach. – Nic nie istnieje, a to znaczy, że kłamiesz. – Tak cię proszę. Wcale nie kłamię. Ale Fred nie dał się prosić. Przechylił się nade mną, wyrwał mi piórnik i otworzył suwak, jak gdyby przez cały czas wiedział, że pierścionek leży w środku. Ujął w palce błyszczący pakiecik. – Co to takiego, Barnum, co? Nic? Spuściłem wzrok. – Pierścionek – szepnąłem. Fred się uśmiechnął. Usiadł na łóżku i rozpakował paczuszkę. Byłem bliski płaczu. Ale się nie rozplakałem. Gdyby on wiedział o moim śnie, o tym, że ma wygłosić mowę pożegnalną nad pustym grobem po moim zniknięciu. – M – powiedział Fred. Dla kogo to? – Dla jednej dziewczynki z równoległej klasy. – Dasz jej ten pierścionek? Kiwnąłem głową. Fred przez chwilę milczał. Ja też nic nie mówiłem. Zastanawiałem się tylko, co on teraz robi, wrzuci pierścionek do kibla, połknie albo może odłamie literę. Ale on nie zrobił nic takiego.

Zapakował pierścionek z powrotem, dokładnie tak samo jak przedtem, i oddał mi go. – Świetnie, Barnum – powiedział. Wciąż bałem się odezwać. Delikatnie wepchnąłem paczuszkę do piórnika. Fred stanął przy oknie odwrócony do mnie plecami, na dworze było już ciemno. Rozległ się powolny mokry szum, kiedy przejechał autobus, a uliczne latarnie niespokojnie zamigotały na wietrze. – Ona ci się podoba? – spytał Fred cicho.

Przeniknął mnie dreszcz. – Tak – szepnąłem. – A co ci się w niej podoba najbardziej? – Ma na twarzy pieprzyk – odparłem. Fred odwrócił się do mnie. – Chcesz, żebym dał ci radę, Barnum? – Tak – powiedziałem. Podszedł bliżej. – To nie mów jej, że ten pieprzyk ci się najbardziej podoba. Fred pogładził mnie ręką po kędziorach, wydaje mi się, że zrobił to po raz pierwszy, potem wyszedł, nic już więcej nie mówiąc.

Tej nocy śniłem nowy sen, chociaż spałem: podróżowałem daleko, podróżowałem wśród zimna i ciemności, żeby znaleźć Wilhelma, mojego pradziadka, byłem sam. Szedłem przez wiele dni, może nawet miesiące, bo czas tutaj nie dawał się mierzyć uderzeniami zegara, i niczego nie znalazłem. W końcu natrafiłem na jakieś pudełko leżące przy kamieniu, musiałem je odrąbywać. Dokładnie pamiętam to pudełko. Było czarne, miało dwa błyszczące, ale nadrdzewiałe zamki, z każdej strony pogiętej pokrywki. Udało mi się je otworzyć, w środku była zakurzona butelka malagi, trzy puszki sardynek i cztery kilo pasty do butów. Usiadłem przy kamieniu, wypilem mocne wino, zjadłem sardynki, wzniosłem toast za króla i wypastowałem buty. Potem zasnąłem. A gdy się obudziłem, ze snu w śnie, wśród tego samego zimna, otaczały mnie niedźwiedzie polarne. Dwa zastrzeliłem ze strzelby, która nagle znalazła się w moich rękach, a wtedy pozostałe zniknęły. Natychmiast ruszyłem dalej, lecz więcej oznak życia nie napotkałem. Ciężkie buty kleiły się do śniegu. Wkrótce umarłem. To było dziwne. Umarłem, a sen mimo wszystko trwał. Zapadłem się w lód i tam leżałem, na samym dnie zimna, w trumnie z bezszelestnego lodu. A kiedy upłynęło tyle samo lat, ile minęło od zniknięcia Wilhelma wśród lodów i śniegów Grenlandii, albo może zaledwie tydzień, bo tu czasowi nie można było ufać, ktoś inny mnie znalazł. Wycięli blok lodu, w którym tkwiłem, i przywieźli mnie z powrotem do Norwegii, tam wystawiono mnie na pokaz w pawilonie muzycznym na Karl Johan. Barnum zatopiony w bryle lodu, doskonale zachowany w przezroczystej trumnie z zimna. Nagle jednak zza chmur wygląda słońce, lód zaczyna się topić, kapie z niego i leci ciurkiem, widzowie wznoszą radosne okrzyki, a ja gniję w chwili, gdy się budzę, i mocno ściskam w rękę wąski piórnik z pierścionkiem.

Deszcz padał na każdej przerwie, a ona stała sama pod wiatą. Czekałem przy fontannie.

Nie widziała mnie. Pieprzyk przypominał ciemną kroplę, która zastygła na jej policzku. Na ostatniej lekcji mieliśmy gimnastykę na sali. Siedziałem w szatni i słyszałem, jak inni biegają w koło. Potem zrobiło się cicho i w drzwiach ukazał się Koziół. Musiałem myśleć o snie, bo Koziół nagle jakby również stopniał i zaczął gnić. Jego olbrzymie mięśnie spływały mu po ciele falami jasnego tłuszczu. Kiedy kapał się razem z nami pod prysznicem, używał jednocześnie trzech kranów, a i tak stopy miał suche. – Nie przebierasz się? – spytał. – Nie jestem całkiem zdrowy – wytłumaczyłem cicho. – A co ci dzisiaj dolega? – Przeziębienie – powiedziałem jeszcze ciszej. Zapomniałem w nocy zamknąć okno i deszcz napadał mi do łóżka. Koziół westchnął przeciągle. – No tak. Tylko nie wychodź przed dzwonkiem. Wrócił do reszty chłopców i dmuchnął w gwizdek.

Usłyszałem śmiech. Usłyszałem odwiązywanie lin. Usłyszałem przesuwanie przyrządów po podłodze i kogoś, kto robił gwiazdę od drabinki do drabinki. Siedziałem na ławce wśród płaszczy od deszczu. Szatnie to samotne miejsca. Wszystkie szatnie są do siebie podobne. Mają ten sam zapach. Tę samą historię. W szatniach zostają żalność i ból, jak zapomniane części garderoby, po które nikt już nie wróci. Zwycięstwa zabierasz na szkolne podwórze, na ulicę. Klęski zostawiasz. Z jednego prysznica kapało. Jak doliczę do pięciuset kropli, zadzwoni dzwonek. Doliczyłem do czterystu trzydziestu. Dłużej nie mogłem czekać. Przyszedł mi bowiem do głowy pewien pomysł i zaczęło mi się spieszyć.

Pobiegłem aż do Plesnera na Grensen, tam gdzie matka zwykle kupowała dla mnie wkładki i korkowe podpiętki. To był jedyny sklep w mieście, który miał na wystawie szkielety, zwłaszcza stopy i łokcie. Wszedłem tam, a pani za ladą, w białym fartuchu i drewniakach przypominająca raczej pielęgniarkę, natychmiast mnie poznała, lecz tym razem nie zamierzałem kupić niczego, co miałoby poprawić moją skarłowaciałą ułomność.

Poprosiłem o temblak. – Temblak? – powtórzyła. – Tak – powiedziałem. Mój brat zwicchnął rękę. – Ach tak? A jak mu się to udało? – Robił gwiazdę w salonie, a tam było za ciasno. Patrzyła na mnie przez chwilę, potem poszła na zaplecze i przyniosła wieszak pełen temblaków. To powinien być temblak z monogramem, z dużym B. B jak ból, B jak Barnum, ale wiedziałem, że to zbyt wielkie wymagania. Byłem w świetnym humorze.

Zamierzałem teraz wynieść swój sen na światło dzienne, myśl miała zmienić się w działanie, miałem stać się rzeczywisty. Wybrałem zielony temblak. Dzięki temu moja dolegliwość mogła się wydawać jeszcze poważniejsza. W końcu jednak zmieniłem zdanie, zielony temblak prawie zlewał się z bluzą, którą miałem na sobie, i dlatego wziąłem biały, biały to kolor choroby, biały to cierpienie, jak śnieg i lód, biały zobaczą wszyscy.

Zapłaciłem trzy korony dziesięć, teraz zostało mi pięćdziesiąt øre. Nie było się czym chwalić, ledwie by wystarczyło na dwa mrożone napoje w torebkach, a wrzesień nie był odpowiednią na nie porą, ale moglibyśmy przecież posiedzieć u niej w pokoju, a ja mógłbym ją obejmować zdrową ręką. Pani u Plesnera chciała mi zapakować temblak, ale ja po prostu wziąłem go do ręki i wybiegłem. Schowałem się w najbliższej bramie i usiłowałem go zawiązać w odpowiedni sposób. Najpierw jednak musiałem zdecydować, którą rękę złamałem. O tym nie pomyślałem wcześniej. Teraz sam się z siebie śmiałem.

Oto obmyśliłem wszystko aż po najdrobniejszy szczegół, a zapomniałem o samej ręce.

Wybrałem prawą. Prawa jest gorsza. Po wielu wysiłkach udało mi się zawiązać supeł, zawiesić sobie temblak na szyi i wsunąć w niego prawą rękę. Ręka była teraz złamana, i to w bardzo dramatyczny sposób. Jęknąłem. Powędrowałem na dół, na Karl Johan. Szedłem wolno i często musiałem odpoczywać, tak bardzo mnie bolało. Ludzie szli w górę i w dół, zgięci w deszczu pod czarnymi parasolami. Nie zauważali mnie. To mnie złościło.

Mogliby mnie zauważyć i uznać się nade mną, może spytać, czy nie potrzebuję pomocy przy przejściu przez ulicę, albo chociaż kawałek ponieść mi tornister. Odmówiłbym, ale miło by było, gdyby spytali. Ławki z parku Studenterlunden załadowano na ciężarówkę i zabrano. To nie było nic innego niż jesień. Drzewa strząsały liście. Poszedłem okrężną drogą, bo musiałem się wprawiać w chodzeniu z ręką na temblaku. Zatrzymałem się na Rådhusplassen. Z Dworca Zachodniego wyjechał pociąg, lokomotywa ciągnęła wagony towarowe, co najmniej dwadzieścia trzy, a kiedy ostatni przejechał, otworzył mi się widok aż do stoczni Akers Mek i akurat w tej samej chwili z doków wyslizgnął się wielki statek, wysoki czarny kadłub sunął bezszelestnie przez deszcz ku ciemnej wodzie, to było takie piękne, bo podobnie też miało teraz być z moimi snami, miałem je zwodować, wypuścić w rejs.

Poszedłem prosto na Nobels gate. Zastony na drugim piętrze pozostawały zaciągnięte.

Było dwadzieścia po trzeciej. Mila na pewno wróciła już ze szkoły. Wyjąłem pierścionek z piórnika, włożyłem go do kieszeni, schowałem tornister pod schodami, pokonałem dwa piętra i zadzwoniłem do drzwi. Czas mijał. W końcu otworzyła jej matka. Popatrzyła na mnie z góry. – Dzień dobry – powiedziała. – Czy zastałem Milę? – spytałem. – Owszem, jest – odparła i dalej stała. Nie mogłem nic więcej wymyślić. Oparłem się za to o futrynę, zamknąłem oczy i stęknąłem. – Jak ci na imię? – spytała matka. – Barnum – szepnąłem. – Barnum? Tak. Czy może pani pozdrowić Milę od Barnuma? Matka pochyliła się jeszcze niżej. – Co ci się stało w rękę, Barnum? Otworzyłem oczy. – Złamana – wydusiłem z siebie. Matka wpuściła mnie do przedpokoju i kazała mi zaczekać. Miała zatroskaną minę. Zmarszczki ściągnęły się w supeł na środku twarzy. Przeszła w głąb mieszkania.

Czekałem. Pachniało mydłem i kwasem bornym, mniej więcej tak, jak w poczekalni u lekarza szkolnego. Zobaczyłem w salonie pianino, ale pokrywę miało zamkniętą. Nie było kwiatów. Na komodzie leżały okulary i gapiły się w ścianę. Spodziewałem się, że matka Mili przyjdzie po mnie, tymczasem w przedpokoju zjawiała się sama Mila. Patrzyła na mnie zdumiona. Pieprzyk pod okiem błyszczał. Musiałem oprzeć się o krzesło. Z ust wydarł mi się cichutki jęk. Mało brakowało, a bym upadł. – Barnum – powiedziała tylko.

Wcześniej nie słyszałem jej głosu. Był suchy i niski. Wyprostowałem się. Matka stała w głębi salonu. W końcu zniknęła. – Tak – szepnąłem. I uświadomiłem sobie, że Mila być może nie wie, kim jestem, bo przecież nigdy mnie nie widziała, to tylko ja widziałem ją.

A jeśli wiedziała, kim jestem, to dlatego że słyszała plotki o beznadziejnym, zapóźnionym w rozwoju karakanie z równoległej klasy, plotki o najniższym chłopcu w szkole, w całym mieście, który sięgał dziewczynom tylko do cipki, i słyszała ciągnący się za nim wszędzie śmiech. Zacząłem tracić odwagę. – Chodzę do równoległej klasy – powiedziałem. – Wiem. Ale co tu robisz? Teraz sprawiała wrażenie raczej zniecierpliwionej niż zaskoczonej. Wokół moich butów utworzyła się kałuża błota. Bolała mnie ręka. – Złamałem rękę – powiedziałem. Nie zrobiło to na niej większego wrażenia. Nie dotknęła delikatnie temblaka i nie spytała, czy bardzo boli. Nie pocałowała mnie w policzek, żeby mnie pocieszyć i ukoić ból. – Skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam? – spytała. Chodziłeś za mną? Kiwnąłem głową. – Tak. Przez chwilę panowała cisza. W końcu na jej twarzy powoli zaczął ukazywać się uśmiech, leciutki, ale mnie to wystarczyło, ten lekki uśmiech to było więcej niż dosyć. – Jak złamałeś rękę? – spytała. Znów musiałem zamknąć oczy. – Na gimnastyce – odparłem i od razu pożałowałem, bo temu kłamstwu ktoś mógł przyjrzeć się bliżej, a wtedy puściłoby w szwach, lecz nie mogłem teraz zmienić decyzji. – Skakałem przez kozła i źle wylądowałem – ciągnąłem. Kości wystawały z łokcia. Na klatce ktoś mocował się z zamkiem, Mila odwróciła się do drzwi, które wkrótce się otworzyły i do mieszkania wszedł jej ojciec. – Nic nie widzę – powiedział. Zapomniałem okularów. Gdzie są? Natychmiast pojawiła się matka i podała mu okulary, leżące wcześniej na komodzie i gapiące się w ścianę; włożył je na nos. Odetchnął z ulgą, przygarbął Milę do siebie i pocałował ją w czoło. – Jak się czujesz, córeczko? – szepnął, a ona wychyliła się z jego objęć. – To jest Barnum – powiedziała prędko matka, ojciec odwrócił się w moją stronę i zmrużył oczy. – Barnum? Dzień dobry, Barnum. Uszkodziłeś sobie rękę? Nie zdążyłem odpowiedzieć. – Złamał, kiedy przeskakiwał przez kozioł – powiedziała Mila. – Ojej. Pokaż. – Nie! – zawołałem. Ojciec się roześmiał. – Spokojnie, chłopcze. Jestem lekarzem. Zaczął odwiązywać

temblak. – Ale dlaczego nie masz gipsu? – spytał. Odwróciłem się do Mili. – Podoba mi się twój pieprzyk – powiedziałem głośno.

Ojciec puścił moją rękę. Mila próbowała dalej się uśmiechać, ale jej wargi tego nie wytrzymały, usta opadły jak błoto i nagle wydała mi się brzydka, ona i jej pieprzyk. – Sądzę, że powinieneś już sobie pójść – powiedziała matka Mili. Pamiętam tylko, że stałem na ulicy. Tornister miałem na plecach, a pierścionek w kieszeni. Wszystko na próżno.

Bąłem się spojrzeć w okno na drugim piętrze. Byłem skończony. Historia Barnuma dobiegła końca. Mogłem tylko iść i położyć się spać. Deszcz ciągle padał. Poszedłem przez park Frogner. Zerwałem temblak i oddałem go bezdomnemu, który siedział pod krzakiem i trzął się z zimna. Teraz ludzie mogli użalać się nad nim. Po powrocie do domu od razu poszedłem do pokoju i położyłem się. Wkrótce w drzwiach stanęła matka. – Jestem chory – szepnąłem. Odejdź. – Chory? Jak to, Barnum? – Po prostu chory. To zaraźliwe. Nie mogę jutro iść do szkoły. Matka westchnęła. – Wcale nie musisz. Zaczynają się przecież ferie jesienne. Westchnęła jeszcze raz, zamykając drzwi, a ja zrozumiałem, że Boletta znów jest na Biegunie Północnym i pije piwo.

Leżałem. Czas snów minął. Wyśniłem swój ostatni sen. Naciągnąłem kołdrę na głowę i się rozplakałem. Zostałem zwodowany i zapadłem się w ciemną wodę. Kadłub nie wytrzymał. Spawy w żelazie puściły i poszedłem na dno. Jak mogłem powiedzieć o pieprzyku? Jak mogłem udawać, że mam złamaną rękę? Dlaczego nie udawałem niemego? Mógłbym tylko wręczyć jej pierścionek i nie odezwać się ani słowem, a pierścionek z tą jedną literą przemówiłby wyraźnie własnym językiem! Tymczasem wcale nie dałem jej pierścionka i na wszystko było już za późno.

Matka przyniosła kolację. Nie tknąłem jej. Zmierzyła mi temperaturę i wyszła. Później przyszedł Fred. Położył się i przez chwilę nasłuchiwał. Nic nie mówiłem. Czuć było zapach tytoniu i piwa. – Nie chce ci się opowiedzieć bratu – szepnął. A może jesteś tylko półbratem? – O czym, Fred? Jęknął. – Jak ci poszło z tym pierścionkiem, to chyba jasne, Zastanowiłem się. – Nie udało mi się jej go dać – powiedziałem cicho. Fred usiadł na łóżku. – Bałeś się, to chcesz powiedzieć? Wycofałeś się, co? Jak cholerny tchórz? – Nie! – prawie krzyknąłem. Byłem u niej w domu! Fred opadł na poduszkę i długo gapił się w sufit. – Powiedziałeś o jej pieprzyku, prawda? Skuliłem się pod kołdrą, jak mogłem. – Tak – szepnąłem. Słyszałem, że ktoś śpiewa na ulicy. To była Boletta. Śpiewała przeboje, których wszyscy już dawno mieli dość. Matka w pośpiechu zbiegła na dół i przyprowadziła ją do domu, zanim ludzie zaczęli się skarżyć i zanim obudził się dozorca Bang. Noc się uspokoiła, z wyjątkiem mojego serca. – Powiedziałem ci przecież, że masz nic nie mówić o tym pieprzyku – szepnął Fred. Przestałeś mnie słuchać? – Słucham cię, Fred. – Pomyśl, o ilu rzeczach mógłbyś powiedzieć, Barnum. O oczach. Ustach. Włosach.

Uszach. Dziewczyny lubią tego słuchać. – O nosie też? – spytałem ostrożnie. – Tak, o nosie też. O karku, dłoniach i stopach. Ale z tyłkiem i cyckami jeszcze trochę zaczekaj, Barnum.

Aż droga będzie wolna. – Zaczekam – szepnąłem. Zorientowałem się, że Fred w ciemności kręci głową. – Ona jest ładna? – spytał. – Tak – odparłem. Najładniejsza, jaką znam. – A ty jej mówisz o pieprzyku. Musisz to naprawić, Barnum. Inaczej naprawdę się zbłaźnisz.

Wydaje mi się, że Fred zasnął. To była najwspanialsza rozmowa, jaką kiedykolwiek przeprowadziliśmy. Miałem ochotę iść do jego łóżka i położyć się obok niego. Na szczęście tego nie zrobiłem. Leżałem i myślałem o wszystkim, co mogę naprawić. Na tych myślach mogłem się wesprzeć. Wyobraziłem sobie statek wyślizgujący się z doków w Akers Mek i zapadający się w czarną wodę. Mimo wszystko nie było za późno. Statek dało się podnieść i wciągnąć z powrotem do doku, połatać i zwodować jeszcze raz. Tak myślałem. Łóżko było moim dokiem. Przeleżałem w nim do końca ferii jesiennych, podczas gdy inni z klasy zbierali ziemniaki u krewnych w Nittedal albo grabili liście wśród białych domków letniskowych wzdłuż fiordu. Rozmyślałem o tym, co robi Mila, i wtedy temperatura na termometrze matki podniosła się tak niebezpiecznie, że mało brakowało, a zamówiłaby taksówkę i zawiozła mnie na pogotowie. Ale wytrzymałem.

Kiedy nadszedł poniedziałek, oświadczyłem, że jestem zdrowy, wstałem i z pierścionkiem w kieszeni poszedłem do szkoły.

Na pierwszej przerwie jej nie widziałem. Zobaczyłem natomiast coś innego.

Dziewczyny z jej klasy stały pod wiatą i płakały. Na następnej lekcji nie uważałem. Stało się coś złego. Kostucha była jeszcze bledsza niż zwykle i spytała, co na przykład ja robiłem podczas ziemniaczanych ferii. Po klasie rozszedł się śmiech, ale Myszowaty zdążył jedynie powiedzieć, że Barnuma pomyłono z irysem, a już wskaźnik spadł mu na kark jak bat, Myszowaty prawie udławił się językiem, kreda w nagłej ciszy opadała jak śnieg. Na dużej przerwie Mili też nigdzie nie było. Wiata była teraz pusta. Nie przyszły nawet inne dziewczynki. Preben stał razem z Chomikiem i Aslakiem przy fontannie do picia i gapił się na mnie. Dozorca zakręcił wodę. Poszedłem okrężną drogą naokoło pierwszej klasy i wbiegłem do szkoły od tyłu, minąłem stołówkę i pognałem na trzecie piętro. Panowała zupełna cisza. Była duża przerwa. Komuś upadła na podłogę kanapka z kiełbasą i tak ją zostawił. Ze ścian sterczały puste haczyki, jak rząd błyszczących znaków zapytania. Pierścionek leżał w kieszeni. Stało się coś bardzo złego. Ruszyłem wolno korytarzem. Drzwi do jej klasy były otwarte. Zatrzymałem się i ostrożnie zajrzałem do środka. Dziewczynki siedziały w milczeniu, z pochylonymi głowami, w kręgu wokół ławki, na której paliła się biała świeczka. Ktoś bezgłośnie płakał. Na tablicy napisano wielkimi literami: *Brak nam Ciebie, Milu*. Cofnąłem się. Skradałem się pod haczykami.

Wtedy zza węgła wyłoniła się Kostucha i wpadłem prosto na nią. Ciężko położyła mi rękę na ramieniu. – Co ty tu robisz? – spytała. Z jakiegoś powodu nie wydawała się jednak wcale zła. Postanowiłem powiedzieć prawdę. Nie miałem nic więcej do stracenia. – Chciałem tylko dać coś Mili – szepnąłem. Kostucha uniosła rękę i zawadziła nią o mój policzek. Palce miała zimne. Przykucnęła. – Mili już tu nie ma – powiedziała cicho. – Przeniosła się do innej szkoły? – spytałem. Kostucha wykręciła ręce, aż zatrzęszczały paznokcie, i prawdą okazało się to, co mówiono, że czuć od niej starymi lekarstwami, jak gdyby jej twarz była zlikwidowaną apteką. – Mila raczej nie żyje – szepnęła. Mila raczej nie żyje, powtórzyłem w duchu. Raczej nie żyje. Nie żyje. – To się raczej nie zgadza – powiedziałem. Kostucha uśmiechnęła się leciutko, biorąc mnie za rękę. – Mila umarła podczas ferii jesiennych, Barnum. Przyciągnąłem rękę do siebie. – Jak to? – Cierpiała na straszną chorobę. Na raka. Kostucha pochyliła się jeszcze niżej, mówiła szeptem. – Ten pieprzyk. Był złośliwy. – Muszę już iść – oznajmiłem. Zaraz będzie dzwonek. Ruszyłem korytarzem. Dotykałem palcem haczyków na ścianie. I myślałem: Teraz Mila już nie wygada. Jestem uratowany. Teraz nikomu już nie powie, że przyszedłem do niej z ręką na temblaku i kłamałem. Pomyślałem też, że to najokropniejsza ze wszystkich moich myśli. – Co jej chciałeś dać? – spytała Kostucha. Zatrzymałem się i odwróciłem. Stała przed klasą, a z drzwi wychylało się kilka dziewczynek, blade, milczące twarze. Podniosłem kanapkę leżącą u moich stóp i wolno zacząłem ją jeść?. A?to, co?teraz powiedzia?em, by?o jeszcze bardziej z?e ni? to, co?pomy?la?em. ? Nic. Potem zbieg?em po?schodach, do?kibli, upad?em na?kolana i?zacz??em wymiotowa?, wyrzyga?em z?siebie wszystko, co?mi si? cisa??o na?usta. Potem wrzuci?em do?klozetu pier?cionek i?spu?ci?em wod?. Natychmiast jednak tego po?a?owa?em. Na?szcz??cie kibel by? zapchany, i?to od?do?? dawna. Wsun??em r?k? w?brunatn? ciecz najg??biej, jak mog?em, i?maca?em palcami w?r?d mi?kkich grudek

i?papieru, a??w ko?cu znalaz?em pier?cionek. Wytar?em go?w kurtk? najstaranniej, jak umia?em, i?schowa?em z?powrotem do?kieszeni. M?jak Mila. M?jak milczenie.

Zadzwoni? dzwonek. Poszed?em do?domu. Nikogo tam nie by?o. Wzi??em klucz na?strych i?zakrad?em si? na?g?r?. By?em niedobrym cz?owiekiem. Wiedzia?em o?tym. By?em z?ym cz?owiekiem i?jedynie z?o by?o we?mnie wielkie. Stan??em w?suszarni na?strychu, w?r?d wisz?cych nisko sznurk?w. Z?klapy w?dachu kapa?o. Ka?u?a na?pod?odze dr?a?a od?wiatru.

Moje my?li zmieni?y si? w?czarny okr?g, wiruj?cy z?ty?u za?oczami. Jak ona mog?a umrze?, skoro jej ojciec by? lekarzem? Widzia?em teraz jedynie ten jej pieprzyk, rozrasta? si? na?ca?? twarz, powi?ksza?, a??w ko?cu pokry? ca?e cia?o. Potem si? uspokoil?em. Zrobi?em si? zimny i?pusty. Podeszed?em do?szybu na?koks i?schowa?em pier?cionek w?zardzewia?ym otworze obok. Wtedy znalaz?em co? innego. Pod workiem z?grubego p??tna le?a?a butelka, w?po?owie pe?na. Na?etykielce by? napis ć. A to, co teraz powiedzia?em, by?o jeszcze bardziej złe ni? to, co pomyśla?em. – Nic. Potem zbieg?em po schodach, do kibli, upad?em na kolana i zaczą?em wymiotowa?, wyrzyga?em z siebie wszystko, co mi si? cisnę?o na usta. Potem wrzuci?em do klozetu pierścionek i spuści?em wodę. Natychmiast jednak tego poża?owa?em. Na szczęście kibiel by? zapchany, i to od do?c dawna. Wsuną?em rękę w brunatną ciecz najg?biej, jak mog?em, i maca?em palcami wśród miękkih grudek i papieru, aż w końcu znalaz?em pierścionek. Wytar?em go w kurtkę najstaranniej, jak umia?em, i schowa?em z powrotem do kieszeni. M jak Mila. M jak milczenie.

Zadzwonił dzwonek. Poszedłem do domu. Nikogo tam nie było. Wziąłem klucz na strych i zakradłem się na górę. Byłem niedobrym człowiekiem. Wiedziałem o tym. Byłem złym człowiekiem i jedynie zło było we mnie wielkie. Stałem w suszarni na strychu, wśród wiszących nisko sznurków. Z kłapy w dachu kapąło. Kałuża na podłodze drżała od wiatru.

Moje myśli zmieniły się w czarny okrąg, wirujący z tyłu za oczami. Jak ona mogła umrzeć, skoro jej ojciec był lekarzem? Widziałem teraz jedynie ten jej pieprzyk, rozrastał się na całą twarz, powiększał, aż w końcu pokrył całe ciało. Potem się uspokoilem. Zrobiłem się zimny i pusty. Podeszedłem do szybu na koks i schowałem pierścionek w zardzewiałym otworze obok. Wtedy znalazłem coś innego. Pod workiem z grubego płótna leżała butelka, w połowie pełna. Na etykietce był napis *Eau de Vie*. Odkręciłem korek i napiłem się.

Zapieкло mnie w zęby. Później jednak w głowie wezbrał mi śmiech. Spodobał mi się.

Wypiłem jeszcze kilka łyków i z powrotem schowałem butelkę pod worek. W mojej głowie coś bardzo przyjemnie się śmiało. Wspiąłem się po drabinie do otworu w dachu, uniosłem klapę tak wysoko, jak zdołałem, ledwie mogłem ją utrzymać, i wyjrzałem na miasto. Miasto się poruszało. Nie chciało stać spokojnie. Kurki na dachach uniosły się w powietrze i zmieniły w krzywy klucz ptaków nad fiordem. Ale kiedy spojrzałem aż na cmentarz na zachodzie, ciemne drzewa stały na swoich miejscach niczym miecze pod szarym niebem, a rządę ubranych na czarno ludzi niósł między nagrobkami białą trumnę i zatrzymał się w miejscu, gdzie ziemia była otwarta jak świeża rana. Zrzuciłem kurtkę, wysunąłem prawą rękę za krawędź, nabrałem powietrza i puściłem klapę. Zdążyłem usłyszeć trzask i w tej samej chwili śmiech w mojej głowie ucichł. Straciłem oparcie dla stóp, ale wciąż wisiałem zawieszony za rękę, w końcu jednak pociągnąłem za sobą szkło i listwy, spadłem z drabiny, okręciłem się wokół sznurków i zleciałem na podłogę, uderzając w nią najpierw łokciem.

Kątem oka zobaczyłem Bolettę. Przykucnęła przy szybie do koku i grzebała pod workiem. W końcu znalazła butelkę. Wypiła. To mi się nie śniło. To była prawda. Na jakiś czas odpłynąłem. Nie wiem, na jak długo. Ale przez odłamki stłuczonej szyby w klapie w dachu sączyła się już ciemność. Z ręki, krzywo ułożonej wzdłuż ciała, płynęła krew.

W skórze było długie rozdarcie, a we wnętrzu rany połyskiwało coś białego, gładkiego.

Znów na chwilę zemdlałem. Wtedy Boletta się odwróciła. Zaczęła krzyczeć, usłyszałem, że butelka wypadła jej z rąk, i krzyk się przybliżył. Boletta zniosła mnie ze schodów, nie przestając gadać do siebie, do wszystkich i do Boga. – Podpalę ten strych. Tak, właśnie tak! Spalę cały ten strych aż do samego dna!

Ockną?em si? na?kozetce w?pogotowiu. Matka siedzia?a obok i?g?adzi?a mnie po?w?osach. Wydaje mi?si?, ?e?p?aka?a. Praw? r?k? mia?em pozszywan?. Potem przewieziono mnie do?innego pokoju i?tam za?o?ono mi?gips. Pr?bowa?em podnie?? r?k?, ale by?a za?ci??ka. ? Jak si? tu?znale?li?my? ? spyta?em. Matka u?miechn??a si? i?poca?owa?a mnie w?czo?o. ? Wzi?li?my taks?wk?, Barnum. Nie pami?tasz? Pokr?ci?em g?ow?. ? Nie, kurcz?, nie pami?tam. Ale pojecha?em taks?wk? do?domu, nast?pnego dnia rano, z?r?k? na?temblaku, na?bia?ym temblaku. Powoli wraca?a mi?pami??. Wszystko, o?czym chcia?em zapomnie?, sta?o si? dla mnie jasne. Teraz nie musia?em ju? udawa?. Sta?em si? tym, kim by?em. Matka i?Boletta musia?y mi?pom?c wej?? po?schodach. Wypi?em kakao, ?ykn??em okr?g?? tabletk?, po?mia?em si? troch? i?zasn??em. Gdy si? obudzi?em nast?pnym razem, Fred sta? przy oknie z?r?kami w?kieszeniach. ? Cze??, ma?y ? powiedzia?. Rozbi?e? si?, co? Wesz?a matka i?musia?em i?? do?szko?y. Pr?bowa?em protestowa?. Na?nic si? to?ju? nie zda?o. Matka pomog?a mi?za?o?y? temblak, przymocowa?a go?szpilk? na?barku, a?Boletta przygotowa?a mi?drugie ?niadanie z?jajkiem i??ledziem, ale ja, chocia? pusty w??rodku, nie by?em g?odny. Tak wi?c pow?drowa?em w?to, co?b?d? nazywa? swoim drugim ?yciem, ?yciem po?Mili, prowadzony przez niskie, prawie bia?e jesienne s?o?ce na?Kirkeveien.

Esther wychyli?a si? ze?swojego kiosku i?da?a mi?torebk? kandyzu. W?tramwaju nie musia?em kupowa? biletu. Jaka? doros?a pani ust?pi?a mi?miejsca. Konduktor pom?g? mi?zej?? po?stopniach. Przecie? chcia?em, ?eby tak w?a?nie by?o, o?tym ?ni?em, ale teraz nie sprawia?o mi?to ?adnej rado?ci, nie by?o te? ?adnego smutku, z?kt?rego m?g?bym si? cieszy?, tylko jeszcze wi?ksza pustka.

Jako jedyny szedłem przez szkolne podwroże. Było już po dzwonku. Wolno wspiłem się po schodach. Jeszcze dźwiękowało echo w asnych korytarzach, a czasami wydawało mi się, że słyszę to echo, jeszcze zanim postawię stopę. Zatrzymałem się pod klasą.

Panowała tu zupełna cisza. To było straszne. Różnica na temblaku ciężka. Zapukałem. Jeszcze przez chwilę było cicho. W końcu usłyszałem głos Kostuchy: „Proszę wejść!” Otworzyłem drzwi. Wszyscy chłopcy stali przy drzwiach i patrzyli na mnie, a na tablicy napisano wielkimi literami: „łem się na kozetce w pogotowiu. Matka siedziała obok i gładziła mnie po włosach. Wydaje mi się, że płakała. Prawą rękę miałem pozszywaną. Potem przewieziono mnie do innego pokoju i tam założono mi gips. Próbowałem podnieść rękę, ale była za ciężka. – Jak się tu znaleźliśmy? – spytałem. Matka uśmiechnęła się i pocałowała mnie w czoło. – Wzięliśmy taksówkę, Barnum. Nie pamiętasz? Pokręciłem głową. – Nie, kurczę, nie pamiętam. Ale pojechałem taksówką do domu, następnego dnia rano, z ręką na temblaku, na białym temblaku. Powoli wracała mi pamięć. Wszystko, o czym chciałem zapomnieć, stało się dla mnie jasne. Teraz nie musiałem już udawać. Stałem się tym, kim byłem. Matka i Boletta musiały mi pomóc wejść po schodach. Wypiłem kakao, łyknąłem okrągłą tabletkę, pośmiałem się trochę i zasnąłem. Gdy się obudziłem następnym razem, Fred stał przy oknie z rękami w kieszeniach. – Cześć, mały – powiedział. Rozbiłeś się, co? Weszła matka i musiałem iść do szkoły. Próbowałem protestować. Na nic się to już nie zdało. Matka pomogła mi założyć temblak, przymocowała go szpilką na barku, a Boletta przygotowała mi drugie śniadanie z jajkiem i śledziem, ale ja, chociaż pusty w środku, nie byłem głodny. Tak więc powędrowałem w to, co będę nazywał swoim drugim życiem, życiem po Mili, prowadzony przez niskie, prawie białe jesienne słońce na Kirkeveien.

Esther wychyliła się ze swojego kiosku i dała mi torebkę kandyzu. W tramwaju nie musiałem kupować biletu. Jakaś dorosła pani ustąpiła mi miejsca. Konduktor pomógł mi zejść po stopniach. Przecież chciałem, żeby tak właśnie było, o tym śniłem, ale teraz nie sprawiało mi to żadnej radości, nie było też żadnego smutku, z którego mógłbym się cieszyć, tylko jeszcze większa pustka.

Jako jedyny szedłem przez szkolne podwórze. Było już po dzwonku. Wolno wspiąłem się po schodach. Jeszcze długo słyszałem echo własnych kroków, a czasami wydawało mi się, że słyszę to echo, jeszcze zanim postawiłem stopę. Zatrzymałem się pod klasą.

Panowała zupełna cisza. To było straszne. Ręka na temblaku ciążyła. Zapukałem. Jeszcze przez chwilę było cicho. W końcu usłyszałem głos Kostuchy: – Proszę wejść! Otworzyłem drzwi. Wszyscy chłopcy stali przy ławkach i patrzyli na mnie, a na tablicy napisano wielkimi literami: *Brakowało nam Ciebie, Barnum*. Miałem ochotę zawrócić, ale Kostucha zaciągnęła mnie do katedry, a tam stał kołacz, który dziewczynki z równoległej klasy upiekły w szkolnej kuchni, musiałem zjeść pierwszy kawałek, pokryty gęstym, szarym lukrem i twardymi rodzynekami, a Kostucha pomogła mi zdjąć tornister i zaprowadziła mnie na miejsce. *Brakowało nam Ciebie, Barnum*. Żułem i żułem, nie mogłem przełknąć ciasta, a kiedy na półmisku już nic nie zostało, Kostucha powiesiła planszę z kolorowym rysunkiem, przedstawiającym flaki w ręce i pokazała na mnie. – Możesz nam teraz opowiedzieć, co się stało, Barnum. Ale ja nie miałem nic do powiedzenia. Usta miałem pełne ciasta i kłamstw. Kostucha tylko się uśmiechnęła i wskazała na planszę. – No, dobrze, Barnum. Ale ręce to nasze najważniejsze narzędzia do pracy. W pozycji stojącej koniuszek środkowego palca sięga mniej więcej do połowy uda. Ale prawa ręka jest na ogół o pół centymetra dłuższa od lewej, ponieważ używamy jej znacznie częściej. Nagle urwała. – I z czego się śmiejecie? – spytała, bardzo głośno, bo wszyscy w klasie, z wyjątkiem mnie, pochylali się nad ławkami, czerwoni na twarzach, i zanosili się od śmiechu, prawie się ucieszyłem, bo było teraz tak, jak bywało przedtem.

Kostucha zeszła z katedry z uniesionym w górę wskaźnikiem. Przełknąłem resztki ciasta, a Kostucha nagle zwróciła się do mnie i opuściła wskaźnik. – Mówiłeś coś, Barnum? Nic nie powiedziałem, nic takiego, co bym usłyszał, więc przestraszyłem się, że z moich ust wydobywają się niesłyszalne słowa, koścista cipa, teraz wszyscy patrzyli na mnie, musiałem coś powiedzieć, zadałem więc pytanie, bo pytanie nie może chyba być kłamstwem? – Podpisze mi się pani na gipsie? Kostucha zawahała się przez moment, jakby zupełnie nie wiedziała, co robić. Potem poszła po pióro i wolno, trzęsącymi się literkami napisała swoje nazwisko na gipsie: *Magister K. Haraldsen* i rozległ się dzwonek.

A na przerwie cała klasa ustawiła się w kolejce, żeby podpisać mi się na rękę.

Dziewczyny z równoległej klasy też przybiegły, w końcu prawie cała szkoła złożyła podpisy na gipsie, aż przyszła kolej na Prebena, pozostali chłopcy stali w gromadce, chichocząc, bo na szkolnym podwórzu wszyscy wiedzą wszystko, każde wypowiedziane słowo jest przekazywane dalej, tu nie ma żadnych tajemnic, tu krążą plotki. Wkrótce zabrakło miejsca dla kolejnych nazwisk. – Wiesz, dlaczego prawa ręka jest dłuższa? – spytał Preben. I sam odpowiedział: – Bo nią walisz konia. Podpisał się obok Kostuchy. – Teraz lewa ręka tak samo ci się wydłuży – dodał i dołączył do reszty, do kręgu śmiechu.

Nie przestawali się śmiać. Ja też się roześmiałem. – Chyba że ty mi będziesz walił konia – odparowałem. Zrobiło się zupełnie cicho. Patrzyli na mnie spod oka. Podsunęli się bliżej.

Przyglądali się nam wszyscy na szkolnym podwórzu. Ale nie mogli mnie teraz słuć.

Wiedzieli o tym. I ja o tym wiedziałem. Prosiłem się o lanie odsunięte na czas nieokreślony.

Kiedy wróciłem do domu, Fred wciąż stał pod oknem z rękami w kieszeniach. Usiadłem na łóżku. – Ojca jeszcze nie ma? – spytałem. Fred się odwrócił. – Kogo? – Ojca – powiedziałem. Wyjechał w podróż? – O kim ty mówisz, Barnum? W jego oczach znów pojawił się ten mrok, mrok drżący w głębi jego oczu. – O Arnoldzie – szepnąłem. – Masz na myśli Arnolda Nilsena? Tego tłustego durnia z przylizanymi włosami? Tego, co wpada tu od czasu do czasu, zjada nasze jedzenie i pieprzy matkę? Odchyliłem się i kiwnąłem głową. Fred znów wyglądał przez okno. Wzruszył ramionami, spuścił głowę. – Nie mam pojęcia. Wyciągnąłem torebkę z kandyzem i położyłem ją na stole. Fred tylko stał. – Proszę – powiedziałem ostrożnie. Upłynęła chwila. W końcu odpowiedział: – Bardzo dziękuję. Nie wiedziałem, czy dobrze będzie, jeśli zacznę się śmiać, miałem na to ochotę, ale Fred nie ruszał kandyzu, dlatego się nie roześmiałem. – Bardzo dziękuję – powtórzył. – Proszę – powiedziałem jeszcze raz. Brązowa torebka dalej leżała na stole. – Pomożesz mi, jak ktoś będzie chciał mi spuścić lanie, Fred? Znów wzruszył ramionami. – Jak zasłużysz, to nie. Jak zasłużysz na lanie. No, wraca. – Kto? – Kto? Ten tłusty dureń, który je nasze jedzenie i pieprzy matkę. Byłem bliski płaczu. – Nie mów tak, Fred. – Dostałeś od Esther kandyz za darmo, co? Ale zanim zdążyłem odpowiedzieć, ojciec wpadł przez drzwi, podniósł mnie do góry, mało nie zgniatając mi gipsu. – Szalony chłopcze! – zawołał.

Bawiłeś się w cyrk tam wysoko pod niebem? Puścił mnie i gwałtownie obrócił się do Freda. – To ty zabrałeś Barnuma na strych? Fred dalej wyglądał przez okno. – Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię – powiedział ojciec, kładąc mu na ramieniu zdrową rękę.

Freda przeszedł dreszcz. – Zabierz łapy – szepnął. I to już. Ojciec zawahał się przez chwilę, w końcu opuścił rękę i znów przeniósł wzrok na mnie. – Chciałem tylko spojrzeć na miasto – powiedziałem. Z otworu w dachu. I spadłem. Freda w ogóle przy tym nie było.

Ojciec uśmiechnął się, otarł twarz chusteczką i powiódł palcem po nazwiskach na moim gipsie. – Proszę, proszę. Masz wielu przyjaciół, Barnum! Więcej niż ja miałem kiedykolwiek! Fred pod oknem zaśmiał się cicho. Ojciec wyjął z marynarki pięć piór wiecznych, wybrał w końcu najgrubsze, odkręcił skuwkę i wpisał się wokół całego łokcia.

Wracaj do zdrowia. Pozdrowienia, ojciec. – Gdzie byłeś? – spytałem. Ojciec zakręcił pióro i schował je do kieszonki na piersi. – Gdzie byłem? Byłem w pracy, Barnum. A skąd inaczej mielibyśmy jedzenie? Fred znów się roześmiał. Ojciec zacisnął dłoń w pięść, ale równie prędko rozprostował palce. – No, idę, zrobię też niespodziankę mamie! – powiedział, klasnął w ręce i ruszył do drzwi. – Nic nie przywoziłeś? – spytałem. Ojciec zatrzymał się gwałtownie, a jego wielka, gładka twarz jakby się rozleciała, zanim zebrał ją w uśmiechu. – Czy nic nie przywoziłem? Musiałem przecież rzucić wszystko, co miałem w rękach, i jechać do ciebie, Barnum! Wyszedł, pozostawiając po sobie słodki odór perfum, pomady i pastylek na gardło. Przez dłuższą chwilę milczeliśmy. – Może przez cały czas siedział w Valka i pił piwo – stwierdził w końcu Fred. Gębę ma jeszcze tłustszą. – Nie mógłbyś mi się też podpisać na gipsie? – spytałem. – Dlaczego? – Dlatego że wszyscy się podpisali. – Wszyscy? Pokaż. Podszedł do mnie i zaczął odczytywać nazwiska. To trwało. Czekałem. – Nie widzę, żeby Cliff Richard ci się podpisał – powiedział. Podniósł głowę. Nie wiedziałem, czy mam się śmiać, czy płakać. Nigdy nie wiedziałem, co robić, kiedy Fred tak na mnie patrzył. – Nie – szepnąłem. – A król Olav? Napisał ci coś, czy nie? – Jasne, że nie – szepnąłem. – Ale przecież powiedziałeś, że wszyscy się podpisali. – Miałem na myśli wszystkich w szkole, Fred. Znów pochylił się nad gipsem, tym razem trwało to jeszcze dłużej. W końcu puścił moją rękę. – M też się nie podpisała – stwierdził.

Nie wiedziałem, że to może aż tak boleć. Bolało tak mocno, że prawie się ucieszyłem.

Fred podniósł głowę i być może dostrzegł zmianę w mojej twarzy, bo mrok w jego oczach jakby się cofnął, jak oliwa. – Ona umarła – szepnąłem. Fred się zamyślił. – Jak ktoś będzie chciał ci spuścić lanie, to walnij go w mordę gipsem. Dobra? Dobra, Barnum? Kiwnąłem głową. Prawie się uspokoilem. Miałem teraz odwagę marudzić. – Podpisz się, co? – powiedziałem. Proszę. I Fred przyniósł pióro. Bardzo dziwnie było zobaczyć go z piórem w ręku, jakby nie pasowało do jego palców. Mógł trzymać w ręku większość rzeczy, bez najmniejszego wahania, nóż, śrubokręt, młotek, piłę, kamienie, piłkę tenisową, grzebień, oszczep, byle co, ale teraz ręka mu się trzęsła. Znow siadł przy mnie, zgarbił się i zaczął pisać na ostatnim skrawku wolnego miejsca na gipsie. Szło to bardzo powoli. Delikatnie położyłem mu rękę na karku. Był gorący i niespokojny. Słyszałem oddech i serce bijące pod cienką koszulą. W końcu strząsnął moją rękę. Do oczu znow napłynął mu mrok.

Napisał *Ferd*. – Nic nie szkodzi – szepnąłem. – Niech cię cholera – powiedział Fred. – Nic nie szkodzi – powtórzyłem. Przekreślił nieposłuszne litery, aż czubek pióra się złamał i atrament popłynął po całym ręku, pokrywając imiona niebieskimi plamami, rozrastającymi się jak cienie we wściekły wzór. Fred wstał i cisnął piórem o ścianę. – Założę się, że zrobiłeś to specjalnie! – zawołał. – Co? – wymamrotałem. – Złamałeś rękę.

Specjalnie złamałeś rękę, żeby wszyscy się nad tobą użalali! Cholera! Ale z ciebie dupek! – Tak – powiedziałem. Fred nagle umilkł. Popatrzył na mnie z góry, niemal zdumiony. – Co powiedziałaś? – Tak – powtórzyłem. Zrobiłem to specjalnie. Fred mnie uderzył. Przewróciłem się na łóżko. Fred miękko przyłożył mi dłoń do policzka. – Jak mam cię pilnować, skoro robisz takie rzeczy, Barnum? Prędko wsunął rękę do kieszeni i chciał powiedzieć coś jeszcze, ale mu się nie udało. Zabrał więc ze stołu torebkę z kandyzem i szarpnięciem otworzył drzwi, za którymi między ojcem a Bolettą stała matka z wielkim kołaczem na półmisku, Fred odsunął ich i zobaczyliśmy go dopiero w poniedziałek, a był zaledwie piątek.

Ale dużo później, kiedy gips już dawno mi zdjęto, a na chudej szarej ręce widniał siny pomarszczony szew, kiedy zacząłem już chodzić do szkoły tańca i poznałem Pedera i Vivian, Fred postanowił mnie zabrać na Cmentarz Zachodni. Nie miałem na to wielkiej ochoty, cmentarze mnie nie interesowały, od cmentarzy zapadałem na bezsenność i chudłem, ale Fred już zdążył ukraść dwa tulipany z rabatki dozorca Banga i chciał, żebym z nim poszedł, zamierzał mi bowiem coś opowiedzieć, nie miałem więc wyboru. Pożyczył mi nawet swoją welwetową kurtkę i chciałem, żeby ktoś mnie w niej zobaczył, na przykład Vivian. Nie spotkaliśmy nikogo. W pierwszej chwili myślałem, że idziemy na grób Starej, lecz kiedy dotarliśmy na ten obrzydliwie piękny cmentarz, był bowiem maj i drzewa ociekały zielenią, Fred skierował się wprost na drugi koniec, do pełnego wybojów zaniedbanego kąta na samym końcu bocznej uliczki zmarłych. Położył kwiaty przy nędznym drewnianym krzyżu, krzywo wbitym w ziemię. Nawet ja musiałem się pochylić, żeby odczytać nazwisko. *K. Schultz. 1885–1945.* – Kto to jest? – spytałem. – To mój doktor – odparł Fred. Jeszcze raz popatrzyłem na grób. Nie czułem się tu dobrze. Chciałem wracać do domu. – Siadaj – powiedział Fred. Usiedliśmy w rzadkiej, żółtej trawie. Fred rozejrzał się dokoła. To było ponure miejsce. – Ci dobrzy gniją najszybciej – powiedział.

Siedziałem całkiem nieruchomo. – Co? – Dobrzy gniją najszybciej – powtórzył Fred i prawie się uśmiechnął. Odchylił się do tyłu, a ja za nim. Patrzyliśmy na niebo, wolno poruszające się w świetle. – K. uratował mi życie – powiedział Fred. Ledwie śmiałem oddychać. – Jak to? – szepnąłem. – Właściwie nie powinienem się urodzić. Leżałem nieruchomo obok Freda, w sztywnej trawie na Cmentarzu Zachodnim. Wśród drzew chodził wiatr. Słońce unosiło się w powietrzu. Mrówka wspinała się po źdźbło trawy, z nieba wyleciał samolot. Próbowałem sobie wyobrazić, że Freda nie ma, że jestem sam, że jestem tylko ja, jedynek. Ale to mi się nie udało. Moje sny były suche, jak gdyby one także zostały zagipsowane, a teraz, chude i do niczego niezdatne, zwisały bezwładnie z niespokojnego kadłuba snu. Świata bez Freda nie dawało się wyobrazić, chociaż tyle razy pragnąłem pozbyć się go na zawsze. – Co? – spytałem. – Nie powinienem się urodzić – powtórzył Fred. Czekałem, że zacznie mówić dalej, lecz miałem nadzieję, że raczej będzie milczał. – Zostałem siłą wepchnięty w matkę – powiedział cicho.

Powinienem zostać usunięty. Wygrzebany i wyrzucony. Ale matka do niczego się nie przyznała, a potem było już za późno, doktor Schultz był tak pijany, że mnie nie zauważył. – Skąd to wiesz? – spytałem cicho. Fred się uśmiechnął. – Słucham. Podwórza.

Strychu. Wszędzie są historie, Barnum. Ale nikt mi nie może powiedzieć, kim jest mój ojciec. Ten, który zgwałcił matkę. Ten, który się w nią wdarł i ją zniszczył. Fred mówił tak dziwnie. Nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby tak mówił. Trochę tak, jakby się nauczył nowego języka albo go wymyślił. Zerwał źdźbło trawy, wsunął je do ust i odwrócił się do mnie. – Najlepiej by było, gdyby nie żył, prawda? Prawda, Barnum?

Leżeliśmy tak jeszcze przez jakiś czas, nic nie mówiąc. Zmarłem. Żałowałem, że Fred mi to opowiedział. Tyle było rzeczy, o których nie chciałem słuchać. W końcu Fred się podniósł, otrzepał koszulę z ziemi i trawy, przez chwilę stał i patrzył na te dwa tulipany i nędzny grób, którego nikt nie odwiedzał, który wkrótce zarośnie, zniknie, na dobre odejdzie w niepamięć, pamiętam, że pomyślałem wtedy: Czy człowiek może zniknąć bez śladu? – Niedługo zabraknie miejsca – powiedziałem. – Jakiego miejsca? – Dla zmarłych. Fred wzruszył ramionami. – Przynajmniej dla jednego jeszcze starczy – stwierdził tylko, zapalił papierosa i przyspieszył. Próbowiałem dotrzymać mu kroku, ale nie zdołałem. Zostawił mnie na Cmentarzu Zachodnim, ciemna chuda postać zniknęła za drzewami przy parku Frogner, a ja zostałem, zdyszany, na wąskiej żwirowej alejce, wśród lekkiego zapachu tytoniu, między wysokimi, lśniącymi nagrobkami z marmuru i okazałymi bukietami. Przyszła mi do głowy jeszcze jedna myśl, chociaż w głowie prawie nie było już na nią miejsca: zmarli też różnią się od siebie. I wtedy go zobaczyłem. Grób Mili.

W czarnym kamieniu wyryte było jej nazwisko, data urodzenia i śmierci. *Nasza najdroższa*, tak tam było napisane. Najdroższa, a już nic niewarta. Zrozumiałem nagle, że to tutaj przyprowadził mnie Fred, na grób Mili, tylko poszedł okrężną drogą. Poczułem takie ciepło dla niego, tak, w tej chwili go kochałem, mocno i bezwarunkowo, i rozplakałem się szczerze nad nim, nad moim półbratem. Wróciłem do doktora Schultza, zabrałem jeden tulipan i położyłem go przy nagrobku Mili. Przez chwilę zastanawiałem się, czy mam przynieść pierścionek, ale zrezygnowałem z tego pomysłu. Mógł zostać tam, gdzie leżał. Później o nim zapomniałem. Zapomniałem nawet o sobie samym, tyle miałem innych rzeczy do pamiętania. Ale kiedy Vivian spodziewała się Thomasa i wprowadziła się na strych na Kirkeveien, przerobiony na mieszkania w czasach, gdy miasto zalały pieniądze, pewnego wieczoru siedziałem tam pod ukośnym oknem w dachu i piłem, bez radości, lecz świadomie i z uporem, by przyspieszyć zapomnienie, coś mi się zamiast tego przypomniało, właśnie ten pierścionek, który najprawdopodobniej tkwił gdzieś w ścianie, zamurowany, przypomnienie sobie tego sprawiło mi pewną radość, pierścionek z literką M, pierwszą literą w imieniu dziewczynki, która nigdy pierścionka nie dostała, chociaż był kupiony dla niej. Śnieg padał na ukośne okno. A ja, pijąc wśród wzlotów i upadków, pomyślałem: Nie przemijamy bez śladu. Ciągniemy za sobą kilwater, który nigdy całkiem się nie zamyka, rozdarcie w czasie, które z takim wysiłkiem zostawiamy za sobą.

(biegun północny)

Fred mnie obudził. – Idziemy na Biegun Północny – szepnął. Natychmiast oprzytomniałem. – Teraz? Fred kiwnął głową. – Boletta tańczy, Barnum. Pospiesz się. Fred już się ubrał, w sweter, wiatrówkę, śniegowce, dwie pary spodni, czapkę, rękawiczki i szalik. Natychmiast zaczęłam się ubierać, zamiast śniegowców założyłam traperki. Szliśmy przecież na Biegun Północny. Nie mogłem ryzykować. Był środek nocy.

Fred nawet spakował plecak, były w nim herbatniki owsiane, papierosy, latarka kieszonkowa, kawa, termos i zapalki. Matki nie budziliśmy. Spała za ojcem, który ciężko dyszał przez nos, wydając przy tym za każdym razem drżący ciemny odgłos, od którego zasłona falowała, cały pokój się trząsał, ojciec przypominał wieloryba, który wznosił się z białego dna prześcieradła, żeby po raz ostatni zaczerpnąć tchu. Wymknęliśmy się na podwórze. Stały tam już przygotowane sanki. Fred sznurkiem przywiązał do nich plecak.

Przeciagnęliśmy sanki przez bramę i rozpoczęliśmy trudną wspinaczkę po Kirkeveien.

Była taka cisza. Na bezgłośnym niebie nie było wiatru. Śnieg świecił sam z siebie, a zasypanye po odśnieżaniu błyszcząły w świetle księżycy, wiszące nad miastem jak lśniący zamarznęty zegar. Z początku wcale nie było zimno, prawie mnie to zdumiało.

Może za ciepło się ubrałem, w długich kalesonach i rajtuzach mogło mi być za gorąco, a to przecież też niedobrze. Gdy jednak dotarliśmy do skrzyżowania, na którym swego czasu Fred przyszedł na świat w taksówce, usta wypełniło mi zimno, które niczym żelazny wachlarz rozprzestrzeniło się na twarz i ściągnęło skórę w ciasny supeł między oczami.

Fred szedł pierwszy i ciągnął. Ja szedłem z tyłu i popychałem. Posuwaliśmy się ścieżką wzdłuż płotu przy szpitalu, w którego najniższych oknach płonęły niebieskie lampy. Teraz nie słyszałem już ciszy. Słyszałem tylko płozy szorujące o twardey śnieg i traperki skrzypiące przy każdym kroku, a wkrótce nie mogłem już ruszyć żadnym palcem u stóp.

Fred odwrócił się. – Wszystko w porządku! – zawołałem. Przedzieraliśmy się dalej i o mały włos nie zabłądziliśmy przy szkolnym ogrodzie, w którym na samym końcu czarnej gałęzi wisiało jabłko jak czerwona kropla, kierowaliśmy się na wschód i mogliśmy trafić na stłoczony pak lodowy wokół Torshov, a wtedy może nigdy nie wrócilibyśmy do domu żywi. Fred zmienił kurs. Teraz księżyc świecił nam w plecy.

Minęliśmy Cmentarz Północny, widać wielu szło tą drogą przed nami i przypłacało to życiu. Nagrobki rzucały głębokie cienie. Nie poddawajcie się, niósł się szept ze wszystkich grobów. Nie poddawajcie! Ja pchałem. Fred ciągnął. Znów się odwrócił. – Te twoje traperki cholernie skrzypią – stwierdził. – Odpędzą niedźwiedzie polarne – szepnąłem. – Zamknij się – powiedział Fred. Musieliśmy przejść przez otwarte skrzyżowanie, wiatr natarł ze wszystkich stron, śnieżne nawisy odrywały się od zasp i toczyły przez powietrze jak fale, mało brakowało, a ześlizgnęlibyśmy się do zanieczyszczonych wód w okolicach Alexander Kiellands plass, a gdy wreszcie przedostaliśmy się na drugą stronę, we wszystkich otworach ciała mieliśmy śnieg.

Musieliśmy poszukać odpowiedniego miejsca, żeby odpocząć. Znaleźliśmy je na schodach za kościołem. Tam mogliśmy się schronić. Byliśmy na Sagene. Na Biegun Północny było jeszcze daleko. A pomiędzy Sagene a Biegunem Północnym rozpościerały się strome głębokie rozpadliny, rwące rzeki bystrym nurtem i wysokimi wodospadami rozcinały lód jak masło. Palce u stóp mi krwawiły, nic nie mówiłem. Fred zapalił papierosa i dał mi też pociągnąć. Księżyc zasłoniła chmura, ciemność się pogłębiła. Byliśmy sami na Sagene, w okolicach kręgu polarnego. – Pamiętasz Andréego, o którym pisze pradziadek? – spytał Fred. – Tego, którego mieli szukać? Fred dał mi herbatnika. – Wiesz, co on zabrał na wyprawę? Nie wiedziałem. Wiedziałem tylko, że poleciał balonem, który niestety rozbił się po drodze. – Dwadzieścia kilo pasty do butów – powiedział Fred. – Dwadzieścia kilo? – Właśnie to ci mówię, Barnum. – Ale dlaczego zabrał dwadzieścia kilo pasty do butów? Fred westchnął. Nie powinienem był pytać, sam powinienem się domyślić. Może chciał wysmarować nią niedźwiedzie polarne. Może chciał zostawić za sobą ślad czarnej pasty, żeby odnaleźć powrotną drogę. Fred wskazał na moje szttywne traperki. – Andrée zabrał dwadzieścia kilo pasty do butów, żeby go nogi nie bolały – powiedział. – Niegłupio – przyznałem. – Codziennie rano i wieczorem pastowałem swoje buty, Barnum. Na nic się nie zda najlepszy sprzęt na świecie, jeśli buty nie zdają egzaminu. – Ale to mu i tak nie pomogło – szepnąłem. Dwadzieścia kilo pasty do butów. Fred przez chwilę milczał.

Księżyc wybił dziurę w chmurze i przez moment mieliśmy wrażenie, że świeci na nas słońce, oślepił nas księżyc, w tę noc na Sagene, dopóki ciemność nie ułożyła się jak należy w naszych spojrzeniach. – Rzeczywiście nie pomogło – potwierdził Fred. Bez względu na to, ile pasty do butów ze sobą weźmiesz, to i tak nie możesz mieć żadnej pewności.

Zjadłem jeszcze jednego herbatnika i wypiliśmy łyk kawy z termosu. – Czy w ogóle ktoś go znalazł? – spytałem. Fred kiwnął głową i zaczął pakować plecak. – Czterdzieści lat później, Barnum. W kopcu kamieni na jakiejś wyspie. Zostało z niego tylko kilka kości.

Zeżarły go drapieżniki. Przeniknął mnie chłód. Chciałem zawrócić. Iść z powrotem tą samą drogą, o ile jeszcze ta sama droga istniała, bo może śnieg ją zawiął, może nasze ślady zniknęły, księżycem też nie mogliśmy się kierować, bo znajdował się teraz w zupełnie innym miejscu, świecił swoją pustą tarczą i nie można mu było ufać.

Siedziałem. Schody były zimne. – Myślisz, że pradziadka też zeżarły? – spytałem tak cicho, że ledwie sam mogłem to usłyszeć. Fred spojrzął na mnie. – Pradziadek zniknął w lodzie i ciągle jeszcze tam leży. Nienaruszony. – Nienaruszony? Fred przywiązywał plecak do sanek. – Lodowiec jest jak wielka lodówka, Barnum. Wszystko się w nim przechowa. Potrafiłem to sobie wyobrazić, ale musiałem zamknąć oczy: pradziadek głęboko w lodzie, gdzie czas nie ma dostępu, w tym samym wieku, w którym zniknął i umarł. Może wyciąga rękę, która również zamarzła, zanim ktoś zdążył ją ująć?. ? A?je?li l?d si? roztopi, to?co? ? spyta?em. ? Nie roztopi si?. ? Ale je?li si? roztopi, Fred? ? Zamknij si?, Barnum. Fred zacz?? ci?gn?? sanki dalej na?p??noc. Pobiegn??em za?nim.

Traperki skrzypiały. Musieliśmy przedzierać się przez rzekę, którą płynęły wielkie kawały kry, przesuwając się nagłymi bezlitosnymi zrywami. Wtedy pękł sznurek obwiązujący plecak. Mógł nam, stracićcom, przepaść cały prowiant, gdzieś pośrodku między Sagene a Biegunem Północnym, gdyby nie Fred, który położył się na brzuchu i zdołał uchwycić jeden rzemień, zanim wszystko zniknęło na zawsze w czarnej otchłani wirów w pobliżu Møllene. Wspięliśmy się na zaspę i u stóp ostatniego, decydującego zbocza zobaczyliśmy ławkę. Fred zaklął i zarzucił plecak na ramiona. – Co oni robili, jak musieli iść do ubikacji? – spytałem. Fred spojrział ponuro. – Chyba nie chce ci się srać akurat w tej chwili, Barnum? Prędko pokręciłem głową. – Tylko się zastanawiałem – powiedziałem. – A jeśli lód się roztopi, to co? – spytałem. – Nie roztopi się. – Ale jeśli się roztopi, Fred? – Zamknij się, Barnum. Fred zaczął ciągnąć sanki dalej na północ. Pobiegnęłam za nim.

Traperki skrzypiały. Musieliśmy przedzierać się przez rzekę, którą płynęły wielkie kawały kry, przesuwając się nagłymi bezlitosnymi zrywami. Wtedy pękł sznurek obwiązujący plecak. Mógł nam, stracićcom, przepaść cały prowiant, gdzieś pośrodku między Sagene a Biegunem Północnym, gdyby nie Fred, który położył się na brzuchu i zdołał uchwycić jeden rzemień, zanim wszystko zniknęło na zawsze w czarnej otchłani wirów w pobliżu Møllene. Wspięliśmy się na zaspę i u stóp ostatniego, decydującego zbocza zobaczyliśmy ławkę. Fred zaklął i zarzucił plecak na ramiona. – Co oni robili, jak musieli iść do ubikacji? – spytałem. Fred spojrział ponuro. – Chyba nie chce ci się srać akurat w tej chwili, Barnum? Prędko pokręciłem głową. – Tylko się zastanawiałem – powiedziałem.

Fred naciągnął czapkę głębiej na czoło. – Srali tam, gdzie stali – powiedział. – Srali tam, gdzie stali? – A co myślałeś? Że mieli ze sobą sracz? Nie bardzo wiem, co myślałem, ale stale się zastanawiałem, jak astronauta, alpinista, nurkowie, fakirzy i polarnicy chodzą do ubikacji. – Nansen też? – spytałem. – Nansen? Co z nim? – On też srał tam, gdzie stał?

Fred pod czapką trochę się zmęczył. Nie powinienem był pytać. Powinienem był oszczędzać siły. Wiatr się wzmaczał. Noc była wściekłym białym kołem. – Nansen srał tam, gdzie stał – powiedział Fred. Roald Amundsen też srał tam, gdzie stał. A gównu zamarzało na kość, zanim doleciało do ziemi, więc musieli się spieszyć, Barnum. Musieli się cholernie spieszyć. – Naprawdę? – Naprawdę, Barnum. Bo inaczej gówno mogło im przymarznąć do tyłka. – O cholera – powiedziałem. – No właśnie. I dlatego golili też sobie tyłki. – Nansen? – szepnąłem. – A ty nie masz włosów na tyłku, Barnum? Nie odpowiedziałem. Właściwie porządnie nie sprawdzałem. Cieszyłem się, że nie muszę iść do ubikacji. Od dawna już tak wspaniale nie rozmawiałem z Fredem, minęło jeszcze więcej czasu, odkąd powiedział tyle naraz. A teraz dodał jeszcze coś, wstając i chyląc głowę przed wiatrem. – Po Andréem znaleźli nie tylko kości – powiedział. Ja też wstałem i musiałem mocno przytrzymać się Freda, żeby nie upaść. – A co jeszcze? – Zegarek. Taki starodawny zegarek z kopertą. W środku leżała fotografia jego ukochanej i jej włosy. – Chodził? – szepnąłem. – Chodził? Zgłupiałeś, Barnum, kto by go nakręcał? Fred podrzucił plecak tak, żeby się dobrze ułożył, i z mozołem ruszyliśmy naprzód przez ostatni odcinek wśród lodów i śniegów, ja pchałem, Fred ciągnął, i tam na szczycie, na samym końcu bezkresnego płaskowyżu, ukazały się żółte światła w wysokich oknach, a za oknami dostrzegłem ludzi, którzy podnosili ręce do góry, jak gdyby przez cały czas do siebie machali. A więc to był Biegun Północny. Ktoś nas wyprzedził. – Ktoś nas wyprzedził! – zawołałem. Przegraliśmy! – Teraz naprawdę się zamknij, Barnum. Fred przyciągnął sanki bliżej. Pobiegłem za nim. – Dlaczego nazywają to Biegunem Północnym? Fred nie odpowiedział. Zatrzymał się na chodniku przy rondzie, tak że staliśmy w cieniu między księżycem a słupem od latarni. Wpatrywaliśmy się w żółte okna. Widziałem twarze w środku. Śmiały się i rozmawiały, ale nic nie słyszałem, to były nieme rozmowy, a twarze przypominały czerwone

lampki, świecące mocno i bezszelestnie. Byli tam głównie mężczyźni, nogi ich bolały i ledwie mogli wstać, a kobiety miały białe fartuszki i czarne spódnice, chodziły z tacami pełnymi brązowych szklanek z pianą na górze, a wracały z taką samą liczbą pustych szklanek. I nagle pojawiła się Boletta. Szła między stolikami.

Mężczyźni wyciągali do niej ręce, ale nie mogli jej złapać, chcieli ją do siebie przyciągnąć, lecz ona ich odpychała. Boletta się śmiała. Boletta wspięła się na stolik, być może grała tam również muzyka, bo Boletta tańczyła na stole, mężczyźni jej klaskali, a im szybciej tańczyła, tym wolniej wszystko poruszało się w moich oczach. – Boletta chyba dobrze się bawi – szepnąłem. Fred nic nie powiedział. A Boletta tańczyła, dopóki nie zabrakło jej sił i nie osunęła się w wyciągnięte do niej ramiona, w falujące łoże skwapliwych dłoni, posadzono ją na krzesło i postawiono przed nią szklankę. Nagle nie miałem już ochoty dłużej na to patrzeć. – Idziemy? – spytałem. Ale Fred mnie zatrzymał.

I tak było już za późno. Już nas zauważono. Twarze w środku odwróciły się do nas, księżyc zrobił skok i staliśmy w jego zimnym blasku, widoczni dla tych, którzy jeszcze mogli coś zobaczyć. Później nigdy nie zdołałem zapomnieć tej sceny, która rozegrała się w środku, niemo i szybko, jak gdyby okno było ekranem, a Fred i ja staliśmy na zimnie i oglądaliśmy film, może istniała nitka w życiu Boletty umocowana tutaj, delikatna cienka nitka, która drżała, gdy Boletta tańczyła na stole, i która została przecięta, która pękła, gdy Biegun Północny zamknęto na stałe. Ale teraz w drzwiach stanął mężczyzna w białej marynarce.

Wskazał na nas. – Co tu robicie? – spytał. – Czekamy na Boletę – odparł Fred. – Bo chcemy odprowadzić ją do domu – dodałem. Biała marynarka zniknęła z powrotem w środku i wkrótce pojawiła się Boletta, wspierana przez dwóch mężczyzn, również potrzebujących wsparcia. Jeden ubrany był w coś w rodzaju munduru, przypominał dyrygenta orkiestry, która zgubiła wszystkie swoje instrumenty. Pot na ich szerokich twarzach zaraz zamarł, zmieniając się w cienki lód. – Nam nigdy nie wolno odprowadzić Bolety do domu – zawołał rozchwiany dyrygent i wybuchnął śmiechem. Drugi nie chciał być gorszy i roześmiał się jeszcze głośniej. – Boletta to ostatnia dziewczyna na Biegunie Północnym! Żaden mężczyzna nie zbliżył się do niej bardziej niż Święty Mikołaj do swojej żony! Fred zrobił krok w ich stronę, znów miał to czarne spojrzenie. – Puście moją babcię – powiedział. Pot popękał. Mężczyźni ucichli i wytrzeźwieli. – Chcecie, żebyśmy zadzwonili po taksówkę? – spytał pierwszy. – Mamy sanki – odparł Fred. Puścili Boletę.

Osunęła się w nasze objęcia i usadziliśmy ją na sankach. Była senna i ciężka. Fred otulił ją swoją wiatrówką, a ja podłożyłem jej pod siedzenie swój szalik. Dwaj mężczyźni również chcieli pomóc i ją rozgrzać, zaczęli ściągać płaszcze. Fred tylko na nich patrzył. – To wystarczy – oświadczył. Mężczyźni ubrali się z powrotem. A w oknie siedziała reszta gości i kelnerek, gapiąc się na nas, teraz wszystko odbywało się tutaj tak jak w najwcześniejszych kinach, kiedy ekran wieszano na środku sali i skrapiano oliwą, żeby był przezroczysty i żeby dało się oglądać film z obu stron. Drugi z mężczyzn, ten w mundurze, pochylił się i położył rękę na ramieniu Freda. Fred ją strząsnął. – Boletta to nasz anioł – szepnął mężczyzna. Dobrze jej pilnujcie. Pilnowaliśmy. Przywiązaliśmy Bolettę sznurkiem i zaczęliśmy ciągnąć ją do domu. Ciągnęliśmy obaj, Fred i ja, a Boletta spała na sankach. Bezpiecznie przeciągnęliśmy ją przez burzę, odnaleźliśmy drogę. To dopiero była noc. Powinny być fanfary i flagi, król i fajerwerki, trybuny i pochodnie! Ktoś powinien nas zobaczyć z Bolettą przywiązaną do sanek, w drodze z Bieguna Północnego do domu. I ktoś nas zobaczył. Bo kiedy Fred prowadził Bolettę, która przez sen szła, przytrzymując się poręczy, a ja miałem otworzyć drzwi najciszej, jak się dało, zdrętwiałymi z zimna palcami, w których ledwie mogłem utrzymać poziomo klucz, w drzwiach stanęła nagle matka, blada i zdyszana, a za nią z przedpokoju wyłonił się ojciec ze słuchawką w rękę, w szlafroku włożonym na lewą stronę. Powitanie trwało tyle czasu, ile ojciec potrzebował na rzucenie słuchawki z powrotem na widelki. Matka wciągnęła mnie w swój szlafrok. – Gdzie ty byłeś? – spytała szeptem. – Tylko na Biegunie Północnym – odparłem. Dopiero teraz zobaczyła Freda, wpychającego Bolettę na ostatnie stopnie, ojciec głośno gwizdnął, matka wciągnęła Bolettę do mieszkania, mało nie zatrzasnąwszy Fredowi drzwi przed nosem, ale prześlizgnął się w ostatniej chwili, śnieg zmienił się w błoto, ściekające z ubrań i włosów. Ojciec w końcu na dobre odłożył słuchawkę i przestał gwizdać. – Wobec tego jednak nie musimy

dzwonić na policję – stwierdził. – Milcz – powiedziała matka. Podeszła do Boletty. Boletta się przebudziła.

Stała i rozmarzała. – Że też się nie wstydzisz – szepnęła matka. Boletta nie wymówiła ani słowa. Matka nie ustępowała. – W twoim wieku! Jak ci nie wstyd? Boletta spuściła głowę, lecz chyba głównie dlatego, że zbyt trudno jej było utrzymywać ją w górze tak długo. – Już dobrze, dobrze – powiedział ojciec. Matka odwróciła się do niego. – Nie mów do mnie dobrze, dobrze! – krzyknęła. – Dobrze, dobrze – powtórzył ojciec. Zaraz obudzimy całą Kirkeveien. Objął matkę, a z niej jakby uszło powietrze. Z takim życiem musiała się pogodzić. Tak się ułożyło. Ojcu nos skrzywił się bardziej niż zwykle, wskazywał jakieś miejsce z dala od jego twarzy. – Chyba wysłemy polarników do łóżka, zanim nastąpi tu potop. Wtedy Boletta uniosła głowę i rozejrzała się zdumiona, jakby dopiero w tej chwili zobaczyła nas po raz pierwszy. – Grenlandia nie jest krainą szczególnie nadającą się do spacerów – stwierdziła. Czy się nie śmialiśmy? Śmialiśmy się. Ojciec śmiał się przez cały nos, jak zapchany klarnet, musieliśmy zatkać sobie uszy, śmialiśmy się i zatykaliśmy uszy. Nawet matka się śmiała. Nie mogła się powstrzymać, bo co innego miała robić, płakać? Matka się więc śmiała. I Fred, nawet Fred się śmiał.

Opierał się o ścianę i poddał się śmiechowi. Śmiał się, a ja na widok jego mokrej, chudej twarzy, pomarszczonej od śmiechu, uświadomiłem sobie, że nie pamiętam, żeby śmiał się wcześniej, przeraziło mnie to w takim samym stopniu, jak uradowało. Pomyślałem, że również ja mogę sporządzić swoją własną listę śmiechu, jak kiedyś ojciec, który śmiał się najgłośniej ze wszystkich, a ta lista mogłaby wyglądać tak: *Śmiech matki: albatros.*

Śmiech ojca: kukułka. Śmiech Boletty: gołąb. Śmiech Freda: kormoran. Śmiech Barnuma: alka. – Ale z czego my się śmiejemy? – spytała nagle Boletta. Kiedy to powiedziała, zapadła dziwna cisza.

Byłem przeziębiony przez dwa tygodnie. Fred odmroził sobie koniuszki obojga uszu.

A Boletta miała kaca przez siedem dni. Ale następnego dnia wcześniej rano przyszła jednak do naszego pokoju, trzasnęła drzwiami i w każdego z nas cisnęła kapciem. – Gdzie jest list? – szepnęła. Fred strzepnęła kapeć i usiadł na łóżku. – W mojej torbie – mruknął. Jego zniszczona szkolna torba z zepsutym zamkiem błyskawicznym stała pod krzesłem. Boletta wyszarpnęła ją i wysypała zawartość na podłogę. Było w niej całkiem sporo rzeczy: cztery kamienie, nóż, trzy drugie śniadania, złamany ołówek, śrubokręt, plakietka mercedesa, pusta butelka po coli, zapalki, paczka papierosów Hobby, bibułka do skrętów, łańcuch rowerowy, dwie zakrętki, kondom, zeszyt, a w końcu pojawiła się też koperta, Boletta wyjęła list, chcąc się upewnić, że to naprawdę on. Tak było. Boletta odwróciła się do Freda, który siedział w łóżku z pochyloną głową i czerwonymi uszami. – Dlaczego zabrałeś go do szkoły? – Miałem napisać wypracowanie – odparł Fred cicho.

Przepraszam, babciu. Fred powiedział „przepraszam” i wydaje mi się, że się zaczerwienił.

Boletta podeszła bliżej. – Ach tak, Fred. Do rzeczy! Głowa mnie boli! Fred szukał słów.

Trudno było je znaleźć. Wbijały się na sztorc w podniebienie, wpadały do gardła, utykały w przełyku. – Przepisywałem z listu – wyszeptał wreszcie. Boletta się zawahała.

Wyglądało na to, że intensywnie nad czymś myśli. – Jaki był temat? – spytała. – Opowiedz o bohaterze – szepnęła jeszcze ciszej Fred. Boletta uśmiechnęła się i poklepała go po policzku. Fred się odwrócił. Oczy mu płonęły. – I co dostałeś z tego wypracowania? – spytała. – Piątkę – odparł prędko Fred. – Piątkę? To dopiero! Boletta podeszła do drzwi.

Tam się zatrzymała. – Nigdy nie wynoś tego listu z domu, Fred! Ty też nie, Barnum!

Zrozumiano? Nigdy! – Dobrze – powiedziałem. – Dobrze – szepnął Fred. Boletta nie ruszała się z miejsca i powiedziała teraz coś, czego nie zrozumiałem, lecz również nie zapomniałem. – Bo tu jest wszystko, od czego pochodzimy – oświadczyła i pomachała kopertą. Później przez dłuższą chwilę leżeliśmy w milczeniu. Ja się pociłem. Fred płonał. – Dostałeś piątkę? – spytałem. – Dwóję – odparł Fred. – Dwóję? Naprawdę?

Dwójka to było jeszcze mniej niż trójka. Dwójka była po drugiej stronie kreski. Dwójka nie była stopniem, lecz wyrokiem śmierci. Fred gapił się w sufit. Poduszka zaraz jakby miała stanąć w płomieniach. – Nie potrafiłem nawet przepisać – szepnął. Odwrócił się plecami i zaczął gapić się w ścianę. Ja nigdy nie dostałem dwóki. Dwójka była chyba jedyną rzeczą, jakiej nigdy nie dostałem. Wydaje mi się, że miałem gorączkę. – Mogę ci pisać wypracowania – powiedziałem. – Zamknij się. Nagle usiadł i zaczął wciągać koszulę. – Mogę ci pisać wypracowania, jak będziesz mnie pilnował – zaproponowałem. Fred wyjrzał ponad kołnierzykiem. – Nie mogę cię pilnować, kiedy jestem w tej cholerniej szkole dla matolów! Ja też wstałem. – Dlaczego właściwie do niej chodzisz? Fred zbliżył się do mnie, poprawiając koszulę. – Naprawdę nie wiesz, czy tylko udajesz? – Noo... – wymamrotałem. Fred złapał mnie za ramię i pchnął do tyłu. – No to powiedz, ty matole! – Ty powiedz – szepnąłem. – Bo urodziłem się w pieprzonej taksówce! Fred znów się zaczerwienił, narzucił resztę ubrania i podszedł do drzwi. – Nie chce mi się, cholera, więcej z tobą gadać. Po prostu wyszedł. Wydaje mi się, że to się działo w niedzielę. Było dość cicho, a ja miałem zapchany nos. Nasze ślady już dawno zasypało. Jakiś ptaszek usiadł na drucie i poproszył śnieg. Sprzątnąłem rzeczy Freda. Wszystko włożyłem na miejsce do jego torby. Ale zajrzałem do zeszytu, na moment. Nic w nim nie było. Strony były czyste. Zamknąłem oczy. Potem zakradłem się do Boletty. Leżała na otomanie z kawałkiem lodu na czole, a wytopiona z niego woda strumykami spływała w zmarszczki na twarzy. List, wszystko to, od czego pochodziliśmy, leżał pod jej dłońmi. Wysunąłem go.

Zacząłem czytać. Mieliśmy przejść przez półwysep, aby sporządzić mapę fiordu po jego drugiej stronie, gdyż fiord skuty był lodem, nie mogliśmy więc wpłynąć statkiem.

Mieliśmy do przebycia 5–6 duńskich mil i tyleż samo z powrotem, lecz Grenlandia nie jest krainą szczególnie nadającą się do spacerów. Boletta otworzyła oczy. Wyglądała, jakby płakała. Zmarszczki okazały się zbyt płytkie i woda poląła jej się po policzkach. – Dlaczego Grenlandia tak się nazywa, skoro tam jest tylko lód? – spytałem. – Ponieważ pierwsi ludzie, jacy tam przybyli, zobaczyli piękny kwiat, który nazywa się *Convallaria*, Barnum. Z powrotem włożyłem list w jej dłoń. – Ale dlaczego to się nazywa Biegun Północny? Boletta się uśmiechnęła. – Bo piwo tam jest bardzo zimne.

(szkoła tańca)

To zresztą Boletta zapisała mnie do szkoły tańca. Przyszła do naszego pokoju, był początek września, w dodatku środa i resztki lata wisiały na drzewach na Kirkeveien, coraz rzadsze, wkrótce nie będzie już w ogóle czego ogrzewać, zostaną puste gałęzie, kiedy jesień zamknie piec i przeciągnie stalowym grzebieniem przez miasto.

Odrabiałem lekcje z higieny, bardzo się starałem, pisałem w zeszycie tak wolno, że nawet Fred mógłby przeczytać, gdyby mu się chciało. *Gdzie zaczyna się proces trawienia?*

W ustach. Freda zresztą nie było, poszedł się włóczyć, jak mawiała matka, wzdychając:

Fred znów się dzisiaj włóczy, mówiła, a ja wyobrażałem sobie cień Freda, niespokojny i chudy, chodzący po ulicach i parkach, mijający bramy i mosty. Boletta przysiadła na brzegu łóżka i położyła mi palce na kolanach. – Jutro zaczniesz chodzić do pani Svae na Drammensveien, Barnum. Wypuściłem wszystko, co trzymałem w rękach, ołówek, długopis, gumkę, linijkę, kredkę, szklaną kulkę i bibułę, i odwróciłem się do niej. – Do Svae? – szepnąłem. Do szkoły tańca? Boletta roześmiała się i pochyliła nade mną. – To chyba nic strasznego. Przecież nie idziesz do wojska. Ale ja słyszałem historie o Drammensveien, o ostatnim piętrze Budynku Handlu, o pani Svae, która miała prawie dwa metry wzrostu, była cienka jak skrzypce i zmuszała chłopców, żeby z nią tańczyli, i nie dość na tym; aby raz na zawsze nauczyli się trzymać prosto, umieszczała longplay z Eddiem Calvertem pomiędzy sobą a nieszczęsnym chłopcem, i modlić musiał się ten, kto ośmielił się zgarbić, pozwalając płycie upaść na podłogę. Ale nie tego się obawiałem. Do starych kobiet byłem przyzwyczajony. Bałem się dziewcząt, pięknych dziewcząt i innych chłopców. – Muszę, babciu? Boletta pokręciła głową, jak gdyby nie wierzyła własnym uszom. – Nie zamierzasz chyba przejść przez życie, nie umiając tańczyć? Prawda? Rumba.

Cza-cza. Tango! Pomyśl o tangu, Barnum! Pomyśl, co cię może ominąć! Długo myślałem, ale nie o tangu, cza-czy ani rumbie. Myślałem o wszystkim, co chciałem, żeby mnie ominęło, i o tym, że w życiu omija człowieka większość rzeczy, i że to pociecha marna, lecz mimo wszystko pociecha. – Dlaczego Fred nie chodził do szkoły tańca? – spytałem.

Boletta spojrzała w sufit i westchnęła. Skóra na szyi jej się poluzowała, zwisała jak wąski pomarszczony naleśnik między brodą a piersią, zupełnie płaską pod letnią sukienką w kwiatki, w której jeszcze chodziła. Wkrótce jesień ściągnie ją z Boletty i spakuje lato na dobre. – Z Fredem jest inaczej – powiedziała tylko. – Jak to? – Fred nie urodził się do tańca. Jutro o szóstej, Barnum. Chciała wyjść, ale ją zatrzymałem, jej ręka w dotyku była chuda i twarda. – O co chodzi, Barnum? Słońce wypełniło całe okno niemal czerwonym blaskiem, był to chyba najmiłszy moment w naszym pokoju, w pokoju moim i Freda, kiedy ostatnie promienie prześlizgiwały się nad wzgórzem między blokami, i wpadały do nas.

Nie trwało to długo, zaledwie kilka sekund, lecz warte było zauważenia. Potem cienie wokół nas nasunęły się z powrotem na swoje miejsca. – Chyba trudno nauczyć się kroków? – spytałem. – Kroków? Boletta znów się roześmiała, jej oddech owionął mi twarz. Czy tak właśnie pachnie starość – jak po otwarciu drzwi do pokoju, do którego od dawna się nie wchodziło? W kątach Boletty na pewno było teraz mnóstwo kurzu. Zrobiłem krok do tyłu, jakbym już zaczął tańczyć, ona chyba się nie zorientowała. – To nie na krokach polega – powiedziała. Chodzi o to, żeby umieć p r o w a d z i ć. – Prowadzić? – Tak, p r o w a d z i ć, Barnum. Zwyczajnie objąć kobietę, życzliwie i zdecydowanie, i poprowadzić. Kobiety uwielbiają mężczyzn, którzy potrafią prowadzić. Ale od czasu do czasu musisz trochę popuścić, żeby to im się wydawało, że prowadzą. Na pewno z czasem to zrozumiesz. – Naprawdę? – Ależ tak, Barnum. Jak ci to wejdzie w krew. A dłonie musisz mieć suche i mocne. Możesz pożyczyć ode mnie talku. Wyobrażasz sobie bezwładną spoconą rękę, sunącą po plecach i biodrach albo w ogóle nie wiadomo gdzie?

Wzdrygnąłem się i spuściłem wzrok. – Myślisz, że ktoś będzie chciał ze mną tańczyć, babciu? Boletta ujęła mnie pod brodę i wolno podniosła mi głowę. – A dlaczego nie, Barnum? Dlaczego kobiety miałyby nie ustawiać się w kolejce, żeby z tobą zatańczyć?

Twarz zrobiła mi się ciężka, lecz Boletta ją podtrzymywała. Delikatny słodki zapach uniósł się z jej oczu, a może z włosów, tak, raczej z włosów, ściągniętych w siwy kok na karku, był to jedyny jej zapach, który lubiłem, był jak deser. – Dlatego że jestem od nich niższy – szepnąłem. Puściła mnie, wyjrzałem przez okno. Uliczne latarnie rzucały wąskie cienie. Wciąż czułem dotyk jej palców, jak zagłębienie w skórze. – Co za gadanie!

Myślisz, że kobiety to obchodzi? Tych kilka centymetrów? Bylebyś tylko mocno je trzymał, Barnum, a p o p r o w a d z i s z je dokładnie tam, gdzie zechcesz. Chciałam też powiedzieć jeszcze jedną rzecz – dodała. Zerwał się wiatr, nie widziałem tego, słyszałem tylko szelest drzew i lasu, który uniósł się nad miastem i wypuścił swój mrok. – Co takiego? – szepnąłem. Boletta znów uniosła mi twarz. – Nigdy nie patrz w dół. Patrz im w oczy, Barnum. Inaczej nigdy nie dojdiesz z nimi do ładu, Barnum. Popatrzyłem jej więc w oczy, uśmiechnęła się i prędko pocałowała mnie w czoło. – Jutro o szóstej u pani Svae!

Nie zapomnij! I wyczyść paznokcie!

Boletta zrobiła kilka krzywych kroków, obróciła się dookoła własnej osi i zniknęła ze śmiechem, jak gdyby śmiech ukłonił się jej i zaprosił ją do tańca. Może w taki sposób wychodziło się z Bieguna Północnego, lecz z całą pewnością nie ze szkoły tańca pani Svae. Gdyby ktoś mnie poprosił, oznaczałoby to płacz, płacz pochyliłby się nad moją twarzą i zakrył mnie sztywnymi włosami. Spakowałem zeszyt do higieny, uznając, że już nic tego wieczoru nie zrobię. *Ile razy należy żuć jedzenie? Dwadzieścia sześć. Jedzenie należy żuć dwadzieścia sześć razy, bo inaczej można się nabawić kataru żołądka, zaparcia, zapalenia przelyku, opuchlizny dziąseł, popsutych zębów, przepukliny i garbu.*

Nie zjadłem kolacji i położyłem się przed dziesiątą, chociaż nie byłem za bardzo śpiący i właściwie nienawidziłem tego rozciągającego się momentu przed zasypianiem, kiedy tylko się leży, a czas rozszerza się jak guma, jak nawias, nadyma się jak niebieski balon, aż pęknie z otępiałym hałasem z tyłu za czołem, z trzeszczeniem w oczach, jak żarówka, która się przepala, rozbita przez ciemność. Miałem w głowie za dużo prądu. Moje myśli myślały dalej, jeszcze długo po zgaszeniu światła. Patrz im w oczy, powiedziała Boletta.

Musiałbym do tego użyć szcudeł albo odchylić głowę tak mocno w tył, że złamałbym kark. Kto zechce tańczyć z takim knypkiem jak ja? Dotknąłem swojej dłoni. Była lepka, prawie mokra, kto zechce mieć do czynienia z taką gąbką, powinienem ją przynajmniej powiesić gdzieś, żeby wyschła, odciąć dłoń i przypiąć ją klamerką do sznurka między majtkami, sznurówkami do butów i czarnymi pończochami. Gdy tak leżałem w wąskim łóżku, myśląc o najgorszym, pragnąc włóczyć się po mieście tak jak Fred, bo ten, kto się włóczy, nie ma zbyt wielu czasu na myślenie, ten, kto się włóczy, jest wystarczająco zajęty włóczęgą, usłyszałem szum maszyny do szycia w salonie, starego singera matki, i to było coś. Lubilem ten dźwięk, prawie się przy nim uspokoiłem, ów odgłos łątał rozdarcia w ciemności, przyszywał fastrygą powieki do policzków i sprawdzał szwy nocy.

Zasnąłem, śniąc o tym, że wędruję przez świat, niosąc maszynę do szycia, był to jeden z tych miłych snów, to ja naprawiałem świat, to ja we śnie wyszywałem ścieg za ściegiem na długiej niebieskiej taśmie. Przebudziłem się nagle, kiedy Fred wrócił do domu, a może to on mnie zbudził, celowo, w każdym razie nie spałem. Fred siedział na swoim łóżku i ściągał buty, nie rozwiązując przy tym sznurówek, zwykle tak robił, lampa na suficie była zapalona. – Matka skraca moje spodnie – powiedział. Mocniej otuliłem się kołdrą. – Naprawdę? – *Yes, Barnum.* Moje szare spodnie sprzed dwóch lat. Skraca je co najmniej o pół metra. Nie ruszałem się. Słuchałem. Nie słyszałem już maszyny do szycia. Słyszałem w głowie tylko błyszczące nożyczki, te, które przecinają szwy, prują świat. Fred roześmiał się i położył na łóżku w ubraniu. – To największy zakład, jaki widziałem, Barnum. Wydaje mi się, że to rekord świata. Rekord świata w skracaniu spodni.

Zacząłem myśleć o lekcjach na jutro. Gdzie rozpoczyna się proces trawienia? W ustach.

Na języku. W palcach, które podnoszą widelec z talerza. W dłoni, która przynosi żywność do domu. Myślałem o Mili, z którą nie będę mógł zatańczyć, która być może nigdy z nikim nie tańczyła. – Śpisz, Barnum? – Nie – szepnąłem. – No to powiedz coś. Długo leżałem cicho. W końcu spytałem: – Gdzie byłeś? – Nigdzie. Fred też przez jakiś czas się nie odzywał. Chyba się śmiał. Bałem się sprawdzić. Bałem się zgasić światło. – Zaczynasz chodzić do szkoły tańca, Barnum? – Nie wiem – wyszeptałem. Może. – Nie wiesz? Nie udawaj głupiego. – Boletta mnie zapisała. Fred roześmiał się jeszcze głośniejszym śmiechem skierowanym do wnętrza, wysysał powietrze z pokoju. – Mógłbyś raczej pożyczyć narciarskie spodnie do kolan, Barnum. Nie byłoby fajnie? Lakierki i narciarki. Tylko nie zapomnij kijków. – Nie mów tak, Fred, dobra? – A jak dziewczyny będą próbowały cię ośmieszyć, to powiesz po prostu, że to moje spodnie. To spodnie mojego brata, tak powiesz, prawda? – Tak cię proszę, Fred. Przez chwilę milczał. – Ryczysz, Barnum? – Nie ryczę. – Właśnie że tak. Ryczysz. Słyszałem. Ryczysz, Barnum. – Nie ryczę. Fred usiadł na łóżku. – Ryczysz o wszystko. Tchórz z ciebie, Barnum. – Nie ryczę! – krzyknąłem. Wcale nie ryczę! – Możesz mi odpowiedzieć na jedno pytanie, Barnum? Jeśli nie chcesz chodzić do szkoły tańca, to dlaczego po prostu nie odmówisz? Nie odpowiedziałem. Fred podszedł do drzwi i zgasił światło, lecz akurat w chwili, gdy stał z palcem na wyłączniku, odwrócił się do mnie i wolno pokręcił głową, wyglądał niemal na zasmuconego, nie rozzłoszczonego, tylko zasmuconego. – Cholera, nie rozumiem, po co mi taki ktoś do kolekcji. Właśnie tak powiedział. Właśnie tych słów użył. D o k o l e k c j i. Jakbym był znaczkiem pocztowym, autografem, plakietką samochodową albo kapslem od oranżady.

Położył się i wkrótce usłyszałem, że zasnął. Ale ja dalej leżałem, rozmyślając. Myślałem o spodniach, wyobraziłem sobie spodnie Freda z największym zakładem na świecie i za długi blezer, siebie samego w tym ubraniu, w lakierkach, z żółtymi kędziorami, oto we własnej osobie Barnum z Fagerborg, obraz oślepiął ostrością, były tam też dziewczyny, dziewczyny z Skillebek, Skarpsno i Bygdøy, dziewczyny, które z pewnością będą zezować, w dodatku z otwartymi ustami, zanim przypomną sobie o dobrym wychowaniu i mimo zła będą skrywać śmiech, drwiący śmiech i uśmieszki za szczupłymi dłońmi pełnymi pierścionków, potem przysuną twarz do twarzy i będą cicho ze sobą rozmawiać, na tyle cicho, żebym mógł to usłyszeć. Patrzcie na tego pigmeja, nie nadaje się do żadnej kolekcji, trzeba uklęknąć, żeby się z nim przywitać, tak na pewno będą mówiły, a potem odwrócą się do mnie plecami, jakbym był powietrzem, z którym nie warto nawet mieszać perfum, i najprawdopodobniej będę musiał tańczyć z panią Svae z płytą długogrającą na brzuchu, a w tańcu rozprują się szwy zakładu, który opadnie mi na buty i dalej na podłogę, wszystkie pary znieruchomieją w walcu i będą się gapić na mnie, pełnącego do drzwi, ciągnącego za sobą nogawki spodni z wołaniem, że to nie moje spodnie, tylko Freda, mojego przyrodniego brata, tego idioty, który nie umie pisać, to jego spodnie, to jego wina, a gdy tak myślałem o wszystkim tym jednocześnie, w jednym jedynym pędzącym z wściekłą prędkością obrazie, który przesuwiał mi się przed oczami między dwiema czarnymi ramkami, znów powróciło klucie w brzuchu, od czasu do czasu się zdarzało, skuliłem się i nie zdołałem się powstrzymać. *Wyjaśnij, w jaki sposób jedzenie przesuwa się coraz dalej. Jelita mają mięśnie, które kurczą się i rozkurczają. W ten sposób jedzenie popychane jest coraz dalej.* Mój tyłek odrabiał lekcje. Wypląnęło ze mnie.

W ciemności zamknąłem oczy. Ciekło. Gdybym sam mógł zdecydować, najchętniej bym teraz umarł. Piżama lepiła mi się do ud. Było gorąco i mokro. To niemożliwe. Fred się obudził. Usłyszałem jego oczy. Leżałem tak nieruchomo, jak potrafiłem. Jak długo można tak leżeć? Ile maszyn do szycia jest na świecie? I czy jest tyle samo nożyczek? Cień Freda poruszył się niespokojnie. – Coś ty zrobił, Barnum? – Nic. – Nic? Zrobiłeś nic? – Słowo honoru, Fred. Nie będziesz spał? Gdybym leżał dostatecznie długo, to by minęło. Wszystko było jedynie kwestią czasu. Ten, kto wytrzyma, wygra albo zanudzi się na śmierć. To prawie pocięcha. Mogłem tak leżeć, pozwalając, aby czas płynął. Sekundy pracowałyby dla mnie jak stary zegar, gdybym tak leżał aż do śmierci, mógłbym wyciągnąć szufladę pełną papieru toaletowego i minuty by po mnie posprzątały. Podjąłem decyzję. Nigdy więcej nie wstanę. Będę tu leżał, a to łóżko stanie się moim grobem. Fred zapalił lampę i spojrzał na mnie. – To niemożliwe – powiedział. – Co, Fred? – Niemożliwe – powtórzył.

Kapało na podłogę rzadką brunatną cieczą, byłem kloaką, rynsztokiem, kiblem, w którym ktoś zapomniał spuścić wodę. Podałem się, bo co innego mogłem zrobić. – Pomóż mi – szepnąłem. Pomóż mi, Fred. Fred przez chwilę stał, obydwiema rękami zatykając nos.

Potem otworzył okno i podszedł do mojego łóżka. Długo przy nim stał i na mnie patrzył. – Co my z tym zrobimy, Barnum? Tylko pokręciłem głową, i to ledwie, bo wszystko we mnie było luźne. – Nie wiem. Pomóż mi, Fred. Długo się zastanawiał, nawet chłodne powietrze z ciemności na dworze nie mogło zagłuszyć mojego smrodu. – Zawołać mamę? – Raczej nie – szepnąłem. – Przyprowadzić twójgo ojca? Fred roześmiał się, zanim zdążyłem odpowiedzieć. – Nie, do diabła, nie ma go w domu. Gdzie twój ojciec, Barnum? Ten z loczkiem. – Nie wiem – odparłem równie cicho. Może w pracy. – Jasne. Na pewno jest w pracy. No a gdzie jest mój ojciec? Mam zawołać mojego ojca? – Nie wiem – szepnąłem. – Czego nie wiesz? – Gdzie jest twój ojciec. Fred się uśmiechnął. – Mylisz się, Barnum. Nie wiesz, kto jest moim ojcem. To jak mam go zawołać? Nic nie powiedziałem. Fred pochylił się nade mną. – No, musimy jakoś po tobie posprzątać – stwierdził wreszcie. – Jak posprzątać? – spytałem ostrożnie. Fred westchnął i cofnął się pod okno. – Wyrzucić to gównno i zmienić pościel. Może ciebie też wyrzucę. – Myślisz, że mama się nie zorientuje? – Że cię wyrzuciłem? Będzie mi dziękować, Barnum. – Nie mów tak, Fred, dobra? – Jesteś taki mały, że nikt nie zauważy, że cię wyrzuciłem. Powiem tylko, że wpadłeś do odpływu i zniknąłeś. Chyba znów zacząłem płakać. Fred podszedł bliżej. – Masz jakiś lepszy pomysł? – spytał. Ale ja nie miałem lepszego pomysłu. Wstałem wolno, cały sztywny, z pizamy wypłynęła kupa. Fred gapił się na mnie Tego miał nie zapomnieć.

Potem wyszedł. Bezszelestnie zamknął drzwi. Nikt nie potrafił poruszać się tak cicho jak Fred. Stałem przy łóżku. Może on nigdy nie wróci. To do niego podobne, zostawić mnie we własnym gównie. Było mi zimno. Nie płakałem. Fred wrócił. Przyniósł świeżą pościel i wielki kawał szarego papieru. Już wcześniej przestałem pytać. Nic więcej nie chciałem wiedzieć. Fred mógł robić, co chciał. Zdjął poszwę i prześcieradło, poskładał i wszystko położył na papierze, potem odwrócił się do mnie. – Ściągaj pizamę. Rozebrałem się.

Stałem nagi. Trochę marzłem. Fred zmierzył mnie wzrokiem i się uśmiechnął. – Mogę cię o coś spytać, Barnum? Kiwnąłem głową. – Jakie to właściwie uczucie, kiedy się jest takim cholernie małym? Spuściłem wzrok. Miałem gęsią skórkę. Piekło i swędziało tam, gdzie po mnie spłynęło. A potem powiedziałem, chociaż nigdy nie przypuszczałem, że to powiem: – Trochę samotnie. Fred podniósł wzrok i popatrzył mi w oczy, nie trwało to długo, tylko sekundę, mniej niż sekundę, ale patrzył mi w oczy, nieoczekiwanie, jak gdyby był równie zaskoczony jak ja, i może poczuł coś, coś swojego, może zobaczył cień tej czerni również w moim spojrzeniu, zobaczył, że mimo wszystko jesteśmy braćmi. – Zatańczymy, Barnum? Fred położył mi rękę na ramieniu. Skuliłem się. On się roześmiał, cicho, niemal bezgłośnie, tuż przy mojej twarzy. Puścił mnie równie prędko, obwiązał paczkę sznurkiem, wziął ją pod pachę i znów wyszedł. Wydawało mi się, że słyszę jego szybkie kroki na kuchennych schodach. Przemknąłem do łazienki i najciszej, jak umiałem, wziąłem prysznic. Brunatna woda zebrała się przy odpływie, nagle poczułem mdłości, próbowałem ją wdeptać, wreszcie popłynęła przez rury, do ścieków pod mrokiem miasta i dalej do fiordu w okolicy kei Freda Olsena, gdzie w cuchnącym mule na dnie żyją tłuste lśniące węgorze. Nasłuchiwałem. Wszystko spało. Nie było słychać żadnego odgłosu oprócz spływającej wody. Wyjąłem talk z szafki nad umywalką, obsypałem się nim, tą suchą śnieżną zawieją, i psiknąłem sobie trochę 4711 na brzuch, uda i szyję. Nikt niczego nie usłyszał. Stałem wśród wielkiego głębokiego snu. Mogłem robić, co chciałem, pośród snu innych, może byłem tylko postacią, o której śnili śpiący. Odwróciłem się do lustra i ujrzałem swoją twarz. Bładą, ledwie widoczną, kędziory wisiały wokół głowy jak popsute sprężyny. Byłem prawdziwy, bo sen nie może przejrzeć się w lustrze, to się jeszcze nikomu nie udało. Nie znalazłem czystej piżamy, ale w szufladach obok leżały majtki matki, włożyłem je więc, były na mnie za duże, chociaż matka była drobna, ale i tak mogłem je podciągnąć wysoko na pierś, miękkie i przyjemne

w dotyku, prawie nie czułem, że mam je na sobie. Przekradłem się z powrotem do naszego pokoju w majtkach matki, cały pokryty talkiem i 4711. Zmieniłem pościel i się położyłem. Zastanawiałem się, czy uda mi się do rana rozchorować. Miałem na to tylko kilka godzin. Zaczęło się już rozwidniać. Mógłbym na przykład obciąć sobie palec nożem Freda. To by była tradycja rodzinna. Ojciec miał w sumie tylko pięć palców, bo to, co zostało mu z kciuka u lewej ręki, trudno było nazwać palcem, raczej kikutem pomarszczonego ciała. Mały palec mogłem sobie po prostu odciąć. I tak nie był mi do niczego przydatny. Po zastanowieniu stwierdziłem, że właściwie jest zbędny. Nie mogłem wymyślić żadnej rzeczy, której nie dałoby się zrobić bez małego palca. Gdzie się podział Fred? Wstałem i podszedłem do otwartego okna, stanąłem w nim w majtkach matki i czułem się tak dziwnie, niezwykle, jak gdybym zmienił ciało, znów dopadło mnie ssanie w żołądku, lecz to było inne ssanie, drżące i mroczne. Musiałem oprzeć się o parapet. Czy Fred poszedł z prześcieradłem i poszwą do pralni? Gdybym stał tu dostatecznie długo, mógłbym się przeziębnić. Przy odrobinie szczęścia nabawiłbym się też zapalenia płuc. Zastanawiałem się, o czym śnią ludzie. Czy ktoś śni o mnie? Fred na pewno poszedł po prostu do śmietnika i wyrzucił całe to gówno. Zamknąłem okno, włożyłem szlafrok Freda, pachniał molami i potem, ciągnął się po podłodze. Przypominałem boksera, który trafił do niewłaściwej grupy wagowej.

Byłem muchą w szlafroku zawodnika wagi ciężkiej. Później prześlizgnąłem się do salonu.

Próbowałem prześlizgnąć się jak Fred, bo Fred włóczył się i prześlizgiwał. Maszyna do szycia stała na stole. Stare spodnie Freda wisiały przewieszane przez oparcie krzesła.

Były skrócone. Przypominały krótkie spodenki, szare krótkie spodenki w kant. Włożyłem mały palec pod igłę. Gdybym włączył maszynę, mógłbym przeffastrygować go na kawałki.

Nagle pojawiła się matka. Nie usłyszałem jej. Schowałem rękę za plecami. Matka się uśmiechnęła i otuliła nocną koszulą. – Denerwujesz się? – spytała.

Odwróciłem wzrok. – Nie możesz spać? – Musiałem iść do ubikacji. – Nie ma się czego bać, Barnum. – Wcale się nie boję. Tylko trochę się denerwuję. – To oczywiste.

Masz ochotę przymierzyć spodnie?

Pokręciłem głową. Wydało mi się, że za matką, w głębi korytarza dostrzegam cień Freda. Ktoś spuścił wodę piętro niżej, pomyślałem, że niedługo obudzimy cały dom, może moje serce, drżące w piersi, zbudzi całe miasto i resztę świata. – Jutro kupimy nowe pantofle – powiedziała matka. Nie możesz przecież zacząć nauki w szkole tańca bez nowych pantofli, prawda? – Nie mogę pożyczyć pantofli od Freda? – Raczej byłyby trochę dla ciebie za duże. Nawet jakbyś włożył dwie pary skarpet. Matka nagle podeszła o krok bliżej i zmrużyła oczy. – Znowu używałeś perfum, Barnum? Ciaśniej owinąłem się szlafrokiem. – Trochę – szepnąłem. Westchnęła przeciągle i wypuściła powietrze. – Ile razy mam to powtarzać? Nie wolno ci używać perfum. Jak myślisz, co powiedzą dziewczyny, kiedy poczują od ciebie perfumy? Na to nie znałem odpowiedzi, bo nie potrafiłem sięgnąć myślą aż tak daleko. Nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić, że zechcą się do mnie zbliżyć na tyle, żeby poczuć, jak pachnę, a gdyby się zbliżyły, musiałyby się nachylić, nie, to niemożliwe, to było jak myślenie o wszechświecie, wtedy myśl zniknęła w olbrzymim niebieskim wietrze, a kiedy docierała do miejsca, w którym przestawała myśleć, puszczała się i wolno opadała ku wnętrzu głowy, nigdy nie lądując. – Ojciec używa perfum – szepnąłem. – On używa wody po goleniu – prędko odpowiedziała matka.

A Fred nie lubi, kiedy pożyczasz sobie jego szlafrok. – Przepraszam. – Zimno ci? – Nie bardzo. Matka przeciągnęła ręką przez moje kędzioły. Uchyliłem się, a ona tylko się roześmiała. – Idź się położyć, Barnum. Tylko najpierw umyj buzię. Pobiegłem do łazienki, wsadziłem głowę pod kran i w końcu położyłem się do łóżka, ale przedtem odwiesiłem szlafrok Freda na miejsce w szafie. Słyszałem, że matka chodzi z pokoju do pokoju, jakby czegoś szukała, dawno zapomnianej rzeczy, albo może próbowała chodzeniem odpędzić niepokój, sprowadzający na nią bezsenność i złość, których nie dałaby rady skrócić żadna maszyna do szycia na świecie. Wreszcie kroki matki się zatrzymały i wtedy usłyszałem coś innego, śmiech Freda, leżał już w łóżku i śmiał się cicho, nie zauważyłem go wcześniej, sam nie wiedziałem, co mi się najmniej w tym podoba, kroki matki czy śmiech Freda, kiedy śmiał się tak jak teraz. – O co chodzi? – spytałem. – O nic. – Co zrobiłeś z piżamą i pościelą? – Nie przejmuj się tym, Barnum. Zająłem się tym. Fred nagle przestał się śmiać i usiadł na łóżku. – Słyszysz mnie? – Tak, Fred. Słyszę. – Zgadzasz się na chodzenie do szkoły tańca, ale właściwie wcale nie masz na to ochoty. Prawda? – Tak – szepnąłem. – Wobec tego pozostaje tylko jedno, Barnum. Ja też usiadłem. – Co takiego, Fred? Powiedz, Fred, dobra? – Postaraj się, żeby cię wyrzucili. Jak najszybciej. – Ale jak to zrobić, co?

Żeby wyrzucili? Fred na chwilę oparł twarz na dłoniach, prawie jakby płakał, albo coś go bolało, jakby zaatakował go taki ból głowy, jaki nachodził Bolettę w czasie burzy, jeśli poprzedniego wieczoru była na Biegunie Północnym. Nie chciałem, żeby Fred znów zrobił się groźny. Usiłowałem myśleć o lekcjach. *Jak często należy opróżniać jelita? Co najmniej raz dziennie. Co zrobić, by uniknąć zaparc? Ćwiczyć, jeść chleb razowy, owoce, warzywa, być pogodnym i czystym.*

– Ale jak można zostać wyrzuconym? – spytałem jeszcze raz. Fred podniósł głowę. – Najpierw musisz się przekonać, co robią wszyscy inni. A potem robić dokładnie odwrotnie. To właściwie bardzo proste. Fred powiedział już dość, więc położył się i odwrócił plecami. Usłyszałem gazeciarza nadjeżdżającego ulicą, wielki pęk kluczy, skrzypiące koła niebieskiego wózka, z pewnością pełnego złych wiadomości. Właściwie bardzo proste. Jeśli inni zrobią krok do przodu, ja miałem po prostu dać krok w tył, albo dwa kroki, na wszelki wypadek.

Kiedy chłopcy będą się kłaniać, ja dygnę. Poczułem się prawie szczęśliwy od samego myślenia o tym, to było jak radość w ciemności, jak gdyby z barków nagle zdjęto mi wielkie brzemię, a ciężar całego wszechświata w głowie zelżał. Jakby wypuszczono mnie na wolność. Mogłem robić, co chciałem. Fred był mądry. Kiedy wszyscy w szatni będą przebierać się w pantofle, ja wejść wprost na parkiet w buciorach, ciężkich od błota, dżdżownic, mokrych liści i psich kup, aż igła gramofonu przeskoczy o kilka rowków czarnej pamięci z dziurką w środku, w którą wryła się trąbka Eddiego Calverta. Ale kiedy pomyślałem o butach, znów zaczęło mi się ślizgać po brzuchu, skuliłem się więc w majtkach matki i z całych sił starałem się stać bezmyślny. Ale czy naprawdę można stać się bezmyślnym, zgasić jedną po drugiej wszystkie myśli, żarzące się w ciele, tak jak światła, które nocą umierają w mieście, i w końcu pozostają jedynie głęboki spokój i powolna cisza? Gazeciarz wbiegł po schodach. Nie słyszałem, żeby zbiegał. Fred chrapał, gdzieś daleko, a kiedy obudził mnie deszcz siekający w okno, już go nie było.

Wyobraziłem sobie wielki dzień, może największy w moim życiu. Matka uchyliła drzwi. – Musisz się pospieszyć, Barnum. Inaczej się spóźnisz.

Roześmiałem się cicho. Spóźnię się. To też mogłem zrobić. To było najłatwiejsze.

Mogłem się spóźnić do szkoły tańca. Istniała nieskończoność rzeczy, które można wymyślić. A kiedy tak myślałem, bo mimo wszystko bezmyślność okazała się niemożliwa, doszedłem do wniosku, że złych rzeczy na świecie można zrobić tyle samo co dobrych, a może nawet jeszcze więcej, bo kiedy człowiek zaczynał się zastanawiać nad wszystkim tym, co złego może zrobić, stawał się jakby bardziej twórczy, otwierały się przed nim możliwości, a ja byłem tego ranka w tak dobrej formie, że zdołałem ułożyć równanie, nie musząc przy tym rzygać, a mianowicie, że jeśli pomnoży się wszystko, co można zrobić właściwie, mniej więcej przez trzy, to uzyska się liczbę rzeczy, które można zrobić źle. To równanie zapisałem z tyłu zeszytu do higieny, żeby go nie zapomnieć, i nazwałem je *równaniem Barnuma*. Wtedy drzwi otworzyły się na oścież i matka znów zajrzała do pokoju. Schowałem się za tornistrem. – Hej, co ty wyprawiasz? – Odrabiam lekcje, a co innego? – Świetnie, tylko się trochę pospiesz. I pamiętaj, że masz włożyć czyste skarpety.

Matka znów zniknęła, a nitki w brzuchu zaczęły się plątać w olbrzymi supeł, musiałem skupić się na czymś zupełnie innym, żeby nie myśleć o trzustce, błonach śluzowych, sokach trawiennych, zamiast tego skupiłem się na swojej głowie, na wszystkich kablach, które łączą myśli, tak jak w Telegrafie, w którym kiedyś pracowała Boletta, mózg, mózdzek, pień mózgu, rdzeń kręgowy, a w końcu pomyślałem o tym, co lubiłem najbardziej, o rdzeniu przedłużonym, może mógł się jeszcze przedłużyć, może pewnego dnia, a najchętniej nocą, rdzeń przedłużony zacznie rosnać w dół pleców i w ten sposób wypchnie mnie w górę, ale zakręciło mi się w głowie, musiałem na chwilę usiąść na łóżku, bo myślenie o własnych myślach jest bardzo męczące, musi mniej więcej przypominać sytuację, w której wszyscy w Telegrafie dzwonią pod własne numery i w końcu pojawia się największy na świecie sygnał zajętości albo słyszą tylko swój własny, rozchodzący się kolisty głos, nieoczekiwanie z tego wszystkiego pojawił się obraz, wywołany nagle na błonie wysnuwanych myśli, jak gdybym przez cały czas właśnie do tego dążył: obraz Amerykanina Walthera, który sześć razy okrążył Ziemię i po przebyciu 256 tysięcy kilometrów wylądował z dwuminutowym spóźnieniem, odrobinę na zachód od wysp Midway, i może pomyślał, unosząc się w swojej ciasnej kapsule i widząc glob oddalający się jak niebieska moneta w czarnej studni, że jest teraz jedyną na świecie osobą, której nie ma w domu.

Ale kiedy matka zapukała do drzwi po raz trzeci i już wchodziła do środka, tupnąłem nogą i podjąłem decyzję. Zaczę się wprawiać już teraz, wprawiać się w robienie wszystkiego na odwrót. Dlatego nie włożyłem czystych skarpet, tylko te, które nosiłem poprzedniego dnia, poszedłem do łazienki, umyłem twarz i pachy, ale nie wyczyściłem zębów. Ruszyłem. Szkoda, że Fred mnie nie widział. Teraz będziemy tańczyć inaczej.

Powiedziałem do siebie: Teraz będziemy tańczyć inaczej, stanąłem na palcach przed lustrem i zobaczyłem, że moje kędziory sterczą, niczym miękkie sprężyny, jak gdybym sam siebie podnosił za włosy. Oczywiście!

Matka czekała w kuchni, spojrzenie miała zniecierpliwione, ale wargi się uśmiechały, wyglądało to jak kolizja na jej twarzy, cała skóra pełna była śladów po hamowaniu.

Usiadłem przy stoliku pod ścianą. Boletta czytała „Aftenposten”, pojawiała się za każdym razem, gdy przerzucała stronę. Nie wiem, czy zauważyli jakąś różnicę. Zresztą wszystko jedno, bo ja ją czułem, tę różnicę, w swoim wnętrzu, nawet jeśli na zewnątrz w dużej mierze wyglądałem tak samo. Nie byłem taki sam jak wczoraj. Słowa Freda uczyniły ze mnie kogoś innego, odwrotnego. – Nie, dziękuję – powiedziałem, kiedy matka podsunęła mi słodki ciemny dżem z czarnej porzeczeki, przewróciła oczami, usuwając zniecierpliwienie, lecz jeszcze mocniej nimi przewróciła, kiedy ukroiłem sobie kawałek duńskiego sera, który mieliśmy mniej więcej od śmierci Starej i który śmierdział tak, że musiał mieć własną lodówkę. Fred powiedział kiedyś, będąc w dobrym humorze, nie wiem dlaczego, to znaczy nie wiem, skąd ten jego dobry humor, że mógłbym wyprowadzić ser Starej na spacer do Stensparken, lecz musiałbym go prowadzić na smyczy, żeby nie uciekł. Śmiałem się z tego przez kilka dni. A teraz ukroiłem sobie wielki kawał, pień mózgu aż się wzdrygnął i mało brakowało, a wnętrzności by nie wytrzymały. Ale się nie poddałem. Wiedziałem bowiem, że teraz prawdopodobnie będę cuchnął tak strasznie, że nawet mnie nie wpuszczą do Budynku Handlu na Drammensveien. Może wręcz wygnają mnie z miasta, z kraju. Sprawiłoby mi to ogromną radość. Żułem i żułem, miałem wrażenie, że w ustach rośnie mi ser z całej Danii, jęczyzek wisiał jak wahadło z krwawego puddingu i kołysał się w ślinie, robił się coraz cięższy, wszystko stało się ciągliwe i powolne, wzrok matki, palce Boletty, przewracające strony w gazecie, deszcz spływający po szybach, próbowałem przypomnieć sobie lekcje, gdy tak siedziałem, a w moich ustach puszczano film w zwolnionym tempie, zastanawiałem się, kiedy zostanie puszczone od tyłu. *Dlaczego nie należy pić z jedzeniem w ustach? Ponieważ wtedy jedzenie nie zostaje zmieszane z dostateczną ilością śliny. Dlaczego nie powinniśmy mówić ani śmiać się z jedzeniem w ustach? Bo wtedy jedzenie może przedostać się do nosa albo do tchawicy.* Nie miałem się z czego śmiać ani też nie miałem nic

do powiedzenia, ser skazał mnie na milczenie. Boletta opuściła gazetę i spojrzała na matkę. – Czyżby Barnum wreszcie polubił Gammel Ole? Kilka razy kiwnąłem głową, chociaż Boletta zwróciła się do matki, a na twarzy matki wciąż tkwiła kolizja, jej spojrzenie mi nie wierzyło, natomiast wargi się uśmiechały. Boletta odwróciła się do mnie. – Dziewczeta lubią ostre zapachy u mężczyzn. Ostre zapachy i mocne spojrzenie. Tylko nie przesadz, Barnum. Matka się roześmiała: – Jak on się nie pospieszy, to będę musiała napisać mu usprawiedliwienie dla panny Haraldsen, że spóźnił się przez duński ser! – Ona się nazywa Kostucha – powiedziałem.

Ale matkę ominęło pisanie usprawiedliwienia. W książce do higieny nie było nic o tym, że nie wolno chodzić, czy wręcz biegać z jedzeniem w ustach. Porwałem tornister i znalazłem się na Kirkeveien, zanim ktokolwiek zdążył podejść do okna i rzucić za mną zydwestkę. Esther już otworzyła swój kiosk i miała ręce pełne tygodników, ale i tak machała, a wszyscy machali do Esther, dlatego ja jej nie pomachałem, tylko wsunąłem ręce głęboko w kieszenie i poszedłem dalej, zgarbiony, z ustami pełnymi sera, w stronę Majorstuen, byłem odwrotnością pelikana, miałem w dziobie dość jedzenia do końca roku i myślałem, że jeśli to dalej potrwa, to być może wyrzucą mnie w ogóle ze świata, a nie tylko ze szkoły tańca i z kraju, lecz również z całego świata, w ten sposób rozwiąże się jednocześnie większość problemów, lecz zanim dokończyłem tę myśl, oślepiła mnie biała ściana kościoła, musiałem wręcz zasłonić oczy, oślepiony poprzez krople, zatrzymałem się przy kościele, wyładowałem cały ten ser do studzienki i wysunąłem język najdalej, jak mogłem, żeby deszcz mi go splukał. Ktoś na mnie patrzył, jakiś mężczyzna na schodach prowadzących do szerokich drzwi stał pod parasolem i gapił się na mnie. Jego twarz za zasłoną deszczu była biała, palce również, uśmiechał się wszystkimi zębami, a wokół szyi miał kryzę, białą kryzę, zlewała się niemal z miękkim podbródkiem, a mnie przyszło nagle do głowy, że ten człowiek na trzecim stopniu kościoła na Majorstuen jest albo czarny, albo biały, twarz, parasol, dłonie, kryza, zęby, to był pastor, który nie chciał ochrzcić ani Freda, ani mnie. – A co to za śmieszny chłopczyk – powiedział i zszedł o jeden stopień w dół, jak gdyby chciał się lepiej przyjrzeć. Jak masz na imię? Zegar nad nim, na pobielonej wapnem ścianie, po której dzikie wino pięło się jak cienkie rozżarzone kable, wskazywał już wpół do dziewiątej. Niedługo rzeczywiście mogłem się spóźnić. Pastor wychylił się przez balustradę. Mówił teraz głośniej, lecz ja i bez tego doskonale go słyszałem. – Stoisz tu i pokazujesz mi język? Parasol zatrząsł mu się w ręce, o mało się nie wywrócił na drugą stronę, zmieniając się w czarną misę, do której pastor

mógłby zbierać deszcz. Już się nie uśmiechał. Zęby schowały się za wąskimi wargami. – Naprawdę tu stoisz i pokazujesz mi język? Złożył parasol i już przemoknięty wskazał nim na mnie. Teraz krzyczał wśród deszczu. – Schowaj ten język! Ale mnie język nie mieścił się w ustach. Coraz bardziej wystawał. Nie wiedziałem, że mam taki długi język. Mogłem go nawet zobaczyć, a bez tego widoku mógłbym się obyć. – Mam na imię Barnum – powiedziałem najwyraźniej, jak zdołałem z wyciągniętym językiem. Barnum! Pamięta pan? Pastor musiał przytrzymać się poręczy. – Tak, wydaje ci się, że cię nie poznaję? Ciebie i tego twojego nieszczęsnego brata? Uśmiechnąłem się tak jak mogłem i podszedłem o krok. – Niech cię cholera! – zawołałem i co sił w nogach pobiegłem ku Valkyrien, język udało mi się schować dopiero, gdy dotarłem do Vestkanttorget. Tam musiałem odpocząć na ławce. Pokazałem język pastorowi. Pokazałem cały język samemu pastorowi z kościoła na Majorstuen! Przekląłem przy nim! Niech cię cholera, pastarze! Szkoda, że Fred mnie teraz nie widział. Nie uwierzyłby własnym oczom. Ale to była prawda, każde słowo, i zamierzałem mu o tym powiedzieć. Po tym, co się stało, spóźnianie się do szkoły właściwie nie miało już sensu.

Już niedługo nie da się robić wszystkiego bardziej na odwrót. Nawet Bóg musiał mnie już zauważyć. Dlatego ostatni odcinek pokonałem biegiem i ledwie zdążyłem na zbiórkę, zadzwonił dzwonek i w tej samej chwili błysnęło, zdążyłem policzyć zaledwie do czterech, kiedy grzmot przetoczył się ponad szkolnym podwórzem, aż zadrżały iglice kościołów. Zaniepokoilem się. Może nadepnałem Bogu na odcisk? Może poczuł się urażony? Dziewczęta krzyknęły, a chłopcy ryknęli śmiechem i nagle tuż za mną stanęli moi dręczyciele. Nie chce mi się powtarzać, jak się nazywali, w każdym razie byli to ci sami co ostatnio, usłyszałem, że jeden z nich mówi coś, kiedy huknęło drugi raz. – Zaczyna się robić niebezpiecznie. Chyba potrzebny nam piorunochron. Teraz odezwał się któryś z pozostałych, mogło się wydawać, że ćwiczyli te zdania albo napisali je specjalnie na tę okazję, wiedziałem, co chcą powiedzieć, sam mógłbym to powiedzieć za nich, lecz zamiast tego liczyłem w duchu sekundy grzmotu i tym razem doszedłem tylko do trzech. – Może użyjemy Barnuma jako piorunochronu? I chociaż stałem odwrócony plecami, to jakbym widział, że kiwają do siebie głowami i chichoczą, bo uważali, że wpadli na najlepszy pomysł od czasu, gdy wykorzystali mnie jako sanki z kierownicą na wzgórzu Bondebakken. Pozwoliłem im na to kiwanie głowami i chichotanie, aż w końcu podnieśli mnie do góry razem z tornistrem, tak przeszliśmy do wejścia B, wokół mnie błyskało i grzmiało, Bóg się wkurzył, a ja byłem naładowany elektrycznie. Moje kędziory podniosły się jak sztywne korkociągi i mniej więcej wtedy zjawił się Kozioł, próbując zagłuszyć Boga swoim gwizdkiem, ale nie bardzo mu się to udało, więc rozdzielił nas siłą, pioruny odsunęły się kawałek, mogłem już doliczyć do dziewięciu, włosy mi opadły i ułożyły się na głowie, mniej więcej tak musiało wyglądać robienie trwałej, i nagle ogarnęła mnie ochota, żeby coś powiedzieć. Bóg to marny fryzjer, miałem ochotę zawołać to głośno, lecz powiedziałem coś innego: – To był mój pomysł. Kozioł pochylił się niżej, brwi zrosły mu się u nasady nosa niczym wielki żywopłot

na twarzy, przytrzymał jednocześnie Aslaka, Prebena i Chomika wszystkimi rękami, jakie miał, a cała szkoła stała wokół nas w kręgu, wężąc krew. – Co powiedziałaś, Barnum? – To był mój pomysł, żeby mnie podnieśli. Po krótkim, lecz gorączkowym namyśle Kozioł ich puścił, strząsnął krople deszczu z brwi i pochylił się nade mną jeszcze niżej – Z piorunami nie ma żartów, Barnum! Siłom przyrody należy okazywać szacunek! Proszę się rozejść do klas! – Bardzo dziękuję – powiedziałem. Ukłoniłem się i pospieszyłem na górę po schodach, przez resztę dnia siedziałem jak trusia w ławce, w pierwszej ławce w środkowym rzędzie, oprócz gimnastyki, bo wtedy pozwolono mi zająć się moimi własnymi ćwiczeniami gimnastycznymi, pod tym względem Kozioł był w porządku, w pewnym sensie ze mnie zrezygnował, nie kazał mi się nawet przebierać, mogłem robić gwiazdę tak wolno, że nie musiałem potem się kąpać, bo pod prysznic już nie chodziłem, tak, odkąd przytrzymali mnie za nogi, rozsunęli je jak kurczakowi i wyprawiali różne rzeczy z mydłem. Właściwie nikt mi już szczególnie nie dokuczał. Trochę tak, jakby zostało ze mnie tak mało, że nie było czemu dokuczać. Mogłem być piorunochronem i dawać się nosić na złotym tronie w deszczu, skoro tak się złożyło. Zdarzało się jednak, że ktoś próbował, na przykład wtedy, gdy chciałem się napić wody z fontanny i musiałem stawać na palcach albo podciągać się, żeby dosięgnąć strumyczka, zakute łby, korzystali z okazji, żeby pokazać, jacy są silni, moim kosztem, i wlewali mi wodę w spodnie, sadzali mnie na odpływie, żeby mi urządzić generalne mycie albo obrzucali mnie przewiskami, których niedawno się nauczyli, grzdyl, knypek, kurdupel, wypierdek. Po mnie to spływało. Nie obchodziło mnie.

Wznosiłem się ponad to, wysoko. Oby tylko dusili się powoli i boleśnie swoim własnym śmiesznym śmiechem, a potem tonęli w bezdennym płaczu z kamieniami młyńskimi u szyi i stopami uwięzionymi w butach z betonu. Ale najgorzej było, kiedy któraś z dziewcząt zaczynała mnie bronić i mówiła, że to paskudne z ich strony, czy nie mogliby zachowywać się choć odrobinę bardziej dorośle, a nie tak okropnie po dziecinnemu, czy muszą drażnić Barnuma tylko dlatego, że jest trochę mniejszy, bo przecież Barnuma powinno być żal, ponieważ dostał tak mało centymetrów w prezencie, kiedy wzrost chodził po świecie i rozdawał miary ludziom, prawda? Potrafiłem wtedy nienawidzić przez kilka tygodni, ba, miesiącami odczuwałem nienawiść, a ta nienawiść była niczym silnik poruszający ciało, jak olbrzymie dynamo, trące o oponę snów i zapalające we mnie czarne światełko, słońce na opak, przynoszące ciemność zamiast światła, wyobrażam sobie, że taka musiała być również żałoba Starej, koło zamachowe jej tęsknoty. Wtedy rosłem, w tej nienawiści przerastałem samego siebie i prawie rozumiałem, co Fred miał na myśli, mówiąc, że jest zły, zły w środku. Przestałem pić wodę z fontanny. A Bóg uspokoił się w ciągu tego dnia, kiedy miałem zacząć chodzić do szkoły tańca, zaczął postępować odwrotnie, grzmoty przetoczyły się do innego miasta, chmury się rozstały i niebo ukazało się z najlepszej strony, nieprawdopodobnie niebieskie. Spokój Boga nie trwał jednak długo. Bóg był niecierpliwy. Na ostatniej lekcji mieliśmy higienę z panną Kostuchą, nadano jej to imię na długo, zanim my nastaliśmy, przyniosła bowiem kiedyś ze sobą prawdziwą kość udową, którą pokazywała uczniom, i rozniosła się plotka, że to kość jej rodzzonego ojca, którą zachowała sobie jako ostatnią pamiątkę po nim, było to dość okropne, gdy się człowiek zastanowił, niektórzy uważali nawet, że sama otruła ojca, żeby zdobyć tę właśnie kość.

Nikt raczej nie lubił zbliżać się do Kostuchy, pachniała lekarsstwami i regularnie znikwała ze szkoły na pewien czas, zdaje się, że w okresie dorastania miała za mało słońca i niewłaściwą dietę, zapadła więc na angielską chorobę, może dlatego zabiła ojca i ukradła mu kość udową. Kiedy nieobecność panny Kostuchy przedłużała się ponad dwa dni, mieliśmy zastępstwo. To był trzeci dzień jej choroby. Już się bałem. Zastępczyni wmaszerowała do klasy energicznym krokiem, jak gdyby się z czegoś cieszyła. Wyglądała na bardzo zdrową, powiedziała „siadajcie” i w czasie, gdy siadaliśmy, uśmiechała się całą twarzą, wtedy naprawdę się zdenerwowałem, bo wiem, że z takich uśmiechów rzadko wynika coś dobrego. W wypadku złych ludzi wiadomo przynajmniej, o co chodzi. Dobrzy mogą wymyślić Bóg wie co. Powiedziała nam, jak się nazywa, napisała też swoje nazwisko na tablicy, wyleciało mi z pamięci już dawno, zresztą nie wiem, czy kiedykolwiek je zapamiętałem. Chyba nazwę ją Pijawką. Pijawka zastępowała Kostuchę.

Taki był świat. Chodziła wzdłuż rzędów i opowiadała o higienie w zeszłym stuleciu, jakby miało to cokolwiek wspólnego z nami, i że od czarnych jagód ma się dobry wzrok, nie poprzestała na tym, mówiła o zimnej i gorącej wodzie, o próchnicy zębów, śniadaniach w szkole, wapniu, płaskostopiu, garbatych plecach i złej postawie, i chociaż bałem się odwrócić, to widziałem, że Hansen i Myszowaty już załadowali linijki papierowymi kulkami i kozim serem, ale wtedy Pijawka zawróciła do katedry, otworzyła podręcznik, zrobiła daszek nad oczami i rozejrzała się po klasie. Wskazała na Myszowatego. – Jak ci na imię? Była z tych, co muszą każdego spytać o imię, zanim dopuszczą go do głosu.

Poczułem ciężar w brzuchu, ważący tyle, co worek z mokrym piaskiem. – Halvor – powiedział Myszowaty. – Czy możesz powiedzieć, Halvorze, co to jest śledziona?

Myszowaty długo się zastanawiał. – Samica śledzia – odparł. Pijawka zrobiła smutniejszą minę, próbowała się roześmiać i z kolei wskazała na Hansena. Przyszło mi coś do głowy.

Jeśli wszyscy będą źle odpowiadać, to ja mogę odpowiadać dobrze. Nie zapomniałem, co przykazał mi Fred. – A ty jak masz na imię? – Hans – powiedział Hansen. Ale może mnie pani nazywać Hansen. – Świetnie. A czy ty umiesz wyjaśnić, co to takiego dziwnego, ta śledziona? Hansen udawał, że się zastanawia przez kilka minut, ale tak wcale nie było.

Spał. On nigdy się nie zastanawiał, ale to trwało, nikt nie potrafił tak przeciągać czasu jak Hansen, raz przeciągnął go na całą godzinę, Pijawka zaczęła się niecierpliwic, uśmiech na jej wargach drżał jak trącony napięty drut. – No i co powiesz, Hans? Hansen odzyskał przytomność, Pijawka pochyliła się, jak gdyby była świadkiem przyplitwu geniuszu. – Śledziona to – zaczął Hansen z namysłem – przyrząd, którego używa się do śledzenia przestępców. Pijawka, która przyszła na zastępstwo, osunęła się za katedrę, a wtedy, rzecz jasna, jej spojrzanie padło na mnie, jakżeby inaczej. Wiedziałem, co teraz nastąpi. – A tobie jak na imię? W jej głosie pojawiło się inne brzmienie, gdy zwracała się do mnie, układał się w ustach jakby na ukos. W klasie zapanowała zupełna cisza. Wszyscy świetnie się bawili. Napięcie osiągnęło szczyt, bliżej niego była tylko ostatnia lekcja przed letnimi wakacjami. – Barnum – powiedziałem. – Co powiedziałeś? – Barnum. Pijawka zaczęła pompować sobie krew do twarzy. – Kiedy przychodzę do was na zastępstwo, macie używać prawdziwych imion. Powiedz mi teraz, jak masz na imię, zanim się zdenerwuję. – Mam na imię Barnum – powiedziałem. Pijawka wyciągnęła szufladę, wyjęła z niej dziennik, walnęła nim o katedrę i schowała twarz między okładkami. Nagle od czoła w dół zaczęła łagodnieć, przyjrzała mi się uważniej i teraz przemówiła jeszcze bardziej miękkim głosem. Właśnie to chciałem powiedzieć, ci dobrzy są okropni, bo nigdy się nie poddają. – Barnum? Czy ty, Barnum, możesz nam powiedzieć, co to takiego dziwnego mamy w ciele, co się nazywa śledziona, Barnum? Prawie pobiła rekord. Pewien nauczyciel na zastępstwie na lekcji robót ręcznych w zeszłym roku, podając mi hebel, zdołał powiedzieć „Barnum” pięć razy w jednym zdaniu. Udawałem, że nic się nie stało. – Śledziona – powiedziałem – pomaga oczyszczać krew. Poza tym w śledzienie łapie nas kolka. Pijawka klasnęła w ręce, mogła sobie tego oszczędzić. – Masz zupełnie, ale to zupełnie słuszność, Barnum. Możesz tu podejść, Barnum? Siedziałem. – Dlaczego? – spytałem cicho. – Dlatego, że jesteś

taki mądry, Barnum. – Nie mogę – powiedziałem.

Mam kolkę. Ale Pijawka tylko się roześmiała i wielkimi literami napisała na tablicy „śledziona”. – Barnum! Podejź tu, Barnum! Ześlizgnąłem się z ławki i wszedłem na katedrę. Pijawka popatrzyła na mnie, a ja wiedziałem, że ma ochotę włożyć mi rękę w kędziory. Nie zrobiła tego jednak, położyła mi dłoń na plecach. Ogarnęło mnie przeczucie, że wszystko pójdzie źle. Nie byłem już odwrotny. Byłem zły. Powinienem teraz złamać wskaźnik, cisnąć kredą, przewrócić kałamarz. Fred by się pod tym podpisał. Ale ja tylko stałem. Wszyscy w klasie wychylili się w ławkach i gapili, niektórzy z rozdziawionymi ustami, jakby najgorsze dawno już się stało. Zakręciło mi się w głowie.

Bóg ułożył jakiś plan i włączył do niego mnie. – Gdzie znajduje się śledziona? – spytała Pijawka. – Z lewej – szepnąłem. Tuż pod przeponą. Ręka Pijawki wysunęła się znów i tym razem opadła mi na głowę. Nie oparła się pokusie. Mimo wszystko nie zdołała się powstrzymać. – Ależ masz zupełną słuszność, Barnum. Śledziona leży tuż pod przeponą.

Możesz nam to pokazać, Barnum? Zgarbiłem się. – Co pokazać? – Pokazać nam, gdzie jest śledziona, Barnum. – Pod przeponą – powtórzyłem. – Tak, tak, Barnum, to już słyszeliśmy, teraz nam pokaż. Pokazałem z lewej strony. – Tutaj – szepnąłem. Ale Pijawki nie dało się powstrzymać. Złapała za mój sweter i zaczęła go podciągać. – Pokaż nam to porządnie, Barnum. A ja się poddałem. Podwinąłem sweter i koszulę. W tej samej chwili przez klasę przeleciał jęk, wszystkim zapało dech w piersiach, nawet Pijawka zachwiała się i musiała się przytrzymać katedry. Spojrzałem w dół na swoją śledzionę. Zobaczyłem majtki matki. Cienkie różowe majtki matki, koronki wisiały mi na biodrach niczym krzywy pas. Opuściłem koszulę i sweter. Ale było już za późno. Oni już to zobaczyli. Wszyscy widzieli, że pod spodniami noszę szerokie majtki matki, i nikt nigdy miał nie zapomnieć, w którym miejscu znajduje się śledziona. Wtedy rozległ się dzwonek. Przeszedłem wolno do swojej ławki, a reszta wybiegła z klasy. Nie spieszyłem się. Jeśli tylko czas będzie posuwał się dostatecznie długo, to na pewno minie. Wszystko minie, powoli, ale skutecznie pójdzie w zapomnienie, zostanie odłożone na bok, unicestwione. Czas to wielka gumka, która ściera moje życie. To była moja jedyna pociecha. Marna. Byłem przedostatnią osobą, która wyszła z klasy. Pijawka wciąż wycierała tablicę. Miała suchą twardą gąbkę. Odwróciła się do mnie ze smutkiem i zdziwieniem, teraz przyszła kolej na nią, żeby być inną, odwrotną. Litera spadały jej z palców jak biały kurz. Nie odezwała się. – Do widzenia – powiedziałem.

Kiedy wyszedłem na szkolne podwórze, cała klasa czekała przy torach tramwajowych.

Zawróciłem na pięcie i pobiegłem do drugiej bramy. Tam stała matka. Jak gdyby tego wszystkiego było mało, to teraz jeszcze matka tam stała i machała do mnie. Już słyszałem śmiech za każdym rogiem w mieście, wzdłuż każdej ulicy, za płotami i w bramach.

Słyszałem śmiech w rynnach, w studzienkach i w kanalizacji. Wyminąłem ją. Poszła za mną. – Cześć, Barnum. To ja! Czy ja o tym nie wiedziałem? Czyż cała szkoła nie wiedziała o tym, że matka Barnuma czeka na Barnuma, a Barnum chodzi w jej majtkach? Matka się roześmiała. – Mamy przecież kupić ci nowe pantofle – powiedziała, kładąc mi rękę na ramieniu, gdy brodziliśmy w liściach za kościołem. Skuliłem się. – Musimy? – spytałem cicho. – Oczywiście, że musimy. Nie zamierzasz chyba deptać dziewczętom po palcach?

Roześmiała się jeszcze raz, widać, była w doskonałym humorze. Prawdopodobnie dlatego, że ojciec czekał na nas na Valkyrien. Miał na sobie długi jasnobrązowy płaszcz, który ledwie zdołał dopiąć na brzuchu. – Dotknij – powiedział. Położyłem dłoń na jego przedramieniu. – Wyżej – szepnął. Przesunąłem rękę w stronę łokcia. – Bardziej w środku.

Wyciągnąłem palce w stronę górnego guzika, lecz dalej nie sięgałem. – Trochę w dół.

Zrobiłem, jak chciał, i wtedy poczułem wybrzuszenie, wewnętrzna kieszonka się wybrzuszała, a ojciec się uśmiechał. – Wielbłądzia sierść – oświadczył i wyjął gruby portfel. – A teraz idziemy kupić pantofle do tańca! I ruszyliśmy, ze mną w środku, jako rodzina, do Magazynu Obuwniczego Valkyrien. Będę się streszczał najbardziej, jak potrafię. Bo kupno butów dla mnie, w dodatku pantofli odpowiednich do tańca, nie było wcale prostą sprawą. Moja historia jest bowiem taka, że urodziłem się nogami do przodu.

Musieli włożyć w matkę wielkie szczypcy i przygiąć mi ręce wzdłuż boków, żeby głowa mi się zmieściła i nie okręciła pępowiną. Stąd moje *pes valgus*. Równie dobrze mogłem skończyć z *pes varus* i dlatego powinienem się cieszyć, ale *pes valgus* również nie jest błahostką. Nasze stopy są wygięte i w każdej chwili obejmują ziemię, po której chodzimy, dlatego słyhać, gdy się zbliżamy, nigdy nie możemy uciec od naszych stóp. Ojciec pierwszy wszedł do Magazynu Obuwniczego Valkyrien. – Pantofle dla tego pana! – zawołał, tak że wszyscy w sklepie go usłyszeli. Natychmiast zjawiał się ekspedient i nie mógł oderwać oczu od nabitego portfela, a ja musiałem usiąść na niskim stołeczku i zdjąć stare buty. Matka podsunęła rękę pod nos i długo kręciła głową. Wilgotne fałdy skarpet układały się wokół palców, a pot parował z nich jak ciężka chmura. Ale ojciec tylko się śmiał i dał ekspedientowi pięć koron zaliczki. Zmierzyłem dziewiętnaście par.

Dziewiętnaście razy musiałem przechadzać się przed ukośnie ustawionym na podłodze lustrem. Musiałem wykonać dziewiętnaście tanecznych kroków. Ale to nic pomagało. Buty były za ciasne, za duże, za wąskie lub za szerokie. Pomyślałem o Andréem, który zabrał ze sobą czterdzieści pięć kilo pasty do butów do balonu, ale i tak się rozbił. Wkrótce wszyscy w Magazynie Obuwniczym Valkyrien, zarówno klienci, jak i personel, byli zajęci moimi stopami, ba, nawet pod oknami stali ludzie i zaglądali do środka, chcąc zobaczyć Barnuma platfusa. Jego stopy stały się centralnym punktem placu Valkyrien. Ekspedient pocił się i oddychał głęboko. Ojciec dał mu jeszcze pięć koron. Przedstawił się wtedy pełnym nazwiskiem i oświadczył: To nie stopę należy dopasować do butów, tylko but trzeba dopasować do stopy! Niech żyją krzywe podeszwy! Musieliśmy iść z nim do magazynu na zapleczu sklepu. Buty wypełniały go aż po sufit. Nigdy nie widziałem tyłu butów. Bez względu na to, jak dużo chodziłby jeden człowiek, i tak nie zdołałby do końca życia znieść wszystkich tych butów. Ta myśl była i smutna, i przyjemna. Ekspedient wspiął się na drabinę i zszedł z niej z parą czarnych pantofli, które z wielce uroczystą miną nałożył mi na stopy i nie musiał nawet używać przy tym łyżki do butów, wsunęły się jak miękkie obszerne rękawiczki. – Ta para należała do Oscara Mathisena – szepnął. Nosił je na bankiecie po zdobyciu mistrzostwa świata w 1916 roku. Ale tanie nie są. Matka popatrzyła na ojca, ojciec spojrział na mnie. – Jak leżą? – Jak rękawiczka. Ojciec uśmiechnął się i wraz z ekspedientem przeszli w kąt, tam uzgodnili cenę i kiedy wreszcie stanęliśmy przed Magazynem Obuwniczym Valkyrien w deszczu, który przestał padać i płynął wzdłuż szyn tramwajowych, z butami Oscara Mathisena w pudełku, a ja myślałem już, że najgorsze mam za sobą, oczywiście oprócz szkoły tańca, w której miało nastąpić ukoronowanie mojego dzieła, ojciec podniósł rękę do góry i zawołał: – Teraz do Plesnera!

Pojechaliśmy tam taksówką. Pozwolono mi siedzieć z przodu, a gdy słuchałem ojca, szepczącego do matki, i śmiechu przetaczającego się przez niego falami, kiedy był w takim humorze, przypomniałem sobie Miłę i całe moje ciało zrobiło się nagle puste, ta pustka, moje wydrążone wnętrze, wolno, lecz skutecznie zaczęło wypełniać się troską, troską i jeszcze raz troską. I rzeczywiście, za ladą u Plesnera stała ta sama ekspedientka, a gdy nas zobaczyła, wzięła mnie za rękę. – Jak się miewa twój brat? – spytała. – Bardzo dobrze – odparłem prędko. – Cieszę się. Wyprostowała się i podała teraz rękę matce. – To miły chłopiec – powiedziała. A ja zrozumiałem, że kłamstwa prędzej czy później nas dopadną, kłamstwa i sny, one powracają, witają nas w drzwiach przebrane za troskę, pociechę i prawdę, gdyż świat nie jest dostatecznie duży, by kłamstwo mogło się w nim ukryć. Kłamstwo chodzi na szczytach. Sny chodzą wściekle we śnie. Matka popatrzyła na mnie z dziwną miną. Ja popatrzyłem z dziwną miną na ojca, a on na szczęście zdążył już znaleźć najdroższe wkładki do butów, ręcznej roboty, wygładzone i lakierowane, niczym biżuteria dla stopy, i mogliśmy wracać do domu. W tę stronę również pojechaliśmy taksówką, a ja wciąż siedziałem z przodu. – Głodny jesteś? – spytał ojciec. – Nie – odparłem. – To znaczy, że jesteś najedzony? – Też nie. Ojciec rozpiął płaszcz. – To dobrze – powiedział. Bo powinieneś być w równowadze, kiedy masz tańczyć.

Opowiadałem ci o Halvorsenie z Halden? – Tak – odparłem. Der Rote Teufel. – No właśnie. On został wytrącony z równowagi, spadł i zabił się na śmierć. – Nie strasz Barnuma – powiedziała matka. Ale ojciec tylko się śmiał. – Czy ja straszę Barnuma? – Nie – zaprzeczyłem. Ojciec wychylił się między siedzeniami, trochę przeszkadzając szoferowi. – Taniec jest jak akrobacje na trapezie, Barnum. Rzucasz się w kolejne objęcia.

I chodzi o to, żeby nie upaść wśród pięknych dam i nie skrzyć karku. Matka westchnęła, a ojciec znów odchylił się do tyłu i ją objął. – Dzisiaj zaczynasz naukę w drugiej pod względem ważności szkole – dodał. – A która jest najważniejsza? – spytałem. – Najważniejsza jest szkoła życia, Barnum. A szkoła jest dopiero na trzecim miejscu. Mozół, taniec i matematyka, taka jest kolejność życia człowieka!

Kąpałem się, aż zabrakło gorącej wody, schowałem majtki na miejsce do szafki, natarłem dezodorantem pół ciała i kiedy stanąłem przed lustrem w przedpokoju w starych spodniach Freda, w blezerze i w butach Oscara Mathisena, swoją drogą to bardzo dziwne, że mistrz świata w jeździe szybkiej na łyżwach miał takie małe stopy, przyszła matka, ustawiła się za mną i zaczęła czesać mi włosy powolnymi, wręcz leniwymi ruchami.

Spojrzeliliśmy na siebie w lustrze. Usłyszałem ojca, który spał na otomanie w jadalni i chrapał jak wielkie koło. Boletta poszła na Biegun Północny i wznosiła toasty za moje zdrowie ciemnym piwem, a Fred włączył się wśród ulicznych latarni. Matka uśmiechnęła się zalęknionym uśmiechem. – Elegancko wyglądasz, Barnum. – Naprawdę? – Bardziej elegancko już nie można. – Tak, bardziej elegancko już nie można – powtórzyłem. Przyszło mi do głowy, że to bardzo samotne zdanie, bardziej eleganckim być nie można, osiągnąłem szczyt, a byłem niższy niż większość ludzi. Matka wsunęła mi grzebień do kieszeni i nachyliła się do mojego ucha. – Co ty powiedziałeś o Fredzie u Plesnera, Barnum? – Nic. – Ależ tak. Przecież ona spytała, jak on się miewa. Zastanowiłem się. Myślałem o rozkazie Freda, o tym, że mam robić wszystko na odwrót, że muszę stać się człowiekiem odwrotnym. Skłamałem, ale to mogła być prawda. – Powiedziałem tylko, że się urodziłem w pieprzonej taksówce. Ale, cholera, wcale mi go nie żal. Matka mnie puściła. Fredowi by się to spodobało. Odzyskiwałem formę. – Co ty mówisz? – szepnęła matka. – Że go ochrzcił pieprzony taksówkarz. Myślisz, że o tym nie wiem? Że to dlatego jest taki głupi?

Matka mnie uderzyła. Otwartą dłonią uderzyła mnie w policzek i tak samo prędko pogładziła mnie palcami wzdłuż kołnierzyka, jak gdyby te dwa ruchy były jednym, uderzenie i pieszczota, pieszczota jako przedłużenie uderzenia, zobaczyłem, że zegar za jej plecami stanął, najwyraźniej od dawna nikt nie wkładał pieniędzy do szufladki, a wskazówki zawisły na wpół do szóstej jak cienkie martwe skrzydła. W jadalni ojciec wolno podniósł się z otomany, tłuszcz wylewał mu się pomiędzy guzikami koszuli, ledwie mógł usiąść, brzuch przeszkadzał mu we wszystkim, co robił. Podniósł rękę i pomachał mi, jak gdybym wsiadał na pokład słynnego statku „Bergensfjord” i miał obierać ziemniaki podczas przeprawy do Ameryki, gdzie zostałem już na stałe. Ach, gdyby tak było. – Powodzenia, Barnum – powiedział. I pozdrów ode mnie dziewczęta! Nie, cholera, ty tusty fiucie, zawołałem bezdźwięcznie. Matka pocałowała mnie w policzek, w który przed chwilą mnie uderzyła, i wyprawiła mnie z domu. Gdy szedłem Kirkeveien, w myślach rozważałem, jak wolno trzeba iść, żeby całkiem stać w miejscu. Skoro światło gwiazd, które zgasły około ośmiu milionów lat temu, jeszcze do nas nie dotarło, to ja chyba mogę poświęcić kilka tygodni na dotarcie do szkoły tańca. Wydało mi się, że widzę Freda siedzącego w cieniu na stopniach kościoła z żarem między wargami i lśniącem mrokiem w oczach. Zatrzymałem się i uniosłem rękę, nie wiem, czy mnie widział, ale może siedział tam i się uśmiechał, bo niewykluczone, że już usłyszał plotki o wszystkim tym, co w ciągu tego dnia zrobiłem na opak. Rozdrażniłem nawet Boga. Te myśli tak mnie podniosły na duchu, że najzwyczajniej w świecie pobiegłem dalej, żeby nie spóźnić się na wyrzucenie mnie ze szkoły tańca, ale kiedy miałem przejść przez Riddervolds plass, zostałem nagle wciągnięty w krzaki za pomnikiem Welhavena i wciśnięty w liście, a nade mną stali Preben, Aslak i Chomik. – Chcemy tylko zobaczyć, co masz pod spodniami, ty karakanie!

Próbowałem się wyrwać, lecz bez rezultatu. Oni jeszcze bardziej się śmiali. – Szkoda, że nie ma tu teraz twojego brata, co? – Nie zawołasz brata? A może go zamknęli? Ściągnęli ze mnie spodnie Freda. Raczej się rozczarowali. Nie znaleźli majtek obszytych koronką, tylko białe kalesonki z rozporkiem i w ogóle. – Przebrałeś się w domu z majtek na cipę, co? – spytał Chomik. – Nie wiem, o czym gadasz – odparłem. Zaczęli mnie trochę kopać, lecz bez większej przyjemności, parę razy trącili mnie nogami w brzuch i było to właściwie najlepsze, co się mogło zdarzyć. Mogłem teraz powiedzieć wszystkim, których zdaniem chodzę w damskich majtkach, że mieli przywidzenia, bo Pijawka rzuciła na nich urok. A może pobiją mnie do nieprzytomności, zabierze mnie pogotowie i w najbliższej przyszłości w ogóle nie będę w stanie tańczyć? – Bardzo dziękuję, cipskie łby – powiedziałem i zapiąłem spodnie. Preben, Aslak i Chomik popatrzyli na siebie, pokręcili głowami, zakopali mnie w liściach i odeszli w stronę parku Uranienborg. Leżałem przez chwilę i rozmyślałem. Świat to niezwykle miejsce. Jedno pociąga za sobą drugie, ale nic się ze sobą nie łączy. *Wyjaśnij różnicę mięśniem działającym zależnie od woli, a mięśniem działającym samoczynnie. Działające zależnie od woli: mięśnie szkieletowe.*

Działające samoczynnie: działają niezależnie od naszej woli. W takim razie serce musi być mięśniem działającym samoczynnie, natomiast ręce i nogi działają zależnie od woli, chociaż one także wykonują ruchy nigdy wcześniej niezaplanowane. Podniosłem się z wilgotnego grobu, opróżniłem kieszenie z liści i dżdżownic i poszedłem prosto do szkoły tańca pani Svae. W windzie powietrze było tak ciężkie od perfum i pomady do włosów, że ledwie pokonywała piętra. Stałem odwrócony plecami do lustra i wstrzymywałem oddech.

W szatni rządkiem wisiały budrysówki. Niektórzy przyszli w kaloszach zakładanych na buty. Z sąsiedniego pomieszczenia usłyszałem jakiś suchy głos, ale nie zrozumiałem słów.

Rozebrałem się i spróbowałem się tam przemknąć. Ale nikt nie zdoła się przemknąć niezauważony do sali szkoły tańca w pierwszy wieczór. Pani Svae stała przy stole z gramofonem i przestała mówić od razu, gdy mnie zobaczyła, a zobaczyła mnie od razu.

Wcale nie przypominała skrzypiec, tylko maszt od flagi, owinięty czarnym prześcieradłem.

Chłopcy siedzieli na twardych krzesłach pod jedną ścianą niczym więźniowie skazani na śmierć, a dziewczyny – pod drugą, samotne, uszminowane twarze, niczym olejne obrazy, odbijające się w lustrze za ich plecami, i nikt nie patrzył na kogoś innego, wszyscy patrzyli na mnie. – Ach tak – odezwała się Svae głośno. Mamy więc ostatnią osobę. Jak się nazywasz? Nie zauważyłem nikogo znajomego. Ukloniłem się. – Nilsen. – powiedziałem głośno. Od krzesła do krzesła falą przetoczył się śmiech, który równie gwałtownie się urwał, gdy Svae podniosła rękę. – Siadaj – powiedziała. I niech to będzie twoje ostatnie spóźnienie, Nilsen. Prawie zaczynałem ją lubić. Nie spytała, jak mam na imię. Mówiła do mnie Nilsen. – Dobrze, pani Svae – powiedziałem i usiadłem na wolnym krześle najbliżej wyjścia. Svae odetchnęła głęboko i stanęła na środku między nami. Oczywiście było, że zamierza wygłosić przemowę, jeśli o mnie chodziło, mogła mówić tak długo, jak jej się podobało. – W kulturalnym społeczeństwie taniec jest wyrazem odświętnego, radosnego nastroju, formą życia towarzyskiego, w której gustuje zwłaszcza młodzież. Taniec przynosi radość duszy, wzmacnia ciało i daje tańczącemu poczucie równowagi, piękną postawę i panowanie nad kończynami. Svae przeszła wolno wzdłuż szeregu dziewcząt, podczas gdy chłopcy siedzieli z pochylonymi głowami i żaden nie śmiał podnieść wzroku, bo ten, kto by się teraz zaczął śmiać, byłby skończony w szkole tańca pani Svae, to było jasne jak słońce. Zastanawiałem się, czy się głośno nie roześmiać i mieć to już za sobą, raz na zawsze, lecz zanim do tego doszło, Svae odwróciła się do nas gwałtownym ruchem, z palcem wskazującym w górze, jak gdyby usłyszała śmiech, jeszcze zanim wydostał się z ust. Mówiła bardzo głośno. – Ale w kuszącej istocie tańca kryją się również niebezpieczeństwa! Myślę tu o przesadzie! Dlatego musicie zapamiętać rzecz następującą: bal powinien zaczynać spokojnymi formami tańca i takimi kończyć. Od spożycia posiłku do rozpoczęcia tańca musi zawsze upłynąć godzina. Po wyczerpującym tańcu należy chwilę pospacerować,

dopóki serce się nie uspokoi, a skóra nie zakończy swej aktywności. A jeśli ktoś się w tańcu zgrzeje, nie wolno mu stawać w oknie ani narażać się na przeciąg, lecz powinien narzucić coś na ramiona, zwłaszcza jeśli strój jest mocno wycięty. Odwróciła się teraz ku dziewczętom i krytycznym wzrokiem przyjrzała ich sukienkom. Część z nich próbowała ukryć gołe ramiona, które nagle zrobiły się chude i przezroczyste jak małe szpiczaste skrzydełka. Nigdy nie przypuszczałem, że z tańcem wiąże się tyle zagrożeń. Boletta nic o nich nie wspominała. Ale Svae jeszcze nie skończyła. – Najlepiej mieć sukienkę z lekkiego materiału, niezbyt opinającą szyję, lecz nie są również bezpieczne, powtarzam, nie są bezpieczne suknie wydekoltowane do tego stopnia, jak niestety obecnie często zdarza się widywać. Svae umilkła na kilka sekund, aby te słowa zapadły nam w pamięć. I zapadły, dziewczęta roztrzęły się, nauczycielka stanęła na środku parkietu. – Pozwólcie, że powiem, z jak największym naciskiem, że im dłużej się tańczy w nocy, tym mniejsza z tego przyjemność, i pojawia się granica, brzemienne w skutki granica, kiedy taniec staje się własną odwrotnością i zaczyna wyłącznie szkodzić.

Większość z nas była teraz na krawędzi załamania nerwowego. Svae klasnęła w dłonie.

Zabrzmiało to jak zamykanie kamiennych tablic. – Ale o tym wszystkim przecież wiedzieliście już wcześniej! Teraz chłopcy spokojnie i z dostojeństwem mogą poszukać partnerek, zaczynamy od prostych pozycji i odpowiedniego ustawienia rąk. Bardzo proszę!

Właśnie teraz miała odbyć się bitwa. Nadeszła chwila prawdy i w tym strasznym momencie zrobiło się zupełnie cicho, dziewczęta wbiły wzrok w podłogę, chłopcy szykowali się do skoku, zmrozeni lękiem, potem i nagłym ochłodzeniem marzeń. Świat czekał. Skupiłem wszystkie swoje myśli, wszystkie swoje siły, szykując się do tego ostatecznego, decydującego działania na opak. W końcu chłopcy poderwali się i pobiegli przez salę. Niektórzy upatrzyli sobie tę samą dziewczynę, a te dziewczyny, najładniejsze, najlepsze, napawały się każdą sekundą tej walki, uśmiechały się, kiedy przy ich krześle odbywała się przepychanka, ale Svae włączała się bezlitośnie, zanim wyniknęło z tego coś więcej. Wkrótce większość chłopców znalazła sobie partnerki. Dziewcząt było więcej niż chłopców, a te, które zostały same, opuszczone, te mniej ładne, brzydkie, grube i głupie, jeszcze niżej spuściły głowy, ze wstydu i rozpaczy, obciążając sukienki, jak gdyby to im mogło pomóc, nie, nic już nie mogło im pomóc, były otwartymi ranami, podpierały ściany, były pierwszymi ofiarami krwawej bitwy w szkole tańca. Rozpoznałem w nich siebie.

Nagle wpadł mi w oko chłopak, który wolno sunął wśród par, kierując się w stronę jednej z nadliczbowych dziewcząt. Sprawiał wrażenie bardzo zdecydowanego, lecz jednocześnie leniwego, może dlatego, że był pulchny i jakby szurał nogami po podłodze, ponieważ nie chciało mu się ich podnosić. Miał wymięty blezer i przedziałek na środku.

Dziewczyna, ku której się kierował, wyprostowała się, a ja zobaczyłem wtedy, że jest mimo wszystko ładna, o kruchej, wręcz nietrwalej urodzie, a może widzę ją taką teraz, kiedy wspomnienia wyszlachetniały, obrazy uległy procesowi rafinacji w cieczy dystansu.

Wciąż widzę, jak ta piękna, przez nieporozumienie podpierająca ścianę dziewczyna podnosi oczy i widzi nas obu, chłopaka, który się przed nią zatrzymał, i mnie, dopiero się zbliżającego. Ale ja wcale nie do niej biegłem. Poprosiłem do tańca tego, który właśnie kłaniał się dziewczynie, a ów powolny pulchny chłopak odwrócił się zaskoczony i zmrużył oczy. – Co? – szepnął. – Zatańczymy? – powtórzyłem, objąłem go i poprowadziłem na parkiet. – Puść mnie! – zawołał. Ale ja nie puszczałem. Trzymałem go mocno i zrobiłem kilka tanecznych kroków. – Puść mnie, paskudny karle! Wrzeszczał. Dziewczyna spod ściany wstała. I nagle wokół nas zapadła kompletna cisza, wszyscy na nas patrzyli. Wtedy postanowiłem ukoronować swoje działanie na opak, swoje dzieło opaczności. Stałem na palcach i pocałowałem go w policzek. On mnie uderzył w oko. W tej samej chwili poczułem hak Svae na karku i głos, który wbijał się w ucho jak gwóźdź: – Wynoś się!

Wynoś się z mojego parkietu i nigdy więcej się tu nie pokazuj!

Tak poznałem Pedera. Tak poznałem Vivian. Tak się poznaliśmy.

(drzewo)

Pamiętam inną noc. Fred siedział na brzegu łóżka. Ledwie dostrzegłem jego twarz, jedynie cień nad kolanami. – Byłem u Starej – powiedział. Leżałem nieruchomo.

Fred po ciemku wpatrywał się we mnie. Jego głos brzmiał inaczej. Mógł być kimś innym, włamywaczem, obcym, który przyszedł mnie przestraszyć. – Byłem u Starej – powtórzył. Pochylił się i zaczął kołysać w tył i w przód. – U Starej? – szepnąłem. Byłeś teraz na cmentarzu? Fred pokręcił głową. Grzywka spadła mu na czoło i prawie się roześmiał, na moment ujrzałem jego usta, ciemną szczelinę, może w tym samym momencie przejechał samochód i omiół ściany światłami. – Rozmawiałem z nią. Powoli usiadłem na łóżku. – Nawet z nią rozmawiałeś? Fred kiwnął głową i odgarnął grzywkę. – Powiedziałem jej, że żyję. Że nie umarłem, jak ona. Nie mogłem nic z siebie wydusić.

Fred położył mi nagle rękę na stopie. – Bardzo się ucieszyła, Barnum. Sądziła, że mnie też przejechała ta ciężarówka. Powiedziała, że mi wybacza. Kiedy przyzwyczaiłem się do ciemności, zobaczyłem, że Fred ma twarz zupełnie białą i że jest chudszy niż zwykle, lecz mimo wszystko się uśmiechał, nigdy dotąd nie widziałem u niego takiego uśmiechu, to taki sam uśmiech, jaki klauni malują sobie na ustach przed wyjściem na arenę. Roześmiałem się. – Nie wygłupiaj się, Fred. Uśmiech spłynął z jego ust. Pochylił się bardziej. Zdawało mi się, że mnie ugryzie. – Ciebie też mam pozdrowić, Barnum. – Od kogo, Fred? – Nie słuchasz, co mówię? Od Starej, to chyba jasne. Powiedziała, że masz się nie martwić tym, że jesteś taki niski. Wolno położyłem się z powrotem na poduszkę. Fred dalej siedział nade mną, niczym garbaty cień. – Gdzie ją spotkałeś? – szepnąłem. – Zgłupiałeś, Barnum? – Po prostu jestem ciekawy, gdzie ją spotkałeś, Fred. Znów się uśmiechnął.

Twarz mu złagodniała. – W niebie. A gdzieżby indziej? Wreszcie poszedł do swojego łóżka i tam się położył. Długo nic nie mówił. Ale ja i tak nie mogłem zasnąć. – Pomyśl, co by było, gdyby nigdy się nie dowiedziała, co się stało – szepnął. Wyobraź to sobie. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Przed oczami miałem Starą leżącą na stole w piwnicy szpitala, z rękami złożonymi na brzuchu, wyglądającą na bardzo spokojną, z wyjątkiem powiek, wielkich jak muszle. Czy nasze myśli się toczą, nawet gdy umrzemy? Czy zagadki żyją po naszej śmierci? – Dlaczego powiedziała, że ci wybacza? – szepnąłem. Fred podniósł się na łóżku. – Potrafisz dotrzymać tajemnicy, Barnum? – Tak – odparłem. Tak, Fred. Położył się. – To będzie nasza tajemnica.

Nigdy jej nie zdradziłem.

Ale kiedy szedłem po Drammensveien w ten wieczór na opak i słyszałem powolne dźwięki walca z najwyższego piętra Budynku Handlu, miałem ochotę ją zdradzić, komukolwiek, konduktorowi z tramwaju siedzącemu na stopniu i palącemu papierosa, taksówkarzowi wychylającemu się z zamkniętymi oczami z okna taksówki, nauczycielowi gry na pianinie wychodzącemu z za rogu z teczką pełną nut, każdemu z nich powiedziałbym głośno, że Fred, mój przyrodni brat, był w niebie i rozmawiał ze Starą, gdyby wszystko dało się cofnąć, gdyby dało się cofnąć czas jednym, jedynym ruchem i naprawić wszystko, co złe, nagle bowiem ogarnęły mnie wątpliwości, głębokie, będące jakby przepaścią wśród myśli. Nie mogłem sobie nawet przypomnieć, w jaki sposób znalazłem się na ulicy, czy zjechałem windą, czy zszedłem po schodach. W moim triumfie pojawiły się szczeliny.

Zdołałem doprowadzić do tego, że wyrzucono mnie ze szkoły tańca. Ale jaką cenę musiałem za to zapłacić? Jakie skutki to za sobą pociągnie? Bo przecież nie można zrobić niczego, co nie pociągnie za sobą czegoś innego, wszystko ma swoje następstwa, jak sen o łamaniu kołem. Wiedziałem o tym. Oko mnie piekło, oboje oczu, jakbym patrzył przez grube nierówne szkło w ulewnym deszczu. Musiałem oprzeć się o słup. Gdyby ktoś mnie teraz zobaczył, mógłby wziąć mnie za psa, wprawdzie rzadkiej rasy, ale psa, który szczeka nie wiadomo na co, a w końcu gryzie się we własny ogon. Może teraz wyrzucą mnie też z klasy, wyrzucą, oddalą i relegują, bo byłem nieznośnym człowiekiem, wsadzą mnie do Bastøy, do więzienia na wyspie, i zamkną w komórce w piwnicy, gdzie będę dostawał baty cztery razy dziennie? A może śmiech będzie mi towarzyszył do końca życia, jak cień, i nigdy już nie będę mógł się nigdzie pokazać, bo zawsze wyprzedzi mnie śmiech, będzie mnie witał drwiną i rechotem? Wszyscy na mojej drodze będą wołać: Pedał! Pedał! Byłem przeklęty. To wina Freda, bo to on podsunął mi pomysł robienia wszystkiego odwrotnie.

To wina Boletty, bo to ona zapisała mnie do szkoły tańca. To wina matki, która czekała pod szkołą. To wina ojca, który kupił mi buty Oscara Mathisena, to wina ekspedienta, który mu je sprzedał. To wina Pijawki, która podwinęła mi koszulę i pokazała wszystkim majtki matki. To wina pastora, który mnie wyklął, raz na zawsze. To wina Prebena, Aslaka i Chomika, którzy mnie nie zabili za Welhavenem. Wszyscy byli źli. Nienawidziłem ich.

Słowa przepływały przeze mnie. Powinien istnieć kibel dla słów. Mógłbym obsikać nimi słup latarni. Mógłbym wysrać je do rynsztoka.

Nagle usłyszałem, że ktoś biegnie chodnikiem. Ja też zacząłem biec. Może ten ktoś chciał mnie dopaść. Ale nie biegł zbyt szybko, bo byłem szybszy, a on nie mógł mnie dogonić. – Zaczekaj! – krzyknął. Zaryzykowałem i zatrzymałem się, bo też i biegłem w złą stronę, gdybym nie zmienił kierunku, wkrótce znalazłbym się we wrogich rejonach za Munkedamsveien, a w porównaniu z rządzącymi tą okolicą Preben, Chomik i Aslak byli aniołkami w jedwabnych rękawiczkach. Stałem w Hydroparken pod olbrzymim purpurowym bukiem, wśród deszczu czerwonych liści. Odwróciłem się. Pulchny cień szurał przez liście, ciężko dysząc. To był ten chłopak, którego poprosiłem do tańca i pocałowałem w policzek. Zatrzymał się przede mną. Zastanawiałem się, czy od razu uderzy mnie teraz w drugie oko, ale on na razie musiał złapać dech. Wydaje mi się, że się uśmiechnął, ale tam gdzie staliśmy, było dość ciemno, więc być może się pomyliłem. – Mnie też wyrzucili – powiedział. – Naprawdę? Dlaczego? – Dlatego że nazwałem cię wstrętnym karłem. Strach znów był blisko. Ale on nagle zaczął się śmiać. – Tylko żartowałem. Powiedziałem, że skoro nie pozwalają mi tańczyć z tobą, to nie chcę tańczyć z nikim innym. Podszedł bliżej. – Przepraszam zresztą, że uderzyłem cię w oko. Bolało? – Nie bardzo – odparłem. – Widzisz, nie zrozumiałem, że jesteś taki genialny. – Genialny? – szepnąłem. – To najwspanialszy sposób na to, żeby zostać wyrzuconym ze szkoły tańca, o jakim słyszałem. Na moment na jego twarzy pojawił się niepokój, który pogniótł mu czoło jak papier. – Bo chyba taki miałeś cel, prawda? – Jasne – odparłem. A jaki inny?

Wyprostował zagniecenia na twarzy i wyciągnął rękę. – Jak się nazywasz? Oprócz tego, że Nilsen? – Barnum – powiedziałem cicho. – Barnum? Fajnie. Ja mam na imię Peder.

Podaliśmy sobie ręce pod purpurowym bukiem, gdy wiatr szeleścił w czerwonych liściach wokół naszych stóp. Nie wiem, jak długo tak staliśmy, ale gotów jestem przysiąc, że widziałem, jak księżyc wznosi się ukośnie nad miastem i zawisa na swoim miejscu na niebie niczym pomarańcza na wielkim czarnym półmisku. W końcu Peder puścił moją rękę.

Prędko wsunąłem ją do kieszeni. – Gdzie mieszkasz? – spytał. – Na samej górze Kirkeveien – odparłem. – Świetnie – powiedział Peder. Wobec tego kawałek możemy iść razem.

Ruszyliśmy wzdłuż Bygdøy allé. Podniosłem kasztan, ale prędko go wyrzuciłem, przecież nie przyszedłem tu na kasztany. Byłem ucieszony i zdeorientowany, zdeorientowany i ucieszony, wystraszony i szczęśliwy. Może będę miał kolegę. Przez dłuższą chwilę nic nie mówiliśmy, Peder gwizdał jakąś melodię z koncertu życzeń. Znałem ją. Ja też zacząłem gwizdać. Ale gdy przeszliśmy przez Nils Juels gate, nie mogliśmy już dłużej wytrzymać, mało nie umarliśmy ze śmiechu, a nikt nigdy nie zdołał gwizdać, śmiejąc się. Musiałem uderzyć Pedera otwartą ręką w plecy osiem razy, zanim doszedł do siebie. – Co teraz zrobimy? – wykrztusił. Przełknąłem śmiech. – O co ci chodzi? – Co powiesz swoim rodzicom? Że wyrzucili cię ze szkoły tańca, dlatego, że mnie pocałowałeś? Znów roześmiał się głośno, o mało nie osunął się na kolana na chodnik.

Mnie zupełnie zaschło w ustach. O tym nie pomyślałem. – Myślisz, że Svae zadzwoni do naszych rodziców? Peder się wyprostował i wzruszył ramionami. – Może tak, może nie.

Odwrócił się i spojrzał na przeciwny chodnik. – Zobacz – szepnął i pokazał palcem.

Chodnikiem szła dziewczyna. To była dziewczyna ze szkoły tańca, najładniejsza z tych, które podpierały ściany. – Hej! – zawołał Peder. Zatrzymała się między dwoma drzewami i popatrzyła na nas. Peder zerknął na zegarek, ujął mnie za ramię i przeciągnął przez ulicę.

Ona ciągle tam stała, oparta o światło księżyca. Miała na sobie czerwony płaszcz przeciwdeszczowy, który prawie świecił. Wydaje mi się, że zmarła. Chuchała w dłonie, jak gdyby trzymała przy twarzy ptasie pisklę. – Ciebie też wyrzucili ze szkoły tańca? – spytał Peder. Dziewczyna opuściła ręce. – Nikt nie chciał ze mną tańczyć – odparła. Nie chciało mi się tam siedzieć. Właśnie tak powiedziała. Nikt nie chciał ze mną tańczyć.

Peder prędko zerknął na mnie, jak byśmy coś ustalali, odwrócił się do niej z uśmiechem. – Doprawdy? Nikt? A myślisz, że co ja robiłem, kiedy ten błazen podszedł do mnie i zaczął sobie robić jaja? Przyciągnął mnie bliżej. Ukłoniłem się. Dziewczyna znów podniosła ręce i lekko się zza nich uśmiechnęła. – Naprawdę myślicie, że bym z wami zatańczyła? – spytała. Peder przez moment milczał, w końcu wzruszył ramionami. – Może tak, może nie.

Jak myślisz, Barnum? Też wzruszyłem ramionami. – Może tak, może nie – rzuciłem z największą swobodą. Teraz dziewczyna przysunęła się do mnie o krok. – Jak ci na imię? – spytała. Wyciągnąłem do niej dłoń, a ona ją ujęła. ? Barnum ? powiedzia?em g?o?no. Przytrzyma?a mnie za?r?k? jeszcze przez moment, a?mo?e to?ja j??przytrzyma?em. ? A?ja jestem Peder ? powiedzia? Peder tak samo g?o?no i?wszyscy wymienili?my si? u?ciskami d?oni. W?ko?cu przysz?a kolej na?ni?. ? Mam na?imi? Vivian. Mo?e jednak z?wami zata?cz?. I?poszli?my dalej wzd?u? Bygd?y all?, Peder, Vivian i?ja. Vivian sz?a w??rodku, mi?dzy nami. Nie wiem, co?to by?o, ale mia?em wra?enie, jakby?my zawsze tak chodzili we?troje pod kasztanowcami, w?wilgotnym mroku, a?przecie? nie wiedzieli?my o?sobie nic opr?cz tego, ?e?pierwszy wiecz?r w?szkole ta?ca pani Svae by? dla nas zarazem ostatnim. ? Ju? wiem ? powiedzia? nagle Peder. Zaryzykujemy, ?e?Svae nie zadzwoni, i?b?dziemy udawa?, ?e?ci?gle chodzimy na?lekcje, dobra? Zatrzymali?my si?, Peder podni?s? kasztan i?schowa? go?do kieszeni. ? Dobra? Mo?emy za?to spotyka? si? co?czwartek i?robi? zupe?nie inne rzeczy.

I?tak si? sta?o. Tej jesieni co?czwartek spotykali?my si? pod purpurowym bukiem w?Hydroparken, ubrani do?ta?ca. Stawali?my ukryci za?pnem i?patrzyli?my, jak inni wchodzi? do?Budyunku Handlu, na?miewali?my si? z?nich. Wydawali nam si? ?mieszni.

Chłopcy przypominali pingwiny. Dziewczyna wyglądała jak pawie. A potem wymyśliliśmy różne rzeczy, chodziliśmy do kina, jeśli mieliśmy pieniądze, najczęściej miało być Peder, stawaliśmy w tunelu na Skøyen i obejmowali się siłą, kiedy pociąg przejeżdżał nad nami, kupowali nas jednego milkshake'a w Studenckiej albo siedzieliśmy w pokoju Pedera i słuchaliśmy radia. Ale tego wieczoru po prostu razem wróciliśmy do domu. – Barnum – powiedziałem głośno. Przytrzymała mnie za rękę jeszcze przez moment, a może to ja ją przytrzymałem. – A ja jestem Peder – powiedział Peder tak samo głośno i wszyscy wymieniliśmy się uściskami dłoni. W końcu przysłała kolej na nią. – Mam na imię Vivian. Może jednak z wami zatańczę. I poszliśmy dalej wzdłuż Bygdøy allé, Peder, Vivian i ja. Vivian szła w środku, między nami. Nie wiem, co to było, ale miałem wrażenie, jakbyśmy zawsze tak chodzili we troje pod kasztanowcami, w wilgotnym mroku, a przecież nie wiedzieliśmy o sobie nic oprócz tego, że pierwszy wieczór w szkole tańca pani Svae był dla nas zarazem ostatnim. – Już wiem – powiedział nagle Peder. Zaryzykujemy, że Svae nie zadzwoni, i będziemy udawać, że ciągle chodzimy na lekcje, dobra? Zatrzymaliśmy się, Peder podniósł kasztan i schował go do kieszeni. – Dobra? Możemy za to spotykać się co czwartek i robić zupełnie inne rzeczy.

I tak się stało. Tej jesieni co czwartek spotykaliśmy się pod purpurowym bukiem w Hydroparken, ubrani do tańca. Stawaliśmy ukryci za pnem i patrzyliśmy, jak inni wchodzi do Budyńku Handlu, naśmiewaliśmy się z nich. Wydawali nam się śmieszni.

Chłopcy przypominali pingwiny. Dziewczęta wyglądały jak pawie. A potem wymyślaliśmy różne rzeczy, chodziliśmy do kina, jeśli mieliśmy pieniądze, najczęściej miał je Peder, stawaliśmy w tunelu na Skøyen i obejmowaliśmy się, kiedy pociąg przejeżdżał nad nami, kupowaliśmy na spółkę jednego milkshake'a w Studenckiej albo siedzieliśmy w pokoju Pedera i słuchaliśmy radia. Ale tego wieczoru po prostu razem wróciliśmy do domu.

Kiedy doszliśmy na samą górę Bygdøy allé, Vivian skręciła w bramę przy kościele Frogner, zostawiła nas bez słowa, ale w ciemności bramy odwróciła się, podniosła rękę i położyła palec na wargach, a potem zniknęła. Peder popatrzył na mnie. – Cholera!

Mieszkać ściana w ścianę z kościołem! Ale ma słabo! – Może jej ojciec jest pastorem – szepnąłem. Poszliśmy dalej w stronę parku Frogner. – Budzić się co niedziela, bo dzwony kościelne biją tuż nad łóżkiem – powiedział Peder. Fajnie. – Tak, całkiem nieźle – zgodziłem się. Budzić się z głową w kościelnym dzwonie. Peder się roześmiał. – Jej ojciec na pewno jest pastorem. Chyba musimy ją zbawić. Nie bardzo rozumiałem, co Peder miał na myśli, ale się z nim zgadzałem. – Dobra – powiedziałem. – Co robi twój ojciec? – spytał Peder. Musiałem się zastanowić. – Trochę różnych rzeczy – szepnąłem. – Trochę różnych rzeczy? M ó j ojciec robi wszystkiego po trochu.

Peder zatrzymał się pod jakimś domem ogrodzonym płotem, z żółtym światłem we wszystkich oknach. Tam właśnie mieszkał, w wolno stojącym domu z ogrodem i masztem do flagi, na furcie wisiała tabliczka z napisem: *Uwaga, zły pies*. – Macie psa? – spytałem, czując się dosyć głupio. – Zdechł dwa lata temu – odparł Peder. Ale tabliczkę zostawiliśmy. Z ulicy skręcił samochód, dekle dzwoniły, zderzak mało nie odpadł, po ulicy sygnął się strumień iskier, to był chyba vauxhall, wjechał wprost do garażu przy domu Pedera i tam zaparkował z hukiem. Wysiadł z niego mężczyzna w wielkim kapeluszu, z płaską torbą pod pachą i podszedł do nas, wycierając z twarzy spaliny. – Mało brakowało – westchnął. Chyba trzeba oddać go do warsztatu. – Cześć, tato – powiedział Peder. To był ojciec Pedera. Zatrzymał się i uśmiechnął do nas. – No i jak? Jak tam było w szkole tańca? Peder wzruszył ramionami. – Chyba zanudziliśmy się na śmierć. Ojciec roześmiał się i odwrócił do mnie. – Świetnie to rozumiem. Na co ci, u diabła, fokstrot?

Mógłbyś się zamiast tego uczyć fechtunku. A kim ty jesteś? – To Barnum – przedstawił mnie Peder. – Dobry wieczór, Barnum. Wejdiesz na kolację? Chyba że boisz się psa?

Ukloniłem się i podziękowałem, było tego dla mnie po prostu za wiele. Musiałem wrócić do domu i odpocząć. Musiałem zmagazynować ten wieczór, zaoszczędzić go i nie zużywać całego naraz, ale zanim odszedłem, ująłem jeszcze Pedera za ramię, jakbym chciał go zatrzymać, chociaż on nie ruszał się z miejsca. – Możesz przyjść do nas jutro na obiad – powiedziałem prędko. Ojciec Pedera poklepał mnie po ramieniu. – Doskonały pomysł, Barnum. Prawda, Peder? Bo mama i ja akurat wychodzimy. Peder spojrzał na mnie i się uśmiechnął. – O której mam przyjść? – spytał. – O piątej – szepnąłem i pobiegłem, po raz pierwszy ktoś zaprosił mnie na kolację, i po raz pierwszy zaprosiłem kolegę na obiad. To był prawdziwy triumf, ukoronowanie przyjaźni, mieć kolegę, który zje u ciebie obiad.

Radowałem się przez całą drogę wzdłuż Kirkeveien, byłem mistrzem świata w butach mistrza świata, byłem przyjacielem, byłem czymś przyjacielem i nie mogłem się już doczekać, żeby to komuś opowiedzieć, bo nie mogłem tego udźwignąć całkiem sam, miałem zbyt wąskie barki, za małe serce. Ale kiedy wróciłem do domu, nikogo w nim nie zastałem, matka poszła na Biegun Północny po Boletę, ojciec znów wyjechał, taki miał zwyczaj, stale musiał coś załatwiać, nie potrafił usiedzieć w miejscu, zaglądał tylko, narobił trochę szumu, był królem albo włóczęgą, zostawiał po sobie brudną koszulę i kilka banknotów, a potem znów zwiewał. Pomyślałem, może i lepiej, że jestem sam w takiej chwili, bo nosiłem też w sobie kłamstwo, równie wielkie jak prawda, mój język wciąż jeszcze nie był dostatecznie śliski. Bałem się powiedzieć matce i Boletcie, że przestałem chodzić do szkoły tańca, że mnie wyrzucili, bo one na pewno już zapłaciły pani Svae i być może nigdy nie odzyskają tych pieniędzy. Postawiłem buty na półce w korytarzu, blezer powiesiłem na wieszaku, zdjąłem krawat. W kuchni wypiliśmy szklankę mleka, poszedłem do łazienki i przejrzałem się w lustrze. Lewe oko było trochę zardzewiałe na brzegach. To bez znaczenia, i tak byłem bliski płaczu z radości. Tak, teraz był czas na samotność.

Mogłem ssać tę radość? jak kawa?ek kandyzowanego cukru. Ale kiedy wszedłem do naszego pokoju, okazało się, że wcale nie jestem sam. Fred leżał na moim łóżku z rękami pod głową i gapił się w sufit. ? Cze?, ma?y ? powiedzia?. Usiadłem na jego łóżku. Nie bałem się. Miałem mu coś do powiedzenia. ? Udało mi się? ? wyznałem cicho. ? Wiem ? odparł Fred. ? Naprawdę? ? spytałem jeszcze ciszej. Fred ledwie odwrócił się w moją stronę. ? Jak nazywa się ta baba ze szkoly ta?ca? ? Svae ? odparł. ? No?w?a?nie.

Dzwoni?a. Skuli?em si? w?sobie. ? Dzwoni?a tutaj? Fred westchn??, dalej gapi? si? w?sufit. ? A?gdzie by?mia?a dzwoni?? J?zyk r?s? mi?w ustach, suchy jak gumka do??cierania. ? Rozmawia?a z?mam?? ? Nie, rozmawia?a ze?mn?. To?si? nazywa szcz??cie, co?

?e?tylko ja?by?em w?domu. Fred przez chwil? milcza?, nie mog?em tego wytrzyma?. ? Co?powiedzia?a Svae, Fred? Zamkn?? oczy. ? To????ko jest dla ciebie za?du?e, Barnum. Jak odetniemy po?ow?, to?b?dziemy mie? wi?cej miejsca, co?nie? ? Mo?emy ? szepn??em. Co?powiedzia?e? Svae, Fred? Fred si? u?miechn??. ? Powiedzia?a, ?e?zachowa?e? si? nieprzyzwoicie, Barnum. ? Nieprzyzwoicie? ? Musisz mi?to bli?ej wyja?ni?, Barnum.

Odwróciłem głowę. Zesztył do higieny leżącej na biurku. Może Fred go przegłodał. Może widział rwanie Barnuma. Pocałowałem dziewczynę? powiedziała. Ty pocałowałeś dziewczynę? Tak, Fred. A dosięgę? Siedział. Teraz to ja zamknę oczy. Usłyszałem, że Fred wstaje z krzesła. Powiedziałem, że jestem twoim ojcem? szepnął Fred. I że ci ukarzę. Zaczęła się historia. Bałem się, że otworzy oczy. Fred usiadł przy mnie. To ja powinienem być twoim ojcem? powiedziała. Zamiast tego dupka, który twierdzi, że nim jest. Objął mnie. Wskądym razie udało mi się, wyrzucili mnie? szepnął. Fred poklepał mnie po plecach i długo czekał, zanim się odezwał. Wolałem, żeby nic nie mówił, tylko klepał mnie po plecach. Mogłbym tak przesiedzieć całą noc. Jak karę mam ci dać, Barnum? Karę? Nie wygłupiaj się, Fred, dobra? Przyciągnęła rękę do siebie, przesuwając paznokciami po moim karku. Mam się nie wygłupiać? Przecież obiecałem Svae, że ci ukarzę. Stała przy oknie. Wciąż czułem na karku jego rękę. Matka mówiła, że kupili ci buty Oscara Mathisena. Tak? szepnął. Pasuję? Całkiem nieźle. Fred się roześmiał. Plecy mu drżały. Wiesz, co się stało z Oscarem Mathisenem, czy nie? Zdobył mistrzostwo świata w jeździe na wysokich. Chodzi mi o to, co się z nim stało już po tym, jak został mistrzem świata. Nie wiem. A co? się stało? Najpierw zastrzelił on. Potem sam się zastrzelił. Mistrz świata. Fred gwałtownie odwrócił się do mnie. Już wiem, jak karę dostaniesz. Jak? Masz mnie nigdy więcej nie okłamywać, Barnum. Nigdy ci nie okłamałem, Fred. Uśmiechnęła się i pokręciła głowę. Sam widzisz. Znowu skłamała?

ć jak kawałek kandyzowanego cukru. Ale kiedy wszedłem do naszego pokoju, okazało się, że wcale nie jestem sam. Fred leżał na moim łóżku z rękami pod głową i gapił się w sufit. – Cześć, mały – powiedział. Usiadłem na jego łóżku. Nie bałem się. Miałem mu coś do powiedzenia. – Udało mi się – wyznałem cicho. – Wiem – odparł Fred. – Naprawdę? – spytałem jeszcze ciszej. Fred ledwie odwrócił się w moją stronę. – Jak nazywa się ta baba ze szkoły tańca? – Svae – odparłem. – No właśnie.

Dzwoniła. Skuliłem się w sobie. – Dzwoniła tutaj? Fred westchnął, dalej gapił się w sufit. – A gdzie by miała dzwonić? Język rósł mi w ustach, suchy jak gumka do ścierania. – Rozmawiała z mamą? – Nie, rozmawiała ze mną. To się nazywa szczęście, co?

Że tylko ja byłem w domu. Fred przez chwilę milczał, nie mogłem tego wytrzymać. – Co powiedziała Svae, Fred? Zamknął oczy. – To łóżko jest dla ciebie za duże, Barnum. Jak odetniemy połowę, to będziemy mieć więcej miejsca, co nie? – Możemy – szepnąłem. Co powiedziałaś Svae, Fred? Fred się uśmiechnął. – Powiedziała, że zachowałeś się nieprzyzwoicie, Barnum. – Nieprzyzwoicie? – Musisz mi to bliżej wyjaśnić, Barnum.

Odwróciłem głowę. Zeszyt do higieny leżał na biurku. Może Fred go przeglądał. Może widział równanie Barnuma. – Pocałowałem dziewczynę – powiedziałem. – Ty pocałowałaś dziewczynę? – Tak, Fred. – A dosięgłeś? – Siedziała. Teraz to ja zamknąłem oczy. Usłyszałem, że Fred wstaje z łóżka. – Powiedziałem, że jestem twoim ojcem – szepnął Fred. I że cię ukarzę. Zaczął się śmiać. Bałem się już otworzyć oczy. Fred usiadł przy mnie. – To ja powinienem być twoim ojcem – powiedział. Zamiast tego dupka, który twierdzi, że nim jest. Objął mnie. – W każdym razie udało mi się, wyrzucili mnie – szepnąłem. Fred poklepał mnie po plecach i długo czekał, zanim się odezwał. Wolałem, żeby nic nie mówił, tylko klepał mnie po plecach. Mógłbym tak przesiedzieć całą noc. – Jaką karę mam ci dać, Barnum? – Karę? Nie wygłupiaj się, Fred, dobra? Przyciągnął rękę do siebie, przesuwając paznokciami po moim karku. – Mam się nie wygłupiać? Przecież obiecałem Svae, że cię ukarzę. Stanął przy oknie. Wciąż czułem na karku jego rękę. – Matka mówiła, że kupili ci buty Oscara Mathisenena. – Tak – szepnąłem. – Pasują? – Całkiem nieźle. Fred się roześmiał. Plecy mu drżały. – Wiesz, co się stało z Oscarem Mathisenem, czy nie? – Zdobył mistrzostwo świata w jeździe na łyżwach. – Chodzi mi o to, co się z nim stało już po tym, jak został mistrzem świata. – Nie wiem. A coś się stało? – Najpierw zastrzelił żonę. Potem sam się zastrzelił. Mistrz świata. Fred gwałtownie odwrócił się do mnie. – Już wiem, jaką karę dostaniesz. – Jaką? – Masz mnie nigdy więcej nie okłamywać, Barnum. – Nigdy cię nie okłamałem, Fred. Uśmiechnął się i pokręcił głową. – Sam widzisz. Znów skłamałeś.

(paczka)

Kiedy się obudziłem, leżałem we własnym łóżku, Fred wyszedł, a matka pochylała się nade mną zniecierpliwiona. – Jak poszło? – spytała. W szkole tańca. Usiadłem i wszystko sobie od razu przypomniałem. – Peder przyjdzie na obiad. – Kto? – Peder! Matka przysiadła na brzegu łóżka. – Kto to jest Peder? Nigdy nie przypuszczałem, że kiedykolwiek powiem to, co miałem teraz powiedzieć. – To mój nowy kolega – szepnąłem. Matka uśmiechnęła się w taki dziwny sposób i już miała przeczesać mi palcami włosy, ale się powstrzymała. – Poznałeś go wczoraj? – Tak, wróciliśmy razem do domu. – I zaprosiłeś go na obiad? – Tak. Koledzy się zapraszają. Matka przez chwilę się wahała, w końcu wstała i klasnęła w dłonie. – Wobec tego trzeba zacząć nakrywać do stołu! Wyszła, a ja położyłem się z powrotem. Usłyszałem, że woła do Boletty: – Chodź mi pomóc, ty kłodo! Będziemy mieć dzisiaj gościa na obiedzie! Leżałem i słuchałem łagodnego hałasu rondli, patelni, trzaskających drzwiczek szafek, pokrywek upadających na podłogę, odkurzacza i żelazka i zacząłem się bać, wszystkiego, na co tak się cieszyłem, również się bałem, i myślałem, a może dopiero teraz tak myślę, wtedy natomiast miałem jedynie wątpliwość, przecucie, że nic nie jest pełne i całe, że wszystko ma w sobie jakieś pęknięcie, radość, szczęście, piękno, we wszystkim jest zadrapanie, skaza, z wyjątkiem tej pełnej i bezużytecznej myśli o braku doskonałości.

Matka otworzyła drzwi. Wyglądała na zaskoczoną. – Na miłość boską, nie idziesz do szkoły? – Chyba wolałbym zostać dzisiaj w domu – szepnąłem spod kołdry. Matka odgarnęła włosy z czoła, była w gumowych rękawiczkach i wielkim białym fartuchu. – Chory jesteś? – Nie, ale możesz napisać, że jestem. Za plecami matki pojawiła się Boletta, oczy miała czerwone, a usta pomarszczone. – Niech Barnum zostanie w domu. Napisz, że ma gorączkę. – Nie lubię kłamać – powiedziała matka. Boletta usiadła przy mnie i położyła mi rękę na czole. – O, to wcale nie jest kłamstwo, kochana Vero. Barnum był przecież w szkole tańca, a od tego temperatura wzrasta! W dodatku ma spuchnięte oko. Za dużo się napatrzył na dziewczęta! Już wstałem. – Mogę zrobić zakupy – prawie krzyknąłem. Matka pokazała na mnie palcem. – Z całą pewnością zostaniesz w domu.

Możesz posprzątać w swoim pokoju i nie przeszkadzać! Zniknęła w kuchni. Boletta chwilę się wahała. – Matka po prostu bardzo się cieszy – szepnęła. Z tego, że będziesz miał gości. Ale jej z trudem przychodzi okazywanie radości. Poglądziła mnie ręką po karku, na którym wciąż miałem ślady po paznokciach Freda. – Jak było wczoraj w szkole tańca? – spytała równie cicho. – No... fajnie. Roześmiała się, ale głównie do siebie. – Nie musisz nic mówić. Jestem po prostu głupią starą kobietą, która chciałaby wiedzieć, co ją omija.

Popatrzyłem na nią. – Ty nie jesteś głupia, Boletto. – Dziękuję ci, Barnum. Teraz się uspokoiłam.

Pospieszyła za matką, a ja zacząłem sprzątać. Zaścieliłem łóżka. Schowałem wszystkie podręczniki do tornistra, ołówki do piórnika, wszystkie wkładki do butów ukryłem w dolnej szufladzie, zdmuchnąłem kurz z *Leksykonu medycznego dla norweskich gospodarstw domowych* M.S. Grevego, otworzyłem okno i kichnąłem. Na dworze słońce rzucało wąskie cienie. Czas płynął. Stał nieruchomo, a jednocześnie się poruszał. Nawet czas nie był cały. Boletta już szła w górę Kirkeveien. Miała wózek pełen zakupów, ledwie miała siłę go ciągnąć. Zamknąłem okno i zacząłem się denerwować. Posprzątałem też rzeczy Freda. Schowałem pod poduszkę jego nóż, papierosy i wszystkie klucze. Brązowe buty w szpic wstawiłem do szafy, zeszkrobałem stare gumy do żucia z brzegu łóżka i wyrzuciłem. Wiedziałem, że nie powinienem tego robić, wiedziałem, że nie powinienem ruszać rzeczy Freda. Fred narysował kreskę przez środek podłogi. Musiałem dostać pozwolenie, żeby za nią przejść. Fred go nie potrzebował. On chodził tam, gdzie chciał.

Miałem nadzieję, że nie przyjdzie do domu na obiad. A mimo wszystko jednak również tego pragnąłem, żeby siedział razem z nami, starszy brat, mógłby po prostu siedzieć i się nie odzywać, tak, tak by było najlepiej, byłby milczącym i tajemniczym prawdziwym starszym bratem. Ale gdyby ojciec zdążył wrócić do domu, lepiej by było, żeby Fred nie przychodził, bo jeden z nich wystarczył. Usłyszałem, że matka nakrywa do stołu w salonie.

Biały obrus, wysokie szklanki, obrączki do serwetek, chiński serwis, srebrne sztućce. Na stole stawała wielka przeszłość, ta, która nigdy nie stała się przyszłością. Wybiegłem do matki. – Czy nie możemy po prostu zjeść w kuchni? – W kuchni, no wiesz? Teraz to już na pewno masz gorączkę. – Tak cię proszę, mamó. Nie możemy mieć zwyczajnego obiadu?

Odwróciła się do mnie, trzymała w rękach talerzyk i przez moment nie wiedziałem, czy rzuci nim o podłogę, czy ładnie odstawi na miejsce. – O co ci chodzi, Barnum? – Że właśnie na tym polega cały sens. Żeby wszystko było zwyczajnie. Matka długo mi się przyglądała. – Nie wierzę, że tak myślisz – powiedziała i delikatnie, wolnym ruchem położyła talerzyk na obrusie.

Ojciec wrócił za kwadrans piąta, jakby wracał ze zwyczajnego biura, jak byśmy byli zwyczajną rodziną. Zatrzymał się w korytarzu, ciężki i zgarbiony, może znów szedł piechotą aż od Majorstuen albo jeszcze dalej. Ledwie sięgał do butów. Potem jednak wyprostował się, przewrócił oczami i prychnął. Spojrzał na mnie zdumiony, stałem pod zegarem i czekałem, ale nie na niego, tylko na Pедера. Powoli przeniósł spojrzenie z błyszczących guzików mojego blezera na stół nakryty w jadalni, na którym już paliły się świece, migoczące w przeciagu z nieszczelnych okien. Twarz mu urosła, niewidoczny uśmiech mu ją rozszerzył, oczy zniknęły w fałdach skóry. – Ojoj – szepnął. Proszę, proszę.

Ojoj! Matka minęła nas z półmiskiem ziemniaków i na moment odwróciła się do ojca. – Barnum będzie miał gościa – powiedziała. Przyszykuj się. Twarz ojca rozsypała się jak przypalone polana w ognisku, oczy znów się pojawiły, może sądził, że wszystko jest przygotowane dla niego, taka niespodzianka, nagroda, nieoczekiwany medal. Z kuchni płynęły zapachy, jakich nikt z nas dotychczas nie znał, przyprawy, wanilia, gotowane mięso, to były receptury w obcych językach, a Boletta znad garnka wyśpiewywała przeboje. Ojciec znów odnalazł swój uśmiech i odwrócił się do mnie. – Gościa? Już zdążyłeś poznać dziewczynę, Barnum? – On ma na imię Peder – powiedziałem. Ojciec podszedł do kredensu i przygotował sobie whisky z wodą sodową w najcięższej szklance.

Pił powoli, przełknął trzy razy. – Już się przyszykowałem – powiedział.

Wybiła piąta. Peder nie przychodził. Matka nakryła ziemniaki ścierką, Boletta trzymała garnki na ogniu, ojciec przyrządził sobie jeszcze jedną whisky z wodą, głowa mu się chwiała. Popatrzył w dół na moje stopy. – Nie chodzisz w nowych pantoflach? – spytał. – Nie, dziękuję. – Jednak są niewygodne? – Nie lubię chodzić w butach po zmarłych – odparłem. Tak tylko to powiedziałem, bez zastanowienia, jak gdyby słowa rodziły się w jakimś innym miejscu, nie lubię chodzić w butach zmarłych. Ojciec na moment uciekł wzrokiem, opróżnił szklankę i tupnął nogą. – Do stołu! – zawołał. Usiedliśmy. Ojciec zatknął serwetkę między górne guziki koszuli i już chciał sobie nałożyć. Matka położyła mu rękę na ramieniu. – Zaczekajmy – powiedziała cicho. Ojciec opuścił ręce na kolana, zniecierpliwiony, rozejrzał się, a w końcu jego spojrzenie zatrzymało się na mnie. – Jak nazywa się ten chłopiec? – spytał. – Peder – powiedziałem. – Peder i co dalej?

Pomyślałem: Ale on nie przychodzi. Powiedział tak tylko po to, żeby zgrywać fajnego, powiedział, że przyjdzie na obiad, dlatego że jego ojciec to słyszał, może zrobiło mu się mnie żal przez to, że jestem takim knypkiem, nie przychodził, oszukał mnie, zostałem wyrzucony ze szkoły tańca w butach umarłego i zostałem sam. – Peder – powtórzyłem.

Peder. Boletta pochyliła się nad stołem. – Na pewno przyjdzie – powiedziała. Przyjdzie!

W tej samej chwili przyszedł Fred. Stanął w drzwiach i patrzył na nas. Potrzęsnał głową, żeby odgarnąć grzywkę i podszedł bliżej. Uśmiechał się, ale wargi miał wąskie. – Kto umarł? – spytał, siadając na ostatnim wolnym krześle. – To miejsce jest zajęte – oświadczył ojciec. I nikt nie umarł. – Teraz rzeczywiście jest zajęte – powiedział Fred.

A umarłeś ty. Fred nałożył sobie na talerz i zaczął jeść. – Nie musieliście na mnie czekać.

Podał półmisek Boletcie, która tylko pokręciła głową. – Do Barnuma przyjdzie w gości kolega – wyjaśniła prędko matka. – Kolega? Do Barnuma? Fred popatrzył na mnie. Matka nakryła ręką jego dłoń. – Nie liczyłam, że przyjdiesz, Fred. Ojciec się roześmiał. – No właśnie, kto może liczyć, że Fred przyjdzie. Boletta już dołożyła nakrycie pomiędzy matką a mną i przystawiła dodatkowe krzesło. Fred wpatrywał się w ojca. – A kto może liczyć na to, że ty przyjdiesz, co? Ty durniu! Ojcu zadrżała ręka. – Jestem tutaj. W dodatku nie należy mówić z jedzeniem w ustach. Fred żuł długo i odwrócił się do mnie. Miałem nadzieję, że Peder nie przyjdzie. Miałem nadzieję, że tylko tak powiedział, zgrywając fajnego. Że nigdy nie przyjdzie. – Gdzie on się podziewa, co? – spytał Fred. Ten twój kolega. – Na pewno przyjdzie – stwierdziła Boletta i nalała sobie kieliszek wina. Ojciec wyrwał jej z rąk butelkę i sobie też nalał do pełna. – Może tramwaj się spóźnia – szepnąłem. – Na pewno – powiedziała matka. Na pewno niedługo tu będzie. Zobaczysz.

Fred zachichotał. Ojciec wznosił toast. – W wielkim świecie, za granicą, z rozpoczęciem przedstawienia czeka się jeszcze przez kwadrans, a teraz jest dokładnie piętnaście po piątej! Napelnił sobie talerz po brzegi i już miał podnieść do ust pierwszy kęs, kiedy rozległ się dzwonek. W salonie zapadła kompletna cisza, nawet Fred jakby skamieniał nad obrusem. Dzwonek rozległ się ponownie. Poderwałem się, mało nie wywracając krzesła, pobiegłem do przedpokoju i otworzyłem. To był Peder. Wszedł do środka, sprawiał wrażenie zdyszanego. – Na samej górze Kirkeveien – wysapał. Cholera! – Okropnie stromo – przyznałem. – I nie podałeś mi numeru. Peder się roześmiał. Ja też się śmiałem. – No to jak trafiłeś? – Po prostu spytałem, gdzie mieszka Barnum Nilsen. Odwróciliśmy się w stronę salonu. Siedziała tam moja rodzina. Uśmiechali się. Ojciec odłożył jedzenie z powrotem na półmisek, nawet Fred się uśmiechał. Wyglądali na szczęśliwych wśród tych lichtarzy i szklanek, jak gdyby w ich życiu nigdy nie było nic oprócz szczęścia.

Próbowałem spojrzeć na nich oczami Pedera, osoby, która przysłała tu po raz pierwszy.

I oto, jak ich zobaczyłem, po raz pierwszy: ojciec już wstaje z krzesła wyższego od pozostałych, prędko przygląda dłonią przylizane włosy i robi miejsce dla Pedera, naszego gościa. Boletta przesuwając butelkę, żeby jej nie zasłaniała, siwowłosa, uśmiechnięta babcia w kręgu rodziny. Matka też wstaje, nagle wygląda młodziej niż większość matek, czerwieni się i wyciąga ręce przed siebie, jak gdyby chciała objąć Pedera i przytulić go do siebie, natomiast Fred dalej je, odpowiednio samodzielny starszy brat, który nie pozwoli sobie przeszkadzać. Mogło się udać. – O rany – szepnął Peder.

Najpierw przywitał się z ojcem, który tak łatwo go nie puścił. – Peder Miil – powiedział Peder i się uklonił. – Miil? Przez jedno czy przez dwa I? – Przez dwa – wyjaśnił Peder. Miil. Potem obszedł stół i wszystkim podał rękę. Tak, nawet Fred się przywitał, i wreszcie usiedliśmy. – Dziękuję, że mogłem przyjść – powiedział Peder.

Matka i Boletta popatrzyły na siebie, takiego chłopca jeszcze nie widziały. – Ale się spóźniłeś – stwierdził Fred. – To nic nie szkodzi – zaśmiała się matka. Boletta podawała Pederowi półmiski, a ojciec nalał do szklanki tyle soku, że już więcej by się nie zmieściło. – Mile widziani goście zawsze przychodzą w porę – powiedział. Mawialiśmy tak w Ameryce. A wobec tego możemy tak mówić również i w domu! Peder kiwnął głową i sobie nałożył. – Założę się, że Barnum zapomniał powiedzieć, gdzie mieszka – powiedział Fred. Peder podsunął mu półmiskę. – Tramwaj się niestety spóźnił – wyjaśnił.

Fred bacznie mu się przyglądał. – Bo Barnum nigdy wcześniej nie miał gości – dodał. Ty jesteś pierwszy. Peder odwrócił się do mnie. – Wobec tego dobrze, że przyszedłem, chociaż spóźniony. Wszyscy się roześmiali, z wyjątkiem Freda i być może mnie. Potem na chwilę zapadła cisza. Jedliśmy. Tak powinno być. Powinniśmy tylko siedzieć i jeść gotowaną wieprzowinę, uśmiechać się do siebie, popijać małymi łyżkami ze szklanek, ślać sobie życzliwe spojrzenia i może rzucić jakąś uwagę o pogodzie, gdyby już zaistniała tak potrzeba. To się mogło udać. – Czym się zajmuje twój ojciec? – spytał ojciec. – Znaczkami – odparł Peder. Znow na jakiś czas zapadła cisza. Ojciec wyjął wykałaczkę i zaczął nią grzebać w ustach. – Znaczkami? – powtórzył w końcu. – Tak, sprzedaje znaczki pocztowe. Najpierw je kupuje. – Można z tego żyć? – spytał Fred. – W zeszłym roku sprzedał znaczek z Mauritusa za dwadzieścia jeden tysięcy siedemset trzydzieści cztery korony – odparł Peder. Ojciec pomachał Fredowi przed nosem wykałaczką jak skurczonym wskaźnikiem. – To się nazywa filatelista, jeśli tego nie wiesz. Filatelista!

Schował wykałaczkę do kieszonki koszuli i nałożył sobie po raz drugi. – Widzę, że przyglądasz się mojej okaleczonej ręce, Pederze – powiedział nagle. Dopiero teraz zauważyłem, że nie ma na niej rękawiczki. Przyzwyczailiśmy się już do tego zszarzałego bezkształtnego kikuta. – Nie zrobiłem tego specjalnie – szepnął Peder. Ojciec podniósł rękę. – Nic nie szkodzi. Ale to długa historia, Pederze. Te drogocenne palce oderwały się, kiedy uprzętałem miny w Finnmarku po wojnie. Fred ziewnął. – Niemiec, widzisz, to niezwykle staranny wojownik. Jest też przebiegły. Tymczasem ta mina nieoczekiwanie leżała krzywo i wszedłem jej w drogę. Teraz już wiesz prawie wszystko o mojej prawej ręce, Pederze. – Był pan też w Ameryce? – spytał Peder. Ojciec znalazł się w swoim żywiole, bardzo chętnie by teraz wstał i wygłosił mowę, zadowolił się jednak odłożeniem noża i widelca na obrus. – Czy byłem w Ameryce? Ameryka to moja druga ojczyzna, Pederze. I ośmielę się twierdzić, że jestem tam bardziej znany niż w rodzinnym kraju.

Chciałem, żebyśmy już odeszli od stołu. Podałem półmisek Boletcie. – A jak było wczoraj u pani Svae, chłopcy? – spytała. Peder spojrział na mnie. – No... – zająknąłem się. – Ona głównie mówiła – powiedział Peder. Boletta odłożyła sztućce. – Mówiła? Przecież w szkole tańca się nie mówi, tylko tańczy. – Powiedziała, że musimy zmieniać bieliznę, jeśli się spocimy w tańcu – wyjaśnił Peder. Ależ się śmialiśmy! Nawet Fred się śmiał.

Ojciec musiał wstać i obejść stół, tak bardzo się śmiał. To się mogło udać. W końcu ojciec usiadł. – W Ameryce tańczyliśmy przez kilka nocy z rządu – powiedział. Przynurkam ci, że niejeden się przy tym nieźle spocił. – Tak, tak, Arnoldzie – włączyła się prędko matka, ale ojciec nie ustępował. – A ci, którzy wytrzymywali najdłużej, wygrywali. Nie było ani jednej wolnej chwili, żeby myśleć o przepoczonej bieliźnie. Fred cały czas się we mnie wpatrywał. – Jak się nazywa ta baba ze szkoły tańca? – spytał. – Zważaj na słowa – powiedział ojciec. – Sam zważaj – odciął się Fred. – Svae – szepnąłem. Fred odwrócił się do matki. – Dzwoniła tu wczoraj. Peder spuścił wzrok. Ja nie patrzyłem nigdzie.

Zamknąłem oczy. Tam w środku było ciemno. – Tutaj? – zdziwiła się matka. A to dlaczego? Fred rozgniół ziemniaka widelcem, nie spieszył się. – Powiedziała, że w przyszły czwartek zaczynają wół do szóstej, nie o szóstej.

Otworzyłem oczy. Fred się uśmiechnął, a w tej samej chwili rozległ się dzwonek do drzwi. Na twarzy Freda pojawił się niepokój, który tylko ja dostrzegłem. Popatrzył na mnie. – Masz jeszcze jakichś przyjaciół, Barnum? Pokręciłem głową. Znowu zabrzmiał dzwonek. Długo i mocno. Matka pobiegła otworzyć. To był dozorca Bang. Wszedł do środka, wyminął ją, w rękach trzymał paczkę, najdalej od siebie, jak tylko mógł. – Dość już tego! – zawołał i rzucił ją na stół. – Dostałem to dzisiaj pocztą! Matka przybiegła za nim. Ojciec zerwał się gwałtownie i krzesło się wywróciło. – Co, na miłość boską, ma to wszystko znaczyć? – Niech pan rozpakuje i się przekonaj! – prawie wrzasnął Bang, który zachowywał się jak szaleniec. Poznałem tę paczkę. Ojciec rozłożył papier i cofnął się.

W środku leżała moja piżama. Cuchnęło strasznie. Matka zakryła twarz dłońmi. – O Boże! – jęknęła. Boletta zabrała swój kieliszek do kuchni. Peder znieruchomiał.

Patrzyłem na Freda. Co on zrobił? – Nie życzę sobie tego rodzaju świństw! Po prostu sobie tego nie życzę! Bang tupał kulawą nogą. – Czyja to piżama? – spytał ojciec dziwnie łagodnym głosem. – Moja – szepnąłem. Uderzył mnie. Matka zaczęła krzyżeć. O mało nie spadłem z krzesła. Ojciec obiegł stół, zatrzymał się za Fredem i położył mu kaleką rękę na ramieniu. – A co ty masz do powiedzenia, Fred? – Nic. – Nic? Nie masz nic wspólnego z tym świńskim brudem? – Nic – powtórzył Fred. Barnum się posrał, a ja wyrzuciłem piżamę do śmieci. Ojciec wbił szczątki kciuka w kark Freda. – A piżama sama pobiegła do dozorczy Banga? – Skąd mogę wiedzieć? – powiedział Fred. Czy ktoś może zabrać stąd to gównno? Jem. Teraz Bang obrócił paczkę. Widniały na niej jego nazwisko i adres wypisane wielkimi niezgrabnymi literami. – Nie wymigasz się, ty łobuzie! Nie potrafisz nawet prawidłowo napisać mojego nazwiska! Stuknął palcem w paczkę tak mocno, że paznokieć prawie przebił papier. Było tam napisane „Bnag”. Fred napisał „Bnag”.

„Dozorca Bnag”. To było prawie jak podpisanie paczki pełnym imieniem i nazwiskiem, jak zostawienie odcisków palców. Zobaczyłem, że spuszcza głowę, czerwieni się, wściekły, a ojciec trzepnął go zdrową ręką, raz, dwa razy, trzy razy, aż matka rzuciła się, żeby go powstrzymać. Ale ojciec tylko ją odepchnął. ? Przepró?! ? sykn??. Natychmiast pro? o?wybaczenie, ty?idioto! Fred nie rusza? si? z?miejsca. Z?twarzy co? mu?ciek?o. Nie wiem, co?to by?o, ?zy, krew czy ?lina. W?ko?cu wsta?, podni?s? si? powoli i?si? u?miechn??. To?by? najokropniejszy u?miech, jaki widzia?em. Stan?? przed dozorc? Bangiem. ? Przepraszam. My?la?em, ?e?to pan pierze pi?amy w?naszej kamienicy, Bnag.ł. – Przepróś! – syknął. Natychmiast proś o wybaczenie, ty idioto! Fred nie ruszał się z miejsca. Z twarzy coś mu ciekło. Nie wiem, co to było, łzy, krew czy ślina. W końcu wstał, podniósł się powoli i się uśmiechnął. To był najokropniejszy uśmiech, jaki widziałem. Staął przed dozorcą Bangiem. – Przepraszam. Myślałem, że to pan pierze piżamy w naszej kamienicy, Bnag.

Ojciec już miał go znów uderzyć, lecz Fred zatrzymał jego rękę, przytrzymał ją mocno przez kilka sekund, a potem się rozejrzał, z tym samym uśmiechem i oczyma, w których przelewała się oliwa. Zaczynało się robić groźnie. W końcu puścił ojca i poszedł do naszego pokoju. Nikt z nas już nic więcej nie mówił, nie mieliśmy też zbytniego apetytu.

Moja pizama leżała na środku stołu jak cuchnący deser. Matka trzęsła się tak, że musiała usiąść. Ojciec objął dozorcę Banga za ramiona i zaciągnął go do kąta. Wyjął cygara, żeby Bang mógł sobie jakieś wybrać. Nagle zastanowiłem się, co Fred powie, kiedy zobaczy, że ruszałem jego rzeczy, że je posprzątałem. Ale z naszego pokoju nie dobiegał żaden odgłos.

W końcu matka wstała, poderwała się gwałtownie, zgmiotła całą paczkę, wepchnęła wszystko do kominka i podpaliła. Odprowadziłem Pedera kawałek. Milczał przez całą Kirkeveien. Wszystko się popsulo. Wszystko było teraz gorsze niż dotychczas.

Czerwieniłem się ze wstydu, gdy tylko o tym pomyślałem, o mojej własnej pizamie, leżącej jak na urągowisko na środku stołu. Postanowiłem nazajutrz zabić wszystkich, którzy o tym wiedzą. Musiałem zabić również Pedera. Szedłem trzy kroki za nim. To już koniec. Byłem bliski płaczu. Na Majorstuen Peder się zatrzymał, odwrócił do mnie i uśmiechnął. – Następnym razem może ty będziesz mógł zjeść obiad u nas.

(akt)

Na środku salonu w domu u Pedera stał nagi mężczyzna. Stał zupełnie nieruchomo ze skrzyżowanymi rękami i wyglądał tak, jakby usilnie myślał o czymś albo o niczym.

Skórę miał złocistą, gładką. Napięte mięśnie rysowały się wyraźnie wzdłuż wysokiego szczupłego ciała, na więcej nie miałem odwagi patrzeć. Był nagi i stał w salonie u Pedera. W pierwszej chwili pomyślałem, że to jego brat, ale Peder nie miał brata, w dodatku ten człowiek przekroczył już trzydziestkę, nie mógł więc być bratem Pedera. – Pst – szepnął Peder i wziął mnie za rękę, nim jeszcze zdążyłem powiedzieć choćby słowo. Staliśmy w przedpokoju za wieszakiem, pełnym szalików, płaszczy i kapeluszy. – Mama pracuje – powiedział jeszcze ciszej. Teraz dostrzegłem również ją.

Siedziała w głębokim fotelu pod zasłoniętym oknem i rysowała na arkuszu papieru, od czasu do czasu podnosiła wzrok, mrużyła oczy i wyciągała ołówek przed siebie, jak gdyby mierzyła odległość od sufitu. Potem znów pochylała się nad kartką. Teraz zobaczyłem też, że nie siedzi w zwyczajnym fotelu. To był fotel na kółkach. Wózek inwalidzki. Nagi mężczyzna jeszcze się nie poruszył. Ja też wstrzymałem oddech. Równie dobrze mógł być martwy. Martwy i piękny na stojąco. Peder pochylił się mniej więcej do mojego ucha. – Wydaje mi się, że mama się w nim zakochała – szepnął. Poświęciła trzy miesiące na namalowanie jego gęby. Leciutko się zaśmiał, a wtedy matka nas zauważyła. – Cześć, chłopcy! – zawołała, wsunęła ołówek do ust i podjechała do nas. Wyciągnęła do mnie rękę. Była okryta dużym pledem i prawie w nim ginęła, ale pamiętam jej piękne puszyste włosy, rude jak miedź, błyszcząły i iskrzyły, jakby zawsze nosiła miękką koronę. – Ty musisz być Barnum – powiedziała. Kiwnąłem głową. – A ty zapomniałaś, że Barnum ma dzisiaj jeść u nas obiad – przerwał jej Peder i wyjął jej ołówek z ust. – Może i tak. – Roześmiała się. Ale to nie znaczy, że na stole nie będzie nic do jedzenia. Spójrz, Barnum.

Pokazała mi rysunek. – Nie jest jeszcze skończony, ale co o nim myślisz? Podobały mi się te cienkie prędkie kreski. Kiedy się zamknęło jedno oko i patrzyło tylko drugim, nagle się zmieniały, jak gdyby linie szły w odwrotną stronę i przedstawiały coś zupełnie innego. Ale przecież widziałem, co narysowała. Twarz nie była zbyt podobna, ale co do reszty nie można się było pomylić. Peder westchnął. – Nie dręcz Barnuma. Matka Pedera też westchnęła. – Wcale go nie dręczę. Pytam go tylko o zdanie, Peder. – Uważam, że jest skończony – powiedziałem. Zdumiona podniosła wzrok, bo wózek był na tyle niski. – Skończony? Przecież ja ledwie zaczęłam! – Mimo wszystko uważam, że jest skończony – szepnąłem. Matka Pedera zapatrzyła się we własny rysunek i długo kręciła głową.

Przestraszyłem się, że się wygłupiłem, albo że kogoś uraziłem. – Przepraszam – powiedziałem. Matka Pedera znów na mnie spojrzała. – Doprawdy, wydaje mi się, że masz rację, Barnum. Może mimo wszystko jest skończony. Zwróciła się do nagiego mężczyzny, który wciąż stał tak samo nieruchomo: – Skończyliśmy, Alain. Ale przywitaj się z Barnumem, zanim wyjdiesz. Mężczyzna o imieniu Alain oderwał się od podłogi, do której przymarzł, jakby polecenie matki Pedera przywróciło go do życia. Wolnym krokiem podszedł do mnie i uściśnił mi rękę, lekko, niemal muśnięciem. Ukłoniłem się nisko, ale moja głowa prędko wróciła na swoje miejsce. Pierwszy raz w życiu witałem się z nagim mężczyzną. Peder odwrócił wzrok i gwizdał, potem pociągnął mnie za rękę przez salon po schodach na piętro. Trochę to trwało, bo musieliśmy torować sobie drogę między niedokończonymi obrazami, stosami książek, walizek, gazet i sznurkami do bielizny. Ale w pokoju Pedera było inaczej. Zatrzymałem się w drzwiach. Pomyślałem, że nie można się naprawdę z kimś przyjaźnić, dopóki się nie zobaczy, jak wygląda jego pokój, chociaż Peder na razie jeszcze nie widział mojego pokoju, w dodatku nie był to wcale mój pokój, tylko mój i Freda, a nasz pokój był przedzielony przez środek kreską, której nie dawało się zetrzeć. Peder walnął się na łóżko i jęknął. – Jasna cholera. Dobrze, że powiedziałaś, że ten rysunek jest skończony! Bo inaczej nigdy by go nie skończyła. Na ścianie nad jego biurkiem wisiała wielka mapa, a obok niej cztery zegary, każdy wskazywał inną godzinę.

Na pierwszym była za kwadrans piąta, ale na drugim już za kwadrans ósma. – Który źle chodzi? – spytałem. Peder się roześmiał. – Żaden, ty głupku. Kładź się. Położyłem się na łóżku obok niego. Było dostatecznie szerokie. Peder pokazywał na zegary. – Pierwszy wskazuje czas na Frogner. Drugi w Rio de Janeiro. Trzeci w Nowym Jorku, a czwarty w Tokio. – Bardzo fajnie – przyznałem. – No tak – tłumaczył Peder. Bo jeśli ktoś zadzwoni z Nowego Jorku, to będę wiedział, która tam jest godzina. – A dzwoni ktoś z Nowego Jorku? – spytałem. – Nigdy – odparł Peder i znów się roześmiał. – Ale może mimo wszystko warto wiedzieć – stwierdziłem. Przez chwilę leżeliśmy, nie odzywając się ani słowem. Dziwnie było o tym myśleć. Dziwnie było myśleć o tym, że czas jest różny. Że niektórzy mogą już wracać do domu ze szkoły, na przykład w Rio de Janeiro, podczas gdy inni, opóźnieni, ledwie zaczęli pierwszą lekcję, na przykład w Tokio. Niektórzy są spóźnieni, a niektórzy mają zapas. Właściwie to niesprawiedliwe. A co by się stało, gdyby się pojechało z Frogner do Nowego Jorku? Czy człowiek nagle zrobiłby się o osiem godzin starszy, czy młodszy? To było niezrozumiałe. A gdyby się objechało całą Ziemię dookoła i wróciło do domu, czy można by wtedy zacząć wszystko od nowa? Czy czas cofnąłby się tak, że większość rzeczy w życiu byłaby jeszcze niezrobiona i można by je było zrobić od nowa, tylko lepiej, albo w ogóle z nich zrezygnować, jeśli się czegoś żałowało? – Zasnąłeś? – spytał Peder. – Tylko myślałem – szepnąłem. – A o czym? – O czasie. – Czas to tylko coś, co wymyśliliśmy – powiedział Peder. Tak samo jak pieniądze. Usłyszeliśmy kroki w ogrodzie i poderwali się do okna. To wychodził ten nagi mężczyzna, Alain. Na szczęście już nie był nagi. Miał na sobie długi płaszcz i czarny szal owinięty wokół szyi co najmniej osiemnaście razy. Na ulicy odwrócił się i pomachał, a właściwie tylko ledwie uniosł rękę i złożył palce. Nie do nas machał. – Co dolega twojej matce? – spytałem. Peder nie odpowiedział, dopóki człowiek o imieniu Alain nie zniknął, a ja pożałowałem pytania, bo nie

chciałem powiedzieć nic złego, nie chciałem nic popsuć, to była ostatnia rzecz, jakiej chciałem, ponieważ zostałem wpuszczony do pokoju Pedera. – Czy coś jej dolega? Przełknąłem ślinę. – Przecież siedziała na wózku – szepnąłem. Peder wzruszył ramionami. – Może po prostu lubi tak siedzieć. – Jasne – powiedziałem. Peder znów zwiesił ramiona. Chciałem spytać o coś innego, ale się powstrzymałem. Staliśmy w milczeniu przy oknie. Czas płynął w Tokio, Rio de Janeiro i w Nowym Jorku, na Frogner się zatrzymał. Czułem się trochę tak, jakbyśmy również my stali się modelami, czekającymi nieruchomo we wnętrzu naszych ciał, podczas gdy ktoś nas rysował. Ale nie wiedzieliśmy kto, nie wiedzieliśmy też, kiedy rysunek zostanie ukończony. Wreszcie Peder się odezwał. – Wiesz, ile fiutków wyrzeźbił Gustav Vigeland? – Fiutków? – Tak, fiutków. – Nie wiem. – Sto dwadzieścia jeden – powiedział Peder. – Skąd wiesz? – Policzyłem. A jak dodasz *Monolit*, to będzie sto dwadzieścia dwa. – Sto dwadzieścia trzy, licząc tego z salonu – powiedziałem. – Tak, cholera! Jest tylko jedna rzecz gorsza od mieszkania przy parku Frogner. – Jaka? – Mieszkanie obok kościoła. Tak jak Vivian. Wyobraź sobie ten okropny hałas w niedzielę. – Albo w Wigilię – dodałem. To rzeczywiście musi być straszne. Peder popatrzył na mnie. – Niektórzy mówią, że jej matka ma potajemne drzwi z sypialni do kościoła. – Kto tak mówi? Peder znów wzruszył ramionami. – Niektórzy. Ale to na pewno kłamstwo. Do domu wrócił ojciec Pedera. Usłyszeliśmy to na długo, zanim go zobaczyliśmy.

Zardzewiały vauxhall hałasował bardziej niż zbombardowana lokomotywa i wystraszył ostatnie ptaki z żywopłotu w ogrodzie, jeszcze zanim zjechał z ronda na Solli plass; mniej więcej pół godziny później wjechał tyłem do garażu, chociaż określenie „wjechał tyłem” jest raczej przesadzone, samochód wskoczył bowiem w bramę, jak gdyby ojciec Peder nie bardzo wiedział, jak używać pedałów, i naciskał na nie jak na pedały roweru, a może coś było źle z silnikiem, prawdopodobnie jedno i drugie. – Ojciec robił prawo jazdy przez trzy lata i pięć miesięcy – powiedział Peder. Dwieście osiem godzin jazdy. To kosztowało tylko trochę więcej niż samochód. W garażu coś głośno huknęło. Zaraz potem ojciec wyszedł stamtąd, z teczką pod pachą, kapeluszem w ręce, popatrzył na nas i uśmiechnął się jak gdyby nigdy nic. Peder otworzył okno. – Cześć! – zawołał jego ojciec. Czy to lwy salonowe tam stoją? – A ciebie ile razy dzisiaj zatrzymała policja? – odkrzyknął Peder.

Ojciec tylko się roześmiał i wskazał na mnie. – Barnum! Lubisz dobrze wysmażony pudding z krwi z surową cebulą? Nie zdążyłem odpowiedzieć, ale widocznie zauważył, że szczeka mi opadła. – Ja też nie lubię, Barnum! Po czym zniknął, a my zbiegliśmy na dół i okazało się, że w salonie stół jest już nakryty i wcale nie pachniało krwawym puddingiem z cebulą, tylko czymś innym, czego prawdopodobnie nigdy dotąd nie jadłem, ale pachniało bardzo przyjemnie. Matka Pedera wjechała z wielkim półmiskiem, wkrótce przyszedł też ojciec, nachylił się, dość długo całował matkę Pedera i w końcu mogliśmy usiąść do stołu. Pomyślałem, że w tym pokoju całkiem niedawno stał nagi mężczyzna, a teraz my jedliśmy tu obiad. Musiałem nałożyć sobie pierwszy, a ojciec Pedera bacznie mi się przyglądał. – Jedzenie nie jest niebezpieczne – powiedział. – Nie dręcz Barnuma – westchnął Peder. – Wcale go nie dręcę, mówię tylko, że może być dokładka. Położyłem sobie na talerzu prawie przezroczysty plasterek mięsa i podałem półmisek Pederowi, natychmiast jednak zrozumiałem, że powinienem był podać go matce, tak samo jak w tramwaju ustępuje się miejsca starym i chorym, i że teraz mało brakuje, żebym znów wszystko popsuł, został wyklęty, poproszony o to, żeby już nigdy tu nie wracać, czego bałem się najbardziej, ale było już za późno, a Peder od razu nałożył sobie podwójną porcję i połał sosem tak, że więcej już by się nie zmieściło. Odwrócił się do mnie, uzbrojony w nóż, widelec i serwetkę. Więc jednak nie zostałem wyrzucony. – Kaczka – powiedział. Prosto z parku Frogner. – Przestań. – Matka się roześmiała i rzuciła w niego obręczką do serwetki, a ojciec uratował resztę półmiska. Ale Peder się nie poddawał. – Właśnie że tak. Mama poluje na kaczki z wózka. Najpierw je karmi, potem ukręca im głowy. Niezłe, Barnum? – Nie słuchaj go! – zawołała matka i nalała mi do szklanki soku jabłkowego. – Ależ to prawda – potwierdził ojciec. Mama całe jedzenie przynosi z parku Frogner. Ryby z sadzawki i łabędzie z fontanny! – Wcale że nie! – A zimą króliki.

Wiedziałaś, że w parku Frogner są króliki, Barnum? – Nie słuchaj ich. Matka Pedera się śmiała. – Kiedyś chodziła na polowania z psem. Pies ciągnął wózek, tak jak sanki. Tak pletli, dopóki starczyło im sił. Peder zjadł mniej więcej dwa razy tyle co my wszyscy pozostali razem i w tym samym tempie. A przed deserem zapanowała powolna cisza, najedzona i senna. Patrzyliśmy na siebie i się uśmiechaliśmy. Prawie nie docierało do mnie, jak bardzo się cieszę. Siedziałem w salonie u Pedera i jadłem obiad. Byłem w jego pokoju. Leżałem obok niego na łóżku. Tutaj Fred nigdy nie mógł przyjść. To było moje.

Tylko moje.

Ojciec Pedera pogładził ręką puszyste błyszczące włosy matki. – Udało ci się dzisiaj coś narysować? – spytał cicho. Kiwnęła głową i położyła sobie jego rękę na kolanach. – Barnum mówi, że rysunek jest skończony – powiedziała. Ojciec odwrócił się do mnie zdumiony. – Znasz się na tym, Barnum? Peder wstał i zabrał głos, zanim zdążyłem odpowiedzieć, może i lepiej, że tak się stało. – Kiedy Barnum mówi, że coś jest skończone, to znaczy, że jest skończone. Skończone? Pokiwaliśmy głowami, Peder wyniósł talerze do kuchni i dość długo tam zabawił. Miałem ochotę iść za nim, ale siedziałem, bo nikt nie powiedział, że mogę wstać od stołu, a nie chciałem okazać się bezczelny albo żeby pomyśleli, że jestem źle wychowany i niewdzięczny. Chciałem, żeby mnie lubili, żeby lubili mnie całego. Ojciec zapalił fajkę i nad stołem zawisła chmura. – Barnum – powiedział. – Słucham? – Barnum – powtórzył. – Słucham – powiedziałem jeszcze raz i pomyślałem, że teraz to on coś popsuje, jeśli też zacznie wygadywać różne rzeczy o moim imieniu i je ośmieszać jak większość ludzi. – Barnum – powtórzył po raz trzeci.

Miałem kiedyś znaczek z Barnumem. Bardzo rzadki amerykański znaczek. Wrócił Peder z deserem. – A to matka złapała na psim polu – oznajmił i postawił miskę na stole. Uszy pudła w kremie! To były brzoskwinie z bitą śmietaną, ale ledwie mogłem jeść, bo myślałem o znaczku, o znaczku z Barnumem, miałem jakby swój własny znaczek, znaczek Barnuma, gdybym kiedykolwiek został bogaty, wytropiłbym wszystkie znaczki z Barnumem na świecie, kupił je, a potem wysłałbym kartki do wszystkich, którzy wyśmiewali się z mojego imienia, zwłaszcza do pastora, jemu wysłałbym cały plik z moim własnym znaczkiem, pozdrowienia, Barnum, nie starczyłoby mu czasu na nic innego niż odbieranie pocztówek ode mnie, właśnie to postanowiłem zrobić. – Musisz jeść, Barnum – powiedziała matka. Bo Peder zje wszystko. Wziąłem sobie jeszcze jedno ucho pudła, a ojciec znów zapalił fajkę i znów się zachmurzyło. – Dzisiaj przyszła do sklepu pewna starsza pani – powiedział. Chciała sprzedać znaczek. Spytałem, ile chciałaby za niego dostać. Może pięćdziesiąt koron, powiedziała. A ten znaczek był wart co najmniej osiemset. Ojciec musiał użyć jeszcze jednej zapalki, ledwie go było widać przez mgłę.

Peder zaczął się niecierpliwić. – To znaczy, że zarobiłeś siedemset pięćdziesiąt koron – powiedział. Ale ojciec pokręcił głową. – Nie mogłem. To znaczy, nie mogłem oszukać tej staruszki. Peder już się podrywał z krzesła, lecz najwidoczniej zjadł za dużo, bo opadł z powrotem. – Oszukać! – zawołał. Przecież to ona podała cenę! – No tak, ale przecież ona się nie znała na znaczkach, Peder. – Ile jej dałeś? – szepnął. – Dałem jej tyle, ile uważałem, że jest wart. Osemset koron. Peder schował twarz w rękach i jęknął. – Sądzę, że uda mi się go sprzedać pewnemu kolekcjonerowi ze Szwecji za prawie dziewięćset – powiedział ojciec i odwrócił się do matki. To będzie setka zarobku. Nakryła jego rękę dłonią. – Jesteś za dobry. – Jesteś za głupi! – wrzasnął Peder. Ojciec odłożył fajkę i spojrzał na mnie z dziwnym uśmiechem. – Nie jestem ani dobry, ani głupi, Barnum.

Jestem tylko uczniwy.

Peder odprowadził mnie kawałek do domu, musiał się przewietrzyć. Ale matka też chciała z nami iść. Pchaliśmy ją po Kirkeveien, skręciliśmy na ścieżkę obok pustego basenu i wieży do skakania, przypominającej biały cień na tle czarnego nieba, na którym wisiał księżyc w pełni, w nieruchomym pierścieniu zimna. Wkrótce mógł zacząć padać śnieg. Peder okrył matkę szalem. Nagle zauważyłem coś dziwnego. – Pani byłoby do twarzy ze śniegiem – stwierdziłem. Matka odchyliła się do tyłu i popatrzyła na mnie z dołu. Myślałem, że będzie się śmiała, ale tylko uśmiechnęła się zdumiona. – Dziękuję – powiedziała. Ładnie to powiedziałaś, Barnum. Cieszyłem się, że nie muszę tłumaczyć, co miałem na myśli. Sam tego nie wiedziałem. Po prostu nagle zobaczyłem, że byłoby jej do twarzy ze śniegiem. Jej rude włosy, miedź i śnieg. – Dziękuję – powiedziała jeszcze raz, a Peder położył mi rękę na ramieniu.

Potem poszedłem sam wzdłuż Kirkeveien, szedłem wolno, żeby ten wieczór trwał jak najdłużej. Przy kiosku Esther wydało mi się, że widzę Freda, chowającego się w bramie.

Przystanąłem i wstrzymałem oddech. Ale to chyba tylko księżyc spletał mi figła. Mimo wszystko ukryłem się za drzewem na rogu, dopóki niebezpieczeństwo nie minęło. Kora pod policzkiem była zimna i szorstka.

Nie bałem się. Kiedy wróciłem do domu, matka już się położyła. Ojciec wyjechał w podróż, bo nie widziałem jego walizki ani płaszcza. Freda nie było w naszym pokoju, włóczył się, a Boletta pewnie znów poszła na Biegun Północny. Otworzyłem drzwi na balkon i popatrzyłem na księżyc. Nigdy chyba nie był większy w swoim płaszczu z zimna i wiatru. Był to ten sam księżyc, który można zobaczyć z Røst i z Grenlandii, i pewnie też z Rio de Janeiro, gdyby się dobrze rozejrzeć. Boletta opowiadała kiedyś o chorobie księżycowej, o tym, że sny stają się mocne jak stal, kiedy księżyc jest w pełni, bo jego blask jest płomieniem, który spawa rzeczywistość i wszystko, co sobie wyobrażamy.

Podczas wojny nikt na to nie chorował, bo obowiązywało zaciemnienie i nikomu nie wolno było chodzić nocą po ulicach, dlatego wygraliśmy. Może to właśnie choroba księżycowa nachodziła Boletę, kiedy musiała iść na Biegun Północny, i przechodziła jej dopiero wtedy, gdy słońce przeganiało księżyc i roztapiało nity w metalu ciemności.

Zamknąłem drzwi, zaciągnąłem zasłony i wemknąłem się do matki. Położyłem się u niej w łóżku, chociaż wiedziałem, że nie powinienem już tak robić. Matka długo leżała nieruchomo, plecami do mnie. – Co się stało, Barnum? – Tak się cieszę – szepnąłem.

Matka się odwróciła. – Cieszysz się? – Tak – powiedziałem. Byłem u Pedera. – Wobec tego ja też się cieszę, Barnum. Bardzo. Zamknąłem oczy. – Myślisz, że i Fred się ucieszy? – spytałem. Matka też zamknęła oczy. – Fred ma w sobie zbyt dużo gniewu, Barnum. Za dużo gniewu. Spróbujemy teraz zasnąć, dobrze?

Ale ja nie mogłem spać. Długo leżałem. Chciałem, żeby ten dzień został we mnie.

Odetchnąłem głęboko i wtedy poczułem ten smak, który jeszcze unosił się w pokoju, smak ciemnego wina, zmienił się w falę w mojej krwi, w wir w głowie, roześmiałem się, matka mnie uciszyła, a ja tym śmiechem się uśpiłem, i tak zamknę to wspomnienie, ten jasny nocny obraz skąpany w księżycu i maladze.

(labirynt)

Peder spytał kiedyś, jakie jest właściwie moje pierwsze wspomnienie Freda. Od czego powinienem zacząć? Jaki obraz wybrać z pliku ukrytych w mroku wspomnień, który rzadko mam odwagę otworzyć? I czy te obrazy nie zlewają się ze sobą, czy rozdzielające je odstępy, lata, nie zacierają się, kiedy oglądam się wstecz, i czy obrazy nie przestają być osobne, bo wspomnienia nigdy nie są czyste, zostały pocięte w innej kolejności, poddane podwójnej ekspozycji, nierozzerwalnie połączone w innej logice, w przemieszanej chronologii, będącej odciskiem pamięci jak odciski stóp chłopca w labiryncie w *Lśnieniu*, które dużo później mieliśmy obejrzeć w kinie Saga. Najpierw mnie nie wpuścili i musiałem pokazać dowód, a później Peder, wciąż strachliwy, lecz tylko gdy chodziło o film, podczas gdy mnie lęk ogarniał, gdy chodziło o wszystko inne, łapał mnie za rękę za każdym razem, gdy zabite bliźnięta pojawiały się w krwawej kąpieli.

Mógł spytać, jakie było pierwsze wspomnienie Freda o mnie. Co pomyślał Fred, kiedy pochylił się nad wózkiem i zobaczył maleńkiego spokojnego chłopczyka, który wyciągał do niego małe piąstki? Czy to było nasze pierwsze wspomnienie, nasz wspólny obraz, kiedy trząśł mnie w wózku, żeby mnie uspić albo przestraszyć? Czy od tego miejsca zaczęliśmy? Peder podniósł kieliszek. – Nie pamiętasz – powiedział. Wypiłem. – Nienawidzę słowa „właściwie”. Wiesz, że go nienawidzę. – Dobrze – powiedział Peder.

Wobec tego je skreślałam. Jakie jest twoje pierwsze wspomnienie Freda? A ja myślę: Nie to, co inni mi opowiadali, co zostało przyłączone do mojej pamięci i co przekazuję dalej, jakbym przy tym był, zanim nastał mój czas, poza moim czasem, na tylnym siedzeniu taksówki, w której się urodził, albo w rynsztoku na rogu Wergelandsveien, kiedy Stara umarła, nie, nie to pamiętam, moje pierwsze wspomnienie Freda jest takie: sześć nylonowych pończoch, zapach malagi i Boletta, która spokojnym głosem czyta fragmenty listu od naszego pradziadka: *Na pokładzie „s/s Antarctic”, 17-8-1900*, ileż to razy go czytały, jaki cienki zrobił się papier od palców delikatnie przerzucających kartki, jakie zniszczone są brzegi koperty, z której ostrożnie wyciągają te arkusze, ale za każdym razem odbywa się to równie uroczyście, jakby był to pierwszy raz, a od czasu do czasu Boletcie łamie się głos, wtedy słyszymy, że kieliszki znów się napełniają, z suchych ciastek lecą okruchy, podczas gdy trzy kobiety robią sobie chwilę odpoczynku. Bo Fred i ja siedzimy pod stołem w jadalni. Mogę naliczyć sześć kolan, w dwóch są dziury, to kolana matki, Stara zrzuciła kapcie, paluch jednej stopy wystaje z cienkiej pończochy, a Boletta, czytając, wybija rytm. Fred ledwie się mieści, ale ja siedzę wygodnie, oparty o jego plecy, czuję, że on jest ciepły, zachowujemy się najciszej, jak potrafimy, wstrzymujemy oddech, nic nie może nas ominąć, i wreszcie Boletta podejmuje: *Podróż tutaj minęła nam bardzo dobrze, dopłynęliśmy do niezamieszkaney wyspy „Jan Mayen” i przez dwa dni staliśmy na kotwicy, w tym czasie przyrodnicy zeszli na ląd. Jeszcze zanim tam dotarliśmy, słońce o północy stało wysoko na niebie. Wkrótce po opuszczeniu tej wyspy wpłynęliśmy w lód, lecz ponieważ coraz bardziej gęstniał, po dwóch dniach musieliśmy zawrócić; płynąć dalej ku Północy, wciąż przedzieraliśmy się przez mniej lub bardziej gęsty lód, w tym czasie, przy ładnej pogodzie lub gdy nie mogliśmy się przebić, cumowaliśmy przy krze, żeby wykonać serię temperaturową, to znaczy wykonać pomiary temperatury morskiej wody na różnych głębokościach*

oraz sondować dno, mamy na pokładzie sondy, którymi możemy sondować do 4000 łokci. O ile dobrze pamiętam, sondę spuściliśmy najgłębiej na 1600 łokci. – Boże – szepcze Stara. Że też się nie bali! – Pst! – mówi głośno Fred. Na chwilę zapada zupełna cisza. I nagle Boletta czyta, głośno i wyraźnie: *Nie muszę się wszak obawiać, że nawiążecie stosunki z jakimiś pismakami, gdyż absolutnie nie życzę sobie, aby bodaj jedno moje słowo przedostało się do gazet!* Potem obrus się unosi i ukazuje się twarz matki, patrzy na nas zdumiona, lecz myślę, że udaje, bo przecież na pewno przez cały czas wiedziały, że tam siedzimy. – Zgadnijcie, kto się chowa pod stołem? – szepcze matka.

Teraz Stara i Boletta również muszą zajrzeć, ich głowy zwieszają się niemal całkiem odwrócone, ja się bardzo cieszę, ale Fred jest tak samo poważny. – Jeszcze – mówi.

Jeszcze. Matka wzdycha. – Nie, już dość. Małemu to źle robi. Czy to mnie ma na myśli, czy Freda? Źle nam zrobi wysłuchanie dalszego ciągu, czy nie chce, żebyśmy siedzieli pod stołem? W każdym razie tego wieczoru już więcej nie było czytania. Boletta włożyła list do koperty i obwiązała ją niebieskim sznureczkiem, żeby żaden arkusik nie wypadł, a potem schowała całość do dolnej szuflady sekretarzyka. Wypełziliśmy z naszej kryjówki pod stołem, zza obrusa. Ale to i tak nie był koniec, bo Stara jakby nabrała rozpędu, jakby wspomnienia ustawiły się rządkiem i ją popychały. Wzięła mnie na kolana, widziałem spojrzenie Freda, kiedy Stara mnie objęła, a ja wtuliłem głowę w jej sukienkę na piersi, widziałem zazdrość w jego oczach i jednocześnie coś jeszcze, drwinę, nie potrafię znaleźć innych słów, zazdrość i drwinę, ale nie odszedł, usiadł na podłodze w kącie, bo wiedzieliśmy, co się teraz stanie. Boletta pogasiła wszystkie lampy, zaciągnęła zasłony i zapaliła świece. Matka przypiekała w kuchni plasterki jabłek, wkrótce ich zapach przemieszał się z ciemnością i Stara westchnęła zadowolona. – Znów nadeszła godzina zmierzchu – szepnęła. O czym chcecie posłuchać? – O liście – odszepnąłem. O liście. – Nie marudź – odezwał się Fred z kąta. A kiedy Stara miała opowiadać, zawsze zaczynała od innego miejsca, jak gdyby chciała wejść w historię z boku, chadzała okrężną drogą, drażniła naszą cierpliwość, napinała nasze oczekiwanie, opowiadała o miasteczku Køge, w którym się urodziła i o którym pisał także Andersen, opowiadała o kręgosłupach sztokfiszki, z których robili filizanki, cukiernice i dzbanuszki do śmietanki, i o otolitach dorszy, z których wyklejali wzory na małych pudełeczkach do przechowywania sekretów.

Jadłem gorące plastry jabłek i drzemałem, ciemność i powolność Starej mnie usypiały.

Nagle jednak Stara pojawiła się na trampolinie opowieści, gotowa do wielkiego skoku. – I zdarzyło się, że pewien młody marynarz zakochał się we mnie. Zbudziłem się. – Zakochał się w tobie? – spytałem. Fred warknął. Stara śmiała się pod nosem. – A ja w nim, Barnum.

Tak mocno się w sobie zakochaliśmy, że odbiło się to echem aż w Kopenhadze, ba, w całym kraju. – Już nie przesadzaj – wtrąciła Boletta. Stara wypuła trochę malagi. – Dania jest na tyle mała, że takie rzeczy słychać – powiedziała. – Mów dalej – szepnąłem.

I Stara kontynuowała. To było wtedy, kiedy byłem Młoda, kiedy świat tkwił jeszcze w ubiegłym stuleciu. Ale nasze szczęście miało trwać krótko. W czerwcu 1900 roku on się zaciągnął na statek „Antarctic”, który płynął na Grenlandię. A ten marynarz, miał na imię Wilhelm, to wasz pradziadek, nigdy już do mnie nie wrócił, gdyż pozostał tam wśród wielkiego lodu. Stara umilkła. Słyszałem serce bijące pod suknią, było powoli i mocno, wprawiając jej dłonie w drzenie. Byłem bliski płaczu. – Nie kończ jeszcze – szepnąłem.

Stara przeciągnęła mi palcami przez kędziory. – Może dopiero teraz historia się zaczyna, Barnum? Bo rok później, kiedy już urodziła się mała Boletta, odwiedził mnie pewien pan reprezentujący armatora i przyniósł mi list znaleziony w wiatrówce Wilhelma w dniu jego zniknięcia. To ten sam list, który leży teraz w szufladzie. Stara musiała chwilę odpocząć.

Zjadła gorące jabłko. Czekaliśmy. Gdzieś daleko pani Arnesen grała na pianinie tę samą melodię. – Opowiadaj dalej – szepnąłem. Opowiadaj! – Nie marudź – powiedział Fred.

I Stara podjęła: – Kiedy czytałam list, miałam wrażenie, jakby mój Wilhelm do mnie mówił. Zaginął, lecz mimo wszystko mówił do mnie. To było takie dziwne. Słyszałam jego głos w tych słowach, w wyschniętym atramencie, w literach, które starał się pisać tak starannie w tym zimnie. Ale nie mogłam też nie myśleć o tym, że gdyby włożył tę wiatrówkę, może by żył. Boletta westchnęła. – Wtedy może i list by zaginął – powiedziała.

Trochę się nad tym zastanawialiśmy. Fred wstał, ale zaraz z powrotem usiadł. To ten wspaniały zapach jabłek w ciemności. To on nas przytrzymywał. Ta skórka, chrupiąca w ustach, słodka i sprężysta. Stara wytarła nos. – A później poszłam do filmu. Mówili bowiem, że jestem najcudniejszą dziewczyną w całej Danii. Podniosłem głowę i popatrzyłem na nią. Wisiała nade mną jak zmarszczka, jej twarz przypominała dużą rodzynekę. – Co to znaczy „cudny”? – Piękny – odparła szeptem Stara. Przyjrzałem jej się jeszcze uważniej. – No to cię okłamali – powiedziałem. Stara roześmiała się i pogoniła mnie do łóżka. Fred był zły, bo musiał iść spać razem ze mną, ale z jakiegoś powodu nie protestował. Leżeliśmy po ciemku, nie śpiąc. – Nie powinieneś tak mówić – powiedział.

Przestraszyłem się. Zrobiłem coś, co się Fredowi nie podobało. – Czego? – Że kłamali. – Nie chciałem, Fred. – Ale powiedziałeś. Więcej tak nie mów. Z płaczem uderzyłem głową w poduszkę. – Poczytać ci? – szepnąłem. – Co poczytać, mały? Zastanowiłem się. – Jak przyniesiemy list, to mogę ci przeczytać resztę. Fred długo leżał, milcząc. – Nikomu nie wolno ruszać tego listu – odezwał się w końcu. Tylko Boletcie i Starej. I mamie. Fred znów umilkł. Ja też nie miałem nic do powiedzenia. – W dodatku ty nie umiesz czytać – stwierdził. Usiadłem na łóżku. – Właśnie że umiem. – Nie umiesz – powiedział Fred. – Właśnie że umiem czytać. – Nie umiesz. Jesteś za mały. Położyłem się. Byłem bliski płaczu. – A, b, c – szepnąłem. – Co mówisz? – A b c d e f g – powiedziałem. Teraz Fred się podniósł. – Cholera, co ty wygadujesz! – zawołał – H i j k l m n o p – powiedziałem najszybciej jak mogłem. Czytam! R s t u! Fred wyskoczył z łóżka i podszedł do mnie, nie wiedziałem, co zamyśla, co chce zrobić, widziałem tylko, że jedną rękę ma zaciśniętą w pięść, schowałem się pod kołdrę z nadzieją, że po ciemku mnie nie znajdzie. Ale on nagle się zatrzymał, tuż przy oknie. Stał tam. Po jakimś czasie ośmieliłem się wyjrzeć.

I wtedy zobaczyłem, że Fred obydwoma rękami przytrzymuje ołówek i robi długą kreskę przez środek całej podłogi. Za każdym razem, gdy matka zmywała tę kreskę, Fred rysował nową, w końcu zrezygnowała i ją zostawiła, tę kreskę dzielącą pokój na pół. Czy to tej nocy, czy jakiejś innej, ojciec, Arnold Nilsen, wraca do domu z pralką? Wszystko jedno.

Wraca w nocy. Dlatego Fred nie kładzie się z powrotem. Stoi i słucha. Na schodach wybucha okropny hałas. Ojciec niesie pralkę na plecach i budzi cały dom. To nic nie szkodzi. Może hałasować ile chce, bo wraca do domu z pralką. Matka nie wierzy własnym oczom i musi wziąć Bolettę za rękę, a już trzyma się Starej. Ojciec sapie jak łoś i jest cały czerwony na twarzy, ma jednak dość sił, żeby się uśmiechnąć. – Idę – dyszy. Zróbcie mi miejsce! Wnosi pralkę prosto do łazienki, tam ją odstawia, sam kładzie się w wannie, ociera pot i uspokaja rozpędzone serce, a matka przynosi mu piwo, jest środek nocy i wciąż trudno w to uwierzyć. Ojciec wypija całą butelkę jednym haustem, a my tylko się na niego gapimy. – Czas, w którym musiałyście mordować się nad balią i miską, minął! – obwieszcza w końcu i patrzy kolejno na matkę, Bolettę i Starą. Bo sprowadziłem do domu postęp! Wstaje z wanny jak Król Słońce. – Gdzie ją zdobyłeś? – pyta szeptem matka.

W spojrzeniu ojca pojawia się zniecierpliwienie, drganie w kąciku oka, cień w uśmiechu.

Ale ta noc jest za dobra na złość. Ojciec obejmuje więc matkę i całuje ją tak mocno, że musi go siłą odpychać. – To najmniejszy problem – mówi ojciec ze śmiechem. Potem zaczyna dokręcać i podłączać, przeklina przy tym gorzej niż kiedykolwiek, bo musi to robić jedną ręką, matka obejmuje mnie, a Boletta zasłania uszy Fredowi, natomiast Stara tylko wzdycha i kręci głową nad całym tym postępowaniem, jaki musi się zmieścić w ciasnej łazience. Ale ojciec jeszcze raz może wyprostować się z triumfem. Guziczek na pokrywie nareszcie świeci i ojciec wskazuje go całą zdrową ręką. – Po przesunięciu elektrycznego przełącznika nastąpi ni mniej, ni więcej, tylko pranie, wirowanie i wylewanie, właśnie w tej kolejności, jaką wymieniłem. Tak w biegu mogę jeszcze dodać, że pralkę można regulować, ma automatyczną pompę, wirnik w ściankach bocznych i pojemnik ze stali nierdzewnej. Na długo zapada cisza. Oniemieliliśmy. Oniemieliliśmy z podziwu, a ojciec rozkoszuje się każdą sekundą tego milczenia. Ma nas w ręku. Wyczarowuje skądś pudełko proszku do prania. – Na co się tak gapicie! – woła. Przynieście najbrudniejsze rzeczy, jakie macie! Ale co mieliśmy przynieść? Czy zacząć od prania zasłon, pościeli, skarpet, ścierek, spodni, czy raczej wszystkich chusteczek do nosa? Stoimy stłoczeni w łazience, nawet Fred ani drgnie, a ojciec śmieje się serdecznie z naszego zdumienia i paraliżu, to łaskawy śmiech, cierpliwy i dobroduszny w tę szczodłą noc. – Wobec tego muszę poprosić, żebyście przynieśli najlepsze rzeczy, jakie macie – szepcze. Matka na moment wychodzi i wraca z nylonowymi pończochami. Boletta już chce zaprotestować, ale ojciec unicestwia opór kolejnym uśmiechem. – Wełnę, jedwab i inne delikatne tkaniny należy prać w letniej wodzie przez minutę – mówi cicho. Potem wrzuca pończochy, po jednej, do wnętrza maszyny, zamyka pokrywę, wsypuje proszek do małej szufladki, odkręca kran i zatrzymuje palce nad przełącznikiem. Musimy się pochylić. Ojciec przekręca przełącznik.

Wkrótce słyhać dźwięk, lekki szum, który powoli, lecz niewątpliwie nabiera siły, maszyna zaczyna drzeć, trzęsie się, rozwścieczony motor w pozycji spoczyn. Matka jest blada, Boletta boi się spojrzeć, a Stara tylko wzdycha, to nie postępowanie wszedł do domu, tylko obłąd. Ojciec przez moment jest odrobinę zdenerwowany, uśmiech wisi na włosku, ojciec kładzie się na pralce, żeby ją przytrzymać, urządzenie za wszelką cenę nie może się przewrócić, tu działają moce potężniejsze od nas, taka maszyna może napędzić statek żeglugi przybrzeżnej od Svolveer do Bergen i z powrotem, i to zanim dojdzie do płukania.

Stoję za Fredem, który śmieje się tak, że aż mu łzy lecą, a ojciec mało go nie uderzy, lecz równie nagle pralka nieruchomieje, z pokrywy unosi się para, pralka umiera, ojciec zadowolony spogląda na zegarek i liczy ostatnie sekundy brakujące do upłynięcia jednej minuty. Potem otwiera pokrywę, wyjmuje te trzy pończochy i wieszka je na kalekiej ręce.

Pończochy błyszczą, ale to nie wszystko, nawet rozdarcia na kolanach są zreperowane, przysięgam, pończochy są całe i czyste, pachną słodko, są jak nowe, ba, są o wiele lepsze niż kiedy były nowe. Matka, Boletta i Stara wciągają te zmartwychwstałe pończochy i muszą się przejść po mieszkaniu na swoich upranych nogach. Ojciec bierze Freda i mnie na bok. – Widzieliście, jak to należy robić. Tej nocy żadne z nas nie zapomni. Potem ojciec ściąga koszulę i wpycha ją do pralki, chce zabrać też nasze piżamy, ale wtedy przychodzi matka i zagania nas z powrotem do łóżek, my jednak nie zasypiamy, leżymy wsłuchując się w pieśń pralki, a kiedy wszystko znów się uspokaja i jest już następny dzień, skradamy się do łazienki, gdzie suszy się biała koszula ojca, i kucamy przed pralką. Fred gładzi palcami małą tabliczkę pod przełącznikiem, a ja siedzę tuż przy nim, na tyle blisko, na ile starcza mi odwagi. Fred ma poważną minę, zaciska zęby i wolno przesuwając palcem od litery do litery. – P - R - A - L - K - A – literuje powoli, każdą literę wymawia głośno.

Ale na tabliczce nie ma napisu „pralka”. Jest EVALET. Fred odwraca się do mnie i uśmiecha. Ja też się uśmiecham. Ale nic nie mówię, bo on tak rzadko patrzy na mnie w ten sposób, z uśmiechem, jest jakby jednocześnie dumny i onieśmielony. Nie mówię, że pralka nazywa się Evalet, a nie pralka. Siedzimy na zimnej podłodze w łazience, pod koszulą ojca, a Fred nie przestaje gładzić liter palcem. – Pralka – szepcze.

Myślę o małych naszywkach z nazwiskiem, które matka mocowała do naszych ubrań, żeby nikt się nie pomylił na gimnastyce, na basenie Frogner, w szkole tańca czy u dentysty.

Odkąd mieliśmy pralkę, przerodziło się to u matki wręcz w obsesję. Wszystkie nasze ubrania miały nazwisko, koszule, swetry, skarpety, welwetowa kurtka, narciarskie spodnie do kolan, czapki, rękawiczki, nawet majtki wyposażała w naszywki: Fred Nilsen, Barnum Nilsen. Ubrania miały nigdy nie zabłądzić.

Ale to teraz, kiedy to wszystko już się dawno stało, myślę o labiryncie, o chłopcu w *Lśnieniu*, który ucieka między wysokimi, pokrytymi śniegiem żywopłotami, i o Pederze, który łapie mnie za rękę w kinie Saga, chociaż mamy po trzydzieści lat, ale jesteśmy strachliwi, każdy na swój sposób. We wnętrzu ucha, tam skąd wyrasta nerw słuchowy, również znajduje się labirynt. Wypełniony jest przezroczystym, nieco kleistym płynem, akustyczną poziomicą, i przypomina ślimaka, którego latem można znaleźć na brzegu wody i wykorzystać jako przynętę. Taki labirynt powinien istnieć również w oku, w jego wnętrzu, ale oko to tylko łyż i mięśnie, widzę Freda, który wolno wodzi palcem w kurzu pod stołem w salonie, wzdłuż listu, mija nylonowe pończochy, gładzi linię w naszym pokoju, przesuwając się na pralkę i szepcze, usiłując literować pismo naszych czasów. – Nigdy nie powinien być tego powiedzieć, Barnum. Boję się. – Czego? Czego nie powinienem nigdy mówić? – Że okłamali Starą.

(trumna)

Fred wrócił do domu z trumną. Była noc. Ledwie usnąłem. Obudziłem się, bo usłyszałem go z podwórza, ciągnął coś ciężkiego przez śnieg i zaraz potem zawołał mnie, po cichutku. Wstałem, najciszej jak potrafiłem, pełen obaw, co Fred mógł tym razem wymyślić. Otworzyłem okno i wyjrzałem. Zobaczyłem Freda, mijającego właśnie sznury do bielizny, ciężkie od mokrego śniegu i prawie szurające po ziemi. Fred ciągnął sanki, a na sankach leżała trumna, biała trumna. Zatrzymał się przy kuchennym wejściu, podniósł głowę, żeby popatrzeć na okno, w którym stałem i marzłem. Oddech otaczał jego twarz szarą chmurą. – Zejdiesz mi pomóc czy nie?

Prędko się ubrałem i na palcach przeszedłem przez mieszkanie. Wszyscy spali. Z dziurki od klucza ciągnęło, gdy przez nią zajrzałem. Matki nie mogłem dojrzeć za ojcem, który leżał na brzuchu i przypominał zdechłego wieloryba. Gdyby się położył na matce, poniosłaby śmierć na miejscu. Usłyszałem ostry świst, wydobywający się z jego krzywego zatkanego nosa. To nie mogła być prawda, że Fred przyniósł trumnę. Musiało mi się przywidzieć. Ale większość tego, co dotyczyło Freda, było prawdą. Miałem ochotę położyć się z powrotem do łóżka i nazajutrz udawać, że to tylko jeszcze jeden sen. Zamiast tego jednak wszedłem do jadalni i starannie otuliłem Boletę kołdrą, żeby się nie przeziębila. Podczas gdy ojciec robił się coraz większy, Boletta się kurczyła. Gdyby to trwało, a ona żyła dostatecznie długo, w końcu nie zostałyby z niej nic. To również całkiem niezły sposób na śmierć. Twarz Boletty przypominała mumię ze zdjęcia w „National Geographic”, która przeleżała około dwóch tysięcy lat pod piramidą.

Delikatnie położyłem jej rękę na czole, ale z całowaniem jej skończyłem już wcześniej: smakowała tranem. Czoło miała pomarszczone jak zniszczona portmonetka i uśmiechała się we śnie. Na pewno mi się przywidziało. Fred nie mógł zdobyć trumny. Zbiegłem na dół kuchennymi schodami. Fred nieźle już się niecierpliwił. Zapalił papierosa. Miał żółte palce. – Musiałeś się najpierw wykapać czy jak? Nie mogłem oderwać oczu od sanek. Nie przywidziało mi się. Leżała na nich trumna. – Co to jest? – spytałem cicho. Fred przycisnął mi palec do skroni, mocno. – A jak myślisz? – To trumna? – Nie, Barnum. To bobslej.

Jednoosobowy. Zamierzam trenować do olimpiady. Zdurniałeś, Barnum? – Ale skąd ją wytrzasną?e?? ? Niech ci? to?za bardzo nie interesuje.

Oderwa? palec od?mojej skroni i?da? mi?poci?gn???. By? to?jeden z?tych mocnych papieros?w bez filtra, pozosta?ych po?Starej, suchych jak siano i?z pewno?ci? skr?conych w?czasach, gdy kr?l Haakon dotkn?? stop? norweskiej ziemi. Rozkas?a?em si? jak szalony.

Fred wyrwa? mi?niedopa?ek z?ust i?cisz?? go?w ?nieg. Dalej si? pali?. Fred wa?n?? mnie w?plecy. ? Jak s?dzisz, Barnum, budzimy ca?e podw?rze czy nie?

Prze?kn??em tyto? i?podnios?em wzrok. Wszystkie okna nad nami by?y ciemne.

Wi?kszo?? ludzi za?nimi spa?a, nie wiedz?c nic o?tym, co?si? dzieje wok?? nich.

Pomy?la?em, ?e?przez mniej wi?cej p?? ?ycia, a?by? mo?e wi?cej, bo?niejeden przesypia prawie ca?? niedziel?, nie wiemy nic, przez p?? ?ycia jeste?my martwi w?naszych ???kach, a?reszt? po?wi?camy na?ich ?cielenie. Zapomnia?em zamkn?? okno w?naszym pokoju. Tej nocy chcia?em si? przezi?bi?. Tej nocy chcia?em znikn??. Fred pchn?? mnie w?stron? sanek. ? Dalej! Ca?kiem zg?upia?e??

Zobaczy?em papierosa, kt?ry pali? si? w??niegu jak oko i?w ko?cu si? zapad?.

Chwycili?my trumn? z?obu ko?c?w i?wnie?li?my j??kuchennymi schodami. Na?ka?dym pode?cie musieli?my odpoczywa?, ale nic nie m?wili?my, ?eby nikogo nie zbudzi?. Ja?nios?em g?r?, a?Fred d??, w?suszarni na?strychu zimno by?o suche i?ostre, drapa?o w?twarz, piecyk by? wy??czony albo zepsuty, bo?prawie nikt ju? nie korzysta? z?suszarni. ?ciany trzeszcza?y od?wiatru. Ko?ysa?em si?. Mia?em wra?enie, ?e?wszystko si? porusza jak na?morzu, ja?tak?e. Ko?ysa?em si?. Lampa na?suficie by?a st?uczona, lecz Fred nawet o?tym pomy?la?. Mia? przy sobie kieszonkow? latark?, chwyci? j??ustami, ?eby m?c jednocze?nie nie?? i??wieci?. Nigdy bym czego? takiego nie wymy?li?. Ale te? nie przyni?s?bym do?domu trumny w??rodku nocy. Na?obwis?ym sznurze do?bielizny kto? zostawi? par? po???k?ych d?ugich gaci, kt?re wyci?ga?y si? do?pod?ogi, jak gdyby mia?y ochot? zeskoczy? i?uciec st?d na?zawsze. Potem ?wiat?o pad?o w?inne miejsce, na?paj?czyn?, zardzewia?y klucz, pust? butelk? po?w?dce, star? gazet? na?pod?odze, przewracaj?c? w?asne strony.

Zanie?li?my trumn? do?ostatniej kom?rki i?ostro?nie j??odstawili?my. W?otworze w?dachy wisia? ksi??yc. Z?pustych work?w po?koksie pod ?cian? uni?s? si? czarny py?. By?em tu?ju? wcze?niej, lecz nagle wyda?o mi?si?, ?e?to ju? dawno temu, teraz wszystko wygl?da?o inaczej. Nie zamierza?em ?ama? r?ki. Tylko przynie?li?my trumn?. Matka nie chcia?a, ?eby?my tu?przychodzili. Fred wyplu? latark? i?za?wieci? mi?ni? prosto w?oczy. Zas?oni?em je. ? Nie by?a taka ci??ka ? szepn??em. Fred si? roze?mia?. ? My?la?e?, ?e?kto? jest w??rodku?

Nie odpowiedzia?em. Fred nagle rzuci? mi?latark?, ???ty ?uk w?ciemno?ci, a?ja ledwie zdo?a?em j??z?apa?. Po?wieci?em na?drzwi, mo?e sta? tam kto?, o?kim nie wiedzieli?my.

Chciałbym oprzeć się na mrok i wypieć go wiatrem. Chciałbym widzieć. To tutaj mamusia suszyła bieliznę powiedział Fred. Wtedy go zobaczyłem, martwego ptaka, leżącego bezpośrednio pod księżycem w otworze w dachu, mało co z niego zostało, tylko szkielet skrzydeł a wroni ty w czarny kurz, przypominający ład stopy. Podszedłem bliżej. Teraz dostrzegłem takie oko, pomarszczony kulek, mniej wićcej tak jak rodzynka. Fred wziął mnie za rękę i odciagnął stamtąd. Po wie mi szepnąć.

Musiłem trzymać latarkę obydwoma rękami i wieci na trumnę. Fred uniósł wieko.

W środku była czerwona, wybita czymś przypominającym jedwab, coś układało się w fałdy wzdłuż boków. Była tam też poduszka, sprawała wrażenie wręcz wygodnej. Nagle ciarki mi przeszły po plecach, zimna lawina schodziła od karku. Fred odwrócił się do mnie i powiedział z uśmiechem: Fajna.

Potem zdjęłam kurtkę i położyłam się w trumnę. Złożyłam ręce na piersi i znieruchomiałam szeroko otwartymi oczami. Wydało mi się, że zbieła, zrobiłam się cieńszy, policzki jakby mi zapadły, a twarz skurczyła. Uczępiłam się latarki i starałam się trzymać ją jak najstabilniej, może przez to blade światło, żeby księżyc, Fred wyglądał jak martwy, kolory spłynęły mi z oczu i przez cały czas ani drgnęłam. Nie wygłupiaj się, Fred szepnęłam.

Z otworu w dachu ciągnęło chłodem. Listwy pokrywały szron i lod. Słyszałam niegłośnie, paty niegłośnie odrywające się i zlizujące dach. Zastanawiałam się, która może być godzina, ile czasu upłynęło, lecz bałam się spojrzeć na zegarek. Księżyc zniknął. Może więc wkrótce stopię się w jedno z resztą ciemności.

? Fred? Tak ci? prosz?, Fred. Ale on?dalej le?a? ze?z?o?onymi d?o?mi i?sztynym, jakby pustym wzrokiem, jak gdyby nic z?tego, co?widzia?, nie istnia?o, jakbym ja?nie istnia?, ani latarka w?moich r?kach, ani ?wiat?o, kt?re na?niego ?wieci?o, nagle przesta?em go?poznawa?, mia?em wra?enie, ?e?w trumnie le?y jaki? obcy zmar?y.

Wreszcie przem?wi?, cicho, nie patrz?c na?mnie. ? Teraz na??? wieko, Barnum.

Zatoczy?em si? w?ty?. ? Nie ? powiedzia?em. ? Zr?b to. Na??? wieko. ? Dlaczego, Fred?

Prosz?, nie ka? mi?tego robi?. ? R?b, co?m?wi?, Barnum. Na??? wieko. A?potem id? si? po??? i?trzymaj j?zyk za?z?bami. Podszed?em o?krok. ? Chcesz tu?zosta?? ? szepn??em. ? Owszem, taki mam zamiar. ? Ale co?ja powiem, jak mama o?ciebie spyta? ? M?wi?em ci?ju?. Masz trzyma? g?b? na?k??dk?. Na??? to?wieko, do?cholery. ? Nie chc?, Fred. ? Masz ochot? sam si? tu?po?o?y?, Barnum? Co? ? Nie, Fred. ? Mog? ci?za?atwi? dzieci?c? trumienk?. Wi?ksza ci?nie potrzebna.

Od?o?y?em latark? na?pod?og? i?unios?em wieko. Chyba troch? p?aka?em, ale zamkn??em oczy, ?eby tego nie widzia?. Nienawidzi?em go. M?g? sobie zosta? w?tej trumnie.

Je? – Niech ci? to za bardzo nie interesuje.

Oderwa? palec od mojej skroni i da? mi pociagna?. By? to jeden z tych mocnych papieros?w bez filtra, pozosta?ych po Starej, suchych jak siano i z pewnością skr?conych w czasach, gdy kr?l Haakon dotkn?? stop? norweskiej ziemi. Rozkasza?em si? jak szalony.

Fred wyrwa? mi niedopa?ek z ust i cisn?? go w ?nieg. Dalej si? pali?. Fred wa?n?? mnie w plecy. – Jak s?dzisz, Barnum, budzimy ca?e podw?rze czy nie?

Prze?kn??em tyto? i podnios?em wzrok. Wszystkie okna nad nami by?y ciemne.

Wi?kszo? ludzi za nimi spa?a, nie wiedz?? nic o tym, co si? dzieje wok? nich.

Pomyślałem, że przez mniej więcej pół życia, a być może więcej, bo niejedną przesypia prawie całą niedzielę, nie wiemy nic, przez pół życia jesteśmy martwi w naszych łóżkach, a resztę poświęcamy na ich ścienienie. Zapomniałem zamknąć okno w naszym pokoju. Tej nocy chciałem się przeziębnić. Tej nocy chciałem zniknąć. Fred pchnął mnie w stronę sanek. – Dalej! Całkiem zgłupiałeś?

Zobaczyłem papierosa, który palił się w śniegu jak oko i w końcu się zapadł.

Chwyciliśmy trumnę z obu końców i wnieśliśmy ją kuchennymi schodami. Na każdym podeście musieliśmy odpoczywać, ale nic nie mówiliśmy, żeby nikogo nie zbudzić. Ja niosłem górę, a Fred dół, w suszarni na strychu zimno było suche i ostre, drapało w twarz, piecyk był wyłączony albo zepsuty, bo prawie nikt już nie korzystał z suszarni. Ściany trzeszczały od wiatru. Kołysałem się. Miałem wrażenie, że wszystko się porusza jak na morzu, ja także. Kołysałem się. Lampa na suficie była stłuczona, lecz Fred nawet o tym pomyślał. Miał przy sobie kieszonkową latarkę, chwycił ją ustami, żeby móc jednocześnie nieść i świecić. Nigdy bym czegoś takiego nie wymyślił. Ale też nie przyniosłbym do domu trumny w środku nocy. Na obwisłym sznurze do bielizny ktoś zostawił parę pożółkłych długich gaci, które wyciągały się do podłogi, jak gdyby miały ochotę zeskoczyć i uciec stąd na zawsze. Potem światło padło w inne miejsce, na pajęczynę, zardzewiały klucz, pustą butelkę po wódce, starą gazetę na podłodze, przewracającą własne strony.

Zanieśliśmy trumnę do ostatniej komórki i ostrożnie ją odstawiliśmy. W otworze w dachu wisiał księżyc. Z pustych worków po koksie pod ścianą uniósł się czarny pył. Byłem tu już wcześniej, lecz nagle wydało mi się, że to już dawno temu, teraz wszystko wyglądało inaczej. Nie zamierzałem łamać ręki. Tylko przynieśliśmy trumnę. Matka nie chciała, żebyśmy tu przychodzili. Fred wypluł latarkę i zaświecił mi nią prosto w oczy. Zasłoniłem je. – Nie była taka ciężka – szepnąłem. Fred się roześmiał. – Myślałeś, że ktoś jest w środku?

Nie odpowiedziałem. Fred nagle rzucił mi latarkę, żółty łuk w ciemności, a ja ledwie zdołałem ją złapać. Poświeciłem na drzwi, może stał tam ktoś, o kim nie wiedzieliśmy.

Chciałem opróżnić mrok i wypełnić go światłem. Chciałem widzieć. – To tutaj mamuśka suszyła bieliznę – powiedział Fred. Wtedy go zobaczyłem, martwego ptaka, leżał bezpośrednio pod księżycem w otworze w dachu, mało co z niego zostało, tylko szkielet skrzydła wrośnięty w czarny kurz, przypominający ślad stopy. Podeszedłem bliżej. Teraz dostrzegłem także oko, pomarszczoną kulkę, mniej więcej taką jak rodzynka. Fred wziął mnie za rękę i odciągnął stamtąd. – Poświeć mi – szepnął.

Musiałem trzymać latarkę obydwoma rękami i świecić na trumnę. Fred uniósł wieko.

W środku była czerwona, wybita czymś przypominającym jedwab, co układało się w fałdy wzdłuż boków. Była tam też poduszka, sprawiała wrażenie wręcz wygodnej. Nagle ciarki mi przeszły po plecach, zimna lawina schodząca od karku. Fred odwrócił się do mnie i powiedział z uśmiechem: – Fajna.

Potem zdjął kurtkę i położył się w trumnie. Złożył ręce na piersi i znieruchomiał z szeroko otwartymi oczami. Wydało mi się, że zbieleł, zrobił się też chudszy, policzki jakby mu się zapadły, a twarz skurczyła. Uczępiłem się latarki i starałem się trzymać ją jak najstabilniej, może przez to blade światło, słaby księżyc, Fred wyglądał jak martwy, kolory spłynęły mu z oczu i przez cały czas ani drgnął. – Nie wygłupiaj się, Fred – szepnąłem.

Z otworu w dachu ciągnęło chłodem. Listwy pokrywały szron i lód. Słyszałem śnieg, płaty śniegu odrywające się i ześlizgujące z dachu. Zastanawiałem się, która może być godzina, ile czasu upłynęło, lecz bałem się spojrzeć na zegarek. Księżyc zniknął. Mój cień wkrótce stopił się w jedno z resztą ciemności.

– Fred? Tak cię proszę, Fred. Ale on dalej leżał ze złożonymi dłońmi i sztywnym, jakby pustym wzrokiem, jak gdyby nic z tego, co widział, nie istniało, jakbym ja nie istniał, ani latarka w moich rękach, ani światło, które na niego świeciło, nagle przestałem go poznawać, miałem wrażenie, że w trumnie leży jakiś obcy zmarły.

Wreszcie przemówił, cicho, nie patrząc na mnie. – Teraz nałóż wieko, Barnum.

Zatoczyłem się w tył. – Nie – powiedziałem. – Zrób to. Nałóż wieko. – Dlaczego, Fred?

Proszę, nie każ mi tego robić. – Rób, co mówię, Barnum. Nałóż wieko. A potem idź się połóż i trzymaj język za zębami. Podeszedłem o krok. – Chcesz tu zostać? – szepnąłem. – Owszem, taki mam zamiar. – Ale co ja powiem, jak mama o ciebie spyta? – Mówiłem ci już. Masz trzymać gębę na kłódkę. Nałóż to wieko, do cholery. – Nie chcę, Fred. – Masz ochotę sam się tu położyć, Barnum? Co? – Nie, Fred. – Mogę ci załatwić dziecięcą trumienkę. Większa ci nie potrzebna.

Odłożyłem latarkę na podłogę i uniosłem wieko. Chyba trochę płakałem, ale zamknąłem oczy, żeby tego nie widział. Nienawidziłem go. Mógł sobie zostać w tej trumnie.

Zamierzałem przyśrubować wieko, żeby nigdy nie mógł się wydostać. Nikomu nie powiem, gdzie się schował. Umrze z głodu, a wcześniej z pragnienia, ale najpierw się udusi, wszystko jedno, tak czy owak umrze i nikt go nie znajdzie, dopóki nie będzie za późno. A komu przyjdzie do głowy szukać go tutaj? Udało mi się nasunąć wieko, pochyliłem się po latarkę i właśnie w tym momencie usłyszałem dwa dźwięki, jednym był śmiech Freda, śmiał się w trumnie, a drugim – lekki trzask, i zanim się wyprostowałem, światło w moich rękach zgasło, otoczyła mnie ciemność, a Fred ciągle się śmiał, to właśnie pamiętam, śmiech i ciemność, w tej kolejności, ale w miarę upływu czasu, gdy wracałem pamięcią do tej nocy na strychu, wspomnienie śmiechu i ciemności stopiły się w jedno, nie były dwoma zdarzeniami następującymi po sobie, śmiech Freda w trumnie i zgaśnięcie latarki, lecz równoczesnymi i nierozłącznymi, dlatego nie potrafię już słuchać, jak ktoś się śmieje, nie czując jednocześnie wagi równie wielkiej ciemności, wyrastającej z moich trzęsących się rąk.

Upuściłem latarkę. Upadła na podłogę z hukiem. Teraz na chwilę również w trumnie zrobiło się cicho. – Co to było, Barnum? – Światło się skończyło. – Mnie wszystko jedno – odparł Fred ze środka. – Wyjdź – poprosiłem. Nic nie widzę. Fred jęknął i chyba uderzył pięścią w wieko. – Zmykaj, Barnum! Już cię nie potrzebuję!

Znalazłem drzwi. Posuwałem się wzdłuż ściany. Wydawało mi się, że słyszę odgłos skrzydeł ptaka, skrzydła bijące w ciemności, może to był nietoperz, a może tylko śmiech Freda. W końcu wydostałem się na schody, z dołu dochodziło światło, pobiegłem tam.

Wszyscy spali. Położyłem się w ubraniu. Nie mogłem zasnąć. Czuwałem wśród snu innych. Wszystko działo się w czymś innym. Byle tylko jak najszybciej nadszedł ranek, byle przyszedł dzień ze swoją świecą gumką i stał to, co napisała noc. Fred nawet nie umiał napisać „trumna”. Zakradłem się do salonu, wyciągnąłem szufladę sekretarzyka i wyjąłem list Wilhelma. Próbowałem trochę czytać, ale i tam nie znalazłem spokoju.

W skład ekspedycji wchodzi porucznik marynarki G. Amdrup, młodszy kanonier Jacobsen, kowal Nielsen, sternik Løth, magister Hartz, botanik i geolog, doktor Deichman, lekarz okrętowy oraz przyrodnik, magister geologii Jensen, zoolog i artysta malarz Ditlevsen, a także Madsen, asystent z ogrodu zoologicznego, którego zadaniem jest pojmanie wołu pizmowego i przywiezienie go do Kopenhagi. Gdybym mógł wybierać, chętnie byłbym młodszym kanonierem, a może Madsenem, który miał przywieźć wołu pizmowego. Ale może żaden z nich nie wrócił, może oni również zostali tam wśród lodów i śniegów, w wielkiej białej ciszy, która zakuła ich w wieczną śmierć.

Boletta popatrzyła na mnie. Poczułem to, jej małe oczka podrapały mnie w kark.

Odłożyłem list na miejsce, wsunąłem szufladę i odwróciłem się do niej. Uśmiechała się.

Powiedziała coś dziwnego. – Ile ty właściwie masz już lat? – spytała. Powiedziałem ile, chociaż z pewnością sama to wiedziała. Uśmiechnęła się wszystkimi swoimi zmarszczkami. – Za siedem lat będziesz dokładnie w tym samym wieku, co mój ojciec.

Musiałem podejść bliżej. – Co mówisz, babciu? – Nigdy go nie poznałam. A gdybym go teraz spotkała, byłabym od niego trzy razy starsza. Wstrętna starucha spotkałaby swojego pięknego młodego ojca. Pomyśl tylko. – Długo to obliczałaś? – spytałem szeptem. Boletta ujęła mnie za rękę. – Co dzień to obliczam, Barnum. To mnie utrzymuje w zdrowiu. Puściła moje palce, poszedłem do drzwi. Usłyszałem, że usiadła. Może już chciała dodać nowy dzień do swojej matematyki. – Jak się miewa twój nowy kolega? – spytała. Odwróciłem się. – Peder? Dobrze, mam się z nim spotkać dziś wieczorem. To znaczy jutro. Albo dzisiaj. Boletta znów się uśmiechnęła, ale tym razem dość smutno. Usta były tylko fałdką w pomarszczonej twarzy. – Musisz opiekować się Fredem – szepnęła. – Ja? Ja się nie mogę nim opiekować – odparłem. – Ależ tak. Musisz opiekować się także Fredem, Barnum. Nawet jak będziesz miał nowych kolegów. – On mnie nie potrzebuje! – zawołałem. – Owszem, właśnie teraz cię potrzebuje. Bo Fredowi nie tak łatwo jest znaleźć przyjaciół.

Pobiegłem do naszego pokoju. Byłem bliski gniewu, ale bałem się wrócić na strych.

Siedziałem w oknie do ukazania się pierwszego światła, wąskiego ronda wzdłuż nieba pomiędzy bladym księżycem a miastem. Fred nie wrócił na dół. Wyszedłem, zanim wszyscy wstali, przed śniadaniem, nawet Esther nie zdążyła jeszcze otworzyć kiosku, musiała odrzucić co najmniej tonę śniegu, zanim jej się to udało. Odgarnąłem za nią większość szuflą znaną na dole w bramie, żeby przynajmniej jeden człowiek tego dnia się ucieszył. Bo ja jednocześnie bałem się i cieszyłem. Tak właśnie było. Cieszyłem się, że spadł śnieg, ale bałem się śnieżek. Cieszyłem się, że rzucę jedną w Pedera, i bałem się tego, co się może stać. To, czego tylko się domyślałem, podejrzenie, przeczucie, nagle jasno objawiło się w moich myślach, a mianowicie to, że za przyjemności trzeba zapłacić lękiem i że śmiech jest głosem ciemności. Fred tkwił głęboko we mnie, ale w jaki sposób ja, mały Barnum, mogłem się nim opiekować? To przecież Fred musiał się opiekować mną.

Pierwszą rzeczą, która mnie spotkała, kiedy wszedłem na szkolne boisko, było uderzenie śnieżką prosto w twarz. Niezbyt twardą, lecz za to moką. Zaczęła się topić już w momencie, kiedy mnie uderzyła, i spłynęła mi za koszulę. Szczękałem tylko zębami ze śmiechem. Więcej właściwie nie ma sensu opowiadać, poza tym, że na ostatniej przerwie przyszła moja kolej na rzucanie. Wcelowałem w otwarte okno szkolnej kuchni, był to całkiem niezły rzut. Usłyszałem brzęk spadających garnków i patelni. Na następnej lekcji dyrektor przyszedł szukać winnego. Dobrowolnie podniosłem rękę do góry i musiałem za karę zostać w szkole przez trzy kwadranse. Właściwie nie miałem nic przeciwko temu.

Ponadto musiałem trzydzieści razy wykaligrafować: *Nie wolno rzucać śnieżkami*. Kiedy skończyłem, zacząłem na nowej kartce. Napisałem na niej dziewiętnaście razy: *Nie wolno kłaść się do trumny, dopóki się nie umrze*. Czas minął i mogłem iść do domu. W parku nikt nie czekał, żeby zepchnąć mnie w wielką zaspę za kościołem. Taka była zaleta zostawania za karę po lekcjach. Ale ja i tak nie wróciłem do domu. Zszedłem na róg Bygdøys allé i Drammensveien, stanąłem pod drzewem i czekałem na Pedera. Na gałęziach wisiało jeszcze kilka liści. Zima przyszła zbyt nagle. Jesień nie zdążyła uporać się ze wszystkim. Kiedy odchyliłem głowę i popatrzyłem w olbrzymią koronę, liście przypominały czerwone lilie wodne, unoszące się na białym jeziorku, które na mnie spadało. Stałem tak co najmniej godzinę. W końcu ktoś szarpnął mnie za wiatrówkę. To był Peder. – Cholera, wyglądasz jak syn obrzydliwego bałwana! – zawołał. Dalej mnie szarpał za ubranie. – Długo tu stoisz? – Chwilę – powiedziałem. Źle spojrzałem na zegarek. Peder oparł się o pień. – Śnieg to najgłupsza rzecz, jaką znam – powiedział. – Dlaczego? – Dlaczego? A podaj mi chociaż jeden powód, dla którego ma padać śnieg?

Zastanowiłem się. – Można jeździć na nartach – zaproponowałem. Peder popatrzył na mnie prawie z obrzydzeniem. – Na nartach? A ty dużo jeździsz na nartach, Barnum? – Nie bardzo – odparłem prędko. – No właśnie, na takiego wyglądasz. Coś ci powiem. W Oslo jest około tysiąca milimetrów opadów rocznie, a ja muszę odgarniać co najmniej połowę z nich. Inaczej mama nie wyjedzie. Peder wyciągnął parasol, schowany pod budrysówką, i rozłożył go nad nami. Przez chwilę staliśmy, nic nie mówiąc, osłonięci przed śniegiem. – Co miałeś na myśli? – spytałem. – Wydaje ci się, że mama może odgarnąć śnieg? A ojcu się nie chce. Ale przynajmniej dostaję za to tygodniówkę. To jedyna dobra rzecz, jaką mogę powiedzieć o śniegu. Żądam dychy za każdy milimetr. – Powiedziałeś, że nie wyglądam na takiego. Co miałeś na myśli? Peder się roześmiał. – Sądzisz, że ja wyglądam na narciarza? Pokręciłem głową. – Ani trochę. – Ty też nie. Śmiało się obaj. Żaden z nas nie popisałby się na trasie. Nie mieliśmy do tego odpowiedniej budowy. Ta sprawa była jasna. Ślady mieliśmy zostawić na innych zboczach. Coś mi przyszło do głowy. – Może jednak znam jeden dobry powód – powiedziałem. – No jaki? – Twoja mama może go namalować. To znaczy śnieg. Peder jęknął. – Mama też tak mówiła. Wydaje mi się, że ona cię lubi. Jedna rzecz mnie tylko zastanawia. Peder zagłębił się w milczenie pod czarnym parasolem. – Co? – dopytywałem się. – Chyba można malować śnieg tak, żeby nie musiał go odrzucać.

Po tym, co powiedział Peder, niewiele się odzywaliśmy. Dość było do rozmyślenia.

Staliśmy za czerwonym drzewem, żeby nikt nas nie widział. Po raz pierwszy czekałem z kimś na kogoś. Lekcja w szkole tańca zaczynała się za kwadrans i pierwsi weszli już do Budynku Handlu, jak gdyby wierzyli, że ktoś poprosi ich do tańca tylko dlatego, że stawili się przed czasem. – Ona nie przyjdzie – stwierdziłem w końcu. – Oczywiście, że przyjdzie – powiedział Peder spokojnie. Założymy się? – O ile? – A ile masz?

Obszukałem kieszenie. – Dwie korony i dwadzieścia øre. – Dobra. To zakładamy się o dwie korony dwadzieścia. – Zgoda. Peder klepnął mnie w plecy. – Właśnie przegrałeś dwie korony i dwadzieścia øre! Bo w dół Bygdøy allé biegła przez śnieg Vivian, w ogromnej czerwonej czapie na głowie. Wskoczyła w zaspę i, brodząc w śniegu, podeszła do nas. Miała mokrą twarz, prędko wytarła ręką czoło i stanęła pod parasolem.

Zrobiło się dość ciasno. Oddychaliśmy na siebie. – Barnum nie wierzył, że przyjdiesz – powiedział Peder. Vivian popatrzyła na mnie. – Przyszłam. – Może Barnum jest przyzwyczajony do rozczarowania – ciągnął Peder, nie ustępując. – Może – powiedziała Vivian i zdjęła czapkę. – Przyznałeś się w domu? – spytałem, żeby zmienić temat.

Pokręciła głową, z włosów oderwały się kropelki, tworząc wokół niej lśniący krąg. – To, o czym się nie wie, nie boli – stwierdził Peder. Innymi słowy głupcy mają dobrze. Teraz nadciągała reszta. Reszta szkoły tańca. W ciemnych ubraniach, z za ciasnymi butami w torbach, wyglądało to co najmniej tak, jakby szli na pogrzeb albo jakby wchodzili do rzeźni, gdzie zaraz otrzymają cios młotkiem w czoło i zostaną powieszani na haku, żeby skruszeli, przy wtórze *Heideröslein*, wygrywanej przez Svae, która później obedrze ich ze skóry pilnikiem do paznokci. Była to nie tylko smutna gromada – wyglądali wprost idiotycznie. Śmialiśmy się, pokazywaliśmy ich sobie palcami ze śmiechem. Teraz przyszła kolej na nas. Śmialiśmy się z nich. Górowaliśmy nad nimi. Byliśmy razem. Byliśmy my przeciwko nim, przeciwko bandzie, i mieliśmy nad nimi przewagę. I być może po raz pierwszy właśnie tam, pod czarnym parasolem, za czerwonym drzewem, zaznałem owego poczucia więzi istniejącej poza rodziną, tak, wykraczającej poza ciebie samego, więzi, która usuwa niepokój z wnętrza i zostawia dla ciebie miejsce, czułem ją, mocno i wyraźnie, tego wieczoru z Pederem i Vivian. Poza tym był tylko śnieg i wszystkie ślady w nim, wśród latarni na Drammensveien, słyszeliśmy też muzykę z ostatniego piętra, rytm i kroki rozchodzące się po parkiecie, który sami opuściliśmy raz na zawsze.

Nie odzywaliśmy się przez dłuższą chwilę. Patrzyliśmy tylko na siebie i uśmiechaliśmy się. Nie było się czego bać. Mogliśmy wspiąć się na czubek drzewa i przesiedzieć tam resztę wieczoru, gdybyśmy mieli na to ochotę. Peder złożył parasol. Śnieg już nie padał. – Zajrzymy do ojca – powiedział i zaczął iść. Ruszyliśmy za nim. Szedł w stronę Vika.

Spacerowanie nie było już przyjemne. Ulic nie odśnieżono i śnieg zbrzązował. Ale się nie bałem. Byliśmy razem. Zaraz potem Vivian wzięła mnie za rękę, a nikt nigdy nie wziął mnie za rękę, z wyjątkiem najbliższej rodziny. Wreszcie Peder zatrzymał się przed jakimś sklepem przy Huitfeldtsgate. Nad oknem, w którym były kraty, widniał wielki napis:

Znaczki Miila – Kupno i sprzedaż. Peder wyciągnął olbrzymi pęk kluczy i otworzył.

Weszliśmy, a on zamknął za nami. W środku nikogo nie było. Peder zapalił lampę na suficie, świecącą ostrym białym światłem. Nigdy nie widziałem tylu znaczków. Szklana lada była pełna starych listów. Pachniało klejem, tytoniem i czymś jeszcze, nie wiedziałem czym, może jakąś specjalną parą, stosowaną do odklejania znaczków od listów, tak żeby się nie niszczyły. – Pachnie gumą – powiedział Peder. Z czasem można się przyzwycząić.

Zaciekawiona Vivian rozglądała się dokoła. – Naprawdę można żyć ze sprzedawania znaczków? – spytała. – Jasne – powiedziałem. Znaczek z Mauritiusa kosztuje dwadzieścia jeden tysięcy siedemset trzydzieści cztery korony. Peder uśmiechnął się i popchnął nas dalej, na zaplecze. Stała tam kanapa i biurko, na którym leżały dziwne błyszczące przyrządy, szkło powiększające, lupy i mikroskopy, przypominało to trochę stół operacyjny. Peder wyjął z lodówki butelkę piwa i colę, otworzył je pęsetką. Potem wymieszał piwo z colą w jednej szklance, wypił łyk i puścił w koło. Napój miał jednocześnie kwaśny i słodki smak. W jednym uchu zaczęło mi szumieć. Usiedliśmy na kanapie. Vivian w środku. – Wolno ci tu być? – spytała. Peder wlał więcej piwa do coli. – Ojciec mówi, że i tak pewnego dnia przejmę całe to gównno. To ja liczę ząbki! Roześmiał się głośno i wyjął znaczek leżący w samej głębi szuflady, którą najpierw musiał otworzyć dwoma kluczami. Potem znów się do nas przysiadł. – W znaczkach najbardziej lubię to, że najwięcej warte są te, które mają jakiś feler. Pokazał nam egzemplarz wyjęty z szuflady i dał nam go kolejno chwilę potrzymać. To był szwedzki znaczek, żółty i wyglądał na użyty dawno temu. – Trzy szylingi z 1855 roku – szepnęła Peder. Właściwie powinien być zielony. Król Rumunii kupił taki za pięć tysięcy funtów w 1938. Tylko dlatego, że był żółty, a nie zielony. Peder odłożył znaczek z powrotem do szuflady i odwrócił się do nas. Ale patrzył na Vivian. – Ja jestem gruby – powiedział. Barnum jest bardzo niski. A jaki ty masz feler, Vivian? Nie śmiałem oddychać. Cisza zapadła na tak długo, że już myślałem, że Peder popsuł wszystko. Ale jednak Vivian się odezwała, podniosła oczy i uśmiechnęła się. – Ja się urodziłam w wypadku.

Całą drogę do domu myślałem o tym, co powiedziała, o tym, że urodziła się w wypadku, tyle o tym myślałem, że zapomniałem, co sam mam mówić. Naprawdę byliśmy więcej wariaci dlatego, że każde z nas miało jakiś feler? Matka już stała w przedpokoju, a w salonie siedział w fotelu zaspany ojciec. Boletty nigdzie nie zauważyłem, zapewne więc znów ją naszło i wyprawiła się na Biegun Północny. – Znów zostałeś w szkole za karę? – spytała matka drżącymi wargami. – Tak – odparłem. – Dobrze przynajmniej, że nie kłamiesz! Bo dzwonił dyrektor i o wszystkim powiedział! Jak mogłeś! Ojciec wstał z fotela, trwało to dość długo. – Dobrze już, dobrze. – powiedział. Rzuciłeś śnieżkę w okno, Barnum? – Tak – szepnąłem. – Zapowiada się, doprawdy, obiecująco. Na wiosnę zaczniemy ćwiczyć rzuty dyskiem, a w dysku miłe jest to, że od razu uczysz się lepiej chwytac dziewczyny! – Przestań! – zawołała matka. Ojciec tylko się roześmiał i zaczął z powrotem siadać. Matka pociągnęła mnie za kurtkę. – I poszedłeś do szkoły tańca w tym stroju! Odwróciłem głowę. – Tańczyliśmy tylko cza-czę – odparłem. Matka westchnęła ciężko, ręce rozbiegły się jej na wszystkie strony. – A gdzie jest Fred? Widziałeś go? – Fred leży w trumnie na strychu – powiedziałem. Matce opadły ręce. Ojciec mimo wszystko nie usiadł, nagle przytomny i biały na twarzy. – Coś ty powiedział? – spytał. – Nic. Całkiem mi zaschło w gardle. Aż język się przyklejał. Ojciec podszedł bliżej. – Nic?

Powiedziałeś nic? – Nie pamiętam, co powiedziałem – szepnąłem. Ojciec zatrzymał się przede mną, całe ciało mu drżało. – Powiedziałeś, że Fred leży w trumnie na strychu!

Spuściłem wzrok. – Chyba tak.

Żadne z nas nie przypuszczało, że ojciec potrafi tak prędko biegać po schodach. Matka pospieszyła za nim i ledwie mogła dotrzymać mu kroku, na samym końcu biegłem ja.

Musiałem zobaczyć, co się stanie. Oto co zobaczyłem: ojciec zatrzymuje się w suszarni na strychu, tuż pod otworem w dachu. Trumna leży na podłodze. Matka chowa twarz w dłoniach i krzyczy, nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Ale najdziwniejsze jest to, że ojciec nie patrzy na trumnę, tylko najpierw na sznurki do bielizny, na klamerki, na szczątki martwego ptaka, puste worki po koksie, i oddycha tak ciężko, że aż podrywa kurz, stoi i wpatruje się w to wszystko, jak gdyby zapomniał, po co tu przyszedł, jakby całkiem się zapomniał. Wtedy Fred sam unosi wieko trumny i siada. Wygląda to dziwacznie. Siedzi w trumnie i ziewa, błądy i chudy wśród fałd jedwabiu. Wpatruje się we mnie. Staję w cieniu za matką, która wciąż skrywa twarz w dłoniach. – Nic mu nie rób – szepcze.

Ojciec odwraca się do niej, zasmucony, niemal jakby prosił o wybaczenie. A potem dzieje się rzecz najdziwniejsza. Ojciec pochyla się i obejmuje Freda, tuli go do siebie, poklepuje po plecach, nawet matka musi teraz spojrzeć, bo ojciec wcale nie spuszcza Fredowi lania, on go przytula, a ja łapię na moment spojrzenie Freda ponad ramieniem ojca, zdezorientowane i przerażone, któryś z nich płacze, to nie Fred, to płacze ojciec, Arnold Nilsen.

Zbiegłem na dół i się położyłem. Oni zeszli po chwili, głosy mieli ściszone i powolne.

I tak zasłoniłem uszy. Nie chciałem słuchać, co mówią. Ale nie słyszałem Freda.

Pomyślałem, że może mnie spierze za to, że wygadałem, gdzie jest, i że prawdopodobnie będzie to podwójne lanie, bo ojciec go nie zbił. Najlepiej by było, gdyby Fred od razu dostał, sprawa zostałaby zakończona. Już się bałem i nie mogłem zasnąć. Byłem tak samo zdezorientowany i przerażony jak Fred. Przyszedł, kiedy wszyscy się położyli. Usiadł przy moim łóżku. Nie odezwałem się ani słowem. Czekałem. On tylko siedział. W końcu nie mogłem dłużej wytrzymać. – Przepraszam – szepnąłem. Fred teraz też nic nie powiedział.

Wielka cisza podtrzymywała jego cień. Miał coś w rękach. Nie widziałem, co to jest.

Wreszcie postanowił coś powiedzieć. Odetchnął. – Wydaje mi się, że jestem złym człowiekiem – oznajmił. Pożałowałem, że w ogóle się odezwał. – Nie jesteś zły – zaprzeczyłem. Fred pochylił się nad łóżkiem. – Skąd możesz wiedzieć? Musiałem się zastanowić. Lanie byłoby lepsze. – Nigdy nie zrobiłeś nic złego – stwierdziłem w końcu. – Czyżby? Fred zrobił całe mnóstwo złych rzeczy: wysłał moją pizamę pocztą do dozorky Banga, nie mówił przez blisko dwa lata, położył się w trumnie na strychu, i to jest tylko część z tego, co wymyślał, lecz jeśli Bóg istniał, czy nie patrzyłby przez palce na takie wybryki, czy w jego kartotece było miejsce na podobne występki? – Nigdy nie zrobiłeś niczego naprawdę złego – powiedziałem. Fred odwrócił głowę. – Jeszcze nie – szepnął.

Teraz i ja zacząłem szeptać. – Jeszcze nie? A co masz zamiar zrobić, Fred?

W dół Kirkeveien przejechał samochód, światła reflektorów przesunęły się przez nasz pokój. Zobaczyłem wtedy, co Fred trzyma w rękach. To był dysk. Fred mi nie odpowiedział. Siedział tak tylko, z dyskiem na kolanach, gładził go palcami. Uśmiechnął się. – Dysk dla juniorów – szepnął. Półtora kilo. Nic więcej nie dodał. Położył się spać.

Dysk zostawił na parapecie. Zaniosem go z powrotem do salonu. Był ciężki. Cieszyłem się, że to nie jest dysk dla seniorów. O czym myślał Fred? Zaniepokoiłem się. Zabrałem ze sobą list, zapaliłem małą lampkę nad łóżkiem i zacząłem czytać na głos. Nie wiem, czy Fred słyszał, czy już zasnął. Ale i tak czytałem, cały list, od początku do końca, do ostatniego zdania, najpiękniejszego, jakie znałem, i udało mi się nie popłakać w ani jednym miejscu. To był ostatni raz, kiedy czytaliśmy list.

A tak w ogóle to w tamtym czasie nie zgłoszono w Oslo zaginięcia żadnej trumny.

Ojciec odkręcił złocone rączki, wypruł cały jedwab i porąbał trumnę na kawałki, które wrzucał do kominka w grudniu, kiedy zaczęło być zimno i od drzwi balkonu ciągnęło.

Paliła się całkiem niezłe. Ale nie bardzo lubiłem siedzieć w tym ciepłe, pociłem się od niego i i jednocześnie miałem dreszcze, zwykle więc wychodziłem, kiedy ojciec palił w kominku trumną, w której leżał Fred. I w pewien taki wieczór, późno, kiedy wszyscy zrobili się jacyś dziwni od tego mocnego, gorączkowego ciepła kominka, nawet ojciec wyszedł się ochłodzić, Boletta gwałtownie otwiera drzwi do naszego pokoju i staje w nich z drżącym palcem w górze, ledwie może mówić. Nie wiedziałem, że potrafi się tak rozgniewać, nigdy jej takiej nie widziałem, tej dobrej Boletty, wyglądała jak sprężyna, która wyskoczyła z zacisku. – Gdzie list? – szepcze. Gdzie jest list! Patrzy na Freda, bo on także jest w domu, leży w łóżku i tylko wzrusza ramionami. – Nie mam pojęcia. A ty wiesz, Barnum? Boletta odwraca się do mnie. – Nie leży w szufladzie? – pytam. – Nie, nie leży w szufladzie! – Może zabrałaś go na Biegun Północny? – mówię. Boletta podnosi kruchą rękę do góry. – Drwisz sobie ze mnie, Barnum! – Nie, babciu. Odłożyłem go z powrotem do szuflady, kiedy ostatnio czytałem. Boletta znów rzuca się na Freda. Jeśli zabrałaś ten list, to zbezczeszczyłaś i żywych, i umarłych! Słyszysz? Fred wstaje. – Nie ruszałem go! – krzyczy. Nie ruszałem, cholera, tego pieprzonego listu! Dlaczego zawsze zwala się winę na mnie?

Matka też przychodzi. Musi trzymać Boletę. Potem przewracają do góry nogami całe mieszkanie, ale listu nie znajdują. – Sama go gdzieś zapodziałaś – mówi matka. Boletta już nie wie, co o tym wszystkim myśleć, i dlatego przychodzą jej do głowy najprzeróżniejsze pomysły. Zagubiona i nieszczęśliwa, kładzie się na otomanie. Siadam przy niej i chcę ją pocieszyć. – Nic takiego złego się nie stało – mówię. Umiem go na pamięć. Boletta otwiera oczy. – Na pamięć? – szepcze. Kiwam głową i ocieram jej krople z czoła.

A potem zaczynam czytać jej list, czytam cały, bez kartek i bez pisma. Ale kiedy kończę, kiedy wypowiadam ostatnie słowa, nic nie dodawszy ani nie ująwszy, nie zmieniawszy nawet przecinka, Boletta bierze mnie za rękę, siada powoli i szepcze: – To już nie będzie to samo, Barnum. Nie będzie.

Nic więcej nie powiedziałem. Siedzieliśmy tak, na otomanie w jadalni w grudniu, a ciepło z kominka uderzało nas gorącymi podmuchami, i od tej pory nie mogłem myśleć o liście, napisanym w krainie słońca świecącego o północy wśród lodów i śniegów, nie wspominając jednocześnie trumny, która płonąć, zsyła na nas senność i pozbawia snów.

(wypadek)

Vivian urodziła się w wypadku. Wydarzył się 8 maja 1949 roku. Aleksander i Annie, którzy będą jej rodzicami, jadą chevroletem fleetline deluxe, otrzymanym w podarunku od jej ojca, kiedy się pobierali zeszłej jesieni. Jadą w stronę Frognerseteren. Są młodzi, dopiero zaczynają wspólne życie, ona ma rodzić za dwa miesiące, jemu został jeszcze rok studiów prawniczych na uniwersytecie w Oslo, uważany jest za najlepszego ze swojego rocznika. Ona rok wcześniej była królową maturzystów. To taka para, którą inni podziwiają i której zazdroszczą, są jak klejnot w łańcuchu pokoleń.

Radość jest dla nich oczywistością, a tego dnia nie czują nic innego oprócz radości z samego istnienia, wchodzą w przyszłość, a przyszłość jest po ich stronie. Liczy się słońce. Liczy się błękitne niebo. Liczą się zielone drzewa. Zatrzymują się przy wzgórzu Holmenkollen. Aleksander Wie opuszcza okno, wskazuje na skocznnię i zeskok, i on, człowiek paragrafów, który zwykle przemawia tylko literą prawa, staje się nagle poetyczny i otwarty. To przez miłość. To przez Annie. To przez tę chwilę i przyszłość. – To my stoimy teraz tam na wieży, Annie – mówi. Ona bierze go za rękę. – Stoimy na wieży – powtarza Aleksander. Rzucamy się w dół i wcale się nie boimy. – Nie. – Annie się śmieje. – Będziemy unosić się w powietrzu dłużej niż ktokolwiek przed nami! – Tak, Aleksandrze! On pochyla się do jej kolan, ona się odgina do tyłu, jest jak w łóżku, Aleksander słucha, wsłuchuje się w dziecko, które jest w niej, i wydaje mu się, że słyszy dwa bijące serca, serce Annie i dziecka. Długo tak leży, nasłuchując. Annie gładzi go po włosach. – Jesteś piękna – szepcze Aleksander. Mówiłem ci to już? Annie się śmieje. – Powiedziałeś to dzisiaj rano. – A teraz powtórzę. Jesteście piękni. Całuje ją. Poprawia siedzenie i znów staje się rzeczowym prawnikiem, który pragnie ją chronić. – Musisz siedzieć dobrze podparta – mówi. Bo inaczej dziecku może coś się stać. Musisz uważać.

Jadą dalej. Aleksander zamyka okno. Nie chce, żeby wiało na Annie. Na chwilę zwiększa prędkość, ledwie ponad dopuszczalną granicę, na ostatnim zboczach, i czuje tę moc, miękką i uległą, ale hamuje natychmiast, gdy tylko skręcają w stronę lasów.

Z przeciwnej strony nadjeżdża inny samochód. Aleksander nie wierzy własnym oczom. – Wielkie nieba! – woła. To buick! Samochody zatrzymują się po przeciwnych stronach drogi. Aleksander otwiera drzwiczki. Annie prędko łapie go za rękę. – Co ty robisz? – pyta. – Co ja robię? Muszę obejrzeć ten samochód. – Tylko się pospiesz. Aleksander siada z powrotem. – Źle się czujesz? Annie kręci głową. – Trochę mi zimno. – Zimno? – Nie wiem. Taki chłód mnie ogarnął. – Jedziemy do domu – postanawia Aleksander. Annie się śmieje. – Pospiesz się. To zaraz minie. – Pewna jesteś? – Całkiem pewna. Już się lepiej czuję. Aleksander całuje ją w policzek i prędko przechodzi na drugą stronę. Tamten kierowca, niski ciemnowłosy mężczyzna w jasnych rękawiczkach, już stoi przy otwartych drzwiczkach i zapala papierosa. Aleksander natychmiast myśli: ten człowiek wygląda jak nuworysz, który wyjechał na drogę, żeby się pokazać, może to prosty wielorybnik, któremu wpadło w ręce za dużo pieniędzy. Na przednim siedzeniu siedzi chłopczyk, wygląda na zagniewanego, rozszuszczonego, a z tyłu za nim chuda, blada kobieta, uśmiecha się zażenowana, jak gdyby wiedziała, że to nie jest odpowiedni dla nich samochód, że nie dorastają do własnego pojazdu, dziwna grupa, lecz Aleksander życzliwie wita małego wysztafirowanego człowieczka, mówiącego innym dialektem, północnym, który stara się ukryć, mówiąc bardzo wolno, drukowanymi literami. Obchodzą samochody dookoła i trochę się nawzajem chwala. – To pańska żona? – pyta nieznajomy. Aleksander kiwa głową. – Tak. – Jest bardzo piękna. Aleksandra zawstydzona taką bezpośredniością. Jakiś cień przesuwają się nad nimi i zabiera ze sobą światło. Aleksander się żegna i prędko wraca do chevroleta. Wsiada do środka. – Jedziemy do domu – oświadcza. Ale Annie chce jechać dalej. – Nie, jeszcze nie. Chcę wjechać aż na wieżę. Aleksander się śmieje, zna tę radość, całość? radość bez skazy, bez najmniejszego punkcika. Ona jest z nim. Pjdzie z nim. Aleksander się śmieje, zna tę radość, całość? radość bez skazy, bez najmniejszego punkcika. Ona jest z nim. Pjdzie

z nim.ć, całą tę radość? bez skazy, bez najmniejszego p?kni?cia. Ona jest z nim. P?jdzie z nim.ć bez skazy, bez najmniejszego p?kni?cia. Ona jest z nim. P?jdzie z nim.

Będzie mu towarzyszyć aż na szczyt. – Oczywiście! Ominie nas też jazda za tym szarlatanem! Zapina pas i w tej samej chwili zaczyna padać deszcz. Aleksander włącza wycieraczki i jedzie do następnego ostrego zakrętu. Annie odwraca się i widzi, że kobieta w tym drugim samochodzie też się odwróciła. Trwa to chwilę, potem nikną sobie z oczu.

I właśnie po drugiej stronie tego zakrętu dochodzi do wypadku. Może Aleksander Wie jechał za szybko, może droga była śliska od ciepłego deszczu, może z lasu wybiegło jakieś zwierzę i rozproszyło mu uwagę. Tak czy owak traci kontrolę nad blisko dwutonowym chevroletem. Dzieje się to tak prędko, że nie ma czasu zareagować, moc mu się sprzeciwia, samochód gwałtownie skręca w bok, toczy się w dół stromego zbocza i wpada na drzewo. Annie zostaje rzucona na przednią szybę, która tłucze się jej na twarzy. Zapada kompletna cisza. Tylko deszcz dalej pada. Tylko jakiś ptak sfruwa z gałęzi. Aleksander siedzi wciśnięty między kierownicę a siedzenie, wyszedł z tego niemal bez szwanku, czoło ma rozcięte, to wszystko, wrywa się i odwraca do Annie. Widzi tylko krew. Cała jej twarz jest samą krwią. Kawałek szkła sterczy z policzka i dzieli twarz na pół, szyja, pierś, wszystko jest krwią, wszystko jest potłuczone. – Annie – szepcze. Annie. Ale nie słyszy własnego głosu, tylko coś innego, wcale nie dźwięk, słyszy ruch i patrzy w dół, na podłodze u jej stóp leży tłumoczek krwi i mięsa, człowiek, wciąż jeszcze połączony z Annie, która nagle krzyczy, wrzeszczy, przyciska dłonie do poranionej twarzy, odłamek szkła pęka jej w palcach, Annie wyje, Aleksander usiłuje pochylić się nad dzieckiem, to dziewczynka, już postanowili, że jeśli będzie dziewczynka, nazwą ją Vivian, i urodziła się dziewczynka, Vivian, odwraca się do nas. – No, chodźcie – mówi. Peder patrzy na mnie, kiwa głową, jest blady i wydaje się niemal szczupły. Idziemy za Vivian przez ciemne ciche mieszkanie, przylegające do kościoła na Frogner, jesteśmy tu po raz pierwszy, u Vivian, minęło dużo czasu, zanim odważyła się nas zaprosić. – Jak tu cicho – szepcze Peder. – Co mówisz? – pytam również przyciszonym głosem. – Cicho – powtarza. Wchodzimy do pokoju Vivian, która bezszelestnie zamyka za nami drzwi. Pokój wygląda tak, jakby nikt tu nie mieszkał, wszystko jest posprzątane. Wszystko wydaje się nietknięte, tornister, książki, sweter, kapcie ustawione równo jeden przy drugim, uświadamiam sobie, że ten pokój jest prawie pusty, nic

tu nie ma, nic, ani gramofonu, ani radia, ani tygodników, może tak właśnie jest u dziewczyn, myślę, ale widzę, że Peder też zwraca uwagę na to samo.

Siadamy na szarej rozkładanej kanapie, a Vivian na stołku, bo nie ma tu nic innego, na czym można by usiąść, tylko stołek. Przez chwilę milczymy, jak gdyby cisza w tym domu była zaraźliwa. Peder poddaje się pierwszy. – Fajnie – mówi w końcu. Vivian podnosi głowę. – Fajnie? O co ci chodzi? – U nas w domu jest pełno gówna. A tu nic nie ma.

Vivian ledwie się uśmiecha. – Pełno gówna? – pyta. – A u Barnuma jest jeszcze gorzej.

Patrzy na mnie, chichocze, a ja rozumiem, że Peder mówi tak, żeby mówić o czymś innym, a nie bardzo wie, co powiedzieć, i dlatego mówi właśnie to. Zimno mi. Pederowi też zimno. Ma gęsią skórkę na karku. – Pełno gówna – potwierdzam prędko. Vivian kręci głową, bo i ona rozumie, że tylko tak gadamy, a my rozumiemy, że ona to zrozumiała, i potem długo nikt nic nie mówi, tym razem to ja się poddaję i odzywam się dosyć głupio. – Powiedziałaś rodzicom, że przestałaś chodzić do szkoły tańca? – pytam. Vivian wzrusza ramionami, dokładnie tak, jak Peder ma w zwyczaju, a mnie to trochę denerwuje. – Im wszystko jedno. I tak zapomnieli, że zaczęłam tam chodzić. Właśnie wtedy moje spojrzenie pada na zdjęcie na ścianie za jej plecami. Przyglądam mu się, bo nie mogę oderwać wzroku, Peder dalej wygaduje bzdury, to fotografia jakiejś pani, czarno-biała, na pewno bardzo stara, kobieta trzyma w palcach papierosa, dym spiralnie unosi się przed jej twarzą, wargi ma wąskie, ale usta szerokie, jest w tej twarzy jakaś twardość, chłód, niemal wrogość, lecz jednocześnie jest zapraszająca, kusząca, jak gdyby chciała zaprosić cię do czegoś, czego nigdy dotąd nie robiłeś i czego najprawdopodobniej nigdy więcej nie będziesz miał okazji robić. Marmur i marcepan, myślę. Te słowa po prostu wpadają mi do głowy Marmur i marcepan. – Gdybym mógł wybierać – mówi Peder – wybrałbym raczej nic niż dużo gówna. – Ale tu jest dużo jednego i drugiego. – Vivian się uśmiecha. I niczego, i gówna. Peder się poci, niestety, zagaduje do mnie. – Co ty na to, Barnum? – Marmur i marcepan – odpowiadam. Oboje zaczynają się śmiać, Peder i Vivian się śmieją, a ten dźwięk jakby był tu nie na miejscu, ale ja także wybucham śmiechem. Nachylamy się do siebie i śmiejemy się razem, marmur i marcepan, to nas troje, wygadujemy rzeczy, których nikt inny nie rozumie, tylko my, a wtedy ktoś stuka w ścianę i nigdy nie słyszałem, żeby cisza zapadła szybciej. Prostujemy się, jak gdybyśmy zostali przyłapani na gorącym uczynku, na okrutnym przestępstwie: śmiałyśmy się. Już się nie śmiejemy. – To Lauren Bacall. – Stukała w ścianę? – Nie,

ty wariacie. Ta, na którą się gapisz. Vivian odwraca się do zdjęcia, jedyne, jakie wisi w pokoju. Peder też na nie patrzy. – Kto to jest? – pyta. – Aktorka – odpowiada Vivian. – Moja prababcia też była aktorką – wtrącam. Vivian znów odwraca się do mnie, a ja wmawiam sobie, że spogląda na mnie nowymi oczami, że nagle widzi mnie w innym świetle. – Naprawdę? Kiwam głową. – Naprawdę. – W filmie czy w teatrze? – W filmie. – To musiał być niemy film – mówi Peder i znów się śmieje, a wtedy ktoś gwałtownie, ale bezszelestnie otwiera drzwi.

Ojciec Vivian. Włosy ma całkiem siwe, to pierwsza rzecz, na jaką zwracam uwagę, i na chudy nos. Patrzy na nas. Peder natychmiast wstaje. Ja też się podnoszę. Vivian dalej siedzi. Plecy ma wygięte jak kot. Ojciec kiwa głową. Uśmiecha się przelotnie, lekkim drgnięciem warg. – Musicie już chyba iść – mówi cicho.

Wyszliśmy. Vivian stała w oknie. Podniosła rękę, my też unieśliśmy ręce i tak je trzymaliśmy, dopóki nie zniknęliśmy sobie z oczu. – Cholera – powiedział Peder. Okropnie tam zimno. – I cicho. – Tak. Cholera, masz rację. Cicho i zimno. Obok nas przejechał tramwaj, twarze za szybami były białe, prawie żółte, i nagle wydało mi się, że wszystkie są podobne do Vivian. – Jak się nazywała ta, co wisiała na ścianie? – Lauren Bacall – odparł Peder. Niektórzy twierdzą, że jest podobna do matki Vivian. Albo odwrotnie. – Naprawdę? – Już teraz nie. Peder zatrzymał się i ujął mnie za ramię. – Ona siedzi gdzieś w sypialni po ciemku, nie ma twarzy. – Co? Nie ma twarzy? – Twarz przepadła jej w tym wypadku. Próbowali ją pozszywać. Nie bardzo pomogło. Peder puścił mnie i poszedł dalej. Pobiegłem za nim. Przejechał jeszcze jeden tramwaj, z tymi samymi twarzami w żółtym cieniu. – Nie wychodzi, odkąd to się stało – powiedział Peder. Teraz to ja go zatrzymałem. – Skąd wiesz? – Vivian mi mówiła. Przełknąłem ślinę. Gardło nagle mi się ścisnęło, bo przyszła mi do głowy przerażająca myśl. Odwróciłem głowę. Krawężnik zmienił się nagle w linę, na której balansowałem. – Czy ty chodzisz z Vivian? To znaczy, czy Vivian z tobą chodzi? – Może tak. Może nie. W głowie zrobiło mi się jeszcze ciemniej, nie zdołałem nic więcej powiedzieć, bo pomyślałem, że jeśli Peder i Vivian chodzą ze sobą, to znaczy, że ja jestem zbędny. To znaczy, że mały Barnum znów jest zbędny, może wracać do domu i iść spać. – Ach tak – szepnąłem. Peder odwrócił mnie i się roześmiał. – Ja nie chodzę z Vivian – powiedział. To my chodzimy z Vivian, Barnum. Czy ty tego nie rozumiesz?

(dysk i śmierć)

Ojciec w tę niedzielę obudził nas wcześniej. – Lenicie się w łózkach, a słońce świeci! – zawołał. Wolno otworzyłem oczy, chociaż dawno już nie spałem. Ojciec stał w drzwiach, miał na sobie żółty dres, tylko trochę za ciasny. Pachniało kawą.

Matka gwizdała w kuchni. Przedreptała Boletta z rękami założonymi za plecy. Zastony nie mogły powstrzymać światła. Coś się działo. Ojciec ciężko dysząc, klasnął w ręce, zabrzmiało to dziwnie, jak amputowane oklaski. A poza tym słyszałem tę rozpostartą ciszę, charakterystyczną dla niedzieli, bo kościelne dzwony jeszcze nie dzwoniły. – No, wstawajcie, chłopcy! Wynająłem, niech mnie wszyscy diabli, Bislet aż do pierwszej! – Już idę – powiedział Fred. Nie wierzyłem własnym uszom. – Idę – powtórzył. Ucieszyłem się i zdenerwowałem. Fred zwiesił nogi z łóżka i popatrzył na mnie. – Będziesz tak leżeć czy co? Ojciec jeszcze raz klasnął w ręce. – Tak powinno być, Fred! Ściągnij Barnuma na nogi! – Już idę – powiedział Fred z uśmiechem. Idziemy.

Ubraliśmy się w krótkie spodenki i koszulki bez rękawów, bo było już ciepło. A kiedy stanąłem w łazience razem z Fredem, on się nawet nie rozżościł na to, że wszedłem do niego, chociaż zwykle tak było. Wolno przeciągnął grzebieniem przez włosy, do tyłu, ale gdy tylko wyjął grzebień, grzywka znów opadła mu na czoło, lubiłem patrzeć na te czarne włosy, które jakby mu się sprzeciwiały, Fred chciał je podnieść do góry, grzywka chciała opadać na dół. Zacząłem się śmiać. Fred gwałtownie odwrócił się do mnie, a ja natychmiast ucichłem, ale nic się nie stało, tylko zerknął, wcale się we mnie nie wpatrywał, a wpatrywanie mogło zapowiadać różne rzeczy, teraz tylko zerkał. Znów się uspokoiłem, prawie ucieszyłem. Potem Fred otworzył szafkę, pogrzebał między wszystkimi tubkami, perfumami i dezodorantami, które tam stały, i w końcu wyjął płyn do włosów, ten, którego używał ojciec. Odkręcił korek, pochylił się nad umywalką i wylał sobie na głowę pół butelki. Padał deszcz płynu do włosów. Fred wtarł go, wbił grzebień z przodu i całą grzywkę odgarnął znów do tyłu. Została. Ułożyła się, jak gdyby była przymurowana do czaszki, jakby była ścianą z włosów. Fred przejrzał się w lustrze.

Uśmiechnął się i wytarł sobie twarz. Nagle zrobiło mi się niedobrze, bo ojciec, kiedy wracał do domu, zwykle cuchnął też potem i po policzkach ciężkimi smugami ściekał mu za kołnierzyk nie tylko płyn do włosów. Fred odstawił butelkę na miejsce i znów się do mnie odwrócił. Miał coś w oczach, ten mrok, który zawsze w nim tkwił, a może to tylko grzywka rzucała cień. – O co chodzi? – spytałem. Fred ani drgnął. – O co chodzi? – powtórzyłem. Fred położył mi ręce na głowie i resztki płynu do włosów wtarł w moje kędziory. – Jesteś gotów? – spytał szeptem. Nie zrozumiałem. – Gotów? No, tak. – To dobrze, Barnum.

Poszliśmy do kuchni i chyba zrobiliśmy spore wrażenie na matce i na Boletcie, koszulki bez rękawów, krótkie spodenki, płyn do włosów i w ogóle, musieliśmy przedstawiać sobą niezły widok w tę niedzielę pod koniec maja, o porze wciąż jeszcze tak wczesnej, że świat wokół nas był cichy i zielony za dzikim winem, zwieszającym się za oknem jak zasłony uszyte z liści. Ojciec natychmiast odstawił filiżankę z kawą i zaczął się tak śmiać, że żółty dres podciągnął mu się na brzuchu, odsłaniając pępek przypominający krater na nieznannej dotychczas planecie ciała. Boletta wstała, zamknęła oczy i złożyła dłonie, kiedy ta trzęsąca się planeta weszła na jej orbitę. – Stroimy się na bankiet, chłopcy! – wykrzyknął ojciec.

Nie na zawody! – Na bankiet? – zdziwiłem się. Ojciec długo kręcił głową. – A czy ktoś słyszał o porządnych zawodach sportowych bez bankietu? Ojciec schował pępek na miejsce i rozejrzał się dokoła. – Bo ja nie – powiedział. Dlatego zamówiłem ni mniej, ni więcej, tylko stolik na pięć osób w Grandzie na dziś wieczór. Jeśli oczywiście Boletta nie wybiera się na Biegun Północny. – W Grandzie chyba też mają piwo – powiedziała matka, uśmiechając się do nas chytrze, to było takie miłe, bo oznaczało, że skoro potrafi żartować z piwa Boletty, to jest w dobrym humorze, łagodna i łaskawa, może nawet szczęśliwa, jak gdyby mogła odpocząć od życia, odetchnąć w tej chwili, poczuć jej ciężar własny, nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ją ostatnio taką widziałem, chyba wtedy, gdy miał do nas przyjść Peder. Boletta znów otworzyła oczy, lecz nie ruszała się z miejsca. – Ale na pewno nie jest takie zimne – oświadczyła z mocą. Ojciec popatrzył na nią, twarz miał łagodną i spokojną. – Za to serwują je w butelkach doskonale wykształceni kelnerzy.

Siadaj teraz między nami, droga Boletto. – Dobrze, jeżeli utrzymasz ten swój brzuch na miejscu pod tym wstrętnym dressem! – Obiecuję. Ojciec się roześmiał. Boletta niechętnie usiadła od niego najdalej, jak się dało, ale to nie było daleko, bo nasza kuchnia nie była duża, a ojciec zajmował większość miejsca. Tego dnia postanowił nic nie pozostawiać przypadkowi. – Śniadanie to sam początek rzutu! – powiedział. Dowiadywał się bowiem u dozorca Banga, byłego mistrza w trójskoku, który poinformował go, że sam Audun Boysen przed ważnymi zawodami zjadał dwie kanapki z pasztetem, trzy tabletki i jedną płaską łyżeczkę mączki z alg morskich, gdyż decydującą rzeczą jest dostarczenie organizmowi niezbędnych składników odżywczych bez jednoczesnego objadania się.

Niezbędne składniki odżywcze nie były zbyt pyszne. Miały smak worka na trampki. Ale Fred przełknął algi morskie bez jednego grymasu. A ja w tej samej chwili spostrzegłem zdziwienie matki, zdziwienie spokojem Freda, to zdziwienie przerodziło się w podejrzliwość, na matkę znów padł cień. – Czy Audun Boysen to nie jest biegacz? – spytałem. Ojciec popatrzył na mnie. – Oczywiście, to jeden z najlepszych biegaczy na świecie, Barnum. – Ale on nie rzuca dyskiem – zauważyłem. Ojciec znów pokręcił głową nad taką niewiedzą i popchnął ostatnią tabletkę z alg w moją stronę. – Wszystko jedno, czy rzucamy dyskiem, biegamy, uprawiamy trójskok, czy jesteśmy klaunami na arenie, czy akrobatami pod kopułą, bo i tak siłą czerpiemy z tego samego miejsca, Barnum. Ojciec umilkł, ciężko oddychając przez krzywy nos. Spuścił wzrok i oczy rozplynęły mu się we wspomnieniach, w chwili, w ciężarze własnym tego momentu. Przełknąłem mączkę z alg. – A skąd? – szepnąłem. – Z serca – odparł ojciec równie cicho. Z serca, Barnum. Spojrzał na nas, ocierając łzy. – Włos słonia – szepnął. Najrzadsze ze wszystkiego, co może być na świecie. Znalazłem to tutaj. Objął matkę i przyciągnął ją do siebie. Fred się zaniepokoił. – Nie idziemy? – spytał. Ojciec natychmiast się poderwał. – Już poszliśmy! Bo teraz mam w głowie olimpiadę! Wyszedł za Fredem do przedpokoju. Popatrzyłem na matkę. – Wy z nami nie idziecie? Matka znów się uśmiechnęła, ale to był inny uśmiech, ten nerwowy, szybki uśmiech niczym powiew wiatru owiewający twarz. – Dzisiaj mężczyźni muszą mieć spokój – powiedziała i do jednego termosu nalala soku. – W dodatku musimy zostać w domu, żeby przygotować się na bankiet. A na to starszym paniom potrzeba dużo czasu.

Fred i ojciec wołali. Fred i ojciec wołali mnie. – Pospiesz się teraz – powiedziała matka cicho, żebym tylko ja mógł to usłyszeć. Pospiesz się. Boletta zapaliła papierosa.

Wybiegłem do nich. Ojciec wskazał na moje stopy. – Masz zamiar rzucać dyskiem w kapciach, Barnum? Fred stał przy drzwiach. Miał na sobie białe tenisówki. Aż lśniły.

Kokardki sznurówek na każdej stopie przypominały kwiat. Zobaczyłem, że ojciec trzyma coś za plecami, coś przede mną ukrywa. – A może chcesz startować w zawodach w pantoflach do tańca? Pokręciłem głową. Ojciec roześmiał się i pokazał wreszcie to, co chował. Była to jeszcze jedna para tenisówek, tak samo nowych i białych. Usiadłem na podłodze, włożyłem je, wciąż jeszcze pamiętam pofałdowane podeszwy, błyszczące metalowe okucia wokół dziurek i miękką gumę pięt, a kiedy wstałem, miałem wrażenie, jakbym stał w powietrzu. Ojciec położył mi rękę na ramieniu, drugą na ramieniu Freda i przyciągnął nas bliżej, dwóch przyrodnych braci w białych butach. – Miałem kiedyś przyjaciela – powiedział. To było w dawnych czasach. Kiedy byłem w cyrku.

Nazywaliśmy go Der Rote Teufel. Spadł z trapezu i umarł. A dlaczego? Bo włożył nieodpowiednie obuwie, chłopcy. Ojciec westchnął. Pewnego dnia zrozumiecie, o co mi chodzi. Ale do tego jeszcze dużo czasu. Ojciec miał na sobie swoje czarne pantofle, czarne pantofle i żółty dres. – Chodźcie już – szepnął.

To ja niosłem dysk. Leżał w pudełku z uchwytem. Fred niósł plecak. I tak poszliśmy na Bislet tego poranka w ostatnią niedzielę maja. Matka i Boletta machały nam z okna.

Odmachali im oni dwaj, bo ja niosłem dysk. Ojciec odwrócił się i uśmiechnął. – Ciężkie, Barnum? – Nie – odparłem. Tylko półtora kilo. Fred za moimi plecami cicho się roześmiał. – No właśnie – powiedział ojciec. Dysk dla juniorów. Żeby zostać wielkim, trzeba zaczynać od rzeczy małych! Chodźcie! Na drzewach była zieleń. Na ulicach światło.

W mieście panowała cisza. I nagle z dachów zerwały się gołębie, równocześnie, na sekundę przed biciem kościelnych dzwonów. Ojciec znów się odwrócił. – Idziemy na mszę czy na Bislet? Odpowiedział Fred, tuż zza moich pleców: – Na Bislet.

Roześmialiśmy się, jeden po drugim. Śmialiśmy się wszyscy i szliśmy na Bislet. Ojciec z przodu, Fred na końcu, ja w środku, z dyskiem w pudełku z uchwytem, ludzie w ciemnych ubraniach, których spotykaliśmy po drodze, nieśli psalterze i parasole, a ojciec w opiętym żółtym dresie i jasnych rękawiczkach kłaniał się, witał z nimi, przepuszczał ich na stromym zboczu koło szaletu. W końcu dotarliśmy na miejsce. Dźwięk kościelnych dzwonów się rozwił. Ptaki znów usiadły na dachach domów, równocześnie.

Ojciec miał klucz do bramy w północnym narożniku. Otworzył ją. Wszedł do środka.

Ruszyłem za nim, a za mną szedł Fred. Usłyszałem, jak zatraskują się ciężkie żelazne wrota. Musieliśmy przejść przez korytarz. Ojciec szedł powoli. Pod ścianą leżała gazeta.

Wiatr ją przerzuczał. Patyczek od lodu. Kapsel od piwa. Nagle poczułem chłód. Miałem wrażenie, że zagłębialiśmy się coraz bardziej w zimną ciemność. Chciałem zawrócić. Ale szedłem z nimi. A kiedy dotarliśmy na drugą stronę, wszyscy trzej przystanęliśmy, niemal oślepieni. Przed nami rozpościerał się stadion. Puste trybuny, rzadka trawa, a nad nim niebo. Mieliśmy stadion tylko dla siebie, a całe światło jakby zebrało się właśnie tutaj, w tej olbrzymiej misie z betonu. Nasze głosy odbijały się echem, ale na razie nikt jeszcze się nie odzywał, dopóki ojciec nas nie objął, poczułem wzdrygnięcie się Freda, krótki głęboki wstrząs, od którego kaleka ręka ojca zatrzęsła się na moich plecach, i ojciec powiedział: – Raj! Słowo pobiegło po zewnętrznym torze, czterysta metrów, i powróciło w momencie, kiedy zostało wypowiedziane, ale już wolniej, jak gdyby ktoś stał za trybunami i przedrzeźniał: Raj! Raj! Wkrótce znów zrobiło się cicho. Poszliśmy za ojcem po żwirze. Zatrzymał się przy kręgu suchej ziemi. Wskazał palcem. – Tutaj – powiedział.

To będzie tutaj. Podaliśmy mu pudełko z dyskiem. Odstawił je na trawę obok koła, w którym mieliśmy stanąć. Potem z plecaczka wyjął miarkę, srebrną miarkę. Już był spocony. Otarł twarz zdrową ręką i się uśmiechnął. – Widzicie? – spytał. Rozwinął przed nami całą miarkę. Pokiwaliśmy głowami. – Możesz mi odczytać ostatnią cyfrę, Fred? Fred zmrugał oczy i pochylił się bliżej. – Trzy metry – powiedział. Ojciec odwrócił miarkę na drugą stronę. – A czy ty możesz odczytać mi ostatnią cyfrę, Barnum? Zrobiłem z dłoni daszek nad oczami. – Dwa metry – powiedziałem. Ojciec uśmiechnął się i wolno zwinął miarkę, cały czas na nas patrząc. – *Mundus vult decipi*. Wiecie może, co to znaczy? Sam sobie odpowiedział: – Świat pragnie być oszukiwany. – *Ergo decipiatur* – dodał Fred. Ojcu miarka wypadła z rąk, odwrócił się do niego zdumiony. – Powiedziałeś coś, Fred? – *Ergo decipiatur* – powtórzył. Ojciec nie zdołał zetrzeć zdumienia z twarzy, zdumienia i radości.

Musiał podejść bliżej do Freda, żeby uwierzyć własnym uszom. – Świetnie, Fred. *Ergo decipiatur*. Ale dzisiaj nie będziemy oszukiwać świata, prawda? Teraz z kolei uśmiechnął się Fred. – Nie – powiedział. Ojciec znów spoważniał. – I nie udawaj, że jesteś gorszy niż Barnum. Czy to jasne i zrozumiałe? Fred kiwnął głową. – Nigdy by mi to przez myśl nie przeszło – odparł. Ojciec przez chwilę się wahał, nie wiedząc, co robić, i teraz popatrzył na mnie. – Bo dzisiaj będziemy mierzyć prawdziwą długość, chłopcy! Wygra najlepszy! Otworzył pudełko i wyjął dysk. Wyciągnął go przed siebie jak koronę, wyczyścił go wcześniej, dysk aż lśnił. Pozwolił go nam po kolei potrzymać, ten dysk dla juniorów, półtora kilo, średnica dwieście trzydzieści milimetrów, wykonany z drewna, otoczony gładkim metalowym pierścieniem z mosiężnymi płytkami wpuszczonymi w boki.

Ojciec ściągnął rękawiczkę ze zdrowej ręki i poruszył palcami. – Muszę, niestety, zademonstrować wam finezję rzutu za pomocą lewej ręki, gdyż prawą rękę zniszczył mi niemiecki granat, ale najpierw rozgrzewka! Zróbcie rundę wokół stadionu! Wyjął z plecaka czekoladę i termos z kawą. Ciężko usiadł w trawie, a Fred i ja wyszliśmy na żwir i zaczęliśmy się rozgrzewać. Ja biegłem, Fred był tuż za mną. Ale Fred nie biegł.

Przychodzi mi teraz do głowy, że nigdy nie widziałem, jak Fred biegnie, jakby poruszanie się w taki sposób było poniżej jego godności, albo może uważał, że bieganie zbyt dużo odsłania, bo nawet kiedy został pobity przez Indian z Vika, nie biegł, chociaż miał szansę ucieczki, ale to by ujawniło strach, bieganie ujawniało tęsknotę, pośpiech, niecierpliwość, pokorę. Fred powiedział mi kiedyś: Tylko niewolnicy biegają, Barnum. Biegłem. Fred szedł. Wydaje mi się, że się śmiał, cicho, pomrukując, kiedy mnie wymijał po zewnętrznym torze, w cieniu wielkiej trybuny z miejscami stojącymi, sunąc długimi bezszelestnymi krokami. Przyspieszyłem, lecz i tak ledwie zdołałem dotrzymać mu kroku, a kiedy wróciliśmy, ojciec zażądał, żebyśmy kontynuowali rozgrzewkę, wykonując dwanaście przewrotów w obie strony. Położyliśmy się na plecach w trawie i przewracaliśmy się. Ojciec liczył każdy obrót ze śmiechem. – Klauni też musieli się rozgrzewać! – zawołał do nas. Nawet klauni, poskramiacze zwierząt i czekoladowe dziewczyny! Potem ucichł, zamknął się w sobie i zapalił papierosa. Leżałem w trawie obok Freda i odpoczywałem. – Pamiętaj, co ci obiecałem? – szepnął. – Co? Fred nie odpowiedział. Na koniec musieliśmy robić wymachy rąk, dwadzieścia cztery razy. Ojciec wstał i rzucił papierosa za bramkę. – Świetnie, chłopcy! Naprawdę przypominacie wiatraki! Oznaczało to, że jesteśmy już dostatecznie rozgrzani. Ojciec skinieniem ręki przywołał nas bliżej. Trzymał dysk w lewej dłoni, tej zdrowej. – Bacznie teraz uważacie?

Kiwnęliśmy głowami. Ojciec mówił cicho, jakby dzielił się z nami tajemnicą, a trybuny były pełne ludzi, którzy bardzo chcieliby ją poznać. Nikogo oprócz nas nie było. Tylko Fred, ojciec i ja. – Powierzchnię dysku należy przyłożyć do wnętrza dłoni i do nadgarstka.

O, tak. Uważasz, Barnum? – Tak, tato. – To dobrze. Bo z dyskiem nie ma żartów. Nagle ojciec zdjął rękawiczkę z prawej ręki, bezkształtny kikut zwisał z ramienia, tylko połowa pozszywanego kciuka bez paznokcia przypominała o palcach, które kiedyś tam były. Nie miałem siły na to patrzeć. Ojciec włożył dysk do kalekiej dłoni i dysk natychmiast upadł mu w trawę. Fred podniósł go i podał ojcu. Teraz ojciec mówił jeszcze ciszej. – Pokazałem wam, z pomocą mojego kalectwa, jak ważne jest właściwe uchwycenie dysku.

Otwórz oczy, Barnum. Żebyśmy nie mieli kolejnego nieszczęścia. Otworzyłem oczy. Fred się uśmiechał. Ojciec stał pośrodku koła. Włożył rękawiczkę i znów trzymał dysk w lewej dłoni. – Udawajcie teraz, że jestem lustrem, przed którym ćwiczycie – powiedział.

Obrócił się dwa razy dokoła i gwałtownie się zatrzymał. Zdumiało mnie, że ten tłusty ciężki mężczyzna porusza się z taką gracją, prawie jak tancerz. Zobaczyłem, że Fredowi też zaimponował. Ojciec się zmieszał. – O co chodzi, chłopcy? Nic nie odpowiedzieliśmy.

No bo co mieliśmy powiedzieć? Że przypomina tancerza w żółtym dresie, pośrodku niewielkiego koła? Tak, może to właśnie mogliśmy powiedzieć, ale nie powiedzieliśmy.

Staliśmy w milczeniu i patrzyliśmy na niego pełni podziwu. Fred miał zaciśnięte usta, a ten mrok znów ukazał się w jego oczach. Co on takiego mi obiecał? Ojciec nagle się zniecierpliwiał. Mówił głośno. – Czubkami rozsuniętych palców chwytaacie brzeg. Kciuka używacie jako podparcia. O, tak. Ręka zwisa swobodnie, pilnujcie, żeby dysk odpowiednio leżał w dłoni. Ojciec wykonał jeszcze jeden piruet i wyciągnął rękę, nie puszczając dysku. – Najważniejsze jest teraz wyrzucić dysk idealnym torem. Dysk ma bowiem przeciąć powietrze, wirując wokół własnej osi. Nie może się kołysać! Słyszycie?

Nie może się kołysać! Słyszeliśmy. Dysk nie może się kołysać. Ojciec znowu zniżył głos. – A jak zrobić, żeby to się udało? No właśnie. Wyrzucamy dysk, ostro skręcając przedramieniem w lewo, i dosłownie wypychamy go palcem wskazującym. Pokazał nam jak, lecz również tym razem nie wypuścił dysku. – Najważniejsze mimo wszystko, żeby ręka była opanowana, a dyskobol stał pewnie. Jeśli masz zły rytm, to nic ci i tak nie przyjdzie z siły. Czy mogę teraz prosić o skierowanie uwagi na moje stopy? Popatrzyliśmy w dół. – To koło, chłopcy, to zwyczajne skromne koło na ziemi, to arena dyskobola. Stąd wyrzuca swoją radość do publiczności. Przyjrzyjcie się teraz uważnie. Wykonał kilka prędkich ruchów, pochylił się, dysk zniknął z jego dłoni i wylądował kawałek dalej na stadionie. – Rozumiecie? Siła nóg, korpusu i ręki musi działać razem, w jednym obrotowym ruchu w przód i w górę, tak, żeby włożyć w wyrzut jak najwięcej siły! Tak, tak, przynieś dysk, Fred. I Fred przyniósł. Fred usłuchał. Fred poszedł po dysk i przyniósł go z powrotem. – Nie mierzymy? – spytałem. – Najpierw trenujemy. Potem mierzymy. Fred oddał dysk ojcu. Ojciec przekazał go mnie. – Jak się dzisiaj miewa twoja rzucająca ręka, Barnum? – Trochę słabo – odparłem. Ojciec pomacał ją i się uśmiechnął. – Żadnych wymówek. Ładnie się zrosła. Możesz zaczynać, Barnum.

Chmury przesunęły się ponad Bislet, rzucając długie plamy cienia. Wkrótce znów zaświeciło słońce. Tu, na samym dnie stadionu, w olbrzymiej wannie wypełnionej suchym światłem, było goręcej niż gdzie indziej. Stałem nieruchomo. Upał zawisł nad piaskownicą do skoku w dal.

Wydało mi się, że widzę kogoś przy szatniach, jakiś ruch w upale, może to był tylko papierek po lodzie albo jakiś ptak.

Zająłem miejsce w kole. Próbowalem naśladować ojca. Nogi rozsunęte. Wyrzucająca ręka jak najdalej za plecami. Stopa przy brzegu koła. Ojciec bacznie mi się przyglądał.

Fred odszedł. Obróciłem się, puściłem dysk. To był nędzny rzut. Dysk, kołysząc się, przeleciał w powietrzu i wylądował tuż przed ojcem. Ojciec pokręcił głową. – Wyrzut – powiedział. Zapomniałeś o wyrzucie, Barnum, i dlatego dysk chwiał się jak ptak o jednym skrzydle. Twoja kolej, Fred. I Fred stanął w kole, ułożył dysk płasko w dłoni, pochylił się do przodu, miękko i szybko, nie zdążyłem zobaczyć, co on właściwie robi, a już wyrzucił dysk i odwrócił się do ojca, zanim dysk wylądował. – Śledź rzut oczami, Fred! Sam możesz się zorientować po ruchu dysku, jakie błędy popełniłeś. Fred leciutko się uśmiechnął. – A popełniłem jakieś błędy? Ojciec się zdziwił. – Nie jesteś jeszcze mistrzem świata, Fred. Uważam na przykład, że wciąż nie panujesz nad rozbiegiem. Ale poza tym było dobrze.

Pobiegiem po dysk. Ojciec znów wyjął miarkę i bloczek do notowania wyników. – Teraz już na poważnie – powiedział. No, ażeby rzut mógł zostać uznany, dysk musi z wielką dokładnością upaść w obrębie wyznaczonego sektora dziewięćdziesięciu stopni.

Czy to również jest jasne? Nie wiem, czy całkiem to zrozumiałem, ale kiwnąłem głową.

Było strasznie gorąco. Spływaliśmy potem. Musiałem wytrzeć ręce w suchą trawę. Ojciec ciężko dyszał przez krzywy nos i znów popatrzył na Freda. – Śledź dysk oczami. Rzut nie jest ukończony, dopóki dysk nie upadnie. Fred też kiwnął głową. Ojciec wyjął błyszczącą monetę. – Orzeł – powiedziałem. Fred uśmiechnął się. – Reszka. Ojciec wypstryknął koronę w powietrze, złapał ją, ścisnął palcami i powoli otworzył rękę. – Barnum zaczyna – powiedział. I pamiętajcie, że w tym sporcie wzrost nie gra żadnej roli. W kręgu rzutu dyskiem wszyscy jesteśmy sobie równi. Spojrzał na mnie. – Dobrze – szepnąłem.

Ojciec uśmiechnął się i po kolei poklepał nas po plecach. – Wobec tego, życzę wam powodzenia. Niech wygra najlepszy!

Potem ojciec wziął miarkę, ołówek i bloczek i poszedł do sektora. Tam stał i czekał.

Zasłonił oczy przed słońcem. Aż stamtąd słyszałem jego oddech przez nos. Był jak lokomotywa. Fred stał za mną milcząco. Moja ręka była blada, chuda i śliska. Rzuciłem.

Rzuciłem, ile tylko miałem sił. Dysk skręcił nisko w bok nad trawą i gwałtownie opadł.

Ojciec podbiegł do niego, wetknął patyk w ziemię i zmierzył odległość do kręgu. Potem powoli zanotował coś w bloczku. – Jedenaście i pół! – oznajmił. Całkiem nieźle. Twoja kolej, Fred!

Fred stoi w kręgu. Ojciec znów wychodzi na trawę. Staje na lewo od nas, prawie na samej bieżni. Słońce świeci mu prosto w twarz. Nas grzeje w plecy. – Jesteś gotów, Barnum? – szepcze Fred. Nie wiem, o co mu chodzi, a on nie czeka na odpowiedź. Fred patrzy na ojca. Ojciec macha do niego. Fred wygina się tak samo prędko i miękko, ramię wyprostowuje mu się jak stalowa lina, palec wypycha dysk, który leci dalej, wiruje w świetle, sunąc w stronę ojca, stojącego pod słońce w swoim żółtym dresie z miarką w ręku. Jest jeszcze ciszej. Fred śledzi dysk wzrokiem. Rzut się jeszcze nie skończył. Rzut się dopiero zaczął. Rzut trwa teraz swoją własną siłą, uwolniony, oderwany, a mimo to zdecydowany. Jego tor jest już dawno nakreślony w powietrzu, kierowany wyrzutnią palców Freda, może zaczął się już od człowieka, który wykonał ten dysk, albo od tego, który go wymyślił, opracował jego kształt i obliczył ciężar. Śledzę dysk oczami. Wciąż się wznosi. Dociera do szczytu i na moment spoczywa w świetle. Potem opada. Prędko.

Widzę to dopiero, gdy się już zdarzyło. Ojciec musi osłaniać oczy przed światłem. Może w tej gwałtownej sekundzie myśli, że słońce nie jest już zielone, słońce jest teraz czarne.

W tej samej chwili dysk go trafia. Trafia ojca prosto w głowę, w górną część czoła, ojciec puszcza miarkę i osuwa się w trawę. Gołębie zrywają się z dachu szatni. Fred się odwraca. Usta mu drżą. Chcę go wyminąć. On mnie zatrzymuje. – Zostań tutaj – szepcze.

To ja stoję teraz w kole, a Fred podchodzi do ojca. Widzę, że klęka przy nim i unosi mu głowę. Przyklada ucho do ust. Czy ojciec coś mówi? Czy rozmawia z Fredem? Nie mogę tego wytrzymać. Wyrwam się z koła. Biegnę do nich. Zatrzymuję się za Fredem, za zgiętymi plecami Freda. – Co on mówi? – szepczę. Fred puszcza głowę ojca. – Mówi?

Myślisz, że on coś mówi? Fred przesuwają się na bok i siada w trawie, oplata kolana ramionami i kołysze się w przód i w tył, może tak samo siedział również wtedy, gdy Stara umarła, może się kołysał. Widzę ojca. Ma zgnicioną czaszkę. Czoło przesunęło się na bok. Do nikogo nie jest podobny. Tkwiący w nim człowiek zniknął. Nie płaczę. – Co ty zrobiłeś, Fred? Fred nie odpowiada. Pytam jeszcze raz: – Co zrobiłeś, Fred? Co zrobiłeś?

A Fred podnosi wzrok na mnie. Widzę jego oczy, ten mrok, który w nich wzbiera. Ale nie to pamiętam, pamiętam, że nagle się uśmiechnął. – Może on jest tylko pozornie martwy? – mówi Fred.

Tego wieczoru stolik w Grandzie stał pusty. Nie było żadnego bankietu. Ojciec zamówił stolik pod oknem, żeby wszyscy mogli nas zobaczyć przy obiedzie z trzech dań, z większą liczbą noży i widelców, niż potrzebowaliśmy, i przy białym obrusie sięgającym niemal do podłogi, w czasie gdy reszta mieszkańców miasta szła ulicą Karla Johana, być może przechodziliby akurat tamtędy jacyś znajomi i nagle by się zatrzymali zdumieni, pełni podziwu i zazdrości, a my moglibyśmy podnieść niezliczone kieliszki, ustawione wokół złożonych talerzy, i przepić do głodnego nieszczęśnika po drugiej stronie, na próżno przyciskającego twarz do szyby. Ale nasz stolik stał pusty. Bankiet został odwołany.

Ojciec został odwołany. A kiedy wróciliśmy do domu ze Szpitala Ullevål, gdzie w piwnicy ojciec leżał na noszach i nie było potrzeby stawiania mu kieliszka wódki na piersi ani wbijania szpilki od kapelusza w serce, zadzwonił telefon. Matka szarpnęła słuchawkę, jak gdyby sądziła, że ktoś powie jej, że to wszystko jest tylko nieporozumieniem, nieprzyjemnym snem, spóźnionym primaaprilisowym żartem.

Zobaczyłem, że nagle się zaczerwieniła. – Ogromnie mi przykro – szepnęła. Niestety, pojawiły się przeszkody. Chwilę słuchała, przytrzymując słuchawkę obiema rękami.

Boletta, Fred i ja wpatrywaliśmy się w nią z zapartym tchem. W końcu powiedziała: – Tak, rozumiem. Ale mój mąż zmarł dzisiaj. I dopiero gdy powiedziała, że ojciec umarł, kiedy powiedziała to szefowi restauracji w Grandzie, zaczęła płakać. Upuściła słuchawkę, a my usłyszeliśmy, że szef restauracji na Karl Johan składa jej kondolencje i właśnie w tej samej chwili rozległ się też dzwonek do drzwi. Boletta odłożyła słuchawkę, a uprzejmy szef dalej składał kondolencje w telefonie. Zapadła nagle cisza. Matka objęła Freda i mnie, przygarnęła nas bliżej. Dzwonek do drzwi znów zadzwonił. Boletta wyszła do przedpokoju. To Boletta przejęła teraz dowodzenie. Zachowała spokój. Ręce jej się nie trzęsły. To przyszedł dozorca Bang. Nachylił się, zaglądając do środka, ukłonił. – To straszne – powiedział ściszym głosem. Co za straszny wypadek. Ale najgorsze chyba dla Freda. Dozorca Bang wolno odwrócił się do nas. Fred zrobił krok do tyłu, w cień matki. – Co pan ma na myśli? – dopytywała się Boletta. Bang spuścił wzrok. – Czy to nie Fred rzucał? – Coś panu powiem – oświadczyła Boletta głośno. To, co się stało, jest złe dla nas wszystkich. Ale najgorsze dla Arnolda Nilsena! Czego pan chce? Bang znów spuścił głowę. – Chciałbym przede wszystkim złożyć kondolencje. W imieniu całego domu.

Boletta kiwnęła głową. – Dziękuję. To miłe z pana strony, ale teraz proszę zostawić nas w spokoju. Dozorca Bang stał w drzwiach. – Straszny wypadek – powtórzył. – Tak, wiemy, panie Bang. Pociaszamy się tym, że umarł od razu. Boletta już chciała zamknąć drzwi, ale dozorca Bang był szybszy. Nagle stanął w przedpokoju, a w rękach miał nasz mały plecak. – Pomyślałem, że może zechcecie to zatrzymać – szepnął. – Co? – spytała Boletta zniecierpliwiona. – Jego rzeczy. Chyba zapomnieliście je zabrać stamtąd, z Bislet.

I dozorca Bang wyjął miarkę, ołówek, bloczek do notatek z zapisanym moim naiwnym rekordem, jednaście i pół metra, lecz teraz cierpliwość Boletty się skończyła: wyrwała mu plecak, ale okazał się za ciężki, upadł na podłogę z głośnym brzękiem, drżącym pod naszymi stopami. Dozorca Bang pochylił się i podniósł dysk. Boletta cofnęła się, nie chciała go dotykać, matka jęknęła, obejmując mnie jeszcze mocniej, a ja zrozumiałem, że Bang, ten, którego Stara zawsze nazywała pedlem, stał tam przez cały czas, schowany koło szatni, widział wszystko, ale co widział? Nie widział nic innego niż nieszczęśliwy wypadek, zbłąkany rzut, widział tylko mężczyznę w żółtym dresie, który ustawił się na niewłaściwej linii w geometrii przypadku. I Bang nie wyłonił się ze swojej kryjówki.

Schował się. Schował się i patrzył, ale teraz ten próżny podglądacz nie mógł już dłużej wytrzymać, nie potrafił trzymać się w cieniu. W równym stopniu przeraziło mnie to, co zdziwiło, że najmocniejsze, najdziksze i najczystsze ze wszystkich moich uczuć tamtego dnia było takie: nienawidziłem dozorca Banga. – Gdzie mam go położyć? – spytał. Boletta uniosła obie ręce, a Bang uchylił się, jak gdyby sądził, że chce go uderzyć. – Niech pan zatrzyma tę okropną rzecz! – zawołała. Bang pokręcił głową. – Ja nie rzucam dyskiem. Ja uprawiam trójskok. Zacząłem płakać. Fred kopał w ścianę. Boletta pchnęła Banga w stronę drzwi. – Widzi pan, co pan wywołał tymi swoimi dobrymi uczynkami! Proszę wyjść! Wtedy Fred podszedł nagle do dozorca Banga, zatrzymał się tuż przed nim, a Bang jeszcze bardziej się wykrzywił. Zezował spod oka. – Dziękuję – powiedział Fred. – Co?

Bang błądził wzrokiem. – Dziękuję – powtórzył Fred i wziął od niego dysk. Dozorca Bang uklonił się i kulejąc, zaczął tyłem schodzić ze schodów. Drzwi trzasnęły. Fred stał w przedpokoju z dyskiem w rękach. Matka puściła mnie i powiedziała coś dziwnego.

Miała zapuchnięte oczy i wskazując na Freda, powiedziała: – Zabierzcie to nieszczęście z domu! W tej samej chwili zrozumiała, że w jej słowach mieściło się zbyt wiele, zostały wyrzucone bez odpowiedniego pchnięcia, kołysząc się, poleciały przez powietrze i trafiły we Freda jak kopnięcie prądem, dostrzegłem drgnienie w jego karku i ból, jakiego nigdy dotychczas nie widziałem, ten ból rozszerzył się w uśmiech. Fred tylko patrzył na matkę, która przerażona ukryła twarz w dłoniach. Boletta natychmiast go objęła. – Przecież ona wcale nie to miała na myśli, chyba rozumiesz. Wzięła dysk, wyniosła go do kuchni, a my poszliśmy za nią, tam cisnęła go przez okno, na podwórze, gdzie z hukiem wylądował na żwirze wśród kwiatków Banga. Boletta odwróciła się do nas. – Nareszcie się go pozbyliśmy! Tego nieszczęścia! W innych mieszkaniach pozapalały się światła. Ukazały się twarze. Była już noc. Ojciec nie żył. Gdzie były jego rękawiczki? I żółty dres? Matka próbowała się uśmiechać, lecz bez powodzenia. Ujęła Freda za rękę. Fred drżał, jak gdyby nagle zrobiło mu się zimno albo był bliski płaczu. – Tak mi przykro – szepnęła. Fred powiedział, że mu przykro. Boletta znów delikatnie go objęła. Fred był ze szkła. Fred mógł się teraz rozbić na kawałeczki. Mógł się przewrócić na podłogę i słuć. Matka wahała się przez chwilę, a potem pogładziła go po włosach. Nigdy wcześniej tego nie widziałem. – Mój kochany synku. To nie była twoja wina. Boletta rozzłościła się, jeszcze zanim matka powiedziała to do końca. – Wina! – zawołała. – Niczyjej winy tu nie ma!

A jeśli ktoś jest winny, to nikt inny, tylko Bóg! – Cicho – szepnęła matka. Ale Boletta mówiła jeszcze głośniej. – Niech Bóg usłyszy, co mówię! Bo dzisiaj powinien się wstydzić! Matka nabrała powietrza i dalej gładziła Freda po włosach, ciągle jeszcze lepkich od płynu. – Ojciec zawsze wchodził w drogę, przecież wiesz. Nie potrafił ustać spokojnie. Był jak kółko. Boletta tupnęła nogą i powiedziała to samo: – Tak, Arnold Nilsen był jak kółko. Fred popatrzył na mnie, uśmiechnął się. – Wchodził w drogę – szepnąłem. Cały czas wchodził Fredowi w drogę. Matka westchnęła, musiała usiąść przy kuchennym stole. – Chcecie dzisiaj spać ze mną? – spytała. Pokręciłem głową i położyłem Fredowi rękę na ramieniu. – Będę się opiekował Fredem – powiedziałem.

Odcinam wszystko, ścieram, zapominam i zostawiam: Freda, który wstaje. Ptaki, które są niczym szary rój ponad szatniami. Ojca, który leży w rzadkiej trawie na Bislet. Freda, który idzie wolno ku bramie, nie odwracając się, a ja zostaję, sam, bo ojca tam nie ma, ojciec odszedł. Jego zgniecioną czaszkę. Dysk, który jeszcze się nie zatrzymał. Krew na metalowej krawędzi. Krzyczę. Nikt mnie nie słyszy. Potem syreny, karetkę, nosze. Freda, który siedzi na trybunie. Policjanta, który rozmawia z nami i zapisuje długopisem w czarnym notesie, prosi, żebyśmy mówili wolno. Mówimy, że ojciec wszedł w drogę.

Ojciec wszedł w drogę i dysk go uderzył.

Nie spałem. Myślałem o jutrze, o tym, że kiedy jutro przyjdę do szkoły, wszyscy już będą o tym wiedzieć, o wypadku, może napiszą o nim w gazetach, ze zdjęciem stadionu Bislet, może komuś uda się zdobyć zdjęcia ojca, Freda i mnie, a nagłówek wypełni prawie całą pierwszą stronę: *Śmiercionośny dysk*. Wszyscy będą się nade mną użalać, żaden nauczyciel nie wyrwie mnie do odpowiedzi, nikt mi nie będzie dokuczał, przeciwnie, jutro wszyscy będą mili i pomocni, będą cicho mówić w mojej obecności, ponieważ straciłem ojca w tragicznym, okrutnym wypadku i byłem świadkiem jego śmierci, z bliska. – Pierdolony Bóg – powiedziałem nagle głośno. Musiałem. Słowa wyszły mi z ust same, nie mogłem ich powstrzymać, tego rozwścieżonego alfabetu. – Chujowy dysk! – zawołałem.

Rozkołysana pizda! Zacisnąłem zęby. W ustach miałem krew. Fred leżał całkiem cicho.

Ale nie spał. Słyszałem też matkę i Bolettę. Już zaczęły sprzątać. One również nie mogły zasnąć. Sprzątały w rzeczach ojca, ale czy porządkując jego rzeczy tej samej nocy, kiedy on leżał martwy w chłodni w piwnicy Szpitala Ullevål, robiły to z miłości, czy z gniewu? – Słyszysz? – spytał cicho Fred. – Tak. Mama i Boletta sprzątają. – Nie, nie o to chodzi. Posłuchaj uważnie, Barnum. Wsłuchiwałem się tak, jak potrafiłem, ale nic innego nie usłyszałem. W ustach miałem ciepłą lepkość. – Ojciec nie oddycha – szepnął Fred. On już nie oddycha przez nos. Teraz i ja to usłyszałem. Ciężki oddech ojca zniknął. Fred usiadł. Potem wstał, położył się w moim łóżku i objął mnie. Tak leżeliśmy, nic nie mówiąc. Wkrótce matka i Boletta też się uspokoiły. Może na moment zasnąłem, nie wiem.

Fred wciąż mnie obejmował. – Jak myślisz, jaką karę dostaniemy? – spytał szeptem. Nie odpowiedziałem. Fred już się nie odzywał. Znów byłem bliski płaczu. Oczy miałem tak samo gorące jak usta. Jaką karę dostaniemy? Po pewnym czasie wstałem. Fred mnie puścił. Poszedłem do przedpokoju. Stały tam rzeczy ojca. Miarka leżała na sekretarzyku, obok owalnego zegara, w którym nie było ani monet, ani czasu. Pamiętam, że Peder wiele lat po śmierci swego ojca w garażu na przednim siedzeniu vauxhalla, do której Oscar Miil musiał się długo przygotowywać, bo rachunki były zapłacone, umowy wypowiedziane, bielizna uprana, powiedział: Nigdy mu nie wybaczę. Tak powiedział Peder. Czy Arnold Nilsen, Kółko, był gotów? Nie, nie mógł być, bo kto spodziewa się śmierci w niedzielne przedpołudnie na stadione Bislet podczas towarzyskich zawodów? Nikt. Jego życie nie było jeszcze zakończone. Zajrzałem do sypialni. Matka i Boletta zasnęły w ubraniu.

Ledwie zdążyły zdjąć buty. Garnitury ojca wisały na krześle, cały stos garniturów w rozmaitych kolorach, czarny, szary, niebieski, nawet zielony, a na samej górze biały garnitur z lnu, na lakierowanym wieszaku od Fernera Jacobsena, może zamierzał go włożyć właśnie tego wieczoru na bankiet w Grandzie, chociaż z pewnością zrobił się dla niego za ciasny. Uznałem, że może ja będę mógł go włożyć na pogrzeb. Ostrożnie zdjąłem biały wymięty garnitur z wieszaka. Chciałem przymierzyć marynarkę i właśnie wtedy znalazłem sporządzoną przez niego listę, spis śmiechu, na kartce wyrwanej z Biblii. Leżała w kieszeni. W pierwszej chwili zobaczyłem tylko fragment z Pisma, z Apokalipsy Świętego Jana: *Ja świadczę każdemu, kto słucha słów proroctwa tej księgi: jeśliby ktoś do nich cokolwiek dołożył, Bóg mu dołoży plag zapisanych w tej księdze. A jeśliby ktoś odjął co ze słów księgi tego proroctwa, to Bóg odejmie jego dział w drzewie życia i w Mieście Świętym – które są opisane w tej księdze.*³ A na odwrocie ojciec sporządził swoją dziwną listę, na której dopisał krzywymi dziecinnymi literami: *Czy istnieje miłosierny śmiech?* Tej nocy mogłem, być może, dodać: śmiech ojca.

3 Apokalipsa Św. Jana, 22, 18–19, Biblia Tysiąclecia, Poznań 1965.

(pogrzeb)

Na pogrzeb ojca przyszło niewiele osób. Była sobota i padał deszcz. Byliśmy my, w pierwszej ławce. Była Esther z kiosku. Był dozorca Bang, który znalazł sobie wolne miejsce na samym końcu pod kolumnami razem z Arnesenem i jego żoną, panią Arnesen, maniakalną pianistką, ubraną w olbrzymie futro, chociaż był czerwiec.

Nikogo więcej właściwie nie było, kiedy rozległy się dzwony, oprócz kilku prastarych nieznajomych pań, przychodzących tu zwykle wprawiać się i szykować na chwilę, w której nadejdzie ich kolej. Nie pojawił się nikt z Północy. Większość tamtejszych już nie żyła.

Trumna ojca była czarna. Siedziałem między Fredem a Bolettą. Matka trzymała Freda za rękę. Tego dnia mocno padało. Patrzyłem w dół. Wokół moich butów, błyszczących pantofli do tańca, utworzyła się ciemna kałuża. Po prawej podeszwie spelzła na podłogę dżdżownica, sunąc ku kwiatom od przyjaciół z kamienicy, wiała się na wstążce oplatającej łądygi, nie mogłem oderwać od niej oczu, od dżdżownicy w Zachodnim Krematorium, może się zaśmiałem, bo Boletta szturchnęła mnie w bok. Pastor chciał się z nami przywitać. Był to zupełnie nowy pastor, sprawiał wrażenie równie zdenerwowanego jak my, ponieważ ojciec w swoim oszczędnym testamencie jasno dał do zrozumienia na piśmie, że nie życzy sobie, aby pastor z kościoła na Majorstuen, który odmówił ochrzcenia zarówno mnie, jak i Freda, w jakichkolwiek okolicznościach miał do czynienia z rodziną Nilsenów, bez względu na to, czy chodzi o ślub, komunię, chrzest, konfirmację czy pogrzeb. Może ojciec mimo wszystko był przygotowany, przygotowany na śmierć, skoro napisał testament, ostatnią listę życzeń, swoje świadectwo: testament i śmiech. Pastor puścił moją rękę i pogładził mnie po policzku. Palce miał suche. Potem wszedł na kazalnicę. Nie widziałem już dżdżownicy. Pastor mówił o ojcu. Rozglądałem się za tą dżdżownicą. Zniknęła. A kiedy się odwróciłem, bo pomyślałem, że może popęzła środkiem, zobaczyłem, że Peder i Vivian siadają cicho w ostatniej ławce. Peder lekko unióś rękę i wolno pokręcił głową. Vivian też pomachała i wydaje mi się, że się zaczerwieniła. Bardzo się ucieszyłem. Moi przyjaciele przyszli. Ojciec umarł, a moi przyjaciele przyszli na pogrzeb i nic nie szkodziło, że się spóźnili. Miałem ochotę do nich pobiec. Boletta mnie przytrzymała. Pastor powiedział, że ojciec był szczodrym człowiekiem. Z wysp na samej północy przyniósł szersze horyzonty. Matka płakała.

Zamknąłem oczy. Fred się zgarbił. Boletta wyjęła chusteczkę. Pastor mówił coś dziwnego.

Opowiadał o kormoranach, o czarnych ptakach z wybrzeża, które załatwiają się na skały i wyspy, by odnaleźć powrotną drogę do domu, o białych drogowskazach z odchodów.

Otworzyłem oczy. Pastor się uśmiechnął, ale zaraz spoważniał, zwrócił się ku trumnie z ciałem ojca. Tego, który stał kiedyś na dnie morza. Był pozornie martwy. Leżał pod namiotem cyrkowym. Teraz nie było już drogi odwrotu. Bałem się chwili, kiedy będziemy śpiewać. Pastor powiedział już swoje. Organista zaczął grać. Przerzuciłem strony w niedużym zeszytiku z nazwiskiem ojca wypisanym ozdobnymi literami, z datami i psalmem, który mieliśmy śpiewać. *Bóg Bogiem będzie*. Odkaszlnęliśmy. Czekaliśmy.

Szuranie butów między ławkami. Krople deszczu, które wnieśliśmy do środka. Parasole osuwające się na podłogę. Kłopotliwy smutek. Cienkie głosy. *Bóg Bogiem będzie, choć wymrze*. Pastor usiłował nas zagrzewać, lecz jego głos również nie niósł się daleko, był suchy i płaski jak papier. *Bóg Bogiem będzie, choć wymrze*. Marny był z nas chór. Wydało mi się, że słyszę, jak Peder nabiera tchu, a nie zaliczał się do słowików. Znów byłem bliski śmiechu. Lecz nagle jakiś inny głos nas zagłuszył, ciemny i potężny, obcy głos, który wypełnił całą salę, pociągnął psalm głośno i dumnie. *Bóg Bogiem będzie, choć wymrze ludzkie plemię*. Ja się odwróciłem, matka i Boletta się odwróciły, nawet Fred musiał spojrzeć, pastor również w milczeniu wpatrywał się w drzwi. A tam, między cieniem a światłem, między witrażami a deszczem, stała stara, chuda postać, ubrana w długi czarny płaszcz. Człowiek ten trzymał kapelusz w rękach, miał siwe włosy i równie siwe wąsy, opadające na usta i zasłaniające je, wyglądało więc tak, jakby psalm wydobywał się z niego całego, z całego jego ciała, jakby ten człowiek podnosił psalm na rękach. *Bóg Bogiem będzie, choć zginą wszystkie ziemie*. Pozwoliliśmy mu zaśpiewać do końca, solo, wszystkie zwrotki, był jak cały chór męski w jednej osobie. Później zapadła cisza, jakiej nigdy nie słyszałem. Tylko deszcz bębniący o dach. Tylko leciutkie trzeszczenie kwiatów i pyłek opadający z płatków. Tylko ostatnie westchnienia organów. Następne, co zapamiętałem, kiedy czarna trumna ojca zapadła się pod podłogę na dobre, jest to, że staliśmy na schodach przed krematorium. Ustawiała się nieduża kolejka do składania kondolencji, tego ciężkiego, obcego słowa, które tak się przydaje, kiedy nie wiadomo, co powiedzieć, moje kondolencje, można to wymamrotać, wyszeptać, wyszlochać, moje kondolencje, jak magiczna formuła, uprzejmy dialekt żałoby, kiedy nie możemy się posłużyć innym językiem niż hałas albo milczenie, bo zażenowanie zawsze przerasta żal, moje kondolencje, powiedział Arnesen, moje kondolencje, powiedział znów dozorca Bang, moje kondolencje,

szepeńła Esther z kiosku, moje kondolencje, powiedziały stare niezajome kobiety, które płakały najwięcej ze wszystkich. Fred podszedł do płotu od strony torów i zapalił papierosa. Przestało padać. Fred rzucił zapałkę na ziemię, nie odrywał od nas wzroku. W kolejce wypadło teraz na Pедера i Vivian, witali się z matką niezgrabnie, jak w szkole tańca pani Svae, w ciemnych, obcych ubraniach, i zaraz odwrócili się do mnie i mnie także ujęli za rękę. – Moje kondolencje – powiedział Peder. – Dziękuję, nawzajem – odparłem. – Moje kondolencje – powiedziała Vivian. – Bardzo chętnie. Ale tym, na którego wszyscy czekaliśmy, był chudy wysoki mężczyzna z wąsami, śpiewak, którego nie znał nikt. Podszedł, uklonił się nisko, potem podniósł głowę i popatrzył wprost na matkę. – Śmierci nikt nie oszuka, pani Nilsen. Śmierć to wielki dyrektor. Dziwne, ale jego głos brzmiał teraz inaczej, nie przypominał tamtego, który śpiewał, był cienki i załamywał się na co drugim słowie, to był głos, który poruszał się o kulach. Ale spojrzenie było równie mocne, oczy jak przyśrubowane do chudej twarzy, a wąsy tkwiły pod nosem jak żywopłot. Podał też rękę Boletcie. – Używałem wielu imion, ale Arnold Nilsen znał mnie najlepiej jako Mundusa. Najpierw stary pastor śpiewał ten psalm, żeby zbudzić ojca z martwych, później ojciec sam go śpiewał, kiedy płynął przez Moskenesstrømmen, a teraz śpiewał go Mundus, dyrektor cyrku, na pogrzebie ojca, umarłego już naprawdę. *Bóg Bogiem będzie.* W tej właśnie chwili usłyszeliśmy potworny huk na parkingu, a zanim zorientowałem się, co to takiego, Peder zasłonił twarz rękami i sapnął jak pies. To był oczywiście jego ojciec. Wysiadł z dymiącego vauxhalla i ruszył biegiem w naszą stronę z bukietem pod pachą, ale powoli zwalniał, aż zatrzymał się przed matką, łapiąc oddech. – Ogromnie przepraszam – powiedział. Ten żaloszny samochód popsuł się na Solli plass i nie zdążyłem pojechać po Pедера i Vivian. Peder zamknął oczy i spojrzał w niebo. Vivian umierała ze śmiechu. Fred podszedł bliżej. Ojciec Pедера podał kwiaty matce i nagle zmienił ton na uroczysty. –

Jestem ojcem Pedera Miila.

Mąż pani wywarł na mnie wielkie wrażenie. Matka popatrzyła na niego zdumiona.

I uśmiechnęła się. Uśmiechnęła się do wszystkich, a ja uświadomiłem sobie, że nie pamiętam jej takiej – muszę użyć tego słowa – szczęśliwej, szczęśliwej w takiej chwili, na stopniach Zachodniego Krematorium, musiałem szukać w jej twarzy, żeby mieć pewność, że dobrze widzę, że ten uśmiech nie jest jedynie grymasem, maską, ale nie pomyliłem się: to była jej prawdziwa twarz i nie bardzo wiem dlaczego, ale zawstydziłem się w jej imieniu. Fred podszedł nagle do Vivian. – Masz ogień? – spytał. Vivian prędko pokręciła głową i się odsunęła. Właśnie to powinienem zauważyć, na to powinienem skierować spojrzenie, całą swoją uwagę, na ten gest, na Vivian, która kręci głową i się odsuwa, i na Freda, który robi krok za mną, a w dwóch palcach trzyma dżdżownicę, potem zatrzymuje się i odchodzi w przeciwną stronę, oddala się, mija stację, przechodzi przez tory tramwajowe. Zamiast tego patrzyłem na matkę. Stała między ojcem Pedera a człowiekiem, który przedstawił się jako Mundus. Matka podniosła rękę i zabrała głos: – Byłaby to dla mnie ogromna radość – powiedziała głośno – gdybyście państwo zechcieli pójść z nami do Grandu, żeby uczcić pamięć mego zmarłego męża.

Pojechaliśmy na Karl Johan dwiema taksówkami, bo ojciec Pedera zostawił vauxhalla, nie chciał ryzykować, że zepsuje się jeszcze raz. Ojciec Pedera jest najprawdopodobniej jedyną osobą, która musiała tu zapłacić mandat i której samochód ściągnięto z parkingu przy Zachodnim Krematorium, jakby zmarły przyjechał na własny pogrzeb i zostawił samochód w tym miejscu na wieczny czas. I wreszcie byliśmy tam, w Grandzie, dostaliśmy najdłuższy stolik pod oknem, a ci, którzy przechodzili na zewnątrz tego popołudnia, w tę pierwszą sobotę czerwca, kiedy chmury się rozstąpiły i słońce świeciło na ciemny mokry asfalt, mogli sądzić, że coś świętujemy, może jakąś okrągłą rocznicę, jubileusz, że w Grandzie jest zabawa, a mnie ogarnęła ogromna samotność i rozpacz, gdy siedziałem między Pederem a Vivian, bo nie wiemy o sobie nic więcej ponad to, co widzimy, stoimy z lupą pośrodku Drogi Mlecznej, a to, co widzimy, też nie jest prawdą, wiemy mało i nic, jesteśmy rozdzieleni, każdy z osobna, stoimy na zewnątrz, jesteśmy tylko niecierpliwymi obserwatorami, a o sobie wiemy jeszcze mniej. Kelnerzy sunęli rzędem z napoleonkami, kawą i likierami, a uprzejmy szef restauracji kręcił się wokół nas, Boletta dostała zimne piwo w butelkach, dozorca Bang jadł dwoma widelcami, Arnesen palił cygaro, Mundus wycierał wąsy całą serwetką i wlał likier do kawy, ojciec Pedera czyścił okulary, Esther z kiosku wypła jeszcze jeden kieliszek likieru, Freda nie było, a matka, matka była podniecona, wyprowadzona z równowagi, na skraju załamania nerwowego albo głębokiej radości, nagle ją zrozumiałem, to mnie uspokoiło, bo mimo wszystko nie byliśmy całkiem samotni, wykorzyststała tę jedyną szansę zorganizowania uroczystości dla Arnolda Nilsena, ostatniej uroczystości, może najwspanialszej, a ona była jej centralnym punktem, nikt jej tej pozycji nie odbierał ani nie zakłócał, stypa zmieniała się w bankiet przy stoliku pod oknem w Grandzie. Peder pochylił się nade mną. – Gdzie się podział Fred? Ojciec go uciszył, bo mężczyzna, który przedstawił się jako Mundus, wstał i zamierzał coś powiedzieć, wygłosić mowę, cała

restauracja jakby zamilkła, chcąc wysłuchać słów tego chudego dziwnego człowieka. Przemówił: – Dziękuję za gościnność, jaką mi tu dzisiaj okazano. Mam nadzieję, że Arnold Nilsen czuł się podobnie, kiedy przyszedł do mojego cyrku tyle lat pańskich temu. Zjawił się u mnie jak aniołek. Matka znów zaczęła płakać, a Mundus delikatnie położył jej rękę na ramieniu. – Przywożę pozdrowienia od wszystkich z cyrku, od najwyższego człowieka świata, od Czekoladowej Dziewczyny, od garderobianych, klaunów i muzyków, od nas wszystkich przywożę pozdrowienia dla Arnolda Nilsena, chociaż większość już nie żyje, mój cyrk zamknięto i pozostał tylko wspomnieniem, śladem w trocinach, rozwiewanych na cztery wiatry. Nagle sam roześmiał się z własnych słów. Ojciec o jego śmiechu napisał, że jest czarny. Wsłuchałem się. Ojciec miał rację, ten śmiech był czarny, lśnił jak czarny marmur. Mundus nagle zwrócił się do mnie. – Ty jesteś podobny do ojca – powiedział. Spuściłem głowę. Nie chciałem być podobny do ojca. Nie chciałem być podobny do nikogo, a najmniej do ojca. – Jak ci na imię? Znów podniosłem głowę. – Barnum – szepnąłem. Mundus długo się uśmiechał. – Barnum, tak. Jakież inne imię mógłbyś mieć! Musiał otrzeć łzy z obojga oczu, a kiedy już to zrobił, przeniósł mokre spojrzenie na Pедера. – A ty jesteś bratem Barnuma? Peder mało nie wybuchnął śmiechem, ale zdołał się powstrzymać. – Nie. Ja jestem po prostu Peder. Peder Miil. Kolega Barnuma. Mundus znów popatrzył na matkę. – Czy Arnold Nilsen nie miał dwóch synów? – spytał. Wokół stołu zapadła kompletna cisza. W całej restauracji nie rozlegał się żaden odgłos. Szef restauracji zamarł na środku sali, z rachunkiem w rękę, kelnerzy zatrzymali się ze swoimi tacami i kartami. I wyglądało na to, że matce dopiero w tej chwili zabrakło Freda, twarz jej jakby opadła, niczym jedwab i liście, popatrzyła na mnie. – Gdzie jest Fred? – Włóczy się – odszepnąłem. Mundus nie siadał. Ogarnął nas niepokój, którego nie potrafiliśmy ukryć. Mundus przerwał ciszę. – Arnold Nilsen zwykł nosić mój bagaż,

moją najcenniejszą walizkę. Prędko straciłem go z oczu. Ale nigdy go nie zapomniałem. Mundus uklonił się i odszedł od stołu. W pierwszej chwili sądziliśmy, że poszedł tylko do toalety albo po coś do szatni. Wkrótce jednak zobaczyliśmy go na Karl Johan, jego, człowieka, który przedstawił się jako Mundus, nie odwrócił się, przeszedł na drugą stronę ulicy i tam zniknął, zniknął nam z oczu. Żadne z nas nigdy więcej już o nim nie słyszało, a później niekiedy myśleliśmy, że jedynie nam się przyśnił, że nie istnieje, że był tylko kimś, o kim sobie opowiadaliśmy. – Rany – szepnął Peder. Szef restauracji podszedł do naszego stolika z rachunkiem. Magia zostaje przerwana. To pogrzeb, nie bankiet. Jesteśmy w niewłaściwym miejscu. Siedzimy na wystawie z naszą nieporadną żalobą. Ktoś stoi na zewnątrz na chodniku, pokazuje nas i się śmieje. Matka wstaje, półprzytomna i blada, idziemy za nią. Odchodzimy od stolika.

W szatni matka zwraca się do ojca Pedera i pyta: – Pan znał mojego męża? Ojciec Pedera chrząka. – Miałem okazję spotkać go tylko raz. Jak już mówiłem, wywarł na mnie wielkie wrażenie. Matka nie kryje zdumienia. – Gdzie pan go spotkał? – Przyszedł do mojego sklepu. Chciał sprzedać niezwykły list z Grenlandii. Boletta ciężko wzdycha, przypomina to raczej jęk, musi oprzeć się o ladę, szatniarz przez moment sądzi, że zemdleje, więc ją obejmuje, ale Boletta przegania go parasolem. – Ma pan jeszcze ten list? – pyta łagodnie.

Ojciec Pedera kręci głową. – Prawie natychmiast został sprzedany za granicę. Takie rzeczy są bardzo poszukiwane. Matka się uśmiecha. Próbuje się uśmiechnąć. – To miło słyszeć – mówi. Dziękuję. Dziękuję wam wszystkim.

Wyszliśmy. Wróciliśmy piechotą do domu. Matka spała przez dwie doby. Boletta siedziała na Biegunie Północnym i chłodziła swoją wściekłość zimnym piwem. Ja leżałem w naszym pokoju i czekałem na Freda. I myślałem o tym dziwnym szeregu wydarzeń, które doprowadziły do tego, że teraz tu leżałem i myślałem o tym wszystkim. Najpierw zacząłem chodzić do szkoły tańca, tam poznałem Pedera i Vivian i zostałem wyrzucony na pierwszej lekcji, ale nie miałem odwagi przyznać się matce. Potem ojciec w tajemnicy sprzedał list z grenlandzkim znaczkiem ojcu Pedera i umarł od uderzenia dyskiem w głowę. A dzisiaj został pochowany i odkryty, to on ukraść list, nasz list, i go sprzedał. Jedno pociąga za sobą drugie i nie da się powiedzieć, gdzie się zaczyna to jedno, które dogania to drugie, cień, który się rozprzestrzenia, powoli, lecz wyraźnie, kałuża wokół butów w krematorium zmienia się w morze, w lustro, nad którym można się pochylić, kiedy się zawiązuje sznurowadła i widzi pełznącą dżdżownicę. To była wina ojca. Tak rozmyślałem, kiedy otwarły się drzwi. Boletta weszła po cichu. Siedziała na Biegunie Północnym i myślała o nas, nasze myśli krążyły tymi samymi torami, a teraz przysiadła na brzegu łóżka.

Wsluchiwała się w mój oddech. – Przepraszam was – szepnęła. Za to, że was posądziłam o zabranie listu. – Nic nie szkodzi – odszepnąłem. Położyła mi dłoń na czole, jakby sądziła, że mam gorączkę. – Jak się czujesz? – spytała nagle. Roześmiałem się. To pytanie zabrzmiało komicznie. Boletta też się śmiała. – Moje kondolencje – powiedziałem. Boletta śmiała się jeszcze bardziej, ale nagle ucichła jakby ktoś nożyczkami uciął jej śmiech. – Pytam naprawdę, Barnum – szepnęła w końcu. Jak się czujesz? Musiałem się zastanowić.

Musiałem przeszukać siebie, bo nie wiedziałem, jak się czuję, z całej siły próbowałem znaleźć w sobie coś, co by było szczere. – Jestem zły – szepnąłem. – Ja jestem tak samo zła jak ty, Barnum. – I boję się, Boletto. – Wszyscy się boimy, Barnum. – Ale też mi ulżyło – powiedziałem najciszej, jak mogłem. – Ulgę też wolno odczuwać – powiedziała Boletta, wstając. Byłem bliski płaczu. Wcisnąłem twarz w poduszkę. – Wszystko czuję jednocześnie – zaszlochałem. Boletta usiadła z powrotem. – Wobec tego masz szczęście, Barnum. Możesz wybierać pomiędzy tyloma uczuciami! Siedziała i drapała mnie po plecach. Wiedziała, że lubię to najbardziej na świecie, chociaż od dawna byłem już za duży na takie rzeczy. – Chcesz dzisiaj spać ze mną? – spytała Boletta. – Nie, dziękuję – szepnąłem. Boletta po cichutku podeszła do drzwi. I po cichutku wyszła. Potem przyszedł Fred. Zamknął drzwi bezszelestnie i położył się w ubraniu, bez słowa. Już zaczęło świtać.

Zastanawiałem się, czy mimo wszystko zasnąłem i tylko przyśniło mi się wszystko to, co pomyślałem i usłyszałem, ale w każdym razie ktoś drapał mnie po plecach. – To nie ty wzięłeś list – szepnąłem. Fred oddychał ciężko i ledwie się poruszył. – Dobrze, że to mówisz, Barnum. Bo przez chwilę wydawało mi się, że to ja. Dłonie miał niespokojne. – Czyś ty całkiem zdurniał tylko dlatego, że twój ojciec umarł, czy co? – To on – wyznałem.

To ojciec. To on sprzedał list ojcu Pedera. Fred uśmiechnął się. – Przynieś biblię – powiedział. – Biblię? – Nie bądź głupi, Barnum. Wiesz, co mam na myśli. Wstałem i wyciągnąłem z półki na książki *Leksykon medyczny dla norweskich gospodarstw domowych*. Stał między atlasem a *Kto? Co? Gdzie?* – Otwórz na pogrzebie – polecił Fred. – Tak cię proszę – zaprotestowałem. – Rób, jak ci mówię, Barnum. Zrobiłem, co kazał. Usiadłem na łóżku i otworzyłem na P. *Pogrzeb* był za *Poczęciem*. Zaczytałem się o *Poczęciu*, tylko po to, żeby czas płynął. Fred uniósł rękę. – Zaraz się zirytuję, Barnum.

Przesunąłem wzrok na dół strony. *Pogrzeb*. – Znalazłem – szepnąłem. Fred westchnął. – Dobrze. A teraz czytaj głośno i powoli. Żebyśmy mogli zasnąć. Prawda? Przeczytałem:

Pogrzeb. Złożenie zwłok do wykopanego w ziemi dołu, w którym nastąpi ich rozkład i staną się na powrót ziemią. Rozkład następuje pod wpływem osobliwego działania bakterii, znajdujących się w ziemi otaczającej zwłoki. Jeśli ziemia jest porowata, zawiera piasek, trwa to kilka lat, w wypadku gliny trwa to 20 lat albo dłużej. Jeśli bakteryjne zdolności ziemi są pod tym względem zanadto eksploatowane, zwłoki nie ulegają rozkładowi, lecz zmieniają się w tłustawą masę, zwaną trupim woskiem. Więcej nie czytałem. Następnym słowem było *Pojmowanie, rozumienie, zob. Mózg*. Położyłem się. Fred zrzucił buty. Wkrótce miało się zrobić jasno. – Kim była ta dziewczyna? – spytał nagle Fred. – Jaka dziewczyna? – Jaka? A dużo było dziewczyn na pogrzebie Arnolda Nilsena, Barnum? Zamknąłem oczy. – Vivian – szepnąłem.

Dwa miesiące później do matki przyszła koperta, która pogrzyżła ją w jeszcze większym mroku. Wysłano ją z Cochs Hospits. W środku był rachunek. Był to najdłuższy rachunek, jaki kiedykolwiek widziano. Miał czternaście lat. Matka czytała powoli.

Przesuwała palcem po kartce i czoło jej bladeło. Potem podała list Boletcie. – Czternaście lat! – zawołała Boletta. Arnold Nilsen miał pokój w Cochs Hospits przez czternaście lat! – Zachował go po naszym ślubie – szepnęła matka, jakby dopiero teraz to zrozumiała.

Boże. – Ten łotr zachował go nawet po śmierci! – powiedziała Boletta podniesionym głosem. Wstała, wkurzona. – Idziemy tam natychmiast! Może tam schował pieniądze za list! Pociągnęła matkę z krzesła i nagle odwróciły się do mnie. Stałem przy drzwiach, widziałem i słyszałem wszystko. – Mogę iść z wami? – spytałem. – Nie! – warknęła matka. Ale Boletta się uśmiechnęła. – Owszem – powiedziała. Nie zaszkodzi, jeśli zobaczysz, jakim człowiekiem był twój ojciec.

I może tak właśnie myślały, sądziły, że dowiedzą się, kim właściwie był Arnold Nilsen, ten, który kiedyś nadjechał Kirkeveien buickiem roadmasterem, w jasnych skórzanych rękawiczkach i z włosami uczesanymi w czarny lok na wielkiej głowie. Czy to w takich miejscach szukamy się nawzajem, w opuszczonych pokojach, w niezapłaconych rachunkach? Czy w taki sposób pragniemy rzucić światło na nasze mroczne czyny, po to by w końcu być może zobaczyć w końcu prawdziwą twarz?

W każdym razie po wizycie Boletty w banku na Majorstuen, skąd podjęła resztki swojej emerytury z Telegrafu, poszliśmy do Cochs Hospits na dole Bogstadveien. Gdy tam dotarliśmy, matka straciła odwagę i chciała wrócić do domu, do Freda. Ale Boletta już się zdecydowała. Natychmiast otworzyła drzwi i wepchnęła matkę do środka, potem musieliśmy wejść po stromych schodach do tego, co nazywało się recepcją. Stała tam za ladą kobieta o wielkich powiekach. Jedną z nich uniosła na nasz widok. – Czym mogę służyć? – spytała. Boletta położyła ręce na ladzie. – Zaraz wszystko powiemy drogiej pani z pensjonatu. Szukamy pokoju pana Arnolda Nilsena. – Wyprowadził się – odparła kobieta. – Rzeczywiście, tak też można powiedzieć. Ale pokoju ze sobą nie zabrał? – Wyprowadził się – powtórzyła kobieta. – On umarł – oświadczyła Boletta. Matka też pochylała się nad ladą. Twarz jej się trzęsła. – Często tu nocował? – spytała szeptem.

Kobieta zrobiła znużoną minę i wzruszyła ramionami. Matka mówiła jeszcze ciszej. – Mieszkał tu z kimś? Po schodach zeszli jacyś goście, para, żadne nie było całkiem trzeźwe.

Matka zakryła mi oczy dłonią. Słyszałem, jak ich śmiech niknie w odgłosach miasta. – Proszę nam wreszcie pokazać ten pokój! – zażądała Boletta. Kobieta odzyskała głos. – A to dlaczego? Wtedy Boletta uderzyła wypchaną kopertą o ladę, aż kobieta za nią się wzdrygnęła. – Tu jest zapłata za 4982 doby hotelowe. Nasza rodzina lubi regulować rachunki! Proszę dać mi klucz! I kobieta zdjęła klucz z numerem 502 z tablicy i oddała nam go. Weszliśmy trzy piętra w górę. Pokój numer 502 znajdował się na końcu korytarza. – Zaczekaj tutaj – powiedziała matka. Razem z Bolettą ruszyła korytarzem, mijając wszystkie pozostałe pokoje. Ale ja przemknąłem za nimi. Chciałem wszystko zobaczyć i usłyszeć. Boletta podała klucz matce, lecz ona nie chciała go nawet wziąć do ręki, więc Boletta wsunęła go do dziurki, odetchnęła głębiej, przekręciła i wolno pchnęła drzwi.

Czego się spodziewały? Grobowca pełnego skarbów? Przyłapania Arnolda Nilsena na gorącym uczynku post mortem? Pokój był sprzątnięty i nagi. Łóżko zaścielone. Zasłony zaciągnięte. Ciemność stała nieruchomo. Czuć było pleśnią i długimi wakacjami. Pierwsza do środka weszła Boletta. Matka za nią. Ja zostałem w progu pokoju ojca. Matka nie bardzo wiedziała, co robić. Boletta owszem. Wyciągnęła szufladę nocnego stolika.

Znalazła w niej jedynie zniszczoną Biblię. Szybko przerzuciła jej strony, jak gdyby spodziewała się, że coś jest schowane w środku, między okładkami. – Nawet z Biblii wrywał strony – westchnęła. Matka popatrzyła na mnie, ale nic nie powiedziała. Za to szarpnięciem otworzyła drzwi szafy, pustej, tylko rząddek wieszaków zagrzecotał na metalowej rurze, a kurz opadał i się wznosił. Stałem w progu i myślałem o lasach, kiedy wchodzimy do lasu, myślałem, musimy odsuwać gałęzie, pajęczyny i pokrzywy, żeby coś zobaczyć. Zamknąłem oczy. – Znalazłaś coś? – spytała Boletta. Otworzyłem oczy. Matka kręciła głową. Boletta uklękła i zaczęła pełznąć na czworakach, rozglądając się. Potem uniosła materac. Wyjęła nawet nożyczki do paznokci, rozpruła cały materac, wsunęła rękę do środka i obmacała. Nagle matka zaczęła się śmiać. Śmiała się głośno i niepohamowanie, Boletta odwróciła się do niej rozżłoszczona. – Nie ma powodów do wesołości! – Naprawdę myślisz, że Arnold chował pieniądze w materacu? – spytała matka. – Niczego nie można być pewnym – odparła Boletta, napinając kąciki ust. I przestań się tak obrzydliwie śmiać! Ale matka dalej się śmiała. Nie wiem, co w nią wstąpiło.

Musiąa usiąć na łózk, Boletta ledwie zdążyła wyciągnąć rękę z materaca, potem usiadła obok matki i śmiały się obydwie. Tak, naprawdę. Nie mogłem tego pojąć. Co to był za śmiech? Siedziały i śmiały się z rezygnacją, na zielonym łózk, musiały się nawzajem podtrzymywać, żeby się nie przewrócić ze śmiechu, może nie miały innego wyboru niż śmiech, jeśli nie chciały płakać. – Materac do pierdolenia – powiedziałem. Mocno ugryzłem się w język. Już od dawna nic mi się nie wysnęło. Matka i Boletta popatrzyły na mnie. Ale dalej się śmiały. Może wszystko było tylko w mojej głowie, głęboko we mnie, może mówiłem tylko do siebie, w dół, odwrotną mową, kabałą języka? – Materac do pierdolenia! – zawołałem i zrobiłem ciężki krok w ich stronę, wskazując na wąską szafkę za drzwiami. – Tam nie zaglądałyście – powiedziałem. Zapadła cisza, śmiech ściągnął się w lekkie uśmiechy, w zmarszczki zamyślenia na twarzach. Pokazałem jeszcze raz.

I w końcu to matka podniosła się z łózka, podeszła do szafki za drzwiami i ją otworzyła.

Uderzył w nas powiew gorącej ciemności. W szafce stała walizka, czarna walizka obwiązana mocnym sznurkiem. Nie mogła być zbyt ciężka, bo matka podniosła ją jak gdyby nigdy nic i położyła na łózk. Sznurek pękł, gdy tylko Boletta dotknęła supła.

Rozsypał się w proch, jak ususzony kwiat. Walizka nie była zamknięta na kluczyk. Matka podniosła przykrywę. Walizka okazała się pusta. To było wszystko, zniszczona Biblia, ciężki kurz i pusta walizka. – Tak, tak – powiedziała Boletta. Naprawdę nie ma nic więcej? Matka opuściła przykrywę. – Zostawimy ją – westchnęła. Podszedłem wtedy jeszcze o krok. ? Ja?j? chc?! Matka odwr?ci?a si? do?mnie, d?ugo tak sta?a, z?r?k? na?wieku walizki i?palcami pe?nymi sznurka i?kurzu. Potem skin??a g?ow? z?jeszcze jednym westchnieniem. ? Skoro tak bardzo chcesz.

Wyszli?my. To?ja nios?em walizk?. Boletta zamkn??a za?nami drzwi na?klucz. ? Teraz zamkn?li?my te?drzwi na?dobre ? powiedzia?a. Matka nigdy wi?cej nie wspomnia?a o?pokoju 502 w?Cochs Hospits. Nawet gdy j??spyta?em, du?o p??niej, w?innym czasie, do?czego, jej zdaniem, ojciec u?ywa? tego pokoju, odleg?ego zaledwie o?kilka kwarta??w od?domu, nie chcia?a o?tym m?wi?. Po?o?y?a tylko palec na?ustach, najpierw na?swoich, potem na?moich, i?si? u?miechn??a. ? To?ju? posz?o w?niepami?? ? szepn??a. Nie zapominaj o?tym, Barnum. Ale ja?nie mog?em zapomnie?. Ja?niczego nie odejmuj?. Ja?jestem tym, kt?ry dok?ada. Tak? mam natur?. Sam mia?em kiedy? tam zamieszka?. Ale dopiero wiele lat p??niej. ??dam pokoju numer 502. Le??, prawie nieprzytomny, w?krzywym ???ku, i?staram si? my?le? o?tym, co?si? ?ni?o ojcu, kiedy le?a? tu?i gapi? si? w?ten sam sufit, w?pokoju 502 w?Cochs Hospits. Ale ja?nie mam sn?w. Wo?am Freda. Moja ostatnia my?l jest taka: wszyscy tutaj to?k?amcy.

Esther wychyli?a si? ze?swojego kiosku, witaj?c si? z?matk? i?Bolett?, i?spojrza?a na?niesion? przeze mnie walizk?. ? Nie masz chyba zamiaru wyjecha? od?nas, Barnum? ? Id? do?domu ? powiedzia?em. A?w domu, kiedy wpycha?em walizk? pod ???ko, Fred spyta? o?to samo. ? Na?pewno sam si? w?niej zmie?cisz. Jak si? po?o?ysz na?ukos. Zacz?? si? ?mia?. B?d? m?g? ci? wtedy nie??.

Odwr?ci?em si? do?niego. Powiedzia?em: ? Teraz ojciec nie ?yje.ł.

Podszedłem wtedy jeszcze o krok. – Ja ją chcę! Matka odwróciła się do mnie, długo tak stała, z ręką na wieku walizki i palcami pełnymi sznurka i kurzu. Potem skinęła głową z jeszcze jednym westchnieniem.

– Skoro tak bardzo chcesz.

Wysliśmy. To ja niosłem walizkę. Boletta zamknęła za nami drzwi na klucz. – Teraz zamknęliśmy te drzwi na dobre – powiedziała. Matka nigdy więcej nie wspomniała o pokoju 502 w Cochs Hospits. Nawet gdy ją spytałem, dużo później, w innym czasie, do czego, jej zdaniem, ojciec używał tego pokoju, odległego zaledwie o kilka kwartałów od domu, nie chciała o tym mówić. Położyła tylko palec na ustach, najpierw na swoich, potem na moich, i się uśmiechnęła. – To już poszło w niepamięć – szepnęła. Nie zapominaj o tym, Barnum. Ale ja nie mogłem zapomnieć. Ja niczego nie odejmuję. Ja jestem tym, który dokłada. Taką mam naturę. Sam miałem kiedyś tam zamieszkać. Ale dopiero wiele lat później. Żądam pokoju numer 502. Leżę, prawie nieprzytomny, w krzywym łóżku, i staram się myśleć o tym, co się śniło ojcu, kiedy leżał tu i gapił się w ten sam sufit, w pokoju 502 w Cochs Hospits. Ale ja nie mam snów. Wołam Freda. Moja ostatnia myśl jest taka: wszyscy tutaj to kłamcy.

Esther wychyliła się ze swojego kiosku, witając się z matką i Boletą, i spojrzała na niesioną przeze mnie walizkę. – Nie masz chyba zamiaru wyjechać od nas, Barnum? – Idę do domu – powiedziałem. A w domu, kiedy wpychałem walizkę pod łóżko, Fred spytał o to samo. – Na pewno sam się w niej zmieścisz. Jak się położysz na ukos. Zaczął się śmiać. Będę mógł cię wtedy nieść. Odwróciłem się do niego. Powiedziałem: – Teraz ojciec nie żyje.

Ojciec miał na nagrobku wyryte również swoje przezwisko. Było na nim napisane *Arnold „Kółko” Nilsen*. Dużo czasu upłynęło, zanim tam poszedłem, i dużo, odkąd tam ostatnio byłem.

(pokuta)

Sprali Freda. Sprali go tak, że ledwie mogliśmy go potem poznać. Wybrał się wreszcie do Znaczków Miila i spytał o list z Grenlandii. Ojciec Pedera opowiadał później, że Fred z początku nie chciał uwierzyć, że list już został sprzedany klientowi z zagranicy, Niemcowi zresztą, który przekazał go innemu kolekcjonerowi, również za granicą, lecz nazwiska tego człowieka ojciec Pedera już nie znał. Fred najzwyczajniej nie chciał w to uwierzyć. Długo oszczędzał, żeby odkupić list, nie wiem, skąd brał pieniądze, ale mam swoje podejrzenia. Lecz na odkupienie listu było i tak za późno, a wtedy Fredowi odbiło. Odepchnął ojca Pedera, zagroził, że go zamknie na zapleczu, powyciągał wszystkie szuflady, otworzył każdą szafkę i przejrzał wszystkie kartki w całym sklepie. – Właściwie się nie bałem – mówił ojciec Pedera. Poznałem go, bo przecież widziałem go na pogrzebie, Peder też sporo o nim opowiadał. Bałem się tylko, żeby czegoś nie uszkodził. Ale Fred nie przyszedł niszczyć. Gdyby tak było, to ojciec Pedera mógłby raz na zawsze zamknąć Znaczkę Miila i otworzyć sklep ze starzyzną. Ale Fred nie zagiął nawet jednego ząbka w żadnym znaczku ani nie zmiął żadnej koperty.

Chciał jedynie znaleźć list z Grenlandii. Nie znalazł go. Listu tam nie było. W końcu to zrozumiał. Usiadł na krześle i ukrył twarz w dłoniach, przypuszczam, że zawstydzony i wkurzony. Ojciec Pedera zaproponował mu bezpłatny pakiet znaczków. Fred nie był nim zainteresowany. Siedział tak przez wiele minut. Potem gwałtownie się poderwał. – Ile za to dostał? – spytał. – Tego niestety nie mogę zdradzić – odparł ojciec Pedera. – Ach tak – powiedział Fred i tylko się na niego gapił. – Ale to było mniej, niż zwykle dostaje się za szwedzki znaczek za szylinga, i więcej niż za pierwszy stempel duński. Fred dalej gapił się na ojca Pedera. – Za znaczek za szylinga można dostać około dziesięciu tysięcy koron, a pierwszy duński stempel może być wart osiem tysięcy. Fred przez chwilę milczał. – Sram na te pieniądze – stwierdził wreszcie. – To dobrze – odparł ojciec Pedera. Pieniądze nie są najważniejsze. – Sram na pieniądze – powtórzył Fred. Chciałem tylko wiedzieć, za ile nas sprzedał. Ojciec Pedera się zdumiał. – Masz ochotę na colę? – spytał. Fred uniósł rękę. – A ile pan zarobił na tym liście? Ojciec Pedera pokręcił głową. – Prawdę powiedziawszy, był to dla mnie marny interes. Summa summarum zostało mi z tego pięćdziesiąt koron, a sześćdziesiąt musiałem zapłacić podatku. Innymi słowy, straciłem dziesięć koron. – To dlaczego kupił pan ten list? – Dlatego, że sram na pieniądze. Fred się uśmiechnął. Ojciec Pedera otworzył drzwi i kiedy Fred wychodził, zagadnął go: – Mogę cię teraz o coś spytać? Fred zatrzymał się, odwrócony tyłem. – Dlaczego tak cię interesuje ten list? Fred wzruszył ramionami. – Dlatego, że go lubiłem – odparł. Ojciec Pedera zaczynał czuć sympatię do Freda. – Ze mną jest podobnie. Ja też najchętniej nie sprzedawałbym ani jednego znaczka. Ale wtedy to nie byłby żaden sklep. Fred był już na chodniku. – Pozdrowienia dla matki. I Barnuma. – Nie wierzę – odparł Fred. Cześć.

Ale Fred nie poszedł na Solli plass i nie wsiadł tam do tramwaju jadącego na Majorstuen, który najszybciej zawiózłby go do domu. Poszedł w dół ku torom kolejowym i wiaduktom. Szedł w głąb. Szedł przez mroczną część miasta, której południową granicą jest Munkedamsveien, a na wschodzie zamyka ją Arbiens gate. Nie wiem, dlaczego to zrobił. Może chciał pójść na skróty do portu. Może czuł się zdezorientowany i nie wiedział, co robi. Nie powinien był tam iść. Bo przy pierwszym wiadukcie, tam gdzie siatka na zardzewiałej balustradzie rzuca cienie przypominające niespokojną wodę, a od śmieci wzdłuż torów bije ciężki smród, stała czteroosobowa banda, która się nudziła i nie miała nic innego do roboty niż ssanie petów, nie chciało im się iść do domu na obiad, jeść resztek, słuchać wymówek, a na razie było jeszcze za wcześnie, żeby coś mogło się dziać.

Tymczasem coś się dzieje. Widzą Freda, chudego Freda w obcisłych spodniach, jak wychodzi zza rogu, jest jak podarunek, to obcy, intruz, wysłany wprost w ich objęcia, Fred też ich widzi, zwalnia, lecz nieznacznie, tak żeby tego nie zauważyli, ale nie zawraca, mógł zawrócić, pobiec, uciec, ale on idzie dalej, ich jest czterech, są w ciemnych ubraniach, czarnych, twarze mają blade, jeden z nich, najmniejszy, ma podbite oko, opuchnięte, to on stoi na przodzie i uśmiecha się, dwaj inni przeczesują włosy powolnym gestem, jak gdyby szykowali się na zabawę, zresztą właśnie tak jest, a czesząc się starannie, nie spuszczaają spojrzeń z Freda, Fred widzi to wszystko, przelotny błysk metalu, ostro świecącego w słońcu, może to breloczek do kluczy, może kastet, w jakimś karku drga nerw, drgnięcie w kąciku ust, a z tyłu stoi najstarszy z nich, sprawia wrażenie niezainteresowanego, obojętnego, znajdującego się ponad tamtymi, lecz kiedy Fred chce ich minąć, to właśnie on wyciąga rękę, wyrzuca peta na chodnik i mówi: – Mnóstwo dzisiaj śmieci na ulicach. Fred musi się zatrzymać. Zatrzymuje się. Otaczają go. Najmniejszy mruga podbitym okiem i po spuchniętym policzku spływa ciemna smuga. – Au! – mówi. Tamci dwaj się śmieją.

Właściwie nie są groźni. Gdyby ich zobaczył ktoś z pobliskiego okna, mógłby może pomyśleć, że to tylko pięciu dobrych przyjaciół tam stoi i rozmawia o wakacjach, o dziewczynach, o wolnym miejscu pracy w Akers Mek, o treningu, o meczach, że to tylko pięciu chłopaków popisuje się przed sobą w żółtych migotliwych cieniach popołudnia.

Ale Fred wie, że tak nie jest. Stoi między nimi i czuje pospieszny gorący oddech. Wie, co zamierzają. Jest w niewłaściwym miejscu. Poszedł złą ulicą. Wszystko jedno, co zrobi.

Wszystko jedno, co powie. I tak jest po drugiej stronie. Pod nimi przejeżdża pociąg.

Wiadukt drży. Buty swędzą. Fred już zdążył określić ich rangę. To prosty rachunek.

Obliczenie go w niczym nie pomoże. Ten, który się odezwał, to przywódca. Ale najbardziej niebezpieczny jest ten najmniejszy, ten z podbitym okiem. Dwaj pozostali po prostu są razem z nimi. Czeszą się. – Mnóstwo śmieci na ulicach – powtarza najmniejszy, najgroźniejszy. – Widzę – odpowiada Fred. Podsuwają się bliżej. – Mówiłeś do nas? Fred uśmiecha się, wolno obraca głową i liczy. – Raz, dwa, trzy, cztery. Cztery śmiecie. Robi się cicho. Trwa to zaledwie moment. Ta cisza nie jest prawdziwa. Fred czuje klucie w plecach, ale się nie odwraca. Ten, który im przewodzi, kładzie Fredowi rękę na ramieniu. – Posprzątamy trochę? – pyta. Fred nie odpowiada, ale też i nie jest to pytanie.

Może właśnie tego chce, chce, żeby zabrali mu zaoszczędzone pieniądze, może wierzy, że dzięki temu łatwiej mu będzie pogodzić się z tym, że zgłosił się za późno do sklepu pana Miila i nie odkupił naszego listu. Ale nikt tutaj nie liczy na to, że Fred ma przy sobie większą gotówkę, kosztowności cenniejsze niż grzebień i zapalniczka. Zabierają go na zbrocze przy linii kolejowej, gdzie wysoki płot z desek skrywa ich przed najbliższymi domami z mieszkaniami do wynajęcia, a pijacy siedzą nad swoimi pustymi butelkami.

Wstają, gdy widzą, kto się pojawia. Fred czeka. Ale nikt na razie nie wykonuje żadnego ruchu. Wszyscy czekają. Fred stoi między nimi. Ktoś woła dzieci. Zamyka się jakieś okno.

Tamci zaczynają się wolno poruszać wokół niego. Oni też liczą. Liczą sekundy. Liczą i czekają, czekają na następny pociąg, przejeżdża o czasie, huk nadciąga tunelem, przejeżdżają wagony towarowe i wtedy tamci uderzają, pierwszy ten najmniejszy, wali dziko na oślep i tylko kilka ciosów trafia. – Kurwa! – woła, ale nikt go nie słyszy, zamierza się więc i wbija pięść wprost w twarz Freda, w usta, jakby chciał wbić gwóźdź, w tym momencie przejeżdża ostatni wagon i cisza nadciąga jak chłodny cień, a Fred stoi z rękami wzdłuż boków, z warg cieknie krew, krew i żwir, takie to uczucie, krew i żwir, usta się rozerwały, ale wśród całego tego brudu Fred się uśmiecha, uśmiecha się i stoi.

Najmniejszy, dzikus, wyciera ręce w trawę i jęczy. To on jęczy. Przywódca przypatruje się Fredowi, przez chwilę zaskoczony, bardziej zaskoczony niż wściekły, a potem on także się uśmiecha i nagle oślepia ich słońce. Teraz pociąg nadjeżdża z przeciwnej strony, lokomotywa w sercu, lokomotywa we krwi, zagłusza ból, teraz to ci dwaj szeregowi biją, Fred widzi okna jak film, który przesuwają mu się przed oczami, ktoś na nich patrzy, pasażerowie, którym wydaje się, że śnią, słyszy gwizd pociągu, przypominający cienką połyskliwą kreskę dźwięku w powietrzu. Fred stoi. Ręce wzdłuż boków. Nie czuje własnej twarzy, jakby ktoś naciągnął na nią maskę. Prawie już nie widzi. Uśmiecha się zmiażdżonymi wargami. To właśnie ten uśmiech doprowadza najmniejszego do jeszcze większej wściekłości. Wyrzuca deskę z płotu, rzuca się na Freda i wali go w tył głowy.

Fred chwieje się i robi krok do przodu, ale stoi. – Au – szepcze i się śmieje. Z tyłu za czołem pojawia się fala, czarna fala, która się w nim kołysze. Wszystko nieruchomieje, z wyjątkiem tej fali. W desce jest gwóźdź, zakrzywiony, zardzewiały gwóźdź. Najmniejszy chce uderzyć jeszcze raz, Nie może tego dłużej znieść. Ale przywódca go powstrzymuje.

Odsuwają się. To oni uciekają. To oni teraz bardziej się boją. Widzą Freda, który chwieje się na nogach, ale stoi, nie pojmują tego, to zupełnie nie tak, to nieludzkie, powinien już leżeć, powinien błagać o litość, a oni może wtedy pomogliby mu wstać, zatroszczyliby się o to, by przeżył, ale Fred stoi, stoi i się śmieje. Najmniejszy widzi krew na trzymanej w ręku desce i wyrzuca ją ze wstrętem. Przechodzi za tamtymi przez płot. Fred powoli unosi ręce.

A ja słyszę, jak Montgomery pieje. Kiedy zaś Montgomery pieje, budzi całe miasto, bez względu na to, czy śpimy, czy nie. Montgomery pieje jak opętany kogut i nie rozróżnia już słońca od księżyca. Pełźnie po torach w swojej długiej kurtce od munduru, płacze i pieje, stary okaleczony żołnierz, on wciąż jest na wojnie, bo wojna jest w nim, rozum zostawił w Normandii w czerwcu 1944 roku, teraz w jego duszy jest tylko okop, a w sercu plaża zbryzgana krwią, jak okiem sięgnąć. Montgomery pieje co noc, żeby zbudzić zmarłych.

Kładzie się obok Freda, który teraz osunął się w rzadką zbrązowiałą trawę. Montgomery delikatnie podnosi mu głowę i wlewa do zmasakrowanych ust kilka kropel wódki.

Montgomery płacze, pieje, płacze i szepcze. – Nie bój się, chłopcze – szepcze. Już niedługo przybędą alianci.

A ja tańczę z matką. Poodsuwała meble w salonie i mamy dla siebie całą podłogę.

Tańczymy, Boletta siedzi na otomanie i pilnie nam się przygląda. Obejmuję matkę i prowadzę ją najlepiej, jak umiem, z kąta w kąt, na ukos przez pokój i z powrotem.

Boletta jest bardzo niezadowolona. – Niczego się nie nauczyłeś, jak chodziłeś do pani Svae? – pyta. Matka się śmieje, popycha mnie pod ścianę. – Z Vivian na pewno tańczy lepiej – mówi i prędko całuje mnie w policzek. Boletta zajmuje jej miejsce. Tańczę z Bolettą. Matka siada na otomanie i odpoczywa. Tańczę z Bolettą. Ona mnie prowadzi.

Kręci głową. – Zapomniałeś wszystko, co ci mówiłam o tym, kto ma prowadzić? – pyta. – Tak – mówię i odpycham Bolettę, jestem twardy i zdecydowany, ale ona po chwili zaczyna się uśmiechać. – Teraz było znacznie lepiej, Barnum! Odrobina brutalności nie zaszkodzi!

I tak tańczymy przez resztę wieczoru. Po kolei siadamy na otomanie, żeby odetchnąć, a w końcu matka tańczy z Bolettą, przypominają dwie stare rozchichotane panny, które podpierają ścianę, takie, których nikt nie chce, a kiedy nie ma już więcej muzyki w radiu, idziemy spać.

Jest już późna noc, kiedy Fred wraca, prawie rano, rzadkie światło drga w pokoju.

Spałem i przyśniło mi się coś dziwnego. Śniło mi się, że leżę w trumnie, którą Fred przyniósł wtedy do domu. I nie leżę w niej sam. Vivian mnie obejmuje. Jest nam ciasno, ale to nic nie szkodzi. Vivian gładzi mnie ręką po brzuchu. To znaczy, że jeszcze nie umarliśmy. A potem ujmuję mnie za rękę, przesuwa ją tam gdzie chce, a ja pocieram. Ktoś stuka w wieko. Udajemy, że nie słyszemy. Pamiętam, że zastanawiałem się, kto to może być, kto stuka w trumnę, czy to Peder, czy zupełnie ktoś inny. Właśnie z tego snu budzę się nagle, kiedy wraca Fred. Widzę go. Odwrócił się plecami. Mam mokry brzuch. Fred nic nie mówi. Wycieram się kołdrą. – Gdzie byłeś? – pytam. Fred nie odpowiada. Dyszy ciężko, jakby był przeziębiony, brzmi to jak świst, jak przeciąg. Przypomina mi ojca.

Zaczynam się bać. Siadam. Coś jest na podłodze, coś ciemnego. Coś kapie z łóżka Freda, skapuje na podłogę. – Co ojciec powiedział przed śmiercią? – pytam szeptem. – Zamknij się – odpowiada Fred. Ale z jego głosem coś jest nie tak. Prawie nie może mówić, trochę jak źle ustawione radio. We Fredzie trzeszczy. Boję się jeszcze bardziej. Podkradam się do niego. Nie widzę jego twarzy. Zapalam lampkę nad łóżkiem. Zamykam oczy, bo to, co widzę, nie może być prawdą. Otwieram oczy. To jest prawda. Fred odwraca się i patrzy na mnie. Nie poznaję go. Twarz ma zniszczoną. Jest tylko krew, włosy są pełne krwi, nos jest wciśnięty między opuchnięte policzki, usta to tylko dziura, z której cieknie jeszcze więcej krwi. Wszystko na twarzy Freda jest krzywe i zmiażdżone. Oczy ledwie widać wśród sinych wybrzuszeń. Nie wiem, czy on mnie widzi. Jestem bliski płaczu. – Kto to zrobił? – pytam cicho. Fred również teraz nie odpowiada. Tylko leży. – Musisz iść do lekarza, Fred. – Zamknij się – powtarza, ledwie można go zrozumieć, to prawie jęk, potem bierze mnie za rękę, trzyma ją mocno i nie chce puścić. Muszę usiąść na brzegu łóżka. Siedzę tak dość długo. Nie bardzo wiem, kto kogo pociesza. Wreszcie Fred mnie puszcza. Przynoszę z łazienki ścierkę i obmywam mu twarz, najdelikatniej jak potrafię. – Wytrzymaj mi oczy – szepcze Fred. – Co? – pytam, bo mówi tak niewyraźnie. – Nic nie widzę, Barnum.

Przemywam mu więc oczy, powoli jego twarz się ukazuje, połamana, okaleczona, Fred na mnie patrzy tak, jakby widział mnie po raz pierwszy. – Dziękuję – mówi. Dziękuję. – Kto to zrobił? – pytam znów. – Zamknij się – powtarza Fred. Potem zasypia. W każdym razie nie słyszę więcej jego słów, tylko ten ciężki oddech, który jakby utkwiał w spleśnionym nosie, i nic nie mogę poradzić, że przypomina mi ojca, a to się wydaje nie w porządku, że Fred ma tak leżeć i przypominać ojca. Wycieram krew z podłogi. Siedzę przy nim przez resztę tej nocy, a kiedy wreszcie mam pewność, że naprawdę zasnął, okazuje się, że matka i Boletta już wstały, idę więc do nich do kuchni. Boletta pokazuje na mnie łyżeczką i śmieje się chytrze. – Wyglądasz, jakbyś był bardzo śpiący, Barnum. Czyżbyśmy my, starszuszki, zamęczyły cię wczoraj wieczorem? Kręcę głową, czuję, że nie jestem głodny.

Zapomniałem, jaki to dzień, ale najprawdopodobniej zupełnie zwyczajny, w środku tygodnia i tak odległy od jakiegokolwiek święta, jak tylko możliwe. – Fred nie dał ci spać? – pyta nagle matka. Kręcę głową. Matka również nagle wstaje i idzie do naszego pokoju. – Nie rób tego – mówię. Matka zatrzymuje się i patrzy na mnie zdumiona. – Czego, Barnum? – Nie wchodzi do niego – szepczę. Matka stoi przez kilka sekund, potem wzrusza ramionami poirytowana i prędko otwiera drzwi. Patrzę na Bolettę. Ma na czole głęboką zmarszczkę, pochyla się nad stołem. – Coś się stało, Barnum? – pyta. W tym samym momencie matka zaczyna krzyczeć. Krzyczy, a zaraz potem wypada z pokoju i patrzy na mnie oszalałym wzrokiem. – Co się stało z Fredem? – Potknął się – mówię. Boletta też wstała i wchodzi do Freda. Ona nie krzyczy na jego widok, ale wraca jeszcze ciszej, niż wyszła. – On się potknął, Barnum? – Tak. Jak wracał do domu w nocy. Upadł na głowę.

Matka łapie mnie za ramię. – Nie kłamiesz? Nie zmyślasz czegoś? – Słowo honoru! – wołam. Musiałem nawet ścierać krew! Spójrzcie tylko na ścierkę. Matka znów wchodzi do Freda i przynosi zakrwawioną ścierkę, która jakby zakrzepła, przypomina jedną z tych marcepanowych róż, jakimi ozdabia się drogie torty, tyle że ścierka jest o wiele większa i pewnie niezbyt przyjemna w smaku, ale wygląda to tak, jakby matka trzymała w ręku zniszczoną sztuczną różę. Kręci głową. – On nie chce nic powiedzieć. Wydaje mi się, że pił. Czuć od niego wódką!

Boletta zadzwoniła na pogotowie. Pojechałem do szkoły taksówką, bo taka właśnie była matka, po śmierci ojca fundowała mi taksówkę do szkoły, żebym się nie spóźniał. Ale i tak się spóźniłem. Poprosiłem kierowcę, żeby trzy razy objechał wolno Cmentarz Zachodni, i zobaczyłem, że ktoś kopie w samym rogu wśród ciemnej zieleni. Nic zresztą nie wynikało z moich spóźnień, nie wywoływano mnie także do odpowiedzi, bo przecież mój ojciec zmarł. Od jego śmierci znajdowałem się pod ochroną, ale nie pod taką, o jakiej śniłem, kiedy śniłem o wypadkach i cierpieniu, i o tym, że wszyscy się nade mną użalają tak bardzo, że zostają podniesiony do godności króla jedynowładcy w świecie współczucia. Teraz wydawało mi się, że dostrzegam raczej śmiech w każdej twarzy, wstrzymywany śmiech na ustach wszystkich, bo śmieszniejszej śmierci niż śmierć Arnolda Nilsena nie można sobie wyobrazić, dostać dyskiem w czoło na środku stadionu Bislet w niedzielę. Wszyscy śmiali się za swoimi maskami i za moimi plecami, nie mogłem się powstrzymać od myślenia o spisie znalezionym w kieszeni ojca, ten śmiech również powinien zostać w nim ujęty i nazwałbym go bezwstydnym. To bezwstydnym śmiech, który musi zawrócić w ustach, utknąć w gardle i powoli, ale skutecznie zadusić tego, kto odważył się śmiać. Mniej więcej tak myślałem, siedząc pod oknem w klasie, pod ochroną swojej samotności, opuszczony jak trędowaty, pokryty strupami śmiesznej żałoby. W tej chwili żałowałem, że Peder i Vivian nie chodzą ze mną do klasy, mógłbym na przykład posłać im kartkę, napisane by było na niej tylko *bezwstydnym śmiech*, a oni od razu by zrozumieli, co mam na myśli. Ale Peder chodził do innej szkoły, za miastem, i co dzień rano musiał jechać autobusem albo odwoził go ojciec, kiedy udało mu się uruchomić vauxhalla, Vivian z kolei miała prywatne lekcje, tak przynajmniej mówiła, może matka ją uczyła, w każdym razie nigdy nie chodziliśmy do tej samej szkoły, może i tak było lepiej, może właśnie dzięki temu staliśmy się tak nierozłączni, bo tęskniliśmy, tak, tęskniliśmy za sobą w czasie, gdy

byliśmy osobno, a może tyrania pauz wywołałaby wojnę, może lekcje śpiewu, robót ręcznych, gimnastyka na sali i wypracowania z norweskiego zrobiłyby z nas wrogów. Tymczasem zamiast walczyć, mogliśmy się spotykać poza szkolnym boiskiem, poza planem lekcji, na naszej własnej dużej przerwie, pod purpurowym drzewem w parku, w chłodnych salach kin, byliśmy tylko we troje, Peder, Vivian i Barnum, byliśmy na zewnątrz albo nie, byliśmy w środku, mieliśmy własne miejsca, a wszyscy inni znajdowali się poza nimi. – Znow się źle czujesz, Barnum? To Kostucha pyta, głos jej się załamuje, w słowach pojawia się zmarszczka. Zaczyna mieć mnie dość, całą moją osobę.

Odwracam się wolno, dookoła jest cicho. Ale z daleka słyszę pianie Montgomery'ego.

Wojna trwa. Co dzień jest D-day. Kostucha stoi ze złożonymi rękami, a tablica za nią jest całkiem czarna. Mamy lekcję religii. – Tylko trochę trędowaty – mówię. Wstaję i wychodzę. Kostucha chce mnie zatrzymać, odrobinę zniecierpliwiona, urażona, zapewne jest zdania, że ten okres ochronny musi się wreszcie skończyć, przecież nawet wdowy noszą żałobę tylko przez rok, ale ja nie rezygnuję, to moja samotna wolność, chociaż wiem, że nie może trwać zawsze. Wychodzę, nie odwracając się. A pozostali w klasie zazdroszczą mnie, dotkniętemu żałobą Barnumowi, oni też chętnie mieliby zmarłego ojca.

Kiedy wróciłem do domu, okazało się, że lekarz już był. Matka siedziała w salonie i kazała mi do siebie przyjść. Była w nastroju rezygnacji. Jej oczy poruszały się obojętnie.

Nawet gwizdała. To nie był dobry znak. Chciała ze mną rozmawiać, ale nic nie mówiła.

W końcu to ja musiałem się odezwać. – Co się stało, mamó? Dalej gwizdała. – Mamó, o co chodzi? Coś się stało z Fredem? Matka uśmiechnęła się nagle i przestała gwizdać. – Zabawny ten doktor, który tu był – powiedziała. – Naprawdę? – Tak, naprawdę zabawny.

Stwierdził, że jeżeli Fred upadł na podłogę i się uderzył, to podłoga musiała mu oddać co najmniej dwudziestokrotnie, a w końcu zaskoczyć go od tyłu. Spuściłem wzrok. Teraz matka westchnęła. – Dlaczego ty kłamiesz, Barnum? – Nie wiem – szepnąłem. Matka przyciągnęła mnie bliżej. – Nie wiesz, dlaczego kłamiesz? Prędko pokręciłem głową. – Nie wiem, co się stało. Matka znów ciężko westchnęła. – Ktoś napadł na Freda, ale on oczywiście nic nie mówi. Odchyliła się na otomanie, przez moment przypominała Bolettę.

Westchnienia następowały teraz prędko, jedno po drugim. – Nie, nikt mi niczego nie powie. Lekarz stwierdził, że powinniśmy zgłosić tę napaść na policję, ale co mamy zgłaszać, skoro Fred nie pisnął ani słowa! Ukryła twarz w dłoniach. Tego było już dla niej za dużo. A potem powiedziała to, co zawsze mnie przerażało, pragnęłam, żeby nigdy tak nie mówiła. Było coś w tych słowach, których zwykle używała, będąc w takim nastroju, co wywoływało we mnie poczucie bezradności, było coś w ich tonie, jakaś zwyczajność w ich okrucieństwie, odbierająca mi sens na wiele tygodni, ostateczne odrzucenie, ostatnia groźba. Powiedziała, wypuszczajcie powietrze: Co ja mam z wami zrobić, Barnum? Nie mów tego szepnem. Tak cię proszę. Matka wzięła mnie za rękę. Idź do brata i sprawdź, może tobie uda się go nakłonić, żeby się przyznał. Przyznał? Przecież to jego pobili. Matka mnie puściła, a ja od razu skierowałam się do naszego pokoju, bo wolałam siedzieć z Fredem, niż służyć matki. Ona jednak wstała i zamachała rękami. Znów było dla niej za wiele. Wszystkiego za wiele. Nie! krzyknęła. Nie chcę tego wiedzieć! Nie chcę wiedzieć, kto zmalutował mojego syna! Nie chcę wiedzieć nic! Dalej tak mówiła do siebie, rozmawiała ze sobą, powtarzała, że ze wszystkich ludzi na świecie ona wie najmniej, że nic nie wie, że wiatry oszukuje, jesteście mi obcy i ona nie wie nawet, kim sama jest, samotną wdowę, wciąż za młodym, żeby przez resztę życia nosić żałobę, a już za starą, żeby zacząć wszystko od początku. Biedny Fred! zawołała nagle. Biedny Fred! Wyszłam po cichu, matka nie zwróciła na to uwagi, siadłam przy Fredzie. Leżała na plecach i przypominała mumię. Przyszło mi na myśl zdjęcie Lenina, które widziałam w gazetach na policję, ale co mamy zgłaszać, skoro Fred nie pisnął ani słowa! Ukryła twarz w dłoniach. Tego było już dla niej za dużo. A potem powiedziała to, co zawsze mnie przerażało, pragnęłam, żeby nigdy tak nie mówiła. Było coś w tych słowach, których zwykle używała, będąc w takim nastroju, co wywoływało we mnie poczucie

bezradności, było coś w ich tonie, jakaś zwyczajność w ich okrucieństwie, odbierająca mi sen na wiele tygodni, ostateczne odrzucenie, ostatnia groźba. Powiedziała, wypuszczając powietrze: – Co ja mam z wami zrobić, Barnum? – Nie mów tego – szepnąłem. Tak cię proszę. Matka wzięła mnie za rękę. – Idź do brata i sprawdź, może tobie uda się go nakłonić, żeby się przyznał. Przyznał? Przecież to jego pobili. Matka mnie puściła, a ja od razu skierowałem się do naszego pokoju, bo wolałem siedzieć z Fredem, niż słuchać matki. Ona jednak wstała i zamachała rękami. Znów było dla niej za wiele. Wszystkiego za wiele. – Nie! – krzyknęła. Nie chcę tego wiedzieć! Nie chcę wiedzieć, kto zmaltretował mojego syna! Nie chcę wiedzieć nic! Dalej tak mówiła do siebie, rozmawiała ze sobą, powtarzała, że ze wszystkich ludzi na świecie ona wie najmniej, że nic nie wie, że świat ją oszukuje, jesteśmy sobie obcy i ona nie wie nawet, kim sama jest, samotną wdową, wciąż za młodą, żeby przez resztę życia nosić żałobę, a już za starą, żeby zacząć wszystko od początku. – Biedny Fred! – zawołała nagle. Biedny Fred! Wyszedłem po cichu, matka nie zwróciła na to uwagi, siadłem przy Fredzie. Leżał na plecach i przypominał mumię. Przyszło mi na myśl zdjęcie Lenina, które widziałem w *Kto? Co? Gdzie?* Pewnemu fotografowi udało się zrobić zdjęcie zabalsamowanych zwłok Lenina w mauzoleum na placu Czerwonym, Fred, gdy tak leżał, był trochę do niego podobny. Delikatnie dotknąłem wielkiego bandaża na jego głowie. – Teraz matkę też naszło – szepnąłem. Obok Lenina leżał zresztą Stalin, on też był na tym zdjęciu, leżeli jak dwaj starzy przyjaciele, Stalin w mundurze, można rozróżnić błyszczące guziki, będą tak leżeć po wieczny czas, nie lubiłem tego zdjęcia, lecz nie mogłem się też powstrzymać od patrzenia na nie, bo to było trochę tak, jakby fotografowi udało się zrobić zdjęcie samej śmierci, wywołać śmierć, w twarzach jest matowe białe światło, może dlatego, że mózgi zostały usunięte, radzieccy lekarze wyciągnęli je zakrzywionym haczykiem przez nos, zarówno Leninowi, jak i Stalinowi, dokładnie tak jak robili

starożytni Egipcjanie, kiedy faraon miał zasnąć na trzy tysiące lat. Pisałem o tym wypracowanie. – Wstrząs mózgu – mówi Fred. Pochyliam się bliżej. – Kto? Matka ma wstrząs mózgu? Fred wzdycha. – Nie, ja. Znów zgłupiałeś? – Boli? Fred przez chwilę nic nie mówi. – Przynieś lusterko, Barnum. – Po co? – Przynieś, do cholery! Wymykam się do łazienki i szukam lusterka.

Boletta wróciła do domu. Siedzi przy matce. Tak to jest. Siedzimy przy sobie, każde z osobna. Prędko wracam do pokoju. – Przytrzymaj mi lusterko – mamrocze Fred. – Gdzie? – Nad twarzą, Barnum. Chcę zobaczyć, jak wyglądam. Trzymam więc lusterko nisko nad jego twarzą, od ciężkiego oddechu zachodzi matową mgłą. – Żyjesz – mówię.

A może mam ci wbić w serce szpilkę do kapelusza? Boletta na pewno ma coś takiego.

Fred odrobinę się śmieje. – Lepiej postaw na mnie kieliszek z wódką – szepcze. Ale kiedy zabieram lusterko, widzę, że Fred się odwrócił i że płacze.

Następnego dnia rano nie można go ruszyć i zabawny doktor musi przyjść jeszcze raz.

Teraz już nie jest taki zabawny. Świeci Fredowi w oczy, zmienia opatrunek. Potem cicho rozmawia z matką i wypisuje jakąś receptę. Taksówka czeka na rogu, bo matka również dzisiaj zamówiła taksówkę, taksówkę i lekarza, Boletta mnie pogania. Schodzę na dół do taksówki, a doktor w tym czasie jeszcze raz świeci Fredowi w oczy i obmacuje mu nos.

Mówię szoferowi, żeby objechał cmentarz tylko dwa razy, i tak się spóźnię. Podczas pauz siedzę w klasie, a na gimnastyce nie chce mi się rozbierać, ale wyczuwam już otaczające mnie zniecierpliwienie, irytację, śmiech zaczyna być widoczny, w niektórych spojrzeniach jest drwina. Jak długo może trwać śmierć ojca? Jak długo mogę być pozbawionym ojca synem, poddawany kwarantannie, żeby moją żałobą nie zarazili się inni? Może i mogło to potrwać do lata, a po wakacjach wszystko mogło się odmienić, szkoła mogła spłonąć, Preben, Chomik i Aslak mogli się utopić, ja mogłem urosnąć o sprawiedliwie mi się należące centymetry. Słońce grzeje przez okno tak mocno, że prawie się pocę. Nie mam już siły. Wstaję i wychodzę. Kostucha akurat napisała coś na tablicy i odwraca się gwałtownym ruchem. Wydaje mi się, że mamy geografię. Kostucha pokazuje kredą, sypie się z niej biały pył, który nigdy nie dociera do samej podłogi. – Wiesz, co to znaczy, Barnum? Nie rozumiem znaków, które nakreśliła, przypominają litery, które się rozpadły.

Kręcę głową. Kostucha zbliża się i chowa kredę. – To w języku, który się nazywa urdu, Barnum. Językiem urdu mówią w kraju położonym bardzo daleko, w Pakistanie.

Powinieneś to zapamiętać na następny raz. Bo być może będzie z tego klasówka. Kostucha się uśmiecha. – Jak się miewa pańskie szacowne zdrowie? – pyta. – Powoli wraca do normy – odpowiadam szeptem. Kostucha klaszcze w dłonie, otacza ją biała sucha chmura. – Nie o to mi chodziło, Barnum. Właśnie to zdanie napisałam na tablicy. W urdu.

Jak się miewa pańskie szacowne zdrowie? Wynoszę się, zanim zdążę usłyszeć śmiech. Ale przy bramie stoi facet, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Jest ubrany na czarno i wolno przeczesuje włosy, jak gdyby przeglądał się w otaczającym go świetle. Idę więc do drugiego wyjścia, może zdążę wsiąść do tramwaju. Ale kiedy tam docieram, on też tam stoi i teraz jest ich dwóch. Są zupełnie identyczni, obaj idą za mną w stronę kościoła.

Przypieszam. To w niczym nie pomaga. Biegnę. Doganiają mnie i tak, natychmiast zwracam uwagę na to, że mają poranione kostki dłoni i identyczne fryzury. – Ty jesteś bratem Freda? – pyta ten, który jest tak podobny do tego drugiego, że równie dobrze to tamten mógłby pytać. Kiwam głową. Znów próbuję puścić się biegiem, okrążyć kościół, ale oni mnie przytrzymują. – Co z nim? – Żyje – mówię. Prędko patrzą na siebie. – Powiedz, żeby przyszedł dziś wieczorem do Stensparken – mówi pierwszy. O dziesiątej.

Puszczają mnie i zbiegają w dół ze zbocza. Stoję, dopóki nie stracę ich z oczu. Wtedy na boisku rozlega się dzwonek na koniec lekcji. Do dziesiątej jeszcze daleko. Jak się miewa pańskie szacowne zdrowie? Nie chcę wracać do domu. Montgomery pieje. Skradam się ulicami. Peder już stoi pod naszym drzewem. Ostatni kawałek biegnę, jak zawsze, bo tak się cieszę na jego widok. – Zgaduj, dobra? – woła Peder. – Ja pierwszy! – wołam tak samo głośno i prawie nie mogę mówić. – Pobili mnie! Peder się zatrzymuje. – Pobili cię?

Kto? Siadamy w trawie pod czerwonym drzewem, musimy poczekać aż przejedzie tramwaj, żeby usłyszeć swoje głosy. – Nie wiem – mówię. Ci sami, którzy pobili mojego brata. – Ktoś pobił twój brata? – I to jak! A dziś wieczorem znów chcą się z nim spotkać. – Po co? – Może chcą go przeprosić – mówię. – Albo sprać jeszcze raz – przypuszcza Peder. Muszę odetchnąć głębiej. – Czekali na mnie pod szkołą. Peder myśli. – Ale ciebie też pobili? – pyta w końcu. – No, niezupełnie. Przytrzymali mnie. Zobacz!

Pokazuję mu rękę, za którą mnie złapali. Peder patrzy. – Cholera – mówi. Opuszczam rękaw koszuli. Peder przysiada się bliżej. – Ale dlaczego stłukli twojego brata, co? – Pewnie wielu ma na to ochotę – odpowiadam szeptem. Kiedy wczoraj wrócił do domu, wyglądał jak kotlet siekany. Kotlet siekany z sosem. – Cholera – powtarza Peder. – Nos miał zmiążdżony. – Naprawdę? – Tak. A zęby wbite w język. Musiałem je wyciągać. – Aż tak? – pyta Peder i przez dłuższą chwilę się nie odzywamy. W końcu oświadczam: – Czegoś tu nie rozumiem. Peder się uśmiecha. – Czego na przykład? – Że udało im się sprać Freda. Leżymy w trawie i zastanawiamy się nad tym, jak ktoś w ogóle zdołał spuścić Fredowi manto. Musiało ich być kilku. Trawa łaskocze w kark. Niebo przesuwają się, chociaż jest prawie niewidoczne ponad szeleszczącą koroną purpurowego buka. – No a co u ciebie? – pytam. Peder siada. – Pamiętasz tego gościa, którego matka rysowała, jak byłeś u nas pierwszy raz? – Średnio – odpowiadam. Tego, który stał w salonie? – No właśnie.

Stał nagi. – Twoja matka jeszcze nie skończyła go rysować? Peder uśmiecha się na swój smutny sposób, jakby ukosem. – Matka i tak nigdy nie kończy, mimo wszystko – mówi i znów się kładzie, nagle milczący, jak gdyby zapomniał, co ma powiedzieć. Czekam, bo nie chcę go poganiać. W końcu jednak nie mogę dłużej wytrzymać. – No i co z nim? – pytam. Peder przetacza się na brzuch i siada na mnie, jest ciężki, ale mimo wszystko mu na to pozwalam, teraz z kolei to on ledwie może mówić. – On zna kogoś, kto prowadzi klub filmowy, gdzie pokazują filmy, których nigdzie indziej nie puszcza! Peder kołysze się na mnie, prawie nie mogę oddychać. – I co z tego? – pytam szeptem. – I co? Powiedział, że dziś wieczorem nas wpuszczą! – Nie. – Tak! – A jaki to film? Peder zaczyna walić mnie w pierś, jak gdybym był bębenkiem w chłopięcej orkiestrze. – Pamiętasz tę, która wisiała w pokoju na ścianie u Vivian? – Przestań! – wołam. Ale on nie przestaje, dalej we mnie wali, niedługo zbije mnie na kwaśne jabłko i nakryje całym sobą. – Pamiętasz czy nie pamiętasz? – Pamiętam! Ale nie pamiętam, jak się nazywała! Peder nachyla się tuż nade mną, z ust bije mu zapach lukrecji, język ma całkiem czarny. – Lauren Bacall – mówi powoli, wyraźnie, tak żeby nie uronić ani jednej litery z nazwiska. Lauren Bacall. Nagle słyszymy śmiech dobiegający z bardzo bliska. Odwracamy się równocześnie. To Vivian.

Stoi i się śmieje. Peder wstaje pierwszy, podciąga mnie do góry, a ja ledwie jestem w stanie utrzymać równowagę. Otrzepujemy się z trawy. Wsuwam ręce do kieszeni. Peder cmoka. Vivian dalej się śmieje. Podchodzimy do niej. Peder chrząka i staje z założonymi rękami. – Masz ochotę iść do kina? – pyta. – Do klubu filmowego – dodaję prędko. Idziesz czy nie?

Do filmu są jeszcze trzy godziny, a żadne z nas nie ma ochoty w tym czasie wracać do domu. Zamiast tego idziemy więc do budki telefonicznej na Solli plass, wygrzebujemy kilka monet, Peder dzwoni do ojca i mówi, że zje obiad u mnie, ja dzwonię do matki i mówię, że zjem obiad u Pedera, i słyszę, że głos matki jest wystrzępiony na brzegach. – No to ich pozdrów – mówi. Odkładam słuchawkę, zanim zacznę pytać, skąd dzwonię, i wpuszczam Vivian, ale jej nie chce się do nikogo telefonować. Potem znajdujemy wolny stolik w Samsonie na Frognerveien, zamawiamy herbatę i starcza nam jeszcze dokładnie na jedną drożdżówkę z rodzynkami do podziału. Kelnerka wyciera ręce w fartuch i długo nam się przygląda. – Ile ma być tych drożdżówek? – Jedna – powtarza Peder. Kelnerka wyjmuje bloczek i wolno pisze. – I ma to być drożdżówka z rodzynkami? Peder kiwa głową. – Dobrze pani zrozumiała, rodzynki z drożdżówkami nas nie interesują. Kelnerka odchodzi, a my musimy wstrzymać oddech, żeby nie umrzeć ze śmiechu. – Na jaki film idziemy? – pyta Vivian. Kiedy ciała nam się uspokajają, Peder pochyla się nad stołem. – Nie pamiętam dokładnie tytułu. Ale gra w nim Lauren Bacall. – Ta, której zdjęcie masz na ścianie – dodaję prędko. Vivian patrzy na mnie łagodnie. – Myślisz, że nie wiem, czyje zdjęcie mam na ścianie? – No coś ty – mówię. Peder wzywa kelnerkę. Może poszła do domu. Nie ma tu żadnych innych gości. Może zamknęli nas w Samsonie i będziemy musieli spędzić noc wśród lepkiego zapachu drożdżówek i lukru topiącego się pod szklaną ladą. – Barnuma prawie dzisiaj pobili – mówi Peder. Vivian z jakiegoś powodu się uśmiecha. – Naprawdę? – Tylko trochę mnie poszturchali – szepczę. Peder pochyla się nad stołem – Ale brata Barnuma prawie wczoraj zabili. Vivian przygląda mi się jeszcze uważniej, a ja nagle uświadamiam sobie, właśnie w tym momencie, że nie chcę o tym rozmawiać, nie chcę mówić o Fredzie. – Dostał tylko po głbie – mruczę. Wtedy wreszcie przychodzi kelnerka, ułożyła drożdżówkę na środku wielkiego talerza i z uroczystą miną stawia go na stole. – Bardzo proszę

– mówi. Macie drożdżówkę. Na pewno w poprzednim wcieleniu była zabawniejszą osobą. – Ile rodzynek w niej jest? – pyta Peder. – Ile rodzynek? – Tak.

Ile rodzynek jest w tej drożdżówce? Nie mogę zapłacić, dopóki się nie dowiem, ile jest w niej rodzynek. To ja zaczynam wydlubywać rodzynki z drożdżówki i udaje mi się naliczyć siedem, zanim nas wyrzucają, jesteśmy prawdopodobnie jedynymi gośćmi, których wyrzucono z Samsona na Frognerveien. Idziemy chwiejnym krokiem wzdłuż szyn tramwajowych, chwiejemy się ze śmiechu, nagła myśl każe mi zadać sobie pytanie, w którym miejscu na liście ojca powinien znaleźć się ten śmiech. Czy to ten złośliwy śmiech, śmiech publiczności? Z kogo my się śmiejemy? Z kelnerki? O nie, śmiejemy się z samych siebie, to jest przełamujący napięcie śmiech na całe gardło, mistrzowski śmiech, śmiejemy się ze wszystkiego, co się nam przydarzy, ze wszystkiego, co nadejdzie, siadamy za naszym drzewem i dzielimy się rodzynkami, wypada po dwie dla każdego, a ostatnią możemy dać Montgomery’emu, który mija nas z butelką jak z czerwonym kwiatem w ręku. – Nie bardzo jesteś do niego podobny – mówi nagle Vivian. Siedzi między nami, między Pederem a mną. Nie pojmuję, o co jej chodzi. – Do kogo? Do Montgomery’ego?

Peder pieje po cichu, a Vivian się śmieje. – Do brata, to chyba jasne. Robi mi się sucho w głowie. – Skąd wiesz? – pytam szeptem. Vivian wsuwa rodzynek do ust. – Bo widziałam Freda na pogrzebie twojego ojca, ty matole. A ja myślę wyłącznie o tym, że ona wciąż to pamięta, podczas gdy ja zapomniałem. Peder gwałtownie wstaje. – I powinieneś się cholernie z tego cieszyć – mówi. Patrzą na niego. – Z czego? Peder ciągnie Vivian, pomagając jej wstać z trawy. – Czy to Barnum dzisiaj tak wolno myśli, czy to my myślimy za szybko? – To Barnum wolno myśli – odpowiada Vivian. Bierze mnie za ręce i przyciąga do siebie, a Peder kładzie mi łapę na ramieniu i mówi wolno i wyraźnie: – Powinieneś się cholernie cieszyć z tego, że nie jesteś podobny do brata.

Film nazywa się *Wielki sen*. To film dla dorosłych, ale nas wpuszczają. Jeszcze się nie zaczął. Siedzimy w rzędzie 14, miejsca 18, 19 i 20, kino Rosenberg, Vivian siedzi w środku. Gdy delikatnie, w chwili gdy gasną światła, obejmuję ją, dotykam ręki Pедера, bo on zrobił dokładnie to samo, objął Vivian. Ona odchyła się w naszych ramionach i tak siedzimy. Golf gryzie mnie w szyję, ale nie śmiem się teraz podrapać. Sala jest wypełniona tylko do połowy i wszyscy są starsi od nas. Jakiś człowiek w czarnej marynarce i czarnych okularach staje przed ekranem i mówi coś o tym, że film, który teraz zobaczymy, jest nie tylko klasykiem, jest, cholera, cięższego kalibru niż dzieła zebrane Ibsena z całym kurzem razem wzięte, a ci, którzy nie rozumieją, kto jest mordercą, będą musieli jesienią zapłacić podwójną składkę członkowską. Witamy w najgłębszym mroku!

Zduszony śmiech na sali. My też śmiejemy się pod nosem, bo tak należy się tu śmiać.

Śmiejemy się pod nosem najgłośniej ze wszystkich. – Niezłe – szepcze Peder. – Niezłe – odpowiadam mu. Ktoś się odwraca i nas ucisza. Zapadamy się w fotele i nie odzywamy się przez następnych sto dziesięć minut.

Ileż to razy oglądałem później ten film, *Wielki sen*, nie potrafię zliczyć, ale ten raz jest pierwszy, a co się może równać z pierwszym razem? Nic. Wszystko inne to powtórki, wariacje, plagiaty. Później jest już tylko dalszy ciąg. Następny raz to tylko cień. Ale pierwszy raz jest prawdziwy. Bierzesz udział, jesteś nagle obecny we własnym życiu, możesz dotknąć palcem chwili i poczuć, jak bije czas, a jednocześnie wiesz, że ta chwila już minęła, usunęła się w kilwaterze zabłoconego pulsu. Ale jeszcze nie, jeszcze nie teraz, bo pierwszą rzeczą, jaką widzimy, są papierosy odkładane na popielniczkę, dwa niedopałki, i białe litery na prawie całkiem szarym ekranie: *Humphrey Bogart* i *Lauren Bacall*. Potem widzimy tabliczkę na drzwiach z nazwiskiem Sternwood i krótki gruby palec, pomarszczony palec Bogarta, naciskający dzwonek. Drzwi otwiera dość sztywny służący, wpuszcza Bogarta, a kiedy chce zaanonsować generałowi Marlowe'a, pojawia się kobieta w krótkiej białej spódniczce, wygląda, jakby zaraz miała iść grać w tenisa, w pierwszej chwili wydaje mi się, że to Lauren Bacall, ale nie, to jej siostra, młodsza siostra, Carmen Sternwood, którą gra Martha Vickers, to właśnie ona wypowiada kwestię, której nigdy nie zapomnę, Martha Vickers patrzy na Bogarta, on nie najlepiej się tu czuje, wśród chłodu bogaczy, Martha Vickers mierzy wzrokiem tego dziwnego człowieka i mówi: – *You're not very tall, are you?* A Bogart marszczy wargi jak cienką bibułkę na zębach i odpowiada: – *I try to be.* To film dla dorosłych, słyszę, że publiczność się śmieje, a raczej chichocze pod nosem, tutaj nikt nie rzy, tylko śmieje się cichutko. Wszystkie barki podskakują w górę i w dół, w taki sposób należy się śmiać na czarno-białym filmie dla dorosłych. Kobieta w krótkiej spódniczce osuwa się nagle w ramiona Bogarta, a ja myślę prędko, bo myśli napływają teraz zewsząd i kręcą się w różne strony, że tak musiała wyglądać Czokoladowa Dziewczyna, ta z Cyrku Mundus, o której opowiadał ojciec, nagle znów pojawia się służący i Bogart musi ją od siebie odsunąć, w następnym scenie jest w szklarni, a generał siedzi na wózku

inwalidzkim. Ó, w następnej scenie jest w szklarni, a generał siedzi na wózku inwalidzkim. *How do you like your brandy, sir?* – pyta. – *In a glass* – odpowiada Bogart. Znów jest trochę zduszonego śmiechu i podskakujących barków, to właśnie w tej chwili on otrzymuje zlecenie, podczas gdy koszula lepi się do pleców, odpadam i nic więcej nie rozumiem, nie szkodzi, bo wyczuwam chłód w duchocie w szklarni, Bogart poci się wodą z lodem, mógłby dodawać jej do drinków, próbuję zmierzyć, ile ma wzrostu, nie wydaje się szczególnie wysoki, Martha Vickers miała rację, lecz może tylko sprawia wrażenie niższego, ponieważ tak wysoko podciągnął spodnie, niemal do piersi. Na dalsze myślenie nie mam czasu, bo Bogart wychodzi, ale służący prowadzi go do innego pokoju, to musi być sypialnia, jest tam bowiem łóżko, z baldachimem, pod oknem stół zastawiony butelkami, przy stole stoi kobieta, nalewa sobie do pełna, po czym odwraca się do Bogarta. To Lauren Bacall.

Widzimy Lauren Bacall po raz pierwszy. Palce Pедера dotykają mojej dłoni. Odwracam się do Vivian, ona ani drgnie. Jakby powoli nabierała oddechu, jakby wdychała całą salę.

A Lauren Bacall patrzy na Bogarta, płonie, płonie na czarno i biało, nozdrza jej się rozszerzają, jest zwierzęciem, lwicą, śmieje się śmiechem Bacall, drwi z niego. – *You are a mess, aren't you?* A Bogart odpowiada tylko: – *I'm not very tall either. Next time I'll come on stilts.* Być może opisanie tego pierwszego razu jest niemożliwe, bo robi się to zawsze później, w innym świetle, w innym czasie. Może chwila jest tylko znaczkim, który traci ząbki i wolno, lecz skutecznie nabiera wartości w twoim prywatnym zbiorze, który ubezpieczyłeś na wyższą kwotę niż rodzone dzieci. Nie możesz zachować wszystkich, całego świata, musisz wybierać, niektóre musisz wyrzucić albo zamienić na inne. Może ta chwila w kinie Rosenborg, rząd 14, miejsca 18, 19 i 20, w szarym świetle niespokojnie tańczącym na naszych twarzach, gdy tak siedzimy, bez pojęcia, na zewnątrz i wewnątrz jednocześnie, jest tylko sceną, do której teraz dopisuję nowy tekst albo podkładam nowy głos, swój głos, odzywający się w moim życiu, poprzez moje dni, moje lata, tak żeby scena pasowała do mojej historii? Ale jedno wiem na pewno: widziałem to. Słyszałem to. I nie mogę tego zapomnieć. Kiedy następnym razem patrzę na Vivian, widzę, że płacze.

Później wychodzimy na rozgrzane ulice, gdzie ojcowie myją samochody, a matki stoją w oknach oparte o parapety i z czegoś się śmieją, może z tych swoich upartych i próżnych mężczyzn, którzy przeglądają się w błyszczących maskach i lśniących deklach kół.

Przypomina to coś w rodzaju przerwy w szkole, no i znów pojawiły się kolory. Maluchy z kolanami w plastrach zawracają na rowerach z za wysokimi kierownicami i pedałują z powrotem, kiedy matki gwizdną. My jesteśmy gdzie indziej. Idziemy obok wszystkiego. – Strasznie fajny film – mówi Peder. – Tak, strasznie, ale to strasznie fajny – odpowiadam.

Cholera. – No, cholera – mówi Peder. Strasznie fajny. Vivian nic nie mówi, jest cicha, bezszelestna, skrada się. Odprowadzamy ją z Pederem do domu. Również wtedy nic nie mówi, tylko znika w bramie koło kościoła, wydaje mi się, że widzę jakiś ruch zasłon na drugim piętrze, cień, który mocniej je zaciąga. Chwilę czekamy. Światła gasną. Nic więcej się nie dzieje. Idziemy dalej Gimleveien, jakaś kobieta śmieje się głośno w restauracji w hotelu Norum, z jakiegoś pokoju słyszymy obcą muzykę, która znika za nami w wolno zapadającym mroku. – Vivian płakała – mówię cicho. Peder kiwa głową. – Słyszałem.

Płakała. Idziemy jeszcze kawałek, nic więcej nie mówiąc. Ogarnął mnie jakiś niepokój. – Dlaczego płakała? – pytam. Peder wzrusza ramionami. – Może uważała, że ten film jest smutny. – Może. A ty uważasz, że był smutny? – Nie rozumiałem z niego ni cholery – przyznaje Peder. A ty? Zatrzymujemy się przed jego domem. Wzruszam ramionami. – Lauren Bacall była całkiem niezła – mówię szeptem. Peder się uśmiecha. – Lauren Bacall j e s t całkiem niezła – odpowiada też szeptem. – Tak, cholera – mówię. Widziałeś te nozdrza, co! Peder patrzy na mnie i zaczyna się śmiać. – Ty też nie rozumiałeś z tego ni cholery. Nie zauważyłeś nawet, jak ona się nazywała w tym filmie. Śmiejemy się jeszcze trochę. Potem przestajemy się śmiać. – No a jak się nazywała? – pytam. – Vivian – mówi Peder.

Biegnę do domu, w ten niezwykle wieczór, ze wszystkimi nazwiskami na ustach. Biegnę, bo ktoś może zająć mnie od tyłu i sprać, a biegnąc, myślę o tym, co ojciec zwykł powtarzać, że najważniejsze jest nie to, co widzisz, lecz to, co ci się wydaje, że widzisz.

Co się wydawało ojcu, kiedy dysk z szumem poszybował w jego stronę, a Fred stał nieruchomy w kole i śledził ten sam dysk oczami? Co wtedy było ważniejsze, to, co widział, czy to, co mu się wydawało, że widzi? Matka już zasnęła. Boletty nie mogą znaleźć. Fred leży w łóżku. Nawet nie drgnął. Siadam przy nim. – Ktoś chce z tobą gadać – mówię. Fred przesuwając zapuchniętą siną twarz po poduszce. – Kto? – pyta szeptem. – Takich dwóch. Czekali na mnie pod szkołą. Fred milczy przez chwilę. – Jak wyglądali? – pyta wolno. – Byli identyczni. Fred śmieje się, musi zasłonić ręką usta, między palcami ukazują się krew, nagle kładzie mi rękę na ramieniu. – Chyba nic ci nie zrobili, Barnum?

A mnie tak wzrusza ta troska, Fred, który leży pobity, a mimo wszystko myśli o mnie, że nie jestem w stanie wydusić słowa. Tylko kręcąc głową. Fred odsuwa rękę z mojego ramienia. – Co powiedzieli, Barnum? – Pytali, czy żyjesz. Fred znów musi zasłonić usta podczas śmiechu, a w oczach ma łzy. – Pytali o to? – szepcze. – Tak. – I co im odpowiedziałeś? – Że żyjesz, Fred. A potem poprosili, żebyś spotkał się z nimi w Stensparken. O dziesiątej. Fred jeszcze przez chwilę się nie rusza. Chciałbym, żeby zasnął. – Która jest teraz godzina? – pyta. – Wpół do dziesiątej, Fred. Chyba nie masz zamiaru tam iść? – Odsuń się, Barnum.

Fred wstaje z łóżka. Muszę go podpierać. Ledwie jest w stanie utrzymać się na nogach.

Muszę go ubrać. Jest siny i opuchnięty na całym ciele. Fred się śmieje. Ubieram Freda. To moja wina, nie powinienem był mówić, że o niego pytali. – Nie rób tego – szepczę. – Biała koszula, Barnum. – Tak cię proszę, Fred. – Daj mi białą koszulę, Barnum. Znajduję w szafie jego białą koszulę, naciągam ją na niego i zapinam wszystkie guziki z wyjątkiem trzech górnych. – Pójdę z tobą, Fred. – W porządku. Fred nic więcej nie mówi.

W porządku. To jest w porządku. Ale nic nie jest w porządku. Wymykamy się. Matka śpi.

Boletta nie wróciła do domu. Idziemy do Stensparken. Miasto jest ciche. Ciemność łagodna. Bzy lśnią. Idziemy na górę, na Blåsen. Na ostatnim kawałku muszę Freda popychać. Siadamy na ławce. Stąd widzimy prawie wszystko, a mało kto może zobaczyć nas. Nikogo nie widać. – Słyszałeś o Człowieku Nocy? – pytam. Fred nie odpowiada.

Tylko patrzy. Obserwuje. – Człowiek Nocy zakopywał tu konie, Fred. Martwe konie. Ale w ciągu dnia nikt go nie widział. – Zamknij się – szepcze Fred. – To prawda – mówię. – Wierzysz w takie brednie? I wtedy się pojawiają. Jest ich czterech. Idą wolno pod górę za kościołem. Rozglądają się prędkimi ukradkowymi spojrzeciami, niespokojnymi. Idą blisko siebie, gromadą, ledwie da się ich od siebie odróżnić, ale dwóch z nich poznaję, bliźniaków. Pokazuję palcem. Fred odsuwa moją rękę. Fred siedzi. Ja mam ochotę uciekać. – Zaczekaj – szepcze. Uśmiecha się. Teraz to my jesteście ludźmi nocy, Barnum.

Fred ściera uśmiech z twarzy i wstaje, jak kaleka. Schodzimy w dół po schodach, do fontanny w rogu. Widzimy ich. Oni nas nie widzą. Stoją przy karuzeli. – Godzina – szepcze Fred. Pokazuje mu. Jest dziesiąta. Fred kiwa głową. Zaczyna iść. Kuleje. Idę za nim.

Odwraca się. – Zaczekaj tutaj, Barnum. Ale banda na górze już go zauważyła. Któryś z nich woła go po imieniu. Fred się zatrzymuje. Stoję tuż za nim. Jego biała koszula lśni.

Chyba rozumiem, dlaczego chciał włożyć akurat tę. Stoi nieruchomo. Mierzą się nawzajem wzrokiem, Fred i banda przy karuzeli. Jest ich czterech. Fred i ja to dwóch. A raczej jeden i pół. Nikt się nie porusza. Jesteśmy pomnikami w Stensparken. Kto wytrzyma dłużej? Kto zdoła wgryźć się w tę noc? Kto jest mocniejszy w czekaniu? Fred. Tamci zaczynają wolno schodzić w naszą stronę. Fred trzyma ręce za plecami. Jego biała koszula lśni. Nie rusza się. Tamci zatrzymują się w odległości zaledwie paru metrów. Wpatrują się we Freda.

A ja wyobrażam sobie, że Fred się uśmiecha, pokaleczonymi ustami, ale nie widzę tego, bo stoję za nim. – Jasna cholera – mówi jeden z nich, ma podbite oko, może to sprawka Freda. I przez moment wydaje mi się, że zaraz się na Freda rzuci, ale on robi krok do tyłu i staje między bliźniakami. Za to ten czwarty podchodzi jeszcze bliżej. Wsuwa rękę do kieszeni kurtki. Fredem od łokci po barki wstrząsa dreszcz, potem znów wszystko jest spokojne. Tamten chłopak wyjmuje paczkę Teddy, wypstrykuje z niej dwa papierosy i jednego daje Fredowi. – Jestem Erling – mówi. Ale prawie wszyscy mówią na mnie Tiger. Fred ledwie zauważalnie kiwa głową i przyjmuje papierosa. Erling, ten, którego prawie wszyscy nazywają Tiger, dostrzega mnie w cieniu Freda. – Ty też chcesz? – pyta. – On nie pali – mówi Fred. Powtarzam w duchu: *How do you like your brandy, sir? – In a glass.* Erling zapala papierosy błyszczącą zapalniczką. Stoją tak przez chwilę, palą w milczeniu, chyba nigdy jeszcze wypalenie jednego papierosa nie trwało tak długo, księżyc mruga, wreszcie rzucają pety na ziemię, zdeptują je czubkami butów, a iskry pryskają na wszystkie strony. Wygląda to tak, jakby ich buty zaraz miały stanąć w ogniu.

Potem Fred znów zakłada ręce za plecy. Erling na niego patrzy. – Potrafisz też bić? – pyta.

Pyta, czy Fred potrafi bić. Widzę jego ręce na plecach, które się rozluźniają. – Może.

Chłopak przez chwilę patrzy na Freda, potem odwraca się do tamtych. – Podejź tu, Tommy. Teraz ten z podbitym okiem podchodzi do Freda i staje tuż przed nim. Fred się waha. Potem uderza. Ale ten, który ma na imię Tommy, robi szybki unik górną połową ciała, przypomina to ruch pływaka i cios przelatuje mu tylko po skroni. – Au – mówi Tommy i wraca do bliźniaków. Erling długo patrzy na Freda i znów wyjmuje paczkę papierosów. I teraz nie wiem, co nastąpi. Fred uderzył, ale nie wcelował, odwraca się do mnie, a ja widzę nagle zmieszanie na jego twarzy, bo on też nie wie, co się teraz stanie, jaki będzie następny ruch, a przez to jego zmieszanie boję się podwójnie. Erling, Tiger, wyciąga z paczki jeszcze dwa papierosy. – Lepszy jesteś do bicia niż w biciu – mówi.

Wtedy Fred uderza jeszcze raz. Mam wrażenie, że czuję ten cios, czuję, jak trafia, trzęsę się, jestem wstrząśnięty, ze szczęścia i ze strachu. Erling pada na ziemię, a papierosy toczą się w dół po zboczku. Myślę nagle: Teraz pochowamy martwe konie. Fred stoi, z ręki cieknie mu krew. Tommy i bliźniacy podchodzą o krok bliżej, a Fred podnosi obie ręce, są oporne, nie może ich całkiem podnieść. Ale oni wcale nie chcą dopaść Freda. Zamiast tego zaczynają liczyć. Liczą wolno do dziewięciu, lecz zanim powiedzą dziesięć, Erling wstaje i się uśmiecha. – Nie najgorzej – mówi. Ale jeszcze dużo się musisz nauczyć.

Siadamy? Erling i Fred idą do ławki koło przedszkola i tam rozmawiają. Nie słyszę, co mówią. Tommy zbiera papierosy. Bliźniacy się czeszą. Ja się nie ruszam. Nie wiem, ile czasu to trwa. Fred i Erling rozmawiają. Głównie Erling mówi. Potem przez chwilę siedzą w milczeniu, a kiedy wstają, podają sobie ręce, jak gdyby coś uzgodnili. Erling, Tommy i bliźniacy schodzą na dół obok szaletu. Fred idzie dalej naokoło Blåsen. Biegnę za nim. – Pogodziliście się? – pytam. Fred nie odpowiada. – Skąd oni wiedzieli, kim ja jestem?

Fred zatrzymuje się i patrzy na mnie. Jedna z ran na twarzy mu pękła. – Co? – Skąd wiedzieli, że jestem twoim bratem, Fred? – Wszyscy wiedzą, kim jesteś, Barnum – mówi wolno. – Dlaczego? Dlaczego wszyscy wiedzą, kim jestem? Fred ściera krew i się zastanawia. – Zapomnij o tym – rzuca cicho i idzie dalej. Nie mogę tego zapomnieć.

Naprawdę wszyscy wiedzą, kim jestem, nie tylko w szkole, ale w całym mieście, po drugiej stronie rzeki, w ostatnich ciemnych zaułkach Vika i aż w okolicach portu i nabrzeży? Ale Fred nie ma siły na dalszą rozmowę. Kiedy wracamy do domu, matka stoi w przedpokoju, jest wściekła i wychodzi z siebie. – Gdzie wyście byli? – krzyczy. Fred tylko ją mija, matka więc zatrzymuje mnie. – Poszliśmy się przejść – mówię. Matka pochyla się nade mną. – Przejść? W środku nocy? – Fred musiał się przewietrzyć, mam.

Prawie nie mógł oddychać. To z powodu nosa. Matka mnie puszcza i wczepia się we własną koszulę. – Zabijecie mnie któregoś dnia – szepcze. Próbuję ją objąć. ? Ale? skąd ? m?wi?. Matka tupie nog?. ? W?a?nie ?e?tak! No?to bardzo prosz?, zabijcie mnie! Znikajcie w??rodku nocy w?bia?ych koszulach ze?wstrz?sem m?zgu! Nagle patrzy na?mnie. ? To?nie mia?o nic wsp?lnego z?tym, ?e?go tak pobito, co? Kr?c? g?ow? i?wytrzymuj? spojrzenie matki. ? Brakuje ci?ojca? ? pytam. I?widz?, ?e?w tym momencie na?jej twarzy pojawiaj? si? szczeliny, i?zanim matka oprze si? na?mnie, mam jeszcze czas, ?eby pomy?le?, ?e?mamy tak wiele twarzy, ca?y czas je?zmieniamy, nosimy ze?sob? tyle twarzy, na?ile starcza nam miejsca, twarzy i?imion. Matka u?miecha si?, oddech ma?wilgotny. ? Tak, synku. Brakuje mi?ojca.

Trzy dni później przysłała do mnie poczta. Pierwszy raz w życiu dostałem list. Moje nazwisko wypisano na kopercie. Moje nazwisko i mój adres. To byłoby tak, jak został odkryty, zaistniał. Kto mnie znalazł. Ten list przeniesiono przez miasto i wrzucono do worka ciwej skrzynki. Zadałem sobie w duchu pytanie, jeszcze zanim zainteresowałem się, od kogo jest ten list: czy ten znaczek będzie coś wart. Siedzieliśmy w kuchni i jedliśmy obiad. Było co najmniej trzydzieści stopni w cieniu. Piliśmy się od samego podnoszenia widelca. Fred też był z nami. Pił wodę i jadł ziemniaki. Twarz zaczął a mu się goić jakby w nieważnej kolejności. Musiałem patrzeć na niego dwa razy, żeby go poznać. Na co się gapisz? spyta. Na nic? odparłem prędko. Fred położył palec na nosie i zaczął go popychać na boki. Trzaskało. Boletta zatkała uszy. I w końcu wtedy matka wyjechała kopertę i podała jej ponad sto. Tak się cieszyła, w moim imieniu, dostałem list z Oslo, może nawet już go czytała. Jest list do ciebie. Spowolniałem i ucichłem. Poduńnymi literami napisano: ć. – Ależ skąd – mówię. Matka tupie nogą. – Właśnie że tak! No to bardzo proszę, zabijcie mnie! Znikajcie w środku nocy w białych koszulach ze wstrząsem mózgu! Nagle patrzy na mnie. – To nie miało nic wspólnego z tym, że go tak pobito, co? Kręcę głową i wytrzymuję spojrzenie matki. – Brakuje ci ojca? – pytam. I widzę, że w tym momencie na jej twarzy pojawiają się szczeliny, i zanim matka oprze się na mnie, mam jeszcze czas, żeby pomyśleć, że mamy tak wiele twarzy, cały czas je zmieniamy, nosimy ze sobą tyle twarzy, na ile starcza nam miejsca, twarzy i imion. Matka uśmiecha się, oddech ma wilgotny. – Tak, synku. Brakuje mi ojca.

Trzy dni później przysłała do mnie poczta. Pierwszy raz w życiu dostałem list. Moje nazwisko wypisano na kopercie. Moje nazwisko i mój adres. To było tak, jak zostać odkrytym, zaistnieć. Ktoś mnie znalazł. Ten list przeniesiono przez miasto i wrzucono do właściwej skrzynki. Zadałem sobie w duchu pytanie, jeszcze zanim zainteresowałem się, od kogo jest ten list: czy ten znaczek będzie coś wart? Siedzieliśmy w kuchni i jedliśmy obiad. Było co najmniej trzydzieści stopni w cieniu. Pociliśmy się od samego podnoszenia widelca. Fred też był z nami. Pił wodę i jadł ziemniaki. Twarz zaczęła mu się goić jakby w niewłaściwej kolejności. Musiałem patrzeć na niego dwa razy, żeby go poznać. – Na co się gapisz? – spytał. – Na nic – odparłem prędko. Fred położył palec na nosie i zaczął go popychać na boki. Trzaskało. Boletta zatkała uszy. I właśnie wtedy matka wyjęła kopertę i podała ją ponad stołem. Tak się cieszyła, w moim imieniu, dostałem list z Oslo, może nawet już go czytała. – Jest list do ciebie. Spowolniałem i ucichłem. Podłużnymi literami napisano: *Barnum Nilsen*. Barnum Nilsen. Moje nazwisko, a pod spodem adres. Tak, zostałem odkryty, odnaleziony, byłem człowiekiem, bez najmniejszych wątpliwości, byłem kimś, z kim można się liczyć. Potem rozciąłem kopertę nożem i przeczytałem. List był od ojca Pедера. Oczywiście zrobiły mi się ciężkie. Matka się uśmiechnęła. – Przeczytaj głośno, Barnum! I przeczytałem głośno, najciszej, jak potrafiłem, to, co napisał Oscar Miil, wesoły i ostrożny człowiek. – *Kochany Barnumie. Ponieważ Ty i Peder tak bardzo się ze sobą zaprzyjaźniliście, z czego my ogromnie się cieszymy, chcielibyśmy zaprosić Cię na wakacje do naszego letniego domku na Ildjernet, jeśli Twoja matka wyrazi zgodę.*

Popatrzyłem na matkę. – W porządku czy nie? Kiwnęła głową kilkakrotnie. – Oczywiście.

Ale nie przeczytasz do końca? – Już wszystko przeczytałem – szepnąłem. – Nie, Barnum. – Właśnie że tak – zaprzeczyłem. Ale matka wyjęła mi list z ręki i czytała dalej: – *Twój brat również będzie serdecznie u nas widziany! Pozdrowienia od Oscara Miila.* Spuściłem wzrok. Fred prędko wciągnął powietrze przez krzywy nos, towarzyszący temu odgłos przypominał ten, jaki wydawał ojciec we śnie, przeszył mnie dreszcz. – Nie byłoby miło, Fred? – spytała matka. Usłyszałem, że Fred się uśmiechnął. – Nie mogę – powiedział tylko. – Nie możesz? A czym będziesz tak zajęty latem? – Będę trenował. Popatrzyłem na Freda. Matka wolnym ruchem złożyła list od Oscara Miila i nawet Boletta opuściła sztucce. – Trenował? Co trenował, jeśli wolno spytać? – Zapisałem się do Klubu Bokserskiego Centrum, jeśli już koniecznie musisz to wiedzieć. Nałożył sobie więcej ziemniaków i rozgniół je na miazgę. Wokół stołu zapadła cisza, a ja czułem taką ulgę.

Fred będzie trenował. Najpierw go pobili, a potem namówili go do zapisania się do Klubu Bokserskiego Centrum, i teraz on nie mógł jechać na wakacje do rodziny Pedera. Wszystko się ze sobą wiązało. Zawsze jedno pociąga za sobą drugie. Byłem szczęśliwy i zawstydzony – Nie będziesz się boksował w żadnym klubie – oświadczyła matka ze złością na twarzy. Fredowi nie chciało się odpowiadać. Jadł ziemniaki. – Mało dostałeś, co? Spójrz na siebie, Fred. Fred tylko wzruszył ramionami. – Boks to nie jest bicie – powiedział. Matka wychyliła się nad stołem. – A może to Klub Bokserski Centrum cię pobije, co? Fred zaśmiał się cicho. – Za dużo się nad tym nie zastanawiaj. Matka prychnęła.

Boletta położyła jej rękę na ramieniu. – A gdzie leży to Ildjernet? – spytała. Matka ciężko westchnęła i na nowo rozłożyła list. Tak to już było. Dobre wiadomości nigdy nie pojawiały się same. A złe wiadomości mogły być dobre dla innych. Fred zamierzał trenować boks, a ja jechałem na wakacje z moim najlepszym przyjacielem i nie musiałem zabierać ze sobą Freda. Ojciec Pedera na odwrocie kartki narysował mapę. Ildjernet okazało się wyspą na Oslofjorden i żeby tam dojechać, musiałem popłynąć statkiem wzdłuż całego półwyspu Nesoddlandet. Zaraz poszedłem do pokoju i zacząłem się pakować. Fred też wkrótce przyszedł. Położył się na łóżku. Bałem się na niego spojrzeć.

Pakowałem się. – Tylko nie jedz za dużo makreli – oświadczył w końcu. – Dlaczego? – spytałem. – Nie wiesz? – Nie wiem, a bo co? – Makrele żrą niemieckie trupy. Te, co leżą na dnie fiordu. – Nie pieprz, dobra? – Więc kiedy jesz makrełę, to tak naprawdę jesz niemieckiego trupa. Odwróciłem się do Freda. – Możesz ze mną jechać – szepnąłem. On tylko zamknął oczy. Wyglądał tak, jakby w jego twarz wszedł z wizytą jakiś obcy i nie chciał się wynieść. – Cicho – powiedział. Nie kłam.

Następnej soboty, w wieczór świętojański, stałem na pokładzie „Prinsen” i machałem na pożegnanie matce i Boletcie, chociaż mówiłem, że mają mnie nie odprowadzać.

Wkrótce na szczęście przestałem je widzieć, zegar na wieży Ratusza zmienił się w zegarek na rękę, a miasto zapadło się w błękitnym wietrze. Patrzyłem, jak wszystko, co miałem opuścić, znika mi z oczu. Nie miałem choroby morskiej. Czułem się silny. Wcześniej sam jechałem tylko raz, pociągami, kiedy matka, Boletta i lekarz szkolny uznali, że jestem za chudy i wysłali mnie na wieś na tuczenie, ale o tym wolałbym nie mówić, nie, wcale nie chcę o tym mówić, zapomniałem o tym, na dobre. Teraz było zupełnie inaczej. Jechałem do kolegi. Za Flaskebekk zaczęło kołysać. Wniosłem starą walizkę ojca do salonu i kupiłem małą colę w kiosku. Pasażerowie uśmiechali się do mnie. Jechaliśmy na letnie wakacje. Ja się uśmiechałem do nich. Jakaś starsza pani o rzadkich włosach i twarzy pełnej zmarszczek pochyliła się nad koszykiem, w którym leżał i powarkiwał mały szczeniak. – Daleko jedziesz? – spytała i suchą dłonią przecesała mi kędziory. Postanowiłem, że będę uprzejmy. – Aż do końca – odparłem. A na Ildjernet, na ostatnim pomoście, tuż przed miejscem, gdzie fiord zakręca i rozszerza się ku pełnemu morzu, przez które Stara, Boletta i król Haakon przyплыnęli kiedyś i po raz pierwszy ujrzeli Oslo, czekali na mnie Peder i jego ojciec. Zniosłem walizkę po trapie. Peder podbiegł do mnie. Już zdążył się opalić i schudł. Prawie go nie poznałem i przez moment poczułem zazdrość, ale nie wiedziałem o co. Peder zatrzymał się tuż przede mną i wyciągnął rękę. – *You're a mess* – powiedział. – *Next time I'll come on stilts* – odparłem. Peder westchnął. – Mylisz się, Bogart. Masz najpierw powiedzieć: *I'm not very tall either*. – *I'm not very tall either* – powtórzyłem. – No to od początku – powiedział Peder i nabrał powietrza. Gotowy? – Gotowy jak cholera. – *You're a mess, mister Barnum Nilsen*. – A ty się cholernie opaliłeś.

Peder jęknął i o mało nie wrzucił mnie do wody. Podszedł wtedy do nas jego ojciec, miał fajkę w ustach i okulary przeciwsłoneczne założone na normalne. Wziął moją walizkę. – Przejdziemy na drugą stronę, zanim wakacje się skończą, chłopcy? Poszliśmy za nim aż do miejsca, w którym się zatrzymał, przy wąskim wiszącym moście rozciągającym się między stałym lądem a wyspą, na której stał ich letni domek. Ojciec Pedera popatrzył na mnie. – Masz lęk wysokości, Barnum? – Jeszcze nie – powiedziałem. Peder się roześmiał. – Barnum jest taki niski, że nie wie, co to jest lęk wysokości. Ojciec na chwilę musiał zdjąć obie pary okularów. – Coś ty powiedział, Peder? – Nic – odparł Peder i wbiegł na most.

Ja szedłem w środku, a ojciec Pedera z tyłu. – Nie patrz w dół! – zawołał. Popatrzyłem w dół. Cały most się kołysał, a głęboko w dole przetaczały się fale. Zamknąłem oczy, lecz wtedy wiatr jeszcze się wzmógł, wiatr w głowie, fale w ustach, próbowałem przytrzymać się poręczy, ale była nią tylko lina wijąca mi się w rękach, usłyszałem, że Peder ciągle się śmieje, i nagle pomyślałem o Der Rote Teufelu, wisiałem pomiędzy stałym łodem a Ildjernet i nie mogłem powstrzymać się od myślenia o Czerwonym Diablu, który umarł od śmiechu. – Nie patrz w dół! – woła ojciec Pedera jeszcze raz. Peder dalej się śmieje, na pewno urodził się na tym wiszącym moście. Obraca się i wyciąga ramiona, jakby chciał mnie objąć. – To nic groźnego – mówi. To był niezwykle tydzień, niezwykle tydzień w moim najwspanialszym lecie, pierwszym lecie u Pedera na Ildjernet, nie pamiętam już kolejności, w jakiej wszystko się wydarzyło, to jak film pocięty przypadkowo, być może koniec znajduje się gdzieś w środku akcji, jak zagadka, którą rozumie się dopiero później, a być może nigdy. Gdy wróciłem do domu, opalony, Fred czekał na nabrzeżu, a zegar na wieży Ratusza znów powoli ukazywał się moim oczom ze swymi ciężkimi wskazówkami i złoconymi cyframi, miałem wrażenie, jak gdyby dni na Ildjernet rozszerzały się, zmieniały w bukiet rozchylony na wszystkie strony, a gdyby wyjęło się jeden kwiat z tej klepsydry, z tego niebieskiego wazonu, reszta natychmiast by zwiędła. Ale coś się tam wydarzyło tego lata, nie bardzo wiem co, tak jakoś się zdarzyło, cicho i powoli. Oto, jak zaczyna się moje lato: Puszczam linę, otwieram oczy i wpadam wprost w ramiona matki Pedera, która siedzi w wózku inwalidzkim po drugiej stronie. – Cześć, Barnum. Dobrze minęła podróż? Oddycham z ulgą. – Tak. Ale koło Flaskebekk nieźle bujało. Peder ze śmiechem obraca wózek. – A teraz Barnum nabawił się lęku wysokości – oznajmia. Z powrotem będzie musiał jechać z tobą! Ojciec Pedera poklepuje mnie po plecach, a ja zachodzę w głowę, w jaki sposób matka Pedera się tu dostała, bo wózka inwalidzkiego na wiszącym moście nigdy

dotychczas nie widziałem. Peder zawozi matkę w cień za niskim białym domkiem na środku wyspy, a potem pokazuje mi pokój, w którym będziemy spać. Pod oknem stoi łóżko, podwójne, Peder rzuca się na nie i leżąc, przygląda się, jak się rozpakowuję. Niemało ze sobą przywiozłem, bo lepiej jest zabrać za dużo, kiedy zamierza się spędzić cały tydzień na wyspie u przyjaciela. Mam między innymi piżamę, buty do pływania, dwie pary kąpielówek, żebym od razu po kąpieli mógł się przebrać w suche i dzięki temu uniknąć przeziębienia, mam też zapasową bieliznę, pudełko kremu do opalania, ołówek i kartkę, na której matka zapisała nasz numer telefonu i adres, na wszelki wypadek, nie zapomniałem również olejku przeciwkomarowego, grzebienia i dezodorantu, nie mówiąc już o starym aparacie fotograficznym. – Zamierzasz zostać tu do końca życia czy jak? – pyta Peder. A ja odwracam się w stronę łóżka i robię mu zdjęcie:

Pederowi leżącemu z rękami pod głową i jego uśmiechowi, jednemu oku zamkniętemu, jak gdyby Peder się ze mnie naigrawał albo właśnie opowiedział niezły dowcip, nagiej górnej połowie ciała, brzuchowi wystającemu trochę zza paska krótkich spodenek, mimo że Peder leży płasko, rozsuniętym palcom u nóg i cieniowi, który dzieli zdjęcie na pół, ukośnie, od rogu do rogu. Tak właśnie zapamiętałem Pedera, na łóżku, pierwszego letniego dnia, który spędziliśmy razem. Potem Peder patrzy na mnie już obojgiem oczu. – Po której stronie chcesz spać? – pyta. Stoję. – Wiesz, co było w tej walizce, Peder? – Nie mam pojęcia. – Oklaski. Peder znów przymyka jedno oko, jak gdybym to ja teraz z niego drwił. – Oklaski? – No. Odziedziczyłem ją po ojcu. Peder leży i myśli. – Ale teraz już nie ma w niej oklasków? – pyta w końcu. Kręcę głową i ostrożnie kładę się przy nim. Materac jest miękki, na środku ma głęboki dołek, w który się staczamy. Peder ma ciepłą skórę, rozpaloną, gdy go trącam. – Walizka z oklaskami – szepcze Peder. Fajne. Wyciągam krem Nivea, zdejmuję pokrywkę, zanurzam palec w białej gęstej masie i zaczynam go smarować. Peder się obraca, ramiona ma czerwone, a z pleców schodzi mu skóra. Zrywam cienkie płatki. A między łopatkami widzę ślad po ukąszeniu komara. Muszę go podrapać.

Później zdejmuję ubranie, w którym przyjechałem, przebieram się w kąpielówki, a Peder smaruje mnie, bardzo się stara, nie omija żadnego miejsca, w którym mógłbym się spalić.

Potem leżymy spokojnie. – Zastanawiałeś się, w jaki sposób mama się tutaj dostała? – pyta nagle. – Może łodzią? – Nie. Przepłynęła wózkiem. – To nieprawda. – Ależ tak, po prostu bierze rozbieg z nabrzeża i pruje na drugą stronę. Mniej więcej tak jak parowiec. – Naprawdę? – No tak. Wszyscy przychodzą na nabrzeże, kiedy matka ma się przeprowić na wyspę. Ludzie cieszą się na to cały rok. A ja mam przed oczami matkę Pedera w wózku inwalidzkim na fiordzie, zamykam oczy i wyobrażam to sobie, wózek wśród fal, wtedy ktoś nas woła, z daleka, ze słońca i wiatru. Mimo wszystko leżymy jeszcze przez chwilę. – Cieszę się, że tu jesteś. – Ja też, Peder. Potem wybiegamy na taras, gdzie pod parasolem stoi nakryty stół, siadamy w miękkich fotelach i nalewamy do szklanek żółtego soku, pijemy słodki sok, a nad obrusem krąży osa i bzyczy, pozwalamy jej tak bzyczeć.

W szerokich drzwiach salonu ukazuje się ojciec, prawie owinięty cienkimi zasłonami.

W rękach trzyma rondel i się uśmiecha. – Głodni, chłopcy? – Jak cholera – odpowiada Peder. Ojciec robi krok i wychodzi z zasłon, stawia rondel na stole. – Nie przeklinaj na mojej wyspie. Peder się śmieje. Zaglądam do garnka. To ryba. Ojciec Pedera zwija gazetę w trąbkę i próbuje zabić osę, lecz ani razu nie trafia. Potem podnosi okulary słoneczne i patrzy na plażę, na trampolinę. – Maria! – woła. Jedzenie! Wkrótce słyszę koła wózka, może przydałoby się im smarowanie, matka Pedera wytacza się z cienia, a Peder z ojcem przesadzają ją na zwykłe krzesło, przez moment widzę jej szczupłe ciało, biodra, samą skórę i kości, szarą obwisłą skórę na kościach, ona wie, że to widziałem i że się tego boję, brzydę, chociaż teraz patrzę w zupełnie inną stronę, na żaglówki na fiordzie, na łódź rybacką, powolne serce fiordu, na osę, która wraca i siada na brzegu mojej szklanki, na słońce odbijające się w widelcach, i myślę o wszystkim, czego nie powinno się oglądać, co równie dobrze mogłoby człowieka ominąć, raz zobaczyłem, jak Fred stoi przed lustrem w sypialni matki, pochylił się i pocałował, a raczej polizał własne odbicie, nie chciałem tego oglądać, bo wszystko, co zobaczymy, niesiemy ze sobą, każdy widok wtapia się w wielki obraz, zbyt ciężki dla naszych oczu, lecz mimo wszystko muszę spojrzeć jeszcze raz, nie mogę się powstrzymać, na jej chude nogi widoczne spod pledu, który odsunął się trochę na bok, jest prawie sina, cała pomarszczona, uśmiecha się, naciągając pled na kolana. – Nakładaj sobie pierwszy, Barnum – mówi. Peder przysuwa mi rondel. Czuć zapach octu. To ryba na zimno. Ojciec Pedera otwiera dwa piwa, jedno daje matce. Piją wprost z butelek. – Makrela! – oznajmia ojciec i odwraca się do mnie. – Makrela? – powtarzam szeptem. – Pyszna tłusta makrela, Barnum. W tym roku makrele przyplłynęły wcześniej, ale mnie nie oszukały! Peder ziewa i przekręca parasol, po obrusie przesuwają się cień, jak gdyby ktoś odwrócił szklankę. Kładę sobie na talerzu najmniejszą część, jaką mogę znaleźć. Matka Pedera się śmieje. – Nie musisz być taki skromny, Barnum! Na szczęście Peder bierze ode mnie

rondel i on nie jest taki skromny. – Jeśli nie zjesz co najmniej trzech makreli, ojciec poczuje się cholernie urażony – mówi. Próbuje się śmiać.

Ojciec Pedera odstawia butelkę z piwem. – Makrele są nie tylko smaczne, chłopcy. Są też zdrowe. Zobaczcie tylko, ile tłuszczu mają pod futrem! – Makrele nie mają futra – mówi Peder. Śmieje się głośno, ale ojciec Pedera z westchnieniem przeciąga palcem po błyszczącej rybiej skórze. Spuszczam głowę. Makrela na talerzu. Niemieccy żołnierze. Na dnie fiordu. Niemiecki trup na talerzu. Ta wojna dalej trwa. Dopiero teraz czuję chorobę morską. Nie mogę się jej poddać. Nie wolno mi się zrzygać. Bo jeszcze matka Pedera pomyśli, że to przez nią rzygam, że nie zniosłem widoku jej sparaliżowanego ciała pod pledem, jej skóry i kości. Nie mogę do tego dopuścić. Przełykam ślinę, gładkie mięso, gładkie mięso z dna morza prześlizguje się w dół, wstaję, obchodzę dom, nie odwracając się, klękam i rzygam w trawę. – Co się z tobą dzieje, Barnum? Wycieram usta wierzchem dłoni, ma smak kremu do opalania i octu. Peder stoi za mną. – Nie znoszę makreli – szepczę. Peder kuca nade mną. – Musisz się porzygać, żeby się do tego przyznać?

Teraz Fred trenuje. Wbiega po wszystkich kuchennych schodach, dwanaście razy, żeby nikt nie widział, że Fred biega. Teraz robi trzydzieści pompek w naszym pokoju, a następnym razem zrobi pięćdziesiąt. Potrafi się zbudzić w środku nocy, niespokojny, położyć się na podłodze, zrobić czterdzieści pompek, a potem znów biegnie na strych.

Teraz wchodzi do Klubu Bokserskiego Centrum na Storgata, wszyscy się na niego oglądają. Fred słyszy zamierające ciosy, widzi jeszcze rozkołysane worki z piaskiem, uśmiechy na spoconych twarzach. Oto przychodzi ten, którego leje się najlepiej w całym mieście. Cieszą się.

Peder zaprowadził mnie z powrotem do stołu na tarasie. – Barnum wierzy, że makrele to przebrani niemieccy żołnierze – mówi. Matka lekko się uśmiechnęła i delikatnie dotknęła palcami mojej ręki. – Lepiej się już czujesz? Kiwnąłem głową. Ale ojciec Pedera szeroko otworzył oczy, o mało nie wywracając przy tym butelki z piwem. – Coś ty powiedział, Peder? – Brat Barnuma powiedział mu, że makrele to niemieccy żołnierze. Ojciec Pedera wolno obrócił się do mnie, jak gdyby chciał, żeby jego myśli również nadażyły za tym obrotem. – Naprawdę twój brat tak powiedział? – Tak – szepnąłem. Ale on na pewno tylko sobie żartował. Ojciec wsadził teraz całą rękę do garnka i wyciągnął największą makrelę, jaką mógł znaleźć. – Powiedz, czy to jest hitlerowska ryba, co? Czy ma na przykład wąsik? – Ma futro – powiedział Peder. – Wobec tego to rosyjska makrela – stwierdził ojciec. Zaraz zobaczymy. Potem ją zjadł, wepchnął sobie całą rybę do ust, długo ją żuł, rozglądając się dokoła, trochę pobladł i musiał zdjąć okulary słoneczne. – *Wo ist Blücher, mein Schiff? Ich muss zu Oslo fahren!* – Jesteś pijany! – zawołała matka Pedera.

Wybuchnęliśmy śmiechem i śmialiśmy się tak, że musieliśmy usiąść na ziemi, żeby nie pospadać z krzesel. Ojciec wypił jeszcze więcej piwa, przelękając makrelę. – Chyba dziś wieczorem będą kiełbaski, chłopcy. Przez resztę dnia zbieraliśmy drewno na ognisko, a kiedy ciemność nasunęła się nad fiord, jedynie jako lekki cień, odpływ światła, i wciąż było ciepło, łagodnie ciepło, ojciec podpalił deski i kije, które ustawiliśmy w stromą wieżę nad brzegiem, niedługo potem zobaczyliśmy wszystkie inne ogniska, błyszczące ruchliwe punkciki dookoła, z najbliższych brzegów dochodziła muzyka, płomienie i głosy stawały się wyraźniejsze z każdą upływającą sekundą tego wieczoru, jak gdyby to czas uwypuklał wszystko, a nie ciemność. Zjedliśmy ostatnie kiełbaski, włożyliśmy swetry i usiedliśmy bliżej siebie. Peder liczył ogniska, doszedł do dwudziestu ośmiu, było o trzy więcej niż w poprzednim roku. Nie pamiętałem, kiedy ostatnio odczuwałem taki spokój, a może w ogóle nigdy go nie czułem i dopiero teraz dowiedziałem się o jego istnieniu, o istnieniu mojego głębokiego, niezaznanego dotychczas spokoju.

Kiedy matka zasnęła, Peder zawiózł ją ścieżką do domu. Ja zostałem z jego ojcem.

Ognisko wolno się dopalało, inne ogniska też już zgasły jak lampki nocą. – Twój brat nie mógł z tobą przyjechać? – spytał ojciec Pedera. – On trenuje – powiedziałem. – Co trenuje? – Boks. Ojciec Pedera roześmiał się i zapalił fajkę. – Boks. Aha. *The noble art of self-defence*. – Może makrela zjadła angielskiego żołnierza – powiedziałem. Ojciec roześmiał się i mnie objął. – Czy twój brat potrafi się boksować? – W każdym razie doskonale daje się pobić – odparłem. Ojciec Pedera wysypał popiół z fajki do wody. – Ach tak? To również jest sztuka, Barnum. I niektórzy są w tym lepsi od innych.

Peder nie wracał. Cicho poszliśmy do domu. Ojciec Pedera nagle ujął mnie za rękę i długo ją trzymał. Kiedy wreszcie mnie puścił, poszedł z powrotem do czarnego ogniska i tam stał. Usłyszałem gdzieś zgrzyt kółek wózka, a może to tylko wiszący most trzeszczał na wietrze. Wbiegłem do pokoju. Peder już spał. Rozebrałem się i położyłem po swojej stronie, ostrożnie, żeby go nie obudzić. Peder się obrócił, trochę pochrapał, ale zaraz oddech mu się wyrównał i uspokoił. Nie pamiętam, czy coś mi się śniło. Wydaje mi się, że po prostu spałem. Nie mogłem utracić swego spokoju.

Następnego dnia wcześniej rano obudziła nas matka Pedera. – Chcę was namalować! – zawołała. Przyjechała aż do nas. Natychmiast usiadłem na łóżku, taki lekki miałem sen, spałem tak, jak nauczyła mnie Stara, z otwartymi oczyma. Peder tylko naciągnął kołdrę na głowę i jęknął. – Barnum ma aparat fotograficzny. Zrób nam lepiej zdjęcie. Oszczędzisz dużo czasu. Matka wychyliła się na wózek i ściągnęła z niego kołdrę. Peder był nagi.

Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby Peder się czerwienił, i później też nigdy tego nie zobaczyłem. Poczulem, że i ja się czerwienię, ale w moim wypadku to nie był wcale ostatni raz. Policzki stanęły mi w płomieniach, powoli zacząłem się spalać. Matka Pedera też na moment się zawstydyła, w każdym razie musiała mocno przytrzymać się kółek.

Peder szarpnął kołdrę i z powrotem się zakrył. Matka prędko się uśmiechnęła. – Nie obrażaj mnie, Peder. Przyjdźcie za kwadrans na trampolinę, dobrze, Barnum? – Jasne – szepnąłem. Potem matka Pedera wyjechała z pokoju, ale on dopiero po pewnym czasie wysunął głowę spod kołdry i popatrzył na mnie. – W piżamie nie mogę zasnąć – powiedział.

Przez cały dzień siedzimy na skale przy trampolinie, matka Pedera zaparkowała wózek w migotliwym cieniu pod jabłonią i tam nas maluje. Na głowie ma duży biały kapelusz i właściwie tylko ten kapelusz widzimy. Na niebie nie ma ani jednej chmurki, opalamy się, a Pederowi płowieją włosy, ładnie mu z tym, chociaż ma kwaśną minę. Zastanawiam się, czy matce Pedera uda się namalować to, że się zmieniamy, że kiedy skończy obraz, nie będziemy już tacy sami. Ale ona nie pozwala nam zobaczyć, co maluje. Kiedy chce nam się pić, ojciec przynosi zimny sok pomarańczowy i co godzinę się kąpiemy. Równocześnie skaczemy z trampoliny i opadamy w wodzie, aż do momentu kiedy stopy dotkną śliskich kamieni, wtedy odpychamy się od dna i wpływamy w słońce, zawieszony na cienkiej nitce lśniącej kropli. – Niedługo już będę was miała! – woła matka. Siadamy na tych samych miejscach i od razu wysychamy. Matka Pedera pod jabłonią, pod białym kapeluszem z szerokim rondem, za sztalugami, nuci jakąś znaną melodię, a kiedy później słyszałem tę piosenkę, zawsze czułem tamten upał na skałach, musiałem zamykać oczy, żeby nie oślepiło mnie słońce, a zapach rozgrzanego kremu do opalania i tytoniu wypełniał mnie dziwnym rozedrganym smutkiem, który nie całkiem potrafiłem pojąć, bo przecież nigdy nie było mi tak dobrze jak wtedy, na tych rozgrzanych skałach na Ildjernet podczas lata z Pederem, lecz może piastą koła żalu, które toczy się przez nasze życie, jest właśnie świadomość, że to już minęło, że ta chwila już odeszła. – Niedługo będę was miała! – woła matka jeszcze raz. I nawet Peder się uśmiecha, wciąga brzuch i próbuje pokazać mięśnie. Ojciec Pedera wrzuca nam do szklanek kostki lodu, dźwięczny chłodny odgłos na samym dnie słońca.

A teraz Fred stoi w szatni Klubu Bokserskiego Centrum. Tiger pokazuje na jedną z szafek i mówi: – Ta jest twoja. Później dostaniesz klucz. Fred podchodzi do niej i się przebiera. Tommy i bliźniacy przypatrują mu się w milczeniu. Fred odwraca się do nich.

Uciekają wzrokiem. Wchodzi jakiś mężczyzna. Zatrzymuje się za Tigerem, który natychmiast się usuwa. Tamten długo stoi i patrzy na Freda. – Jestem Willy – mówi w końcu. To ja jestem tu trenerem. Fred się nie odzywa. Zerka tylko na tego człowieka.

Willy ma na sobie niebieski zniszczony dres, a na stopach coś, co wygląda na kaptcie, jest gruby, jakby mięśnie mu popuściły. Ma pięćdziesiąt dwa lata, mieszka sam w wynajętym pokoju w pobliżu przystanku autobusowego na Ankertorget, pracuje w Akers Mek, zna się jedynie na spawaniu i boksie, i tyle wystarczy. – Słyszałem, że dużo potrafisz wytrzymać – mówi. Masz ochotę nauczyć się też bić? Fred wzrusza ramionami. Willy odwraca się do Tigera. – Czy on umie mówić? – Umie – odpowiada Tiger. Tommy wybucha śmiechem, który natychmiast się urywa. Willy znów patrzy na Freda. – Uprawiałeś jakiś inny sport?

Fred zawiązuje sznurówki. – Rzut dyskiem.

Zasnąłem w słońcu, z głową na rozgrzanym gładkim ramieniu Pedera, z daleka słyszę głos jego matki. – Już was nie potrzebuję, chłopcy! Kiedy otwieram oczy, widzę, że wytoczyła się z cienia pod jabłonią, więc może to te piski kółek obudziły mnie tym razem. – Pokaż! – woła Peder i wstaje. Ale matka ze śmiechem kręci głową. – Nie pokażę, dopóki nie skończę. Zdejmuje płótno ze sztalug i zawraca w stronę domu. Z nami już skończyła, ale nie z obrazem. I nie kończy go tego lata. Zawsze coś pozostaje, jakaś kreska, jedno maźnięcie pędzlem, linia, punkt. Dopiero po pogrzebie ojca Pedera, na który Peder nie zdążył wrócić z USA, zobaczyłem nasz portret, a ona, zdaje się, wciąż nie była z niego całkiem zadowolona. Kiedy go zobaczyłem, byłem wstrząśnięty, inaczej nie potrafię tego nazwać. Ale nadała obrazowi piękny tytuł, *Przyjaciele na skałach*, tak go nazwała, bardzo prosto, ta nieokreśloność tytułu, *Przyjaciele na skałach*, oderwała motyw od nas samych, czas również stworzył dystans, jak gdybym nigdy nie mógł wyciągnąć ręki i dotknąć tego obrazu. – Ty i tak nigdy go nie skończysz! – woła Peder. Jego matka zatrzymuje się i odwraca wózek. – Założymy się? Peder się śmieje. – Przegrasz. – Założymy się? – powtarza matka. – Nie – mówi Peder. Ale ja zamiast tego cię sfotocholera grafuję!

I wyciąga mój aparat, który schował pod ręcznikami, matka krzyczy i ukrywa twarz w dłoniach, ale Peder pstryka co najmniej cztery razy, zanim jej udaje się obrócić wózek i pędem wjechać za dom. Nagle staje za nami ojciec Pedera. – Co się tu dzieje? – pyta. – My tylko trochę ftocholera grafujemy – odpowiada Peder i oddaje mi aparat. Jestem bliski wybuchnięcia śmiechem, bo to słowo jest dla mnie nowe, łaskocze w ustach. Ale coś w spojrzeniu ojca Pedera każe mi milczeć, nie śmieję się i usiłuję schować aparat za plecami. – Dobrze wiesz, że mama nie lubi być fotografowana, nie rób więc tego. Ty też nie, Barnum.

Schowałem aparat do walizki i postanowiłem, że tego lata nie będę go więcej używał.

Peder przyszedł za mną i usiadł na łóżku. – Mama czasami bywa trochę przesądna – powiedział. Stałem tyłem do niego. – Jak to? – Myśli, że jak ktoś jej robi zdjęcie, to kradnie jej duszę. – Kradnie jej duszę? – Tak. Tak sobie wbiła do głowy. Odwróciłem się do Pedera. – Nie będę wywoływał tych zdjęć. Peder westchnął. – Ty też w to wierzysz, co? Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć. – Skoro ona w to wierzy. – Tak? Peder zaczynał się niecierpliwic. – To chyba wszystko jedno, co my o tym myślimy. Peder przez chwilę siedział w milczeniu. – W każdym razie moje zdjęcie masz wywołać.

A teraz Fred stoi przed lustrem w głębi sali treningowej Klubu Bokserskiego Centrum.

Wszystkie spojrzenia kierują się na niego i Fred także patrzy na siebie. – Lewa stopa do przodu! – woła Willy. Chyba że jesteś cholernym mańkutem z zachodniej dzielnicy! Fred ciągnie prawą stopę do tyłu, uderza w lustro, w chude mięśnie, w krzywą twarz. – Stań na palcach! – woła Willy. Chyba że jesteś cholernym platfusem z zachodniej dzielnicy! Fred wyciąga się, staje na palcach, próbuje złapać równowagę i teraz Willy zachodzi go od tyłu, lekko popycha palcem w plecy i Fred przewraca się w stronę lustra. – Bokser, który ma słabe stopy, jest skończony, Fred. Bo bokser, który ma zmęczone stopy, ma też zmęczoną duszę. Tommy daje butelkę Tigerowi, Tiger podaje ją Willy'emu, który przekazuje ją Fredowi. Fred pije. Napój jest słodki i gęsty. Oddaje butelkę Willy'emu, który odrzuca ją Tommy'emu. – Biegałem po schodach – mówi Fred. Willy patrzy na niego. – Uderz mnie, Fred. – Co? – Uderz mnie. Fred zastanawia się przez chwilę. Uderza.

Ale Willy jest już gdzie indziej. – No, uderz mnie, Fred. Fred znów uderza. Willy nagle jest po drugiej stronie. Stary tłusty mężczyzna tańczy wokół Freda. – Nie biegaj po schodach – mówi Willy. Fred siada na ławce pod ścianą. W sali panuje cisza. Willy przysiadła się do niego. – Stopy, ręce, głowa – mówi Willy. Głowa, ręce, stopy. Powtarzaj za mną, Fred. Fred tylko na niego patrzy. – Stopy, ręce, głowa – mówi jeszcze raz Willy.

Głowa, ręce, stopy. Nie potrafisz nawet tego powiedzieć? Fred patrzy w ziemię. – Stopy, ręce, głowa – szepcze. Głowa, ręce, stopy. Willy pochyła się nad Fredem. – Dużo się jeszcze musisz nauczyć, Fred. Chcesz? Fred kiwa głową. Willy odwraca się do pozostałych chłopaków. Już stoją w kolejce, Kalle, Jørgen, Salwa, Junior, Talent, Arve, wszyscy chłopcy, którzy marzą o tym, żeby się wybić, przebić, przedrzeć przez mur przeciwdźwiękowy i przez granicę bólu, marzą o tym, żeby nosić pas ze złotą sprzączką ze skrzydłami, Tommy podskakuje, Tiger, Bliźniacy, stoją w kolejce długiej jak stąd do Bjølsen. – Talent – mówi Willy. Przygotuj się. Talent, krępy, cichy facet z Torshov kiwa głową i spokojnie idzie do szatni. Willy przynosi parę rękawic i zawiązuje je Fredowi na rękach. – Słyszałeś o *the noble art of self-defence*? – pyta. – To po angielsku – odpowiada Fred. – Angielskie brednie – mówi Willy. To wyfiokowani pisarze z wąsikami piszą tak w swoich książkach. Boks to nie jest samoobrona. Boks to atak. Uderzaj, kiedy tego chcesz. Tańcz, kiedy to konieczne. Talent wychodzi z szatni i wspina się na ring. – Popatrz mi w oczy – mówi Willy. Fred patrzy mu w oczy. Długo tak siedzą. – Jak się czujesz? – pyta Willy. Fred podnosi rękawice. – Dobrze. – To dobrze. Chcę cię zobaczyć. – Widzisz mnie – odpowiada Fred. – Chcę cię zobaczyć na ringu – mówi Willy.

Ktoś naciąga Fredowi wilgotny ochraniacz na głowę, teraz Fred przechodzi przez liny.

Talent czeka na niego na środku. Stoi tam z rękami wzdłuż boków, poważny, milczący. Nie bój się, Fred. Myślę teraz o tobie. Jestem z tobą. Siedzę w twoim narożniku. A Fred podchodzi prosto do Talenta i zaczyna bić. Bije dziko, ale ciosy padają w powietrze, wokół Talenta, Talent tańczy, Talent jest wszędzie i nigdzie, a Fred próbuje go dosięgnąć, lecz zamiast tego czuje ciężkie uderzenia we własne ciało, w pierś, w bark, jak gdyby jego własne ciosy powracały z podwójną siłą, Fred więc uderza jeszcze mocniej, szybciej, lecz pudłuje, to go przyprawia o bezmyślność, o szaleństwo, uderza i trafia w pustkę. Talent jest wokół niego jak cień, tak, Talent go zacienia, tak właśnie jest, Fred znów zostaje trafiony w pierś, oddech mu wybuchają jękiem i ten jęk, cisza w sali i niesamowicie prężne kroki na ringu sprawiają, że Fred traci opanowanie, wali na wszystkie strony, podbiega do Talenta, przedziera się przez rój ciosów, wali jak rozwścieczone dziecko, bo to jest jeszcze gorsze niż zostać spranym, to upokorzenie, ośmieszenie, a on może pozwolić sobie na wszystko, tylko nie na to, żeby się ośmieszyć. Fred przyciska Talenta do lin i wtedy czuje, że ktoś od tyłu łapie mu ręce w kleszcze, to Willy, Willy wlecze go za sobą, wyciąga z ringu, zabiera do szatni, sadza na ławce, rozwiązuje rękawice i zdejmuje ochraniacz. – Weź prysznic – mówi Willy. Zimny.

Peder wskazuje ręką ponad naszymi głowami. – Makrelowe chmury – mówi.

Przesuwają się powoli jak paski papieru, zabarwione czerwienią od światła płynącego z dołu, od słońca zachodzącego za pasmo wzgórz po drugiej stronie fiordu, na którym w bezwietrznym wieczorze utknęła żaglówka. Peder się śmieje. – A więc to nie może być prawda, że makrele jedzą martwych Niemców. Bo niemieccy żołnierze nie poszli do nieba. Leżymy w trawie między tarasem a brzegiem. Potem chmury się rozrywają, znikają, a może tylko kolory stają się inne, bo wkrótce wszystko jest niebieskie, cały pejzaż przypomina schody o wysokich niebieskich stopniach. – Jesteś tam? – pyta Peder. – No – odpowiadam. Leżę tuż przy nim, kładziemy się jeszcze bliżej siebie, jesteśmy bosy, poruszamy palcami u stóp, widać białą skórę między nimi, nigdy dotychczas nie uświadamiałem sobie, że palce u stóp mogą być takie różne. Peder głośno liczy do dwudziestu, dwadzieścia palców u stóp, słyszę przenikliwy zgrzyt wózka inwalidzkiego jego matki koło masztu, może matka Pedera szuka swojej duszy. Chcę jej oddać film. Ale co się dzieje z naszymi duszami, kiedy ona nas maluje? Czy wolno nam je zatrzymać, dlatego że namalowanie obrazu trwa tak długo? – W czym jesteś najlepszy, Barnum? – Co? – W czym jesteś najlepszy? – powtarza Peder. Muszę się zastanowić. – Najlepszy? – Tak, najlepszy. Musi być coś, w czym jesteś lepszy od innych. – Nie wiem. – Nie wiesz?

Na pewno wiesz. Muszę się zastanowić jeszcze raz. – W śnieniu – szepczę. Peder odgania osę. – W śnieniu? Wszyscy śnią. – Ale ja śnię tylko w dzień – mówię. Jestem w tym naprawdę niezły. – A o czym śnisz, Barnum? O tym, żeby być wyższym? Mam wrażenie, że w tej chwili wystarczyłoby wyciągnąć rękę, żeby dotknąć nieba, odgarnąć na bok skrawek błękitu. Nawet trawa, w której leżymy, jest niebieska. – Śnię, że dzieją się ze mną różne rzeczy. – Dzieją się różne rzeczy? Jakie rzeczy? – Wypadki. Katastrofy. Takie rzeczy.

Zamykam oczy. Peder czeka na dalszy ciąg. – Śnię o tym, że przejeżdża mnie samochód, udaje mi się wprawdzie przeżyć, ale do końca życia jestem ślepy i niemy. Śni mi się, że samolot, którym lecę, rozbija się nad Afryką, ja się ratuję i muszę żyć u dzikiego plemienia, znajdują mnie dopiero po trzynastu latach. Otwieram oczy. Peder milczy.

Dziwnie się czuję, że to powiedziałem. Nigdy wcześniej nikomu o tym nie mówiłem.

Czuję się prawie zmęczony. – Aha – mówi Peder i najwyraźniej czeka na więcej. – Śniłem także, że idę na cmentarz i kładę kwiaty na grobie, a kiedy ktoś mnie pyta, kto tu leży, mówię, że to moja matka, która umarła na raka. Peder wciąga koszulkę. Mnie wcale nie jest zimno. – Dlaczego tak robisz? – pyta Peder. Dlaczego tak śnisz? – Żeby ludzie się nade mną użalali. – Jesteś tak samo szalony jak ten twój szalony brat – mówi Peder.

Przekręcam się w trawie, siadam na nim i biję go. Biję go z całej siły. Biję go wszędzie.

Peder krzyczy. Ręce ma uwięzione w koszulce. Próbuje się wyrwać, ale ściskam go nogami i biję, walę go pięściami w klatkę piersiową, w twarz, Peder wrzeszczy, rwie koszulkę, a ja dalej go biję, w końcu on też mnie trafia, ale ja tego nie czuję. – Nie mów tak! – krzyczę. Nie mów tak! Pederowi z nosa płynie krew, a mnie ktoś podnosi do góry i odrzuca na bok, to ojciec Pedera staje między nami. – Do cholery, co wy wyprawiacie?

Peder podnosi się, chwieje się na nogach. – Nie przeklinaj na mojej wyspie – mówi.

Ojciec łapie go i przyciąga do siebie. – Nie bądź taki wygadany, młody człowieku!

Chcieliście się nawzajem pozabijać? Peder wyciera krew porwaną koszulką. – Nie.

Barnum chciał mnie zabić pierwszy. Ojciec odwraca się do mnie. – Możesz mi to jakoś wyjaśnić, Barnum? Spuszczam wzrok. Nie mogę złapać tchu. Nie potrafię nic powiedzieć.

Peder staje obok mnie. – Po prostu się pokłóciliśmy – mówi. Powiedziałem, że Barnum jest mały. A Barnum powiedział, że ja jestem gruby. Ojciec długo na nas patrzy, zaczyna się lekko uśmiechać. – Przyjaciele nie mówią sobie takich rzeczy, chłopcy. Takie słowa powinniśmy pozostawić raczej naszym wrogom. Nie patrzymy na siebie. Ojciec daje Pederowi chusteczkę. – Tak, tak, podamy sobie ręce? Wahamy się. W końcu wyciągam rękę. Peder wyciąga rękę. Podajemy sobie ręce. To dziwna sekunda. – No i dobrze – mówi ojciec i klepie nas po plecach.

A teraz Fred wychodzi spod prysznic. Podchodzi do swojej szafki. Zimno mu. Prędko się ubiera. Nie ma tu nikogo oprócz Willy'ego. Tylko ciosy, które słyhać z sali, oddechy, kroki, huki, jakby przejeżdżały tędy wagony towarowe. – Masz w sobie za dużo złości – mówi Willy. Fred na niego nie patrzy. – Bokser nie może się złościć, Fred. Ludzie w złości robią wiele głupich rzeczy. Bokser musi być zimny, opanowany i przebiegły. Fred zasuwa drzwiczki swojej szafki, ale one natychmiast same się rozsuwają. – Dlaczego jesteś taki zły na siebie? – pyta Willy. Teraz Fred odwraca się do niego i cofa o krok. Zapomniał zakręcić prysznic. Cieknie z niego woda. Willy idzie tam, zakręca kurek, a Fred w tym czasie ani drgnie. Willy obszukuje kieszenie w zniszczonym dresie, w końcu wyjmuje z nich coś, mały kluczyk, i podaje go Fredowi. – Nie zamkniesz swojej szafki? Fred uśmiecha się przez moment, zamyka szafkę, numer dziewięć. Willy kładzie mu rękę na plecach. – A teraz wracaj do domu i się połóż, odpocznij z tej swojej wściekłości, Fred.

Tego wieczoru położyłem się pierwszy. Leżałem i czekałem na Pedera. Pomyślałem, że pierwszy raz uderzyłem kogoś, a tym kimś był mój jedyny i najlepszy przyjaciel Peder Miil. Schowałem się pod kołdrą. Teraz wszyscy się na mnie gniewają. Może nazajutrz przepędzą mnie przez wiszący most. Zasłużyłem na to. Nie zasłużyłem na nic lepszego.

Okropnie się wstydzilem. Peder nawet dla mnie skłamał. Nigdy tak dobitnie nie odczuwałem wstydu, ciężkiego, suchego i gęstego, bo rozczarowałem ich, rozczarowałem wszystkich, matkę i Boletę także, rozczarowałem cały świat. A ostatnią rzeczą, jakiej w ogóle pragnąłem, było rozczarować kogokolwiek. Wstyd wypełniał mnie po brzegi.

Wstyd zyskiwał nade mną władzę. Peder na pewno mnie nienawidził, chociaż później się mną zajął. W końcu przyszedł. Usiadł na łóżku odwrócony plecami. Garbił się. Udałem, że śpię. – Przepraszam – powiedział Peder. Leżałem nieruchomo. – To ja powinienem przepraszać – szepnąłem. – Nie, to ja – powiedział Peder. – To ja cię pobiłem. – Ale to ja zacząłem, Barnum. Nie powinienem był mówić tego o twoim bracie. – A ja nigdy nie powinienem był cię uderzyć. Nigdy. Boli? – Nie, tylko trochę. A ciebie? – Nie bardzo – powiedziałem. Znów napłynął spokój. Byłem spokojniejszy niż kiedykolwiek. Peder dalej siedział. Poglądziłem go po zgarbionych plecach. Był w pizamie. – Pst – szepnął Peder.

Znieruchomiałem. Usłyszeliśmy, że ojciec i matka Pedera się kładą. Zgrzyt kółek się urwał, potem on przeniósł ją do łóżka, słysząc było śmiech, szepty, a potem ciszę. Księżyc zaszedł za chmurę. – Zgadnij, co mam? – Co? Wyprostował się, odwrócił i wyciągnął czerwoną butelkę. – No, to butelka – powiedziałem. – Campari – szepnął Peder. *How do you like your brandy, sir? – In a glass* – odpowiedziałem. Peder przyniósł nasze szklanki do mycia zębów i je napełnił. Usiadł przy mnie. – Zdrowie – powiedział. – Zdrowie – powtórzyłem. Piliśmy razem. Twarz Pedera skurczyła się w ciasny twardy supeł, jak gdyby głowę zanurzono mu w zimnej wodzie i natarto szarym mydłem i skórką pomarańczową. – Z solicholeradentem – jęknął. Roześmiałem się i chciałem jeszcze. Piłem. To było coś dla mnie. Peder wstawił się po dwóch szklankach. Ja po trzech. Zrozumiałem teraz, dlaczego Boletta chodzi na Biegun Północny na piwo. To miało jakiś związek z zapominaniem, z robieniem kroku w bok, z przebywaniem w innym miejscu, w którym nikt nie może cię dosięgnąć. Zniknął wstyd. Zniknęły rozczarowania. Zniknęło wszystko, co chciałem, żeby zniknęło. Nie dość, że poczułem się beztroski, to jeszcze moje ciało straciło wagę.

Zapomniałem o własnej krwi i kości, a kiedy zamknąłem oczy, równie dobrze mogłem mieć metr siedemdziesiąt osiem wzrostu albo nawet metr dziewięćdziesiąt. Już to wiedziałem. Odurzenie oznacza nieobecność. Odurzenie oznacza nieobecność, którą można wypełnić, czym tylko się chce. Może właśnie to wydarzyło się tamtego lata, to, że piłem z Pederem campari ze szklanki do mycia zębów, w środku nocy, w wąskim podwójnym łóżku. Fiord gładził skały. Za kilka milionów lat zmienia się w pył unoszony wiatrem, chyba że w tym czasie wydarzy się coś innego. Ptaki milczały. Tak bardzo chciałem, żeby ta chwila, właśnie ta chwila mogła trwać przez resztę naszego życia i żeby nie było w nim nic innego, tylko my dwaj, wielka miękka nieobecność i ucichłe ptaki. – Zgadnij, w czym ja jestem najlepszy – powiedział Peder. Wypiłem. Myślałem. Ale moje myśli były gdzie indziej. Myśli były osobno i krążyły własnym torem. – W tańcu – powiedziałem. Pederowi campari utknęło w przełyku i co najmniej przez kwadrans musiałem klepać go w plecy. – Masz jeszcze jedną szansę – szepnął. – W liczeniu – powiedziałem. Peder usiadł, pokiwał głową. – Masz rację, w liczeniu. Skąd, na miłość boską, to wiedziałeś, Barnum? – Możesz zgadywać dwadzieścia razy – odparłem. Peder uśmiechnął się i zamknął oczy. – Potrafię policzyć wszystko. Potrafię liczyć tak, że nie ma już więcej liczb. Raz policzyłem wszystkie nosy na Bygdøy allé. – Nosy? Naprawdę? – Tak, cholera. Nigdy więcej tego nie zrobię. Znów na mnie spojrzął, roześmiałem się, a on zaczął liczyć moje zęby, jakbym był koniem, i doliczył się trzydziestu jeden. – Brakuje ci jednego – stwierdził. Zdrowie. – Na pewno leży w szklance – odparłem. Zdrowie, Peder. Wypiliśmy. Wydało mi się, że słyszę osę w pokoju, ale zaraz przestała bzyczeć, na pewno znalazła drogę przez uchylone okno, a może to tylko brzęczał przepalający się bezpiecznik w mojej głowie. – Ale dlaczego wszystko liczysz? – spytałem. Peder położył się do łóżka. Poszedłem za jego przykładem.

Szepnął w uniesieniu: – To mnie uspokaja. Kiedy liczę, wszystko układa się na swoim miejscu. Liczby to najwspanialsza rzecz, jaką znam, Barnum. Liczby, które się zgadzają. – Jesteś tak samo szalony jak ja – stwierdziłem. Peder przewrócił szklanę, usiadł na mnie i unieruchomił mi ręce. – Matematyka i sny! To my, Barnum! Nie mogłem oddychać. – Tak – szepnąłem. – Pomyśl o wszystkim, co nam się może udać! Pochylił się niżej i nie wypuszczał mnie. – O czym? O czym, Peder? – Zastanów się! – zawołał. – Nie mogę oddychać! – zawołałem równie głośno. Ale Peder mnie nie puszczał. – Ty śniesz – powiedział. A ja mogę obliczyć, ile to będzie kosztowało! To tylko jedno. – Co jedno? – Upiłeś się, Barnum? Peder powąchał mi usta. – Może i tak – szepnąłem. Peder zaczęła się kołysać. Całe łóżko się zachwiało. Materac zatrzeszczał. – Musisz zmienić znak w swoich marzeniach, Barnum. – Zmienić znak? – Minus, Barnum. Ty śniesz na minusie. Musisz przejść na plus. Bo inaczej to nie wyjdzie! Peder osunął się przy mnie, długo leżeliśmy, nic nie mówiąc. Przez zasłony sączyło się słabe światło, wpadało nam do oczu i rozpościerało się w głowie jak płonący wachlarz. – Matematyka i sny – powiedział Peder wolno i były to jego ostatnie słowa tej nocy. – To my, Barnum.

Teraz Fred śpi. Śpi dziesięć godzin. Przed śniadaniem wychodzi na trening. Nie biegnie, idzie szybko, mocno wymachując rękami w przód i w tył. Ludzie oglądają się za nim z uśmiechem. Fred się tym nie przejmuje. Fred to pieprzy. Robi tak, jak powiedział Willy.

Po raz pierwszy robi tak, jak ktoś mu powiedział. Pada deszcz. Jemu to odpowiada.

Zawraca przy Cmentarzu Zachodnim, rozciąga się przy drzewie i takim samym szybkim tempem wraca do domu. Jest rozgrzany, ale nie spocony. Bierze prysznic, zjada owsiankę i pije przegotowaną wodę. Matka i Boletta milczą. Fred też nie marnuje sił na rozmowę.

Zbiera siły. Gromadzi je. Oszczędza na długie rundy. Jedzie tramwajem do Klubu Bokserskiego Centrum. Willy już tam czeka. Fred się przebiera. Są sami. Willy podaje mu skakankę. – Skacz – mówi. I Fred skacze. – Na palcach! – woła Willy. Fred skacze na skakance. Ach, jakże chciałbym zobaczyć Freda skaczącego na skakance przed lustrem w Klubie Bokserskim Centrum, coraz szybciej i szybciej, aż osuwa się na podłogę z obolałymi, opuchniętymi łydkami. Willy staje nad nim i się uśmiecha. – Stopy, ręce, głowa – wylicza. – Głowa, ręce, stopy – odpowiada Fred i wstaje. Willy zasnurowuje mu na rękach lekkie rękawice. – Worek – mówi tylko. Fred podchodzi do worka z piaskiem zwisającego z sufitu i zaczyna uderzać. Willy stoi za nim i kieruje jego rękami, unosi łokcie, przekręca pięści. Willy go puszcza. Fred grzmoci. Huk w pustej sali. Zapach, który tu zawisł, kamfora, to może być kamfora, chłodny powiew, ciężki pot, przepocone ubrania. – W co uderzasz? – pyta Willy. – Uderzam w pieprzony worek! – odpowiada Fred. Zgina kark, unosi barki i dalej wali. – To nie jest żaden pieprzony worek! – Uderzasz teraz w czyjeś ciało! Osłabiasz! I Fred uderza. Zadaje ciężkie ciosy całym sobą, zaczynają się głęboko w pięcie, nie, w myślach, w snach, ruch, który drży przez całe twoje życie, mięsień czasu. – W kogo uderzasz? – pyta Willy. Fred chichocze i uderza. – Uderzam w pieprzony worek! – woła. Willy go obejmuje. Fred opuszcza ramiona. – Wyobraźnia, Fred. Masz wyobraźnię? Fred siada na ławce, wycieńczony własnymi uderzeniami. – Najważniejsze jest nie to, co widzisz, lecz to, co ci się wydaje, że widzisz – mówi. – Pierdoły! – woła Willy. Kto tak powiedział? – Wszyscy, którzy tak mówili, już nie żyją – odpowiada Fred. Willy ociera mu pot i daje mu coś do picia, słodką wodę. – Boks z cieniem – mówi Willy. I Fred boksuje. Sam na ringu, tańczy, uderza, czuje, że ciężiej jest trafiać w nic niż w coś, cios zadany w powietrze trafia tego, który uderza. – Z kim się boksujesz? – woła Willy. – Z cieniem – mówi Fred. – Błąd, Fred. Musisz sobie wyobrażać, że boksujesz się z kimś. – Z Tommym – mówi

Fred i uderza. – Zapomnij o nim – mówi Willy. – Z Tigerem – mówi Fred i uderza. – Zapomnij o Tigerze! – Z Talentem – mówi Fred i puszcza szybką serię. – Talenta też zapomnij. Fred zatrzymuje się i odwraca do narożnika, w którym stoi Willy. – Z kim się boksuję? – pyta Fred. – Z nikim – mówi Willy. – Z nikim? – Z przeciwnikiem, Fred. On jest nikim. Nie ma imienia.

Nie ma adresu. Nie ma rodziny. Jediną rzeczą, jaką o nim wiesz, jest to, że masz uderzać w niego tak mocno, jak potrafisz, i go pokonać. Niczego więcej nie musisz wiedzieć, rozumiesz? Fred kiwa głową. Fred się uśmiecha. – Tak – mówi. Rozumiałem to przez cały czas. I Fred uderza, uderza w cień, jego jedynym pragnieniem jest trafić w cień i zobaczyć, jak osuwa się u jego stóp.

Budzi mnie deszcz bębniący w dach. Leżę, nasłuchuję, słucham deszczu, jest lato, wczesnie rano, przyjemnie. Potem Peder odwraca się do mnie. Cuchnie. – Śniło ci się coś? – pyta szeptem. – Nic – odpowiadam. A ty? Liczyłeś coś? – Nic. Nagle spojrzenie mu sztywnieje. – Ale teraz policzę, ile razy będę musiał się wyrzygać. Odwraca się, wydaje z siebie jakieś okropne dźwięki i w pokoju zaczyna cuchnąć jeszcze bardziej. – Raz – mówi Peder. Wychodzę. Ubieram się i wychodzę, zostawiam go samego. Jedna stopa zostaje w płamie campari. Słyszę jeszcze jeden bulgot z łóżka. Dwa – mówi Peder. Już wyszedłem. Nikt jeszcze nie wstał. Tylko ja. Jestem sam w tym deszczu. Obchodzę wyspę naokoło. Nie jest duża. Wyspy nie powinny być duże. Powinny być takie, żeby człowiek mógł je obejść w jeden deszczowy poranek. Fiord jest szary i pokrył się gęsią skórą.

Siadam na schodkach przy trampolinie i obmywam twarz wodą. To pomaga. Poświęcam na to tyle czasu, ile potrzebuję. Stopnie są śliskie, zielone. Wszystko jest dziwne i zwyczajne.

Widzę prom, który zawraca i bierze kurs z powrotem na miasto. Wkrótce wrócę do Pedera. Będziemy rozmawiać o matematyce i smach. To my. Wtedy ją dostrzegam. A może to ona zobaczyła mnie pierwsza. To Vivian. Stoi na środku wiszącego mostu, z plecakiem i parasolką. Nigdy tego nie zapomnę, Vivian pod żółtą parasolką na rozkołysanym wiszącym moście na Ildjernet. Kto zabiera parasolkę na wakacje? Vivian. Nie wiem, co mam o tym myśleć. Macham do niej. Nie wiem, co czuję. Nie wiem, czego chcę. Jeszcze raz macham. Vivian przechodzi ostatni odcinek i zatrzymuje się, postawiwszy stopy na naszej wyspie. – Cześć, mały! – woła. Biegnę do niej. – Ty tutaj? – mówię. – Tak, a dlaczego nie? Zerka na mnie spod oka. – Jak ty wyglądasz? – No jak? – Jakbyś spał w wodzie. Uśmiecham się. – Urządziliśmy z Pederem w nocy ubaw – mówię. Vivian składa żółtą parasolkę. Deszcz ciągle pada. – Ubaw? – pyta. – No. I to jaki! Vivian otrząsa wodę z parasolki. – Kto był na tym waszym ubawie? – Peder i ja. Vivian znów na mnie patrzy. – Deszcz pada – mówi. Idziemy w stronę domu. Dookoła jest cicho. Woda ścieka z niebieskiego parasola na tarasie. Niosę parasolkę Vivian. Trawa pod stopami jest zimna. – Nikt jeszcze nie wstał? – pyta Vivian. – Przynajmniej nie Peder. Przemykamy się do niego. Peder leży z głową w odwrotną stronę. Nie umarł. Wokół łóżka zrobił fosę z wymiocin. Wietrzenie nic tu nie pomoże. Vivian zatyka nos. Rozkładałam parasolkę na wszelki wypadek. – Mimo wszystko coś mi się śniło – mówię głośno. Peder przestraszony wzdryga się, ale bardzo powoli. Przewraca oczami na boki. – A co? – jęczy. – Że Vivian przyjechała. Peder spada na podłogę i klęka, jakby się modlił. Ale wcale się nie modli.

Wygląda raczej, jakby prąd kopnął go prosto w usta. Wydaje z siebie paskudne odgłosy. – Cztery i pół – szepcze. Wchodzi z powrotem na łóżko i zauważa Vivian. – Cześć, grubasie – mówi Vivian. Ale się opaliłeś. Peder uśmiecha się do niej, ale patrzy na mnie. – Nieźle, Barnum. Teraz jesteś na plusie. Składam parasolkę. Vivian daje krok przez pawia, siada na łóżku. – Zmieszczę się między wami? Wtedy słyszę za plecami odgłos wózka. – Będziesz miała własny pokój, Vivian! Odwracamy się do matki Pедера. Peder już się poddał. Udaje mu się schować butelkę, ale nie jest w stanie zakopać ośmiu kilo wymiocin. – Cześć, mamó, chyba się na coś rozchorowałem. To zaraźliwe. Vivian idzie z matką Pедера. Przestaje padać. Słońce ukośnie świeci w okno, wiązka światła pada na niebieski parapet. Peder wstaje z łóżka. – Dziękuję ci za ten sen – mówi. – Wiedziałaś, że ona przyjedzie? – pytam. Peder wzrusza ramionami. – Może tak. Może nie. Posprzątam?

Kiedy następnym razem widzimy Vivian, jest tylko w kostiumie. Nie pamiętam koloru.

Prawie nie mam odwagi na nią spojrzeć. Ale nie mogę też oderwać oczu. Vivian jest szczupła, wręcz chuda, skórę ma gładką i napiętą wszędzie, zwłaszcza na brzuchu, który mimo wszystko wygina się delikatnym łukiem aż do brzegu bikini, nie ma też żadnego wyróżniającego się paska na ciele, bo całe ciało jest jednakowo blade, ale nie szare, tylko barwy bardzo głębokiej bieli, przypominającej stary serwis. Nosi okulary słoneczne. Nie widzę, w którą stronę patrzy. Usta sprawiają wrażenie większych niż zwykle. Upięła włosy w kok na karku i rozwiązała cieniutki sznureczek na plecach. Leżymy na skałach.

Peder smaruje jej ramiona. Peder liczy jej żebra. Vivian ma więcej żeber niż my. Śmieje się. Wpatruję się w skałę, lecz i tak widzę Vivian. To najbardziej upalny dzień tego lata.

Nagle Peder rzuca mi krem do opalania. Walczy z osą. Mało brakuje, żeby osa wygrała.

Vivian gwałtownie siada. Przez moment widzę jej piersi, zanim upora się z bikini i opuści ręce. Peder walczy z osą ręcznikiem, ale ja widziałem jej piersi. Nie są duże.

Wystarczające. Gdybym nakrył dłonią pierś Vivian, dokładnie by do siebie pasowały. Nie robię tego. Bardzo bym chciał. Wyobrażam to sobie. Wyobrażam sobie, że delikatnie kładę dłoń na jej piersi, a ona wzdycha. Jej oczy za ciemnymi okularami. Nie widzę, na co patrzy. Krem do opalania topi mi się na palcach, spływa na skałę i ścieka w głęboką rozpadlinę. Peder ciska w osę kamieniem. – Chcę się wykąpać – mówi Vivian. Idzie na trampolinę i skacze. Prawie nie słychać plusku, kiedy wpada do wody z rękami wysuniętymi jak oszczep, nie, jak miecz, jak szabla, która przecina falę i rozkłada delikatnie, bezszelestnie wodę na boki. Peder patrzy na mnie. – Nie kąpiesz się? – pyta. – Chyba trochę zaczekam – mówię. – Ja też. Możemy się wykąpać później. – Jasne. Matka Pedera siedzi przy maszynie i macha do nas. Vivian jest prawie niewidzialna w całym tym świetle, które drży wokół niej jak niespokojne lustro. – Wydaje mi się, że musimy zorganizować sobie okulary od słońca, Barnum – stwierdza Peder. Vivian wychodzi z wody po schodkach kąpielowych. Kładziemy się ostrożnie na brzuchach. Ona siada między nami. Widzę, jak skóra jej schnie. Kropla po kropli. Skórę wzdłuż kręgosłupa pokrywa delikatny jasny puch. Mam ochotę go dotknąć. Skała wydziela ostry ciepły zapach, te rozgrzane kamienie wprawiają mnie w oszołomienie. Znów zanurzam palce w kremie do opalania. – Żebyś się nie spaliła – szepczę. Vivian się kładzie, na plecach.

Zamyka oczy. Peder pożyczył sobie okulary. Wygląda na twardziela. Wciąga policzki i uśmiecha się krzywo. Kucam obok Vivian. Robię na jej brzuchu białą ciepłą sadzawkę z nivei. – Spotkałam twój brata – mówi nagle Vivian. Moja ręka zamiera. – Co? – Twój brata. Freda. Spotkałam go. Peder podsuwa okulary na czoło i puszcza policzki. – Gdzie? – pytam. – Na Bygdøy allé. Biegał. – Biegał? Fred nigdy nie biega. – W każdym razie szedł cholernie szybko. I wymachiwał rękami. Wyglądał jak wariat. – Różnica między bieganiem a chodzeniem polega na tym, że kiedy biegasz, zawsze dotykasz ziemi tylko jedną nogą – mówi Peder. To nie ma nic wspólnego z prędkością, dlatego można biec o wiele wolniej, niż się idzie. Żebyście wiedzieli. – On trenuje – mówię.

Peder się śmieje. – Trenuje na Bygdøy allé? A co trenuje? – Boks – szepczę tak cicho, jak potrafię, i muszę zasłonić oczy. Vivian siada i sama rozsmarowuje krem. – Będzie walczył w zawodach we wrześnieu – mówi. Czuję nagle ból w całej głowie. Szumi mi w niej, w ustach mi zasycha i ogarniają mnie potężne mdłości. Peder patrzy na mnie. Wygląda teraz tak, jakby miał walki tłuszczu również na czole. – Wszystko w porządku, Barnum?

Kiwam głową i głęboko oddycham. Nie wszystko jest w porządku, nie wiem, co się ze mną dzieje. Ale myśl o tym, że Fred rozmawiał z Vivian, a ona z nim, jest nie do wytrzymania. Jest mi niedobrze i kręci mi się w głowie. Peder siada. Vivian się kładzie. – Rozmawiałaś z nim? – pytam szeptem, ledwie mogąc dobyć głosu. – Trochę. – Trochę?

Zatrzymał się? – Musiał się rozciągnąć. – Rozciągnąć? Musiał? – Tak. Przy drzewie. – Na pewno je przewrócił – mówi Peder. Wciąż staram się oddychać głęboko. – Co mówił?

W tym czasie, kiedy się rozciągał? Vivian wzdycha. – Wolno myślisz, Barnum.

Powiedział, że będzie walczył we wrześnieu. To jego pierwsza walka. Nie wiedziałeś o tym? Śmieję się. – Jasne, że wiedziałem – mówię głośno. Fred jest najlepszy w mieście.

Nikt nie potrafi wytrzymać tylu ciosów co on. Jasny gwint! Patrzę na Pedera. Jestem dumny z mego brata. Chcę być z niego dumny. Peder odwraca głowę. Na tarasie staje ojciec Pedera z rękami w górze. – Jedzenie i picie! – woła. Peder już się podnosi. Vivian za nim. Odwraca się i przez moment się waha. – Nie idziesz z nami, Barnum? – Tak, zaraz.

Zamiast tego idę do matki Pedera i pomagam jej zjechać ze ścieżki. – Dlaczego pani nie nasmaruje kół? – pytam. – Żebyście słyszeli, kiedy jadę – odpowiada. – To tak jak ze skrzypiącymi butami – mówię. Odchyła głowę i uśmiecha się, ale jej usta wiszą w odwrotną stronę. – Ty się źle nie czujesz, Barnum? – Ani trochę. – Bo nie byłoby nic dziwnego w tym, gdybyś się trochę źle czuł. Po takiej nocy – Wiem. Nakrywa mi dłoń swoją ręką. – Cieszę się, że tu jesteś – mówi cicho. Dobry z ciebie chłopiec. – Nie – odpowiadam. Nie jestem wcale taki dobry.

A teraz Fred idzie do domu, przez miasto, w deszczu, obity, obity przez nikogo, przez cień, przez samego siebie. Idzie powoli, zeszywniały, z torbą przerzuconą przez ramię, rozglądając się na wszystkie strony po pustych ulicach. Obok niego idzie Willy. Willy nie przestaje mówić. – W głowie boksera są dwa głosy, Fred. Jeden z nich mówi: atakuj!

Drugi szepcze: usuń się. To o jeden głos za dużo. Fred kiwa głową. Willy łapie go za ramię. – Jeśli zatrzymasz się pomiędzy nimi, jesteś skończony. Twoje myśli muszą być czyste i wyraźne. Bokser, który ma wątpliwości, już leży. Willy się śmieje. – Właściwie boksowanie jest proste jak bicie. Zatrzymują się. – Najpierw pięść, Fred. To wszystko, co musisz zapamiętać. Najpierw pięść! Willy puszcza jego rękę. – Jesteś mi winien pięćdziesiąt koron, Fred. – Naprawdę? – Zapłaciłem za ciebie składkę, inaczej nie mógłbyś boksować we wrześniu. – Bardzo dziękuję – mówi Fred. Willy wsuwa rękę do kieszeni, przez chwilę zakłopotany. – Do cholery, nie zafundowałem ci tego! Stoją na placu Ratuszowym. – No to cześć – mówi Fred cicho. Willy go zatrzymuje. – Słyszałeś o Bobie Fitzsimmonsie? Fred kręci głową. Willy się uśmiecha. – Jasne, że nie. Ale Bob Fitzsimmons to największy bokser, Fred. Kiedy Jack Johnson pokonał go w 1907, następnego dnia we wszystkich gazetach napisali, że czas Fitzsimmonsa już się skończył.

Dwa miesiące później pokonał Corbetta. Nokaut w trzeciej rundzie. – O cholera – mówi Fred. – Tak, o cholera. Nie wierz w to, co piszą w gazetach. Niektórzy twierdzą, że bokserzy nigdy nie wracają. To nieprawda. – Dobrze – mówi Fred. Zegar na wieży wybija trzecią. Willy zaczyna się spieszyć. – Widzimy się jutro – rzuca prędko, poklepuje Freda po plecach i biegnie do bramy Akers Mek. Ten ciężki mężczyzna biegnie lekko po bruku. – Pracujesz tam? – woła Fred za nim. Willy odwraca się w biegu. – Wszyscy tu pracują! Ledwie zdąża na swoją zmianę, a Fred stoi i patrzy, na plecy znikające w bramie stoczni, na bramę, która się zamyka. Przez miasto przechodzi deszcz i w pewnym momencie, osiem po trzeciej, plac Ratuszowy jest podzielony na pół, w świetle i cieniu, w deszczu i słońcu, a Fred stoi pośrodku, z jedną ręką na deszczu, a drugą w słońcu. Stoi tak, przez moment zdumiony, oślepiiony blaskiem i mokry, na brzegu słonecznej rany, która w końcu ogarnia go całego. A gdyby mógł spojrzeć dostatecznie daleko, na fiord, przesunąć wzrokiem wzdłuż stromego zielonego półwyspu Nesoddladet i popatrzeć na Ildjernet, na stojący tam biały letni domek, cieszyć się, że Fred nie ma aż tak dobrego wzroku, najpierw zobaczyłby Vivian, pijącą colę przez słomkę, jej usta wysuwają się miękko, dwoma palcami delikatnie przytrzymuje żółtą słomkę i zerka na ojca Pedera, który próbuje wstać z leżaka, ale jest za bardzo najedzony, słońce świeci, a leżak jest zbyt głęboki, osuwa się w niego, a my się z niego śmiejemy, z tego dorosłego mężczyzny, z Miila, sprzedawcy znaczków. – O Boże, jak nam dobrze – mówi ojciec Pedera. Mama, ja, Peder, Barnum i Vivian! Przenosi wzrok z jednego na drugie, jak gdyby nie do końca mógł uwierzyć, że to prawda, że jego wyspa jest zaludniona, że mimo wszystko jest dziś słońce, że jesteśmy weseli i wdzięczni, że jesteśmy w dobrym towarzystwie. Zatrzymuje spojrzenie na Vivian. – Był już najwyższy czas, żebyś przyjechała – mówi. Vivian uśmiecha się i podnosi wzrok znad szklanki. Podzwaniają rozpuszczające się kostki lodu. – Dziękuję – szepcze. – Bo widzisz, potrzebny nam ktoś, kto

by przypilnował chłopaków, prawda? Śmiejemy się znów, matka Pedera przegania osę zeszłoroczną gazetą, a ojciec odwraca się do mnie. – Prawda, Barnum? – Jasne – mówię. – Nie czujesz się chyba znów źle, Barnum? W sałatce nie było ani jednej makreli! Ostrożnie kręcę głową. – Zwłaszcza Pedera – mówię. Zwłaszcza jego ktoś musi pilnować. – O, posłuchajcie go! – woła Peder. To Barnum potrzebuje opieki. To on ma lęk wysokości! Śmiejemy się jeszcze bardziej, a ojcu Pedera wreszcie udaje się stanąć na nogi. Spogląda na fiord, kiwa głową, jakby ujrzał coś, z czym całkowicie się zgadza, i zerka na matkę. – Odpływ – mówi.

Najwyższy czas na campari, Mario. Przynieść ci? Matka się zastanawia. – A nie lepiej spróbować martini? – Martini? W porze odpływu? Tak cię proszę! Ojciec, kręcąc głową, idzie w stronę domu. Patrzę na Pedera. Peder patrzy w niebo i gwiazdźde. – Peder – mówi matka. – Tak, mamó? – odpowiada Peder i dalej bada niebo. Jest niebieskie. – Sam będziesz musiał to załatwić, Peder. Vivian patrzy na mnie. Ja tylko wzruszam ramionami.

Nic innego nie potrafię. W końcu ojciec znów wychodzi. – Nie widziałaś campari, Mario? – A nie stoi w lodówce? – Nie, nie stoi. Matka znów patrzy na Pedera. – Widzisz tam coś? – pyta. – Czy coś widzę? – Tak, na niebie. Coś tam jest napisane, Peder? Ojciec zaczyna się niecierpliwić. – Campari, Mario, zaraz zacznie się przyplływ. Wtedy Peder wstaje. – Chciałem wygłosić pewne oświadczenie – mówi. Ojciec odwraca się do niego. – Co ty pleciesz? – Chciałem wystąpić z oświadczeniem, tato. – Słyszałem. Co tu się dzieje? Peder spuszcza głowę. – Nie ma już więcej campari, tato. Ani w lodówce, ani nigdzie na całej Ildjernet. Ojciec odwraca się do matki. – Co nasz syn ma na myśli? Matka wzdycha. – Wydaje mi się, że chce powiedzieć, że wypili ci całe campari. Ojciec odwraca się jeszcze raz, tym razem do mnie. – No tak, teraz rozumiem, dlaczego wyglądasz dzisiaj trochę nieswojo, Barnum. A ja czuję, że znów robi mi się niedobrze, nieswojo, mdło, bo mam przed oczami Freda, który rozciąga się przy drzewie, przy kasztanowcu na Bygdøy allé, a Vivian zatrzymuje się, rozmawia z nim, Fred i Vivian rozmawiają ze sobą, on opowiada, że będzie się boksować we wrześniu, jej to opowiada.

Muszę się wyrzygać. Nie mogę rzygać dwa razy na tej samej wyspie. Ojciec drapie się w czoło, skóra mu schodzi na samym środku, drapie się długo. – Tak, tak – wzdycha.

Przynajmniej udało wam się przeżyć. Kiedy następnym razem pojedę do miasta, będę musiał kupić nowe. Stoi przez chwilę, a mnie się wydaje, że zmienia zdanie. – Najgorsza rzecz, o jakiej słyszałem – mówi. Potem wchodzi z powrotem do domu. Patrzę na Pedera.

Spogląda za ojcem. Wykręciliśmy się z tego tanim kosztem. Postanawiam zafundować kiedyś ojcu Pedera coś dobrego. Vivian wstaje i podchodzi do Pedera. – Masz fajnego ojca – mówi. A Peder nagle wpada we wściekłość. Nie rozumiem tego. Jest wściekły. – Tato! – woła. Tato! Ojciec wychyla się przez drzwi werandy – Słucham? Mam nadzieję, że nie prosisz mnie o martini, Peder, bo i tak nie dostaniesz. Peder kręci głową, jest czerwony jak burak. – Wiesz, dlaczego wypiliśmy ci campari? – pyta. Ojciec się uśmiecha. – Mam pewne podejrzenia, owszem. – Żeby się zemścić za to, że sprzedałeś list Freda! Uśmiech na ustach ojca Pedera więdnie, krew mu leci z czoła, cieniutka smużka spływa do nasady nosa. Ociera ją wierzchem dłoni i chce coś powiedzieć, ale rezygnuje, zamiast tego patrzy na mnie, nie rozumiem tego, nie rozumiem, co Peder powiedział, siedzę milcząco, nieswój i zmieszany, pełen obaw, że powiem coś niestosownego, coś kompletnie idiotycznego.

Ojciec Pedera znika za zasłonami, a ja słyszę zgrzyt kółek wózka i głos matki Pedera, zły i smutny. – To było niepotrzebne, Peder. To było tak naprawdę złe. Odwracam się do nich, Peder spuszcza wzrok, kolor odpłynął mu z twarzy. Vivian idzie na trampolinę, staje na samym końcu, leciutko ugina kolana, jest szczupłym długim S w słońcu, skacze. Nie słyszę, jak wpada do wody. – Przepraszam – mówi Peder. – Mnie tego nie mów! Powiedz to ojcu!

Peder wzrusza ramionami i wchodzi do domku. Zostaje tam przez jakiś czas. Powoli się podnoszę. – Może Peder stracił duszę – szepczę. Matka podnosi na mnie oczy. – Co powiedziałaś, Barnum? – Zrobiłem mu zdjęcie – mówię. Matka Pedera otwiera usta, jakby chciała się roześmiać, lecz zmienia zdanie. – Każdy od czasu do czasu traci duszę – stwierdza. Ważne jest tylko to, aby jak najprędzej ją odzyskać. – A jak to zrobić? – Postępując właściwie – mówi matka. Peder wreszcie wraca. Niesie szklanekę, którą podaje matce. – Proszę, mamó – mówi i nisko się kłania. Martini i woda z odpływu z cytryną. – Gdzie ojciec? – Odpoczywa, mamó. Na sofie w salonie. Matka przytrzymuje szklanekę obydwoma rękami. – Wiesz, co moim zdaniem powinieneś teraz zrobić, Peder? – Nie bardzo. – Powinieneś skosić trawnik. Peder się zastanawia. – Dobrze. – A jak już skosisz trawnik, to możesz pozbierać wodorosty na brzegu. – O nie. – O tak. A potem dobrze by było, gdybyś umył trampolinę i schodki kąpielowe. Jestem pewna, że Barnum ci pomoże.

Przez resztę dnia pracujemy, żeby odzyskać duszę. Kosimy trawnik za domem. Czeszemy trawę każdy swoim grzebieniem. Ścieramy mech ze schodków kąpielowych. Zmywamy kupy mew z trampoliny. To działa. Dusza się zbliża. Wkrótce będzie na swoim miejscu. To trochę tak jak z szyfrowym zamkiem: kiedy wreszcie wydaje ci się, że przypomniałeś sobie wszystkie cyfry, i czujesz lekkie drgania w dłoni, świadczące o tym, że zamek się poddaje, coś jednak nie wychodzi, któraś z cyfr była nieprawidłowa. List Freda? Dlaczego Peder nazwał go listem Freda? Jeszcze tylko plaża. Vivian siedzi na piasku i bacznie się nam przygląda. Zbieramy wodorosty. Vivian ma na ramionach czerwony ręcznik. Wygląda na zmarzniętą. Wodorosty śmierdzą starymi odpadkami, szczynami, czymś, co powoli gnije w ciepłe, padliną. – Czy to jest pokuta? – pyta Vivian. Peder podnosi głowę. – Pokuta?

Zrobiłaś się religijna czy jak? Vivian rysuje wokół siebie koło w piasku. – Wydaje mi się, że wierzę w Boga – mówi. Peder się uśmiecha. – To dlatego, że mieszkasz ściana w ścianę z kościołem na Frogner. Założę się, że wszyscy na Bygdøy allé wierzą w Boga. – Wariat! – woła Vivian i chowa się w ręczniku. Wrzucamy wodorosty do wielkiego wiadra. Peder się poci. – Dlaczego powiedziałeś tak o liście? – pytam. Peder wzrusza ramionami. – Miałem ochotę. – Nie powinieneś był tego mówić. – Może tak. Może nie. Peder znajduje korek i wsuwa go do wąskiej wewnętrznej kieszonki kąpielówek. – Ale dlaczego powiedziałeś, że to był list Freda, Peder? Odwraca się do mnie szybko i na moment traci pewność siebie, waha się. – Już wystarczy – mówi tylko i wstaje. – Zostały jeszcze wodorosty.

Peder się śmieje. – A jeszcze więcej ich jest tam, skąd pochodzą, Barnum. Możesz zbierać wodorosty do końca życia i nigdy się z tym nie uporasz. – Nie możesz liczyć wodorostów – mówię. – No właśnie. Właśnie to jest takie parszywe w wodorostach: nie można ich policzyć. – Ja jeszcze trochę pozbięram. Peder wyrzuca korek z powrotem do wody. – Jak chcesz, mnie się w każdym razie już nie chce. Podchodzi do Vivian, ściąga z niej ręcznik, a ona podrywa się z krzykiem, Peder biegnie w stronę domu, wywijając ręcznikiem nad głową jak lassem, Vivian za nim, dogania go prawie od razu, nie wiem, gdzie się podzieli. Kucam na brzegu. Pęcherze mokrych wodorostów pękają. Suche wodorosty leżą w piasku i rozsypują się w zielony pył, gdy tylko ich dotknę. Morze wyrzuciło na brzeg meduzę. Gdyby z nieba spadła gwiazda, być może tak właśnie by wyglądała. Kiedy wsadzam w nią palec, nie mogę go wyciągnąć. Muszę ją zeszkrobywać.

Czytałem kiedyś o człowieku, który utonął wśród meduz, zagroziły mu drogę, utworzyły dach, nie mógł się przez nie przedrzeć i został tam, w cieniu pod meduzami, to chyba lepsze niż dostać w głowę dyskiem. Rzygam do wiadra. Wsadzam palec do gardła i rzygam jeszcze raz. Ktoś kładzie mi rękę na plecach. Odwracam się i patrzę wprost na ojca Pedera. – Tak, tak – mówi. Jak nie makrele, to campari. Osuwam się na piasek.

Ojciec Pedera siada obok. Pożycza mi swoją chusteczkę. – To minie, Barnum. To minie, ale wcześniej ciało cię ukarze. – Ukarze? – Możesz to nazwać karną opłatą pocztową.

Nakleiliście za mało znaczków na wczorajszą radość, a dzisiaj ciało musi dopłacić resztę.

Ojciec śmieje się nagle i wysypuje piasek z butów. – No, zdaje się, że wygaduję bzdury – mówi. – Moim zdaniem to brzmiało bardzo ładnie – szepczę. Ojciec Pedera w milczeniu wkłada buty. Nie spieszy się. Sznurówki są cienkie, zniszczone, niedługo pękną. – Przykro mi z tym listem – mówi w końcu. – To ojciec go sprzedał. – Tak, to on. Nie wiedziałem wtedy, kim jest. Nie wiedziałem, że to twój ojciec. – Dziwne, że stare rzeczy mogą być tyle warte – mówię. Ojciec Pedera trochę się śmieje. – Nie wszystkie stare rzeczy, Barnum, na przykład moje buty. Wątpię, żebym coś za nie dostał. – No tak, skrzypią. – No właśnie, skrzypią i przemakają. Zresztą nie chcę ich sprzedawać. Te beznadziejne buty są dla mnie cenne. Tylko dla mnie. – Ale gdybym teraz napisał list do swojej matki, a ona przechowałaby go przez trzydzieści lat, to może zyskałby jakąś wartość? – To zależy – odpowiada ojciec Pedera. – Od czego? – Od tego, czy pewnego dnia będziesz sławny, Barnum. Muszę się zastanowić. Nie bardzo potrafię to sobie wyobrazić. Sławny? Barnum sławny? A z czego miałbym zasłynąć? Ze wzrostu? Z imienia? Z moich snów? Moje myśli tego nie ogarniają. – Tak czy owak nieładnie jest czytać cudze listy – mówię. Ojciec Pedera kiwa głową. – Dokładnie to samo powiedział twój brat. – Mój brat? – Był u mnie w sklepie. Chciał odzyskać list. Ten list musiał dla ciebie wiele znaczyć, Barnum. Milczę.

Fred jest wszędzie. Fred rozmawiał ze wszystkimi. Ojciec Pedera mnie obejmuje. – Chciał go odzyskać dla ciebie, Barnum. Tak powiedział. – Naprawdę? – Tak. Pomyślałem wtedy, że Fred musi być wspaniałym starszym bratem. Nie wiem już, co mam myśleć. Ale gdzieś, w jakimś miejscu czuję wielką radość, chcę w to wierzyć, wierzyć w to, co wydaje mi się, że słyszę, w to, co mówi ojciec Pedera, że Fred zrobił coś dla mnie. – Mam wrażenie, że Peder jest trochę o ciebie zazdrosny – szepcze jego ojciec. Wstaję i idę do domu. Wybieram jednak okrężną drogę, żeby być sam z tymi myślami. To takie uczucie, jakbym się najadł po uszy, ale głową. Mam skręt kiszek mózgu. Sławojka jest wolna, siadam więc tam. Kiedy zaglądam do dziury, nie widzę dna, nie słyszę nawet, jak kupa łąduje. Gdybym tam wpadł, znaleziono by mnie dopiero jesienią. Na ścianach wiszą zdjęcia rodziny królewskiej, twarz Van Gogha i jakiś chłopiec, to musi być Peder, ale zdjęcie zrobiono na pewno dawno temu. Stoi na samym końcu trampoliny w olbrzymim pasie pływackim i wygląda na rozszluszczoną, bo może w tym momencie właśnie traci duszę. To było, zanim się poznaliśmy, zanim się dowiedział, kim jestem, i zanim ja dowiedziałem się o jego istnieniu w tym samym mieście, zanim którykolwiek z nas wiedział, że Vivian również chodzi tymi samymi ulicami, może jeździliśmy tym samym tramwajem, wysiadaliśmy na tym samym przystanku; to właśnie w sławojce na Ildjernet tamtego dziwnego lata, które później nazywałem moim pierwszym latem, udaje mi się wymyślić, że większości rzeczy nie wiemy, że wiemy bardzo mało, ledwie to widać w porównaniu z tym, o czym w ogóle nie mamy pojęcia, to jest jak mrówka na Mount Evereście, jak kropla w Morzu Martwym, ale tej maleńkiej ilości naszej wiedzy nie wolno nam zapomnieć i należy również brać pod uwagę to, co nam się wydaje, że wiemy. Słyszę w każdym razie, jak te myśli wpadają na swoje miejsce, bo po długim locie przeradzają się w słowa w moich ustach. – Wiem mniej, niż nie wiem – mówię szeptem i jeszcze

raz ogarnia mnie czułość dla Freda, mam go przed oczami, jak cicho chodzi i potajemnie spełnia swoje dobre uczynki. Siedzę jeszcze trochę, nie bardzo wiem dlaczego, ale mam ochotę płakać. Jest mi dobrze. Papier jest sztywny, lecz kiedy gniotę go w rękach, mięknie.

Potem wychodzę. Ojciec pcha wózek po plaży. Peder i Vivian siedzą na leżakach na tarasie i czytają tygodniki. Peder mnie zauważa. – Wiesz, co jest fajne w zostawianiu starych tygodników, Barnum? – Nie – mówię. – Można się przekonać, że horoskopy się nie spełniają. – Naprawdę? Peder przerzuca strony, aż wreszcie znajduje to, czego szuka. – Posłuchaj tylko, co pisali o tobie w zeszłym roku: *Jeden z najbardziej interesujących i najlepszych tygodni w roku. Nawiądziesz żywe kontakty z przyjaciółmi za granicą albo dobre znajomości służbowe. Sporo okazji do małego flirtu, który być może zmieni się w coś poważniejszego.* Peder rzuca tygodnik na ziemię i patrzy na mnie. – Czy coś z tego się sprawdziło, Barnum? – Niczego takiego nie pamiętam – odpowiadam. – Nawet flirt z przyjaciółmi z zagranicy? – Trudno to tak nazwać. – No widzisz, to oszustwo. – Może horoskopy nie wszystkim się sprawdzają – mówi Vivian. Peder odwraca się do niej. – Wydaje ci się, że w horoskopy też wierzysz? – Czasami. – Czyżby to Bóg pisał horoskopy do tygodników? Po norwesku? Peder udaje ogromne zdumienie i długo kręci głową. – Jesienią napisali, że spotkam dwóch interesujących mężczyzn – mówi Vivian. No i spotkałam was. Nagle śmieje się głośno. – To się po prostu nazywa szczęście – stwierdza Peder. Nawet jeśli przez cały czas kłamiesz, to może się zdarzyć, że otrzesz się też o prawdę. To wynika z prostego rachunku prawdopodobieństwa. Vivian zamyka oczy. – A w co ty wierzysz? – pyta. – Peder wierzy w liczby – mówię. Peder się uśmiecha.

Nachyla się do Vivian i szepcze: – Jak przyjdiesz dziś w nocy do naszego pokoju trzynaście po dwunastej, to Barnum coś ci pokaże. Vivian znów otwiera oczy. – A co? – To się okaże – mówi Peder. I nic więcej tego wieczoru nie mówi. Siedzi tylko w leżaku i liczy łódki przepływające po fiordzie, a ich liczbę zapisuje w zeszycie, w którym są już inne, starsze rachunki. Kiedy się kładziemy spać, to mimo wszystko się nie kładziemy, tylko siadamy na brzegu łóżka i czekamy na Vivian. W domu jest zupełnie cicho. Nie mogę tego wytrzymać. – Co mamy jej pokazać? – pytam. – Cicho – mówi Peder. Pachniesz wodorostami. Jeszcze raz myję więc ręce i twarz w ciepłej zakurzonej wodzie, której nalewam z niebieskiego dzbanka. – Tylko tak powiedziałaś, prawda, Peder? – Co? Że pachniesz wodorostami? – Że coś Vivian pokaże. Peder odchyła się do tyłu. Widzę go w ciemnym oknie, niespokojny, nieostry obraz w blasku niskiej lampki z czerwonym abażurem przy łóżku, wszystko to miesza się z padającym ukośnie światłem księżyca, który sprawia wrażenie wiszącego na cienkim włosku nad samym fiordem. – Myślisz, że ona przyjdzie, Barnum? Odwracam się do niego. – Nie. – A ja wierzę, że tak. Peder znów wstaje. Nie, nie wierzę – dodaje. Ja to wiem. – Skąd możesz wiedzieć, Peder? On się uśmiecha. – Bo jest ciekawa, to jasne. A ty byś nie przyszedł, gdyby to ona miała ci coś pokazać? – No tak. – No to sam widzisz. Przekonasz się. Siadam na łóżku obok niego.

Peder obwąchuje mi dłonie. – Teraz lepiej – szepcze. Dziewczyny nie lubią wodorostów.

Wcieramy też trochę dezodorantu pod pachy, przez dłuższą chwilę nic nie mówimy. – Która godzina? – pyta Peder. – Za osiem dwunasta. – Nie możemy zasnąć, Barnum. Nie, musimy się nawzajem budzić. Peder myje twarz w tej samej wodzie. – Chciałbym mieć starszego brata – mówi nagle. – Naprawdę? Siada i pożyczka ode mnie ręcznik. – Mama nie mogła mieć więcej dzieci po tym, jak mnie urodziła. Zastanawiam się. – Ale wtedy miałbyś młodszego brata. Gdyby urodził ci się brat już po twoim urodzeniu. Peder zamyśla się. – Cholera, masz rację, Barnum. Nie śpimy. – Myślisz, że ona przyjdzie? – pytam. – Zobacysz – mówi Peder. Vivian przyjdzie.

Przyszła. Trzynaście po dwunastej rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Peder otworzył. Vivian wślizgnęła się do środka. Peder zamknął drzwi i nasłuchiwał. Wszyscy nasłuchiwalimy. W domu panowała cisza. Nikt nas nie słyszał. Fiord płynął. – Co chcesz mi pokazać, Barnum? – spytała Vivian szeptem. Popatrzyłem na Pedera, tylko się uśmiechnął. Vivian znów podeszła do drzwi. – Jeśli to jakieś świństwo, to wychodzę.

Peder zaśmiał się cicho. – Pst – powiedział. Ale Vivian nie pozwoliła się uciszyć. – Jak będziecie próbować coś zrobić, to zacznę krzyczeć! Nagle zrobiła krok w moją stronę. – Spiorę cię, Barnum, żebyś wiedział! Mało brakowało, a rzuciłaby się na mnie. Peder musiał nas rozdzielać. – Kochana Vivian, czy w twoim horoskopie nie było napisane, że jesteśmy interesującymi mężczyznami? Vivian się uspokoiła. Teraz była już tylko zniecierpliwiona. – No powiedzcie, o co chodzi! Peder popychał mnie wokół łóżka.

Vivian nie spuszczała z nas oczu. – Barnum chce ci pokazać swoją walizkę – powiedział Peder. Vivian znów nabrała podejrzliwości. – Nie chcę oglądać walizki Barnuma!

Wyglądało na to, że robi jej się niedobrze na samą myśl, schowała twarz w dłoniach. Co ona myślała, że ściągnę portki i pokażę jej wszystko, co mam? Peder się roześmiał. – Uspokój się, Vivian, Barnum nic ci nie zrobi. Spojrzał na mnie, dwa razy puścił oko, a potem wyciągnął moją starą walizkę i położył ją na łóżku. – To magiczna walizka Barnuma – szepnął. Vivian opuściła ręce i popatrzyła na walizkę. – Co jest w środku?

Peder otworzył walizkę. Vivian cofnęła się z jeszcze większą podejrzliwością. Potem podeszła bliżej. – Przecież ona jest pusta – stwierdziła. Peder obrócił się w moją stronę. – Opowiadaj, Barnum! – Kiedyś były w niej oklaski – powiedziałem. Vivian usiadła obok walizki i delikatnie powiodła palcem wzdłuż miękkiej podszewki. – Oklaski? – Odziedziczyłem ją po ojcu. On ją dostał od Mundusa, dyrektora cyrku. – Od tego, który był na pogrzebie? – Tak. Ojciec miał przypilnować tej walizki. Właśnie do niej spakowali całe oklaski. Mój ojciec nosił tę walizkę. Vivian spojrzała na mnie. – Gdzie są teraz wszystkie te oklaski? – Może się zużyły. Nie wiem. Może je zgubił. Peder stał pod oknem i patrzył na nas. Nic nie mówił. Tylko tam stał i od czasu do czasu kręcił głową. – Czy to właśnie chciałeś mi pokazać, Barnum? – spytała Vivian. – Tak – odparłem. Vivian leciutko dotknęła mojej ręki. – To bardzo ładne – powiedziała. Przez chwilę milczeliśmy. Nagle zalało nas ostre prędkie światło, jak gdyby za oknem się błysnęło. Odwróciliśmy się do Pedera, mrugając. Odkładał mój aparat fotograficzny na parapet. Pomyślałem o naszych duszach, o tym, że stracić duszę to to samo, co umrzeć, że fotografowanie jest jak egzekucja, jeśli rację miała matka Pedera, lecz ile razy można tracić duszę? – Aparat Barnuma – szepnął Peder. Vivian popatrzyła na mnie, pod oczami miała mroczne cienie. – Jesteś pewien, że w tej walizce nie zostało już nic z oklasków? – spytała. – Nie wygląda na to. – Ani jednego? Może twój ojciec schował trochę oklasków dla siebie? Pedera ogarnął zapał. – Niezłe to wymyśliłaś, Vivian. Na pewno coś zachował. Sprawdźmy!

Peder wyjął nóż i usiadł na łóżku. Patrzył na nas. – Zrobimy to? – szepnął. Kiwnąłem głową. Peder odciął podszewkę, przeciął tekturę pod przykrywą, żeby sprawdzić, czy nie ma tam żadnego tajemnego schowka, w którym ojciec mógł ukryć resztę oklasków. Nic tam nie było. Pachniało tylko pleśnią, naftaliną, ciężko. Peder schował nóż do pochwy. – Naprawdę wierzyliście, że coś znajdziemy? Położył się na łóżku i roześmiał cicho. – Co twój ojciec zwykł powtarzać? Popatrzyłem na Vivian. Przyglądała się poprutej pustej walizce. – Najważniejsze jest nie to, co widzisz, lecz to, co ci się wydaje, że widzisz – szepnąłem. Peder znów usiadł. – A ja uważam, że jest odwrotnie – powiedział.

Najważniejsze jest to, co widzisz. A ty co o tym sądzisz, Vivian? Nie odpowiedziała.

Pokazała tylko palcem na róg przykrywy. – Zobaczcie! – powiedziała. Coś tam wystawało, jakiś róg kartki, książki, coś tam było. Wyciągnąłem to. To była kartka, którą ojciec musiał tam schować albo zapomnieć, stara pocztówka, a ja wciąż pamiętam tę radość i strach w tym samym momencie, ukucie radości i strachu, że ją znalazłem, bo poczułem się dumny, że mam im co pokazać, moja walizka nie była jednak pusta, lecz wystraszyłem się tego, bo co mogło być schowane w pokrywie odziedziczonej walizki? To byłoby zdjęcie najwzroczniejszego człowieka świata, Patursona z Akureyri. Odetchnąłem z ulgą. Jego nazwisko umieszczono na kartce dwukrotnie, na samym dole, raz drukowanymi literami, a poniżej podpis, podany tam był również jego wzrost, 274 centymetry, zmierzony pod nadzorem kongresu lekarskiego w Kopenhadze. Peder i Vivian wisieli mi na ramionach. Ręce mi się trzęsły, ze szczytów, ze zdziwienia, nie wiem, ale się trzęsły. Ręcznie kolorowany portret Patursona wyblakły, barwy były bladymi cieniami. Ten widok mnie podniecił, tak, zasmuciłem się i podnieciłem, musiałem starać się zapanować nad rękami. Twarz Patursona była duża, usta nieduże, niewielki nos nad szerokim brodem, włosy zaczesane z ostrym przedziałkiem prawie pośrodku głowy, a oczy, które były kiedyś niebieskie, wyglądały jak dwa otwory w masce. Ubrany był w czarny garnitur. Buty miały białe, bez sznurówek. Te dwie siedemdziesiąt cztery szepnęły Peder. To niemożliwe. Ale tak jest tu napisane powiedziałem. Peder nachylił się bliżej. Wobec tego jego głowa musiała mieć co najmniej metr. To niemożliwe. To oszustwo. Myślisz, że cały kongres lekarski w Kopenhadze oszukiwał, czy jak? Peder westchnął. Prawie trzy metry wzrostu? Za cholera. Zeżłociłem się. Uważasz, że mój ojciec kłamał? Peder popatrzył na mnie, chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył. Vivian go uprzedziła: Złoty to jest napisane. I strach w tym samym momencie, ukucie radości i strachu, że ją znalazłem, bo poczułem się dumny, że mam im co pokazać, moja walizka nie była

jednak pusta, lecz wystraszyłem się też, bo co mogło być schowane w pokrywie odziedziczonej walizki? To było zdjęcie najwyższego człowieka świata, Patursona z Akureyri. Odetchnąłem z ulgą. Jego nazwisko umieszczono na kartce dwukrotnie, na samym dole, raz drukowanymi literami, a poniżej podpis, podany tam był również jego wzrost, 274 centymetry, zmierzony pod nadzorem kongresu lekarskiego w Kopenhadze. Peder i Vivian wisieli mi na ramionach. Ręce mi się trzęsły, ze szczęścia, ze zdziwienia, nie wiem, ale się trzęsły. Ręcznie kolorowany portret Patursona wyblakł, barwy były bladymi cieniami. Ten widok mnie podniecił, tak, zasmuciłem się i podnieciłem, musiałem starać się zapanować nad rękami. Twarz Patursona była długa, usta nieduże, niewielki łuk nad szeroką brodą, włosy zaczesane z ostrym przedziałkiem prawie pośrodku głowy, a oczy, które były kiedyś niebieskie, wyglądały jak dwa otwory w masce. Ubrany był w czarny garnitur. Buty miał białe, bez sznurówek. – Dwieście siedemdziesiąt cztery – szepnął Peder. To niemożliwe. – Ale tak jest tu napisane – powiedziałem. Peder nachylił się bliżej. – Wobec tego jego gęba musiała mieć co najmniej metr. To niemożliwe. To oszustwo. – Myślisz, że cały kongres lekarski w Kopenhadze oszukiwał, czy jak? Peder westchnął. – Prawie trzy metry wzrostu? Za cholere. Zezłościłem się. – Uważasz, że mój ojciec kłamał? Peder popatrzył na mnie, chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył. Vivian go uprzedziła: – Z tyłu też coś jest napisane.

Odwrociłem kartę. Był tam znaczek. Islandzki. Ze stemplem. Akureyri. 10.05.1945. Datę odbitą ukośnie na zielonym islandzkim znaczku ledwie było widać. Dziesiąty maja. Tysiąc dziewięćset czterdzieści pięć. Kartka była do ojca. Arnolda Nilsena. Niełatwo było go znaleźć. Najpierw pocztówkę wysłano do Cyrku Mundus w Sztokholmie, w Szwecji. Ten adres został przekreślony, a pod spodem napisano nowy, Cochs Hospits. Oslo. Norwegia.

Wyobraziłem sobie listonoszy z kartką do ojca, którzy musieli nieść ją z Islandii do Szwecji, potem do Norwegii, do opuszczonego pokoju w Cochs Hospits na Bogstadveien.

Ale tam również nie zastali Arnolda Nilsena. Przeprowadził się. Jeszcze raz pocztówkę wysłano dalej, na północ, z powrotem na wysepki, od których uciekł, do Røst, lecz nikt nie wiedział, gdzie jest Arnold Nilsen, i kartka musiała tam przeleżeć przez wiele lat niczym żalosne przypomnienie zaginionego syna, który wykradł się pewnej nocy i upadł tak głęboko, jak można upaść, na arenę cyrku. Potem sam znalazł pocztówkę, gdy pojechał tam wraz z matką ochrzcić mnie, Barnuma. – Przeczytaj – szepnęła Vivian. Pismo było dość niewyraźne, wiele słów napisano z błędami, a linijki stały gęsto, żeby wszystko się zmieściło. Czytałem na głos: – *Kochany Arnoldzie, mój drogi przyjacielu.* Popatrzyłem na Pедера i Vivian. – Arnold to mój ojciec – powiedziałem. Musiałem zacząć od początku.

Nie poznawałem własnego głosu. – *Kochany Arnoldzie, mój drogi przyjacielu. Piszę teraz do Ciebie pogratulować Ci pokoju i przegranej tych okropnych Niemiec. Mogą teraz odejść z podkulonym ogonem! Czy wciąż jesteś w cyrku? Liczę, że tak. Osobiście wróciłem na Islandię. Pamiętasz tę, którą nazywaliśmy Czekoladową Dziewczyną? Ona, niestety, już nie żyje. Złamała ją choroba. Była dobrym człowiekiem. Zawsze bardzo pięknie o Tobie mówiła. Mam nadzieję, że pewnego pięknego dnia nasze ścieżki jeszcze raz się skrzyżują. Życzę Ci wszystkiego dobrego, Arnoldzie. Pozdrowienia, najwyższy człowiek świata, Paturson.* Przez długą chwilę milczeliśmy. Byłem bliski płaczu. I już się zdecydowałem. Tej kartki nigdy nikomu nie pokażę. Schowałem ją do kieszonki mojej kosmetyczki. Peder spojrział na mnie, kiwnął głową, jak gdyby zrozumiał, o czym myślę, i się ze mną zgodził. – Teraz masz swój własny list – powiedział.

Nie spałem tej nocy. Nie mogłem zasnąć z podniecenia, słuchałem spokojnego oddechu Pedera, wiatru wśród jabłoni, szelestu w trawie, księżycy w fiordzie, a gdy się bardziej wsłuchałem, mogłem usłyszeć, jak Vivian wolno przewraca się w łóżku u siebie w pokoju.

Zabrakło już we mnie miejsca na wszystko. Przełałem się. Musiałem wstać. Musiałem się przewietrzyć. Usiadłem na krześle pod oknem i pomyślałem, że można być szczęśliwym, że to wcale nie jest aż takie trudne, tylko niezwykajne, i że szczęście to bukiet wprawiający w dezorientację. Wstaliśmy i znów ułożyliśmy się na skałach, tam zasnęliśmy, ojciec Pedera siedział w cieniu i czytał katalog znaczków, a matka pracowała nad swoim obrazem. Słońce, ciężkie i gorące, paliło nas w plecy. I wtedy przeżyłem coś dziwnego. Przebudziłem się nagle, oszołomiony i wystraszony, z jedną jedyną myślą w głowie: teraz stało się jakieś nieszczęście. Miałem wrażenie, jakbym czuł cudzy ból.

I w tej samej chwili ugryzła mnie osa. Uządziła mnie w szyję. Od razu zacząłem puchnąć.

Krzyczałem. Peder i Vivian się poderwali. – Umieram! – krzyczałem. Duszę się! Głos mi zniknął. Turlałem się w koło. Głowę mi rozsadało. Umierałem. Ostatnie, co zobaczyłem, to mina Pedera, jakby podejrzewał, że się wygłupiam. Próbowałem coś powiedzieć, lecz było za późno. Wkrótce miałem znaleźć się po drugiej stronie. Podałem się. Ogarnął mnie wielki spokój na granicy utraty świadomości. Dusza mnie opuszczała. Żegnajcie, moi przyjaciele! Ale wtedy Vivian pochyliła się nade mną, przyłożyła mi wargi do szyi, jak gdyby chciała mnie pocałować, pierwszy i ostatni, ale to ostatni raz. Była dość brutalna.

Gryzła. Ssała. Spluwała. Potem znów ssała. Wyssała ze mnie truciznę i uratowała mi życie, po raz pierwszy, lecz nie ostatni.

Potem wraz z użądleniem osy i pocałunkiem wakacje nagle się skończyły. Wracalem do miasta razem z Vivian. Peder stał na środku wiszącego mostu i machał do nas, dopóki nie znikneliśmy mu z oczu. Walizkę miałem cięższą, niż kiedy tu jechałem. Siedzieliśmy na ławkach na rufie. Nagle zobaczyłem coś w cieśninie między wyspą a stałym lądem. – Spójrz! – zawołałem. Vivian się odwróciła. – Co to jest? – spytała. – Nie widzisz? – Czego? – To matka Pedera! Zobaczyłem wózek inwalidzki prujący wodę w dzikim pędzie, koła toczyły się przez fale, a mewy otaczały ją białym rozwrzeszczanym rojem. Vivian przytuliła się do mojego ramienia, zamknęła oczy i nic nie mówiła.

Na pirsie B, przy którym cumował „Prinsen”, czekał Fred. Wystraszyłem się aż do mdłości. Gdzie była matka? Dlaczego Fred tutaj stał? Miałem nadzieję, że Vivian go nie zauważy. Był chudy, zmęczony, miał na sobie szarą bluzę, o wiele za dużą. Vivian już go zobaczyła. Ale Fred nie zwracał na nią uwagi. To na mnie patrzył i mnie wyszedł na spotkanie. – No to cześć – powiedziała Vivian głośno. Puściła moją rękę i wolnym krokiem podeszła do swojego ojca, który czekał w taksówce przy kiosku. Obejrzałem się za nią. Miałem nadzieję, że się nie odwróci. Odwróciła się i pomachała do mnie.

Uniosłem rękę. Zawahała się chwilę, a potem usiadła z tyłu taksówki i zamknęła drzwiczki. – Masz teraz dziewczynę? – spytał Fred. Pokręciłem głową. – Gdzie mama? – Mama jest przy Boletcie, Barnum. – Dlaczego? – Boletta spadła dzisiaj rano ze schodów.

Kiedy wracała z Bieguna Północnego. – Wszystko w porządku? – Nie. – Nie? Jak to? – Wydawało jej się, że jest we Włoszech, Barnum. Fred wziął moją walizkę i pojechaliliśmy do Szpitala Ullevål. Tam była matka. Dużo płakała. Na twarzy miała smugi i bruzdy, a kiedy mnie zobaczyła, wybuchnęła jeszcze głośniejszym płaczem. – Ale się opaliłeś – szepnęła. Dobrze ci tam było? – Uządlili mnie osa – powiedziałem. Fred zaczął się niecierpliwić. – Ocknęła się? – spytał. Matka pokręciła głową i puściła mnie. Z pokoju, w którym leżała Boletta, wyszedł lekarz. Weszliśmy. Boletta wydawała się taka mała w łóżku. Miała obandażowaną głowę i była przymocowana do aparatu, w którym świeciły i migały małe lampki i kreski, przypominał olbrzymie radio. Musieliśmy mówić szeptem.

Boletta była zupełnie sina, oczy miała wielkie, lecz mimo wszystko niewidzące. Równie dobrze mogła nie żyć. Wracała do domu z Bieguna Północnego i nie poradziła sobie z ostatnimi stopniami, poleciała do tyłu i czaszka jej pękła, a potem Boletta stoczyła się jeszcze na parter. Tam znalazła ją matka, w kałuży krwi. Właśnie to poczułem, tuż przed tym, zanim uządlili mnie osa, poczułem, że Boletta spadła. – Boletto – szepnąłem. Matka wzięła mnie za rękę. – Ona cię nie słyszy, Barnum. Znów wszedł lekarz, powiedział coś do matki, matka posmutniała i jeszcze bardziej się zdenerwowała. Czy możemy poczuć cudzy ból? Tak, możemy. Ja go poczułem. Poczułem upadek Boletty. Fred stał milczący pod ścianą i gapił się w podłogę. Co czułem, kiedy go bili? Czy ból jest zaraźliwy? Ile cudzego bólu możemy znieść? – Nie ma pewności, czy ona się jeszcze ocknie – powiedział lekarz cicho. Odwróciłem się i pokazałem na niego palcem. – Zaraz pana sfotografuję! – zawołałem. Matka ukryła twarz w dłoniach. Fred podniósł wzrok.

Lekarz wyszedł. Matka opuściła ręce do podłogi. – Co ty wygadujesz, Barnum? – Boletta się obudzi – oświadczyłem.

Obudziła się, ale dopiero po siedmiu dniach. Matka przez cały czas siedziała przy niej.

Fred trenował więcej niż dotychczas. Dozorca Bang musiał zmyć krew pod szkrzynkami na listy. – To straszne – szepnął. Jak ona się czuje? – Nieprzytomna – powiedziałem, mijając go. – Może mimo wszystko miała szczęście – szepnął Bang. Bo podobno jak się jest pijanym, to upada się bardziej miękko. Pomyślałem o czaszce, o kopule z kości, skóry i włosów, która chroni mózg, śpiącemu niemowlęciu głowa leci do tyłu, a staremu człowiekowi opada w przód, dziecko śni, odwracając głowę ku niebu, a sny starca ciężą ku ziemi. Schowałem kartkę od Patursona do ojca za rozdarcie tapety za komodą.

A pewnego wieczoru Fred powiedział coś, kiedy leżał w łóżku, wycieńczony treningiem. – Może to pokuta – szepnął. – Pokuta? – spytałem tak samo cicho. – Tak. Za to wszystko, co się stało. – Boletta chyba nie zrobiła nic złego? – spytałem. Fred się zmienił, prawie go nie poznawałem. Pokuta? Może to ten boks tak na niego wpłynął. – Zaczynasz być religijny czy jak? – spytałem ze śmiechem. Fred się podniósł i podszedł do mnie. Pochylił się nad łóżkiem, mięśnie drżały mu tuż pod skórą jak kable, jak przewody elektryczne, a oczy były bardziej mroczne niż kiedykolwiek. Ciężko oddychał przez nos. – Pieprzyłeś się z Vivian, Barnum? – Nie – szepnąłem. – Podobało jej się? – Ale ja się z nią nie pieprzyłem, Fred. – Na pewno? – Tak. Nigdy się z nikim nie pieprzyłem. – Myślałem, że może przez to zrobił się z ciebie taki chojrak, Barnum. Z powrotem się położył. Leżał milcząco, przygnębiony. – Będziesz walczył na zawodach we wrześnieiu? – spytałem. Fred nie odpowiedział.

Czekałem, ale nie odpowiedział. Tylko jego ciężki oddech wypełniał pokój. – Myślisz, że Boletta się ocknie? – spytał. – Tak – szepnąłem. Tak. I poczułem jej kruche, cienkie powieki, przesuwające się po mojej twarzy.

Boletta ocknęła się tej samej nocy. Matka siedziała przy niej. Opowiadała później, że najpierw Boletta wzdygnęła się, przeszło przez nią drżenie, jak gdyby było jej zimno.

Powieki jej opadły, a matka była już pewna, że to sposób Boletty na umieranie, zamknąć oczy i przejść w inny rodzaj snu. Nie zdążyła jednak wezwać lekarza, nie zdążyła się nawet rozplakać, bo Boletta zmieniła zdanie, jej czas jeszcze nie nadszedł, wciąż jeszcze było coś, co nie mogło jej ominąć, i zamiast umrzeć na dobre, otworzyła szeroko oczy i odwróciła się do matki. – Czy Fred już boksował? – spytała. Matka prawie się rozzłościła. – Jest dopiero lipiec, możesz być nieprzytomna jeszcze przez jakiś czas! – Doskonale. Wobec tego obie zdążymy na tę walkę.

To Fred teraz przejmuje pałeczkę. To on popycha teraz te dni, to on doprowadza to niezwykle lato do końca. Boletta musi jeszcze co najmniej przez miesiąc leżeć, nie toleruje już piwa i zaczyna chodzić o lasce, której częściej używa do walenia niż do podpierania się. Peder został na Ildjernet, przysyła kartkę z Drøbak, dokąd pojechał na wycieczkę z ojcem. Pisze, że chce wymyślić liczbę, o jakiej nikt dotychczas nie słyszał. A jak z moimi snami? Pozdrowienia, najgrubszy człowiek świata. Vivian jedzie do jakiegoś szpitala w Szwajcarii, gdzie jest jeszcze kilku lekarzy, którzy wierzą, że będą w stanie od nowa pozszywać twarz jej matki. A ja stoję przy oknie i patrzę, jak Fred codziennie wychodzi wcześniej rano, w deszczu, w słońcu, w rzadkiej, lepkiej mgłę, która czasami opada na miasto o tej porze, by w końcu unieść się i wymieszać ze światłem. Widzę, jak Fred wraca do domu twardymi krokami w górę Kirkeveien, kiedy letni wieczór pachnie spalinami i słońcem. Fred nie zwraca uwagi na Esther, która do niego macha. Nie zwraca uwagi na nikogo. Nie rozmawia. Oszczędza siły. Pozbywa się wszystkiego, co zbędne. Coraz bardziej przypomina zwierzę. Matka pierze mu strój treningowy, a ja wiem go na podwórzu, krótkie spodenki, grube skarpety, koszulkę bez rękawów. Dozorca Bang stoi przy śmietniku i przerzuca żwir. – Mam nadzieję, że on nikogo nie zabije – mówi. Albo że sam nie zostanie zabity. Fred nie chce mnie zabrać do Klubu Bokserskiego Centrum. Fred chce być sam. Nie chce, żeby ktokolwiek mu przeszkadzał. Pewnego ranka matka stoi obok mnie. Pada. Matka się uśmiecha. Fred prędko idzie przez deszcz. Prawie nie moknie.

Unika deszczowych kropli. – Dumny jesteś z brata? – pyta matka. A ja wiem, dlaczego pyta. Dlatego, że sama jest z niego dumna, może po raz pierwszy w życiu jest dumna z Freda, boi się, lecz przede wszystkim jest z niego dumna. – Tak, mam – szepczę. A on odwraca się tam, w deszczu, nie widzi nas. – Tak się cieszę – mówi nagle matka, ale gryzie się w język, prawie jęczy, jakby od razu poczuła wyrzuty sumienia, już przez samo wypowiedzenie tych słów, jej nie wolno się cieszyć, i mocno mnie przytula. Freda już nie widać. Deszcz spływa po oknie. – To miło, że Peder do ciebie pisze – odzywa się matka cicho. – No. Mam cię zresztą pozdrowić. Matka chwilę czeka. Słyszymy laskę Boletty.

Uderza nią w ścianę. – O czym ty śnisz, Barnum? – pyta matka szybko. Już mam powiedzieć, że nie powinna czytać pocztówek, które przychodzą do mnie. Ale zamiast tego opowiadam: – O tym, że Fred wygrywa walkę.

Znów zaczęła się szkoła. W dużej mierze wszystko było jak przedtem, lecz jednak coś się odmieniło: plotki o Fredzie. Nie wiem, kto je zaniósł do domków letniskowych, do ogródków działkowych, na plaże, do parków i do basenów, może same się rozeszły, przenoszone jak kurz w suchym opustoszałym mieście i wraz z deszczem wpadły wszystkim do uszu. Nie byłem już tylko niskim Barnumem, byłem też bratem Freda, a Fred nie był już tylko milczącym włóczęgą, stał się bokserem, który wytrzyma wszystko i którego nikt nie pobije. Fred przestał już być groźbą, stał się nadzieją, kościstą, bladą nadzieją z Fagerborg, cudem, który nastąpił w ciągu jednego lata, narodził się bokser, a jeśli to miasto naprawdę czegoś potrzebowało, to właśnie prawdziwego boksera. Plotki nie dało się powstrzymać, zmieniła się w opowieści o Fredzie: codziennie przebiegał trzydzieści kilometrów. Robił dziewięćdziesiąt pompek tylko na jednej ręce. Boksował się bez rękawic. Nikt nie miał odwagi rozegrać z nim sparingu. Dwóch już leżało w śpiączce.

Niektórzy twierdzili, że jest taki zły, że pobił własną babkę, aż znalazła się w Szpitalu Ullevål. Miał być większy niż Otto von Porat, większy niż Ingo, większy od wszystkich.

A ja niczemu nie zaprzeczałem, gdy ktoś mnie pytał, tylko wzruszałem ramionami. – On już jest mistrzem – mówiłem.

Trzy dni przed walką Fred siedział w naszym pokoju i czekał, aż wrócę ze szkoły.

Siedział na łóżku z rękami na kolanach i gapił się na mnie. Zaniepokoiłem się. – Nie trenujesz? – spytałem. Fred odetchnął głębiej, barki zatrzęśły mu się pod bluzą. – Trenuję.

Odpoczywam. Odpoczywał jeszcze przez chwilę. Nie chciałem mu więcej przeszkadzać.

Fred odpoczywał. Odpoczynek to klej treningu. Bez odpoczynku rozpadłby się na kawałki.

Usiłowałem odrabiać lekcje. Miałem napisać wypracowanie. Ale nie mogłem się skupić.

Fred nie odrywał ode mnie wzroku. Czułem to. Odwróciłem się do niego. Fred potarł czoło ręką. – Jutro będą przeprowadzać ze mną wywiad – powiedział. Odłożyłem ołówek. – Naprawdę? – „Aftenposten”. – O rany, „Aftenposten”? Fred spuścił wzrok. – Tak, rany. Ale nie mam ochoty. Więcej nie powiedział. Ręce miał niespokojne. Kostki prawej dłoni były sine. – Nie masz ochoty? – powtórzyłem. – Nie. Nie chcę z nikim o tym rozmawiać. – No to dlaczego to robisz? – spytałem. – Bo Willy tak chce. – To dlatego musisz? – Dlatego muszę. Willy jest trenerem. Fred znów uciął. – Może dadzą twoje zdjęcie – szepnąłem. Na stronach o sporcie. – Nie chcę, żeby ktoś mnie fotocholeragrafował – powiedział Fred powoli i podniósł głowę. Uśmiechał się leciutko. – Nie mógłbyś ze mną pójść, Barnum? – spytał. Musiałem nachylić się bliżej. – Co ty powiedziałaś, Fred? Zirytował się, znów miał to złe spojrzenie. – Słyszałeś, co powiedziałem, ty karakanie! Wstrzymałem oddech, nie mając odwagi na niego spojrzeć. – Jasne. Ale dlaczego? Fred wstał i rozciągnął się przy futrynie. – Będziesz pilnował, żebym nie powiedział nic głupiego. Wyciągnął jakąś kartkę z tylnej kieszeni spodni, rozłożył ją i mi podał. To była lista napisana przez Willy’ego, trenera. Wymieniono na niej wszystko, o czym Fredowi nie wolno rozmawiać z dziennikarzami, lista była dosyć długa. – Dlaczego Willy nie może z tobą iść? – spytałem. – On nie czyta gazet – odparł Fred.

Dziennikarz chciał przeprowadzić wywiad u nas w domu, ale Fred się nie zgodził.

Postanowiono więc, że spotkamy się w Samsonie na Majorstuen o piętnastej następnego dnia. Matka wychodziła z siebie, zaproponowała, że razem z Bolettą usiądą przy stoliku w głębi, na wszelki wypadek. Wtedy Fred zagroził, że w ogóle wycofa się z walki, i matka musiała rzucić ręcznik. O trzeciej następnego dnia Fred i ja, bokser i jego brat, wkroczyliśmy do brunatnej cukierni na Majorstuen, w której pachniało starą kawą, papierosami i mokrym futrem od wszystkich tych starszych pań, które przesiadywały tam aż do śmierci. Fred na strój treningowy narzucił długi płaszcz nieprzemakalny, ja zdecydowałem się w końcu na czarny golf, wiatrówkę, sztruksowe spodnie i parasol.

Dziennikarz już tam był. Zrozumieliśmy, że to on, dużo wcześniej, niż nas zauważył.

W Samsonie nie bywali tacy mężczyźni po trzydziestce. Wolno palił cygaro, jedząc łyżeczką babkę piaskową. Podeszliśmy do niego. Odłożył cygaro na talerzyk, mało brakowało, a ciasto by się zajęło. Wytrzeł ręce w serwetkę. Patrzył na Freda. – To ty jesteś Fred Nilsen? Bokser? Fred kiwnął głową i dalej stał. Dziennikarz wyciągnął rękę. Fred tylko na nią spojrział. – A ja jestem Ditlev. Z „Aftenposten”. Miło, że mogłeś przyjść, Fred.

Usiedliśmy. Ditlev zamówił wodę mineralną i jeszcze więcej ciasta. Miał nalaną twarz, spocone czoło i ziewał. Dwa długopisy leżały obok notatnika między popielniczką a talerzykiem pełnym jasnobrązowych okruszków i popiołu. Trzeci długopis wystawał z wygniecionej niebieskiej marynarki z błyszczącymi guzikami. – Naprawdę miło, że mogłeś przyjść, Fred – powtórzył jeszcze raz. Kogo ze sobą przyprowadziłeś? – Barnuma.

Mojego brata. Ditlev chwycił za długopis. – Jak powiedziałeś? Jak on ma na imię? – Barnum. Ditlev prędko zapisał to w swoim notatniku i odwrócił się do mnie. – Miło, że i ty mogłeś przyjść, Barnum. Skąd masz takie imię? – Od ojca – odparłem. – On też miał na imię Barnum? – Nie. Ojciec miał na imię Arnold. Fred kopnął mnie pod stołem. Nic więcej nie powiedziałem. Kelnerka przyniosła ciasto i wodę mineralną Villa Farris, Fred chciał tylko zwykłą wodę z kranu. Dziennikarz znów na niego spojrzał. – Pomyśleliśmy, że przygotujemy twój portret, Fred. Przed walką. Jesteśmy gotowi? Fred nie odpowiedział.

Sprawa miała wrażenie, jakby się nudził, ale to wcale nie dlatego, po prostu źle się tu czuł. – Niech pan strzela – powiedziałem. Ditlev parę razy pociągnął cygaro i w końcu się rozpałiło. – Boisz się? – spytał. – Fred nigdy się nie boi – odparłem. Ditlev się zakasłał. – Rozmawiam teraz z Fredem, w porządku? Z tobą może porozmawiam później. – Ja się nigdy nie boję – powiedział Fred. Ditlev napisał. – Innymi słowy, cieszysz się? Fred pokręcił głową. – Ja się nigdy nie cieszę. Ditlev odłożył cygaro. – Od jak dawna uprawiasz boks? Fred się zawahał. Szepnąłem mu coś do ucha. – Całe życie – odparł Fred w końcu. – Całe życie – powtórzył Ditlev. – To dobrze. Wyglądasz też jak prawdziwy bokser. I to przed pierwszą walką. Ditlev wskazał cygarem na krzywy nos Freda. Fred odwrócił wzrok. – Czy to prawda, że codziennie rano przebiegasz trzydzieści kilometrów? – spytał Ditlev. – Ja nigdy nie biegam – odparł Fred. Ditlev podniósł głowę znad notatnika. – Nie? Dlaczego nie? – Tylko niewolnicy biegają. Ditlev zaśmiał się pod nosem i zapisał to. – To będzie niezłe, Fred. Ditlev zjadł babkę i zmienił długopis.

Czekaliśmy. Fred miał ochotę wyjść. Staruszki przyglądały się nam i nagle usłyszałem, że w cukierni Samson zrobiło się zupełnie cicho. – Możesz zdjąć ten płaszcz od deszczu – powiedział Ditlev. – Nie – odparł Fred. Ditlev uśmiechnął się i zapisał. Długo pisał.

Próbowałem zobaczyć, co, ale przeszkadzała mi jego ręka. Nie potrzebował chyba aż tyle czasu na zapisanie trzech liter, n-i-e. Wziąłem sobie jeszcze kawałek babki, trącając go w rękę. Ditlev podniósł głowę. ? Kto był twoim wzorem? ? spytał. Fred prędko odwrócił się do mnie. Znów szepnąłem mu coś do ucha. ? Dozorca Bang ? powiedziała Fred. Dłonie Ditleva znieruchomiały. ? Dozorca Bang? A kiedy on boksował? Fred się uśmiechnął. ? Uprawia trąskok. Ditlev trochę się zniecierpliwiał, ale się opanował. ? Trąskok jest w porządku ? powiedziała. Ale ja miałem na myśli bokserów. Na przykład Ottona von Porata. Fred myślał przez dłuższą chwilę. ? Bob Fitzsimmons ? powiedziała w końcu. ? Bob Fitzsimmons? Ach tak? A to dlaczego? ? On się nie poddał ? odparł Fred. Wrócił. ? Lubisz takich, którzy się nie poddają, Fred? ? Nie ? odparł Fred. Ditlev podrapał się dęgiem w czółno. ? Ale przecież przed chwilą tak powiedziała? ? Lubi Boba Fitzsimmonsa, nie sądzisz pan, coś mi wiążę, czy jak? Ditlev znów zmienił dęgię, popatrzył na mnie i próbował się zmiać. ? On zawsze taki jest, Barnum? ? Prawie. Fred jeszcze raz kopnął mnie w tyłek. Ditlev rozejrzał się, wypił kawę, nakapał o muśną notatkę. Cygaro zgasło. ? Twarda z ciebie sztuka, Fred ? powiedziała. Fred się nie odezwał. Dziennikarz spociał i dalej przetrząsał strony. ? Jaki jest twój najmocniejszy cios? ? Nie powiem ? odparł Fred. Ditlev pisał. ? Zapewne nie powiesz tego, co jest twój najsłabszy strzał? ? Nie. Teraz z kolei Ditlev zamilkł. Dęgiem o czym myślał. Fred się zaniepokoił. ? Jesteś członkiem Klubu Bokserskiego Centrum zaledwie od czerwca ? odezwał się Ditlev wreszcie. Fred kiwnął głowę. Ditlev pochylił się nad stołem. ? Dla kogo walczysz? Dla klubu, dla trenera czy dla siebie samego? ? Dla mojego brata ? odparł Fred. Dla Barnuma. Łączyłem sobie jeszcze kawałek babki, trącając go w rękę. Ditlev podniósł głowę. – Kto był twoim wzorem? – spytał. Fred prędko odwrócił się do mnie. Znów szepnąłem mu coś do ucha. – Dozorca Bang – powiedział Fred. Dłonie Ditleva znieruchomiały. –

Dozorca Bang? A kiedy on boksował? Fred się uśmiechnął. – Uprawiał trójskok. Ditlev trochę się zniecierpliwiał, ale się opanował. – Trójskok jest w porządku – powiedział. Ale ja miałem na myśli bokserów. Na przykład Ottona von Porata. Fred myślał przez dłuższą chwilę. – Bob Fitzsimmons – powiedział w końcu. – Bob Fitzsimmons? Ach tak? A to dlaczego? – On się nie poddał – odparł Fred. Wrócił. – Lubisz takich, którzy się nie poddają, Fred? – Nie – odparł Fred. Ditlev podrapał się długopisem w czoło. – Ale przecież przed chwilą tak powiedziałeś. – Lubię Boba Fitzsimmonsa, nie słucha pan, co mówię, czy jak? Ditlev znów zmienił długopis, popatrzył na mnie i próbował się śmiać. – On zawsze taki jest, Barnum? – Prawie. Fred jeszcze raz kopnął mnie w łydkę. Ditlev roześmiał się, wypił kawę, nakapało mu na notatnik. Cygaro zgasło. – Twarda z ciebie sztuka, Fred – powiedział. Fred się nie odezwał. Dziennikarz spocił się i dalej przerzucał strony. – Jaki jest twój najmocniejszy cios? – Nie powiem – odparł Fred. Ditlev pisał. – Zapewne nie powiesz też, co jest twoją najsłabszą stroną? – Nie. Teraz z kolei Ditlev zamilkł. Długo o czymś myślał. Fred się zaniepokoił. – Jesteś członkiem Klubu Bokserskiego Centrum zaledwie od czerwca – odezwał się Ditlev wreszcie. Fred kiwnął głową. Ditlev pochylił się nad stołem. – Dla kogo walczysz? Dla klubu, dla trenera czy dla siebie samego? – Dla mojego brata – odparł Fred. Dla Barnuma.

Ditlev przeniósł wzrok na mnie. Wydaje mi się, że się zaczerwieniłem. W każdym razie zrobiło mi się gorąco w głowę. – Jak to jest, kiedy ma się starszego brata takiego jak Fred? – spytał Ditlev. – Świetnie – szepnąłem. Ditlev zapisał to w swoim notatniku, świetnie, i znów zwrócił się do Freda: – Jak zamierzasz pobić Aslego Bråtęna? Fred odetchnął głęboko. – Kogo? – Aslego Bråtęna. To z nim masz walczyć za dwa dni. Fred zaczął wiercić się na krześle. – Mocno – powiedział. – Mocno? – Tak, zamierzam go mocno pobić. Ditlev śmiał się cicho, zapisując to. – Tobie wolno tak mówić, Fred.

Mógłbyś nam coś o sobie opowiedzieć? – Muszę się wysikać. Wstał, wziął klucz z lady i poszedł do toalety w głębi cukierni, a wszystkie starsze panie, które siedziały w mokrych futrach, obejrzały się za nim. Ditlev westchnął. Fred dość długo nie wracał. – Może w tym czasie porozmawiamy sobie we dwóch – powiedział Ditlev. Otworzył notatnik na nowej czystej stronicy. – Uprawiasz jakiś sport, Barnum? – Nie, właściwie nie. Dziennikarz pokiwał głową. – Mógłbyś być sternikiem. – Sternikiem? – W czwórce wioślarskiej. Oni potrzebują takich maluchów jak ty. Ditlev przestał mi się podobać. – Podpowiem chłopakom w klubie wioślarskim – powiedział. W mieście jest niewielu twojego rozmiaru. Fred nie przychodził. Ditlev nachylił się bardziej i zniżył głos. – Bądźmy szczerzy, Barnum. Uważasz, że Fred wygra? – Trzecia runda będzie decydująca – powiedziałem. Ditlev zapisał to i pokręcił głową. – Tak, tak, skoro tak mówisz. Czy to zresztą prawda, że jesteście tylko w połowie braćmi? Ogromnie mnie zabolalo, kiedy tak powiedział, tylko w połowie braćmi, jakbyśmy byli podzieleni przez środek, rozłupani.

Ditlev podobał mi się coraz mniej. – Tak – szepnąłem. – Możesz opowiedzieć o Fredzie coś jeszcze? Zastanowiłem się. – On się urodził w taksówce. W tej samej chwili zobaczyłem Freda. Stał za nami i mógł stać tak od dawna, bo Fred był bez dźwięku, bezszelestny, Indianin w płaszczu przeciwdeszczowym w Samsonie. Dopiero kiedy wypuścił powietrze przez nos, ten cichutki świst, przeciąg w jego głowie, dopiero wtedy go zauważyliśmy. Ditlev upuścił długopis na podłogę i błyskawicznie się odwrócił. – Cześć, Fred – powiedział. Wydaje mi się, że mam już wszystko, czego potrzebuję. Chyba że ty chcesz coś dodać? – Niech pan nie wypisuje żadnych bzdur – powiedział Fred.

Ditlev roześmiał się trochę za głośno. – My w „Aftenposten” nie wypisujemy bzdur, Fred.

Jeśli chcesz, możesz sam wszystko przeczytać. – Barnum może przeczytać. Ditlev podał mi notatnik. – Proszę, Barnum. Zerknąłem na to, co napisał, ale to było bez związku, same słowa i skróty, wielkie litery i wykrzykniki. Taksówka. Całe życie. Dziwacy. Barnum. Pół.

Fitzsimmons. Odłożyłem notatnik na stół i popatrzyłem na Freda. – Wygląda w porządku – stwierdziłem. Ditlev wstał. – Wobec tego idziemy do fotografa! Fotograf czekał na nas w parku Frogner, koło rzeźby maleńkiego chłopca, Złośnika. Miał na szyi olbrzymi aparat.

Ditlev poklepał go po ramieniu. – Chciałbym, żebyś zdjął obu chłopaków, Tormod.

Fotograf, który miał na imię Tormod, popatrzył na nas zmęczonymi oczyma. – Obydwu? – Tak, obydwu. Już ci mówiłem. – A ja pomyślałem, żeby ta biała nadzieja poboksowała się trochę ze Złośnikiem. – Niezły pomysł, Tormod, ale biała nadzieja może się wobec tego poboksować trochę z Barnumem. – Z Barnumem? Ditlev wskazał na mnie. – Udawaj, że to on jest Złośnikiem. Tak wyglądało nasze wspólne zdjęcie, Freda i moje: stoimy na moście, pada deszcz, a fotograf używa lampy błyskowej, wygląda to tak, jakby akurat błysnęło na niebie, nagła poświata rozjaśnia nasze twarze w dziwaczny, obcy sposób. Fred mnie obejmuje, nie sięgam mu nawet do ramion, jestem mniejszy niż kiedykolwiek, a może to Fred jest wyższy, chudszy, mroczniejszy, drugą rękę unosi w górę, zaciśniętą w pięść, i podczas gdy Fred patrzy tuż przed siebie, bez wahania, bez mrugnienia, szeroko otwartymi oczami, ja zamykam oczy, jak gdybym w sekundzie, w której zostaje zrobione zdjęcie, zobaczył coś, na co nie mogę patrzeć. Zdjęcie zamieszczono w wieczornym wydaniu „Aftenposten” następnego dnia, na stronach sportowych. Fred był na treningu.

Matka głośno odczytała nagłówek: *Szalony bokser: Urodziłem się w taksówce i uprawiam boks całe życie – mówi Fred Nilsen, nowa nadzieja Oslo na ringu*. A pod naszym zdjęciem podpis: *Barnum wierzy w zwycięstwo w trzeciej rundzie*. Matka jęknęła, podała gazetę Boletcie i odwróciła się do mnie. – To ty powiedziałeś, że Fred urodził się w taksówce, Barnum? Spuściłem wzrok. Boletta zaczęła czytać nam na głos: – *Kiedy umówiliśmy się z Fredem w cukierni Samson, przyszedł w towarzystwie przyrodniego brata o bardzo oryginalnym imieniu Barnum. Fred mówi, że walczy dla swojego młodszego przyrodniego brata. Barnum natomiast marzy o tym, żeby zostać sternikiem*.

Wyrwałem Boletcie wieczorne wydanie „Aftenposten”. – To nieprawda! – zawołałem. – Co nie jest prawdą, Barnum? – dopytywała się Boletta. – Że marzę o tym, żeby być sternikiem. Matka była bliska płaczu. – Już niedługo cała Norwegia się dowie, że Fred się urodził w taksówce – szepnęła. – Mało kto czyta wieczorne wydanie – stwierdziła Boletta.

Ale dlaczego ty na zdjęciu masz zamknięte oczy, Barnum? – Żeby mi dusza nie uciekła – powiedziałem cicho.

Długo leżałem, czekając, aż Fred wróci do domu ostatniej nocy przed walką. Położył się w stroju treningowym. Słyszałem, że on też nie śpi. – Wkurzony jesteś? – spytałem. – Wkurzony? Dlaczego? – Na to co napisał Ditlev. – Nie czytałem – powiedział Fred. I nie przeczytam. A ty się zamknij. Zaczekałem chwilę. Fredowi piszczało w nosie. – Ale zdjęcie było całkiem niezłe – szepnąłem.

W dniu, w którym Fred miał walczyć, świeciło słońce. Wyszedł przed śniadaniem. Nic nie powiedział. Matka miała zamówioną wizytę u fryzjera. Chciała ładnie wyglądać podczas walki. Nie poszedłem do szkoły, dotrzymywałem towarzystwa Boletcie, albo może raczej to ona dotrzymywała towarzystwa mnie. Byłem niespokojny. Wszyscy byliśmy niespokojni i zdenerwowani. Ręce mi się trzęsły. Stałem przy oknie i nagle zauważyłem, że zrobiła się jesień. Miasto miało inny kolor. Z drzew na Kirkeveien spadały liście.

Wszystko płonęło. Wyglądało to pięknie, ale mnie się nie podobało. Usłyszałem za plecami laskę Boletty. Ujęła mnie za rękę. – Nie musisz się bać, Barnum. – Nie boję się. – To dobrze. Bo nasz lęk w niczym nie pomoże Fredowi. Odwróciłem się do niej.

Zobaczyłem, że wkrótce będzie taka mała jak ja. – Myślisz, że on się boi? – spytałem.

Boletta uśmiechnęła się i puściła moją dłoń. – Kto wie, co się dzieje w tym chłopaku. Nie, myślę raczej, że jest zły. – Na kogo zły? Boletta musiała usiąść na otomanie. – Fred jest chyba zły na wszystkich – powiedziała. Na nas. Na siebie samego. Odziedziczył wściekłość po Starej. – Może to pokuta? – szepnąłem. Boletta mocno uderzyła laską w podłogę. – Pokuta! Niby za co? – No, nie wiem – powiedziałem. Boletta westchnęła. – Może jak przychodzi co do czego, pokutą jest już samo bycie człowiekiem. Pogładziła suchymi palcami moje kędziorzy, chociaż wiedziała, że tego nie lubię. – Dobrze, że ty nie masz w sobie wściekłości twojego brata, Barnum. W tej samej chwili do domu wróciła matka. Miała zupełnie nową fryzurę. Włosy otaczały jej głowę jak lśniący puchar.

Uśmiechała się, prawie zawstydzona. Boletta podniosła się z otomany. – Tak, dzisiaj wszyscy musimy postarać się jak najbardziej. Dla Freda. Ale poza wszystkim uważam, że boks jest śmieszny, niekulturalny, odpychający i nudny. Wyszła do łazienki. Popatrzyłem na matkę. Przytrzymała się torebki jak balustrady nad przepaścią. – Ja uważam, że ładnie wyglądasz – powiedziałem. – Dziękuję, Barnum. – Jestem pewien, że Fredowi też się spodoba ta twoja fryzura. – Nie odezwał się? Pokręciłem głową. – No tak, ma na pewno o czym myśleć – westchnęła matka. Przez resztę dnia kręciliśmy się po mieszkaniu, wchodząc sobie w drogę, nie bardzo wiedząc, jak popędzić czas. Nie mieliśmy też siły jeść. Mogliśmy jedynie czekać. Wyciąłem wywiad z wieczornego wydania „Aftenposten” i schowałem go za tapetą, razem z pocztówką od Patursona. I zrozumiałem, że ze wszystkich czasów najtrudniej zmusić do płynięcia czas oczekiwania. Zdziwiło mnie to.

Zdziwiło mnie, że chcę, aby czas płynął szybciej, najszybciej jak się da, chociaż bałem się tego, na co czekałem. Chciałem tylko mieć to już za sobą. I nie wiedziałem już, czego bardziej się boję, samej walki czy tego, że Vivian też miała przyjść.

Pojechaliśmy taksówką o szóstej. Gdy kierowca usłyszał, że jedziemy do Klubu Bokserskiego Centrum, zerknął na mnie i się uśmiechnął. Siedziałem z przodu. – To ty jesteś bratem chłopaka, który ma dzisiaj sprać tego z Trøndelag? – Tak – szepnąłem.

Z podziwem uderzył rękami w kierownicę. – Widziałem w gazecie. Bokser, który urodził się w taksówce, każdego potrafi sprać! Nawet matka musiała się uśmiechnąć. A potem kierowca wyłączył licznik. Nie chciał wziąć pieniędzy. Zawieszenie nas było zaszczytem.

I mieliśmy powiedzieć Fredowi, bokserowi, nadziei Fagerborg, urodzonemu w taksówce, że on też może jeździć za darmo. W każdej chwili. Podziękowaliśmy taksówkarzowi i wysiedliśmy na Storgata. Już była kolejka. Nas przepuszczono. Ktoś poklepał nas po plecach. W końcu byliśmy już w środku, w Klubie Bokserskim Centrum. Jakiś chłopak na czworakach mył podłogę na ringu. Starszy mężczyzna w czarnym garniturze, prawie zupełnie siwy, sprawdzał liny. Przypominał pastora. Wokół ringu ustawiono krzesła.

Panowała zupełna cisza. To mnie zdziwiło. W hali nie było dźwięków, tylko powolne ruchy i ciężkie zapachy. Matka znów zaczęła się denerwować. – Chcę zobaczyć się z Fredem – powiedziała. Wszyscy to usłyszeli. Starszy, ubrany na czarno mężczyzna odwrócił się gwałtownie, wyszedł z ringu i zszedł na dół do nas, przywitał się z matką. – Będę dzisiaj sędziował – oznajmił. Proszę iść za mną. Poszliśmy za nim pod szatnię. Tam musieliśmy zaczekać. Sędzia gdzieś zniknął. Trwało to jakiś czas. Wyszedł razem z trenerem, Willym. Willy szeptał. Nachyliliśmy się do niego. Przypomniał mi się pogrzeb ojca, w kaplicy, podczas którego też wszyscy szeptali, jak gdyby bali się zbudzić zmarłych, lub obawiali się, że przekleństwo spadnie na głowę tego, kto ośmieli się mówić głośno. – Fredowi nie wolno przeszkadzać – szepnął Willy. – Czy on się dobrze czuje? – szepnęła matka. Willy się uśmiechnął. – Dobrze. Pozdrowię go. Ale zanim Willy zamknął drzwi, przez moment zobaczyłem Freda. Leżał na ławce między szafkami pod białym błyszczącym światłem. Wpatrywał się w to światło. Śmiał się. Nie słyszałem śmiechu. Potem już go nie widziałem. Sędzia zabrał nas z powrotem na ring, usiedliśmy w pierwszym rzędzie w pobliżu narożnika Freda. – Nie zajmiesz miejsca dla Pedera i Vivian? – spytała szeptem matka. Położyłem jej rękawiczki na krzesłach obok. Czekaliśmy. Zobaczyłem, że ring nie jest wcale okrągły, tylko kwadratowy, jakby bokserzy nie dawali się zamknąć w kole i ciosami wybili ostre rogi, narożniki, w których odpoczywali, no bo kto może odpoczywać w kole? Schodzili się ludzie. Przyszedł Ditlev i fotograf, Esther z kiosku, Aslak, Preben i Chomik, wszyscy chcieli zobaczyć, jak Fred boksuje, zobaczyć, jak wygrywa albo zostaje pokonany, a przede wszystkim przyszedł dozorca Bang, jego nazwisko znalazło się w gazecie, w wieczornym wydaniu „Aftenposten”, nazwisko kulawego trójskoczka, który nigdy nie stanął na podium, wzór, ja i Fitzsimmons, tak powiedział strażnikom, którzy tego wieczoru wpuścili go za darmo. Gotowało się, we wszystkich była jakaś gorączka, a Fred miał ją z nas

przegnać, ochłodzić nas swoimi nieubłaganymi ciosami. Potem pojawili się sekundanci Aslego Bråtena i zajęli miejsca w pobliżu jego narożnika. Przyjechali z daleka, aż z miejscowości, która nazywa się Melhus. Ktoś za mną zaczął nagle krzyżeć. – Chłopki-roztropki! – wołali, to był Tiger i jego banda. Tommy wrzeszczał najgłośniej. Chłopki-roztropki! Sekundanci Aslego Bråtena wstali. Może to byli jego bracia. Ważyli co najmniej po dziewięćdziesiąt kilo i mieli rude włosy. Za moimi plecami znów zrobiło się cicho. A w końcu przyszli Peder i Vivian. Było za pięć wpół do ósmej. Prześlizgnęli się między krzesłami i usiedli. Vivian przelotnie ścisnęła mnie za rękę. Matka zobaczyła to i się śmiechnęła. Peder tylko kręcił głową. – Witamy w Koloseum – szepnęła. Gladiatorzy już skruszeli. I w końcu mogło się zacząć. Ja już byłem wycieńczony. Sędzia wspiął się na ring. Zdjął marynarkę. Pod spodem miał koszulę, kiedyś z pewnością białą. Teraz zmieniła kolor, była prawie żółta, jak gdyby pot ze wszystkich walk, w których sędziował, wsiąkł w sztywny materiał.

Publiczność klaskała i tupiała. Krzesła się chygotały. Peder pochylił się bliżej. – Lwy są głodne, Barnum. Sędzia podniósł obie ręce do góry i w hali zapanowała cisza. Najpierw Talent miał walczyć z bladym mańkutom z Lørenskog. Biegali wzdłuż lin i drażnili się nawzajem. Ktoś zaczął gwizdać. Talent, który w trakcie lata stracił odwagę, wygrał nieznaczną przewagą punktową. To było zwycięstwo, które już odeszło w niepamięć. – No, ale to poszło całkiem ładnie – szepnęła matka, wydawało się, że odczuła ulgę. – Oni nawet nie mieli odwagi boksować – oświadczyła Boletta głośno, waląc laską w podłogę.

Wszedł Asle Bråten ze swoim trenerem, Asle Bråten, mistrz z Trøndelag, niepokonany w ostatnich dziewięciu walkach. Wszyscy w jego narożniku poderwali się z okrzykami radości. Asle Bråten był wielki i ciężki. Sprawiał wrażenie wręcz zawstydzonego. Spuścił wzrok, kiedy fotograf z wieczornego wydania „Aftenposten” robił mu zdjęcie, i usiadł na stołku w narożniku, ręce oparł na linach. Asle Bråten się nie uśmiechał. Trener masował mu barki. Fred miał walczyć z Aslem Bråtenem przez trzy rundy, dwie pierwsze trzyminutowe, ostatnia czterominutowa, z sześćdziesięciosekundową przerwą pomiędzy każdą z rund. Tego wieczoru obowiązywały zasady markiza Queensberry. Sędzia był wszechmogący. Mógł dołożyć dwuminutową rundę, jeśli walka nie zostanie rozstrzygnięta w pełnym czasie. Sędzia popatrzył teraz na zegarek. Ale Fred nie przychodził. Czekaliśmy.

Sędzia rozmawiał z trenerem Aslego Bråtena. Asle Bråten wstał i zaczął się rozgrzewać.

Patrzyliśmy w stronę szatni. Przeciągało się. Pomyślałem, nie bez pewnej ulgi, tak, nie bez ulgi i nie bez triumfu, że Fred zwiął, bo to do niego podobne, wyjść tylnymi drzwiami, zostawić nas, oddać zwycięstwo Aslemu Bråtenowi z Melhus w Trøndelag, ośmieszyć wieczorne wydanie „Aftenposten”, Klub Bokserski Centrum, Willy’ego, Tigera, Tommy’ego, Bliźniaków i mnie. W końcu jednak drzwi się otworzyły. Fred wyszedł z szatni. Cały lśnił. Jak gdyby ostre światło, które widziałem tam w środku, przylgnęło do jego ciała. Willy szedł za nim, z rękami, skrzynką i gąbką. Wydarliśmy się z radością, krzyczeliśmy. Vivian klaskała i nie mogła usiedzieć w miejscu. Fred spokojnie podszedł do ringu, wsunął się między linami i tylko gapił się na Aslego Bråtena. Sędzia sprawdził im rękawice. Sędzia mówił przez mikrofon. Zatrzeszczało w głośniku gdzieś z tyłu.

Wymienił ich nazwiska. Fred podniósł ręce do góry i wpatrywał się w Aslego Bråtena.

Asle Bråten podniósł ręce do góry i wpatrywał się we Freda. Byli jak dwa lusterka.

Przeglądali się w swoim lęku, sile, w pocie, który zaczął wydobywać się ze skóry i mieszać z mięśniami, tworząc drżącą powierzchnię. Ten, który potrafi patrzeć dłużej, wygrywa. Ten, który spuści wzrok, przegrywa. Pierwsza słabość tkwi w oczach.

Grzechotnik paraliżuje swoją ofiarę spojrzeniem. Fred usiłował sparaliżować Aslego Bråtena, jeszcze zanim walka się rozpoczęła. Asle Bråten się nie poddawał. Tylko się uklonił. Potem zaczęła się walka. – Pobij go! – krzyknęła Boletta. To Asle Bråten uderzył pierwszy. Cios padł powoli, rozwinął się z barku. Fred, tańcząc, usunął się. Asle Bråten nie trafił, ale sierpowy sprawił, że powietrze przewaliło się między linami, przez halę przeszło westchnienie. Nikt z wyjątkiem braci Aslego Bråtena nie chciał znaleźć się w zasięgu jego prawej rękawicy, mówiono, że Asle Bråten wymierza tylko jeden cios w każdej walce, na ogół wystarcza. Tym razem nie wystarczył. Fred był za szybki. Asle Bråten zadał drugi cios. Fred się uchylił. Fred trafił go w ucho. Asle Bråten tylko potrząsnął głową, jak gdyby jakaś mucha przez moment go irytowała. Potem obaj się uspokoili. Już wcześniej na siebie patrzyli. Poruszali głowami. Okrążali się z wysoką gardą i opuszczonymi podbródkami. W końcu pierwsza runda minęła i każdy poszedł do swojego narożnika. Willy długo coś mówił do Freda, nie słyszeliśmy co. Druga runda przebiegła w takim samym stylu. Czekali. Zezowali. Podskakiwali. Dym papierosowy wznosił się pod sufit. W Klubie Bokserskim Centrum się zachmurzyło. Boletta zaczęła się niecierpliwić. – Wyjdę, jak coś się nie zacznie dziać! – zawołała. Matka próbowała ją uciszać, ale Boletta się nie poddawała. – Lepszy boks widziałam na Biegunie Północnym!

Fred uderzył. Cios po prostu się pojawił, nagle ramię znalazło otwór w przyłbicy Aslego Bråtena, rękawica przy czole, głowa odskakująca w tył, Asle Bråten doznał wstrząsu, Fred uderzył jeszcze raz, lewym sierpowym, który zaczynał się gdzieś w dole przy ścięgnię Achillesa i trafił przeciwnika w szeroką brodę, przypominającą szufladę pełną zębów, lecz Asle Bråten rzucił się na ciało Freda i pchnął go do lin, byli jedną wiązką ciała, przyklejeni do siebie w brutalnym, wrogim uścisku, aż sędzia musiał ich rozdzielać, druga runda się skończyła i była to runda Freda. Wrzeszczeliśmy. Wciągnęło nas. Porwało. Peder stanął na krześle. Vivian wstała. Nawet matka klaskała w ręce, a Boletta, wymachując laską, krzyczała: – Dobra robota, Fred! Bierz go! Willy wycierał Fredowi twarz wilgotną gąbką, jakby delikatnie ścierał napis z tablicy. Rozpoczęła się ostatnia runda, Asle Bråten ruszył do ataku. Mocno walił we Freda, w klatkę piersiową, w brzuch, w barki, chciał go zmęczyć, obić do miękkości, do pustki, ale ciosy nie trafiały, Fred był cieniem, słyszeliśmy tylko szum rękawicy, jak gdyby przemykała obok ucha, Asle Bråten się wykańczał, a w tej mgle, we mgle Aslego Bråtena, Fred dopadł go jednym ciosem, prędką kombinacją, nikt tego nie zauważył, a przynajmniej nie Asle Bråten, zobaczyliśmy tylko rezultat, kolana się pod nim ugięły, ciało osunęło się na podłogę z hukiem, sędzia pochylił się nad nim i liczył, wystawiając palce, jeden po drugim, cisza między każdą liczbą, otchłań, dwa, cztery, Fred poszedł do swojego narożnika, Willy zamknął oczy, pięć, siedem, sędzia liczył, jedynymi liczbami istniejącymi na świecie, i na osiem Asle Bråten wstał, mistrz z Melhus podniósł się powoli, zachwiał się, ale ustał. Sędzia uważnie przyjrzał się jego oczom, porozmawiał z trenerem i wznowił walkę. Było cicho. Pozostało trzydzieści sekund. Fredowi wystarczyłoby utrzymać się na nogach, z dala od Aslego Bråtena, wytrzymać, bo wygrał, brakowało mu tylko pół minuty. Nagle widzę, że Fred opuszcza ramiona, jak gdyby był bardzo zmęczony albo więcej mu się nie chciało, opuszcza gardę, odsłania się, stoi nagi, zaledwie przez

moment, ale to wystarcza. Asle Bråten również to dostrzega, lecz się waha, jak gdyby sam był równie zaskoczony i nie mógł uwierzyć w to, że Fred opuszcza rękawice i zostawia mu wolną drogę, myśli są wolniejsze niż ciało, Fred przysuwa się o krok, nagi, odsłonięty, przez halę przechodzi głębokie westchnienie. Potem Asle Bråten uderza. To potworne dzikie uderzenie w twarz, wokół głowy Freda unosi się chmura potu, wilgotny, lśniący proszek niczym stłuczona gloria. Fredem wstrząsa, ale stoi. Asle Bråten uderza jeszcze raz, trafia równie mocno w szczękę, rozlega się trzeszczący ostry dźwięk czegoś, co pęka. Matka chowa twarz w dłoniach i jęczy. Boletta krzyczy, lecz zabrakło jej głosu. Vivian ściska mnie za rękę. Peder tylko odwraca się do mnie ze smutkiem. A ja nie czuję teraz bólu, próbuję, lecz znajduję się poza zasięgiem bólu Freda, to nie jest mój ból, on jest sam, w głębi tego bólu, a ja czuję jedynie wstyd, i tego wstydu strasznie się wstydzę. Fred osuwa się na kolana. Krew cieknie mu z ust i z oczu. Willy opiera się o liny.

Sędzia przerywa walkę. Asle Bråten wygrał. Sędzia podnosi jego rękę do góry. Ale to nie jest triumf. Porażka jest większa od zwycięstwa. Porażka stawia w cieniu zwycięstwo.

A więc mimo wszystko miałem rację. Fred rozstrzygnął walkę w trzeciej, ostatniej rundzie.

Matka i Boletta pojechały z Fredem do szpitala, gdzie ześrubowano mu znów nos i szczękę. Był w tak złym stanie, że ominęło go nawet wojsko, zresztą nie wiem, czy tylko dlatego. W każdym razie w norweskich siłach zbrojnych nie potrzebowali nieprzewidywalnego włóczęgi, cierpiącego na ślepotę słowną i zawroty głowy, z szumem w uszach, niedowidzącego na lewe oko. Wyszedłem razem z Pederem i Vivian. Szliśmy wolno przez nieznanne ulice, lecz z jakiegoś powodu nie baliśmy się, byliśmy w Klubie Bokserskim Centrum i nie mogło być już gorzej, byliśmy nietykalni. – Znam już tę niemożliwą liczbę – powiedział Peder. – Jaką? – Pomiędzy dziewięć i dziesięć – odparł.

Złapaliśmy tramwaj na Stortorget i usiedliśmy z tyłu. W żółtym świetle nasze twarze były blade. Ciemność na zewnątrz zmieniała się w czarną rzekę płynącą w odwrotną stronę, z powrotem do jamy miasta. Wsiedliśmy na Frogner plass. Przez chwilę tam staliśmy, nie wiedząc, co robić. – Żal mi go – szepnęła Vivian. Peder odwrócił wzrok. – Kogo? – spytałem. – Jak to? Freda.

Wrócił do domu dopiero następnego dnia. Wszedł cicho. Nie słyszałem. I właśnie wtedy go zobaczyłem, bez ostrzeżenia, przed lustrem w sypialni matki. Wychodziłem właśnie i przystanęłem, wstrzymałem oddech, nie chciałem go takiego oglądać, ale już to zobaczyłem. Nachylał się do lustra ku swemu koślawemu odbiciu, wykrzywił się, stroił miny, a ja pomyślałem, że być może szuka swojej prawdziwej twarzy, albo może teraz tak myślę, może miał nadzieję, że w matowym szkle zobaczy wszystkie maski, głęboką galerię, kończącą się jego prawdziwą twarzą. Fred roześmiał się nagle, przycisnął wargi do lustra i polizał je. Nie chciałem na to patrzeć. Ale już to widziałem. Było za późno. – Dlaczego przegrałeś? – spytałem. Fred odwrócił się do mnie gwałtownie, przez moment zawstydzony, wściekły. – Słyszysz to, Barnum? – spytał. – Co? Odetchnął ciężko kilka razy i uśmiechnął się. – Nos. Znów jest w porządku. Przysiadł na łóżku matki, odchylił się do tyłu. Wciąż czuć tu było malagą. Powietrze było słodkie i ciężkie. Miałem ochotę się upić. – Dlaczego przegrałeś, Fred? Znów wstał zdumiony, prawie smutny. – Przegrałem?

Ja wygrałem, Barnum. Nic nie rozumiesz?

Miało upłynąć wiele lat, zanim wywołałem zdjęcia z tego lata, które nazwałem swoim pierwszym latem. Odkładałem to. Nie mogłem zapomnieć matki Pedera, która chowała twarz i odwracała wózek, wściekła, z obawy, że straci swą nieszczęsną duszę. Obiecałem, że ich nie wywołam. Ale nadszedł czas, kiedy sny odchodziły, gdy tylko usiłowałem umocować je na papierze, rozpadały się jak pył i znikwały. Potrzebowałem raczej czegoś, co można wziąć do ręki, przytrzymać, popatrzeć, stworzyć coś na tej podstawie. Dlatego zaniósłem stary film, który przechowywałem w szufladzie nietknięty od tamtej pory, do zakładu fotograficznego na Bogstadveien, pomyślałem, że być może zdołam zbić z tych wspomnień opowieść, na której podstawie napiszę scenariusz. Tydzień później odebrałem kopertę ze zdjęciami. Poszedłem do knajpy, do Starego Majora, i tam ją otworzyłem.

Wolno przeglądałem plik. Przeglądałem dom. Przeglądałem światło od tyłu. Pierwsze zdjęcie zrobiła matka w maju 1945 roku, Stara i Boletta stoją na balkonie na Kirkeveien i patrzą ze zdumieniem, prawie ze strachem na tę, która je fotografuje z salonu, Boletta chce coś powiedzieć, Stara rozsuwa palce, może ona w tej chwili też się boi o swoją duszę. Reszta zdjęć należy do innego czasu, jak gdyby ktoś przeskoczył o całe jedno życie:

Peder leży w podwójnym łóżku w letnim domu na Ildjernet, nagi od pasa w górę, jedno oko ma zamknięte, rękę na kroczu, a cień dzieli pokój i zdjęcie na ukos. To mój cień.

Vivian i ja siedzimy na łóżku, między nami walizka, Vivian pochyla się w moją stronę i chce pocałować moje chude ramię. Nie pamiętałem, że Peder zrobił to zdjęcie. Nie pamiętałem pocałunku, dotyku. Matka Pedera zakręca wózkami, ale to nie aparatu się boi, jest tylko oślepią słońcem, tak to widzę, zasłania oczy rękami, żeby jej nie oślepiło słońce, które wisi wielkie i ostre nad fiordem w to moje pierwsze lato, a w tle, w kącie werandy stoi ojciec Pedera, na pół ukryty, jak gdyby miał zrobić krok w przód albo się wycofać, to on przeklina jej duszę. Wypijam jeszcze jedno piwo. Zaczęło padać. Wchodzą ludzie i wieszają swoje paskudne ubrania z widocznymi metkami na oparciach krzesel i zamawiają po pół butelki czerwonego wina. Ostatnie jest zdjęcie Freda. Ja go nie robiłem. Musiał je zrobić sam, w suszarni na strychu, bo dostrzegam otwór w dachu i sznurki z drewnianymi klamerkami, musiał trzymać aparat w wyciągniętej ręce i pstryknąć. Twarz ma prawie nie do rozpoznania, wykręconą, usta otwarte, mówi coś, próbuje coś powiedzieć, mówi do mnie, woła z suszarni na strychu, poprzez czas, a ja nic nie słyszę, nie słyszę go.

(głód)

Pewnego wieczoru zadzwonił Peder, bardzo wzburzony. Telefon odebrałem ja, zanim zdążył odebrać go ktokolwiek inny, w dodatku byłem sam w domu, a stwierdzenie, że Peder był wzburzony, nie jest żadną przesadą. Można było odnieść wrażenie, że stoi gdzieś na innej planecie i wrzeszczy przez tubę syreny przeciwmgielnej. – Spotkaj się ze mną pod drzewem! – krzyczał. Trzymałem słuchawkę na odległość wyciągniętej ręki, żeby nie nabawić się trwałego uszkodzenia słuchu. Peder gdzieś we wszechświecie wrzeszczał jeszcze głośniej: – Jesteś tam, Barnum? Przyłożyłem słuchawkę do ust. – Tak.

Co się dzieje? – Zaczekaj, a zobaczysz! – Nie pieprz, dobra? Co się dzieje? Peder zaczął się niecierpliwić. – Przyjdiesz czy nie przyjdiesz, niewyrośnięty grzybie! – Idę! – wrzasnąłem. I poszedłem. Rzuciłem słuchawkę, chwyciłem kurtkę, zbiegłem po kuchennych schodach, o mało nie wywracając matki, która wchodziła na górę z pustym wiadrem na śmieci, i niewiele brakowało, a ustanowiłbym osobisty rekord, bo kiedy Peder nazywał mnie niewyrośniętym grzybem, mówił poważnie, oznaczało to, że nie ma innego wyjścia. Gdyby nazwał mnie żabą, mógłbym długo się guzdrać, pigmejem – wtedy może zostałbym w domu, a gdyby powiedział „ty wełniana rękawiczko”, nie chciałoby mi się nawet odpowiadać. Ale niewyrośnięty grzyb oznaczał, że sytuacja jest poważna, co najmniej pożar lasu w parku Frogner. – Spiesz się! – zawołałem do Boletty, wchodzącej osiemnaście stopni za matką; zanim którakolwiek z nich zdążyła powiedzieć choćby słowo, przebiegłem przez podwórze, zanurkowałem pod sznurami do bielizny, zdeptałem zwiędłe kwiaty dozorczy Banga i pognałem dalej wzdłuż Jacob Aalls gate, ale znalazłszy się na Vestkanttorget, nie mogłem posuwać się już dalej, bo ktoś zawołał mnie po imieniu, to Fred wołał, a nikt go nie widział od pięciu dni. Żałowałem, że to on, że nie poszedłem raczej inną drogą. Wolno zbliżyłem się do Freda. Siedział na jedynej ławce, która tam została. Nadszedł paździenik i w całym mieście prawie już nie było ławek, tylko ta. Fred nie wyglądał dobrze. Ledwie zaczął przypominać siebie po walce z Aslem Bråtenem, tyle że był jeszcze chudszy, mięśnie jakby mu się skurczyły, jak gdyby zbyt długo moczyły się w wodzie, a potem wywieszono je do suszenia na słońcu. Dopalił papierosa i rzucił peta na żwir między wykoślawione buty. – Siadaj, Barnum – powiedział. Usiadłem. Peder czekał. Może nie chciało mu się czekać dłużej. – Gdzie byłeś? – spytałem. – Dlaczego o to pytasz? – Tak tylko spytałem. – Matka się złości? – Chyba nie. – Na pewno? – Przynajmniej nic nie mówiła. Fred zapalił peta i wciągnął go w usta. – Może byłem u Willy’ego – powiedział. – U trenera? Znów będziesz się boksował?

Fred pokręcił głową. – Willy przestał już być trenerem. – Naprawdę? Fred popatrzył na mnie. – Spieszysz się, Barnum? – Mam się spotkać z Pederem – szepnąłem. Fred wzruszył ramionami. – No to idź. Siedziałem. – Co robiłeś u Willy’ego, Fred? – Chyba się umówiłeś z Pederem, co? – Owszem, niedługo. – Vivian też przyjdzie? Nie podobało mi się, że wymówił jej imię. Miałem ochotę nazwać ją jakoś inaczej. Mógłbym nazwać ją Lauren. Postanowiłem, że tak będzie miała na imię, Lauren. Lauren i Barnum. Brzmiało to całkiem przyjemnie, jak jakaś słynna para, Fred mógł teraz mówić Vivian, ile chciał, bo nie wiedział, że ja nazywam ją Lauren. – Nie wiem – szepnąłem. Podniosłem się, ale nie odchodziłem. Co będziesz robił ze swoim najlepszym przyjacielem, Barnum, co? Nie wiem? powtórzyłem. Tego też nie wiesz? Czyżby nie chciał mi czegoś powiedzieć, Barnum? Nie wiem, Fred. Słowo honoru. Słowo honoru. To dobrze. Musz już lecieć, Fred. Odwróć się? powiedziało. Zamknęłam oczy i się odwróciłam. O co chodzi? spytałem. Chciałem się tylko przekonać, czy skrzyżowałaś palce, bo wtedy się nie liczy. Co się nie liczy, Fred? Słowo honoru, Barnum. No to pozdrów Pedera. Dobra? powiedziało. Pozdrowiło. Fred znów się uśmiechnęło. I pozdrów Vivian. Jeśli też przyjdzie. Ruszyłem przez plac ku latarniom, miałem ochotę biec, ale się bałem. Fred nagle się poderwał. Nie rób niczego, czego będziesz potem żałował? zawołałem. Podniosłem się, ale nie odchodziłem. – Co będziesz robił ze swoim najlepszym przyjacielem, Barnum, co? – Nie wiem – powtórzyłem. – Tego też nie wiesz? Czyżbyś nie chciał mi czegoś powiedzieć, Barnum? – Nie wiem, Fred. Słowo honoru. – Słowo honoru. To dobrze. – Muszę już lecieć, Fred. – Odwróć się – powiedział. Zamknęłam oczy i się odwróciłam. – O co chodzi? – spytałem. – Chciałem się tylko przekonać, czy skrzyżowałaś palce, bo wtedy się nie liczy. – Co się nie liczy, Fred? – Słowo honoru, Barnum. No to pozdrów Pedera. – Dobra – powiedziałem. Pozdrowię. Fred znów się uśmiechnął. – I pozdrów Vivian. Jeśli też przyjdzie.

Ruszyłem przez plac ku latarniom, miałem ochotę biec, ale się bałem. Fred nagle się poderwał. – Nie rób niczego, czego będziesz potem żałował! – zawołał.

Zatrzymałem się na moment. – O co ci chodzi? Fred się uśmiechnął. – O co mi chodzi?

Dobrze wiesz. – Nie, Fred. Nie wiem. Fred usiadł, jak gdyby nagle zaczął się okropnie nudzić i nie chciało mu się dłużej ze mną gadać. – Sam się przekonasz, Barnum. Zacząłem biec dopiero wtedy, gdy znalazłem się przy fontannie, już zakręconej, bo była jesień i w każdej chwili mógł nadejść mróz. Pobiegłem aż do Solli plass, a tam pod naszym drzewem w Hydroparken czekał Peder i nie mógł ustać spokojnie. Zatrzymałem się zdyszany, to on podbiegł ostatni kawałek przez grubą warstwę liści opadłych z gałęzi. – Cholera, ale się guzdrzesz! – Przecież przybiegłem najszybciej jak mogłem! – Najszybciej jak mogłeś! Mogłeś się trochę pospieszyć! Przez chwilę się obejmowaliśmy, staliśmy po kolana w liściach, krwistoczerwonych wilgotnych płatkach, poruszających się bezustannie, w morzu liści. – Ale co się dzieje? – spytałem. – Na Solligaten kręcą film – szepnął Peder. – Kręcą film? – Tak, kręcą film na Solligaten, do cholery! – Teraz? – Tak! Właśnie teraz. Myślisz, że się zgrywam, czy jak? Nie, wcale nie myślałem, że Peder Miil się zgrywa, potrafił się zgrywać z wielu różnych rzeczy, właściwie prawie ze wszystkiego się zgrywał, ale to wcale nie był żart, że kręcą film na Solligaten w ten całkiem zwyczajny październikowy wieczór. – No a gdzie jest Vivian, co? – spytałem. Peder popatrzył na zegarek, czoło miał spocone. – Guzdrze się mniej więcej tak samo jak ty – jęknął.

Czekaliśmy jeszcze przez chwilę, ale Vivian nie przyszła. Może nie pozwolono jej wyjść.

Może się w międzyczasie rozchorowała. Coś musiało się stać. Musiało się stać coś takiego, że nie mogła wyjść, a mnie wpadła do głowy szalona myśl, była jak cios, ale odpuściła, nie zdążyłem nawet pomyśleć jej do końca. Nie mogliśmy dłużej czekać.

Poszliśmy na Solligaten. Rzeczywiście tam byli. Peder się nie zgrywał. Kręcili film. To był inny świat. A my powoli w niego weszliśmy. Bruk był pokryty ziemią. Zdjęto czerwoną skrzynkę pocztową. Zniknęły samochody, które zwykle tam parkowały. Przy bramie numer dwa stał policjant w staroświeckim mundurze z płaską czapką i wielkimi błyszczącymi guzikami. Podniósł rękę i pozdrowił woźnicę przejeżdżającej dorożki.

Zmieniono nawet zasłony w oknach na parterze, z jakiegoś powodu właśnie to zrobiło na mnie największe wrażenie, może przemeblowali całe mieszkanie za zasłonami, wniesli inne krzesła i kanapy, wymienili książki w biblioteczkach, powiesili na ścianach obrazy, zerwali prysznic, schowali pralkę i lodówkę, a ludzi, którzy tam mieszkali, wysłali na wieś. Zacząłem się bowiem w duchu zastanawiać nad niezwykłą kwestią, której sam nie potrafiłem całkiem zrozumieć, i nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam ją komuś wytłumaczyć, a mianowicie ile trzeba zrobić, żeby oszukać publiczność, która będzie oglądać ten film, ile trzeba zakryć, jak daleko w głąb wejść, w fasady, w budynki, w ludzi i w serca, abyśmy uwierzyli, że to prawda? Usłyszałem też śmiech i głos ojca:

Najważniejsze jest nie to, co widzisz, ale to, co ci się wydaje, że widzisz. Ująłem Pedera za rękę. – Zobacz – szepnąłem. Zasłony są zmienione! Ale wtedy coś się zaczęło dziać w dole ulicy. Osłepiło nas ostre światło i z cienia wyłonił się jakiś mężczyzna z megafonem. To był z pewnością reżyser. – Zabierzcie tych idiotów! Przybiegł tamten policjant i przegnał nas prawie z powrotem na Solli plass, tam przykucnęliśmy za pojemnikiem na śmieci. – Cholera – szepnął Peder. – No właśnie, cholera! A tak już było blisko. Policjant pospiesznie wrócił na swoje miejsce w bramie. Podczołgaliśmy się do przodu i teraz zaczęły się dziać różne rzeczy. Pojawiła się jakaś pani w futrze i kapeluszu i ruszyła chodnikiem. Tuż za nią podążała kamera. Ciarki przeszły nam po plecach. To nie był film. To było prawdziwe. Znaleźliśmy się w środku, w podwójnej rzeczywistości.

Kobieta szła w naszą stronę, ona i kamerzysta, wyglądała tak, jakby marzła, ręce miała schowane w grubym wątku z futra na brzuchu, przez cały czas się odwracała, jak gdyby ktoś za nią szedł, ktoś, kogo się bała, może wracała sama do domu i ktoś miał ją napaść?, ale za?ni? by? tylko kamerzysta, a?jego przecie? nie musia?a si? ba?. Zatrzyma?a si? przed bram?, policjant jej zasalutowa?, zawaha?a si? chwil?, twarz mia?a ca?kiem bia??, odwr?ci?a si? jeszcze raz, zanim znikn??a w?mroku. Re?yser wsta? z?krzes?a i?klasn?? w?d?onie. Kobieta w?futrze wysz?a z?bramy, teraz u?miechni?ta, re?yser poca?owa? j??w policzek, a??wiat?a gas?y z?jakim? dr??cym d?wi?kiem. ? Lauren Bacall jest lepsza ? szepn?? Peder. Zat?skni?em za?Vivian, kiedy to?powiedzia?, i?jestem pewien, ?e?Pederowi te? jej brakowa?o. Powinna tu?by?. Powinni?my ogl?da? to?razem. ? Jak my?lisz, jaki to?film? ? szepn??em. ? Dozwolony od?lat czterdziestu ? odpar? Peder. Dalej kucali?my za?cuchn?cym ?mietnikiem. Pachnia?o starym latem. Troch? to?trwa?o. Jaki? pies przebieg? obok, ni?s? co? w?pysku. Mo?e sko?czyli filmowa?. Policjant zapali? papierosa.

Czekali?my. Wszyscy czekali. Tak to?by?o. To?by? czas oczekiwania. Re?yser siedzia? na?swoim krze?le i?wolno przerzuca? kartki w?grubym pliku. I?nagle powia? wiatr. Taki, jaki potrafi nadci?gn?? na?Munkedamsveien z?dna miasta, niczym wachlarz sztormu na?ulicach.

Zdmuchn?? jedn? kartk? z?kolan re?ysera, przelecia?a przez p?ot, poderwa?em si?, Peder pr?bowa? mnie powstrzyma?, ale ja?bieg?em za?ni?, z?apa?em kartk? i?biegn?c z?powrotem do?re?ysera, kt?ry zerwa? si?, w?ciek?y, zd??y?em przeczyta? g?r? tej kartki i?pami?tam to, pami?tam tak, jakby to?by?o wczoraj, jakby by?o dzisiaj, albo wr?cz w?tej chwili, bo?by? to?pierwszy scenariusz, jaki trzyma?em w?r?kach: ć, ale za nią był tylko kamerzysta, a jego przecież nie musiała się bać. Zatrzymała się przed bramą, policjant jej zasalutował, zawahała się chwilę, twarz miała całkiem białą, odwróciła się jeszcze raz, zanim zniknęła w mroku. Reżyser wstał z krzesła i klasnął w dłoń. Kobieta w futrze wyszła z bramy, teraz uśmiechnięta, reżyser pocałował ją w policzek, a światła gasły z jakimś drżącym dźwiękiem. – Lauren Bacall jest lepsza – szepnął Peder. Zatęskniłem za Vivian, kiedy to powiedział, i jestem pewien, że Pederowi też jej brakowało. Powinna tu być. Powinniśmy oglądać to razem. – Jak myślisz, jaki to film? – szepnąłem. – Dozwolony od lat czterdziestu – odparł Peder. Dalej kucaliśmy za cuchnącym śmietnikiem. Pachniało starym latem. Trochę to trwało. Jakiś pies przebiegł obok, niósł coś w pysku. Może skończyli filmować. Policjant zapalił papierosa.

Czekaliśmy. Wszyscy czekali. Tak to było. To był czas oczekiwania. Reżyser siedział na swoim krześle i wolno przerzucał kartki w grubym pliku. I nagle powiał wiatr. Taki, jaki potrafi nadciągnąć na Munkedamsveien z dna miasta, niczym wachlarz sztormu na ulicach.

Zdmuchnął jedną kartkę z kolan reżysera, przeleciała przez płot, poderwałem się, Peder próbował mnie powstrzymać, ale ja biegłem za nią, złapałem kartkę i biegnąc z powrotem do reżysera, który zerwał się, wściekły, zdążyłem przeczytać górę tej kartki i pamiętam to, pamiętam tak, jakby to było wczoraj, jakby było dzisiaj, albo wręcz w tej chwili, bo był to pierwszy scenariusz, jaki trzymałem w rękach: *s. 48. PLENER. WIECZÓR. ULICA.*

Kilkoro przechodniów i dorożka. PONTUS widzi niedużego psa, który biegnie do domu rynsztokiem z kością w pysku. To były słowa, z których miał powstać film, Pontus, pies, rynsztok, miały zostać uniesione z kartki, oderwane od papieru, i zmienić się w ruch, obraz, dźwięk, i właśnie wtedy, gdy przeczytałem te zwyczajne słowa, w zwyczajnym zdaniu, takie ciche, a mimo wszystko pełne mocy, właśnie wtedy postanowiłem, w tym momencie podjąłem decyzję, bez zastanowienia, po prostu się zdecydowałem i wiedziałem, że moja decyzja jest słuszna: będę spisywał swoje sny. I poczułem głęboką trwałą radość z tego, że tak postanowiłem. Oddałem stronę 48 reżyserowi i nisko się ukloniłem. Wyrwał mi ją z rąk. – Proszę – powiedziałem. Nawet nie podziękował.

Przegonił mnie tylko ruchem ręki. Pobiegłem z powrotem do Pedera za pojemnik na śmieci. I znów zaczęło się coś dziać. Wysoki chudy mężczyzna w zniszczonym ubraniu, okrągłych okularach, o zabiedzonej nieogolonej twarzy szedł tą samą ulicą, ale teraz kamera była z przodu, on szedł na kamerę, nagle zatrzymał się, przetaił okulary, wyglądało na to, że mówi do siebie i nie zgadza się z niczym, co mówi. – To musi być Pontus – szepnąłem. – Kto? – Pontus. Tak było w scenariuszu. A ten, który musiał być Pontusem, szedł dalej, coraz bardziej zbliżając się do kamery, wyglądało to tak, jakby miał zamiar ją zaatakować. Nagle reżyser klasnął w dłonie, zawołał coś i chudy mężczyzna, Pontus, musiał robić wszystko od nowa, iść na kamerę, zatrzymywać się, czyścić okulary, mówić do siebie, ja nie widziałem żadnej różnicy, ale on powtarzał to jeszcze dwa razy, zanim reżyser był zadowolony, i wtedy na dobre zgasili światła, spakowali sprzęt i odjechali ciężarówką. Peder i ja wstaliśmy. W oknach znów pokazali się ludzie. Jakiś dozorca zaczął zmiatać ziemię z bruku. Przyniesiono skrzynkę na listy. Konie pojechały w stronę Zamku. Wszystko wróciło na miejsce i ulica powoli z powrotem stawiała się sobą.

Wcześniej przypominała niemal sen. Poszliśmy Bygdøys allé, a ja cieszyłem się, że będę mógł powiedzieć Pederowi, iż moje życie obrało w sposób gwałtowny i nieoczekiwany nowy kierunek, a stało się to w chwili, kiedy z kartki trzymanej w ręku, s. 48, odczytywałem spokojne linijki o Pontusie i psie, napisane po duńsku. Ale nic Pederowi nie powiedziałem, na razie jeszcze nie, chciałem bowiem najpierw wrócić do domu i napisać coś, co mógłbym mu pokazać. – Ciekawe, co się stało z Vivian – powiedziałem.

Zatrzymaliśmy się pod jej klatką, popatrzeliśmy w górę na okno. Było ciemne. Peder rzucił kasztanem i trafił. Ale to nie Vivian leciutko rozchyliła zasłony, tylko jej matka, popatrzyła na nas przez chwilę, a potem znów się cofnęła. Peder spojrział na mnie i się otrząsnął. – Cieszę się, że mama tylko siedzi na wózku – powiedział. W tej samej chwili pojawiła się Vivian. Nadeszła z drugiej strony kościoła, pobiegliśmy do niej. – Gdzieś ty się podziewała, co? – zawołał Peder. – Poszłam tylko się przejść – odparła. A najpierw musiałam pomóc mamie. – Najpierw musiałas pomóc mamie? Vivian wzruszyła ramionami. – Często jej czytam, kiedy nie może zasnąć. Peder nic więcej nie powiedział.

Ja nie mogłem ustać w miejscu. – Cholera, zgadnij, co cię ominęło! Vivian popatrzyła na mnie, ale krótko. Spuściła zaraz wzrok i nagle wydała się nieszczęśliwa i wystraszona.

Ale kto by się tak nie czuł, mając matkę bez twarzy, której trzeba czytać. – No co? – spytała. – Kręcili film na Solligaten! Mieli kamerę i reflektory i w ogóle! – Wiem – odparła Vivian. – Wiesz? – Tak, pisali o tym w gazecie. Ten film nazywa się *Głód*. – *Głód*? Niezły tytuł. – Właściwie to książka Knuta Hamsuna. Czytam ją teraz mamie. Vivian podeszła do klatki. Tam się odwróciła. – Jutro na pewno też będą kręcić. Może spróbujemy ich poszukać? Pokiwaliśmy głowami. Jasne, że ich znajdziemy. Znalezienie filmu w mieście takim jak to nie mogło być trudne. Vivian roześmiała się i znów zaczęła przypominać siebie, jakby i ona wcześniej brała udział w filmie i wreszcie zdjęła kostium. – Spotykamy się o dwunastej – powiedziała. Jeśli nie boicie się zwiąć ze szkoły.

Peder był milczący, kiedy wracaliśmy razem do domu, ja też, bo miałem swoje do myślenia, skoro postanowiłem pisać, a ta myśl była taka wielka, że właściwie nie pozostawiała miejsca na nic innego. Ale kiedy się rozstawaliśmy, Peder mimo wszystko coś powiedział: – Wydaje mi się, że musimy dobrze pilnować Vivian. – Zawsze dobrze pilnujemy Vivian – odparłem. Peder nagle mnie objął. – Dobranoc, Barnum. Jutro wagarujemy jak cholera. Ostatni odcinek szedłem sam, w górę Kirkeveien. To był niezwykle wieczór. Zatrzymałem się przy Marienlyst i rozejrzałem. To było moje. To był mój świat. Ulice, którymi chodziłem, las za miastem, niebo nad dachami. O tym zamierzałem pisać. Tu mieli żyć moi ludzie, Esther w kiosku, Stara, Fred, matka, Peder i Vivian, Boletta, ojciec, chociaż już umarł, dla wszystkich starczy miejsca, i dla żywych, i dla umarłych. Wtedy zjawił się Fred. Przeciął trawnik, a potem szedł przez miniaturowe miasteczko, gdzie kiedyś nauczyliśmy się zasad ruchu drogowego, przez małe uliczki, przez małe przejścia dla pieszych, nie większe od kresek na asfalcie, przez małe chodniczki i wśród maleńkich domków, mających przypominać prawdziwe domy, a gdy tak na niego patrzyłem, do głowy wpadł mi pomysł, mój pierwszy pomysł. Fred zatrzymał się przede mną. – Wyglądałeś teraz bardzo smutno, Barnum. – Tylko myślałem – odparłem. – Myślałeś? O czym? O czymś smutnym? Musiałem powiedzieć Fredowi. – Myślałem o wszystkim, o czym będę pisał – odparłem. Fred pochylił się bliżej. – Pisał? – Postanowiłem, Fred. Będę pisał. – Ale co pisał? – Scenariusze filmowe. Fred odwrócił głowę, jak gdyby się bał, że ktoś za nim idzie, ale tego wieczoru na Marienlyst byliśmy tylko my dwaj. – Spać mi się chce – powiedział, położył mi rękę na ramieniu i tak razem wróciliśmy do domu. Matka wybiegła z salonu, widząc, że Fred nareszcie wrócił, ale on poszedł do pokoju i nie chciało mu się nawet powiedzieć „cześć”. – Gdzie byłeś? – spytała matka. – Poszedłem się przejść – odparł Fred i zatrasnął drzwi. – I zabrało ci to pięć dni! – zawołała, patrząc teraz na mnie. – Poszedł się

przejsć – powtórzyłem. Mimo wszystko się uśmiechnęła, cieszyła się, że Fred wrócił do domu, chociaż zabrało mu to pięć dni, właśnie te słowa mieliśmy powtarzać tyle razy, Fred tylko poszedł się przejść, kiedy zaczął nam znikać, a w końcu zniknął na tak długo, że uznano go za zmarłego, a ja uświadomiłem sobie, że tego wieczoru Vivian pierwsza tak powiedziała, poszłam się przejść. – Zrobić ci kolację? – spytała matka i już wiedziałem, że jest w naprawdę dobrym humorze. – Nie, dziękuję – odparłem. Czy my mamy taką książkę, która się nazywa *Głód*?

W uśmiechu matki pojawiło się zdziwienie, odwróciła się do Boletty, która już podniosła się z otomany i wolno się do nas zbliżała. – Tę powieść?, niestety, spaliłyśmy? powiedziała. ? Spaliły?cie? ? Autor podczas wojny okazał się łajdakiem, Barnum. Jego książki nie pasowały do biblioteczek. Dlatego spaliłyśmy jego dzieła zebrane, o?tu, w?kominku. Boletta musiała wesprzeć się na moim ramieniu. Wkrótce oboje mieliśmy być już równie mali. Westchnęła g?boko. ? Ale teraz tego ?a?uj? ? powiedziała. ? Bo?nawet ?ajdacy potrafi? dobrze pisa?.ć, niestety, spaliłyśmy – powiedziała. – Spaliłyście? – Autor podczas wojny okazał się łajdakiem, Barnum. Jego książki nie pasowały do biblioteczek. Dlatego spaliłyśmy jego dzieła zebrane, o tu, w kominku. Boletta musiała wesprzeć się na moim ramieniu. Wkrótce oboje mieliśmy być już równie mali. Westchnęła głęboko. – Ale teraz tego żałuję – powiedziała. – Bo nawet łajdacy potrafią dobrze pisać.

Rozmyślałem o tym, kiedy się położyłem, i jeszcze bardziej utwierdziło mnie to w mojej decyzji. Nawet łajdacy potrafią dobrze pisać. W takim razie i ja mogłem sobie z tym poradzić, ja, Barnum, wielkości własnego pióra. Znów wstałem, usiadłem przy stole, zapaliłem lampę, wyjąłem ołówek i zeszyt i napisałem: *Ulicą idzie chłopiec. Jest większy od domów. Jest większy od sygnalizacji świetlnej. Zatrzymuje się na rogu. Jest sam.*

Dalej nie dotarłem, bo zapomniałem, że w łóżku leży Fred. – Jak się nazywa to, co piszesz? – spytał. – *Małe miasteczko* – odparłem. – To dobry tytuł, Barnum. Bardzo się ucieszyłem. Zgasiłem lampkę. – Nie będziesz więcej pisał? – Zaczekam do jutra. – Dlaczego? – Nie wiem, co ma być dalej. – Tylko ty to możesz wiedzieć – powiedział Fred.

Położyłem się pod kołdrą. Dawno już tak nie rozmawialiśmy. Postanowiłem zachować tę rozmowę. Zamknąłem oczy. Chciałem z uśmiechem wejść w sen. Usłyszałem jednak, że Fred siada na brzegu mojego łóżka. Mógł teraz popsuć wszystko. Ale nie popsuł. To, co zrobił, sprawiło, że ta rozmowa stała się jeszcze wspanialsza. Wiedziałem, że nigdy nie zapomnę tych słów. Mimo wszystko się wystraszyłem. – Ja też myślałem – powiedział cicho. – O czym? Fred długo milczał. – Że znajdę list, który sprzedał świętej pamięci Arnold Nilsen. Tak właśnie to powiedział: świętej pamięci Arnold Nilsen. Otworzyłem oczy Fred pochylał się nade mną, tuż nad moją twarzą. – Nie mów o tym nikomu, Barnum. – Dobrze – powiedziałem. – Nikomu. Podniosłem ręce do góry tak, żeby mógł widzieć moje palce. Zaśmiał się krótko, wstał i zaczął patrzeć na zeszyt, ledwie widoczny w żółtym świetle ulicznej latarni, przeświecającym przez zasłony cienką drżącą smugą.

I zaczął czytać na głos, powoli i wyraźnie: *Ulicą idzie chłopiec. Jest większy od domów.*

Jest większy od sygnalizacji świetlnej. Zatrzymuje się na rogu. Jest sam. Fred przeczytał pierwsze napisane przeze mnie zdania bez jednej pomyłki, nie przekreślił ani jednej sylaby.

Bąłem się cokolwiek powiedzieć. Byłem bliski płaczu. A nie mogłem się rozplakać. Za wszelką cenę nie mogłem do tego dopuścić. Fred zamknął mój zeszyt i się położył.

Leżeliśmy po ciemku, rozdzieleni namalowaną na podłodze kredową kreską. – Jest sam – szepnął Fred.

Fred spał, kiedy wstałem następnego ranka, albo przynajmniej udawał. Matka po cichu kręciła się po mieszkaniu, mówiła ściszym głosem i tłumiała najmniejszy odgłos w obawie, że go obudzi. Nie poszedłem do szkoły. Poszedłem do Stensparken i usiadłem na samej górze, na Blåsen. Wyjąłem zeszyt, ołówek i drugie śniadanie, a szkolny plecak schowałem pod krzakiem. Był ładny dzień. Powietrze przejrzyste i chłodne, ale nie zimne.

Miałem wrażenie, że wszystko przysunęło się bliżej, wzgórze Ekeberg po drugiej stronie, szare budynki, kościelne wieże. Miasto coraz bardziej się zmniejszało. Napisałem: *Jest sam. Światła się zmieniają. Ale nie ma żadnych samochodów. Chłopiec przechodzi przez przejście dla pieszych. Żółte pasy są mniejsze od jego butów. Wchodzi do sklepu, musi się zgiąć w pół, żeby wejść do środka. To kwiaciarnia. Tam też jest sam. Woła: – Jest tu kto? Ale nikt nie odpowiada. Zaczyna wyjmować kwiaty z wazonów, kwiaty ledwie wystają mu z dłoni. Kładzie jakieś pieniądze na ladzie i wychodzi. I w tej samej chwili, gdy wychodzi zgarbiony, oślepia go ostre światło, musi zasłonić oczy. Jakiś głos woła: – Jesteś aresztowany!* Zgłodniałem od tego wszystkiego, zjadłem więc kanapkę z kielbasą i serem, i gdy tak siedziałem na Blåsen, na górze martwych koni, w środku opowiadania, zwróciłem uwagę na coś, co działo się na Sankthanshaugen, innym wzgórzu w tych okolicach, i wkrótce zorientowałem się, co to jest. Kręcili film. Już zaczęli. Ja tu siedziałem i pisałem, a oni tam filmowali, na dwóch różnych wzgórzach. Spakowałem się, zszedłem w dół stromą ścieżką i pobiegłem tam. Już zrobili przerwę. Poznałem Pontusa.

Siedział na ławce, oparty o kolana w wytartych spodniach, i nerwowo palił papierosa.

Sprawiał wrażenie tak samo zmęczonego jak wczoraj. Reżyser siedział na własnym krześle i jadł kanapki, przeglądając jednocześnie scenariusz. Był tam też ten sam policjant.

Chyba nie było zakazu chodzenia tamtędy? Ruszyłem ścieżką między drzewami i zwolniłem, kiedy zbliżałem się do Pontusa. Podniósł głowę i podrapał się chudym palcem za okularami. Naprawdę nie wyglądał dobrze. Nagle wyrzucił papierosa i się odezwał. – Czy może mi pan powiedzieć, która jest godzina? – spytał. Zatrzymałem się zaskoczony i ledwie zdołałem podwinąć rękaw kurtki. – Dziesiąta – odparłem. Pontus pokręcił głową. – Nie, nie jest dziesiąta. Jest druga! Musiałem spojrzeć jeszcze raz, mój zegarek wskazywał dziesiątą. – Jest dziesiąta – powtórzyłem. Pontus wstał rozszłoszczony. – Całkowicie się pan myli. Jest druga. Niech pan się temu podporządkuje, mój dobry człowieku! Usłyszałem czyjś śmiech przy kamerze. – Masz ochotę na kanapkę z kiełbasą, Pontus? – spytałem. Pontus na moment się zdumiał, wypadł z gry, zaskoczony.

Z powrotem usiadł. – Jak ci na imię? – spytał. – Barnum. Pokiwał głową, nie odrywając ode mnie oczu. – Pontus i Barnum – powiedział. To brzmi jak para ze starego niemego filmu. Naprawdę masz na imię Barnum? – Tak. Ochrzcił mnie pastor na Røst. – Ale ja, niestety, nie mam na imię Pontus. Nazywam się Per Oscarsson. Wyciągnął rękę.

Uścisnąłem ją, przypominało to grzechotanie kości. – Dziękuję, Barnum, chętnie zjadłbym kanapkę z kiełbasą. Ale to niestety niemożliwe. Gram w tym filmie głodnego idiotę i wobec tego muszę być głodny. – Widzę – powiedziałem. Puścił moją rękę i wskazał na swoje buty. Były tak samo chude. – Przyszedłem na bosaka ze Sztokholmu do Oslo – oznajmił. Wiesz, ile to kilometrów? Pokręciłem głową. – Ja też nie. Ale dużo. Pontus oparł się o ławkę. – Jestem zmęczony – westchnął. Właściwie nie wiem, gdzie jestem. – Na Sankthanshaugen w Oslo – wyjaśniłem. Pontus wolno kiwnął głową. – Dziękuję, Barnum.

Wobec tego później będziemy w Parku Zamkowym. Westchnął głęboko. – Następnym razem chcę zagrać tłustego króla. Podeszła do nas jakaś pani w szerokich spodniach.

Przyniosła skrzynkę pełną tub i czegoś, co przypominało pędzle do golenia. – Maestro czeka – szepnęła i zaczęła pacykować Pontusa, zarost zrobiła mu ciemniejszy, włosy rzadsze, a oczy jeszcze bardziej dzikie. W czasie, gdy się tym zajmowała, maestro wstał i zawołał: – Proszę, żeby wszystkie osoby postronne opuściły teren! Maestro był reżyserem. Osobą postronną byłem ja. – Która godzina? – spytałem prędko. Pontus wyjął swój kieszonkowy zegarek, uśmiechnął się i uroczyście otworzył kopertę. Zegarek był pusty, jak muszla ze srebra, z której wygrzebano wnętrzości. Pontus się uśmiechnął. – Jest dokładnie za pięć dwunasta – odparł.

Zbiegłem na Solli plass, ale przy ostatnim rogu zahamowałem i końcowy odcinek szedłem zupełnie spokojnie. Peder i Vivian już czekali pod drzewem. Miałem dużo czasu.

Podniosłem parę liści i studiowałem delikatny wzór żyłki krwi na zielonej płaszczyźnie.

Peder i Vivian podeszli do mnie. – Barnum ma dzisiaj dobry czas! – zawołał Peder.

Delikatnie wyrzuciłem liście na ziemię. – Są w Parku Zamkowym – oznajmiłem. – Skąd wiesz? Wzruszyłem ramionami. – Rozmawiałem z Pontusem. Vivian przekrzywiła głowę.

Zwykle tak robiła, gdy czegoś nie rozumiała, jak gdyby to mogło w czymś pomóc, to przekrzywienie głowy. Oczy miała zaczerwienione na brzegach, jakby pokryte cieniutkimi strupami, które próbowała zmyć. Może dziś w nocy nie spała? Może kończyła czytać powieść matce? – Pontus? – spytała cicho. – Główna rola w filmie. Spotkałem go na Sankthanshaugen. Peder podszedł o krok. – Naprawdę? – Oczywiście, że naprawdę! Peder zaczął wymachiwać rękami. – I jaki on był? Długo się zastanawiałem. Peder mało nie pękł. – Pontus był głodny. Razem zeszliśmy do Parku Zamkowego. Nic tam się nie działo.

Tylko król Olav był w domu. Kazali mu nie podchodzić do okien. Nie mogłem się pozbyć tych myśli z głowy. Ile trzeba, abyśmy uwierzyli w to, co widzimy? Czy Pontus mówił po szwedzku, dlatego że wciąż byliśmy w unii ze Szwecją? Ile możemy właściwie zobaczyć?

A gdyby nad miastem przeleciał samolot, to czy wszystko trzeba by było robić od początku? Oto nad czym się zastanawiałem: Ile trzeba kłamać, żeby ktoś uwierzył, że to prawda? – Ja też jestem głodny – powiedział Peder. Wolnym krokiem ruszył w stronę kiosku przy Teatrze Narodowym. Od lata znów utył, aż tutaj słyszeliśmy jego ciężki oddech. Vivian uśmiechnęła się leciutko i chciała coś powiedzieć, lecz mimo wszystko się powstrzymała. Usiedliśmy w liściach za największym drzewem, tak żeby gwardziści nas nie zobaczyli. Vivian milczała. Kiedy dłużej się jej przypatrywałem, zrobiła się prawie przezroczysta, jakby jej skóra była wodą, w którą mogę się zanurzyć. Przypomniało mi się nagle, jak powiedziała, że urodziła się w wypadku. – Co się stało? – spytała. – Nic – odszepnąłem. Chciałem przyjrzeć się jej bliżej, ale się odchyliła i wyjęła z torby książkę.

Podawała mi ją. To był *Głód* Knuta Hamsuna, łajdaka. – Mogę ci ją dać – powiedziała. – Przeczytałaś? Kiwnęła głową. – Bardzo dziękuję – powiedziałem. Zacząłem przeglądać książkę. Nigdzie nie mogłem znaleźć Pontusa. – Jak się kończy? – spytałem. – Główny bohater wyjeżdża z miasta – odparła. – I wraca? Vivian spuściła wzrok. – Tego nie wiem.

Nikt tam o tym nie pisze. – To chyba bardzo smutny koniec – powiedziałem. Vivian znów spojrzała na mnie. – Tak myślisz? Ale nie usłyszałem odpowiedzi, bo przynajmniej Peder wrócił, nakupił jedzenia jak dla pułku wojska, przyniósł pół fabryki czekolady Freia i nie tylko, nie zapomniał nawet o prawdziwym marcepanie i pastylkach miętowych, które Vivian uwielbiała, chociaż była taka chuda. – Prawdopodobieństwo, że jedno z dwóch wydarzeń nastąpi, jest równe sumie prawdopodobieństwa każdego z tych wydarzeń – oświadczył Peder i wysypał trzy paczki mieszanki czekoladowej w trawę. – Innymi słowy, co wybieramy, czekoladę czy głód? Zaczęliśmy od czekolady. Ktoś musiał nas tam sfotografować, a my tego nie zauważyliśmy, bo kilka lat później wpadło mi w ręce zdjęcie w *Kto? Co? Gdzie?*, powoli rozpoznałem trzy nieostre pochylone postacie grzebiące w liściach, to przecież my, Peder, Vivian i ja, wyglądaliśmy na trochę otumanionych, jak byśmy robili coś zakazanego, a nie szukali ulubionych cukierków w opadłych liściach. Pod zdjęciem napisano: *Pierwsi młodzi ludzie, tworzący środowisko narkomanów z Parku Zamkowego w proteście przeciwko temu, co nazwali tańcem śmierci wokół plastikowego bożka i złotego cielca.* Zrozumiałem wtedy raz na zawsze, zawstydzony i trochę rozbawiony, lecz również z pewnym smutkiem, że to oko decyduje, co chce zobaczyć, to oko kręci światem, i że pomiędzy wszystkim, co widzisz i co zobaczysz, działa sprzężenie zwrotne.

Pojawili się tuż przed zmierzchem, Pontus, maestro i cała ekipa, w półświatle, które drżało, jakby nie chciało opuścić dnia, jak zwykle w tym miesiącu, zanim mgła znad fiordu wypełniła ulice i zatrzaśnięte odległości i kąty. Słońce było czerwonym cieniem między drzewami. Świeciło w liściach, leciutko trzęsących się nad ziemią. Cofnęli się za barak gwardzistów. Podeszliśmy bliżej. Wyglądało to dość chaotycznie. Wszyscy biegali w koło, może się im spieszyło. Błada kobieta w futrze po uszminekowaniu twarzy zrobiła się jeszcze bledsza. Pontus przysiadł na ławce, którą dla niego przyniesiono. Przypominała ławkę z Sankthanshaugen. Zapalono światło. Maszyna dmuchała liśćmi na Pontusa. Miałem nadzieję, że rozwieje cały scenariusz, wtedy mógłbym pozbierać kartki po kartce i zanieść je z powrotem reżyserowi ułożone w odpowiedniej kolejności. Próbowałem pomachać Pontusowi, ale on mnie nie zauważył. Pisał coś na jakimś skrawku papieru, był zamknięty dla tego świata. Natychmiast zrozumiałem, że chciałbym być do niego podobny. Peder ujął mnie za ramię. – Powiedz mu, że twoja babcia była słynną aktorką – szepnął. – Pontusowi? – Reżyserowi, to chyba jasne! To on decyduje. – O czym decyduje? – O wszystkim, Barnum. Reżyser wymachiwał rękami, przypominał dyrygenta, którego orkiestra nie może się zgrać. W końcu usiadł na krześle i złożył dłonie. Pomyślałem o Starej, która nigdy nie znalazła się w żadnym filmie. – Moja prababka – szepnąłem. To ona była aktorką. – Wszystko jedno, po prostu to powiedz. Peder pchnął mnie w plecy, wydaje mi się, że Vivian też mnie popychała, tylko delikatnie. Nabrałem powietrza i wolno podszedłem do reżysera. Sprawiał wrażenie rozgniewanego, gdy się przed nim zatrzymałem. – Czy my się nigdy nie pozbędziemy tych chłopaczków! – zawołał.

Ukloniłem się. – Moja prababcia była słynną aktorką w Danii – oznajmiłem. Reżyser popatrzył na mnie jednym okiem. – Ach tak? Twoja prababcia była aktorką w Danii? Jak się nazywała? Powiedziałem nazwisko Starej. Pokręcił głową. – Niestety, nie znam. To nie moje czasy. Znów zajrzał do scenariusza. Stałem, głównie dlatego, że nie wiedziałem, co mam zrobić, a przez liście tak ciężko się szło. Stałem tak przez chwilę. Reżyser podniósł głowę znad kartek i zdjął okulary. – Ilu was jest? – Troje – odparłem. Reżyser rozłożył ręce. – No cóż, skoro nie mogę się was pozbyć, to będę musiał was wykorzystać. Wstał, podszedł do dwóch pań, jedną z nich była ta, która malowała, i porozmawiał z nimi przez chwilę. A o tym, co się stało potem, muszę opowiedzieć najciszej, jak potrafię, bo rok później, gdy siedzieliśmy w kinie Saga na premierze, rozczarowanie było tak wielkie, że czuliśmy się wprost oszukani, a to głębokie rozczarowanie przemieszało się z czymś jeszcze gorszym, ze wstydem, dlatego opowiem o tym cicho, szeptem: mieliśmy być statystami. Przebrano nas w staroświeckie ubrania, szerokie spodnie, które gryzły w uda, w za duże buty i marynarki, przy których było więcej guzików, niż mieliśmy palców. – Masz takie piękne kędziory – szepnęła charakteryzatorka i czesała mnie trochę za długo.

Vivian ubrano w długą szeleszczącą suknię, buty na obcasie i ciężki płaszcz. Niezłą tworzyliśmy gromadkę. Był 1890 rok. Miasto nazywało się Kristiania, wracaliśmy do domu przez Park Zamkowy z wizyty u wuja i ciotki na Wergelandsveien. – Jesteście rodzeństwem – powiedział reżyser. – Czy to nie jest trochę dziwne? – zaprotestował Peder. – Dziwne? Co przez to rozumiesz? Peder stanął obok mnie i przyciągnął Vivian bliżej. – Czy my wyglądamy na rodzeństwo? Reżyser ciężko westchnął. – W zeszłym stuleciu rodzeństwo właśnie tak wyglądało – powiedział. Macie iść w dół w stronę stawu i udawać, że nic się nie dzieje. I nie odwracajcie się! Jasne? Pokiwaliśmy głowami. – Mamy myśleć o czymś szczególnym? – spytałem. Reżyser długo na mnie patrzył. – Myśleć? – No tak, o czym mamy myśleć? Podszedł do nas Pontus. – Jesteśmy kolegami z pracy, Barnum? – Na to wygląda – odparłem. Pontus roześmiał się, miał żółte zęby i zapadnięte policzki. – Powiem ci, o czym macie myśleć. Macie myśleć o wszystkich kanapkach, które zjecie po powrocie do domu. O indyku. O szynce. O wołowinie.

O kielbasie. O tłustym majonezie. O czekoladzie z bitą śmietaną. Reżyser mu przerwał: – Wystarczy, Oscarsson. Dość już mają tematów do myślenia. Wkrótce zaczęliśmy. Szliśmy w stronę ciemnego stawu, po którym pływało kilka kaczek, a za naszymi plecami zaczęło się kręcenie. Nie odwracaliśmy się. Nie odzywaliśmy się ani słowem. Nie wiem, o czym myśleli Peder i Vivian, ale ja w każdym razie zastanawiałem się, jak bym to napisał. Po pierwsze, nie powinniśmy być rodzeństwem. Byliśmy raczej trojgiem przyjaciół w drodze do domu z przyjęcia albo z balu, tak, z balu, zarówno Peder, jak ja byliśmy zakochani w Vivian, i musiało się w końcu rozstrzygnąć, albo on, albo ja. Ale w tym momencie Vivian wpada do stawu, w miejscu gdzie jest najgłębiej, nie umie pływać, woda o tej porze roku jest zimna i Vivian się topi, Peder i ja musimy ją wspólnie ratować, rzucamy się do wody i wyciągamy ją na brzeg. Ale jest za późno, Vivian tego nie wytrzymała.

Umiera nam na bezradnych rękach. – Wydaje mi się, że zaszczyliśmy już dostatecznie daleko – szepnął Peder. Znaleźliśmy się już prawie po drugiej stronie Parkveien. A kiedy się wreszcie odwróciliśmy, reżyser stał jak cień przed reflektorem i wymachiwał rękami.

Pobiegliśmy z powrotem. – Doskonale – powiedział. – Będziemy powtarzać? – spytałem. – Nie trzeba, było idealnie. Przebraliśmy się i każde z nas dostało po piątce.

Dostaliśmy zapłatę. Poszliśmy tą samą drogą w stronę stawu z wynagrodzeniem za udział w filmie, dla każdego po piątce, piętnaście koron. – Musimy to uczcić! – zawołał Peder.

Upijemy się! Kaczki poderwały się z wody na ciężkich, ociekających wodą skrzydłach. – Tak! – zawołałem. I upiliśmy się, zwłaszcza Peder, a z całą pewnością ja. – Barnum upija się najszybciej, dlatego że jest niski – mawiał Peder. A wtedy ja mówiłem, że Peder upija się powoli, bo jest taki gruby. A potem piliśmy jeszcze więcej. Poszliśmy do Znaczków Miila – Kupno i sprzedaż, i opróżniliśmy lodówkę na zapleczu, był tam nawet szampan na wypadek wyjątkowej transakcji, być może ojciec i Oscar Miil pili szampana w dniu, w którym kupiono i sprzedano list pradziadka. My w każdym razie go wypiliśmy.

Otworzyliśmy go z hukiem i piliśmy musujący łaskoczący sok prosto z butelki, bo czyż nie była to wyjątkowa okazja, braliśmy udział w filmie, graliśmy w *Głodzie*. Spędziliśmy tam resztę wieczoru, na ciasnym zapleczu, wśród ciężkiego zapachu starych listów, i wznosiliśmy toasty szampanem, campari i colą. Peder mawiał zwykle, że Vivian się nie upija dlatego, że jest taka ładna. Ale ja znów to poczułem, oszołomienie, to, którego doznałem na Ildjernet, które po raz pierwszy odkryłem w sypialni matki, kiedy odetchnąłem głęboko i na języku pojawił się słodki, ciemny smak malagi. Tak siedzieliśmy. Odpłynąłem, najpierw powoli, a potem jakby nagle przekręcono we mnie przełącznik, niezwykłość polegała na tym, że większość mnie pogrążyła się w ciemności, lecz jednocześnie światło zapłonęło w jakimś innym pomieszczeniu, o którego istnieniu nie wiedziałem, w tym pomieszczeniu stałem się królem, tam mogłem rozciągnąć linijkę Barnuma, cienie, które rzucałem, były długie i wielkie, pomysły napływały tak łatwo, ustawiały się w kolejce, a ja byłem królem. Wyjąłem zeszyt i na czystej stronie napisałem:

Tuczenie. Takie właśnie zapisałem słowo: *Tuczenie*. To był mój nowy pomysł, chociaż miało upłynąć wiele lat, nim spisałem tę historię do końca i wygrałem wielki konkurs na scenariusz organizowany przez Norsk Film. Rozpocząłem. – Co tam masz? – spytał Peder.

Przerzuciłem kilka stron do tyłu, do *Małego miasteczka*. – Tylko coś, co napisałem – odparłem. – Napisałeś? Ty coś napisałeś? Podniosłem się. Nie stałem całkiem pewnie, przelewałem się przez podłogę, tak jak myśli przelewały się przeze mnie. – Tak – powiedziałem głośno. Zacząłem pisać! Peder klasnął w rękę. – Odczytaj nam swoje dzieło, Barnum! Przeczytałem. Początek pierwszej rzeczy, jaką napisałem oprócz wypracowań w szkole, ale tych nie liczyłem. Kiedy skończyłem czytać, Vivian się uśmiechnęła, Peder natomiast popadł w milczenie i otworzył jeszcze butelkę piwa. – Pięknie – powiedziała Vivian i mocno mnie uściskała. Próbowałem ją przytrzymać, ale mi się nie udało. To nieprawda, że nie upijała się, ponieważ była taka ładna. Vivian się nie upijała, ponieważ nie piła. Może dlatego była taka ładna. – Jesteś taka ładna – oświadczyłem i osunąłem się na kanapę. – Nie wygłupiaj się! – powiedziała Vivian.

Popatrzyłem na nią i nagle zobaczyłem, że zatrzymała perukę, a twarz miała białą od szminki. – Właśnie że tak. Pewnego dnia o tobie napiszę! Peder się zniecierpliwił. – No ale co będzie dalej? Przecież to się nie może tak kończyć. Zastanowiłem się. Zacząłem.

Wszystko toczyło się świetnie. Byłem kołem. – Pójdzie do więzienia! – zawołałem. A tam wszystko będzie o wiele większe, tak jak w małym miasteczku wszystko było malutkie.

Ten, który był największym człowiekiem świata, zmieni się w najmniejszego. O małym miasteczku przypominać mu będą jedynie kwiaty, które schował. Więcej nie powiedziałem i na dłuższą chwilę zapadła cisza. – Podobało mi się to z tymi kwiatami – szepnęła Vivian.

Peder wstał. – Ale co to ma znaczyć? Vivian się roześmiała. – Możesz policzyć, ile tam jest słów – powiedziała. Ja też się roześmiałem. – No właśnie, policz, ile słów napisałem!

Wtedy to zrozumiesz. Peder podszedł bliżej. – Ale czy ty sam to rozumiesz, Barnum?

Pokręciłem głową, a nie powinienem był tego robić. – Nie mam pojęcia – przyznałem. To Peder odtransportował mnie do domu. Kiedy doszedłem do siebie, siedziałem przed zegarem w przedpokoju. Zegar stał, w szufladce nie było monet. Czas był splukany. Matka też stała przede mną. Ale ona nie stała nieruchomo, cała była niespokojna, jak gdyby usiłowała utrzymać równowagę za pomocą samych palców. Za nią obok martwego zegara stała Boletta, wsparta na lasce, i wydaje mi się, że słyszałem Freda śmiejącego się u nas w pokoju. Ktoś się śmiał. To tylko ja. Matka się rozplakała. – Dzwonił dyrektor szkoły – powiedziała. – Naprawdę? I co mówił? Matka przestała płakać i podniosła mój szkolny plecak. – Masz szansę, Barnum. Masz szansę powiedzieć prawdę. – Prawdę? – Tak. Co dzisiaj robiłeś! Bo nie byłeś w szkole! Zastanowiłem się. Nic już nie płynęło. Ciągnęło za włosy. Nie byłem kołem. Byłem scentrowanym, nieprzydatnym do niczego kołem pędzącym krzywo po zboczu pełnym jeży. – Pisałem – szepnąłem. – Pisałeś? – Tak.

A potem kręciłem film. Nie wierzysz mi czy co? Matka teraz się rozzłościła, otworzyła mój plecak i wściekłymi rękami zaczęła w nim grzebać. – Dyrektor ma dosyć całego twojego wagarowania! – zawołała. Nie zdasz egzaminu, jeśli dalej tak będzie!

Wzruszyłem ramionami. Ciężko było nimi poruszyć. – Wszystko mi jedno – powiedziałem.

Matka nachyliła się nade mną z drżącymi ustami. – Nie staraj się naśladować Freda, Barnum, bo i tak nigdy ci się to nie uda! Ale mnie usta drżały tak samo jak jej. – Mówię prawdę! – powiedziałem. Matka zrobiła krok do tyłu. Stała z *Głodem* w jednej ręce i zeszytem w drugiej. Natychmiast się roztopiła. Zaraz potem jednak znów ją zmroziło i nachyliła się nade mną. – W dodatku piłeś, Barnum? Kiwnąłem głową. Nie powinienem był tego robić. Ześlizgnąłem się z krzesła w cień zegara. Nie miałem zbyt wiele do powiedzenia. I teraz też nie bardzo mam co powiedzieć. Po prostu ześlizgnąłem się z krzesła, a to, co powiem, zostało opowiedziane przez innych o mnie. Jestem opowieścią, tym, co jest opowiadane, kiedy tak leżę jak martwy czas u stóp matki. Ale wiem przynajmniej jedno: zaaplikowano mi kurację Boletty, którą w swoim czasie dostawała od Starej i dawała matce, wywar z kory chinowca z kwaskiem cytrynowym i malagą. Tylko ja dostałem to bez malagi. A gdy obudziłem się następnym razem, na szczęście leżałem we własnym łóżku i okazało się, że rzeczywiście dobrze słyszałem, Fred się śmiał. Fred leżał w swoim łóżku i śmiał się cicho i serdecznie. – Z czego się śmiejesz? – spytałem. – Zgadnij – powiedział. – Ze mnie? – Pomyłka. Ja się nie śmieję z mojego młodszego braciszka. – Dziękuję, Fred. Dziękuję. – Napisałeś coś dzisiaj? – Tak, pół strony w zeszycie. – Świetnie, Barnum. Fred na chwilę powstrzymał śmiech. Szumiało mi w sercu, jak gdyby zwiększono prędkość, żeby czas we mnie płynął szybciej, może w ciągu tej nocy zrobiłem się o kilka lat starszy, może umarłem, albo obudziłem się stary i mądry. – Upiłeś się? – spytał Fred. – Wydaje mi się, że tak – szepnąłem. – Podobało ci się? Usiłowałem sobie przypomnieć. – Dopóki to trwało, to owszem. I natychmiast się wystraszyłem, bo nie pamiętałem, jak wróciłem do domu, nie pamiętałem nic od chwili, gdy zamknęliśmy drzwi w Znaczkach Miila, do czasu, gdy siedziałem przed zegarem, miałem wrażenie, jakby jakiś spaw w moim życiu pękł, to była moja pierwsza czarna dziura i miała nie być ostatnia. Fred znów

wypuścił z siebie śmiech. – Teraz to Barnum jest niedobrym chłopcem – powiedział. – A więc mimo wszystko się ze mnie śmiejesz.

Fred już się nie śmiał. – Śmieję się z Arnesena. – Z Arnesena? Dlaczego? – Przekonasz się – powiedział Fred. Nie słyszysz, jak cicho? Wsłuchałem się. Rzeczywiście. Było cicho. Od dawna na podwórzu nie było już tak cicho. Pani Arnesen nie grała już na pianinie. – Dobranoc, Barnum. Nic mi się nie śniło, a następnego dnia rano Fred już wstał i wyszedł. Matka siedziała na brzegu łóżka, gładziła mnie po włosach i się uśmiechała. – No, no, graliście w *Głodzie* – powiedziała, kiedy już miała pewność, że się obudziłem.

Czułem się stary, lecz niezbyt mądry. – Tak, byliśmy statystami. Peder, Vivian i ja. – Szkoda, że Stara o tym nie wie – westchnęła matka. To dopiero. – Rzeczywiście. Szliśmy przez Park Zamkowy i nas filmowali. Matka zatrzymała dłoń w moich kędziorach. – Ale obiecaj mi, że już nigdy się nie upijesz. Jesteś za młody. – Dobrze, mam. – Od picia będziesz miał paskudne serce, Barnum. – Czy Boletta ma paskudne serce? – spytałem.

Matka dość mocno pociągnęła mnie za włosy. – Właściwie powinnam być na ciebie wściekła, Barnum. Powinieneś mieć zakaz wychodzenia z domu co najmniej przez miesiąc! – Dobrze – szepnąłem. – Ale najpierw musisz mi powiedzieć, skąd wzięliście ten alkohol. – Pożyczyliśmy butelkę szampana od ojca Pedera. – Pożyczyliście? Twarz matki przysunęła się bliżej. – Głowa cię boli? Chciałem być szczery. – Tak – powiedziałem.

Matka się uśmiechnęła. – Właśnie o to chodzi. Żeby cię głowa bolała. – Tak. To się nazywa opłata karna. Matka długo na mnie patrzyła, a jej oczy nie były zupełnie dobre.

Potem, Boże dopomóż, przyniosła *Leksykon medyczny dla norweskich gospodarstw domowych* i znów przysiadła na brzegu łóżka. – Posłuchaj mnie teraz uważnie, Barnum.

Zaczęła czytać głośno i wyraźnie, żeby nie ominięło mnie ani jedno słowo: *Alkoholizm*.

Pod wpływem niewielkiej ilości alkoholu poczucie własnej wartości rośnie, zmniejsza się natomiast kontrola nad mową i myślami. Jeśli upojenie alkoholowe jest silniejsze, rozum i uczucia ulegają przytępieniu lub wręcz zanikają. Władza nad mięśniami staje się coraz bardziej ograniczona, aż w końcu człowiek zmienia się tylko w masę kości, ciała i krwi, zdaną na łaskę przypadku lub innych ludzi. Najsilniejsze oszołomienie równe zatruciu wywołuje całkowity brak przytomności i paraliż. Następstwa upojenia alkoholowego to złe samopoczucie, niesmak w ustach, cuchnący oddech, zły humor i brak apetytu, u wielu osób stan taki wywołuje potrzebę ponownego wprawienia się w stan upojenia. Prowadzi to często do chronicznego alkoholizmu. Ciało słabnie, ręce zaczynają się trząść. Twarz nabiera sinoczerwonej barwy, puchnie zwłaszcza nos.

Z czasem zniszczeniu ulega cała psychika, pozostaje jedynie bolesny nieprzerwany pociąg do alkoholu, ale organizm przestaje go tolerować i z człowieka pozostaje wrak, który w końcu pochłania śmierć. Matka zamknęła *Leksykon medyczny* Grevego z hukiem i odwróciła się do Boletty, która stała w drzwiach. – Wystraszysz chłopca do obłądu – powiedziała Boletta. Matka wstała i odłożyła książkę z powrotem na półkę. – Barnum musi wiedzieć, co robi, kiedy się upija. – Tak, tak, doktor Greve z całą pewnością uważa, że mnie również już dawno powinna pochłonąć śmierć! – Nie gadaj tak, mammo! – Mówię to, co chcę, i twierdzę, że ten Greve to morderca radości, a mordercy radości mają na sumieniu więcej ludzkich istnień niż szampan! – Barnum nie jest jeszcze pełnoletni – szepnęła matka. Nie chcę, żeby marnował sobie życie. Boletta się roześmiała. – O, trzeba czegoś więcej, żeby sobie zmarnować życie. A ty nie napiłaś się trochę szampana, gdybyś została aktorką filmową? Tak rozmawiały, jak gdyby uważały, że już umarłem i nic nie słyszę, lecz ja tam leżałem, popatrzyłem na swoje ręce, nie zauważyłem, żeby się trzęsły, czułem smak własnego oddechu, dotknąłem nosa, sprawdzałem, czy się nie powiększył, próbowałem się zorientować, czy nie jestem głodny, nie byłem, owszem, pić mi się chciało, poczułem też, i to mnie najbardziej przerażało i kusiło, że z chęcią wypiłbym jeszcze trochę szampana, chociaż łyk, który by mnie zaniósł gdzie indziej. Już byłem resztkami wraka. – Per Oscarsson przyszedł boso ze Sztokholmu do Oslo – powiedziałem na głos. Matka i Boletta równocześnie odwróciły się w stronę łóżka. – Musiałam powiedzieć dyrektorowi, że miałeś grypę – wyznała matka. Nie możesz iść do szkoły jeszcze przez dwa dni. I pamiętaj, ostatni raz kłamię w twojej sprawie!

Zrozumiano? – Tak, mam. Znow podeszła bliżej, z oczu wylała jej się nagle nieoczekiwana łagodność. – Fred obiecał, że weźmie się w garść, Barnum. I ty chyba też możesz to zrobić. – Wziąć się w garść? Jak to? – Fred poszuka pracy. A poza tym nie widzisz tu żadnej zmiany? – Nie zauważyłem żadnej różnicy, oprócz tego, że Fred pościelił łóżko. Matka wskazała na podłogę i uśmiechnęła się. – Nareszcie nie ma tej kreski – powiedziała. Teraz to zobaczyłem. Kreska Freda została starta. Pokój nie był już podzielony na połowy, lecz to, co powinno mnie ucieszyć, raczej mnie zaniepokoiło, wręcz przeraziło, bo nie wiedziałem, co oznacza, to samo musiała poczuć Boletta, bo odwróciła głowę i zamknęła oczy. Ale matka uznała usunięcie dzielącej nas białej linii za dobry znak. Jak bardzo można się mylić? Odczytujemy znaki tak, jak chcemy, oszukujemy się, przeciągając je na naszą stronę, a znaki powoli, lecz nieubłaganie obracają swoją urazę przeciwko nam. Matka się uśmiechnęła. – Ładne było to, co napisałeś, Barnum.

O małym miasteczku. Usiadłem na łóżku. – Czytałaś? – Nie mogłyśmy przestać, jak już zaczęłyśmy – szepnęła matka, prawie ze wstydem. Ale musisz to dokończyć. Boletta stuknęła laską w futrynę, jak gdyby w ten sposób klaskała. – I dopilnuj, żeby się dobrze skończyło, Barnum. Na świecie jest zbyt wiele smutnych historii. A gdy opowiadamy smutne historie, zaczynamy się do nich upodabniać. Nie wiedziałem jeszcze, jak ma się skończyć moja historia. – Spróbuję – obiecałem. Matka położyła mój zeszyt na kołdrze i otworzyła na ostatniej stronie. – Ale co jest napisane tutaj? – spytała. Ledwie mogłem odczytać własne litery. Może tak samo było z Fredem i słowami, może pełzały jak małe czarne zwierzątka po kartce i przez cały czas próbowały go zwodzić? – Tuczenie – powiedziałem w końcu. Matka się zdumiała. – Chyba nie będziesz o tym pisał!

Popatrzyłem na nią i postanowiłem, że nikt nigdy nie przeczyta tego, co napisałem, dopóki sam o tym nie zdecyduję. – A co z Arnesenem? – spytałem. Matka podeszła do drzwi. – Z Arnesenem? Co ma być z Arnesenem?

Coś z nim jednak było. Po raz drugi dwaj obcy mężczyźni przynieśli pani Arnesen fatalną wiadomość. Ale teraz nie popełnili omyłki. Tym razem nie znaleźli przypadkowej wizytówki w kieszeni anoraka na szkielecie w lasach Nordmarka. Teraz mieli dowód.

Zaparkowali na Jacob Aalls gate, od razu ściągając na siebie uwagę. Twarze za zasłonami.

Uchylone drzwi. Ja w oknie. Lekki deszcz. Przeciągłe uciszenie na całym Fagerborg, wszyscy wiedzą wszystko po równo. Dzwonią do drzwi na drugim piętrze. Pani Arnesen otwiera. Patrzy na dwóch mężczyzn i się uśmiecha. Czyżby myślała, że chcą coś sprzedać?

Może bierze ich za świadków Jehowy, którzy chcą ją nawrócić? Wcześniej tego roku pojawiło się w okolicy kilku takich zbawicieli, chodzą dwójkami i są do siebie podobni jak bliźnięta. Ci dwaj mężczyźni również są do siebie podobni, lecz się nie uśmiechają.

Czy ona wciąż nic nie wie, czy też wie, co się wydarzy, i tylko usiłuje zachować maskę z największą godnością, jaką potrafi okazać człowiek, który wkrótce będzie spadał w przepaść? Mężczyźni się nie przedstawiają. Pytają tylko, czy jej mąż jest w domu. Jest w domu. Siedzi w ostatnim pokoju i czeka. Czekał na nich. Wiedział, że to musi nastąpić.

Żona woła go, a on wstaje, poprawia krawat i myśli, że to ostatnia normalna chwila w jego życiu. Przychodzi już w płaszczu. Jest gotów. Prędko całuje żonę w policzek. Dwaj mężczyźni spuszczają wzrok, onieśmieleni. Żona próbuje go zatrzymać. – O co chodzi? – pyta. A więc nie wie. To przemawia na jej korzyść. Ale nie pomaga. – To już koniec – mówi Arnesen. – Koniec? Co masz na myśli? Wkrótce pani Arnesen już wie. Rozumie to być może już w chwili, gdy widzi, jak wsiadają do samochodu, do czarnego samochodu, który prędko odjeżdża. Arnesen okazał się niewiernym sługą. Zbyt głęboko sięgał do szuflad pod zegarami, zrobił się chciwy, wziął zaliczkę na czas, przejadł ubezpieczenia na życie klientów, a w końcu nie był w stanie się powstrzymać. Lepiej by było, gdyby okazał się niewiernym mężem. To można jakoś wytrzymać. Można przemilczeć. Ale najlepiej by się stało, gdyby umarł. Gdyby to on leżał w topniejącym śniegu między Mylla i Kikut jako stos kości, kijków i nart, zmarły na długo, zanim pokusa wkładania monet do własnej kieszeni okazała się zbyt silna. Wtedy ona, pani Arnesen, mogłaby patrzeć wszystkim prosto w oczy, tragedia bowiem uszlachetnia, żaloba wywyższa, za to wstyd zżera i upokarza, karmi się spojrzeniem, pije krew i przygina kark. – Co się dzieje? – spytała matka. Stanęła za mną, położyła mi ręce na ramionach i była jedyną osobą, która nie wiedziała. – Zabrali Arnesena za malwersacje – szepnąłem. – Co ty mówisz? – Zabrali go przed chwilą. Matka pobiegła do Boletty. – Aresztowali Arnesena! – zawołała. Boletta machnęła laską. – Zawsze twierdziłam, że ten człowiek jest zrobiony z nędznego materiału.

Miał za dużo kieszeni! Matka wyciągnęła szufladkę pod zegarem. – Żał mi pani Arnesen – powiedziała cicho. Boletta prychnęła. – A kiedy im było kogoś żał? Kogokolwiek z wyjątkiem siebie? – Cicho – nakazała matka. – Nie uciszaj mnie! Równie dobrze jak ja wiesz, że wprowadzili się do tego mieszkania, zanim w ogóle ktokolwiek dowiedział się, że Razel nie żyje. Matka oparła się o zegar. – To było już tak dawno – powiedziała cicho. – A jaki to ma związek ze sprawą? – spytała Boletta. Rozległ się dzwonek do drzwi. To byli Peder i Vivian. Matka otarła łzy i próbowała się uśmiechnąć. – Proszę, oto reszta aktorów – powiedziała. Peder i Vivian przywitali się, podając ręce, i byli niesamowicie uprzejmi, ale wzrok gdzieś im uciekał, jak gdyby mieli zaćmę na oczach.

Prędko przeprowadziłem ich do naszego pokoju, Vivian usiadła na łóżku Freda, a mnie nagle ogarnęła nadzieja, że pójdą, zanim Fred wróci. Peder też nie był za bardzo w formie, twarz miał jak stary plecak i przypominał Króla Słońce w zły dzień. Ale ręce przynajmniej mu się nie trzęsły. – Dziękuję za miło spędzony czas – powiedział. – O rany. Ale to był wieczór. – Nieźle się wstawiłeś – stwierdził Peder. – Ty też. Peder się uśmiechnął. – Ale ty się szybciej upijasz, bo jesteś taki mały. Rzuciłem mu gumką do ścierania w ucho. – A ty musisz pić dwa razy tyle, dlatego że jesteś taki gruby. Odwróciliśmy się do Vivian. Ona nie musiała nic pić, chociaż urodziła się w wypadku. Żałowałem, że nie usiadła gdzie indziej, tylko na łóżku Freda. – Przydałoby ci się trochę szminki, Barnum – powiedziała.

I może dokładnie w tej chwili, w chwili, gdy wymówiła te słowa, postanowiła, że właśnie tym będzie się zajmować, szminką, na widok mojej szarej, pokrytej plamami skacowanej twarzy, a może wiedziała to przez cały czas, odkąd zobaczyła okaleczoną twarz swojej matki. Peder roześmiał się i klepnął mnie w plecy tak mocno, że o mało nie walnąłem czołem w podłogę. – Fajne było to, co nam przeczytałeś – powiedział. Cholernie fajne. – Dziękuję. – Zakaszlałem. Bardzo dziękuję. – Proszę, nie ma za co dziękować. – Dziękuję wam za to, że mnie odprowadziliście do domu. Peder zamilkł i prędko popatrzył na Vivian. – Pojechałeś tramwajem – powiedziała cicho. Nie pamiętasz? Teraz ja się śmiałem. – Jasne, że pamiętam! Myślisz, że jestem głupi, czy jak? Ale wciąż jeszcze tego nie pamiętałem, tego, że jechałem tramwajem z Solli plass, tego, że kupiłem bilet, wysiadłem z tramwaju na Majorstuen, resztę Kirkeveien przeszedłem piechotą, otworzyłem kluczem drzwi i rozsiadłem się w fotelu przed zegarem, który nie chodził.

Miałem w głowie czarną dziurę. – Mama się wścieka? – spytał Peder. Odwróciliśmy się w stronę drzwi, bo ona właśnie tam stała, z kolacją i trzema wielkimi szklankami mleka. – Niestety, nie mam szampana – powiedziała. Spuściłem wzrok, a twarz zrobiła mi się taka, jak opisywał doktor Greve, sinoczerwona i opuchnięta. Ale Peder tylko wstał i się uklonił. – Dziękujemy, ale szampana mieliśmy dość wczoraj. Matka nie mogła powstrzymać się od śmiechu, postawiła tacę na biurku i uprzejmie się wycofała, Peder miał apetyt, z nim więc nie działo się nic niedobrego, zjadł wszystkie kanapki i wypił mleko, był nienasycony. Vivian przeniosła się na moje łóżko, pochyliła się do tyłu, położyła głowę na mojej poduszce, a ja pomyślałem, że nigdy już nie będę mógł tu spać, nie myśląc o niej. – Twoja mama jest fajna – stwierdziła. – No tak, w chwilach, kiedy jest fajna, to tak. Vivian zerknęła na mnie. – Czy to prawda, że ona też miała wypadek?

Słyszałem, co powiedziała. Nie zrozumiałem tego. – O co ci chodzi? – spytałem, a mój głos był porowaty, rozsypywał się. Peder zakasłał się tak gwałtownie, że wokół jego ust utworzyła się chmura białych okruszków. – Co to ja miałem powiedzieć? – zawołał.

Musimy załatwić butelki, żeby oddać ojcu. Inaczej będzie trochę zły. Złożyliśmy całą naszą wypłatę, piętnaście koron, to ledwie starczało na wodę do drinków i na znaczek, ale Peder był zadowolony. – Resztę pożyczę od ojca – oświadczył. Wyszli, zanim Fred wrócił.

Vivian musiała najpierw iść do ubikacji. Peder i ja czekaliśmy w przedpokoju. Matka i Boletta siedziały uśmiechnięte w salonie. Uśmiechnęliśmy się do nich. – Vivian się w tobie zakochała – szepnął Peder. Udałem, że nic mnie to nie obeszło. – Naprawdę? – Tak, właśnie tak. Dlaczego ten zegar stoi? – Dlatego że człowieka, który go nakręcał, aresztowali za malwersacje. – Fajnie. – Skąd to wiesz? – Co, Barnum? – Że się we mnie zakochała? – mówiłem jeszcze ciszej. Słowa nie chciały wyjść z ust. – Liczyłem, ile razy na ciebie patrzy. – Naprawdę? – Sześćdziesiąt osiem razy, Barnum. Zamyśliłem się. – Długo tam siedzi – powiedziałem. Musiałem powiedzieć to dość głośno, bo matka na mnie popatrzyła, a Peder uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Dziękuję za kolację – zawołał.

Pyszna! Usłyszałem, że Vivian spuszcza wodę. – Dziewczyny dużo czasu spędzają w ubikacji. Zwłaszcza Vivian. Teraz myła ręce. Wcześniej jej ręce dotykały różnych miejsc. Westchnąłem. – Na ciebie nie patrzyła? – Tylko czterdzieści dwa razy. Prowadzisz, Barnum. Wreszcie Vivian skończyła. Wyszli. Większość ludzi wychodzi, zanim Fred przyjdzie. Potem położyłem się do łóżka z policzkiem przytulonym do miejsca, w którym leżała Vivian, jej włosy, jasna skóra, długie wygięte rzęsy, których tak bardzo chciałem dotknąć. Ale nie śniłem. Leżałem nieruchomo, byłem zagubiony i wystraszony. Czy ktoś naprawdę mógł zakochać się we mnie, w knypku z Fagerborg, najmniejszym w tych okolicach, w karle, karakanie? A może spojrzała na mnie sześćdziesiąt osiem razy, dlatego że jej zdaniem powiedziałem coś głupiego? To było bardziej prawdopodobne, tak, tak właśnie musiało być. We mnie nikt się nie zakocha. Jedyne uczucia, jakie budziłem, to litość i zdumienie, no i śmieszyłem, jak wyfryzowane pudle na psim polu w parku Frogner, z jasnoróżowymi dziurkami w tyłkach pod sztywnymi ogonami, te zwierzęta jak wystawowe figurki, nad którymi pochylały się staruszki, żeby je pogłaskać i przemawiać do nich dziwnym językiem. Byłem pudlem. Nie budziłem nawet lęku. I dlaczego Vivian spytała, czy matce też przydarzył się wypadek? To było nie do zniesienia. Czy nie istniało żadne czyste, nietykalne uczucie? Próbowiałem czytać książkę, którą dostałem od Vivian, *Głód*, ale doszedłem tylko do strony tytułowej, na której napisała: *Dla Barnuma od Vivian*, wpatrywałem się w te litery, czy one znaczyły coś jeszcze, dla Barnuma od Vivian, czy mogła się za nimi kryć jakaś tajemnicza wiadomość, jakaś podpowiedź, B w moim imieniu było dość duże, może to coś znaczyło, a jej V przypominało wielki wazon, czy to również znak? Sprawdziłem na G w biblii Grewego, żeby dowiedzieć się, co też on mógł napisać o głodzie. *Głód odczuwamy w dołku. Dorośli ludzie, mający dostęp do wody pitnej, mogą głodować miesiącami, to tak zwani głodujący asceci*. Właśnie tym miałem zostać, głodującym ascetą,

z najbardziej wygłodzonym dołkiem na świecie. Fred przyszedł, kiedy zasnąłem. Śniło mi się, że Vivian mierzy mnie odwrotną stroną miarki ojca i stwierdza, że mam ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, a potem oblizuje każdy mój złoty centymetr. – Kto siedział na moim łóżku? – spytał Fred. Obudziłem się. – Peder – odparłem. Fred się obrócił. – Peder? Ten grubas? Kiwnąłem głową. – Nie wierzę – powiedział Fred. Materac by się załamał. – No to może Vivian – szepnąłem. Ona też tu była. Fred położył się i przez chwilę patrzył w sufit. Potem zgasił światło. – Nic nie szkodzi, Barnum. Po prostu przyjemnie jest wiedzieć, kto siedział na twoim łóżku, prawda? – Jasne. Pomyślałem, że spytam go o kreskę na podłodze, tę, która zniknęła. Ale zabrakło mi odwagi. – Dostałeś pracę? – spytałem zamiast tego. Fred znów zapalił lampę, zerwał abażur i przysunął twarz do samej żarówki. – Spójrz na mnie – powiedział. Nie miałem ochoty. Ale i tak spojrzałem. Zamknąłem oczy. – Myślisz, że ktoś mnie zechce?

Co? Myślisz, że tak? – prawie krzyczał. – Nie wiem – szepnąłem. Było ciemno. – Napisałeś coś dzisiaj? – Nie bardzo. – Nie bardzo? To znaczy ile? – Nic. – Cholera, Barnum. Pół historii to gówno! I wtedy usłyszeliśmy ostatni akord pianina Arnesenów, Mozart, ale nikt nie otworzył okna, nikt nie uciszał, pozwolono pani Arnesen na zakończenie dwudziestoletniego koncertu, mroczny ton zawisł w ciemności i zmarł wśród pojemników na śmieci i sznurków do bielizny. – Wiedziałeś o tym? – spytałem. – O czym, Barnum? – Że przyłapali Arnesena. Fred nie odpowiedział, przez chwilę leżał uśmiechnięty. – Nie musisz o wszystkim wiedzieć. To, o czym nie wiesz, nie zaszkodzi ci – powiedział tylko. – Tak myślisz? – Owszem – odparł Fred. Ja to wiem. Podniósł się nagle na łóżku. – Kiedy ma być premiera tego filmu? – Jakiego filmu, Fred? Fred się roześmiał. – A w ilu filmach ostatnio grałeś? Może w *Ben Hurze*, co? – Nie wiem – szepnąłem. Nie wiem, kiedy będzie premiera. – Cieszysz się? – Tak, Fred. I tak zaczął się mój międzyczas, mój pierwszy międzyczas, których miało być tak wiele, niektórzy wolą je przekreślić, odciąć, kierownicy literaccy dostają plam przed oczami na widok tych długich cichych scen, producenci wrzucają scenariusz do najbliższego śmietnika, reżyserzy każą dopisać nieznanego z bronią maszynową i trudnym dzieciństwem, a potem wychodzą do toalety, czekając na nową wersję, wolą raczej morderstwo, głośną muzykę i powolne wyciszenie do czerni, wolą raczej reklamy, wolą wszystko inne niż to, bo najbardziej boją się nudy. Ale oni jeszcze nie zrozumieli, że właśnie w tych zakątkach opowieści mogą kryć się punkty zwrotne, wyczekujący niepokój, który wznosi się powoli od dna i od dołu roztacza swoje kręgi. A mój obraz z tego międzyczasu, moje mroczne wspomnienie, to puste mieszkanie Arnesenów. Nie stać ich już na jego utrzymanie, stoimy na przeciwległym chodniku i patrzymy, jak tragarze wnoszą meble, dywany, wazony, lampy, obrazy, kiwamy głowami w milczeniu, porozumiewawczo, myślimy o tym samym, ponad stan, tak, przysła kryska na Matyska, domyślaliśmy się, że coś

się tu nie zgadza, patrzymy, jak ktoś zdejmuje zasłony, nagie okna, parapety bez kwiatów, a w końcu wynoszą pianino, dwadzieścia lat temu wniosło je tu dwóch mężczyzn, ale teraz, by je wynieść, potrzeba czterech, czarne, błyszczące i zamknięte, przechodzi przez nas westchnienie, ktoś prawie klaszcze, czekamy na panią Arnesen, próbujemy nie zmarznąć pod mokrymi bezlistnymi drzewami, jestem teraz jedną z pań na ulicy, aż do przyjścia matki, która mnie odciąga jak szczeniaka, popycha mnie, chyba nigdy nie widziałem jej takiej wściekłej, takiej przygnębionej, a kiedy przychodzimy do domu, trzyma mnie mocno, jej ręka trzęsie się przy mojej szyi i matka mówi z ustami tuż przy mojej twarzy: – Pani Arnesen nic złego nie zrobiła! A ty tam stoisz jak jakieś babsko i ją znieważasz! – Nikogo nie znieważylem – szepczę. – Właśnie że tak! Znieważyleś ją już przez sam fakt, że tam stałeś i się gapiełeś! Idź do swojego pokoju! Popycha mnie, o mało się nie przewracam i zamykam drzwi, trzęsę się na całym ciele, bo w matce coś dzisiaj pękło, słyszę, że płacze, potem robi się zupełnie cicho, a później tego samego wieczoru przychodzi do mnie elegancko ubrana, w płaszczu, który wkłada zwykle w niedziele, znów jest prawie cała i bierze mnie za rękę. – Przepraszam, Barnum – mówi. Spuszczam wzrok. – Nie powinienem był tam stać – szepczę. Matka wyjmuje grzebień i mnie czesze. – Przynieś kurtkę. Podnoszę na nią wzrok. – Dokąd idziemy? – Idziemy się pożegnać z panią Arnesen, Barnum.

Przechodzimy przez podwórze, wspinamy się na górę kuchennymi schodami. Na drugim piętrze drzwi są uchylone. Tabliczkę z ich nazwiskiem już odkręcono i widać teraz, że zasłaniała dziury po śrubkach mniejszych niż Arnesenów. Matka dzwoni do drzwi. Ja wolałbym zbiec na dół, ale mocno mnie trzyma. Próbuje się uśmiechać. Oddech w niej jest jak ciężka fala. Nikt nie przychodzi. Matka dzwoni jeszcze raz, rozumiemy w końcu, że dzwonek nie działa. Robi się jeszcze ciszej. Matka popycha drzwi. Idę za nią. Zatrzymuje się i rozgląda zdziwionym błyszczącym wzrokiem. Ściany są gołe i poplamione. Kuchenkę zabrano. Wzdłuż listwy został rant sadzy i tłuszczu. A za tym wszystkim widać ślady, których nie da się już zakryć, ślady ludzi, którzy mieszkali tu przed Arnesenami.

Dostrzegamy panią Arnesen, stoi w pustym salonie pod lampą na suficie, z której żółtym nieruchomym kręgiem spływa na nią jedyne światło. Pani Arnesen odwraca się do nas.

Matka puszcza moje ramię, podchodzi bliżej. Widzę je, te dwie kobiety, zranione i dumne, leżały na tej samej porodówce, mieszkały w tej samej kamienicy, w ciągu wszystkich tych lat prawie nie zamieniły ze sobą ani słowa, żyły każda na swojej klatce, lecz w tej chwili, tutaj, w tym opuszczonym mieszkaniu, w moim nieumeblowanym wspomnieniu, nic ich już nie dzieli. – Pani znała tych, którzy mieszkali tu przed nami, prawda? – mówi pani Arnesen. Matka kiwa leciutko głową, znów się uśmiecha. – Tu mieszkała moja najlepsza przyjaciółka. Miała na imię Rakel. – Gdzie jest teraz? – Wywieziono ją z całej rodziny do Ravensbrück. Matka wyciąga rękę. – Dała mi ten pierścionek. Miała go jej przypilnować. Pani Arnesen też wyciąga dłoń. – Biorę się za rękę. – Chcieliśmy się tylko pożegnać – mówi matka. – Dziękuję, to bardzo miłe. – Dokąd się przeprowadzacie? – Do domu moich rodziców. Poza miastem. To daleko stąd. Pani Arnesen puszcza rękę matki. – Będzie mi brakowało pani gry – mówi matka. Pani Arnesen kręci głową. – Wiąkszoż zapewno cię cieszy się, że nie będzie musiała tego słuca. Odwraca się do mnie i uśmiecha, jak gdyby zauważyła mnie dopiero teraz. – Ty też tu jesteś? – mówi. – Kłaniam się i szysz gdzieś jakiś odgłos, cieknie w wodę, ktoś kto zakręca. – Szkoda, że wiecej ze sobą nie rozmawiałyśmy – mówi matka. Pani Arnesen znów na nią patrzy. – Tak. A teraz jest już za późno. Matka na moment ogarnia zakopotanie, a ja mam ochotę wyjść. – Naprawdę? Pani Arnesen nagle się śmieje. – Pamięta pani, jak Fred nie pozwolił nikomu na oddziale zasnąć? Ale ten chłopak krzyczał! Matka też się śmieje. – Na szczęście przestał tak pakać, kiedy już wróciliśmy do domu. Przez chwilę milczeli. Robi krok do tyłu. W mieszkaniu są jeszcze jacyś ludzie. Są tu inni. – A jak się miewa pani syn? – pyta w końcu matka. Pani Arnesen zaciska dłoń w superę. – Na szczęście zwolnili go z wojska. – Dała mi ten pierścionek. Miała go jej przypilnować. Pani Arnesen też wyciąga dłoń. – Biorę się za rękę. – Chcieliśmy się tylko pożegnać – mówi

matka. – Dziękuję, to bardzo miłe. – Dokąd się przeprowadzacie? – Do domu moich rodziców. Poza miastem. To daleko stąd. Pani Arnesen puszcza rękę matki. – Będzie mi brakowało pani gry – mówi matka. Pani Arnesen kręci głową. – Większość z pewnością cieszy się, że nie będzie musiała tego słuchać. Odwraca się do mnie i uśmiecha, jak gdyby zauważyła mnie dopiero teraz. – Ty też tu jesteś? – mówi. Kłaniam się i słyszę gdzieś jakiś odgłos, ciekącą wodę, którą ktoś zakręca. – Szkoda, że więcej ze sobą nie rozmawialiśmy – mówi matka. Pani Arnesen znów na nią patrzy. – Tak. A teraz jest już za późno. Matkę na moment ogarnia zakłopotanie, a ja mam ochotę wyjść. – Naprawdę? Pani Arnesen nagle się śmieje. – Pamięta pani, jak Fred nie pozwolił nikomu na oddziale zasnąć? Ależ ten chłopak krzyczał! Matka też się śmieje. – Na szczęście przestał tak płakać, kiedy już wróciliśmy do domu. Przez chwilę milczą. Robię krok do tyłu. W mieszkaniu są jeszcze jacyś ludzie. Są tu inni. – A jak się miewa pani syn? – pyta w końcu matka. Pani Arnesen zaciska dłonie w supeł. – Na szczęście zwolnili go z wojska.

Mógł więc mi pomóc. Przy przeprowadzce. Z łazienki wychodzi Aslak, Aslak, mój dręczyciel, nasz dręczyciel, jest w ciemnozielonym mundurze, z palców cieknie mu woda.

Nie patrzy na nas, chce nas wyminąć, ale matka go zatrzymuje. – Nie poznajesz Barnuma? – pyta. Aslak niechętnie odwraca się do mnie. – Poznają. On się nie zmienił.

I wyciąga mokrą rękę, którą muszę ująć. – Moje kondolencje – szepczę. Matka czerwieni się przerażona, Aslakowi drga ręka. – On ma rację. Mój ojciec też nie żyje. A kiedy znów stoimy na dole, na podwórzu, matka wypuszcza powietrze. – Wiem, że nie miałeś tego na myśli, Barnum, ale musisz uważać na to, co mówisz. Przejaśniło się, ciemność jest gęsta i wyraźna. Niebo nad nami to błyszczący czarny czworokąt. – Zostanę tu trochę – szepczę.

Matka się waha, w końcu odchodzi. A ja siadam na schodkach przy śmietniku. Wokół mnie gasną okna i wkrótce widać już tylko gwiazdy. Nasłuchuję. Słyszę. Bo prawdą jest to, co powiedział kiedyś Fred na cmentarzu, że można słuchać podwórza, że wszędzie są historie, które nie milkną, które nigdy nie stoją nieruchomo. Ale żadna z nich nie potrafi powiedzieć, kto był ojcem Freda, kto zniszczył matkę, nie potrafią o tym opowiedzieć nawet sznury do bielizny na strychu, nawet zakurzone światło w ukośnym otworze w dachu. Historie również mają swoje tajemnice, których nie chcą zdradzić, a gdy docierają do takiego momentu, zaczynają opowiadać inną historię, na przykład taką, że mieszkanie Arnesenów długo stało puste po wyjeździe pani Arnesen do domu swoich rodziców, gdzie nikt już nie grał na pianinie. Ale około Nowego Roku do drzwi przykręcona zostaje trzecia tabliczka z nazwiskiem, jeszcze większa, z wyczyszczonej do połysku miedzi: Ole Arvid Bang. To dozorca Bang awansuje z zacienionego mieszkańka przy bramie do czterech pokoi z balkonem i porannym słońcem na drugim piętrze, to nagroda za długą i wierną służbę, to jego ostatni trójskok, najdłuższy skok, osobisty rekord, nareszcie zajął najwyższe miejsce na podium, ale podobno uważa, że jest tam tak samotnie, że kiedy siedzi w kuchni rano i rozmawia sam ze sobą, to odpowiedź otrzymuje dopiero po położeniu się spać. A wiele lat później, kiedy Arnesena dawno wypuścili już z więzienia, przyszedł do swojego starego mieszkania, zobaczył nową tabliczkę i zadzwonił, ale dozorca Bang nie otworzył, gapił się tylko na niego przez wizjer, na który wyborował dziurę w drzwiach, zobaczył twarz Arnesena, bładą jak księżyc, na palcach wrócił do kuchni i pozaciągał zasłony. Bang awansował do samotności, a Arnesena wypuszczono, ale go nie wpuszczono, nigdzie, niósł bowiem ze sobą zarazę, cień wstydu.

Są tacy, którzy twierdzą, że sypiał później w skrzyni na Nabrzeżu Dźwigów, golił się pod kranem na Nabrzeżu Biskupim i zarabiał osiem koron dziennie plus zastaw na kupowaniu wódki w monopolowym na Rådhusgata dla włóczągów, którzy nie potrafili zachować trzeźwości, gdy od mroźnej mgły znad fiordu języki więdły w suchych ustach. Idę na górę i się kładę. To mój międzyczas. Śnię i wymyślam. Pewnego ranka budzę się i są moje urodziny. Matka stoi przy łóżku i śpiewa, Boletta wybija rytm laską, a Fred opiera się o framugę, na której mój wzrost zatrzymał się już dawno temu. Pierwsza paczka, którą otwieram, jest od matki. Dostaję krawat. Druga paczka jest od Boletty. To szpilka do krawata. Trzecia paczka jest wspólna, od matki i od Boletty. Ciężka. To dzieła zebrane Knuta Hamsuna. Spopieliałe w kominku płyty zostały umyte, poskładane strona po stronie i oprawione w tomy, osiemnaście grzbietów wyciągniętych z płomieni. – Dziękuję – szepczę. Teraz kolej na Freda. Pochyla się i wyciąga coś, co schował pod swoim łóżkiem.

Nigdy dotąd nie dostałem od Freda żadnego prezentu. Matka aż otwiera usta ze zdumienia.

Boletta gwałtownie prostuje zgięte plecy. Fred kładzie na kołdrze wielką kanciastą paczkę. – Wszystkiego najlepszego – mówi. Boję się ją otworzyć. Wolałbym poczekać.

Chciałbym zachować tę chwilę, w której wciąż jeszcze nie wiem, co jest w środku, a może to być byle co albo coś, czego bardzo pragnę. Fred kupił mi prezent. *Dla Branuma od Freda*. Udaję, że tego nie widzę. Nie widzę tego. Moje imię to Branum. Kreska na podłodze zniknęła. Obmacuję paczkę. Jest twarda. Kiedy nią potrząsam, rozlega się zgrzyt.

Matka zaczyna się niecierpliwić. Fred się śmieje. – To nie granaty – mówi. Zrywam więc papier. To maszyna do pisania. Muszę zamknąć oczy i otworzyć je jeszcze raz. To wciąż jest maszyna do pisania, dyplomata, z walizeczką i trzema różnymi odstępami linii. Boletta wali łaską w ścianę. Matka ma mroczną podejrzliwą minę, ale radość w niej jest jeszcze większa. Klaszcze w ręce, bo nie wolno tego popsuć. – Teraz brakuje ci jeszcze tylko czegoś, na czym mógłbyś pisać – szepcze, wręcz wzruszona. Fred pokazuje na stół. Leży już na nim plik białych kartek. – Teraz brakuje mu już tylko czegoś, o czym mógłby pisać – mówi. Wstaję. Biorę Freda za rękę. – Następnym razem dostaniesz najwspanialszą rzecz, jaką mam – mówię. Fred patrzy na mnie zdziwiony. – A co to jest? – pyta. Ale ja jeszcze nie wiem. – Bardzo dziękuję – mówię tylko. Fred się uśmiecha. – W porządku, Barnum.

Puszcza moją rękę i wychodzi.

Wkładam krawat i szpilkę do szuflady, dzieła zebrane Hamsuna ustawiam na półce między *Leksykonem medycznym dla norweskich gospodarstw domowych* a *Światem w obrazach* i jeszcze tego samego wieczoru zaczynam pisać. Piszę *Małe miasteczko* na maszynie. Przepisuję z zeszytu. Wprowadzam. To nie jest łatwe. Muszę zaczynać kilka razy od początku. Teraz na podwórzu słychać nie pianino pani Arnesen, tylko moją maszynę.

Z dwiema literami coś jest nie tak. M jest prawie niewidoczne, a Ś jest zniszczone i przypomina zwykłe S. To nic nie szkodzi. Może Fred tanio ją kupił. Ale trochę to dziwnie wygląda, kiedy piszę na przykład słowo „miłość”. Wtedy jest napisane: „iłość”. Takiego słowa nie ma. Ale i tak nic nie szkodzi. Nie używam tego słowa zbyt często. A potem poprawiam błędy długopisem. Po skończeniu mam półtorej strony. Właściwie dwie. *Małe miasteczko*. Autorstwa Barnuma Nilsena. Napisałem dwie strony. To moje. Niczyje inne.

To mogłem zrobić tylko ja. Nigdy wcześniej tak o tym nie myślałem. To, co zapisałem na tych dwóch kartkach, nie istnieje w żadnym innym miejscu na ziemi, w całym wszechświecie, tylko tutaj, i wyszło z mojej głowy, z mojej własnej głowy, napisała to moja ręka i teraz już istnieje, *Małe miasteczko* autorstwa Barnuma Nilsena, czterdzieści osiem linii, których świat nigdy wcześniej nie widział. Muszę się na trochę położyć.

Jestem pijany. Chwieję się, leżąc. Wtedy przychodzi Peder. A Peder nie jest typem, który puka i czeka na odpowiedź. Wpada do środka, a matka staje w drzwiach z tortem ze świeczkami zanurzonymi w kremie. – Wszystkiego najlepszego! – woła Peder, potem zatrzymuje się na chwilę i podchodzi wprost do błyszczącej maszyny do pisania, długo jej się przygląda. – Dostałem od brata – mówię z dumą. – O cholera – szepcze Peder.

Natychmiast odwraca się do matki. – Bardzo przepraszam za wyrażenie. Pragnąłem jedynie wyrazić swój podziw dla najwspanialszego prezentu, jaki kiedykolwiek widziałem. Matka się uśmiecha. – Masz ochotę na kawałek tortu? – Na kawałek?

Peder Miil nigdy nie odmówił nawet kawała tortu. Są moje urodziny. Zdmuchuję świece.

Udaje mi się za trzecim razem. Matka zostawia nas w spokoju. Jemy tort, ja nie jestem za bardzo głodny i Peder wyprzedza mnie o sześć porcji. – Próbowaleś? – pyta. Pokazuję mu więc kartki, na których pisałem. Peder im też długo i bacznie się przygląda, uśmiecha się i kiwa głową. Potem nagle sobie przypomina, że przecież przyniósł prezent. Wyjmuje z kieszeni prostokątną paczuszkę. Otwieram ją. To czerwone metalowe pudełeczko. – Co to jest? – pytam. Peder pokazuje. – Naciśnij ten guziczek, ty matole! Naciskam guziczek.

Zaczyna się śmiech. Najpierw tylko delikatny chichot. Nabiera mocy. Chichot przeradza się w urywany śmiech, a śmiech zmienia się w wielki wybuch śmiechu i głośnie rzenie.

Peder i ja też się śmiejemy, to zaraźliwe, ten mechaniczny śmiech zaraża, musimy trzymać się siebie nawzajem, bo tak się śmiejemy. Śmiejemy się ze śmiechu, trwa to dwie minuty, potem pudełeczko milknie, a my oddychamy z ulgą, ocieramy łzy i ledwie jesteśmy w stanie wyraźnie mówić. – To najbliższe, co znalazłem – mówi Peder. – Najbliższe czego? Peder musi rozmasować brzuch. – No, przecież nie znaleźliśmy okłasków w twojej walizce. Na moment robi mi się ciemno w głowie. – Vivian nie mogła przyjść? – pytam i się odwracam. Peder znów włącza pudełko. Pudełko się śmieje, a kiedy śmiech milknie, w drzwiach staje matka i zatyka uszy. – Ojej! I z czego wy się tak śmiejecie? Peder wstaje. – Barnum śmiał się ze mnie, a ja z niego. Ale Barnum śmiał się głośnie! Matka tylko kręci głową, ona też się śmieje i zabiera pusty talerz po torcie i spalone świece.

Peder dalej stoi. – Już wiem – mówi. Będziesz mi pisał wypracowania, a ja będę za ciebie odrabiał matematykę. – Vivian nie mogła przyjść? – pytam jeszcze raz. – Musiała zająć się matką – szepcze Peder. Cholera! – Rzeczywiście, cholera! – mówię. A kiedy chcę schować maszynę do pisania do walizeczki, znajduję coś innego, jeszcze jeden prezent, który Fred musiał tam włożyć. To tuzin durexów gossamer. Peder patrzy na mnie długo i uważnie. – Pożyczysz mi jednego? – pyta. – A na co ci? Peder jęczy. – Przecież nie potrzeba ci dwunastu! Dostaje jednego durexa, resztę chowam w lewym bucie Oscara Mathisena, w głębi szafy, a *Małe miasteczko* składam i wsuwam do prawego buta. Ale jeden z durexów wypróbuję jeszcze tego samego wieczoru, pieczę, wyobrażam sobie różne rzeczy, a potem nie wiem, co mam z nim zrobić. Wyrzucam go przez okno. U dozorczy Banga przy bramie się świeci. Teraz podwórze będzie miało jeszcze więcej do opowiadania, ale moje usta są zamknięte. Piszę wypracowania Pederowi, a on odrabia mi matematykę. Dostajemy piątki. Czytam *Głód*. Fred przychodzi do domu. Rozbiera się.

Widzę jego długie, chude ciało w ciemności przy łóżku. Stoi odwrócony plecami. Gdybym pogładził dłonią jego bark, przesunął po karku, potem wzdłuż policzka, wciąż jeszcze sinego, prawie czarnego, spuchniętego, to co by powiedział? Nie wiem. Nie mogę zasnąć.

To, co robimy, jest tylko cieniem wszystkiego, co moglibyśmy zrobić. – Dlaczego nie powiedziałaś, że Vivian też się urodziła w samochodzie? – pyta nagle Fred.

Pewnego dnia, kiedy wracam do domu ze szkoły, jest do mnie jeszcze jeden list. Matka się niecierpliwi i nie może się już doczekać, jestem pewien, że trzymała go pod światło, próbując przeczytać, ale się nie udało, bo koperta jest dość gruba i nieprzezroczysta.

Boletta też jest podniecona. Z całą pewnością próbowała rozkleić kopertę nad parą i malagą. – Nie otworzysz tego listu? – woła matka. Odwracam się plecami i wolno go rozdieram. Czytam. Boletta stuka laską w podłogę. Matka nachyla mi się przez ramię. – Co tam jest napisane, Barnum? – szepcze. – Wygrałem – mówię, zdumiony i zdezorientowany. Matka mnie obejmuje. – Wiedziałaś! Okazuje się, że to matka wysłała *Małe miasteczko* na wielki międzyszkolny konkurs pisarski w Oslo. Nie wiem, czy jestem zły, czy się cieszę, prawdopodobnie jedno i drugie, jestem i zły, i ucieszony, dumny i zawstydzony, bo innymi słowy, matka zrobiła coś za moimi plecami i znalazła mój scenariusz w prawym bucie Oscara Mathisena, a to z całą pewnością oznacza, że znalazła też tych dziesięć kondomów w lewym bucie. Matka wyrywa mi list i czyta na głos: – *Drogi Barnumie Nilsen. Z wielką radością informujemy, że wygrałeś międzyszkolny konkurs pisarski w Oslo w swoim roczniku opowiadaniem Małe miasteczko. Nagrody zostaną rozdane w Ratuszu w piątek dwunastego. Z radością Cię tam zobaczymy.* Matka całuje mnie w policzek i zaczyna się spieszyć. – O Boże, to już za cztery dni, Barnum!

Boletta szybko naląła dwa kieliszki malagi. Muszę iść do pokoju i odetchnąć. Wkrótce będę sławny. Nie bardzo wiem dlaczego, ale zaczynam płakać. Siedzę na parapecie i płaczę, z radości, i cieszę się, że Fred mnie teraz nie widzi. Ale kiedy się odwracam, to mimo wszystko okazuje się, że stoi w drzwiach. Chowam oczy. Fred ciska się na łóżko. – Teraz to już niedługo – mówi. – Niedługo? Do czego, Fred? On tylko na mnie patrzy i uśmiecha się, krzywym uśmiechem, wargami, które zachodzą na zęby. – Pamiętasz, co obiecałeś, Barnum? – Jasne. – Że nic nikomu nie powiesz? – Nic nie powiem, Fred.

Bracia na siebie nie donoszą, prawda? – Jasne, że nie. Fred nagle wstaje. – Zapomniałem ci pogratulować! Gratuluję, Barnum! Jestem z ciebie dumny! Spuszczam wzrok. – Gdyby nie ta maszyna do pisania... – mówię szeptem. – Nie umniejszaj się, Barnum.

Tego wieczoru idę do Vivian. Na klatce jest chłodno. Dzwonię. Mija trochę czasu.

Słyszę kroki za drzwiami. Zaglądam przez dziurkę od klucza. Matkę nazywają Woalką. Od wypadku zawsze zakrywa twarz woalką. Jest wieczną wdową. Straciła swoją urodę na zakręcie przy Holmenkollen. Jest wstrętna i opuszczona. Są tacy, którzy straszą nią dzieci.

Jak nie będziesz grzeczny, to przyjdzie Woalka i cię zabierze. Jak nie będziesz jadł. Jak nie odrobisz lekcji. Jak nie pójdziesz spać i nie umyjesz rąk. I czyż najbardziej nie przeraża nas to, czego nie widzimy, lecz czego tylko się domyślamy, to, co się nam wydaje, to, co pod łóżkiem, za rogiem, w ciemności, pod woalką, podejrzenia, którym pozwalamy rosnąć? Ludzie wyobrażają sobie o niej najprzeróżniejsze rzeczy. Zmyślają to, czego nigdy nie widzieli, twarz bez żadnych rysów, twarz jak otwarta jama, nieludzka, nie do rozpoznania. Ale kiedy już to zobaczymy, popatrzymy temu w oczy, to nie ma się czego bać. Otwiera mi Vivian. – Zgadnij! – wołam. Vivian zastanawia się, patrząc na mnie z ukosa, z wahaniem. – Urosłeś osiem centymetrów – mówi. Kręcę głową. – A tak wyglądam? – Może Peder schudł trzy kilo – mówi. Kręcę głową jeszcze raz. – Zostałem pisarzem! – krzyczę. Wreszcie wpuszcza mnie do środka, siadamy u niej w pokoju pod zdjęciem na ścianie, dopiero wiele lat później Vivian powiedziała mi, że to nie było zdjęcie Lauren Bacall, tylko matki, gdy była młoda, matki przed wypadkiem, nieskazitelnej i pięknej. Opowiadam jej, co się wydarzyło. Ledwie mogę rozdzielać słowa. Że matka w tajemnicy wysłała mój maszynopis na międzyszkolny konkurs pisarski i że byłem najlepszy w swoim roczniku i że można to porównać z Nagrodą Nobla w dziedzinie literatury i że sam mam iść do Ratusza i otrzymać najwspanialszą nagrodę, którą być może będzie rejs dookoła świata dla dwóch osób, obraz Muncha albo bezpłatne przejazdy tramwajem przez rok, z rąk burmistrza, a jeżeli Vivian też ma ochotę przyjść, to na pewno mogę zarezerwować jej miejsce. Chowam twarz na jej kolanach. – Rozmawiałś z Fredem? – pytam szeptem. Vivian głaszcze mnie po karku. – Dlaczego o to pytasz? Nie odpowiadam. Leżę z głową na jej kolanach, a ona mnie głaszcze po karku, rozpinam górny guzik jej spodni i jeszcze jeden, widzę brzeg jej majtek, czuję ostry, wręcz oszałamiający zapach, Vivian się kręci, jej dłoń nieruchomieje, wstrzymuję oddech i liżę jej skórę, udaje mi się rozpiąć jeszcze jeden

guzik, ale wtedy ona gwałtownie się podrywa, a ja spadam na podłogę i boję się na nią spojrzeć, nie pojmuję, jak zdołam się podnieść, być może będąc musiał tak leżeć do końca życia. – Chcesz poznać mamę? – pyta Vivian. Bierze mnie za rękę i pomaga mi wstać. – Przepraszam – mówię szeptem. Vivian zamyka oczy i całuje mnie w usta. Wargi ma miękkie i niespokojne, jak gdyby śmiała się przy pocałunku. Idę za nią przez mieszkanie, jeden pokój jest ciemniejszy od drugiego, nie mam ochoty, ale idę, nie mam wyboru, wreszcie dochodzimy do sypialni matki, Vivian puka i otwiera drzwi, puszcza mnie przodem. Nie od razu widzę jej matkę. W końcu ją dostrzegam. Siedzi w fotelu, w cieniu przy oknie, przy zasuniętych zasłonach. Zatrzymuję się. Ona jeszcze się nie poruszyła. Powietrze jest ciężkie. Vivian stoi obok mnie. Słyszę, że drzwi się za nami zamykają. Ogarnia mnie dziwne uczucie, że to, co się dzieje, ma jakieś większe znaczenie, niż potrafię pojąć, że Vivian chce mnie przetestować, przekonać się, czy to wytrzymam.

Postanawiam, że wytrzymam. – To Barnum – mówi Vivian. Robię jeszcze jeden krok do przodu i się kłaniam. Matka wolno odwraca się do mnie. – Ach tak? To ty jesteś Barnum?

Głos ma dziecinny, jasny, jak gdyby mówiła mała dziewczynka. – Tak – szepczę. To ja.

Matka nagle unosi woalkę, ale nie widzę jej twarzy, jakby jej nie było, i cieszę się z tego, cieszę się, a jednocześnie chciałbym zobaczyć to, czego nie ma. – Barnum zdobył pierwszą nagrodę w międzyszkolnym konkursie pisarskim – mówi Vivian. Matka wychyla się z fotela. – Gratuluję, Barnum. Kłaniam się jeszcze niżej. Dzięki temu nie muszę na nią patrzeć. – Bardzo dziękuję – mówię szeptem. Kładzie mi rękę na ramieniu. Drzę. Ona to wyczuwa, bo przytrzymuje mnie jeszcze mocniej. – Zdolny z ciebie chłopiec, Barnum.

Słyszę ten głos, delikatny, dźwięczny, jak gdyby tylko on ocalał, tylko on nie zmienił się od wypadku, ten głos to jedyne, co zostało z młodej pięknej dziewczyny w chevroletcie, i dalej tkwi w tym zniszczonym ciele. Ona mnie nie puszcza. Stoję. – Masz ładne kędziory – mówi. Widzi mnie, ale ja jej nie widzę. Widzę tylko woalkę, opadającą z powrotem na resztki twarzy, w końcu przyciąga rękę do siebie, wizyta minęła, zostałem wtajemniczony, zastanawiam się, ile osób było tu przede mną, czy jestem pierwszy, czy zdałem, Vivian wyciąga mnie z pokoju, teraz również jej ojciec wrócił do domu, siedzi w salonie i śpi, lecz sądzę, że ten człowiek, który będzie moim teściem, tylko udaje, bo jedno oko ma prawie otwarte i ukradkiem mi się przypatruje, wygląda na to, że temu oku nie podoba się to, co widzi. Nawet ja rozumiem, że pora już iść. – Chciałem cię o coś spytać – mówię szeptem. Vivian marszczy czoło. – O co? – O moje kędziory. Chciałbym się ich pozbyć na rozdanie nagród. Vivian lekko pociąga mnie za włosy i zaraz puszcza. – Albo możesz je wszystkie obciąć – mówi. – Albo? – pytam jeszcze ciszej. Vivian długo się uśmiecha. A potem pożyczka mi siatkę do włosów i spinki, śpię w tym przez trzy noce.

Cieszę się, że Fred mnie nie widzi. Kiedy wstaję czwartego dnia, moja głowa jest płaska i inna, jak gdyby ktoś ją zheblował. Zrywam siatkę z włosów, wysuwam spinki i biegnę do łazienki. W lustrze jest ktoś inny. Najpierw skaczę z radości. Dzisiaj odbiorę nagrodę w Ratuszu i stałem się kimś innym. Nie jestem już do siebie podobny. Prawdopodobnie w tramwaju będę musiał kupić bilet dla dorosłych, a żadna staruszka już więcej nie dotknie mojej głowy. Włosy gładko układają się na czaszce, nawet jeden włoszek nie wystaje. Ale po chwili moje zadowolenie mija. Coś tu się nie zgadza. Trochę trwa, zanim pojmę, o co chodzi, co się nie zgadza, i wydaje mi się, że zaraz zemdleję, w drzwiach staje matka i patrzy na mnie zatroskana. – Chyba się źle nie czujesz, Barnum? – Nie – szepczę i szukam szczoteczki do zębów. Matka mnie odwraca. – Właśnie że tak – mówi.

O coś chodzi. – Jestem tylko trochę zdenerwowany, mamó. Matka robi krok do tyłu. – Ależ, Barnum, czy ty się skurczyłeś? – Tak – szlocham. Teraz do łazienki wchodzi również Boletta. – Stracił swoje piękne kędziory – wzdycha. A matka prawie krzyczy: – Stracił kędziory! Wyglądam na co najmniej osiem centymetrów mniejszego i przypominam żabę. – Chcę je z powrotem! – wołam i przez resztę tego ranka matka znów je skręca, jeden po drugim, to mozolna praca, ale gdy tylko puszcza, włosy opadają, jak gdyby były z gumy, wydzielającej się z kory mózgowej i wulkanizowanej w stu siedemdziesięciu stopniach, musi zaczynać od nowa, ale kiedy wreszcie staję w wielkiej sali Ratusza w blezerze i w granatowym krawacie ze szpilką, w ciasnych butach, w których nie ma już ani scenariusza, ani kondomów, tylko moje krótkie wilgotne stopy, włosy zaczynają mi sterczeć na wszystkie strony i na słynnym zdjęciu, które zrobił fotograf z wieczornego wydania „Aftenposten” w chwili, gdy wręczają mi błyszczący dyplom z godłem miasta i czek na pięćdziesiąt koron norweskich, przypominam dość zniszczone kieszonkowe wydanie Einsteina, a pod zdjęciem, które matka oprawiła w ramki i powiesiła w salonie nad kominkiem, był podpis: *Barnum Nilsen, mały geniusz*. A kiedy spocony burmistrz przedarł się przez kolejkę zdenerwowanych zdobywców nagród, matki się wypląkały, a Peder i Vivian wstali, wykrzykując moje imię i tupiąc w podłogę, zbliża się do mnie Ditlev we własnej osobie z przygotowanym notatnikiem i wychodzimy na dziedziniec Ratusza, by porozmawiać w spokoju. – Tak, tak – mówi Ditlev. Nie zabrałeś ze sobą brata? A może wciąż go liczą na ringu? Zanim jednak zdążę odpowiedzieć, pojawia się Peder i wyciąga rękę do Ditleva. – Peder Miil – przedstawia się. Barnum Nilsen wypowiada się do prasy wyłącznie w mojej obecności. Ditlev wzdycha ciężko i zapala papierosa. – Tak, tak – powtarza. Co miałeś na myśli, pisząc tę swoją dziwną historię?

Zastanawiam się. Vivian stoi razem z matką i Bolettą, machają do mnie. Ja też macham.

Wszędzie płynie, kapie, cieknie, ostatni śnieg topnieje, słońce świeci w kałużach, odbijających światło, jak gdyby miasto posypano rozbitym szkłem. Minęła już Wielkanoc. – Że wszyscy ludzie są dostatecznie duzi – mówi Peder. Ditlev złości się i odwraca do niego. – Kto dzisiaj wygrał? Barnum Nilsen czy ty? Peder pokazuje na mnie. – Że wszyscy ludzie są dostatecznie duzi – mówię. Muszą się tylko o tym przekonać.

Ditlev notuje w swoim notatniku i przerzuca na nową stronę. – Masz jakieś literackie wzory, Barnum? – To musi być Hamsun – odpowiadam. – A co ci się przede wszystkim podoba u Hamsuna? Znow się zastanawiam. – To był łajdak, który dobrze pisał. Ditlev notuje tak, jakby od tego zależało jego życie. – Świetnie, Barnum. To będzie świetne.

Hamsun to łajdak. Peder długo przewraca oczami. – Barnuma zainspirował również jego pradziadek – mówi. Ditlev podnosi długopis do ust. – Pradziadek? Czy on też był pisarzem? – Pisał listy – mówię. Ale więcej niestety nie mogę o tym powiedzieć. – Nie?

A dlaczego, Barnum? – Ponieważ napisał, że mamy nie gadać z pismakami. Peder natychmiast się włącza. – Chciałbym również zauważyć, że Barnum Nilsen grał niewielką rolę w wielkim filmie, który wkrótce wejdzie na ekrany, w *Głodzie*. Ditlev wsuwa długopis do kieszonki na piersiach i zamyka notatnik. – Pismak dziękuje za informacje – mówi. Wywiad jest najwyraźniej zakończony. A potem idziemy do Grandu, matka o tym zdecydowała, bo tu swego czasu przychodził również Ibsen, i siadamy przy tym samym stoliku co ostatnio, kiedy ojciec był już umarły i pogrzebany, matka, Boletta, Peder, Vivian i ja, jemy kanapki z krewetkami i gęstym majonezem na listkach sałaty, a na zewnątrz przechodzą ludzie, pokazują opalone twarze ponad jasnoniebieskimi koszulami i białymi bluzkami. Czekamy na Freda. – Powiedział, że przyjdzie do Ratusza – mówi matka i głos na moment jej ciemnieje. Odwracam głowę. – Nic nie szkodzi – szepczę. Próbuję okazać rozczarowanie, heroiczne rozczarowanie, brat z dyplomem. Właściwie czuję ulgę. Matka nakrywa mi rękę dłonią, a ja próbuję się wyrwać. – On na pewno przyjdzie, zobaczysz.

Boletta podnosi swoją szklanę z piwem, chociaż przestała pić piwo, bo już go nie toleruje, ale dzisiaj robi wyjątek, dzisiejszy dzień nie ma sobie równych i nie obowiązują w nim żadne prawa, pije za moje zdrowie. W coli Vivian grzechocze lodowiec. Peder i ja musimy nagle iść do toalety, zbiegamy na dół i znajdujemy wolną kabinę, ale żadnemu z nas nie chce się sikać, Peder ma coś w obu kieszeniach tweedowej marynarki, której nie może dopiąć na środku. To dwie miniaturowe buteleczki z rumem. Odkręcamy każdy swój korek. Wypijamy. Kaszlemy. Głowa płonie. – Jestem z ciebie dumny, Barnum! – Nie gadaj! – mówię. Peder mnie obejmuje. – Naprawdę tak myślę. Jestem, cholera, dumny z ciebie, Barnum! Ma jeszcze jedną miniaturową buteleczkę, tę wypijamy na spółkę i pewnie właśnie tam, w kabinie męskiej toalety w Grandzie, tworzę fundament częstego korzystania z miniaturowych buteleczek, z zabawek minibaru, odpowiadających mi rozmiarami, dających się schować do najmniejszych kieszonek, fałdów i rękawiczek, tak, zdarzyło mi się nawet wkładać miniaturowe butelki do butów. – Widziałem ją – mówię szeptem. – Kogo, Barnum? – Matkę Vivian. – Widziałeś ją? – Właściwie to nie, w sypialni było dość ciemno. Ale przynajmniej ją słyszałem. Peder kręci głową. – A nie mówiłem!

Vivian się w tobie zakochała. – Tak myślisz? – Myślę? Ja to wiem, Barnum. To prosta matematyka. Wyszliśmy, umyliśmy usta mydłem, a dostojni panowie, którzy między bitwami z pewnością tkwili tu, w męskiej toalecie, zmarszczyli na ten widok obrzmiałe nosy o barwie burgunda, rozlewające się po twarzach w plamy, jakby już ulegających rozkładowi. Kiedy wreszcie wróciliśmy do stolika pod oknem, Fred jeszcze nie przyszedł.

Musiąłem wyjątkowo uważnie przyjrzeć się Vivian, uśmiechnęła się do mnie na swój sposób, uśmiechem bez wielkich gestów, bo w Vivian wszystko było spokojne, ale tylko na zewnątrz, a matka co najmniej dwa razy uważnie przyjrzała się mnie i Pederowi, dostaliśmy kawę i bezy, potem wróciliśmy do domu w ten ciepły wieczór, a Freda też tam nie było. Matka zaczęła się niepokoić coraz bardziej. Miły nastrój minął. Bolettę rozboleła głowa, głośno się z tego powodu skarżyła. – Nie powinnaś była pić piwa! – powiedziała matka. – Gadanie! – prychnęła Boletta. Zapomniałaś, że pracowałam w Telegrafii? Głowa zaczyna mnie boleć już na sam widok przewodu telefonicznego między dwoma słupami.

Matka nie chciała z nią dłużej dyskutować, usiadła w salonie i zaczęła czekać. Matka zaczęła czekać, a Fred zaczął nam znikać. Następnego dnia musiąłem przeczytać na głos *Małe miasteczko* wszystkim uczniom w auli w szkole, wydaje mi się, że niewielu z nich cokolwiek z tego zrozumiało, bo na przerwie nikt nic nie powiedział, raczej odsuwali się ode mnie, zostawili mnie samego przy fontannie, w taki sposób moja samotność na szkolnym podwórzu stała się jeszcze wyraźniejsza, ostra i krótka jak cień. Pieprzyłem to.

To było takie przyjemne, pieprzyć to. Miałem Pедера. Miałem Vivian. Miałem maszynę do pisania! To wystarczyło. Najzupełniej. Tego samego dnia wywiad ze mną ukazał się w wieczornym wydaniu „Aftenposten”, razem z tym idiotycznym zdjęciem, które matka zamówiła w gazecie i oprawiła, i które po dziś dzień wisi nad zielonym kominkiem. Mały geniusz. Zdobywca nagrody Barnum Nilsen mówi. Ale Fred jeszcze się nie pokazał. Kiedy przeciągnęło się to na ponad tydzień, po raz pierwszy nie było go tak długo, matka bez pukania weszła do pokoju, w czasie gdy siedziałem i pisałem to, co miało być pierwszymi linijkami do historii *TUCZENIE*, i zaczęła przeglądać szuflady Freda, otworzyła szafę na ubrania, zajrzała pod łóżko i stwierdziła chyba, że niczego nie brakuje, wszystko leżało na swoim miejscu, i że nie zabrał ze sobą nic, wtedy usiadła obok mnie. Wyciągnąłem kartkę z maszyny i wsadziłem ją do szuflady. – Barnum – powiedziała matka. Nie musimy chyba mieć przed sobą tajemnic, prawda? Nie odpowiedziałem. Uznałem, że to pułapka, a w takim razie milczenie będzie moją najlepszą kartą. Na bladej twarzy matki znać było bezsenność. – Ty nie potrafisz mieć tajemnic – powiedziała, zrozumiawszy, że jej nie odpowiem. Myślisz, że nie znalazłam kondomów w bucie? Tego przynajmniej nie musiałem komentować, oboje przez chwilę milczeliśmy. W końcu matka się roześmiała. – Barnum, Barnum – powiedziała. To pewnie Fred je przyniósł. Ja miałem usta zamknięte.

Zrozumiałem, że podczas przesłuchania nieźle bym sobie poradził. Matka nabrała powietrza i pogłodziła mnie po kędziorach, które od tamtej pory urosły, były wyższe niż dotychczas. – Czy Fred coś ci powiedział? – szepnęła. O tym, gdzie jest? A mnie przypomniało się to, co mu obiecałem, że bracia na siebie nie donoszą. – Nie wiem – powiedziałem tak cicho, jak gdyby ktoś nas podsłuchiwał. – Spójrz mi w oczy, Barnum!

Nie okłamuj matki! Spojrzałem jej w oczy. Nie był to ładny widok, miałem wrażenie, że jej oczy zawisły na dwóch cienkich włoskach pod cieniami skóry. Nie mogłem powiedzieć, że Fred być może wyjechał szukać listu z Grenlandii. – Może jest u Willy’ego – podsunąłem zamiast tego. Matka zmrużyła oczy. – U Willy’ego? U tego idiotycznego trenera? Kiwnąłem głową. – Przynajmniej wcześniej tam był. Matka znalazła adres w książce telefonicznej i pojechała tam taksówką, na drugi koniec miasta, tego samego wieczoru, bo nie chciała dzwonić i dać Fredowi szansy na ucieczkę również stamtąd, jeśli w ogóle tam był. Boletta i ja siedzieliśmy w domu w salonie i czekaliśmy.

Głowa już przestała ją boleć, ale miałem wrażenie, że i ona odchodzi, znika, gram za gramem, może właśnie na tym polega umieranie, może człowiek wysycha jak soczysty owoc, który leży w słońcu i kurczy się, aż zostają z niego pomarszczona skórka i pestki.

Zastanawiałem się, czy nie mógłbym tego wykorzystać w swojej historii o tuczeniu.

Boletta odwróciła się do mnie i uśmiechnęła. – Wyglądałeś na zamyślonego. A może jesteś smutny? – Wierzysz, że coś się stało? – spytałem. – Jestem już za stara na to, żeby tylko wierzyć, Barnum. Dlatego nie wierzę w nic, dopóki tego nie wiem. Boletta piła herbatę i mieszała w filiżance powolnymi ruchami. – Ale to znaczy, że wtedy w to nie wierzysz – powiedziałem. No bo wtedy to wiesz. Boletta westchnęła. – Wiem tylko, że Fred nie ma w sobie spokoju. Włóczy się. Przysiadłem się bliżej, spodobał mi się zapach słodkiej herbaty. Lubiłem mieć Bolettę tylko dla siebie. – Włóczy się? Chodzi po ulicach? Na pewno bym go wtedy spotkał. – O nie. On się teraz włóczy znacznie dalej. O wiele dalej.

Nikt nie zdoła go powstrzymać. – Nie zdołamy? Boletta pokręciła głową. – Fred to człowiek nocy, Barnum. Wypiła resztę herbaty i na dnie została gruba warstewka brązowego cukru, którą zjadła łyżeczką. – A ja nie? – spytałem cicho. – Nie, Barnum, ty nie jesteś człowiekiem nocy. Poszedłem do naszego pokoju. Nie byłem człowiekiem nocy.

Byłem tym, który został. Ja miałem odjechać w inny sposób. Miałem maszynkę do śmiechu, maszynę do pisania i miarkę, której dwie strony różniły się od siebie. Dawałem sobie radę. Pamiętam coś, ktoś mi to opowiadał, a teraz opowiadam to ja, przekazuję dalej, to nie jest historia, tylko obraz, który wypływa z pewnej historii, jak fotografia w wywoływaczu: jakaś matka na Syberii stoi na jałowym brzegu i co dzień wpatruje się w morze, jedząc ziarna słonecznika, które trzyma w ręku. Pewien obcy pyta ją, czego wypatruje. – Syna – odpowiada. On jeszcze nie wrócił. – A od dawna go nie ma? – pyta nieznajomy, niczego nieświadom. – Osiemnaście lat – mówi matka, żuje ziarna słonecznika i dalej wpatruje się w morze.

Matka tego wieczoru późno wróciła do domu. Wybiegłem do salonu. Już siedziała na kanapie. Coś się stało. Coś się stało z nią. Nigdy jej takiej nie widziałem. Nie zdjęła płaszcza, a swoją małą torebkę trzymała na kolanach obiema rękami, jak gdyby to ona powstrzymywała ją przed upadkiem. A mimo wszystko uśmiechała się leciutko i właśnie ten uśmiech jakby nie pasował do reszty. Boletta się zniecierpliwiła, ale milczała, nie wymachiwała laską, ona również zauważyła, że z matką coś się tego wieczoru dzieje.

Widziałem, że suche oczy Boletty są pełne zdumienia i wcale nie małego lęku. Wreszcie matka się odezwała. – Fred poszedł na morze – powiedziała. Boletta usiadła na kanapie. – Na morze? Pewna jesteś? Matka szeptała: – Willy tak powiedział. To znaczy Willy Halvorsen. Boletta wypuściła powietrze z płuc. – A jemu można ufać? – spytała. Prostemu trenerowi od boksu? Matka kiwnęła głową. – To on pomógł Fredowi się zaciągnąć. Matka popatrzyła na mnie, ale nic nie powiedziała. Boletta pomogła jej zdjąć płaszcz, ciągle nie była jeszcze przekonana. – Jak możesz być tego taka pewna? Ten Willy Halvorsen nie potrafił nawet nauczyć Freda boksować! Matka wstała. – Dzwoniłam do armatora. Fred poszedł na morze. Spojrzeliśmy na siebie. Boletta wzruszyła wąskimi ramionami. – Tak, tak. To chyba nie najgorsza rzecz, jaka mogła się zdarzyć. Ale przed wyjazdem mógł się przynajmniej pożegnać. Dopiero teraz matka wybuchnęła płaczem. Znow musiała usiąść.

Trzęsła się. Boletta próbowała ją objąć, ale to nie pomogło. Zrozumiała, że matce nagle przyszedło do głowy, że już nigdy więcej nie zobaczy Freda. Ale on wrócił i za każdym razem, gdy znów wyjeżdżał, było to jak mała śmierć, mała śmierć, która się rozrastała, a w końcu zmieniła w nabożeństwo dla uczczenia jego pamięci w kościele na Majorstuen, pogrzeb bez nieboszczyka, za to z wielką obłąkami, ja, jak już mówiłem, wygłosiłem tego godnego zapamiętania mowę. Boletta pozwoliła matce wypłakać się do końca, ale to nie było skończyły, tylko się zabrakło. Najwyraźniej wszyscy myśleli o tym samym, o tym, że teraz Fred opuścił nas już na dobre, bo w następnej chwili Boletta spytała: ? Na jaki wódcie statek on się zapluta? ? Na? ? Niedźwiedzia Polarnego? ? odparła matka. ? No dobrze, ale dokąd ten statek pójdzie? Matka nie patrzyła ani na mnie, ani na Bolettę, tylko w dół, w dół. ? Na Grenlandię? ? odparła i natychmiast podniosła wzrok, z troską w niemym sposobie, wypowiedziała słowa, które przecież mieliśmy tak często powtarzać, kiedy chcieliśmy się pocieszyć: ? Nawet nie wiesz ze sobą swetra.

ć, ale to nie pomogło. Zrozumiałem, że matce nagle przyszło do głowy, że już nigdy więcej nie zobaczy Freda. Ale on wrócił i za każdym razem, gdy znów wyjeżdżał, było to jak mała śmierć, mała śmierć, która się rozrastała, aż w końcu zmieniła w nabożeństwo dla uczczenia jego pamięci w kościele na Majorstuen, pogrzeb bez nieboszczyka, za to z wielką żałobą, ja, jak już mówiłem, wygłosiłem tę godną zapamiętania mowę. Boletta pozwoliła matce wypłakać się do końca, ale to nie łązy się skończyły, tylko sił zabrakło. Najwyraźniej wszyscy myśleliśmy o tym samym, o tym, że teraz Fred opuścił nas już na dobre, bo w następnej chwili Boletta spytała: – Na jaki właściwie statek on się zaplątał? – Na „Niedźwiedzia Polarnego” – odparła matka. – No dobrze, ale dokąd ten statek płynie? Matka nie patrzyła ani na mnie, ani na Bolette, tylko w dół, w dół. – Na Grenlandię – odparła i natychmiast podniosła wzrok, zatroskana w niemądry sposób, i wypowiedziała słowa, które później mieliśmy tak często powtarzać, kiedy chcieliśmy się pocieszyć: – Nawet nie wziął ze sobą swetra.

Poszedłem do naszego pokoju, który być może był teraz moim pokojem, może tego wieczoru dostałem własny pokój, bo Fred był w drodze na Grenlandię na pokładzie „Niedźwiedzia Polarnego”, miałem nadzieję, że mijają w tym momencie Røst, zanim skręca na zachód ku niebieskiemu horyzontowi i zielonemu opadającemu słońcu, i że świeci dla nich Skomvær, ostatnia latarnia morska na Skomvær, kryształowy blitz Fresnela, który utrwali ich obraz w wietrze. *Serdeczne pozdrowienia ślę Wam wszystkim, pozostałym w domu, z krainy Słońca o Północy, spośród lodów i śniegów.* Może Fred znajdzie wołu piźmowego. Może będzie musiał jeść focze mięso. Czy tak właśnie myślał, że będzie musiał iść po tych samych śladach, żeglować śladem tego samego kilwateru, który zamknął się tam, na północnym morzu, za „s/s Antarctic” sześćdziesiąt sześć lat temu, aby znaleźć list, że będzie musiał zobaczyć to samo słońce, które oglądał pradziadek, poczuć chłód, usłyszeć, jak lód pęka, zanim będzie mógł zacząć szukać? Może znajdzie pradziadka zatopionego w lodzie, szkielet owinięty wiatrówką, a w kieszeni tej wiatrówki ogryzek ołówka, którym kiedyś napisał list? Cieszyłem się, tak, cieszyłem się, że Fred wyjechał. Ale nie czułem żadnej radości. Spakowałem dyplomata, było już za późno, żeby coś wymyślać. Dostatecznie dużo zostało już zmyślone. I położyłem się do łóżka z maszynką do śmiechu. Włączyłem ją. Rozległ się śmiech pod kołdrą. Słuchałem mechanicznego śmiechu. Był bez serca, zły. Gdyby węże umiały się śmiać, śmiałyby się właśnie tak. Ten śmiech, który wydawał mi się miłosierny, kiedy słuchałem go razem z Pederem, miłosierny i zaraźliwy, wypełnił mnie teraz wielką niespokojną ciemnością.

I rozumiałem, że śmiech nie działa, kiedy jesteś sam. Musiałem to zapisać, żeby nie zapomnieć. Może przyda mi się takie odkrycie, że śmiech potrzebuje towarzystwa. Ale zasnąłem, zanim dotarłem tak daleko, a baterie w maszynie się wyczerpały, śmiech robił się coraz wolniejszy i coraz głębszy, aż zamarł z cichym trzaskiem i pozostał tylko cichy, odległy szum, jak wiatr w dawno opuszczonym domu, tak sobie to wyobrażałem, wreszcie on również zniknął, ten szum, pozostawiając za sobą cienki sznurek upleciony z niczego, na którym mogły zawisnąć do wyschnięcia moje sny.

Obudziła mnie matka. – Idziemy do Telegrafu – oświadczyła. Nie musisz się jeszcze kłaść do łóżka Freda! Natychmiast wstałem, zawstydzony i zaspany, bo prawie nie spałem. – Mogę iść z wami? Poszedłem z nimi. Boletta wystroiła się w najlepsze ubranie, ale pod ciężkimi drzwiami na Tollbugaten odwaga ją zawiodła, opuściła ją wszelką chęć, chciała zawrócić, dostała bólu głowy, morsa, ale matka zdecydowanie wpełnęła ją do środka i znaleźliśmy się w wielkiej hali, w której stopa Boletty nie stanęła, odkąd rzuciła pracę w dniu śmierci króla Haakona i Starej, dziewięć lat wcześniej. Nie było tu już cicho jak w kościele. Teraz hala przypomina raczej magazyn, magazyn rozmów i telegramów, chciała zawrócić, dostała bólu głowy, morsa, ale matka zdecydowanie wpełnęła ją do środka i znaleźliśmy się w wielkiej hali, w której stopa Boletty nie stanęła, odkąd rzuciła pracę w dniu śmierci króla Haakona i Starej, dziewięć lat wcześniej. Nie było tu już cicho jak w kościele. Teraz hala przypominała raczej magazyn, magazyn rozmów i telegramów.

Zewsząd dochodził szum, jak gdyby olbrzymi rój pszczół prznosił się z kąta w kąt z wściekłą prędkością. Buty stukające o kamienną posadzkę. Zegar na ścianie, wskazówki przesuwalące się z twardym trzaskiem. Matka lekko potrząsnęła Bolettą. – Nie stój tak i się nie gap! Ale Boletta stała i się gapiała. – Zmieniło się – szepnęła. – Co ty mówisz? – spytała matka. – Nazwy statków można pisać jednym słowem – powiedziała Boletta. Jeśli mają nie więcej niż piętnaście liter. – Niedźwiedź polarny – powiedziała matka i prędko zaczęła liczyć na palcach. – To więcej niż piętnaście. Miejmy to już za sobą. Weszliśmy po szerokich schodach na piętro. Boletta ukloniła się kilku paniom, ale one już jej nie poznały.

Minęły ją w pośpiechu i za każdym razem, gdy kolejna osoba jej nie poznawała, Boletta coraz bardziej się garbiła, tak, z każdym stopniem robiła się coraz mniejsza, nawet naczelnik Egede się nie zatrzymał, ten zniszczony alkoholem mężczyzna, zawahał się tylko na podeście niżej i patrzył na nas, jak gdyby coś mu się otworzyło na widok Boletty, wytrzymała jego spojrzenie z przekorą, wyczekująco, ale ten nieszczęśnik odezwał się do mnie. – Mały geniusz – powiedział i się roześmiał. Potem zszedł na dół do hali. Boletta znów się zapadła. A panna Stang, kierowniczką, dziewczycą kabli, dawno już przeszła na emeryturę i siedziała w domu w swoim mroku, w dwupokojowym mieszkaniu na Uranienborg, z wilgotną ściereczką na czole, żeby stłumić trochę kłujący ból głowy.

Widziała, jak czarne telefony z bakelitu wymieniano na szare i białe aparaty, niskie i dyskretne, w latach siedemdziesiątych na krótko zastąpione przez niepraktyczne śmieszne urządzenia w krzykliwych barwach, czerwone, żółte, pomarańczowe, w kolorach, które nie mają nic wspólnego z telefonami, które stały na własnych tarczach i przez tak zwane dowcipne języki zostały ochrzczone homofonami, ponieważ wykręcało się numer z tyłu, później zaś cały Telegraf zamknięto, bo w latach pięćdziesiątych eksplodowała wielka rozmowa, została sprywatyzowana, rozrzucona na cztery wiatry, bezprzewodowych słów nie dało się uniknąć, najintymniejsze zwierzenia wykrzykiwano ponad stolikami restauracyjnymi, tajemnice ujawniano w kolejkach i na przystankach, ludzie zostali zmuszeni do słuchania cudzych kłótni, napomnień, westchnień, tak, społeczeństwo stało się jedną wielką sypialnią, w której wszyscy rozmawiali ze wszystkimi, ale głównie sami ze sobą i nikt nie miał nic do powiedzenia.

Poszliśmy do sali dalekopisów. Była kolejka. To stąd wysyłano najważniejsze wiadomości, te, które decydowały o życiu i śmierci, których nie można było wypowiedzieć na głos, bo przecież głos to nieprecyzyjny instrument, głos jest pełen nieporozumień, intonacji, przejęzyczeń i przesady, telegram natomiast jest nieomylny, telegram jest milczący i wyraźny, telegramy są dla katastrof i dla miłości. Siedziało tu osiem kobiet, każda przy swoim biurku. Również tutaj nikt nie poznał Boletty. Nic nie mówiliśmy. Telefon męczy nerwy i słuch, więc ludzie, którzy go obsługują, nigdy nie powinni pracować dłużej niż cztery godziny bez przerwy. Telegrafowanie najbardziej obciąża dłonie i palce, może powodować skurcze i reumatyzm. Gdy wreszcie nadeszła nasza kolej, matka zapisała wiadomość na karteczce i podała ją operatorce. Operatorka znalazła właściwe kody i wstukała krótkie, lecz jakże pełne znaczenia słowa, a ja wyobraziłem sobie, że w tym momencie radiotelegrafista, Radio, na „Niedźwiedziu Polarnym” może odczytać meldunek, przetłumaczyć kropki na litery, iść na górę i dostarczyć je nowemu chłopcu, Fredowi Nilsenowi, w mesie. Wyobraziłem sobie, że Radio to żartowniś, i chętnie podrażni się z tym dziwnym milczącym nowicjuszem, który nawet nie zachorował na chorobę morską podczas swego pierwszego rejsu i który, zdaje się, był obiecującym bokserem, ale sprął go zwykły mistrz z Trøndelag. – Cześć, Nilsen. Mamusia się za tobą stęskniła! Reszta załogi obecna w mesie zacznie chichotać pod nosem i śmiać się, a Fred, wyobrażam sobie, zgniecie kartkę i prędko schowa ją do kieszeni, zły i zawstydzony, dopiero później, podczas wachty, wyjmie ją, odczyta tych kilka słów od matki, a potem rzuci kartkę w morze, gdzie kawały kry już pływają jak brudne strupy, uderzając w kadłub i nie pozwalając mu zasnąć.

Nie przysłał matce żadnej odpowiedzi. Co dzień czekała na telegram z „Niedźwiedzia Polarnego”, na jedno słowo, na znak życia, na iskrę. Nie takiego nie nadeszło. Biegła do drzwi na każdy dzwonek jedynie po to, żeby się przekonać, że to kolejny sprzedawca, który chce jej wcisnąć plastikowe naczynia Tupperware, dywanik z gałganków albo zbawienie Jehowy. Przepędzała ich na schody. Posiwiła w tym czasie. Boletta i ja chodziliśmy na paluszkach, bo najdrobniejsza rzecz potrafiła wyprowadzić ją z równowagi, tak, przez pewien czas baliśmy się o jej rozum, Boletta szeptała do mnie, że umiejętność czekania to sztuka, której opanowanie wymaga długiego czasu, mało komu się to udaje, a mistrzem i nauczycielem jest tutaj sam czas. I kiedy upłynął pewien czas, bez dźwięku, bez litery, bez żadnego znaku w alfabecie Morse’a od Freda, matka się uspokoiła, jak gdyby pogodziła się z losem i dopasowała do niego z ospałą wściekłością, bo gdy pewnego wieczoru, tuż przed letnimi wakacjami, znów rozległ się dzwonek do drzwi, matka nie pobiegła otworzyć, a wtedy zrozumieliśmy, że weszła w okres spokoju wyczekiwania, w którym się tylko czeka, nie robi się nic innego, uczyniła z czekania sztukę, pierwiastek duszy, tak jak przed nią Stara, sam więc poszedłem otworzyć. To był Peder. A tuż za nim stała uśmiechnięta Vivian i zerkała mu przez ramię. Nie widziałem ich od pewnego czasu. Bardzo się ucieszyłem. Miałem przyjaciół, którzy przyszli mnie odwiedzić. – Czy to tutaj mieszka ten wielki, ale mały pisarz? – spytał Peder. Ukłoniłem się głęboko, wpuściłem ich do środka i usiedliśmy w naszym pokoju, którego jeszcze nie nazywałem swoim. Vivian chciała posłuchać maszynki do śmiechu, ale zapomniałem wymienić baterie, zamiast tego więc spytała: – Fred wyjechał? – Jest w wojsku – odparłem. Nie wiem, dlaczego powiedziałem właśnie tak, ale stało się, powiedziałem, że Fred jest w wojsku. Peder gwizdnął głośno i przeciągle. – No, wobec tego nasz kraj jest w pewnych rękach. Nareszcie możemy w nocy spać spokojnie. Vivian popatrzyła na mnie. – Gdzie? – spytała. Musiałem się namyślić. Kłamstwo już zaczęło się

mnożyć. Tak jak robak dzieliło się po prostu pośrodku i zmieniało w dwa robaki, mogło to trwać w nieskończoność, jak w przyrodzie. – To tajemnica – odparłem. Vivian spuściła wzrok. – Tajemnica? Peder znów zaczął gwizdać, a kłamca musiał znaleźć jakiś inny temat.

Poklepałem Pедера po ramieniu. – Czy ten model nie mógłby znów wprowadzić nas do klubu filmowego? – spytałem głośniejsz niż to konieczne. Peder nagle przestał gwizdać. – Matka z nim skończyła. – Skończyła? Całkiem skończyła obraz? Peder nagle się zezłościł i wstał. – Nie słyszałeś, co powiedziałem, czy co? Usłyszałem, co powiedział, ale nie rozumiałem, o co mu chodzi. Vivian odwróciła głowę, znikąd nie było pomocy. Gdybym pamiętał o kupieniu baterii do maszynki śmiechu, wszystko wyglądałoby inaczej. Prędko odszukałem wypracowanie, które byłem winien Pederowi. Wciąż stał odwrócony plecami, wyrwał mi tylko kartkę. Wybrałem temat *Opowiedz o pracy, w której uczestniczyłeś*.

Peder zerknął na tytuł. – Cholera, mówiłem ci, żebyś napisał *Wady i zalety nowoczesnej techniki!* – Właściwie udało mi się zmieścić oba te tematy w tym samym wypracowaniu – powiedziałem ostrożnie. Peder zaczął czytać. – Napisałeś, że byliśmy statystami w *Głodzie*, ty głupku! – Tak. I opisałem rozwój kamery filmowej. – Rany! – powiedział Peder. Vivian też chciała to zobaczyć i zaczęła czytać na głos: – *Pozostaje ponad wszelką wątpliwość, że im lżejsza i mniejsza jest kamera filmowa, tym łatwiej się nią posługiwać, kamerzysta bowiem może wtedy poruszać się za aktorami, czy też za obiektem, który chce sfilmować, w o wiele prostszy sposób. Rozmiary kamery nie mogą jednak negatywnie wpływać na jej możliwości filmowania odpowiedniego kąta i głębi.*

Doświadczyłem tego między innymi wtedy, gdy wraz z dwojgiem moich najlepszych przyjaciół statystowaliśmy w nowym filmie Głód, którego premiera, niestety, jeszcze się nie odbyła. Peder odwrócił się powoli i uśmiechnął. – Świetnie, Barnum. To świetnie. Już z daleka czuje zapach piątki z plusem. Ale Vivian odwróciła się jeszcze bardziej plecami.

Peder i ja popatrzyliśmy na siebie i nastąpiła teraz rozmowa, nad którą długo się zastanawiałem, i właściwie żałowałem, że na miejscu nie ma dalekopisu, mogącego zmienić ją w kropki i kreski Morse’a, tak aby pasek z tymi znakami mógł wysunąć się pewnej nocy, w której rozumiałbym więcej, w której byłbym wielkim panem Radio, orientującym się, co się kryje za znakami i za słowami. – O co chodzi? – spytał Peder.

Vivian nie odpowiedziała. – O co chodzi? – spytałem ja. Vivian zerknęła przez ramię. – Czy ja jestem tylko twoją najlepszą przyjaciółką, Barnum? Zmieszałem się. Tylko? I przez moment uświadomiłem sobie, że kłamstwo musi być przyjemniejsze niż zmieszanie, zmieszanie nie ma znieczulenia, a kłamstwo jest pełne narkozy, przynajmniej dopóki trwa.

Może ojciec miał rację, mówiąc, że kobietę można zrozumieć zaledwie w dwóch procentach, a i tak by to osiągnąć, trzeba poświęcić całe życie. – Tak, ty i Peder – szepnąłem. Nie jesteśmy przyjaciółmi? Teraz Peder powiedział coś jeszcze dziwniejszego, chętnie dostałbym na papierze wychodzącym z jego ust te słowa skierowane do Vivian. – To moje wypracowanie, prawda? Nie Barnuma. On mi je tylko napisał. Po tym oświadczeniu przez chwilę milczeliśmy, aż wreszcie Peder klasnął? w?d?onie i?wszed? na?krzes?o. ? W?dodatku wiem, kiedy jest premiera! Vivian te? wsta?a, a?moja r?ka przesun??a si? po?jej jasnoniebieskim swetrze, pofa?dowanym na?wystaj?cym kr?gos?upie. ? No?to kiedy, ty?matole? ? zawo?a?em. Peder spojrze? na?mnie z?g?ry. ? Dok?adnie za?osiemdziesi?t cztery dni. A?jutro zostan? ju? tylko osiemdziesi?t trzy.

Wyszli, zanim matka sko?czy?a przygotowywa? kolacj?. Wbieg?em do?kuchni. Ona wci?? kroj?a kozi ser w?powolne plasterki. Czekanie zrobi?o z?niej ospa?? pedantk?. ? Premiera b?dzie dziewi?tnastego sierpnia! ? oznajmi?em. Matka odwr?ci?a si? wolno. ? Oni ju? poszli? ? Tak. Premiera ł w dłonie i wszedł na krzesło. – W dodatku wiem, kiedy jest premiera! Vivian też wstała, a moja ręka przesunęła się po jej jasnoniebieskim swetrze, pofałdowanym na wystającym kręgosłupie. – No to kiedy, ty matole? – zawołałem. Peder spojrział na mnie z góry. – Dokładnie za osiemdziesiąt cztery dni. A jutro zostaną już tylko osiemdziesiąt trzy.

Wyszli, zanim matka skończyła przygotowywać kolację. Wbiegłem do kuchni. Ona wciąż krojła kozi ser w powolne plasterki. Czekanie zrobiło z niej ospałą pedantkę. – Premiera będzie dziewiętnastego sierpnia! – oznajmiłem. Matka odwróciła się wolno. – Oni już poszli? – Tak. Premiera *Głodu* będzie dziewiętnastego sierpnia! Westchnęła. – Może Fred do tego czasu wróci do domu. Znów rozległ się dzwonek do drzwi, zobaczyłem, że matka drgnęła, a nóż do sera wypadł jej na podłogę. Pobiegłem otworzyć.

To był znów Peder. – Zapomniałem o czymś – szepnął. Wyjął kopertę i prędko mi ją podał. – Nie wierzę, że twój brat jest w wojsku – dodał jeszcze ciszej. Zapatrzyłem się na kopertę. *Branum Nilsen. Znaczki Miila. Oslo. Norwegia.* W rogu było mnóstwo duńskich znaczków. Fred wysłał list na adres ojca Pedera. Teraz Peder przyniósł go mnie. Nic nie powiedziałem. Tylko gapiłem się na tę kopertę. – Tak, tak – szepnął Peder. Pewnie wszystko ma swój sens. Odwrócił się i zszedł po schodach. Przemknąłem do pokoju z listem pod koszulą. Tam schowałem go pod materacem. Nagle stanęła za mną matka. – Czy to znów był Peder? – spytała. Kiwnąłem głową. – Czego chciał? Przełknąłem ślinę i usiadłem na łóżku. – Zapomniał mi oddać zadania z matematyki. – A nie chciał kolacji?

Pokręciłem głową. – Nie miał czasu. Matka się uśmiechnęła. – Jeśli Peder nie ma czasu na kolację, to znaczy, że rzeczywiście mu się spieszy. – O rany, tak. – Już się kładziesz?

Długo ziewałem. – Spać mi się chce. Matka siadła obok mnie. Szukała słów. Pod materacem leżał list od Freda. – Fajnie będzie z tym filmem – powiedziała. Pomyśleć tylko, że mamy aktora w rodzinie. Roześmiała się. – Statystę – poprawiłem ją. – To prawie to samo. Matka przez chwilę milczała. Chciałem, żeby sobie poszła. Ziewnąłem jeszcze raz i wyciągnąłem ramiona w powietrze, wszystko, co robiłem, było przesadzone, każdy ruch powiększony, jak gdyby przez to miał być bardziej prawdziwy, jak gdyby przesada była podwójną prawdą. – Nie mogę spać – powiedziała matka. Nie będę mogła spać, dopóki nie wróci. – Fredowi na pewno jest dobrze – szepnąłem. On jest człowiekiem nocy. Matką znów wstrząsnęło, jak gdyby moje słowa poraziły ją prądem. Wzięła mnie za rękę i ścisnęła ją w gniewie albo w smutku, nie wiem, może była w tym również miłość.

Wydaje mi się, że tej nocy też nie spała. Ale kiedy zrobiło się już dostatecznie cicho, wyjąłem kopertę i ostrożnie ją otworzyłem. W środku leżała widokówka, było na niej zdjęcie wołu pizmowego. Stał na jałowej ziemi, z pochylonym łbem, wyglądał brudno i nieporządnie. A na odwrocie Fred napisał swoim niezgrabnym kaligraficznym pismem:

Nic nie mów. Fred. To było wszystko. *Nic nie mów. Fred.* Nie wiem, jak długo siedziałem i gapiłem się na te słowa. I podjąłem decyzję. Nic nie powiedziałem. Inaczej nie mogłem.

Owszem, mogłem, miałem wybór, czyż nie o to właśnie chodzi we wszystkim, o wybór, którego trzeba dokonać, dla którego nie ma żadnego innego usprawiedliwienia? Mogłem zrobić inaczej. Mogłem złamać obietnicę daną Fredowi, iść do matki i pokazać jej tę kartkę. Nie zrobiłem tego. Dotrzymałem obietnicy i pozwoliłem, żeby dalej leżała bezsensna. Trochę płakałem. – Zajebana pierdolona pizda! – zawołałem i sam siebie uderzyłem w usta. Nasłuchiwałem. Dookoła było tak samo cicho. Schowałem pocztówkę z powrotem do koperty, a kopertę ukryłem w miejscu, w którym, jak wiedziałem, matka nigdy jej nie znajdzie. Tak zaczęło się moje długie kłamstwo.

I każdy upływający dzień był kontynuacją tego kłamstwa. Nic nie mówiłem, a więc kłamałem. Wstrzymywałem słowa i kłamałem jednocześnie. Mam dwa języki i jedną twarz, albo odwrotnie, mam wiele twarzy i jeden język. Matka co noc nie śpi. Czasami odwiedza Willy'ego, żeby usłyszeć nowiny o „Niedźwiedziu Polarnym”. Po powrocie do domu jest jeszcze bardziej milcząca, a Boletta siedzi w salonie i kręci głową. Piszę pierwszy szkic *Tuczenia*, ale nie jestem z niego zadowolony i wyrzucam go zaraz po skończeniu. Muszę zmienić taśmę w maszynie. Czekamy. Czas płynie powoli i opornie.

Fred nie wraca. Mija lato. Peder zaczyna chodzić do Liceum Katedralnego i jeszcze tej samej jesieni zostaje wybrany na skarbnika całej szkolnej społeczności, Vivian siedzi w domu i uczy się po jednym przedmiocie, a ja w kolejny pierwszy dzień szkoły wchodzę przez bramę do Liceum Fagerborg ze słońcem w plecach, i na widok wszystkich, którzy odwracają się równocześnie i mierzą mnie spojrzeniem, postanawiam pobić nowy rekord w wagarowaniu. Idzie mi to świetnie.

Trzy dni później jest premiera *Głodu*. Rozgrzewamy się w Gospodzie na Stortorget, ale nie dostajemy piwa, chociaż je zamówiliśmy, tylko herbatę. Nic nie szkodzi. I tak Pederowi udało się zdobyć butelkę szampana, schował ją pod stolikiem. Peder jest jedyną osobą, która zdołała wyciągnąć korek z szampana w Gospodzie na Stortorget i nie została przyłapana na gorącym uczynku. Ma tylko trochę mokre spodnie. Wypijamy herbatę najszybciej, jak się da, i nalewamy szampana do filiżanek. Siedzimy przy stoliku najbardziej w głębi. Vivian czymś pachnie. Po dwóch filiżankach trochę mi się mąci w głowie i chowam twarz w jej szyję. Vivian mnie odpycha, ale ja wracam. – Barnum! – woła nagle. Ty gryziesz! Vivian idzie do toalety, a Peder kładzie się na obrusie i zaśmiewa. Pozostali goście odwracają się w naszą stronę, mroczne twarze w złocistej poświacie szklanek piwa, które unoszą w obu rękach. Spojrzenie kelnera nabiera twardości stali, przychodzi opróżnić popielniczkę. W filiżankach musuje. – Nie pijecie chyba własnego alkoholu? – pyta. – Piżmo – odpowiada Peder. Kelner kręci głową, robi rundę wokół stolika i powoli wraca do baru. Nachylam się do Pедера. – Piżmo? – powtarzam szeptem. Peder ukradkiem dolewa szampana do filiżanek. – Perfumy Vivian, Barnum. Wytapiają je z jaj wołów piżmowych. – Z jaj wołów piżmowych? – To cholernie podnieca. – Podnieca? Kogo? – Ciebie. Vivian wraca z toalety. Już nie pachnie. Może umyła szyję. Nic nie mówię. Nie bardzo jestem w stanie myśleć. Za dużo jest rzeczy do myślenia, a myśli nie łączą się ze sobą. Peder patrzy na zegarek i podnosi filiżankę. – Najwyższy czas podbić Sagę – mówi. Wypijamy i wychodzimy ramię w ramię, z Vivian pośrodku, idziemy do kina, na naszą pierwszą premierę. To seans o siódmej. Na zewnątrz jest kolejka. I to ja muszę pokazać legitymację. Peder kładzie rękę na niebieskim ramieniu biletera. – Pozwoli pan, poinformuję, że graliśmy w dzisiejszym filmie – wyjaśnia. Nie chce pan chyba odmówić wstępu aktorom. – Statystom – poprawiam. – Zamknij się –

mówi Peder. – Jak on jest za mały, to jest za mały – oświadcza bileter. Peder głośno wzdycha. – Jeśli jest dostatecznie dorosły na to, żeby grać w filmie, to jest też chyba dostatecznie dorosły, żeby go oglądać. Vivian się śmieje i w końcu bileter nas wpuszcza.

W środku są wszyscy. Zauważam ich natychmiast, gdy siadamy w pierwszym rzędzie, matka i Boletta, Esther z kiosku, rodzice Pedera, matka siedzi w wózku na dole schodów, tak, jest też ojciec Vivian, a za nim zajął miejsce Ditlev z wieczornego wydania „Aftenposten”, prawie nic nie widzi, wierci się na krześle i trzeba go uciszać; wszyscy tu są, bo nikogo nie ominęła informacja, że Peder, Vivian i ja graliśmy w filmie, pisaliśmy nawet o tym wypracowanie i mówiliśmy w wywiadach, widzę dozorcę Banga, Kostuchę, Kozła, Aslaka, Chomika i Prebena, dalekie twarze na opadającej w dół sali, widzę Tigera, Talenta, Tommy’ego i Bliźniaków, resztę chłopaków z klubu bokserskiego, z bardziej krzywymi nosami i nieco dłuższymi włosami, widzę rodziców M, bladych i chudych, w pobliżu wyjścia awaryjnego, i myślę, kiedy kurtyna rozsuwa się na boki, że większość z tych ludzi odegrała jakąś rolę w moim życiu, niektórzy tylko przesuwali się w tle, inni się do mnie zbliżali, tak właśnie myślę, kiedy ciemność i cisza przez moment zapadają razem, myślę, że być może tutaj jest więcej takich ludzi, niż przyszłoby na mój pogrzeb, gdybym zdecydował się teraz umrzeć, a tuż przed tym, jak Vivian bierze mnie za rękę, a na ekranie ukazuje się Pontus, odwrócony plecami, oparty o balustradę mostu nad rzeką Aker, gorączkowo piszący coś na kartce, którą potem wsadza do ust i zjada, zjada papier, na którym pisał, widzę, że ktoś siada w cieniu obok matki, to Willy.

Nie ma nas w filmie. Nie ma nas w Parku Zamkowym. Jesteśmy niewidzialni.

Zostaliśmy wycięci. Leżymy w szpuli ciśniętej do śmietnika gdzieś w Danii, zbędni, odrzuceni. A więc jednak to coś w rodzaju pogrzebu. Znów linijka Barnuma. Linijka Barnuma jest za krótka. Zawsze brakuje jej jednego centymetra. Wychodzimy przed końcowymi napisami. – Przynajmniej zachowaliście dusze – szepcze matka Pedera, kiedy w pośpiechu ją mijamy. Już wyszliśmy. Ulice są mokre, zrobiła się jesień. Peder i ja musimy się wysikać za pojemnikiem na śmieci. Wyrzucamy bilety i sikamy na nie. – Gówniany film! – woła Peder. Nie odzywamy się więcej, dopóki nie dojdziemy na Solli plass. Nasze drzewo jest czerwone i błyszczy w deszczu. Peder mówi wtedy: – Skoro on był taki cholernie głodny, to dlaczego nie poszedł do lasu i nie nazbierał trochę jagód, co? – Może czuł jakiś inny rodzaj głodu – odpowiadam szeptem. – Ach, tak! Przecież przez cały film, cholera, nie mówił o niczym innym, tylko o kiełbasach! Mógł sobie zrobić haczyk, wędkę ze sznurówki i złapać parę dorszy, prawda? Przeklęty głupek! – Mógł przynajmniej zjeść cukierka czekoladowego – mówi Vivian. Patrzymy na nią. – Cukierka? – pyta Peder. – Nie widzieliście? Przecież w liściach w Parku Zamkowym leżały dwa czekolacholeradowe cukierki i lukrecja. Peder patrzy na mnie. Ja patrzę na Pedera. – Naprawdę? Vivian kiwa głową. – Naprawdę. Peder mało nie wrywa drzewa, tak się śmieje. – Popsuliśmy ten film! Mieszanka czekoladowa w 1890 roku! Ja też się śmieję, ale mimo wszystko z jakiegoś powodu jest mi smutno, jak gdybym już teraz widział ślady tego, co nastąpi, wszystkiego, z czego nic nie wyjdzie, co zostanie odrzucone, skreślone, wycięte, jak gdyby moim godłem stały się nożyczki. – Cześć! – mówi nagle Peder i rusza w stronę Bygdøy allé wśród kasztanów. – Zaczekaj chwilę! – woła Vivian.

Ale Peder nie czeka. Idzie dalej. Puszczam rękę Vivian i biegnę za nim. – Co się z tobą dzieje, co? Peder opiera się o płot i uśmiecha. – A coś się ze mną dzieje? Kładę mu rękę na ramieniu. – Chyba nie musisz już wracać do domu? – Może jestem głodny. Jego uśmiech ma w sobie coś miękkiego, bliskiego wybuchu, jak gdyby w każdej chwili usta mogły wykrzywić się w płaczu. – Teraz to wy dwoje jesteście razem – mówi Peder. – Jesteśmy we troje. Peder kręci głową. – Nie, jest o jednego za dużo. Cześć, do zobaczenia. I idzie dalej przez skrzyżowanie. Nie odwraca się. Stoję w miejscu. Nie wiem, co mam robić.

Chcę pobiec za Pederem. I chcę wrócić do Vivian. To ona przychodzi do mnie.

Tego wieczoru dzieje się coś jeszcze. Idziemy razem do parku Frogner. Zaczyna już robić się ciemno. Ciągłe pada. Na górze przy białej Altanie, pawilonie należącym do dworu Frogner, Vivian siada w trawie. Siadam obok niej. Nie jest zbyt przyjemnie. Mokro.

Daję jej swoją kurtkę. I właśnie wtedy się to dzieje. Vivian siada na mnie. Nie mogę uciec. Ona mnie mocno przytrzymuje. Kręcę głową na boki i czuję lepką trawę na włosach i karku. Vivian zaczyna coś robić. Ściąga majtki i wysuwa z nich jedną nogę. Potem rozpina mi rozporek. Boję się ruszyć. Vivian naciąga mi gumę i naprowadza mnie. Potem się opuszcza, ciężko i mocno. Jest zupełnie nieruchoma. Ja też. I wtedy znów czuję ten zapach piżma, nieprzytomny, wściekły, zapach, który ma być moimi wrotami do tego wieczoru. Piżmo i nożyczki. Odpływam. To już się stało. Vivian wstaje, odwraca się plecami, wciąga majtki i poprawia spódnice. Ja dalej leżę. Zimno mi. Zamykam oczy. Boję się spojrzeć. Piecze. Wstydzę się. Słyszę, że Vivian schodzi w dół, zanim stanę na nogi, ona już znika. Zrywam gumę i z krzykiem rzucam ją za nią. Zabieram kurtkę, potykając się, idę do ogrodzenia i przechodzę górą, rozdieram spodnie, spadam w krzaki po drugiej stronie i wyczołguję się na chodnik. Przejeżdża tramwaj. Rozlega się wizg, gdy przechyla się na ostrym zakręcie. Zatykam uszy. Mogę zajrzeć do Pедера. Nie idę tam. Nie mam nic do powiedzenia. Zresztą jak miałbym to powiedzieć? Biegnę w górę Kirkeveien. Cieszę się, że pada. Biegnę aż do utraty sił. Teraz istnieję. Powtarzam to jeszcze raz. Teraz istnieję. Zrobiłem to. Czuję ulgę. Nie jestem szczęśliwy, ale czuję ulgę. To nie jest takie najgorsze. Właściwie to ja ją poderwałem. Jasne, że tak. To ja. To moja wina. To ja zabrałem ją do parku Frogner, do Altany, w ciemność? ko?o Altany. Jak gdyby nikt nie rozumia?, co?to znaczy. Roz?o?y?em nawet kurtk? na?trawie, na?kt?rej mog?a si? po?o?y?.

ć koło Altany. Jak gdyby nikt nie rozumiał, co to znaczy. Rozłożyłem nawet kurtkę na trawie, na której mogła się położyć.

Na mokrej trawie, skoro tego chciała. Wcale nie najgorzej. Zrobiłem to. Zrobiłem to z Vivian. To ja. To moja wina. Zatrzymuję się. Nie mogę sobie przypomnieć, czy skończyłem. Czy całkiem skończyłem. Czy mi wyszło. Czy poszło. Nic nie czuję. Tylko piecze. Wracam. Przez chwilę przeszukuję trawę między krzakami koło Altany. Podchodzi do mnie jakiś czarny pies. Przeganiam go. Pies nie chce odejść. Łasi się do mnie. Kopię.

To nie pomaga. W końcu znajduję to, czego szukam. Podnoszę kondom. Pies piszczy. Nic nie widać. Pada. Z żółtej skręconej gumki ściekają krople. Nic nie widzę na czubku. Tylko woda, deszcz i błoto. Wyrzucam ją. Natychmiast podbiega pies i zabiera gumę. Ktoś gwizdże, daleko, może na moście, pies znika.

Wracam do domu. Boletta siedzi w salonie. – Nareszcie jesteś! – mówi. Zatrzymuję się w cieniu za kominkiem przy zdjęciu małego geniusza. Nic nie mówię. Boletta wychyla się do przodu. – Nie jesteś chyba rozczarowany, Barnum? Tylko kręcę głową. – Bo nie powinieneś być. Nie jesteś pierwszym, którego wycięto. Stara zyskała prawie światową sławę przez wszystkie te filmy, z których ją wycięto! Boletta się śmieje. – I powiem ci coś, że chociaż dawno nie byłam w kinie, a to znaczy odkąd w Kinopalæet zrobili skład ziemniaków podczas wojny, Barnum, to mimo wszystko uważam, że to był bardzo dziwny film. Że też elegancka dama w ogóle chciała dotknąć takiego brudnego chudzielca! – To był tylko sen – mówię. Boletta przez moment milczy i otwiera ramiona. Wolno w nie wchodzę. Dopiero teraz zauważa, jak wyglądam. Wyglądam okropnie. Cuchnę. – Biłeś się? – pyta. Spuszczam wzrok. Boletta dotyka mojej mokrej kurtki, oddycha prędko i patrzy na mnie zdziwiona. – Nie, ty się nie biłeś, Barnum! Uśmiecha się. – Gdzie mama? – pytam.

Boletta mnie puszcza. – U Willy’ego. U Willy’ego Halvorsena. – A co ona tam robi?

Boletta wzdycha. – Mama też potrzebuje przyjaciół, Barnum. W tej samej chwili matka wraca. Słyszymy, jeszcze zanim zamknie drzwi, że coś się dzieje. Coś złego. Coś strasznie złego. Nagle staje w salonie. – Katastrofa statku – szepcze. Boletta wstaje. – Co ty mówisz? – „Niedźwiedź Polarny”. Utknął w lodzie. Boże. Matka siada. Wyciąga coś z torebki. Ręce jej się trzęsą. To wycinek z jakiejś duńskiej gazety, który dostała od Willy’ego, od Willy’ego Halvorsena. Boletta zapala lampę. To zdjęcie zrobione z lotu ptaka, zdjęcie statku zakleszczonego w lodzie. To „Niedźwiedź Polarny”. Załoga, dziesięciu mężczyzn, zesłała z pokładu, stoją gromadką na kawale kry pomiędzy dwiema szczelinami w lodzie. Matka odczytuje na głos tekst z wycinka, a głos jej się trzęsie tak samo jak ręce. – *W drodze powrotnej z Myggbukten w końcu lipca statek wielorybniczy „Niedźwiedź Polarny” utknął wśród kry u brzegów Grenlandii. Statek zaczął nabierać wody, deski pokładu pękały jak zapalki, załogę ewakuowano. Załoga na lodzie oczekuje na amerykański helikopter, który zabierze ją w bezpieczne miejsce. Wszyscy zostali uratowani.* Matka gwałtownie milknie, szuka chusteczki do nosa. – Ale to znaczy, że chyba wszystko jest w porządku – mówi Boletta. Skoro uratowano wszystkich. Matka kręci głową i prawie rozdziera chusteczkę na dwie połowy. – Jego tam nie ma! Freda tam nie ma! Boletta ujmuje ją za ręce. – Jesteś pewna? Przysuwam lampę bliżej, zdejmuję abażur, a Boletta przynosi szkło powiększające, i chociaż mężczyźni na tym zrobionym z wysoka zdjęciu wyglądają tylko jak małe czarne kreseczki na lodzie, to jednak da się zobaczyć, że Freda nie ma wśród nich. Freda tam nie ma. Matka, widząc mnie w ostrym świetle, nagle na moment wraca do tego świata. – Jak ty wyglądasz? – pyta. Idź się umyć. Wstaję i wychodzę z tego światła, zanim matka znów wybuchnie płaczem. Idę do swojego pokoju.

Teraz będę już nazywał ten pokój swoim. Ale kiedy zamykam drzwi, słyszę szept: – Cicho, mały. Gwałtownym ruchem odwracam się do drugiego łóżka. To Fred. Fred leży na łóżku i przykłada palec do ust. Zmienił się. Ma w twarzy coś, czego nie potrafię rozpoznać. Jakiś rys, którego wcześniej na niej nie było, może dlatego, że jest taki opalony, ciemnobrązowy, ma ciemnobrązową twarz i krótsze włosy. Mógłbym położyć się koło niego. Nie robię tego. Może to już koniec mojego kłamstwa. Myślę jedynie o tym, że moje kłamstwo się skończyło. Fred wrócił. Odsuwa palec od ust. Nie ma jednego zęba. – Kiedy wróciłeś? – pytam szeptem. – Jak byliście w kinie. Dobry był? Jego głos trochę się ślizga. Dosyć – mówię. – Dosyć? Był dobry czy niedobry? – Średni. Ale podobał mi się koniec. – A jak się kończy? – Główny bohater wyjeżdża z miasta. Fred patrzy na mnie. Wiem, że nie mogę się rozplakać. Nie płaczę. Fred wyciąga rękę i się uśmiecha. – Biłeś się, Barnum? – Nie, pieprzyłem się. Matka w salonie znów wybucha płaczem. Boletta ją pociesza. Pada deszcz. – To dobrze – szepcze Fred. Z kim? Odwracam się do drzwi. – Dlaczego cię nie było na „Niedźwiedziu Polarnym”, kiedy utknął w lodzie? Fred siada. Uśmiecha się. – Zszedłem z pokładu w Godthåb. Dość już się naoglądałem. I znów zapada cisza. – Idź do matki – mówię szeptem. Fred przeciąga ręką przez krótkie włosy, jego uśmiech znika, jak gdyby został wessany w ciemną szczelinę między zębami. – A co mam powiedzieć, Barnum? – Powiedz tylko, że przyjechałeś po sweter. Otwieram drzwi. Fred przez moment się waha, a potem idzie do nich do salonu. A ja stoję i na to patrzę. Widzę matkę, która się podnosi, i Bolettę zasłaniającą oczy rękami. Widzę, jak twarz matki się wykrzywia, robi się prawie brzydka, z radości, z wściekłości, z bezradności. Nie rzuca się Fredowi na szyję. Nie całuje go. Bije. Oto jak to widzę: matka bije go w urażonej radości i we wspaniałym przerażeniu. A Fred się nie opiera. Pozwala, żeby go biła. W końcu to Boletta musi ją przytrzymać i dopiero wtedy matka się opanowuje. Bierze Freda za rękę, a on, chociaż nie słyszę, to jestem

pewien, że mówi właśnie tak: – Przyjechałem tylko po sweter, mam.

Przesiedzieli w kuchni cały wieczór. W końcu Fred przychodzi się położyć. Matka staje między nami. Chce zachować tę chwilę. Jest wiewiórką. Chce zaoszczędzić radość, ukryć ją i rozsiać w swoim lesie, jak gdyby również ona w głębi ducha wiedziała, że Fred wkrótce znów wyjedzie. Jej głos jest prawie taki sam jak przedtem. – Dobranoc, chłopcy.

Jesteśmy dziećmi, zegar na pieniądze znów zaczął chodzić, ale w odwrotną stronę, cofa się, monety dzwonią, a każda z nich to wspomnienie, które matka może wyczyścić, kupić za nie czas. Całuje Freda w czoło. – Jutro idziesz do dentysty – oświadcza. Pochyla się nade mną i szepcze: – Ten film na pewno byłby lepszy, gdybyście i wy w nim byli.

A potem słyszymy pralkę, prędkie buczenie, nie śpimy w ciemności i słyszymy, jak matka pierze ubrania Freda. Momentami śpiewa, jest środek nocy, a matka pierze i śpiewa. – Evalet – mówi Fred wolno, litera po literze. – Pralka – mówię tak samo wolno. Śmiejemy się w ciemności. – Założę się, że twój ojciec ją ukradł – szepcze Fred. Robi się cicho.

Matka rozwiesza pranie na sznurku nad wanną. – Czego się dość naoglądałeś? – pytam. – Tego samego co pradziadek. Lodu i śniegu. – Nic więcej tam nie było? – Widziałem, jak lodowiec się cieli. – Cieli się? – Nagle pół góry lodowej wpadło do morza na naszych oczach. Żałuj, żeś nie słyszał tego huku. – Jak to? – Myślisz, że lód jest cichy? Lód hałasuje, Barnum. Cały czas. Kiedy się płynie przez lód, nikt nie śpi. – Nie widziałeś wołów pizmowych? Fred czegoś szuka. Słyszę jakieś traski. Przeklina. – Dostałeś pocztówkę? – pyta. – Tak, Peder mi ją przyniósł. Fred chichocze, śmieje się niskim urywanym śmiechem. – A dlaczego wysłałeś matkę prosto do Willy’ego, Barnum? – Nie wysłałem matki do Willy’ego. – Właśnie, że tak. Powiedziałaś, że mogę być u Willy’ego.

I ona tam poszła. Myślisz, że matka powinna się uczyć boksować, Barnum? – Bała się.

Ona też nie mogła spać. – Ale następnym razem nie pójde do Willy’ego. Wreszcie Fredowi udaje się zapalić. Płomyk oświetla ciemną szorstką skórę. Zapala papierosa i zamyka płomień w błyszczącej zapalniczce Zippo. – Wydaje mi się, że ty wcale nie listu szukasz – mówię szeptem. – A jak ci się wydaje, czego szukam, bystry Barnumie? – Swojego ojca – mówię prędko, tak prędko, jakbym wcale tego nie powiedział. Fred ssie papierosa, żar jest coraz dłuższy. Widzę tylko żar. – Z kim się pieprzyłeś? – pyta. Zamknąłem oczy. – Pamiętasz, co powiedziałeś, jak zaczynałem chodzić do szkoły tańca? Że mam zobaczyć, co inni robią, i robić wszystko na odwrót? Fred nie odpowiada. Otwieram oczy. Żar znieruchomiał w powietrzu. Czekam. – No i co? – mówi Fred w końcu. – A jeśli się robi odwrotnie, niż człowiek naprawdę chce? – To wszystko się robi do dupy, Barnum. Fred wstaje, otwiera okno i wypstrykuje peta. Niedopałek wygląda jak mały fajerwerk, który gaśnie w ciemnym deszczu. Potem Fred odwraca się i podchodzi bliżej. – Boisz się powiedzieć, z kim się pieprzyłeś? – pyta. Patrzę na niego. – Z Lauren Bacall – mówię szeptem.

Pewnego dnia czekała na mnie pod szkołą. Zmieniła się, w pewnym sensie zrobiła się starsza, a może tylko tak wyglądała przez tę wielką budrysówkę, niebieski szalik, którym owinęła szyję co najmniej osiem razy, i przez czapkę, zupełnie ściągniętą na oczy. – Cześć – powiedziała. – O rany. Staliśmy i gapiliśmy się na siebie. Dawno się już nie widzieliśmy, ostatnio przy Altanie w parku Frogner. – Fajna szkoła? Wzruszyłem ramionami. – Zwłaszcza wtedy, kiedy mnie zawieszają. Zaśmiała się cicho, zasłaniając usta ręką. Jej oddech na grubej zielonej rękawiczce zmienił się w szron. – Widziałeś ostatnio Pedera? – spytała nagle. – A ty? – Jego matce się pogorszyło. – Pogorszyło? Jak to? – Prawie już nie może ruszać rękami. Tak rozmawialiśmy. Potem znów milczeliśmy.

Poczułem jakiś smutek, ukłucie, zostawiliśmy coś za sobą, nie rozumiejąc, że tak się dzieje, że coś mija, jak odbicie w dekle koła przejeżdżającego samochodu. Nie wiem, skąd przyszedł mi do głowy ten obraz. Nie mogliśmy tak dłużej stać. Było za zimno.

Zmarzałem. Nie miałem już siły. – Pójdziemy do kina? – zaproponowałem. – Do kina?

Żadne kino nie jest teraz otwarte. – Na pewno jakieś jest – powiedziałem. Zeszliśmy do Rosenborg. Zastukałem tam do szklanych drzwi, trochę to potrwało, zapukałem jeszcze raz i wreszcie przyszedł tamten stary operator, otworzył drzwi dwoma kluczami i wpuścił nas do holu. – Aha, to ty? – powiedział. Nie mogłem zaprzeczyć. – Nie mógłby pan nam puścić jakiegoś filmu? – spytałem. Długo kręcił głową. – Chcecie oglądać film w biały dzień?

Roześmiałem się. – No właśnie! W biały dzień! Zastanowił się, zapiął bordową kurtkę uniformu i zamknął drzwi obydwojma kluczami. – Tak, tak, zobaczymy, co tu mamy.

Poszliśmy razem z nim do ciasnego pokoiku, gdzie stały projektory jak armaty przed blankami, gotowe zbombardować ekran światłem, kiedy zrobi się dostatecznie ciemno. Na stole leżało drugie śniadanie, papier był rozłożony, kanapka z żółtym serem do połowy zjedzona. Operator szukał wśród szpul, ustawionych w stos w kącie za biurkiem, jęknął nagle i wyciągnął jedną z nich. Płaskie błyszczące pudło, koło. – O Boże – jęknął.

Zapomnieliśmy odesłać to dalej. – Wobec tego ten chcemy obejrzeć – powiedziałem.

Operator się wyprostował. – To niemożliwe. – Dlaczego? – Bo to film dla dorosłych.

Vivian się roześmiała. – Barnum jest dorosły – powiedziała. – A w dodatku nikt nas nie widzi – dodałem. Operator otworzył pokrywę i wyjął szpule. – No tak. Tylko pośpieszcie się, żebyśmy skończyli przed siódmą! Zeszliśmy po schodach do sali, wydawała się o wiele większa bez ludzi, którzy kaszlą, szepczą, tupią, rozwijają czekoladki, wydmuchują nosy i zgrzytają zębami, tylko Vivian i ja, wbiegliśmy między rzędy krzeseł w uniesieniu, szukaliśmy miejsca, teraz miałem przynajmniej pewność, że nie będę siedział za kimś, kto ma dwa metry wzrostu, afro i odstające uszy. – Gdzie chcesz usiąść? – zawołałem. Ale Vivian nie mogła się zdecydować. Ja też nie. Mieliśmy do podziału sześćset biletów i nie wiedzieliśmy, które wykorzystać. Operator zawołał coś przez okienko i w końcu usiedliśmy w rzędzie 14, na miejscach 18 i 19. To oczywiste.

Położyłem jej rękę na kolanach. Vivian zdjęła rękawiczkę i ostrożnie nakryła moją rękę dłonią. Zgasło światło, nie miękko i powoli jak zachód słońca, do jakiego byliśmy przyzwyczajeni, w niebieskim powolnym zmierzchu, w którym mogliśmy się przygotować na ciemność i żywą reklamę, tylko gwałtownie, a potem usłyszeliśmy, jak ciężka kurtyna rozsuwa się na boki, i zaczął się film. Miałem wrażenie, jakby czas zarzucił mi pętlę na szyję i ją zaciągnął. To były *Dni wina i róż*. Pamiętałem ten tytuł, plakaty w deszczu, operatora, który wnosił je do środka, kroki, które liczyłem, kogoś, kto za mną szedł, i Freda, który wyłonił się zza okrągłego szaletu koło kościoła. Czy to również miara linijki Barnuma? Czas, który cię dogania? I jak długo trwa taki moment, który nie zostawia znaku nożem w futrynie drzwi, tylko odcina jakąś chwilę od twojej pamięci? Wiem jedynie, że film *Dni wina i róż* trwa godzinę i pięćdziesiąt siedem minut, nigdy też nie zapomnę tej sceny, w której Jack Lemmon chce wejść do Union Square Bar, zatrzymuje się gwałtownie na widok własnego odbicia w szybie i wydaje mu się przez sekundę, która wkrótce się rozwieje, że to jakiś obcy stoi tam w środku, włóczęga, zniszczony, żalony i zmalretowany pijak, zanim uświadamia sobie, że to on sam.

Potem poszliśmy do knajpy, do Krølle. Usiedliśmy w sali w głębi. – Cholera, ale film! – powiedziałem. Vivian odwinęła z szyi szalik. – Gówniany film – oświadczyła. Znalazłem w kieszeni papierosa. – Gówniany? Dlaczego? Twarz Vivian była blada z zimna, usta wąskie i oporne. – Nie lubię filmów, które się tak smutno kończą. Kelner zatrzymał się przy naszym stoliku. – Duże piwo – zamówiłem prędko. Nachylił się tuż nade mną. – Niezły żart – powiedział. Właśnie teraz powinienem zacytować z zupełnie innego filmu, naszego filmu: *What's wrong with you?* – Herbata – powiedziała Vivian. – Ja też – szepnąłem. Kelner wyprostował się. – A do jedzenia co? – Nic – odparłem. – Tu obowiązkowo trzeba zamówić coś do jedzenia, mały. Zaczął mnie naprawdę irytować. – Wobec tego poproszę o cytrynę do herbaty – powiedziałem. Kelner patrzył na mnie z góry. – Chyba rzeczywiście jesteś zabawny. Drugie śniadanie możesz zjeść na zewnątrz. – Szarlotka – powiedziała Vivian. – To ja też. Z bitą śmietaną. Kelner podszedł do kuchennego okienka, ale dwa razy się odwracał, chociaż droga nie była daleka. – Służalcy chuj. Zasłoniłem usta ręką. Vivian zaczynała odmarzać, z szyi biło jej ciepło i wargi zaczęły mięknąć. Nic więcej nie powiedziałem, dopóki kelner nie wrócił z zamówieniem. Najpierw musieliśmy zapłacić. Dałem mu garść monet znalezionych w szufladce pod martwym zegarem. Policzenie ich potrwało co najmniej kwadrans. Gdy wreszcie odszedł, nachyliłem się nad stołem. – Dlaczego nie lubisz filmów, które się smutno kończą? – spytałem. – Bo przypominają mi o moich rodzicach – odparła. Jadłem bitą śmietaną palcami, zastanawiając się, co powiedzieć. – Jest różnica między filmem a rzeczywistością – wyjaśniłem. Vivian zaczęła się śmiać. – Rzeczywiście mądrze to wymyśliłeś, Barnum. Zacerwieniłem się i poszedłem do toalety. Ktoś zostawił piersiówkę za sedesem. Nie była pusta. Zamknąłem drzwi i wypięłem resztę. W głowie natychmiast zapłonął mi cichy ogień. Przejrzałem się w lustrze nad umywalką, szesałem kędziory na czoło i wróciłem do Vivian. – Happy end to dopiero gównu – powiedziałem. –

Dlaczego tak uważasz, Barnum? – Dlatego że happy end, do cholery, nie istnieje. I tak wszyscy umrzemy, prawda? Vivian się uśmiechnęła. – Może najlepiej by się stało, gdyby zginęli w tym wypadku – powiedziała. – Kto? – Moi rodzice. Wypiłem herbatę. Płomienie w mojej głowie były coraz niższe. Wkrótce zostanie tylko popiół na języku. – Chyba nie mówisz tego poważnie? – szepnąłem. Teraz Vivian pochylała się nad stołem. – Oni nie myślą o niczym innym, tylko o tym wypadku, Barnum. – Może nic w tym dziwnego – powiedziałem. Vivian długo na mnie patrzyła. – To zajęci sobą egoiści, okropne dupki. A ten wypadek im na to pozwala. Oni uwielbiają ten wypadek. Kochają go.

Nie wiedziałem, co mam mówić. Nigdy nie widziałem u niej takiego gniewu, chociaż szeptała, głos jej drżał, jakby w każdej chwili mógł przerodzić się w krzyk. – Masz ochotę na jeszcze jedną herbatę? – spytałem. Vivian pokręciła głową. – Powiem ci coś, Barnum.

Matka wyrzuciła wszystkie lustra z mieszkania. Lustra z łazienki, z salonu, z przedpokoju, nawet kieszonkowe lusterka powyrzucała, nie chciała używać srebrnego półmiska, bo w nim również mogła zobaczyć swoją twarz. Ojciec zszedł na podwórze i wszystko wyrzucił. Nawet on nie mógł na nią patrzeć. A pewnego dnia ktoś zadzwonił do drzwi.

Matka otworzyła, a na zewnątrz stało kilkoro dzieci z lustrem, pięknym owalnym lustrem w ramie, które kiedyś wisiało w przedpokoju. Dzieci sądziły, że wyrzucono je przez pomyłkę, i chciały zrobić jej przysługę. Ale matka ujrzała swoją twarz w tym lustrze, stłukła je pięścią, przegoniła dzieci i wystraszyła je do szaleństwa. Vivian przesuwiała pustą filiżankę na brzeg stołu, na sam brzeg. Kelner nie spuszczał z nas oka. – Pewnie myślała, że zrobiły to złośliwie – powiedziałem. Vivian popatrzyła na mnie. – A na co ci właściwie twarz? Przecież to tylko maska, prawda? Jakie to ma znaczenie, czy jest ładna, czy brzydka? Złapałem ją za rękę, zanim filiżanka spadła na podłogę. – Gdyby zginęli w tym wypadku, nie siedzielibyśmy tutaj – szepnąłem. Vivian się uśmiechnęła. – No tak, byłbyś sam. Idziemy do Pedera?

Poszliśmy do Pedera. Nie było go w domu. Ale jego matka nie chciała nas wypuścić.

Ledwie mogła popychać wózek. Pomogłem jej przejechać do salonu. Było w nim mnóstwo tub, pędzli, ram i płótna. Zauważyłem, że kółka wózka już nie zgrzytają, zostały nasmarowane. A wśród całego tego bałaganu stał jej model, stał tam przez wszystkie te lata, tak samo nagi, lecz nie był już taki grecki, zaczął się robić tłusty i miękki, rozjeżdżał się i zacieniał samego siebie. Vivian gapiała się na niego. Ja się gapiałem na Vivian. Matka gwizdała. Model zabrał biały ręcznik i zniknął. – Dawno niewidziani goście – powiedziała matka Pedera. Trochę się zawstydziliśmy. Uświadomiłem sobie, że większość rzeczy wydarzyła się już dawno, a my pozwoliliśmy, żeby czas po prostu płynął, każdemu u siebie, w tym małym mieście. – Jak się pani miewa? – spytałem. – Gdyby udało mi skończyć swoje obrazy, zanim ręce całkiem mi uschną, byłabym zadowolona. Roześmiała się. Ale nie mówmy o mnie! Co u was słyhać? – Próbuję trochę pisać – powiedziałem. – O czym piszesz, Barnum? – O rzeczach, które widziałem. Matka Pedera bezszelestnie podsunęła się bliżej. – A widziałeś coś, czego nikt inny nie widział? – Tak – odparłem.

Popatrzyła mi prosto w oczy. – Tylko nie mów co, bo inaczej nie będziesz mógł o tym pisać. Obróciła się do Vivian. – No a ty? – Dostałam się do szkoły w Szwajcarii, jadę w przyszłym roku – odparła. Poczulem, jak spada we mnie wielka winda. Pięter było mało, ale nie zatrzymała się na żadnym z nich. – Co to za szkoła? – spytała matka Pedera.

Vivian spuściła wzrok. – Dla charakteryzatorów – odparła. W tej samej chwili rozległ się dzwonek. Wybiegłem otworzyć, cieszyłem się, że mogę wyjść. Czy dlatego czekała na mnie pod szkołą, żeby mi powiedzieć, że wyjeżdża do szkoły w Szwajcarii i będzie charakteryzatorką? Dzwonek zabrzączał jeszcze raz. To był Peder, który zawsze zapominał klucza. Peder pamiętał prawie o wszystkim, ale nigdy o kluczu. Stał w świetle na schodach, z torbą pod pachą, w nausznikach, robił daszek nad oczami i je mrużył. – Czy zastałem Pedera? – spytał Peder. – Peder jeszcze nie wrócił do domu – odparłem. – A kiedy wraca? – Może nigdy – powiedziałem. – Proszę przekazać, że Barnum był tutaj – powiedział Peder. – No to do widzenia, Barnum – odparłem i chciałem zamknąć drzwi. – Do widzenia, Barnum – powiedział Peder, rzucił się na mnie i wpadliśmy do przedpokoju, turlając się i mocno obejmując w lawinie butów, śniegowców i kapci, śmialiśmy się tym samym śmiechem co kiedyś, lecz on nagle odepchnął mnie i wstał. To przez Vivian. Stała oparta o ścianę, ze skrzyżowanymi rękami i przyglądała nam się uśmiechnięta. Ja też się podniosłem. – Pełen dom – powiedział Peder. A kiedy siedzieliśmy u niego w pokoju, zobaczyłem, że my, którzy zawsze mieliśmy trzymać się razem, straciliśmy równowagę.

Peder mniej więcej przez trzy kwadranse rozprawiał o manku w szkolnej spółdzielni i dokładnie nam wyjaśniał, w jaki sposób zdobędzie nowy kapitał, a mianowicie bardzo prosto: zażąda zapłaty za reklamę piekarni na Ullevålsveien, bo jeśli nie, to zatroszczy się o to, aby uczniowie znaleźli inne miejsce do kupowania drożdżówek. Potem na dłuższą chwilę zapadła cisza. Słyszeliśmy, jak ojciec Pedera wjeżdża do garażu. Przewrócił się stos polan, a może to był tylko grzmot, grzmot w listopadzie. Vivian odwróciła się do mnie. – A co ty takiego widziałeś? – spytała. – Nic – odparłem, cicho. Peder popatrzył na nas, uśmiechnął się, ale jego uśmiech prędko zgasł, znów zapadła cisza. Liczby i sny się nie sprawdziły. My też mieliśmy manko. I to Peder przywołał jego, jakbyśmy potrzebowali do rozmowy tematu innego niż my sami. – A ten twój szalony brat znalazł spokój, czy nie? – spytał.

Właśnie nad tym zastanawiałem się, wracając do domu tego wieczoru, czy Fred znalazł spokój. Chciałem, żeby został. I chciałem, żeby znów zwiął. Moje myśli również były podzielone na pół. Fred leżał na łóżku w ubraniu, odwrócony plecami. Rozebrałem się prędko, po cichu, a kiedy stanąłem nagi w wąskim świetle z okna, Fred się odwrócił i zobaczyłem, że płakał.

Milczał przez dwadzieścia dwa miesiące, dopiero Cliff Richard sprawił, że przemówił.

Popłynął na Grenlandię statkiem wielorybniczym „Niedźwiedź Polarny”, zszedł z pokładu w Godthåb, obierał ziemniaki w powrotnej drodze do Bremy i stracił ząb podczas sztormu koło Kapp Farvel. Ale nie znalazł spokoju. Wkrótce miał wyruszyć w swoją trzecią podróż. Ostatnią i najdłuższą. Miała potrwać dwadzieścia osiem lat. Był poniedziałek, początek grudnia. Stałem przy kuchennym oknie i patrzyłem, jak z nieba lecą ciężkie płatki śniegu, a dozorca Bang próbuje je odgarniać, ale mu się to nie udaje, w końcu zrezygnował, usiadł na schodach, pozwalając, żeby śnieg padał, żeby go zasypywał.

Gdyby posiedział tak dostatecznie długo, zniknąłby. Nie szedłem do szkoły. Znów zostałem zawieszony. To był całkiem niezły układ. Najpierw wagarowałem. Potem mnie zawieszano. To było prawie jak nagroda. Ale nie udało mi się zobaczyć więcej filmów u operatora w kinie Rosenborg, bo albo umarł, albo przeszedł na emeryturę. Tej zimy zacząłem chodzić z Vivian. Usłyszałem, że Fred staje tuż za mną. – Spadam – powiedział. – Dokąd? – O tym właśnie chcę się przekonać – odparł. Może sądziłem, że wróci za parę dni, albo przynajmniej przed świętami, że musi się tylko trochę powłóczyć.

W bezsenne noce wiele lat później, kiedy odprawiliśmy nabożeństwo w jego intencji, myślałem czasami, że on po prostu poszedł do Cochs Hospits, zajął pokój 502, dawny pokój ojca, stoi tam teraz i śmieje się z nas. – Przekażesz mamie? – szepnął. – Jasne. A co mam przekazać? – Że wyjechałem. Odwróciłem się. – Wyjeżdżasz? Dokąd? Fred pokręcił głową, miał na sobie welwetową kurtkę, a przy drzwiach stała czarna walizka, stara walizka ojca, bez okłasków. – Mogę ją pożyczyć? – spytał Fred. – Jasne, w porządku – odparłem. Podniósł rękę i delikatnie dotknął mojego policzka. Powinienem być zrozumieć, że nie ma zamiaru wracać.

A kiedy Freda nie było od ponad miesiąca, Boże Narodzenie minęło, matka pojechała taksówką na drugą stronę miasta, do Willy'ego, spawacza, który miał nauczyć Freda klinczu, ale on nie wiedział, gdzie go szukać, i nie miał od niego żadnych wiadomości.

Z matką nie można się było dogadać jeszcze przez wiele tygodni. Później, gdy upłynęło już pół roku, a my wciąż czekaliśmy na Freda, matka i Boletta poszły na policję i zgłosiły jego zaginięcie. Ja chodziłem do kina, z Vivian, Pederem, a najchętniej sam. W końcu, kiedy matka nie mogła tego dłużej znieść, w sprawę zostało włączone biuro poszukiwawcze Armii Zbawienia.

A ostatnie słowa Freda tuż przed wyjazdem brzmiały tak: – Mam nadzieję, że w tym czasie, kiedy mnie nie będzie, uda ci się coś napisać, Barnum.

Obracam się wolno i cofam się o dwadzieścia osiem lat. Siedzę przy biurku między oknem a ścianą. W pokoju jest ciemno. Zasłony zaciągnięte. Tylko ekran świeci, niebieski szum na twarzy. Na samej górze w rogu widać nazwę pliku: *Człowiek nocy*. Wciskam „home”. Tekst przeskakuje, jak gdyby za ekranem nic nie było, jak gdyby pismo było jedynie oszustwem, powierzchnią, i jeszcze raz, w tej sekundzie, kiedy słowa wślizgują się w niebieską pustkę, ogarnia mnie strach, że coś stracę, zniszczę. Czasami zdarza mi się wyciągnąć starego dyplomata, ale nie potrafię już na nim pisać. Wreszcie ukazuje się początek, za każdym razem, gdy się to dzieje, odczuwam taką samą ulgę, drukuję dwie pierwsze strony. Słyszę, jak drukarka ciągnie, atrament ma wypełnić elektroniczne ślady, drukarka to usta, które mówią bardzo powoli. Nie spałem. Przestałem spać. Łykam mikrodin. Kartka spada na podłogę. Nie mam siły jej podnieść. Siadam na podnóżku i czytam.

SCENA 1. PLENER. MIASTO. WCZEŚNIE RANO.

(sen)

CHŁOPIEC, chudy i blady ośmiolatek, biegnie ulicami. Innych ludzi nie ma. Tylko on.

Biegnie ile sił. Twarz napięta, pełna wyczekiwania. Nadciąga mgła i w następnej chwili skrywa chłopca. Chłopiec biegnie dalej. Mgła gęstnieje. Chłopiec okrąża róg i wybiega na...

SCENA 2. PLENER. PORT. WCZEŚNIE RANO.

(sen)

Port. Chłopiec się zatrzymuje. Zdyszany. Uśmiechnięty. Punkt widzenia chłopca: opuszczone keje. Nie ma statków. Liny zwisają z pacholków, zanurzone w mrocznej stojącej wodzie. Znad fiordu nadciąga mgła. Zbliżenie na twarz chłopca, jego oczy. Rozczarowanie, jest bliski płaczu. Robi kilka kroków. Znow się zatrzymuje. Rozgląda się. Prędko wyciera łzę wierzchem dłoni. Nagle słyszy DZWON OKRĘTOWY, z daleka. Chłopiec nasłuchuje. Słyszy fale przelamujące się gdzieś we mgle. Biegnie aż do krawędzi kei. We mgle widać cień żagli.

Chłopiec coś woła, my tego nie słyszymy. Z mgły wyłania się żaglowiec, w lodowej skórce. Statek nazywa się „ANTARCTIC”. Na dziobie stoi MĘŻCZYŻNA w białym mundurze i rozgląda się. Chłopiec znow woła. Teraz go słychać.

CHŁOPIEC: Tato!

Mężczyzna na statku na moment zwraca się ku kei. Podnosi rękę, uśmiecha się, wolno kręcąc głową. Chłopiec stoi z rękami wyciągniętymi w powietrze, jedną opuszcza. Woła ostatni raz. Niemo. I patrzy, jak statek znow znika we mgle.

Zbliżenie na twarz chłopca. Zamyka oczy. Punkt widzenia chłopca: powieki od środka, cienka, prawie przezroczysta skóra, naczynia krwionośne, zbliża się jakieś ostre światło.

Podnoszę kartkę, skreślam „sen” w obu scenach i to samo robię na ekranie. Czyż film i tak nie jest jednym długim snem? Czy sen można odróżnić od snu, jak wodę od fali, jak wiatr od sztormu? Tę myśl też skreślam. Chyba nie znajdzie się producent, któremu chciałoby się czytać scenariusz zaczynający się od snu, a ten, któremu by się chciało, i tak prawdopodobnie nie miałby pieniędzy na zrobienie filmu, a gdyby w ogóle miał pieniądze, to i tak za mało na kupienie opcji, zresztą chciałby tego uniknąć, ale starczy mu na fundowanie drinków w barze, a po pięciu drinkach, za które płacisz sam, proponuje ci, żebyś raczej napisał co innego, prędko jak cholera, zanim ktoś ukradnie pomysł, jaki pomysł, pytasz zmęczony, zmęczony, ale zadowolony, a on nachyla ci się do ucha i nakreśla gównianą historię, cieńszą niż działki, które sieka się w damskiej toalecie, a ty kiwasz głową, w czasie gdy on całuje cię w ucho z języczkiem i wypełnia ci mózg śliną i oddechem. Dzwoni telefon. Nie odbieram go. Zostawiam komputer włączony, jest jak w dzieciństwie, boję się zgasić światło, i wychodzę. Jest zima, początek lutego. Dookoła jest biało. Ja też jestem biały, dziewiczy, bez kropli alkoholu. Jestem biały już od dawna i skreślam w kalendarzu każdą białą dobę, tak jak więzień, który liczy dni do wolności albo do kary śmierci. Jestem białym kłamstwem. Nie chodzę od knajpy do knajpy, tylko robię rundę po antykwariatach, zaczynam od tych najlepszych, w centrum, gdzie zgromadzono pierwsze wydania i gdzie oprawione w skórę dzieła zebrane stoją w zamkniętych na klucz szafkach za szkłem, gdzie trzeba odłożyć torbę na ladę i gdzie nie wolno palić, *libri rare*, a kończę w brunatnych sklepikach kieszonkowego formatu, które nie przyjmują kart kredytowych, to się staje właśnie w jednym z nich, w ostatnim, w antykwariacie Volvat, w barakach wzdłuż Sørkedalsveien, gdzie właściciel, zmęczony i zniecierpliwiony moim co najmniej godzinnym chodzeniem wzdłuż półek, pyta: – Chce pan znaleźć coś specjalnego przed zamknięciem? – Dobre pomysły, takie, żeby nikt nie zorientował się, że je ukradłem – odpowiadam. – Ukradłem? Tutaj nikt nie kradnie.

Muszę pana teraz prosić, żeby pan wyszedł. – Dobrze płacę za wszystko, co ukradnę. I właśnie wtedy zauważam go w regale z białymi krukami. Scenariusz, dwieście poślizniętych napisanych na maszynie stron w teczce, na której naklejona jest etykiетка przypominająca te, które umieszczają się na starych słojach z konfiturami. Małymi czerwonymi literkami napisano na niej: *Scenopsis, sier*. I właśnie w tej chwili, dwadzieścia osiem lat później, w tym momencie obrazy się mieszają, łączą w formułę, która jest dla mnie jasna i niepojęta: nożyczki plus piżmo równa się głód. Ze wszystkiego, co zostało wycięte z mojego życia, unosi się ostry, podniecający zapach. Linijka Barnuma płonie. To scenariusz, który kiedyś ocalałem przed rozwianiem się po ulicach Oslo. Daję właścicielowi całą gotówkę, jaką mam przy sobie, i czym prędzej wracam do domu, do miejsca, które nazywam domem, do jednego pokoju z balkonem na Bolteløkka, gdzie mieszkałem z Vivian w pierwszych latach. Wbiegam po schodach, otwieram i wpadam do środka. Najpierw muszę się przebrać. Wychodzę na balkon, widzę czerwone słońce gasnące nad fiordem i mroźną mgłę sunącą wzdłuż miasta niczym pływająca góra. Potem siadam przy biurku. Otwieram scenariusz. *Knut Hamsun, GŁÓD. Scenopsis Henninga Carlse na podstawie scenariusza Petera Seeberga*. Na pierwszej stronie wymienione są wszystkie role, od Pontusa po strażaka, a pod strażakiem statysty, w dwóch kolumnach, rowerzysta, kominiarz, tusty mężczyzna, ulicznica, sześciu sobowtórów, jest więcej niż pięćdziesięciu statystów. Dziwi mnie, że ledwie ich pamiętam, to znikające twarze. Vivian mogłaby być *małą dziewczynką (z repliką)*, Peder i ja moglibyśmy być *dziećmi w Vaterland*, nie, dwoje z nas mogło być *zakochaną parą*. Zapalam papierosa. Jest dwa razy więcej scen w plenerze niż wewnątrz. *Ulica Ylajali*. To właśnie tam staliśmy. Na tym polega cała sztuka, na znalezieniu odpowiedniego miejsca. Od drzwi balkonowych ciągnie. Zamykam je. Przez moment widzę karawan, jadący za cienkimi drzewami, i myślę: musi być pusty, czas pracy już minął, cmentarze

są zamknięte. Stoję przez chwilę, kręci mi się w głowie i muszę oprzeć się o stół. Oto credo autora scenariuszy: nerw łączący oko z mózgiem jest dwadzieścia trzy razy grubszy niż ten, który łączy z mózgiem ucho. Pisz w obrazach, a nie w dźwiękach. Siadam na wysokim krześle, zaczynam czytać i teraz to rozumiem. To kamera jest główną postacią. Czytam po prostu historię miłosegno trójkąta, Pontusa, miasta i kamery. Ale kamera jest główną bohaterką, natrętną, groźną. Kamera powinna stać na samej górze obsady. Wołam nagle: – Oko Boga! Oko Boga, do cholery!

Zasłaniam usta. Jestem nędznym samotnikiem, który ma zbyt wielkie myśli. Kiedy oko Boga się zamyka, przestajemy istnieć. Wyłączyłem telefon. Bawię się. Poprawiam i dodaję. Wpisuję nas. Biegniemy przez Park Zamkowy, z kamerą za plecami. Sprawiam, że znów stajemy się widzialni. Znajduję kartkę, którą zaniósłem z powrotem reżyserowi, prostą scenę, która sprawiła, że postanowiłem pisać scenariusze filmowe. Potrzeba było do tego tylko nagłego powiewu wiatru z ulicy. *PONTUS widzi niedużego psa, który biegnie do domu ryszotkiem z kością w pysku.* Słyszę listonosza na klatce. Jest już rano.

A więc i dzisiejszej nocy nie spałem. Na balkonie leżą grube kołdry śniegu. Skreślałam w kalendarzu jeszcze jedną białą dobę, schodzę na dół po pocztę. Dostaję dwa listy.

Zabieram je na górę. Grubsza koperta jest od Pedera. To bilety do Berlina, Oslo Fornebu – Tempelhof. Mam polecieć dziś wieczorem. Peder pojechał pierwszy, żeby przygotować wszystkie umowy. Dołączona jest też rezerwacja w hotelu Kempinski. Trzy doby w hotelu Kempinski. To kosztuje fortunę. Mniej więcej tyle, co cztery opcje i zaliczka na dokończenie scenariusza. Peder twierdzi, że warto. Kempinski to połowa kontraktu. Jak masz apartament w Kempinskim i kartę do baru, to pozostaje tylko small talk. Peder wciąż jest optymistą, wydaje mu się, że zdoła schudnąć, i ufa mi. Otwieram drugą kopertę.

W środku jest guzik, to wszystko. Poznaje go. To ten sam guzik, który leżał schowany w szkatułce z biżuterią Starej. Przechodzi mnie dreszcz. Biorę guzik do ręki. Prawie nic nie waży. W środku jest też karteczka. Litery biegną przez środek, tylko dwa słowa. *Guzik ojca*. Znów patrzę na kopertę. Jest czysta. Nie ma na niej ani mojego nazwiska, ani adresu.

Sam musiał ją wrzucić. Nie, to niemożliwe. To nieprawda. Podchodzę do okna. Na balkonie leżą grube kołdry śniegu. Z poręczy wlatuje czerwony ptaszek. Prędko znów zaciągam zasłony. Linijka Barnuma płonie. Wiem to. To nie pomaga. Dziewięćdziesiąt procent naszej wiedzy zyskujemy dzięki oku, za pięć procent odpowiada słuch, a reszta to ból i zapach. Zgniatam kartkę i wkładam ją do ust, żuję, żuję i przełykam. Guzik wrzucam do klozetu i spuszczam wodę. A jednym naciśnięciem palca, lżejszym niż dotknięcie skrzydeł motyla, mogę zmazać wszystko, wyciąć siebie, opróżnić ekran, tak by została tylko biała gładka cisza. Idę jednak do małej kuchenki, wspinam się na stół, otwieram wywietrznik, wsuwam rękę do środka i znajduję to, czego szukam, to, co sam tam schowałem, lecz czego nie da się schować przed białym kłamcą, butelkę wódki. Sok stoi w lodówce.

TUCZENIE

Scenariusz autorstwa Barnuma Nilsena

1. WNEŹTRZE. WIECZÓR. KINO.

Chłopiec, BARNUM, siedzi w sali kinowej. Ma dwanaście lat i jest bardzo niskiego wzrostu. Nic nie widzi. Jakaś pani z wielką fryzurą zasłania mu widok. Chłopiec przesiada się na inne miejsce, siedzi teraz za mężczyzną w kapeluszu. Wszyscy są wyżsi od niego. Wyciąga szyję, przechyla się na boki. Ledwie widzi ekran.

Pojawiają się reklamy. Coca-Cola. Ajax. Czekolada mleczna. W końcu Barnum staje na siedzeniu, żeby coś zobaczyć. Publiczność śmieje się z niego. Rozzłoszczony BILETER przedziera się przez rzędy i wyciąga go z sali. Publiczność śmieje się i klaszcze.

Robi się ciemno.

Cisza, przerywana tylko szelestem papierków od czekolady. Widzimy początkowe napisy na ekranie: TUCZENIE.

Zaczyna się film.

Ukazuje się chłopiec, PHILIP, dwunastoletni, również bardzo niskiego wzrostu. Staje przy framudze w swoim pokoju i mierzy swój wzrost. Jest w samych majtkach.

I w butach na wysokich obcasach. Wyciąga się, żeby być jeszcze wyższy. Widzimy szereg znaków na framudze, z datami obok.

Ktoś woła z sali:

MĘŻCZYŻNA: Zdejmij buty, ty karle!

Na sali ktoś się śmieje. Inni go uciszają.

Philip odwraca się prędko, pospiesznie zdejmuje buty, ale nie zdąża przed nadejściem OJCA. To nieduży, ale bardzo gruby człowiek, prawie kwadratowy. Nachyla się i podnosi but na obcasie. Potem uderza syna.

2. WNĘTRZE. DZIEŃ. GABINET LEKARZA SZKOLNEGO.

Philip stoi w majtkach, LEKARZ SZKOLNY, surowy wysoki mężczyzna w białym fartuchu, mierzy go. Bacznie przygląda się miarce. Potem patrzy w dół na stopy Philipa, który nie zdjął pończoch.

LEKARZ SZKOLNY: Zdejmij też pończochy.

Philip niechętnie zdejmuje pończochy i podaje je PIEŁĘGNIARCE.

Lekarz szkolny opuszcza miarkę na jego głowę i jeszcze raz uważnie się jej przygląda.

LEKARZ SZKOLNY: Zrobiłeś coś złego, Philip?

Philip kręci głową.

LEKARZ SZKOLNY: Na pewno zrobiłeś. Bo inaczej nie byłbyś taki mały.

3. WNEŹTRZE. WIECZÓR. W DOMU.

Philip je obiad razem z rodzicami. MATKA jest nerwowa i cicha. Ojciec zjada ogromnie dużo. Philip przygląda mu się i nie je. Na nalanej twarzy ojca błyszczą tłuszcz i spływa po podbródkach. Ojciec patrzy na syna i mówi z pełnymi ustami.

OJCIEC: Robisz się coraz bardziej do mnie podobny, Philipie.

Philip nie odpowiada. Tylko patrzy na ojca, który nie przestaje żreć.

MATKA: Ty też musisz jeść, Philipie.

Matka mu nakłada. Philip nie tyka jedzenia. Tylko z przerażeniem patrzy na ojca.

GŁOS PHILIPA: Nie chcę być podobny do ojca.

Ojciec nagle patrzy na niego.

OJCIEC: Co powiedziałaś?

PHILIP: Nic.

OJCIEC: Nic? Wyraźnie słyszałem, że coś powiedziałaś.

PHILIP: Już dziękuję.

MATKA: Najpierw musisz zjeść.

Ojciec wstaje. Wydaje się teraz jeszcze mniejszy, a przez to grubszy. Siedział na wielkiej poduszce, którą zabiera ze sobą na otomanę, stojącą w rogu. Nagle przystaje i głośno pierdzi. Matka zawstydzona spuszcza wzrok.

MATKA: Ależ, tatusiu.

GŁOS PHILIPA: Właśnie wtedy postanowiłem przestać jeść. Bo może gdybym nic nie jadł, zacząłbym rosnąć wzwwyż, a nie wszerek.

Ojciec kładzie się na otomanie w salonie, z twarzą nakrytą gazetą, nekrologami.

GŁOS PHILIPA: W każdym razie nie miałem nic do stracenia.

4. WNĘTRZE. PRZEDPOŁUDNIE. STOŁÓWKA SZKOLNA.

Philip siedzi przy długim stole razem z innymi uczniami.

Błaznane kubki z mlekiem, marchewki, chrupki chleb z pasztetem. Philip udaje, że je, ale nie przełyka jedzenia.

5. WNĘTRZE. PRZEDPOŁUDNIE. SZKOŁA. UBIKACJA.

Philip stoi pochylony nad klozetem i wymiotuje. Ktoś STUKA mocno do drzwi, kilka razy. Philip prostuje się, otwiera drzwi. Stoją za nimi najwięksi chłopcy w szkole i czekają na niego. Ciągną go do rynny pisuarowej, której odpływ jest zatkany papierem toaletowym, z rynny się przelewa.

CHŁOPIEC: Myślicie, że on umie pływać?

Wszyscy chłopcy się śmieją. Łapią Philipa za kark i wciskają mu głowę w mocz.

W końcu Philip przenika przez papier i zostaje wciągnięty do odpływu.

6. WNĘTRZE. KANAŁ ŚCIEKOWY.

Philip płynie w ciemnym kanale pod ziemią. Próbuje utrzymać się na powierzchni wśród ekskrementów, papieru, śmieci i szczurów.

7. PLENER. POPOŁUDNIE. ULICA.

Pokrywa studzienki na pustej ulicy unosi się i odsuwa na bok. Z kanału wynurza się Philip, mokry, brudny i wycieńczony. Ledwie udaje mu się stanąć na nogi, zataczając się, idzie pod ścianą domu.

8. WNĘTRZE. WIECZÓR. ŁAZIENKA.

Philip leży nagi w wannie, pod wodą. Stukanie do drzwi. Philip nie słyszy.

MATKA: Philip? Wyjdiesz niedługo? Co ty tam robisz, Philipie? Chyba nie robisz nic złego?

Philip wychodzi z wody, przemyka się po podłodze i nachyla się do dziurki od klucza.

Przykłada do niej usta i z całej siły dmucha. Zza drzwi dobiega ostry krzyk.

9. WNEŹTRZE. WIECZÓR. SALON Rodzina siedzi przy stole, przy obiedzie. Matka ma jedno oko czerwone, zainfekowane, coś z niego cieknie, jakby płakała jednym okiem. Ojciec siedzi na poduszce i pochłania jedzenie. Philip chowa jedzenie do kieszeni.

Ojciec zawsze mówi z pełnymi ustami.

OJCIEC: Jak ci idzie w szkole, Philipie?

GŁOS PHILIPA: To wina ojca, że jestem taki mały. Chciałbym, żeby umarł.

Ojciec patrzy na syna i wyciera się serwetką.

OJCIEC: Co powiedziałeś?

PHILIP: Nic.

Ojciec wsuwa do ust wielki kawał mięsa. Nagle robi się czerwony na twarzy. Nie może złapać tchu. Wstaje. Matka i Philip tylko na niego patrzą, zdumieni. Ojciec osuwa się na podłogę.

Z oddali słycać kościelne dzwony.

10. WNEŹTRZE. PRZEDPOŁUDNIE. KAPLICA.

Dzwony kościelne dalej dzwonią. Philip z matką siedzą w pierwszej ławce. W kaplicy są tylko oni.

Trumna, bardzo krótka i szeroka, zapada się pod podłogę.

PASTOR podchodzi i podaje matce rękę.

Philip podchodzi do otworu w podłodze. Ukradkiem opróżnia kieszenie: kawałki mięsa, kiełbaski, ciastka, ziemniaki. Rzuca to wszystko na trumnę. Pochyla się nad otworem i widzi płomień krematorium. Zostaje wciągnięty w ogień, tak samo jak w odpływ pisuaru.

11. WNEŹTRZE. KREMATORIUM.

Philip przedziera się przez płomienie. Przed nim pojawia się jakaś postać, nietknięta ogniem. Philip się zatrzymuje. To jego ojciec.

OJCIEC: Masz, czego chciałeś, synu?

Płomienie pochłaniają Philipa.

12. WNĘTRZE. WIECZÓR. POKÓJ CHŁOPIĘCY.

Philip stoi przy futrynie i mierzy swój wzrost. Matka płacze w sąsiednim pokoju. Philip sprawdza znak. Urósł o centymetr. Śmieje się z radości.

Zapłakana matka przychodzi do niego, w tym samym ubraniu, w którym była na pogrzebie.

MATKA: Jak śmiesz! Jak możesz się śmiać w taki dzień!

13. WNĘTRZE. PRZEDPOŁUDNIE. KLASA.

Nauczycielka, panna KOSTUCHA, stoi przy tablicy i patrzy na klasę. Zatrzymuje wzrok na Philipie, który siedzi w pierwszej ławce. Zrobił się bardzo chudy i blady, wygląda jak mały kościotrup.

KOSTUCHA: Jak brzmi czwarte przykazanie, Philipie? Możesz mi na to odpowiedzieć?

Philip wstaje, ale zaraz osuwa się na podłogę, mdleje.

14. WNĘTRZE. PRZEDPOŁUDNIE. U LEKARZA SZKOLNEGO.

Philip leży na kozetce. Lekarz go osłuchuje. Kostucha i pielęgniarka stoją obok.

KOSTUCHA: Jego ojciec właśnie zmarł. To pewnie za dużo dla małego Philipa.

LEKARZ: Chłopiec jest niedożywiony. To mu dolega.

Lekarz cuci Philipa.

LEKARZ: Nie dostajesz w domu dość jedzenia, Philipie?

Philip patrzy na lekarza.

PHILIP: Dostaję.

LEKARZ: Kłamiesz, Philipie.

Lekarz daje znak pielęgniarce, która podchodzi do telefonu.

15. PLENER. DZIEŃ. ULICE.

Matka idzie szybko ulicą. Musi się jednak zatrzymać. Przed nią na chodniku mężczyźni w białych zakrwawionych fartuchach przenoszą tusze wieprzowe z ciężarówki do sklepu rzeźnika. W końcu matka musi torować sobie drogę wśród nich.

16. WNĘTRZE. POPOŁUDNIE. KORYTARZ.

Philip stoi sam na korytarzu pod drzwiami do gabinetu lekarza szkolnego. Pochyla się i zagląda przez dziurkę od klucza. Philip widzi: w środku siedzi matka i słucha lekarza. Wczepia się w torebkę, którą trzyma na kolanach.

Nagle Philip widzi, że gabinet wypełnia się wodą. Przypomina akwarium. Matka i lekarz unoszą się z krzeseł i pływają w zielonej wodzie, a z ust wydobywają im się banieczki.

Robi się zupełnie ciemno.

Zaraz po tym Philip widzi twarz pielęgniarki, która przykłada wargi do dziurki od klucza, jakby go całowała.

Drzwi się otwierają i Philip wpada do środka.

LEKARZ: Chłopcu należy natychmiast zaaplikować kurację Weira Mitchella!

17. PLENER. RANO. DWORZEC WSCHODNI.

Philip stoi na peronie. W rękę ma ciężką walizkę. Matka zasuwa mu suwak kurtki aż po szyję.

GŁOS LEKARZA SZKOLNEGO: Czyli tuczenie, kurację tę stosuje się w przypadku osób niedożywionych, nerwowych, anemików i rekonwalescentów, żeby szybko postawić ich na nogi.

Matka obejmuje Philipa. Szlocha. Słychać sygnał pociągu, ostry, bardzo blisko. Matka puszcza Philipa, który wsiada do pociągu.

Matka zostaje na peronie. Pociąg wyjeżdża ze stacji. Matka podnosi rękę i macha.

GŁOS LEKARZA SZKOLNEGO: Kuracja polega na stosowaniu przez dwanaście dni odpowiedniej diety według przepisu profesora Burkarta.

18. PLENER. STACJA KOLEJOWA. „DAL”.

Philip wypada z pociągu na peron, razem z walizką. Zaraz podnosi go jakiś mężczyzna, WIEŚNIAK, ubrany w strój ludowy.

WIEŚNIAK: Oto chłopiec z miasta, który potrzebuje jedzenia!

Wieśniak bierze walizkę Philipa i prowadzi go do ciężarówki, rzuca walizkę na platformę, a Philipa wsadza do szoferki.

19. WNĘTRZE. DZIEŃ. CIĘŻARÓWKA.

Philip siedzi obok wieśniaka, który prowadzi, pogwizdując z zadowoleniem, i uśmiechnięty patrzy na Philipa. Ciężarówka podskakuje i trzęsie się na nierównej drodze. Philip mocno trzyma się drzwiczek, nie widzi prawie nic ponad deską rozdzielczą.

Wieśniak gwałtownie hamuje. Tuż przed nimi przez drogę przechodzi gromada różnych zwierząt, owce, krowy, woły, świnię i kury. Wieśniak poklepuje Philipa po ramieniu i pokazuje.

WIEŚNIAK: Będziesz musiał je zjeść, Philipie. Wszystkie. Wieśniak dodaje gazu i przejeżdżają przez stado.

20. PLENER. DZIEŃ. CIĘŻARÓWKA.

Widzimy z lotu ptaka ciężarówkę jadącą wąską drogą między dwoma polami, na których rośnie żółte zboże, w słońcu, falujące na wietrze. Na podwórzach powiewają na masztach norweskie flagi. Piękni, zdrowi ludzie machają do nich.

Na platformie leży walizka.

Chór chłopięcy śpiewa *ZIELENIĄ SIĘ GAJE*.

Wkrótce jesteśmy tak wysoko, że prawie nie widzimy już ciężarówki wśród krajobrazu.

Znikamy w chmurach, wszystko zmienia się w falującą mgłę, jest zupełnie cicho.

Jakaś ręka rozdziela mgłę. Oslepia nas wielkie światło.

GŁOS LEKARZA SZKOLNEGO: Kochaj pożywienie swoje jak siebie samego.

21. PLENER. DZIEŃ. GOSPODARSTWO.

Ciężarówka wjeżdża na podwórze, gdzie czeka GOSPODYNI, postawna kobieta, również w stroju ludowym. Philip wysiada z szoferki. Wieśniak zabiera z platformy jego walizkę i wnosi do domu. Philip podchodzi do gospodyni, wita się. Gospodyni szarpie go za rękę.

GOSPODYNI: Witaj w naszym gospodarstwie, Philipie. Teraz cię utuczymy.

Wprowadza Philipa do środka. W oknie na piętrze stoją dwaj GRUBI CHŁOPCY i patrzą na niego z góry.

GŁOS LEKARZA SZKOLNEGO: Dzień pierwszy. Godzina szósta trzydzieści, pół litra mleka, które należy pić powoli przez trzy kwadranse.

22. WNEȚRZE. PORANEK. GOSPODARSTWO.

Przy długim stole w sali siedzą CHŁOPCY i piją mleko, gorące i grudkowate. Niektórzy są równie chudzi jak Philip, inni już trochę utyli. Zajmują miejsca według pewnej hierarchii, najchudsi na samym końcu stołu, najgrubszy u szczytu. Philip siedzi na samym dole. Cała uwaga wszystkich skierowana jest na niego, na nowego chłopca.

Gospodyni wolno obchodzi stół i sprawdza.

Nikt nic nie mówi. Słyszymy tylko odgłosy sztućców. Philip patrzy na wypełniony po brzegi toporny talerz, który ma przed sobą. Podnosi łyżkę, ale nie jest w stanie przełknąć jedzenia. Rośnie mu w ustach.

GŁOS LEKARZA SZKOLNEGO: O dwunastej zupa z jajkiem, pięćdziesiąt gramów mięsa z przetartymi ziemniakami. Dwa sucharki i kompot ze śliwek.

Dwaj chłopcy, których widzieliśmy w oknie, PREBEN i ASLAK, siedzą u szczytu stołu i są już naprawdę grubi, zaczynają uderzać w stół, z początku delikatnie, potem coraz mocniej. W końcu wszyscy walą w stół. Philip się poci. Z oczu płyną mu łzy. Mało nie pęknie. Walenie zmienia się w piekielny hałas. Philip pochyla się nad talerzem i wszystko zwraca.

Znów zapada całkowita cisza.

Gospodyni staje za Philipem. Kładzie mu ręce na ramionach.

GOSPODYNI: Musisz wszystko zjeść, Philipie. Inaczej Pan Bóg się na ciebie pogniewa.

Philip wkłada łyżkę w wymiociny, a gospodyni głaszcze go po głowie.

23. WNEŹRZE. NOC. GOSPODARSTWO. SYPIALNIA.

W ciasnej sypialni leżą chłopcy. Wieśniak przechodzi przez salę i sprawdza, czy wszystko jest jak należy.

Chłopcy udają, że śpią. Wieśniak gasi światło, wychodzi i zamyka drzwi na klucz.

Za oknem świeci księżyc i odbija się w jeziorze.

Philip ma otwarte, wystraszone oczy. Słyszy, że ktoś do niego podchodzi. Zamyka oczy.

Preben i Aslak stoją po obu stronach łóżka. Są w samych majtkach. Bładzi i tłuści.

PREBEN (szepcze): Philip?

ASLAK (szepcze): Philip? Chodź. Chodź tutaj.

Philip znów otwiera oczy, jeszcze bardziej wystraszony. Wyciągają go z łóżka i wloką pod ścianę. Tam przyciskają go do podłogi. Philip klęczy i cały się trzęsie.

PREBEN: Patrz.

Philip nie rozumie. Boi się cokolwiek powiedzieć. Aslak pokazuje na dziurę po sęku w podłodze.

ASLAK (szepcze): Patrz tam!

Philip przykłada oko do dziurki. Widzi: piętro niżej, w kuchni, gospodyni stoi pochylona nad kuchenką, a wieśniak brutalnie bierze ją od tyłu.

24. PLENER. DZIEŃ. POLE.

Wszyscy chłopcy stoją pochyleni na polu i zbierają ziemniaki. Philip stoi między Prebenem a Aslakiem.

GŁOS LEKARZA SZKOLNEGO: Dzień drugi. Masaż, pieczywo pszenne z masłem i tłuczone ziemniaki.

Philip grzebie w ziemi rękami. Preben i Aslak rzucają w niego ziemniakami. Przybiega wieśniak. Uderza Prebena i Aslaka, którzy posłusznie pochylają się na rządki ziemniaków.

Wieśniak obejmuje Philipa.

WIEŚNIAK: Uważam, że już przytyłeś, Philipie.

Aslak i Preben patrzą na Philipa spode łba.

25. WNEȚRZE. WIECZÓR. GOSPODARSTWO. JADALNIA.

Philip siedzi przy długim stole sam i je. Już więcej nie może. Upuszcza nóż i widelec na talerz. Natychmiast zjawia się gospodyni i uderza go w tył głowy. Philip dalej wpycha w siebie jedzenie.

Gospodyni uśmiecha się, kładzie mu ręce na karku i masuje go, Philip w tym czasie je.

26. SEN PHILIPA.

Philip leży nagi w jeziorze. Księżyc świeci mu w twarz. Philip śpi. Dookoła jest cicho.

Nagle woda wokół Philipa zabarwia się na czerwono i chłopiec zostaje powoli ściągnięty w dół. Ogarnia go panika. Otwiera usta do krzyku, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Philip opada w czerwoną mętną wodę.

27. WNEȚRZE. SYPIALNIA.

Philip gwałtownie siada na łóżku i łapie powietrze. Widzi Aslaka i Prebena. Pochylają się nad nim. Szepczą.

PREBEN: Wiesz, kim są wieśniak i jego żona?

Philip kręci głową.

PREBEN: Fabrykują aniołki.

PHILIP: Fabrykują aniołki?

PREBEN: Wynoszą niechciane dzieci do lasu, żeby umarły.

ASLAK: Dlatego tu jesteś.

PREBEN: Doniesiesz?

Philip kręci głową.

ASLAK: Doniesiesz, ty cipo?

Philip patrzy na nich przerażony. Podnoszą go i znów ciągną do dziury w podłodze.

Przyciskają mu twarz do podłogi. Philip widzi: wieśniak stoi pochylony nad kuchenką, nagi, za nim stoi żona i bierze go od tyłu.

28. WNĘTRZE. RANO. JADALNIA.

Chłopcy stoją przy swoich miejscach i śpiewają chórem. Wieśniak dyryguje. Śpiewają *ZIELENIĄ SIĘ GAJE*. Philip stoi milczący i błądy między Aslakiem a Prebenem, którzy śpiewają na całe gardło.

Wieśniak nagle przerywa śpiew i patrzy na Philipa.

WIEŚNIAK: Nie śpiewasz?

Philip nie odpowiada. Wieśniak podchodzi bliżej.

WIEŚNIAK: Nie chcesz śpiewać z nami? Może jesteś lepszy od nas, co? Jesteś od nas lepszy?

29. PLENER. DZIEŃ. POLE.

Philip stoi sam na polu i kopie. Widzimy go z góry, małego człowieka na gołym szarym polu.

GŁOS LEKARZA SZKOLNEGO: Zwiększona porcja obiadowa. Osiemdziesiąt gramów mięsa, masło i opiekane ziemniaki, nerki i gotowane jądra.

Philip patrzy w niebo. Zaczyna padać deszcz. Philip rzuca łopatę i ile sił w nogach biegnie do lasu.

30. PLENER. POPOŁUDNIE. LAS.

Philip zdyszany zatrzymuje się między drzewami, opiera o pień. Jest całkiem cicho.

Odwraca się. Nikt go nie goni. Philip idzie dalej.

Nagle widzi, że las jest pełen chłopców. Siedzą na ziemi, półnaczy, zsiniali z zimna.

Niektórzy już nie żyją. Inni tylko czekają na śmierć.

Philip zawraca. Na skraju lasu stoi wieśniak z żoną, trzymają się za ręce, są w najlepszych ubraniach i uśmiechają się do niego.

31. WNĘTRZE. WIECZÓR. GOSPODARSTWO.

Philip stoi nagi pod wspólnym prysznicem i splukuje z siebie brud i ziemię. Jest tam sam. Patrzy na brudną wodę wirującą w odpływie. Dotyka wałków tłuszczu na brzuchu.

Słyszy, że w pobliżu ktoś nuci *ZIELENIĄ SIĘ GAJE*. Philip natychmiast zakręca prysznic i teraz słyszy piosenkę wyraźniej. Śpiew się zbliża. Philip wyciąga się po ręcznik, wiszący na haczyku. Ale nie może dosięgnąć. Preben i Aslak stają przed nim.

Śpiewają i patrzą na niego. Potem zapada cisza.

Preben zdejmuje ręcznik z wieszaka.

ASLAK: Może jesteś od nas lepszy?

PHILIP (szepcze): Nie.

PREBEN: Potrzebny ci ten ręcznik?

PHILIP: Owszem, dziękuję.

Preben podaje mu ręcznik, ale zaraz znów go wyrywa. Philip stoi nagi. Próbuje zasłonić się rękami.

ASLAK: Jesteś pewien, że nie jesteś lepszy od nas?

PHILIP: Nie chcę być gruby. Chcę być tylko wyższy.

Preben i Aslak patrzą na siebie i się śmieją. Potem zaciągają Philipa do sypialni, do dziury po sęku. Zmuszają go, żeby uklęknął, i przyciskają mu twarz do podłogi.

Philip widzi: kuchnia jest pusta. Na kuchence stoi garnek z gotującą się wodą.

Philip krzyczy. Krzyk zostaje zdławiony. Preben owija mu mocno usta ręcznikiem.

Aslak klęczy za nim.

GŁOS LEKARZA SZKOLNEGO: Ten, kto nie zastosuje kuracji Weira Mitchella, pójdzie do chudego piekła.

Twarz Philipa wykrzywiają ból i strach.

32. WNĘTRZE. PORANEK. SYPIALNIA.

Philip stoi przy oknie i wygląda na podwórze. Aslak i Preben wychodzą, każdy z walizką, w eleganckich ubraniach, tłusci i grzeczni, razem z gospodynią. Stoją przy maszcie, na którym powiewa flaga.

Na podwórze wjeżdża ciężarówka. Gospodyni łzawo żegna się z Aslakiem i Prebenem.

Wdrapują się na platformę razem z bagażem.

Z szoferki wysiada mały, bardzo niski i chudy chłopiec z tekturową walizką w ręku. To Barnum, którego widzieliśmy w sali kinowej, ten, którego wyrzucono. Jest przestraszony i zdezorientowany. Gospodyni serdecznie go wita.

Wieśniak odjeżdża z Aslakiem i Prebenem.

33. PLENER. RANO. PODWÓRZE.

Barnum nareszcie wyrывa się z objęć gospodyni, która pochyła się nad jego twarzą.

GOSPODYNI: Teraz zrobisz się naprawdę tłusty, Barnum.

Bierze Barnuma za rękę i ciągnie go w stronę domu. Barnum patrzy w okna. Widzi Philipa. Widzi tę tłustą twarz, która gapi się na niego z piętra.

Chór chłopców śpiewa: *BÓG BOGIEM BĘDZIE, CHOĆ WYMRZE LUDZKIE PLEMIĘ.*

Barnum się opiera, próbuje się wyrwać. Gospodyni ciągnie go za sobą.

34. WNĘTRZE. WIECZÓR. KINO.

Bileter wyciąga Barnuma z sali kinowej do holu. W tle słyszymy odgłosy filmu, chłopców śpiewających *BÓG BOGIEM BĘDZIE.* Barnum wyrывa się i wbiega na górę po schodach. Bileter pędzi za nim, ale potyka się o stopień. Barnum popycha jakieś drzwi i wpada na mroczny wąski korytarz.

Barnum zatrzymuje się i rozgląda. Widzi strumień światła, przecinający ukośnie mrok.

Idzie w tym kierunku. Po omacku zmierza ku światłu.

35. WNEŹTRZE. RANO. GOSPODARSTWO. JADALNIA.

Philip siedzi u szczytu stołu. Jest teraz najgrubszy ze wszystkich. Twarz mało mu nie pęknie. Pochłania jedzenie. Tłuszcz spływa mu po wargach.

Wieśniak staje za Philipem i klepie go po ramieniu.

Barnum wchodzi i siada na samym końcu stołu, wychudzony i przestraszony.

GŁOS LEKARZA SZKOLNEGO: Dzień pierwszy. Godzina szósta trzydzieści, pół litra mleka, które należy pić powoli przez trzy kwadranse.

Barnum zagląda do kubka z szarawym brudnym mlekiem, w którym pływają grudki tłuszczu.

36. WNEŹTRZE. WIECZÓR. KINO.

Barnum stoi w smudze światła. Spieszy się. Wpada w panikę. Próbuje rozgarnąć światło na boki. Wymachuje rękami.

Z sali kinowej słychać krzyki, gwizdy i wyzwiska.

Widzimy niespokojny cień Barnuma, zasłaniający prawie cały ekran.

37. WNEŹTRZE. WIECZÓR. GOSPODARSTWO. SYPIALNIA.

Philip stoi przy łóżku Barnuma. Philip jest nagi i tusty. Barnum nie śpi, jest wystraszony.

Philip ciągnie go pod ścianę i przyciska mu twarz do podłogi.

38. WNEŹTRZE. KINO. WIECZÓR.

Barnum otwiera jakieś niskie drzwi. OPERATOR, starszy miły mężczyzna stoi w ciasnym, niskim pokoiku, przypominającym komórkę, i sprawdza, czy taśma się przewija.

Barnum podchodzi do niego.

BARNUM: Nie chcę już tego oglądać.

OPERATOR: Co mówisz?

BARNUM: Nie chcę już tego oglądać.

OPERATOR: Myślałem, że chcesz.

BARNUM: Już nie.

Operator patrzy na niego ze smutkiem.

OPERATOR: Nie mogę zatrzymać, dopóki film się nie skończy. Chyba to rozumiesz.

39. WNEȚTRZE. NOC. KUCHNIA. GOSPODARSTWO.

Dziura po sęku w suficie, widać w niej oko Barnuma, szeroko otwarte. Oko wciska się w dziurę. W końcu oko wpada do wrzątku w garnku na kuchence.

40. WNEȚTRZE. WIECZÓR. KINO.

Barnum siada. Operator stoi przy szpulach, które ma zmienić.

BARNUM: Myślałem, że to pan decyduje.

OPERATOR: Musisz obejrzeć dalszy ciąg, Barnum.

BARNUM: Ale ja nie chcę.

OPERATOR: Nie masz wyboru.

BARNUM: Myślałem, że pan jest Bogiem.

Operator zmienia szpulę.

OPERATOR: Tak. Niestety jestem Bogiem. Ale nawet ja nie mam wyboru.

Operator odwraca się do Barnuma.

OPERATOR: Masz w sobie coś znajomego. Czy ja cię już kiedyś widziałem?

BARNUM: Czy pan nie widział wszystkich?

OPERATOR: Widzisz, mam kiepską pamięć. Zaczynam się starzeć.

Operator znów zagląda do okienka.

OPERATOR: Podejdź tutaj. Szybko!

Barnum podchodzi do niego i wygląda przez okienko.

Daleko w dole Barnum widzi ekran: piękne pole, pracują na nim chłopcy, uwijają się wesoło przy ślicznej pogodzie. Śpiew ptaków. Barnum, który ma jedno oko zasłonięte czarną przepaską, dołącza do nich. Przyprawdza go wieśniak i wyznacza mu miejsce obok Philipa.

W tle widać las jako wysoki, gęsty cień.

OPERATOR: Wiem już, kim jesteś.

Operator zerka na Barnuma z uśmiechem.

OPERATOR: Najważniejsze jest nie to, co widzisz, tylko to, co ci się wydaje, że widzisz.

Barnum unosi pudło, w którym leżały szpule, i z całej siły uderza nim operatora w głowę. Operator osuwa się na podłogę.

Barnum wyrywa film z projektora.

Z sali słychać krzyki i gwizdy.

41. WNEŹTRZE. WIECZÓR. SALA KINOWA.

Ekran jest czarny, opustoszała sala pogrążona w mroku. Ludzie wyszli. Zostały po nich tylko rzeczy: kurtki, papierki po cukierkach, parasole, rękawiczki, buty, szaliki. Nie słychać żadnego dźwięku.

Nagle na ekranie ukazuje się trzeszcząca smuga światła.

Widać nareszcie zniszczony czarno-biały obraz: futryna drzwi w pokoju chłopięcym.

Różne znaki, opatrzone datami. Ostatni: 4.09.1962.

T H E E N D

ELEKTRYCZNY TEATR

(tabliczka)

Pobraliśmy się u grawera na Pilestredet. Zdecydowaliśmy się na miedź z czarnymi literami: Vivian i Barnum. Ja wolałem napis: Wie i Nilsen. Tak brzmiałoby znacznie lepiej. Pozwoliłem, żeby było tak, jak chciała Vivian. Ekspedient zapakował tabliczkę w brązowy papier i dołożył cztery śrubki. Zapłaciłem, poszliśmy do domu i przykręciliśmy nową tabliczkę na naszych drzwiach. Vivian i Barnum. Na skrzynce na listy na dole, przy wejściu, nakleiłem tylko kartkę, na której odręcznie napisałem nasze nazwiska: Nilsen i Wie. To był nasz zaręczynowy pierścionek. Teraz było już na serio.

Vivian i Barnum widnieli wyryci w miedzi na drzwiach na pierwszym piętrze na Bolteløkka, w niedużym bloku mieszkalnym z czerwonej cegły, z wejściem od Johannes Bruns gate. To ojciec Vivian załatwił nam to mieszkanie, jeden pokój z wnęką sypialną i balkonem. Usiedliśmy tam. Była wczesna jesień, sobota, powietrze czyste i przejrzyste, słońce jeszcze grzało. Tuż za domami na zachodzie widziałem iglicę Stensparken, Blåsen, byłem w okolicy, w której rozgrywała się nasza historia. Od południa mieliśmy widok na fiord, lśniący, nieruchomy, bezbarwny, jak gdyby już zamarzał. Otworzyłem pierwszego szampana i nalałem do kieliszków. W dole na trawniczku stała sąsiadka, pomachała do nas palcami ubrudzonymi ziemią. Wypiłem. Vivian zamknęła oczy i odchyliła się do tyłu.

Światło na jej twarzy zrobiło się złote. Poczulem radość, jakiej nigdy wcześniej nie zaznałem, lekkość alkoholu i spokój chwili, upojenie i czas połączyły się w jednostkę wyższego rzędu. – Na jak długo człowiek musi zagać, żeby uznano go za zmarłego? – spytałem. – Może na całe życie. Vivian nie otworzyła oczu. Nalałem więcej do kieliszka.

Wypiłem. Roześmiałem się. – Całe życie? To znaczy, że zaginieni żyją wiecznie. Nigdy nie umierają. Żyją dalej. Vivian odwróciła się do mnie. W jej oczach nagle pojawiło się zmęczenie. Wysoki smukły kieliszek trzymała obiema rękami. – Tęsknisz za Fredem? – szepnęła. Mógłbym ją spytać o to samo. Nie odpowiedziałem. Zamiast tego poszedłem po nową butelkę. Jeden kieliszek wypiliśmy sam. Kiedy znów wyszedłem na balkon, Vivian włożyła ciemne okulary. Usiadłem przy niej. Na połowę balkonu padał cień. Wkrótce miało się zrobić chłodniej. – Chcę mieć dziecko – powiedziała Vivian. Opróżniłem kieliszek. – Jak pani sobie życzy. Zabrałem butelkę do środka, Vivian rozłożyła kanapę, pościeliła i położyliśmy się. Prędko poszło. Byliśmy, że tak powiem, rzeczowi i zdecydowani. Po szaleństwie w parku Frogner tamtego wieczoru przed wieloma laty koło Altany, po tym zdarzeniu, o którym nigdy później nie rozmawialiśmy i nie wspominaliśmy ani jednym słowem, staliśmy się zawstydzeni i bojaźliwi, nawet kiedy wypiliśmy. Trochę tak, jak byśmy kochając się, za każdym razem otwierali jakąś ciemność, i dlatego baliśmy się patrzeć sobie w oczy. Chcieliśmy mieć to już za sobą. Ale wciąż czułem lekki aromat piżma. Nalałem do kieliszków. – Trafiłem? – spytałem. – Przestań się wygłupiać – powiedziała Vivian. Roześmiałem się. – Trafiłem do publiczności? Vivian też się roześmiała. Potrafiłem ją rozśmieszyć, przynajmniej na razie. Nachyliłem się nad jej brzuchem i nasłuchiwałem. Była gorąca i krucha. – Myślisz, że będzie z tego dziecko? – spytałem szeptem. – Może tak. Może nie – odparła Vivian. Usiadłem. Było mi zimno.

W butelce jeszcze trochę zostało. Vivian ujęła mnie za rękę. – Czy ty nie pijesz trochę za dużo? – spytała. – Trochę za dużo? – Tak, trochę za dużo. Wypiłeś sam prawie dwie butelki. – Liczysz? – To nie jest takie trudne, Barnum. Jeden plus jeden równa się dwa. – Idzie ci to tak świetnie jak Pederowi. Vivian odpuściła. Znów się położyłem. – Piję, ponieważ jestem szczęśliwy – szepnąłem. Vivian wstała i wyszła do łazienki, w której było miejsce tylko dla jednej osoby naraz, w razie konieczności dla jednej i pół.

Usłyszałem, że odkręca prysznic. Wypiłem resztę. Vivian zwykle dużo czasu spędzała w łazience. Kiedy wróciła, wstałem. – Nie moglibyśmy się dzisiaj wcześniej położyć? – westchnęła. – Muszę pisać – powiedziałem. Odwróciła się plecami. Była owinięta tylko czerwonym ręcznikiem, mokre włosy łukiem ułożyły się na białej poduszce, a wokół nich rozpościerał się ciemny cień, coraz większy. – Nie zmarznij, Vivian. – Ciepło mi. A tobie zimno? – Nie, w porządku. Zgasić? – Możesz zgasić, Barnum. Zgasilem kinkiety nad łóżkiem i siadłem przy wąskim stole do pracy, który ledwie udało nam się zmieścić pod oknem, między drzwiami balkonowymi a półkami na książki. Ale kiedy zapaliłem stojącą na nim lampę, oświetliła też resztę pokoju, chociaż przygiałem ją jak najbliżej kartki.

Vivian naciągnęła koldrę na głowę. Tak niewiele tu było. Mieliśmy dwa obrazy na ścianie: zdjęcie Lauren Bacall i plakat *Głodu*. Pomyślałem nagle o małym miasteczku. Wreszcie byłem dorosły i mieszkalem w małym mieszkanku. Nawet jeśli nie byłem stary, to w każdym razie przekroczyłem pierwszą granicę, tę wiodącą wzdłuż południka niewinności, za którą śmiech zmienia barwę. Mimo wszystko wiele osób wciąż sądziło, że nie skończyłem jeszcze dwudziestu lat i że jestem w związku z tym trochę obdartym nastolatkiem, czasami zdarzało się, że nie wpuszczano mnie na film od lat osiemnastu i musiałem pokazywać dowód. Przestałem chodzić na te filmy. Ostatni raz zatrzymano mnie, gdy wybierałem się na *Lśnienie*, a Peder o mało nie umarł ze śmiechu. Później musiałem pokazywać dowód w barach. To również się skończyło. Ale ci, którzy się do mnie zbliżyli i dobrze się przypatrzyli, nie pozwalając się zwieść moim kędziorom i mojemu niewyrośnięciu, w przyływach dobrego humoru nazywanemu przeze mnie uśpioną długością, potrafili dostrzec na mojej twarzy ślady niedające się z niczym pomylić. Vivian już spała. Często zazdrościłem jej tego snu. Przygotowałem się. To były moje rzeczy: czterysta kartek firmy Andvord, linijka, ołówek, trzy długopisy, *Leksykon medyczny dla norweskich gospodarstw domowych* Grevego, gumka do ścierania, korektor w płynie i maszyna do pisania, którą dostałem od Freda. Wyszedłem do maleńkiej kuchenki i napiłem się z maleńkiej buteleczki. Przyszła mi do głowy mała myśl: *Małe miasteczko, część druga albo część jeden i pół: karzełek mieszka w najmniejszym mieszkanku świata, a jego narzeczoną jest najwyższa kobieta świata*. Wypiłem jeszcze jedną maleńką buteleczkę, zrobiłem kawę i usiadłem na swoim miejscu. Wyjąłem notatnik.

Oto moje pomysły: 1. *Śmiech i płacz: dokumentalny film Barnuma o człowieczeństwie*. 2.

Basen. 3. Doznania związane z otarciem się o sławę. Beatles, Per Oscarsson, Sean Connery i in. 4. Tuczenie. 5. Trójskok. 6. Człowiek nocy. Kilka moich tytułów, roboczych tytułów, starannie spisanych z komentarzem uzupełniającym, ze wskazówkami, dialogami, obsadą. Gdy wkręcałem kartkę w maszynę albo gdy brałem do ręki ołówek, żeby nie zbudzić Vivian, to były moje najprzyjemniejsze chwile. Wtedy byłem królem jedynowładcą. Sam sobie byłem panem i panowałem nad czasem. Ciemność zatrzymała się tuż przy oknie. Światła w mieście były niespokojne. Padał deszcz. Ktoś puszczał Sex Pistols na cały regulator. Koty z Bolteløkka miauczały. Nagle zrobiło się cicho. Słyszałem tylko spokojny oddech Vivian. To ona była naszym motorem. To był mój czas. Chciałem, aby moje historie szybowały wysoko, nie nisko i powolnie, chciałem unieść je wyżej, ponad nacięcia w futrynie drzwi, ponad siebie samego. Czy żądałem za dużo? Właśnie w momencie, gdy ręka trzymająca ołówek zbliża się do kartki, kiedy palec opada na literę zniszczonej krzywej klawiatury, jestem w swoim żywiole. W tej chwili wszystko się może zdarzyć. Jestem małym bogiem. Jestem teraz cięższy od własnego ciężaru i większy od własnej myśli, obszerniejszy niż moje upoważnienia w tym międzyczasie, w tej jednej wahającej się sekundzie, przypominającej kroplę na zardzewiałym kranie lub na róży, ta kropla może zmienić się w ocean. Vivian obróciła się i cicho jęknęła. Może coś jej się śniło. Pomyślałem, że może rośnie w niej w tej chwili człowiek, moja komórka, jej jajeczko, nic mniej, rysy już uśpione w jej ciepłe, zmarszczka między oczami chłopca, dołeczki w policzkach dziewczynki, serce dziecka. Tak myślałem. W *Leksykonie medycznym* M.S. Grevego napisane było: *Poczęcie, akt, w którym dojrzała komórka jajowa wprowadzona zostaje w odpowiedni stan, w wyniku którego na świat może przyjść nowy samodzielny osobnik, tuż przed Pogrzeb, złożenie zwłok do wykopanego w ziemi dołu, w którym nastąpi ich rozkład i staną się na powrót ziemią.* Ołówek trafił w *Człowieka nocy*. Napisałem pierwszą scenę. *CHŁOPIEC, chudy i błąd ośmiolatek,*

biegnie ulicami. Gdy zamknąłem oczy, mogłem go zobaczyć, biegnącego przez puste ulice w opuszczonym mieście, wczesnie rano, ma staroświeckie ubranie, słyszę jego oddech, oddycha ciężko, słyszę też muzykę, bo ta scena wymaga muzyki, czegoś smutnego, powolnego, symfonicznego. Dokąd ten chłopiec biegnie? Na co musi zdążyć, skoro biegnie tak prędko? Odłożyłem ołówek. To mnie przerastało. Nie byłem jeszcze gotów na tę historię, na mój kamień węgielny, moje dzieło umysłu, które ma opowiadać o nieobecności. Zanotowałem to na marginesie i podkreśliłem. *Nieobecność.* Wiedziałem, co mam napisać, lecz nie wiedziałem, w jakiej kolejności. A może właśnie na tym polega opowieść, na kolejności, na następstwie wydarzeń, na tym, co będzie teraz, na skrzywionej logice, w której nie chodzi o przyczynę i skutek, lecz o jakieś inne człowieczeństwo, o poetyczną chronologię. Wciąż jeszcze nie urosłem dostatecznie do tego zadania.

Musiałem rosnąć wraz z nim, wyciągać się ponad swój mandat, przewyższyć samego siebie. Miałem wypełnić nieobecność i w ten sposób ją zlikwidować. Freda, którego nie było od dziesięciu lat, Wilhelma, naszego pradziadka, który zniknął w lodzie, nieznanego męża Boletty, mroczny stały łąd ojca, jego stracony czas, od chwili gdy zaniósł walizkę z oklaskami za zakręt, do momentu gdy nadjechał Kirkeveien w żółtym błyszczącym buicku. O Pederze też nie wolno mi zapomnieć, o Pederze, który studiował ekonomię na uniwersytecie w Los Angeles. Może to właśnie tym ludziom na spotkanie biegnie chłopiec? Vivian spała. Przyniosłem piwo i na palcach wyszedłem na balkon. Widziałem cień Blåsen. Stara miała zwyczaj tam przesiadywać, a matka do niej przychodziła. Wpadł mi do głowy jeszcze jeden pomysł, wbiegłem do środka, żeby go nie zapomnieć, to się przerodziło w wielki strach, że zapomnę, właśnie dlatego to piszę. Napisałem: *Miejsca.*

Historie o związkach ludzi z określonymi miejscami. Np.: Stara i Blåsen. Boletta i Biegun Północny. Kiosk Esther. Podwórze. Miejsce nie jest miejscem, dopóki nie było w nim człowieka. Człowiek nie jest człowiekiem, dopóki nie ma miejsca. Czy właśnie w tych miejscach tkwi pamięć? Gdzie jest moje miejsce? Nie wiedziałem. Ale czy czas również nie może być miejscem, zakamarkiem w godzinach, osłoniętym sekundami?

Chciałem mieć własne miejsce w czasie. Na samym dole, ale wielkimi literami, napisałem: *GROBY*. Czyje to miejsca? Potem przerzuciłem kilka kartek do tyłu, do starego dobrego pomysłu: *Trójskok*. Chciałem z trójskoku uczynić swoją poetykę. Kolejność w trójskoku jest nieunikniona i konieczna: prędki rozbieg, elastyczne wybiecie, sprężyste dotknięcia ziemi, jedną nogą, krok i cała siła, którą należy zebrać do ostatniego gwałtownego wyskoku do piaskownicy z wyciągnięciem nóg do przodu przy upadku, prawie niemożliwy, a przez to jeszcze piękniejszy ruch. Kołaczę mi się po głowie przegląd historii trójskoku, cyzelowania całymi latami techniki bez naruszania przy tym zasad, wybiecie, kroki i wyskok, święta trójca skoku. Interesuje mnie zwłaszcza rozbieg, bo to tu przygotowuje się podstawę, nieudany skok da się przewidzieć już przy rozbiegu. Wierzę, że istnieje szereg zdjęć z rozmaitych imprez sportowych i mistrzostw zarówno w kraju, jak i za granicą, które mogłyby objaśnić złożoność i znaczenie trójskoku. Po rozważeniu wielu za i przeciw zdecydowałem, że głównym bohaterem będzie dozorca Bang, kulawy trójskoczek. Oto, jak to sobie wyobrażam: stary dozorca nanosił piasku na tylne podwórze i zrobił piaskownicę. Wszyscy się zebrali, żeby zobaczyć, jak skacze. Jest wiosna, sobotnie popołudnie, wychylamy się z okien i stoimy na schodach, ustawiliśmy się wzdłuż długiego rozbiegu, wąskiej ścieżki wysypanej żwirem, kibicujemy, i oto nadchodzi dozorca Bang, przy wtórze okrzyków radości i rytmicznych oklasków, ubrany w zniszczone krótkie spodenki i poźółkłą koszulkę bez rękawów, uparty i kulawy, trafia na deskę i odbija się z jękiem, zamrażam go w tym momencie, każę dozorca Bangowi zawisnąć tak, w powietrzu, stąd będę się cofał w czasie do świtu trójskoku. Kto pierwszy na świecie wymyślił trójskok?

Położyłem się, kiedy Vivian wstała. Ubrała się w dres i zniknęła. Słyszałem jej prędkie kroki na schodach. Nie było jej od pół godziny, a ja jeszcze nie zasnąłem. Dzwonił telefon, a może to kościelne dzwony? To był ojciec Vivian. – Czy mogę mówić z Vivian? – spytał. – Poszła pobiegać. Na moment zapadła cisza. – Chciałem jej tylko przypomnieć o dzisiejszym obiedzie. Jego głos wydawał się daleki, jak gdyby położył słuchawkę i przeszedł do innego pokoju. – Halo – szepnąłem. – O dziewiętnastej – powiedział ojciec Vivian już bliżej. – O dziewiętnastej – powtórzyłem. – Dobrze. Wobec tego jesteśmy umówieni. – No tak – powiedziałem. Nagle jego głos się zmienił, stał się wręcz poufały. – Ty nie biegasz? – Vivian lubi biegać sama – odparłem. On wciąż tam był. Usłyszałem Vivian na schodach, jej oddech. – Dobrze się miewacie? – spytał nagle, tym samym łagodnym głosem, który wydawał się taki obcy, jak głos człowieka, który próbuje zyskać przyjaciela. – Kupiliśmy wczoraj tabliczkę na drzwi – powiedziałem. Odłożył słuchawkę.

Vivian odwróciła się do mnie cała mokra, lało się z niej. – Pada? – spytałem. – Pocę się – odparła. – Zrobimy jeszcze jedno dziecko? – Muszę się rozciągnąć. Złapała się futryny i zawisła na niej. Utrzymywała się na samych chudych palcach. Było coś sprzecznego z naturą w tym obrazie, tak jak w wypadku dozorczy Banga, któremu pozwoliłem zawisnąć w podskoku, coś w rodzaju ognia czyszcącego, pomyślałem, tak jak w wypadku Freda, który opuścił nas w purgatorium oczekiwania. Zasnąłem, sen był ciężki, krótki i bezsensowny. Kiedy się obudziłem, Vivian siedziała w kuchni i jadła śniadanie.

Poczułem zapach kawy, grzanek, marmolady. Leżałem i patrzyłem na nią. To nie był ogień czyścicowy. To było coś zwyczajnego, co przyjmujemy za oczywiste i dlatego o tym zapominamy. To była chwila, jakich najwięcej, jedna z tych cichych chwil, w których nic się nie dzieje, takich zwyczajnych, niedzielnych, chciałem, żeby tak było. Przypomniało mi się jednak, że ta chwila nie jest mimo wszystko taka zwyczajna. To nasz pierwszy poranek.

Wyjąłem małą paczuszkę, którą schowałem pod poduszką, i poszedłem do Vivian. – Czy ja się tu zmieszczę? – spytałem. Podniosła oczy. – Owszem, kiedy skończę. I tak usiadłem. Nalała kawy dla nas obojga. – Udało ci się coś napisać? – spytała. – Nie mogę się zdecydować – odparłem. – Zdecydować? Jak to? – Mam zbyt wiele pomysłów, Vivian. – Czy to jest problem? – Tak. Nie posuwam się naprzód. Cały czas zaczynam coś nowego. Nie wiem, czego chcę. Vivian przysunęła mi koszyczek z chlebem. – Mnie się wydaje, że ty i tak ciągle piszesz o Fredzie – oświadczyła cicho. Nie podobało mi się, że tak powiedziała. Miała rację. Położyłem przed nią paczuszkę. Spojrzała na mnie zdziwiona. – Co to jest? – Prezent po nocy poślubnej. Vivian pokręciła głową. – Nie wiedziałam, że jesteś taki troskliwy. Uśmiechnęła się. Kiwnąłem głową. – Masz na myśli mieszczkański? – Nie, troskliwy, Barnum. – Rozpakuj! – zawołałem. Vivian otworzyła pudełeczko. W środku był pierścionek, prosty, ze złota. Delikatnie go wyjęła. – Matka chciała, żebyś go dostała – powiedziałem. A kiedy zobaczyłem, jak Vivian wsuwa tę cieniutką obrączkę na palec, przyszedł mi do głowy nowy pomysł: ujrzałem nagle skok, trójkok: pierścionek, który Rakel dała matce, a który ja teraz przekazałem dalej Vivian, w tym małym kręgu zamkniętym pierścieniem domyślałem się istnienia historii przerastającej samą siebie, rozsadzającej te ramy, przed oczami stanął mi obraz góry biżuterii, którą naziści ukradli Żydom przed posłaniem ich do komór gazowych, powinien w niej leżeć również ten pierścionek, ale Rakel zdążyła go zdjąć, i inny obraz, pokój pełen butów, męskich i damskich, i dopełniające go słowa matki: *Słyszę te kroki, którymi wychodzi z mojego życia*. Musiałem to zapisać. Już miałem wstać. – Dziękuję – szepnęła Vivian. Siedziałem. Nakryłem jej rękę dłonią. Wszystko, czego dotykałem, stawało się pomysłami.

Później w tę niedzielę wybraliśmy się na spacer. Szliśmy, trzymając się za ręce. Drzewa strząsały liście. Prawie nikt nie wyszedł z domu, tylko jakiś właściciel z brzydkim chihuahua i zdyszani amatorzy joggingu. Nawet oni oglądali się za nami. Byliśmy parą na opak. Zrezygnowałem z butów na koturnach. Teraz chodziłem już tylko na podwyższonych obcasach. W ciągu nocy zrobiła się jesień. Ludzie zostali w domach, pochowali letnie ubrania. Ogarnął mnie niezwykły nastrój. To przez ten pierścionek. Nie powinienem był go jej dawać. Już żałowałem. Mogłem kupić inny pierścionek albo kolczyk. Wystarczyłaby nam tabliczka na drzwiach: Vivian i Barnum. To aż nadto. Teraz posunąłem się za daleko.

Ten pierścionek za bardzo ciążył na jej dłoni. Na moment pochyliła głowę do mojego ramienia. – Dziękuję – powtórzyła. – Ładnie ci w nim – szepnąłem.

Poszliśmy na Blåsen i tam usiedliśmy. Stado gołębi zerwało się z dachu i rozpięchło na cztery wiatry. – Gdzie jest twoje miejsce? – spytałem. – O co ci chodzi? – Wszyscy mają jakieś miejsce. To jest miejsce Starej. – Ja nie mam żadnego miejsca – powiedziała Vivian. Roześmiałem się. – Na pewno masz. Nagle się rozzłościła. – Może nie chcę mieć żadnego miejsca! – krzyknęła. – W porządku – powiedziałem. Zapaliłem zapalniczkę. Vivian zdmuchnęła płomień. – Powiedzieć ci, gdzie jest moje miejsce, Barnum? Na tym zakręcie, gdzie ojciec wypadł z drogi i gdzie się urodziłam. Schowałem papierosy z powrotem do kieszeni. Nie podobało mi się to miejsce. Chciałem znaleźć dla niej jakieś inne, które nie byłoby policyjnym miejscem zdarzenia. – Zapomniałaś, że idziemy na obiad na dziewiętnastą zero zero? – spytałem. Vivian schowała twarz w dłoniach. Siedziała tak co najmniej przez dziesięć minut. Zaczęło się ściemniać. – Ja nie idę – oświadczyła. Ale poszliśmy na to, co Vivian później zwykle nazywała przedstawieniem o siódmej u Drakuli.

Po drodze zajrzeliśmy do Krølle i nawet Vivian piła piwo. Zamówiłem jeszcze dwa. Tu mnie obsługiwano i nie musiałem pokazywać dowodu. – Gdzie jest twoje miejsce? – spytała. – Zgadnij! – Nie namyślała się długo. – Drzewo na Solli plass. – To nie jest moje miejsce – powiedziałem. Ono jest przecież nasze. Po twarzy Vivian przemknął cień. Może przyszedł ode mnie, może to ja go na nią rzuciłem. Ten cień nazywał się Peder. – Kino Rosenborg – szepnęła Vivian. – Jesteś coraz bliżej. Nachyliła się do mnie. – Już wiem, Barnum. Małe miasteczko! Podniosłem szklankę i wypięłem. – Odpowiedź prawdziwa.

Vivian podniosła swoją szklankę. – A na co nam właściwie miejsca? Możesz mi to wytłumaczyć? Odstawiłem szklankę na lepką podstawkę. – One sprawiają, że stajemy się cali – powiedziałem cicho. Vivian przez chwilę milczała. Głosy wokół nas były donośne i pełne złości. Ktoś uderzył w stół. Zapaliłem papierosa. – Właśnie o tym piszę – szepnąłem. O miejscach, które sprawiają, że staniemy się cali. Wziąłem ją za rękę i poczułem krawędź pierścionka na skórze. Vivian gwałtownie skierowała na mnie wzrok. – Gdzie jest miejsce Freda? – spytała. Wzruszyłem ramionami. – Może on właśnie go szuka. Puściłem ją i napiłem się jeszcze piwa. – Tęsknisz za Pederem? – spytałem.

Mogła mnie spytać o to samo. Poszła do toalety. Zatrzymałem kelnera i ściągnąłem mu z tacy duże piwo. Małe miasteczko. To było moje miejsce. Właśnie tam zostałem wskazany przez policjanta z wielkimi rękawicami i tam przestałem rosnąć. Tam wpadłem na swój pierwszy pomysł i zapisałem go. Małe miasteczko było zarówno czasem, jak i miejscem.

Nie można się z niego wyrwać. Nagle przede mną wylądowała ulotka. *Sprzedazy Norwegii – Nie! Przemarsz z pochodniami z Youngstorget 20.9*. Podniosłem wzrok. Jakiś facet z surową miną patrzył na mnie z góry. – Norwegia to również miejsce – powiedziałem. – Jesteś studentem? – spytał. – Nie, drobnym handlarzem. Nabrał podejrzliwości. – Handlarzem? – Zgadza się. – A czym handlujesz? – Czekoladą, napojami w torebkach, parówkami, tygodnikami i kandyzem. Facet uderzył pięścią w stół, niecierpliwie i z pogardą. – Pieprzony kapitalistyczny handlarz! – zawołał. – A mimo wszystko uciśniony – odparłem. Facet przyciągnął rękę do siebie, zmieszany. – Uciśniony handlarz? Nie rozśmieszaj mnie! Wstałem, sięgałem mu ledwie do piersi, nawet na wysokich obcasach. On się nie śmiał. Stojąc, coś sobie uświadomiłem. – Przecież od referendum minęły już cztery lata – powiedziałem. Facet znów się zdenerwował. – I co z tego? Jaki to ma, do cholery, związek ze sprawą? Wsunął ulotkę do kieszeni i zaczął krążyć wśród kelnerów. Kiedy usiadłem, Vivian wreszcie wróciła. – Musisz je wysłać – powiedziała. – Wysłać? Nie zrozumiałem. Pochyliła się nad obrusem. – Wysłać swoje scenariusze. Musisz je komuś pokazać. – Jeszcze nie jestem gotowy. Vivian położyła przede mną ogłoszenie, które wyrwała z gazety. Norsk Film AS ogłaszał konkurs na scenariusz. Można zgłaszać zarówno gotowe scenariusze, jak i szkice. Ale właśnie tego się bałem. Bałem się, że ktoś mnie odkryje. Odkryje wszystko, co napisałem, i odrzuci. Teraz wciąż jeszcze mogłem śnić, być swoim własnym panem według liniiki Barnuma.

Zamknąłem oczy. Termin nadsyłania 1 marca. – Który dzisiaj? – spytałem. – Dwudziesty września – odparła Vivian. Pomyślałem, że gdybyśmy pobiegli ile sił w nogach, być może zdążylibyśmy na przemarsz z pochodniami, wyruszający z Youngstorget cztery lata temu.

Otworzyłem oczy. – Najpierw chcę je pokazać tobie – powiedziałem. – Byłeś teraz gdzieś daleko – szepnęła Vivian. Roześmiałem się. – Wyszędłem się tylko wysikać. Ona też się śmiała. – Naprawdę? Naprawdę chcesz mi je pokazać? – A komu innemu? Vivian napiła się mojego piwa. Lubilem ją taką, kiedy piła bez skrępowań, kiedy się rozluźniała, potrafiła się wtedy nagle roześmiać, wtedy nareszcie byliśmy właściwie ustawieni, a nie jak dwa zegary wskazujące różny czas, jak tarcze w hotelowej recepcji, w której Vivian była Tokio, a ja Buenos Aires. Piliśmy teraz i jednocześnie się śmialiśmy, lecz tym większa była cisza, gdy ojciec otworzył drzwi i zstąpiliśmy za nim, tak, właśnie tak, zstąpiliśmy, do ciemnego mieszkania, Vivian opuściła nas już w przedpokoju i poszła do sypialni matki, ja usiadłem w głębokim fotelu, a ojciec w tym czasie nalewał whisky do dwóch szklanek, wrzucał do nich z hałasem kostki lodu i przyciągał sobie bliżej krzesło. – Najwyższy czas, żebyśmy się poznali – powiedział. – Tak – szepnęłam. Chociaż w pokoju było ciemno, czułem, że on się na mnie patrzy, że oczy ma twarde i ostre. – Po wypadku matka Vivian wyrzuciła wszystkie lustra, jakie mieliśmy. Ale pewnego dnia ktoś zadzwonił do drzwi. Otworzyła, za nimi stały dzieci. Trzymały przed nią lustro. Od tamtej pory nie wychodzi. Pojmujesz, że dzieci mogą być aż tak złośliwe? Pokręciłem tylko głową. Ojciec Vivian podniósł szklankę do ust. – Ty próbujesz trochę pisać. Co sądzisz o takiej historii?

Spuściłem wzrok. – To dobra historia – powiedziałem. Kostki lodu zagrzecotały. – Dobra? Czyżbyś był sentymentalny, Barnum? – Wątpię. – Wobec tego powinieneś wiedzieć, że nie ma dobrych historii. Są tylko historie prawdziwe i nieprawdziwe. Ojciec wypił whisky i ciężko odetchnął. – Co Vivian mówiła o wypadku? – Co mówiła? Ojciec Vivian nalał sobie więcej do szklanki, z niecierpliwością, ale moją ominął, chociaż też była pusta. – Opowiadała ci chyba, jak do tego doszło? Popatrzyłem na drzwi, lekko uchylone. Vivian nie przychodziła. Miała przyjść dopiero po zakończeniu tej rozmowy. – Przecież ona nawet się jeszcze nie urodziła – powiedziałem i pożałowałem, zanim jeszcze wymówiłem te słowa. Ojciec Vivian nachylił się do mnie, z trudem, ale dostrzegłem leciutki uśmiezek. – Wszyscy mają swoje wersje, Barnum. Wersje tego, co się słyszało.

Wersje tego, co się śniło. Ty to chyba wiesz? Zapadłem się w fotelu. – Powiedziała, że na zakręcie straciłeś kontrolę nad samochodem i wjechałeś do rowu. Ojciec westchnął. – Nikt nie traci kontroli nad chevroletem deluxe, Barnum. Podniósł ręce do góry w takim geście, jakby trzymał za kierownicę. – Na zakręcie z przeciwnej strony nadjechał inny samochód – szepnął. Otwarty buick. Jechał za szybko. Zjechał na mój pas i musiałem gwałtownie skrócić chevroletem w bok. Skręciłem rękami i tupnął nogą. Potem ręce opadły mu na kolana. – Tak to się stało – powiedział. Uniknąłem zderzenia i zniszczyłem rodzinę.

Powoli uniósł szklankę. Czyżbyśmy lepiej się poznali? Czyżbym lepiej wiedział teraz, kim on jest? Miałem ochotę jeszcze się napić, ale nie śmiałem sobie nalać. – Ten drugi samochód się nie zatrzymał? – spytałem. Ojciec Vivian pokręcił głową i jego głos nagle zmienił się nie do poznania. Mowa jakby się wiała, coś w nim pękło. – Ta cholerna świnka po prostu pojechała dalej! W tej samej chwili rozległ się dzwonek. Poczułem ukłucie, tę szczelinę w sercu, która tak boli, że jest aż przyjemnie. Może to Peder. Nastawiłem uszu.

Usłyszałem, że ktoś otwiera, na pewno Vivian, może w tym momencie Vivian i Peder obejmują się, a ja chciałem być przy nich, w tych objęciach, w tym momencie. Ojciec Vivian nie ruszał się z miejsca. Położył mi rękę na kolanie. Chciałem, żeby ją zabrał. – Teraz już wiesz – powiedział, a jego głos brzmiał tak jak przedtem, płasko, jak głęboka kreska w ustach. – Co? – szepnąłem. – Teraz już znasz prawdę, Barnum. Nagle jakbym usłyszał Pedera, gdzieś z daleka, z dawnych czasów, a mimo wszystko bardzo blisko:

Może tak. Może nie. Ojciec Vivian wstał. – Nigdy więcej nie będziemy o tym rozmawiać – powiedział. Nigdy. Ktoś delikatnie zastukał do drzwi i je pchnął. Zajrzała starsza siwowłosa kobieta w białym fartuszku i czarnej spódnicy. Dygnęła. – Gość już jest, panie Wie. Tak samo szybko zniknęła w ciemności. Poszedłem za ojcem Vivian do salonu. Tam stał gość. To była moja matka. Ubrała się elegancko. Wyglądała na zagubioną. Ojciec Vivian ujął jej rękę w obie dłonie. – Nikt się panią nie zajmuje? Ogromnie przepraszam.

Ale rozmawiałem z Barnumem o życiu i zapomnieliśmy o miejscu i o czasie. – Nic nie szkodzi – szepnęła matka. – Dziękuję, że pani zgodziła się przyjść tak nagle. Matka się uśmiechnęła. – To ja dziękuję. Nie przejdziemy na ty? Ojciec Vivian puścił jej rękę. – Pójdę teraz po moje dziewczęta – powiedział. Szybko wyszedł do przedpokoju.

Odwróciłem się do matki. – Dlaczego nie zadzwoniłaś? Mogliśmy przyjść razem. – Ponieważ zostałam zaproszona dziesięć minut temu. Wy już wyszliście. – Boletty nie zaprosili? – Boletta jest zmęczona. Piłeś, Barnum? Starsza pani, pomoc domowa, pojawiła się nagle z tacą i zdążyłem wypić wytrawne martini, nim znów zniknęła. – Nie – powiedziałem. Matka westchnęła i rozejrzała się dokoła. – Pojmujesz, jak oni wytrzymują taką ciemność? – Tak – odparłem. Nie znoszą światła dziennego. – Cicho, Barnum.

Pomyślałem o tym, co ojciec Vivian opowiadał o wypadku, o tym, co nazywał prawdą.

Czy to dlatego nas zaprosił? Po to, żeby ujawnić, kto jest winny? Matce nie wolno wspominać o buicku. Wypiłem za dużo, ale po raz pierwszy poczułem, że to za mało. – Czego oni, do cholery, chcą? – szepnąłem. – Chcą być mili, Barnum. Jesteśmy przecież teraz prawie rodziną. Roześmiałem się. – Prawie rodziną? Matka uszczypnęła mnie w ramię. – Weź się w garść, Barnum. Ojciec Vivian wrócił. Przeprowadził ze sobą Vivian.

Ucieszyła się na widok mojej matki i zarazem zdenerwowała. Pocałowała ją w policzek. – Dziękuję, Vero. Matka podniosła jej rękę i dotknęła pierścionka. – Pasuje do ciebie.

Ojciec Vivian spojrział na mnie, te same skrzywione usta, przelotnym gestem powiódł po wargach. Miałem co do niego wątpliwości. Wreszcie znów przeniósł wzrok na Vivian. – Skończyłaś już z Annie? – spytał. Vivian kiwnęła głową. Jej ojciec się uśmiechnął. – To dobrze. Siadamy do stołu. Rozsunął na boki białe drzwi prowadzące do jadalni. Ona siedziała na samym końcu stołu w cieniu, za kandelabrami, i patrzyła prosto na nas. Vivian zrobiła świetną robotę. Twarz jej matki była gładka, rysy czyste i wyraźne, miały złocisty odcień opalenizny, przypominała fotografię w obramowaniu ciemności, lecz kiedy musiałem koło niej usiąść, zobaczyłem, że pod szminką, pod tą piękną szpachlą, tkwi poprzednia twarz, na której czas zatrzymał się w momencie, gdy roztrzaskała się o przednią szybę chevroleta deluxe. Reszta była tylko maską, którą nosiła ze swego rodzaju godnością, a może była to przekora. Starsza pani podawała do stołu. Nie pamiętam, co jedliśmy. Chyba jakąś dziczyznę. Nie byłem głodny. Piłem. Vivian trzymała nóż i widelec w dziwaczny sposób, dłońmi zaciśniętymi w pięści, jak źle wychowane dziecko. Nigdy wcześniej nie zwróciłem na to uwagi. Pierścionek jakby ścisnął jej palec.

Widziałem tylko nasze ręce, dziesięć dłoni, pięćdziesiąt palców, wśród nich nie było dwóch identycznych, moją własną dłoń podnoszącą kieliszek do ust, czerwone wino, każdy jego łyk jest niczym gorący podmuch w głowie. Uświadamiam sobie, że te ręce muszą stać się motywem w dokumentalnym filmie Barnuma o człowieczeństwie, jestem opętany tą myślą o oderwanych rękach, ale nie mam na czym pisać, a nie śmiem też odejść od stołu, bo podczas mojej nieobecności może wydarzyć się coś straszego. Ojciec Vivian odkłada sztucce, stukają się kieliszkami z matką. – Zawsze mam wrażenie, że myśmy się już kiedyś spotkali – mówi. Matka się uśmiecha. – Bo rzeczywiście tak było. Na premierze *Głodu*. – Nie, mam na myśli dużo wcześniejsze czasy. Ojciec Vivian odstawia kieliszek. Mam wrażenie, że pokrywa nas jakaś błona, kozuch, który w każdej chwili może się rozerwać. – A gdzie by to miało być? – pytam głośno ze śmiechem. Ale nikt mnie nie słucha. Mój kieliszek jest pusty. Ojciec Vivian patrzy przez stół. – Annie, gdzie myśmy już widzieli matkę Barnuma? Ona odwraca się do Vivian i mówi równie wolno. – Nie zamierzacie się pobrać naprawdę? Vivian nabiera powietrza. – Naprawdę? O co ci chodzi? – Dobrze wiesz, Vivian. Oczywiście w kościele. Vivian patrzy na mnie. – Barnum i ja stwierdziliśmy, że Bóg nie istnieje. Dlatego zdecydowaliśmy się wziąć ślub u grawera. Jej matka się uśmiecha. Na mnie też patrzy. W szmince pojawiają się pęknięcia. – Zawsze sądziłam, że Vivian zwiąże się z Pederem – mówi. Vivian odsuwa krzesło. – Dlaczego tak myślałaś, mamgo? – Bo tak do siebie pasowaliście. Ojciec Vivian nagle nachyla się do mojej matki, sprawia wrażenie, jak gdyby właśnie znalazł ślad, którego za nic nie chce zgubić, skrawki snu po ciężkiej nocy. – Czym zajmował się twój mąż? – pyta. Matka przez moment się waha. – Był klaunem i handlarzem. Na moment zapada cisza, słychać tylko odgłosy naszych dłoni, sztucce, przeżuwane jedzenie. W końcu ojciec Vivian pyta jeszcze raz. – Czy wy nie mieliście jeszcze jednego syna? Takiego, który zniknął? Vivian spuszcza wzrok i szepcze coś, czego nie słyszę.

Matka podnosi głowę. – On nie zniknął – mówi spokojnie. Gdzieś się włóczy. A ja uświadamiam sobie, że ten dialog cały czas się cofa, nic z tego, co zostało powiedziane, nie popycha historii naprzód, ta rozmowa to stojąca woda. Tu, w tym pokoju, w tej jadalni, istnieje tylko przeszłość i nawet jej nie potrafimy nazwać słowami. Nagle matka Vivian kładzie rękę na ramieniu córki, pijanym gestem, a szminka zsuwa jej się z ust i ukazuje się blizna, ukośna nierówna kreska przez całą twarz, jak gdyby została poskładana z różnych części, które do siebie nie pasują. – Macie zamiar mieć dziecko? – pyta. Vivian przyciąga rękę do siebie. Dłoń jej matki zostaje na stole, między talerzami, kieliszkami i sztućcami, niespokojna, jakby oddychała, w końcu jednak ona również znika, gwałtownie, i pozostaje tylko odcisk na obrusie, cień na bieli. – Nie – mówi Vivian. Nie chcę na to nikogo narażać. – Narażać na co? – szepcze jej matka. – Na bycie dzieckiem, mamo. Potem Vivian wstaje i wychodzi z jadalni. Pozostawia za sobą ciężką ciszę. Matka kopie mnie w łydkę. Idę za Vivian. Siedzi na łóżku w swoim dawnym pokoju, gdzie wszystko jest takie samo, jak było, oprócz zdjęcia Lauren Bacall, które już tam nie wisi, został po nim tylko ciemniejszy prostokąt na tapecie, jak negatyw. Składam głowę na kolanach Vivian. – Nie mogłaś po prostu powiedzieć „tak”? – pytam. – A dlaczego? – Tak jest krótsze niż nie, Vivian. – Mylisz się, Barnum. Nie jest zawsze krótsze niż tak. Ty to powinieneś wiedzieć. Całuję ją. – Wracamy do nich czy idziemy do domu? – A jak myślisz? – Nie podoba mi się, że zostali sami – mówię. – Będziemy udawać szczęśliwych? – pyta. – A nie jesteś? Nie jesteś szczęśliwa? Vivian się uśmiecha. – Nie tutaj.

To był zresztą ostatni raz, kiedy poszliśmy na obiad do rodziców Vivian. Matka taksówką wróciła do Boletty. Vivian chciała iść piechotą. Zatrzymaliśmy się przed domem Pедера. Na piętrze się świeciło, ale w środku nie było nikogo widać. – Ty też myślałaś, że będziesz z Pederem? – spytałem. Vivian odczekała chwilę, nim odpowiedziała. – Nie.

Sądziłam, że to ty będziesz z Pederem. Poszliśmy dalej w górę Tiedemannsgate, chciałbym zobaczyć nas, jak idziemy przez pory roku, w jednym ujęciu, jest jesień, kiedy przechodzimy za róg i w domu Pedera gasną lampy, na Vestkanttorget wchodzimy w zimę, wiosna zbliża się, gdy docieramy do Bislet, a na Bolteløkka jest już lato, jeszcze jedno lato, otwieram okna i wietrzę, wychodzę na korytarz ze ścierką akurat w chwili, gdy sąsiadka wyrzuca śmieci, i czyszczę do połysku naszą tabliczkę: Vivian i Barnum. Słyszę ją tuż za plecami. Bezszelestnie poruszała się po stopniach. Teraz zakrywa mi oczy rękami.

Śmieję się. – Byłam u lekarza – mówi szeptem. – U lekarza? Chyba nie jesteś chora? – Jestem zupełnie zdrowa, Barnum. Ty też się musisz zbadać. Opuszcza ręce. Dalej stoję odwrócony do niej tyłem. – Jesteś pewna, że chcesz mieć dziecko ze mną, Vivian?

(pół mroku)

– Bardzo dziękuję! – Mały uprzejmy chłopiec mówi „bardzo dziękuję”, kiedy wydaję mu pięćdziesiąt øre reszty. Zaciska palce na błyszczącej monecie, a w drugiej ręce trzyma czerwony napój w torebce. – Nie musisz mówić „bardzo dziękuję”. Głaszczę go po głowie. Odsuwa się. – Co? – pyta szeptem. – A czyje to pieniądze? – pytam. – Czyje to pieniądze? – No właśnie, czyje jest to pięćdziesiąt øre? Chłopiec jeszcze mocniej zaciska palce na monecie. – Moje! – No właśnie – mówię. I dlatego nie musisz za nie dziękować.

Chłopiec przebiega przez ulicę, zatrzymuje się między brzoźami i odwraca. – Wariat! – woła. Stoję na pustej skrzynce po oranżadzie i wychylam się przez okienko. Całkiem przyjemne jest oglądanie świata stąd, z wnętrza kiosku Esther. To ja go teraz prowadzę, razem z matką. Tuż przed nadejściem lata Esther miała wylew, przez który zapomniała, jaka jest cena kandyzu, ile øre ma korona i że kuchenkę elektryczną trzeba wylączać.

W zamian za to doskonale pamiętała wszystko, co się zdarzyło pomiędzy rokiem 1945 i 1972, pogodę, mecze kadry narodowej, wybory parlamentarne, biegi narciarskie na Holmenkollen, lądowanie na Księżycu i jakie melodie najczęściej puszczano w koncercie życzeń. Mieszka w dwuosobowym pokoju w domu opieki Prins Augusts Minde na Storgata i nie wie już, jak się nazywa, ale w głowie ma cały kalendarz. Przyszła jesień.

Rozwiesiłem nowe tygodniki na sznurku za szybą i przypiąłem je małymi klamerkami.

Napoje w torebkach leżą w zamrażarce, a butelki coli stoją w lodówce. Najmniej lubię parówki. Parówki to zawracanie głowy. Leżą w ciepłej wodzie, dopóki się nie pomarszczą i nie zszarzeją, nadają się wtedy tylko na psie żarcie. Skończę z tymi parówkami. Chcę mieć kiosk z suchymi towarami: kolorową prasą, papierosami i kandyzem. Ale matka nie chce żadnych zmian, chce robić dalej to, co opuściła Esther.

W budce na Sørkedalsveien zaczęli sprzedawać sałatkę z krewetek i smażoną cebulę, ale ja nie zamierzam z nimi konkurować, niech się dalej babrzą w tym świństwie. Mam zresztą ładny widok na małe miasteczko. Jakaś szkolna klasa przyszła tam uczyć się zasad ruchu drogowego od policjanta. Stoją rzędkiem i słuchają, co mówi, na pewno o światłach rowerowych i odblaskach, bo już niedługo nadejdą ciemne wieczory, a wtedy ważne jest, żeby być widocznym. Kiedy tak na nie patrzę, na te dzieci o poważnych buziach, na ich niedokończone rysy, to mam wrażenie, że mogę dotknąć palcem czasu i poczuć, jak się porusza. Zapisuję to w swoim notesie. *Czas. Jak w nowy sposób pokazać, że czas płynie?*

Gdyby to było możliwe, można by na przykład posadzić jakiegoś człowieka przed kamerą na pięćdziesiąt lat i filmować zmiany w jego twarzy. Ewentualny tytuł: Echo. Lekcja się kończy, dzieci biegną przez ulicę, a policjant ze smutkiem zostaje na małym przejściu dla pieszych i może stwierdzić, że niczego się nie nauczyły albo już wszystko zapomniały, nikt się nie rozgląda, dzieci wybiegają wprost na ulicę i każde z nich chce jako pierwsze dotrzeć do kiosku Barnuma. Wkrótce przed okienkiem ustawia się cała kolejka. Wychylam się, patrzę na nie z góry, a one muszą podnosić głowy. Nie mogą wiedzieć, że wspiąłem się na skrzynkę. – Czego sobie życzycie? – pytam. Ten, który stoi jako pierwszy, pyzaty chłopiec z grzywką spadającą na oczy, kładzie na ladzie piątkę. – Parówkę w ziemniaczanym naleśniku – mówi. Wzdycham. – Jesteś pewien? Chłopiec się miesza. – Parówkę w ziemniaczanym naleśniku – powtarza. Owijam bładą parówkę w naleśnik, wyciskam ketchup i musztardę i wkładam mu tę padlinę do ręki. Dostaje też cztery korony reszty, to martwe mięso nie jest warte więcej, a gruby chłopiec myśli, że mu źle wydałem, za dużo, nie mówi „bardzo dziękuję”, tylko prędko odchodzi chodnikiem, wciskając kielbaskę do ust. – Mógłbyś podziękować! – wołam za nim. Ale on nic nie słyszy, a następna w kolejce jest drobniutka dziewczynka z za wielkim tornistrem na plecach, prawie przewraca się do tyłu. – Co dostanę za dwadzieścia pięć øre? – pyta. Zastanawiam się. – Za dwadzieścia pięć øre dostaniesz kandyz – mówię. – Co to jest kandyz? – Kandyz jest dobry – odpowiadam. Pakuję jej duży kawałek, a drobną monetę wkładam z powrotem do rączki. – Zapomniałem, że kandyz nic nie kosztuje, jeśli podzielił się nim z innymi.

Mała patrzy na mnie zdumiona i odchodzi sama w stronę Majorstuen. A na samym końcu kolejki stoi dwóch chłopców, którzy wyraźnie zwlekają ze swoją sprawą. Rozglądają się na wszystkie strony i boją się cokolwiek powiedzieć, dopóki w promieniu dziesięciu mil jest bodaj jeden człowiek. Doskonale rozumiem, po co przyszli. Pozwalam im się trochę popocić. Jeden nachyla się do okienka. – „Cocktail” – wyrzuca z siebie, prawie połyka słowa jeszcze przed ich wypowiedzeniem. – O co chodzi? – pytam. Drugi kopie kolegę w łydkę, biedaczysko musi jeszcze raz przez to przebrnąć. – „Cocktail” – powtarza, teraz wyraźniej, z gładkiego, jeszcze nie zatroskanego czoła spływa pot. – Masz na myśli magazyn dla panów? Obaj mocno kiwają głowami, zniecierpliwieni, z uciekającym spojrzeniem, jak gdyby w każdej chwili mogła się pojawić matka i przyłapać ich na gorącym uczynku. Kto by pomyślał, że tego rodzaju lekturę można znaleźć w asortymencie, który pozostawiła mi stara Esther? Rzeczywiście, cały plik „Cocktaili” z lat sześćdziesiątych wciąż leży w pudle pod półką z czekoladą. Długo się zastanawiałem, kto kupował „Cocktail” w kiosku Esther, bo z całą pewnością nie ja, i wreszcie doszedłem do wniosku, że najprawdopodobniej dozorca Bang. Nie spieszę się, otwierając pudło, a serca chłopców pod kioskiem warczą jak dynamo. Wybieram numer 13 z 1967 roku, z ufryzowaną kobietą kucającą na pledzie u stóp drzewa. To może być niezły start dla tych młodych ludzi. Już włożyli dziesięć koron do okienka. Oddaję im pieniądze, obydwu głaszczę po głowach i trochę mierzwię im włosy. – Nie musicie płacić za stare kobiety – mówię, potem zwijam czasopismo, okręcam je gumką i podaję rolkę jak pałeczkę sztafetową tym upojonym radością młodzieńskim chłopcom, którzy tej jesieni ustanowią nowy rekord na ostatnim etapie na Kirkeveien. Dość już na dzisiaj. Zamykam okienko, ściągam niedużą żaluzję i wreszcie siadam na kempingowym krzeselku odziedziczonym po Esther. Mogę tu siedzieć i trochę pisać, wypić w spokoju piwo. Czyż sam kiosk nie powinien stanowić punktu wyjścia dla scenariusza? W ten

sposób również mógłbym pokazać czas, widziany z okienka kiosku Esther w bramie na Kirkeveien, klientów, którzy się zmieniają, fryzury, towary, przejeżdżające samochody, pieniądze, uliczne latarnie, czas i miejsce, czas widziany z miejsca, a przede wszystkim miejsce widziane poprzez czas.

Możliwy tytuł: *Kiosk Barnuma*. Czuję to ciepło w ramionach, coś w rodzaju przyjemnej gorączki, szczęścia, kiedy jest się blisko czegoś. Ale dzisiaj mimo wszystko brakuje mi spokoju, by dokończyć tę myśl. W kieszeni mam bowiem list, którego jeszcze nie otworzyłem. Dłużej nie mogę już czekać. Vivian wkrótce mnie zapyta, a wtedy powinienem odpowiedzieć. List jest od doktora Lunda. *Barnum Nilsen. Może się pan zgłosić do laboratorium III Szpitala Centralnego w czwartek 12.09, godz. 13.00. Proszę przynieść próbkę nasienia, pobraną najpóźniej 3 godziny wcześniej, od ostatniego stosunku lub ejakulacji powinno minąć pięć dni.* W obszernej kopercie leży również przezroczysty plastikowy pojemnik z pokrywką. Czwartek to już jutro, a ostatni stosunek odbył się około nocy świętojańskiej. Tego wieczoru padał deszcz i ogniska nie chciały się palić. Opróżniam butelkę piwa, zjadam kilka słonych pastylek eukaliptusowych i idę zajrzeć do matki. Nie widziałem się z nią już od jakiegoś czasu. Cieszy się, gdy przychodzę, i obejmuje mnie. Boletta śpi na otomanie w salonie. – Jak z nią jest? – pytam. – Ona śni – szepcze matka. Wychodzimy do kuchni. Na moment zatrzymuję się przy naszym pokoju. Łóżko Freda wciąż czeka gotowe. Od dawna. Matka zmienia pościel dwa razy w miesiącu. – Napijesz się kawy? – pyta. – A nie masz piwa? Matka wzdycha odwrócona plecami. – Jest dopiero trzecia, Barnum. Siadam przy kuchennym stole. – Chcesz usłyszeć dobrą nowinę, mamó? Odwraca się gwałtownie. Głos ledwie przechodzi jej przez usta. – Fred? Miałeś jakieś wiadomości od Freda? W głowie mam taką ciszę.

Uśmiecham się. – Nie. Ale Vivian i ja będziemy mieć dziecko. Matka długo mi się przygląda. I jakby musiała przestawić twarz na inną prędkość. – Ależ, Barnum! – mówi w końcu, trochę szarpie mnie za kędziory i całuje mnie w czoło. Odchylam się. Matka się śmieje. – Piwa nie ma. Ale szampana mogę zdobyć. Z głębi lodówki wyjmuję zieloną butelkę, a ja wyciągam korek delikatnie, żeby nie zbudzić Boletty. W wysokich kieliszkach przyjemnie szumi. Wznosimy toast. Siedzimy przy kuchennym stole w zwykłą wrześniową środę i pijemy szampana. Matka bierze mnie za rękę. – Kiedy? – pyta. – Kiedy? – Tak.

Kiedy będziecie mieć dziecko? – Jak najszybciej – odpowiadam. – Jak najszybciej? – My się tylko zdecydowaliśmy, że będziemy mieć dziecko, mamó. Przyciąga rękę do siebie i odsuwa butelkę. – Dlaczego tak mówisz? – szepcze. – Co mówię? – Że będziecie mieć dziecko? Mówisz tak tylko po to, żeby dostać coś do picia? Nie bardzo wiem, co się ze mną dzieje, ale nagle bierze nade mną górę wściekłość. – Nasze dziecko będzie przynajmniej miało ojca – prawie krzyczę. Matka nie odwraca oczu. To ja spuszcza wzrok. Spuszczam wzrok w momencie, gdy to powiedziałem, i piję szampana. – Nie musiałeś tego mówić – szepcze matka. Kręcę głową i staram się, żeby to wyglądało na sprawiedliwą urażę. Nie udaje mi się. – Przepraszam – szepczę. Podnoszę głowę. Czy matki zrobiły się czarne. I widzę, być może po raz pierwszy, bo takie to wyraźne, ta mina, niczym ślad na twarzy, jak bardzo Fred jest do niej podobny. Matka znów bierze mnie za rękę. – Nie ma o czym mówić, Barnum. – Owszem, chętnie o tym porozmawiam. – O czym chcesz rozmawiać? – Pamiętasz, jak razem z Fredem zabraliśmy Bolettę z Bieguna Północnego? Matka się uśmiecha. Nalewa do kieliszków. – Kto mógłby o tym zapomnieć?

Myśleliśmy, że umarliście. – Czy ona tam piła z twoim ojcem? – pytam. Matka milknie, zaniepokojona. – Mówiłam, że nie chcę o tym rozmawiać – oświadcza w końcu. Wstaję i zabieram butelkę do okna. Rabatki wzdłuż śmietnika prawie zarosły. Wokół schodów plenią się chwasty. Dzikie wino zaczyna się czerwienić jak żyły na murze. Wzruszam ramionami. – W porządku, nie mówmy o tym. Matka też wstaje. – Boletta tak wybrała – mówi cicho. – Dlaczego? – Ponieważ chciała mieć mnie, Barnum. Rozumiem, co matka mówi, lecz mimo wszystko tego nie rozumiem. – Co masz na myśli? – Nie chciała mieć męża, który zniknie. – Tak jak Stara? Boletta też znalazła marynarza, co? – Nie wiem, Barnum. I nie chcę tego wiedzieć. – Zawsze sobie wyobrażałem, że dziadek był konduktorem w tramwaju – mówię. Że pilnował mnie za każdym razem, gdy jechałem tramwajem z Majorstuen. – Przestań już, Barnum. – Lubilem tak myśleć, mamó. Że jeździ tramwajem i nas pilnuje. Nagle coś mi przychodzi do głowy, powoli, lecz nieuchronnie, i zaczynam się śmiać, śmieję się głośno. – O co znów chodzi? – pyta matka poirytowana. – Fleming Brant – szepczę. – I co z nim? – Może to on był mężem Boletty? – Nie wygłupiaj się, Barnum. – Ja naprawdę tak myślę! Montażysta jest twoim ojcem! To przecież jasne!

Matka mnie uderza. Potem kładzie mi rękę na ramieniu. – Wczoraj znów byłam na policji.

Pytałam o Freda. Zamykam oczy. – Powiedzieli coś nowego? – Powiedzieli, że zaginięcie nie jest przestępstwem – mówi matka. Zauważam trzech mężczyzn w eleganckich garniturach, którzy wychodzą z klatki przy bramie. Towarzyszy im dozorca Bang, również w garniturze, tym samym, który zwykle wkłada na pogrzeby. Zatrzymują się na schodach.

Bang wskazuje laską i wszyscy patrzą na dach. – Co się dzieje? – pytam. Matka zagląda mi przez ramię. – Podobno mówią o przebudowaniu suszarni na mieszkania. – Kto, do cholery, zechce mieszkać tam na górze? Matka odbiera mi butelkę i wstawia ją do lodówki. – Może ty i Vivian. I dziecko – dodaje. – Albo Fred – mówię szeptem.

Wróciłem do kiosku, zanim Boletta się obudziła. Zmieniła się w nocne zwierzę. Sypiała teraz tylko w ciągu dnia. Usiadłem na kempingowym krzeselku, otworzyłem piwo, żaluzji nie podnosiłem. Zrobiłem dopisek w notatniku przy tytule *Miejsca: Suszarnia na strychu*.

Co się dzieje z miejscem, kiedy przestaje istnieć, kiedy zostaje unicestwione, zrównane z ziemią? Czy miejsce jest wtedy jedynie punktem na starej nieprzydatnej mapie? Nie udało mi się jednak unieść tej myśli, znieruchomiałem w skoku, nie dość, że nie miałem wysokości, to brakowało mi jeszcze długości. Zjadłem batonik Cuba i wyjąłem ze średniowiecza Esther kilka spłowiiałych „Cocktaili”. Prędko przerzucałem zdjęcia piersiastych dam, które wyblakły z upływem lat, zawstydzonych, wyglądających tak, jakby zasypiały albo zaraz miały wybuchnąć płaczem, kiedy kucaly w wannach z pianą między piersiami. A ja szedłem aż na Frognerveien tylko po to, żeby kupić „Cocktail”. Ale gdy tak przerzucałem strony w tych zakazanych archiwach, przyszła mi do głowy inna myśl: Może mógłbym napisać jakąś historię do tego czasopisma i zarobić kilka koron. Gdybym trochę ominął, a trochę dodał, to może mógłbym wykorzystać to, co się zdarzyło w parku Frogner, kiedy Vivian wzięła mnie, mogłaby to być na przykład łagodna letnia noc, a nie mokra jesień, ze spokojnym miękkim światłem w drzewach. Potrafiłem sobie wyobrazić, że Vivian jest samotną kobietą z wyższych sfer, prawie trzydziestoletnią, na przejażdżce konnej, a ja ubogim, lecz genialnym ogrodnikiem, wrywającym chwasty koło Altany, ona rzuca się na mnie z taką samą dzikością, przewraca mnie w trawę, bierze do ust, chciwie i zdecydowanie. A może mógłbym napisać pornograficzną komedię? Nigdy dotychczas o czymś podobnym nie słyszałem. Ale kiedy się nad tym głębiej zastanowiłem, natychmiast zrozumiałem, że nic w tym dziwnego. Bo czyż śmiech i pornografia dają się ze sobą połączyć? Romantyzm jest skłonny do śmiechu, ale pornografia to tylko milczenie i popędy, kogo zresztą podnieci zabawny facet? To również zanotowałem. Wtedy ktoś zastukał do wąskich drzwi, prowadzących do bramy za kioskiem. Nie zdążyłem wstać.

Weszli do środka. Trzech. Obstąpili kempingowe krzeselko, jeden wyjął z szafki butelkę z colą i uderzył mnie nią w czoło. – Łapy z daleka od mojego brata! – powiedział. Nigdy wcześniej ich nie widziałem. Wiedziałem tylko, że należą do rodu dręczycieli. Zawsze znajdzie się jakiś dręczyciel, który może przekazać dalej dziedzictwo. Znow się tu pojawili. Poczulem czyjąś rękę na szyi. Zostałem odgięty do tyłu, a ten, który mówił, kopnął mnie w krocze. – Łapy z daleka od mojego brata! – wrzasnął. Usłyszałem trzask, jakby coś pękało, dźwięk pojawił się pierwszy, później ból, a w białym międzyczasie, między dźwiękiem czegoś, co pęka, a ciężkim mdłym bólem, mogłem opaść tak głęboko, jak tylko chciałem. Miał na myśli tych chłopców, którym dałem „Cocktail” i pogłaskałem po głowach? Próbowałem coś powiedzieć, ale głos mi zniknął. Pamiętam, że nagle znalazłem się na podłodze, ktoś stał mi na karku, a ten sam głos wrzeszczał: – Pierdolony peda! Siedzi tu i wali konia! Nie mogłem oddychać. Czekałem. Tylko czekałem. To musiało minąć. Czy właśnie tak o mnie mówili? O niewyrośniętym pedale z kiosku, który rozdaje słodczyce za darmo i obmacuje klientów? Czy taka właśnie była moja sława?

Mogłem wezwać policjanta z małego miasteczka. Mogłem zawołać Freda. Ale policjant poszedł do domu i nikt nie wiedział, gdzie jest Fred. Zdążyłem pomyśleć, że nigdy nie czułem się równie samotny. Błysnął nóż. Przecięli mi pasek, wyciągnęli go i zaczęli bić nim w twarz. Sprzączka zaczęła o powiekę jak haczyk, krew spłynęła do ust. Może to właśnie ta krew ich wystraszyła. W każdym razie uciekli, ale najpierw jeszcze połamali skrzynkę, której używałem jako stołka, i wykapali mnie w wodzie od parówek. Potem zrobiło się ciemno i zupełnie cicho. Kiedy się obudziłem, widziałem tylko na jedno oko.

Zdołałem się podnieść. Miałem zapasową koszulę wiszącą przy drzwiach, na wypadek gdybym pobrudził się musztardą albo ketchupem. Przebrałem się. Trochę posprzątałem.

Wyrzuciłem „Cocktaile” i parówki do śmietnika w bramie. Potem poszedłem do Beauty Salon na Jacob Aalls gate, gdzie pracowała Vivian. Zwykle tam zaglądałem pod koniec dnia. Lubiłem na nią patrzeć, gdy zajmowała się zmęczonymi paniami z Majorstuen i Fagerborg, gdy ukrywała zmarszczki, wklepywała w policzki tymczasowy triumf, lubiłem tę cichą próżność, przerywaną jedynie krótkimi rozmowami, może o nowej fryzurze którejś ze spikerek albo ostatnim kremie na noc z Paryża, obdarzonym mocą wskrzeszania z martwych. Klientki zawsze wracały do Vivian. Uzależniały się od niej. Była czarodziejką. Teraz zajmowała się szyją jakiejś starszej pani, kładła cień na obwisłą skórę, a ja pomyślałem z pewnym smutkiem, że cała uroda jest koniec końców tylko omamem wzrokowym. Wreszcie Vivian dostrzegła mnie w lustrze. Odłożyła wszystko, co trzymała w rękach, i podeszła do krzesła, na którym siedziałem. – Boże, jak ty wyglądasz – szepnęła. – Obrabowali mnie. Vivian pochyliła się nade mną. – Musisz iść do lekarza, Barnum. – Sama możesz mnie tutaj połatać – powiedziałem. – Zaczekaj na zapleczu. – Wystraszę ci klientkę? – Tak – odparła. Poszedłem na zaplecze. Zapach szminek i kremów znieczulał. Zasnąłem. Vivian mnie obudziła. Teraz przyszła moja kolej. Salon był zamknięty, a ja mogłem wreszcie usiąść w miękkim fotelu przed lustrem. Nie poznałem własnej twarzy. Byłem obcy. Vivian zmyła mi krew wacikiem. – Naprawdę cię obrabowali? – Niewiele zabrali. – Ale chyba musisz to zgłosić? – To byli tylko chłopcy, Vivian. Nie chcę marnować im życia. Vivian westchnęła. – Jesteś za dobry – powiedziała.

Roześmiałem się. – Jestem marnym handlarzem. Sprawiało mi przyjemność, że się mną zajmuje. Lubiłem jej miękkie, lecz mimo wszystko zdecydowane dłonie. – Zgadnij – powiedziałem. – No co? – Będą przebudowywać suszarnię na strychu u matki. Możemy mieć tam mieszkanie. – A chcesz? – Nie zamierzasz chyba mieszkać w jednym pokoju, kiedy będziemy mieli dziecko? Vivian popatrzyła na mnie w lustrze. – Myślisz, że uda nam się zrobić dziecko? – spytała. – Idę jutro do szpitala. – To dobrze, Barnum. Vivian dalej reperowała mi twarz. Czyściła rany, powiekę nasmarowała maścią. – Jeszcze trochę różu – poprosiłem ładnie. W taki oto sposób nabawiłem się tego oka, które wprawiało ludzi w zmieszanie i irytowało, nerw w lewej powiece został bowiem zniszczony, nie czułem jej i dlatego czasami zdarzało się, że ta powieka sama mi opadała, nie mogłem jej wtedy podnieść, wyglądało to tak, jakbym chciał puścić oko z chytrą miną. Czasami ludzie uważali, że już jestem pijany, że zasypiam albo że po prostu zachowuję się bezwstydnie i z wyższością, moja twarz nabrała krzywego charakteru, czegoś ukrytego, jedna strona otwarta, druga zamknięta, mięsień okrężny oka przestał działać i mówi się o mnie, że mam tylko pół twarzy.

(divina commedia barnuma)

Padał deszcz. Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby tak padało. Ściana wody, wytapetowana w liście, ukośnie opadała z niskiego ciężkiego nieba. Z powrotem zaciągnąłem zasłony i wróciłem do łóżka. Mały przezroczysty pojemniczek przysłany ze Szpitala Centralnego był jakimś idiotycznym wynalazkiem. Musiałem leżeć na boku i celować, w bardzo niewygodny sposób, jednocześnie walcząc o erekcję, były to dwa sprzeczne ze sobą ruchy, które skracały myśli, przyprawiając mnie o pustkę w przysadce i miękkość między nogami. Jądra bolały. Gdy ich dotykałem, miałem wrażenie, jakbym trzymał dwie torebki pełne potłuczonego szkła. Vivian wyszła z łazienki. – Nie wychodzi? – spytała. – Staram się – powiedziałem. – Pomóc ci? – Owszem, dziękuję. Co innego mogłem powiedzieć? Byłem bezradny. Położyła się za mną, pogładziła mnie ręką po brzuchu i ujęła za członka. Była jednak zbyt gwałtowna.

Wydawało jej się, że odkręca kran? Moja martwa powieka opadła i połowę mnie zamknęła w środku, przysła mi do głowy straszna myśl, nagły obraz, przez który wszelka zapowiedź podniecenia znów opuściła mózg: powieka to napletek oka. – Ostrożniej – szepnąłem. – Boli? – Trochę. Vivian puściła, przeniosła się na drugą stronę, wzięła mnie w usta, i wtedy zrozumiałem, jakie to dla niej ważne, żebym zdołał napęlić ten pojemniczek szarawą lepką alkaliczną cieczą. Nigdy wcześniej nie brała mnie do ust, a ja też ją o to nie prosiłem. Byłem tak zaskoczony, że natychmiast mi stanął, twardy i wyprostowany między wąskimi wargami Vivian, reszta pozostawała już tylko kwestią czasu. Nie przestawało padać. Odgłos deszczu nas otoczył, jakbyśmy mieszkali na wyspie pośrodku wartko płynącej rzeki. – Już – szepnąłem. Vivian się cofnęła, wykręciłem się nad pojemniczek i wypełniłem go najlepiej jak potrafiłem. Vivian już czekała z papierową serwetką, wytarła wszystko to, co nie trafiło do pojemniczka, i nałożyła przykrywkę.

Potem poszła do łazienki. Usłyszałem, że wymiotuje. Za trzy godziny pojemnik musiał znaleźć się w laboratorium w Szpitalu Centralnym, tak aby kryształki mojego nasienia mogły dostać pozwolenie na długą podróż do jajeczka Vivian, albo zostały wylane do najbliższego zlewu. Popatrzyłem na zegarek. Była dziesiąta. Vivian znów przy mnie usiadła. – Mam jechać z tobą? – spytała. Wziąłem ją za rękę. – Nie musisz. Ale dziękuję. – Pilnuj swojego towaru. Tak właśnie rozmawialiśmy. Mówiliśmy „towar”. W nasz język wdarł się chłód. Mierzyliśmy nasz związek w temperaturach. Liczyliśmy dni pomiędzy kolejnymi menstruacjami i skreślaliśmy w kalendarzyku. A ja dostarczałem towar. Ale od dawna już nie było dostawy do jej sklepu. Tak rozmawialiśmy. – Pojadę taksówką prosto do laboratorium – powiedziałem. Cmoknęła mnie w czoło, wzięła parasol i poszła do Beauty Salong. Dalej leżałem. Słyszałem jej kroki na schodach. Słyszałem deszcz i wiatr.

Pojemniczek leżał przy mnie z szarawym kleksem na dnie, mój towar, który mógł być połową człowieka, wybrakowana matryca. Wziąłem prysznic, włożyłem czyste ubranie, wypaliłem papierosa i zadzwoniłem do centrali taksówek. Nikt nie odebrał. W końcu długi sygnał zamilkł. Zadzwoniłem na postój na Sankthanshaugen. Zajęte. Spróbowałem też na Majorstuen. Tam również było zajęte. Znów zadzwoniłem do centrali. Po mniej więcej dwunastu minutach połączyłem się z automatyczną sekretarką. W obecnej chwili jest duży ruch. Proszę raczej próbować dzwonić na któryś z naszych sześćdziesięciu postojów.

Wypróbowałem dwa. Postanowiłem wypróbować jeszcze jeden, Bislet. Na Bislet również było zajęte. Zrobiło się już wpół do jedenastej. Zaczęło mi się spieszyć. Chwyciłem płaszcz od deszczu, schowałem pojemniczek do wewnętrznej kieszonki i pobiegłem na Sankthanshaugen. Nie było tam ani jednego samochodu. Telefon w zielonej budce dzwonił bez przerwy. Deszcz płynął ze wszystkich stron. Już miałem pognać w dół Ullevålsveien, minąć kiosk, ale ktoś zawołał mnie po imieniu. Zatrzymałem się i obejrzałem. Siedział na ławce przy stawie. – Barnum! – zawołał jeszcze raz, machając do mnie. Podeszedłem do niego, chociaż nie bardzo miałem ochotę. To był mój dawny dręczyciel, Chomik. Już wcześniej słyszałem o nim plotki, a teraz mogłem się przekonać, że były prawdziwe. Teraz to on był udręczony, a ja nie czułem żadnego współczucia. Przypominał Dustina Hoffmana w *Nocnym kowboju*, po śmierci. Miał takie suche spojrzenie. Przez moment pomyślałem, że to ja mógłbym tu siedzieć i że być może będę tu kiedyś siedział, pewnego dnia, sam, w deszczu, w parku, różnica między nami polegała wyłącznie na tym, że ja wybrałem powolne drobiazgowo picie, on natomiast zdecydował się na zestaw chemiczny i krew, bomby z ostrymi odłamkami. Miał żyłaki na twarzy. Włożył okulary przeciwsłoneczne. – To ty, Barnum? Kiwnąłem głową. – Chyba mnie pamiętasz, Barnum? – Nie – odparłem.

Chomik zaśmiał się ciężko. – Nie pieprz, dobra. Byłem kumplem twojego brata. – Naprawdę? – Cholera, pewnie, Barnum, ten twój szalony brat i ja byliśmy kumplami.

Pomyślałem: czas i oszołomienie sprawiają, że kłamstwo staje się łatwe, a raczej nie łatwe, tylko konieczne. – Teraz sobie przypominam – odpowiedziałem. Chomik podniósł rękę i rozsunął żółte palce. – No przecież mówię. Jesteśmy kumplami, prawda? – Kumplami? – Cholera, Barnum, zawsze cię lubiłem, prawda? – To dlatego mnie biłeś? – spytałem. Chomik zapalił skręta. Płomień zgasł, zanim tytoń się zajął. – To nie ja. To Aslak i Preben cię bili, nie pamiętasz? Nic nie powiedziałem. To była moja odpowiedź. – Nie złość się, Barnum. Przecież ja ich próbowałem powstrzymywać. Nie mogłem dłużej tego słuchać. – Miło cię było spotkać, Chomik – powiedziałem. Ale on mnie nie puszczał, zatrzymał mnie. Wciąż miał w sobie siłę, chudą żylastą siłę, a może to działały po prostu mięśnie paniki. Usłyszałem chłopot w wewnętrznej kieszonce. – Puść mnie, do cholery! – wrzasnąłem. Chomik puścił. – Masz trochę grosza na zbyciu, Barnum? – szepnął. Dałem mu piątkę. Popatrzył na nią smutno i schował ją do kieszeni. I nagle jakby nie miał już nic do stracenia, nie musiał się przypochlebiać, wystarczyło, że dostał ode mnie piątkę i znów mógł być szczery i zły. – Wydaje ci się, że jesteś kimś, mały?! – zawołał. Odszedłem. Za plecami słyszałem śmiech Chomika i nagle nie mogłem go już dłużej wytrzymać, nie mogłem dłużej wytrzymać śmiechu Chomika. Zawróciłem. Chciałem się z nim policzyć, raz na zawsze. Teraz to Chomik był mniejszy i nie mógł mną dłużej poniewierać. Miał się o tym wkrótce dowiedzieć. Miał się rozwodnić. Nadeszła godzina zemsty za te wszystkie lata, które minęły, odkąd opróżnili mój tornister na Holtegata i ściągnęli mi spodnie na Riddervolds plass. Teraz miałem się rozliczyć za bezsenne noce. To ja byłem górą.

Zatrzymałem się przed Chomikiem. Nie miał siły podnieść oczu. Mógłbym mu rozgnieść te ciemne okulary. Gdybym miał lusterko, mógłbym mu pokazać, kim się stał. Stałem tak przez chwilę, potem bez słowa rzuciłem pięćdziesiąt koron na brudne kolana. Niech ma za swoje. Tych pięćdziesiąt koron jeszcze go zapieczę. Na postój skręciła taksówka.

Puściłem się biegiem, ale gdy dotarłem na miejsce, uświadomiłem sobie, że nie mam ani grosza. Chomik dostał ostatni banknot. Popatrzyłem na ławkę. Zostało tylko płaskie niebieskie opakowanie po tytoniu i para ciemnych krzywych okularów, jego nie było.

Chomik już odszedł i nigdy więcej go nie zobaczyłem. Na tylne siedzenie taksówki z trudem wsunęła się jakaś starsza kobieta z pełnymi siatkami z monopolowego i samochód odjechał. Odwróciła się i pomachała z uśmiechem za mokrą szybą, przypominała trupa w karawanie, który podnosi się i żegna, poznałem tę białą twarz, to była Kostucha, nauczycielka Kostucha, machała ręką swemu dawnemu uczniowi, który został w deszczu, potem ona zniknęła za skrzyżowaniem i kroplami deszczu. Pobiegłem do banku na Waldemar Thranes gate, żeby wypłacić pieniądze. Zegar nad drzwiami wskazywał za piętnaście jedenastą. Wypełniłem blankiet, podałem go w okienku razem z dowodem. Kasjerka, młoda kobieta, byłaby w moim wieku, potrzebowała dużo czasu na realizację tego prostego zlecenia. Od czasu do czasu zerkała na mnie, usta miała w różkie i czerwone. Moja powieka znów się obłuzowała i opadała. Kobieta prędko odwróciła wzrok. Zegar posuwał się ku jedenastej. Poczuję nagle głęboką nieprzyjemną irytację wywołaną poczuciem, że stoi się nieruchomo, że się utknęło, jak w zimnym niebie. Trochę mi się spieszy i odparę. Młoda kasjerka pokręciła głową, zwracając mi dowód. Konto jest niestety puste i powiedziała tak głownie, jak gdybym był przygłuchy albo przygłupi, jej leniwe usta zmieniły się w tubę. Wobec tego chyba trzeba będzie się pospieszyć i zarobić trochę pieniędzy i powiedziała tak samo głownie. Ale za mną w kolejce stał ojciec Vivian i zagradza mi drogę, nikt inny, tylko Aleksander Wie, którego nie widziałem od ostatniego obiadu u nich. Musiała stać tam już od jakiegoś czasu, nie wyglądała na zbyt zaskoczonego. Spojrzała na mnie tylko z gryzą i powiedziała: Pójdziemy teraz na kawę.

Zegar z trzaskiem przesunął wskazówki na kwadrans po jedenastej. Popatrzę na niego z dołu, z ręką w wewnętrznej kieszonce. Właściwie to bardzo, ale to bardzo mi się spieszy i szepnę. Aleksander Wie leciutko się uśmiechnął. Dlatego idziemy od razu!

Wyszedł z kolejki, a ja za nim. Ciężko padało. Musiałem iść pod jego czarnym parasolem.

Wolałbym tego uniknąć. Poszliśmy do Brzydkiego Kaczka i usiedliśmy przy oknie.

Zamówiłem dla nas kawę i duńskie drożdżówki, a kiedy na nie czekaliśmy, czytałem okulary.

W?rodku by?o okropnie gor?co. Pot sp?ywa? mi?po karku. Zastanawia?em si?, czy towarowi nie zaszkodzi? takie zmiany temperatury. Aleksander Wie nagle spojrz? na?mnie. ? Serce ci? boli? ? Nie, a?dlaczego? ? Bo?ca?y czas si? za?nie trzymasz. Po?o?y?em r?k? na?stole. Kelnerka nareszcie wr?ci?a. Po?rodku postawionej przede mn? okr?g?ej dro?d??wki le?a?a sadzawka ciep?ego szarego lukru. Zamkn??em oczy. Nie da?em rady je??. Wypi?em kaw?. J?dra mnie bola?y. To?si? musia?o wkr?tce sko?czy?. ? Przykro mi, ?e?tak si? u?o?y?o tamtego wieczoru, kiedy byli?cie u?nas na?obiedzie ? powiedzia? Aleksander Wie. ? W?porz?dku ? odpar?em. ? Widzisz, naprawd? si? cieszyli?my. ? Oczywi?cie. Strasznie si? teraz poci?em. Do?jakiego stopnia cz?owiek mo?e by? uprzejmy?ą twarz, to by?a Kostucha, nauczycielka Kostucha, macha?a r?k? swojemu dawnemu uczniowi, kt?ry zosta? w deszczu, potem i ona znikn?a za skrzy?owaniem i kroplami deszczu. Pobieg?em do banku na Waldemar Thranes gate, ?eby wyp?aci? pieni?dze. Zegar nad drzwiami wskazywa? za pi?na?cie jedenast?. Wype?ni?em blankiet, poda?em go w okienku razem z dowodem. Kasjerka, m?oda kobieta, by? mo?e w moim wieku, potrzebowa?a du?o czasu na realizacj? tego prostego zlecenia. Od czasu do czasu zerk?a?a na mnie, usta mia?a w?skie i czerwone. Moja powieka zn?w si? oblu?owa?a i opad?a. Kobieta pr?dko odwr?ci?a wzrok. Zegar posuwa? si? ku jedenastej. Poczule? nagle g?ebok? nieprzyjemn? irytacj? wywo?an? poczuciem, ?e stoi si? nieruchomo, ?e si? utkne?o, jak w z?ym ?nie. – Troch? mi si? spieszy – odpar?em. M?oda kasjerka pokr?ci?a g?ow?, zwracaj?c mi dow?d. – Konto jest niestety puste – powiedzia?a tak g?o?no, jak gdybym by? przyg?uchy albo przyg?upi, jej leniwe usta zmieni?y si? w tub?. – Wobec tego chyba trzeba b?dzie si? pospieszy? i zarobi? troch? pieni?dzy – powiedzia?em tak samo g?o?no. Ale za mn? w kolejce sta? ojciec Vivian i zagradza? mi drog?, nikt inny, tylko Aleksander Wie, kt?rego nie widzia?em od ostatniego obiadu u nich. Musia? sta? tam ju? od jakiego?

czasu, nie wyglądał na zbyt zaskoczonego. Spojrzał na mnie tylko z góry i powiedział: – Pójdziemy teraz na kawę.

Zegar z trzaskiem przesunął wskazówki na kwadrans po jedenastej. Popatrzyłem na niego z dołu, z ręką w wewnętrznej kieszonce. – Właściwie to bardzo, ale to bardzo mi się spieszy – szepnąłem. Aleksander Wie leciutko się uśmiechnął. – Dlatego idziemy od razu!

Wyszedł z kolejki, a ja za nim. Ciągle padało. Musiałem iść pod jego czarnym parasolem.

Wolałbym tego uniknąć. Poszliśmy do Brzydkiego Kaczątka i usiedliśmy przy oknie.

Zamówił dla nas kawę i duńskie drożdżówki, a kiedy na nie czekaliśmy, czyścił okulary.

W środku było okropnie gorąco. Pot spływał mi po karku. Zastanawiałem się, czy towarowi nie zaszkożą takie zmiany temperatury. Aleksander Wie nagle spojrzał na mnie. – Serce cię boli? – Nie, a dlaczego? – Bo cały czas się za nie trzymasz. Położyłem rękę na stole. Kelnerka nareszcie wróciła. Pośrodku postawionej przede mną okrągłej drożdżówki leżała sadzawka ciepłego szarego lukru. Zamknąłem oczy. Nie dałem rady jeść. Wypiłem kawę. Jądra mnie bolały. To się musiało wkrótce skończyć. – Przykro mi, że tak się ułożyło tamtego wieczoru, kiedy byliście u nas na obiedzie – powiedział Aleksander Wie. – W porządku – odparłem. – Widzisz, naprawdę się cieszyliśmy. – Oczywiście. Strasznie się teraz pociłem. Do jakiego stopnia człowiek może być uprzejmy?

Czy można umrzeć z uprzejmości, czy też mowa jest o zawstydzeniu, służalczości, słabości, deficycie woli, który robi z ciebie niewolnika i poddanego przypadków?

Aleksander Wie nachylił się nad obrusem. Spozstrzegłem, że się zmienił. Ogarnął go jakiś mroczny niepokój, głęboka rezygnacja, stał się człowiekiem przyjmującym rzeczy za oczywiste i rezygnował z nich. I tak wszystko było takie, jakie było. – Tak niewiele trzeba, żeby coś się nie udało – szepnął. – Wiem – odparłem. Znów się uśmiechnął, nie tym otwartym obnażającym uśmiechem, lecz uśmiechem człowieka zrezygnowanego, przypominającym westchnienie, będącym odpowiednikiem wzruszenia ramion nad sumą głupoty tego świata. To piękny, niepokojący uśmiech. Jeszcze bardziej się zdenerwowałem. – Wiesz? – spytał. – Naprawdę muszę już iść – powiedziałem. – Przecież nie zjadłeś swojej drożdżówki. Zjadłem. Gładki, lepki lukier spłynął mi po wargach, próbowałem go przełknąć, ale utkwiał na języku. Zalałem go resztą kawy.

Aleksander Wie podał mi serwetkę. – Dziękuję – szepnąłem. Nachylił się jeszcze bliżej. – Jedno słowo goni drugie – powiedział cicho. Wkrótce nie można się wycofać z tego, co się powiedziało. Wytarłem usta sztywnym papierem. – No tak – odparłem. Ale on nie mnie chciał słuchać, wsłuchiwał się we własne słowa. – To tak jak na procesie, na którym świadek mówi tak dużo, że w końcu trafia na ławę oskarżonych. – Nie bardzo rozumiem – stwierdziłem. Aleksander Wie podniósł filiżankę, ale zaraz wolno ją odstawił. Kawa wystygła, zanim dotarła do stolika. – Kiedy moja żona doznała obrażeń podczas tego wypadku, chciałem ją porzucić – powiedział. Nie miałem siły o tym słuchać. Nie chciałem wiedzieć więcej. – Ale tego nie zrobiłeś! – prawie krzyknąłem. Aleksander Wie pokręcił głową. – Nie, zostałem z Annie z litości. – To wcale nie najgorsze, co się może zdarzyć – powiedziałem. Aleksander Wie roześmiał się ściszym warkliwym śmiechem. – Litość to tylko elegancka forma pogardy, Barnum. Odetchnąłem głębiej. – Mieliście też córkę – przypomniałem. Spuścił wzrok, przez moment zawstydzony. A więc rezygnacja nie była jeszcze kompletna. W jego mrocznym spokoju istniała szczelina, przez którą wpadała odrobina światła. Chciał rozmawiać o czymś innym. – Wierzysz w przypadki? – spytał. – Przecież spotkałem cię dzisiaj w banku – powiedziałem. – To wcale nie jest takie niezwykle. Chciałem opłacić wasz czynsz. – Co? – Myślałem raczej o tym, co opowiedziała mi twoja matka, o tym, że twój ojciec miał kiedyś buicka. – Ojciec był dobrym kierowcą – powiedziałem. Aleksander Wie uśmiechnął się. – Z pewnością.

Sądysz, że można coś naprawić? – Nie wierzę w przypadki – powiedziałem. Aleksander Wie przez chwilę milczał. – Czy to nie dziwne, że ludzi nie można naprawić? – szepnął.

Potem wyjął portfel i położył na stoliku dwieście koron. – Kup dzisiaj coś ładnego dla Vivian, Barnum. Nie chciałem tych pieniędzy. – To nie jest konieczne – powiedziałem. – Chciałbym, żebyś kupił coś ładnego dla Vivian. – To nie jest konieczne – powtórzyłem.

Ale Aleksander Wie nie ustępował. Miałem wrażenie, że nikt nie słucha, co mówię.

Wepchnął mi banknoty do kieszeni płaszcza. Musiałem mocno przytrzymać pojemnik. – Bardzo dziękuję – powiedziałem. – Powiedz, że się za nią stęskniliśmy – szepnął. – Dobrze. Wstałem i wyszedłem. Deszcz nie przestawał padać. Na postoju nie było żadnej taksówki. Telefon bez przerwy dzwonił. Niedługo deszcz podniesie słuchawkę i zacznie odpowiadać. Pobiegłem w dół Ullevålsveien. Była za piętnaście dwunasta. Ale kiedy mijałem czarne ogrodzenie Cmentarza Zbawiciela, ujrzałem tam bezradną postać, którą natychmiast poznałem. Zatrzymałem się. Nie wiedziałem, co robić. Miałem tam wejść, czy raczej nie zwracać na nią uwagi i dopełnić swojego obowiązku, dostarczyć towar do Szpitala Centralnego przed pierwszą? Między grobami stała Esther. Wywijiała laską, jak gdyby usiłowała spuścić lanie pogodzie albo otworzyć oporny parasol. Nie miałem wyboru. Odszukałem furtkę, podszedłem do niej. Czy to była litość, elegancka forma pogardy Aleksandra Wie? Nie, bo inne zachowanie, minięcie jej, byłoby niebezpiecznym cynizmem, obojętnością na wszystko, co dotyczy zdrowia i higieny osobistej. A ja mam serce łatwe do utrzymania w czystości. Zatrzymałem się w odległości kilku kroków od niej, żeby nie trafiła mnie laską. – Cześć, Esther – powiedziałem. Powoli zakończyła swoją rundę z deszczem. Oczy miała puste. – To ja – powiedziałem. Znieruchomiła.

Podszedłem bliżej i wyciągnąłem rękę. Cofnęła się. – Nie poznajesz mnie, Esther? Prędko pokręciła głową. Może nie rozumiała też, co mówię. Może mowa też się z niej wylała.

Zobaczyłem, że pod płaszczem jest tylko w żółtej nocnej koszuli. A na stopach miała brązowe wykoślawione kapcie. – To przecież ja, Barnum – szepnąłem. Ten, który siedzi teraz w twoim kiosku. Ale słowa już na nią nie działały. – Kandyz – spróbowałem. To też nie pomogło. Na twarzy Esther widniała jeszcze większa pustka. Do jakich znaków mógłbym się uciec, jakich sygnałów użyć? Wyjąłem pojemniczek z wewnętrznej kieszonki płaszcza i pokazałem go jej, zakołysałem nim tak, żeby kleks przelał się z boku na bok, przypomniały mi się nagle szklane kule, w których pada śnieg, kiedy się je odwróci. W tej samej chwili Esther jakby wróciła świadomość, nastąpiła odwrotność wylewu, zadziałała siła, która wciąga kroplę z powrotem do zardzewiałego kranu i oczyszcza rozum.

Zawstydzila się, zakłopotala, popatrzyła na siebie, na koszulę nocną, na kaptcie, nawet się zaczerwieniła, jak gdyby przyłapano ją na gorącym uczynku bycia człowiekiem. – Chyba zablądziłam, Barnum – szepnęła. – No tak, bo na razie jeszcze nie idziesz na cmentarz – odparłem. Podeszła bliżej, bliska płaczu. – Nic złego nie zrobiłam – zaszlochała. – Z całą pewnością, Esther. Nie zrobiliśmy nic złego. Ująłem ją za rękę i zaprowadziłem do Prins Augusts Minde na Storgata. Panowało tam wielkie poruszenie. Esther zginęła już poprzedniego dnia wieczorem. Zawiadomiono policję, a kilka pielęgniarek szukało jej na Ankertorget i wzdłuż rzeki Aker. Natychmiast się nią zajęto, a ja musiałem wyjaśniać, gdzie ją znalazłem i w jakim stanie. Powiedziałem, że przyszła do swojego starego kiosku, którym teraz zarządzam, i że wszystko było w porządku. Gdy ją myto i ubierano, czekałem w jej dwuosobowym pokoju. Druga pani leżała w łóżku, była taka maleńka i chuda, że ledwie rzucała jakikolwiek cień. Obróciła się pod kołdrą. – Czy Esther wróciła? – spytała szeptem. – Esther jest na miejscu – odparłem. A wtedy w jej błyszczących oczach ukazało się rozczarowanie, tak jakbym powiedział, że Indianin z *Lotu nad kukułczym gniazdem* zmienił decyzję, wspiął się do środka przez rozbite okno, poprosił o gumę do żucia i elektrowstrząsy. – Tak, tak – powiedziała tylko i odwróciła się do jasnozielonej ściany.

Dwie pielęgniarki przyprowadziły Esther i położyły ją do drugiego łóżka. Było dziesięć po dwunastej. Wydaje mi się, że nafaszerowały ją jakimiś pigułkami, bo ręce miała ciężkie jak rondle. Siedziałem przy niej przez chwilę. Przypuszczałem, że znów zabłądziła we własnej głowie, lecz kiedy nagle się odezwała, przemówiła ze zmęczoną jasnością, taką, z jaką czasami przed snem pojawia się wizja, płomień, w którym ciemność staje się widoczna. – Twój ojciec nie był dobrym człowiekiem – powiedziała. Puściłem jej rękę. – Co ty mówisz? Ale płomień już się wypalił, pozostawiając w niej po sobie tylko wielki cień. – Chociaż przywiózł nylonowe pończochy – szepnęła. Potem Esther zasnęła i był to ostatni raz, kiedy udało mi się z niej wydobyć jakieś rozsądne słowo. – Dobranoc, Esther – powiedziałem. A kiedy stanąłem w deszczu na Storgata, wypatrując taksówki, bo teraz naprawdę musiałem znaleźć się w Szpitalu Centralnym z pojemniczkiem, była prawie za dziesięć pierwsza, ktoś głośno zatrąbił kilka razy i jakiś samochód w oplakany stanie gwałtownie zahamował przede mną, zalewając mi buty falą błota. To był vauxhall i szybko opuścił Oscar Miil. – Wsiadasz, Barnum? Wsiadłem. Poklepał mnie po ramieniu. – Gdzie cię mogę zawieźć? – spytał. – Do Szpitala Centralnego – powiedziałem. Prędko. Uśmiech zniknął z jego ust. – Chyba nie jesteś chory? – Mam tam tylko dostarczyć pewien towar – powiedziałem. Oscar Miil szarpnął drążkiem zmiany biegów, kopnął w pedały, huknęło w cylindrze i wyskoczyliśmy na Storgata. Musiałem przytrzymywać pojemniczek obydwiema rękami. Działała tylko jedna wycieraczka. Na szczęście ta po jego stronie.

Miał szparkę, przez którą mógł wyglądać na deszcz, skrzył w stronę kina Centrum. – Zacząłeś pracować jako posłaniec? Oscar Miil popatrzył na mnie, a wolałem, żeby patrzył na drogę. – Jako posłaniec? – Powiedziałeś przecież, że masz dostarczyć jakiś towar?

Roześmiałem się. – Próbkę nasienia. Mam ją tu, w kieszonce. Pochylił się nad kierownicą. – To miłe, żeście się związali z Vivian – stwierdził. – Dziękuję. Stało się, jak się stało. – Na pewno będziecie mieli piękne dziecko. Próbował zamknąć okno, ale najwyraźniej się zacięło. Jechaliśmy vauxhallem pełnym deszczu. – Masz jakieś wiadomości od Pedera? – spytał Oscar Miil. – Nie – odparłem. A wy? – Dzwoni czasami.

Ale zawsze w środku nocy. Oscar Miil nie powiedział nic więcej, dopóki z hukiem nie zaparkował przed Szpitalem Centralnym. Była za pięć pierwsza. – Wszystko będzie dobrze – powiedział. – Z Pederem? Oscar Miil znów odwrócił się do mnie. Deszcz zalewał samochód. – Z nami wszystkimi – odparł i wskazał moją twarz. Powinieneś coś zrobić z tym swoim okiem – stwierdził. Poczulem, że ciężka powieka mnie łaskocze. – A pan powinien coś zrobić z tym swoim oknem. Objął mnie i uściśnął. – Wszystko będzie dobrze z nami wszystkimi – powtórzył. – Tak – powiedziałem. Jasne. Wszystko będzie dobrze. I nie wiem już, kto kogo pocieszał. Puścił mnie wreszcie, wyczołgałem się z samochodu i Oscar Miil pojechał dalej swoim ciasnym vauxhallem, zatrąbił trzy razy i zniknął za rogiem. Pomachałem mu, chociaż już go nie widziałem, widziałem tylko deszcz lejący się po zdrowym oku. Nagle przypomniałem sobie, dlaczego tu jestem.

Dotarłem na miejsce. Wszedłem do zniszczonego chorego miasta, w którym nikt nie mógł pozbyć się zapachu śmieci i mydła. Syreny przez cały czas zbliżały się i nikły w oddali.

Lekarze zmierzający na inny oddział biegli pod czarnymi parasolami, przypominało to smutny musical. Musiałem spytać strażnika o drogę. Wskazał mi jakąś bramę, na tylnym podwórzu znalazłem właściwe laboratorium. Zjechałem windą do piwnicy, to była winda towarowa. Strzałka w małej gablotce za szkłem przy drzwiach zatrzymała się przy literce I, dalej winda nie jechała, I było ostatnią literą w alfabecie windy, ale winda i tak spadała dalej, straciłem rachubę, a kiedy się zatrzymała, miałem zatkałe uszy. Rozsunąłem kratę i chwiejnym krokiem wyszedłem na zielony korytarz. Zobaczyłem chudego człowieka w białym fartuchu, który zniknął w jakimś pokoju. Pospieszyłem za nim. Na drzwiach był napis: *Doktor Lund*. Byłem na miejscu. Udało mi się. Zapukałem. Otworzył mi doktor Lund, ten chudy mężczyzna. – Barnum Nilsen – przedstawiłem się i podałem mu pojemniczek. Obejrzał go pod światło. – Proszę zaczekać na zewnątrz – powiedział.

Kawałek dalej na korytarzu znalazłem wolne krzesło. Usiadłem. Siedzieli tam już dwaj mężczyźni. Byli starsi ode mnie, mniej więcej czterdziestoletni. Ale i tak byliśmy równi wiekiem. Bo tu nikt nie miał wieku. Tu byliśmy jednakowi. Byliśmy sobie równi.

Popatrzyliśmy przelotnie na siebie, zażenowani, może zawstydzeni, potem przenieśliśmy spojrzenia, wbiliśmy je w coś innego, w plamę na linoleum, w haczyk w ścianie, na którym nic nie wisiało, w świetlówkę, która migiała, aż w końcu całkiem zgasła. Żaden z nas się nie odzywał. Nie było już nic więcej do powiedzenia. Dostarczyliśmy nasienie.

Gdzieś w jakimś innym miejscu czekały nasze kobiety. Czekwały na odpowiedź. Czy któraś z tych komórek jest w stanie wdrzeć się w jajeczko, stopić z jego jądrem i rozpocząć mozolne budowanie nowego życia? Krótko mówiąc, czy jesteśmy mężczyznami, którzy się do czegoś nadają? Zasnąłem. Śniło mi się, że jestem w łodzi. Płynę do stromego zielonego brzegu. Z dziobu wlatuje czarny ptak, rozpościera skrzydła i zasłania słońce. Wstaję, podnoszę wiosło, żeby uderzyć tego czarnego błyszczącego ptaka. Upadam. Leżę na dnie łodzi, nakryty żaglem. Szukam noża, którym mógłbym się spod niego uwolnić. Obudziła mnie pielęgniarka. – Może pan teraz wejść – szepnęła. Poszedłem za nią do laboratorium.

Tamci dwaj mężczyźni już wyszli. Doktor stał tyłem, pochylony nad mikroskopem. Pokój był biały. Półki wzdłuż ścian zapełniały probówki i wąskie szklanki. Teraz doktor gwałtownie odwrócił się do mnie. – Pan jest kierowcą ciężarówki, Barnumie Nilsen? – spytał. – Ciężarówka? Nie mam prawa jazdy. – Często pan chodzi w obcisłych spodniach? – Nie, wolę, żeby były luźne. – Ma pan rodzeństwo? – Tak, brata.

Przyrodniego. Doktor poprawił wąskie okulary na ostrym nosie i przerzucił kilka papierów. – Czy w pana rodzinie była choroba umysłowa? – Choroba umysłowa? Nic mi o tym nie wiadomo. – Nie wie pan tego? – W mojej rodzinie nie było umysłowo chorych. – Miał pan rzeżączkę? – Co? – Syfilis. – Syfilis? Nigdy. – Jest pan hipochondrykiem? – Nie. – Jest pan histerykiem? – Nie! – zawołałem. – A dużo pan pije?

Musiałem oprzeć się o ścianę. – Tylko wtedy kiedy piję – szepnąłem. – Jak często? – Od święta. – Niech pan nie nabierze złych nawyków, Barnumie Nilsen. – Dobrze, doktorze.

Podszedł bliżej. – Bo w alkoholizmie z czasem zniszczeniu ulega cała psychika, pozostaje jedynie bolesny nieprzerwany pociąg do alkoholu, ale organizm przestaje go tolerować i z człowieka pozostaje wrak, który w końcu pochłania śmierć. Rozumie to pan, Barnumie Nilsen. – Tak – szepnąłem. – Co pan robi? – Piszę. – A wtedy oczywiście pan siedzi? – Czy siedzę? – Pisze pan na siedząco? – Tak. Zawsze piszę na siedząco. Doktor zdjął okulary. – No, to już wiemy – powiedział. – Co wiemy? – spytałem szeptem. – Proszę spojrzeć tutaj. – Doktor Lund wskazał na mikroskop. Podszedłem tam i przycisnąłem zdrowe oko do okularu. Nie wiem, czy krzyczałem. To było moje własne nasienie w tysiącrotnym powiększeniu. I moją pierwszą myślą było, że to wygląda jak mucha w kefirze. Tak, jak mucha w kefirze. I mucha tkwiła nieruchomo. Słyszałem, że doktor coś mówi z bardzo, bardzo daleka. – Jądra to niezwykle drogocenna sakiewka, Barnumie Nilsen. A pańska jest pusta. Wyprostowałem się. – Nie ma szans? – zapytałem. Pokręcił głową. – Bez dzieci też można dobrze przeżyć życie. Byle tylko cynizm nie wziął góry.

A wtedy dostrzegłem, że to jednak nie jest doktor Lund. Na przezroczystej wizytówce przyklepionej zardzewiałą agrałką do białego fartucha było napisane: *M.S. Greve*.

Dyrektor Szpitala Centralnego. Podał mi rękę, a pielęgniarka wrzuciła pojemniczek do kubła na specjalne odpadki. Odszukałem windę. Ponoсила mnie przez piętra. Rozsunąłem kraty na bok i wybiegłem na chodnik. Chmury płynęły ponad dachami domów i kościelnymi iglicami, zabierały ze sobą deszcz, niebo było wysokie i pogodne jak błękitna kopuła ponad miastem. W świetle ulice błyszcząły jak rzeki. Ludzie zatrzymywali się na ich brzegach, ze zdumieniem i wdzięcznością patrzyli na słońce. Musiałem zasłonić oczy, oślepiony i nagi. Przypomniał mi się sen z tej piwnicy. Teraz już wiedziałem, co oznacza: kormorana srającego na skały, tak by mógł odnaleźć powrotną drogę. Poszedłem na Sankthanshaugen. Zatrzymałem się na środku skrzyżowania. W kieszeni miałem dwieście koron. Zastanowiłem się, kwiaty czy piwo? Wypiłem duże piwo u Schrødera, a za resztę kupiłem róże, dwanaście długich róż. Potem idę do domu, do Vivian. Czeka na mnie. Widzę, że się niecierpliwi. W oczach ma gorączkę. Zrywa się, gdy tylko wchodzi.

Chowam bukiet za płaszczem od deszczu. I nim zdążę coś powiedzieć, ona mówi: – Przyszedł list do ciebie, Barnum. Wyciąga kopertę. To może być od Pedera. Ale nie, wtedy byłoby nie do mnie, tylko do nas. To musi być od Freda. – Od kogo to? – pytam. – Z Norsk Film – mówi Vivian. – Norsk Film? A dlaczego oni przysyłają do mnie list? Vivian wzrusza ramionami i niecierpliwi się jeszcze bardziej. – Nie otworzysz go? Biorę kopertę.

W rogu jest napis *Norsk Film* i owalne logo, które przedstawia chyba oko oplecione taśmą filmową. Wyciągam kartkę i czytam. Nie pojmuję tego. Słowa do mnie nie docierają. Czy takie właśnie uczucie wywołuje ślepotą Freda, kiedy litery nagle przestają działać?

Podaję list Vivian. – Przeczytaj – mówię szeptem. I Vivian czyta na głos: – *Drogi Barnumie Nilsen! Z radością informujemy, że swoją pracą Tuczenie zdobył pan pierwszą nagrodę w zorganizowanym przez Norsk Film konkursie na scenariusz. Jury w uzasadnieniu pisze, że scenariusz ma oryginalną formę, przebija z niego radość opowiadania i osobisty stosunek do tematu, świadczący również o niezwyklej wyobraźni autora, a historię można również odczytać jako obraz zdemoralizowanego, nienasyconego i tyranizującego jednostkę społeczeństwa. Nagroda zostanie wręczona w siedzibie Norsk Film w Jar 1 października o godzinie 13.00.* Vivian wypuszcza list na podłogę i patrzy na mnie z przekrzywioną głową i uśmiechem na ustach. Ledwie mogę mówić. – Wysłałaś mój scenariusz? Kiwa głową. – Nie gniewasz się? Śmieję się. – Oczywiście, że się nie gniewam. Cieszę się! Vivian podchodzi bliżej. – Płaczesz, Barnum?

Kręcę głową. Zaczęłam płakać. Nic nie mogę na to poradzić. Vivian mnie obejmuje, a ja płaczę. – Jestem z ciebie dumna. – Ja też – szepczę. Vivian przykładła mi wargi do ucha: – Jak ci dzisiaj poszło, mój kochany? A ja nie chcę psuć tej chwili, nie chcę niszczyć tej dobrej wiadomości złą. I tak ledwie utrzymujemy równowagę. Nigdy nie byliśmy równie wrażliwi. Nie możemy się teraz przewrócić. – Dobrze – mówię. – Dobrze? – Wszystko w porządku. Towar został zaakceptowany. Wargi Vivian na mojej twarzy są mokre. – Wiedziałam, kiedy zobaczyłam, że przyszedłeś z kwiatami! Wyciągamy łóżko, zrywamy z siebie ubrania i kochamy się z taką dzikością, jakiej nigdy wcześniej nie zaznaliśmy, nawet tamtego wieczoru w parku Frogner. Nie czujemy wstydu. Stawiamy wszystko na jedną kartę. Nagle zaczynam się bać, że zrobię jej krzywdę, ale ona chce jeszcze. To panika i radość zjednoczona w jakimś wyższym zmyśle. Potem jest cicho. Zapalam papierosa i czytam list z Norsk Film, żeby jeszcze raz się przekonać, że to prawda. To jest prawda. Widzę to jednym okiem. Wygrałem. Znow kładę się przy Vivian. – Co powiedział doktor Lund? – pyta. – Że moje plemniki przepychają się w kolejce do twojego jajeczka.

Vivian udaje, że się złości. – Mów porządnie, co powiedział! – Powiedział, że jądra to drogocenna sakiewka! Całuję ją prędko, usta są miękkie jak meduza. Vivian ze śmiechem łapie mnie za jądra. Jęczę. – Masz coś jeszcze w swojej drogocennej sakiewce? – pyta szeptem. – Per Oscarsson może zagrać wieśniaka – mówię. Albo lekarza szkolnego. – Temu dziecku będzie dobrze – mówi Vivian. – A Ingrid Vardund może być matką. Vivian głaszcze się po brzuchu. – Temu dziecku będzie dobrze – powtarza. – Jasne. – Inaczej niż nam – mówi. Wstaję. – O co ci chodzi? Vivian podnosi na mnie wzrok. – Lepiej niż nam, Barnum – szepczę. Lepiej niż nam. Przez chwilę leżę w milczeniu. – Mnie było całkiem dobrze, kiedy byłem dzieckiem – mówię. Vivian się uśmiecha. – A kto zagra ciebie? – pyta. Rozwijam kwiaty, wychodzę na klatkę i wrzucam przemoczony papier do zsypu.

Biorę też *Leksykon medyczny dla norweskich gospodarstw domowych* M.S. Grevego i także wyrzucam. Ostatnie hasło, jakie rzuci mi się w oczy, to *Ostrygi. Ostrygi żyjące w stojących zanieczyszczonych wodach mogą być trujące*. Kiedy wracam do mieszkania, przez moment widzę resztki słońca, nim znajdzie za niebieskie owalne chmury między drzewami, wypełnia nasz pokój ciepłą czerwoną poświatą, jak gdyby to kwiaty barwiły podłogę i sufit. Vivian leży z nogami opartymi o ścianę, żeby moje soki mogły prędzej w nią spłynąć. Siadam na brzegu łóżka. Kładę bukiet na poduszce. Vivian trzyma mnie za rękę. I na moment przed tym, nim pokój pogąrzy się w ciemności, myślę, że zapach tych róż jest tak silny, że wystarczyłaby jedna kropla płatków, aby całe morze zaczęło pachnieć eterycznym różanym olejkami.

(jeszcze jeden pusty stolik)

Pojechaliśmy taksówką do Norsk Film w Jar. To był dzień, w którym miałem odebrać nagrodę. Towarzyszyły mi matka, Boletta i Vivian. Siedziały z tyłu dumne ze mnie.

Ja też byłem dumny. Taksówkarz skręcił w szeroką bramę przy Wedel Jarlsbergs vei. Matka zapłaciła. Wysiadłem. Norsk Film. Tu były atelier. Tu były studia. Tu było moje miejsce. Od tej pory to miało być moje miejsce. Tu mogłem się wałęsać, przyglądać ustawieniom, napisać kilka scen, wyszlifować replikę, podpisywać kontrakty, jeść lunch z aktorami. Nigdzie nie było widać żywej duszy. Z wysokich drzew spadały liście. Znow się zachmurzyło. Vivian wzięła mnie za rękę. – Denerwujesz się? Pokręciłem głową i pocałowałem ją. – Szkoda, że Peder nie ma – powiedziałem. Niedaleko znaleźliśmy recepcję. Młoda dama za ladą długo rozmawiała przez telefon i paliła papierosy.

Pozwoliłem jej skończyć rozmowę. Odłożyła słuchawkę i spojrzała na mnie. Podałem jej rękę. – Jestem Barnum Nilsen – powiedziałem. – Kto? – Barnum Nilsen – powtórzyłem.

Musiała przejrzeć jakieś papiery, ale to też w niczym nie pomogło. – No, to jak się pan nazywa? – spytała. – To ja wygrałem konkurs – szepnąłem. Wreszcie zrozumiała, kim jestem. – Dyrektor chce najpierw z panem rozmawiać – powiedziała. Proszę tu zaczekać.

Usiedliśmy na ciasnej kanapie. Czekaliśmy. To trwało. Boletta zasnęła. Matka patrzyła na Vivian. – Dobrze się czujesz? – spytała. Vivian uśmiechnęła się i popatrzyła na mnie. – Oczywiście, że dobrze – odparła. Na stoliku leżała wczorajsza gazeta. Przejrzałem ją.

Zapowiadano ładną pogodę. Zaczęło padać. – Chyba nie pomyliliśmy dnia? – spytała matka. – Nie, to ta gazeta jest stara – powiedziałem. – Pewien jesteś? – Cicho. Czekaliśmy dalej. To był początek mojego czasu oczekiwania. Wielkiego czasu oczekiwania autora scenariuszy. Dochodziła pierwsza. Zobaczyłem, że jacyś ludzie znikają w budynku po drugiej stronie. Jeden z nich był podobny do Arnego Skouena, tego reżysera. Krawat mnie cisnął w szyję. Nachyliłem się do Vivian. – Arne Skouen jest tutaj – szepnąłem. Nareszcie dama za ladą wstała. – Dyrektor na pana czeka – oznajmiła. Miałem ochotę powiedzieć, że to ja czekam na niego, ale się powstrzymałem. – Dziękuję – powiedziałem. Gabinet dyrektora znajdował się na pierwszym piętrze. Wszedłem na górę po schodach, ściany były gęsto zawieszane plakatami. *Gjest Bårdsen. Włóczęga. Dziewięć istnień.* Znalazłem się w samym sercu norweskiego filmu. Byłem teraz jego częścią. Pewnego dnia mój plakat również tu zawisnie, na ścianie wzdłuż schodów do gabinetu dyrektora: *Tuczenie.*

Znalazłem właściwe drzwi, przecesałem włosy i zastukałem. Usłyszałem czyjś jęk.

Odczekałem jeszcze chwilę. Wszedłem do środka. Dyrektor siedział przy stole zarzuconym scenariuszami, leżały w wielkich stosach, na podłodze także, wszędzie w tym wąskim pokoju były scenariusze, ledwie starczało miejsca na cokolwiek innego. Dyrektor czytał jeden z nich. Delikatnie zamknąłem za sobą drzwi. Nie chciałem przeszkadzać. Stałem.

Dyrektor jęknął jeszcze raz. Ubrany był w znoszoną tweedową marynarkę ze skórzanymi łokciami, palił fajkę i nosił wielkie kwadratowe okulary. Oparłem się o półkę na książki. Nie powinienem był tego robić. Na pewno była z Ikei. Przechyliła się, a na mnie poleciała lawina scenariuszy. Dyrektor wstał i wyjął fajkę z ust. – Przepraszam – szepnąłem. – One są i tak do wyrzucenia. Uprzątnął dla mnie krzesło. Usiedliśmy. Długo mi się przyglądał, rozpalając tytoń w fajce. – A więc to Barnum Nilsen we własnej osobie – powiedział. Kiwnąłem głową. Już dawno była pierwsza. To teraz miałem otrzymać nagrodę. – Czyżbym pomylił godziny? – spytałem. Dyrektor pokręcił głową. – Dobrze im robi, jak trochę poczekają – powiedział. Spodobała mi się ta myśl. Bardzo mi się spodobało, że ktoś inny na mnie czeka. Wszyscy mieli czekać z uwagi na mnie. Czas był po mojej stronie. Zapaliłem papierosa. – Proszę mi trochę o sobie opowiedzieć, Barnum. – Niewiele jest do powiedzenia – odparłem. Dyrektor zaczął się odrobinę niecierpliwieć, zęby zastukały w ustnik. – Sam szkic, Barnum. Nie cały scenariusz.

Zastanowiłem się. I przypomniało mi się to, co kiedyś powiedział ojciec, że koniecznie trzeba mieć wątpliwości, bo pełna i całkowita prawda jest nudna, sprawia, że ludzie stają się leniwi i zapominalscy, wątpliwości natomiast nigdy nie dają spokoju. – Urodzony i wychowany w Oslo – powiedziałem. Jedynek. Ojciec zmarł przed moim urodzeniem.

Dyrektor wzruszył ramionami. – Barnum to twoje prawdziwe imię? – Używam go jako pseudonimu. Dyrektor się uśmiechnął. – Oko cię boli, Barnum? Próbowałem mrugnąć. – Ależ skąd. Taki się już urodziłem. Nie widzę na nie. Dyrektor pochylił się nad biurkiem. – Właściwie to chciałem się dowiedzieć, czy napisałeś coś jeszcze. – Mam zeszyt pełen pomysłów. Dyrektor osunął się na krzesło. – Cieszymy się, że tu jesteś, Barnum. Naprawdę się cieszymy. – I jeszcze jedno – powiedziałem. – No, to mów, Barnum. Dzisiaj jest twój dzień. – Moja żona jest charakteryzatorką. Chciałbym, żeby charakteryzowała aktorów w tym filmie. Dyrektor długo się we mnie wpatrywał. – W filmie? – spytał. Na moment się zmieszałem. – Tak. W filmie. W *Tuczeniu*. Już zdecydowaliście, kto to będzie reżyserował? Dyrektor podniósł się, stanął za mną i położył mi obie ręce na ramionach. – Barnum, Barnum. Z tego nigdy nie będzie filmu. A ja jakbym nie zrozumiał, co powiedział, albo zrozumiał zupełnie coś innego. W pokoju był inny lektor. – Nie będzie filmu? – Nigdy – powtórzył dyrektor. – To dlaczego wygrałem? Dyrektor puścił mnie i westchnął. – Chyba raczej zejdziemy na dół po sławę, Barnum.

Najpierw poszedłem do toalety. Stałem przed lustrem. To ty wygrałeś, powiedziałem sobie. Powieka znów mi opadła, pomarszczony fałd skóry zakrywający pół twarzy.

Rozwiązałem krawat, schowałem go do kieszeni i wyjąłem płaski koniak, który zamierzałem zachować na później. Wypiłem łyk. Po wypiciu wypilem drugi. Pierwszy był za najlepszy scenariusz, drugi za film, który miał nigdy nie powstać. Potem pospieszaliśmy przez deszcz do drewnianego budynku po drugiej stronie, do stołówki Norsk Film.

Właśnie tam miałem zostać sławny. Tam miała zostać wręczona nagroda.

Niewiele osób przyszło. Vivian, matka i Boletta już siedziały przy stoliku i jadły kanapki na połówkach bułki. Dwoje dziennikarzy z aparatami na szyi stało przy butelkach wina. Robili sobie zdjęcia. Mężczyznę w końcu poznałem. To był Ditlev z wieczornego wydania „Aftenposten”. Nie zmienił garnitur. Był czasem, który upłynął. Arnego Skouena nie dostrzegłem. Dyrektor zaciągnął mnie do kościstej kobiety w obszernym brunatnym ubraniu. Przypominała mi Kostuchę, tak, przez moment byłem prawie pewien, że to ona, i poczułem suchy zapach kredy. – To nasz kierownik literacki – oświadczył dyrektor.

Przywitałem się z kierownikiem literackim. – Musisz zmienić początek! – zawołała. – Dziękuję – szepnąłem. Puściła moją rękę, jak gdyby osa użądliła ją pod paznokciem.

Poczułem ochotę na coś jeszcze do picia. Jacyś ludzie, przechodząc, pokleпали mnie po plecach. – Dobrze – powiedzieli. Dobrze. Cieszyłem się, że zdjąłem krawat. Dyrektor stanął na krześle. – Moi drodzy! Witamy. Mamy przed sobą gorący sezon. Projekty stoją w kolejce, nowe pokolenie twórców filmowych zaczyna się zaznaczać i mogą powiedzieć przynajmniej tyle, że nam tutaj, w Norsk Film, kurz nie rzucił się na mózg. Roześmiali się wszyscy z wyjątkiem Boletty. Dyrektor klasnął w ręce. – I dlatego czas ogłosić, kto wygrał zorganizowany przez Norsk Film wielki konkurs na scenariusz! Dyrektor oddał głos kierownikowi literackiemu. Stała obok krzesła i wyjęła kartkę, złożoną co najmniej dziewięć razy. – Otrzymaliśmy sześćdziesiąt trzy zgłoszenia i nasz wybór padł na scenariusz zatytułowany *Tuczenie*. To dziwna historia o chłopcu, który przestaje jeść, ponieważ chce być wyższy, i w końcu zostaje wysłany na wieś na, no właśnie, na tuczenie.

Staje się przedmiotem ataków, jest seksualnie wykorzystywany przez innych chłopców. Tę historię można odczytać jako ostry i pełen fantazji atak na perwersyjne społeczeństwo.

Pani kierownik literacki odwróciła kartkę. Matka już się podrywała z miejsca, ale na szczęście tego nie zrobiła. – A zwycięzca nazywa się Barnum Nilsen. Klaskali wszyscy z wyjątkiem matki. Obydwoje dziennikarze robili zdjęcia. Dostałem kieliszek szampana i czek od dyrektora. – Masz ochotę powiedzieć kilka słów? – spytał. Zapadła cisza. Matka nie odrywała ode mnie oczu i kręciła głową. Wypiłem szampana. I nagle moje usta znów zabłądziły. Już nie pamiętałem, kiedy ostatnio mi się to zdarzyło. – Niech was cholera – powiedziałem. Zrobiło się jeszcze ciszej. Vivian zaczerwieniła się i spuściła wzrok.

Matka nie mogła już być bardziej wstrząśnięta. Kierownik literacki musiała usiąść.

Uratowała mnie Boletta. – Brawo! – zawołała. Brawo! I wszyscy znów zaczęli klaskać, niemal w panice, a dyrektor szczerze nalewał szampana. – Barnum Nilsen jest teraz do dyspozycji prasy – powiedział bardzo głośno. Jeśli ktoś ma odwagę! Roześmiał się w bardzo hałaśliwy sposób. Ditlev podszedł pierwszy. – Tak, tak – powiedział. Sporo czasu upłynęło. – Owszem, czas płynie – odparłem, patrząc na jego zniszczone buty. Wyjął notatnik, ale zmienił zdanie i schował go z powrotem do kieszeni. – Rozmawiałem wcześniej trochę z twoją matką – powiedział. – O? I co powiedziała? Ditlev się uśmiechnął. – Jest z ciebie bardzo dumna. – Dziękuję. – Czy mógłbyś nieco rozwinąć swoje bardzo szczególne podziękowania, Barnum? Dziennikarka zaczęła się niecierpliwić.

Skubnęła Ditleva za rękaw marynarki i włączyła urok osobisty. – Nie zamierzasz chyba zatrzymać Barnuma Nilsena na resztę wieczoru dla siebie? Ditlev zawstydział się i wycofał, odszukał swój parasol i wyszedł na deszcz. Zrobił się miękki. Zamierzał iść do swojego kojca w gazecie i napisać swój ostatni artykuł. – Usiądziemy? Dziennikarka znalazła stolik. Ja znalazłem butelkę. Dziennikarka nazywała się Bente Synt. To ją mieliśmy później nazwać Sarną. Miała metr osiemdziesiąt wzrostu i nigdy nie robiła żadnych notatek. – A więc to ty masz niby uratować film norweski – powiedziała. – W każdym razie postaram się, jak mogę. Uśmiechnęła się. – Czy ta historia, dzięki której wygrałeś, jest autobiograficzna? Do myśli ojca o roznoszeniu plotek i rozsiewaniu wątpliwości dodałem słowa Pedera: – Może tak. Może nie. Przyglądała mi się. Trwało to dość długo. Piłem szampana. W końcu ukradła Ditlewowi pytanie: – Czy mógłbyś nieco rozwinąć swoje bardzo szczególne podziękowania, Barnum? – Bez komentarza. Bente Synt zaśmiała się cicho. – Czy to nie za wcześnie w karierze tak się drożyć? Obok nas przeszedł dyrektor. – Wszystko w porządku? – spytał. Bente Synt podniosła wzrok. – Próbuję tylko nakłonić Barnuma, żeby powiedział coś o swojej przemowie dziękczynnej.

Niech was cholera. Dyrektor położył jej rękę na ramieniu i zmienił się w sfinksa. – Obowiązkiem młodych jest łajać nas, kiedy mają ku temu okazję, nieprawdaż, Bente?

Przeszedł dalej. – No właśnie – powiedziałem. Bente Synt wyjęła papierosa, którego nie zapalała. – Jaki jest twój ulubiony film? – *Głód*. Uśmiechnęła się zadowolona. – Więc twój scenariusz był w pewnym sensie odpowiedzią dla Hamsuna? – Można i tak powiedzieć. – A twój opis tego gospodarstwa, będącego prawie jak kolonia karna, to coś w rodzaju rozliczenia z faszyzmem Hamsuna? Zastanowiłem się. – Może tak. Może nie.

Bente Synt nie była zadowolona z tej odpowiedzi. – Masz jakieś nowe projekty? – spytała. – Pracuję nad współczesną wersją *Boskiej komedii* Dantego. – Ach tak? – Wyobrażam sobie wielkie miasto jako piekło i Beatrycze jako przewodniczkę z biura turystycznego. – Interesujące. Bente Synt schowała papierosa do paczki i wstała. – Chyba już mi wystarczy – powiedziała. Siedziałem w rzucanym przez nią cieniu jeszcze długo po jej wyjściu. Nagle poczułem czyjś oddech na karku. Odwróciłem się. Przez moment sądziłem, że to Fleming Brant, montażysta, miałem wrażenie, że widzę, jak powoli przechodzi przez salę z zardzewiałymi grabiami w rękę, wizja, która tak często miała wracać. To był Arne Skouen. Pochylił się nade mną. – Nigdy nie opowiadaj o rzeczach, których jeszcze nie napisałeś – szepnął. Bo nic nigdy z nich nie wyjdzie. Przypomniało mi się, że kiedyś już coś podobnego słyszałem, to matka Pedera powiedziała dawno temu.

„Nie mów, bo inaczej nie zdołasz napisać”. Wyszedłem do toalety i wypłem koniak.

Kiedy wróciłem, czekała na mnie pani kierownik literacki. – Opowieść ramową trzeba wyrzucić – powiedziała. – Całą? – To stara nowość, Barnumie Nilsen. Trzeba ją wyrzucić.

Popijała szampana wielkimi łykami. Nie upijała się. Alkohol wywierał na nią raczej odwrotny skutek. Coraz bardziej ją otrzeźwiał, a może to ja coraz bardziej się upijałem. – Ale przecież właśnie w niej cała rzecz. – Rzecz? – Staram się pokazać, że życie to również swego rodzaju film. I że Bóg jest operatorem w kinie. – A dlaczego nie reżyserem? – Uważam, że operator jest trafniejszy. Popatrzyła na mnie tak, jak się patrzy z góry na bezradne głupie dzieci. – Powinieneś się raczej zastanowić, kto jest w tej historii wrogiem. – Wrogiem? – Lekarz szkolny, wieśniak czy inni chłopcy. Musisz być wyraźny, Barnum. Nie zdołałem na to odpowiedzieć. – Mogę skreślić opowieść ramową – szepnąłem. Nalałem sobie do kieliszka. Pani kierownik literacki się uśmiechnęła. – W dodatku używanie własnego imienia jest nieco pretensjonalne, prawda? – Czy to ma jakieś znaczenie, skoro filmu i tak nie będzie? – spytałem. Mogłem teraz mieć nadzieję, że z kolei ona nie odpowie. Tak się jednak nie stało. – Przecież tak czy owak chcemy, żeby scenariusz był możliwie najlepszy – powiedziała.

W powrotnej drodze do domu siedziałem na tylnym siedzeniu taksówki, a one nie były już ze mnie takie dumne. Vivian milczała, a matka wciąż była zaniepokojona. – Jak mogłeś napisać coś takiego? – szepnęła. – O co ci chodzi? Matka prawie nie mogła tego z siebie wydusić. – Że tam na wsi działy się takie rzeczy, Barnum. Z przodu obudziła się Boletta. – Niech chłopiec wymyśla, co chce – powiedziała. Ale matka nie ustępowała. – Mógłby napisać coś, co nie byłoby prawdą! Odwróciła się do mnie. Przecież było ci dobrze na tej wsi, prawda, Barnum? Poczułem się nagle bardzo zmęczony. Drugi raz tego dnia zobaczyłem Fleminga Branta, stał na rogu, oparty o grabie, i patrzył na nas. – To i tak bez znaczenia – powiedziałem. Nie będzie żadnego filmu. Vivian wzięła mnie za rękę. – Nie będzie filmu? – Nigdy. Dyrektor powiedział, że filmu nigdy nie będzie. Matka ujęła mnie za drugą rękę. – Dzięki Bogu.

Zrealizowałem czek w banku na Majorstuen, a obok banku był monopolowy. Później wolno poszliśmy do domu. Przestało padać. Powietrze było rzadkie i chłodne. – Przykro ci? – spytała Vivian. Zatrzymałem się przy budce telefonicznej na Valkyrien. Miałem dość jednokoronówek. Znalazłem w książce numer do kawiarni Teatralnej i zadzwoniłem.

Zamówiłem stolik na ósmą. Kilka monet zostawiłem w aparacie. Może znajdą je jakieś dzieci i będą mogły za nie kupić napoje w torebkach i kandyz w kiosku Barnuma. – Objąłem Vivian. – Nie – powiedziałem. – To dobrze, Barnum. Przecież wystarczy napisać coś jeszcze, prawda? Całowała mnie, długo, mało torby z monopolowego nie powypadały nam z rąk.

Ale ja nie mogłem pisać. Chciałem zacząć swoją boską komedię, ale słowa umierały, gdy tylko znalazły się na papierze. Może prawdą jest, że to, o czym się mówi, nie daje się zapisać, bo odbiera się wtedy moc opowiadaniu i rozcieńcza je w ludzkim słuchu.

Człowiek się wtedy zdradza. Na samej górze czystej kartki napisałem: *Obowiązek milczenia*. Zacząłem przeglądać notatnik. Miałem ochotę go wyrzucić. Pomysły wydały mi się nagle nędzne. Notatnik nic nie ważył. Gdybym wyrzucił go do zsypu, nigdy by nie spadł na dół. Wyobraziłem sobie pomysły unoszące się w powietrzu i pismo z wolna ścierane przez gnijące resztki z obiadu, mokre pieluchy, fusy od kawy, pety, wymiociny, krew i inne wydzieliny ciała. W końcu wyjąłem *Tuczenie*. Przekreśliłem pierwszą scenę i zmieniłem moje imię na Pontus. Ale w czym to pomogło? Tego wieczoru piłem szybciej, niż myślałem.

Po raz pierwszy telefon zadzwonił o wpół do szóstej. Vivian wyszła z łazienki i chwilę się wahała, zanim go odebrała. Głos w słuchawce dochodził aż do mnie. To był dyrektor Norsk Film AS. Vivian oddała mi słuchawkę. – Może zmienił zdanie – szepnęła. Dyrektor zaraz zaczął mówić tak samo głośno. – Spryciarz z ciebie, Barnum. – Naprawdę? – Barnum to nie pseudonim, a ty nie jesteś jedynakiem. Nie odzywałem się przez dłuższą chwilę. – Jesteś tam? – spytał dyrektor. – A gdzie miałbym być? Dyrektor się roześmiał.

Wkrótce on również spoważniał. – Posłuchaj, Barnum. Posłuchaj mnie uważnie. Chcę tę historię. I tylko ty możesz ją opisać. Robiłem się coraz bardziej dezorientowany. A pod tą dezorientacją kryło się nieprzyjemne uczucie, ciężkie mdłości. – Jaką historię? – Historię o twoim zaginionym bracie – powiedział dyrektor. Vivian siedziała na łóżku i suszyła włosy. Gwałtownie podniosła głowę. – Skąd pan o tym wie? Dyrektor znów się roześmiał. – Nie czytałeś wieczornego wydania? Odłożyłem słuchawkę. Wybiegłem na schody i zabrałem gazetę sąsiadce, która zawsze zapominała zamknąć kłapę od zsypu.

Ostatni artykuł Ditleva został zamieszczony na ostatniej stronie. Zrozumiałem teraz, o czym rozmawiał z matką. Było tam zdjęcie Freda z walki w Klubie Bokserskim Centrum, zrobione akurat w chwili, gdy otrzymuje decydujący cios i twarz mu się wykręca, jak gdyby skóra była luźna i owijała się wokół głowy. Pod spodem zamieścili moje zdjęcie, lecz o wiele mniejsze, otrzymuję czek od dyrektora, koniak w wewnętrznej kieszonce jest widoczny, zakrętka wystaje. Nagłówek głosił: *Zwycięzca i przegrany*. Wróciłem do Vivian i usiadłem na łóżku. Podałem jej gazetę. – Czytaj – szepnąłem. A ona przeczytała: – *Barnum Nilsen otrzymał dzisiaj pierwszą nagrodę w zorganizowanym przez Norsk Film konkursie na scenariusz. Dla czytelników „Aftenposten” obdarzonych dobrą pamięcią nazwisko to nie jest zupełnie nieznanne. Już w 1966 roku Barnum Nilsen otrzymał w Ratuszu Oslo nagrodę w konkursie dla młodzieży za historię Małe miasteczko. Jeśli chodzi o jego nowy scenariusz, Tuczenie, autor jest bardzo tajemniczy, być może jednak jeszcze bardziej dramatyczna jest historia jego brata. Fred Nilsen, dawna nadzieja boksu, zginął dwanaście lat temu. Matka chłopców, Vera Nilsen, mówi, że zwracała się zarówno do policji, jak i do Armii Zbawienia, lecz bez rezultatu*. Wyrwałem Vivian gazetę, zmiąłem ją i cisnąłem na balkon. Stałem na zimnie. Nawet teraz Fred rzuca na mnie cień. Chodź tutaj szepnęła Vivian. Przyszedłem i położyłem się przy niej. Kto jest zwycięzcą, a kto przegranym? spytałem. Głupi jesteś? odparła Vivian. Stałem na balkon. Stałem na zimnie. Nawet teraz Fred rzucał na mnie cień. – Chodź tutaj – szepnęła Vivian. Przyszedłem i położyłem się przy niej. – Kto jest zwycięzcą, a kto przegranym? – spytałem. – Głupi jesteś – odparła Vivian.

Odwróciłem się plecami. – No i dobrze. – Nie złość się na matkę – powiedziała.

Próbowałem się śmiać. – I ty to mówisz? – Ona tylko chce odzyskać Freda, prawda? Może tę gazetę przeczyta ktoś, kto go gdzieś widział. – Ja się nie złoścę. Vivian rozpięła mi pasek i wyciągnęła koszulę ze spodni. – Powiedziałeś jej, że będziemy mieli dziecko?

Leżałem nieruchomo i na moment zlodowaciałem. Musiałem roztapiać głos. – Jesteś w ciąży, Vivian? Roześmiała się. – Jeszcze nie, Barnum. Ale ona cały czas gapiała się na mój brzuch. Poczulem, że Vivian jest naga. Usiadła na mnie. W czasie gdy to robiliśmy, telefon zadzwonił po raz drugi. Nie odebraliśmy. Włosy Vivian opadły mi na twarz, wciąż mokre. Położyła się obok mnie i oparła nogi o ścianę. – Czego właściwie chciał dyrektor? – spytała. – Żeby napisać scenariusz o Fredzie. Vivian masowała sobie brzuch. – A ty chcesz? Przez chwilę wstrzymywałem się z odpowiedzią. – Może już zacząłem. – Naprawdę? – Tak. Vivian opuściła nogi i odwróciła się do mnie. – Jaki ma tytuł? – Myślę, że będzie się nazywał *Człowiek nocy*. – Dasz mi przeczytać? – Jeszcze nie, Vivian. Była już siódma. Wziąłem prysznic, napiłem się i wygarniturowałem. Vivian włożyła sukienkę, w której nie widziałem jej wcześniej, niebieską w czarne paski. Ładnie w niej wyglądała. Stanęliśmy przed lustrem. Nie wyglądaliśmy najgorzej. Wybieraliśmy się do Teatralnej. Wtedy telefon zadzwonił po raz trzeci tego wieczoru. Odebrałem.

Dzwoniła matka Pедера. – Gratuluję – powiedziała. Widzę, że zdobyłeś nagrodę. – O rany, tak. Bardzo dziękuję. – Jestem z ciebie dumna, Barnum. Ale jej głos brzmiał tak dziwnie.

Był powolny i pozbawiony radości. – Muszę ci coś powiedzieć – szepnęła.

Wytrzeźwiałem i znów zlodowaciałem. – Tak? – Ojciec Pedera umarł dziś w nocy. – Umarł? Jak to? Vivian odwróciła się, jeden kolczyk upadł jej na podłogę. Matka Pedera długo milczała. Słyszałem tylko jej oddech. – Odebrał sobie życie, Barnum. – Och nie – szepnąłem. Vivian przysunęła się o krok, pobladła, zachwiała się. – Chciałabym, żebyście przyszli na pogrzeb – powiedziała matka Pedera. Odłożyła słuchawkę. Podniosłem głowę. – Co się stało? – szepnęła Vivian. Co się stało? Przytuliłem ją do siebie i powiedziałem. I czuję drżenie, które przez nią przechodzi, urwany oddech, ulgę, którą ja też poczułem, to nie Peder umarł, ta ulga natychmiast przeradza się we wstyd i żal.

Jesteśmy elegancko ubrani. Zostajemy w domu. Mam przed oczami pusty stolik w kawiarni Teatralnej, z moim nazwiskiem, Barnum Nilsen, godz. 20.00, jedyny stolik, przy którym nikt nie siada, to również jest echo, echo czasu, cień dysku wirującego w oślepiającym słońcu. Obejmuję Vivian. – Przynajmniej Peder wróci teraz do domu – mówię szepem i zaczynam płakać.

(ostatni obraz)

Ale Peder nie przyjechał. Czekaliśmy z Vivian na Fornebu. Było wcześniej rano, tego samego dnia miał się odbyć pogrzeb jego ojca. Staliśmy przy wielkim oknie i widzieliśmy, jak samolot ląduje, powoli, jak gdyby koła nie chciały nigdy dotknąć ziemi. Pasy startowe lśniły po nocnym deszczu. Zbiegliśmy do hali przylotów na dole. Nie byliśmy jedyni. Ledwie się przecisnęliśmy. Stałem na krześle. Może go nie poznam.

Może to on będzie musiał poznać nas. Ale Peder nie przyleciał samolotem z Londynu.

Peder nie przyleciał. W końcu w hali zostaliśmy tylko my, Vivian i ja, i ciemnoskóra sprzątaczką, popychająca szeroką szczotkę po podłodze, na której leżały kwiaty, papierosy, flagi i dziecięcy bucik.

Pojechaliśmy taksówką do matki Pedera. Siedziała już gotowa na wózku, krucha, w czerni. – Odwołali lot – powiedziałem. Vivian kiwnęła głową i odwróciła oczy. Matka Pedera położyła zwiędnięte ręce na kółkach. Chciała, żebyśmy pomogli jej dojechać do krematorium. Było dość czasu. Może taki miała sposób na przygotowanie się, zebranie się na odwagę, może to była jej okrężna droga, bo kto się spieszy tam, dokąd nie chce pójść?

Poszliśmy wolno przez park Frogner, za Monolitem, i weszliśmy na Cmentarz Zachodni, gdzie pochowano Starą i ojca. Ktoś położył na grobie świeże kwiaty. Widziałem też grób M. Trawa wokół niewielkiego nagrobka była pożółkła i wysoka. Musiałem na chwilę się zatrzymać, złapać oddech. Odchodzimy w niepamięć. Ojciec Pedera zamknął drzwi do garażu, usiadł w samochodzie i włączył silnik na jałowym biegu. Rano już nie żył. Znalazł go roznosiciel gazet. Ręce wciąż trzymał zaciśnięte na kierownicy, trzeba mu było wyłamywać palce.

Rozdzwoniły się dzwony w krematorium. Przeszliśmy ostatni odcinek, wnieśliśmy wózek po schodach i zawieźliśmy matkę Pedera przez mrok w poblizę białej trumny. Było już pełno ludzi. Brakowało tylko Pedera. Wzdłuż środkowego przejścia leżały wieńce od rodziny, filatelistów i przyjaciół. Vivian i ja stanęliśmy razem z matką i Boletą. Organista zaczął grać. A ja pomyślałem, że gdybyśmy odwiedzili ich tamtym razem, gdy wracaliśmy od rodziców Vivian, a nie tylko stali na rogu, przyglądając się światłom na piętrze, wszystko może ułożyłoby się inaczej. Gdybym nie poskarżył się na popsute okno w samochodzie i nie kazał mu go naprawiać, może by jeszcze żył. Czy tak niewiele trzeba?

Zadałem sobie pytanie: ile trzeba, żeby uratować człowieka? Zrobiło się cicho, żadnych pokasywań, żadnych szlochów, jak gdyby ta śmierć wystraszyła nas, nakazując bezszelestność. Czekaliśmy. Matka Pedera położyła różę na trumnie. Potem obróciła wózek i uśmiechnęła się do wszystkich, którzy przyszli. Była przezroczyista i piękna. Głos miała czysty i spokojny. – Oscar nie chciał pastora. Nie wierzył w inne życie. Często rozmawialiśmy o śmierci. Ale nigdy nie mówiliśmy o tym, że to się stanie w ten sposób.

Zamknęła oczy i zrobiło się jeszcze ciszej. Ciężko mijały sekundy. Matka Pedera kontynuowała przemowę dla swego zmarłego męża: – Bardzo kochałam Oscara. Miał do mnie cierpliwość. Wciąż Kocham go tak samo i zawsze będę go kochać. Będę pamiętać jego śmiech, jego roztargnienie i nasze wspólne radości. To dzisiaj moja jedyna pociecha.

To, że żałoba nie działa wstecz. Dzisiejsza żałoba nie może zatrzeć wczorajszych kolorów.

Jeszcze raz musiała przerwać. A pochylając głowę, powiedziała coś jeszcze, cicho, może tylko ja to usłyszałam, ale te słowa wryły się we mnie, szepnęła, jęknęła: – Ach, Boże, Boże, nie znałam go! Zaraz się wyprostowała. – Peder powinien być tu ze mną, ale niestety, nie mógł przyjechać. Dziękuję wszystkim, którzy przyszli. Znów odwróciła wózek w stronę trumny.

Ceremonia zakończyła się przy grobie. I tam zrozumiałem, że śmierć Oscara Miila nie wystraszyła nas, nakazując bezszelestność, tylko zawstydziła i przez to oniemieliśmy. Stare słowa, moje kondolencje, nie działały. Ta żałoba była wstydliva. Niektórzy prędko się wymknęli, na parking albo na dworzec, woleli zostawić wizytówkę w koszyku przy wyjściu. Matka Pedera siedziała z nogami okrytymi zielonym pledem i przyjmowała milczące współczucie. Zauważyłem, że nie jest już w stanie podnieść ręki. Kiedy przyszła moja kolej, nachyliłem się i pocałowałem ją w policzek, nie dlatego, że chciałem być lepszy od innych, tylko żeby ukryć łzy. – Odprowadźcie mnie też do domu – szepnęła.

Zawieźliśmy ją więc tą samą drogą. Jeszcze się wydłużyła. Pomogliśmy matce Pedera wjechać do przedpokoj. – Peder! – zawołała nagle. Ale Peder nie odpowiedział. Peder jeszcze nie przyjechał. Nie chciała, żebyśmy wychodzili. Chciała, żebyśmy zostali. Na stole już stała butelka wina. Siedzieliśmy w salonie i popijaliśmy w milczeniu. Każdy sam wznosił toasty. Matka Pedera ledwie była w stanie trzymać kieliszek. Uprzątnęła płótna i ramy. Przez okno widziałem garaż. Drzwi były opuszczone zaledwie do połowy. Może trzeba było wywietrzyć. Na usta cisnęło się tylko jedno pytanie: dlaczego? Ale ono było niemożliwe. – Skończyła pani swoje obrazy? – spytałem zamiast tego. Gwałtownie skierowała na mnie wzrok, a ja zrozumiałem, że to było niedelikatne w tej kruchej jak szkło chwili, której o mało nie stłukłem. Z ogromnym wysiłkiem podniosła obie ręce. – Może tak, może nie – szepnęła. – Jak by powiedział Peder – dodałem. Opuściła ręce z powrotem na kolana. Vivian dołała wina. Poszedłem się wysikać na górę. Zatrzymałem się w korytarzu i oparłem o ścianę. Drzwi do sypialni były otwarte. Pizama ojca Pedera wciąż tam leżała. Na nocnym stoliku stały dwa zegarki. Jeden wskazywał kwadrans po piątej, drugi – czas amerykański, żeby zawsze pamiętali, która godzina jest u Pedera.

Drzwi do jego pokoju były zamknięte na klucz. Wysikałem się i zszedłem na dół. Vivian wstała. Powinniśmy już iść. – Możemy jeszcze w czymś pomóc? – spytałem. Matka Pedera sama przejechała do przedpokoj. – Oscar zanosił mnie do łóżka. – Ja mogę panią zanieść.

Uśmiechnęła się. Dziś będę raczej spała tu na dole. Nagle złapała mnie mocno, ale czułem, że uścisk tych chudych pomarszczonych palców już puszcza. – Myślisz, że kiedykolwiek jeszcze będzie tak jak dawniej, Barnum? – spytała szeptem. Nie wiedziałem, co powiedzieć, ale nie chciałem jej okłamywać. – Nie – odparłem, równie cicho.

Po wyjściu patrzyliśmy, jak matka Pedera gasi światła w oknach i dom powoli pogrąża się w mroku. Nie wiem dlaczego, ale chciałem zajrzeć do garażu. Vivian mnie przytrzymała. – Nie rób tego – powiedziała. Nie usłuchałem. Poszła za mną. Była wściekła i wystraszona. – Czego tu szukasz? Nie odpowiedziałem. Nie wiedziałem. Puściła mnie i odeszła. Wsunąłem się pod drzwi. Znalazłem kontakt i w kącie zapaliła się goła żarówka. Samochodu nie było. Może zabrała go policja. To nie było już miejsce, tylko policyjne miejsce zdarzenia. Wydało mi się, że czuję suchy ostry zapach. Matka Pedera ustawiła tu swoje obrazy. Stały pod ścianami. Zerknąłem na niektóre, większość była niedokończona. Potem odkryłem jeszcze jeden, to musiał być ten, który zaczęła malować tamtego lata na Ildjernet, kiedy Vivian usiłowała wyssać ze mnie truciznę. Nie mogłem już dłużej stać. Uklęknąłem. Napisała tytuł na ramie. *Przyjaciele na skałach*. Jest wieczór, nad fiordem, prawie wszystko jest niebieskie, ale dwaj chłopcy na pierwszym planie stoją we własnym blasku, rozświetlającym młode, opalone ciała. Poznają nas. To grubas i mały.

Jesteśmy nadzy. Obejmujemy się. Wargi stykają się w pocałunku, a oczy mamy zamknięte.

(parasol w śniegu)

Matka zrobiła mi na drutach rękawiczki z połówkami palców, mniej więcej takie, jakie nosił Louis Armstrong, kiedy grał na trąbce na Bislet, żeby mi było ciepło, a jednocześnie żebym mógł podawać towary i odliczać resztę. Matka mówi, że marnuję czas. Że powinienem znaleźć coś lepszego do roboty. Ale mnie tu dobrze, na tym rozchwianym kempingowym krzeselku, a w tych rękawiczkach wygodnie mi się pisze, teraz kiedy zrobiło się chłodniej, zwłaszcza rano, niedługo spadnie śnieg, a mała dmuchawa, którą zamontowałem nad drzwiami, nie pomaga na przeciąg. Zamknąłem okienko i zaciągnąłem żaluzje. W pobliżu nie ma ani klientów, ani dręczycieli. Nawet po tym, jak wygrałem konkurs zorganizowany przez Norsk Film, sprzedaż nie wzrosła.

Sądziłem, że może przed kioskiem Barnuma ustawi się kolejka, kiedy ludzie się dowiedzą, że wygrałem, ale nie. Właściwie wcale mi to nie przeszkadza. Parówek dawno się pozbyłem, a tygodniki przychodzą we wtorki. Ale niektóre czekolady, zwłaszcza te doprowadzające na szczyt przyjemności, zaczynają szarzeć i twardnieć, wydaje mi się, że leżą tu od początku lat sześćdziesiątych.

Wyjmuję notes i próbuję pracować nad *Człowiekiem nocy*. Mam ten obraz chłopca, chudego chłopca biegnącego po opustoszałych ulicach w stronę portu. Ten obraz wrył się we mnie na dobre, nie zdołam go ominąć, widzę statek żeglujący przez mgłę, tak blisko, że gdyby chłopiec wyciągnął rękę, dotknąłby skutego lodem kadłuba: „Antarctic”. Ale nie mam nic oprócz tych kawałeczków, chłopca, miasta i statku, punktów w historii, która mnie przerasta, chociaż akurat do tego niewiele trzeba. Utknąłem na rozbiegu. Widzę Freda. To on wyciąga rękę i chce zatrzymać statek. Odkąd Ditlev napisał o nim w gazecie, matka prawie co dzień dostaje listy od ludzi, twierdzących, że gdzieś widzieli Freda, mnie się wydaje, że to banda wariatów, którzy sami chcą się znaleźć w blasku reflektorów albo kogoś nim oślepić. Twierdzą w każdym razie, że widzieli go na Times Square w Nowym Jorku, na rynku w Montevideo, na Strøget w Kopenhadze, na ulicy Karla Johana i na promie między Moskenes a Røst. Te plotki, w równym stopniu niewiarygodne co pewne, dały matce nową nadzieję, najbardziej beznadziejną ze wszystkiego, takie jest zadanie matki, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę czekać i mieć nadzieję, mieć nadzieję i czekać, bo takie jest przekleństwo, rzucane przez zaginionych na tych, których opuszczają. – Ale ktoś z nich musi się mylić – mawiam zwykle. – O co ci chodzi? – pyta matka. – Przecież on nie może być we wszystkich tych miejscach jednocześnie, prawda?

Matka mówi wtedy, że zabijam wszelką radość, i otwiera kolejny list, w którym ktoś pisze, że z całą pewnością widział Freda Nilsena na Majorce albo w Arvika, poznali go po krzywym nosie i wychudzonej twarzy. Matka przekazuje wszystkie listy do biura poszukiwawczego Armii Zbawienia, żeby usystematyzowali ślady. Zapisuję na marginesie:

Śledzić list. Jak daleko w czasie można się cofnąć? Wyobrażam sobie las, tam wybieram drzewo, drzewo zostaje ścięte, ale kto je ścina, kto je oczyszcza z gałęzi i tnie na kawałki?

Czy ich też mam tropić? Idę więc raczej nad rzekę, widzę drewno, które nią płynie, całą ławicę pni, jak kolosalne bierki, i ludzi, którzy je rozplątują. Zabieram drewno do fabryki, tuż przy wodospadzie, a może zrobię ten papier ręcznie, w jakimś małym zakładzie rodzinnym, na przykład we Włoszech, w Bellagio. Potem będę śledził drogę gotowej czystej kartki aż do sklepu, w którym kupuje ją młody człowiek. Tu zrobię skok, pierwszy skok, w pustą, skutą lodem krajobraz, lecz nim to zrobię, muszę mieć deskę, muszę w nią trafić, a tą deską jest ów młody człowiek, który obejmuje ukochaną, piękną i dumną dziewczynę, potem wchodzi na pokład statku, który zawiezie go do krainy wśród lodów i śniegów. Mam go przed oczami. Siedzi w kajucie i pisze do ukochanej, drzewo zmieniło się w myśl, myśl zmieniła się w pismo, a to pismo zmieni się w obraz. Chcę mieć rękę, która pisze. Chcę mieć kieszeń, do której zostanie włożony list. I wiatrówkę, której nie wkłada, tylko zostawia na haczyku w ciasnej kajucie, kiedy wyrusza na ostatnią wyprawę i znika w szczelinie w krze albo zamarza w lodzie, który grzebie go na wieczność. To jest dobre. To początek skoku, trójskoku. Wypijam łyk. Zasłużony. Ciemna wódka rozjaśnia mi w głowie. I nagle ktoś mi przerywa, w środku nowego rozbiegu. Ktoś stuka w okienko.

Postanawiam nie otwierać. Dzisiaj kiosk Barnuma jest zamknięty. Stukanie rozlega się znów, teraz głośniej. Nie pozwolę sobie przeszkadzać. Świetnie mi idzie. Ale ktoś wali w okienko po raz trzeci i mało nie rozwali całego kiosku, muszę więc podnieść żaluzje i przyjrzeć się temu potworowi. Owalna twarz, za mocno opalona i do połowy zakryta okularami słonecznymi, wypełnia niemal cały otwór. – Parówkę z bułką poproszę. – Nie mamy parówek – mówię. Wobec tego napój w torebce, tylko miękkie. – Niestety, są jedynie mrożone. – Ale dziesięć Teddy bez filtra chyba załatwisz, mały? – Jesteś niewdzięcznym klientem – mówię. – A z ciebie marny handlarz, Barnumie Nilsen. To Peder. Nie kto inny tylko Peder Miil. Łapie mnie za marynarkę i wyciąga przez okienko, aż przewracamy się na chodnik. Obejmujemy się jak za dawnych dni, a w sercu rośnie szalona radość. Peder nareszcie wrócił. Wstajemy i otrzepujemy kurz z ubrania. – Utyłeś – mówię. Peder zanosz się swoim głośnym śmiechem. – A ty się jeszcze bardziej zmniejszyłeś! Przez chwilę stoimy w milczeniu, na Kirkeveien, w niedzielę pod koniec listopada, i próbujemy odnaleźć ton, szukamy i wiemy, że nic już nie jest takie samo. Widzimy, że się zmieniliśmy.

Peder ma na sobie cienką niebieską koszulę i blezer. Kładę mu rękę na ramieniu. – Straszne to, co się stało z twoim ojcem – mówię szeptem. Peder zdejmuję ciemne okulary i patrzy na mnie. – Coś ty zrobił z okiem? – pyta. Nie wspominam już więcej o jego ojcu, dopóki sam o nim nie wspomni. – Idziemy teraz do domu, do Vivian – mówię więc.

Chowam rękawiczki do kasy i zamykam kiosk już na dobre, do końca dnia. Milczymy przez całą drogę, dopóki nie staniemy przed drzwiami na Bolteløkka. Peder patrzy na wizytówkę, na wypolerowaną do połysku tabliczkę z miedzi z naszymi imionami, Vivian i Barnum. – A nie mówiłem? – mówi. – Co mówiłeś? – Że to wy będziecie razem, no nie?

Otwieram drzwi kluczem. Vivian stoi przy oknie, odwrócona plecami. Skradamy się na palcach i zatrzymujemy. – Już wróciłeś? – pyta Vivian. Rozmawiamy jak stare małżeństwo.

Dialogiem, który ukradliśmy z filmu z Jeanem Gabinem. – Mało ludzi – odpowiadam. – W dodatku jesteś trzeźwy? Peder znów na mnie patrzy. Zmieniam repertuar. – Zgadnij, kto przyjdzie na obiad? – mówię prędko. Vivian też się zmieniła. To coś w jej postawie. Jest przygarbiona, kark ma zgięty, jak gdyby coś po drodze zgubiła i musiała się pochylać, żeby to znaleźć. Często myślałem, że zrobiła się taka od bycia ze mną, że próbuje się obniżyć do mojego poziomu, może to również jest forma miłości, i myślę, że raczej powinno być odwrotnie, że to ja powinienem wyciągać się do niej. – Fred – mówi Vivian nagle.

Nieruchomieję. – Co? – To Fred przyjdzie na obiad? Śmieję się głośno. Peder zdejmuje ciemne okulary. – Cześć, moje nieszczęście – mówi. Vivian się odwraca, prostuje plecy, opuszcza ramiona i wyciąga szyję, i w tym momencie, kiedy odkrywa, kto to jest, że to Peder, znów staje się sobą, dzielące ich lata zacierają się, czas się połatał. Widzę to, jestem szczęśliwy i zrozpaczony. – Cześć, grubasie – mówi Vivian. Peder chichocze, wyciąga chusteczkę z kieszonki na piersiach i czyści ciemne okulary. – Fajną macie tabliczkę na drzwiach, Vivian. Ona przygląda mu się uważnie, jakby chciała się upewnić, że to on, Peder Miil, grubas. – Kiedy przyjechałeś? – pyta. – Tydzień temu. – Jesteś w mieście już od tygodnia? – wołam. Peder nie odrywa oczu od Vivian. – Musiałem najpierw załatwić parę spraw. Wreszcie Vivian podbiega do niego, obejmują się długo i jedno z nich płacze. To Vivian. Peder powiedział kiedyś, że obaj jesteśmy z nią. Teraz znów tak jest. Wychodzę do kuchni po piwo.

Kiedy się obudziliśmy, Vivian już wyszła. Na nocnym stoliku stała butelka. Napilem się i podałem ją Pederowi. – Lauren Bacall wciąż patrzy na nas z góry? powiedzia. Wskaza? zdjęcie na?cianie. Dzisiaj wisia?o krzywo. ? My?la?em, ?e?to matka Vivian ? powiedzia?em. ? Ja?te? ? roze?mia? si? Peder. Odstawi? butelk? na?pod?og?. ? Dobrze traktujesz Vivian? ? spyta? nagle. ? O?co ci?chodzi? ? Dobrze wiesz, Barnum. ? Nie, nie wiem. Poczujęm, ?e?ro?nie we?mnie l?k, ten ci??ki motor, kt?ry ?ci?ga ci? w?g??b, ??d? podwodna duszy. Peder ucich?. Zobacz?em, ?e?zacz?? pada? ?nieg. Zapomnia?em zabra? parasol z?balkonu. I?widok tego niebieskiego parasola w?g?sto padaj?cym ?niegu, uk?adaj?cym si? w?ostr? kraw?d? na?por?czy, wci?? rzuca cie? ?alu i, o?dziwo, r?wnie wielkiej rado?ci, kiedy sekundy za?bardzo b?yszczy i?mnie o?lepiaj?. ? Zrobi?em co? wczoraj? ? pytam szeptem. ? Nic innego pr?cz tego, ?e?pi?e? i?si? ?mia?e?. ? No?to dlaczego pytasz? ? Widzia?em to?czarne w?jej oczach ? odpowiedzia? Peder. Mo?e potrzebny by? kto? inny, by?to dostrzec, kto?, kogo d?ugo nie by?o. ? Nie potrafi? zrobi? dziecka ? powiedzia?em. Peder przez chwil? le?a? w?milczeniu. Wi?cej o?tym nie m?wi?.

Zamiast tego po?o?y? si? na?mnie. ? Wci?? masz sny, Barnum? ? ?ni? przez ca?y czas, ty?ba?wanie! Peder si? nie poddawa?. ? Ale ?niesz na?plusie? Roze?mia? si? i?odgi?? mi?r?ce do?ty?u. Pr?bowa?em si? wyrwa?. ? Komercja uderzy?a ci?do g?owy w?tej Ameryce? ? zawo?a?em. Peder gwa?townie mnie pu?ci?. ? Co? ci?poka?? ? powiedzia?.

Wypili?my resztki, wzi??em swoje scenariusze i?wyszli?my. Ju? by?y zaspy po?od?nie?aniu, a??nieg dalej sypa?. Powiedzia?em sobie, ?e?musz? schowa? ten parasol. Nie m?g? d?u?ej sta? na?balkonie. Peder przypomina? cudzoziemskiego robotnika w?tej swojej cienkiej niebieskiej koszuli, rozpi?tej pod szyj?, kogo?, kto nie ma?poj?cia, czym jest ch??d, i?potrzebuje ca?ej zimy, ?eby nauczy? si? marzn??. Na?Theresesgate z?apali?my taks?wk? i?pojechali?my na?Solli plass. Nasze drzewo mia?o bia?e ga??zie, zmieni?o si? w?albinosa. Ale to?nie drzewo Peder chcia? mi?pokaza?. Chodzi?o mu?o sklep ojca. ? Ja?te? za?atwi?em sobie tabliczk?. Nad drzwiami nie by?o ju? napisu Znaczki Miila ? Kupno i?sprzeda?. Teraz nowe, ostre litery z?plastiku m?wi?y: Miil & Barnum. Chcia?em spyta?, co?to w?a?ciwie znaczy, ale Peder otworzy? drzwi kluczem i?wepchn?? mnie do??rodka.

W?lokalu nie by?o ani jednego znaczka. Szafki i?szuflady by?y puste. Wszystko znikn??o, nawet ten nie do?pomylenia z?niczym zapach papieru i?gumy. Pojawi?y si? natomiast nowe meble, biurko, szafka na?dokumenty, kanapa i?biurowe krzes?o. ? Co?o tym my?lisz? ? spyta? Peder. Odwr?ci?em si? do?niego. ? Gdzie si? to?wszystko podzia?o? ? Sprzedane, to?chyba jasne. ? Wr?ci?e? do?domu i?zwyczajnie sprzeda?e? wszystko, co?mia? tw?j ojciec?

Peder podniósł rękę, powiódł palcami po wargach, przez moment zakłopotany. Gos mu drżał. Zrobił się sentymentalny, Barnum? Tak powiedziałem. Zobaczysz, zaczyna się uśmiechać. U Pedera nic nie trwa długo. Myślała, że do końca życia będzie liczyć zbanki? Usiadłem na krześle biurowym. Miało podprężyć pod kark, sprężyny, która obracała się dookoła. Przypominało mi Tatiego, z patrzy na nas z góry – powiedział. Wskazał zdjęcie na ścianie. Dzisiaj wisiało krzywo. – Myślałem, że to matka Vivian – powiedziałem. – Ja też – roześmiał się Peder. Odstawił butelkę na podłogę. – Dobrze traktujesz Vivian? – spytał nagle. – O co ci chodzi? – Dobrze wiesz, Barnum. – Nie, nie wiem. Poczulem, że rośnie we mnie lęk, ten ciężki motor, który ściąga cię w głąb, łódź podwodna duszy. Peder ucichł. Zobaczyłem, że zaczął padać śnieg. Zapomniałem zabrać parasol z balkonu. I widok tego niebieskiego parasola w gęsto padającym śniegu, układającym się w ostrą krawędź na poręcz, wciąż rzuca cień żalu i, o dziwo, równie wielkiej radości, kiedy sekundy za bardzo błyszczą i mnie oślepiają. – Zrobiłem coś wczoraj? – pytam szeptem. – Nic innego prócz tego, że piłeś i się śmiałeś. – No to dlaczego pytasz? – Widziałem to czarne w jej oczach – odpowiedział Peder. Może potrzebny był ktoś inny, by to dostrzec, ktoś, kogo długo nie było. – Nie potrafię zrobić dziecka – powiedziałem. Peder przez chwilę leżał w milczeniu. Więcej o tym nie mówił.

Zamiast tego położył się na mnie. – Wciąż masz sny, Barnum? – Śnię przez cały czas, ty bałwanie! Peder się nie poddawał. – Ale śniesz na plusie? Roześmiał się i odgiął mi ręce do tyłu. Próbowałem się wyrwać. – Komercja uderzyła ci do głowy w tej Ameryce? – zawołałem. Peder gwałtownie mnie puścił. – Coś ci pokażę – powiedział.

Wypiliśmy resztki, wziąłem swoje scenariusze i wyszliśmy. Już były zasy po odśnieżaniu, a śnieg dalej sypał. Powiedziałem sobie, że muszę schować ten parasol. Nie mógł dłużej stać na balkonie. Peder przypominał cudzoziemskiego robotnika w tej swojej cienkiej niebieskiej koszuli, rozpiętej pod szyją, kogoś, kto nie ma pojęcia, czym jest chłód, i potrzebuje całej zimy, żeby nauczyć się marznąć. Na Theresesgate złapaliśmy taksówkę i pojechaliśmy na Solli plass. Nasze drzewo miało białe gałęzie, zmieniło się w albinosa. Ale to nie drzewo Peder chciał mi pokazać. Chodziło mu o sklep ojca. – Ja też załatwiłem sobie tabliczkę. Nad drzwiami nie było już napisu Znaczkki Miila – Kupno i sprzedaż. Teraz nowe, ostre litery z plastiku mówiły: Miil & Barnum. Chciałem spytać, co to właściwie znaczy, ale Peder otworzył drzwi kluczem i wepchnął mnie do środka.

W lokalu nie było ani jednego znaczkka. Szafki i szuflady były puste. Wszystko zniknęło, nawet ten nie do pomylenia z niczym zapach papieru i gumy. Pojawiły się natomiast nowe meble, biurko, szafka na dokumenty, kanapa i biurowe krzesło. – Co o tym myślisz? – spytał Peder. Odwróciłem się do niego. – Gdzie się to wszystko podziało? – Sprzedane, to chyba jasne. – Wróciłeś do domu i zwyczajnie sprzedałeś wszystko, co miał twój ojciec?

Peder podniósł rękę, powiódł palcami po wargach, przez moment zakłopotany. Głos mu drżał. – Zrobiłeś się sentymentalny, Barnum? – Tak – powiedziałem. Zobaczyłem, że zaczyna się uśmiechać. U Pedera nic nie trwało długo. – Myślałeś, że do końca życia będę liczył ząbki? Usiadłem na krześle biurowym. Miało podpórkę pod kark, sprężyny, kółka i obracało się dookoła. Przypominało mi Tatiego, *Playtime*, drzwi, które zamykają się bezszelestnie, kiedy człowiek z wściekłością zatrząskuje je za sobą. – Co moje imię robi na tym szyldzie? – spytałem. Peder westchnął. – Zapomniałeś o wszystkim, o czym kiedyś rozmawialiśmy? Wstałem i złapałem go za koszulę. Wydaje mi się, że urwałem guzik. – Nie zapomniałem, że nie dawałeś znaku życia – szepnąłem. Peder pchnął mnie z powrotem na krzesło. – To twoje krzesło, Barnum. Podniosłem głowę. – Co? Peder zakręcił krzesłem w wariackim pędzie, musiałem przytrzymywać się poręczy, zakręciło mi się w głowie, zacząłem krzyczeć, a Peder się śmiał, wreszcie krzesło się zatrzymało, to było jak gra w butelkę, tylko że to ja byłem butelką. Peder pochylił się nade mną. – Sny i matematyka, Barnum. Ty będziesz śnił, a ja obliczę, ile to kosztuje. Zamknąłem oczy i pokręciłem głową. Peder położył mi ręce na ramionach. – Zrobimy film, Barnum. Ty napiszesz. Ja sprzedam. – A Vivian będzie charakteryzować! – zawołałem. Peder z szafki na dokumenty wyjął wycinek z gazety. To był artykuł Bente Synt. – *Świeża krew w norweskim filmie* – odczytał. Popatrzył na mnie, a na jego twarzy ukazał się uśmiech, ten uśmiech należący tylko do niego. – Jestem z ciebie dumny, Barnum. – Dziękuję – szepnąłem i musiałem zrobić jeszcze jeden obrót na krześle. – Wiesz, na co miałem ochotę, kiedy przeczytałem to w samolocie? – Powiedz, Peder. – Chciałem iść do kokpitu i zawołać, że Barnum Nilsen to mój najlepszy przyjaciel! Roześmiałem się. – Powinieneś porwać samolot! Peder czytał dalej: – *Przemówienie dziękczynne Barnuma Nilsena przejdzie do historii jako najkrótsze i najbardziej niezwykle.* Peder znów podniósł wzrok na mnie. – Tak mi się tylko wyrwało – szepnąłem. Ale

Peder pokręcił głową. – Niech was cholera. Kompletnie wariactwo, Barnum. Teraz już cię nie zapomnę. Złożył wycinek i schował go do szafki.

Nie wiem, czy spodobało mi się to, co powiedział. Woląłem raczej, żeby zapomnieli. Ale nie miałem siły mu się sprzeciwiać. Chciało mi się pić, wstałem. – Lodówkę też sprzedałeś? – spytałem. Peder wyciągnął plik banknotów i przeliczył. – Wzięłeś scenariusz? Położyłem *Tuczenie* na biurku. Peder podał mi trzy banknoty. – Idź do monopolowego, a ja w tym czasie to przeczytam. Stałem, przez moment zdumiony, prawie wściekły, z pieniędzmi Pedera w ręku. Co on sobie myśli? Peder usiadł na kanapie i zaczął przeglądać scenariusz. Poszedłem przez śnieg do monopolowego na Drammensveien. Chciałem czerwone wino i musiałem pokazać dowód. Zawsze noszę dowód przy sobie. Wszędzie są ograniczenia wiekowe. Ekspedient długo się w niego wpatrywał, oglądał pod światło, wezwał kolegów, żeby usłyszeć ich opinię o tym zniszczonym, wystrzępionym dokumencie z moim zdjęciem, zrobionym w automacie na Dworcu Zachodnim, bo tam jest najwyższy stółek. To trochę tak, jakbym nie był już w zgodzie ze sobą, jakby nastąpiło jakieś przesunięcie, budzę wątpliwości, lecz nie te, o których mówił ojciec, te, które są prawdziwe i sprawiają, że ludzie wierzą we wszystko.

Moje wątpliwości są nieczyste, są kamieniem u szyi. Za ladą wybuchł śmiech.

Powinienem wyjść, odwrócić się, wyjść, trzasnąć drzwiami. Czekałem. Chciało mi się pić. W końcu dostałem z powrotem dowód i torbę z butelkami. Ekspedient zawahał się jeszcze przez chwilę na widok powieki opadającej mi na twarz. Czym prędzej stamtąd wyszedłem. Chciałem kopnąć w drzwi, ale się opanowałem i przytrzymałem je nawet jednej ze starszych pań z okolicy, które przynoszą tu puste butelki owinięte w gazetę, i cicho je za nią zamknąłem, bo uznałem, że zapewne przyjdę tu jeszcze nie raz.

Wypiłem piwo w barze w Le Coq d'Or. Peder czytał powoli. Dowód położyłem na ladzie. Barman zażartował: – Boi się pan, że pan zapomni, kim jest? – Boję się, że nie dostanę piwa – odparłem. Wypiłem jeszcze jedno i wróciłem do sklepu. Zatrzymałem się pod drzwiami i popatrzyłem na nowy szyld. Miil & Barnum. Coś tu było nie tak, coś zgrzytało, przypominało reklamę miodu albo marny wiersz. Kiedy wszedłem do środka, Peder siedział z nogami na stole. – Ciągłe śnisz na minusie – powiedział. Otworzyłem czerwone wino. – Nie podobało ci się? – spytałem. Peder wstał i rozpoczął dłuższą przemowę, stale podnosząc pulchne ręce, jakby pompował słowa. Zdążyłem wypić prawie całą butelkę. A powiedział mniej więcej to: – Czy mi się podobało? Oczywiście, że mi się podobało. Podobało mi się to mało powiedziane. Ja to uwielbiam. Ale czy to ma jakieś znaczenie? Ma? Odpowiedź brzmi: nie. Znaczenie ma to, że nikomu nie będzie się chciało pójść do kina, żeby to zobaczyć. Tuczenie, no wiesz! Tu są same minusy. Każdy człowiek w tej historii wychodzi z deficytem. Wszystko, co robią, każde ich działanie, tylko zwiększa ich dług. Wszystkich, matkę, lekarza szkolnego, chłopców, wieśniaka i gospodynię, nawet samego operatora skazujesz na bankructwo. Musisz przejść na nadwyżkę, Barnum. Publiczność chce dodatnich wyników. Kiedy wychodzą z sali, chcą zabrać ze sobą jakiś zapas!! Chcą być tłuści, a nie chudzi! Prawda? Peder zatrzymał się, odetchnął i poparzył na mnie. – Wiem, już, gdzie jest błąd – powiedziałem. – Świetnie! – zawołał. – Moje imię musi być pierwsze. Peder na moment się zmieszał. – Co ty mówisz? – Barnum & Miil. Tak jest o wiele lepiej. Peder opuścił ręce i uśmiechnął się. – To się da załatwić. Sięgnął po telefon, odbył z kimś krótką rozmowę, odłożył słuchawkę i odwrócił się do mnie. – Można to już uważać za załatwione – powiedział. Usiadł. Nie wiem, do kogo dzwonił, ale mi zaimponował. – Masz coś jeszcze? – spytał. Nalałem mu do kubka. Peder się roześmiał. – Chodzi mi o materiał, Barnum. Zamknąłem oczy. Czy mogłem teraz popsuć pomysły, zużyć je? Jak

mało powinienem powiedzieć, jak dużo zachować dla siebie? Uświadomiłem sobie, że jestem połową prawie we wszystkim, mam pół twarzy, pół wzrostu, pół myśli, jestem połową człowieka. Jedyną całością było to, że wszystko było połową. – *Basen* – powiedziałem. Peder wychylił się do mnie. – Basen? – To tytuł. *Basen*. Podniósł kubek i zaraz go odstawił. – Miil chce więcej – powiedział.

Dałem mu więc więcej. Oddałem mu historię. – Wyobrażam sobie dwóch robotników, którzy budują baseny w ogrodach bogatych ludzi. Kopią, murują, układają kafelki, męczą się na okrągło przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, żeby skończyć piękne baseny kapitalistów. W czasie gdy pracują, w ogrodach odbywają się przyjęcia, mężczyźni w smokingach i kobiety w długich sukniach przechadzają się nad brzegiem basenu z drinkami i tartinkami. Ale tych basenów nigdy nie napełnia się wodą. Kiedy nadchodzi jesień, stoją tak samo puste, na dnię są tylko liście i deszczówka. Są jak olbrzymie grobowce. Wypiłem trochę i popatrzyłem na Pedera. Miał na twarzy wyraz zamyślenia. Na czole zawisła ukośna zmarszczka. – Nic więcej się nie dzieje? – spytał. – Uważasz, że powinno się więcej dziać? – Tak, tak uważam, Barnum. Tu się nie dzieje nic. Tylko budują basen. – Basen to metafora – powiedziałem. Nigdy nie nalewają do niego wody. Peder westchnął. – Właśnie o to mi chodzi. Nigdy nie nalewają wody. – Ale właśnie w tym jest cały sens – powiedziałem. – Sens? – Metafory. To, że budują basen bez wody. – Czy ci robotnicy robią to celowo, to sabotażyści? – Nad tym się nie zastanawiałem – odparłem.

Peder zaczął się niecierpliwić. – Wobec tego musisz mi to dokładniej wyjaśnić. Nie spiesz się. – Nie ma nic do wyjaśniania. – Jest mnóstwo do wyjaśniania, Barnum. – Życie to pusty basen – powiedziałem. Peder westchnął jeszcze ciężiej. – Czy to twoja, czy moja wina, że akurat w tej chwili czuję się głupi? – O co ci chodzi? – Chcesz, żeby publiczność czuła się głupia, Barnum? – Ależ skąd. – Możemy to posłać do teatru telewizji – powiedział. Na zewnątrz zatrzymała się jakaś ciężarówka. Dwaj mężczyźni w kombinezonach z odbłaskami wokół łydek ustawili drabinę za oknem. Peder wstał, otworzył drzwi i wydał kilka dyspozycji. Zaraz wrócił. Otworzyłem kolejną butelkę i nalałem do kubków. Peder podniósł kubek. – Pamiętasz, jak ojciec nazywał kaca? – spytał nagle. – Pocztaowa opłata karna – odparłem. Peder się roześmiał. – Za mało znaczków nalepionych na radość. Zobaczyłem, że drgnęły mu oczy. Musiał spuścić wzrok. – Dziękuję, że pomogliście matce – szepnął. – Przecież inaczej być nie mogło, Peder. – Strasznie się wstydzę, Barnum. – Dlaczego? – Nie miałem siły wracać do domu na pogrzeb. Jestem tchórzem. Podniósł głowę. – Cholernie się wściekłem, jak mi powiedziała, co zrobił. – Wściekłeś się? – Nie rozumiem tego. Tego, że odebrał sobie życie. A nienawidzę tego, czego nie rozumiem. Peder znów spuścił głowę. – Niech go cholera – szepnął. Niech go cholera. Miałem ochotę opowiedzieć Pederowi o *Człowieku nocy*, o pierwszych scenach w *Człowieku nocy* i moich wielkich planach. Ale on mnie uprzedził. – Jest jeszcze jedna rzecz – powiedział. Czekąłem. Wypił łyk i popatrzył na mnie. – Nie zdałem ani jednego egzaminu. – No to co robiłeś? – Chodziłem na plażę. – W każdym razie pięknie się opaliłeś. Peder podniósł się gwałtownie. – Nie słyszysz, co mówię? Jestem nikim. Absolutnie nikim. – Nie przechwalaj się – powiedziałem. Peder stał, milczący i zdezorientowany, koszula wyszła mu ze spodni, czoło miał spocone, ręce niespokojne. – Wiesz już, z kim masz do czynienia – szepnął. – Ile liter jest na naszym szyldzie? – Dziesięć – odparł Peder zmęczonym głosem. Ja też wstałem i wziąłem go za rękę. –

To wystarczy na długo – powiedziałem. A on oparł mi głowę na ramieniu.

Jeden z mężczyzn zastukał w okno. Skończyli i odjechali z drabiną na dachu. Wyszliśmy.

Zmienił szyld. – Zrobię tak, że twoje sny będzie widać – powiedział Peder. Wbiegł do środka. Śnieg wciąż padał. Nagle coś się stało. Litery gwałtownie błysnęły, jakby chciały oderwać się od ściany. Peder wyszedł uśmiechnięty i stanął obok mnie na śniegu. Wkrótce litery się uspokoiły i nasze imiona zaświeciły ostrą czerwienią nad drzwiami: BARNUM & MIIL. Objąłem Pedera. I tak zaczęło się to, co nazywam, pożyczając wyrażenie z języka filmu niemego, naszym elektrycznym teatrem, który miał mnie zaprowadzić do pokoju 502 w Cochs Hospits, a potem do Røst, gdzie suszyłem się na słonym wietrze.

(rząd 14, miejsca 18, 19 i 20)

Niemy film czerpał swój wyraz z fotografii i sztuki mimicznej, z burdeli i variétés, z portów, knajp, cyrków i cmentarzy. Twarz nie kłamie. Opowieść twarzy jest prymitywna i wyraźna, tak jak rysom twarzy Starej wyraz nadała tęsknota, lecz również szczęście, jakim było noszenie w łonie Boletty, dziecka zaginionego kochanka.

Jesteśmy podwójni. Jesteśmy połowiczni. Opowieść twarzy to tragedia i komedia.

Scenariusz wtedy jeszcze nie istniał. Akcją był ruch, uniesienie brwi, łza, uśmiech. Język obecny był tylko jako śródtytuły, tekst wyjaśniający między scenami, białe migoczące litery na czarnym tle, a jego jedynym zadaniem była rzecz następująca: przekazać, że czas płynie. *Później. Następnego dnia rano. Tego samego wieczoru.* Z czasem jednak te proste informacje, sygnały czasu stały się za krótkie. Jakby w język wdarła się próżność i wkrótce na ekranie można było przeczytać: *Długie okrutne dni ciągną się w nieskończoność, wypełnione rozpaczą i poczuciem beznadziejności. Brutalny poranek skrada się niezauważony.* Język zaczął podążać w złym kierunku. W końcu czas stanął w słowach. Nawet muzyka nie mogła tego naprawić. Pianista się poddał. Aktorzy zaczęli poszeptywać do siebie, ogarnięci tą samą paniką, którą odczuwała również publiczność.

Akcja musiała iść naprzód. Mowa przedarła się na pierwszy plan, a wraz z mową pojawił się scenariusz. Są chwile, kiedy i ja tak czuję: czas się zatrzymał. Kartki leżą. Nie mogę skończyć. Stoję na zapleczu. Piję tak wolno, jak potrafię. Upicie się to również czas, a w środku upicia czas dostaje amoku, zegar eksploduje we śnie. Patrzę na gości. Nie słyszę ich. Peder sprosił pół miasta. Jest tłok. Poznają twarze z Norsk Film, jest dyrektor, skórzane łąty na łokciach się oderwały, kierownikowi literackiemu wypadł papieros, wdeptuje go w dywan, kiedy jej się wydaje, że nikt nie widzi, ale ja to widzę, jest kilkoro dziennikarzy, Bente Synt notuje, jest skaldem opiewającym ten wieczór, w kieszeni ma aparat fotograficzny, są tu muzycy w brudnych dżinsach, podnieceni reżyserzy, zwłaszcza ta słynna para, jeden w futrze, hałaśliwi aktorzy, nieudaczeni poeci podziemia, opiekunki do dzieci, najbliżsi krewni i inni bladzi bywalcy, którzy nie zostali zaproszeni, ale zwęszyli darmowe chłanie jak wytresowane ogary. Jestem pełen podziwu. Peder i Vivian krążą i uśmiechają się do wszystkich. To gospodarz i gospodyni. Są eleganccy. Nie spuszczam z nich oka. To najładniejsze rybki w akwarium. Ja stoję po drugiej stronie, tej bezdźwięcznej. Tam mi dobrze. Vivian odwraca się nagle i napotyka mój wzrok, to przytłaczające, chociaż trwa zaledwie sekundę albo jeszcze krócej, to jedynie przelotne mijające spojrzenie, ruch, który się nie zatrzymuje. Uśmiecham się i podnoszę kieliszek, za późno, i wiem, że ona już nie jest moja i że może nigdy nie była. Marny ze mnie mężczyzna. I w chwili gdy to sobie uświadamiam, czuję się jej bliższy niż kiedykolwiek.

Peder staje na krześle i wygłasza mowę. Widzę usta, marszczące się w śmiechu, i klaszczące dłonie. Potem nagle wdzierają się głosy, fala dźwięku płynie do mnie, słyszę wołanie Pедера. Chce, żebym powiedział kilka słów. Idę do nich. Wspinam się na to samo krzesło. Wyczuwam coś w rodzaju podniecenia. Patrzę na Vivian. Ona spokojnie czeka. – Dalej, Barnum! – woła Bente Synt. Peder trochę się poci. Jeden z najwcześniejszych filmów nakręconych w Anglii nazywał się *Liliputy w restauracji*. Reżyser, Robert W. Paul, znany ze swoich sztuczek, a zwłaszcza z trików, filmował najpierw scenę w zwykły sposób, potem ustawiał czarne tło, cofał kamerę o trzydzieści stóp, zmieniał obiektyw i filmował ponownie na tej samej taśmie. Dzięki temu uzyskiwał w tym samym ujęciu postacie ludzi normalnej wielkości i małe baśniowe ludziki. Najsłynniejsza scena jest taka: niedowierzanie i zdumienie marynarza na widok karzełek wypełzających jak roztocza z sera, który akurat miał zjeść. Chcę powiedzieć coś na ten temat. Chcę powiedzieć, że ja też jestem takim roztoczem, będę pojawiał się wszędzie, znajdziecie mnie, gdy będziecie wyciągać szufladę, przeglądać książkę, gdy wsunięcie rękę do kieszeni, pójdziecie do ubikacji, otworzycie schowek na rękawiczki, etui do okularów i lodówkę, pojawię się, gdy będziecie zasypiać, a przede wszystkim, gdy się obudzicie.

Jestem roztoczem. Muszę teraz coś o tym powiedzieć. Ale nie mogę. – Wieczór jest jeszcze młody – mówię zamiast tego. Schodzę z krzesła. Ktoś klaszcze. Inni tylko patrzą po sobie. Bente Synt przemyka się między ludźmi. – Nabrałeś głody? – pyta. Kiwam głową. – Szkoda – szepcze. Przekrzywia głowę. – Na co ci właściwie ten Peder Miil? – pyta. Wrywam jej aparat i przybliżam go do jej długiej twarzy, do czerwonego pyska. – Zaraz ci sfotocholografuję! – wołam. I robię to. Odbieram jej duszę. Bente Synt się śmieje. To miły wieczór. Dyrektor zatrzymuje się tuż za mną. – Zastanawiałaś się nad tym, co ci proponowałem? – pyta. – Nie – odpowiadam. Poklepuje mnie po ramieniu. Wieczór wciąż jest miły.

Wkrótce wszyscy wychodzą. Zostają tylko opróżnione butelki, niedopałki, niedopite resztki w kieliszkach, a zwłaszcza pogniecione brudne papierowe serwetki, w moich oczach przypominają ranne ptaki. Podnoszę jednego i prostuję mu skrzydła, pobrudzone szminką i popiołem. Nic dziwnego, że nie mogą latać. Siedzimy wokół stołu i wykańczamy ostatnią butelkę. Vivian, Peder i ja. – No, zaczęło się kręcić – mówi Peder. – Zaczęło się kręcić – powtarzam. Vivian jest zmęczona i zadowolona. Podnosi kieliszek. – Za Miila & Barnuma – mówi. – Za Barnuma & Miila – poprawiam ją. Peder się śmieje. – Za Vivian!

Pijemy sami za siebie. Wieczór już nie jest młody. Jest już noc, a szyld, wciąż świecący nad drzwiami, barwi śnieg na czerwono. Na środku ulicy leży goła choinka z połówką gwiazdy. Może ktoś ją wyrzucił przez okno albo z balkonu. Zamyśleni i milczący dopijamy resztki z butelki. – Komedia – mówi Vivian nagle. Patrzymy na nią. – Jaka komedia? – pyta Peder. Vivian przestała palić, a zapala papierosa. – O matkach. Zainspirowana *Kurkami Påla*. Peder i ja nie bardzo wiemy, w czym rzecz. Śpiewamy *Kurki Påla*, ludową piosenkę, i rozumiemy, o co chodzi Vivian, dopiero gdy docieramy do ostatniej linijki refrenu. *Boję się teraz wrócić do matki*. Całuję Vivian w policzek. Tej nocy jestem zakochany. Peder uderza pięścią w stół. – Lauren Bacall! – woła. Obracam się do niego. – Co z nią? – Co z nią? Gdyby udało nam się zaklepać jej udział w projekcie, to bylibyśmy w domu, nie? – Lauren Bacall? Upiłeś się, Peder? – Cholera, a co, mamy się może zadowolić nagrodą Złotej Krewetki w Drøbak? Nie ma rzeczy niemożliwych!

Rozmawiamy tak, podnosząc się nawzajem na duchu. Jest prawie tak jak kiedyś. Ale coś się stało z naszymi głosami. Mówimy za głośno. Mówimy za prędko. – Garaż się spalił. – Peder zniża głos. – Spalił się? Biorę go za rękę. Kilka razy kiwa głową. – Całe gówno poszło z dymem. Chyba wszystko jedno, nie? Vivian i ja wracamy do domu. Peder zostaje posprzątać. Refren nie schodzi mi z głowy. *Boję się teraz wrócić do matki.* Chłód mnie budzi. Nie mogę spać. Vivian ma gołe plecy. Delikatnie kładę jej rękę na biodrze. Odpycha ją przez sen. Wstaję. Siadam przy biurku. *Człowiek nocy* leży w szufladzie. Szuflady są pełne. Wkręcam nową kartkę w maszynę i piszę: *Zima nareszcie zrzuca białą pelerynę i pokazuje jasnozieloną sukienkę.* Wyglądam na dwór. Vivian siedzi pod parasolem na balkonie. Na małym okrągłym stoliku stoi czerwony drink. Vivian odchyła głowę i uśmiecha się, ale nie do mnie. W 1911 roku Will Barker nakręcił *Hamleta* w ciągu jednego dnia, a film trwał piętnaście minut. To rekord. Vivian wyszła do salonu piękności.

Dzwoni telefon. To Peder. Krzyczy w słuchawkę, jakby stał w budce telefonicznej na rogu dzieciństwa i miał mnóstwo do powiedzenia, a tylko jedną monetę. – Musimy o czymś porozmawiać, Barnum! – Nie mam czasu – mówię. – No to spotykamy się na lunchu w Valka.

Włożyłem ciemne okulary i wyszedłem, ale zanim dotarłem na Marienlyst, lato prawie się skończyło. Drzewa skrzypiały, tym niezwykłym suchym dźwiękiem palących się i opadających liści, wielkie koło się toczyło. Ale ja słyszałem dźwigi, stały jak mechaniczne drapieżniki na ulicy przed naszą kamienicą, cały dach był nakryty zielonym brezentem, podrywany przez wiatr, przypominał olbrzymi balon, pod którym na włosku wisiła kamienica. Już zaczęły przerabiać strychy na mieszkania. Pomyślałem: burzą teraz przeszłość matki. Zszedłem do Valka. Peder siedział przy oknie. Zamówiłem Zielony Sweter, czyli portwajn z piwem. Peder pił colę, zjadł też ciastko. Rozejrzałem się dokoła, po ospałych gościach. – Ja też tak skończę? – szepnąłem. Milczący kelner postawił zamówienie na stoliku. Pierwszy wypilem swój sweter. – W każdym razie jesteś na dobrej drodze – powiedział Peder. – O tym chciałeś porozmawiać? Peder pokręcił głową. To był zapyziały kąt rozeźlonych mężczyzn. Tutaj czas stał w miejscu, a kiedy z rzadka ruszał, gdy ktoś chciał się wysikać, czas się cofał. Od stolika w głębi wstał dyrektor. Nie był już dyrektorem. Jego miejsce zajęły młode helikoptery. Pozostawało tylko wyglądanie przez szare okno. Nowi mężczyźni i kobiety mijali nas w pośpiechu, w nic nieważących płaszczach, uzbrojeni w karty kredytowe i szpilki. Na wszystkich rogach pootwierano amerykańskie bary z hamburgerami. Nawet pijaczkowie na schodach Majorstuen mieli spodnie w kant. Nie tylko nasza kamienica, lecz całe miasto się unosiło, w kolejnym powietrznym rejsie Andrégo, tylko kto nas będzie w końcu szukał? Wierny pozostał jedynie kwartet z Armii Zbawienia. Byli wantami przytrzymującymi jeszcze skrawek tej rzeczywistości. Stali przy przystanku tramwajowym ze swoimi delikatnymi gitarami i śpiewali te same stare piosenki. Pomyślałem, że to oni szukają Freda. We wszystkich miastach wszystkich krajów stoją, śpiewają i patrzą, śpiewają, patrzą i zbawiają. – Słyszałeś o Arthurze Burnsie? – spytałem. Peder nie słyszał. Nikt o nim nie słyszał.

Opowiedziałem historię Arthura Burnsa. Umarł w zeszłym roku. Miał dziewięćdziesiąt cztery lata. Był jednym z pionierów filmu. Młodym i utalentowanym dramaturgiem, który przeniósł się z Nowego Jorku do Hollywood i zaczął pisać scenariusze filmowe już wtedy, gdy Mary Pickford była u szczytu. Nie przerwał tego. Pisał scenariusze, kiedy wielkim idolem był Douglas Fairbanks, pisał dla Jamesa Cagneya, Edwarda G. Robinsona, Johna Wayne'a, pisał, kiedy na ekranie pojawili się James Dean i Marlon Brando ze swoją melancholią, pisał, kiedy Clint Eastwood wyciągnął magnum, nie poddał się nawet wtedy, kiedy z prawej nadszedł Sylvester Stallone z nagim torsem. Arthur Burns był jednym z najbardziej szanowanych scenarzystów Hollywood. Nikt nie pracował dłużej niż on. Był legendą. Przeżył wszystkich idoli i Warner Brothers zapłacili za jego pogrzeb. We wspaniałej karierze Arthura Burnsa była tylko jedna zadra. Nigdy nic z niej nie wyszło.

Ani jeden z napisanych przez niego scenariuszy nie został sfilmowany, ani jedna scena, ani jedna kwestia, nie wykorzystany został nawet jeden *voice over*. Arthur Burns pisał do szuflady. Zamówiłem jeszcze jeden Zielony Sweter. Peder ziewnął. – I co ty mi próbujesz powiedzieć? – Ja też mam szufladę pełną scenariuszy, których nikt nie chce. Peder pochylił się nad obrusem. – Adaptacje – szepnął. Prędko przyciągnąłem rękę do siebie. – Adaptacje? – Dobrze usłyszałeś. Będziemy rozmawiać o adaptacjach. – Nie obrażaj mnie, Peder. – Idź do biblioteki i znajdź kilka książek z dobrą story. O nic więcej cię nie proszę. – Wolę wykorzystywać własne pomysły. Peder złożył ręce. – Ale w czasie gdy twoje własne pomysły kają na siebie trochę czekać, możesz chyba dać się zainspirować pomysłem innych, prawda? – Wiesz, co Scott Fitzgerald pisze o adaptacjach? – Nie, Barnum. Ale ty na pewno wiesz. Kiwnąłem głową. – Daj książkę dobremu przyjacielowi, poproś, żeby ci opowiedział, co z niej zapamiętał, zapisz to i masz film. – Fantastycznie – powiedział Peder. Były dyrektor wyszedł z kibla. Zatrzymał się przy naszym stoliku i popatrzył na mnie z góry. Peder zapłacił. – Piszesz? – spytał dyrektor. – Tak – powiedziałem. – Ale czy piszesz o swoim bracie, Barnum? Nie wiem dlaczego, ale okropnie się wkurzyłem. Wstałem i odepchnąłem go. Jestem pewien, że nie pchnąłem wcale tak mocno. Ale pchnąłem. To z jego równowagą musiało być coś nie w porządku.

Runął do tyłu, między stoliki. A mnie wyrzucono na dobre z Valka, jeszcze przed drugą, w tym samym czasie do środka wchodziła Bente Synt, zdążyłem zobaczyć jej uśmiech, ona była moim złym znakiem, bo za każdym razem, gdy się pojawiała, działo się coś strasznego. Peder złapał mnie za ramię i pociągnął na drugą stronę ulicy, zanim zdążyłem narobić dalszych szkód. Armia Zbawienia śpiewała. – Pisziesz o Fredzie? – spytał. Pедера też pchnąłem, ale on nie upadł, Peder był za ciężki. – Nie! – krzyknąłem. Poszliśmy do Biblioteki Deichmana na Bogstadveien i wypożyczyliśmy dwadzieścia powieści, między innymi najcieńsze książki Hamsuna, *Marzycieli*, *Małego lorda*, *Draculę*, sagi i ostatnią książkę młodego długowłosego pisarza, który się nazywał Ingvar Ambjørnsen.

Pojechaliśmy taksówką do biura. Jedna z liter nad drzwiami zgasła. Barum & Miil.

Przypominaliśmy hotel z toaletą na korytarzu. Peder otworzył drzwi kluczem, a w środku siedziała Vivian. Natychmiast się poderwała. – Nie słyszeliście? – spytała. Zmroziło mnie i wytrzeźwiałem. Nie wiem, czego się spodziewałem, ale najgorszego. – Czego nie słyszeliśmy? – szepnąłem. – Burzą kino Rosenberg – powiedziała Vivian. Peder rzucił wszystkie książki na podłogę i natychmiast pojechaliśmy tam taksówką. To była prawda.

Burzyli kino Rosenborg. Na tym miejscu miał powstać klub fitness. Wynosili wyposażenie ze środka i wrzucali je do olbrzymiego kontenera, blokującego całą ulicę. Znikało kolejne miejsce. Ale obrazów nie mogli wyrzucić. Światła nie mogli wepchnąć do czarnych worów i cisnąć na śmietnik. Zostawało coś, czego nigdy się nie pozbędziemy. To była pociecha. Peder przez blisko godzinę negocjował z kierownikiem. Wreszcie wypisał solidny czek i pozwolono nam wdrapać się do kontenera. Znaleźliśmy w końcu krzesła, rząd 14, miejsca 18, 19 i 20. Zanieśliśmy te miejsca, najlepsze na całej sali, na Bolteløkka i ustawiliśmy je na balkonie. – Ja chcę siedzieć z brzegu – oświadczyła Vivian.

Zaprotestowałem. – Masz siedzieć w środku. Ale ona i tak siada z brzegu, wszystko jedno co mówimy, na miejscu 18 w czternastym rzędzie, a w środku muszę siedzieć ja. Peder oczywiście ma czekoladę mleczną, którą dzieli sprawiedliwie na trzy kawałki. Drzewa w Stensparken mają jeszcze delikatne drżące liście. Ale wielkie koło trzeszczy. Słońce zachodzi. Człowiek Nocy idzie przez Blåsen i wszystko się przybliża. – Dobrze widzicie? – pytam. – Cicho – szepczą Peder i Vivian.

(welwetowa kurtka)

Tam, gdzie kiedyś był otwór w dachu, zrobili szerokie okno z widokiem na mrok i niebo. Ciekaw jestem, czy szkło wytrzyma, jeśli śnieg będzie padał mocno i długo.

Mur przy szybie na koks jest wygipsowany na biało. Podłogę wycyklinowano i mam wrażenie, że deski sprężynują, gdy po nich idę, są polakierowane na jasny, ładny odcień, który sprawia, że pomieszczenie wydaje mi się większe, niż je zapamiętałem, może dlatego, że jest tutaj pusto, nikt się nie wprowadził, to jeszcze nie jest miejsce. To otwarty salon połączony z kuchnią, a komórki obok zamieniono na sypialnię i łazienkę. Już to wiem: nigdy nie będę mógł tu mieszkać.

Słyszę, że ktoś wchodzi po schodach. Odwracam się. Matka zatrzymuje się pod sznurami do bielizny. Tak ją widzę. Mieszam te obrazy, które czas wywołuje jednocześnie: matka zatrzymała się pod sznurami do bielizny, przecinającymi światło luźnymi łukami, przymocowanymi do ścian zardzewiałymi haczykami, jeśli się wyciągnie, dosięgnie do drewnianych klamerek i zdejmie to, czego zapomniała, sukienkę w kwiatki, a na belce siedzi gołąb i grucha. Chcę coś powiedzieć, lecz milczę. Jest coś w niej, coś innego, jakiś spokój, który mnie przeraża. – To już koniec – mówi matka. – Koniec? O co ci chodzi? – O Freda – szepcze. W ukośne okno stuka deszcz. Nigdy nie będę mógł zasnąć w tych pokojach. Podchodzę bliżej matki. Dziwi mnie, że nie czuję ani radości, ani smutku, nawet się nie boję. Jak gdyby mroczny spokój matki udzielił się również mnie. Ale kiedy się odzywam, głos nagle mi się załamuje. – Znaleźli go? – pytam. Matka kręci głową. – Znaleźli jego ubranie. – Ubranie? – Pamiętasz tę starą welwetową kurtkę? Kiwam głową.

Pożyczył mi ją raz, kiedy koniecznie chciał, żebym poszedł z nim na cmentarz, była na mnie za duża. – Znaleźli ją w Kopenhadze. W Nyhavn. Wisiała na moście. Matka się uśmiecha. – Powiedz, czy nie robiłam dobrze, że przyszywałam wam do ubrań metki z nazwiskiem? – pyta. – Tak, mam. I rozumiem, że w chwili, gdy to powiedziała, poddała się. Tak to już jest. Nie ma siły dłużej czekać. Nie ma siły na dalszą nadzieję. Chce spokoju. Nie będziemy go już nazywać zaginionym, damy mu nowe imię: zmarły. Mam wrażenie, że matka odczuwa ulgę. – Przeszukali kanały, ale nie mogą go znaleźć – mówi szeptem. Prąd na pewno zaniósł go gdzieś daleko. Przysuwa się o krok. Podłoga drży.

Próbuję spojrzeć jej w oczy, ale nie wytrzymuję tego. – Przecież ktoś inny mógł nosić jego kurtkę – mówię. Matka znów się uśmiecha i podaje mi kartkę, na której jest coś napisane.

To ostatni fragment listu z Grenlandii, przez moment odczuwam coś w rodzaju triumfu, znalazł w końcu list, jego podróż nie była na próżno, ale zaraz rozpoznaję pismo Freda i jego połamane słowa. Pewnie tylko nauczył się ich na pamięć, tak samo jak ja, na swój własny wykrzywiony wiatrem sposób. Ale brakuje ostatniego zdania. – To leżało w kieszeni – mówi matka. Przez chwilę stoimy w milczeniu, jak gdybyśmy doszli do czegoś w rodzaju porozumienia. Tu, na górze, w pomieszczeniu, które było kiedyś suszarnią, gdzie wszystko się zaczęło, matka mówi, że to już koniec. Odbiera mi kartkę. – Chcę, żebyś wygłosił mowę, Barnum. Teraz muszę spojrzeć jej w oczy. Są błyszczące i ciemne. Nie podoba mi się to, co widzę. – Mowę? Gdzie? – Na nabożeństwie w intencji Freda.

Później idę na Bolteløkka. Półki, szuflady i szafy są puste. Pod ścianą stoją kartony.

Zdjęcie kobiety, którą uważaliśmy za Lauren Bacall, pozostawiło lekki spłowiały prostokąt na szarej tapecie. Próbuję pisać *Człowieka nocy*, ale obrazy stoją nieruchomo.

Gdzie jest teraz kurtka Freda? Zapomniałem spytać o to matkę. Piję, dopóki Vivian nie wraca do domu. Nie wiem, gdzie była. Nie pytam. Kładzie się koło mnie w ciemności.

Słyszę, że nie śpi. I właśnie teraz to mówi. – Będę miała dziecko – szepcze. A ja czuję, że jesteśmy każde w swoim kłamstwie, jednym większym od drugiego, kłamstwa włączają się w siebie jak bezszelestny mechanizm zegara, to podniecające, haniebne, nie mam pojęcia, co zrobić z tą samotnością. Wolno odwracam się do Vivian i delikatnie kładę rękę na jej brzuchu, bojąc się, że coś popsuję. Przez jej cienką, prawie jaśniejącą skórę przechodzi drżenie, jak gdyby tam w środku coś już żyło. Vivian siada na mnie. Nie widzę jej twarzy. Płaczę. Ona nachyla się tuż nad moimi ustami i gładzi mnie po włosach, raz po raz, wolno się kołysząc. – Nie płacz – mówi szeptem. Nie płacz teraz, Barnum. I ta pociecha, ta jedyna szczerza rzecz tej nocy niemal zakłóca delikatny mechanizm kłamstw i prawie nas odkrywa. – Fred nie żyje – mówię. Vivian zsuwa się ze mnie i odpycha mnie z całej siły, a potem do siebie przyciąga, wszystko jednym wzburzonym ruchem. Jej głos ledwie słyszeć. – Nie żyje? Fred nie żyje? – Znaleźli jego kurtkę w Kopenhadze. Uważają, że utonął w kanałach. – Ale jego samego nie znaleźli? – Nie – mówię szeptem. Vivian mnie puszcza. Zapalam światło. Vivian chowa twarz w dłoniach. Pokój jest biały, to pokój, który wkrótce będzie opuszczony. To do nas podobne. Zamykam oczy. Nie mam siły na to patrzeć. – Ja go chcę – mówi nagle Vivian, a w jej głosie jest jakieś zdecydowanie, niemal gniew, jak gdybym jej się sprzeciwiał. W pierwszej chwili w ogóle nie rozumiem, o co jej chodzi. Powieka znów mi opadła, zwisa jak cienki lepki bandaż. W końcu dociera do mnie. – Jego? Wiesz, że to będzie chłopiec? Vivian odwraca głowę. – Jestem w trzecim miesiącu – mówi szeptem. Wkładam koszulę i siadam na balkonie, na miejscu 18, z brzegu.

Nic nie widzę. Wszystko się zlewa. Dziwi mnie, że miasto jest takie spokojne, jak gdybyśmy tej nocy tylko my tu zostali, sparaliżowani. Czy wątpliwości to również coś w rodzaju kłamstwa? Wypijam to, co zostało. Zawsze tak robię. Czego Fred szukał w Kopenhadze, jeśli w ogóle tam był? Czy wracał do domu? Wybierał się do Køge czy może chciał tylko zobaczyć woły pizmowe w ogrodzie zoologicznym? Próbuje go sobie wyobrazić, takiego, jak musi teraz wyglądać, o tyle lat starszego, właściwie mężczyznę w średnim wieku, ale mi się nie udaje, potrafię go zobaczyć tylko tak, jak go zapamiętałem w ostatni poranek w kuchni na Kirkeveien, kiedy wyjechał na dobre, ledwie dwudziestoletni. W moim obrazie jego czas się zatrzymał. Tylko tak potrafię go zobaczyć, chudego młodego Freda, którego kiedyś znałem, jak rzuca starą welwetową kurtkę na moście w Nyhavn i przechodzi w ciemność po drugiej stronie. – Myślisz, że on nie żyje?

Vivian stoi w drzwiach, a lampa w pokoju obramowuje ją srebrem. Wydaje mi się, że dostrzegam lekkie zaokrąglenie jej brzucha, ale może to tylko takie wrażenie, kiedy już to wiem, że będzie miała dziecko, którego nie potrafiłem jej dać. Chronimy się nawzajem kłamstwami. Vivian wstrząsa się z zimna i obejmuje się ramionami. Ramiona to krzyż. Pyta jeszcze raz. Wargi drżą wokół tych słów. – Myślisz, że Fred nie żyje, Barnum? – Matka chce, żeby odprawiono za niego nabożeństwo żałobne – mówię. Vivian patrzy na mnie, wygląda tak, jakby stała w lśniącem otworze w ciemności na dnie studni światła. – Namów ją, żeby tego nie robiła – szepcze.

Ale matka była niewzruszona. Staralem się, jak mogłem, ale nic nie pomagało. Podjęła już decyzję raz na zawsze. Zmęczyło ją to czekanie i wreszcie mogła skupić się na czymś innym. Zajął się tym z zapałem i entuzjazmem, niemal z zachwytem, jakiego chyba u niej nie pamiętałem, i to mnie przeraziło do szaleństwa. Poinformowała biuro poszukiwawcze Armii Zbawienia, że Freda można już nie szukać. Poszukiwania dobiegły końca. Zamówiła kwiaty i wieńce. Zamieściła informację w „Aftenposten”. Wydrukowała pieśni, które mieliśmy śpiewać. I sprzątnęła jego rzeczy z naszego pokoju. Stałem oparty o futrynę, to był taki dziwny widok. Moja połowa dawno już była opróżniona, została tylko rama od łóżka. Teraz zniknęła również część Freda i przez to pokój znów stał się całością, tak samo nagi, tak samo pusty. Matka schowała wszystko w szafie i odwróciła się do mnie, uśmiechnęła się z twarzą rozjaśnioną, prawie młodą, była piękna, odrzuciła napiętą maskę oczekiwania i stała się wolna. To przypominało oszołomienie, upojenie, wciąż rosnące upojenie, a ja tylko liczyłem chwile do momentu, kiedy się załamię. To nie mogło trwać.

Poszedłem do Boletty i obudziłem ją. – Może ty zdołasz odwieść matkę od tego pomysłu – szepnąłem. Boletta ledwie pokręciła głową. – Może ona uważa, że jest mu to winna – powiedziała. – Winna? O co ci chodzi? Boletta podniosła się z otomany. – Fred nie urodził się dlatego, że był chcianym dzieckiem, Barnum. Matka z przedpokoju wołała zniecierpliwiona i zdecydowana. – Idziesz już? Ująłem Bolettę za rękę, na chwilę. – Myślisz, że on nie żyje? Boletta podniosła głowę. – Fred dostatecznie długo już się włóczył – powiedziała. Matka znów zawołała, poszedłem za nią. – Dokąd idziemy? – spytałem, ale ona nie miała czasu mi tłumaczyć. Kiedy wyszliśmy na ulicę, spotkaliśmy Vivian i Pедера. Matka objęła Vivian i pocałowała ją w obydwie policzki. Vivian szepnęła jej coś, czego nie usłyszałem. Popatrzyłem na Pедера. Nie widziałem żadnej różnicy. Vivian chce mi pokazać mieszkanie na strychu – powiedziała. Prędko obróciła się do matki. Co ja mam rzec? – wyszeptała. Moje kondolencje. Matka i jego pocałowała. Dziękuj, Pederze. Ty przecież wiesz, jak to jest kogoś stracić. Dopiero teraz zakłopotana się i zaczęła obracać w rękach parasol, którego używała jak laski. Tak – powiedziała cicho. Jej coś, czego nie usłyszałem. Popatrzyłem na Pедера. Nie widziałem żadnej różnicy. – Vivian chce mi pokazać mieszkanie na strychu – powiedział. Prędko obrócił się do matki. – Co ja mam rzec? – wyszeptał. Moje kondolencje. Matka i jego pocałowała. – Dziękuję, Pederze. Ty przecież wiesz, jak to jest kogoś stracić. Dopiero teraz zakłopotał się i zaczął obracać w rękach parasol, którego używał jak laski. – Tak – powiedział cicho.

Wiem. Matka westchnęła. – Dobrze, że to już minęło. Przez chwilę staliśmy w milczeniu na rogu Kirkeveien i Gørbitzgate w lekkim chłodnym deszczu, który często pada w Oslo pod koniec września. Po czole Vivian spłynęło kilka delikatnych błyszczących kropelek.

Pozwoliła im płynąć, aż spadły z brwi i zatrzymały się przy ustach, tam je zlizwała, a kiedy napotkałem jej spojrzenie, wydało mi się, że ona stoi po drugiej stronie deszczu, za kratami wody. Nie mogłem do niej dotrzeć. Peder wreszcie otworzył swój czarny parasol, dostatecznie duży, żebyśmy wszyscy się pod nim zmieścili. – Idziecie z nami? – spytał. Ale i na to matka nie miała czasu. Vivian i Peder weszli na podwórze, a my skierowaliśmy się w stronę Majorstuen. Ledwie mogłem dotrzymać matce kroku. Obróciła się. – Czy Vivian jest chora, Barnum? – Chora? Nie. A dlaczego? Ale matka nie odpowiedziała. Już zapomniała, o co pytała. Minęliśmy kiosk, już zamknięty, kilka desek z niego oderwano, a na okienku napisano czerwonymi literami hasło: *Okupacja!*. Matka nie zwróciła na to uwagi, tylko przyspieszyła kroku. Szliśmy na posterunek policji na Majorstuen.

Musieliśmy czekać trzy kwadranse. Okazało się, że matka oddała kartkę, która leżała w kieszeni kurtki Freda, jakiemuś funkcjonariuszowi, żeby poznać jego zdanie i żeby odszukać na niej również odciski palców, bez względu na to, do czego mogą się przydać.

Zaczynałem być zmęczony. Matka była jeszcze bardziej pobudzona. W końcu wpuszczono nas do jakiegoś gabinetu. Starszy mężczyzna w mundurze z rzadkimi siwymi włosami przyciśniętymi płasko do głowy przez czapkę, która zostawiła mu wokół głowy również obręcz, niemal zagłębienie, siedział za biurkiem. Przed nim stał tort z jedną świeczką.

Matka przywitała się z nim, podała mu rękę, i mogliśmy usiąść. Policjant sprawiał wrażenie roztargnionego. Zlizął krem z palców, brzydkie przyzwyczajenie, i zaczerwienił się, gdy uświadomił sobie, co zrobił. – Obejrzał pan to? – spytała matka. Policjant prędko potarł palcem rzadki wąsik. Wyciągnął szufladę i wyjął plastikową teczkę, w której leżała kartka. – Czy to jego własne słowa, czy coś, co gdzieś przeczytał? – To koniec listu, który mój dziadek wysłał do mojej babki z Grenlandii – powiedziała matka. Ale nie wspomniała, że brakuje ostatniego zdania. Może o nim zapomniała. Może Fred również zapomniał. Ja pamiętałem. – To, zdaje się, cytowane słowa starego Eskimosa – powiedziałem. Zaklinacza duchów Odarka. Policjant pchnął tort przez stół. – Może mają państwo ochotę na kawałek? Poczestowaliśmy się. Uśmiechnął się i podniósł kartkę. – Odchodzę dzisiaj na emeryturę – powiedział. To moja ostatnia sprawa. Podszedł do ściany, zdjął oprawiony w ramki dyplom i włożył go do pudła, i tak już pełnego.

W milczeniu jedliśmy tort. Matka skończyła dużo wcześniej niż ja. – Ale co pan o tym sądzi? – spytała. Policjant wrócił na miejsce i włożył kartkę z powrotem do plastikowej teczki. – Niełatwo coś z tego zrozumieć – powiedział. Matka zaczęła się niecierpliwić. Co chciała wiedzieć? Co według niej mogły objawić te słowa zapisane krzywo z pamięci na kawałeczku papieru? Pochyliła się niżej. – Chyba potrafi pan czytać? – powiedziała.

Policjant spojrział na nią. – Owszem, potrafię, ale nie jest pewne, że czytam to samo co pani. Matka sprawiała wrażenie niezadowolonej z tej odpowiedzi. – Co pan chce powiedzieć? – Proszę raczej powiedzieć mnie, jak pani to odczytuje. Matka zaczęła płakać. – To pożegnalne słowa mojego syna. Właśnie tak! A ja zrozumiałem, że matka wcale nie chce wiedzieć. Wcale nie chciała dotrzeć do samego dna. Chciała tylko wierzyć w to, co sobie postanowiła. Czas oczekiwania minął. Wziąłem kartkę, musiałem podtrzymywać matkę, kiedy szliśmy do drzwi. Policjant wstał. – A tak w ogóle: czy pani dziadek wrócił z Grenlandii? – spytał. Matka się zatrzymała. – Nie – odparła. On też zaginął. I właśnie w tej chwili, w tym ostatnim dniu pracy stary policjant rozpoznał coś, jakąś pętlę w swoim życiu, związek, którego być może szukał, sens. – Vera Jepsen? – spytał nagle. Matka popatrzyła na niego zdumiona. – To moje panięńskie nazwisko.

Policjant musiał usiąść. – Wobec tego to pani babka przyszła do nas tuż po wojnie i zgłosiła przestępstwo. Matka milczała. Policjant znów wstał. – O ile dobrze pamiętam, nigdy nie zostało wyjaśnione. Byłem wtedy młody i niedoświadczony. Matka zachwiała się, jakby zakręciło jej się w głowie nad brzegiem przepaści, potrwało to ledwie sekundę, jeszcze nie upadła, zdmuchnęła włosy z czoła, uśmiechnęła się. – Teraz jest pan mądrzejszy? – spytała. Funkcjonariusz poprawił mundur i spuścił wzrok na okruszki ciasta, na puste biurko, na zegar, za kilka minut będzie mógł uznać, że zrobił swoje, i pójdzie do domu na dobre. – Nie – szepnęła.

Kiedy wyszliśmy, przestało padać. Matka wzięła mnie za rękę, popatrzyła w niebo.

Długo tak stała z zamkniętymi oczami, oślepią słońcem, przedzierającym się przez chmury ukośnymi promieniami. – Mam nadzieję, że jutro będzie ładna pogoda – szepnęła.

Odwróciła się do mnie. Masz w tej mowie nie mówić niczego złego o Fredzie, Barnum. – A co by to miało być? – spytałem. Matka westchnęła. – Dobrze wiesz, Barnum. Jeszcze raz spróbowałem ją przekonać. – Jesteś pewna, że tego chcesz, mamó? Uśmiechnęła się. – Vivian pytała o to samo. – I co jej odpowiedziałaś? – Że jestem najzupełniej pewna.

Matka była pewna. Nigdy nie miała takiej pewności. To nabożeństwo musiało się odbyć, ten pogrzeb bez trumny, śmierć *in absentia*, postanowiła w dodatku zorganizować tę uroczystość w kościele na Majorstuen, gdzie w swoim czasie pastor odmówił ochrzcenia i Freda, i mnie. Było w tym jakieś diabelstwo, którego nie mogłem nie podziwiać, pełen miłości upór. Znów powędrowaliśmy w górę Kirkeveien. Matka nie puszczała mojej ręki. – Nie pij jutro – powiedziała. Nagle pożałowałem, że nie zgłosiłem napaści na kiosk, skoro już i tak byliśmy na policji. – Dobrze, mamó. – Chcę, żebyś był trzeźwy, Barnum. – Obiecujesz to, mały Barnum? Zrób to dla brata. – Dobrze, mamó. – Obiecujesz to, mały Barnum? Zrób to dla brata. – Dobrze, mamó. – Obiecujesz to, mały Barnum? Zrób to dla brata.

(męty)

Następnego dnia rano budzę się sam. Wciąż dotrzymuję przyrzeczenia danego matce, robię to dla brata. Na nocnym stoliku leży karteczka. Vivian pisze, że idzie na kontrolę i że możemy spotkać się pod kościołem. Jest kwadrans po dziesiątej.

Nabożeństwo zaczyna się o pierwszej. Widzę, że jest słońce, niskie jesienne światło między cienkimi drzewami. Deszcz byłby lepszy. Wstaję i biorę prysznic. Vivian posprzątała też w szafce w łazience. Zostało tylko to, co najpotrzebniejsze, szampon, jakieś perfumy, pilnik do paznokci, krem, szminka, dezodorant, szczotka do włosów, mała wódka i pasta do zębów, głównie moje rzeczy. Zamykam szafkę. Para uchodzi, jak gdyby ktoś ściągał mi z twarzy woal. Czy w oczach Freda też się zatrzymałem, tak jak on w moich? Czy mój czas również przestał płynąć w tamten poranek w kuchni na Kirkeveien, kiedy dotknął mnie i wyjechał? Czy właśnie tak od tamtej pory mnie pamiętał?

Jako Barnuma, małego młodszego brata, szesnastolatka wyrzuconego ze szkoły? W chwili gdy o tym myślę, czuję tęsknotę, tak głęboką i ciężką, że muszę oprzeć czoło o lustro, z trudem oddycham. Chciałbym móc mu to powiedzieć: Dałem sobie radę, Fred. A ty?

Znów uchylam drzwiczki szafki i patrzę na butelkę. Nie jest jeszcze otwarta. To obietnica, która jeszcze nie została złamana. Chcę dziś zrobić przyjemność matce. Ale nie mogę znaleźć swojego starego garnituru, garnituru ojca. Otwieram kartony firmy przeprowadzkowej. Tam też go nie ma. Schodzę na dół do piwnicy. Nasza piwnica leży na samym końcu, za pralnią. Drzwi nie są nawet zamknięte na klucz. Czasami bezdomni z parku nocują w ciepłe przy suszarce. I tak nie ma tu co ukraść, jedynie rzeczy, które Vivian postanowiła wyrzucić albo wynieść na pchli targ, para zdartych nart, ubrania, które już dawno wyszły z mody, buty na koturnie, stojąca lampa z abażurem w kratkę, puste butelki. Garnitur wisi w przezroczystym plastikowym worku. Od ostatniego razu, gdy go używałem, minęło dużo czasu. Zdejmuję go z haczyka na ścianie i wtedy dostrzegam coś innego: walizkę. To ta stara walizka, którą ojciec zaniósł za zakręt dyrektorowi Mundusowi i którą po nim odziedziczyłem, a potem pożyczyłem Fredowi, kiedy zwiął.

Teraz ją odzyskałem. Podnoszę ją. Jest tak samo lekka. Tylko jeszcze bardziej zniszczona.

Rzemień wokół pokrywy pękł. Trzymam tę walizkę tak, jakby przyszła moja kolej wyjazdu. Otwieram ją. Nie ma okłasków. Jest pusta. Podszewka się oderwała i zwisa w wygniecionych płatach. To była długa podróż. Nie pojmuję tego. Wrzucam walizkę do boksu i wbiegam na górę po schodach. Wychodząc, zatrasnąłem drzwi. Stoję teraz i się na nie gapię. Tabliczka pokryta jest matową nierówną błoną, jak gdyby nasze nazwiska zostały wryte we mgłę, prawie niewidoczne. Wiem. On tu był. Może spał tam na dole.

Widział moją twarz. Widział upływający czas. Widział nas. Dlaczego się nie odezwał?

Nie miał odwagi? I inne podejrzenie przychodzi mi nagle do głowy, boję się pomyśleć o nim do końca, ale nie daje się zatrzymać, jest jak lokomotywa w głowie. Kiedy on tu był, kiedy złożył tę potajemną wizytę? Słyszę coś. To sąsiadka. – To pan zawsze kradnie mi gazetę – mówi. Rozbieram się. Sąsiadka czym prędzej wchodzi do swojego mieszkania.

Wkładam garnitur, a resztę ubrania rzucam do zsypu. Idę do kościoła na Majorstuen.

Wybieram okrężną drogę przez Blåsen. Tam się zatrzymuję. Chłodne światło sprawia, że wszystko przysuwa się bliżej. Zadaję sobie pytanie: czy to ostatnia scena w *Człowieku nocy*? Zapalam papierosa i wymiotuję. Kiedy przychodzę do kościoła, matka i Peder siedzą na ławce pod zegarem i czerwonym dzikim winem. Na mój widok od razu wstają.

Matka jest niecierpliwa i zdenerwowana. Całuje mnie w policzek, ale przypuszczam, że chce się tylko przekonać, czy piłem. Peder obejmuje mnie za ramiona. – To mieszkanie na strychu jest fantastyczne – mówi. Możemy wchodzić do środka. Jakaś para z Armii Zbawienia siedzi z tyłu. Widzę dozorcę Banga i poznaję kilka twarzy ze szkoły, policjant usiadł z samego brzegu, Bente Synt, ten mój zły znak, też tu jest, ale ten dzień już nie może być gorszy. – Wszystko będzie dobrze – szepcze matka. Siadam między Vivian i Bolettą w pierwszej ławce. Drzwi się zamykają. Boletta kładzie mi kruchą, pokrytą plamami dłoń na kolanach. – Dzięki Bogu, że nie ma żadnego pastora – mówi. Matka ją uciska. Organista zaczyna grać. Nie znam tekstu psalmu. Vivian patrzy prosto przed siebie. Usta ma zamknięte. Policzki zapadnięte. Tam gdzie powinna stać trumna, stoi krzesło, a wokół niego leżą wieńce i kwiaty, na jednej ze wstęg jest napis: *Dziękujemy, Vivian i Barnum*.

Matka wstaje i wygłasza kilka słów, nie bardzo do mnie docierają. Mam w głowie tę lokomotywę, która nie chce się zatrzymać. Nachylam się do Vivian. – To jest tylko prawie najlepsze – mówię szeptem. Vivian się niepokoi. – Prawie najlepsze? O co ci chodzi? – Najlepsze byłoby, gdyby znaleźli go martwego, prawda? Matka patrzy na mnie. Uśmiecha się. Jest dzisiaj piękna, w czarnej sukni, której nie nosiła od śmierci ojca. Przychodzi moja kolej. Mam przemawiać dla Freda. Staję przed kwiatami i pustym krzesłem, plecami do ławek, nie wiem, jak długo tak stoję, ale kiedy się odwracam, widzę, że kościół jest wypełniony po brzegi, nie ma ani jednego wolnego miejsca. I nagle przypomina mi się premiera *Głodu*. Teraz to Fred został wycięty. Matka usiadła przy Vivian. Peder zajął miejsce za nią. Słyszę muzykę, lokomotywa w głowie przywlokła ze sobą tę piosenkę, to Morricone z *Dawno temu w Ameryce*. Zaczynam przemawiać. – Zawsze śniłem, że Fred wróci, tak jak Robert de Niro na dworcu kolejowym w Nowym Jorku. Ale gdy go spytamy, co robił przez wszystkie te lata, to nie odpowie: Chodziłem wcześniej spać. Powie natomiast: Oglądałem was. Czekam chwilę. Peder się uśmiecha, on rozumie, nachyla się do Vivian, dyszy jej w kark. Matka wciąż wyczekuje, pochyła się do przodu, jakby szykowała się do przerwania mi w każdej chwili. Boletta trzyma ją za ramię. I w czasie, gdy tak stoję, przy pustym krześle, przed wszystkimi tymi białymi milczącymi twarzami, znów staję się marzycielem, marzycielem Barnumem. Wyobrażam sobie, że to ja zaginałem, umarłem, utonąłem w kanałach i teraz moje zwłoki pływają tam, wciągane przez wiry na dno. Nareszcie udaje mi się wyśnić swój własny pogrzeb, ci ludzie przyszli do kościoła na Majorstuen, żeby wspominać mnie, mogę po raz ostatni rzucić okiem na tych, których opuszczę, i wiem, że zapomną o mnie, gdy tylko stąd wyjdą na babie lato Fagerborg. Obraz ten jest tak mocny, że oczy mi się przelewają i muszę otrzeć łzy. Mój płacz jest zaraźliwy. Płacz to moje przesłanie. Gdy mnie widzą takiego, wzruszonego do łez, również zaczynają płakać. Wszyscy, z wyjątkiem

Vivian i Pedera. Boletta chyba zasnęła i chwala jej za to, ale matka ma w ręku chusteczkę, kilka razy kiwa głową, zadowolona, z uznaniem, dotrymałem obietnicy, zrobiłem to dla brata. – Pewnej nocy Fred przyszedł do domu z trumną – mówię na głos. Matka znów robi się czujna, a Boletta się budzi. Teraz kolej na mnie, bym zamknął oczy. Jestem marzycielem, który śni do tyłu. – Może wiedział, co nastąpi. Może był to *flashforward*, jak się to nazywa w mojej branży.

Bo dzisiaj nie mamy tu żadnej trumny, mamy tylko wspomnienie, a wspomnienie to nic innego jak zdjęcie pomnożone przez czas. Peder podnosi kciuk. Matka się denerwuje. Mam ochotę usiąść, na krześle Freda. Ale tego nie robię. I jeszcze raz wydaje mi się, że widzę Fleminga Branta, stoi przy chrzcielnicy, ręce ociekają mu wodą, kręci głową i idzie środkiem nawy z grabiami na ramieniu, idzie tak wolno, że nigdy nie znika. – Ale moje pierwsze wspomnienie Freda pochodzi z chwili, kiedy schowaliśmy się pod stołem i słuchaliśmy, jak prababcia czyta na głos list od pradziadka. Wciąż jeszcze umiem go na pamięć. *Gdy przebywaliśmy wśród lodów, często polowaliśmy na foki i wiele też udawało nam się zastrzelić, do fok należy strzelać, gdy leżą na lodzie i wygrzewają się w słońcu, kiedy znajdą się w wodzie, złapać je o wiele trudniej.* Znów muszę umilknąć.

Spuszczam wzrok. Stoję wśród kwiatów i wieńców. Mogę już skończyć. Ale nie kończę.

Mówię: – Kiedy myśliwy znajdzie trop, nie idzie za nim. Cofa się po śladach do miejsca, z którego zwierzę wyszło. Matka chce wstać. Boletta ją przytrzymuje. Vivian odwraca głowę. Peder nie odrywa ode mnie oczu. W kościele Majorstuen jest zupełnie cicho. To ja teraz grabię, zgrabiam piasek wzdłuż naszych śladów. Podnoszę głos. – A Fred swoje ostatnie słowa również zaczerpnął z tego listu, z tej naszej rodzinnej opowieści, z opowieści, od której pochodzimy, i do której zawsze wracamy, wśród lodów i śniegów.

Znów muszę otrzeć ręką policzek i czekam. Mam czas, by pomyśleć, że życie jest głównie czekaniem, właśnie z tego składają się nasze dni, z czekania, z czekania na kogoś, na coś innego. Jesteśmy tu po to, żeby zakończyć ten czas oczekiwania. Wypowiadam głośno słowa, które leżały w kieszeni Freda: – *Pytasz, lecz ja o śmierci nie wiem nic, znam bowiem tylko życie; mogę powiedzieć jedynie, w co wierzę: albo śmierć jest kresem życia, albo też tylko przejściem w inne życie. W obu wypadkach nie ma się czego bać.*

Odwracam się do matki. Złożyła dłonie. I cicho wypowiadam ostatnie zdanie, o którym Fred być może zapomniał, może nikt go nie słyszy, według mnie to najpiękniejsza linijka w całym liście, słowa mędrca Odarka, uparte, pełne miłości i odwagi, słowa, które młody Wilhelm uczynił swoimi, gdy umieścił je w liście do ukochanej, nie wiedząc, że to będzie koniec jego historii, a słowami tymi obdarzam teraz wszystkich: – *Lecz bardzo nie chciałbym teraz umierać, bo wydaje mi się, że życie jest piękne!* Matka wstaje. Wiesza na krześle starą kurtkę Freda, tę welwetową, jak gdyby przed chwilą tu siedział, na lekcji w szkole, i został wyrzucony za drzwi albo poszedł się wysikać. I w jednej chwili pojmuję, że czekanie odebrało matce rozum, jak ona zdoła znieść tę pustą tęsknotę, kurtkę, która na nikogo już nie pasuje? Matka chce, żebyśmy wrócili do ławki. – Dość już, Barnum – mówi szeptem. Dobrze się spisałeś. Ale ja stoję przy krześle Freda, jeszcze nie skończyłem, a ta cisza, która jest tylko poza mną, staje się większa i głębsza. Nigdy Fred nie wydawał mi się bardziej żywy niż w tej chwili. – Czas płata nam figle – mówię głośno, może nawet krzyczę. Zniżam głos. Matka znieruchomiała. – Czas ma wiele pokoi – szepczę. I wszystko odbywa się jednocześnie, we wszystkich pokojach, w tym momencie.

Siadam, na krześle Freda. – Fred nauczył mnie, że nigdy nie powinienem mówić „bardzo dziękuję”. Ale dzisiaj zrobię wyjątek. Dzisiaj to powiem. Bardzo dziękuję. Bo Vivian wreszcie spodziewa się dziecka. Peder podnosi głowę i otwiera usta, lecz zamiast coś powiedzieć, wybucha śmiechem, słyszę, jak zdumiony śmiech Pedera wypełnia kościół na Majorstuen. Podchodzę do Vivian, całuję ją, a ona nie może temu zapobiec. Potem stoimy w przedsionku. Ostatni żegnają się z nami cicho, wychodząc. Vivian patrzy na mnie wściekła, lecz ona też odczuwa ulgę, bo wkrótce już nie da się ukryć, że będzie miała dziecko. – Musimy to uczcić – mówi matka i jest bliska płaczu. Tak, możemy teraz uroczyście obchodzić radość i żalobę, jeden pokój jest wytapetowany na czarno, a drugi pełen słońca, ale i tak nie wiem, w którym z nich mieszka radość. – Muszę tylko po coś skoczyć – mówię szeptem. I prędko biegnę wzdłuż Kirkeveien do kiosku. W szafce z oranżadą mam schowane dwie butelki, ciemna wódka jest na zapomnienie, jasna na pamiętanie, dlaczego pijesz. Nie wracam do nich. Mogą sobą czekać tyle, ile chcą.

Chowam butelki do kieszeni, przełazę przez płot i wychodzę na tyły. Idę do Cochs Hospits, mają wolny pokój, 502 na ostatnim piętrze, dawny pokój ojca. Dostaję klucz i wbiegam po schodach. Zasłony są zaciągnięte. Żarówka trzeszczy, kiedy zapalam lampę na suficie. – Fred! – wołam. Fred! Wiem, że tu jesteś. Jest całkiem cicho, tylko te trzaski, jak gdyby wielkie światło miało zaraz zgasnąć. Jeszcze raz wołam go po imieniu. – Fred! Wylaż, ty tchórz! Wiem, że tu jesteś! Wywracam krzesło. Otwieram szafę i słyszę, jak wieszaki walą się na mnie. Krzyczę. – Ty ślepy diable! Nie uda ci się, cholera, schować! Ktoś staje na korytarzu i woła, żebyśmy się trochę uciszyli. Zamykam drzwi na klucz i zacznę pić.

(wiking)

To jest ta wielka miłość. Dostaniesz trochę, chcesz więcej. Kiedy dostaniesz więcej, musisz mieć dużo. A potem musisz mieć całą resztę. Nie istnieje nic pośredniego.

Wszystko albo nic. Masz kochanki rozrzucone po całym mieście, w schowkach w przechowalni bagażu na Dworcu Wschodnim, w walizce w piwnicy, w szufladzie w biurze, za dziełami zebranymi Hamsuna, w rezerwarze i wywietrzniku, w zsypie, w pojemniku na chleb, w rynnie, pod łóżkiem, w zamkniętym kiosku, w skrzynce na listy i w wewnętrznej kieszonce: one są z tobą. Ta wielka miłość zaczyna się tak pięknie, pocałunkiem, nie, nawet nie pocałunkiem, tylko pieszczotą, nie musi być niczym więcej niż tylko zapachem lub obrazem ukochanej, przypomina ci się pierwsze zakochanie dzieciństwa, słodki zapach malagi, który wdychałeś głęboko i wypełniałeś nim swoje sny, bo więcej nie trzeba, to jest początek, a na początku Bóg powiedział: niech się stanie ciemność. Znajdujesz kieliszek, bo oczywiście musisz używać kieliszka, musisz zachować styl, masz dobre zamiary, chcesz wypić drinka, nie, nawet nie drinka, tylko kropelkę, tak się mówi, albo po prostu szklaneczkę, to neutralna nazwa, szklaneczkę, to takie proste i obojętne, masz zamiar miło spędzić czas przy szklaneczce i dlatego wyjmujesz szklaneczkę. To oczywiste. A w chwili gdy odkręcasz korek z butelki i czujesz ostry zapach wódki, dżinu, whisky, wszystko jedno czego, byle działało, rozwijający się w bukiet, jesteś prawie szczęśliwy, stoisz na krawędzi szczęścia z tym bukietem w dłoni, to być może najwspanialszy moment, wciąż jeszcze możesz zapakować te kwiaty z powrotem, ale przecież chcesz wypić tylko tę jedną kropelkę, łydźkę, możesz ją nazwać różą od kochanki, milczącym zaproszeniem, nalewasz do kieliszka ostrożnie, prędko zakręcasz korek i wstawiasz butelkę z powrotem do szafki, albo na najwyższą półkę, jak najdalej, bo przecież więcej nie będziesz jej wyjmował, potrzebujesz tylko tej jednej kropelki i sam w to wierzysz, kiedy zabierasz szklaneczkę do innego pokoju albo na balkon i tam ją stawiasz. Trzymasz bukiet w dłoniach. Jeszcze nie piłeś. Ale w ogóle nie będziesz pił. Będziesz tylko popijał maleńkimi łyżkami. Tym się trzeba rozkoszować.

Masz zrobić tak, żeby to trwało. Tylko powąchasz. I wolno podnosisz kwiat do ust, do wysuszonych ust, to kwiat ma podlać ciebie.

Dwa dni później budzisz się w jakimś innym miejscu, wydaje ci się, że ci się to śniło, ale to prawda. Kwiaty zwiędły. Chce ci się pić bardziej niż kiedykolwiek. Chcesz być kochany, ale jesteś opuszczony. Jesteś pustym wazonem. Podnosisz rękę. Dłoń jest pełna krwi. Nie wiesz, w jakim łóżku leżysz. Pokój wokół ciebie jest czarny. Próbujesz myśleć.

Nie udaje ci się. Wszystko jedno. Ciemność podpełza bliżej. Jeśli nie będziesz się ruszał, możesz odsunąć łęk na później. Wkrótce i tak się pojawi. Bo tylko łęk jest teraz wierny.

Ale jeszcze przez kilka sekund możesz mieć wolne. Potem coś słyszysz. To odgłos wiatraka, obraca się, wielkie koło tuż przy twojej twarzy, coraz szybsze i szybsze, słyszysz jakiś wypadek w pobliżu, krzyk, hamulce i wielka cisza, i już wiesz: to ja tu leżę, w pokoju 502, w Cochs Hospits. Ktoś rozmawia za drzwiami. Są zamknięte na klucz. Ktoś je otwiera. – Fred? – szepczę. To ty? Ktoś zamyka drzwi i rozsuwa zasłony. Peder patrzy na mnie z góry. – Boże – mówi. Prędko znów zaciąga zasłony, puste butelki i odłamki szkła wrzuca do wiadra. Rozbiera mnie i myje. Skaleczyłem się w kciuk prawej ręki. Peder przemywa ranę i przykleja plaster. Przyniósł też czyste ubranie. Grubas opiekuje się małym. Otwiera okno i wietrzy. Na parapecie leży śnieg. Zimno mi. Peder wlewa do kubeczka colę i syrop od kaszlu, rozgniatą jakąś tabletkę i wszystko miesza palcem.

Wypijam. – Jestem jednym z ludzi nocy – mówię szeptem. Peder stoi odwrócony plecami. – Ludzi nocy? – Pełno ich w mojej rodzinie, Peder. Pełno mężczyzn, którzy znikają. – Ty jeszcze całkiem nie zniknąłeś, Barnum, o ile dobrze widzę. – Jestem na dobrej drodze – mówię. – Na drodze dokąd? – dopytuje się Peder. – W dół. Daleko. Na zewnątrz. Wszystko jedno. Peder się odwraca. – A jeśli powiem ci, że jest ktoś, kto chce, żebyś został? Spuszczam wzrok. – Jak mnie znalazłeś? – pytam cicho. Peder siada na łożku. – Ja cię zawsze znajdę, Barnum. Jeszcze tego nie zrozumiałeś? Opieram czoło na jego ramieniu. – Może nie chcę zostać znaleziony. – I tak cię znajdę – mówi Peder. Jestem twoim przyjacielem. Tak po prostu jest. Siedzimy przez chwilę, w milczeniu. Mam ochotę płakać, ale mi się nie udaje. Próbuję się więc śmiać. – Czy ja nie mam żadnego wyboru? – pytam szeptem. Peder kręci głową z taką samą powagą. – Vivian się martwi – mówi.

Podnoszę na niego wzrok. – To ty jesteś ojcem? – pytam. To się dzieje tak prędko. Peder uderza mnie w twarz. Osuwam się na łożko. Peder siedzi na mnie i mnie bije. – Nie słyszałeś, co powiedziałem! – wrzeszczy. Jestem twoim przyjacielem, pieprzony pijaczyno! Muszę go przytrzymać. Nie czuję uderzeń. Peder wywija rękami jak rozwścieczone dziecko. Wreszcie udaje mi się roześmiać. Peder się kuli. – Możesz mnie uderzyć jeszcze raz – wystękuje. – Zamknij się! – mówi Peder. Biorę go za rękę. Drży.

Leżymy na plecach w zniszczonym krzywym podwójnym łożku i gapimy się w sufit. Na samym środku jest wbity wielki hak, farba wokół niego odpada płatami. – Ojciec kiedyś mieszkał w tym pokoju – mówię. – On też był człowiekiem nocy? – Ojciec był najgorszym człowiekiem nocy z nas wszystkich – mówię szeptem. Peder milczy jeszcze przez chwilę.

Teraz to on trzyma mnie za rękę. – Może ten lekarz, który cię badał, się pomylił, Barnum? – Doktor Greve nigdy się nie myli – mówię. – A ty jeszcze nie powiedziałaś o tym Vivian? Zamykam oczy. To kłamstwa się toczą, czarne koła, których nie da się zatrzymać. – Przyniosłeś coś do picia? – pytam. – Tniesz sobie życie, a alkohol to nożyczki – mówi Peder. – Mógłbyś przestać gadać tak jak ja? Peder wreszcie się uśmiecha, puszcza moją rękę i wstaje. – Chodź – mówi. – A dokąd idziemy? – Zabieramy się stąd, Barnum.

Schodzimy do recepcji. Peder płaci za dwie noce, sprzątanie i skargi, ale to ze mnie kobieta z kluczami przez cały czas nie spuszcza wzroku, usta ma zaciśnięte w podkowę. – Nie chcę tu pana więcej widzieć – mówi. Peder rzuca na ladę pięćdziesiąt koron ekstra, nachyla się i szepcze: – On nigdy nie wróci. Biegniemy przez skrzyżowanie, na którym Starą 21 września 1957 roku przejechał samochód, biegniemy przez śnieg, który zaczyna nam padać na twarze, to wciąż ten sam moment, bo to tutaj zostało zrobione zdjęcie, i kiedy się odwracam, widzę, że Fred siedzi nieruchomo w rynsztoku, z grzebieniem w ręku, jak gdyby chciał zaczesać czas z powrotem, Stara leży na bruku we krwi, kierowca wysiada z ciężarówki, ludzie tłoczą się w niemym krzyku, zanim śnieg znów wszystko zasłoni. Już usiedliśmy w ostatniej sali w Lorry i kelner zatrzymuje się przy naszym stoliku. Peder zamawia dwa kotlety siekane z jajkiem sadzonym, kawę, mleko i chrupki chleb. Ja proszę o duże piwo i fernet branca. Po odejściu kelnera Peder patrzy na mnie.

Patrzy długo. – Reperacja się zaczęła – oświadcza w końcu. – A coś się popsuło? – pytam. – Ty – odpowiada Peder. Kelner przynosi szklanki. Unoszę piwo obydwoma rękami. To nie kochanka, tylko stara dziwka się z ciebie śmieje, zrywając płatki z jedyne go kwiatu w bukietcie, kocha, lubi, szanuje. Ten mniejszy kieliszek to tylko lekarstwo. – Pamiętasz, co obiecałem pannie Coch? – pyta Peder. Zapalam papierosa. – Pannie Coch? – Że nigdy tam nie wrócisz, Barnum. – Mam nadzieję, że zdołasz dotrzymać obietnicy.

Kelner stawia jedzenie na stole. Nie jestem głodny. Jem. Muszę iść do toalety i wszystko zwrócić. Peder czeka. Obok swojego pustego talerza położył jakieś papiery i stos książek.

Siadam. – Jesteś gotowy? – pyta. Kiwam głową. – Gotowy na co? Peder uśmiecha się i nachyla bliżej. – Amerykanie wynaleźli western, Japończycy kręcili filmy o samurajach, easterny, no nie, a Włosi mają spaghetti. Co zostaje dla nas? Peder sam odpowiada, zanim mnie udaje się cokolwiek mruknąć. – Northerny, Barnum. – Northerny? Kelner sprząta talerze. Przynosi duże piwo, chociaż wcale go nie zamawiałem. Peder podsuwa mi książki. – Zrobiłem to, o co mnie prosiłeś – mówi. – O co cię prosiłem? O piwo? – Czytałem, Barnum. Przeczytałem sagi. Weźmiemy z nich wszystko, czego nam potrzeba. To tam jest i tylko na nas czeka. *Action*, dramat, mocne postacie, miłość, śmierć, *you name it*.

Potrzebujesz czegoś więcej? – Nie robię adaptacji – odpowiadam. Peder przygląda się, jak piję. – Możesz użyć słów Odarka jako *voice over* – mówi. Nie odzywam się. Peder się niecierpliwi. Kładzie mi rękę na ramieniu. – To nasza wielka szansa – szepcze. Jeśli się przez ciebie nie wygłupimy, Barnum. Strząsam jego rękę. Jak zamierzasz nazwać ten szajs? – Sprzedam to pod tytułem *Viking, a Northern*. Teraz z kolei ja mu się długo przyglądam. – Sprzedasz? – Mogę ci powiedzieć tyle, że projekt wzbudził spore zainteresowanie zarówno w kręgach administracji państwowej, jak i w kołach gospodarczych. Spółki komandytowe ustawiają się w kolejce. Czuję coś w rodzaju wściekłości i lekko uderzam w stół. – Może mógłbyś najpierw porozmawiać ze mną – mówię głośno. Przed pójściem do żłobu po kasę. Ludzie przy sąsiednich stolikach się odwracają. Peder wzdycha. – Ostatnio byłeś raczej nieuchwytny, Barnum. Wyjmuje z kieszeni kopertę i kładzie ją między nami. – Co to jest? – pytam. – Kto otworzy, ten zobaczy – mówi Peder. Wolno wypijam piwo. Potem otwieram kopertę. W środku leży czek. Za pierwszą cyfrą jest kilka zer. Słyszę, że Peder się uśmiecha. – Wchodzisz w to, Barnum? – Może tak, może nie – odpowiadam. Wyciągam rękę i zamawiam czerwone wino. Na twarzy Pedera pojawia się zmęczenie. W oczach ma wrogość. – Znów odjeżdżasz? – pyta. – Możesz sobie powiedzieć, że to *research*. Peder wstaje. – Masz dwanaście godzin na podjęcie decyzji, Barnum. I tym razem cię nie znajdę. Kelner stawia przede mną butelkę. – Zajmij się w tym czasie Vivian – mówię. Peder się nachyla. – Jesteś żaloszny – szepcze. Nie chce mi się już z tobą bawić. Wychodzi, nie oglądając się. Chowam się w czerwonym bukiecie. Nagle zauważam, że Peder zapomniał kilku książek. To *Saga o Njálu*, *Saga o Egilu*, *Saga o Ramnkjellu Frøysgode* i *Zwierciadło Królewskie*.

Przełądam tę ostatnią. Trafiam na rozdział, w którym syn pyta ojca o Grenlandię. A mądry ojciec odpowiada: *Grenlandia leży na północnym krańcu świata, a za Grenlandią, w moim przekonaniu, nie ma żadnego innego lądu, jedynie bezkresne morze. Gdy nadciąga burza, szaleje ona tam z siłą większą niż w innych miejscach na ziemi, wicher tam silniejszy, mróz ostrzejszy, a śniegi większe. W naturze lodu bowiem tkwi, iż stale bije od niego zimny powiew. W lodowcach pokrywających ziemię są też wielkie szczeliny. Ci, którzy byli na Grenlandii, świadczą, że zimno ma tam niezwykle wielką moc. Sama ziemia zaś i samo morze dają świadectwo wszechwładnej mocy mrozu i chłodu, gdyż zimno panuje tam tak latem, jak i zimą, a ziemię i morze pokrywa lód.*

Kelner staje za moim krzesłem. Sprząta ze stolików. Pokazuje mu czek i mówię, że zapłacę jutro. Kiwa głową i wypuszcza mnie. Śnieg lśni. Prawie nie ma na nim śladów. Idę do biura. Jeszcze jedna litera zgasa. Jesteśmy Brum & Miil. Peder siedzi na zapleczu.

Wydaje mi się, że śpi. Twarz ma w zakładkach jak harmonia. W rękę trzyma papierek od hot doga, a biała koszula jest pobrudzona musztardą. Przynoszę butelkę, którą trzymam w ostatniej szufladzie, i nalewam do dwóch kieliszków. – A ja chcę się z tobą bawić – mówię. Peder budzi się w swój powolny, drobiazgowy sposób, najpierw jedno oko, potem drugie, wreszcie podbródki i zmarszczki przesuwają się na swoje miejsce w uśmiechu. – Myślałem, że umarłeś – szepcze. – Tylko pozornie, do cholery. Siadam na kanapie i stawiam sobie kieliszek na piersi. Serce mi bije. Peder leciutko się uśmiecha. – W co chcesz się bawić? – W wikingów. Wchodzę w to. Opróżniam kieliszek. Żyję. Peder wrzuca papierek od hot doga do kosza i zmienia koszulę. Zadyszał się od samego zapinania guzików. Zorganizował sobie jeszcze jedną maszynę, faks. Wysuwa się z niej papier. Peder odrywa kartkę. Wygląda tak, jakby trzymał w rękę zwoje znad Morza Martwego. Puka w stół. – Black Ridge w Hollywood już wyraża zainteresowanie. – Fantastycznie – mówię. Pederowi na samej górze czoła rysuje się głęboka zmarszczka. – Przed Bożym Narodzeniem musimy mieć gotowy *treatment*, Barnum. Dasz radę? – Sraj na *treatment*. Zabiorę się od razu do scenariusza. Peder uśmiecha się całymi ustami. – Co cię przekonało? – Chyba wszystko jedno – mówię. Peder wzrusza ramionami. – Po prostu jestem ciekawy, Barnum. – Spodobał mi się ojciec, który opisuje synowi świat – mówię cicho. Peder podchodzi do mnie. Głaszcze mnie ręką po policzku. Dawno już nic takiego nie robił. – Wracaj teraz do domu, do Vivian – mówi szeptem. – Dobrze. – Spraw, żeby znów się śmiała, Barnum. Patrzę na Pedera. – Jak? – Może mówiąc jej prawdę. – Jaką prawdę? – pytam. Peder się odwraca. – Że nie możesz mieć dzieci.

Kiedy wracam do domu, Vivian już wstała. Słyszę ją pod prysznicem. Nuci coś, jakiś psalm, którego nie pamiętam. Pukam do drzwi. – Muszę ci coś powiedzieć! – wołam.

W środku zapada cisza. Siadam na łóżku i czekam. Jej czarna sukienka wisi na ostatnim krześle, tym z numerem 18, na moim krześle. Światło na zewnątrz jest mokre i ciężkie.

Vivian staje przede mną. Kapie z niej woda. Jest naga. – Dlaczego powiedziałeś o tym w kościele? – pyta. Że jestem w ciąży? Spuszczam wzrok. – Chciałem sprawić radość matce – szepczę. Vivian przeciąga ręką przez moje kędziory, trochę mnie ciągnie. – Bałam się o ciebie, Barnum. Te słowa, ten gest, jej ręka w moich włosach wprawiają mnie w zmieszanie, mięknię, jak gdyby wszystko zebrało się w tej jednej chwili, w kroplicy ciężkiej jak skała, która zaraz się oderwie i runie w dół. Ale Vivian nie pyta, gdzie byłem.

To coś w rodzaju paktu między nami, nie chcemy wiedzieć o sobie więcej. Może Peder już dzwonił i powiedział jej, że mnie znalazł, w pokoju 502 w Cochs Hospits. Całuję jej biodra. Skóra jest ostra i miękka pod wargami, to inny zapach, obcy i podniecający. Vivian się wyrzywa, podchodzi do okna, trzymając przed sobą czarną sukienkę. – Ludzie od przeprowadzki przyjdą dzisiaj po resztę – mówi. Patrę poprzez nią. – Posprzątałaś w piwnicy? – Wszystko można wyrzucić – mówi Vivian. – Wszystko? Jesteś pewna? – A masz ochotę na coś stamtąd? – pyta. Wzruszam ramionami. – Może znów zacznę nosić buty na koturnach. Vivian się śmieje. Udało mi się. Mimo wszystko udało mi się rozśmieszyć Vivian. – Możesz je raczej oddać do rekwizytorni w Norsk Film – podsuwa. – Peder i ja zaczynamy coś wielkiego – mówię. Naprawdę wielkiego. Vivian ostrożnie się uśmiecha. – A co? – pyta. – Film o wikingach, Vivian. Wpadniemy w wikiński szal. Wyjmuję czek i pokazuję jej wszystkie zera. – To chciałeś mi powiedzieć? – pyta. A kiedy tak stoi, w ciężkim świetle padającym przez okno, widzę, że jej ciało się zmienia, widzę to, z sekundy na sekundę, ciągle jest inna, nigdy ta sama.

Wstaję. – Chciałem ci tylko powiedzieć, że się nie wyprowadzam. Vivian przybliżyła się o krok i staje, między oknem a łóżkiem. Nie protestuje, nie pada na kolana i nie błaga.

W jej oczach widać raczej zasmuconą ulgę, może w moim spojrzeniu odnajduje coś podobnego, wycieńczony żal. – Masz zamiar tu mieszkać? – pyta. – Jeśli tobie to nie przeszkadza. Vivian kiwa głową. – Jasne, Barnum. Ubiera się. To całkiem zwyczajny poranek. Wychodzę na balkon i zapalam papierosa. Jestem przebudzony i śpiący jednocześnie. Gdybym się teraz położył, mógłbym spać przez siedem lat. Jeśli uda mi się nie zasnąć, nigdy więcej nie będę musiał się kłaść. Wypijam łyk z piersiówki, która przyjemnie schłodziła się w śniegu pod skrzynką na kwiaty, i wracam do Vivian. – Co zrobimy z tabliczką? – pytam. Vivian w pierwszej chwili nie rozumie, o co mi chodzi. To mnie rani. Przysuwam się do niej o krok, może głośno tupię, Vivian się cofa. – Proszę cię, Barnum. W jej ściszym głosie pojawia się nagle strach. Zatrzymuję się zdumiony.

Zaczynam się śmiać. – Z naszą tabliczką, Vivian. Na drzwiach. Co z nią zrobimy? Vivian się odwraca. – A nie może po prostu zostać? – szepcze. – Zostać? Vivian i Barnum? To przecież kłamstwo. A może masz zamiar wrócić? Patrzy na mnie, już się nie boi, tylko niecierpliwi, bo mnie nikt nie boi się długo. – Zrób z nią, co chcesz – mówi. – Dobrze, mogę ją przerąbać na pół – krzyczę. Rozlega się dzwonek do drzwi. To tragarze, młody facet, który natychmiast łapie za pierwszą rzecz, jaką widzi, i starszy, który wolno idzie przez pokój i mierzy metry sześcienne. Ma smutne chłodne spojrzenie, jak gdyby zbyt dużo razy już widział podobną sytuację. Vivian pokazuje, które rzeczy mogą ze sobą zabrać.

Łóżko, biurko i krzesło zostają. Lodówka i kuchenka są tu na stałe. Kwiaty na balkonie zmarły. Przychodzi mi do głowy, w czasie gdy znoszą ostatnie pudła do ciężarówki, że grawer na Pilestredet dał nam ślub, a biuro przeprowadzek na Adamstuen dało nam separację. Vivian bierze mnie za rękę. – Zostawię pierścionek – mówi. Muszę wstrzymać oddech. – To był prezent. – Wiem. – I nie ubliżaj mi więcej. Vivian puszcza moją rękę. – Resztę załatwimy później – szepcze. Kiwam głową. – Jasne. Resztę załatwimy później.

A na koniec, nim pobiegnie za tragarzami i pojedzie z nimi na Kirkeveien, mówi coś dziwnego. – To nie tylko twoja wina, Barnum. Stoję i słucham jej kroków na schodach.

Wkrótce przestają je słyszeć. Wypadek i Mały rozstali się, i to nie tylko moja wina. Wciąż jednak czasami się budzę i wierzę, że ona wróci. Wyjmuję nóż z szuflady z kuchni, wychodzę na klatkę i odłamuję tabliczkę, miedź z czarnymi literami, Vivian i Barnum, jest mocno przykręcona i na drzwiach pojawiają się paskudne rysy. Sąsiadka stoi tuż za mną.

Czuję zapach jej śmieci. – Odeszła od pana – mówi. Odwracam się. Zaczyna przypominać odpadki, które zawsze nosi w plastikowych workach, pewnego dnia może się pomyli, sama wciśnie się do zsypu i spadnie w cuchnącą ciemność. – Wyjechała tylko na wakacje – mówię. Kobieta uśmiecha się, z jej twarzy bije ciężki zaduch, jak gdyby miała usta pełne rybich wnętrzności i starych kurzych skrzydełek. Mówi teraz szepsem, jakby bała się zdradzić tajemnicę. – Ze skrzynki pocztowej też skreśliła swoje nazwisko. Muszę się cofnąć. Jest bardziej wstrętna niż panna Ośła Głowa, obwołana najbrzydszą kobietą świata w Connecticut w 1911 roku, mogłaby wziąć udział w nowym konkursie i wygrać, zostawiając w tyle wszystkie rywalki. Mundusa ominęła pewna wygrana. Kobieta śmieje mi się prosto w twarz. A ja nagle robię coś, czego się nie spodziewała. Zaczynam płakać.

Ona kładzie mi rękę na ramieniu, zmieszana, robi się ludzka i prawie piękna w całej swojej ohydzie, i mówi to samo, co powiedziała Vivian, zagadkowo i cicho, może to ma być pociecha, lecz brzmi jak groźba. – To nie tylko pana wina. Odpycham ją, wrzucam tabliczkę do zsyphu i zatrzaskuję za sobą puste drzwi. Teraz nikt tu nie mieszka, a pokój jest dostatecznie duży. Przynoszę wszystkie butelki, które pochowałem, i ustawiam je na stole.

Zaciągam zasłony, wkręcam kartkę do maszyny, a pierwsze słowo, które przychodzi mi do głowy po tym wszystkim, to „zemsta”. Szkicuję akcję, swój krwawy trójskok, idylla, śmierć i zadośćuczynienie, syn powraca, by pomścić swoją rodzinę. Pewnego ranka dzwoni telefon. To matka. Najpierw pyta, jak się czuję. – Jestem bardzo zajęty – mówię. – Ale chyba nie na tyle, żeby nie zjeść u nas niedzielnego obiadu? – pyta. To dzisiaj jest niedziela. Poznaję to, bo dzwony biją. Odkładam słuchawkę i wyrywam telefon z gniazdka. Doszedłem do *turning point I*. Do deski. Prędkość mam dobrą. Mściciel znalazł swego wroga. Mściciel czeka na właściwy moment. Piszę: *Jedno oko nie widzi drugiego*. Zostało mi sześćdziesiąt stron. Zabieram wódkę pod prysznic. Potem z kosza z ubraniem wyjmuję białą koszulę. Jej biel mnie oślepia, tak jak śnieg, kiedy idę na Kirkeveien. Potrzebne mi ciemne okulary. Matce włosy posiwiały jeszcze bardziej.

Siadamy do stołu. Boletta sprawia wrażenie rozzłoszczonej i przekornej, jak gdyby coś ją dręczyło. Nalewa mi tylko odrobinę wina do kieliszka i jak najdalej odstawia butelkę. Stół nakryty jest dla czterech osób. – Przyjdzie ktoś jeszcze? – pytam. – Vivian źle się poczuła – mówi matka. Podaje mi półmisek. Nie mam apetytu. Myślę o scenie, którą zamierzam napisać, o rozwścieczonej matce, która upokarza swego tchórzliwego syna, podając mu surowe mięso w dniu, w którym został zabity jego brat. Piję więc wino. – Trudno jej będzie mieszkać tak wysoko – mówię szeptem. Boletta odbiera mi butelkę. – Zwłaszcza kiedy nie ma w domu mężczyzny – stwierdza. Vivian mimo wszystko przychodzi. Jest w spłowiałym obszernym dresie. Tłuste włosy spadają na czoło. Ona też nie ma apetytu. Je tylko gotowaną marchewkę, pije wodę i nic nie mówi. A ja jakbym słyszał głębokie echo, to owalny zegar w przedpokoju znów zaczął chodzić, monety pobrzękują w szufladzie, gdy tak je widzę, matkę, Bolettę i ciężarną Vivian, wokół nakrytego do obiadu stołu w salonie, teraz to ja przyszedłem z wizytą do domu, w którym mieszkają same kobiety. Milczenie zatoczyło koło i zawiązało czas na wielką kokardę.

Szukam jakiegoś tematu. – Co się dzieje z kioskiem? – pytam. Matka kładzie mi mięso na talerzu. – Już się nie opłaca prowadzić kiosku – mówi. – Dlaczego? Matka próbuje się uśmiechać. – To przecież tylko brama, Barnum. Odsuwam jedzenie i wyciągam się po butelkę. Ale Boletta wlewa reszkę do swojego kieliszka. Zapalam papierosa. – Myślałem, że to coś więcej niż tylko brama. Matka kręci głową. – Nawet Beauty Salong zamknięto, prawda, Vivian? Vivian kiwa głową. Skórę na twarzy ma błyszczącą, tłustą. – Zamiast tego otworzyli tam fryzjera dla psów – mówi. Cztery Łapy. Śmiesz mi to, ale boję się roześmiać. To by było jak zabrudzenie obrusa. Jak wylanie śmiechu na biały obrus, i to specjalnie. – Kawa – mówię głośno. Matka wdycha. – Kawa? Przecież ty jeszcze nic nie zjadłeś, Barnum. Teraz mogę się roześmiać. Teraz śmiech jest na miejscu. – Myślę o kawie w kiosku, mamó. O tym, żeby ją tam sprzedawać. W kubeczkach z pokrywką i rurką.

Boletta wstaje i odchodzi od stołu, bez słowa. Trzaska drzwiami. – Co się z nią dzieje? – pytam cicho. – Może nie podoba jej się, że palisz – mówi matka. Vivian patrzy na mnie. – Albo że pijesz. Nigdy nie powinienem był przerywać tego milczenia. Odsuwam krzesło i rzucając niedopałek do kominka. Fotografia wciąż wisi na ścianie, elektryczny Barnum, mały geniusz w Ratuszu, wtedy, gdy dostałem nagrodę za *Małe miasteczko*. Odwracam się do matki. – Jedna rzecz wydaje mi się dziwna – mówię. – Jaka, Barnum? – Że Fred przez wszystkie te lata nosił tę starą kurtkę. W matce pojawia się niechęć, głos robi się surowy i krótki, słowa ledwie się w nim mieszczą. – Przecież wiesz, jak bardzo lubił tę kurtkę – mówi szeptem. Vivian wstała. – Pójdiesz na górę zobaczyć? – pyta. Dziękuję za jedzenie i idę za nią. Musi odpoczywać na każdym półpiętrze. Dźwiga wielki ciężar. A mnie przed oczami staje matka, niosąca pranie z piwnicy aż na strych, pleciony kosz, pełen mokrych ubrań, zdrętwiałe palce, ból, który z bioder rozchodzi się na cały krzyż, siatka z klamerkami, może ona również musiała odpoczywać, licząc w duchu, ile jeszcze stopni zostało, i marząc o czymś innym. Vivian odwraca się, oddycha przez usta, wargi ma spuchnięte i suche. – Podobno mają zrobić windę na zewnątrz – mówi. Od strony tylnego podwórza. Wreszcie tam jesteśmy. Na drzwiach napisane jest Vivian Wie, prosta szara tabliczka z czarnymi literami, Vivian wpuszcza mnie do środka. Zatrzymuję się pod ukośnym oknem w dachu. Śnieg topnieje, gdy tylko dotknie szyby. Światło odpływa, ciągnie za sobą mrok. Następną rzeczą, jaką widzę w rogu przy pobielonym kominie, jest stary dziecięcy wózek, kojec, stos dzieciennych ubranek, w których chodziliśmy Fred i ja, wyjęta jest też stara kołyska, wszystko przygotowane, używane rzeczy czekają na nowego człowieka. Patrzę teraz w stronę kuchni, Vivian zapomniała schować mleko do lodówki. – I co o tym sądzisz? – pyta Vivian. Podchodzę do okna w dachu. – Czujesz, jak tu się kołysze? – Co powiedziałaś? – Kołysze się – powtarzam. Vivian na moment

nieruchomieje, spojrzenie ma niespokojne, ręce kładzie na brzuchu. – Nic tu się nie kołysz, Barnum. – Niedługo sama poczujesz – mówię. Vivian nagle wpada we wściekłość. – Nie kołysz się! – krzyczy. Podchodzę bliżej. – Właśnie dlatego bielizna tak ładnie i szybko schła na tym strychu, Vivian. Ona jest bliska płaczu. – Dlaczego? – Dlatego, że się kołysz – mówię. Vivian wychodzi do łazienki. Wstawiam mleko do lodówki i wyjmuję piwo. Stare dziecinne ubranka są miękkie w dotyku, piżama, śpioszki, koszulka, z czasów, kiedy jeszcze mogłem nosić ubrania normalnego rozmiaru, wtedy gdy jeszcze dziedziczyłem je po Fredzie. Nie wiedziałem, że matka je zachowała. A kiedy pochylałem się nad wózkim dziecinnym, w którym leży skórzany bet z grubym białym podbiciem, czuję nagle powiew chłodu na ustach, to tylko matka smaruje mi wargi maścią kamforową, ale to mnie nie dotyczy, jestem poza tym i może właśnie to mnie najbardziej przeraża, to, że jestem odłączony, płaski. Dziecko Vivian też urodzi się zimą, w najchłodniejszym miesiącu roku, kiedy piękna mroźna mgła unosi się znad fiordu. Słyszę jej oddech. Musi stać tam już od dłuższej chwili i patrzeć na mnie z drzwi pomieszczenia, które będzie pokojem dziecinnym. Odwracam głowę. Przez moment mimo wszystko czuję się zawstydzony, robi mi się słabo. – Jak idzie z wikingami? – pyta Vivian. – Chyba trafiłem w deskę. Vivian się uśmiecha. – Peder mówi, że wszystko będzie dobrze. Wolno odwracam się do niej. – A ty? Nie dostałaś pracy w tym salonie dla psów? Vivian ściera uśmiech wierzchem dłoni.

– Po Nowym Roku zaczynam pracę jako charakteryzatorka w telewizji. – A kto będzie się zajmował dzieckiem? – Vera i Boletta – mówi Vivian. W tej samej chwili oślepia nas nagły blask, w pierwszym momencie myślę, że się błysnęło, ale światło pada z innej strony, nie z okna w dachu. To matka. Stoi w przedpokoju ze starym aparatem fotograficznym w rękach i znów nas oślepia, chociaż odwracamy głowy. Nie zdążyłem jej powstrzymać. – Pamiętasz ten aparat, Barnum? Kręcę głową. Matka się śmieje. – Marzyłam kiedyś, że zostanę fotografem – mówi. – I dlaczego nim nie zostałeś? – pytam i natychmiast żałuję. Matka patrzy w okno w dachu. – Tyle rzeczy stanęło na przeszkodzie. Matka znów podnosi aparat. Muszę ją przytrzymać i ledwie mi się to udaje. Zaczyna się trząść i nagle wybucha płaczem. Czy powinienem wtedy zrozumieć, że istniało coś, czego matka nie mogła znieść, coś więcej, jakiś ciężar, którego nie potrafiłem dostrzec, a którego ona nie była już dłużej w stanie sama udźwignąć? Byłem poza tym. Czy właśnie to nazywam powolną migawką pamięci? Matka trzyma mnie za obie ręce. – Tak żałuję, że nie robiłam zdjęć w kościele, Barnum. – I tak to pamiętamy – mówię. Patrzę na Vivian. – Zniesiesz mi wózek na dół? – pyta. Oczywiście chętnie to robię. Matka zostaje u Vivian. Vivian zostaje u matki. A kiedy mijam mieszkanie, Boletta wychodzi, w futrze i z laską. – Muszę się przewietrzyć – mówi.

Stawiam wózek pod schodami przy skrzynkach na listy, a Boletta, która idzie przodem, nie odzywa się przez całą drogę, aż do Blåsen. Mówi wtedy: – Nie mam siły dalej cię prowadzić, ty durniu! Zmiatam śnieg z ławki i siadamy. Długo tak siedzimy, a ja nie wiem, co powiedzieć. O zmierzchu wszystko się zlewa, zmienia w zardzewiałą ciemność, obramowaną śniegiem. – Dlaczego nie mieszkasz z Vivian? – pyta Boletta. Wycieram ręce o spodnie. – Tak jest najlepiej – mówię. Boletta szuka czegoś w palcie. Znajduje. Podaje mi płaską piersiówkę, a kiedy udaje mi się wreszcie odkręcić oporny korek, czuję głęboki aromat mojej pierwszej miłości, którą mogłem tylko powąchać i polizać, malagi, otacza mnie dzieciństwo, tak jak ten śnieg, jestem wewnątrz, wzruszony. Wypijam łyk i oddaję piersiówkę Boletcie, która delikatnie popija. – To ostatnia malaga w mieście – mówi szeptem. – Dziękuję, Boletto. – Takich rzeczy nie wolno marnować. – Zwłaszcza malagi – dodaje. Boletta chowa piersiówkę z powrotem do kieszeni i opiera się na lasce. – Co, u diabła, jest z nami nie tak? – Wzdycha. Gdy widzę gasnące okna, miasto zapadające się w inną ciemność pod śniegiem i pod niebem, myślę nagle o Flemingu Brancie. Chcę coś o nim powiedzieć, o montażystce w piasku, ale nie mogę złożyć zdania, słowa mi się opierają, wkrótce będę zniszczony. – Ja nie mogę mieć dzieci – mówię. Boletta się nie odwraca. – I co z tego? – pyta. – Nie mogę mieć dzieci – powtarzam. – I mimo wszystko ją zostawiasz? – To ona mnie zostawiła – odpowiadam szeptem. Boletta wstaje i uderza laską w śnieg. – Jesteś małostkowy – mówi. Podnoszę głowę i nie mogę tego pojąć. Ma dokładnie taką twarz, jaką miewała, kiedy ją nachodziło i musiała iść na Biegun Północny, żeby się ochłodzić. – Co powiedziałaś, Boletto? Pokazuje na mnie laską. – Nigdy nie byłam na ciebie wściekła, Barnum. Ale teraz jestem tak wściekła, że aż mi się od tego źle robi. Próbuję się uśmiechać. – Byłaś zła, kiedy opuszczałem lekcje w szkole tańca – przypominam. Boletta znów siada, zmęczona i zrezygnowana. – Zła to nie to samo co wściekła, Barnum. Złość to tylko mały przecinek

we wściekłości. – Wobec tego ja też jestem wściekły – stwierdzam szeptem. Boletta nakrywa mi rękę pomarszczoną dłonią. – Nie powinieneś – mówi. Powinieneś raczej kochać Vivian i dziecko. Spuszczam wzrok. – Nie mogę. – Wobec tego jesteś tylko połową mężczyzny, Barnum. Czuję wściekłość, teraz najzupełniej szczerą, jak gdyby cała wściekłość, jaką zachowałem w sobie od czasu, gdy policjant wskazał mnie w małym miasteczku, zbiła się w jeden wielki drżący mięsień. – Ośmielisz się to powtórzyć, Boletto? – pytam. – Od tego nie będziesz bardziej cały!

Wyrwam jej łaskę, łamię ją na pół i schodzę na dół, brodząc w śniegu. – Nie chcę cię więcej widzieć! – krzyczę. Słyszysz, starucho! Nie chcę cię więcej widzieć! A kiedy odwracam się po raz ostatni, przy zakręconej fontannie, ona wciąż siedzi na ławce, na samym szczycie Blåsen, chudy zgarbiony cień, w coraz gęściej padającym śniegu, tak znika mi z oczu.

Tej nocy nie mogę pisać. Znow włączam telefon. Mam w sobie inny niepokój, nad którym nie mogę zapanować, nerw nieszczęścia. Wypijam resztę i porządkuję papiery.

Czytam to, co napisałem.

SCENA 1. MORZE. WIECZÓR.

Statek z głową smoka. Bezwietrznie. Załoga musi wiosłować. Jedyne dźwięki to rytmiczne okrzyki przy każdym ruchu wiosł. Statek przypomina przesuwaną się cień.

SCENA 2. DWÓR GRAN. RANO.

Wiosna, śliczna dziewięcioletnia dziewczynka, bawi się, robiąc ślady na śniegu.

Coraz bardziej oddala się od zabudowań w stronę lasu.

Upuszcza coś w śnieg, zatrzymuje się, żeby to podnieść: to naszyjnik, amulet, po jednej stronie ma kształt gwiazdy. Gdy Wiosna się pochyla, zauważa coś jeszcze: inne ślady na śniegu. Są o wiele większe od jej własnych. Znikają w lesie tuż obok.

Wiosna kuca, patrzy na domy, patrzy na las. Ostrożnie zawiesza amulet na szyi.

Matka wychodzi z głównego budynku, macha do córki.

Wiosna boi się jej odmachać. Matka stoi i patrzy na nią. Znów macha. Z lasu dobiega jakiś dźwięk. Trzask łamanej gałązki. Odgłos wyciąganego miecza.

Ciszę gwałtownie przerywa hałas: tuzin mężczyzn w bojowych strojach wyjeżdża konno z lasu.

SCENA 3. PLENER. STATEK. RANO.

Statek zbliża się do brzegu. Żagle są podniesione. Wszyscy uwijają się jak w ukropie, szykując ładunek, z wyjątkiem jednego człowieka, który leży na rufie i śpi. Twarz zasłania mu kaptur. Ale na szyi widać naszyjnik, to amulet w kształcie gwiazdy, identyczny jak ten, który nosiła Wiosna.

Trzej mężczyźni stawiają tuż obok klatkę z ptakami. Patrzą na uśpionego mężczyznę, odwracają się do siebie, kiwają głowami.

Jeden z nich podkrada się, pochyla i ostrożnie dotyka naszyjnika, próbuje go zdjąć.

Jakaś dłoń błyskawicznie łapie go za ramię. To „śpiący” trzyma go w żelaznym uścisku. Złodziej osuwa się na kolana. Widzimy twarz mężczyzny. Ma dwadzieścia pięć lat, sprawia wrażenie udręczonego. Nazywa się Ulf.

Ulf puszcza złodzieja, wstaje i patrzy na brzeg.

Voice over: Siedem zim minęło, odkąd wyjechał z lasów na morze, z ziemi na wiatr.

Pierwszej zimy za nim tęskniono, drugiej zimy nikt o nim nie słyszał, czwartej zimy widziano go jednocześnie w trzech krajach, siódmej zimy o nim zapomniano. Wracił do domu jako uciekinier, wracał za późno.

Dzwoni telefon. Boję się go odebrać. Najpierw muszę skończyć. Wszystko od tego zależy: od skończenia. Telefon nie przestaje dzwonić. Znow wyrywam go z gniazdka.

Roznosiciel gazet zbiega ze schodów. Słyszę, że sąsiadka prędko zabiera „Aftenposten” z wycieraczki. Ogarnia mnie jeszcze większy i głębszy niepokój. Może Boletta nie wytrzymała zimna? Idę na Blåsen. Moje ślady na śniegu są krzywe. Ławka jest pusta. Nikt na niej nie siedzi. Skończyłem z tym miejscem. Muszę się pozbyć tych miejsc, jeśli mam iść dalej. Muszę znaleźć nowe miejsce, swoje własne, a wciąż nie wiem, gdzie ono jest.

Idę do monopolowego. Ekspedient długo mi się przygląda, ale nie prosi o dowód.

Z zakupami jadę do domu taksówką i dalej pracuję nad *Wikingiem*. Rozbieg się skończył.

Jestem w skoku. Welwetowa kurtka Freda nie schodzi mi z głowy. Ona mi przeszkadza. Jej też muszę się pozbyć. Jestem krawcem, który na maszynie do pisania przerabia tę kurtkę w niebieską skórzaną pelerynę, daję ją mojemu bohaterowi, chowam w jego bagażu i gdy opowieść dochodzi do szczytu, ubieram go w ten lśniący płaszcz, który z daleka jaśnieje jak ciemny płomień, potem każę mu go oddać zdradzieckiemu niewolnikowi, a ten w wyniku nieporozumienia musi zapłacić za to życiem, w ten sposób wróg jest przekonany, że to bohater, ów syn, który wrócił do domu, nie żyje. Pewnego ranka, a może to wieczór, w każdym razie spałem, a na dworze i tak jest tak samo ciemno, widzę, że w Stensparken, koło przedszkola, zapalają się światełka na choince. Trochę słyszę, jak dzieci śpiewają.

To stare dobre piosenki. Siadam przy biurku i czytam to, co ostatnio napisałem. I dopiero wtedy rozumiem, że skończyłem. Spokojny *voice over* zamyka wszystko, statek znów wypływa i wzmagą się wiatr ósmej zimy. Czuję coś w rodzaju szczęścia i dziwi mnie, że kilka słów, które ukradłem i poskładałem w trójskok, może mnie tak uszczęśliwić. Może to raczej za sprawą dzieci śpiewających u stóp Blåsen. Czuję ból i jestem szczęśliwy.

Później idę świątecznymi ulicami do Pедера. Naprawił szyld. Wszystkie nasze litery świecą. Peder siedzi tyłem między dwoma telefonami i odwraca się dopiero kwadrans po moim przyjściu. Zasłania oczy. – Wyglądasz okropnie – mówi. – Jesteś człowiekiem powierzchownym, Peder. On tylko kręci głową. – Powiedzieć ci coś, Barnum? – Możesz. – Gównu mnie obchodzi, czy zapijesz się na śmierć, bylebyś tylko skończył *Wikinga*, zanim umrzesz. – Dzięki za troskę, Peder. Naprawdę jesteś dla mnie za dobry. – Nie ma za co dziękować, Barnum. Ale czy możesz mi powiedzieć jedno? – Co takiego, Peder? – Jesteś pewien, że jeszcze nie jesteś martwy? I nie mam tu na myśli pozornej śmierci, tylko prawdziwą, taką w krematorium. – Nie umarłem, Peder. Wyjmuje chusteczkę, którą przytyka do nosa. – Zdajesz sobie sprawę, ile może trwać moment umierania? Tygodniami, Barnum. Latami. – Ja żyję – mówię szeptem. – Skąd, do cholery, możesz o tym wiedzieć? – pyta Peder. – Dlatego, że chce mi się pić – mówię. Dzwoni któryś z telefonów i zaraz amerykański głos nagrywa się na automatyczną sekretarkę.

Mówi szybko, głośno i krótko. Wychwytyję zaledwie kilka słów: Wigilia, Nowy Rok, wikingowie i dolary. Peder patrzy na mnie ze zmęczeniem na twarzy, zapadającym się powoli w podwójne podbródki. – To był nasz człowiek w L.A., Barnum. Dopytywał się, jak idzie. Ale skąd ja mogę wiedzieć, jak idzie, skoro ty mi nie mówisz, jak idzie. Peder wstaje ciężko, otwiera szafę i zmienia koszulę. – Co chcesz dostać na gwiazdkę? – pytam.

Peder przez moment milczy, potem znów siada. – Chciałbym dostać scenariusz i dobrego przyjaciela – mówi cicho. Wyjmuję paczkę spod kurtki i kładę ją przed nim. Peder długo się wpatruje w pękatą kopertę, którą obwiązałem czerwoną wstążką. Dla Pedera od Barnuma. – Co to, do cholery, ma być? List z bombą? Testament? – Kto otworzy, ten zobaczy – mówię. Peder nabiera jeszcze większych podejrzeń i się złości. – Nie rób sobie ze mnie jaj, Barnum. – Barnum nigdy nie robi sobie jaj – mówię. Peder otwiera wreszcie kopertę i wyciąga z niej sto dwie strony *Wiking, northern*, oryginalny scenariusz filmu autorstwa Barnuma Nilsena. – Dostałem wszystko, czego sobie życzyłem naraz – szepcze Peder. – Owszem, dobry scenariusz i marnego przyjaciela. Peder wstaje i obejmuje mnie. – Kocham cię, Barnum. – Nie bądź znów taki amerykański – mówię. – W głębi ducha wszyscy jesteśmy amerykańscy – śmieje się Peder i całuje mnie w czoło. Stoimy tak, tylko się dotykamy, aż do chwili, gdy jego świeża koszula znów jest cała mokra. – Co teraz będzie? – pytam. Peder mnie puszcza. – Pójdiesz teraz do domu i trochę odpoczniesz, Barnum. Żebyś ja mógł popracować. – A to znaczy? – To znaczy, że przeczytam, przetłumaczę i przefaksuję ten scenariusz do Black Ridge w Los Angeles – mówi Peder. Znów zasiada przy telefonach. Stoję i patrzę na niego. Peder działa.

Przyjemnie tak na niego patrzeć. Działamy. Po chwili Peder zaczyna się denerwować.

Podnosi głowę. – Powiedziałaś, że chce ci się pić? – pyta. – Chodziło mi o to, że jestem szczęśliwy.

Zostawiam go w spokoju i idę do domu. Ale wracam okrężną drogą, i to niejedną. Chcę się też pozbyć reszty tych miejsc. Muszę zrobić porządek. Po raz ostatni poklepuję drzewo na Solli plass, twarda kora łaskocze w dłonie, słyszę powolną muzykę gramofonu ze szkoły tańca, cichnie w kurzu wewnętrznych rowków dzieciństwa, a kroki na parkiecie rozbiegają się na wszystkie strony. Siadam na rogu Parku Zamkowego i Wergelandsveien i czczę Starą minutą ciszy, a kiedy zamykam oczy, widzę cień Freda, który wreszcie wstaje z rynsztoka, wsuwa błyszczący grzebień do tylnej kieszeni i prowadzi ją dalej do Zamku.

Zostawiam to miejsce za sobą. Idę dalej do Altany w parku Frogner. Nie jest już biała.

Delikatne ściany pokrywa graffiti. Ktoś napisał *Byłem tutaj*. To jest zawsze prawdą. Ktoś, kto pisze *Jestem tutaj*, ma rację tylko w chwili pisania. Pluję w śnieg i pędzę dalej.

Zabieram ostatnią butelkę z kiosku, tę, którą schowałem pod obluźowaną deskę w podłodze, i to miejsce też odchodzi w zapomnienie, tak jak już dawno opuściło pamięć Esther i zmieniło się w sen utkany z kandyzu i wydawanej reszty. Biegnę potem do małego miasteczka, z którego zostały teraz tylko małe ruiny w ciężkim szarym błocie. Małe miasteczko już się wyludniło, a ja zamykam je na dobre. Ścieram je z globusa. Potem idę na górę do Vivian. Dzwonię do drzwi. Otwiera mi matka. Stawia na podłodze torbę podróżną i patrzy na mnie zdziwiona, tak samo jak na pewno ja patrzę ze zdumieniem na nią. – Vivian jest w szpitalu – mówi. Staram się udawać spokój. Jestem zupełnie spokojny i nie mam przed czym uciekać. – Już? – Na wszelki wypadek. – Wypadek? Chyba nie dzieje się nic złego? Matka wpuszcza mnie do środka. Pakuje do torby jakieś kosmetyki i ubrania Vivian. Chodzę za nią. – Chyba nic złego się nie dzieje – powtarzam. – Vivian jest taka wąska – szepcze matka. Mówi tylko to. Vivian jest taka wąska. Słowa te uderzają we mnie z wielką miękką siłą i przywodzą mi na myśl biedronkę, wspinającą się po żdźble trawy, które wolno się pochyła. Kładę matce rękę na ramieniu. – Chyba wszystko pójdzie dobrze. Matka zaciąga zamek i prostuje się. – Możesz tam ze mną pojechać, Barnum.

Odwracam się i nie odpowiadam. Matka przez chwilę stoi. – Pokłóciłeś się z Bolettą? – pyta nagle. – Nie, a tak powiedziała? – Ona w ogóle nic nie powiedziała, Barnum. Leży tylko na otomanie i patrzy przed siebie. Matka bierze torbę i idzie do drzwi. Jej głos jest na krawędzi. – Nie wiem, co się stało między tobą a Vivian, i wcale nie chcę tego wiedzieć, Barnum. Robię krok w jej stronę i unoszę rękę. – No tak, ty wolałabyś nic nie wiedzieć! – krzyczę. Matka patrzy na mnie i znajomy mrok zasnuwa jej oczy. – O co ci chodzi? Moja dłoń opada, zwisa bezwładnie z ramienia. – Powiedz Vivian, że tu jestem – szepczę.

Przysuwam krzesło pod okno w dachu i siadam. Drzwi się zamykają. Liczę kroki matki na stromych schodach, aż w końcu przestają je słyszeć i wtedy otwieram butelkę. Miałem rację, tu wciąż kołysze. Wódka przelewa się z boku na bok jak zamknięta fala. Kiedy patrzę w górę, ciemne okno staje się lustrem, w którym drży i tańczy moja twarz. Śnieg pada i zsuwa się bezszelestnie, jest tylko ta fala i ja, utrzymujący się w tej samej fali. Piję powoli. Pozbycie się tego miejsca trochę trwa, postanawiam poświęcić na to tyle czasu, ile mi potrzeba. To moje wspominkowe nabożeństwo. Ćwiczę się w zapominaniu, jestem jedyną obecną na nim osobą. Trzy piętra niżej Boletta leży na otomanie i patrzy przed siebie. W jakimś innym miejscu, tuż obok, matka opiekuje się Vivian. Zapominam o trumnie, którą Fred tu przyniósł. Zapominam o wojnie, o sznurach do bielizny i o martwym gołębiu. Raz i drugi słyszę kościelne dzwony. I właśnie wtedy mimo wszystko przypominam to sobie, tak prosto i z taką oczywistością, że tu jest tylko jedna jedyna rzecz należąca do mnie: pierścionek, ten pierścionek, który kupiłem i którego nigdy nie podarowałem, tylko schowałem w szybie na koks, M jak mowa, M jak milczenie, M jak moment. Znajduję w kuchni nóż i rzucam się na gipsowany mur. Dźgam, walę, uderzam i grzebię, muszę, do cholery, znaleźć ten pierścionek, ale pokrywy nie daje się otworzyć, stukam i dłubię, to niemożliwe, sypie się tylko farba i pył, i wcale nie kościelne dzwony słyszę, tylko telefon. Nie wiem, gdzie jest. Okazuje się, że stoi w sypialni, a kiedy wreszcie do niego dochodzę, ktoś już odłożył słuchawkę. W sypialni stoi tylko proste łóżko i kołyska w rogu. Kołysze się. Muszę usiąść i w tej samej chwili telefon znów dzwoni. Wolno podnoszę słuchawkę, myśląc, że Boletta siedzi teraz w centrali w Telegrafii i łączy rozmowy i że to ona mnie znalazła w elektrycznej ciemności kabli. To matka. – Vivian urodziła chłopca – mówi.

Będzie miał na imię Thomas.

Pierścionek pozostanie w murze, niewidzialny dla wszystkich z wyjątkiem mnie. Idę do domu. Na stole stoi butelka szampana i bukiet róż, dwanaście. Na kartce Peder napisał:

Dla wielkiego małego geniusza. Gratulacje. Siedzi na balkonie, przegląda scenariusz i pali cygaro. Na mój widok wstaje, otrzepuje śnieg z koszuli i wchodzi do pokoju. – Wyłamałeś drzwi? – pytam. Peder się uśmiecha. – Dostałem klucze od Vivian. Spuszczam wzrok. – Byłeś w szpitalu? – Ładny chłopak – mówi Peder. Wrzeszczał jak szalony. Przez chwilę milczymy. Peder kładzie mi rękę na ramieniu. – Amerykanie są w siódmym niebie, Barnum. Uwielbiają cię. Biorę od niego scenariusz. To amerykańskie tłumaczenie. Peder nagle sprawia wrażenie zakłopotanego, otwiera szampana i nalewa do kieliszków. To mój ostatni kieliszek przed co najmniej siedmioletnią przerwą. – Kto to, do cholery, jest Bruce Gant? – pytam. Peder wzrusza ramionami. – Kto, kto? Twardo pokazuję na pierwszą stronę. – Tu jest napisane *Revision by Bruce Gant*. – A, Bruce Gant – mówi Peder. To doktor scenariuszy w Black Ridge. Przeprowadził parę drobnych zabiegów tu i ówdzie. – Drobnych zabiegów? – Nie czepiaj się szczegółów, Barnum. Zaczynam czytać. Ale Bruce Gant, doktor scenariuszy, nie tylko przeprowadził parę drobnych zabiegów. On operacyjnie usunął mój głos i moje słowa. Amputował moje obrazy. Peder krąży niespokojnie, tam i z powrotem. – Pacino jest już prawie zaklepany – mówi. Nie jest wykluczone, że Bacall też weźmie w tym udział. A Bente Synt chce przeprowadzić z nami wywiad. – To okaleczenie! – krzyczę. Peder kładzie mi rękę na ramieniu. – Nie bądź taki delikatny, Barnum. – Delikatny? Bruce Gant zniszczył wszystko. To jakiś przeklęty szarlatan! Pacjent umarł! Strząsam rękę Pedera. – Wiesz, jak to jest – mówi. Scenarzysta nie powinien umieć zbyt dobrze pisać. Podchodzę bliżej. – Czy to była obelga, czy komplement? – Próbuję ci tylko powiedzieć, że jesteś za dobry. Amerykanie wolą większą bezpośredniość, rozumiesz? – Bezpośredniość? Wikingów, którzy pierdolą się na skórzanych posłaniach pod otwartym niebem i płaczą w co drugiej scenie! – Uczucia, Barnum! – Jedno oko nie widzi drugiego! – krzyczę. Tę kwestię też wyciął! – Jesteś za dobry – powtarza Peder. Rzucam

w niego scenariuszem i osuwam się na łóżko. – Po czyjej ty jesteś stronie, Pederze Miil? Peder głęboko wzdycha. – Po naszej, do cholery! Patrzę na niego. – Wiem nareszcie, z kim mam do czynienia – stwierdzam. Peder kładzie klucze na stole między kwiatami a szampanem. – Może ty też powinieneś odwiedzić Vivian – mówi.

Ledwie dobywam słów. – Nic już nie jest moje – szepczę. Nic już nie jest moje.

Potem znów schodzę do piwnicy. To ostatnie miejsce, którego chcę się pozbyć.

Zabieram ze sobą latarkę i widzę, jak słabe światełko przesuwają się po ścianach. Przy suszarce leży kupa mokrych cuchnących ubrań, a po podłodze toczy się pusta butelka.

Kopię ją z całej siły i słyszę odgłos szkła tłukącego się w ciemności. Boks jest otwarty, niczego nie ruszono. Milcząca walizka stoi w rogu. Słyszę wtedy, że ktoś nadchodzi, prędkie cienie, i nim zdążę się odwrócić, ktoś mnie przytrzymuje i przyciska do drzwi, latarka wypada mi z ręki, głowę wypełniają mdłości, a krew spływa mi do ust, ktoś obraca mnie i oślepia mnie światło. Jeden z funkcjonariuszy przeszukuje mi kieszenie. – Szukasz miejsca do spania na noc? – pyta. – Ja tu mieszkam – odpowiadam szeptem. – Ten mały jest pijany jak bela – mówi drugi. Wściekam się, coś niszczę, a potem czuję tylko głęboką obojętność, gdy ciągną mnie do samochodu i zabierają stąd. Sąsiadka stoi na schodach z rękami pełnymi śmieci. Gwiazdy błyszczą we wszystkich oknach w mieście, z wyjątkiem mojego. Jest przecież Wigilia. Zaczynam się śmiać. Upadam. Ktoś mnie podnosi i ciągnie korytarzem. Za kratą dostrzegam Fleminga Branta, myślałem, że umarł, ale to do niego podobne, wyciąga chudą rękę, a w palcach trzyma błyszczące nożyczki, widzę go, montażystę, po raz ostatni. – Wszystkiego najlepszego, przyjacielu – szepczę. Próbuję się wyrwać. Po obojętności przychodzi lęk. Zabierają mi pasek, sznurówki, zegarek i grzebień. W tej samej chwili zatrząskują się drzwi z ciężkim hukiem, od którego odrzuca mi głowę w tył. Siedzę w rogu izolatki obok dziury w podłodze i znikam sobie z oczu.

(kormoran)

Wyspa ukazuje się jako punkcik na krańcu morza. Siedzę na pokładzie, owinięty w koc. Byłem tu już wcześniej. To tu przecież dostałem imię. Ale kiedy schodzę na brzeg na Røst, nikt nie wie, kim jestem. Wiozę ze sobą maszynę do pisania i kalendarz. Na moment się zatrzymuję, oddycham głęboko, ale nic nie czuję, tylko ostry wiatr. Idę do hotelu Rybackiego. Mają wolny pokój. Ciemnowłosa dziewczyna w recepcji pyta, jak długo zamierzam zostać. – Dostatecznie długo – odpowiadam. Uśmiecha się.

Musi też poznać moje nazwisko. – Bruce Gant – mówię. – Bruce Gant – powtarza powoli i na moment podnosi wzrok, nim zapisze nazwisko i datę w księdze. Wreszcie dostaję klucz. Pokój jest na piętrze. Łóżko stoi pod oknem, pokrytym łuskami soli. Nie śpię.

Skreślam jeszcze jedną białą dobę odwyku. Następnego dnia wieczorem robię to samo. Na trzeci dzień rano ktoś stuka do drzwi. To ta ciemnowłosa z recepcji. Przyniosła śniadanie, jajka, chleb, dżem. Proszę, żeby mi załatwiła rolkę taśmy klejącej. Przynosi ją tego samego wieczoru. Zabiera tacę i widzi, że nic nie zjadłem. Piszę *Człowiek nocy*.
Scena 1.

I przyklejam kartkę do ściany.

Próbuję spać.

Słyszę ptaki w ciemności.

Pewnego dnia, kiedy pada, wychodzę. Krople lecą mi prosto w twarz, jakby niebo się przekrzywiło. Pochylam głowę i idę drogą przecinającą płaską powierzchnię Røstlandet, między stojakami do suszenia ryb, przypominającymi olbrzymie ogrody, ale nie czuję zapachu, umarł, moje zmysły się stępiły, tak jak wiatr szlifuje te wysepki swoim wielkim papierem ściernym, aż pył opada na dno i znikają. Otwieram bramę cmentarza i nie udaje mi się jej zamknąć. Maszt flagi wygina się w porywach wichru jak łuk. Muszę pełznąć pod osłoną kamiennego murku i wreszcie znajduję ich imiona na wysokim czarnym cokole, obramowanym białym morskim piaskiem, Evert i Aurora. Litery są prawie całkowicie zasłonięte ptasimi odchodami. Chcę je wytrzeć, ale zostawiam. Przypomina mi się nagle, co powiedział pastor na pogrzebie ojca, że kormoran załatwia się na skały, by odnaleźć drogę do domu.

Kiedy zawracam, wiatr od tej strony jest tak samo silny, słony sztorm bijący prosto w twarz. To nie zawstydzenie i nieśmiałość każe wszystkim spuszczać wzrok, to jedynie wiatr. Mijam jakąś budę, krzywą szopę na łodzie, i nagle coś rozpoznaję, jakiś pojazd pod brezentem, spod którego wystaje kawałek maski. Rozglądam się. Nikogo nie ma w pobliżu. Idę tam i odsuwam brezent bardziej. To buick. Stary samochód ojca, zniszczony, zardzewiały i pełen deszczu. Zamykam oczy. A jednak ktoś tu jest. Zgarbiony mężczyzna z wysokim białym czołem nad ciemną twarzą opiera się o zniszczoną lodówkę i nic nie mówi, tylko otrzepuje ziemię z kombinezonu. Nasuwam brezent na miejsce. – Rzadki samochód w tych stronach – mówię. Roadmaster cabriolet. Mężczyzna wciąż milczy, lecz nie sprawia wrażenia wrogiego, tylko na mnie patrzy, tak jak dokładny krawiec bierze miarę. – Skąd pan go ma? – pytam. – Był kiedyś chłop, który był nam winien za wódkę i za nagrobek – mówi. Kiwam głową. – Ale dlaczego go nie używacie?

Teraz mężczyzna się uśmiecha. – Używamy, kiedy przyjeżdżają Włosi.

Stawiam w kalendarzu więcej krzyżyków.

To jedyne, co udaje mi się napisać.

Pewnego wieczoru schodzę do kawiarni, piję sok pomarańczowy i oglądam telewizję razem z innymi gośćmi, stałymi mieszkańcami, którzy przychodzą tu na tort albo może ze względu na ciemnowłosą dziewczynę. To mężczyźni, którzy zeszli na ląd, przyglądają mi się z wyrozumiałym zaciekawieniem, życzliwie i w milczeniu, podczas gdy ja patrzę na migotliwe nieczyste obrazy bez dźwięku, jak gdyby antenę zalewała fala, jak gdyby była podłączona do wiatru, i myślę, że te znane twarze, przesuwające się po słonym ekranie, tu, w hotelu Rybackim, ostatnim hotelu przed morzem, szminkowała właśnie Vivian. Podnoszę się prędko. – Co pan tu robi, Bruce Gant? – pyta dziewczyna, kiedy oddaję jej szklankę i chcę wrócić do pokoju. Tamci słuchają, nie pokazując tego po sobie, jedynie widelce na moment zawisają w powietrzu. – Suszę się – odpowiadam. – Mimo wszystko uważam, że powinien pan trochę jeść.

Wkrótce będę musiał kupić nowy kalendarz.

Robi się jaśniej.

Pewnego ranka idę inną drogą niż zwykle, nie na cmentarz i naokoło kamiennego ogrodzenia, tylko przez pagórek i wzdłuż brzegu do maleńkiej zatoczki za kejami. Tam widzę dom. To już nie jest dom, siedziba ludzi, lecz jedynie szczątki, które rozpadają się powoli i rozsypują, jak drewno wyrzucone na brzeg przez morze. Drzwi dla nieboszczyka uderzają na wietrze, w rzadkiej żółtej trawie leży wyczyszczona do połysku czaszka owcy.

Właśnie wtedy to się dzieje. Wiatr nagle łapie za moją kurtkę i wydyma ją w wielki żagiel, który unosi mnie z ziemi, opieram się, próbuję zrobić się ciężki i niewygodny, ale to niemożliwe, jestem tylko chudym płatkem wśród tych porywów, które niosą mnie przez powietrze, krzyczę i wyciągam ręce, aż w końcu wiatr uprzejmie stawia mnie przy wąskiej ścieżce.

Natychmiast wracam do hotelu Rybackiego, wstrząśnięty i zamroczony. Ciemnowłosa stoi za ladą, na ustach ma uśmiech, a ci sami mężczyźni patrzą na siebie, w pełnych przeciagu twarzach rosną krzywe uśmiechy, a jeden z nich mówi głośno, zanim wybuchnie śmiech. – A oto i kormoran we własnej osobie!

Rozsypuję pył opowieści i pozwalam mu zakwitnąć we wszystkich ustach bukietami najpiękniejszych kłamstw.

Pewnego dnia znów ktoś stuka do drzwi. To ona. Ta ciemnowłosa. Rozgląda się prędko dookoła po ścianach, prawie całkiem zakrytych kartkami. – Nie jestem głodny – mówię.

Uśmiecha się. – Ale jest list do pana. Nie pojmuję tego. Podaje mi kopertę. Poznaję pismo Pedera. Wiele adresów zostało przekreślonych, zanim dotarł tutaj. – Dziękuję – mówię.

Dziewczyna stoi. – Mam zmienić nazwisko w księdze gości na Barnum Nilsen? – pyta.

Podchodzę do niej. Czy ma piwne. – Skąd pani wiedziała, że to do mnie? – To nie było takie trudne. – Wyglądam na swoje imię? Ona się śmieje. – Mój ojciec powiedział, że mało kto potrafi rozpoznać buicka pod brezentem.

Kładę list na nocnym stoliku i boję się go przeczytać.

Śnię po raz pierwszy od dawna. Śnię o walizce. Ktoś ją niesie, ale nie widzę wyraźnie kto. We śnie widzę tylko buty, nogi i rękę trzymającą walizkę. Ciężką walizkę.

Gwałtownie budzi mnie słońce. Jest w całym pokoju. Wstaję. List leży na nocnym stoliku. Otwieram go. Peder pisze: *Przyjacielu, nie wiem, gdzie jesteś, ale może ten list Cię odnajdzie. Pamiętasz kartkę od najwyższego człowieka świata, którą znaleźliśmy tamtego lata na Ildjernet? Co to ja miałem powiedzieć? Z Wikinga nic nie wyszło.*

Wytwórnia filmowa ma nowego szefa. Spotkałem go w L.A. Mieszkał w Venice Beach od 1969 roku i jedyne, co umiał powiedzieć, to: What about vikings in outer space? Może to coś dla Ciebie, Barnum? Muszę usiąść na łóżku i wyśmiać się do końca. Nie pamiętam, kiedy ostatnio się śmiałem. Nagle słyszę jakiś hałas na zewnątrz, głosy, wołanie, muzykę.

Podchodzę do okna i dopiero teraz widzę, że ktoś je umył, wszystko jest wyraźne i bliskie.

Świat mnie oślepia. To prom przy pływa do kei. Większość mieszkańców wyspy musiała się tam dzisiaj zebrać. Mam wrażenie, że już to kiedyś widziałem, a przecież widzę to po raz pierwszy. To Włosi, kupcy, którzy chcą uprawiać suche ogrody Røstlandet, winnice wybrzeża. Przeprowadzają ich po trapie, a z drugiej strony nadjeżdża żółty buick, wykąpany i lśniący, z otwartym dachem, kołysze się bezszelestnie jak wypolerowana karetka na kołach, szofer jest w uniformie i w błyszczącej czapce, która skrywa wysokie białe czoło. Zatrzymuje się przy trapie, goście wsiadają i odjeżdżają powoli wśród wiatru i ludzi.

Na końcu Peder dopisał: *„PS Pozdrowienia od Vivian. Thomas powiedział pierwsze słowo. Zgadnij jakie”*.

Później tego dnia idę do krzywej szopy. Buick parkuje przed nią. Szofer klęczy i poleruje dekle, aż znów zaczynają błyszczeć jak cztery lusterka. – Wie pan, gdzie ojciec postawił wiatrak? – pytam. Mężczyzna ociera pot z czoła, przez moment zakłopotany. – Wyłożyliśmy na pańskie chrcziny, a nagrobek musieliśmy ściągać aż z Bodø – mówi szeptem. Dotykam ręką ciepłej maski samochodu. – Wobec tego zasłużyliście na ten wehikuł. Patrzy na mnie i się uśmiecha. – Niech pan idzie ze mną – mówi. Płyniemy łodzią przez cieśninę na stromą wysepkę, siedzimy obok siebie na ławeczce, wiosło wyślizguje mi się z rąk. Szofer się śmieje. – Pan wiosłuje jak Arnold! – woła. Wreszcie udaje nam się ustawić łódź właściwie. – Co pan wie o moim ojcu? – pytam. Mężczyzna przez chwilę porusza wiosłami w milczeniu. – Arnold jako chłopiec uciął sobie palec – mówi.

Zbliżamy się do ciasnej zatoki, niewygodnego brzegu. – Czy on był dobrym człowiekiem? – pytam szeptem. Kierowca, przewoźnik, jedyny syn Niedolusa, zasmucony opiera się na wiosle. – Kiedy Arnold wrócił, żeby ochrzcić pana imieniem Barnum, brakowało mu całej ręki – mówi cicho. Wreszcie jesteśmy na miejscu. Szofer pomaga mi wysiąść na brzeg. – Chce pan, żebym zaprowadził pana na sam szczyt? Kręcę głową. – Już dalej dam sobie radę sam. Ale on nie chce mnie jeszcze puścić i wkłada mi do kieszeni dwa ciężkie kamienie. – Niech nam pana znów nie zwieje – mówi. Wspinam się pod górę tą samą drogą, którą ojciec się stoczył i zmienił się w Kółko. Nie wiem, jak długo to trwa.

Światło znieruchomiało w gromadzie białych ptaków. Gdy docieram do ostatniego wzgórza i wilgotna trawa rozszerza się łagodnym łukiem, widzę wiatrak ojca, przypomina samolot, który spadł z nieba, albo zniszczony krzyż. Siadam tam. Słońce wisi na horyzoncie i zauważam, że jest zielone. Rzucam kamienie w dół zbocza i czuję ostry zapach guana. Wiatr szarpie szczątkami, które wydają pełen skargi piękny dźwięk, zardzewiałą piosenkę. I już wiem: to jest moje miejsce.

Następnego dnia rano wyjeżdżam na południe. Płynę promem do Bodø, lecę samolotem do Oslo i jadę taksówką na Bolteløkka. Muszę wietrzyć przez trzy dni. Jak po długich letnich wakacjach. Do mieszkania sąsiadki wprowadzili się nowi mieszkańcy, jakaś młoda para. Nie spotykam Vivian. Jeszcze nie widziałem Thomasa. Ale Peder i ja kontynuujemy nasz elektryczny teatr. Siedzę w mrocznych kulisach i liczę białe dni, piszę *Człowieka nocy*, dostarczając szkic i *treatment*, aż do dnia, kiedy dostaję pocztą guzik i dwa słowa:

Guzik ojca, tego samego dnia, gdy wyjeżdżamy na festiwal filmowy w Berlinie.

(tempelhof)

To Peder dyszy mi w kark. Odprowadza mnie na Tempelhof, do tej architektury kulturalnego nazisty. Wciąż jest wczesnie rano, a mnie ogarnął ciężki spokój.

Wracam do domu, do Freda, bo Fred wrócił do domu. Nie widziałem go od dwudziestu ośmiu lat i sześćdziesięciu dni. Ale może on mnie widział. Może widział nas przez cały czas. Peder bierze mnie za rękę. Przebukował bilety, odwołał spotkania, popłacił rachunki, wykonał telefony i przeprosił większość ludzi, do których się zbliżałem. – Jesteś pewien, że mam z tobą nie jechać? – pyta. – Tu jesteś bardziej potrzebny – mówię. Wyprzedza mnie i staje przede mną, muszę się zatrzymać. – Wiedziałeś, że on kiedyś wróci, prawda? – O co ci chodzi? Peder odwraca głowę. – Wiedziałeś, że on nie umarł, Barnum. Stoimy w pustej hali. Pachnie mydłem. Ściany chylą się, mało nie upadną. Muszę się czegoś mocno trzymać. Siadam na walizce. – Może tak, może nie – szepczę. Uzbrojony strażnik wybiega nagle z toalety, broń w czarnej kaburze, pałka przy mocno zaciśniętym pasku, stroma czapka od munduru, którą poprawia, gdy przez moment się rozgląda i jego wzrok zatrzymuje się na mnie. Z rąk kapie mu woda.

Podchodzi do taśmy bagażowej, na której ktoś zostawił niebieski parasol ze znaczkiem festiwalu. Czuć tu mydłem. – Myślisz, że można uzyskać wybaczenie za coś, czego się jeszcze nie zrobiło? – pytam. Peder pochyla się nade mną jeszcze bardziej zaniepokojony. – Chyba nie zamierzasz robić nic głupiego? Wybucham śmiechem. – Nie ma się z czego śmiać – mówi Peder. – Wcale się nie śmieję. – Potrzebne ci jakieś pigułki? – pyta szeptem. Kręcę głową. – Myślałem tylko o tym, że nigdy nic nie wyszło, Peder. On nie rozumie, o czym mówię. – Z czego nie wyszło? – Ze wszystkiego, czym się zajmowaliśmy. Żaden film. Żadne zdjęcie. Nie ma ani jednej klatki. Peder wzrusza ramionami. – Ja tak nie myślę – mówi tylko. Wstaję z walizki. – Myślisz, że wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby wyszły nam nasze filmy? Peder się uśmiecha. – Przynajmniej przyjechałaby po nas limuzyna. – Ja pytam naprawdę, Peder. Czy coś by się zmieniło?

Peder odwraca się do tablicy. Lot do Oslo nie jest opóźniony. – Wygląda na to, że świat poradził sobie bez nas – mówi. – Czy my też nie jesteśmy światem? – Owszem, my też jesteśmy światem, Barnum. I czy nie przyjemnie jest wiedzieć, że nikt nie wie, jacy jesteśmy świetni? – Wcale nie jestem tego taki pewien – mówię. Peder przez chwilę milczy. Parasol dalej toczy się po taśmie bagażowej. – Czy to zła pora na to, żeby spytać o scenariusz, o którym wspomniałeś dzisiaj w nocy? – pyta w końcu. Mam go w walizce.

Otwieram ją, skreślam *Człowiek nocy* i zamiast tego piszę *Ludzie nocy*. Peder klepie mnie po plecach i ledwie już może się doczekać. – Świetny tytuł, Barnum. I najpierw zagląda na ostatnią stronę. Peder najlepszy jest w czytaniu liczb. Prawie odejmuje mu mowę. – Cztery i pół godziny – mówi szeptem. Zamykam walizkę. – I co z tego? Peder wzdycha. – To długo, Barnum. – I ani jednego przecinka nie pozwolę przesunąć – mówię. Podchodzę do okienka i zgłaszam się do odprawy. Walizka wpada do dziury i znika. Dostaję kartę pokładową. Wywołują mój samolot. A Peder, zmęczony optymistą, znów się uśmiecha. – Dasz sobie radę? – Dam. – Kupię coś cholernie fajnego dla Thomasa – mówi. Zamykam oczy. – Kup, Peder. Obejmujemy się, w hali odlotów, tak jak obejmowaliśmy się tyle razy wcześniej, Peder i Barnum, grubas i mały. Skąd mogłem wiedzieć, że obejmujemy się ostatni raz? Nie wiem. – Wracam jutro – mówi Peder. Całuje mnie w policzek. – I pozdrów tego swojego cholernego brata! Śmieje się tym samym niezwykłym śmiechem, porywa parasol z taśmą i biegnie do taksówek ze scenariuszem pod pachą. Ale nie wrócił do domu następnego dnia. Po drodze do hotelu Kempinski zdarzył się wypadek.

Zatrzymują mnie w strefie bezpieczeństwa. Uzbrojony strażnik prowadzi mnie na bok do oddzielnego pomieszczenia, zasuwa cienką zasłonkę. Muszę opróżnić wszystkie kieszenie.

Wkładam do koszyka długopis, zapalniczkę, grzebień, klucze i lusterko. Ciągłe jednak piszczy, kiedy mnie masuje tą elektryczną pałką. Zdejmuję pasek. To też nie pomaga.

W końcu prosi mnie, żebym zdjął buty. Muszę zrobić tak, jak mi każe. Daje mu swoje buty.

Włożył teraz gumowe rękawiczki. Sprawdza w butach. Obraca je i zaczyna stukać w podeszwy. Potem odłamuje wysokie obcasy. Odwracam się. Przychodzi jeszcze jeden strażnik i on też przygląda się uważnie moim zmaltretowanym butom. Żeby wyjaśnić sprawę moich butów, błazeńskich butów, potrzeba aż dwóch uzbrojonych ludzi w mundurach. W końcu mogę się z powrotem ubrać. Uśmiechają się w milczeniu. Jestem teraz o cztery centymetry niższy. To już nie ma żadnego znaczenia. Wreszcie mnie przepuszczają, słyszę, że śmieją się za moimi plecami. Wsiadam do autobusu, który jedzie do niedużego samolociku. Pada deszcz. Wbiegam na górę po stromych schodach. Hala przylotów ze swoimi kolumnami i łukami przypomina stąd owalną świątynię, brudną świątynię dla podróżnych. To na mnie czekają. Ktoś kiwa mi głową, udaję, że nikogo nie poznaję. Dostałem ostatnie miejsce, z samego tyłu. Zapinam pas i proszę o szklankę wody.

Samolot jedzie na pas startowy, a w chwili gdy się unosimy z lotniska w środku Berlina, gdy wznosimy się między domami mieszkalnymi, widzę ludzi w środku, w swoich mieszkaniach i pokojach, zaczynają swój nowy dzień, odsuwają zasłony, zapalają światła, podlewają kwiaty, siadają przy śniadaniu, piją kawę, karmią dziecko, to jest jak film, myślę, historia ludzi od okna do okna, ruch ludzi, ich powszednie piękne rutyny, to mój film, w ostatnim oknie widzę parę starsuszków, którzy siedzą na brzegu łóżka i się całują, potem samolot wlatuje w niebo, a ja dostaję szklankę wody.

(epilog)

To Boletta czeka na Fornebu. Nie widzieliśmy się, odkąd zostawiłem ją na Blåsen.

Jest teraz starsza, niż była Stara, i wygląda tak, jakby życie się w niej cofało, rośnie w dół i jest niższa ode mnie, jak zgarbiona zmarszczka, a pachnie jak wyschnięty owoc. Dłoń jednak ma silną i spokojną, kiedy łapie mnie za ramię i wyprowadza do taksówek, gdzie natychmiast wkręca się do kolejki, wywołując powszechne oburzenie.

Lekko prószы śnieg, ale topnieje już w powietrzu. Siadamy z tyłu. Boletta przytula policzek do mojego ramienia. – Jesteś teraz cały, Barnum – mówi. – O co ci chodzi? Ale ona mi nie odpowiada, a ja myślę, gdy jedziemy przez łagodne wzgórza w okolicach Gaustad, że nie chcę być cały, nie chcę, ściskam Bolettę za rękę tak mocno, że aż jęczy. Między nagimi czarnymi drzewami ukazuje się budynek z czerwonej cegły, z wieżyczkami i okienkami przypomina zamek, zamek z baśni, a nie dom wariatów. – Dlaczego on tutaj jest? – pytam.

Boletta płaci kierowcy. – To twoja matka jest tutaj – mówi cicho. Odwraca się gwałtownie, jakby dopiero teraz sobie o czymś przypomniała. Za późno. – Nie miałeś ze sobą żadnego bagażu, Barnum? Kręcę głową. – Zginął – mówię. – Zginął? – Nic nie szkodzi – mówię szeptem. To była tylko stara walizka. Idziemy do nich. W czymś w rodzaju świetlicy w oczy rzuca mi się przede wszystkim mały chłopczyk w szarych spodniach i niebieskiej bluzie. Widzę go po raz pierwszy. A on po raz pierwszy widzi mnie. Siedzi na krześle, które jest dla niego za wysokie. Nie rusza się. To Thomas.

Zatrzymuję się przed nim. Oczy ma wystraszone, a jednocześnie zaciekawione, jak gdyby miał się na baczności przed wszystkim i przed wszystkimi. Nie znam go, ale poznaję w nim siebie. Wiem tylko, że dla tych ciemnych wrażliwych oczu gotów bym skoczyć w ogień i wodę. Bezradnie i niezdarnie kładę mu rękę na głowie, ale wystraszony chłopczyk się uchyla, tak samo, jak i ja bym zrobił. Vivian patrzy na nas, a kiedy nasze spojrzenia się spotykają, gwałtownie się czerwieni. Wciąż ma na palcu pierścionek. Oboje musimy jakby odetchnąć głębiej, opanować się, żeby się nie załamać pod ciężarem tej ciszy. Boletta bierze Thomasa na ręce. – Fred jest u Very – szepcze Vivian. Idę korytarzem.

Pielęgniarka czeka koło pokoju. Otwiera drzwi. Matka leży w łóżku. Wygląda, jakby spała, ale gdy tylko wchodzi do środka, uśmiecha się. Pod oknem stoi chudy mężczyzna, odwrócony plecami. Matka próbuje coś powiedzieć, ale w jej ustach nie ma dźwięku i zaczyna płakać. Stary chudy człowiek odwraca się. To mój brat. Oczy ma nieruchome. – Dlaczego wróciłeś? – pytam. I nie wiem, czy to na mnie, czy na matkę Fred patrzy, kiedy mówi: – Żeby ci to wszystko opowiedzieć.